

4767/63

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

WYDZIAŁ HUMANITARIJNY I PRZEMYSŁOWY

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Tom trzeci

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1856.

Tom trzeci.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXIII.

WARSZAWA.

W Drukarni Gazety Codzienniej.

1856.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

4620. 1856. 3

II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury,
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 12 (24) czerwca 1856 r.

Cenzor, RADCA DWORU
Stanisławski.

Tom drugi



30.000

X-14162
4620 / II 3.
1856

WARSZAWA

1856

KRZYSZTOF URBANOWICZ

STAROSTA HUBSKI.

OBRAZEK HISTORYCZNY, Z LISTÓW WŁASNORĘCZNYCH KRÓLA
STANISŁAWA LESZCZYŃSKIEGO.

SKREŚLONY PRZEZ

Alexandra Przeddzieckiego.

O Krzysztofie Urbanowiczu, jednym z najwierniejszych i najzaufańszych stronników Stanisława Leszczyńskiego, bardzo mało wiedzieliśmy dotąd. Parę wierszy w Niesieckim, parę wzmianek w Pamiętnikach Otwinowskiego i w Historji Stanisława Igo przez p. D. C. (1): otóż i wszystko, co nam drukowane źródła o Urbanowiczu podają.

W inném świetle okazują go nam niedawno wynalezione oryginalne listy *własnoręczne* króla Stanisława Leszczyńskiego do niego pisane z Jass, z Cwejbruku, z Wejssemburga i z Chambord, od 1714 do 1730; oraz kilka listów królowej Leszczyńskiej, Karola XII króla szwedzkiego, i królewicza Jakóba Sobieskiego. Listy te przechowane w bogatém archiwum rodziny Zawiszów w Litwie, a przez dzisiejszego ich właściciela p. Jana Zawiszę uprzejmie nam udzielone, posłużą do skreślenia szkicu historycznego Krzysztofa Urbanowicza, który stanowić będzie nieobojętny może przyczynek do dziejów Stanisława Leszczyńskiego i jego wieku.

(1) Histoire de Stanislas I Roi de Pologne, Grand duc de Lithuanie, duc de Lorraine et de Bar etc. par Monsieur D. C. A Francfort 1740.

Krzysztof Urbanowicz pochodził z rodziny szlacheckiej herbu Łabędź, z przydomkiem Pilecki, osiadłej w powiecie oszmiańskim na Litwie. Przez żonę Annę Wołłowiczównę oboźniankę litewską, której siostra Teodora była w małżeństwie za Janem Jerzym Zawiszą chorążym mińskim, skoligacyny był Urbanowicz z możnym na Litwie domem Zawiszów, i wraz z nim trzymał się partyi Leszczyńskiego. Jako pułkownik wojsk Jego Królewskiej Mości, położył świetne w sprawie króla Stanisława zasługi, i na początku roku 1708 wynagrodzony został nadaniem dóbr dziedzicznych Hanuta, Bienica, Mołodeczno, Horodziłów, Kobylnik, Usza, Szkodziscki, wraz z dworem na Puszkarni i Łukiszkach, w powiecie oszmiańskim, i kamienicą w Wilnie, od których odsądzono Michała Kotła, kasztelana trockiego, za przyłączenie się do cara Piotra i do stronnictwa króla Augusta (pomimo zrzeczenia się tronu króla elektora saskiego) (1).

Niedługo cieszył się wprawdzie pułkownik Urbanowicz starosta hubski i kommissarz wojskowy w powiecie oszmiań-

(1) Przywilej oryginalny króla Stanisława brzmi jak następuje:

Stanisław I z Bożej Łaski Król Polski, Wielki Książę Litewski etc. Oznajmujemy wszem w obec i każdemu z osobna, koniuby o tem wiedzieć należało, iż jakośmy pragnęli, aby wszyscy niechętnym ku Rzplitey napelnieni *instinctem*, do upamiętania się mając, upór zawzięty porzuciwszy, i baczną na nieodmienne Stanów Rzplitey przy dostoiensctwie Majestatu Naszego, y przy Staropolskich wolnościach *reflexią* mając z Confederowanych *Sancita*, y im dość czyniąc, do Spólnej z nami jedności y ratunku Rzplitey przeciw Nieprzyaciółom Korony Polskiej y W^o X^a Lit: przystępowali, tak wzajemnie to wielkie y *qua Majorum virtute qua propriis meritis* w Swiecie Polskim jasniejące Osoby, które staleczny zawsze przy utrzymaniu Staropolskich Swobód zastawiali i zastawiają ią Sercem, Abyśmy wszelkim z usilney do tego Aplikacyi Naszey mogli *praemiare* sposobem, Dla czego gdy Urodzony Krzysztof Urbanowicz Starosta Hubski Półkownik Nasz *benemeruit* u Rzplitey, tedy Dobra Dziedziczne nazwane Hanuta, Bienica, Mołodeczno, Horodziłów, Kobylnik, Usza, Szkodziscki (Dwor na Puszkarni y Łukiszkach, także Kamienica w Wilnie): Dziedziczne zaś Dobra już przerzeczone, w Powiecie Oszmiańskim leżące, wyż pomiononemu Krzysztofowi Urbanowiczowi Staroscie Hubskiemu, Pułkownikowi Naszemu dajemy y Conferujemy; Odsądziwszy od przerzeczonych Dóbr Wielmożnego Michała Kotła Kasztelana Trockiego od pospolitego Prawa y od wszelkich Dóbr innych, *tanquam rebellem ac perduellem* który przy wiarołomnych i przysięgłych przeciw Majestatowi Naszemu, wszystkim wolnościom i Prawom Korony Polskiej oraz W X. Lit. nieprzyaciółach *Contumaciter adhaesit y adhaeret*. I nalośmy się ręką Naszą Podpisawszy, pieczęcią y X Lit stwierdzić rozkazali — Datt: w Gieranonach R. P. MDCCVIII Mca Marca d: VI. Panowania Naszego III.

Stanisław Król.

(LS.) Procancellariatu JII. DD. Stanisłai Antonii in Szczuczyn et Radzyn Szczuka Pro Cancell: M. DL. Lublineusis Vechsnecon: Vavelnicensis Capitanei.

skim, dziedzictwem; gdyż w następnym 1709 roku klęska pod Poltawą położyła koniec pomyślności Karola XII, a następnie Stanisława Leszczyńskiego i jego stronników.

Z rezydencji swojej w Benderze, pod strażą turecką, Karol XII szukał jeszcze sposobów podburzania Polski przeciw Augustowi II w imieniu króla Stanisława, oczekującego pomyślniejszej pory w Szczecinie na Pomorzu. Wysłany z Wołoch Grudziński starosta rawski w czterech tysiącach ludzi, przebiegł szczęśliwie aż do Wielkiej Polski, i myślał o połączeniu się ze stronnikami Leszczyńskiego na Litwie.

Nieodstępny był przy nim Urbanowicz, o którym znajdujemy następną wzmiankę w *Pamiętniku domowym Krzysztofa Zawiszy* pod rokiem 1712.

„J. P. Grudziński i Im. p. Urbanowicz w przedniej straży przed królem Imścią szwedzkim w kilka tysięcy ludzi rozmaitych od Krakowa pokazawszy się, w cichej i skromnej bardzy posturze Moskwę w Wielkiej Polsce gospodarującą i rządzącą się grasują, i wycinają pod Poznaniem i Pyzdrami, ale prędko od Moskwy i kwarcianych rozproszeni, poszli nazad ku Bandyrowi Szląskiem.

„JP. Sapieha Starosta Bobrówski *ad famam* wejścia do Polskiej p. Grudzińskiego i Urbanowicza, z Prus z ludźmi, których miał 500 ruszył się, chcąc łączyć z niemi, ale nie udało się; bo pod Pilicą za Krakowem od koronnych rozproszony, i nie mało ludzi straciwszy, sam ledwie w kilkadziesiąt koni uszedł, ale się przebrał przecię ku Bandyrowi: w Litwie za to fortuna Ichm. pp. Sapiehów odpowiada (1)”.

Do Benderu przybył i król Stanisław z Szwecyi, a w orszaku jego zmniejszonym wkrótce amnestya, ogłoszona przez Augusta II, pozostali tylko Poniatowski, Krzyszpin i Urbanowicz (2).

(1) Pamiętnik ten dotąd w rękopisie przechowany w rodzinie Zawiszów, w dwóch działach, *Acta Orbis Poloni i Notacya ciekawa Obrotów moich*, zawiera wiele ciekawych szczegółów do historii kraju i do życia domowego przodków naszych od r. 1693 do r. 1721, pisanych ręką Krzysztofa Zawiszy starosty, a później wojewody mińskiego. Zajmującą wiadomość o tym rękopisie dał p. Julian Bartoszewicz, w artykule drukowanym w *Gazecie Codzienniej* z r. 1855 (nr. 85, 86, 87) dopominając się usilnie w imieniu dziejów krajowych, o wydanie krytyczne tego *Pamiętnika Zawiszy*.

(2) *Histoire de Stanislas I, par Monsieur D. C. Francfort 1740 r. T. I. p. 149.*

Jak to poświęcenie Urbanowicza ocenić umiał król Stanisław, pokazuje się z listu jego własnoręcznego do pułkownikowej Urbanowiczowej pisanego.

„Madame! Daję się WMM. Pani winien, zem J.M. Półkownika Urbanowicza jadącego do MM. Pani, jeszcze tu w tych krajach zatrzymał, ale mam nadzieję, że te umartwienie na konsolacją JW.Pani wynidzie, więc proszę tylko o cierpliwość, i oto żebyś W. Pani była pewna, że jako Król JM. Szwedki, tak zawsze w osobliwy pamięci mieć będziem wielkie zasługi JM. Pułkownika, bom jest obojga JM. Państwa z serca kochający, Stanisław Król.”

W Jasiach. 15 Maj 1714.

A Madame Contesse Urbanowiczowa.

Gdy Karol XII postanowił powrócić do swojego państwa, Leszczyński udał się w połowie r. 1714 w gościnę do Cwejbruka, tojest do księstwa Dwóch - Mostów, dziedzicznie należącego do Karola XII. Urbanowicz już z tytułem pułkownika od kawalerii króla szwedzkiego, mieszkał w Wrocławiu, i ztamtąd wszelkie interesa pierwszego pana swego ułatwiał. Stanisław zaś obiecywał interesa Urbanowicza u króla Augusta promowować. Tak pisał do niego w 5 dni po przybyciu do Cwejbruku.

„Moy Kochany M: Panie Krzysztofie.

„Nie wiem jako Ciej się udało we wszystkich twoich dobrych intencyach, to tylko wiem i doznałem, żeś miał dobrą ie wolą wykonać, a zatym bądź pewien obligacyi moiej iako za sam skutek. JM. Pana Generała Poniatowskiego prosiłem, żeby osobliwie tesz twoie Interesa protegował u Króla i służył Ciej jako sam sobie życzyć będziesz, poki ia sam Swiadczyć nie będę mógł. Jakom iest prawdziwie WM Pana z Serca Kochający Stanisław Krol”.

W Deux Ponts. 9go Julij 1714.

Monsieur Urbanowicz.

Collonel de Cavalerie de Sa. M. le Roy de Suede.

„A w tem „*Prosperxit Dominus de excelso suo*” (pisze autor spółczesny Pamiętników, znany dotąd pod nazwiskiem Otwinowskiego)” uzalił się ludu swego, a jako dziwny w Sprawach swoich Pan, zesłał pomoc i usłał drogę do wybicia się z niewoli. Gdy wojska Polskie kwarćiane obaczyły *palpabiliter*, że i na trzecią zimę Saskich Wojsk wyprowadzić

Król woli nie miał, a oni już na 4ty rok bez zapłaty służyli i żadnej nadziei zasług swoich nie mieli, ponieważ o Sejmie *nec nominetur* było; do tego w konsystencyach krzywdę i przeszkodę w hibernie znaczną ponosili, przez zastąpienie wojsk saskich, nawet przejeżdżającym ludziom wojskowym, popasów albo noclegów za ich własne pieniądze po wsiach i miasteczkach Sasi bronili, wyganiając ich i bijąc; postrzegłszy to, że nie *alio fine* ten nieporządek i krzywda w płaceniu wojskom kwarcianym działa się, tylko żeby tym sposobem siłę i obronę Rzeczy-Pospolitej wycieńczyć i całe znieść; do tego widząc, że Hetman z facyowany i przekupiony od Króla (bo mu wielkie summy z kontrybucyjnych pieniędzy dawali Saśi) nie dba nic o wojsko, i owszem go sam niepotrzebnemi komendami w niwecz obraca, a mieli też od ludzi *senioris iudicii et Consilii* będących częste remonstracye, w obozach stojąc, że się to *in intuitu eversionis Status* i zguby wolności działo: zaczęm lubo w małej kwocie stało wojsko kwarciane z téj strony Wisły (bo hetman umyślnie dla związku rozrywał ich, odsyłając jednych w Ukrainę, drugich tu owdzie po Polsce), ale jednak wielkim duchem *laborabant* do obrony Ojczyzny." (Wydanie krakowskie, str. 230).

Działo się to w jesieni 1715 roku. Wojsko obwołało marszałkiem związkowym Władysława Górzyńskiego, porucznika Morsztyna wojewody sandomierskiego. Przyszło do rozlewu krwi z Sasami; szlachta łączyła się ze związkowemi po województwach, a w Tarnogrodzie ogłoszona została konfederacya pod laską Stanisława Ledóchowskiego podkomorzego krzemienieckiego. Bacznym okiem śledził ciągu wypadków król Stanisław z miejsca wygnania swego, i 25 października do marszałka Górzyńskiego pisał:

„Moy Kochany M. Panie Marszałku Wojska Zkonfederowanego Rzeczy Ptey. Nie rozumię WWM. Pan żebym miał bydz Ostatniey *ad exultandum* że Wojsko Rzplitey, Gniazdo Krwi Szlacheckiey, zaczyna iść tym śladem którym przetorował każdemu *ad salvandum* się Oyczyzny Synowi. Naturalna mię wzbudza Sympatya jednegoż teraz z WM. Panem mając nieprzyjaciela, winszuję Oyczyźnie mey że w Osobie WM. Pana znajdzie restauratora ran swoich, winszuję zaś sobie naybardziej, że mego dawnego przyjaciela, Ziomka i Sąsiada widzę *in hoc culmine*. Nie wążp WM. Pan o błogosławień-

stwie Bożym, żeby Cię nie miał dopomódz przeciwko Tyranskiemu Panowaniu, nie wąpię *de successu* jeżeli moiej rady posłuchać zechcesz, którą *fideliter* doniesie JM. Pan Pułkownik Urbanowicz którego konfidencyi WW. Pana zalecam. A ponieważ kochani Bracia poczynacie widzieć że wam zle z Niemcem, iakże sobie obiecywać niemam, że sobie *per oppositum* Polaka życzyście. Ja inszy Cnoty nie mam tylko że nim iest, a zatym *sortes meas in manus vestras pono*, WM. Pana jestem z Serca życzliwy Stanisław Krol”.

W Cweybryku 25 Octobr. 1715.

Trwała wojna domowa z różnym szczęściem przez rok cały; hetman Sieniawski najgorliwszy stronnik króla Augusta dostał się w niewolę. Litwa przystąpiła do konfederacyi. Uproszono cara Piotra o medyacyę, umówiono miejsce do traktacyi w Lublinie, a marszałek Ledóchowski przybył do Łęczny, i 40 tysięczne wojsko nad Wieprzem lokował.

„Jak prędko stanął Marszałek w Łęczny (pisze Otwinowski), tak zaraz różnych duchow poczęli się do niego kupić Panowie. Przyszli Lubomirski Podkomorzy i Obożny koronni z znacznemi ludzi wojennych partiami: a Ci byli z informacyi Królewskiej umyślnie przysłani, żeby byli rzeczy na stronę Królewską kierowali i do pokoju prowadzili. Przyjechali też i Sapiehowie, ale z inszym duchem, osobliwie Starosta Bobrujski i Urbanowicz; dla tego gdy ich postrzeżono, że poczęli wojska fomentować, musiał Starosta Bobrujski przysięgać *super fidelitatem*, lecz oczywiście krzywo przysięgł, bo co inszego w Sercu miał, i ważył się u samego nawet Leduchowskiego tentować (przez Morsztynów, którzy największy kredyt mieli u Marszałka a byli arcy Szwedzi) pociągając go *in partes Sueticas*, namawiając, żeby Króla Stanisława wokować a Augusta detronizować. Zdziwił się Marszałek na te propozycye, i lubo Morsztynów nigdy *a Consiliis* nie odrzucał, ale jednak będąc *summae conscientiae et realitatis ingentis*, nigdy się na Szwedzką fakcyę przerobić nie dał.” (str. 276).

Król Stanisław nie przestawał prowadzić czynnej korespondencyi w swoich interesach z Urbanowiczem, za pośrednictwem żony pułkownika mieszkającej we Wrocławiu. Pisał do niej 16 czerwca 1716 roku:

„Madame! Dziękuję Serdecznie W. M. Pani za odesłanie listów J. M. P Pułkownika, proszę i zaklinam żeby te, które do

niego poselam, rąk jego jak najpilniej doszły. Rozumiem, żeś W. M. Pani już odebrała 100 Czerwonych Złotych, którem posłał; będę się starał o więcej. A teraz Jestem W. M. Pani z Serca Kochający Stanisław Król.”

19 Junii 1716.

W Deux Ponts. A Madame la Colonnelle Urbanowicz.

Karol XII także przez Urbanowicza zostawał w stosunkach z konfederacją, jak świadczy list jego z Lundy z 17 lutego 1717 roku, który tak brzmi w tłumaczeniu polskiem:

„Szlachetny Pułkowniku Urbanowiczu. List Wasz dnia 8 Listopada przeszłego roku do mnie pisany, w którym zdawaliście mi sprawę z ówczesnego stanu Rzeczy Pospolitej Polskiej odebrałem. Rad dowiedziałem się, iż interesa moje tam sprawujecie z tą samą gorliwością jak dawniej, i żeście teraz szczerze chęci moje dla pomyślności Rzeczy Pospolitej Polskiej marszałkowi jeneralnemu Konfederacyi, Ledóchowskiemu, przełożyli. Życzę sobie bardzo, żebyście o tychże chęciach, w których ciągle pozostaję, upewnili wszystkich Członków Konfederacyi, przytém życząc sobie dalej odbierać od Was nowiny z Polski; proszę wierzyć, że wszelką skłonność i łaskę Królewską ku Wam chowając, pozostaję Wam życzliwym: Karol (1).”

Ale właśnie w tym czasie, bo 1 lutego na sejmie warszawskim rozwiązała się konfederacya. Skutkiem traktatu zawartego 3 listopada zeszłego roku, król August zobowiązał się wyprowadzić wojska Saskie z granic rzeczypospolitej, i innym *gravaminom* konfederatów zadosyć uczynić.

„*Beneficium* amnestii (pisze Otwinowski) Stanisławowi Leszczyńskiemu i tym, którzy z nim trzymali a do owych czasów za granicą siedzieli, na trzy miesiące pozwolono: a jeżeli w tym czasie *a data* podpisu traktatu *ad Corpus Reipublicæ* nie po-

(1) Podajemy text łaciński z oryginalnego listu Karola XII:

„Nobilissime Chiliarche Urbanowicz, Litteras vestras die 8 Novembris praeteriti anni ad me datas, quibus Reipublicæ Poloniae tunc temporis Statum mihi retulistis, rite accepi. Quod vos res commodaque mea eo zelo quo antea ibi geritis nuperque intentionem meam veram pro salute Reipublicæ Poloniae Confæderationis Marschalco Generali Ledukowsky exposueritis, perceptum mihi gratiosissimum fuit, cujus intentionis, quum adhuc in ea persistem, omnia Confæderationis membra certiora reddatis, valde cupio, simul exoptans, ut in novis ex Polonia mihi mittendis continuetis, credatisque me vobis ad omnem propensionem benevolentiamque Regiam proclivem esse permanens. Vester Benevolus.

Carolus.

Londini Scaniae
d. 23 februarij 1717.

wrócą, tedy *executio poenarum in legibus expressarum*, na nich miała *extendi*. Dał był król Stanisław królowi Augustowi skrypt na siebie (już dawniej niż ten traktat agitowany był), że chce złożyć na ręce jego koronę, aby tylko był za to ukontentowany; ale gdy mu nic nie dano, posyłał kilka razy o wrócenie owęj assecuracyi, ale mu jęj wrócić nie chciano, tylko go tą amnestyą kontentować chciano. Wojewodę ruskiego Jabłonowskiego, Czarnkowskiego, Urbanowicza, których był król w areszt gwałtownie pobrał i w Saxonii więził, tymże traktatem król uwolnił, i więcej tych gwałtów nie czynić przyrzekł "rzeczy-pospolitęj" (str. 303).

Po rozwiązaniu konfederacyi, Urbanowicz, lubo amnestyą objęty, powrócił do Wrocławia, zkąd go Stanisław Leszczyński do Szwecyi wyprawił; Karol XII bowiem nie przestawał układać planów wojennych, w których przyjacielowi swojemu zawsze przeważną rolę zostawiał. Sprzykrzyło się tymczasem szlachetnym wygnańcom długie tułactwo i gorzki chleb wygnania!

„Moy Kochany M. Panie Krzysztofie (pisał do Urbanowicza król Stanisław 15 Octob. 1717 z Cwejbruka).

„Odżywiłeś mię swoim listem, bom rozumiał, żeś mię iuż zapomniał. Ubolewam nad twoią Sytuacyą; moia nie wiele lepsza; ieżeli iednak może w czym kolwiek ulżyć twoią *sortem*, przyiedz do mnie biedę razem klepać puki Pan Bóg nie da jakiej roboty. Będę to sobie *pro magno Solamine* twoią kompanią. *De cætero* w ustawicznych iestem przestrogach, iako Krol August *Attentat* na mnie. Miły Boże, nikt na to w Polsce nie sarknie. Bóg dobry uchowa mnie, że jeszcze Ciey będę mógł swiadczyć Jakom jest z serca Kochający Stanisław Król.”

15 Octob. Deux Ponts. 1717.

Monsieur le Colonel Urbanowicz, à rendre.

A królowa Leszczyńska tłumacząc się pułkownikowęj Urbanowiczowęj, że na kilka jęj listów responsu nie dała, pisze:

„Moja Kochana Mościa Pani Pułkownikowa.

„Nie miey to mi WMM Pani za złe iżem na kilka listuw, kturęś do mnie pisała, nie dała responsu; nie pochodzij to Bug widzij zadnego nie affectu bacząc się w tym iżem się powinna zawdzięczać statecznij zyczliwości ku nam Jego Mei WM. Pani, ale przyznaje iżem bijła przes te lata ścisniona tak wielkiemi

utrapieniami isz nie wiem iakem gadać nie zapomniała, a dopi-rosz odpisywać na listy; assekuruję zaś teras W MM Panią isz ile będę mogła mieć okazji sposobow swiadczyć W MM Pani we wszyskiem, to ukontentowanie naywiększe to sobie obieram, i temu proszę dać wiarę, tym konczę żem iest WM Pani z Serca życzliwa Katarzyna Królowa.”

W Deux Ponts 20 Julij roku 1718.

Spisek na osobę Leszczyńskiego, o którym król w liście swoim do Urbanowicza wspomina, uknuty został przez niejakiego Wawrzyńca *La Croix*, kapitana, rodem z Saxonii, który z 12 ludźmi zaufanemi przybył do Cwejbruku w zamiarze porwania króla Stanisława, jak niegdyś porwano i uwięziono królów Sobieskich. *La Croix* zwierzył się z zamiaru swojego pod przysięgą niejakiemu *Montauban*, szlachecowi zamieszkałemu w Cwejbruku, z którym łączyła go dawna znajomość, a który obiecał mu ułatwić wykonanie zamachu na wolność, a gdyby się to nie udało, i na życie królewskie. Dzień 15 sierpnia obrano na to, a miejsce schadzki dla spiskowych w lesie o milę od miasta, na drodze do klasztoru Graventhal, do którego król Stanisław tego dnia miał jechać, wedle zapewnienia pana de *Montauban*.

Montauban nie króla zdradzał, ale spiskowych, którzy mu zawierzyli; w wigilią dnia przeznaczonego na zamach, uwiadomił o nim Poniatowskiego, a ten króla Stanisława. Król nie chciał wierzyć w złość ludzką, i zaledwie zgodził się na wyprobowanie prawdy. W dniu oznaczonym, do karocy królewskiej siadł jeden z dworzan; sam król zaś, a z nim Poniatowski, Tarło, i inni panowie, konno jechali, a kompania gwardyi strzegła bezpieczeństwa ich zdaleka. Spiskowi lubo nie zebrałi się wszyscy, zaczęli strzelać do karocy królewskiej. Puszczono się w pogoń za nimi, schwytano i aresztowano kapitanów *La Croix* i *Duparque* rodem z Normandyi, wraz z lokajem Sasem *Konradem Graf*, którzy dostawieni zostali do Cwejbruku. Skazanych na śmierć kazał Stanisław przyprowadzić do siebie, i przełożywszy im łagodnie, że zbrodnia ich zasługiwała na utratę życia, darował im pod warunkiem, iż odtąd prowadzić się będą jak uczciwi ludzie. Co więcćj, kazał rozdać pomiędzy nich upominki na drogę, byle natychmiast kraj opuścili bezpowrotnie. Król August zaprzeczał przed światem

wszelkiego udziału w spisku; ale ministrowi jego Flemingowi pozostał wstyd i żal z nieudania się zamachu, który Stanisławowi Leszczyńskiemu dodał jeszcze urok wspaniałomyślności (1).

O wyprawie Urbanowicza do Szwecyi, wzmiankują dwa listy króla Stanisława do niego pisane; piérwszy z dnia 11 marca 1718 roku:

„Mój kochany Mości-Panie Krzysztofie.

„Odebrałem twój list z zwyczajnym ukontentowaniem, które miéy przynosi pamięć twoia. Do Króla IM Szwedzkiego rekomendacją, lubo Ciey nie potrzebną posyłam. Day Boże tylko żebyś szczęśliwie przejechał. O co się niezmiernie będę turbował. IMP. Starostę Bobruyskiego serdecznie ściskam, i dawną przyjaźnią *prosequor*. Day Boże jakąś koniunkturę, żeby nam obudwom była *favorabilis*. Mój kochany M. panie Krzysztofie, proszę cię nim wyiedziesz przejrzy że tam gdzie Cug koni dla mnie, tylko żeby rosły, gładki, młody i gruby, i z parę jeznych Polskich koni, *in quantum* byś miał ie gdzie upatrzeć, dayże miéy znać i wiele kosztować będą, i zostaw tę kommissyę IMP. Czarnkowskiemu żebym wiedział u kogo, bo bym umyślnie zaraz z pieniądzy po nie posłał. Adieu, niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi, a mnie da sposoby świadczyć iakom iest prawdziwie z serca kochający.”

11 Martij 1718.

Stanisław Król.

Drugi z dnia 25 czerwca tegoż roku:

„Mój serdecznie Kochany W. Panie Krzysztofie.

„Niewiem czy pływasz po morzu, czy ieszcze po bruku Wroclawskim krzeszesz; iakoż kolwiek bądź szukam cię wszędzie *cum tenerrimo meo amplexu; casu quo* żebyś się ieszcze zatrzymał, proszę daway że miéy znać, bo bym wyprawiał umyślnego, któryby z tobą iechał, proszę o iak najprędszą wiadomość, żebyś do mnie pisał puki na okręt nie wsiądziesz i ze Szwecyi żadney okazji nie opuszczał. Po konie wyprawiałem Gzowskiego umyślnie. Dziękuję za staranie, któreś w tym miał dla tego, który twój do zgonu z Serca kochający Stanisław Król.”

w Deux Ponts 1718 25 Junij.

A monsieur le Colonel Urbanowicz.

(1) Histoire de Stanislas I, Tom I, p. 156, 160. Parthenay, Histoire de Pologne sous le règne d'Auguste II, T. 3, p. 103, 104.

Wtém ginie od kuli obłożonych w Friderickshali Duńczyków, 11 grudnia 1718 r. Karol XII, największy przyjaciel i dobroczyńca Stanisława Leszczyńskiego. Cios ten okropny zasmucił podwójnie serce króla: żalobą po przyjacielu, i obawą o przyszłość swoją i rodziny. W tym smutku znowu udaje się król Stanisław do Urbanowicza i pisze:

„Mój Serdecznie Kochany WM. Panie Krzysztofie.

„Non exagerando nieszczęścia naszego pospolitego to tylko Ciej piszę, co mię odżywiło że żyjesz, a żyjąc nie dasz miéy umrzeć z głodu, ale będziesz się starał o co Coniuro żebyś był expedyowany do mnie iakoś był odemnie do Szwecyi wyprawiony, prosząc żeby mi wolę swoją we wszystkim doniesiono. Proszę i zaklinam na wszystkie przyjaźń, rób po swojemu, to jest po pociwemu, a przyjeżdżay do mnie pierwey nisz gdzie indziej, czekam Cię ze łzami Cię zaklinając zebyś był moim zawsze przyjacielem tak jak Ja twóy z Serca kochaiący Stanisław.”

w Bergsabem 25 Jan. 1719.

Opatrzność wszystkiém pokierowała na lepsze. Stanisław Leszczyński musiał wprawdzie opuścić Cwejbruk, ale król francuzki ofiarował mu schronienie w Wejssemburgu (w Alzacyi). Krzysztof Urbanowicz został już w roku 1719 generał-majorem wojsk królowej JMści szwedzkiej (Eleonory Ulryki, siostry Karola XII) i ciągle spełniał zlecenia króla Stanisława, i prowadził negocyacye jego to z dworem szwedzkim, to na sejmie warszawskim (1720—1722).

O tém znowu świadczą dwa listy króla Stanisława do Urbanowicza, jeden z dnia 10 stycznia 1720 r.

„Monsieur. Gdy byłem *in puncto* postania kogo do Warszawy na seym, nie znajduię nikogo w kim bym mógł mieć więcey poufałości jako w W Panu, który rozumiem na tamtym miejscu znajdujesz się. Nie chciey się W. M. Pan wzdrygać téj kommissyi, bo upewniam że ani u dworu, ani u nikogo w żadną nie podpadniesz suspicyę. Intencye moje są całemu światu iawne, że pokoju szukam oyczyźnie, co i Panuiącemu nad nią szczerze życzę *quae mens* na to *Conciuium* wiedzieć pragnę i jezelim nie wchodząc *in iudicium causae*, na iaką sobie u kogo zasłużyłem pamięć. Proszę tedy W. M. Pana, ponieważ sam pisać nie mogę nie wiedząc czy listy moje przyjęte będą. Żebyś Xcia Jmci Nominata Krakowskiego (1) o Oso-

(1) Ks. Felicjana Szaniawskiego.

bliwy moiej assekurował Osoby Jego aestimacyi, JMP. Kancelerza Koronnego (1) z powinnowacony przyjazni; Xcia Warmińskiego nie wygasły obligacyi (2) JMP. Miecznika Koronnego, naturalny Przyjaźni. JMMćiów PP. Hetmanów (3) należyty obserwancyi, i wszystkich których list ten *Complecti* nie może, zalecając interesa moiej pamięci ich, niech WM Panu ten list za *Creditive* służy, żeby każdy wierzył że nie chcę przez co inszego *mereri*, tylko przez to żem Polak, a każdego zatym z Polaków albo Brat, albo krewny, albo Przyjaciel, albo *Concivis*. Zgola chciey miey WMPan napisać *quo loco positus* jestem i upewnić, że nad wszystkie fortuny przekładam tę, którą bym mógł mieć *ex sola Cooperatione* Wspaniałego Narodu naszego przez ućciwe mię uspokojenie. W czym iezeli by miey chciano iakie Intenycy swoje donieść. Nie załuy WM Panu pracy, a bądź pewien że z Obligacyą i zawsze będę WM Panu z Serca życzliwym

Stanisław Król."

w Wejssemburku, Xma Jan. 1720.

Drugi z dnia 31 sierpnia 1722 roku.

„Mój Serdecznie Kochany MPanie Krzysztofie.

„Posyłam P. Buczyńskiego do Polski, żeby *tandem* wiedzieć iezeli jaki ze mną koniec *datur, referet desideria* moiej, sprawiedliwe snadne i nikomu nie szkodzące. Nie załuy że pracy i *activitatem* swiadczenia przyjazni swojej temu, który do zgonu twoy Serdecznie Kochający.

Stanisław Król."

31 Aug. 1722.

Monsieur Christophe Urbanowicz.

Za powrotem do kraju, po śmierci Karola XII, w latach 1720 i 1721, Urbanowicz jako generał szwedzki, a może i polski (bo go w niektórych listach tytułują generałem JKM) starał się o administracyą ekonomii mohilowskięj, w której mieszkał z tytułem kommissarza ze skarbu J. K. M: ale gdy tam juryzdykcyą swoję przez partykularny uniwersał swój ogłosił, i sądy w zamku mohilowskim rozpoczął, wpadł z tego powodu w silną kollizyą z Franciszkiem Maxymilianem Ossolińskim pod-

(1) Jana Szembeka.

(2) Ks. Teodora Połockiego, późniejszego prymasa.

(3) Hetmanem W. koronnym był *Adam Sieniawski*, litewskim *Ludwik Pociąg*, hetmanem polnym koronnym *Stanisław Rzewuski*, litewskim *Stanisław Denhof*.

skar bim nadwornym (później wielkim) W. X. Litewskiego, i zdaje się że ustąpić musiał. Zresztą nie wiodło mu się po jego myśli w Polsce; nie dopisała mu protekcyja jednego z tych panów, na usługi których się poświęcał, a do którego Urbanowicz pisał 8 Febr. 1725 r. z Rygi.

„Monseigneur. Wszyscy którzy nas znali, zawsze rozumieli, że przy szczęściu WMP i ja nie mogłem być nieszczęśliwym. Rozumiejąc i ja sam to samo, zawszem się szczerem sercem cieszył z wszelkiego szczęścia WMP. i życzył jak największego; ale kiedy widzę *tandem*, że *sorti meae* albo też nielasce WMP. tak się podobało, że i najmniejszej rzeczy nie mogłem przez promocyą jego profitować w lasce Jego Królewskiej Mości Pana Miłościwego, z przyjaźni z młodości wieku mego zabranej, w którąm tak bardzo przez życie moje ufał; musiałem na ostatek za granicą szukać sobie ratunku i służby, którą przy łasce Bożej znalazłszy u Najjaśniejszego Imperatora I. Mości Ruskiego, (Piotra W. który umarł właśnie tego samego dnia, w którym Urbanowicz list pisał) tym z większą ochotą acceptowałem, iż ten Monarcha jest dawno zkolligowany z Królem JM. i Rzeczpospolitą. Nie staje mi tedy nic więcej teraz już, tylko podziękować za tak piękną dotychczas powierchowną przyjaźń WMPana, i wszelkie Obietnice, które wiadome mu są od powrotu mego do Polski ze Szwecyi; a z tym kończę żem jest z winnym respektem. WMPana Życzliwym Bratem i Sługą uniżonym.

Krzysztof Urbanowicz G. M.”

P. S. Dwa tysiące tyńfów, którem wziął w Wilnie od IMPana żeby mię nie winiły o niewdzięczność, przypominam że i ja tylko widząc w Szwecyi IMPana obligacyą ręką pisaną na 700 tallerów, zapłaciłem, i przywiozłszy IM. Panu do Warszawy, w oczach jego zdarłem; *fundamento* łaski jego, że mi będziesz sowitościami przez promocyą recompensował, czego przez lat pięć w nadziei czekawszy trudno było in *Adversa fortuna* zostającemu dalej cierpieć.

Na tym liście (bez adresu i koperty) zanotowała obca ręka „list J. P. Krzysztofa Urbanowicza pisany do Konfidenta pewnego”. Ten pan, któremu Urbanowicz wymawiał zbyt małą troskliwość o jego wyniesienie, był może Poniatowski, lub który z Sapieliów, których domu Urbanowicz trzymał się zawsze,

a którzy w tym czasie kilka krzesel i dygnitarstw otrzymali. Jakkolwiek bądź, stosunków z nimi nie zerwał; świadczą o tém korespondencye do roku 1731 prowadzone, tak z *Janem Sapietą*, starostą bobrujskim, który przez miesiące kilka był hetmanem wojsk litewskich z łaski króla Stanisława, aż do kłeski pultawskiej; jak z bratem rodzonym Jana, *Jerzym Sapietą*, starostą wilkowskim (a późniejszym wojewodą smoleńskim), i synem starosty bobrujskiego *Piotrem Sapietą* starostą zdzitowskim..

Gdy w roku 1725 na głowę Maryi Leszczyńskiej Ludwik XV miał włożyć koronę francuzką, szczęśliwy ojciec doniósł o tém natychmiast Urbanowiczowi, już generałowi wojsk rosyjskich, a któremu prowadzenie interesów swoich w Petersburgu polecał. Do téj epoki odnoszą się następne dwa listy króla Stanisława. Pierwszy z dnia 25 maja 1725 r.

„Moy Kochany M. Panie Krzysztofie!

„Odebrałem list WMP. *de 11 Apr.* z Rygi. Wyrazić nie mogę z jakim ukontentowaniem, naprzód żeś iest w takiej sytuacji, iakiś godzien ze wszystkich miar, druga że w kazdy okazy daiesz miey dowod nieodmiennego affektu swojego. Znasz moie serce, bądź że pewien należyty wdzięczności moiey, nie mogło mie nie pożądansego potkać jako to że iestes w tej służbie, i na tym mieyscu gdzie możesz zadosyc uczynić passyi, którą masz swiadczyć mie swoy affekt. Nie może bydz do tego lepsza okazy iako teraz przy terazniejszych koniunkturach i poselstwo do Petersburka poczciwego Cederhielma, który dobrze *instructus* w moich interesach, chciey że się z nim znosić i kontynuować korespondencyą X^{cia} IM^{ci} Mężykowi proszę klaniay i zalecay interesa moie. *De caetero* niech że Ciey Bog szczęści jakoś tego godzien i iako ia Serdecznie życzę. Wiem że tam do Was ogłosy zasły o przyszłym da Bog postanowieniu moiey Corki. O czym *fusius* wkrótce doniosę ciey Cyframi, któreś miey przysłał. Odebrałem także i drugi twoy list adressowany przez Wrocław. Proszę o iak nyczęstszą korespondencyą i wiadomość de successu negociacyi P. Cederhielma w interesach moich, według czego będe Ciey dawał informacye dalsze, a teraz sciskam i jestem z serca kochający Stanisław Król”.

27 Maj 1725 z Weyssenburku.

„Listy których potrzebuiesz do X^{cia} Holstyńskiego X^{cia} Męzka, IMP. Ostermana przed kilką niedziel pisałem pod adresem IMP. Basswica.”

Drugi z dnia 5 maja 1726 r.

„Moy Kochany M. P. Krystofie.

„Odebrałem iakiem tu iest dwa listy od ciebie, Ja zaś drugi piszę, nie mogąc się nasycić z ukontentowania, że na kazdym mieyscu o mnie pamiętasz, i że *secundum Opportunitatem rerum* nie zapominasz, *Capacitatem et notitiam* interesów moich. Zaczym *ductu* doswiadczonego affektu, czyn co umiesz i możesz. IMP. Starostę Bobrujskiego ściśni odemnie. Winszuję *ie ad vota* swoje intencye przyprowadził. Proszę pisuy iak nayczęściey, wszak masz Cyfry. Jeżeli iako się spodziewam Liga Moskieska stanęła z Cesarzem mam nadzieję że się tworzy *Campus* do ścisleyszy kointelligencyi Moskwy z Francją et *inde salus*, sciskam i iestem nigdy nieodmiennie Twoy z serca Kochający Stanisław Król”.

W Chamber. 5te Majj 1726.

*A Monsieur Monsieur Krystof Urbanowicz
Général des armées de La Russie à Pétersbourg.*

Mniej szczęśliwie szła ta negocyacya, ale położenie generała Urbanowicza u dworu musiało być dobre, gdyż miał sposobność przysłużenia się znakomicie królewiczowi Jakóbowi Sobieskiemu, jak sądzić można z listu dziękczynnego tego księcia z 3 stycznia 1729 roku.

„Jaśnie Wielmożny Mości Panie Generale.

Cum summo Animi sensu przyjąłem dowody Affektu W M. P. y oraz starania około interessów moich, to mię tylko konfunduie że ieszcze *immerito* tyle raczysz swiadczyć, mam iednak nadzieję że mi się trafi okazyja y onie się będę usilnie starał abym mógł W MM P. samym skutkiem *Contestari* iakom jest prawdziwie et *indesinenter* z niewygastą wdzięcznością i veneratią Waszey Excelencyey szczerze z Serca życzliwy i nayobligowańszy Sługa.

Jakob Ludwik Królewicz. P.”

W Olawie 3tia Januarij 1729.

Ostatni list króla Stanisława do generała Urbanowicza w zbiorze uprzejmie nam udzielonym, datowany jest z Chambord, w kwietniu 1730 r.

„Mój Kochany M Panie Krzysztofie!

Wiedząc o bytności W M. Pana na Stolicy, zażywam téj Okazyi, na wynurzenie Serca mego, które *exultat* z wiadomości wyniesienia na Tron Przodków swoich Cesarzowej JMci teraz Szczęśliwie Panujący, z ktorey Przeswietnym Domem, tak bliską przez Dom Jch Mciow Panow Potockich mając kolligacją (1), radbym zeby wiedziała jakim affektem z tey obligacyi interesując się, do wszelkich tej Pani *prosperitates*, téż Obligacją *feror* y ku JMP. Soltykowi którego reputacya *excitat desiderium* we mnie do pozyskania przyjaźni jego, żeby przez niego Cesarzowa JMC. mogła być pewna że wszelkich okazyi szukać będę, abym mógł dać dowody przywiązania mego do Osoby iay, spodziewając się że *per ministerium* WMP. ta szczerza intencya moja będzie dobrze przyjęta, w czym czekać będę *impatientissime* wiadomości; a teraz jestem nigdy nie odmiennie WM Panu z Serca Życzliwy.

Stanisław Król.”

A Chambor le 25 d'Avril 1730.

Próżne były te zabiegi, jak okazuje oblężenie Gdańska przez wojsko rossyjskie w roku 1733, kiedy Stanisław Leszczyński powtórnie obrany królem polskim po śmierci Augusta II, schronił się był do tego miasta, i zaledwie zdołał wydobyć się z niego, ratując się ucieczką do Francyi.

Dalsze losy generała Urbanowicza nie są nam wiadome. Utonął podobno w Newie. Wdowa po nim Anna Wollowiczówna wyszła powtórny ślubem za *Ukolskiego* podkomorzego trockiego, a gdy bezpotomnie zesła, successya po niej spadła na rodzoną siostrę Teodorę z Wollowiczów Zawiszyńc, żonę Jerzego Zawiszy chorążego mińskiego, właściciela dóbr Kuchcice. Takim sposobem w archiwum tych dóbr przechowały się do dzisiejszego czasu papiery Krzysztofa Urbanowicza.

Może znajdzie się w nich więcej jeszcze szczegółów do biografii człowieka z dzielnym charakterem i niepospolitą głową, którego znakomicie zaleca sądowi potomności, stateczna przyjaźń i szacunek cnotliwego króla Stanisława Leszczyńskiego.

(1) Paweł Potocki kasztelan kamieniecki, druga żonę miał Eleonorę Soltykową, z której bratanki rodziła się cesarzowa Anna Iwanowna.

JERMOŁA.

OBRAZKI WIEJSKIE

PRZEZ

J. I. Kruszewskiego.

(Dokończenie).

Odmalowaliśmy już troskliwie to życie biednych ludzi, i najważniejsze w niem wypadki, jakimi były: zmiany w pracy, ukazanie się nowych postaci, maluczkie polepszenie bytu. Dni ich płynęły tak jednostajnie, ale szczęśliwie: przynajmniej Radionek nie pojmował nic lepszego nad to, co miał. Ojciec go kochał i dogadzał mu, wiodło się im, było się czem zabawić, a przyszłość się uśmiechała.

Niekiedy tylko zamysłone chłopię siadało w progu i osmutniałe patrzyło kędyś na wody Horynia, na lasy i pola, płacąc chwilą tęsknoty dług nieodgadnionym pragnieniom, palącym człowieka całe życie. Naówczas przychodziły mu na pamięć szczegóły opowiadane przez ojca tylokrotnie o znalezieniu go pod dębami, o tajemniczym jego pochodzeniu, o dziwnym przeznaczeniu, które go nie wiedzieć zkąd rzuciło w objęcia poczciwego starca. Nie pojmował dlaczego się wyrzeczono, czemu o nim zapomniano; coś mu mówiło, że się ktoś o niego upomni: niekiedy przysłuchiwał się ciszy, jakby w niej tętniło już przybycie oczekiwanych, strasznych, nieznanomych gości.

Różnie mu malowała wyobraźnia nieznanomych rodziców; ale wspomniawszy poczciwego starego Jermołę, rozstanie się

z nim, osamotnienie któreby go zabiło: Radionek płacząc postanawiał nigdy go nie porzucić. Jak w każdym, budziła się i w nim chętka nowych losów; ale czuł, że powierzchownie zyskując na nich, musiałby coś ze szczęścia prawdziwego utracić. Gdzieżby mu lepiej być mogło? gdzie swobodniej? Pracował ile chciał, zmieniał zajęcie, a nigdy stary nie ofuknął się nawet na niego; prawda, że zrazu tak go wychował, by dobrém słowem prowadzić, i groza była dlań środkiem niepotrzebnym. Starzec trochę się dziecił dla Radionka, dziecię usiłowało dźwignąć się do jęgo dojrzałości: dzielili się latami jak wszystkiemi.

Wśród tego błogiego spokoju, w którym powoli zapominano o mogącej zagrażać zmianie, dni sobie płynęły nie zmęczone niczém, gdy jednego wieczora Chwedko powracający z Małyczek mimo staréj karczmy, bo na drodze, którą zwykle jeżdżono, mostek się był popsuł i musiano go tędy objeżdżać, wstąpił fajkę zapalić do Jermoły. Dereszowata nieprzywykła do téj objażdżki niechętnie wprawdzie stanęła, czując już chać blisko, ale się jakoś dała zatrzymać.

Stary garnarcz i Radionek siedzieli na progu: ten paląc lulkę, ów rozpowiadając o swoich na przyszłość zamiarach i głośno sobie rojąc, gdy Chwedko zszedł z wozu i pozdrowił ich zwykłem:

- Sława Bohu!
- Na wieki! A zkądżeto jedziecie?
- Z Małyczek.
- Samiście byli?
- Wozilem kartosle sprzedane Mikicie.
- Co tam słyhać?
- O! o! bardzo słyhać—odparł Chwedko przysiadając na kłódce—jest nowego dużo... Rotmister umarł.
- Umarł stary!—podchwycił Chwedko—o ba! wieczne odpocznienie nieborakowi, bo téż się namęczył....
- Ale i drugim z nim nie było słodko.
- Umarł! ha!—począł rozprawić Jermoła—patrzajcie! czas! czas! na starych wołają!... Żeby się i o nas nie upomnieli rychło.
- Chory był—dodał Chwedko—i tak nie wiem jak się to tyle lat trzymało.... We dworze teraz sądny dzień.
- A syn?

— Wszyscy: i syn i ludzie, co ich namęczył stary Rotmister, jak bobry po nim płaczą... Gromada cała w dziedzińcu, lament taki aż strach...

— A! każdemu skończyć potrzeba!— westchnął Jermoła.

— Tać zapewne—ciągnął dalej Chwedko—ale Bogiem a prawdą, Rotmister ciężki był dla swoich. Taki był chory, niedołęga, kaleka, a kluczów i gospodarstwa do śmierci nie puścił, ani synowi, ani tój krewniacze nie wierząc. Syn postarzał na służbie, własnej doli nie skosztowawszy: żenić mu się nie dał, odstąpić nie pozwalał. Sieroty tój także nie uwolnił, i wiedząc że oni się z sobą kochali na kupie ich trzymał, a żenić się pod karą zabronił!

— No! to się teraz pobiorą!—rzekł Jermoła.

— A to wy nie wiecie? Oni się już kiedyś dawno bardzo pobrali, tylko staremu to było tajno i wszystkim we dworze, wyjąwszy jedną klucznicy... Sam ksiądz proboszcz im ślub dawał, byli i świadkowie, ale cóż z tego, kiedy żyć z sobą nie mogli, bo ich dzień i noc Rotmister tak trzymał z kolei przy sobie, że albo jedno, albo drugie wciąż przy nim być musiało. Jeszcze takie tam było zaprowadzenie we dworze, że i ekonomowie i słudzy musieli na panicza donosić jakby co zobaczyli, bo inaczej wszystkich bizunował i rozpedzał, a synowi za to małżeństwo, że śmiał o niem pomyśleć, aż przeklonem był pogroził.

— Ciężki był stary, to prawda—odezwał się Jermoła—ale miał i on swoje dobre.... A zresztą tóż ciężko i on cierpiał, że czasem po całych nocach krzyczał jednym głosem: „Miłościwy Boże! weź mnie z tego świata!” Dla cudzych znowu taki był słodki jak baranek: ja sam mu winienem, że Prokopowi nakazał mnie garncarki wyuczyć; a co bywało nagada się ze mną, co naśmieje.... A! bo to był stary przyjaciel mojego pana.

Starzy długo tak jeszcze rozprawiali o Rotmistrzu, najdrobniejsze szczegóły jego życia opowiadając sobie z kolei, a w ogólności jak zawsze żałując zmarłego: bo każdy odchodzący z tego świata choć trochę żalu po sobie zostawić musi. Jeszcze tak rozprawiali, gdy tętent dał się słyszeć od strony Małyczek, a po turkocie poznali wszyscy, że to nie prosty wóz jechał.

— Pewnie Hudny zkąd powraca: schowajmy się do chaty!—rzekł Jermoła—lepiej się mu na oczy nie nawijać.

— Oj nie!—odpowiedział Chwedko—to coś obcego je-dzie: turkot jakby krytej bryczki. Ktoś widać zabłądził.

Z ciekawością poczęli zaglądać w stronę poza dębami, któredy wiodła drożyna, i wkrótce ukazała się w istocie parokonna bryczka, żywym klusem posuwająca się ku wsi.

— Ktoby to być mógł?—szeptał Jermoła.

— Konie Rotmistra... To z Małycezek panicz i jego żona: ja ich znam. le co Aoni tu robią?

Radonek wyrzwał także ciekawie.

Powóz zbliżał się prędko, i zamiast minąć starą karczmę, pod którą wszyscy stali przypatrując mu się, zatrzymał się nagle.

Trzydziesto - kilkoletni mężczyzna i młoda jeszcze kobieta razem prawie wyskoczyli z powozu i podbiegli ku Jermole, ale o krok od niego stanąwszy, mowy im zabrakło, tchu nawet: krzyk jakiś tylko, płacz i łkanie dały się słyszeć. Kobięta rzuciła się na Radionka, mężczyzna także za nią posunął się ku chłopcu, który cofał się przestraszony.

Jermoła już się był domyślił wszystkiego: pobladł, posłonił i przysięść musiał, tak uczuł się osłabionym i przełękłym: wybiła dlań straszna godzina, której samą myśl odpychał.

— Mój syn! dziecko moje!—wołała pani.

— Maryo, na Boga... mówmy wprzód z niemi..

Radonek błyszczącemi oczyma spojrział na matkę i przytu-lił się do Jermoly, jakby w nim szukał wsparcia i opieki.

— A! on mnie nie zna!—z boleścią zawołała kobięta—nie zna i znać mnie nie może: odpycha, ucieka... Inaczéj być nie mogło! Lepiej się było wyrzec wszystkiego, przekleństwo spro-wadzić na głowę, a nie opuszczać dziecięcia: straciliśmy je, stracili!

I łamała biedna ręce.

— Maryo! uspokój się na Boga—prosił młody człowiek.

Jermoła wśród tego zamętu miał czas oprzytomnieć tro-chę: twarz jego przybrała wyraz poważny i smutny.

— To dziecię — odezwał się do niego ojciec wzruszonym i przerywanym głosem,—dziecię, które znalazłeś pod dębami przed dwunastą laty... jest synem naszym. Unikając przekleń-stwa, którém nam groził ojciec, szpiegostwa ludzi, którzyby nas przed nim oskarżyli, gdyby się mogli domyśleć potajemnego małżeństwa, musieliśmy się wyrzec go i porzucić na czas... za-

pomnieć o niém... Ksiądz, który nam ślub dawał i chrzcil to dziecko, poświadczy; człowiek, który je tu przywiózł...

— Mógł to być syn wasz—odparł powoli starzec, któremu sił przybywało w chwili stanowczej—ale dziś to jest tylko dziecko moje. Widzicie, że nie zna matki, że przed ojcem tuli się do mnie: jam go wychował, chleb sobie od ust odejmując, pracą mojej starości... Nikt mi go odebrać nie może... Radionek mnie nie opuści.

Kobieta słuchając zachodziła się od płaczu; Jan podtrzymywał ją płonąca na twarzy najrozmaitszemi uczuciami.

— Na Boga!—zawołał—dobrą wolą czy nie, musisz nam oddać to dziecko, na którego uścisk czekaliśmy lat tyle.

— Gdybym je oddał, dziecko to nie poszłoby za wami: ono was nie zna—odparł Jermola—ono nie opuści starca, który je przysposobił.

Radionek stał zbladły i pomieszany. Matka wyciągała ku niemu ręce, oczy jęj mówiły do niego, usta go wołały, tajemna siła przywiązania macierzyńskiego ciągnęła: lzy poczęły mu zwilżać źrenice.

— Wszystko, co chcesz za naszego syna!—zawołał Jan.

— A czegoż ja od was chcieć mogę—oburzył się stary Jermola—możecież mi dać, coby zapłaciło za moje ukochane dziecko? Nic od was nie potrzebuje, tylko mi umrzeć przy niem dozwólcie spokojnie.

To mówiąc, stary się rozplakał, nogi się pod nim zatrzęsły: szukał ściany, aby się o nią oprzeć. Radionek go podtrzymywał i posadził na progu, a Jermola uściskał dziecko i pocałował w głowę. Kobieta łamała ręce rozpaczając, uczucie jęj wzmagало się: poskoczyła wreszcie jak lwica do chłopca i objęła go nagle w macierzyńskie ramiona.

— Tyś mój!—zawołała zanosząc się od płaczu—tyś mój.

A i Radionek już się z jęj objeć nie wrywał: piérwszy to w życiu był dla niego uścisk matki, tak upragniony, tak słodki i uspakajający. Drżący ojciec przystąpił za nią i przytulił się także do dziecka, i począł je całować ze łzami.

Jermola patrzył na to okiem rozplakaném, to błyszczącym od zazdrości: jedna chwila, jedno słowo wyrwać mu miało skarb jego.

— Dość było szczęścia—rzekł—Bóg mi je odbiera... Trzeba je oddać, los mi je tylko pożyczył... A! niedługo téż życia może...

— Panie—odezwał się głosem pełnym wzruszenia i jęku—widzicie, ja was teraz proszę. Jam stary, mnie żyć już nie długo: zostawcie mi dziecko moje... do śmierci tylko! Ja umrę prędko! jam bardzo stary: weźmiecie je potem od mojej trumny... Jakże ja żyć bez niego potrafię! Nie róbcie mnie nieszczęśliwego sierotą na ostatek dni moich, nie trujcie mi ich za to, zém dziecko wasze przytulił i wychował!...

— My cię weźmiemy razem z dziećciem—zawołał Jan—jedź z nim: my dla ciebie mamy wyższe nad wyraz wszelki obowiązki wdzięczności...

Stary począł płakać, a na głos łkania jego Radionek powrócił do Jermoly, przykląkł przed nim i głowę złożył na kolanach.

— Ojczel! ojczel!—zawołał—nie płaczcie proszę; ja nigdzie i nigdy od was nie pójdę. Nie ruszym się ze starój chaty naszej, zostaniemy tutaj, mnie z tobą było tak dobrze... Ja nic nie chcę więcej.

Na widok tego odstępstwa, matka znowu płakać i słabnąć zaczęła; ludzie, którzy się zbiegli przypatrywać tój scenie, kozacycha, Chwedko, Huluk, płakali także łzami niewytlumaczonymi, które lud ma nawet dla cierpień i niedoli, jakich nie pojmuje: dosyć mu widzieć płaczących, by się rozrzewnił.

Nareszcie ojciec się otrząsł z chwilowego osłupienia, westchnął i począł coś na ucho szeptać żonie.

— Chcecie czy nie chcecie—odezwał się surowiej—dziecko to oddać nam będziecie musieli: mamy świadków i dowody że jest nasze. Możecie żądać za nie co się wam podoba...

Jermola dzwignął się nagle na nogi.

— Dziecko was nie zna—rzekł—odbierzcie mi je siłą, ja go dobrowolnie nie oddam: to nie jest dziecię wasze. Na świadków postawię świadków: to nie pański syn, to wieśniak, rzemieślnik... sierota... Zawołajcie go, choć nie wiecie nawet jakim pozwać go imieniem, a głosu waszego nie usłucha...

— Ale ten stary szaleje—zawołał pan Jan, w którym kipiało—no! to udamy się do innych środków: użyjemy jakie są w naszej mocy... Chcesz-że pozbawić dziecko lepszego losu i swobodniejszej doli, jaka u nas je czeka?

— Jakięj doli? — odparł śmiało dworak—jakiego losu? Spytajcie go, czy mu tu u mnie źle było, czy mu czego brakło, czy pragnie więcej? Znamci ja życie wasze i szczę-

ście, które mieszka po dworach, bom się ich napatrzył.... Nie klóćcie mi spokoju, nie trujcie mi starości, nie odbierajcie mi dziecka!

Matka zbliżyła się drżąca i ujęła go za rękę.

— Bracie, ojcze—zawołała—ja pojmuję boleść twoją, ja wiem co tracisz z dziećciem; ale jam po niém lat dwanaście gorzkie łyzy połykała: ale maszże ty serce nieszczęśliwej matce odbierać skarb jój jedyny!... Byłżebyś tak okrutny, żebyś nas do niewdzięczności zmuszał? Nie: ty pójdiesz z nami, będziesz patrzył na swe dziecię i podzielił szczęście nasze.

Mowa matki lepiej trafiła do serca Jermoły, który się powoli opamiętał, otarł łyzy i odpowiedział pocichu:

— A! spełniła się ta chwila, której dożyć nie chciałem; widziałem ją codzień we snach przez lat kilkanaście, bałem się każdego obcego, sądząc, że przychodzi dziecię moje odbierać odemnie.... Drżałem, prosiłem Boga, żeby mi wprzódy dał umrzeć: przedłużył wieku, niech przyjmie tę godzinę jako ofiarę za grzechy....

W czasie téj rozmowy, Radonek stał pomieszany nie wiedząc co począć, i poglądał to na starego, to na nowych swoich rodziców. Na twarzy ojca jego widać było niecierpliwość, rozczulenie i jakby urazę; w oczach matki tylko niepokój i litość. Jermoła opadł na siłach i ze spuszczoną głową siedział przybity.

Rozmowa przerwana ostygła, i powoli weszła na ton powszedni, spokojny. Znać było, że Drużyna chciał zaraz zabrać syna i z nim odjechać, i nie wiedział jak sobie począć: noc stała się coraz ciemniejszą. Jermoła się już nie sprzeciwiał niczemu, milczał, a niekiedy wzrokiem tylko badał swe dziecię.

— Jedźmy — rzekł nareszcie pan Jan pocichu do żony — jutro po niego powrócim.

— A dziecię.....

Radonek dosłyszał tych słów i przełknięszy przytulił się do starego piastuna. Jermoła z wdzięcznością przycisnął go do piersi.

— Tyś dobre dziecko—rzekł—ty mnie nie opuścisz, nie porzucisz, nie zapomnisz o starym ojcu. Wiész, że jabym umarł bez ciebie; oczy mi zamknąwszy rób co zechcesz, a błogosławieństwo Boże niech z tobą będzie na wieki.

W milczeniu patrząc na ten obraz Drużyna pociągnął, a raczej oderwał gwałtem żonę od niego, i przemocą niemal uwiózł ją nazad do domu. Chwedko pojechał na wieś niosąc z sobą ciekawą nowinę.

W starej karczmie nie się na oko nie zmieniło po odjeździe Drużynów, ale już szczęście i spokój wczorajszy nie powróciły pod złamaną strzechę. Jermoła nieruchomy, przybity siedział w progu; Radionek płakał, to zamyślał się gorączkowo. Szeptali do siebie i ranek ich zastał na progu uspionych, przytulonych jakby się obawiali, aby ich nie rozerwano.

Biały dzień otwierając im oczy swą siłą powołującą do życia i uśmierzającą boleści, przypomniał im wypadki wczorajsze, ale zimniej im je przedstawił, inne obudził w nich uczucia: przyszła rozważa, obawy, nadzieje i cały szereg uczuć różnych, które idą za każdym wypadkiem i myślą, jak najemni słudzy za pogrzebem. Wszystko się to stręczyło, narzucało, popychało i cisnęło znowu odepchnięte.

Ani stary, ani Radionek nie miał już do niczego ochoty; bieg zwykły ich życia był przerwany, nie wiedzieli co począć z sobą. Dziecku przewijały się po głowie to obrazy jakiejś nieznamomiej a świecącej przyszłości, to żale po dniach wczorajszych, niepowrotnych a tak szczęśliwych!

Przypomniał sobie rysy matki widziane przez mrok wieczora, drugiego ojca swego: i serce to go ku nim pociągało, to odpychało uczuciem obawy. Będzie mu tam lepiej czy gorzej? A w każdym razie inne zupełne życie rozpocząć potrzeba, opuścić kątek cichy, wniść między nieznamomych ludzi, zaprzecić się wczorajszego i rozbratać z tém, co się kochało.

Jermoła dumał także, a dzień przyniósł mu myśli nowe; poszedł wedle zwyczaju do kozaczychy, bo nie miał się przed kim wygadać.

— Coście wy oszaleli?—zawołała baba widząc go—a to dnia wczorajszego takeście się upierali przy dziecku, jakbyście mu mieli Bóg wie jaki los do dania! To przecież panowie, to dola! A cóż wam złego pójść do dworu z Radionkiem i żyć sobie spokojnie, patrząc na jego szczęście?

— Tak! alboto ja tam dla niego tém będę, czém tu byłem? Ojcem nie będę! sługą zostanę! Powoli odbiorą mi jego serce,

zbałamuca chłopca, popsują. Znamci ja to ich życie! Trochę lepsza strawa, trochę ciensze odzienie, trochę delikatniejsza mowa: ale czy im z tём lepiej? Panu Bogu wiedziéć, nam nie sądzić. Spytaj się ich, czy nie płaczą pocichu, czy czarne godziny pod ich dach nie zachodzą? czy takie tam złote szczęście, jak nam się zdaje zdaleka?

— Takito wy bałamucicie z tego wielkiego żalu — zawołała kozaczycha niecierpliwiej coraz ruszając ramionami — jużciż co ich życie, to nie nasze..... Jakby to nasze lepsze było, wszyscyby się do niego cisnęli; a taki z panów, po dobrej woli niebardzo kto się do nas przebierze, a z nas każdyby chciał ich chleba skosztować! Co prawda, to prawda!

Jermoła się zamyślił.

— Moja kumo — rzekł — jak przyjdzie umierać, podobnoć to wszystko jedno, czy po razowym, czy po sitnym chlebie: wszystko to jedno, jak człowiek przeżył dolę swoją, byle z czystym sumieniem i rękami poszedł do Boga. A czy mojemu chłopcu, bo taki on mój, lepiej będzie tam, czyby lepiej było w starój karczmie garnkarzem, o! to wielkie pytanie!

— Aleć go taki oddać musicie, na to nie ma sposobu!

— Jużciż mu iść nie zabronię, ale niech sobie między nami wybiera, bo ja, to gdzieś żył, chcę i umierać: kości położę na naszym cmentarzu..... Kosztowałem dworskiego chleba, nie pójdę już na ostatki lat wyciągać ręki i kłaniać się młokosom, coby ze mnie szydziłi..... Zostanę w Popielni, a Radionek jak sobie chce, niech idzie panować w Małyckach.

— A jakże się bez niego obejdziecie, stary biédaku?

— A wy - to jak się obchodzicie bez waszój Horpyny, bez wnucząt? Chyba je czasem widujecie pokryjomu.

— A! to prawda! — westchnęła kozaczycha — ciężka dola nasza dzieci hodować, żeby potóm — fru! wyleciały z gniazda, a samym siedziéć z połamanymi skrzydłami i tylko patrzéć za niemi!

— Czy to długo — dodał smutnie Jermoła — dni-to policzone: jeszcze jeden i drugi, zastuka śmierć do okienka, zamkną się oczy i — po wszystkiém..... Tylko rachunek z Panem Bogiem.

— A! smutno kumie gadacie!

— Bo, i w duszy niewesoło!

Gdy tu taka narada w domu kozaczychy, Radionek już się do niczego wziąć nie mogąc, siadł w progu i дума sobie: to go za serce nieznamy świat ciągnie, to stary Jermoła przytrzymuje.

Rodzice! matka rodzona! wielkieto słowa i potęga ich wielka nad sercem sierocém: bo nic nie zastąpi matki, nikt nie zastąpi ojca.

Uśmiecha mu się państwo, dwór; ale nie mając pojęcia życia innego nad te, które prowadził, wcale nie wie co go tam czekać może: ciekawość tylko gorąca, uroczu maluje nieznanne. To znowu gdy wspomni, jak staruszkowi samemu ciężko będzie zostać, ile on uczynił dla niego, jak go kochał: nie wie, czy nawet miłość macierzyńska téj od Boga danej wyrówna. Kiedy tak myśli, wczorajsza bryczka zaturkotała znowu, Radionek chciał się schować i nie miał siły: matka go ujrzała zdaleka, skinęła ręką i została. Rodzice pieszczą go i płaczą.

— Wszak prawda, że pojedziesz z nami?—zawołała Marya wpatrując się w dorodnego chłopaka, na którym przykro jej, że dotąd cięży siermięga, proste odzienie wieśniacze.

— Zobaczysz — szepcze — jak ci tam z nami będzie dobrze: przecierpiałeś, ale to się zapomni.

— Alem ja nie cierpiał—odparł Radionek ośmielony—ja nigdy zapomnieć nie chcę starego bat'ka! Jego mi tak żal, tak żal!

— Ojciec twój, to ja—rzekł z żalem i wymówką pan Jan—nazywaj go jak chcesz, ale nie kradnij mi mojego imienia.....

— O! on mi był długo ojcem, i będzie nim do śmierci..... On mnie tak kochał!

— A my! ty nie wiesz ile nas łez kosztujesz?

— Jam ich nie widział.... Wierzę, ale stary płakał także i nieraz, a ja na łzy jego patrzałem.

— Starego weźmiemy z sobą.

— On nie pójdzie!—szepnął Radionek.

Jakby przeczuciem wiedziony nadszedł Jermoła, który ujrawszy bryczkę pospieszył co mu tchu stało i przybiegł zadyszany, przelękły o dziecko. Drużynowie przywitali go uprzejmie, ale chłodno: on ich obojętnie.

— Dziś już—rzekł stanowczo pan Jan—puścisz z nami chłopca. Tęskno nam bez niego: potrzeba żeby był na pogrzebie dziada.

— Niech robi co chce — odparł stary — niech jedzie, ja mu nie bronię: ja go już nie wstrzymuję.

— Pojedziesz? pojedziesz — zawołała matka rzucając się ku niemu.

Chłopiec zawahał się i rozplakał.

— Nie, nie mogę, od was ojczy nie mogę!

— Powrócisz gdy zechcesz — dodał pan Jan usiłując ton przybrać łagodny — my ci bronąć nie będziemy.

Nastąpiła chwila milczenia, a dziecko zwracało się niespokojnie to do starca zamyślnego i smutnego, to do matki, która oczyma błagać go się zdawała, żeby nie odmawiał.

— Róbcież ze mną co chcecie — rzekł wreszcie Radionek — ja sam nie wiem co począć; tracę głowę..... ciężko mi i smutno..... A! i tubym chciał zostać, i was nie rzucać..... Zostańcie lepiej z nami.

Pół dnia prawie trwały przerywane namowy, targi, obietnice, pokusy, i bryczka wreszcie odjeżdżając z przed stariej gospody, uwiozła z sobą płaczącego i ręce do Jermoly wyciągającego Radionka, który nazajutrz obiecał powrócić.

Kto na sercu ludzkim buduje, głęboko się w nie wkopać musi, by dom jego nie osiadł i nie rozpadł się pozbawiony podstawy. Głęb serca to mielizna i trzęsawisko, które tężeje chwilami, ale je tysiąc strumieni utajonych nurtuje i rozmywa. Są jednak serca wybrane, ukute z innego jakiegoś materiału, na których raz wyciśnione piętno pozostaje nazawsze. Stary Jermola raz w życiu kochając tylko, jedną tylko mając istotę, na którą zlał wszystką siłę miłości, do której ostatniem przywiązał się ogniwem, czuł, że mu jój nic zastąpić nie potrafi, że nigdy brak jój nagrodzić mu się nie może!

Boleść z jaką patrzył na ujeżdżający powóz, który pochwycił mu Radionka, opisać się nie daje: nie byłato wściekła i gwałtowna rozpacz, ani burzliwy i namiętny gniew, ale coś powoli zabijającego jak trucizna, usypiającego jak mróz w górach. Oczy zapłakane osychały natychmiast, ale słupem zwrócone stały, nieruchomie skierowane w jedno miejsce. Nie słyszał nic, nie myślał o niczym, w głowie mu się wiło coś nieopisanego — czarny kłębek nici porozrywanych i brudnych. Stracił władzę, wolę, ochotę czynności, stęzał i sponżał na progu

z otwartemi ustami, z wyciągniętą ręką, i pozostał tak niepoliczony godziny, pochłaniając bez uczucia przemijającego czasu.

Huluk, dobry chłopiec widząc, że go ani słowem, ani targaniem nie obudzi, że mu nic nie odpowiada i nie rozumie, pobiegl do Harasymychy po ratunek, a kuma pospieszyła z gniewem na starego za jego bezrozum, jak go nazywała.

— Czyste dziecko!—wołała—a taki stary, a taki głupi! Tożby się losem Radionka cieszyć przecie powinien....

I poczęła, jak tylko go spostrzegła, lając go zdaleka; ale z przestraczem przekonała się, że choć powinien ją był usłyszeć, głowy nie odwrócił, nie dał znaku życia.... Oczy miał zwrócone ku dębom, wargę obwisłą, głowę opadłą, a bezsilne ręce wyciągnięte i skostniałe.

Zbliżywszy się musiała go targnąć kozaczycha i buzowała po swojemu, nie szcędząc wyrazów, bo innego nie obmyśliła sposobu.

— Oszalałeś stary durny Jermoło, a toż ci go nie na zarznięcie wzięli!... to go zobaczysz... Przeżegnaj się... to grzech...

Nierychło potrafiła go ocucić: rozbeczał się stary, począł szlochać, niewyraźnemi narzekać wyrazy, wreszcie jakoś przyszedł do siebie.

— To darmo—rzekł—wszystko się skończyło: nie ma już mojego Radionka. Jest panicz w Małyckach, ale dziecka u mnie nie ma i nie będzie.

I począł tłuc naczynia garncarskie wyrzucając je za drzwi.

— Do czego to—zawołał—na co mi to: wrócę do dawnego życia, chcę zapomnieć że on był tutaj, że miałem syna. Wiem ja, co oni z nim robią: oni mi go obalamucą, zepsują. Nie potrafi jak dawniej słodka dziecina mówić ze mną i śmiać się serdecznie; będzie mu tęskno za ich murowanym dworem, zimno w chacie; chleb mu nasz i woda smakować nie będą.... Jermoła wyda się uprzykrzonym gdérą. Nie! głupim, głupim! trzeba było uciekać, wynieść się z nim daleko, gdzieby mnie nie znaleźli i wyrzucić mi go nie mogli.

Kozaczycha słuchała ruszając ramionami, rzucała po słówku, ale wiedząc, że wielkiej boleści trzeba się dać wypłakać i wynarzekać, nie przeszkadzała Jermole. Co krok stary potrzącał o nowe jakieś wspomnienie dziecka w téj izdebce, która pełną ich była jeszcze: tam rzucona siermiężka stara, owdzie

garnuszek malowany jego roboty, pierwsza polewa kwiecista którą się tak cieszył; owdzie czapeczka rogata poleska, którą kładł na zimę, wyszywana ponsowemi sznurkami, ulubiona dziecinie, ławeczka na której w kątku siadać lubił, miska z której jadał, koźlę co becząc za nim tęskniło....

— O! tu, choć sobie o ścianę głowę rozbić—zawołał Jermola—ja tu żyć bez niego nie potrafię! Zdaje mi się, że umarł mój chłopak....

Kozaczycha napróżno wyglądając żeby mu to przeszło, widząc, że to się na długo zabiera, posłała Huluka po Chwedka, który zaraz starego znajomego przyprowadził do karczmyska. Chwedko wiedząc o co chodzi i rachując na wódkę, jako dzielny środek pomocniczy, przyniósł z sobą butel gorzałki: począł od żarcików i powinszowań, potem przeszedł do porównań przywiązania swego do dereszowatej klaczy, wreszcie nie wiedząc już co robić, dobył flaszę i na stole postawił.

Jermole na widok jęj oczy zabłysły, pochwycił ją i caluteńką duszkiem wychylił: ale są tak silne wstrząśnienia w człowieku, że w nim zwykle skutki wszystkiego, co go otacza, nie objawiają się wedle praw pospolitych: stan ten duszy, z chłodem, głodem, mógłby zdaje się zwycięzko walczyć i z trucizną. Nieraz w boju, na placu bitwy, człowiek wychyla ogromną ilość napoju, która w zwykłym usposobieniu powaliłaby go o ziemię, i nie czuje po niej wrażenia. Tak się stało z Jermolą, który chciał się upić a nie mógł; zdawało mu się, że wodę przelknął i nie poczuł jęj w sobie.

— Ależ głowę ma: ta-to kwarta szumówki! — rzekł pochichu Chwedko z rodzajem uszanowania.

— Nie głowę on ma taką, ale żal wielki — szepnęła kozaczycha — daj mu teraz wiadro, to go nie spoisz: boleść go wytrzeźwi.....

Chcieli go nareszcie pod wieczór wyciągnąć z chaty do wdowy, ale nie potrafili: zasiadł znów na proggu, zadumał się, zapatrzył pod dęby i tak pozostał; a że Chwedko miał pilną sprawę, bo dereszowatą poić przyszła godzina, a kozaczysze o tój godzinie udój mléka przynoszono właśnie i wieszczkę potrzeba było przystawiać do ognia: musieli go oboje z Chwedkiem porzucić.

Biédny parobczak płakał zostając sam-na-sam ze starym.

Już się zmierzchno dobrze, a Jermoła nie wstał ze swego miejsca: zdrzémał trochę, bo go boleść złamała. Obudził się przestraszony i siedział nieruchomy: Huluk rozespany pilnował go stękając.

Już pierwsze kury piały, kiedy się coś mignęło przed chatą, i Huluk, który miał kocie oczy zaraz poznał Radionka, przybiegającego od strony Małyczek. Starzec nie widząc go, przeczuł, pochwycił się, obejrzał i krzyknął:

— Radionek!

— To ja, ojcze!

— Ty! poczciwe dziecko moje... A! niech ci Bóg płaci, byłbym umarł, dałeś mi życie.... Ale jakżeś ty przyszedł? piechotą?

— Piechotą, ojcze.... alboto ja drogi nie znam? czyto ja się boję chodzić po nocy?

— Sam...

— Z kijem.

— I dali ci tak pójść?

— A ja się nie pytałem: położyli mnie spać, ale mi tak było tęskno, że oka zmrzyć nie mogłem; czegoś mnie brał niepokój, musiałem przyjść do was. Zresztą, rano gdy mnie nie znajduję, domyślą się gdzie szukać.

Jermoła ściskając go ożył, oprzytomniał odrazu.

— Huluk!—zawołał głosem silnym—on przeziął może, on nie jadł, pewnie go zgłodzili: ognia do pieca! Masz co jeść? i mnie coś czczo: chodźmy do izby.

— Dziw!—szepnął chłopiec—kiedy cały dzień nic nie jedli.

— A! prawda!

— Ja wam sam i ognia rozpalę i jeść ugotuję,—pochwycił Radionek—pozwólcie po staremu sobie usłużyć.

— A! dziecko moje, nie, nie, usiądź przy mnie, jutro mi cię odbiorą znowu: nie odstępuj mnie proszę.... Ale tobie tu od rosy chłodno będzie, chodźmy lepiej do chaty.

Gdy Huluk ognia rozpalil, a izba się rozjaśniła, postrzegł stary zwróciwszy oczy na Radionka, że choć mu tak rychło sukni przerobić nie mogli, już go potrosze przebrali rodzice. Matka wynalazła mu białą koszulkę, zawiązała jasną chusteczkę na szyi, zmyła i utrefiła złote jego włosy, podpasala paskiem jedwabnym, dała mu czapkę ojcowską, i oblała go jakimś panickim zapachem. Na wychowawcu Jermoły wydały mu się

te przystrojenia jako znaki odstępstwa, niewoli, jak cechy nowo przybranego stanu: westchnął patrząc na nie, choć Radionkowi ładnie z niemi było. Chłopiec ślicznie się wydawał tak nawpół przebrany i odświeżony.

Nie mówili do siebie, bo starzec znowu posmutniał na chwilę, popatrzał na dziecko i gryzł się przyszłością swoją.

Jutro przyjadą po niego i zabiorą go znowu: pocziwe dziecko już do mnie uciec nie będzie mogło, bo mu straż postawią. Kto wie, może i to za grzech mu wezmą, że przybiegł do ojca.

— Lepiejże ci tam było? — zaczął stary po chwili — pocziesze mnie choć tém, że ci u nich dobrze.

— Dobrze, ale smutno — rzekł chłopiec. — Trup leży na marach, księża śpiewają w wielkiej sali, ale matka siedziała ze mną i cały dzień gadała, i rozpytywała się o wszystko. Musiałem jej opowiadać całe życie nasze: składała ręce i co chwila wam i Bogu dziękowała... Karmili mnie, całowali, chcieli zaraz przebierać, ledwem się wyprosił; ale po krawców posłali, żeby mi inne sprawić odzienie... Ojciec mówił — to imię dane panu Janowi Drużynie przez Radionka smutnie odbiło się w uszach Jermoły — ojciec mówił — dokończył chłopiec — że mi przyjmie nauczyciela; darował mi ładnego konika.

— Daj Boże, żeby ci tam było jak najlepiej — zawołał stary — i nie wątpię, że kochać cię będą. Ale, o! nieraz zatęsknisz za chatą naszą, za spokojnemi dniami, które tu przeżyłeś.

Noc prawieby cała bez snu ubiegła, gdyby się Jermoła o Radionka nie obawiał, i położył go znużonego, a sam zasiadł pilnować.

Nadedniem niespokojny nadszedł ojciec, a choć nie lajał dziecka, wymawiał mu jednak nieostrożność jego i śmiertelną obawę, jakiej matka doznała z jego powodu. Chłopiec zmilczał smutny.

— A żeby tego na przyszłość nie było — rzekł pan Jan — weźmiemy Jermołę do Małyczek; jest izba porządna we dworze, będzie mieszkać z nami, i jak on ciebie, tak my go pielęgnować będziemy.

— Nie! nie! — potrząsł głową stary — ja do was nie pójdę: kocham dziecię moje, ale ztąd wywlec się nie potrafię. Ciężko mi już na starość cudzym żyć chlebem, przywykłem panem być w domu. Tambym się rychło naprzykrzył, ktośby mi słowem

bryznął: dzieckuby to zabolalo, mnie za niego. Nie poszanowaliby słudzy wasi przybysza; zdawałoby się wam, że mi łaskę robicie... Nie! nie! ja tu pozostanę.

Napróżno prosił i namawiał pan Jan, nie było sposobu starca przekonać: uściskał Radionka, oplakał, wstrzymywał go, w końcu pobłogostawił i usiadł w progu czekając śmierci.

Dziwne są często losy ludzkie i przeznaczenia Boże: jednym nic tego życia urywa się, gdy złotem szczerem przetyka ją dola; drugim cierpienie i boleść szarpiąc czarną przędzę odciąć nie mogą... Jermoła przeżył rozstanie i umrzeć nie potrafił. Przechorował, postarzał po raz drugi, pochylił się, stał się milczącym i ponurym, począł nową epokę żywota; ale siły zaoszczędzone wiodły go dalej jeszcze: kazano mu patrzeć na dziecię zdaleka, i gryść się, i pocieszać wspomnieniami.

Równy z oddaleniem się Radionka porzucił sam garncarstwo, oddając je Hulukowi, który mu się był nieco przypatrzył; sobie jak dawniej zostawił ogródek i kątek zajmowany dawniej, dzieląc czas na ciche rozmyślanie w tej izbie, w której swe dziecię wychował, i odwiedziny a długie rozmowy z kozacką.

Ta jedna rozumieć go i cierpliwie słuchać mogła. Położenie ich zbliżało: on się litował nad nią pozbawioną Horpyny, która całkiem na panią wyszła i prawie nigdy już u matki nie bywała; ona tęskniła z nim razem za Radionkiem. Długie godziny u ognia tak pędzili na opowiadaniach o starych szczęśliwszych czasach; a choć po sto razy każdą rzecz sobie wypowiadali, umieli cierpliwie wysłuchiwać jój na nowo, gdy prąd pamiętek przyniósł ją znowu na usta.

— Pamiętasz moją Horpynę, jaka ona była śliczna, kiedy się bywało do cerkwi ubierze; teraz już jój ani poznać, tak wymizerniała po pięciorgu dzieciach, na tym swoim pańskim chlebie... Oj! niezdrowy to chléb!...

— A Radionek?—rozpowiadał stary—czy nie ładniejszy był w sukmanie z podgoloną głową?

Zrazu tak było, że codzien prawie Radionek to sam, to ze sługą, to z ojcem lub matką dojeżdżał do dawnego piastuna;

potém przywozili go tylko w niedzielę; potém co kilka tygodni, wreszcie gdy zatęsknił staruszek, włókł się o kiju do wychowawca, żeby go choć na chwilę, choć zdaleka zobaczyć.

I zrazu biegł téż do starca Radionek jak go tylko zobaczył: wrywał się wszystkim, nie było go sposobu utrzymać. Potém czasem nań chwilkę musiał czekać Jermoła, aż przyszło do godziny; a było i tak, że stojąc dzień cały u drzwi napróżno, już go nawet zobaczyć nie mógł i odchodził splakany. Odprawiano go na folwark, karmiono; ale staremu nie tak potrzeba było pokarmu, tylko syna zobaczyć, wzrok nim napaść: to jedno nasycić go mogło.

Jermoła nie uskarżał się na to: wiedział on dobrze, że dziecię jego nie było temu winne, że rodzice i nauczyciele powoli starali się w ten sposób odciągać Radionka od przybranego ojca, a dziecię szeptało płacząc zawsze, że radeby było pójść nad do Popielni.

Prędko się wychowanek do niepoznania odmienił: z chłopaka wiejskiego, gdy mu suknie wdzieli pańskie, gdy go poczęli karmić swoją strawą i zamykać między czterema ścianami, kwiatek ten uwiadł, zbladł; a choć wzrost szybko go pędził w górę, znać było wiotką roślinkę, którą lada wietrzyk miał zwarzyć.

Skarzyła się biedna matka, obawiał ojciec: rozweselali go, bawili, chuchali; ale im bardziej zamykali i strzegli, tém dziwniej chłopak zaczął blednąć i słabnąć. Czasami wśród nauki, pieszczoty, zamyślał się, łza błyskała mu w oku, i gdy go pytali co mu jest, uśmiechał się tając z bolem.

Dawne życie, pierwsze lata młodości spędzone w swobodzie wiejskiej, w pracy i weselu nieopatrzném, dziś ciążyły nad dzieciną kamieniem; zmiana trybu, gwałtowne przejście jak przesadzenie rośliny zmęczyło tę biedną istotę. W nocy, we snach przypominała mu się chata, wesole ranki nad garncarską robotą, wycieczka na rzekę i do lasów, i to wolne bujanie po świecie, w którym czuł się już sobą, czémś oddzielném i samodzielném. Tu słodkie wprawdzie, ale krępowały go więzy: uczyniono go napowrót dziecięciem, otoczono staraniem zbyteczném, obawiano się o niego, obwarowano tysiącem ostrożności, nie dając rozwinąć się woli.

Pozbawiony natury, powietrza, słońca, do których przywykł, tęsknił za nimi jak za Jermołą.



Dobrze mu było przy matce i ojcu, ale wzdychał za wczorajszym sieroctwem; w ostatku ta walka i przerabianie się zmogły go i chorzeć zaczął.

Rodzice nie zgadując stanu dziecięcia, zamiast goić rany rozdrażniali ją; wpływom starego przypisywali upadek ducha w synu, i usiłowali go oddalić od Radionka, popełniając zarazem niesprawiedliwość i niezręczność.

Dziecię im troskliwiej starano się oddalać, tém bardziej garnęło się do Jermoły; oprócz przywiązania, litość, uczucie wyrządzonej krzywdy i niewdzięczności dręczyło je potajemnie. Przed ojcem surowszym, który coś zachwyił charakteru dziadowskiego nie powiedzieć, do niczego się przyznać nie było można; matkę bolało to przywiązanie tak stałe, tak wielkie, za które czuła jakąś zazdrość, srodze, jak grzech wyrzucając je dziecieniu.

Nowy wypadek zmienił wkrótce położenie Radionka: powiększyła się rodzina braciszkiem jego Władziem, a ojciec i matka przelali nań prawie całe swe przywiązanie, jakie mieli do pierworodnego, dając mu powoli poznać zubożenie, a nawet wymówkami za Jermołę go dręcząc. Chłopiec znosił je milcząco, lzy połykał, ale dręczył się boleścią potajemną.

Wszystko to razem wzięte złamać musiało tak wprzód swobodnie rozwijające się, tak dziś wielą sprzecznymi uczuciami skrępowane i onieśmiałone swém położeniem dziecię. Z wesołego stał się ponurym Radionek, zamyślonym; z otwartego skrytym i bojaźliwym, a nocami płakał po dniach minionych przy kochanym staruszku. Serce jego krajało się na widok Jermoły, który pieszo, o kiju przywlekał się z Popielni do Małycezek, stawał w ganku i jak na jałmużnę czekał, dopraszając się widzenia, tylko widzenia dziecka. Jeśli mu je puszczone, stali stróżowie, którzy pilnowali, aby Radionek niezbyt się rozczulał, nie mówił zawiele, nie skarżył się i nie bawił długo: a często, bardzo często, z okna tylko najrzało go dziecię jak smutno go dziny długie stał w ganku, jak popychali go stłudzy, jak go odprawiano nielitościwie, jak w końcu o mroku biedny staruch ze spuszczoną głową, powoli, oglądając się za siebie, powracał próżno do domu. Naówczas Radionek płakał, cierpiał, a chorobę i cierpienie przypisywano nie obejściu się z nim niestosownemu, ale samęj już tylko przytomności, natręctwu Jermoły.

Zejsć tak z ojca i z opiekuna na głodnego żebraka, u drzwi ganku czekającego litości, ciężko to i boleśnie; nie poskarżył się jednak stary, nie wyrzucił im tego gorzko: milczał, taił w sobie boleści, aby go całkiem nie odpędzono. Tylko gdy tak raz i drugi odprawiono go niedawszy zobaczyć chłopca, powracał częściej, stał uparciej, aż go gdzieś taki pochwycił na przesmyku. A gdy coraz bledszą widział twarzyczkę, coraz bardziej omdlałe oczy, głos słyszał cichszy i mowę zmienioną: niekiedy aż się w nim na burzę zbierało; ale starość bezsilna, niemoc podcinająca nogi, ubóstwo, sponiewieranie, nie dozwalały myśleć o jakimkolwiek ratunku.

I szło tak coraz gorzej a gorzej.

Matka zajęta Władziem utyskiwała na starszego, ojciec się srożył i burzył, ale to nie pomagało: podwojono pieśczęt, sprowadzono lekarzy. Któryś z nich wpadł nawet na myśl zbawienną radząc powietrze, słońce i ruch swobodny; inny smutku się dobadawszy wskazywał środki moralne: — spadła zawsze wina wszyśka na Jermole.

Pan Jan zniechęcony i zgryziony, długo walcząc z sobą, w końcu postanowił starego piastuna pozbyć się raz nazawsze.

Jednego poranku, wedle zwyczaju swego, Jermola który przez trzy już tygodnie ledwo przez okno widywał dziecię swoje, i codziem przywlekał się do Małyceczek, przeszedłszy bramę, opędziwszy się psom, któremi go szczuli psiarczyki, stanął we drzwiach i stał czekając, słowa nie mówiąc, jak Łazarz u drzwi bogacza. Słudzy już dobrze nauczeni potrącając go i pozbywając się, chcieli go odpędzić, ale się stary nie dał. Trwało to tak do południa, aż pan Jan znudzony tą naprzykrzoną postacią, która mu stała w oczach jak wyrzut sumienia, wyszedł sam przeciwko Jermole.

— Mój kochany—rzekł siadając na ławie w ganku, sucho i ostro—widzę cię tu już od dni kilku: czegoż tak uparcie stoisz? Na co nam koniecznie chcesz bałamucić dziecko? Powiedz czego chcesz? damy ci co możemy, a nie zakłócaj spokojności naszej. Mówisz, że kochasz dziecię: nie dręczże go. Widok twój go burzy, nie daje mu się do nas przywiązać: powinienś mieć rozum. Jeśli w ten sposób chcesz co u nas utargować, zapowiadam ci, że się to nie uda: mów, czego ci potrzeba.

— Ale, panie, ja nie nie chcę, tylko zobaczyć moje dziecko i pobłogosławić—rzekł Jermoła powoli jeszcze i łagodnie.

— Właśnie czas, żebyś już to sobie wybił z głowy: hodo-waleś je, chcieliśmy ci za to nagrodzić; dziś to skończone, dziecko powróciło do nas, daj mu spokojnie żyć z nami. Ko-chasz je a zamęczasz.

— Ja? panie!

— Ty! patrz co się z niem dzieje: zwiędło, zeschło!

— Ja! panie! ja! to ja!—powtórzył boleśnie Jermoła.

— Juściż nie my....

— Wy! wy go zamęczacie — wybuchnął w ostatku sta-ry—oddałem go wam wesolym, zdrowym i swobodnym: zam-knęliście i zamorzyli go tęsknotą. Dziecię mnie kocha, bo inaczej nie miałoby serca: wy uczycie je niewdzięczności!

— Co ty stary oszalałeś? — oburzył się pan Jan — co to jest? śmieśz mi to mówić? Wynos mi się ztąd natychmiast, i żeby tu noga twoja nie pozostała.

Jermoła osłupiał, zadrżał, wstrząsł się, chciał mówić coś, ale słowa nie znalazł.

— Wypędzacie mnie — rzekł wreszcie — pójdę, pójdę, i noga tu moja nie wróci; ale pamiętaj człowiecze, że tak, jak-ście wy mnie odebrali to dziecię, tak Bóg sprawiedliwy wam je odbierze.

Rzuciwszy to straszne przekleństwo, które nadbiegająca matka, by powstrzymać męża, usłyszała i krzyknęła boleśnie, Jermoła prawie nieprzytomny, ostatkiem sił zbiegł z ganku i przeszedł dziedziniec, nie oglądając się za siebie.

Pan Jan zapóźno opamiętał się, poczuł popełnioną krzy-wdę, słowo prorocze serce mu przebiło. Odchodzący starzec był dlań wyrzutem; sam nie wiedział co począć: rzucił się w głąb domu, gdy na ręce prawie omdlała padła mu żona. Chcieli zaraz posłać po Radionka, żeby dogonił staruszka i z nim ich pojednał, ale gdy do przyległej weszli izdebki, zna-lezli dziecię omdlałe, zbladłe jak marmur, zimne, i nim się go dotrzeźwili, Jermoła już był daleko.

Wieczorem przywłókł się biedny do starój kozaczychy, żeby się poskarżyć i poradzić, bo tydzień już nie był u niej, chodząc nieustannie do Małyczek; ale nie wiedział, że wdowa od trzech dni zachorowała, i wszedłszy dopiero na próg uderzyło go, że okienka w chacie były wyjęte, trumna stała wśród świetlicy,

a przed izbą bractwo z chorągwiami, krzyżem, i ksiądz z księgą, mający towarzyszyć pogrzebowi.

Jakby przebudzony ze snu popatrzał Jermola długo, długo, przykląkł i począł się modlić.

— Nie ma i jój! nie ma! czas umierać—rzekł czując po ciele przebiegający jakiś dreszcz złowrogi—trzeba ją odprowadzić na mogilnik i rzucić garść piasku na jój domowinę...

Milczący postać przy drzwiach na kiju oparty, i powlókł się za orszakiem pogrzebowym, w którym zięcia ani córki nie było: sami obcy i domownicy, czeladź i dalecy krewni.

Cmentarz był między dworem a chatą Jermoly: w tę stronę poszli z pogrzebem, a wśród mroku szereg świateł, z którymi bractwo towarzyszyło trumnie, rozwijał się długim sznurem oświetlając rozwite chorągwie. Mogiła już była wykopana przez Chwedora, żółta glina kupą leżała nad nią: poświęcił ją ksiądz i spuścili do dołu staruchę, a kto żyw rzucił jój garść piasku z pożegnaniem na oczy.

Jermola dopełniwszy obowiązku, powoli, nieprzytomny powlókł się machinalnie do stariej chaty: nie pilno mu tam było.

Huluka, który się już tutaj niemal za pana uważał i choć dobre chłopię, trochę miał staremu za złe, że mu zawadzał, zastał w progu na pełnych nadziei rozmyślaniach. Chłopcu zdawało się, że gdyby nie Jermola, mógłby ogródek i piec wziąć na siebie, ożenić się z Pryską, i wyjść na poważnego rzemieślnika. Dawny opiekun już mu dziś zawadzał.

— Co tu słyhać? Nie przysyłali od kozaczychy jak zachorowała?—zapytał przybyły.

— Jakże nie! stara ze trzy razy pędzała po was Chwedora, chcąc się widzieć i coś wam powiedzieć, ale was nie było.....

— Ha! ha! powiedziała już ostatnie słowo!—obojetnie jakoś wyrzekł Jermola wchodząc do izby—nie ma co mówić dalej: skończyło się, wszystko się skończyło.

Powtarzał te wyrazy z kąta w kąt kręcąc się po izdebce, potem usiadł na ławie i zadrzemał staruszek, a Huluk wyszedł ruszając ramionami.

— Nie wiedzieć co temu staremu—mrucał do siebie—poszedłby z torbami, i po wszystkiem; jabym się z Pryską ożenił i wszystko byłoby dobrze: a dopóki on tu siedzi, jak o tém pomyśleć? Ot bięda!

W tój izdebce przed laty tak czystej i porządnój, teraz w ostatnich czasach nieład i opuszczenie panowało: znać było, że nikt się o nią nie troszczył. Sprzętu część Huluk zabrał do drugiej izby, część stary sam porozdawał, reszta pyłem i śmieciem przyrzucona leżała. W piecu ognia oddawna nie było, ani zapasu drewek, ani tych wkóło porządków gospodarskich: resztki niedotluczone leżały tu i owdzie po podłodze. Stary już i na to patrzeć nie mógł. Rano gdy się obudził, zdawało się, że miał ochotę wziąć się do czegoś; ale tak mu się wszystko wydało smutném, przykrém, zatrutém, samo miejsce tak nienawistném, że pierwszy raz pomyślał opuścić je na wieki.

Nie mógł wyjść za próg, żeby się oko jego nie spotkało z dębami, pod któremi dziecię, pociechę lat swych starych, znalazł w białych pieluchach; z okolicą, wśród której zabawiał się Radionek wesoło igrając. Wspomnienia te zbyt były żywe jeszcze, nadto gorzkie, żeby je przenieść mógł starzec, ustawicznie obcujać z niemi.

— Pójdę powoli w świat, z modlitwą, niech im Bóg przebaczy!—powiedział sobie—od kościoła do kościoła modlić się za dziecię moje: a cobym tu teraz robił? Nie ma miejsca dla mnie, nie ma ludzi moich: torby na plecy, kij w rękę i w świat. Nie przydałem się na nic więcej.

I wyjął trochę grosza zachowanego z kryjówki, żeby gdy śmierć gdzie zaskoczy u obcych, choć pogrzeb i nabożeństwo za duszę zrobić było za co; trochę odzieży narzucił na plecy, chust w sakwy, worki na sznurze przewiesił przez plecy, i tak już gotów będąc do drogi, zawołał Huluka.

Ten wyszedłszy z drugiej izby, ujrzawszy go w ubraniu żebraczém aż się przeląkł odgadnionej myśli swojej: serce mu zabiło, pożałował starego, odechciało mu się i żony i gospodarstwa.

— No! ja idę w świat chłopcze—rzekł stary powoli—com miał, to ci tu zostawiam: żyj z Bogiem, daj ci Boże szczęście na tém miejscu, a dłuższe jak moje. Wszystko co tu jest, twoje: jeśli kiedy tu zajdę, nie odmówisz miejsca i wypoczynku. Niedługo mi się tułać i ludziom narzucać.

Huluk rozplakawszy się upadł mu do nóg, bo sierocie i ta trocha sprzętu była wielkim datkiem, i żal się zrobiło Jermoły.

— A! czyż już idziecie?—zawołał.

— A co bym tu robił? — westchnął stary — kozaczykę ponieśli na mogilki, Chwedko chory może nie wstanie; nikogo już nie mam we wsi znajomego i przyjaciela... Dziecka mojego nie ma! nie ma!

To mówiąc otarł łzy cisnące się do oka, i ruszył, a zdało mu się, jakby się wkoło niego cały świat okręcał. Huluk widział go przechodzącego przez wieś, naszczekujące już nań psy, które go dawniej znały, potem wlokącego się ku lasowi i ni-
knącego na drodze do miasteczka.

We trzy dni potem, gdy dziecię coraz bardziej chorzało, a lekarz świadomszy przeszłości, bez ogródki oświadczył rodzicom, że je dać potrzeba staremu Jermole, by wróciło do pierwszego życia, strawy i pracy do której przywykło: oboje rodzice przybiegli z nim razem do Popielni. Jakież było ich podziwienie, jaki płacz Radionka, gdy starego już tam nie znaleźli, gdy dowiedzieli się że poszedł z torbami w świat żebrac nie chleba, ale zapomnienia przeszłości.

Ta wielka i pocziwa boleść piastuna trafiła wreszcie do serca rodziców, poznających się zapóźno na swoim błędzie, a nadewszystko przerażonych żalem i płaczem dziecka, rozpaczającego po przybranym ojcu. Rozesłano zrazu na wszystkie strony szukać Jermoły, ale gdy go nie znaleziono, rodzice powracając do pierwszego, trochę radzi już byli, że ich stary niepokoić nie będzie, sądząc, że dziecię zapomnieć o nim musi.

Tymczasem Radionek, który u rodziny miał imię Julka, wśród pieszczot usychał; nie go nie bawiło, nie zajmowało, nie skarżył się, ale był smutny, starał się uśmiechać, ale widocznie tęsknił: choroba nieskreślona, niezbadana, wycieńczała go powoli. Na chwilę czasem rozbawił się gdy go puszczono w ogród, w las, samego jednego, lub pozwolono puścić się konno; ale rodzice obawiali się tych rozrywek i samotności dla dziecka, i rzadko mu ich dozwolali.

Jermoła błędził w początku ze swoją tęsknotą od wsi do wsi, od kościoła do kościoła: modlił się, chodził, zmieniał miejsca, usiłował przywyknąć do tego życia błędnego, zmiennego codziennego, wystawionego na tysiące niespodzianych wypadków i niewygód, które ma swoje przyjemności dla człowieka-siero-

ty, gdy mu kąt obrzydlł rodzimy. Ale z nim szła wszędzie nieodstępna boleść, wspomnienie spokoju, pogruchotanych nadziei i ukochanego dziecka.

Jeszcze! gdyby choć ono było szczęśliwe, ale w krótkich chwilach, gdy mu się z niem widywać pozwalano, nietylko z twarzy odgadł stary smutek wychowawca, widział go w słowach, łapał w przypomnieniach młodości. Radionek ze łzami mówił o Popielni i szczęśliwych godzinach spędzonych w starej karczynie, nad prostym garncarskim warsztatem; nieraz wyrwało mu się słowo znaczące: „O! gdyby się to wrócić mogło!”

Niepokój coraz przykrzejszy owładał starcem, gdy myśląc o Radionku począł przewidywać, że rodzice sposobiąc go do nowego życia, umorzą dziecię zbytkiem troskliwości lub obejściem zimnem i surowem. Kochali go ojciec i matka, ale ich miłość wielce się różniła od przywiązania Jermoły; przywykli sami do surowości rotmistrza, byli dla dziecka czuli w sercu choć powierzchownie zimni: nie wiedzieli zresztą jak się z niem obchodzić, nie umieli dość przemówić, bo go od dzieciństwa nie wykołysali. Radionek mniej ich rozumiał, obawiał się więcej. Słowem, przybrany ojciec był dlań prawdziwym; prawdziwy, przybrany tylko.

Im dalej od Popielni i Małycezek odchodził staruszek, tém znowu więcej go powrócić koreciło; i tak dnia jednego skręcił powoli z drogi, zawracając się ku wychowawcowi, postanowiwszy jeszcze choć zdaleka go zobaczyć, lub przynajmniej o nim się dowiedzieć. Nogi dziwnie mu służyły w tej drodze, nigdy się nie czuł tak lekkim: a choć miał trzy mile przed sobą, zrobił je w dniu jednym, i ku noey stanął w Małycezkach. Trzeba mu było całą wieś przechodzić, żeby się dostać do karczmy, w której choć się obawiał być poznanym, musiał noclegu szukać. Po drodze naturalnie wpadła mu w oko chata Prokopa garncarza, ale jakże się zdziwił zobaczywszy ją pustą, ogród napół rozgrodzony, gruszę pod którą był piec prawie uschłą, a piecysko same zarosłe chwastami naksztalt starego pogorzelska. W chacie nikt już zdaje się nie mieszkał, bo okien w niej nie było: części odartego dachu brakowało, zrąb jej zapadał w ziemię, drzwi tylko kołkiem jeszcze podparte nie wpuszczały do środka.

Łatwo się było domyśleć jak do tego przyszło: córka Prokopa wyszła do drugiej chaty, więc choć oba grunta trzymał tej

nie potrzebował, najemnik się nie trafił, i po pół-roczném zajmowaniu jęj przez rekrutkę, stara sadyba opustoszała.

Dziwną to myśl zrodziło w głowie Jermoly.

A gdybym ja — rzekł — za co za to najął sobie tę chatynę i w nięj osiadł, możebym czasem mógł dziecko moje zobaczyć? Ktoby tam wiedział o mnie! Możeby i nie poznali, możeby nie postrzegli: choć nocką podkradałbym się pod okienko mojego Radionka.

Łzy zakręciły mu się w oczach, stanął i począł żałować starego Prokopa, gdy z ogródka, gdzie wybierano właśnie konopie, kobiecy głos dał się słyszeć:

— A co tak dziadku stoicie na drodze, jeszcze was kto przejedzie: furmanki z góry idą.

Spojrzał Jermola i poznał mówiącą: byłato córka Prokopowa, Naścia, która sama z dziewczyną parała się w ogródku; znać go nie poznała. Zdało mu się z mowy, że być powinna dobrą kobietą, i podumawszy zbliżył się ku nięj do plotu.

Hożato była w sile lat i zdrowia niewiasta, słuszna, zbudowana mocno, barczysta, pięknej twarzy, nieco może zaotyła, ale taka właśnie służyć mogła za typ pięknej naszej wieśniaczki. Twarz jęj z żywym rumieńcem zdrowia, z oczyma czarnemi, z wiśniowemi usty tchnęła wesołością, swobodą i siłą; a białe zęby okazujące się w każdym uśmiechu, odbijały swym blaskiem od nieco ogorzałego lica. Byłato w istocie dobra, litościwa, trochę zalotna, ale i bardzo gospodarna kobieta, nie od tego żeby się nie pośmiać i nie pożartować, ale matka troskliwa i żona wierna. Mąż jęj, syn najbogatszego we wsi Koleśnika, mały, blade, chuderlawy, słabowity, tak jęj słuchał jak matki i ojca, a obawiał się jak ognia: kochał ją, że i bić się i zabić dał był gotów za Naścię.

— Nie poznaliście mnie, Naściu Koleśnikowa—rzekł pociachu przybliżając się stary — a toćto ja Jermola, stary wasz znajomy, com to się garncarki uczył u Prokopa, ojca waszego.

— Jaktó? wy? z torbami? na żebracze? a cóż się to z wami stało? Mieliście chleb w ręku: nie już starość?

— Oj! długoby gadać! Wiecie zapewne, wychowałem waszemu panu syna.

— Toćto o tém cały świat gada...

— Odebrali mi go.

— Zachcieliście, tożto było ich dziecko nie wasze!

— Ależ moja Naściu, potrosze i moje: teraz mi na nie już i patrzeć nie dają, jakbym ja, broń Boże, urok miał rzucić na mojego chłopca. Skwaśniało mi życie: tu nie puszczają, w Popielni samemu tęskno, bo nawet kuma kozaczycha umarła, więc puściłem się w świat.

— Biedny stary, to wam tak było żal tego dziecka?

— Było moje jedyne, rodzone, a tu mi je tak wzięli... Poczęło schnąć, słabnąć, Bóg wie co z niego będzie. Mnie nawet dostąpić do niego nie dają: powiedzcie, mająż oni Boga w sercu? Sam pan mnie przepędził, żeby tam noga moja nie powstała.

— A! czyż to może być!

— Klęć ci się na Chrystusa Pana, że tak było!

— Aj! krew Rotmistra, będzie z niego drugi bat'ko—zawołała ciszej nieco Naściu, oglądając się—patrzcie! dobrodzieja swojego tak wygnali.

— Otóż, com ja wam mówił, musiałem pójść w świat, a jakem wyszedł, tak mi się znów za dzieckiem tęskno zrobiło, i powróciłem, żeby je choć zobaczyć.

— A widzieliścież?

— Nie, tylko co idę... a sam nie wiem dokąd?

— To wstąpcie do nas.

— Bóg zapłać Naściu, niech ci na dzieciach to wróci: Nie mogę, zobaczyliby mnie, rozgadali: ja nie chcę, żeby już o mnie we dworze wiedzieli, abym dziecko choć zdaleka zobaczył: pójdę dalej. Ale powiedźno mi; co to, Prokopowa chaćta pustuje?

— A cóż? popsuła się, nie było komu po tój rekrutce mieszkać, nie naprawialiśmy: jak upadnie, ogródek się powiększy.

— A nim upadnie?

— Ot! będzie sobie stała jak jest.

— Żebyście mi w niej jaki tydzień pozwolili przemieszkać: jabym zapłacił.

Naściu się rozśmiała.

— Za co? za przemieszkanie w pustce? A to mojemu Sydorowi łaskę zrobicie jeszcze, bo onby chciał chatę utrzymać: jakby był kto, coby ją podpierał i pilnował, powstałaby dłużej. Jeżeli myślicie tu posiedzieć, przysłałabym wam okienko, któreśmy wyjęli, żeby kto go nie ukradł... Ot! i zgoda!

— Doprawdy?—spytał uradowany Jermoła.

— A cóż, i owszem.

— A niechże wam Bóg płaci i szczęści!— zawołał staruszek—będę wam pilnował kąta, oczyszczę sam i wylepię, i jeszcze taki siud tud posłużę za to. Lżej mi tu będzie, bo bliżej mojego chłopaka: dowiem się co czasem o nim.

— Ano, zgoda: Sydor będzie kontent, wy radzi, czegoż chcieć? Mnie to wszystko jedno, jeszcze mi ogródka dojrzyć?

— Nietylko dojrzę, ale go wam porządniej choć kozikiem ogrodzę: byle chrust.

— Ot i dobrze!—zaśmiała się Naścia—chodźcie do nas na wieczerzę, pogadacie z moim, zabierzecie okno, weźmiecie trochę trzasek przepalić, bo tam musi być wilgotno, przenocujecie już w swojej chacie.

To mówiąc Naścia poczęła zabierać konopie, huknęła na dziewczynę i zaśpiewawszy piosenkę czystym a donośnym głosem, poważnie skierowała się ku chacie nie bliższą ścieżką i przelazem, przez który można było dostać się na ogród, ale drogą, bo jej konopie ciążyły. Chata Sydora Kolesznika stała obok, ale na drugiej uliczce, tak, że dwa ogródki grzbietami się stykały, a była wcale nowa i porządna.

Na pierwszy zaraz rzut oka widać było, że gospodarz miał się dobrze: izba wielka, piękne złociste obrazy w kącie nad dzieżą, stół czysty ręcznikiem białym zasłany, chleb na nim ogromny, wypieczony aż miło, pokryty płachtą świeżą; cebry, wiadra i czerpaki jak tylko co z targu, ciepło, skrzętnie, zasobno. Tylko sam gospodarz ani do żony, ani do chaty nie był podobny: taki chudzieńki, blady, zwiedły, zachrypły, biedny, skulony, płachtą miał zawiniętą bolącą szczękę, oko jedno zaczerwienione, brodę dawno nie goloną, a choć lat trzydziestu nie doszedł, na czterdzieści kilka wyglądał.

— Oto macie starego Jermołę z Popielni—odezwiała się wchodząc Naścia do męża, który pod piecem siedząc fajkę się na ból zębów kurował—ofiaruje się na komorne do Prokopowej chaty, i jeszcze chce doziierać ogrodu, byleście go przyjęli.

— Jermoła! a! pamiętam: jak się macie ojeze!—powitał go spluwając po bakuniu Sydor—co wy tu robicie?

Nie dała mu odpowiedzi Naścia, która do innych swych przymiotów łączyła wymowę nadzwyczaj łatwą i obfitą, i poczęła zaraz obszernie historią Jermoły; a że Sydor był serca miękkiego i łatwo ulegał wrażeniom żony, zaraz się przejął położeniem staruszka i posadziwszy go przy sobie na ławie, począł gawędzić.

— A coto was boli?—podchwycił Jermoła przypominając sobie dawne swe po wsi leki—możebym ja co poradził? powiedzcie?

— Nie wiem: szczeka czy ząb, poczęło się od jednego pruchniawego zęba, a teraz poszło po twarzy i głowie, że cała rwie i swędzi.

— A nie probowaliście choć przykrego, ale skutecznego lekarstwa: wykurzyć lulkę mchu dębowego?

— Ot, nie.

— Tylkoto ten mech potrzeba umieć wybierać— rzekł Jermoła — a jest u was dębina?

— Pełne podwórko.

Jermoła zaraz się ruszył szukać, znalazł łatwo przygarść porostu, osuszył, oczyścił z wiórek kory i lulkę nałożył biednemu Sydorowi. Zapalono ją: smród przykry rozszedł się po izbie, aż Naścia kichać poczęła; ale czy skutkiem tego lekarstwa, czy innego usposobienia, ulżyło zaraz mężowi i nie mogli się staremu oddziękować. Gęba tylko mu puchnąć zaczęła, ale choroba się przesiliła.

— Już niech sobie puchnie—rzekł Sydor — aby nie bolało, bom myślał się na ścianę drapać.

Tym mchem zyskał sobie przyjaciela Jermoła: dano mu okienko, przygarść trzasek do pieca, łuczynkę na podpał. Naścia nakarmiła go jeszcze i wetknęła garnuszek strawy na jutro, a szczęśliwy Jermoła poszedł przez przełaz na nową sadybę.

Nic nie ma smutniejszego nad pustkę po człowieku: każda wieje śmiercią i trupem. Chata Prokopa już opuszczona od kilku miesięcy, wszędzie pleśnią i grzybami porastać zaczęła; w szczelinach jej ziarna traw i zboża zabłąkane, puszczały żółte, blade, pozbawione światła, wyciekłe porostki; wilgoć sączyła się ze ścian, tok okrywały mchy siwe, a niezliczone robactwo królowało już w ruinie. Ale dla Jermoły wszystko się to wydało dobrém, i radę dać sobie umiał, ożywiony zbliżeniem do swego dziecięcia, pokrzepiony nadzieją widzenia go.

Załoczył okno, rozpalil ognia, wymiótl, wytarl, drzwi otworzył i dwie ławy jakotako zestawivszy do kupy, podesławszy worki, położył się na nich spocząć po dniu długiej i ciężkiej lasowej a piaszczystej drogi.

Nazajutrz cały dzień spędził w chacie krzątając się około oporządzenia izby, trochę Naści podpomógł w ogródku, a pod wieczór dobrze znając dwór i ogród, na wszelki wypadek pociągnął drogą ku niemu. Wybrał się już o późnym zmierzchu, ażeby go nie poznano, i nie zawrócił do ganku, gdzie tyle razy niegościnnie był przyjęty, ale poza sadami ścieżką włókł się powoli w odzieniu żebraczem. Drożyna ta wiodła, okrążając zabudowania, na drugą stronę ogródka, z której widać było ulicę wyprostowaną, dwór i na przestrzał miejsce, gdzie się najczęściej Radionek przechadzał. Puszczano go tu samego, bo sad był częstokolony, niewielki, a dziecko wyjść dalej z niego nie mogło. Ale dnia tego pusto było w ogrodzie, i Jermoła patrząc przez szczeliny częstokołu, nikogo nie zobaczył prócz ogrodniczka. Świeciło się w okienku Radionka: na to światło popatrzał stary, westchnął i nazad powrócił.

Jakoś mu przecie lżej się zrobiło na sercu, gdy się uczył bliżej dziecka i gotowym przyjść mu w pomoc; zakrzętnął się koło gospodarstwa, przekąsił i spać się położył prawie wesoło. Naścia nie zapomniała o jego wieczery, znalazł na piecu garnuszek starannie przykryty, pełen kaszy, którejby i na dwa dni stać mogło.

Nazajutrz tak samo dzień przepędził i bez przerwy codzień chodził Jermoła do dworu, aż wreszcie udało mu się Radionka spotkać przechodzącego uliczką pod częstokołem. Nie wytrzymał, syknął na niego, a chłopak jak wryty się zatrzymał.

— Radionku—zawołał Jermoła—na miłosierdzie Boże, przyjdź do mnie i powiedz choć słowo.

Na ten głos tak znajomy, choć stłumiony i cichy, chłopak wzdrygnął się, poskoczył i jednym rzutem był już na płocie.

— A! ojciec! to ty! co tu robicie!

— Cicho! cicho! nie wydaj mnie... Przyszedłem dla ciebie.

— Dawno?

— Dni kilka.

— Gdzie siedzisz?

— W pustce po starym Prokopie... O! nie wydawaj mnie: będziemy widywać się co wieczora... ale bądź ostrożny synku.

Radionek pokraśniał, zawrzał; ale wtém ktoś nadszedł, głos dał się słyszeć w ogródku: stary znikł zaraz, a Julek udał, że po gniazdo wdrapał się na ogrodzenie.

Zganiono mu niebezpieczne wdzieranie się na wyżynę i odprowadzono do domu, obawiając się padającej już rosy; nikt jednak nie postrzegł zmiany, jaka zaszła w dziecięciu: Radionek nie spał noc całą.

Nazajutrz nie było zabawy, tylko w ogródku. Wieczorem znowu przydybał Jermoła, znaleźli miejsce gdzie się częstokół rozszedł, i wygodniej pomówić z sobą mogli. Ale krótką chwilę trwała ta rozmowa: stary odszedł z nięj pomieszany i niespokojny. Serce jego było szczęśliwe, ale walczyło z sumieniem. Radionek prosił i zaklinał, aby go zabrał z sobą i z nim razem daleko od Małyczek uciekał: tak mu tu życie nieznośném się stało.

Codziem więcj na przybyłego brata przelewała się wszystka miłość rodzicielska. Julek przestał być dla nich ulubieńcem, stał się prawie zawadą i natrętem; wyrzucano mu jego smutek, milczenie, chorobę, nazywano szydersko chłopskiem dzieckiem.

Nie brakło mu wprawdzie nic prócz serca, ale przywykły do starego ojca swego, najmniej umiał znieść ten niedostatek.

— Jakże ja ciebie zabrać mogę? — mówił mu stary — wszak to są rodzice twoi: powiedzą, że cię ukradł. Tyś przywykł u nich do wygod, jak ja ci wystarczę? gdzie się skryjemy oba? Dogonią nas i znajdą, a wówczas twoja i moja pogorszy się dola.

Ale dziecię miało odpowiedź na wszystko, a Jermoła słabnął. Rodzice nie kochali jak ojciec przybrany, on tu żyć nie mógł: wygod nie potrzebował, bo za przysmak odkradał sługom chleb razowy, żeby sobie młode lata przypomnieć, za co go karano i naganiano niemal codziem. — Skryć się — odpierał Radionek — było łatwo idąc gdzieś daleko, daleko, w strony nieznanne... Byłe siermiężka i jakietakie okrycie, któzby go poznał?...

Na pierwszą tę myśl rzuconą otworzyła się, uśmiechnęła dusza Jermoły, ale wkrótce zasmucił się niepodobieństwem wykonania jęj, niepokojem sumienia. A nużby go w drodze tęg śmierć gdzie zaskoczyła, i dziecię samo zostało bez opieki? Godziłoż się je wyrwać lepszemu losowi? Stary wyrzucał już sam sobie że przyszedł, podrażnił Radionka, i namyślał się uciekać ze wsi, aby dłużej na tę próbę nie być wystawionym.

Chciał to wykonać prędko, czuł bowiem, że Radionek coraz silniejszy wpływ wywiera na niego; ale wieczorem, gdy przyszedł pod ogródek, musiał go wydać czy głos drżący i lez pełny, czy nieostrożne jakieś słowo: chłopiec bowiem milcząco się z nim rozstał, ale jakby z stałym jakimś postanowieniem.

Ledwie wróciwszy do chaty, począł się zaraz nocą wybiierać biędny włóczęga, i przy świetle łuczywa sakwy swoje pakował, gdy drzwi powoli się otworzyły, i wyrostek w siermiędze wpadł do izby. Nie poznał go zrazu stary po tój odzieży, ale czegoś mu serce zabiło; byłto Radionek przebrany w suknię odkradzoną parobczakowi z solwarku. Piastun na widok jego przełękniony załamał ręce i drząc począł cały.

— Nie bójcie się, to ja! idę z wami!—krzyknął rzucając mu się na szyję—prędzěj, prędzěj, dopóki się nie postrzegą, zem uciekł. W torby nabierzcie chleba, pójdziemy głęboko w lasy, a jutro już nas nie dogonią! Gdzieś daleko znajdziemy chatę, dobrych ludzi, brzeg rzeki, dołek gliny i znów zaśpiewamy lepiąc garnki, ojcie drogi!

Staremu mowy i tchu brakło.

— A! dziecię! dziecię! coś zrobił!

— Com ja zrobił? Wczoraj jeszcze ojciec, dawniej matka wyrzucali mi, zem ich miłości i starań nie był godny; mówili mi sto razy, idź i szukaj sobie swego przybranego ojca, powróć do dawnego życia, które ci tak miłym było, że i przy nas tęsknisz za niem jeszcze: nam Władzio wystarczy. Oni mi sami to radzili...

Wielkiej potrzeba było z jednej strony siły przywiązania, z drugiej słabości, żeby Jermola dał się namówić na uczynek, który za ohydny prostopu kradzież uważał; ale dziecku oprzeć się nie było sposobu: Radionek prosił, zaklinał, całował, padał na kolana. Stary oszalał i ujawszy go za rękę, wybiegł z chaty.

Noc była, choć oczy wykól, ciemna, szczęściem pogodna i dość ciepła: wiatru najmniejszego. Wieś oddawna już spała, gdzieniegdzie tylko obudzony na przyzbie pies naszczekiwał, kur młody zapał niedoświadczonym ochryplym głosem, a w dali zwierzęta nocne, sowy i puhacze, odzywały się głucho naprzemiennie, jak strażnicy rozstawieni na czatach. W milczeniu przeszli Małyczki, znaleźli się za kołowrotem, i przeżegnawszy się u figury na rozdrożu, oślepu puścili się drogą wiodącą w moczary i zarośla, a niemi w głąb lasów, któremi dostać się było można

aż ku Litwie. Dla ostrożności potrzeba było iść bez żadnej ścieżki, ale w jednym pewnym kierunku. Stary Jermola, który wiele dawniej polował, umiał błędzić po puszczech, sterując sobie to światłem nieba, to drzew mchami. We dnie spodziewał się dać łatwo rady, ale nocą nie sądził, by podobieństwem było zbicię się z jakiejś drogi, a utrzymać w jednym kierunku. Obrął więc ścieżynkę małą, leśną, wiodącą do pieca smołowego o miłą położonego, w ostępie Smolna zwanym, i postanowił nią iść do brzasku, a o pierwszych dnia brzasku, puścić się dalej bez drogi ku północy.

Starzec i chłopię ruszyli w milczeniu modląc się pocichu. Radionek zdawał się odżywać i dotrzymywał kroku Jermole; a gdy ich las dokoła ogarnął i pokrył, swobodnie odetchnęli oba.

— A! ojciec—rzekł zbieg—dwa, trzy, pięć dni cierpliwości, wysiłku, a znajdziemy się gdzieś na wyżynie i będziemy spokojni: nikt nas tam nie dopędzi, nikt nie pozna... Chleba nam na tyle wystarczy: widziałem w torbie. Nie potrzebujemy do żadnej wsi wstępować, woda jest w źródłach po lesie, a choćby i z liści drzew pić przyszło, nie pomrzemy z pragnienia. Dniem będziemy po gęstych odpoczywać ostępach, a nocą i rankami iść dalej a dalej.

Stary westchnął widząc jak się to młodemu wszystko łatwem wydało: nie chciał dziecka przestraszać, ale czuł, że obu im wkrótce sił może zabraknąć, że w lesie tysiąc zawad i niebezpieczeństw spotkać ich mogą.

Lada kto też uciekających bez drogi ujrawszy, mógł zatrzymać, a schwytyanych wydać w ręce sądu.

Wszystko to, i daleko więcej myśli przychodziło do głowy staremu, ale uśmiechnął się w milczeniu i słuchał szczebiotania dziecka, którego tak długo był pozbawiony, nie mogąc się niemi nasycić: nie chciał go zbijać, nie miał siły.

Może strach sam tak ich pędził, że na długo przededniem stanęli u pieca w Smolnej, gdzie się ich drożyna kończyła, a dalej nieznaczone już tylko, drobne smugi kołami porobione krzyżowały się, wskazując, którędy po szurki łuczywa jeżdżono. Noc była jeszcze szara, dalej już iść trudno; stary postanowił wypocząć, pewien, że ich tu szukać nie będą. Rozpalili ogień, dostawszy węgla i trzasek, a Radionek wesóło przypadł do nóg starego.

Nie!—rzekł—nie, ani mnie gonić, ani żałować długo nie będą; na co ja im potrzebny? Oni mnie, ja ich zrozumieć nigdy nie mogłem. Matka ma Władzia, ojciec ma Władzia: bezemnie lżej i lepiej w domu będzie.

Westchnął jednak.

— Kiedyś—rzekł—później, później, powrócę tam, do matki; ale teraz tak mi tam żyć było ciężko! Byłbym umarł z tęsknicy: byłem zamknięty, nikt się do mnie takim jak wy nie odezwał głosem... Com tylko zrobił, zawsze mi powtarzali, że to chłopska nauka, że chłopci tylko tak robią. Ja chłop jestem, oni panowie!.. Żal mi Władzia, który tylko się do mnie uśmiechał i wyciągał ręce...

— Dziecko kochane—rzekł Jermola—nie mów już o tém: oni tam płaczą może i mnie przeklinają. Serce mi zakrwawiasz, jam ich zdradził.

— No! to mówmy o Popielni! Pamiętasz ojczyznę nasze garnuszczyki, nasze z Chwedkiem wyprawy na jarmarki, i jakeśmy-to radzi byli, kiedy się nam pierwsza polewa udała!

— A! nie wrócą te czasy!—przerwał stary.

— Dlaczego wrócić nie mają? — zawołał Radonek. — Ja nic nie zapomniałem, o! nie! Choć mi zabraniali, lepiłem sobie garnki z gliny, którą mi przynosił Iwanek: i polewę pamiętam. Założym znowu piec, zobaczycie jak to pójdzie!

Tak gwarząc, usnęli znużeni obadwa, a gdy się ocknęli obudzeni przez wilgę, która im kuła nad głowę przyspiewując, dzień już szarzał dobrze: mgła się była rozpostarła gęsta. Stary porwał się żywo i poczęli iść dalej ku północy kierując się mchami na drzewach.

Wnętrze puszczy naszych, jakkolwiek wytrzebionych i wyciętych, zniszczonych i powypalanych, jeszcze przypomina stare dzieje świata: są w nich miejsca dzikie, samotne, ledwie stopą ludzką dotknięte, zagęszczone, splecione, przez które człowiekowi przedrzeć się trudno. Tam zwierz dziki zakłada gniazda swoje, i odpoczywa z szumem tylko drzew nad głową. Wałące się tu od wichrów kłody, spadają jedne na drugie i próchnieją stosami porastając mchami i krzewami; oplata je chmiel dziki, opasują bujne chwasty. Tu i owdzie sączy się przez warstwy niedognitych liści strumyk czarny, wiodąc za sobą odrębną roślinność, trzymającą się jego brzegów; gdzieś gdzie rozlewa się szerzej w trzęsawice i błotko, rokitną

i trzcina zarosła; to znów opada, ścieka i przerzyna się ciasno wymytemi rozpadlinami. Naprzemian to gąszcze ciemne, polanki i łąki, to bory wypalone i przezroczyście, to zapusty młode a ściśnięte, to znowu błota, niziny, zarośla. Najsmutniejsze ze wszystkiego są przestrzenie, przez które przeszła puszczonea nieostrożnie pożoga, z wysokimi okopconemi pniami, żółtymi sosen gałęzmi, zniszczonemi trawy, ciężko choć później bujnie porastającemi na pogorzelskich. Czasem wśród majestatycznej ciszy zaszumi ptak, zaszleści swawolna wiewiórka, przeciągnie kruk krakając głodny, lub czarny bocian mieszkaniec niedostępnych lasu głębin; skoczy koza pierzchliwa, i znowu milczy pustynia poważna, drzemiąca staruszka. Im dalej idziesz, tém mniej śladów ludzkiej stopy: zrazu to droga, to ścieżka, to wydeptane przejście, to pień ścięty, to na ziemi struga trzasek żółtych, gdzie ciosano belkę; to buda myśliwców, którzy siedzieli na tokach lub czatowali na słomki, chata strażnika, dół węglarza, wypalona sosna pastusza, przy której ogień nieca; potem tylko bydłce ślady, potem żadnych, bo zwierzech po sobie nie zostawia prawie, wprawne ledwie je wysłodzi oko.

Drugiego dnia, gdy się zapuścili w głąb' puszczy ciągnącej się pasmem długiém, już rzadka spotykali te spuścizny po człowieku: cisza była głucha, a rzadkie ciupanie siekiery w oddaleniu, zmuszało ich do okrążania miejsca, w którym się słyszeć dawało. Stary kierował się światłem i mchami, zawsze idąc ku północy; nie spotkali i nie widzieli nikogo, a na noc rozłożyli się na suchym pagórku tak obrosłym sośniną starą podszytą leszczynami, że śmiało mogli tu ognia rozpalić i nie obawiać się, by ich miał zdradzić. Jermoła miarkował, że dosyć już byli od Małyczek daleko, a gonić ich tak, jak oni szli, nikt nie mógł. Na śliskiej powierzchni leśnej ziemi, pod borami sosnowemi, ludzka noga nie zostawia żadnego śladu: przypadek chyba mógł ich wskazać pogoni.

Oba podróżni uczuli się zmęczeni i z rozkoszą zjadłszy suchego chleba, napiwszy się z bańki wody, której im strumień leśny dostarczył, spać się pokładli przy nanieconém wysoko ognisku. Jermoła upiekł trochę kartosli, których nabral z sobą, i te stanowiły przysmak wieczery. Radionek wesół był, ale milejący: piersi jego często brakło siły do oddechu, tak się był przyzwyczaił do innego powietrza i powolniejszego chodu. Na

dobranoc zaśpiewał im kos zabłąkany, którego obudziło światło, zaszumił las wiatrem przelotnym, ślizgającym się po jego wierzchołkach, i znowu cisza uroczysta rozciągnęła się nad niemi i puszcza.

Trzeciego dnia lasy poczęły się przersedzać, drzewa maelć, zarośla miejscami zajmowały ich miejsce: ziemia stawała się coraz wilgotniejszą. Czuli, że schodzili w jakąś nizinę: moczary szerokie musieli okrążyć, tu i owdzie pokazały się niezmiernie okiem błota, pokryte szuwarem, i czyste jeziora.

Iść dalej w obranym kierunku było niepodobna, ale że chleba starczyło jeszcze i sił nie zdawało się braknąć, postanowił Jermoła rzucić się nieco w lewo, aby ominąć niziny. Śmielszy Radionek chciał już szukać drogi, wniść na nią i do pierwszej dostawszy się wioski, dalej już otwarcie i jawnie w głąb kraju wędrować; ale Jermoła jeszcze się tego obawiał. Suchszemi więc pagórkami, rzadkawym lasem posuwali się parę dni jeszcze, gdy na odpoczynek ostatniego usiadłszy stary, postrzegł w dziecku tak straszną zmianę, że nią przerażony sam już postanowił drogi szukać.

Dziecię ledwie się już wlokło: duch je tylko trzymał na nogach, nie siły. Odwykłe od pracy, nagle wysilone, zdawało się, że co chwila paść może i nie powstanie. Blady był, zdyszany, skarżył się na zawrot głowy, a gdy padł snem zmorzony, Jermoła ledwie go się mógł dobudzić. Potrzeba więc było szukać ratunku, ludzi, drogi i wioski, a tymczasem trafiwszy na opuszczoną budę w lesie, choć dnia jeszcze dosyć zostawało do wieczora: Jermoła w niej sam udając znużonego, zatrzymał się.

Okolica w której się to działo, już nie tak była pustą jak te, które podróźni przebyli przez dni kilka przedzierając się przez gęstwiny. Tu i owdzie półko stare, trzebież, świeżo poświęcane pnie, świadczyły, że wieś musiała być blisko: samo powietrze przesycone wyziewami dymów i oddechem pól, dawało poznać sąsiedztwo zamieszkanego kąta.

To uspokoiło nieco starego, ale widząc osłabłe dziecko, nie wiedział jak sobie radzić, jak odejść, gdzie i jak szukać ratunku dla Radionka. Groźne to położenie ich obu, dopiero tu w całej sile czuć się dało. Polecając się opiece Bożej, ostatkiem własnych sił nadwątlonych, Jermoła jął się dla wychowawca przysposabiać pościółkę z liści suchych w kątku budy, a przemyślał, jakby się na wieś na zwiady dostać, gdy zaśnie.

Dziecko osłabłe, napiwszy się tylko wody, upadło na posłanie i zasnęło snem kamiennym; starcowi także nogi drżały, w głowie się kręciło: czuł potrzebę odpoczynku, ale użyć go nie śmiał. O kiju powlókł się rozpatrzyć w lesie, i szukać wsi, którą już czuł niedaleko.

W istocie widać było za gęstemi zaroślami w prawo czarne sioło, dosyć długim sznurem nad jeziorem rozsiadłe, najeżone starami gruszami, żurawiami studzień, z dwiema kopułkami starych cerkwi po dwóch końcach, i małym dworkiem na dawnym gródku wśród wałów wysokich, zapowiadającym, że nie sam dziedzic, ale ekonom tylko mieszkać tu musiał. Stary wpatrzywszy się w nie, poznał, że to nie było polesko-wolyńskie sioło, ale kraj jakiś inny, różny od niego, choć podobny, błotnisty, płaszysty i posepniejszy. Przekonywały go o tém i budowa chat inna, i wydmy piaszczyste, i szerokie wody jeziora, i ściérki przy cerkwiach rosnące: to mu się kazało domyślać kobryńskiej Rusi lub okolic Pińska. Zadaleko jednak iść było na wieś po ratunek, dziecko tak samo zostawiając w téj budce, pod noc zbliżającą się i za chwilę przyjsć mającą. Powrócił stary po chwili, siadł w progu, głowę sparł na uszaku, i tak niespokojny zasnął oglądając się na Radionka, którego twarz blada, wydawała się w cieniu marmurową. Śledził chwilami jego oddechu, przysłuchiwał się snowi; to znów złamany powracał, przysiadł i sam oprzeć się nie mogąc gwałtownej potrzebie odpoczynku, zamykał oczy znużone.

Trochę rozpalonego ognia, podsycanego to liśćmi, to gałązkami suchymi, świeciło się pilnując ich do dnia; a gdy na brzask się wzięło, już uspokojony nieco staruszek zdrzémal się na dobre.

Gdy się przebudził, ujrzał zdziwiony pogodne nad głową słońce, ranek wkoło ciepły i pogodny, a przy sobie stojącą kobietę lat średnich, piękną choć bladą, przypatrującą mu się z uczuciem jakiegoś niewysłowionego podziwienia, zadumy i prawie smutku.

Kobięta ta słusznego wzrostu, hoża, czarnooka, ubrana była w szlafroczek perkalowy; chustkę miała na głowie i strój szlacheć, kosz do grzybów na ręku, nóż prosty i jakiś w płachcie białej zawinięte zapasy. Podniósłszy oczy na nią, Jermola równie jak ona zdziwił się i opamiętać nie mógł:

otworzył usta, chciał jakieś imię wywołać i wahał się, obawiał, nie śmiał, zwątpiwszy gdzie się znajduje.

Aż na krok cofnąwszy się, zjawisko owe zawołało:

— Wszakto stary Jermola?

— A! to Horpyna! to wy jejmościuniu....—poprawił się staruszek.

— Co ty tu robisz?

Zmieszał się biędny zbieg, i co miał odpowiedzieć, nie wiedział przełękły.

— Sam jeden jesteś?

— Nie jejmościuniu, z Radionkiem.

— Uciekliście z Popielni? Mów, co się stało?

Przed znajomą i życzliwą nie było co taić: wypowiadał się Jermola. Słuchała go z podziwieniem, oburzeniem, zamyślona, może niebardzo rada ze swojej strony, że się ktoś znalazł, co o jej pochodzeniu mógł tu rozpowiadać, gdzie ona je miała, chcąc za szlachciankę uchodzić; ale z litości i przywiązania do dziecka, nie odmówiła pomocy i rady.

— Darmo tu dziś myśleć o grzybach—zawołała składając nożyk—pójdziemy do wsi, mój mąż tu rządzi, jest chata pusta po kowalu podedworem: tymczasem was tu przytulimy.

Jermola rzucił się i za nogi ją uściskał, a potem zaczął budzić dziecko... Ale noc całą Radionek przepędził w gorączce: gadał przez sen, czego stary nie słyszał, rzucał się; a teraz, gdy go przyszło ocucać, nie dawał się obudzić, ruszał się, podnosił, nie poznając nawet Jermoty i padał na posłanie, skarżąc się to na żar, to na zimno.

Przypatrzwszy się bliżej niepodobna było nie poznać straszliwej jakiejś rozwijającej się choroby: Jermola ręce załamał przełękły.

— Zmarzł, zmęczył się, może się złą wody spotniały napił,—zawołała Horpyna.—Nic to, nic, ale przechoruje biédactwo.

— Ale jak go przenieść do wioski? Może lepiej dać mu już tu wypocząć?

— Zapewne, nie budźcie go, to snem przejdzie,—odpowiedziała ekonomowa—ja idę do domu i przyślę tu jakie jedzenie, bo i głód może być także chorobą... Napal ognia na kominie, drzwi przytknij czém, okryj dziecko i nie ruszaj: ja mu ziołek przyślę....

Jermoła zwłókł z siebie do ostatniej siermiężki, by otulić swe dziecię, i płaczący siadł u łóżka; Horpyna powróciła do domu spiesznie, bo Radionek, którego dzieckiem na ręku nosiła, wzbudzał w niej serdeczną litość.

Nie rychło przyszła ze dworu przysłana stawa, chleb świeży, woda, ziółka, wódka dla Jermoły, i chłopiec, który miał zostać dla usługi przy starym; ale Radionka i teraz zbudzić nie było można do lekarstwa. Twarz jego ogniem paliła, oczy otwierając się świeciły jakimś blaskiem nieprzytomnym, gorączka wzmogła się widocznie.

W głuchym lesie, wśród szumu starych sosen odegrała się ostatnia scena tego cichego dramatu wiejskiego, nieprawdopodobnego może, gdyby nie był prawdziwy...

Drugiego dnia po zatrzymaniu się w budzie strażniczej, Radionek otworzył oczy: trochę oprzytomniał, uśmiechnął się do starego i promykiem nadziei go pocieszył; ale to był błysk ostatni dogorywającej lampy.

Zaczął mówić pocichu, co będą robić gdy wyzdrowieje i odpocznie; obiecywał sobie zaraz wziąć się do roboty. Przypomniał Popielnię, Huluka, kozaczychę, dawne czasy, Małyczki i smutne dni tam spędzone, usiłując rozweselić starego, który płakał, choć lzy tał.

Słabnął tak mówiąc, usypiał; to znów wpadał w gorączkę w której majaczył, płakał, z obawą jakąś porywał się z posłania, i tak skonał na rękach Jermoły, uściskawszy go za szyję.

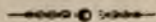
Zastygłe białe ciało jego długo trzymał przytulone do piersi starzec, nie chcąc go oddać mogile; słowa nie rzekł, płakał tylko łzami cichemi, wielkimi. Wreszcie wyrwał mu się wykrzyk bolesny:

— Dziecię moje! moje dziecię! — pochwycił się za głowę i uciekł nieprzytomny.

Na cmentarzu w Horodyszczu wznosi się teraz mogiła Radionka, o której lud, przemieniwszy nieco tę historią, dziwy

opowiada. Nie ma na niej krzyżyka nawet, ale darn ją bujno porasta i zielonością świeżą pokrywa. Pod blizkim kościołkiem długo siadywał staruszek zgrzybiały, małeńki, zwany dziadkiem kościanym: bo też zdawało się, że w nim tylko kości same zostały.

Lud zbiegał się w niedzielę, żartując sobie potrosze z niego, bo go śmieszyło to, że na rękach trzymał zawsze w płachty zakręconą lalkę, spowitą jak niemowlę, tuląc ją do piersi i do snu jęj śpiewając, *luli*, różnemi głosami, a czasem płacząc nad nią... Tym dziadkiem kościanym był poczciwy Jermoła.



IP H I E S S I N

NAD GROBEM CÓRKI,

WIKTORA HUGO (*).

PRZEKŁAD

Ignacego Badeniego.

Dziś, gdy Paryż i jego starożytne mury,
Jego mgła, jego dachy i sztuczne marmury
Już odemnie daleko, a ich blask uroczy
Przestał swym ogniem ranić utrudzone oczy;

Dziś, gdy mnie osłaniają bujne drzew konary,
I pod ich cieniem wielbię wielkie niebios dary;
Kiedy z walki z żalobą i rozpaczy męką
Wychodzę smutny, blady, lecz z zwyciężką ręką,
I gdy wielkiej przyrody czuję pokój zbliżka,
Pokój, który się prosto w moje serce wciska;

Dziś, kiedy spoczywając na nadbrzeżach wody
Wzruszony widnokregiem cudownej przyrody,
Mogę w sobie rozważać prawd szereg bogaty
I patrzeć na rozsiane po murawie kwiaty;

Dziś, kiedy o mój Boże! wśród tej smętnej ciszy,
Tu, gdzie mnie nikt nie widzi i nikt nie usłyszy,
Wolno mi spocząć okiem na niemym kamieniu,
Gdzie wiem, że ona legła w wieczystym uśpieniu;

Dziś, kiedy rozczulony boskich dzieł obrazem,
Tą doliną, tym lasem, tą wodą, tym głazem
Widzę mą nicość obok tych cudów utworu:

(*). Pierwszy śpiew pod tytułem jego włości *Villequier*, czyli początek dzieła *Les Contemplations*.

Odzyskuję mój rozum w obliczu przestworu,
 I ze spokojem oczy zwracając do nieba
 Niosąc Ojczel bo Tobie ufać nam potrzeba,
 Szczątki mego serca pełnego Twój chwały,
 Które twoje wyroki całkiem zdruzgotaly.

Do Ciebie się udaję, bo wyznaję szczerze,
 Że w Twą dobroć, w Twą litość i łaskawość wierzę.
 Uznaję, że sam jeden znasz tajniki świata,
 A człowiek tylko trzcina, którą wiatr pomiata.

Ufam, że grób, ten obraz śmierci i zniszczenia
 Jest kluczem, co otwiera niebiosów sklepienia;
 I że to, co na ziemi za koniec się bierze,
 Jest dopiero początkiem. Tak myślę, tak wierzę.

Na klęczkach przyznać muszę, że sam jeden Panie!
 Masz w sobie nieskończoność, niezawisłe trwanie;
 Przyznaję, że me serce słusznie krew zboczyła,
 Bo wyrok mego Boga tę karę mi zsyła.

Nie stawię już oporu Twojej świętej woli,
 Zniosę cierpliwie wszystko, co serce zaboli.
 Dusza w całej przestrzeni spraw ludzkich szeregu
 Krążąc z żalu do żalu, i z brzegu do brzegu,
 Tą koleją się zbliża do swojego Boga,
 Ta jedna do wieczności prowadzi ją droga.

Przed nami zawsze stawa jedna rzeczy strona,
 Druga w strasznych tajnikach nocy zanurzona;
 Człowiek jęczy pod jarzmem, przyczyn nie docieka,
 Wszystko co widzi, prędko z przed oczu ucieka.

Każdy krok jego życia, każda jego praca
 Zawsze go do ustroni, do pustyni zwraca:
 Boś nie chciał spuścić z nieba wielki światów Boże
 Pewności, ni rozkoszy na ziemskie bezdroże.

Kiedy człowiek ma dobro, los mu je odbiera,
 W rącznych dniach jego życia wszystko obumiera,
 Aby nie mógł powiedzieć obok swój nicości:
 Tu mój dom, tu me pole, tu skarby miłości!

Krótko patrzy na wszystkie przyrody utwory,
 Starzeje, a w starości nie znajdzie podpory:
 Bo wszystko się tak dzieje, jak wskazałeś Boże!
 I któż tej wielkiej prawdzie już zaprzeczać może?

Świat smutny, a w nim zgodność jakiejś nic nie zmieni,
 Złożona to z łez ludzi, to z brzmienia ich pieni;
 Człowiek w tej wielkiej ciemni, to garsteczka prochu:
 Tam dobry w górę wzlata, zły spada do lochu.

Wiem, że Cię inna sprawa zajmuje o Panie!
 Niż litość nad człowiekiem w jego nędzy stanie:
 I że ta rozpacz matki przy dziecięcia grobie,
 Ani Ciebie obchodzi, ani szkodzi Tobie.

Wiem, że wiatr strąca jabłko zawisłe w jabłoni,
 Że ptak roni swe pióra, kwiat siłę swą woni:
 Że świat jest wielkiem kołem, co się toczy wiecznie,
 I kogoś tym swym ruchem zdruzgotze koniecznie.

Dzień, miesiąc, fale morza, łzy w nieszczęścia oku,
 Wszystko mija, jak chwila smutku lub uroku:
 Bo wiem, że Twoja wola Boże, świata duszą;
 Że drzewa kiel wypuszczać, dzieci zierać muszą!

W Twém niebie zawieszonem u obłoków szczytu,
 Na tle tego i wieków, i światów błękitu,
 Może stwarzasz co rozum człowieka przechodzi,
 A w ten twór boleść ludzi, jakby żywioł wchodzi.

Może jest i potrzebą w mnóstwie Twych zamiarów,
 Aby właśnie istoty znamienitych darów
 Niedługo tu gościły, spychane chmurnymi
 Ludzkości przygodami z powierzchni téj ziemi.

Wielkim prawom poddałeś spraw ludzkich koleje,
 I nic ich nie poruszy, i nic nie zachwieje:
 Bóg duchów, duch spokojny, nagle łask nie działa,
 Inaczejby przyrody zgoda się zachwiała.

Błagam Cię o Boże! racz ze swego szczytu
 Wglądnać w wszystkie tajniki méj duszy zachwytu;
 Zważ, że korny jak dziecko, jak kobieta tkliwy,
 Przychodzę dziś uwielbiać Ciebie i Twe dziwy.

Zważ nadto, żem od świtu, każdego dnia stałe
 Pracował, walczył, myślał o Twój boskiej chwale;
 Żem nieświadomym dzieła, tłumaczył przyrody,
 I z Twego światła czerpał wielkich prawd dowody.

Że nie bacząc na zawiść, gniew i losu zmiany,
 Obrałem sobie życia cel prawem wskazany;
 Że i w czystość sumienia, i w serce bogaty,
 Podobnej się spodziewać nie mogłem zapłaty.

Że nie mogłem przewidzieć już pod klęsk brzemieniem,
 Iż mnie jeszcze zwyciężkiem swém zgnieciesz ra-
 mieniem;

I że wiedząc jak mało mam pociech na świecie,
 Odbierzesz tak skwapliwie drogie ojcu dziecko.

Że dusza ulegając srogich ciosów sile,
 Skłonna więc do narzekań, mogła bluźnić chwilę,

I ciskać w niebo gromy wyrzutów zuchwale,
Jak dziecię ciska kamień, na wód morskich fale.

Kto cierpi, zwykle wątpi—nie go nie pokrzepi:
Oko, co ciągle płacze, płaczem się zaślepi.
Człowiek wtrącony w otchłań, ciężką żalu próbą,
Nie widząc Cię, i myślą nie może być z Tobą.

Niepodobną jest rzeczą, kiedy wyrok boski
Spaja z losem człowieka nieszczęścia i troski,
Aby się odbił w duszy, obok serca ciosów,
Wypogodzony promień gwiazdzistych niebiosów.

Dzisiaj ja, com był słaby, jak matka stroskana,
U stóp mojego Boga padam na kolana;
I wśród ciężkiej goryczy jaśniej widzę przecie,
Kiedy okiem powiodę po uroczym świecie.

Przyznaję wielki Boże! że jedynie w szale
Człowiek śmie bunt podnosić i mruczyć zuchwale;
Ja przestanę złorzeczyć, ukróczę rozpaczę,
Niech tylko na jój grobie łyzy bólu wyplaczę.

Niechaj żalem zwilżona łyzy sączy powieka,
Kiedy na płacz, o Boże! stworzyłeś człowieka.
Dozwól, niech przy grobowym zapytam kamieniu,
Czy wiesz, że ja tu jestem, mego dziecka cieniu!

Wieczorem, gdy przyroda zanurzona we śnie,
Pragnę do niego nucić mój żałosci pieśnię,
Tak, jakby w swojej nocy, ten anioł zpod ciosu
Z okiem w niebo utkwionem, słuchał mego głosu.

Kiedy wzrokiem pamięci w przeszłość się zanurzę,
Tam, gdzie wszystkie nadzieje zmiotły losu burze,
Widzę, jakby na jawie, jak znika ze świata,
Jak swe skrzydła rozwija, na zawsze ulata.

Do śmierci stawać będzie ta chwila przedemną,
Chwila, gdy z łązą rozpacz, niestety! daremną,
Zawołałem: o! Boże! o losy uparte!
Dopieroć miał to dziecię, i już mi wydarło.

Nie patrz gniewnie o Panie, na stan mojej duszy!
Zadługom żył pod ciosem najsroźszej katuszy,
Największym życia bolem zdręczyłeś mnie Boże:
Me serce więc ulega, lecz siebie nie zmoże.

I wy ludzie mój wiecznej przebaczenie żalobie:
Śmiertelnik porzucony ciężkiej losu probie,
Nie może nie zapłakać, ani cierpień skrócić,
Ani ducha od czarnych obrazów odwrócić.

Widzisz Panie! jak nasze potrzebne nam dzieci:
 Kiedy więc choć raz w życiu ów promyk zaświeci,
 Że wśród nudów i męki, cierpienia i zgrzyzoty,
 Doczekamy się przecie spragnionej istoty;

I to dziecię pieszczone na ojcowskich rękach,
 Przymila się uśmiechem niewinnego wdzięku;
 Kiedy jego przybycie na ten świat witamy,
 I zda się, że dlań nieba otwarły swe bramy;

Kiedy przez lat szesnaście ten ja, że tak powiem,
 Rost wdziękami, rozsądkiem, kwitnął ciągłym zdro-
 wiem;

Kiedy ów anioł szczęścia, nie wadząc nikomu,
 Był i pociechą duszy i ozdobą domu;

Kiedy z wszystkich rozkoszy, o jakich wśród świata
 Człowiek marzy przez całe życia swego lata,
 Ta jedna tylko prawdą, jedna serca warta:—
 Jakaż rozpacz ogarnie, gdy nam jest wydarta!

TEOFRAST,

I NIEKTÓRZY NOWSI BADACZE CHARAKTERÓW.

(Z księgi Szkiców i Fragmentów).

(Dokończenie).

III.

Ze sprawozdania powyższego o treści, duchu i kierunku pism traktujących o charakterach, widzimy, że wszystkie, o których mówiliśmy wychodzą ze stanowiska praktycznego, to jest biorą charaktery i obyczaje jakie mają przed oczami, jakie społeczność, w której żyją, im przedstawiają. Przymioty, cnoty, wady, ułomności, ich zewnętrzne cechy przedstawiają w obrazkach lub zarysach wybitnych, w których każdy może znaleźć zwierciadło, przestrożę, wskazówkę, chłostę lub pokrzepienie, w miarę jak przegląda się w swoich grzechach i ułomnościach, lub obudza w sobie poczucie przymiotów zaszczyt mu przynoszących: wszyscy, objaśnienie dróg życia i wątek do wnिकnienia w tajemniczy labirynt serca ludzkiego. Teofrast polski więcj jak inni usiłuje wytłumaczyć dlaczego co jest, jak jest; chce wskazywać jakby być powinno: a jakby wątpiąc o skuteczności słowa swojego, kłutwę niejako ciska na społeczność zbaczającą z dróg, które jęj wytyka. Wprowadzenie teoryj do dzieł tego rodzaju, w każdym razie jest z bogaceniem treści i rozszerzeniem poglądu pisarza, które dla czytającego musi być pożadanem; właśnie obok praktycznego rozpatrywania się w ludziach, teoria jest na najwłaściwszém miejscu. Podpiera ona obserwacyą i jest nawzajem od tamtęj trzymaną na wodzy. Doświadczenie jednak pokazuje, że i tak jeszcze może wpaść na bezdroża i zbłąkać się: tak dalece rzeczą ludzką jest błądzić.

Możnaby wprowadzić złożyć obszerne i oddzielne dzieło, gdyby kto zamierzył sobie przejrzeć szczegółowo wszystkie pojedyncze pierwiastki, składające jak cegiełki gmach charakteru człowieka: temperament, wola, serce, rozum, ich powinowactwo i stosunki, przewagę jednego pierwiastku nad drugim. Dalej, wychowanie, wpływ przykładów, książki i ich wybór, zatrudnienia i sposób życia, bogactwo i ubóstwo. Dalej, wpływ instytucyj, praw, obyczajów, zasad i wyobrażeń religijnych; różnice tego wpływu od tego, jaki teorye socyalne i systemata filozoficzne wywierają. Gdyby porównał charaktery różnych epok, ludów pod ciśnieniem odmiennych wiar, praw, instytucyj, zwyczajów; gdyby to wszystko, mówimy, zbadał i obejrzał; gdyby ustalił zasady pewne jak pierwiastki, zarody rozwijań, jak wpływami kierować, jak je miarkować, równoważyć, aby najwyższy stopień wykształcenia wszystkich władz człowieka osiągnąć i podnieść do najwyższej potęgi tę całość zbiorową, tę sumę władz fizycznych i moralnych, którą przywykliśmy nazywać charakterem.

Pozostaje przecież wątpliwość, czy dzieło podług tej metody napisane, dorównywałoby wpływem pismom praktycznym, jakie tutaj rozbieraliśmy. Ogólniki, teorye, definicye, systemata, z jakich dzieło podobne składaćby się musiało, (wszystkim wiadomo), nie tyle objaśniają i nauczają, co proste wpatwienie się w życie. Mędrzec praktyczny podaje nam niejako narzędzie optyczne, zbierające lepiej promienie światła, objaśniające, a może niekiedy powiększające przedmiot, aby go dokładniej obejrzyć: patrzmy i widzimy, czegośmy może bez niego nie widzieli, ale widzimy, jak jest rzeczywiście. Sztuka pisarza i głębokość filozofa-moralisty zależy na tem, aby wrażeniami odebranemi przez widza, umiejętnie pokierować ku jego podniesieniu duchowemu i naprawie moralnej. Trudno nie przyznać, że krótsza jest droga od przykładu do serca i umysłu ludzkiego, nizeli od teoryi do uczucia i przekonania. Nie wahalibyśmy się dać pierwszeństwa książce, któraby wprost płynęła z życia i z doświadczenia, i w którejby jasne poglądy z góry oświecały całość i związek ogółu; w którejby teorya i praktyka szły obok siebie, jedna drugą podpierając, bez służebnictwa i uległości. Zastrzegamy jeszcze wyłączenie sektarstwa, ducha stronnictwa, kasty, uprzedzeń krótkowidzących i wszelkiej polemiki.

Jakoż, na drodze otwartej przez Teofrasta, utworowanej i rozszerzonej przez Labruyera, po której szli również autor Typów i Charakterów, a poczęści i Teofrast polski, można jeszcze (sądźmy), daleko zejść i wiele nowego i pożytecznego zrobić. Niczem tu pisarz nie jest skrzepowany: ani warunkami formy, ani poetycznością i dramatycznością postaci i położenia. Nauka, myśl badająca i spostrzegająca, mają nieograniczone, szerokie i swobodne pole. Może wnioskować, sądzić, porównywać, wnikać w pojedyncze serca i umysły; może za pośrednictwem charakterów przenosić się do zasad i prawd ogólnych, a z prawd i zasad ogólnych do tamtych. Co więcej, wszystko w piśmie tego rodzaju zbiega się w jedność zasad i wyobrażeń, oświecone jest jednem światłem i tworzy całość organiczną. Taka encyklopedia życia, taki słownik rozumowany charakterów i obyczajów, treściwiej może oddać charakter epoki, niżeli każda inna forma. W powieści i dramacie są fragmenta czasu i życia.

Pod tymto właściwie względem pisma tego rodzaju mają wyższość nad powieścią obyczajową. Ta ostatnia góruje zaś nad niemi tą przewagą, jaką mają utwory wyobraźni, ożywione natychnieniem i poezją, podniesione sztucznym interesem wiążącym się do postaci, które poeta potężną róższką talentu do życia przywołuje, nad badaniami rozumowanemi i analizą surowej ale suchej reflexyi. Przewaga popularności zostanie bez wątpienia na stronie powieści, skoro urok słowa i wdzięk formy potrafi i zechce łączyć z wysokimi zamiarami filozofa-moralisty.

Ale, jak to już powiedzieliśmy, dwie te formy w literaturze ani sobie szkodzą, ani się wyłączają, Znakomici pisarze używali naprzemian jednej lub drugiej. Niech każda idzie naprzód po swojemu do wielkiego celu. Nieskończone w rozmaitości i niewyczerpane jako wzór i przedmiot są: świat i życie. Różne są mowy i formy na ich odtworzenie i zbadanie; niemniej odmienne są umysły i serca, do których pisarz przemawia, jak odmienne stany tych umysłów i serce, wedle których w odmienną strunę trzeba uderzać. Tych ożywiać wyobraźnią, tych zaostczać rozum, tych rozszerzać wiadomości; tych poruszać, tych przekonywać; do tych przemawiać obrazami, do innych argumentami; tu nie skutkuje metoda matematyczna, tu poezya odbija się i wewnątrz nie wnika. Wszystkie zaś te metody, drogi, środki jeszcze nie są dostateczne, aby wszystkich

pociągnąć, podnieść do téj wysokości moralnej, którą wybrane umysły widzą i pojmują, i utrzymać się na niéj umieją.

Nie masz wątpliwości, że im głębiej wnika się w ludzi, ich rozumy i serca, w sprężyny i pobudki nimi poruszające; im więcej ich porównywa się, im więcej z nimi porównywa się czasy, położenia, wieki i narody: tém więcej sąd się rozszerza i ustala, zdania wytrawiają, doświadczenie pomnaża. A ten sąd, zdanie, doświadczenie co krok są potrzebne: bo pomimo głosu religii i napomnień mędrców, życie, to wojna podjazdowa, nieporządna ale ustawicznie odnawiająca się. Czujność musi na chwilę nie odstępować nikogo. Biada słabemu, którego męztwo raz się zachwieje, twarz zblednie, noga pośliznie, głowa zamęci i cofnie się z placu: za chwilę będzie pod nogami tłumy, zdeptany, pokaleczony; ani się potrafi już podnieść, chyba cudami męztwa. Zręczność zarówno tutaj jak na polu bitwy popłaca. Patrz zasadzki podstępny i miej się na baczności. Szkoła, salon, urząd, stosunki codzienne z tą lub ową płcią, wiekiem, kastą, w każdéj chwili mogą być placem boju. Sługa, żona, dzieci, kochanka, sąsiad, wszystko to może co chwila wziąć udział w wonie, i stać się raz zapaśnikiem, wrogiem; drugi raz sojusznikiem, wedle czasu i okoliczności.

W téj wojnie trzeba zręczności, siły, umiejętności: a te się nabywa. Trzeba znać plac boju, przeciwnika, użycie broni, prawidła wojny: a placem boju jest świat, przeciwnikiem może być każdy; bronią jest rozum, siła woli, serce i rozum; prawidłami wojny święte cele i obowiązki, jakie rozum, prawa i religia na człowieka wkładają.

Czy się walczy przemocą czy chytrą, czy miłością i abnegacją czy sobkostwem, czy duchem ofiary czy ambycją; czy dla miłości prawdy czy za fałsz, czy dla siebie czy dla rodziny lub kraju; czy idzie się na plac boju popychany miłością ciała, czy oświecony i ogrzany promieniami z nieba: warto wiedzieć co za wypadek będzie téj walki, kogo w takim lub odmiennym razie będzie się miało przeciwko, kogo sprzymierzeńcem; kto opuści, kto zdradzi; gdzie się zajdzie, co się wywalczy; co za nagroda podłego zwycięstwa w złéj sprawie, lub chlubnej porażki w dobréj.

Otóż badając ludzi, czasy i obyczaje, róg zasłony okrywającej te wszystkie zagadki uchyla się, a pozostaje spuszczone dla tych, którzy przedrzeć się za niego nie usiłują.

Wprawdzie ta praca badania serc i umysłów staje się nieraz tak bolesną, spotyka się nieraz tyle bóla, grzęźnie się w niem tak głęboko! Zbyt często śledząc skryte powody czynności, dochodzi się do tak smutnych odkryć! Podobnym jest to zatrudnienie do pracy anatomika, który z skalpelem w rękę kraje wnętrze trupów i bada tajemnice organizmu, sprężyny działające i układ wewnętrzny człowieka. I to praca smutna, a przecież wielka. Obie zarówno odpychające, a przecież nad tą i nad tamtą góruje miłość wiedzy i miłość dobra wspólnego. Jużto umysł człowieka do tego powołany, aby szukał, badał, doskonalił się, i nie zostawił nic nieznanego, zakrytego, chyba rzeczy, które Bogu podobało się zakryć przed ludźmi. To jego przeznaczenie i jego wielkość. Jeden tylko jest warunek, którego w tej pracy pomijać nie można, i który tutaj, jak w każdym innym kroku życia, trzeba mieć na pamięci, to jest: aby pracę rozpoczynać i prowadzić w miłości ludzi i dla miłości ludzi. U kogo się zawiązuje w goryczy i nienawiści, gorzkie tylko i jałowe przynosi owoce.

Dlatego też do pism tego rodzaju mniej potrzebny dowcip, a mianowicie gryzący i przenikliwy; mniej potrzebna przebiegłość w ściganiu, śledzeniu, wydobywaniu na jaw wad i ułomności, a najmniej potrzebne słowa jadem zaprawne; ale raczej pogoda męża myślącego, w zgodzie będącego z sobą samym; bezstronność sędziego, spokój wewnętrzny chrześcianina, zachowującego miłość i współczucie nawet w naganie i potępieniu. Umysł skłonny do szyderstwa albo do dumnej zniewagi, nie dopina tutaj swojego celu. Wprawdzie różnemi środkami można poprawiać: śmiechem, uniesieniem słusznego gniewu, silną i porywającą wymową, ironią, mówiącemi do wyobraźni porównaniami. Może też pisarz wszystkich tych środków z kolei używać z chlubą dla siebie, a pożytkiem czytających; ale wśród tych wszystkich wysiłen kunsztu pisarskiego musi przebijać czyste zwierciadło duszy piszącego, jak przejrzyste dno jeziora. A w tym kryształe duszy powinny być wyraźne: pogoda, sprawiedliwość, bezstronność, współczucie.

Bezstronność zwłaszcza jest rzadką i trudną wszędzie i zawsze: każdy patrzy na ludzi i stosunki ze swego stanowiska. Dla tchórza odważny jest szalonym, a przynajmniej nieroztropnym; dla bezbożnego pobożny bigotem; dla rozrzućnego oszczędny sknerą; dla kostery i pijaka człowiek lubiący pracę i po-

rządek odludkiem i egoistą; dla postawionego nisko na drabinie towarzyskiej, możni są wyniośli i bez serca; dla tych znowu tamci zawistni i podejrzliwi z dumy. Ci sami, kiedy pierwszy z nich podniesie się a drugi spadnie ze szczytu swojej wielkości, nabierają właśnie sposobu widzenia: pierwszy drugiego, drugi pierwszego. Młody lekceważy starość i zarzuca jej egoizm i zrzędność; starzy młodości płochość i zarozumiałość. Ostatnim trudno już się uleczyć ze swoich uprzedzeń do młodego wieku i umierają z niemi; ale młody skoro postępuje w lata staje się z kolei niesprawiedliwym, albo do zbytku wymagającym od młodości. Mędrak na prostaczka patrzy z litością, czasem z pogardą; nieksiążkowi nawzajem, mianowicie w społeczeństwie tchnącym barbarzyństwem, patrzą na uczonego jak na wroga, albo jak na sprzęt niepożyteczny.

Mąż bezstronny znajduje właściwy punkt widzenia i stawia wszystko na swoim miejscu. Zdolny jest wszystko dobre w drugich odszukać i umiłować; wszystko co piękne i szlachetne uczuć, przecuć nawet; złe naprawić albo wybaczyć. To wprawdzie nie zakryje go zawsze przed nienawiścią złych i głupich, ale za tych albo się modli, albo ich potęgą swęj czystości i wyższości rzuca o ziemię, do milczenia przywodzi i rozbraja; albo słowa ich namiętne nie dochodzą do ucha tego, którego myśl i uwaga zwrócona do rzeczy wielkich.

Jak kiedy się podróżuje po kraju górzystym, to co krok nieomal zmieniają się widoki, coraz nowe odkrywają się obrazy natury, i coraz pod nowemi postaciami występuje wspaniałość i bogactwo tego olbrzymiego arcydzieła Boga; podobnie przebiegając myślą świat moralny, świat fenomenów życia ludzkiego i społeczeńskiego, świat uczuć i namiętności, wszystko się zmienia co chwila posuwając się: raz widnokrąg się rozszerza, drugi raz ścieśnia. Coraz nowe przedmioty, coraz nowe punkta widzenia. To piękne, to brzydkie, to dzikie, to pospolite, uderza naprzemian oko. Zróbmy kilka kroków w tym urozmaiconym i pełnym bogactwa świecie; kilka mówię tylko kroków, bo ani zamiar, ani zakres pisma nie dozwala nam się zapuszczać daleko i głęboko.

Są w świecie dziwne analogie, podobieństwa, zbliżenia pomiędzy ludźmi, powołaniami, uczuciami, skłonnościami, klasami, warstwami społeczeństwa; nawet niekiedy wykazać szereg tych analogii, tych zbliżeń, miałoby może tę korzyść, że

mniemana wyższość jednych nad drugimi upadłaby lub słabła w obokstawieniu; a co więcej, antypatye i poniżania wzajemne okazałyby się śmiesznymi albo nieuzasadnionymi.

Jeden tu tylko przykład weźmiemy:

Mąż oręża i mąż pióra, (choć ze sobą niekiedy łączą się te dwa zawody), częściej ze sobą nie sympatyzują. A przecież jest pewne moralne podobieństwo pomiędzy jednym z tych powołań a drugim, więcej może jak pomiędzy jakimibądź innymi; jeżeli zwłaszcza każde z nich bierze się w najszlachetniejszym swoim znaczeniu i najczystszym charakterze. Tu i tam siła, odwaga, zręczność, umiejętność, wytrwałość odnoszą górę; tu i tam zapał bitwy unosi nieraz daleko i zadaleko; tu i tam obowiązkiem walczyć za prawdę i słusność: oba zawody pełne pracy, zawodów, mozolne i śliskie. Żołnierski otoczony niebezpieczeństwami osobistymi, których tamten nie zna; ale natomiast w nim ciało hartuje się ruchem i powietrzem. Życie książkowe podgryza ciągle, trawi i zużywa powoli. Po walce żołnierz oddaje się wszystkim przyjemnościom i rozkoszom życia; uczoney wszystkie dni składa na ołtarzu w całopaleniu. Jednaką przecież tu i tam namiętność sławy, która nad wszystkiemi góruje, przyświeca ciągle i prowadzi naprzód. Jednakowego zapasu choć odmiennego gatunku potrzeba tu i tam odwagi, jednakięj wytrwałości. Żelazna wola musi być w piersi tego, co chce błąd obalić, prawdzie i światłu wrota otworzyć; jak w piersi tego, co chce bagnetem w rękę gwałt odeprzeć, tryumf niepodległości, wierze zagrożonej, albo czci narodowej zapewnić. Słowo równie ugadza jednego, jak kula lub pałasz drugiego: korzyści tylko obu zawodów nierówne. Jeden daje władzę, hołduje serca piękności, podbija podziwienie i cześć tłumów, daje bogactwa i cały ten blask zewnętrzny, który tak silnie przemawia do wyobraźni i podnieca próżność; w pieśniach i podaniu posyła imię szczęśliwego wojownika do dalekich pokolei i uwiecznia go w ich pamięci; drugi gasi oko, głowę pochyla i przedwczesną oprusza ją siwizną, daje żywot pracy i trudu, szarpany zawiścią, rzadko dostatek, rzadziej niezaprzeczany rozgłos za życia, kiedyniekiedy sławę pośmiertną, najczęściej ubóstwo—potwarz za życia, zapomnienie po śmierci.

Mówiliśmy o podobieństwach i zbliżeniach, teraz słówko o przeciwieństwach.

Ostatnie czasy naniósł do nas wyobrażeń, zasad, praw nieznanych dawniej: ale pozostały znowu z dawniejszych czasów tradycje, nawyknięcia, nałogi, zwyczaje będące z tamtymi w sprzeczności. Ztąd walka i ścieranie się na polu obyczajów pomiędzy zabytkami czasów dawnych i nabytkami nowymi. Mnóstwo ludzi u nas, którzy za nic w świecie nie zestąpiliby do zatrudnień oddawna uznawanych za ubliżające szlachectwu: do kupiectwa, rzemiosła, pracy piórowej lub artystycznej. Lubiemy, aby się odbijał w życiu, stroju, otoczeniu, blask zewnętrzny, mający podnosić i utrzymywać, jak mniemamy, świętność rodów. Chętniśmy się zasługami przodków, ale życia, pracy i poświęcenia dla dobra publicznego, ci sami zwolennicy tradycji rodowych chronią się jak mogą. Przestajemy lubić rolnictwo, bo się stało pracą i nauką, a żadnego innego zawodu obrać nie mamy odwagi. Pełno przeciwieństw u nas. Nie umiemy się utrzymać na wysokości szlachectwa, ani go odepchnąć. Odmawiamy szacunku tym, co się pracą podnoszą; wstydzimy się tych, co nie mają fortuny. Czujemy to przecież dobrze, że imiona bez zasługi i pracy gasną; że tytuły i świętność urodzenia stają się częstokroć niewygodnemi lub śmiesznyemi w ubóstwie. Kołyszem się w niepewności, raz nadszkakując wielkim imionom bez zasługi, lub pogardzając wielkimi zasługami bez imienia; drugi raz odpychając wielką zasługę dlatego, że jej wielkie imię towarzyszy. Raz cisnąć się wszędzie i kupiąc naokoło siebie wszystkie małości na dnie towarzystwa będące, drugi raz zamykając się w jakimś kółku zaczarowanem, którego nikt kroplę krwi nieczystej w żyłach swoich mający przestąpić nie może.

Z tego tylko punktu wrażenia wychodząc, zyskujemy typy i charaktery właściwe czasom obecnym, odrębne i wyraziste: człowieka, który żadnego ustępstwa napływowym wyobrażeniom nie robi, zamknął się w swój dumie rodowej jak w puklerzu i z obojętnością depcze tłum, głuchy na jego krzyki; człowieka, który wchodzi w kompromis z czasem, szuka popularności czy z przekonania, czy z obawy, czy z interesu; dalej innego, który stoi na linii środkowej i wedle wiatru, który powieje raz przechodzi na jedną stronę, drugi raz na drugą. To znowu przedstawia nam się człowiek, który pracą i talentem usiłuje podnieść się do wyższych szczeblów, jak te, na których los go umieścił; innego duma a raczej ambicja popędza

do tego samego celu podłością i przez występki: ten dopina celu, ten upada napół drogi zdeptany. Inny znowu siłą chce potargać więzy, które go trzymają w poniżeniu i ubóstwie: zżyma się, urąga społeczeństwu i odgraża się zemstą. A dalej jeszcze jeden, obojętny na to, gdzie podobało się Opatrzności postawić go w świecie, w dopełnieniu wielkich celów człowieka, w pracy i miłości znajduje całe zadowolenie; czy stanął wysoko, czy nisko, umie być na swoim miejscu, rozwijając i podnosząc swojego ducha, podnosi swoją godność moralną, uszlachetnia życie i w zapomnieniu siebie idzie naprzód, jak przystoi na chrześcijańskiego męża i t. d.

Nie zmieniając punktu widzenia, rzućmy tylko okiem w inną stronę: spotykamy nowe fenomena moralne i obyczajowe.

Wszyscy ludzie myślący zgodzili się podobno na to u nas, że kobiety moralnie górują nad nami. I my godzimy się chętnie na to, tylko w określeniu tej przewagi chcielibyśmy być ściślejsi i dać jej właściwe znaczenie. Nie znajdujemy jej we wzroście sił umysłowych, w rozwinięciu niezwykłym intelligencji, w przewadze nauki: jednem słowem nie w rozumie wyższość tę uznajemy za czysto moralną. Podobna ona jest do wyższości duchowej chrześcijan nad światem pogańskim. Wszyscy filozofowie, retorowie, zawołani legiści ulegli pod wpływem wyższych duchem prostaczków. Takim sądzimy być wpływ i przewagę kobiet. Ich instynkt moralny wiedzie je do wszystkich szlachetniejszych i wyższych zajęć: czytają więc i uczą się coraz więcej, ale nie czytają i nie uczą się gruntownie i systematycznie. Wiele może być uczonych i bardzo uczonych, ale tu nie mówimy o jednostkach. Sądzimy nawet, że ta przewaga upadłaby, gdyby zamiast być moralną, zapragnęła być intelektualną. Górują więc czystością i pobożnością, pracowitością, zamiłowaniem obowiązku, duchem miłości i poświęcenia. Górują gorętszym uczuciem dla wszystkiego, co piękne i wzniosłe. Górują prostotą duszy i siłą woli. Wśród epikureizmu, sceptycyzmu, jaki je otacza, nie dziwnego, że skarby ducha, jakie posiadają, dają im wyższość i przewagę. Kostera, libertyn, niepowściągliwy rozpustnik, żartok albo pijak, musi uleść w boju i uchylić czoło przed prostotą, czystością, szlachetnością. Musi, jak powiedzieliśmy uleść, albo kryć się, obłudą i kłamstwem osłaniać swoje zboczenia; albo stać się tyranem, i siłą fizyczną odpychać

przewagę moralną i przymusić je do milczenia. Gdyby można zrobić dokładną statystykę moralną małżeństw, pokazałoby się, że więcej jest u nas mężów uległych i tyranów, niżeli takich, którzyby stali na wysokości swego powołania i przeznaczenia, byli tarczą dla kobiety, gruntem silnym, na który z pewnością można zarzucić kotwicę.

Są liczne i bardzo liczne wyjątki od zasady, którą powyżej postawiliśmy. Ta wyższość, o której mówiliśmy, nie jest ani powszechną, ani istniejącą po wszystkie czasy. I jej przyczyny nie są zawsze takie, o jakich mówiliśmy. Nieraz chłód charakteru i egoizm bierze górę nad uczuciowością i dobrocią. Nieraz zrećność i chytryść w wojnie podjazdowej podbijają umysł rozległy i głęboki, ale prosty i ufający. Nieraz wyższe ukształcenie ustępuje kroku brutalstwu i rozpasaniu języka. Są złe charaktery, twarde serca, ciasne pojęcia wszędzie i zawsze, we wszystkich klassach, płciach i wiekach. Robimy to zastrzeżenie, bo nie chcielibyśmy, aby każda z czytelniczek naszych (jeżeli jaka się znajdzie), podług téj skali, którą wyżej podaliśmy, mierzyła się ze swoim ojcem, bratem, mężem. Są wszędzie wyjątki od zasad ogólnych. Wracamy do rzeczy.

Kobięta ma poczucie swojej wyższości, ale niezawsze umie sobie zdać z niej sprawę, położyć jej granice i właściwie obrać stanowisko na tém polu rozleglejszych swobód i zdobyczy moralnych, jakie prawa i obyczaje teraz im dają lub jakie same sobie wyrobiły. Prawa i obyczaje nawet są pod pewnym względem w sprzeczności ze stopniem intelektualnego wykształcenia, jakie odbierają kobiety. Koło ich wiadomości bywa zamale w młodości, zakres ich czynności, ich obowiązków zaśzczupły, przywileje dosyć ograniczone w wieku późniejszym, skoro wstępują w stosunek małżeński, iżby jako wdowy mogły nabyć doświadczenia, wiadomości i wprawy dostatecznej do kierowania wychowaniem, losem dzieci, unieść ciężar interesów i majątek donieść w całości do następnego pokolenia. Są takie, którym zdrowy rozsądek nagradza sownie brak nabytych wiadomości i doświadczenia; są i takie, które będąc wybornymi żonami, stają się potem płochemi i lekkomyślnymi wdowami.

Z tych źródeł, które wskazaliśmy, płyną nieskończone dramata domowe i familijne, łzawe i śmieszne, okropne i dziwaczne, których wszyscy powieścio-pisarze i dramaturgowie, jacy są i będą jeszcze, wyczerpać nie potrafią. Z tych źródeł płyną

dziwne formacje charakterów, właściwe stosunkom, które im dają początek. Zastępują one na to, aby im szersze odtąd naznaczono miejsce w dziełach na wzór Teofrasta pisanych. Wskażemy z nich kilka; będzie to jak rejestr warstw napływowych w formacjach geologicznych. Ta, której intelligencja podniosła się kosztem serca i uczuć; niezadowolona; zbuntowana; wyzwolona; współubiegająca się z upadłym rodem męzkim o władzę, wiadomości, niepodległość, ubiór. Dalej, znudzona domem, zrzucająca pęta przymusu i puszczająca się w świat, podróże, uciechy; tęskniąca. Taka, która urosła w swobodzie i niepodległości, i od młodości żyje koczowniczo i awanturniczo. Dalej, kochająca domowe ognisko, dzieci, pracę i pokój; znosząca cierpliwie złą i dobrą dolę, dla miłości Boga i szacunku u ludzi. Dalej jeszcze, kobieta ofiara, poświęcająca się z wiarą męczennika, patrząca w niebo i odnosząca zwycięstwo bogactwem miłości i pokory. Dalej jeszcze, kobieta, co zbłąkała się w rozwinięciu swej intelligencji, i jak uczeń w balladzie Goetego nie umiejący słowa niszczącego tajemne zaklęcie, pozbyć się usług skrzywionego rozumu nie może: gubi on ją, zatruwa jęj szczęście domowe, czyni ją ciężarem drugim i sobie samęj. Dalej kobieta, która z świadomością siebie i rozsądnym pojęciem swojego stanowiska umie zdobywać w sztukach i naukach imię nieskażone, bez poświęcenia swoich obowiązków i bez skażenia swych uczuć. Wreszcie kobieta szlachetna i wzniosła, co wśród zamętu wyobrażeń umie zachować prostotę rozumu i czystość serca, w miłości i poświęceniu znajduje cel i szczęście życia.

Jeszcze nie zmieniając stanowiska i punktu widzenia, spojrzymy w inną stronę.

Jak podróżny, który w młodości tęsknił za znajomością dalekich krajów, kiedy zwiedził morza, góry i stepy, kiedy doświadczył burz morskich i uraganów pustyni, i skwarów równika i mrozów podbiegunowych; kiedy wszystko obejrzał, tysiące przeżył niebezpieczeństw, ciekawość nasycił, siły nadwątlił a żądzy wiedzy nie zaspokoił i powraca z tęsknotą do domku, gdzie młodość przepędził, wita go z uczuciem rozkoszy i za nic w świecie jużby się z nim nie rozstał: podobnie dzisiejsze pokolenie powraca do wiary, od której odbiegło. My Bogiem a prawdą nie możemy o sobie powiedzieć, iżbyśmy przedsiębrali trudne wyprawy do bieguna północnego racjonalizmu, lub puszczając

li się na długie i burzliwe wędrówki w sfery podzwrotnikowe myśli i abstrakcyi. Nie możemy się pochwalić nawet, iżbyśmy ważne odkrycia porobili w dziedzinie błędów i fałszu. Raczej naśladowaliśmy błędy obce. Materyalizm encyklopedystów podobno najszerzej się u nas rozpostarł. Późniejsza filozofia niemiecka więcej podobno plam zostawiła w literaturze, niżeli skażenia w umysłach. Formy jej kolczaste, szyszkowate, drapiące, nie przypadają nigdy do natury naszego umysłu lubiącego jasność i prostotę. A i tych plam, i tych skaz, jakie się tu i owdzie dostrzedz dają, nie byłaby może zostawiła, gdyby nauki filozoficzne wchodziły w systematyczny układ wykształcenia umysłowego. Na zadziwonym gruncie najbujniej rosną chwasty. Gdyby ci, co brali się do czytania dzieł mędrców niemieckich lub do pisania wyłącznie pod ich wpływem, byli wprzód równie dobrze poznali Platona, Arystotelesa, Kartezjusza, Spinozę, Leibnitza, mędrców średniowiecznych i wielkich doktorów kościoła, jak poznali Kanta, Szellinga i Hegla: nie byłiby uwięźli w jednostronności, w szkolarstwie; nie byłiby przesiąkli zawilgocią niemiecką, i pozostawili, jak powiedzieliśmy, znacznych plam w literaturze, obok trochę skażenia w umysłach. Bo, jak powiedział Bako, trochę filozofii prowadzi do bezbożności; głębsze jej poznanie do Boga. Większym może złem u nas jest obojętność. Kto wie czy nie ztąd ona pochodzi, że my, jak ów podróźny, o którym wspomnieliśmy, nie tęsknim do domowego ogniska wiary, bośmy dalekich trudów i smutnych zawodów wśród burz myśli nie przeżyli. Dałby to Bóg jednak, abyśmy mogli powrócić do niej bez tego smutnego przygotowania, i aby odrodzenie dzisiejsze w wierze przodków nie było także przemijającym tchnieniem naśladownictwa, pożyczaną suknią.

Tymczasem jesteśmy w stanie przechodnim. Błąka się jeszcze słaby materyalizm z filiacjami swojemi: epikureizmem, sceptycyzmem, indyferentyzmem; tu i owdzie drobne wypustki panteizmu i eklektyzmu; wiara chwiejąca i nieustalona, wiara z mieszaniną mistycyzmu, wiara prosta i czysta. Na tém tle badacz charakterów obfity plon mógłby zebrać. Probował tego Teofrast polski, ale przedmiotu nie wyczerpał. Piękny jest w nim obraz męża chrześcijańskiego; nie wszystkie przecież różnice wolnomyślenia odbite w indywidualnych charakterach uchwycił; nie wszystkie zboczenia i zarośle na drodze nowo otwierającej się przekonau i zasad religijnych wskazał. Pomi-

nięty charakter hipokryty, fanatyka, formalisty, równie jak materialisty, indyferentysty, sceptyka. i t. d. My wskazać tylko chcieliśmy na szereg charakterów z tego źródła płynących.

Podobnych punktów widzenia, z których wysnuwa się co raz to nowe pąsmo typów i charakterów, możnaby wiele innych wskazać. Ograniczamy się i idziemy dalej ku końcowi, który i tak nad zamiar się usuwa.

Wielokrotnie zrobiono spostrzeżenie, że epoka obecna nie jest sposobna do wydawania wielkich indywidualności i znamienitych a wydatnych charakterów. Spostrzeżenie to podobno jest prawdziwe, i nietylko nie czujemy się skłonni do zaprzeczania go, ale owszem uznajemy jego trafność. Trudno by tego naznaczyć istotne powody. Zdaje się, że duch czasu do krytycyzmu i analizy skłaniający się, budowa społeczeństw niwelująca, równająca wszystko, co dawniej wyżej się nad innych podnosiło, górowało i błyszczało; zresztą popęd ogólny do przemysłu i za tym idąca namiętność zysku, materializm lubiący się nurzać w rozkoszach ziemskich i odrzucający nadzieje i pragnienia pozaziemskie: zdaje się, mówię, iż wszystko to razem składa się, aby epoce naszej dać cechę małości w obec i w porównaniu z innymi wielkimi epokami, ożywionymi wielkimi ideami, i zniżyć charaktery pojedynczych ludzi do małych niezwykle rozmiarów.

Z drugiej strony tego zaprzeczyć nie można, że jest jakaś gwałtowna, niepojęta siła ruchu w społeczeństwach dzisiejszych; jakaś nagląca potrzeba rozszerzania zakresu działania, wpływu i stosunków; jakaś chciwość ogarnięcia świata materialnego i tajemnic natury; jakiś gorączkowy popęd do niszczenia przeszkód tamujących skojarzenie się różnych plemion, dawniej wcale oto kojarzenie się nie troszczących: skracania, niszczenia przestrzeni i czasu. W tych siłach, skłonnościach i popędach wieku leży jego wielkość, znaczenie w przyszłości. Jest to wiek przejścia widocznie. Toruje on drogi następnym i otwiera wrota przyszłości.

Rzeczywiście jeżeli jakie wielkie wojny lub kataklizmy nie wstrzymają na czas naturalnego biegu rzeczy; kula ziemska niebawem stanie się jakby jedną częścią świata, jednym krajem pod względem stosunków, komunikacyj, wzajemnego zaznajomienia się. Indywidualności narodów, ich odrębności, ich nienawiści lub wyłączności muszą jeśli nie zatrzeć się, bo to jest niepodobieństwem, to uleść nieskończonym złagodzeniom.

Przemysł, obyczaje, kultura przybiorą pewne cechy podobieństwa, jak dzisiaj już ubiór ludzi i pozór miast większych, w krajach złączonych stosunkami łatwiejszemi i częstszemi, przybrał cechy jednostajności. Jak powiedzieliśmy, nie zetrze to narodowości, ani ich indywidualizmu: ale je złagodzi. Myśli, wynalazki, ulepszenia będą przebiegać lotem błyskawicy, wszędzie pojmovane, swojskie, łatwo puszczające korzenie; bo w zbliżonym do siebie i złączonym jakby w jedno świecie, musi się utworzyć jakaś wspólność, jednolitość przemysłowego i naukowego wykształcenia.

Pomyślmy, że na gruncie tak przysposobionym odżyją, zazielenią wielkie idee religijne, moralne, teraz tak zaniedbane, obojętnie obchodzone, ale których brak już daje się uczuwać, i których potrzeba coraz wyżej wzrastać będzie w miarę postępów materializmu i w miarę skupienia wszystkich sił żywotnych narodów, około pracy wyłącznie dla zdobycia dóbr ziemskich podejmowanych. Wróci więc, dobędzie się wielka tęsknota i gorące pragnienie życia duchowego, życia łączącego warunki ziemskości z warunkami wyższemi, które Bóg wlewając w nas ducha swego nieśmiertelnego, w łonie naszym zaszczerpił, a które prąd czasu raz gasi, drugi raz roznieca. Pomyślmy mówię, że na tak przygotowany grunt padną wielkie idee moralne i religijne, odmładniające świat i wskrzeszające jego uspięne instynkta duchowe: wtenczas potęga natchnionego i orzeźwiającego słowa odrazu przebiegnie świat od końca do końca, i jednem płomieniem świętości zapali ludy i pokolenia całe.

Może w samotności i ukryciu, może wśród ludów usuniętych od gwaru i ogniska tegoczesnej cywilizacyi, może wśród milczenia uroczystego, które zwykło otaczać natchnienia geniuszu i pierwsze zarody wielkich duchowych ewolucyi; może w pustyni lub krajach pogardzonych lub podeptanych dzisiaj tkwi już ziarno—nasienie tego wielkiego przyszłego odrodzenia.

W takim razie ubóstwo naszych czasów w wielkie indywidualności byłoby tylko pozornem, albo raczej usunięcie ich z teatru świata wyrokami Opatrzności byłoby jednem z tych rozrządzeń, na które sarkamy, bo krótkość naszego wieku i płytkość rozumu w pojmovaniu biegu wszechświata nie pozwalają nam ich pojąć i wytłumaczyć. Błąkamy się, wynosimy lub poniżamy bez granic popychani wyższą i mędrszą potęgą do nieznanym nam celów, przeszłość mając oddaną pod swoje rozkazy jako światło dla ukształcenia rozumu, a terażniejszość jako

pole otwarte dla naszego geniuszu, dla rozwinięcia w niej wolnej woli, dla zasługi i dorobku względem przyszłych pokoleń, a mianowicie dla zasługi względem tego, który nam wędrówkę tę przeznaczył, światłem rozumu i wolną wolą obdarzył.

Gdy punktem wyjścia w naszym piśmku był Teofrast, kończąc, zwracamy się jeszcze myślą ku niemu i mimowolnie następcza nam się pytanie: kto więcej mógł wpłynąć na ludzi, on, czy Plutarch? Czy wystawienie ostatniego jako wzór wielkich cnót, wielkich przymiotów, wielkich charakterów i wskazanie dróg, jakimi szli do tej wysokości, na której stanąć im się udało; czy pierwszego rozbiór, krytyka naukowa, bezstronne ocenienie w ogólności charakterów ludzkich z ich wadami, niedostatecznościami, ułomnościami równie jak przymiotami, zaletami, doskonałościami? Sądźmy, że jeden drugiego dopełnia: jeden uczy jak się kształcić, jak iść, jak być samemu należy; drugi, jak drugich poznawać i sądzić. Dodamy jeszcze, że Plutarch działa mocniej, wpływa potężniej na umysły młode, świeże, czyste i nieskażone; Teofrast na umysły, które już poniekąd zajęła zaraza zepsucia moralnego: podobnie jak zdrowe i posilne pokarmy rzeźwią i wzmacniają ciało zdrowe i czerstwe, a dla ożywienia i pokrzepienia organizmu nadwątłego, potrzeba niekiedy silnej trucizny, aby mu działalność i zdrowie powrócić.

Bezwątpienia nie nauczymy się z książek poznawać ludzi: najlepszą w tej mierze szkołą jest świat, życie. Przez nie zbiera się prawdziwy plon doświadczenia i wiadomości nieomylnych. Tu bystrość się ćwiczy, sąd wytrawia w probach nieraz drogo okupionych, i wszystko, co się na tej drodze nabędzie, pozostaje głęboko wyryte w pamięci. Co się przeczytało, to niezawsze tak silnie chwytła się umysłu. Nie jedno się zapomni; nieraz pozostanie się w zwątpieniu wśród napotkanych sprzeczności; nieraz nie wierzy się na słowo piszącemu. Ale za to, o ileż tu szersze pole doświadczenia? Nie każdemu danem jest od losu żyć w zetknięciu z wielką ilością ludzi godnych służyć za przedmiot do studyów, boć przecie ludzie bez zdań, myśli i charakteru, a takich niemało, nie mogą wchodzić w rachubę. Nie każdemu wydarzy się otrzęć się o różne klasy, sfery i narodowości. Znakomitości mało jest wszędzie i zawsze, a szczęśliwy, kto je w rejestrze wspomnień swoich naliczyć potrafi. Idzie się nieraz w życiu długo przez stepy puste, na których oko badacza nie nie spotyka, nic w księgę pamięci wnieść nie może. Cóż jest wreszcie kilka dziesiątków lat do-

świadczenia najbogatszego, w życiu najpełniejszym zbieranego, w porównaniu z doświadczeniem wieków i narodów, Otóż tę mądrość wieków, a raczej tę sumę doświadczenia i spostrzeżeń nad sercem i głową ludzką, w różnych czasach, miejscach, stopniach cywilizacji, pod różnemi formami instytucyj i pod panowaniem różnych wyobrażeń, uzupełniają książki: w nich spotyka się obrazy ludzi i charakterów skończone, zamknięte, którym nic dodać, nic ująć nie można. W życiu ludzie mieniają się, przeistaczają nieraz, a pozory myślą lub namiętność uwodzi sąd o nich. W książkach spotyka się wszystkie wyższe i więcej zadziwiające indywidualności: można wybierać co komu potrzeba i żyć w tém społeczeństwie wybraném. Że duch człowieka podnosi się do wyższego nastroju, przebywając wśród grona takiego, to wiadomo; ale na co mniej może zwracano uwagi, to, że między żyjącym a umarłym, może za pośrednictwem obcowania książkowego powstać współubieganie, równie gorące, namiętne, równie rozwijające i podniecające do ruchu wszystkie sprężyny ducha, jak we współzawodnictwie pomiędzy żyjącemi. Walczy się szlachetnością, rozumem, odwagą, wolą z wielkimi wzorami wybranemi z przeszłości. Tak kształcą się nieraz ludzie wzbudzający podziwienie tłumu.

W życiu znowu i w zetknięciu z ludźmi nabiera się pewności oka, umiejętności rozróżnienia pozorów i fałszu od prawdy. Głębokości i rozległości sądu i zdania więcej może dać mogą książki, ale ta głębokość i rozległość będzie nieumiejętną w zastosowaniu. Kogo świat i życie wyłącznie ukształciły w umiejętności badania charakterów, tego sąd i zdanie o ludziach bywa zbyt ciasne i zbyt niskie. Prędzej przecież jest zdolnym kierować nimi, a mianowicie korzystać z ich słabości i wad. Wykształcenie wyłącznie książkowe bez dostatecznej pomocy życia w ciżbie światowej, wśród kulaków i szturchańców i bez współudziału w ważniejszych wypadkach, tworzy ludzi teoretycznych, idealnych, -swój teorii i swoich ideałów nieumiejących skleić i połączyć z życiem rzeczywistém. Tacy ludzie przecież prędzej umieją uznać, ocenić prawdziwą wyższość moralną i intelektualną. Niezręczni często i nieumiejętni we własnych krokach życia, wahający się w działaniu, łatwo przychodzi ich uwieść i oszukać. Ale w ważnych chwilach, w jasnych położeniach umieją być silni. Zdolni są poświęcić się dla idei, a ludzie praktyczni tylko dla rzeczywistości.

Szczęśliwi, którzy mogą iść po drodze tego podwójnego ukształcenia, bo po niej tylko dojść można do prawdziwej znajomości ludzi i rzetelnego pojęcia wielkiej sztuki życia; i po niej tylko do wyrobienia w sobie (jeżeli Bóg do tego udzielił stosowne usposobienia) głowy, serca i woli zdolnych pojmo-
wać, czuć i wykonywać rzeczy wielkie w jakim bądź zawodzie.

Z takich też tylko powstać mogą dobrzy przewodnicy na trudnej drodze życia. Wielcy moralisci kształcą się zarówno życiem jak nauką, i pod tym tylko warunkiem pisma ich mogą mieć jakiś wpływ i znaczenie.

Wszystkie najciekawsze, najgłębsze, najważniejsze zadania obchodzące filozofa-moralistę zbiegają się w badaniach nad charakterami: bo charakter będąc zjednoczeniem sił fizycznych i moralnych, dzielności, woli, rozumu, serca, wyobraźni, jest wyrazem całej istoty człowieka, jest nim samym: w nim i przez niego działa i występuje na zewnątrz. Badając charaktery bada się ludzkość; wpływając na kształcenie charakterów, kształci się ją. Summa charakterów w społeczności tworzy obyczaje. Obyczaje kierują sztuką, literaturą, prawami do pewnego stopnia. Jestto potęga, z którą trzeba wchodzić w układy. Jestto niewidomy, niedający się ściśle określić ani uchwycić, ale niemniej potężny kierownik społeczności.

Z tego się pokazuje, jak ważne w literaturze zajmują miejsce książki, których zadaniem jest studyowanie charakterów; jak wielkiem ich posłannictwo i jak niepospolite przysługi oddać mogą społeczeństwu. Cześć więc tym, którzy jakąkolwiek zasługę na tém polu położyli. Każda cegielka położona do tak użytecznego gmachu, znajdzie się w całości; ale gmach sam jeszcze nieskończony i podobno nigdy skończony nie będzie. Pomimo całej pozorniej jednostajności, postać świata i fizyonomia narodów coraz się zmienia i nigdy nie powtarza. Mądrość kierująca wszystkiem położyła w dziele swoim piętno nieskończonej różnorodności. Jak nie wyczerpują się wody w źródłach, tak nie wyczerpują się źródła życia moralnego: a w źródłach tych jest takie bogactwo zjawisk, form coraz nowych, lub niedokładnie dotąd obejrzanych, iż wystarczą podobno na tak długo, jak życie świata. Jest więc zawód jeszcze długi dla pisarzy, chcących się na tém polu odznaczyć.

O POTRZEBIE I WARUNKACH

USTAWY WIECZYSTO-DZIERŻAWNÉJ (*).

Uważając stosunek lub związek wieczysto-dzierżawny między dziedzicami dóbr ziemskich a pojedynczemi posiadaczami czynszowemi zachodzący z wyższego stanowiska prawa cywilnego, jako też z ogólnej ekonomii krajowej, wywołuje on spostrzeżenia, które przechodząc szczerpły zakres co do ubezpieczenia hipotecznego, zawodzą w dziedzinę wyższej przezorności prawodawczej, któraby tak równowagę sprawiedliwości, jako też kwitnący stan kraju i pomyślną dolę ogółu mieszkańców osiągnąć i ustalić zamierzała.

Historycznie wspomnieć przychodzi, że lubo skutkiem piérwiastkowego wykonania ustawy hipotecznej z r. 1818, wszystkie dobra ziemskie prywatne, z małemi chyba wyjątkami, tudzież dobra rządowe, z któremi rząd do towarzystwa kredytowego przystąpił, miały uregulowaną hypotekę gubernialną; jednakże w wielu przypadkach regulacya ta odbywała się bez objawienia w niej posiadłości wszelkiego rodzaju czynszowych: w następstwie czego, po sprzedaży dóbr trzeciemu, posiadacze wieczystości, nieobjawieni, za utracających prawo rzeczowe uznani, albo z siedzib ustąpić, albo nowym uciążliwym warunkom, przez nowego dziedzica narzuconym, poddać się musieli.

Były także wypadki, że po piérwiastkowym uregulowaniu hypoteki gubernialnej dóbr ziemskich, długami hipotecznemi wyczerpanych, podstępny dziedzic osadzał nieświadomych pra-

(*) Wyjątek z dzieła: O systemacie hipotecznym, później drukiem ogłosić się mającego.

wa kolonistów na wieczystém prawie czynszowém, za pobieraniem od nich znacznego wkupnego i wpisaniem ich praw do działu III hipoteki gubernialnej. Lecz że wierzyciele wcześniej wpisani mieli pierwszeństwo do zaspokojenia, koloniści na mocy klasyfikacyi szacunku usunięci, całe swe utracili chudoby, mając pozostawiony odwet przeciwko pierwiastkowemu dziedzicowi, który już sam nic nie miał lub resztę nieprawego mienia swego ukrywał, albo też przeciwko jego spadkobiercom, którzy to zrzeczeniem się spadku, to dobrodziejstwem inwentarza, lub innymi wybiegami nastawianie zawiedzionych kolonistów udaremniłi.

Wypadki te i tym podobne, z rzeczywistości czerpane, nie powinnyby pozostać bez wpływu na prawodawcze uporządkowanie pojawiających się coraz liczniej *nowych kontraktów kolonizacyjnych*.

Zastanowić się wypada nad tego rodzaju kontraktami tak pod względem idealnego pojęcia sprawiedliwości, jak pod względem ogólnej ekonomii krajowej.

W dotychczasowych wywodach już nadmieniono, że stosunek wieczysto-dzierżawny wprowadzonym został przez prawodawstwo krajowe po-kodexowe, tylko ogólnie, bez żadnego systematu prawnego, bez żadnej *ustawy wieczysto-dzierżawnej*, tak, że znaczenie prawne posiadłości emfiteutycznych lub dzierżawy wieczystej, lub dawniej erbpachtu, lub dzierżawy dziedzicznej, o ile się do epok od 1 maja 1808 lub 15 sierpnia 1810 r. odnosi, w niepewnych zewnętrznych rysach ginie. Nie ma żadnej stanowionej pewności, jakaby miała być istotna różnica prawna między przywiedzionymi rodzajami stosunków i praw; podług jakich zasad i prawideł niewzruszalnego porządku prawa cywilnego nowe kontrakty kolonizacyjne lub osadnicze ułożone mi być powinny; albo podług jakich zasad spory z podobnych kontraktów wyradzające się rozstrzygnięciami być powinny; słowem, wieczysty stosunek ten pozostawionym jest niepewnej analogii i chwiejącym się uznaniem prawnictwa wykonawczego.

W terażniejszym stanie społecznych stosunków i potrzeb, jako też odpowiednich im pojęć prawnych, które się w rzeczywistych nowych kontraktach kolonizacyjnych lub osadniczych pojawiają i powtarzają, różnice prawa emfiteutycznego, erbpachtu, dzierżawy wieczystej lub dziedzicznej, okazują się być zupełnie zbytecznymi. Prawo, z pochodzenia swego początkowe-

go i pobudek swoich, jest i powinno być odbiciem upowszechnionych potrzeb i pojęć społecznych.

Stosownie do tych pojęć i potrzeb dałyby się rozróżnić dwa rodzaje kontraktów kolonizacyjnych, a mianowicie: kontrakty wieczysto-dzierżawne i kontrakty osadnicze. Stanowczą różnicą między nimi na tém polega, że w pierwszych nabywca posiadłości wieczysto-dzierżawnej płaci wkupne i roczny czynsz; w drugich, osadnik wkupnego nie płaci tylko czynsz, grunt zaś zwykle do wykarczowania darmo odbiera.

Znachodzą się nadto istotne różnice co do wysokości czynszu, robocizny zamiast opłaty czynszu, zwłaszcza zaś co do trwałego czyli *wieczystego osiedlenia*.

O ileby te i tym podobne różnice lub zastrzeżenia przez umowy i kontrakty po kraju upowszechnione, do potęgi powszechnego i stałego prawa cywilnego podniesionemi być mogły, i o ileby pewne zasady, za niewzruszalne prywatnemi umowami poczytanemi być powinny, to zawisłoby od gruntownego zgłębienia zachodzących powszechnie stosunków między dziedzicami dóbr ziemskich, a wieczystymi posiadaczami lub czasowemi osadnikami; jako téż od wszechstronnego rozważenia i ocienienia stosunków tych, tak z wysokości oderwanych zasad i przykazań sprawiedliwości, jak z punktu materialnego ekonomii politycznej krajowej.

Na podstawie więc rzeczywistego stanu gospodarstwa krajowego, oraz zachodzących praw, i ponawiających się ciągle potrzeb i stosunków obu wielkich stron, tak dziedziców dóbr ziemskich, jak włościan i osadników lub kolonistów, należałoby przepisać organiczną ustawę co do stosunków wieczysto czyli dziedziczno-dzierżawnych i osadniczych, wychodząc wszakże z dwóch węgielnych założeń i dosięgając dwóch wyższych, nad samolubstwo indywidualne, celów, a mianowicie: urzeczywistnienia tak sprawiedliwości historycznie i oderwanie poznawanej, jako téż doświadczonych prawd ekonomii politycznej.

W tym względzie nie należałoby ani na chwilę spuszczać z uwagi dwóch stanowczych początkowań, a mianowicie nie naruszać równowagi sprawiedliwej, jakąby zachować należało w podziale korzyści za wieczysto-dzierżawną sprzedaż gruntu z jednej, a wieczystą i bezpośrednią pracę rolniczą z drugiej strony; gdyż, pominąwszy wiele innych przyczyn, między któ-

remi wstręt do pracy jest zaiste jedną z główniejszych, ogólna choroba społeczeństw nie pochodzi bynajmniej od odwiecznego prawa własności, skutkiem którego jedni wiele, inni nic nie posiadają: lecz ztąd, że *bezpośrednia praca lub robota nie odbiera odpowiedniego, stosunkowego wynagrodzenia*; że jedni mało robiąc nazbyt wiele zarabiają, inni pomimo ciężkiej pracy nazbyt mało zarabiają. To właśnie wywołuje i zaludnia tak zwany proletaryat, acz wyznać przychodzi, że wynalezienie sprawiedliwej stosunkowości należnych wynagrodzeń, tak za pośrednią jak bezpośrednią pracę, jest zaiste bardzo trudnym zadaniem, wszakże nie tak trudnym w rolnictwie, jak w przemysłowych przedsięwzięciach.

Ziemia pod pługiem, nierównie większej, od dziedziców ziemskich, liczby włościan i osadników, poświęconych na wieczystą walkę z pierwszemi potrzebami życia, bez nadziei i możliwości dorobienia się pewnego stopnia wygod i pomyślności, gnuśnieje, skąpi plonem, leży odłogiem w rozległych obszarach błotnistych lub piaszczystych, lub kąkolem zarosłych; mnoży się próżniactwo, włóczęgostwo, żebractwo, głód i kradzież, i okrywa się wieczystymi łachmanami.

Z tego punktu widzenia wychodząc, należałoby przede wszystkim, raz na zawsze i bezwarunkowo wzbronić na przyszłość wszelkich czasowych nadań osadniczych, dawniej pospolicie do lat 50 lub 45, dziś może do lat 30 lub 20 ograniczonych: albowiem, chociaż w takich przypadkach osadnicy nie płacą wkupnego, jednakże ich *praca gruntowa*, przez tyle lat, przy opłaceniu znacznego czynszu, po kilku latach wolnych, znacznie *przewyższa wartość gruntu* do wykarczowania pniów leśnych lub zarośli nadanego; i dziedzic, rugując osadników z siedzib, po upływie lat nadawczych, nie tylko naraża ich na marnowanie dobytku i gołe ubóstwo, lecz na twardą konieczność poddania się innym nazbyt uciążliwym warunkom; a nadto *przywłaszcza sobie ryczałtem owoc cudzej, ciężkiej, długoletniej pracy rolniczej*, wbrew odwiecznym i oderwanym zasadom *sprawiedliwości* i wbrew prostym, matematycznym prawdom ekonomii politycznej.

Lecz i przeciw warunkom nowych kontraktów, acz wieczysto-dzierżawnych, niemało nastęrcza się spostrzeżeń, nie tylko ku użytkowi prawodawstwa, lecz i ku zasileniu prawni-

ctwa bieżącego. Dostatecznymi będą przykłady z dwóch znaczniejszych kolonizacyj dóbr: jednej z r. 1841, drugiej z r. 1847.

W obu kontraktach kolonizacyjnych po większej części za ustanowieniem i *wkupnego* i wieczystego czynszu zawartych, przepisane są *szczególne procedury co do subhastacyi* czyli *wywłaszczenia* osad, na przypadek niezapłacenia reszty wku-pnego, lub dopuszczenia dwuletniej zaległości w opłacie czynszu, lub nawet w jednym z tych kontraktów na ten przypadek, jeżeli spadkodawca nie nazaczył następcy w objęciu osady, lub jeżeli sukcesorowie pomiędzy sobą wyboru nie czynią, lub względem sprzedaży osady nie ułożą się.

Podług jednego z tych kontraktów: „dziedzic mocen będzie, bez zachowania wszelkich formalności co do wywłaszczenia terażniejszém prawem przepisanych lub w *przyszłości* zaprowadzić się mogących, osadę kolonisty, przed regentem powiatowym, za jednóm obwieszczeniem, przez publiczną licytacją sprzedać i rozdział szacunku uskutecznić i kolonistę *exmitować*”.

Podług drugiego kontraktu: „kroki ku wywłaszczeniu kolonisty z osady przez sprzedaż, przedsięwzięte będą przez *wójta gminy*, który za przybraniem dwóch znawców, budowle i zasiewy na pieniądze otaksuje; i to stanowić będzie szacunek, od którego licytacja rozpoczynać się ma. Następnie rozdzieli szacunek i pozostającą resztę *exmitowanemu* koloniście doręczy”.

W obu kontraktach postanowiono, że zaległy czynsz ściągany będzie przez *eksekucją administracyjną dominialną*. W jednym z nich, że i po dwa kapłony lub za każdego kapłona po 15 kopiejek, i po dwa mędle jaj lub po 7 1/2 kopiejek, w razie zaległości przez taką samą eksekucją ściągnięte będą.

Według obu kontraktów, koloniści, osadnicy, włościanie obowiązani są brać wódkę i piwo z dworu lub z karczem dominialnych; a nie wolno im brać trunków *na własną potrzebę* zkądinąd, pod groźbą różnych kar defraudacyjnych i za poddaniem się rewizyi dominialnej. W jednym z nich dodano, że gdyby rząd nadał osadnikom wolność nabywania trunków z ką im się podoba, w takim razie każdy osadnik winien będzie opłacać dziedzicowi rocznie po kopiejek 10 od każdej morgi gruntu.

W obu kontraktach postanowiono, że nie wolno osadnikom stawiać młynów, wiatraków, cegielni, ani żadnych innych robić zakładów fabrycznych, bez zezwolenia dominii directi.

W obu kontraktach dziedzice zawarowali dla dworu polowanie na gruntach i łąkach osadników, im zaś na własnych gruntach nie wolno polować, a to w jednym z tych kontraktów, pod karami na defraudantów skarbowych.

Podobnież zawarowano, przy każdej zmianie gruntu, opłatę *laudemii*, w jednym z tych kontraktów po $\frac{5}{100}$ od umówionego szacunku, w drugim $\frac{1}{10}$ część, z uwolnieniem wszakże w jednym z nich ogólnie zstępnych i wstępnych, w drugim sukcesorów aż do 4go stopnia.

Rozumie się samo z siebie, że stosownie od obudwóch kontraktów, wszelkie podatki i ciężary skarbowe lub rządowe, terażniejsze i przyszłe, a podług brzmienia jednego z nich, podatki i ciężary ogólne krajowe, jak również gminne i administracyjne i policyjne, osadnicy ponosić powinni.

Nie od rzeczy będzie przytoczyć, co więcej w jednym z powyższych kontraktów kolonizacyjnych zawarowano.

„Na przypadek klęsk pozbawiających osadnika połowy dochodu rocznego, osadnik ma prawo do ulgi w opłacie czynszu, a to w tym sposobie, iż czynsz będzie mu rozłożony na raty dwóch następnych lat nie przechodzące”.

„Nie mieli dozwolonego bezpłatnie ugaju, pod względem zbieraniny i paszy leśnej i teraz to dobrodziejstwo do osadników należeć nie będzie”.

„Nikt dwóch osad posiadać, ani nabywać nie może”.

„Osadnikowi żadnemu na swoją osadę długu zaciągać nie wolno, bez zezwolenia dziedzica, a to pod przepadkiem zapożyczonój summy”.

„Sołtys i każdy osadnik, *jurisdycyi* dziedzica ulegać będzie”.

„W razie procesu między dziedzicem a osadnikami, osadnicy obierają sobie zamieszkanie prawne u sołtysa do wręczenia ze strony dziedzica wszelkich aktów, pozwów, wyroków i aktów exekucyjnych.”

„Osadnicy czyli wieczyści czynszownicy ustępują na zawsze pierwszeństwa pożyczkom towarzystwa kredytowego i innym już zaciągniętym i nadal zaciągnąć się mogącym, a to do wysokości jak są obecnie ubezpieczone, jak w przyszłości, ze

względu na okoliczności podnieść te pożyczki mogące do cyfry, do jakiej podnieść się i zaciągnąć dadzą.”

„Postanowiono nadto, że trzy książki utrzymywane będą dla wpisywania kontraktów kupna i sprzedaży, i wszelkiego przejścia osad kolonialnych, z których jedna u dziedzica, druga u wójta gminy, trzecia u sołtysa pozostaną; i że ten jedynie z osadników uważanym będzie za właściciela osady, kto jako właściciel w księdze, na trzy ręce utrzymywanej, zapisanym będzie i kto z udzielonego konsensu się wylegitymuje.”

„Tak przy podziale osad, jak przy ich odstąpieniu na rzecz osób obcych, prawa do successyi nie mających, konsens dziedzica jest koniecznym i jego wpisanie do powyższych ksiąg pod nieważnością się nakazuje. Nadto, konsens ten jest potrzebny pod nieważnością umowy i bez niego nabywca osady, do jej objęcia przypuszczonym być nie może.”

„Dziedzic zachowa sobie pierwszeństwo za okup przez kogo innego podany.”

Wszystkie warunki te lub zastrzeżenia osadnicy przyjęli, jako pisać nie umiejący. Domyślać się należy, że i czytać nie umieją. Wątpić zaś nie można, że jako ludzie prawa i prawnictwa nieświadomi, ani szczegółów, ani ogółu kontraktu, ani pasma następstw i skutków z niego wynikających nie pojęli. Tymczasem, nie pomnąc nawet klauzuli ostatecznej kontraktu z r. 1847, warującej, że kontrakt ten dopiero będzie miał moc obowiązującą, gdy przez Rząd Królestwa Polskiego zatwierdzonym zostanie, osadnicy dostateczną będą mieli obronę w obowiązującym prawie cywilnym, a mianowicie w kodexach: cywilnym i postępowania cywilnego i w ustawie hypotecznej z r. 1818. Wielka bowiem część warunków lub zastrzeżeń powyżej wytkniętych są po prostu nieważnemi, jako wbrew niezmiennemu porządkowi prawa cywilnego przeciwne, porządkowi, który ogólnie *l'ordre public, jus publicum* się zowie i żadnemi prywatnemi kontraktami zmienionym być nie może.

Otóż, idąc porządkiem przywiedzionych warunków kontraktowych, przedewszystkiém nadmienić przychodzi, że żadnej prywatnej osobie, a tém samém żadnemu dziedzicowi dóbr ziemskich, choćby się w swojej wyobraźni mienił być panem feudalnym, nie wolno zmieniać zasad lub porządku postępowania cywilnego i ustanawiać nieznaną prawodawstwu obowiązującemu procedurę, co do wywłaszczenia osad kolonialnych, któ-

raby jego samolubstwu i samowładności dogadzała, a bezbronych osadników ostatniego mienia pozbawiała i w nędzę i proletaryat wtrącała. Żadna licytacja exekucyjna osad nieruchomości, bez względu na pełnoletność lub nieletność ich posiadaczy, ani przed wójtem gminy, ani przed rejentem miejsca mieć nie może. Owszem osady wieczysto-dzierżawne, podobnie jak dobra ziemskie lub nieruchomości miejskie na gruncie dziedzicznym lub emfiteutycznym, tylko exekucyi subhastacyjnej, Kodexem postępowania cywilnego przepisanej, lub exekucyi dzierżawnej czasowej, według postanowienia z dnia 2 września 1823 r., ulegają. Nadto, jak z jednej strony prywatne ustanowienie odmiennych od ogólnego porządku form exekucyjnych, tak dziedziców jak rejentów naraża na zarzut przywłaszczenia sobie atrybucyi prawodawczej, lub nieumiejętności prawa cywilnego obowiązującego; tak z drugiej strony wykonanie podobnej nieprawnej exekucyi licytacyjnej, narażałoby ich na odpowiedzialność i wynagrodzenie szkód wszelakich; bo skoro *ignorantia juris* osadników nie osłania, tém bardziej dziedziców i rejentów nieświadomość prawa usprawiedliwiać nie może.

Co większa: w jednym z tych kontraktów posunięto się aż do ograniczenia władzy prawodawczej na przyszłość; odjęto jej moc zaprowadzenia nowych form kodexowych co do wywłaszczenia osad kolonialnych; słowem, wyjęto osadników z pod opieki prawodawstwa ogólnego krajowego, teraźniejszego i przyszłego; wzbroniono wszelkiego wpływu pierwotnym zasadom sprawiedliwości, bez których żaden porządek społeczński nietylko istnieć, ale nawet pomyślanym być nie może; zamknięto się w samolubstwie absolutném.

Wszelkie stosunki prawne i wynikające z nich spory lub exekucye między osobami prywatnemi, ulegają wyłącznie prawu i postępowaniu cywilnemu kodexami przepisanemu. Z tej przyczyny dziedzicom przeciwko osadnikom żadna inna exekucya nie służy, tylko sądowa za pośrednictwem komorników ustanowionych przy sądach. Poddanie się więc osadników tak zwanej exekucyi administracyjnej lub dominialnej, jako w prawodawstwie krajowém cały ogół mieszkańców obowiązującym, nieznaną, jest nieważną; ani téż władzom administracyjnym nie służy atrybucya dozwalania exekucyi administracyjnej dziedzicom przeciwko ich czynszownikom i mieszania się tym sposobem stanowczo lub tymczasowo w stosunki prawne prywatne,

które jedynie rozpoznaniu i kierunkowi sądów ulegają. Z drugiej strony wszakże, bacząc na obowiązki dziedziców dóbr ziemskich w niezwłoczném uiszczaniu się z wszelkiego rodzaju podatków i ciężarów publicznych i na towarzyszące zwykłej eksekucyi sądowej liczne formalności i przewłoki, nasuwa się sama z siebie potrzeba niezbędna zaprowadzenia skróconej eksekucyi sądowej *quasi* dominialnej przeciwko czynszownikom po miastach prywatnych i po wsiach, jako téż w ogólności przeciwko włościanom, osadnikom lub kolonistom, odmawiającym wypełnienia innych swych obowiązków rolniczych lub gospodarskich, zwłoki niecierpiących. Eksekucya taka wszakże tylko przez władzę prawodawczą zaprowadzoną być może, i jedynie pod dozorem i rozpoznaniem prokuratorów i sądów zostawać powinna.

W wielkim błędzie lub twardém samolubstwie trwają ci, co sądzą lub głoszą, jakoby włościanom, osadnikom, kolonistom po wsiach, lub mieszczanom po tak zwanych miastach prywatnych nie miała służyć wolność zakupywania na *własną potrzebę* piwa, wódki, wina i wszelkich innych trunków tam, gdzie im się podoba, i jakoby według brzmienia jednego z powyższych *wzorowych* kontraktów kolonizacyjnych, dopiero jeszcze potrzeba było nadania takowego dobrodziejstwa przez rząd czyli władzę prawodawczą.

Godzi się zapytać, w którójto ustawie krajowej napisano, że wolność nabywania na własną potrzebę wszelkiego rodzaju trunków lub żywności w kraju tam, gdzie się podoba, tylko dziedzicom dóbr ziemskich, a zapewne i mieszkańcom miast gubernialnych służy, z wyłączeniem wszystkich innych mieszkańców, a mianowicie włościan, osadników, kolonistów po wsiach i mieszczan po miastach prywatnych?

Nie jesto żadném dobrodziejstwem, *beneficium*, ani żadnym przywilejem; tylko swobodą naturalną, przyrodzoną, niepotrzebującą *nadania*, według pogańskiego prawa rzymskiego nie tylko *juris gentium est, quod naturalis ratio inter omnes gentes in orbe constituit*, lecz oraz *juris naturalis, quod natura omnia animalia, quae in coelo, quae in terra, nie wyłączając dóbr ziemskich, quae in mari nascuntur, docuit*.

A zatem, ograniczenie swobody téj do pewnego stanu ludzi wymagałoby prawa stanowionego, *ius positivum*, czyli wyraźnej ustawy krajowej. Takiéj przecieź ustawy nie masz i nie było nigdy.

Nadużycia zaś epok zapadłych przeciwko naturalnej swobodzie téj, jako i dawniej nigdy wyraźnie prawodawstwem nie uznane, i jako przedawnione, bynajmniej nie odżyły i żadnej sankcyi nie otrzymały, gdyż tak zwana propinacya, na bardzo dawném prawie zwyczajowém, niezaprzeczoném polegająca, ogranicza się na służącej dziedzicom dóbr ziemskich wyłączności prawa palenia wódki i warzenia piwa w obrębie swych dóbr, oraz sprzedawania tych trunków w tymże obrębie dóbr, przy wzbronieniu wszystkim innym możliwości sprowadzania zkądinąd tego rodzaju trunków na wyprzedaż lub wyszynk.

A nawet zakaz prywatny brania trunków lub żywności na własną potrzebę zkądkolwiekbądź, albo obowiązek brania piwa lub wódki na domowe potrzeby jedynie z dworu lub karczem dominialnych, jest zabytkiem feudalności; sprzeciwia się porządkowi publicznemu, artykułem 686 K. C. ustanowionemu, podług którego: nie wolno ustanawiać służebności lub ciężarów wieczystych na osobę ani dla osoby, lecz jedynie na grunt i dla gruntu.

Jakoż podług pobudek prawodawczych, artykuł ten stanowi tamę przeciw powrotowi wszelkich zwyczajów i ciężarów feudalnych, i w tym samym celu art. 17 organizacji notaryalnej zagraża notaryuszowi karą pieniężną za samo użycie zastrzeżeń lub wyrażeń feudalnych, w osnowie kontraktów prywatnych.

W następstwie tych zasad, i opłaty *osobiste* ustanowione na przypadek nadania osadnikom przez rząd wolności, brania trunków zkąd im się podoba, ani miejsca, ani skutku mieć nie mogą: bo podobny przypadek, jako na błędném przypuszczeniu oparty i jako zbyteczny i niestosowny nigdy nie nastąpi; chybaby owszem władza prawodawcza, dla zapobieżenia li zbroczeniom prawnictwa wykonawczego, uznała potrzebę wyprowadzenia z błędu nieświadomych i niepojmujących ducha prawodawstwa cywilnego obowiązującego, wydaniem ustawy interpretacyjnej, objaśniającej: że w nabywaniu na domową potrzebę trunków lub żywności w kraju używanych i dozwolonych, nikt przez prywatne umowy ograniczonym być nie może.

Bez potrzeby wyraźnego w tym względzie postanowienia, służy całemu krajowi, czyli ogółowi mieszkańców, możliwość i swoboda godziwego zarobkowania, prowadzenia rzemiosł, zakładania warsztatów lub fabryk, zajmowania się przedsiębiorstwami przemysłowemi, rozwijania wewnętrznego handlu i ru-

chu przemysłowego. Możliwości i swobodzie téj krajowej sprzeciwia się prosty zakaz prywatny stawiania młynów, wiatraków, cegielni, wszelkich innych fabryk, tamuje rozwijanie się ekonomii krajowej; odbiera najliczniejszemu stanowi mieszkańców jeden z głównych sposobów zarobkowania, a tym sposobem przyczynia się do pielegnowania próżniactwa, mnożenia się włoścogów i zaludniania proletaryatu. Prywatny ten zakaz więc sam z siebie jest nieważnym, a w każdym razie ograniczenia wymaga.

I polowanie dla dworu zastrzeżone na gruntach i łąkach osadników, przypomina epokę feudalną, i wymaga w dzisiejszym stanie ludności krajowej stanowionych przepisów i prawideł, doświadczonym zasadam ekonomii politycznej odpowiadających.

Oplata laudemii w dzisiejszym duchu i stanie prawodawstwa cywilnego w kraju obowiązującego, jest niesłusznoscią: bo feudalna i glossatorska różnica domini directi et domini utilis dawno przepadła, żadnego rozumnego znaczenia nie ma, i jest rodzajem opłaty sukcesyjnej, która cierpianą być nie powinna, zwłaszcza obok opłat sukcesyjnych skarbowych.

Obok wkupnego za grunt, obok bieżącego czynszu znacznego i ponoszenia wszelkich podatków krajowych gminnych, administracyjnych, policyjnych i opłat kościelnych, obok wszelkich innych opłat lub ograniczeń, że tak powiem dominialnych, niechże osadnik ulegnie pozbawieniu połowy dochodu rocznego przypadkową klęską gradobicia, lub wylewu wody, lub ognia, dwa razy rok po roku: jakaż nastąpi ulga w opłacie czynszu? Oto rozkład czynszu na raty, dwóch wszakże następnych lat nieprzechodzące..... a po upływie dwóch lat osadnik doznawszy klęski po klęsce, nie będzie w możności uiszczać się z bieżącego i zaległego czynszu; skutkiem czego nastąpi licytacja wywłaszczająca *brevi manu*, przed wójtem gminy czyli raczej dziedzicznym panem feudalnym i wyrzucenie osadnika z żoną i gromem dzieci na wielki gościniec, z obrazą największej wysokiej zasady sprawiedliwości przez pogańskich Rzymian uznawaną „*casum Sentit dominus*.”

Odmówienie zbieraniny lub suszu, gdy osadnik bez opału obejść się nie może, uwiecznia zwyczaj kradzieży leśnej.

Dziedzic dóbr ziemskich, który osadnikom swym wzbrania posiadania lub nabywania dwóch osad, cóżby powiedział, gdyby rząd lub władza prawodawcza w podobnymże duchu postanowi-

ła, że nie wolno posiadać lub nabywać dwojga dóbr ziemskich..... Wreszcie podobny zakaz prywatny, naruszający kardynalne prawa mieszkańców krajowych, jest nieważnym, jak i zakaz, że niewolno osadnikowi wieczysto-dzierżawnemu zaciągać dług bez zezwolenia dziedzica, a to nawet pod zagrożeniem wierzycielom, jako trzecim, że im przepadnie: bo to wszystko nie tylko ustawie hipotecznej z r. 1818 wręcz jest przeciwnem, ale nawet zatracą niedorzecznością.

Cóżto ma znaczyć, że soltys i każdy osadnik jurysdykcyi dziedzica ulegać będzie? Jest to terazniejszy stan organicznego porządku społeczeńskiego, krótko mówiąc, nieważnością.

Kodex cywilny i procedury i inne ustawy nie dopuszczają wyboru zamieszkania prawnego ogólnie do wszelkich interesów lub spraw, a to jeszcze u soltysa, który wszakże co chwila zmienionym być może, i żadnej nie przedstawia rękojmi względem dojścia pozwów, wyroków, nakazów egzekucyjnych do właściwych rąk.

Ustąpienie przez wieczystych osadników na zawsze pierwszeństwa przyszłym pożyczkom Towarzystwa kredytowego aż do cyfry, do jakiej podnieść się dadzą; nie tylko przeciwne jest niezmiennemu porządkowi hipotecznemu, ale mogłoby spowodować skutki ulegające zarzutowi podstępny, *fraus*.

Niech sobie dziedzic zaprowadza i trzy książki gruntowe prywatne do zapisywania sprzedaży i wszelkiego przejścia osad kolonialnych, lecz książki takie, ksiąg hipotecznych gubernialnych i okręgowych zastąpić, ani żadnego skutku prawnego sprawić nie mogą. Poddanie się osadników porządkowi i skutkom do prywatnych ksiąg tych przywiązanych, jako przeciwne ogólnemu porządkowi hipotecznemu, jest nieważnym i nic nieznaczającym.

Co do zastrzeżeń względem konsensu w kontrakcie z r. 1847 poczynionych, dostatecznym będzie powołać się na to, co już wyżej (*) w tym przedmiocie powiedziano.

Takie i tym podobne zastrzeżenia z góry nieważnością cywilną tknięte, znachodzą się po licznych innych kontraktach czynszowania. Wyradzające się z nich spory między dzie-

(*) W innym rozdziale powołanego dzieła, jeszcze nie wydanego.

dzicami a osadnikami, ulegają wyłącznie *jurisprudencji sądowej*, która więc duchem obowiązującego prawa i teraźniejszego stanu społecznego przejąć się i odpowiednie mu uznania wydawać powinna. Lecz gdy zwyczaj oczynszowania upowszechnić się zaczyna i coraz więcej kontraktów tego rodzaju przybywa; gdy nadto *jurisprudencja wykonawcza*, zawsze dla rozmaitych przyczyn ogólnych i szczególnych nazbyt chwiejącą bywa, a nawet w materji wieczystego związku rolniczego między dziedzicami a osadnikami lub włościanami w teraźniejszym prawie cywilnym nie znajduje stanowczych punktów ujęcia w rozstrzyganiu sporów: przeto, dla stałego i pewnego uporządkowania stosunków lub związków prawnych między wielkimi a wieczystymi stanami krajowemi, a mianowicie dziedzicami dóbr ziemskich, a bezpośredniemi rolnikami, potrzeba koniecznie prawodawstwo krajowe ustawić, względem wieczystych dzierżaw i oczynszowania, uzupełnić.

August Heylman.

IKONOGRAFIA.

(CZĘŚĆ ARCHEOLOGII OGÓLNEJ)

O NIMBACH, AUREOLACH, GLORYACH I SYMBOLACH
ŚWIĘTYCH, UŻYWANYCH NA OBRAZACH.

Z ARCHEOLOGII OGÓLNEJ

Józefa Łepkowskiego

Członka Tow. Nauk. Krak. Wydz. Archeol.

(Z 3 tablicami rycin).

(Ciąg dalszy).

Duch Święty.

Duch Święty jest trzecią Osobą Trójcy Świętej, pochodzącą od Ojca i Syna. W celu otrzymania światła rozumu, wzywano zawsze Ducha Świętego, i dary Jego odnoszą się głównie do rozumu. Mamy tego przykład w Piśmie świętym, w legendach, historii, w sztuce Francji, Niemiec, Włoch i Grecji. Przedstawiają także Ducha Św. pod postacią gołębia, oświecającego Dawida w towarzystwie uosobionych mądrości i prorocstwa. W postaci gołębia spoczywa on na ramieniu św. Grzegorza, i udziela mu natchnienia do dzieł uczonych.

Duch Św. przedstawiany był dwoma różnymi sposobami: pod postacią gołębia, i pod postacią człowieka. Ruch, szybkość, są głównymi własnościami ducha. Gdy chciano przedstawić pod postacią widoczną tę niewidzialną i boską osobę

ożywiającą całą przyrodę, musiano koniecznie pomyśleć o istocie żyjącej, obdarzonej najwyższą żywością. W państwie organiczném był gołąb' przeznaczonym do przedstawienia ducha, zresztą Duch Św. objawił się w tój postaci. Gołąb' z powodu łagodnych obyczajów, a nawet delikatnego pierza, był szczególnie wybrany na wyobrażenie Ducha Śgo. (tabl. II, fig. 6, i tabl. III, fig. 16). W legendach, duch ludzki albo dusza sama, objawia się także pod tą samą formą. Kościół, ta społeczność ożywiona Duchem Św. równie jak sam Duch Św. miała niekiedy postać gołębia.

Kolor boskiego gołębia jest śnieżno-biały, barwa, w której zlewają się symbolicznie wszystkie cnoty; dziób i nogi są zazwyczaj czerwone: jestto kolor naturalny u gołębi białych. Biały kolor najświeższy z barw, i mieszczący w sobie wszystkie inne, jest też przeciwieństwem ducha złego, przedstawianego pod postacią ptaka; lecz ten ptak, symbol ducha ciemności, jest czarnym, i ma postać brzydką.

Duch Św. przybiera niekiedy formę muij zwyczajną, bo ludzką. Od VI i VII wieku, aż do naszych czasów, gołąb' zawsze wyobrażał Ducha Śgo; lecz jak się zdaje, od X wieku, symbol ten zmienił się w inny, który jednak niedługo się utrzymywał. W X tylko wieku przedstawiano Ducha Św. w postaci człowieka, a w XVI powrócono wyłącznie do gołębia, który zresztą nie przestał być wyobrażanym, i przetrwał wszystkie wieki. Około połowy XIIgo wieku i w XIIItym, przestano wyobrażać Ducha Św. jako człowieka; lecz zwyczaj ten powraca w XIV, upowszechnia się w XV i XVI, wreszcie zupełnie zarzuconym został około r. 1560. Jednakowoż i w epoce najczęstszego użycia tój formy, wyobrażenia te mniej były częste, aniżeli wyobrażenia gołębia, i w stosunku może jak 1 do 1,000, a u nas jestto prawie bezprzykładnem. Pod postacią ludzką Duch Św. wyobrażony, miewa różny wiek, począwszy od najmłodszego aż do starości; lecz oblicze jego jest zawsze to samo co Ojca i Syna, chociaż wiek zdaje się być różny. Od XIV do XVI wieku, Duch Św. w postaci człowieka miewa niekiedy gołębia symbolicznego albo na głowie, albo na ramieniu, albo na barkach. W tój samój epoce spotykamy przedmiot godny uwagi: jestto tryumf i koronowanie Najśw. Panny w czasie Wniebowstą-

pienia. Koronacją tę odprawują wszystkie trzy osoby boskie. Przedstawienia podobne bardzo często u nas się zdarzają.

Nimba Ducha Św. czyto jako człowieka, czy jako gołębia, przechodzi też same odmiany, co innych boskich osób (tabl. III, fig. 16). Niekiedy niedostaje nimby, co w tym dość częstym razie, mały gołąb' jest wyobrażony. Na wszystkich obrazach, gdzie widać dwie inne osoby boskie, gołąb' choć mały i bez nimby, zawsze przedstawia trzecią. Każdy ptak zstępujący z nieba i unoszący się nad głową Maryi w chwili zwiastowania anielskiego, nie może być czém inném, jak tylko gołębiem. Każdy ptak rozpościerający skrzydła nad wieczerzą, albo nad Jordanem, nad głowami apostołów albo głową Jezusa Chrystusa, jest symbolem Ducha Śgo. W XIV i XV wieku, a czasem i w XIII, rzeźbiono Chrystusa na ręku Matki, bawiącego się z ptakiem. Ptak ten nie jest boskim gołębiem, nie jest Duchem Św. lecz jakimbądź ptakiem, zabawką Chrystusa. Podobne przedstawienie ma za podstawę legendę. Na obrazach bizanckich, dziecię Jezus bawi się czasem szczygłem: obrazy takie przechowały się u nas.

W XV wieku pole nimby znika; poprzeczki same zostają i przeobrażają się w pęczki świetlne, wychodzące z czoła i skroni Ducha Św. w postaci człowieka albo gołębia. Następnie pęczki znikają, i Duch Św. nie ma nimby, jak w pierwszych wiekach. Lecz to jest epoka, w której aureole są dosyć częste pod postacią promieni: zobacz fig. 6, tabl. II, gdzie Duch Św. jest w środku aureoli promieniejącej, otaczającej dwie inne osoby boskie.

Siedm darów Ducha Św. bywają niekiedy wyobrażone w postaci siedmiu małych gołębi, otaczających Chrystusa albo Najśw. Pannę. Szczególniej w Niemczech spostrzegamy grupy wystawiające Najśw. Pannę, otoczoną siedmioma boskimi gołębiami. Czasem widzieć ich można tylko 5 albo 6, a nawet i mniej: szczupłość miejsca była najczęściej przyczyną tego braku. Równie jak Duch Śty, siedm gołębi miewają nimbę krzyżową i aureolę: będąc przymiotami Boga, są boskimi, i z tego tytułu musiały wziąć na się znak odróżniający osoby Trójcy Śtej. Jednakowoż sztuka chciała niekiedy nadać różne stopnie przymiotom boskim, i swoim sposobem naznaczyć. I tak: ze szóstciu gołębi oznaczających: bojaźń, pobożność, wiedzę, siłę, radę i rozum, sztuka zrobiła gołębie święte wprawdzie, lecz

niebieskie tylko a nie boskie: nadała im nimbę jednostajną aniołów i świętych. Co do mądrości, sztuka wzniosła ją do godności bóstwa: gołąb wyobrażający ją, został obdarzony nimbą krzyżową. Niekiedy wszystkie są pozbawione nimby i aureoli, stosownie do wieku, albo przez błąd artysty.

Powiedzieliśmy, że szybkość była głównym przymiotem ducha, i że z istot żyjących, ptak najnsadniej ją wyobraża; cała jego ruchliwość spoczywa na skrzydłach unoszących go w powietrzu, owym najsubtelniejszym żywiole. Aniołowie, duchy bez ciał, jeżeli byli przedstawiani pod postacią materyalną albo symboliczną, dostawali skrzydła. Miewają ich zawsze po dwa, niekiedy trzy, a nawet z rozrzuconemi po nich oczami (tabl. II, fig. 3), stosownie do widzeń Ezechiela proroka (r. I.) Nie tylko na ramionach umieszczają im skrzydła, ale także na kołach, które oznaczają szybkość (tabl. IV, fig. 23); nawet na kołach skrzydlastych i płomienistych zarazem, podobnych do oznaczonych na fig. 24, tabl. IV, dla wyrażenia nadzwyczajnej szybkości, albowiem nic szybszego nad światło. W Grecyi chór aniołów, który nazywają tronem, nie dostaje postaci ludzkiej, i bywa zazwyczaj wyrażany za pomocą kół skrzydlastych z oczami, i palących się. Oczy nie tylko umieszczone są na polu obwodu, ale także i na skrzydłach (tabl. IV, fig. 24).

Trójca Święta.

Trzy osoby Boskie zlewają się w jednego Boga: *Deus trinus et unus*. Dogmat i sztuka, teologia i ikonografia, idą z sobą w parze: tu aby opisać, tam aby wyrysować Trójcę Św. Po opisaniu każdej z trzech osób Boskich w szczególności, mało już tutaj zostaje do powiedzenia. W różnych czasach średnich wieków, sztuka wyobraziła wielką ilość grupp, przedstawiających trzy osoby Boskie, i przedmiot ten urozmaiciła prawie do nieskończoności.

Od początku chrystyanizmu aż do odrodzenia, upłynione wieki w których wyobrażano Trójcę Św. można podzielić na cztery okresy: pierwszy okres obejmuje pierwsze VIII wieków; drugi trwa od IX do XII; trzeci sięga XV; ostatni w końcu obejmuje odrodzenie, to jest XV, a szczególnie XVI wiek.

W ośmiu pierwszych wiekach, Trójca Św. zaledwie w zarysach się pokazuje. W katakumbach i na starych sarkofagach nie istnieje po prawdzie powiedziawszy grupa doskonała Trójcy Św. jednakowoż od IV wieku, pokazuje się już jako taka. Według danego przez św. Paulina biskupa Nolle opisu Trójcy Św. na mozaice w sanktuarium kościoła, który kazał budować: Chrystus wyobrażony był w postaci jagnięcia; Duch Św. w kształcie gołębia; a Ojciec przez słowa, któremi się z nieba dał słyszeć. Ten sam św. Paulin opisuje inny obraz Trójcy Św. w której widać jagnię ofiarowane na krzyżu, gołębia Boskiego i rękę Ojca trzymającą koronę nad głową Baranka Bożego. Napotykamy Trójcę Św. prawie podobnie wykonaną z mozaiki w VI, VIII, i IX wieku w Rzymie, gdzie ten zwyczaj był w używaniu aż do XIII i XIV wieku. Typy te trwają w czasie średnich wieków nawet we Francyi, gdzie pozostają mniej wiernymi tradycjom łacińskim.

W drugim okresie, od IX do XII wieku, obydwie poprzednie typy istnieją, lecz z bogaciły się nowymi postaciami: jedna pożyczona jest z ludzkiej, druga z figur geometrycznych.

W IX wieku nie miano już obawy, by się zejść z poganiństwem. Ojciec Przedwieczny, którego dotychczas rękę tylko ośmielano się pokazać, albo najwięcej popiersie, pokazuje już całą swoją postać: jednakowoż nie wziął jeszcze formy właściwej, lecz pożyczyl ję od Syna. Syn objawia się taki, jaki był na ziemi, pod postacią dorosłego człowieka, pięknego i poważnego, w wieku życia 30 albo 33 lat. Duch Św. pokazuje się pod formą gołębia (tabl. II. fig. 6 i tabl. III. fig. 16). Niekiedy jednak, jak wspomnieliśmy, Ducha Św. wyobrażano pod postacią ludzką. Trzy osoby Boskie mają oblicze toż samo co do kształtu, lecz czasem jest różnica co do wieku: Ojciec bywa najstarszy, a Duch Św. najmłodszy. Są wypadki, iż wszystkie te trzy osoby Boskie mają tenże sam wiek, też samą postawę, ten sam charakter i jednaki ubiór. Wręcz przeciwnie temu uzmysławianiu tak materyalnemu, przedstawiają Trójcę Św. najwięcej oderwaną, używając na ję oznakę trójkąta geometrycznego. Trójkąt, który zawiera trzy kąty w jednej płaszczyźnie, jest obrazem trzech osób zlewających się w jednego Boga.

W XIII i XIV wieku, Trójce Św. okresów poprzednich trwają, lecz się uzupełniają, udoskonalają i pomnażają. Na jedną Trójcę łacińską a dwie rzymskie, spotykamy 20 albo 30 go-

tyckich. W tymto stosunku napotykamy je, począwszy nawet od końca XII wieku.

W tym trzecim okresie, trzy osoby dotykają się, zlepiają; trzy ciała tworzą tylko jedno, unoszące trzy głowy zupełnie z sobą stopione.

Spotrzegamy jeszcze nowy typ geometryczny, gdzie troistość jest jeszcze widoczniejszą, a jedność mniej bezwzględna jak w trójkącie. Koło jest wzięte za symbol Boga, a trzy koła jedno w drugie włożone, przedstawiają trzy Osoby bezwzględnie nierozdzielne; każde koło mieści jedną syllabę wyrazu *trinitas*, a w miejscu wolném, pozostawioném przez trzy koła, czytamy: *unitas* (tabl. IV, fig. 25). Trzy koła, rozszerzenie i uzupełnienie trójkąta, zostały wynalezione w XIII wieku, i trwają aż do XVI. Podczas czwartego peryodu, który rozpoczyna się od XV wieku, trwa do XVII i obejmuje całe odrodzenie, wszystkie typy poprzednie stanęły na równi i zostały przyjęte z témże samém poszanowaniem: jestto epoka łączenia i korzystania ze wszystkiego, którą do przeszłości formy, mało co nowego dodała.

Wtedyto gołąb' spoczywa na głowie lub ręce Ducha Śgo w postaci człowieka. Dla przedstawienia Trójcy, łączą trójkąt rzymski z kołem; jedną z tych figur wpisują w drugą, i otrzymują tym sposobem formę jedności istoty, obejmującej troistość osób. Co więcćj, jak gdyby figura sama nie dawała dostatecznego wyobrażenia o boskości, kładą ją w rękę samemu Bogu.

Szczególniej w XV i XVI wieku, widzimy trzy twarze na jedném cielem, i wtedy głowy nietylko przylegają do siebie, są z sobą zrosnięte, lecz mieszają się i stapiają z sobą, i przedstawiają jedną czaszkę o trzech twarzach z czterema oczami, niekiedy z dwoma tylko i jedném czołem. Wyobrażenia takie u nas prawie nie istnieją; a robione za granicą, wyglądają na podobieństwo bóstw pogańskich, przypominając bałwany indyjskie, lub trigława słowiańskiego. Grecy pomimo bujności imaginy, nie posunęli się do przedstawiania Trójcy o trzech głowach i jedném cielem: jeden tylko tego rodzaju przykład u nich jest znany i to z XVIII wieku.

W Trójcach, gdzie usiłowano okazać jedność osób, ile tylko można zbliżano je do siebie podobieństwem, jednością, nawet (jak widzieliśmy) stopieniem; lecz w tych, gdzie usiłują

nadać różnicę osobom, cechy odróżniające są bardzo liczne, i prawie niepodobieństwem jest o nich tu mówić. Zresztą to, co powiedziałem tutaj, mówiąc z osobna o każdej z osób boskich, powinno wystarczyć do ich rozróżnienia. Nie mam potrzeby dodawać, że tutaj, równie jak i w innej części archeologii, potrzeba drobiazgowej uwagi na najmniejsze szczegóły, od których często zależą daty chronologiczne i po nich wiek obrazu i pomnika łatwo nieraz poznać się daje; dlatego nikt zarzucać nie powinien niniejszej pracy oschłego napisania, gdyż to rezultata nauki—rzecz elementarna. Krytyce pozostaje tylko orzec, czy wykład niniejszy za jasny i popularny uważanym być może.

Poczet świętych,

wraz z wykazem ich symbolów używanych na obrazach.

Adelajda, powtórna małżonka Ottona I, w stroju cesarskim † 999. 16 (17) grudnia (1).

Adryan jako rycerz i męczennik, z palmą i mieczem, także i z kowadłem.

Afra przywiązana do drzewa, ponosi śmierć przez ogień; patronka Augsburga i klasztoru w Miśni; orędowniczka żałujących grzeszników (bo poprzednio sama od matki swojej do nie-rządu namawiana była); 25 (7) sierpnia kanonizowana r. 1064.

Agata z obcęgami albo kleszczami, któremi jej piersi rozrywano, i fajerką żarzących się węgli (M.) (2). Patronka Maltańczyków, chorych na piersi, strzegąca pożarów. U nas święcą w jej uroczystość sól, którą podczas pożaru rzucają w ogień, z wiarą, że gasi pożar. 5 lut.

Agnieszka, z barankiem, którego za oblubieńca uważała (początkowo może też ze względu podobieństwa *Agnis* i *Agnus*).

(1) Uroczystość Świętego przypada pospolicie na dzień śmierci jego (*dies natalis*, dzień urodzenia w lepszym świecie); często wszakże kościół obchodzi podniesienie (*elevatio*) zwłok z pierwiastkowego grobu (*depositio*), albo przeniesienie także (*translatio*) z miejsca (*elevatio*) na inne. *Elevatio* raz tylko się zdarza; *translationes* często powtarzać się mogą.

(2) Litera *M* oznacza, że godło do męczeństwa Świętych się odnosi.

W Rzymie, w jej uroczystość strzygą i poświęcają runo jagniąt, na palliusze dla arcybiskupów. 21 stycznia.

Albanus, w stroju biskupim z mieczem, trzyma w rękę własną głowę, którą mu Hunnowie w Moguncyi odcięli. Patron Moguncyi. 21 czerwca.

Albertus Magnus, biskup Ratyzbony, mnich zakonu Dominikańskiego, z księgą. † 1282. 15 listop.

Aleksander, jako rzymski wojownik; obok niego ołtarz ofiarny, który w obec cesarza obalił. Patron Frejburga w Bryzgowii (świętych tego imienia jest więcej jak dwudziestu).

Amalberga księżniczka, matka św. Guduli, niesie kościół na rękę; współpatronka kościoła św. Katarzyny w Brandeburgu. 10 lipca.

Amand biskup Mastrychtu, słynny kazaniem odbywanemi w Gaskonii; patron kościoła w Urach. † około r. 620. 6 lutego.

Ambroży arcybiskup medyolański, jeden z ojców kościoła; trzyma księgę w jedném rękę, pastorał w drugiem. Również przedstawiany bywa z biczem w rękę (przypominającym pokutę zadaną cesarzowi Teodozjuszowi, gdyż mu odmówił wstępu do kościoła); obok niego ul. Patron gęsi. † 397 r. kłęcząc na modlitwie. 4 kwietnia. *Ordinatio* 7 grudnia.

Andrzéj, zobacz pod apostołami.

Anna matka N. Panny, w postawie podeszłej niewiasty trzymającej na rękę Maryą; częstokroć téż piastuje razem Maryą i Jezusa na rękę. Patronka Brunświku, masztalerzy, ubogich; dopomaga w odszukaniu zgubionych rzeczy. U nas często widać św. Annę w następujący sposób malowaną: siedzi niemłoda niewiasta, mając na kolanach książkę, w której uczy czytać małą (najwięcej 10cioletnią) dziewczynkę (Maryą). 26 lipca.

Ansgarius arcybiskup Hamburga, apostoł duński; suknia jego futrem obłożona. Patron Hamburga i Bremy. † 864 r. 3 lutego.

Antoni pustelnik, z egipskim krzyżem (I) i dzwonkiem zebraka; kuszony od diabła; świnia około niego; chroni od zaraży, róży i t. p. † 361 r. 17 stycznia.

Antoni padewski, Franciszkan, z gałązką lilii, piastuje Chrystusa na rękę; ma kazanie do ryb, lub trzyma przed kłęczącym osłem albo koniem hostyą. Patron w Hildesheim.

† 1232 r. (13 czerwca). Lilia oznacza dziewiczość w symbolice kościoła, również jak palma męczeństwo.

Apolinary, biskup Rawenny w I wieku, z pałąką; patron przeciw chorobie kamienia. 23 lipca.

Apolonia, trzyma ząb w rozpalonych kleszczach (M); patronka od bólu zębów z powodu jej męczeństwa, to jest wyrwania jej zębów. 9 lutego.

Apostołowie: Piotr (1) z kluczem, niekiedy z dwoma (Mat. 16. 19.) a czasem i z trzema; często też trzyma w ręku rybę. także ewangelią; dodają mu niekiedy krzyż przewrócony, narzędzie męki jego. Patron Bawaryi, Brabancyi, Bremy, W. X. Badeńskiego, Hamburga, Kolonii, Osnabrücku, Ratyzbony, Worms i t. p. Św. Piotra w okowach (ad vincula) 1 sierpnia; katedry św. Piotra (ad cathedram) 18 stycznia.

Paweł (2) z mieczem w lewej ręce (M) albo i dwoma mieczami, a wtenczas drugi oznacza miecz duchowny (Efez. 6. 17): w prawej trzyma ewangelią. Patron w Münster, chroni od gradu. Nawrócenie św. Pawła (*conversio*) 25 stycznia. Wspomnienie (*commemoratio*) 30 czerwca. Obydwaj wielcy apostołowie Piotr i Paweł, mają w dniu 29 czerwca wspólne święto, i często ukazują się razem jako patronowie jakiej diecezji, kościoła, np. w Naumburgu i Osnabrücku.

Andrzej (3) z ukośnym krzyżem × jemu właściwym, do którego był nie przybity, lecz przywiązany sznurami (M); malując go, dają mu zwykle podobieństwo rysów do św. Piotra. Patron w Minden, Holsztynie, w Szkocyi. Znane są na Rusi, i u nas nawet, wróżby panieńskie w dniu jego święta, co do ich przyszłego zameścia. 30 listop. *Szymon* (4) nazwany *gorliwym*, z piłą (M). 19 kwietnia. *Juda* (Tadeusz) z pałąką (5)

(1) S. Piotr malowany bywa łysym, włosy i broda białe, tunika zielonawa, płaszcz żółty. (J. I. Kr. Żółta Legenda artystów.)

(2) Charakterystyka S. Pawła: wysokie czoło, rysy piękne; twarz owalna, pogodna; włosy ciemne, kręjące się naturalnie; broda również ciemna, długa i rozpuszczona; płaszcz szkarłatny, suknia zielona ciemna, kłęga i miecz. (Zł. Leg. Art. J. I. Kr.)

(3) S. Andrzej malowany bywa: ogorzały, łysawy, siwiejący; atrybutem są ryby i krzyż właściwy. Suknia ciemno-fioletowa, płaszcz biało-żółtawy (J. I. Kr.)

(4) S. Szymon: głowa łysa, prawie bez brody, wzrok osłabły, oczy zmrużone. Przedstawiany bywa jako starzec, (a wedle tradycyi najstarszym z Apostołów) czytający. Suknia żółtawa, płaszcz oliwkowy. (J. I. Kr.)

(5) S. Juda: włosy krótkie, broda długawa, ryżawa; inni znów dają mu za atrybuta: miecz i strzały; także krzyż wywrócony między strzały,

(M). Szymon i Juda mają 28 października wspólne święto, i często razem występują jako patronowie, np. w Goslar. *Jakób starszy* (1) w sukni pielgrzymiej, z muszlą (konchą) na piersiach albo przy kapeluszu (M), z mieczem albo laską pielgrzyma. 25 lipca. *Jan Ewangelista*, z orłem (2), trzyma w ręku kielich, z którego wąż się wysuwa, albowiem wypił truciznę niedoznawszy szkodliwych skutków. Patron Meklemburga i Kliwii; strzeże od trucizny. 27 grudnia. Pamiątkę męki jego (był bowiem w Rzymie przed bramą latyńską w oleju smażony) 6 maja obchodzą (3). *Bartłomiej* (4), z nożem i odciętą głową; czasami nosi skórę zdartą na ręku jak suknię zrzuconą, ponieważ był żywcem odarty ze skóry. Patron Frankfurtu nad Menem. 24 sierpnia. *Mateusz* (5) (jako ewangelista, z aniołem), z halabardą. (M). 21 września. Translatio 6 maja. *Filip* (6) z laską w kształcie krzyża, za której podniesieniem bał-

a czasem pikę lub halabardę. Suknia czerwona z blikami żółtawemi, płaszcz szeroki koloru cynamonowego (J. I. Kr.).

(1) Zwykle: twarz ogorzała, włosy czarne lub ciemne, ubiór pielgrzymi, sandały, płaszcz niebieski, suknia fioletowo-czerwonawa; kij i miecz (J. I. Kr.).

(2) Oprócz orła, dodają mu często jako ewangeliście, dwoje dzieci ściskających się, symbol może miłości Zbawiciela ku niemu. (J. I. Kr.).

(3) Choć był już bardzo stary pisząc swoją ewangelią, wystawiają go zawsze, jako historyka świętego, w postaci młodziana bladego, bez brody, z długimi rozpuszczonymi włosami, zwykle jasnymi, które zapewne wyrażać mają łagodność jego charakteru. Wyraz twarzy jego jest zwykle łagodny i miły; oczy ma wzniesione w niebo, i orzeł posłuszny u stóp jego leży. Ewangelistą, malują go siedzącego lub stojącego, z księgą i piórem w ręku. (Złota Legenda artystów str. 45.)

Czasem malują go także patrzącego poza siebie ku niebu, siedzącego z piórem w ręku nad otwartą książką na stole rozłożoną; światłość z nieba opromienia jego lice: to oznacza, iż pisze Apokalipsę. Na stole wielki kałamarz, i godło jego, kielich z wężem; u stóp orzeł.

(4) Pojedyncze obrazy ś. Bartłomieja, wystawiają go mężem silnym, z grubemi rysy twarzy, lecz szlachetnymi; ogorzałego. Brwi nawisłe, siwawe, nos orli; broda czarna okrywa prawie usta, włosy gęste i czarne. Draperya czasem biała tylko. W jednym ręku trzyma ewangelią, w drugiej nóż, narzędzie męczeństwa. (Złota Legenda artystów.)

(5) Gdy ś. Mateusz przedstawiany bywa pojedynczo, jako ewangelista, trzyma zwykle księgę i pióro: czasem pisze. Zawsze stoi przy nim anioł, służący mu za emblemat, którego przytomność rozmaicie tłumaczą. Niekiedy anioł stoi wskazując na niebo, czasem znów dyktuje, trzyma kałamarz, lub wspiera księgę. Ś. Mateusz, jako apostoł, wyobrażany bywa z workiem pieniędzy, oznajmującym o jego pierwotnym urzędzie jako poborcy. Złota legenda artystów.

Malują go także czasem z kolébką i krzyżem obok: symbolami życia i śmierci Zbawiciela. (J. I. Kr.).

(6) Ś. Filip: wyraz twarzy przejęty wdzięcznością, włosy i broda blond; suknia zielona blada, płaszcz jasno-żółty, krzyż cienki jak u Ś. Jana Chrzciciela. (J. I. Kr.).

wany się obalały; ztąd w obrazach gotyckich otaczany bywa pokruszonymi bałwanami, leżącemi u nóg jego. Trzyma ewangelią w ręku (1). Patron Spiry, Brabancyi. *Jakób młodszy* (2), czasem zwany św. Jakobem *sprawiedliwym*, z narzędziem do foluszu służącym (M), często do wielkiego smyczka podobnym. ŚŚ. Filip i Jakób, mają wspólne święto d. 1 maja. *Tomasz* (3) nazwany *Dydymus*, z lancą (M) albo kijem; tudzież z węgielnicą (linią ciesielską). 21 grudnia. Translatio 3 lipca. *Maciej* (4) z toporem (M); patron Trewiru, w Goslar i t. p. 24 lutego (w roku przestępnym 25 lutego).

Na cześć wszystkich apostołów obchodzi się dzień 15 lipca: *Divisio apostolorum* (Rozesłanie śś. apostołów, rozdział, rozstanie się); także dzień 72 uczniów.

Augustyn (5) biskup hippoński, jeden z Ojców kościoła; trzyma w ręku serce przeszyte jedną albo dwiema strzałami (*Cor charitate divina sagittatum*. Confess. IX. 2). Patron teologów. † 430 r. 20 sierpnia.

Aureliusz umarł w Kordubie jako męczennik. 27 sierpnia.

Barbara, z mieczem (M), trzymając kielich z hostyą w ręku, na znak, że jej czciciele nie umierają bez ŚŚ. Sakramentów. Obok niej, w głębi, wieża jako więzienie, z trzema oknami. U nas jest patronką górnictwa, w ogóle zaś uważaną jest za

(1) Malują śgo Filipa powszechnie w sile wieku, fizynomii łagodnej, prawie bez brody, czasem z bardzo długą brodą w grupie apostołów. Ma zawsze za atrybut krzyż różnego kształtu, czasem bardzo mały, tak, że go w ręku niesie; czasem wyniosły, w kształcie głoski T; czasem długą łaskę z krzyżem łacińskim u wierzchu. (Złota Leg. art.)

(2) S. Jakób młodszy malowany bywa zwykle z twarzą łagodną, włosy długimi, brodą krótką; trzyma maczugę. Płaszcz szkarłatny, sukma żółta, zawsze bosi. (J. I. Kr.). Wedle dawnej tradycji. tak był podobny do Chrystusa wzrostem i rysami twarzy, że trudno ich było rozróżnić. (Zł. Leg. art.)

(3) Broda i włosy krótko ucięte, trzyma dziedę i księgę. Suknia biało-zielonawa, płaszcz jasno-niebieski. (J. I. Kr.)

Czasami S. Tomasz z wyrazem wątpliwości i bojaźni, kładzie rękę prawą w ranę Zbawiciela; czasem już odrzuciwszy wątpliwość, podnosi oczy w niebo, zdziwiony i uniesiony. (Złota Leg. art.)

(4) Malują go z gestem pokory i wdzięczności; włosy długie ciemne, broda długa, siwiejąca; suknia płowa, płaszcz niebieskawy, topór w ręku. (J. I. Kr.)

(5) Gdy go przedstawiają pojedynczo, zwykle stoi w postawie wspaniałej, w ubiorze i mitrze biskupiej. Czasem siedzący pisze, lub trzyma księgę i pióro. Emblematem jego jest serce przeszyte mieczem lub strzałą, wyrażające gorącą pobożność jego i dotkliwe zgryzoty. (Złota Legenda artystów, str. 134).

obronicielkę od piorunów: bo gdy własny jój ojciec ściał ją, zgiął od piorunu. Patronka szczęśliwej śmierci, patronka artyleryi w Austrii, i górnictwa w Szlązku pruskim. Nosi także jak i inne męczennice, koronę i palmę. 4 grudnia. *Transl.* 2 września.

Bartłomiej. (patrz pod apostołami).

Benedykt z Nursyi: jako opat, w infule i z pastorałem, ale w sukni swojego zakonu; w rękę trzyma puhar z węzem (na pamiątkę, że cudownym sposobem uszedł trucizny); także dzbanek (który jego piastunka rozbiła, a który, chłopcem będąc, gorącą modlitwą znów całym uczynił). Około niego ciernie (w które się kładł, aby ciało swoje udrećzać); tudzież kruk z chlebem w dziobie, (który jako zatruty, na rozkaz świętego w odległe zaniósł miejsce). Patron przeciwko truciznie, zapaleniu, róży. † 543 r. 21 marca. *Transl.* 11 lipca.

Bernard z Clairvaux, opat Cystersów (biskup) i Ojciec kościoła, *Dr. mellifluus*; ul około niego, księga z trzema infułami w rękę i pies przy nim (bo brzemienną jego matce śniło się, że nosi białego psa z czerwonym grzbietem). Marya podaje mu pierś swoje. † 1153 r. 20 sierpnia. Kanonizowany 1174 r. *Transl.* 17 maja.

Błażej, biskup Sebasty, ze zgrzeblem (często do grabi podobnym) (M), albo ze świecą (którą mu wdzięczna jedna kobieta do ciemnego więzienia przyniosła za to, iż jój święty zgubioną świnię modlitwą powrócił). Jako pustelnik, błogosławi leśnym zwierzętom. Siedm niewiast zbiera krew jego, podczas męczeńskiej jego śmierci (za Dyoklecjana). W niektórych okolicach świecą w jego uroczystość dwie świece nakrzyż związane, i przytykają do gardła jako środek przeciw bolowi gardła. 3 lutego.

Bonifacy (Winfried) arcybiskup Moguncyi, apostoł Niemiec; z księgą mieczem przebitą, przez którą go śmiertelny cios dosięgnął, gdy go Frygowie przy Dockum mordowali. Patron Turynгии, Arnstadt, Fuldy i t. d. † 750 r. 5 czerwca.

7 *Braci*, synowie św. Felicity, którzy w Rzymie r. 160, męczeńską śmierć ponieśli. 10 lipca.

7 *Braci Polaków* pustelników zakonu kamedulskiego: Benedykt, Jan, Mateusz, Izaak, Krystyn, Atanazy, Barnaba. Łatwo poznać ich na obrazie; a znana legenda o nich z czasów Bolesława Chrobrego.

Bronisława Odrowążówna zakonnica św. Norberta na Zwierzyńcu przy Krakowie. † r. 1259. Malują ją klęczącą przed Chrystusem, trzymającym w ręku krzyż własny. 3 września.

Brygitta Szwedka, w sukni założonego przez nią zakonu, trzyma w ręku serce oznaczone krzyżem, albo też sam krzyż czerwony. Patronka Szwecyi. † 1373 r. 8 października. Kanonizowana 1391 r.

Brykcyusz, biskup w Tours około r. 400; trzyma (na dowód swojej niewinności z powodu połogu jego praczki) żarzące węgle w odzieży. Patron rodzących i przeciw bolom ciała; ulubiony od Niderlandczyków przesiedlonych w XII wieku do Saxonii. 13 listopada.

Bruno z Kwerfurtu, kartuz; trzyma krzyż, którego końce rozkwitają; albo też krucyfix. Ponad nim Objawienie N. Panny; na piersiach ma gwiazdę, pod nogami kulę ziemską. † 1101 r. 6 października. Kanonizowany 1514 r.

Burkhard, biskup Wirzburga, trzyma w ręku hostyą. Patron Wirzburga i Worms. † 753 r. 2 lutego. *Transl.* 983 r. 14 października.

Cecylia (1) z organami na ręku, które wynalazła, i muzyczne narzędzia około niej. Stoi w kotle wrzącej wody (M), a jej ciało ma kilka ran od cięcia w szyję i plecy. Patronka muzyki i śpiewu. † około r. 230, 22 listopada.

Cyryak, dyakon; smok przy jego nogach (gdyż ma moc nad zębami duchami); także miecz (M). Zył za Dyoklecjana. *Transl.* 8 sierpnia.

Cyryll i Metodyusz. Za panowania Mieczysława I, przybyli z Konstantynopola do Bułgarii i Serbii; apostołowie Morawii, Bułgarii, Serbii i wskrzesiciele grecko-słowiańskiego obrzędu. Oni utworzyli alfabet słowiański, i pierwsze liturgiczne księgi tłumaczyli z greckiego na słowiańskie narzecze. Uprosil Mikołaja I papieża, aby mszą świętą i inne obrzędy duchowne w języku słowiańskim odprawiali. Cyryll w Rzymie koroną uczczony; Metodyusz w Czechach. Święto ich obchodzą ludy słowiańskie 9 marca.

Bł. Czesław z domu Odrowążów; brat św. Jacka i bł. Bronisławy, Dr. ś. teologii, kan. kat. krak. później Dominikan;

(1) Obrazy bardzo dawne przedstawiają ją uwieńczoną różami białymi i czerwonymi (różami rajska), przy niej anioła; w ręku jej nuty muzyczne. Organ lub inny instrument muzyczny obok niej stoi.

był apostołem Czech i Szlązka. Przedstawiają go w postawie klęczącej modlącego się gorąco, a nad nim unosi się kula ognista: bowiem w czasie oblężenia Wrocławia przez Tatarów, gdy naprzeciw ich obozu modlił się gorąco o pomoc, światłość wielka ogarnęła go, i wnet w postaci kuli ognistej nad obozem pogan unosząc się, postrachem do ustąpienia ich zniewoliła. Umarł w Wrocławiu 1243 r. 20 lipca.

Dominik, w sukni założonego przez siebie zakonu; przy nim malują psa, białe i czarne mającego plamy i niosącego w pysku pochodnię, którą świat oświeca, a to z powodu snu, jaki jego matka miała będąc brzemienną. † 1221 r. święto 4 sierpnia.

Donatus biskup z Arezzo, około r. 350; z mieczem (M), a niekiedy z kołem otoczonym światełkami. Patron zakładu w Miśnii. 7 sierpnia.

Dorota, trzyma kwiaty, róże i owoce, bo jej się aniołowie przed śmiercią, którą za przejście do swego oblubieńca uważała, z kwiecistymi wieńcami ukazali. Ścięta za Dyoklecjana 6 lutego.

Dyonizyusz areopagita, biskup ateński (Dzieje apost. 17. 34); jako męczennik, trzyma odciętą głowę w ręku. 3 paźdz.

Dyonizyusz biskup paryzki, często brany za areopagite. † jako męczennik za czasów Domicyana. 9 października.

Dyzma, łotr żałujący na krzyżu, po prawej stronie Jezusa. Patron zbrodniarzy na śmierć osądzonych. Pamiątka jego przypada w święto męki Chrystusowej (*Passio Domini*).

Edyta córka króla angielskiego, w sukni zakonnej z oznakami królewskiej godności. † 984 r. 16 września.

Egidyusz (St. Gilles); patrz Idzi.

Elżbieta córka Andrzeja II króla węgierskiego, a żona Ludwika VI Landgraфа Turyngii; w stroju Franciszki, z trzema koronami (jako panna, małżonka i wdowa). Trzyma chleb w koszyku i dzbanek z winem, aby biednych obdzielać: chleb zamienił się pewnego razu w róże, gdy ją przypadkiem dostrzegł mąż czy ojciec, który jej wszelkiej styczności z ubogimi zabraniał. Patronka Turyngii, Hessyi, Marburga, i t. d. † 1231 r. 19 listopada. Kanonizowana 1235 r.

Emeran biskup Poitiers, missyonarz w Bawaryi; napađnięty przez księcia Landberta w lesie pod Helfendorf w osadzie Freisingen, przeszytym został przez niego lancą z tyłu;

później przywiązany do drabiny i poćwiertowany. † 654 r. 22 września.

Engelbert, arcybiskup koloński; patron zakładu Essen. † 1225 r. 7 listop.

Erazm biskup za czasów Dyoklecjana, trzyma w ręku kołowrot, na którym wnętrzości z ciała jego snute, rozwijano. Aniołowie odwiedzali go, a kruk żywił go na puszczy w górach Libanu. U nas widzieć można obrazy przedstawiające św. Erazma przywiązanego do drzewa, a oprawca wysnuwa wnętrzości z ciała jego. Chroni od boleści brzucha. 2 czerwca.

Eufemia, z kołem albo niedźwiedziem (M). Żyła około 290 r. 3 września.

Eustachiusz w rycerskiej zbroi, trzyma rogi jelenie, albo też jelen obok niego z krzyżem między rogami: bo raz na łowach, na widok białego jelenia, który miał krucyfiks pomiędzy rogami, nawrócił się do prawdziwej wiary. Umarł śmiercią męczennika w rozpalonym piecu, około roku 119. Patron strzelców. 21 maja.

4ej *Ewangelisci* piszą swe księgi; towarzyszą im właściwe godła. *Łukasz* (1) maluje stojąc przed sztalugą. Święto *Marka* (2) przypada na 25 kwietnia (Transl. 31 stycznia); Łukasza 18 października (Transl. 9 maja). Święta *Jana* i *Mateusza*, patrz pod apostołami.

Fabian papież, z mieczem (M). Gołąb który usiadł na jego głowie, spowodował obiór jego na rzymskiego biskupa. † 523 r. 20 stycznia. (Uroczystość św. Sebastjana, tegoż samego dnia przypada).

Felicyta, jako poważna niewiasta, z palmą i berłem krzyżowém, umiera jak jój synowie (siedmiu braci) męczeńską śmiercią w 160 r. 23 listopada.

(1) S. Łukasz jako ewangelista, nierozdzielnie prawie zawsze ukazuje się z wołem, skrzydlatym czasem, stojącym obok lub leżącym u nóg. Jest patronem malarzy i lekarzy, był bowiem malarzem i lekarzem. (Złota Legenda artystów.)

(2) S. Markowi jako ewangelicie, dodają prawie zawsze lwa ze skrzydłami (rzadko bez nich); bo skrzydła lwa S. Marka, rozróżniają go od S. Hieronima, który także malowany bywa ze lwem. Patron Wenecyi. (Zł. Leg. art.)

Również wyobrażany bywa z chorągwią, znakiem zmartwychwstania Chrystusowego; czasem ze S. Piotrem, który miał mu jego ewangelią dyktować, i którego był towarzyszem. (J. I. Kr.)

Felix i Adauktus (szczęsny i przymnożony). Pierwszy w kapłańskim stroju, z mieczem (M). Kiedy mu wyrok śmierci ogłoszono, wystąpił jakiś nieznajomy, ucałował skazanego, oznajmił, że jest chrześcianinem i poszedł z nim na śmierć: ztąd ostatniemu dano później imię *Adauktus* (*quia S. Felici auctus est ad coronam vitae aeternae*). 30 sierpnia.

Felix i Regula (brat i siostra); pierwszy, jako rycerz tebańskiego legionu: oboje trzymają swe odcięte głowy (M). 11 września.

Felix papież z mieczem (M). † 274 r. 30 maja. Transl. 22 grudnia. Oprócz tych trzech wymienionych, wielu jest jeszcze świętych imię to noszących: najmniej 40 mężczyzn, a kilka kobiet, pomiędzy którymi podać różnicę jest bardzo trudno.

Felix Seculum, tak zwany obraz przedstawia 5 Polaków błogosławionych, jednocześnie w XV wieku żyjących. Malują ich, po prawej: Michał Gedrojec zakonnik klasztoru *martyrum de poenitentia* w Bystrzycy, i Świętosław mansjonarz kościoła N. M. P. w Krakowie; po lewej: św. Jan Kanty i błog. Stanisław Kazimierzczyk kanonik lateran. krak.; w środku błog. Szymon z Lipnicy Bernardyn: wszyscy w właściwych strojach.

Fides, siostra św. Maurycego, jako murzynka.

Fides, panna, umęczona w Agen. 6 października.

Fides, Spes i Charitas, dzieci w 12tym 10tym, i 0tym roku, córki S. Zofii, każda z mieczem (M) 1 lipca (1 sierpnia?). Patrz: Wiara.

Floryan, rycerz około r. 300, wylewa z naczynia wodę na ogień, albowiem ofiarował się dobrowolnie iść przez ogień. Utopiono go w rzecę Ens pod Lorch. Patron Austrii, przeciw pożarom i bezpłodności. Patron także narodu polskiego; gdyż stolica apostolska relikwie jego darowała Polakom, którzy je złożyli w Krakowie na Kleparzu, a głowa znajduje się w katedrze. 4 maja.

Franciszek z Assyżu, w sukni swojego zakonu, którego był założycielem; trzyma gałązkę lilii w ręku; nosi znaki (blizny) pięciu ran Chrystusa, a często trzyma krucyfik, z którego w kształcie czerwonych linii, blizny się na jego ciele piętnują. Dla rany w boku, jest otwór w habicie. Serafin o sześciu skrzydłach stoi przed nim, ztąd zwany *Doctor seraphicus*. † 1226 r. 4 października. Kanonizowany 1228. Transl. 25 (24) maja.

5ciu Franciszkanów: Ścisław, Błażej, Wisław, Wincenty, z gwardyanem swoim Hieronimem, w Inflantach wiare szerzą.

Gallus, założyciel i opat w St. Gallen; jako pustelnik, z laską, obok niego niedźwiedź, który mu usługiwał. † 640 r. 16 października. *Elevatio* 20 lutego.

Gangolf, rycerz burgundzki; stoi przy źródle, które kupił w Szampanii, i sprawił, że w jego ogrodzie w Varennes w Burgundyi, z ziemi wytryskało. Patron kościoła założonego w Bambergu w XI wieku; ulubiony szczególnie w Niderlandach (patron w Haarlem), z kąd cześć jego przez osadników do Saxonii w XII wieku przeniesioną została. † około 760 r. 6 października (10 i 11 maja).

Genowefa z Brabancyi, wygnana niewinnie przez swego męża hr. Zygryda na puszcę, żywiona z dziecięciem przez łanię, znalezioną została nawpół nagą w jaskini.

Genowefa, zakonnica w Paryżu, około r. 500: trzyma w rękę świecę (albowiem, gdy w czasie wili, diabeł pogasił świece mieszkciem, zapaliła je napowrót bez ognia); patronka od suszy (ponieważ pragnienie robotników, pracujących około kościoła św. Dyonizego, do tego stopnia zaspokoila, że aż do skończenia budowy pić nie potrzebowali), 3 stycznia.

Gereon (1), rycerz tebańskiego legionu, z chorągwią, który uszedł zagłady ze swoim legionem, a później w Kolonii, ze świętym swoim orszakiem 318 towarzyszy, pisząc greckimi głoskami liczebnymi 318 = ΤΙΗ = krzyż Jezusa, śmierć męczeńską poniósł (porównaj I Mojż. 14, 14). Patron Kolonii. 10 października.

Gertruda, ksieni w Nivelles około r. 650, z krwi królewskiej: trzyma lilią w rękę i stoi nad wodą otoczona szczurami i myszami. 17 marca. *Elevatio* 10 lutego. *Transl.* 4 września. Chroni groby przeciw szczurom i myszom.

Goar, kapłan i pustelnik w Trewirze, około 580 r. Trzy łanie dostarczyły mu mleka swego, którym imających go upoił; diabeł siedzi na jego barkach. W rękę trzyma swoje głowę; jego kapelusz wisi na promieniach słońca. Patron garnarczy. 6 lipca. *Transl.* 25 maja.

(1) Ś. Gereon ma na sobie zbroję, w rękę sztandar i palmę. (Zł. Leg. art.).

Gotard, Bawarczyk, pierwszy opat Hirsfeldu; później biskup w Hildesheim. Patron w Gotha. † 1038 r. 5 maja. Kanonizowany 1131 r. *Transl.* 4 maja.

Gottfryd z Kappenbergu, mnich premonstratenński, towarzysz św. Norberta, założyciel klasztoru w Ilmstadt przy Frankfurcie nad Menem. Trzyma półmisek z chlebem. † 1127 r.

Grzegorz Wielki (1), papież i Ojciec kościoła. Gołąb siedzi mu na ramieniu; czyta mszę przed ołtarzem, na którym Chrystus na krzyżu stoi, a z boku Jego krew do kielicha tryska; niekiedy kielich leży, a krew z niego płynie na patynę. Patron uczonych. † 604 r. 12 marca.

Gudula, dziewica z Brabancyi, córka św. Amalbergi. Trzyma w ręku lampę, którą jej diabeł zadmuchnął, a która na jej modlitwy, znowu się zapaliła. Patronka Brukselli. 8 stycz.

Helena, cesarzowa, matka Konstantyna W., niesie krzyż Chrystusa i gwoździe, które w Jerozolimie odszukała. Patronka Trewiru. 2 marca (lubo zachodzi różnica w dniach, atoli często się zdarza, iż ją mieszają z św. Heleną królową, której święto przypada na dzień 21 maja).

Henryk II cesarz rzymski, trzyma model kościoła, albo dwa miecze. Patron i założyciel biskupstwa w Bambergu, odnowiciel zakładu w Merseburgu. † 1024 r. 15 lipca. Kanonizowany 1152 r.

Hermagoras biskup Akwilei, w pierwszym wieku (imię tego świętego w Karyntyi i Krainie bywa na *Emohar* przekreścane). 12 lipca.

Hieronim ze Strydonium w Dalmacyi; kapłan, niekiedy w stroju kardynalskim (2); Ojciec kościoła, lew obok niego. Tłumacz biblii, autor Wulgaty łacińskiej. Rozmyśla samotny na puszczy; trzyma kamień w ręku, przed nim trupia głowa jako oznaka śmierci. † 420 r. 30 września.

Hilarion pustelnik i opat około r. 370 na Cyprze; ubrany w skórę zwierzęcą, wypędza smoka znakiem krzyża św. i pali go na stosie. 21 października.

(1) Ś. Grzegorz był dosyć wysokiego wzrostu i mężny w sobie. Cierę miał śniadą; twarz szeroka i pełna, włosy i brwi czarne, broda rzadka. (Zł. Leg. art.).

(2) Częściej widzimy go wpół nagim, z głową łąsą, brodą okrytą gęstym włosem, członki wychudłemi, twarzą bladą i wyniszczoną cierpieniem, jużto trzymającego kamień w ręku, już księgę lub pióro, zawsze prawie ze lwem. (Złota Leg. art.).

Hildegarda z Francyi, żona Karola W. w stroju królewskim; patronka chorych, zakładu w Kempten. † 783 r. 22 lipca. (Inna *Hildegarda* panna, była założycielką i ksienią klasztoru św. Roberta przy Bingen. † 1180 r. 17 września).

Hippolit, jako kapłan, umarł w Rzymie śmiercią męczeńską około r. 304, koźmi rozszarpany. 13 sierpnia.

Hubert jako strzelec, z dwiema strzałami; obok niego stoi jeleni, pomiędzy rogami krucyfix niosący, na widok którego nawrócił się na polowaniu. Umarł jako biskup w Lüttich 727. Patron myśliwych, od wścieklizny w Lüttich, Juliaku, i Augsburgu. *Depos.* 3 list. Rozmaite translacye. 743 r. 29 maja; 825 r. 30 września. 20 grudnia. święto 3 listopada.

Ida z Eckelborn; przy niej łania, która ją na puszczy żywiła.

Ida z Toggenburgu: trzyma kruka, który pierścień w dziobie napowrót jej przynosi, za którego utratę mąż ją od siebie wypędził. Obydwie święte mają strój zakonny, i często jedna za drugą się bierze.

Idzi, (Aegidius) z postrzeloną sarną, jako dyakon, albo pustelnik. Myśliwi, którzy za postrzeloną sarną uganiali się, znaleźli go w puszczy nad Rodanem. Patron Juliaku i Osnabrück. Od czasów Bolesława Krzywoustego, znany i w Polsce. Patron pożądających potomstwa. 1 września.

Ignacy biskup Antiochii, sprowadzony w kajdanach do Rzymu, za Trajana, i lwom na pożarcie rzucony. Legenda widzi w nim owe dziecko, które Jezus między spierającemi się młodzieńcami postawił (Mat. 18. 2—4). † 107 r. 1 lutego. *Transl.* 17 grudnia.

Ignacy Lojola, fundator Jezuitów: zwykle malują go łysogo, z krótką obciętą brodą, w ornacie jak do mszy. 31 lipca.

Izajasz Bonner, u ks. Augustyanów w Krakowie.

Jacek (Hyacinthus) (1) w stroju Dominikana, albo biskupa; niesie święte naczynia (kielich, obrazy świętych i t. d.) i idzie po wodzie na Dnieprze albo Wiśle. Apostoł Polski i Litwy. † 1257 r. 15 sierpnia. Święto atoli dla przypadającój

(1) Ś. Jacek Odrowąż, z zakonu św. Dominika, w dyecezyi wrocławskiej urodzony; kanonik krak. potem Dominikan. Często się modlił przed obrazem N. Panny, od której te słowa słyszał: *Gaude fili Hyacinthe* etc. Sypiał, kamień pod głowę podłożywszy. Jego święto przypada w pierwszą niedzielę po Wniebowzięciu N. M. Panny. Malują go ze statuą Matki Boskiej z Panem Jezusem opartą na lewej ręce, w prawej trzyma kielich, nad którym hostya.

w dzień ten (dzień śmierci śgo) uroczystości Wniebowzięcia N. M. Panny, na 21 odłożone zostało. Napotyka się także innych świętych tegoż samego imienia, ale ci zawsze są w towarzystwie niektórych innych, np. Jacek, Alexander i Tyburcyusz. 9 września.

Jadwiga, księżna szlązka, patronka polska. Jako zakonnica, idzie (z pokory) pieszo, a obuwie swoje niesie w ręce; często też trzyma model kościoła, lub mały posąg Najśw. Panny z dziećciem, a czasem wyobrażają ją jako wstępującą wśród aniołów do nieba. W prawej trzyma kościół, w lewej statwę N. M. P. z dziećciem. W ogóle u nas prawie nie ma ołtarzy poświęconych téj św. ledwo w kilku miejscach na Szlązku. Patronka Szlązka i Polski. † 1243 r. 15 października. Kanonizowana 1267. *Transl.* 17 sierp. 1268 r.

Jakób (Patrz pod apostołami).

Jan Chryzostom (Złotousty), biskup Konstantynopola; ul obok niego oznacza homiletę (kaznodzieję) i Ojca kościoła. Patron od zarazy. † 14 września 407 r. Święto jego przypada 27 stycznia.

Jan Chrzciciel w odzieży ze skór zwierzęcych, z spuszczoneym na barki włosem; niesie krzyż cienki, obok niego baranek; stoi nad rzeką Jordanem. Patron wielu miast; narodzenie 24 czerwca, ścięcie 29 sierpnia.

Jan z Dukli (błogosławiony), zakonu św. Franciszka *de observantia*, to jest Bernardynów. Urodzony w miasteczku Dukli (w Galicyi); wielce nabożny, znosi cierpliwie i z pokorą najcięższe dolegliwości. † 1484 r. Ciało jego, z rozkazu Innocentego VIII papieża podniesione, spoczywa u Bernardynów we Lwowie. Patron utrapionych. 13 lipca.

Jan Ewangelista (patrz pod apostoł).

Jan Kanty (błogosławiony) urodzony w mieście Kęty, niedaleko od Krakowa. Doktor Pisma Śgo. w Akademii krakowskiej; często ubogim suknie i obuwie za swe pieniądze kupuje, a czasem podczas zimnej pory, z nóg trzewiki zdejmuje i ubogiemu daje. Zawsze w grubiej włosiennicy chodził; cudownym sposobem powraca służącej dzban stłuczony z młkiem. Patron i opiekun Akademii krakowskiej. † 1473 r. 23 października (1).

(1) Przedstawiany bywa w todze akademickiej.

Jan i Paweł ponieśli śmierć męczeńską w Rzymie, za cesarza Juliana w IV wieku; panują nad burzami. Święto ich 26 czerwca (dzień od gradu).

Jerzy (Georgius), rycerz konny albo pieszy, prawie zawsze z chorągwią o krzyżu czerwonym; zabija smoka, któremu królowna (z miasta Seleny w Libii) na łup oddaną została. Od IV wieku jeden z najbardziej wielbionych świętych. Patron rycerzy i całych Niemiec; Anglia ma go za patrona szczególnego. Został ścięty d. 23 kwietnia 303 r. *Transl.* 11 grudnia.

Joachim Ojciec N. M. Pauny; niesie w koszyku parę gołąbków (Łuk. 2. 24), albo baranka, wieniec z róż, albo Maryą na rękę. Dawne legendy nie podają dnia jego śmierci, a jego uroczystość razem ze św. Anną się obchodzi. (W kalendarzu umieszczony 4. września).

Josaphat Kuncewicz, męczennik, arcybiskup połocki ruskiego obrządku.

Józef, opiekun Jezusa, niesie gałązkę lilii i pracuje jako cieśla. 19 marca.

Juda Tadeusz. (patrz pod apostołami).

Karol Wielki, w stroju cesarskim, trzyma kościółek na rękę; z długim mieczem schylonym ku ziemi, u stóp tarcza z dwugłowym orłem czarnym. Patron Frankfurtu nad Menem, Akwisgranu, Hildesheimu. † 814 r. 28 stycznia. Kanonizowany 1164. *Transl.* 27 lipca.

Kassyusz, rycerz tebaidzkiego legionu; depcze poczwarę. Patron w Bonn. 8 października.

Kastor w stroju kapłańskim, ratuje tonący okręt. Patron Koblencji. Żył w IV wieku.

Katarzyna (1) z Alexandryi, księżniczka, z połamaném kołem najeżoném żelaznemi kolcami, które piorun zgruchotał w chwili, gdy ją niemi szarpać mieli; w pontyfikaliach zaś ruskich, z toporem i palmą męczeńską. Dysputuje z 50ciu filozofami; zaręcza się z Dzieciątkiem Jezus (zaślubiny św. Katarzyny) i zostaje ściętą. Patronka filozofii i szkół; ulubiona w XIII wieku, gdy cześć jej w czasie wojen krzyżowych, ze

(1) W rękę miewa palmę i miecz, znamiona męczeństwa; na głowie koronę, jako księżniczka i męczenniczka; księgę przy sobie, znak nauki, ale nadewszystko *koło* odznacza ją wyłącznie, i jej tylko służy. Najpospoliej koło to bywa złamane, czasem całkowite także, najeżone zębami żelaznemi. Święta opiera się na tém kole: ma je z boku, lub anioł unosi je nad nią razem z palmą. Czczoną jest jako patronka nauk. (Złota Legenda artystów.)

Wschodu na Zachód przeniesiono. Współ-patronka katedry w Magdeburgu. Miała żyć za panowania Maxymina. 25 listopada.

Kazimiérz, królewicz polski, syn Kazimierza IV; w młodym zaraz wieku dręczy ciało swoje włosiennicą i postami; ojciec i obrońca ubogich. Żył do śmierci w czystości, i raczej umrzeć wolał, niż jęj naruszyć. † 1484 r. 4 marca. Pokazał się na powietrzu niezliczonemu wojsku litewskiemu, i zwycięstwo u Pana Boga zjednał. Malowany bywa w stroju królewskim.

Kilian, biskup wirzburgski, apostoł Franków, z mieczem i sztyletem (M). Patron Frankonii i Wirzburga. † 689 r. 8 lipca.

Klara, ksieni założonego przez siebie klasztoru, z monstrancją. Patronka oczu. † 1253. 12 sierpnia.

Konrad, biskup konstancyeński, odprawia mszą, a pajak roztacza swe siatki naokoło kielicha. Patron Szwabii i Konstancyi. † 976 r. 19 lutego. Kanonizowany 1123 r.

Konstantyn, rycerz rzymski z chorągwią. Towarzysz św. Maurycego, z którym wspólne ma święto.

Koronaci 4^{re}, których imiona (Sewerus, Seweryanus, Karporoforus i Wiktorynus, a może i inni) dopiero później wykrytemi zostały, i dlatego początkowo zwano ich tylko *Coronati*, bo nad ich grobem w wodach Tybru, korony się ukazały. Byli to kamieniarze, których Dyoklecjan pomiędzy deski związać i w Tyber wrzucić kazał. Patronowie ubogich chat. 8 listopada.

Kozma i Damian, dwaj bracia lekarze, niosą flaszeczki z lekarstwami, i narzędzia chirurgiczne. Patronowie lekarzy i zakładu Essen w Czechach. 27 września.

ŚŚ. Trzej Królowie: Kasper (lat 60), *Baltazar* (40) i *Melchior* (król Murzynów lat 20), przynoszą Dzieciątku Jezus swe dary. (Przedstawiają ich zwykle bez aureoli). 6 stycznia.

Kryspin i Kryspinian z szewskimi narzędziami; bo będąc w Galii jako missyonarze, musieli szukać sposobu do życia w robieniu obuwia. Patronowie w Osnabrück, szewców i tkaczy. † 280 r. 25 października.

Krzysztof, olbrzym, trzyma Dzieciątko Jezus na rękę, unosząc go ponad wodą. Patron Brunświku, żeglarzy, i od niechrześcijańskiej śmierci (tojest bez pokuty). 25 lipca.

Krzyża Śgo Znalezienie. Uroczystość obchodzona 3 maja, na pamiątkę znalezienia prawdziwego krzyża przez cesarzową Helenę. Na obrazach przedstawiają żyda Judasza, wnuka Zacheusza (Łuk. 19. 2.), któremu miejsce ukrzyżowania Jezusa, z ojcowskich znanem było powieści, zajętego odkopywaniem krzyża w obec Heleny i Konstantyna. (Ten Judasz na widok prawdziwego krzyża, nawrócił się, i później pod imieniem *Kwiryakus* był biskupem jerozolimskim. Na żądanie Heleny, odszukał jeszcze i trzech gwoździ). Jedną część krzyża przesała Helena do Konstantynopola, a drugą zachowano w Jerozolimie, z kąd go następnie król perski Kozroes zrabował. Cesarz Heraklius atoli odebrał krzyż napowrót i odwiózł do Jerozolimy, na pamiątkę czego, obchodzi się święto *Podwyższenia krzyża* dnia 14 września. Obrazowe przedstawienia odnoszą się do legendy: że kiedy Heraklius z cesarską okazałością wjazd swój z krzyżem do Jerozolimy chciał odprawić, wówczas znalazł bramę miasta cudownym sposobem zamkniętą, a na nią siedział anioł, który mu skromny wjazd Chrystusa przypominał. Cesarz szedł więc boszo i w koszuli tylko, a brama otwarła się natychmiast.

Kunegunda albo *Kinga* (błogosł.), królowa polska, córka króla węgierskiego Beli; lubo małżonka, prowadzi życie panieńskie. Za jej modlitwą sól w Bochni wynaleziono. Po śmierci męża (Bolesława Wstydliwego, monarchy polskiego) zbudowała klasztor w Sączu, i sama też sukienkę zakonną przywdziała. † 1292 r. 28 lipca.

Kunegunda (cesarzowa), małżonka Henryka II cesarza, w czystości panieńskiej żyjąca; trzyma lemieśz (gdyż na dowód swojej czystości, szła bez uszkodzenia po rozpalonych lemieśzach); także kościół. Patronka Bambergu. † 1033 r. 3 marca, kanonizowana 1200 r.

Kwiryn, za Dyoklecjana biskup w Siscia w Illiryi; przywiązano mu kamień młyński do szyi i strącono do wody, jednak nie utonął; konie go wloką; jego język rzucono jastrzębiowi. Patron przeciw podagrze. 30 marca.

Lambert biskup Mastrychtu, padł ofiarą zemsty swoich nieprzyjaciół, przebity dziurą (M). Patron Lüttich, Münsteru. † 708 r. 17 września. Różne translacye: 712 r. 28 kwietnia. 1143 r. 19 grudnia i t. d.

Leodgar biskup w Autun, trzyma w ręku świder, którym mu oczy wykluto. Patron w Lucern. † 678 r. 2 (3) października.

Leonard, pustelnik pod Limoges, z łańcuchem naokoło ciała (uwalniał bowiem niewinnie więzionych); dopomógł małżonce Teodeberta króla Austrazji, przy trudnym położeniu modlitwą, i dlatego wzywany bywa od rodzających i uwięzionych. 6 listopada.

Leopold IV margrabia austriacki, z modelem kościoła; założyciel klasztoru w Neuburgu. Patron Austrii, Karyntyi i Styrii. † 1136 r. 15 listopada. Kanonizowany 1485 r. *Transl.* 15 lutego.

Liborius biskup w Mans, około r. 340; trzyma książkę, na której kilka kamyków leży. Paw' (który biegł naprzód, kiedy w r. 836, relikwie tego świętego przenoszono z Mans do Paderborn) stoi przy nim. Patron w Paderborn, przeciw chorobie kamienia. 13 lipca. *Transl.* 836 r. 28 maja.

Longin (1) setnik, pod krzyżem Jezusowym (Mat. 27 54), w rycerskiej zbroi. (I tego też żołnierza, który przebił bok Jezusa włócznią, legenda Longinem nazywa). Jako chrześcianin, poniósł śmierć za czasów rządy Oktawiana (był bowiem święty). Imię Longina ukazuje się w kalendarzach w rozmaitych dniach roku, na pamiątkę rozmaitych męczenników tego imienia.

Ludmiła księżniczka czeska, trzyma w ręku zasłonę, którą ją uduszono. Patronka Czech. † 927 r. 16 września. *Transl.* 10 listopada.

Ludwik IX król Francuzki, trzyma berło z liliami i koronę cierniową. † 1270 r. 25 sierpnia. Kanonizowany 1297 r.

Ludwik biskup Tuluzy, Franciszkan, stryj poprzedzającego; z rodu królów Neapolu, Sycylii i Jerozolimy, co przez trzy obok niego leżące korony się poznaje. Po śmierci jego wyrósł mu z ust kwiat jako godło czystości. † 19 sierpnia 1297 r. kanonizowany 1317 r.

Łazarz brat Marty i Maryi, czczony jest jako pierwszy biskup i patron Marsylii. Malują go powszechnie w mitrze i stule. Czasem, lecz rzadko, w głębi widać trumnę, lub Ła-

(1) W XI wieku, relikwie uważane za św. Longina, przywiezione zostały do Mantui, i odtąd stał się patronem tego miasta. Wyobrażany bywa jako rycerz rzymski z mieczem i dzidą. (Złota Legenda artystów).

zarza zmartwychpowstającego, dla lepszego określenia co znaczy ta postać (1). 17 grudnia.

Łucya, dziewica z Syrakuzy, niesie na księdze albo misecze wyklóte oczy swoje; na szyi ma ranę zadaną cięciem miecza. Patronka oczu i wieśniaków. 13 grudnia. *Transl.* (do Wenecyi) 18 stycznia.

Łucyusz, król W. Brytanii, który zrzekłszy się tronu, poszedł jako misyonarz do południowych Niemiec. Malują go jako rycerza z oznakami królewskiej godności, trzymającego miecz (M). Patron w Chur. 3 grudnia. Oprócz niego, jest blisko ośmiu świętych tegoż samego imienia.

Łukasz. (Patrz pod ewangelistami).

Maciěj. (Patrz pod apostołami).

Magdalena (Łukasz 7. 37) z alabastrową puszką wonności i długim rozpuszczonym włosem, klęczy pod krzyżem Chrystusa. Patronka grzeszników pokutujących. † 22 lipca. Nawrócenie 1 kwietnia. Obrazy przedstawiające Maryą Magdalenę są nadzwyczaj liczne: już to wyobrażana bywa jako św. i patronka; już jako pokutująca na pustyni; następnie jest jedną z osób głównych, w różnych scenach z ewangelii wziętych: na koniec widzimy Magdalenę, jaką ją nam podają legendy prowanckie z XIII i XIV wieku.

Magnus, opat Benedyktynów około r. 666; uczeń św. Gallusa, założyciel klasztoru Füssen w Alpach julijskich; gorliwy niszczyciel pogaństwa i drapieżnych zwierząt, wpośród których malują go zwykle. Chłopcem jeszcze będąc, strzegł owiec, na których nabycie anioł dał mu pieniędzy. Patron Augsburga i Kempten, od gąsiennic. Inny jeszcze *Magnus*, również z dzikimi zwierzętami malowany bywa: był im porzucony na pożarcie, ale te lasiły się przed nim. Tym cudem, 2597 pogan nawróciło się, z którymi on za panowania Aureliana w Cezarei, w Kappadocyi, jako męczennik umarł. 19 sierpnia.

Małgorzata (2) wieździe okutego smoka, i trzyma w ręku laskę lub krzyż, albo wreszcie miecz (M). Patronka poło-

(1) Złota Leg. art.

(2) Figury jej pojedyncze zawsze prawie wystawiają gniołącą smoka, przywiązanego sznurem za gardło, z paszczą rozwartą jakby na pochłonięcie świętej; w ręku trzyma krzyż. Jako męczenniczka, nosi koronę i palmę odróżniającą ją od św. Marty, której atrybutem także jest smok.

Charakterem odznaczającym s. Małgorzatę jest łagodność i niewinność. (Złota Legenda artystów).

źnic. Święto jej przypada w lipcu, i w kalendarzach rozmaicie jest oznaczone. 20 lipca roku 306 otrzymała koronę męceńską. 13 lipca.

Marcelli papież: przy nim osioł u żłobu (bo do stajni za parobka służyć musiał). † 310 r. 16 stycznia.

Marcin (1) biskup Tours, częstokroć jako rycerz rzymski na koniu, dzieli swój płaszcz mieczem z leżącym albo klęczącym około niego ubogim: błogosławi trzech nieboszczyków, na grobach swoich w całunach siedzących (gdyż trzech umarłych wskrzesił). Lubo rodziców pogańskich, jednakże z młodu prawdami chrześcijańskimi poruszony, w piętnastu latach przyjęty został do katechumenów. W wojsku od 15 r. życia służyć począł, nie będąc jeszcze ochrzczonym, co dopiero we trzy lata później uczynił. Do lat 35 służył wojskowo, poczem przez długi czas żył w stanie duchownym: nareszcie około r. 371 obrany został biskupem w Tours. Gęś stojąca obok niego, wedle jednych do pewnego wypadku zdarzonego przy wyborze na biskupa, wedle innych, co bardziej do prawdy podobnym, do tak zwanych gęsi św. Marcina się odnosi, które lud zwykł był przynosić duchowieństwu w uroczystość tego świętego, obchodzoną z obrządkami wesolemi i zabawami wszelkiego rodzaju, jak zapusty. Patron uczt i biesiad; żalujących pijaków i zbytkowników; chroni od króst, bo raz obrzydliwe wyrzuty mającego człowieka, pocałunkiem uzdrowił. Opiekuje się Bergiem, Kliwią, Kolmarem, Geldryą, hrabstwem Horn, Heiligenstadtem, Moguncyą, Szwarburgiem, Utrechtem. W Polsce, od najdawniejszych czasów oddawano cześć św. Marcinowi, jak okazuje kościołek, jeden z najstarszych, na górze św. Marcina pod Tarnowem. † 377 r. *Dies sepulturae*. 11 listopada. (*Martinus frigidus*); transl. 14, 18 listopada, 13 grudnia, 4 lipca obchodzi się pamiątka jego ordynacyi, translacyi i poświęcenia kościoła (*Martinus calidus*).

Marek. (Patrz pod ewangelistami). Świętych Marków jest najmniej 15-stu.

Marta, siostra Maryi Magdaleny i Łazarza; opiekunka niewiaśc pobożnych, zajętych pracą około domu, jedném słowem gospodyń. Często też malują Martę z szumownicą w ręku, albo pękiem kluczków u pasa. W ogólności ubierają ją bardzo po

(1) Ś. Marcin był rodem Słowianin, z Pannonii, z miasta Sabacz, syu rotmistrza, pisze Skarga. (J. I. Kr.).

prostu; atrybutami jęj jako świętej patronki, są: naczynie ze święconą wodą i kropidło w ręku; smok związany u nóg jęj leży, którego Marta zwyciężyła kropiąc wodą święconą, i zwiąawszy pasem swym (wedle innych podwiązką), oddała ludowi, który go zabił (1). 29 lipca.

Maryja N. Panna: Anioł ją pozdrowia klęczącą przed pulpitem, albo też siedząc w ogrodzie trzyma wiewiórkę na łonie; piastuje Dziecię Jezus; jako Matka Bolesna, przeszła jest jednym albo więcej mieczami (Łuk. 2. 35); na łożu śmierci, Chrystus przyjmuje jęj duszę; jako Królową Niebios, Bóg-Ojciec koronuje. Wystawiają ją zwykle stojącą na półksiężycu (Apokal. 12. 1.); patronka po największej części średniowiecznych kościołów i oltarzy. Cały szereg rozmaitego jęj przedstawienia, odnosi się do jęj historii rozszerzonej legendami; często otacza ją wieniec róż, a szczególnie przedstawienia *Siedmiu boleści N. M. P.* (Obrzezanie Jezusa Chrystusa, Ucieczka do Egiptu, Zagubienie Jezusa w kościele, Dźwiganie krzyża przez Jezusa, Ukrzyżowanie Jego, Zdjęcie z krzyża, Pogrzebanie) i *Siedmiu radości* (Zwiastowanie, Nawiedzenie, Narodzenie Chr., Hołdy mędrców, Zmartwychwstanie, Zesłanie Ducha Śgo i Koronacja przez Boga-Ojca i Chrystusa Pana). Dawna chrześcijańska sztuka przedstawiała Maryję jako matronę w wieku od lat 40 do 50; w XIII wieku, Matka ukazuje się prawie równego wieku z synem (30 do 35); a w końcu średnich przedstawiają ją częstokroć jako dziewicę od 15tu do 20stu lat liczącą. W najdawniejszych czasach malowano zwykle N. M. Pannę z dziećciem Jezus na ręku, z chustą na głowie, według typu przypisywanego św. Łukaszowi. Romantyczne w włoskim stylu Madonny, nie znane były starożytności kościoła. Święta Matki Boskiej: *Zasłubiny* (Desponsatio B. V.) 23 stycznia, *Oczyszczenie* (Purificatio, candelatio, dies Mariae cerealis, fest. luminum, fest. occursus, Matki Boskiej Gromnicznój) 2 lutego; *Compassio* (dolorum, spasm), *N. P. Bolesnej*, w piątek przed palmową Niedzielą; *Annuntiatio* czyli *Zwiastowanie*, 4 kwietnia, *Maria ad Martyres*, święto na pamiątkę poświęcenia rzymskiego Panteonu, na kościół ŚŚ. Męczenników zamienionego przez Bonifacego IV w r. 610. 13 maja; *Visitatio Nawiedzenie* (Johannis sanctificatio) 2 lipca; *Maria ad nives, N. M. P. Śnieżnej*, na pamią-

(1) Złota Legenda artystów.

tkę najdawniejszego w Rzymie, bo około r. 440 Maryi poświęconego kościoła, któremu miejsce oznaczył śnieg, w nocy po dniu gorącym padający, 5 sierpnia; Assumpto (Dormitio, Transitus, Pausatio, Requies, *Wniebowzięcie*, fest. herbarum N. M. P. Zielnej) 15 sierpnia; *Narodzenie N. P.* (Nativitas) 8 września; *Ofiarowanie* (Praesentatio) 21 listopada; *Niepokalane Poczęcie N. M. P.* (Conceptio) 8 grudnia.

Marya Egipcyanka, po rozpustnie spędzonej młodości, żyła 47 lat na puszczy nad Jordanem, bez odzieży. Wystawiają ją jako niewiastę podeszłą, nagą, opaloną od słońca, wychudłą od postów, okrytą długimi jasnymi włosami, trzymającą w rękę trzy chleby. 9 kwietnia, (i w inne dni także).

Marya Magdalena (patrz Magdalena).

Mateusz (patrz pod ewangelistami).

Maurycy (1), murzyn, (2) jako rycerz z chorągwią, dowódca *legionu tebaidskiego*, który składając się z 6,666 chrześcian, nie chciał palić ofiar rzymskim bałwanom. Za to pod Agaunum nad genewskim jeziorem męczeńską śmierć poniósł, przyczem niektórzy tylko uratować się zdołali. Jako chorążych legionu wskazują śś. *Exuperiusza, Kandyda, Innocentego, Wiktora, Witalisa, i Konstancjusza*; do tych, którzy uszli zagłady, należą: *Solutor, Aventor, Oktawiusz, Alexander, Sekundus, Konstantyn, Wiktor, Ursus, Gereon* i inni: ci później w innych miejscach męczeńską śmiercią zginęli. Św. Maurycy jest patronem zakładu Magdeburga, Koberga, Lauenburga i t. d. Broni od podagry. Święto jego d. 22 września, zowie się w okolicach Magdeburga: *Hermesse*.

Maxym. Jest około 20 świętych tego nazwiska, pomiędzy temi kilku biskupów; oprócz tego, często mieszają ich z innymi świętymi imienia *Maxymin*, tak, że niektórych z pewnością odróżnić nie można.

Maxym biskup w Nola; ma obok siebie krzak cierniowy, na którym wisi winne grono.

Maxym biskup turyński, ma sarnę przy sobie. † 466 r. 25 czerwca.

(1) Zwykle św. Maurycy wystawiany jako patron na obrazach, bywa w całej zbroi: w jednym ręku ma palmę, w drugiej sztandar zwycięstwa. Malarze włoscy wystawiają go powszechnie w stroju żołnierza rzymskiego. (Zł. Leg. Art.).

(2) U starych mistrzów niemieckich, często miewa twarz czarną, stosownie do imienia zdradzającego niby pochodzenie afrykańskie. (Zł. Leg. Art.).

W Merseburgu jest kościół poświęcony dyakonowi *Maxymowi*, który w Amiens za Decyusza jako męczennik umarł. Relikwie jego darował temuż kościołowi Otton II cesarz. Święto jego obchodzą 19 października.

Maxym biskup Trewiru. † około 350 r. przypada w kalendarzach 29 maja.

Medard biskup w Noyon, rozdaje jałmużnę, nogą wytłacza ślad w kamieniu. Orzeł chroni go od dészczu, a z grobu jego wznoszą się trzy białe gołębki. † 545 r., 8 czerwca.

Michał Archanioł, okryty zbroją, ze skrzydłami, w ręku ma prawie zawsze miecz płomienisty; u nóg jego leży poczwara, szatan, pospolicie skrępowany łańcuchem: miewa także chorągiew, ale to rzadko. Pamiątka poświęcenia kościoła św. Michała w Rzymie, w V czy VI wieku, obchodzi się d. 29 września; inne, mniej rozpowszechnione święto *Apparitio Michaelis Arch.* przypada na dzień 8 maja. Archanioł Michał jest patronem Jeny i Ordruff; także Galicyi.

Mikołaj biskup Myry, zwany Barskim (bo jego relikwie 1087 r. 9 lipca, tam nadesłane zostały); trzyma książkę z sześciu bulkami chleba, bo miasto Myr od głodu zachował. Rzuca pieniądze do domu, w którym śpią trzy młode dziewice, które ocalił w ten sposób od hańby nierządu. Na okręcie uspakaja wiatry i bałwany; przy nim leży kotwica; troje dzieci, które uratował, stoją przed nim w chrzcielnicy. Patron żeglarzy i kupców; szczególnież ukochany przez handel wiodących Niderlandczyków, którzy się w XII wieku w Saksonii i Brandeburgu osiedlili. Wielce czczony na Rusi, a szczególnież w Rosyi, rząd i u nas częściej go malują w greckich, jak łacińskich kościelnych ubiorach. Patron bydła, drobiu. Lud w wielu miejscach składa w uroczystość jego ofiary kościołowi, w baranach, kurach, i t. d. 6 grudnia.

Modest. Kilku jest świętych podobnego imienia, i tak: męczennik alexandryjski (12 lutego); biskup Trewiru (24 lutego), opiekun św. Wita (razem z świętem tegóż, 15 czerwca); uczony laik i wyznawca w Antyochii za Marka Antoniusza. i t. d.

Norbert, założyciel zakonu Premonstratenskiego, później arcybiskup Magdeburga; trzyma kielich, z którego często pajak wychodzi (albowiem pijąc raz wino przy wieczerzy, połknął go

i oddał napowrót bez przypadku); diabeł, którego wypędził, leży u nóg jego. † 1134 r. 6 czerwca.

Ojcowie kościoła: Grzegorz papież, Hieronim kardynał, Ambroży arcybiskup i Augustyn biskup, jako wyobraziciele kościoła, częstokroć razem malowani, po właściwych poznają się oznakach.

Olcha albo *Helena*, porzuca zabohony pogańskie i udaje się do Konstantynopola, aby się tam wiary ś. i prawdziwej nauczyć. Sam cesarz grecki (Jan Zawiszka) uczył ją pierwszych zasad wiary, a patriarcha tameczny, na chrzcie dał jej imię Helena. Żyła przez wiele lat w pobożności, pogrzebana w Kijowie. Ruś obchodzi jej święto 11 lipca.

Onufry pustelnik w Egipcie, żył w jaskini lat 60 odziany liśćmi: 30 lat żywił się tém, co pustynia dostarczała; 30 lat chlebem zsyłanym mu z nieba. Opat Pafnucyusz odkrył go, a dusza jego przy nim wzniosła się w postaci gołębia do nieba. Dwa lwy kopią mu grób. Czczony wielce na Rusi. Malowany jest kłęczący w jaskini, nago, z brodą siwą długą do samych ziem, liśćmi lędźwie okryte, kruk nad nim trzyma w dziobie chleb. 12 czerwca.

Oswald król angielski, niesie kruka trzymającego w dziobie pierścień. (Przy namaszczeniu go na króla, kruk przyniósł list św. Pawła i olej św.; później zaś pismo i pierścień na zaręczyny, gdy jako król zamierzał wejść w związki małżeńskie). Patron Bergu, Düren, Zugu. † 642 r. 5 sierpnia.

Otto biskup hamburski, apostoł Pomeranii; niesie strzały, które na gwoździe przekuwa i do budowy kościoła używa. † 1139 r. 2 lipca. *Transl.* 30 września.

Otylia, ksieni z Hohenburga; urodzona ciemną, przejrzała przy chrzcie na skutek modłów chrzestnych ojców, biskupów: Erharda i Nidulfa. Trzyma zazwyczaj otwartą książkę, na której kartach daje się widzieć dwoje oczu. Patronka Alzacyi, strzeże od chorób oczu. † 720 r. 13 grudnia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wyjątek z niewydanego jeszcze dzieła Adolfa Kudasiewicza
pod tytułem:

PRÓBKI FILOZOFII MOWY,
ZAWIERAJĄCY CZĘŚĆ WSTĘPU I RZECZ O PIŚMIE.

*Towarzystwo warunków życia człowieka i jego względnej
doskonałości.*

Człowiek pojedynczy mało może poznać rzeczy, mało doświadczyć sam przez się: choćby był nieśmiertelnym nawet, nie dokazałby wiele, bo słabość jego fizyczna i niedostateczność sił własnych nie wyprowadziłyby go z umysłowego dzieciństwa. Świat ten, mimo wszystkich przykrości, jakie na nim doznawać może, nie miałby jeszcze dlań tyle powabu, ile go mieć może dzisiaj. Pokrewieństwo jego duchowe z innymi ludźmi na ziemi i pewna a konieczna solidarność uczą jasno, że przeznaczeniem człowieka żyć w towarzystwie: w niém dopiero dochodzi człowiek swego znaczenia, jako obraz bóstwa; w niém się rozwija i kształci. Towarzystwo, którego jest członkiem, a w którym widzi cel i poparcie swego indywidualnego życia, osłania go swoją siłą; a jeśli wymaga od niego pewnych obowiązków, to mu téż zabezpiecza i prawa, którychby inaczej używać nie mógł. Jeśli towarzystwo jest odbieralnikiem pojedynczych sił fizycznych i zdolności człowieka, które każde indywiduum do ogólnej masy kapitałów materialnych i moralnych społeczeństwa ludzkiego wnosi: to mu téż wypłaca sownicie, bo z procentem i lichwą to, co wniósł do spółki towarzy-

skiej. A kapitał ten zbiorowy społeczeństwa nigdy nie przez swoje obroty nie traci: owszem, rośnie i powiększa się coraz bardziej, tak, iż człowiek pojedynczy silnieje siłą zbiorową, wzbogaca się bogactwami wspólnymi i kształci się ukształceniem ogólnym.

Ale że człowiek indywidualny ma zawsze ograniczone pole działania, to wspólność celu towarzyskiego, dążeń, przekonań, nawyknień, obyczajów, wspólność życia pod jednym niebem i jedność warunków pożywania, robi go już tylko częścią całości wyższej, jedności zrosniętej i zogólnionej z jednostek, które temi samymi ogniwami złączone, stanowią nowy łańcuch indywidualności ludowej, ludu. W nim tętna żywota są te same, zlewają się w jeden ocean uczuć i myśli, tak, iż już indywidualium przestaje być dla siebie, ale czerpie z ludu, i w nim odrębność sposobu życia i pojmowania go. Człowiek indywidualny przez zbliżenie się do innych indywidualiów tej samej, że tak powiem, grupy ludu, zmienia swe wyobrażenia, nastraja je po większej części do ogólnie panujących, sam się ich przedstawcą staje; a te wyobrażenia nie są czystą jego własnością, ale treścią wspólną tego koła towarzyskiego z ograniczeniami czysto osobistymi. Im więc więcej jednostki z ogółu występują, tym bardziej się ich charakter gatunkowy zaciera.

W ten sposób powstają grupy ludowe. Te odrębnie żyjąc, zamieniają się znowu w osobne indywidualia względem całej ludzkości, które jeśli zbliżają się do siebie, to pole ich działania nieskończenie się rozszerza, przepływ uczuć, myśli, wzajemnych spostrzeżeń, odkryć i wynalazków staje się silniejszy i obfitszy, a na tej drodze nic dziwnego, że duch ludzkości zbiorowy cudów prawie dokazuje.

Tu już jednakże indywidualium, jako cząstka całości w czynnościach swoich duchowych więcej jest ograniczone i nie ma tej swobody poglądu. Pojęcia jego nie z samego tylko własnego poglądu, i pośredniego przerobienia wyobrażeń, z przejmowania w siebie natury, czyli jeśli wolimy, z objawienia zmysłowości pochodzą. Zastaje on tu już gotowe pojęcia, w nich wzrasta, a te, choć ich nie potrafi rozebrać na części składowe, wywołują w twórczej jego wyobraźni nowe wrażenia, wyobrażenia, pojęcia, i w coraz wyższym złożeniu występują. Do tych gotowych pojęć przychodzi człowiek drogą tradycji, nauki, wychowania. W rozwijaniu się więc naturalnym ducha

ludzkiego, niepotrzeba z uwagi pomijać momentów historycznych, jakimi są: tradycja, nauka, które są dziś stanowcze, i z kąd sobie tłumaczyć tylko mozem ogromnie spieszny chód ludzkości po drodze postępu.

Bo jakimkolwiek on jest, to w rzeczy rozwijania się duchowości jest zawsze przybywanie tylko jednego jakiegoś momentu, opierającego się ideowo na historyzmie, który wcieliwszy duch ludzkości w siebie, albo idzie dalej, albo w inną stronę się zwraca, ale kierunek tego rozwijania się jest zawsze życiowy. Każdy postęp, duchowy, powtarzamy, jest odkryciem nowego momentu, który w sobie duch ludzki nieświadomie posiadał; ale gdy przygotowany zostanie dostatecznie i spełni miarę w rozwinięciu się dawnych momentów, występuje koniecznie moment nowy. Ten obudza samowiedzę ducha do rzeczy mało dotąd uważanej lub spuszczonej z oka, i na to teraz szczególnież uwaga jego i działalność się zwraca: przez co przysposabia sobie nowy kierunek swojej działalności, który spełniwszy swoje zadanie, robi dotąd niewidomy obrót, kołując sam wokoło siebie, z tą różnicą, że koło obiegu staje się coraz większe i bogatsze w treść wewnętrzną.

Lubo najprzedniejszą ducha ludzkiego cechą jest wolność, to ta jednakże nie jest bez granic. Owszem możnaby z praktycznym Rzymianinem powiedzieć: *libertas sub lege*, wolność w działaniach swoich pewnym ulegająca prawom, które odpowiadają prawom fizycznej natury, a z tą duch ludzki w najściślejszym zostaje związku, i z pod jej wpływów dopiero w biegu czasów wyswabada się, choć mimo to, nigdy w zupełności wyzwolić się nie może. Natura żadnych nie robi przeskoków, ale krok za krokiem idzie: to też i duch ludzki w działaniu swoim musi przechodzić pewne stopnie, przebiegać swoje naturalne koleje, stosownie do swego wewnętrznego bogactwa myśli. Działając ciągle, działa coraz inaczej, a to z powodu różnicy stanowiska umysłowego indywiduów lub ludów, na którym one staną; ale zawsze dobiera formy z zewnątrz do treści pojęć, jakie zdobył. Działanie jego coraz inne zewnętrznie, w gruncie rzeczy jest jedno i to samo: tylko się musi objawiać inaczej, jeśli warunki duchowe są inne, bo forma jest tylko odciskiem myśli, a wewnętrzność i zewnętrzność odpowiadają sobie najzupełniej.

Ale wszelki postęp odbywa się w czasie i miejscu, to też jeden okres czasu robi konieczne przygotowania dla drugiego: to jest duch ludzki oparłszy się w czasie późniejszym na wypadkach prac dawniejszych, coś przydaje, ujmuje, poprawia, upraszcza, ułatwia, udogadnia, z innego punktu uważa: słowem odmienia, a ta odmiana jest zawsze dalszym ciągiem usiłowań poprzednich i nosi w sobie zaród do dalszych przemian.

Nie idzie za tém wszakże, żeby z każdą późniejszą chwilą czasu, doskonałość człowieka wzrastała; żeby ten postęp szedł liczebnie coraz wyżej i widać było jego dalszy przebieg: są czasami momenta wypoczynku, w których zdaje się, zabawiwszy ludzkość zapomni o wszystkiém i wstecz się cofnie zupełnie. To jednakże jest złudzenie. Momenta stagnacyi są chwilami przygotowującemi odrodzenie się nowe, silniejsze, na drodze materyalnej, umysłowej lub moralnej, i to i w tym lub innym kierunku. Nie dano jest nam tego zawsze widzieć, bo też człowiek nieraz nieświadomy celu dokąd idzie, popsułby własne dzieła swoje, gdyby go Opatrzność nasuwanemi trudnościami i przeszkodami, których sobie sam upartém dążeniem za jakąś ulubioną ideą narobił, nie sprowadziła ze ścieżki, po której kroczył, na szerszy i ubity gościniec życia.

Mowa, węzeł towarzystwa ludzkiego i jej rodzaje.

Wiele mówiono o wpływie kształcącym religii, sztuk, nauk, przemysłu i handlu; ale mało może zwracano uwagi na to, co najbardziej ducha człowieka wykształca, co jest, jak się wyraził głęboko myślący Nowalis (w Atheneum Schlegelianum), dynamiką ducha, to jest na mowę. Człowiek, jak mówi W. Humboldt, przez mowę dopiero jest człowiekiem, bo ta tak odbija w sobie naturę ducha ludzkiego, jak w człowieku natura świata się przegląda. Nie mogliby ludzie korzystać z dobrodziejstw towarzyskości, cały zapas ich umysłowy marniałby bezskutecznie, spostrzeżenia ich, uczucia, zdobyte pojęcia w krainie myślenia, pragnienia serca, zostałyby w ukryciu, gdyby nie dano człowiekowi sposobu porozumiewania się z drugimi i odkrywania im swoich pragnień, uczuć, pomysłów i spostrzeżeń.

Dopiero wtenczas towarzystwo ludzkie znajduje węzeł, odkrywa spójnię indywiduów, gdy duch ludzki objawi się w mo-

wie, w tym środku cudownym odtwarzania wrażeń uczuć i myśli swoich, wyprowadzenia ich na jaw z ukrycia wewnątrz nas, gdzieby wiecznie pozostały, a o nich, jako faktach wewnętrznych, drudzyby nie wiedzieli wcale. Mowa więc człowiekowi z natury towarzyskiemu współ z duchem jest istotną: inaczej mówiąc jest ona ducha ludzkiego oznaczeniem gatunkowem, albo gatunkowem pojęciem ducha. Ona jest zwierciadłem, w którym się przeglądają zdobycze ducha, sposób pojmowania i nabytki wiedzy jego. Ona jest prawdziwym bankiem narodowym, wskazującym kapitał obecny wykształcenia ludowego, i jakie przedsiębiorstwa nadal rozpoczęte być mogą z prawdziwą jego korzyścią i celem nagromadzenia większych nadal zasobów. Wysoko więc kształcący, jest, jak widzimy, element mowy w ogóle.

Jak duch ludzki jest jeden, ale w działaniu swoim ogranicza się i oznacza środkami na swe rozporządzenie pozostawionemi, co mu nadaje formę, że tak powiem, pewną na zewnątrz: tak i mowa jako objaw działalności duchowej zwróconej ku objawieniu i udzielaniu wewnętrznej treści, jest jedną co do celu, ale różną w pojawach swoich, bo zależną od środków, jakie jój się nastęrczają. Mowa jako węzeł towarzyski najlepiej tłumaczy pokrewieństwo duchowe indywidualuów ludzkich i najdobitniej dowodzi owęj jednéj substancyi ducha ludzkiego. Mowa jest porozumiewaniem się ludzi z sobą, z kąd widać, że nie ma mowy bez rozumu; albo że mowa i rozum są (*correlata*) odpowiednie sobie siły albo władze. Przekonamy się o tém dalej, zastanowiwszy się nad naturą mowy. Uderzą nas w niéj odrazu dwie strony, dwie połowy konieczne jój bytu: *czynna i bierna*. Dwie indywidualności staną tu naprzeciw siebie: *mówiący i rozumiejący*. Mówiący jest tu przeważnie stroną czynną, rozumiejący stroną bierną. Jeśli ma nastąpić rozumienie, to konieczna jest, aby mowa mówiącego objawiała się formą przyjmującą czyli bierną stroną znaną. Tu następuje działanie i oddziaływanie. Mówiący choć strona czynna jest zarazem i bierną, bo czerpie z treści duchowej, wspólnej mówiącemu formę dlań dostępną; to jest używa takiéj, jakiejby ten użył, gdyby był mówiącym. Rozumiejący choć przeważnie strona bierna, jest czynną zarazem, bo oznacza i określa formę dla mówiącego, to jest zmusza go do użycia takich sposobów, jakie mu są właściwe, i jakichby tenże użył do wydania téjże

samą treść duchową z siebie, gdyby był mówiącym, a mówiący miał być rozumiejącym. Jeden i drugi więc rzeczywiście mówią, ale jednego mowa jest wewnętrzną, czystym myśleniem, to jest przenoszeniem się na stanowisko duchowe mówiącego i przenikaniem się jego myślą i jego treścią duchową; drugiego jest zewnętrzną, to jest okazującą się na zewnątrz w pewnych formach rozumiejącemu dostępną.

Trzy są postaci czyli formy pojawów mowy, czyli uewnętrznienia treści duchowej myśli: *mimika, pismo i mowa głosowa*. *Mimika* polega na gestach, migach, czyli poruszeniach oczu, głowy, ramion, układu palców: słowem, na ruchach członków ciała człowieka. *Pismo* używa do tego pewnych znaków zewnętrznych poza obrębem ciała człowieka leżących, a mowa głosowa pośrednictwa ludzkiego głosu. Każda z tych form mownych dostatecznie odpowiada celowi, ale tak z powodu bogactw treści, jak i ze względu na siłę i płodność elementu kształcącego duchowo, jaki w sobie zawiera, porównane z sobą, wielkie przedstawiają różnice, tak, iż jedna jest więcej lub mniej duchową od drugiej. Dotknąwszy pierwszej pobieżnie, nad dwiema drugimi nieco obszerniej zastanowić nam się wypadnie.

Mowa migowa.

Któż nie wie o owym niezbadanym związku między duchowym życiem a zmianami ciała? Czyż na fizygnomii każdy układ oblicza nie objawia wewnętrznego nastroju duszy? Czyż oko nie jest jej zwierciadłem najczystsze? Czyż sama pogoda lub pochurność czoła, spokój lub ruch ust: słowem każde poruszenie oblicza i ruch członków ciała dobrowolny lub mimowolny, nie zdradzają stanu duszy? Tak jest niezawodnie. Miny i mimy gdy nie są zaprawne sztuką i nie biorą sobie za cel ukrywania tych przemian duszy, jakie się w nas odbywają, są jasnym odbiciem, są wiernym odblaskiem wewnętrznego życia. I temuto zapewne przypisać należy, że je sztuka dramatyczna za środki do oddania na scenie ową niemą dramatyczności obrała w tak nazwanych mimach i pantomimach. Jak więc mimy i migi są mimowolnym odsłanianiem myśli uczuć i wrażeń: tak użycie ich za środki porozumiewania się z sobą jest *mową migową*.

Ale mowa leży w duchu ludzkim, wyprzedza ją zawsze przebudzenie się myśli: i to dopiero stanowi podniecie duchową do szukania środków wyjawienia się na zewnątrz. Te zależeć będą od większej lub mniejszej zdolności wrodzonej i doskonałości organów. Upośledzeni na słuchu głuchoniemi nie mogą z powodu wrodzonej głuchoty słyszeć głosu obcego, jakoteż używać swego do wydania artykułowanych tonów, wskazani są jedynie na nabywanie wyobrażeń wyłącznie tylko zmysłem wzroku, a ten nie ma w sobie takiej siły kształcącej i takiego wpływu na ducha, jak słuch, ów zmysł, przez który idee i wiadomości do naszego umysłu wchodzą. Mowa ich więc tylko będzie mową na znaki. Znaki te albo będą naturalne, właściwe wszystkim ludziom do porozumiewania się z sobą, albo sztuczne czyli głoskowe, gdzie za pomocą palców, rąk, warg lub prostego rysunku, oddawać będą dowolnie jakieś litery alfabetu. W każdym razie tu po gestach odgadywać mamy, co kto chciał powiedzieć. Smutna rzecz, gdy człowiek wskazany na tak ograniczony środek porozumiewania się z drugimi! Mowa taka zaspakaja tylko z potrzeby, bo służy jedynie do wyrażenia niezbędnych uczuć, wrażeń i pragnień. Ztąd w ogóle podobną ona jest jeszcze do mowy zwierząt, których gesta, jak u psów na przykład, nadzwyczajnie wiele mówią: wszakże i tu już na tym stopniu usiłowania człowieka o wiele przewyższają mimikę zwierząt. Gdy bowiem np. u głuchoniemych dla braku słuchu nawet uczucie własnego samopoznania i prawo moralne, co to wrodzone jest człowiekowi, są zgoła ciemne; to przecież środki sztuczne filantropów dzisiejszych poświęcających się wychowaniu tych kalek, doprowadziły mowę migową do nieznanej starożytnym doskonałości, i przez obudzanie sztuczne myśli w głuchoniemych nauczyły ich nietylko oddawać wrażenia zewnętrzne, popędy, pragnienia i uczucia zmysłowe; ale nadto i spostrzeżenia wewnętrznego świata i najoderwańsze pojęcia.

Mowa migowa nie przedstawia wielkiej kolei rozwoju, bo środki jęz, a mianowicie członki ciała ludzkiego, żadnej nie ulegają przemianie. Nie jestto jeszcze rzeczywiście mowa, ale więcej materyalne wskazywanie na przedmioty. Występują w niej same podmioty (subjekty), predykatów mało, ale tylko sposobem określającym, opisowo-gestowym. Co większa, same czynności, których wyrażenie w mowie tak przeważną odgrywa rolę, nie mają jeszcze żadnych oddziałów ani kategorii:

niewiadomo czy się odbywają, czy się odbyły, czy się dopiero odbywać mają. Co większa, mowa migowa nie ma żadnej składni, żadnych zdań prawie, bo połączeń tu nie widać, a wszystko niemal odgadywać trzeba, wszystkiego się domyślać. Rozdziału w niej mało, toć i połączenia niewiele: wszystko jest tylko pogładowe, wrażenne. Do rzeczywistych pojęć prawie tu nigdy nie dochodzimy. Same przedmioty oderwane, o których z wielkiem wysileniem mówić można, odziane są grubą oponą zmysłowości, która nie przeszła tyle stopniów duchowych, iżby sama przez się duchową wykrywała naturę.

Słowem, są to tylko prawie znaki przypomnienia, jestto mowa więcj naprowadzająca na myśl czyli podsuwająca ją duchowi, niż oddająca ją: to jest, że ona nie myśli same rzeczywiste przedstawia, ale do myślenia o tém, co chce wyrazić, pobudza, odkrywając znakami miejsca, gdzie ich szukać i znaleźć.

A. O PIŚMIE.

Pismo i stosunek jego do mowy migowej i głosowej.

O piśmie powinniśmy mówić na samym ostatku, a to z powodu, że dziś przez pismo rozumiemy po większej części pismo głoskowe, a zatém dopiero najwłaściwiej po mowie głosowej o niém mówić należało. Ale że pisma głuchoniem takżę za środek porozumiewania się z sobą i z drugimi używają; 2ie, że pismo nie z mową, ale z usposobieniem mowném czyli uzdolnieniem do mowy pewnego ludu ma związek; 3ie, że miarą doskonałości mowy jest pismo, a natury mowy nie śledząc jej związku z pismem, poznać nie można; 4te, że na piśmie, które jest dopięro punktem zaczęcia odkąd mowa delikatniej urabiała się, i skalą dzielniej wykazującą właściwość języków niż gruba początkowa mowa; że na piśmie powtarzam, jako na przedmiocie od ciała człowieczego oderwanym, łatwiejsze można robić spostrzeżenia i najprawdopodobniejsze wyprowadzać wnioski; 5te, gdy pismo zgodnie z mową utworzone i niejako z jednej formy ulane, niezaprzeczoney wpływ wywiera przez osobną naturę swoję na kierunek duchowj

działalności, której jest podniętą; a nadewszystko 6te gdy mowa przez odbicie o pismo masę uwag, spostrzeżeń i wniosków sprowadzi dla rozjaśnienia procesu rozwijania się mowy, co na przedmiot tak dla nas jeszcze mało znany wiele nowego światła rozleje i do lepszego jej zrozumienia posłuży: zdaje mi się, że nie zbłądę, gdy o piśmie przed mową głosową, pomimo to, że tu o niektóre uwagi z mowy zdjęte potrącić przyjdzie, zastanawiać się będę.

Wprawdzie od ducha mowy pewnemu narodowi właściwej, i uczucie potrzeby pewnej formy piśmiennej zależy: atoli popęd do pisma, jak to zobaczymy później jest innym od popędu do mowy. Cokolwiek bądź, źródło obojga może być jedno. W mowie głosowej myśl ulatuje, żadnych nie zostawia po sobie śladów; w piśmie ta sama myśl, będąc odbiciem tonu, leży niejako zagrzebana, spoczywa żywotem wiekuistym i wpływa na ustalenie się języka. Dopóki nie ma zewnętrznych znaków, nie ma pisma; a że mowa migowa także na użyciu pewnych znaków zależy, to w tém leży podobieństwo i spotkanie się pisma z mową migową. Ta zaś między nimi różnica, że mowy piętnem niezmazaném jest życie, nie bezgłosowość. Życie wiąże się z ciałem, które duch ożywia i za pośrednictwem którego dopiero swoje działania uzewnętrznia: bo to jest materiał, to jest dłań środek konieczny, aby się objawił. W mimice więc, jako mowie, ciało, organa ciała są niezbędne, bo od mówiącego nieoddzielne; w piśmie bez nich się obejdzie, to téż pismo nie jest żywą mową, ale czemsiś z siebie martwém, jest ciałem poza obrębem ludzkiej indywidualności leżącym.

O początku pisma.

Pismo było tak wielkiem dobrodziejstwem dla ludzkości, że wszystkie narody starożytne przypisują je bóstwom swoim: to jest albo ludzi, którzy na ten pomysł wpadli, podnoszą do godności bóstwa; albo może tę wielką myśl zindywidualizowano czyli sam wynalazek uosobiono. Nie znamy wynalazcy, imię jego zakryte, jak imię wielu innych wielkich dobroczyńców ziemi. Kapłani, o których wiadomo jest, że trzymali ster cywilizacji w swych rękach, piszą dla świętego uczucia; nie idzie

im o sławę, o rozgłos imienia: oni piszą dla religii. Książka napisana, nieraz się nazywa jak cała szkoła, szkoła jak lud, lud znowu jak Bóg: ten więc sam w końcu napisał. A jeśli wszystko, co dawniejszej uczoneści kapłanów egipskich, indyjskich i greckich przypisywano, wyprowadza się od bogów, bo oni dali ludziom: prawa, kalendarz, księgi święte; toć i od nich wyprowadzać należało pismo. Brama, Demeter, Thesmophoros, Atheue, Apollo, Hermes byli bogami nauk i sztuk. Hermes u Greków; Merkury u Etrusków i Rzymian; Thot albo Thaut u Fenicyan; Theut, Theyt, Thot u Egipcyan znaczą tłumaczów woli bogów i mają znaczenie ludzi pisma, ludzi ze znakami (hommes aut signes). Czy więc te imiona są historyczne, czy przedstawiają tylko epokę wynalezienia nauk, jak twierdzi Jabłoński (w swym Panteonie egipskim), zawsze według zdania Court de Gebelin (*Monde primitif*) wyrażają jedną allegoryą odpowiednią tymże samym przedmiotom, związaną z temiż samemi faktami, zrodzoną z jednych potrzeb i wiadomości, i poświęconą jednym wypadkom. Lecz nauki sztuki i wynalazki wyszły z człowieczego ducha, jak Grecy wyprowadzali Palladę z mózgów Jowisza. Co do pisma, jeśli powiemy z Pliniuszem, że jest wiecznego początku, to chyba weźmiemy w tém rozumieniu, że jego pochodzenie kryje się w przedhistorycznych czasach. Twierdzenie starożytnych nie było może bez zasady, utrzymywali oni to zapewne przez jakąś tradycją, że pismo było pierwszym ludziom po potopie znane, i że ci po rozejściu się swoim roznieśli je na wsze strony, i po swojemu wykształcili. Ale czyto było pismo głoskowe, trudno przypuścić; bo że wprowadzenie jego było późniejsze, to sam rozum i historia wskazują i dostatecznie uczą, jak po wielu trudach, probach i usiłowaniach rozum ludzki na drodze naturalnej mógł do tak wielkich dojść wypadków.

Jakkolwiek wynalazek pisma ginie w zamierzchu odległej przeszłości, to zdaje się jednakże, że ojczyzną jego była Azja, kolébka cywilizacji świata. Wynalezienie pisma, a może raczej tylko jego na Zachodzie rozpowszechnienie przypisują powszechnie Fenicyanom, bo Herodot nazywa pismo głoskowe fenickim. *Φοινικη* miało znaczyć głoskę po grecku od *φωνη* głos. Wschodniowców czyli ludzi ze Wschodu z powodu czci gołębi i palm, według Kannego (*Erste Urkunden d. Geschichte*) *φοινικης* zwano, i sam Kadmus według p. Court de Gebelin ma

znaczyć człowieka od Wschodu. J. O. Müller utrzymuje, że tebański Kadmus i samotracki Hermes Kadmilos, bóstwo tyrenskich Pelazgów, tą samą były osobą, a całą powieść o wywędrowaniu Kadmusa z Fenicyi przez Tracyą poczytuje za bajkę.

Pliniusz przyznaje początek pisma Assyryjczykom. Według Dyodora, Egipcyanie i Fenicyanie u Syryjczyków pisma nauczyć się mieli. Według Euzebiusza, Hebrajczykom należy się wynalazek pisma, a według innych samarytańskie, jak widać z monet palestyńskich, pismo było dawniejsze od hebrajskiego. Filon z Biblos Egipcyan ma za wynalazców pisma, a Herodot zdaje się przyznawać to Etyopom, bo ci dawniejsi byli od Egipcyan, gdy Egipt czyli Delta jest dopiéro darem Nilu. Nareszcie według niektórych wnioskujących z najstarszej znaney mowy do pisma, to palmę pierwszeństwa Indyanom oddać należy. (Jeszcze co do tego punktu pomówimy nieco później; zresztą samo rozprawienie przedmiotu w całym dalszym wykładzie, wielkie nań światło ściągnie). Cokolwiekbądź, dość na tém, że pismo dla nas Europejczyków, jako późniejszych ziemi mieszkańców przyszło ze Wschodu, z Azyi, do której jeszcze starożytni policzali i Egipt. Dość na tém, że się cieszymy dzisiaj spuścizną czasów dawniejszych, tym nieocenionym podarkiem przeszłości, pismem głoskowem, przez co przybywa nam wiele czasu, którego na trudnej sztuce malowania tracić nie potrzebujem. Dość na tém, że gdy głos ludzki bardzo nikłej natury nie przedstawia nam w sobie nieśmiertelnej trwałości ducha ludzkiego; my już cieszymy się zmysłowym obrazem mowy głosowej, będącej niejako objawem tego przymiotu trwałości ducha.

Rozwijanie się głoskowego pisma i stopni jego.

Niechby się komu nie zdawało, że się tu wdawać będziemy w szczegółowy rozbiór pism na ziemi dotąd przechowywanych: to leży poza obrębem naszej pracy, w której głównie chodzi o przedstawienie prawdopodobne rozwoju pisma w ogóle, aby dzisiaj znanemu głoskowemu pismu jakąkolwiek podstawę nadać. Wprawdzie i do miernego tylko rysu rozwinięcia się pisma potrzebaby daleko więcej faktów i dat history-

cznych przedstawić; ale w każdym razie będzie to, co w niniejszym opracowaniu znajdziemy, dostateczne dla wykazania, że Twórca wszech rzeczy, podarowawszy człowiekowi ducha, odblask swój Twórczości, wskazał go na pracę i ograniczył ją warunkami zewnętrznymi, które je modyfikują; ale przy tej pracy obdarzył go tym wszystkiem, co mu jest potrzebne. Konieczna potrzeba jest podniecia tworzenia: ta zaostrza jego wynalazczość, dalsze zastanowienie wnosi dodatki i ulepszenia, które niekiedy to, co zdziałano, przeistacza nie do poznania. Te przeistoczenia odbywają się po stopniach; każdy wyższy stopień zawiera w sobie stopnie niższe, które są wyrobem wieków, i które znowu są szczeblami wyższymi względem innych, i tak dalej.

Pismo głoskowe świadczy o wielkiej potędze abstrakcyi ludzkiego ducha, jest zatem skutkiem wielolicznych przemian i przeobrażeń. Materiał sam, na którym pisano w początkach, jak: twarde kamień, ściany kamienne lub murowe, kora drzew, liście palmowe, papirus, tablice woskiem napuszczane, do których ostrego rylca albo stylu używano do pisania; a co większa pargamin jeszcze nawet, który wymagał pędzla i trzciny bambusowej, dowodzą zresztą przeistoczeń się różnych pisma.

Niemniejszej wagi dowodem przejść stopniowych w piśmie jest rozmaity sposób pisania. Początkowo pisano od prawej ku lewej. Tak pisali Etyopowie, a nawet Samarytanie, Hebrajczycy i wszystkie narody semickiego szczepu. Grecy sami pisali jeszcze w ten sposób. Późniejsze ich pismo zwane *bustrofedon* czyli system pisania bruzdowy; naśladowujący wolą robotę w polu, pokazuje dostatecznie czas przejścia u Greków od pierwszego sposobu pisania do dziś powszechnie używanego, jako dogodniejszego. Chińczykowie i Japończykowie piszą słupowo, prostopadle; gdzie wyraz pod wyrazem, sylaba pod sylabą lub figura pod figurą stoi. Mongołowie piszą także w prostopadłych liniach z góry na dół, ale od prawej ku lewej. U niektórych ludów miało jeszcze być znane pismo pod nazwiskiem *sfaeraedon* czyli sposób pisania kręgowy.

Następnie nietylko zmieniono kierunek początkowego pisma, ale i same znaki pisma przewrotnie pisano, przez co się pismo bardziej jeszcze zmieniło. Grecy przyznając się, że ich głoski nie mają właściwego w ich języku nazwiska, i że pochodzą z języka barbarzyńskiego: zrobili je później swojemi, wy-

rażając je odwrotnie niż dawniej, to jest iż każda głoska dawniej z osobnych rzutów złożona, teraz jedną tworząca całość, ma obecnie te rysy po prawej, które miała po lewej, i przeciwnie.

Z tego widzimy, że pismo dzisiejsze głoskowe nie powstało odrazu, i ono musiało przechodzić naturalne rozwoju stopnie. Zpatrując się na różnorodne objawy pisma, spostrzegamy w niém trzy stopnie: 1sze *pismo obrazowe* z całym swym stopniowaniem; 2gie *pismo słowne*; 3cie *pismo zgłoskowe*. Z nich pismo głoskowe koniecznie powstać musiało. Nie idzie zatem wcale, aby to się działo u każdego ludu z osobna, bo każdy lud jako odrębne indywiduum odrębnie się kształci i nie każde pismo odpowiada naturze mowy jego. Ztąd nie jeden lud stoi dziś jeszcze na najniższym szczeblu i dalej się podnieść nie może; niektóre wcale pisma nie znają, a ludy szczepów: indyjskiego, semickiego i europejskie, ściśle swoje języki z pismem głoskowym złączyły.

I. PISMO OBRAZOWE.

Każdego bytu początkowa forma jest rzeczywista, to jest zdjeta ze świata rzeczywistego; a im utwór jaki bliżej jest swego początku, tym więcej przypomina źródło swego cielesnego albo materyalnego powstania, ograniczonego naturalnemi wpływami otaczającego świata. Badając więc początek jakiegokolwiek utworu, trzeba zapomnieć o stanowisku jego umysłowém dzisiejszém i wyrwać się złudzeniu, przypomnieniem sobie tój prostéj myśli: że w sztuce ku doskonałości posuniętej leży tym większa głębia pomysłów, tym obfitszy zapas i rozmaitsze złożenie pojęć, im ta więcej liczy czasu w historycznym swém rozwinięciu.

Język stał pewien czas bez pisma, więc mowa żyje bez niego. Ale sam wynalazek pisma, przyjęcie i obrobienie systemu pisma, od stopnia doskonałości mowy i usposobień mownych każdego narodu zależy; a popęd do pisma jest innym od popędu do mowy. Już silnie język w budowie swojej stanąć musi, nim się potrzeba pisma pojawi. Już towarzystwo ludzkie zna pewne potrzeby moralne, zna prawa, ma jakies obyczaje, nim się w niém popęd do pisma obudzi, którego doda

potrzeba uwiecznienia jakiegoś zdarzenia potomnym lub udzielenia myśli swoich oddalonym. Jeśli przeto celem pisma było oddanie tylko lub unieśmiertelnienie myśli ludzkiej; to pismo miało mówić do wzroku, miało zakrytą myśl człowieka oddalonego przestrzenią lub czasem, innym w widomy sposób, to jest przed ich oczy przedstawiać. Łatwo więc zgadnąć, jakie było pismo najdawniejsze. Zresztą to rzecz najprostsza, wszystkim wiadoma, że chcąc przedłużyć byt jakiej drogiej osoby, która nas zostawiła sierotami na tej ziemi, lub sprowadzić ją niejako do nas, gdy przedzielona jest z nami przestrzenią, każemy sobie robić jej portret *na pamiątkę*. Ten portret więc przypomina nam osobę, przywołuje na pamięć wszystkie okoliczności jej życia, stosunki, zdarzenia wspólne i t. d. To mało-widło jest rodzajem pisma dla nas.

Jeden z podróżników opowiada, iż w kilka dni po przybyciu jego okrętu do przystani św. Juliana, znalazł wyobrażenie okrętu na ziemi, które dzicy tego wybrzeża zdziałali mieszkańcy. Tu widocznie dzicy chcieli zapisać ku pamięci potomnych lub przedstawić w obrazie dla tych, którzy nie widzieli okrętu, nowy wypadek, jaki się u nich zdarzył—pojawienie się okrętu.

Inni podróżnicy piszą o Amerykanach północnych, do których się przedarło światło ewangeliczne, że nie znając pisma, wyjątki z Pisma św. obrazami oddają. I tak np. 8 wierszy ostatnich 30go rozdziału Przypowieści Salomona oddają 84 obrazami zwierząt, jakie są w tych wierszach wzmiankowane. Każdy obraz odpowiada tutaj całości jednego wiersza.

Z Herodota wiemy, że Idantara król Scytów przesłał Daryuszowi Histaspesowi wkraczającemu w granice swego państwa: mysz, żabę, ptaka, strzałę i pług. Było to pismo rzeczowo obrazowe; było list, najdzielniejsze wyrażenie myśli króla dzielnego ludu. Czyż nie widno, że chciał przez to powiedzieć: Ziemia *pługiem* zorana i skropiona potem czoła naszego jest naszą własnością. Próżno się o nią kuszysz, byś ją dostał, będziemy jej bowiem bronić do ostatniej kropli krwi. Chceszli więc ztąd wyjść żywo, wejdz albo pod ziemię jak *mysz*, albo wleć *ptakiem* w powietrze, lub skryj się jak *żaba* w wodzie: inaczéj ułęczesz pod gradem *strzał* naszych.

Kazimierzowi W. gdy podczas polowania w lasach niepołomskich, zabłąkawszy się odszedł od swoich, pewien chłopce

polski, z którym się wdał w gawędę opowiedział krzywdy, jakich się pan na jego własności dopuścił, stratowawszy bydłem swoim i spastszy kapustę, która mu się tak była urodziła. Radził mu Kazimiérz, aby napisał prośbę i podał ją królowi w zamku krakowskim. Chłopiek nie umiejący pisać, za namową żony rysuje na papierze grzędy swojej kapusty, bydło dworskie i t. d. Gdy z tém pismem do zamku krakowskiego przybył i nalegał, aby je przedstawiono królowi, ten przypominając sobie opowiedziane wydarzenie zrozumiał je, i wymierzył sprawiedliwość. Otóż znowu malowidło, które było opowieścią.

Z tych kilku przykładów widzimy naocznie, iż środki, jakie duchowi ludzkiemu podaje natura, czyto w ludziach dzikich, czy w prostaczkach i nieumiejętnych są te same. Łatwo się one nastroczają, skoro potrzeba zawita. Pismo więc początkowe było malowidłem albo pismem obrazowém. Królestwa natury, a mianowicie państwa zwierzęce i roślinne, i dziedzina sztuki dostarczały materyałów do tychże obrazów; bo dla człowieka więcej zbliżonego do natury, egzystował tylko świat pojavów zewnętrznych.

Różnica pisma obrazowego od malowidła.

Pismo obrazowe (ikonograficzne) jest tylko próbą pisma, przesłańcem jego, z powodu słabych usług, jakie udzielaniu myśli świadczy. Widać w niem więcej zamiar pisma, niż rzeczywisty skutek; bo w istocie jest ono tém w porównaniu do pisma głoskowego, czém mowa migowa do mowy głoskowej, to jest najczęściej znakiem przypominającym coś, nasuwającym myśli i dającym je do odgadywania. Ale już właśnie przez sam zamiar udzielania myśli, nie jest tém samym, czém jest malowidło. Malowidło bowiem, jako utwór sztuki, ma w sobie cel swojego bytu i ma wartość w sobie i dla siebie. Pismo obrazowe nie jest dla siebie, ale dla czego innego, bo w niem należy pomijać z uwagi obraz, a domyslać się, co on za myśli przedstawia, czego ma nas nauczyć. W piśmie obrazy z natury zdjęte nie podobnemi się do niej wydają, z powodu, że w inny sposób składane być mogą, nie tak, jak w niej bezpośrednio występują. Następnie malowidło oglądamy, przypatrujem mu się z upodobaniem, podziwiamy w niem ideę sztukmistrza, którą w twórczej swój

fantazyi dziełem swoim uzewnętrznił: przez co ogrzewamy swoje fantazyę, tak, iż ta ze sztukmistrza w nas się przelewa, ale zawsze rzecz pozostaje ta sama. Pisma nie oglądamy dla obrazów, nie podziwiamy w niem tychże, jako utworów sztuki; ale patrzymy na nie czytając je, to jest pomijając obrazy, uczymy się czegoś nowego, czego téż obrazy w sobie nie zawierają, ale do czego nam nasuwają myśli. Słowem, malowidło przedstawia tylko obrazy, rzeczy znane ogólnie, czyto postać, czy scenę, czy wypadek; pismo w tych obrazach czegoś uczy nowego, nieznanego, coś udziela myśli, tak, że sam obraz w niem nie jest obrazem rzeczy, ale obrazem obrazu, bo obrazem idei, czyli obrazu myśli.

Pismo obrazowe niezawsze jest czyste.

Pismo obrazowe niezawsze mogło pozostać na stopniu pierwszym rzeczowego przedstawienia myśli. Prócz rzeczy są jeszcze ich przymioty, ich stany bytu, i na tych wyrażenie potrzeba było pewnych znaków. Ku temu celowi nie można było czego innego użyć, chyba tylko tychże samych obrazów zmysłowych. Te obrazy nie były już obrazami myśli rzeczowo się przedstawiającymi, ale znakami pojęć oderwanych, to jest wskazywały nie pojęcia realne, bezpośrednio temi obrazami oddane, ale pośrednio; bo przechodzące jeszcze raz przez myśl zapatrującą się już nie na sam przedmiot lub ideę rzeczywistą w obrazie oddaną, ale na jego przenośnią, allegoryą. Obraz np. krokodyla nie samego krokodyla mógł mieć za przedmiot, ale przymiot jego, atrybut jak: *złość, okrucieństwo*. W ten sam sposób obraz jastrzębia bystro na swą zdobycz rzucającego się mógł znaczyć *szybkość*. Kreta trzeba może było czytać *ślepotą*. *Starzec* był ideą *śmierci*, bo gnął ostatkami życia; *wąż* allegoryzował chytrość a może wieczność. *Oko uwagę* lub *Opatrność* przedstawiało i t. d.

To allegoryzowanie obrazów czyli przenoszenie myśli ze znaczenia rzeczowego do innego, mogło dostarczyć pismu *determinatywów*, któremi pojęcie sobie znane ścięśniano: określając je mogło dostarczyć orzeczeń v. predykatów, odpowiadających równie słowom jak przymiotnikom i przysłówkom w grammatyce. Tak np. obrazy *człowieka i kota* trzeba może

było czytać człowiek zdradliwy. Promienie około głowy lub obraz większy podobnych istot znaczyć mógł wyższość; linie od oddzielnych osób do tych samych członków ciała idące np. do oczu, rąk, lub np. od oczu do serca były znakiem przyjaźni. Tu widzimy, że to allegoryzowanie pisma obrazowego podobne jest do stylu wyższego, w którym się używa przenośni, albo więcej ma podobieństwa do wyrazów, niewłaściwego czyli przenośnego znaczenia nabywających. Pochodzi ono może z ubóstwa obrazów używanych raz za przedmioty, inny raz za przymioty; tak jak w mowie, ten sam wyraz jest raz przymiotnikiem, drugi raz zaimkiem, inny rzeczownikiem.

W tém miejscu przychodzi nam na myśl, że Czypiwesy mają znać dwa rodzaje pisma: jedno wszystkim zrozumiałe *kekiwin*, drugie tylko wtajemniczonym w rzecz *kekinowin*. Czybyto nie znaczyło, że pierwszego obrazu nasuwają myśli rzeczowo, drugie allegorycznie. Pismo to bowiem zawierało w sobie pieśni miłosne, wojenne, których poprzednio trzeba się było uczyć napamięć, aby ich zrozumieć znaczenie, a do tego tradycja ustna posługiwała.

Dlaczego pismo obrazowe w początkach mogło być dostatecznym?

Pismo grube równie obrazowo-rzeczowe jak i allegoryczne samo w początkach mogło być dostateczne, gdy pogląd naturalno-zmysłowy przeważał w duchu ludzkim. Tu zgoła zmysłowe jest zapatrywanie się na całkiem pojedynczy przedmiot, na pojedynczą rzecz, gdzie zaledwie o co chodzi, wiemy lub odgadujemy. Ale tu nie ma żadnej formy wewnętrznej, bo ta nieoznaczona jestto tylko sama treść, sam materiał; nieoznaczono, czy ten obraz przedstawia ideę panującą teraz, czy przeszłą, czy dopiero upragnioną w przyszłości. Co większa, nietylko tu materiał bez formy, ale nawet wielu materialnych oznaczeń niedostaje. Pismo więc obrazowe odpowiada najlepiej językom bezformownym (obacz mowa głosowa).

Ale nie może być inaczej: pierwiastkowo duch człowieka najściślej się wiąże z naturą. W naturze wszystko w pewnym ze sobą zostaje związku, a zatem przedmioty poglądowi nasze-

mu przedstawiają się zawsze w pewnym i to jakimś oznaczonym stosunku do drugich. Tych stosunków mała bardzo liczba kombinacji leży w pierwiastkowym poglądzie ludów mniej wykształconych, a bliżej natury żyjących; ztąd też one myślą zawsze tylko w jakiś sobie sposób oznaczony o przedmiotach pewnych przy sobie będących, nie tak jak my, dla których one stoją odrębnie dzisiaj: co już jest skutkiem, dalszostopniowego rozwoju ducha naszego. To pojmowanie przedmiotów w pewnym znany do siebie stojących stosunków, tłumaczy nam łatwość jaką mają dzikie, lub nieucywilizowane ludy w odgadywaniu obrazów obok siebie postawionych w piśmie, czyli w czytaniu pisma obrazowego.

Każde zwierzę jest tam dla człowieka tylko, dla jego korzyści, aby je łowił, lub na nie polował. Trzy obrazy np. obok siebie postawione: *Strzelec, niedźwiedź, ryba*, nie obudzają trzech wyobrażeń oddzielnych jak u nas, ale dwa stosunki, człowieka do tychże zwierząt, to jest czytać je należy: *Strzelec ubiwszy niedźwiedzia, ryba łowi*.

W piśmie więc obrazowem niepotrzeba prawie żadnych znaków do oznaczenia stosunków rzeczy. Te odgaduje się łatwo z rozmieszczenia czyli sytuacji obrazów, gdzie sama przestrzeń nawet mówi do człowieka, a mówi rzeczowo lub allegorycznie. Tak np. pochylenie obrazu, umieszczenie jednego obok drugiego poniżej w środku, na górze lub z boku miało swoje znaczenie; przewrócona postać zwierzęcia mogła wyrażać śmierć jego w rozumieniu rzeczowem, lub jego pana w allegorycznym, bo się nieraz pan pewnym zwierzęciem, które posiadał, jako znakiem herbowym, znaczył.

Skrócenie obrazów prowadzi do pisma figurycznego.

Naturalna jest bardzo rzecz, że w początkach obudzonego popędu do pisma, pisano rzadko, bo potrzeby ludów zaledwie ze stanu zwierzęcości otrząsających się, były zbyt ograniczone; wyobrażenia ich wszelkie obracały się jeszcze w ciasnym kółku zmysłowości: a więc gdy bogactwo duchowe było małe lub prawie żadne, to pismo zaledwie materialne przedmioty lub materialne ich oznaczenia oddawać tylko mogło. Sztuka pisania, jako sztuka malowania, była trudną; i to zapewne także niebar-

dzo zachęcało do częstego pisania. W miarę przyrostu wyobrażeń i wydobywania się ludów z materialnego grubizmu, wzrastała także i potrzeba pisania; nic też dziwnego, że się ukazała konieczność uproszczenia, ułatwienia, udogodnienia pisma. I rzeczywiście, zastanowiwszy się nad masą przedmiotów, o których obrazami mówiono; a te obrazy raz w swoim właściwym, to jest rzeczowym znaczeniu brano, już w allegorycznym do oddawania pojęć oderwanych i przymiotów używano: spostrzegamy nadzwyczajną niedogodność w kreśleniu całych obrazów, gdy tego rzecz niekoniecznie wymagała. Wzięto się więc następnie do skrócenia tychże obrazów, to jest zaczęto je przedstawiać nie już w całości ale w skróceniu, odejmując im to, bez czego się obejść można było, a najglówniejszą rzecz, jako cechę charakterystyczną zostawując. Jestto rodzaj postaci w piśmie, która odpowiada ściśle *wyrzutni* w mowie.

Tu więc głowę np. wołu, brano już za całego wołu; rękę, za człowieka czynność pewną wykonywającego; nogi, jako część najpotrzebniejszą do chodzenia, za obraz istoty ruszającej się.

To skrócone pismo obrazowe upowszechniało się powoli i rugować mogło całkowite rysunki z pisma obrazowego. Nie trudno się domyślić, że te skrócone rysunki coraz bardziej upraszczając się, zacierały początkowe pochodzenie swoje, tak, że samą postacią swoją nie przypominały już zawsze obrazów z których zostały zdjęte, i ztąd nie dla wszystkich zrozumiałe były. Zapewne pomagano sobie w tym razie podawaniem ich znaczenia tradycyjnym, aby z przedstawionem skróceniem obrazów, sensu czyli rozumienia ich nie zapomniano.

Tak widoczna jest, że właściwe pismo obrazowe zamienić mogło obrazy swoje przez skrócenia różne na nich dopełniane, na znaki tylko albo figury proste, do których na ich podobieństwo dodawano może inne dowolnie obrane, na oznaczenie stosunków rzeczy i różnych między niemi zachodzących względów. Co większa, przez analogią do tego pisma figurycznego, obierano już niekiedy dowolne znaki, nie mające żadnego związku z początkowym piśmie obrazowym, i przyswajano sobie nieraz system pisania figuryczno-rzeczowego. Bo od czasu jak pismo obrazowe stało się figuryczne i udzielało myśli nie w przedstawionych obrazach, ale w skróceniach tychże, prostych figurach, znakach: to już na jedno wyszło, czy te znaki przypominały jeszcze pochodzenie swoje pierwiastkowe, czy były od początku

dowolnie obrane. Figury te pisma są tém w sztuce pisania, czém są w mowie wyrazy, których etymologia zaginęła i znaczenia ich po brzmieniu samém już dziś wcale dojść niepodobna. Kiedy zaś w językach naszych tyle dziś jest wyrazów, które żadnego rozumowi nie przywołując znaczenia, przeszły na proste znaki wyobrażenia; cóż więc dziwnego, że i figury w piśmie, nie przypominają już zawsze i wszędzie swego obrazowego pochodzenia. Że pismo obrazowe przejść mogło w figuryczne, rozum sam dyktuje; ale kiedy się to stało, historia nam na to żadnych nie dostarcza dowodów.

Pisma figurycznego historyczne powojawy u różnych ludów.

Twierdzenie powyższe o przejściu pisma obrazowego w figuryczne jest dopięro wywodem rozumowym, prawdą loiczną; a że prawdy apyoryczne czyli rozumowe są same, że tak powiem, najpewniejszymi prawdami: toć towarzyszkami ich koniecznymi są prawdy historyczne, fakta, które się w dziejach cywilizacyi ludzkości znaleźć muszą. Pismo figuryczne jest już wypływem większej potrzeby pisania, pojawia się zatém dopięro u ludów z barbarzyństwa wyszłych i już pewnych dobrodziejstw cywilizacyi doznających. Większa znowu potrzeba pisania dowodzi stałości siedziby, pewnego bytu politycznego, jakiejś znajomości praw, panowania religii, sztuk, nauk i zręczności prac ręcznych.

Takie pismo znali Meksykanie, posiadający już pewne tradycye przeszłości od najdawniejszych czasów, bo spisywali księgi historyczne cesarzów swoich. Pismo ich zawiera w sobie ślady przejścia z obrazowego do figurycznego, mieści bowiem w sobie obrazy i figury. Stopniowo tylko nie gatunkowo różni się to pismo dzikich Czypiwesów i Irokców. Rysunek tu jest lepszy, farba malowidła ma swoje znaczenie; podobnie także znakami pewnymi np. brodą lub dłuższym nosem odróżniają osobę wyższego znaczenia jak i tamci. Obrazów tych z figurami zmieszanych, również jak i pisma dzikich bez objaśnienia zrozumieć nie można. Farbą rozróżnia się cudzoziemiec od krajowca, osobność materyałów wskazuje inny charakter czyli inne przeznaczenie pism; amuleta są wskazówką, że na nich prawa pisano. Te szczegóły nie formę mowną, ale stosunek rzeczowy

przedstawiają. Gdy się materya pisma od formy niczém nie różni, to znaczenie stosunków i względów rzeczy w formie rzeczowej, barwie jój, lub osobnym materyale przedstawiać należało.

Brak formy w piśmie dowodzi, że jój nie musiało być w języku Meksykań. Pomiędzy figurami pisma meksykańskiego są np. nieforemne pola, po bokach i w pośrodku których znajdują się linie krótsze, pojedyncze, podwójne, potrójne, tudzież punkta najrozmaitszej formy.

Tak więc w piśmie meksykańskiém jest samo pismo rzeczowo-obrazowe, jest pismo figuryczne i pismo obrazowo-allegoryczne.

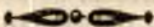
Peruwian pismo było już czystiej figuryczne i nazywało się *kwipos*. Jestto sposób przedstawiania myśli za pośrednictwem wiązek cienkich sznurków z węzłami różnokolorowemi tak mniejszemi jak większemi, do których przyczepiano niteczki to czerwone, to zielone, to białe, to żółte, to czarne, to niebieskie, to różno-kolorowe. Każdy sznurek, każda niteczka, każdy węzełek a nawet i kolor jego miały swoje znaczenie: np. kolor biały oznaczał srebro, żółty złoto i t. d.. Liczba węzełków, rozmaitość barwy i sposób węzlenia, co innego zaraz na myśl nasuwały. Zresztą musiano poprzednio wiedzieć od kogo jakie pismo wychodziło i do czego się ściągało, choć różny materyał na którym pisano, mógł już w części objaśniać, aby się nie omylić. Z tych pism składało się archiwum państwa, osobnym urzędnikom do pielegnowania oddane. Ich więc tłumaczenie i objaśnianie wymagało wykładaczy osobnych. Czy w tém piśmie i ogólny wyraz myśli był podobnym do wyrażenia, nie wiedzieć wcale, bo węzlenie samo barwistych sznurków nie podaje dostatecznej rozmaitości znaków. To pismo było więcéj metodą pamięci albo sztuką mnemoniczną, co się i z tego jeszcze okazuje, że dzieci peruwiańskie dla zatrzymania formuł modlitewnych przez Hiszpanów przyniesionych, barwiste kamienie razem wiązali, a więc z innemi przedmiotami podobny do węzełkowego pisma proces odbywali. Rozumienie więc takiego pisma polegało na znajomości zewnętrznych różnych okoliczności, których ustne objaśnienie dostarczało, ale znaki te myśli samój w sobie żadnej nie przechowywały.

Podobny sposób pisania mieli znać także Egipcyanie, jakto z ich pomników widać, tudzież Chińczykowie. Ci, według Fre-

reta mieli znać pismo węzłowe, które Fohi na znaki proste, paralelne, całe i nie całe, nazwane *kowa* albo *kuas* zamienił. Jeszcze stara księga I-king była napisaną częścią pismem węzłowym, częścią znakami całymi albo przerywanymi, zwanemi *kowa*, albo *ku-as*.

Posiadanie takichże samych znaków albo raczej takiego samego pisma Meksykan i Chińczyków, rodzi mniemanie, że w bardzo odległej starożytności był zapewne jakiś związek Ameryki z Chinami, albo tylko dowodziłoby pokrewieństwa duchowego ludów między sobą, i możności dochodzenia do tych samych wypadków na drodze odkryć i wynalazków.

(Dalszy ciąg nastąpi).



KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Bursa, komedia Ponsarda w pięciu aktach, wierszem. — Studya o Balzaku na konkursie towarzystwa literatów. — Balzak w pantoflach, przez Leona Gozlan. — Religia naturalna pana Simon. — Wystawa rolnicza paryzka. — Statystyka kolei żelaznych w Anglii przez Stephensona. — Wiadomości literackie.

Z niezwykłą niecierpliwością oczekiwano w Paryżu zapowiedzianego przedstawienia *Bursy* Ponsarda. Jakiś szmer przyjazny powitał jeszcze w tece ten utwór autora *l'Honneur et l'Argent*, a ukazania się jego wyglądzano ciekawie, jak podniesienia zasłony kryjącej zazdrośnie jakieś poprzedzone sławą zjawisko. Bilety rozkupiono na miesiąc naprzód po cenach bajecznych; ci, co już nie mogli docisnąć się do Odeonu na ten upragniony wieczór, uważali się za pokrzywdzonych.

Podobne usposobienie publiczności, aczkolwiek pochlebne dla autora, łatwo bardzo może go o zgubę przyprawić: bo podobno nic trudniejszego, jak żeby rzeczywistość odpowiedziała nadziejom. Oczekiwanie każdej przyjemności jest miłsze od niej samój, a cóż dopiero jeżeli chodzi o pięcio-aktową komedię wierszem, której przez pięć godzin słuchać trzeba, a na szóstą tyle jeszcze zachować zapału, żeby mózdz wywoływać autora i aktorów, klaskać, tupać, winszować, i t. d. Żeby takiego cudu dokazać przy najlepszych warunkach, trzeba mieć więcej niż talent — trzeba mieć szczęście. Każdy inny z tutejszych dramaturgów byłby w tym razie jeżeli nie postradał, to na mocny szwank naraził swą sławę; ale Ponsard do szczęśliwych się liczy: i chociaż sztuka jego nie odpowiedziała oczekiwaniu, przyjętą była bardzo dobrze dlatego, że autor jest lubiany.

Jakżeż nie nazywać szczęśliwym człowieka, do którego garną się wszystkie sympaty: który ma talent, a nie ma nieprzyjaciół; nie jest doskonałym, a przecież nietylko nikt jego błędów nie wytyka, ale znajduje że mu z nimi do twarzy; który w literaturze posługuje się użytą formą, a budzi entuzjazm. Każdy z jego naśladowców nie zarobilby nawet na zapłacenie kopisty, któryby mu manuskrypt przepisał; Ponsard za dochód z każdej swojej sztuki mógłby kupić we Francji dobra, a we Włoszech przynajmniej trzy marmurowe wille.

Ścisłejszy rozbiór dzieł Ponsarda jeszcze niezrozumiałszym czyni ich powodzenie w Paryżu, gdzie zaledwie najwszechstronniejsze i najkolorowsze talenta zdołają poruszyć przesyconych wrażeniami widzów. Ponsard jak gdyby o tém nie wiedział, nietylko nie schlebia im wcale, ale co większa, najdrobniejszą koncessyą nie stara się przypodobać chorobliwym zachceniom publiczności. Dodatne i ujemne strony jego talentu są tak widoczne, że je kilku słowami określić można: wyrażenia silne ale zużyte, wymowa potężna w oddawaniu szlachetnych uczuć, śmiałe lekceważenie pewnych ludzi i popogarda złych obyczajów, miłość cnoty którą na chwilę umie wmówić w zepsutych słuchaczy do tyła, że mu z radością słyszoność przyznają, żadnych nowych pomysłów, w akcji prostota wielka, w intrydze naiwność, na którą z uśmiechem nieraz się patrzy jak na dziecinne podstępny, język miejscami szorstki, miejscami strojny w sielskie obrazy na wzór Horacego lub Virgiliusza:—oto zalety i niedostatki dzieł Ponsarda.

Rzecz jasna, że tylko znakomity talent ograniczyć się może w takiej formie; kto inny na tych poprzestając środkach, nie doczekałby się w Paryżu nawet zaszczytu niezycziwój krytyki. Ponsard zbiera laury.

Tyle o autorze. Teraz przejrzyjmy jego ostatnie dzieło. Intryga nowój komedyi jest tak uboga w wypadki, iż sądzić należy, że autor umyślnie o to się starał. Zdaje się, że nie chcąc działać na widzów przez dramatyczność położeń, jako mistrz wyższy, wzgardził bajką, która zazwyczaj bywa pretekstem do napisania sztuki; może téż powodem téj prostoty jest brak imaginacyi: trudno powiedzieć, ale w każdym razie widać, że ją ma czém zastąpić, kiedy nie uciekając się do dramatycznych efektów, potrafił wszelako stanąć nieledwie na równi z pierwszymi dramaturgami Francji.

Bohaterem sztuki jest młody wieśniak Leon Desroches, który pokochawszy sąsiadkę swoją, pannę Kamille, osobę majątną, a mając własnego majątku tylko 60,000, przybywa z niemi do Paryża w zamiarze grania w bursę, gdzie albo wygra odpowiedni majątek, który ojciec panny położył za warunek zamęścia córki; albo téż, jeżeli fortuna nie dopisze, przegrawszy całe mienie, życie sobie odbierze.

W tak heroiczném będąc usposobieniu, Leon stanawszy w stolicy udaje się natychmiast do wexlarza Delatour'a, swego szkolnego kolegi. Ten wysłuchawszy planów śmiałka, mającego nadzieję dorobienia się majątku na giełdzie, odpowiada mu temi słowy:

„Dla takich niewiniątek jak ty, mój kochany,
Gra w bursę jest szulernią, przepaścią, ruiną.
Giełda, do której teraz tak gorąco wzdychasz,
Dla jednego szczęsnego tysiąc dusz połyka.
Iluż tam wchodzi co dzień ze zdobywcy twarzą,
A wychodzi złamanych w wrzecem w sercu piekłem?
Ileż leż na tym progno, gdzie bankructwo bluźni,
Ileż przekleństw w tym gmachu, gdzie króluje chciwość?
Wam się zdaje wieśniacy, że paryzka giełda
Jest grą, jak każda inna, w którą można wygrać
Lub przegrać—wedle zrządzeń losu. Bynajmniej.
Graczy masz tu dwa rodzaje: mocni i słabi.
Pierwsi, dzięki zastępom wyjętym z szkatuły,
Stanowią wedle chęci spadek lub podwyżkę.
Tym sposobem ów obóz będąc panem placu
Wygrywa zawsze, kiedy drugi zawsze traci.
Nierówny pojedynek popiera intryga:
Jednym wiadome pierwej od innych wypadki;
Drudzy umyślnie siejąc fałszywe pogłoski,
Z ogólnego popłochu zbierają owoce.
Ten obietnicą zysków podnosi swe akcye
Oparte na fikcyjnej antreprzyzy plonach;
Skoro rozprzedał, akcye spadają na zero.
Płacz i zgrzytanie zębów! Ale któż dba o to?
Po cóż głupi kupował?
.
A teraz, jeżeliś słuchał do końca uważnie,
Powiedz, czy w tych szulerniach co zgrywały Greków,
Oszukiwano więcej niż na naszej giełdzie?”

Wymowny obraz oszustw giełdowych, z któregośmy tylko mały ustęp przytoczyli. nie przekonywa Leona; uczciwy wexlarz nie ohydził przyjacielowi rzemiosła, może dlatego, że sam się niém trudni, choć je za podłe uważa. Leon za pośrednictwem Delatour'a próbuje szczęścia i na początek wygrywa 100,000 fr. Na tém się kończy akt pierwszy, którego wpływ na moralność niekoniecznie zbawienny. Uważałem, że każdy

niemal z dwóch tysięcy słuchaczy byłby rad mieć adres cnotliwego wexlarza, który mimo uprzedzeń do giełdy, tak szczęśliwie grosze na dukaty przemieniać umie.

W następnych aktach autor daje poznać populacją giełdową, tak zwanych tutaj *Bursykotierów*, których jest dwa rodzaje: spekulanci modni, fundatorowie paryżkiego *pół-swiata*, młodzi, ugrzeczniejsi, pokrywający układnością kamienny egoizm duszy; i stare weterany posiwiałe na usługach Plutusa, którzy bez żadnej ceremonii, zrzuciwszy wszelkie pozory ucziwe, pokazują się światu bez pokrowca. Rozmowy ich oddane wiernie, są dokładnym obrazem téj nowéj rasy ludzi, którą spłodziła lokomotywa ożeniona z telegrafem.

W jednéj z takich scen, które są najlepsze w komedyi Ponsarda, młodzi gracze winszując Leonowi jego odwagi i powodzenia, przepowiadają mu świetną przyszłość, jeżeli się pozbędzie wiejskich przesądów, a przyjmie obyczaje stolicy. Między innemi jeden z nich tak doń mówi:

... „Przyślę ci mego krawca: kup wykwintny powóz
I konie dobrej rasy niedościgłe w biegu;
Jak czystej krwi gentleman gadaj o wyścigach,
Dawaj dobre kolacje; o wszystkim i zawsze
Mów oziębłe, z pogardą, jakby od niechcenia.
Wyszysz bez litości wzniosłe sentymta,
I wszystkie te błazeństwa poświęceniem zwane.
Nie miej żadnych przekonań: honorem ci ręczę,
Że dawno wyszły z mody. Zapal cechą głupca:
Nie ma dobra, ni złego dla ludzi rozsądnych.
Jeżeli masz energią, wytrwałość i siłę,
Użyj jej do robienia majątku, mój drogi!
Nie wdawaj się w nauki, dzień zanadto krótki,
Ażeby czas marnować na badania płonne;
Byłbyś może mądrzejszy, alebyś zapomniał
I w lasku cię pokazać i utrefić głowę.
Tylko z góry i śmiało, a nazwiesz mnie osłem,
Jeżeli cię za cztery niespełna tygodnie
Nie okrzykną fenixem, najrzadszych cnót wzorem.
Nie jesteśmy już dzisiaj, jak te waryaty,
Których rozkosz poila, co tracili głowy
Dla jakiejś idealnej Klary lub Aliny:
Nie, nie! My dzisiaj nawet w szaleństwie rozumni.
Miłość jest dla nas środkiem dostania posagu
Lub zabawy. Z orgii wychodzimy trzęsłwi,
Bo rozum nas prowadzi nawet na hulanki,
I nawet do rozpusty miesza zdrowe ziarno:
Wyrachowanie”

Zdefiniowawszy w ten sposób obyczaje ulicy *Chaussée d'Antin*, autor tak mówi o przedmieściu *Saint-Germain*, zawsze przez usta tegoż młodzieńca, który wieśniaka zaznajamia ze zwyczajami stolicy.

..... „Jutro, jeżeli zechcesz,
 Odwiedzimy razem szanowną ciotkę moją,
 Klejnot i ozdobę przedmieścia Saint-Germain.
 Niekoniecznie w jej domu bawią się wesóło.
 Ja przynajmniej tam zawsze nudzę się śmiertelnie,
 Ale chodzę, bo jakoś każdy tam rad bywa.
 W salonie mojej ciotki strzeż się, mój kochany,
 Zdradzić wszelkiej styczości z duchem tegoczesnym:
 Rozsądek, filozofia, równouprawnienie,
 Wszystko to trąci ludem, i ztąd źle widziane;
 Wzięłoby cię za gbura, albo Jakobina.
 Feodalność chwał—tożto piękne były czasy!
 Przeciw dwudziestu czterem deklamuj zawzięcie:
 Od nich źle poszło, co nas dzisiaj gnębi.
 Wynoś prawe starszeństwa i klasztory panien,
 Bogactwa zgromadzone w rękę stu familij;
 Narzekaj, że dziś ziemia pocięta w kawałki
 Należy do rąk nagich, co ją uprawiają.
 Wychwalań urodzenie. A głównie bacz na to,
 Żeby mówiąc o szlachcie tak się wydawało,
 Jakby jej wszystkie herby dawnym lśniły blaskiem.
 O ostatnim kazaniu pomnij zrobić wzmiankę,
 A podobasz się pewnie: gardłem za to ręczę”.

Pomimo że los poszczęścił zrazu Leonowi, przepowiednia wexlarza sprawdza się niebawem. Młodzieniec zamiast tym pierwszym haustem ugasić pragnienie złota, pożąda go coraz więcej; odkłada wyjazd, i gra znowu, chcąc już nie krociowym, ale milionowym panem powrócić do Kamilli. Tymczasem ona niespokojna o kochanka, przybywa z ojcem do Paryża. Leon oznajmia im, że wygrał 100,000; ojciec formalista krzywi się nieco na majątek nabyty bez pracy, ale w końcu przyrzeka mu rękę córki. Kamilla zaś zaklina narzeczonego, żeby więcej nie grał. On przyrzeka, ale dotrzymanie obietnicy już nie w jego mocy. Spadziste szanse gry nie pozwalają mu się zatrzymać w połowie drogi:—przegrywa, a więc gra wciąż chcąc się odegrać. W końcu traci nie tylko swoje 100,000, ale i 100,000 przyszłego teścia.

Oburzona więcej niepostuszeństwem niż stratą Kamilla, zrywa z narzeczoną; ten widząc się opuszczonym przez miłość i fortunę, wedle programu, już ma sobie w łeb wypalić, kiedy przybywa Rajnold, przyjaciel Kamilli, człowiek majątny i uczciwy, który przedstawia Leonowi, że jakkolwiek nie jest mężem Kamilli, wszelako miał nim być, a to obowiązuje go do postępowania honorowego; że odbierając sobie życie shańbilby ją i siebie; że powinien żyć, ażeby zmasać swą winę, żyć uczciwie choć ubogo i w niskiej kondycji; że jedynie praca ciężka i usilna uleczyć go może z choroby zbyt łatwych zysków; że

jeżeli zechce tym sposobem rehabilitować przeszłość, odda mu w zarząd swoje kuźnie żelaza.

Leon przyjmuje. Widzimy go pośród robotników, sławiącego dobrodziejstwa pracy, jej wpływ na serce i umysł człowieka, patrzącego z politowaniem na ludzi dręczonych żądzą złota, i na ów szal, co go na chwilę opętał: słowem widzimy go poprawionego zupełnie i godnego lepszego losu. Miłość dla Kamilli nietylko nie wygasła, ale wzmogła się w jego sercu: boleje nad utratą zawsze najmilszej kochanki, a za jedyną nagrodę swój wytrwałości uważa odzyskanie jej względów. Wtém dowiaduje się, że Kamilla idzie za mąż, właśnie za właściciela kuźni, który samobójczy pistolet od czoła jego odwrócił. Nie mogąc znieść tego ciosu nad siły, i nie chcąc być nadal dłużnym Rajnoldowi, przychodzi prosić szczęśliwego rywala, żeby go uwolnił od służby.

W domu swój dawniej narzeczonej znajduje wszystko przygotowane do wesela, ale wśród tych radosnych przyborów Kamillę bladą i drżącą... a w jej oczach lzy świadczące, że dawna miłość nie zatarła się jeszcze. Rajnold, z którym Kamilla za chwilę ma iść do ołtarza, spostrzega co się dzieje w sercach tych dwojga ludzi; a że jest dobry i szlachetny, nie chce serca które mu się oddaje bez miłości, i zwraca je temu, który go nigdy nie utracił.

Na tej ofierze godnej starożytnych bohaterów kończy się sztuka, ożywiona od początku do końca duchem sprawiedliwości. Znać, że autor ma w duszy wszystkie te cnoty, które chce wpoić w drugich: każdy to czuje odrazu; a ta udzielająca się widzom zacność wyżej podnosi sztukę, niż talent autora. Osoby chociaż nie odznaczają się oryginalnością, są wyraźnie narysowane: Leon wyobraża raczej słabość, nie człowieka; pali go złota gorączka, gatunek żółtej febry, która tu więcej ludzi sprząta niż tamta nad Dunajem: ale wszystkie symptomata tej choroby bardzo dobrze są obserwowane. Rajnold typ męskiej prawości i hartu, odbija mocno przy Leonie: przypomina on Rudolfa z *l'Honneur et l'Argent* z tą różnicą, że rola jego mniej rozwinięta. Charakter Kamilli surowy i silny, a przecież nie pozbawiony słodyczy i tklivości, wydaje nam się najpiękniejszym utworem w tej sztuce. Spotkanie choćby tylko na scenie kobiety szlachetnej, w której sercu mieszka miłość wraz z poczuciem własnej godności, i prawość wyższa nad interes osobisty,

jest prawdziwem dobrodziejstwem pośród społeczeństwa francuzkiego, w którym pleć piękna prawie zatraciła piękność duszy, a pleć brzydka wybija pokłony materji, o resztę nie dbając wcale.

Ostatecznie, *Honor i pieniądze* stawiamy wyżej, niż nowe dzieło Ponsarda. Pod względem stylu i formy, *Bursie* należy się pierwszeństwo; ale zapal, ale młodzieńcze oburzenie przeciw złemu, ten świeży kwiat uczucia, który w najuczciwszém sercu ściera się i blaknie w ciągłym zetknięciu ze światem, tutaj pozabawiony pierwotnej barwy i zapachu, o wiele słabszym czyni wrażenie ostatniej sztuki. *Honor i pieniądze* są improwizacją, którą oburzenie natchnęło młodemu sercu; *Bursa* jest powtórzeniem tychże samych uczuć, ale na zimno; zapal widocznie odbiegł antora, może się przeląkł akademickiej togii.

Na pierwszym przedstawieniu *Medei* we włoskiem teatrze, publiczność wywołała pana Legouvé i szczerze sypała mu oklaski. Toż samo chciano uczynić na przedstawieniu *Bursy*: długo i uparcie wywoływano Ponsarda, ale ten z właściwym sobie taktem osądził, że akademicki biret na scenę występować nie powinien—i nie wyszedł. Tak więc dostał każdy część swoją: aktorowie huczne pochwały tłumu, poeta ciche uznanie wybranych.

Dzięki hojności nieznajomego fundatora, komitet towarzystwa literatów wyznaczył na tegoroczny konkurs znaczne premjum za *studjum o Balzaku*. W dniu oznaczonym, areopag złożony ze znakomitych literatów przejrzał nadesłane wypracowania i osądził, że żadne z nich na nagrodę nie zasługuje. Rzecz bardzo naturalna. Ażeby przeczytać, zrozumieć i osądzić ogromne dzieła Balzaka, potrzeba długich studyów; jestto zadanie trudne, któremu nie każdy, nawet ze znakomitych pisarzy poddola: wszelako poddolać mu można. Wypadało więc w danym razie zadać tenże sam przedmiot na konkurs przyszłoroczny: komitet literacki postąpił inaczej.

W uroczystym dniu rozdania nagród, towarzystwo poruczyło panu Lurine, swemu wice-prezesowi, zdanie sprawy z konkursu. Jako jeden z sędziów egzaminujących, pan Lurine nie miał prawa należeć do konkursu: jakoż nie konkurował, ale cóż się stało? Zamiast krytyki, czy rozbioru prac dostarczonych, napisał sam studjum o Balzaku, nadając mu niby cechę

sprawozdania i naginając okoliczności. Rozprawa wice-prezesa pełna paradoxów, ale bogata w oratorskie efekta, niedość że sprawiła ogromne wrażenie, ale pozyskała autorowi premium. Zachwycony komitet przyznał jednomyślnie wyznaczoną nagrodę panu Lurine.

Tak więc wice-prezes, z wielkiem oburzeniem konkurujących, zdobył podejściem, czego oni wstępny bojem zdobyć nie potrafili. Dostarczone *studya o Balzaku* były rozbierane powoli i na zimno przez ludzi świątłych i sumiennych, którzy rozumiejąc ważność zadania, nie poprzestali na powabach formy, i uznali, iż żaden z przypuszczonych do konkursu autorów, nie zgłębił należycie przedmiotu. Pan Lurine nie dał sędziom czasu do namysłu. Wymową, gustem, elegancją formy, porwał wszystkich; dźwięczną okragłością frazesów zagłuszył wszelkie spostrzeżenia rozważnej krytyki. Oto, co może urok słowa. Gdyby wice-prezes wraz z innemi był przysłał towarzystwu swój opieczętowany manuskrypt, sędziowie odczytaliby go pewnie z przyjemnością, podziwiali żywość obrazów, styl strojny i trafne uwagi; mimo to jednak nie zawyrokowałiby pewnie, że *studjum o Balzaku* już jest napisane, i odłożyliby ten przedmiot do późniejszych konkursów.

Powyższy wypadek bardzo zniechęcił młodych pisarzy francuzkich, którzy twierdzą słusznie, że towarzystwo literackie powinno się zajmować nimi, nie zaś rozdawać palmy sobie samym.

Podczas kiedy towarzystwo literatów zajmowało się tak gorąco Balzakiem, Leon Gozlan wydał małą książeczkę pod napisem: *Balzak w pantoflach*. Autor nie mając żadnej pretensyi do nieśmiertelności, nie założył sobie pisać krytyki dzieł Balzaka, a tém mniej wyrokować o geniuszu autora *Ludzkiej komedyi*. Chciał poprostu pokazać jakim był Balzak w życiu prywatnym, jakim był kiedy nie potrzebował się maskować, kiedy mógł mówić wszystko, co mu na myśl przyszło. „Spędziwszy lat parę w ścisłej z Balzakiem zażyłości, mówi autor w przedmowie, wybrałem najlepsze wspomnienia z tych nazawsze drogich chwil, któreśmy przesiedzieli razem na wsi pod drzewami szczepionemi jego ręką, albo przegawędzili przy kominku, i ogłaszam je drukiem, nie chcąc być wyłącznym właścicielem tych skarbów. Poufne zwierzenia mają w naszych oczach tę wielką zaletę, iż oddają rzeczywistą fizyonomią człowieka, bez

pretensyi mierzenia geniuszu jego. Stawiam go pod dachem, nie pod niebem; nie pomiędzy dwoma horyzontami, ale pomiędzy czterema okiennicami. Maluję go nie z piórem, ale z cęgami w rękę, rozmawiającego lub śmiejącego się głośno. Pokazywać go wam na tronie z kości słoniowej i w laurowej koronie, ani myślę. Zostawiam to innym silniejszym odemnie. Ktoś powiedział, że Balzak nie jest człowiekiem, ale morzem. Inni opiszą wam wspaniałe wybrzeża i głębiny tego oceanu, ja wymaluję wam Balzaka w pantoflach.”

Na końcu przedmowy dodaje:

„Namawiany przez naszych wspólnych przyjaciół, naglony przez ciekawość powszechną, tak zajmującą się wszystkiem, co dotyczy wielkiego malarza obyczajów, puszczam w świat te pierwsze jego zwierzenia, i gotów jestem wydawać dalsze, jeżeli zdołam odpowiedzieć tylu pragnieniom, i usprawiedliwić interes, jaki obudziłem tytułem méj książki.”

Spodziewać się należy, że dalszy ciąg pojawi się niedługo, bo książeczka Gozłana należy do rzędu najpowabniejszych, jakie w przeciągu ostatnich lat kilku pojawiły się w Paryżu. Tyle ciepła wieje z tych kartek, iż czytającemu wydaje się, że Balzak żyje; że od wczoraj zapoznał się z nim osobiście, i że z własnych ust jego słyszy obietnice dzieł nowych, których osnowę sam autor rzuca mu w ogólnych zarysach. Zapomina się zupełnie o fatalném słowie: *koniec*, które śmierć swym kościannym palcem napisała u spodu nieskończonej *ludzkiej komedyi*.

Pan Gozlan wprowadza czytelnika do wiejskiego domu Balzaka w Jardies. Cześć, jaką ma dla przyjaciela, nie jest ani napuszysta, ani udana. Opowiadanie jego rozczuła i rozwesela naprzemiany. Często porwany żywém wspomnieniem dni zbiegłych, Goslan przenosi się całą duszą w owe czasy; przeszłość wydaje mu się terażniejszością: wtedy jest niewyczerpany w wesołości i dowcipie. Pokazuje nam Balzaka architekta, Balzaka przy stole, Balzaka wierzącego w gusta z dziecinną naiwnością, Balzaka przy pracy, Balzaka ponurego, lub wymownego w napadach złości. Balzaka błyszczącego brylantowym dowcipem, niezrówanego towarzysza w zabawie, pocieszyciela w smutku, filozofa w nieszczęściu, a przyjaciela wiernego tak w złych, jak w dobrych kolejach.

Czasami na rozpoczętej karcie podmuch rzeczywistości, wspomnienie, że to wszystko już przeminęło niepowrotnie,

mrozi naraz wesołe opisy Gozłana; czuć, że w tém miejscu rzucił pióro i otarł łzę wywołaną odbiciem drogich rysów: wtedy czytelnik szczerze z nim dzieli smutek, bo czuje, że to żalność serdeczna.

Zarzuci nam kto może, iż nadto szeroko rozwodzimy się nad książeczką z pięćdziesięciu kart złożoną; zarzut wydaje się nam niesłuszny, jeżeli przedmiotem jęj jest Balzak, a autorem Gozłan. Zresztą pewni jesteśmy, że każdy z naszych czytelników przeczytawszy książeczkę, o której mowa, powie, żeśmy ją za mało, nie zanadto chwalili.

Jules Simon autor książki *le Devoir*, która przed kilką laty wiele miała rozgłosu, wydał teraz *la Religion naturelle*. Pan Simon liczy się do znakomitszych pisarzy francuzkich: znać, że zastanawiał się wiele nad dziełami sławnych filozofów, i całe życie spędził w krainie abstrakcyi. Nie ma on wprawdzie głębokości ani bystrości, które cechują wielkich myślicieli; ale za to posiada drobne zalety, nieźle pokrywające ten niedostatek: a mianowicie posiada styl żywy, który zaostrażając ciekawość czytelnika, nadaje więcj zajęcia kwestyom, które go zazwyczaj nie budzą. Na nieszczęście, *on a toujours les défauts de ses qualités*, jak mówią Francuzi: Simon ma nader bujną imaginacyą, a dla filozofa podejrzanito przewodnik, którego autor niedość się wystrzega, i ztąd często błądzi.

Książka, o której mowa, dzieli się na cztery części: natura Boga, Opatrzność, nieśmiertelność, obrządek. Cztery te działy są dwoma w istocie: część moralna bardzo dobrze napisana, część dogmatyczna błędna i wcale niefilozoficzna. Jeżeli kto występuje jako filozof i rozumem chce rzeczy dociekać, nie może się ograniczyć na powtarzaniu tak zwanych prawd, które krążą po świecie bez przeszkody: może dlatego, że nikt nie ma interesu w ich zbijaniu; ale powtarzając je musi mieć w odwodzie cały zapas niezbitych, wyrozumowanych dowodów na poparcie swego twierdzenia. Bez tego można pisać często trąfnie, ale nigdy gruntownie.

Pan Simon chce, jak powiada „związać ziemię z niebem, i dowieść matematycznie istnienia Boga.” Zadanie zbyteczne. Oto w jaki sposób do tego się bierze. „Że jest Bóg, tego dowodem świat, bo świat się sam nie zrobił. Jeżeli jest Bóg,

musi być religia. Bóg dał człowiekowi duszę wolną, rozsądną i nieśmiertelną. Wolną dlatego, żeby czyny człowieka mogły być zasługą; rozsądną, żeby hołdy jego dla Stwórcy były oświecone; nieśmiertelną, żeby mógł w inném życiu odebrać nagrodę za dobre w tém życiu postęпки. Chcesz-li poznać Boga, otwórz oczy:—świat cały mówi.”

Tak może rezonować poeta, ale nie filozof. Uczucie admiracyi, które w nas budzi widok świata, należy do rzędu tych, którym się oprzeć nie można, zatem nie jest rozmyślne; jako takie, może być niewyczerpaném źródłem pomyłek i złudzeń. Świat mówi! Łatwo powiedzieć, ale mało kto mowę jego rozumie, chociaż każdemu się zdaje, że rozumie. A żeby mieć prawo wyrokować o całości, potrzeba najprzód znać tę całość, rozmaite części z których złożona, ich stosunek do siebie i zamiary, jakie miał ten, co je stwarzał tak, a nie inaczej; któż się może pochwalić, że je zna wszystkie? A jeżeli ich wszystkich nie znamy, jakże możemy orzekać o całości? Któryż śmiertelnik, nawet z takich co najdalej widzą, może ogarnąć i wytłumaczyć cały łańcuch stworzenia? Któryż z nich prawdy swoje opiera na czém inném, jeżeli nie na przypuszczeniach?

Ogólniki, któremi Simon chce dowieść istnienia Boga, nie przekonałyby nikogo, gdyby ktoś w tym względzie potrzebował być przekonywany; ale na szczęście dziś każdy już tę kwestyą rozwiązał w swém sercu, bez pomocy filozoficznych formułek, dzieło zaś Simona czyta się tylko jako ładnie napisany poemat, który byłby bardzo zajmujący, gdyby w nim nie raziło nadużycie Boskości. Autor przytaczający co chwila jakąś cytata z Pisma świętego, powinien był pamiętać o przykazaniu, które zabrania wspominać nadaremnie imię Boga. Na nieszczęście tak nie jest: przez połowę książki mówi o Bogu i przyszłym życiu, nie dając o obojgu żadnego pojęcia. Boga wzywa co słowo, do niego udaje się po rozstrzygnięcie najdrobniejszej kwestyi. Newton zawsze odkrywał głowę skoro kto imię Boga wymówił, jednakowoż tylko ze ścisłego rachunku wywiódł prawa ruchu, i ważniejsze fenomena astronomiczne. Nie potrzebował boskiej interwencyi do wytłumaczenia mechanizmu świata, bo miał sobie na to dany od Boga rozum. Diderot przyrównywa takich, którzy do rozwiązania najprostszego zadania przywołują boskiej pomocy, do starożytnych pisarzy, którzy Jowiszowi zwykli byli poruczać rozwiązanie swoich dramatów!

Sprowadzona do najprostszego wyrazu *religia naturalna* Simona, ma tylko jeden dogmat i jeden przepis. Dogmatem jest Bóg wszech-potężny, stwórczytel i rządcą świata, oraz życie przyszłe, które wynagrodzi w tém doznane krzywdy. Serce pełne miłości Boga i ludzkości, silna wola służenia zamiarom Opatrzności przez dobre uczynki, wedle Simona jest modlitwą. „Tutaj obowiązek, mówi on: niebo w przyszłym życiu.” Zaraz po tym wyroku autor przyznaje, że niepodobna jest poznać natury Boga, ani warunków przyszłego życia. Jeżeli tak, po cóż napisał swoje książkę, której jedynym celem dowieść tych dwóch dogmatów religii naturalnej, której Bóg i życie przyszłe są jedyną podstawą? Autor przewidując to zapytanie, odpowiada nań naprzód: „Żądają od nas, żebyśmy zrozumieli to, czego zrozumieć nie można.” Bynajmniej, ale żądamy, żeby autor nie twierdził tego, czego wyznaje sam, że nie rozumie. Cyzero powiedział: „nie tykać rzeczy których się nie rozumie, i przyznać się do tego, że ich nie rozumiemy, jestto wielki dowód zdrowego rozsądku.” Sokrates, który powtarzał ciągle „albo ja wiem” zasłużył na sławę mędrca. Simon, gdyby był mniej twierdził, nie byłby sam sobie zaprzeczył, wyznając na końcu dwóchsetnej czterdziestej trzeciej stronnicy, że o tém wszystkiem co powiedział, ma bardzo niekompletne pojęcia.

Bądź co bądź, książka tego rodzaju jest zawsze nauczająca. Pożytecznie jest naznaczyć granice, poza któremi nawet tak niepospolity rozum jak Simona, błąka się bez steru, bo tam widać już nie ma drogi dla myśli ludzkiej. Nauczony takim przykładem człowiek wystrzega się potem tych, co to nie wątpią o niczem, i mówią z pewnością o rzeczach niepojętych, lub piszą systemata sięgające poza granice zakreślone przez naturę; i dochodzi do przekonania, że w tych materyach wiedza zasada się na znaniu granic, w których trzeba pozostać. Geniusze oznaczyły te granice, przebiegłszy poprzednio ogromne przestrzenie, a najważniejszym odkryciem jakie ztamtąd przyniosły, jest pewność, że nic odkryć nie można. Wyleczyć siebie i drugich z niepotrzebnych dociekań, gdzie myśl gubi się próżno, zamiast być skierowaną do spraw pożytecznych, wydaje się nam jedną z większych przysług, jakie książka oddać może.

Świetne powodzenie wystawy powszechnej zachęciło rząd tutejszy do zadekretowania dwóch konkursów powszechnych rolniczych, z których pierwszy odbywa się obecnie w Paryżu, a drugi odbędzie się w przyszłym roku.

Tegoroczna wystawa rolnicza zebrała się w pałacu wystawy przemysłowej, który na ten cel został stosownie urządzony. Wielka nawa pałacu przemieniona w ogród zasiany klombami z krzewów i kwiatów, ozdobiona białym marmurowym posągami cesarzowej Józefiny i trzema fontannami, mieści wystawę produktów rolniczych i bydła, dla którego przegrody sporządzono w galeryach dolnych, okrążających nawę. Drewniane te klatki tak są urządzone, żeby zwierzę ze wszystkich stron obejrzeć można. Jestto ważne ulepszenie, które dopiero po raz pierwszy wprowadzone zostało w układ wystawy rolniczej; dotąd na wszystkich tego rodzaju konkursach, zwierzęta z jednej tylko strony widzieć można było.

Galerye wyższe zajmują narzędzia rolnicze, i maszyny lżejsze, których dostawiono przeszło 2,000 sztuk. Na wolnej przestrzeni za pałacem, gdzie był dawniej annex, *rotundą* zwany, pobudowano klatki dla bydła, które się nie pomieściło w głównym gmachu, podwórka dla owiec i świń, oraz szalasy, pod którymi stoją maszyny wielkie, potrzebujące przykrycia. Obok szalaszów wznoszą się gustowne, przezroczyste domki zamieszkałe na dole przez króliki, a wyżej przez rozmaitego rodzaju ptastwo, jakoto: kury, gęsi, kaczki, indyki, perlice, bażanty, gołębie i t. d.

W wielkiej nawie przy każdym z trzech wodotrysków, urządzono w bassenach wystawę ryb wylęgłych sztucznie w *Collège de France*, lub rozmnożonych w bulońskim jeziorze. Wystawa ta pozostaje pod dyrekcją pana Coste członka Instytutu.

Exponenci francuzcy dostawili nader liczne plody rolniczego przemysłu, i zbrali się w większej niż kiedykolwiek liczbie. Anglia przysłała kilkaset sztuk bydła rasy Durham, Devons, Sussex, Alderney i Hereford; Szkocya przeszło dwieście sztuk rasy West-Highland, Polled, Ayrshire i Durham. Wyspy la Manche, Jersey i Guernesey, także figurują w konkursie.

Wystawa austriacka jest bardzo liczna. Państwo to zachęczone powodzeniem swęj wełny na zeszłorocznej wystawie (sama Francya zakupiła jęj 10,000 centnarów) nadesłało na tegoroczny konkurs proby swojego bydła, zupełnie nieznanęj

Francuzom rasy, jakoto: krowy styryjskie sławne z dojności, (jedna krowa tego gatunku daje do 2,122 kwart mléka rocznie, kiedy najlepsza krowa rasy węgierskiej daje go najwięcej 500 do 600 kwart); woły węgierskie, które zadziwiają Paryżanów wzrostem i hardą postawą; rasy tyrolskie odznaczające się pięknnością kształtów, i siwe podolskie woły hodowane w Galicyi, które także niemało znajdują zwolenników.

Węgierskie merynosy używają tu wielkiej sławy. Cienką ich wełnę Angliacy i Francuzi kupują chciwie. Jest ona jedném z największych bogactw tego tak bogatego kraju. W samych Węgrzech znajduje się obecnie 17,000,000 owiec, które rocznie dostarczają 300,000 centnarów cienkiej wełny. Rasa świń galicyjskich zwróciła na wystawie austriackiej uwagę znawców.

Dania wystawiła bydło holsztyńskie ogromnego wzrostu i tuszy. Wszystkie piękne rasy holenderskie są także reprezentowane. Belgia odznacza się szczególniej rasą Durham i jój potomstwem zrodzoném z krów miejscowych. Saxonja nadesłała kilka pięknych exemplarzy swojego bydła rasy Woigtland.

Przepyszne krowy szwajcarskie, które na zeszłoroczném konkursie odniosły palmę pierwszeństwa, widzimy licznie zgromadzone tego roku, jak niemniej bydło rasy fryburskiej, berneńskiej i unterwaldzkiej.

W obec takiej konkurencyi bydło francuzkie, jakkolwiek bardzo piękne, pierwszych nie otrzyma nagród, chociaż buhaje rasy limożeńskiej i charolleskiej dorównywają prawie angielskim Durhamom.

Owiec i baranów przysłanych z Anglii i Szkocyi jest przeszło 500 sztuk. Dania nadesłała mnóstwo owiec i świń. Merynosy rasy królewskiej saskiej zajmują pierwsze miejsce w owczym rodzie.

Konkurs rolniczy tegoroczny składa się z blisko 3,000 sztuk bydła i stosownej proporcji owiec i świń; jest on najliczniejszy ze wszystkich, jakie dotąd bywały we Francyi.

Więcej ciekawości, niż zwierzęta, budzą w pałacu wystawy pasterze zagraniczni, towarzyszący swym trzodom. Widzieliśmy w narodowych strojach wieśniaków tyrolskich, siedmiogrodzkich węgierskich i galicyjskich, którzy nawzajem z niemałym zadziwieniem przypatrują się Paryżowi i Paryżanom.

Pomiędzy wystawionemi maszynami rolniczemi jest wiele nowych, które nie figurowały na zeszłorocznej wystawie powszechniej.

Na wystawę płodów ziemnych składało się bardzo wiele krajów. Prócz Francyi, Algeryi, Anglii, Szkocyi, Irlandyi i Belgii: Holandya, Prusy, Austria, Szwajcarya, Saxonia, Württemberg, Bawarya, Włochy, Hiszpania, Stany Zjednoczone, także nadesłały swoje produkta, jak niemniej kolonie francuzkie Guadelupa, Martynika i Senegal.

W Villiers, obok parku Neuilly nad Sekwaną, wyznaczono kilka morgów gruntu na doświadczenia maszyn rolniczych. Proby żniwiarek odłożone zostaną do żniw, dla dokładniejszego ocenienia takowych.

Wystawę rolniczą otwarto 1 czerwca. Wedle programu skończyć się miała 7-go tegoż miesiąca, ale zapewne przedłużoną zostanie do 10-go. Rząd dokłada wszelkich starań, ażeby konkurs rolniczy w najpomyślniejszych odbył się warunkach. Wszystkie zwierzęta tak krajowe jak zagraniczne, będą żywione kosztem państwa przez cały ciąg pobytu swego w pałacu wystawy. Administracya dostarczyła zaprzęgów, koni i ludzi potrzebnych do probowania i funkcyonowania maszyn i narzędzi. Maszyna parowa nadaje ruch wszystkim maszynom, których działanie przewyższa siłę czterech koni. We wschodniej galerii pałacu rozłożone są fanty wkrótce mającej nastąpić loteryi na korzyść armii wschodniej. Sale jeszcze zamknięte.

Zaledwie rozpoczęta wystawa nie pozwala nam w tej chwili podać czytelnikom naszym więcej szczegółów nad te, któreśmy powyżej zanotowali; do przyszłego przeto sprawozdania odkładamy dokładniejszy opis wystawy rolniczej, oraz jej rezultata, z których o całości najlepiej sądzić będzie można.

Stephenson, sławny inżynier angielski wydał świeżo raport administracyjny, zawierający kilka ciekawych szczegółów statystycznych, dotyczących kolei żelaznych w Anglii. Podajemy następujący wyciąg z tej książki.

Wielka Brytania i Irlandya posiadają obecnie 8,054 mil angielskich (mil polskich 2,000) kolei żelaznych, co czyni więcej niż długość pięciu największych rzek Europy. Szyny z których ułożone te drogi, opasałyby glob cały.

Budowa dróg żelaznych angiel. kosztowała 286,000,000 funtów szterlingów (11,440,000,000 złp.), to jest sumę odpowiednią trzeciej części długu narodowego Wielkiej Brytanii. W ostatnich dwóch latach wydano na wojnę więcej niż trzecią część takiego kapitału, ale o ileż korzyści materialne wojny nawet najszcześniejszej, mniejsze są w porównaniu z temi, które dają koleje żelazne.

Budowa kolei angielskich spowodowała ogromne prace. W samych okolicach Londynu rachują blisko 11 mil angielskich (blisko 3 mile polskie) wiaduków, i 350 milionów jardów sześciennych (około 500 milionów łokci kubicznych) nasypu ziemi, z której możnaby usypać górę daleko większą od kościoła świętego Pawła. Góra ta ułożona w ostrokrąg, miałaby 700 stóp wysokości, a podstawę rozleglejszą od parku Saint-James.

Roczny przebieg pociągów angielskich dochodzi 80 milionów mil angiel. Ruchomy inwentarz składa się z 5,000 maszyn i 150,000 wagonów rozmaitego rodzaju. Sprzężone razem wszystkie te lokomotywy utworzyłyby szereg ciągnący się z Londynu aż do Chatam (8 $\frac{1}{4}$ mil pol.). Szereg powozów ciągnąłby się nieprzerwanie aż do Aberdeen (105 $\frac{1}{2}$ mil pol.).

Zarząd użyty przez kompanie do obsługi tych kolei, składa się z 90,400 urzędników rozmaitego stopnia.

Maszyny wypalają rocznie 2 miliony beczek węgla (40 milionów centnarów). Można więc obrachować, że co minuta cztery beczki węgla wypalają się, ażeby przemienić w parę 20 beczek wody. Co do konsumcyi węgla, ta odpowiada wywozowi rocznemu węgla z całej Anglii, a półrocznej konsumcyi miasta Londynu.

W roku 1854 drogi żelazne angielskie przewiozły 111 milionów podróżnych na odległość średnią 12 mil ang. Na dokonanie takiego ruchu potrzeba byłoby dawniej, rachując po 300,000 podróżnych dziennie, 10,000 dylizansów i 120,000 koni.

Przychód kolei w 1854 roku wynosił 20,215,000 funtów szterlingów, (808,600,000 zł. pol.). Dochód kompanii wzrasta ciągle, pomimo mnożenia się dróg żelaznych.

Telegraf elektryczny, ten niezbędny dodatek kolei żelaznej, przed siedmią laty miał zaledwie pięćdziesiątą część długości, jaką ma dzisiaj. Anglia ma teraz 7200 mil ang. drutu. Ta

powietrzna i cicha droga zatrudnia nieustannie 3,000 ludzi, i przesyła co rocznie przeszło milion depeszy.

Wedle listy przypadków, jakie się wydarzyły w pierwszej połowie 1854 roku, wypada w przecięciu jeden przypadek na 7,195,343 podróżnych. Cyfra ta świadczy bardzo wymownie o bezpieczeństwie podróżnych na kolejach angielskich.

Jakże ogromną antrepryzą są koleje żelazne, kiedy w samej Anglii zatrudniają bezpośrednio 90,000 osób, a przeszło 40,000 pośrednio, razem 130,000 ludzi. Jeżeli do tych 130,000 ludzi dodamy ich rodziny, wypadnie summa 500,000 dusz, to jest pięćdziesiąta część ludności Wielkiej Brytanii.

Dochód z dróg żelaznych angielskich przechodzi dzisiaj 20 milionów funtów rocznie, to jest wyrównywa prawie połowie dochodów państwa. Gdyby koleje zawiesiły swoje czynności, koszt transportu, którego dokonywają, wyniosłyby najmniej 60 milionów funtów; można więc szacować na 40 milionów funtów oszczędność, którą przynoszą rocznie krajowi. Nie jest to jedyna oszczędność: *Czas jest pieniądzem*, mówi angielskie przysłowie; na każdej dwunasto-milowej podróży, kolej pozwala zarobić godzinę każdemu z 111 milionów podróżnych cyrkulujących w ciągu roku, czyli 38,000 lat życia człowieka pracującego ośm godzin dziennie; ekonomia czasu, która rachując po 7 złp. dzień pracy robotnika, wyobraża summę 2 milionów funtów szterlingów.

Ale już dosyć liczb. Dobra to i pożyteczna rzecz statystyka, ale jój nadużywać nie trzeba.

Pan Uzielli, kupiec londyński, powziął myśl przeznaczenia nagrody 1250 franków, któreby Akademia francuzka przysądzała co dwa lata temu, kto napisze najlepsze dzieło o dobrodziejstwach pokoju i korzyściach wynikających z przymierza Anglii z Francją.

Akademia nie przyjęła ofiary kupca angielskiego. Pan Villemain sekretarz dożywotni, odpisał panu Uzielli w jój imieniu że „warunek *wieczystości* jakkolwiek pożądanym, nie da się w zasadzie zastosować, gdyż korzyściom pokoju i terażniejszych przymierzy nie można przyznać cechy trwałości nieskończonej, której ta fundacya wymaga.”

Odmówna odpowiedź Akademii w tak drażliwym przedmiocie, oburzyła niezmiernie stronników rządu, którzy już od dawna krzywo nań patrzą, i proponują jęj zastąpienie towarzystwem złożonęm z pięciuset członków. Jeden z pół-urzędowych dzienników umieszcza z tego powodu nader ironiczny artykuł, z którego przytaczamy co następuje:

„Panowie akademicy biorąc nadto dosłownie nazwę *nieśmiertelnych*, którą czasami figuralnie daje im literacka rzeczpospolita, nie chcą się mieszać w przedsięwzięcia nietrawne, jak wszystkie sprawy ludzkie. Pojmujemy zupełnie podobne uczucia w *nieśmiertelnych*.

„Pośród ciągłych wstrząśnień naszej epoki, pośród wciąż grozących odmetów, które naniósł i porwał tyłe przelotnych instytucyj, miło jest widzieć stowarzyszenie unoszące się ponad mrowiskiem naszych maluczkich namiętności, i unikające starannie wszelkiej styczności, któraby mogła zakłócić jego naziemską pogodę.

„Członkowie tego stowarzyszenia, bez wyjątku uszczęśliwieni są z wypadków zaszych pod panowaniem naszego cesarza: chwala i pomyślność, do jakiej doszła Francya pod opieką instytucyj cesarstwa, najzupełniej ich zadawalnia. Ale obywatele ci są przedewszystkięm akademikami; zielone palmy wyszyte na frakach tych uprzywilejowanych ludzi, wkładają na nich surowy obowiązek: zabraniają im się mieszać do naszych politycznych interesów, zabraniają brać udziału nawet w najszlachetniejszych, najwznioślejszych i najczystszych dążeniach tych interesów.

„Przyklaskujemy z całego serca tęg wysokięj i spokojnęg rezerwie, przypominającęj nieruchomość bogów Olimpu, oraz mamy nadzieję, że Akademia zastosuje się do nięj w przyszłych recepcyjnych posiedzeniach (alluzya do pana Falloux). Pewni jesteśmy, że w dniu tym nie zniży się i nie zstąpi, wiedziona rządzą pomszczenia drobnych uraz, do politycznęg areny, od któręg uciekła teraz z wstydlwym przestraczem, kiedy chodziło o rószczkę oliwną i o pokój świata.»

Zakończył życie w Paryżu Augustyn Thierry, autor *Historyi podbicia Anglii przez Normandów*, *Listów o historii francuzkięj*, i wielu innych dzieł znakomitych.

Thierry urodził się 20 maja 1795, umarł 22 maja 1856 roku: miał więc lat sześćdziesiąt jeden. Genialny ten dziejopis ociemniały od nieustannego czytania starych manuskryptów, nie tylko wprowadził zupełną reformę w sposobie pisania historii, ale pierwszy wskazał młodemu pokoleniu Francuzów prawdziwe źródła ich pochodzenia narodowego. Stargawszy siły i wypatrzywszy oczy na wyświecaniu dziejów ludzkości, wielki ten weteran nauki, na kilka lat przed śmiercią następne skreślił słowa, które mogłyby być najszczytniejszym na grobowcu jego napisem:

»Gdybym miał na nowo rozpocząć drogę, obrałbym tę samą, która mnie zaprowadziła gdzie teraz jestem. Ślepy, cierpiący, bez nadziei ani wytchnienia, mogę dać to świadectwo, które wydane przezemnie nie będzie podejrzane: jest na świecie coś, co więcej warto niż używanie cielesne, więcej niż majątek, więcej nawet niż zdrowie:—to jest poświęcenie się nauce.»

KRONIKA LITERACKA.

Pamiętnik Jana Cedrowskiego własną jego ręką spisany; zabytek historyczny wieku XVII, wynaleziony przez księdza J. Małyszewicza teologii magistra, Cesarskiej publicznej biblioteki honorowego korespondenta.

Pamiętnik Cedrowskiego świeżo odkryty, wydrukowany został w piśmie towarzystwa moskiewskiego historii i starożytności, w ostatnim świeżo wyszłym tomie tegoż pisma: „Wremiennik” książka 23, 1855, w oddziale rozmaitości (stron. 13—33), oryginał polski obok z tłumaczeniem. Pamiętnik ten znalazł ksiądz Małyszewicz proboszcz w Wierchowicach w gubernii grodzieńskiej, o którym prawie co roku czytamy w sprawozdaniach biblioteki publicznej w Petersburgu, jak bogaty ten zbiór naukowy ciągle powiększa swojemi darowiznami. Ksiądz Małyszewicz dla tejże samej gorliwości naukowej, jest członkiem przybranym towarzystwa moskiewskiego historii (sorewnowatel); w Warszawie drukowanych było księdza Małyszewicza kilka artykułów w Pamiętniku Religijnym i w Dzienniku. Zresztą znany jest u nas ksiądz Małyszewicz jako właściciel kilku rzadkości naukowych, a między innymi i jakiegoś kodexu kroniki Kadłubka.

O pamiętniku Cedrowskiego piszemy dla wielu powodów: naprzód, że to materiał historyczny, a potem dlatego, że to wydany nie u nas materiał i w piśmie, które ogromnemi książkami i często bardzo wychodzi ratować go więc potrzeba od niepaamięci, kiedy fakt świeży, bo za lat kilka będzie ów pamiętnik jak kropla wody w morzu i zginie w ogromie „Wremiennika.” Potem przybywa nam jedno literackie nazwisko: wprawdzie Cedrowskiego pamiętnik wcale niewielki, i ledwie dziesięć kartek druku dzisiaj zajmuje; ale i drobne kawałki raz oblatowane w literaturze dla pamięci mają wagę, i cenim je na równi z innymi materiałami. W Piśmiennictwie Maciejowskiego w tomie trzecim znajdujemy kilka takich urywków, nieznanych u nas, a w Rosyji drukiem gło-

szonych, np. przez księcia Oboleńskiego. Nareszcie i z tego względu zwraca na siebie uwagę pamiętnik Cedrowskiego, że sam Cedrowski był dosyć ważną w swoim czasie osobą.

Rodzina Cedrowskich, do których należał autor pamiętnika, pochodziła z Polski i pieczętowała się herbem Odrowąż; Niesiecki jeszcze do tego dodaje, że pochodziła z Białaczewa. Była więc takim sposobem gałązką dawnych dziedziców na Końskich i Białaczewie w Opoczyńskim, i mogła szczyścić się błogosławionemi biskupami krakowskimi Iwonem i Prandotą. Od dawnych lat przesiedliła się na Litwę, i osiadła w województwie mińskiem, w okolicach Słucka; pożeniwszy się tutaj i pozabierawszy różne stosunki miejscowe, należała do pierwszych rodzin okolicy i rej w stronach swoich prowadziła. W XVII wieku Cedrowscy byli kalwinami, ztąd ich związki z Radziwiłłami linii birżańskiej, a mianowicie z księciem Bogusławem.

Sam Cedrowski, autor pamiętnika, za młodych lat podróżował wiele, niegdyś albowiem był w służbie Radziwiłłowskiej: z księciem Bogusławem jeździł za granicę (1637 r.), z Gdańska na Szczecin, Lubekę i Hamburg jeździł do Danii, ztamtąd do Amsterdamu, Calais i do Paryża, ztąd do granic włoskich i znów przez Paryż do Anglii. Późem z Holandyi książe go wyprawił do Litwy z częścią swojego dworu. W roku 1641 znowu w pieniądźmi dla księcia wysłał go do Hollandyi Rzeczycki starosta urzędowski, ekonom wszystkich dóbr Radziwiłłowskich; doznał wtedy Cedrowski burzy morskiej i rozboju, poczem wrócił do ojczyzny 1642. Dał mu książe urząd w Staréjwsi na Podlasiu, od Warszawy o mil 12 (1642); odtąd osiadł, ożenił się i gospodarował. Miał trzy żony, które mu ciągle rodziły dzieci i umier ły: pierwszą pochował w Węgrowie, drugą córkę sławnego strażnika litewskiego Mirskiego Annę w Słucku, o śmierci trzeciej nic nie wiemy. Prócz tego Cedrowski wojował. Żywot jego był niespokojny, w ciągłych zawieruchach i kłopotach, jak żywot prawie całej ówczesnej szlachty. Kiedy wojska cara Alexego zajęły Wilno (8 sierpnia 1655), uciekł naprzód na Żmudź, a potem wróciwszy do domu w Mińskie, obrany z czolobitką do Alexego, skarżył się podług danéj mu instrukcyi, na wojewodę Fiedora Arseniewa i jego ucisk, o którym bardzo tutaj ciekawe w pamiętniku czytamy szczegóły. Wojewoda sądził szlachtę pieczętkami, to się znaczy posyłał im pieczętkę na wosku wyciśniętą, nibyto pozwy; a skoro kto nie stanął, wiązano go i przyprowadzano przed wojewodę. Do tego szlachtę zmuszał do budowania i sypania wału w Mińsku. Cedrowski dostał na drogę tylko 60 złotych od województwa, na co się skarży. Cara znalazł w Drui jadącego już w karcie do Rygi z wojskiem, otaczała go moc posłów litewskich; grzecznie go przyjął pod Rygą i kazał być szlachcie *po przeźniemu*. Potem Cedrowski nasz wojował w pospolitém ruszeniu w jesieni w roku 1658, wtenczas, kiedy Dolhoruki wziął pod Wilnem hetmana Gąsiewskiego w czasie wojny litewskiej; ba-

wił się w partyzantkę z Kłokockim stolnikiem połockim (w pamiętniku przez omyłkę zapewne stoi „płockim”, podobno szwagrem swoim. Posłował wtedy od województwa to do hetmana Sapieży i Czarnieckiego przed samą bitwą Lachowicką, to do króla Jana Kazimierza, wreszcie do kniazia Szeremeta, jak go Cedrowski nazywa. Odtąd życie prowadził znacznie spokojniejsze, był dwa razy deputatem na trybunał litewski z mińskiego i raz deputatem mińskim na trybunał skarbowy. Posłem stawał aż dziewięć razy ze swojego województwa, dziesiąty raz na elekcji króla Michała Korybuta. I w głowie musiał mieć nieźle Cedrowski, ojciec go albowiem za lat młodych wysyłał dla niemieckiego języka na naukę do Akademii królewieckiej (1631), potem do Krakowa (1635), wreszcie z księciem Bogusławem bawił nasz autor na naukach w Utrechcie czyli w Ultrajeckiej akademji (1637). Ojciec nie o niego tylko dbał, ale i o młodszych synów edukacji pamiętał. Nasz Jan był najstarszy, urodził się bliźniakiem z bratem swoim Stefanem d. 3 marca 1617 w Pohościu, za Słuckiem. Kiedy zmarł, nie wiemy, ale ostatnia wiadomość z jego pamiętnika nosi datę z dnia 4 kwietnia 1682. Żył więc jeszcze wtedy i miał lat 75: piękny wiek zaiste!

Główneśmy tutaj szczegóły życiorysu Jana Cedrowskiego rzucili, ale cały jego pamiętnik jest właściwie autobiografią. Wart zapewne uwagi powszechniej poseł, deputat, wojownik; ztąd też opowiadanie jego żywo interesuje. Jestto powieść sama w sobie. Pisał Cedrowski dla swojej pamiętki, ztąd talentu w nim nie szukać, nawet wielkich rzeczy nie szukać. Pisał głównie o sobie, o swoich stosunkach rodzinnych; każdą śmierć, narodziny, wesele Cedrowskich interesujące zapisał: dat tutaj mnóstwo. Ztémwszystkiem, powiedzieliśmy, że tutaj mieści się żywot szlachcica ówczesnego i faktów dosyć, ożywić więc te postaci, dopowiedzieć co tutaj niedopowiedziane, jeżeli to wszystko będzie na kanwie ściśle historycznej, zostanie zawsze z tego piękny obraz dziejowy, który rozwinęty znowu na kanwie twórczej fantazyi, mógłby zostać ładną i zajmującą powieścią historyczną.

Nie jestto rzecz tak drobna, żywot publicznego jakiegokolwiek, choćby i poza sferę zaściankową wychodzącego szlachcica; nie są rzeczą tak drobną dla wyrozumienia przeszłości i te szczegóły związków rodzinnych, które wielu dzisiaj gorszyć mogą i gorszą. Bo co, zapytują się zwykle, zajmować nas może wiadomość, że ten a ten, z tą a z tą się ożenił, że córki tak a tak powydawał za mąż? Cedrowski nie jestto naprzód butny, na zagrodzie szlachcic, a potem członek to rozgałęzionej rodziny: musi mieć przez rodzinę swoją, przez stosunki, wpływy znaczne i ma je w istocie. Matka jego wdowa idzie za Filona Tyszkiewicza, on sam żeni się z Mirską i t. d. Mirski zaś to sławny wojownik swego czasu i całą tu prawie jego rodzinę widzimy. Nie trzeba mówić, że Niesieckiego poprawić nie w jednym razie z pamiętnika można, a bez Niesieckiego dzisiaj żaden ład historyk,

a nawet i przeciwnik wszelkich genealogii, krokiem ani się ruszy; o Cedrowskich jego wiadomości tak są poszarpane, że nie ma w nich ładu. Tutaj zupełnie co innego; nici rozerwane łączą się, wiążą; choćby więc same już monografie rodzin wiele zyskają z Cedrowskiego, więcej jak z kądinąd. Do tego obyczajowych szczegółów dużo. Nie zapominajmy, że Cedrowscy należeli do reformy, i że znajdują się tutaj fakta bardzo ważne dla historii wyznania helweckiego na Litwie. Jest kilka dat o śmierciach historycznych osób, są szczegóły do historii wojen litewskich, a nawet i pewne zbliżenia, jako fakta do dziejów pierwotnych Litwy. W jednym miejscu wspominając o Hainburgu, pisze Cedrowski, „tam koło Ritwiche znaleźliśmy chłopów mówiących dyalektem niemieckim z litewską; oni pochodzą od Erułów przodków Litwy.” Zresztą nie ma co wyliczać drobnostek, kiedy się z góry powiedziało, że literaturze przybył więcej jeden materiał historyczny.

Julian Bartoszewicz.

Słowo o Statystyce, o jej znaczeniu, ważności i potrzebie, z powodu dzieła wydanego po rossyjsku pod tytułem: „Opisanie Gubernii Kijowskiej”. Przez Jana Fundukleja, Tajnego Radcę i Senatora. Petersburg, 4 tomy w 4ce, 185²/₅ r.

Statystyka, ta dziś jedna z najważniejszych gałęzi stanoznastwa i nierozdzielna towarzyska ekonomii politycznej, bez której przewodnictwa i światła, do rozwiązywania zagadnień stanu przystępować się niegodzi, olbrzymie za naszych czasów, w oczach prawie naszych poczyniła postępy, i stała się niezbędną nietylko dla rządów i dla mężów stanu, ale i dla każdego miłującego ludzkość i uprawiającego dziedzinę nauk społecznych, a w szczególności dziejów, prawa i administracji.

Postępy te zawdzięcza statystyka rozgłośnym pracom *Hoffmana* i *Dieterici* o Prusach, *Czerniga* o Austrii, *Queteleta* o Belgii, *Portera* o Anglii, *Moreau-de-Jonnès* i *Legoit* o Francji, oraz *Koepfena*, *Arseniewa* i *Tegoborskiego* o Rosyi; pracom, które przeważnie wpłynęły na ulepszenia w administracji tych krajów w ostatnim ćwierćwieku, i dotąd wpływają.

Do tego grona mężów w statystyce zasłużonych, nowe przybywa obecnie inię, Tajnego Radcy i Senatora *Fundukleja*, który wydał w języku rossyjskim w Petersburgu dzieło w czterech tomach *in quarto*, pod tytułem: *Opisanie i przegląd Gubernii Kijowskiej* pod względem historycznym, geograficznym, geognostycznym, statystycznym i t. d. Do ułożenia i wydania tego dzieła nietylko nauki, obszernych stosunków i wytrwałości, ale i znakomitych nakładów było potrzeba.

Myśl tego dzieła powziął on będąc gubernatorem cywilnym gubernii kijowskiej, i dwanaście lat urzędowaniu jej poświęcił.

Zanim atoli przystąpimy do bliższego przeglądu dzieła tego, zastanówmy się pokrótce, czém jest statystyka, jakie jej obecne stanowisko i znaczenie, i jakie z niej pożytki; a to nam da klucz do ocenienia prawdziwej wartości dzieła i zalet, których mu odmówić niepodobna.

Twórcą nauki, statystyką nazwanej, jest *Achenwall* profesor prawa w Göttingu, urodzony w Elblągu w Prusach 1719 r., a zmarły 1772 r. On pierwszy podniósł ją do znaczenia nauki, w dziele pod tytułem: *Scientia statistica* 1748 r. w Göttingu wydaném, i pierwszy jej tę nazwę statystyki przyswoił.

Według tego dzieła: statystyka jest gruntowną znajomością położenia każdego danego państwa, w stosunku do innych.

Odtąd każdy prawie nowy w tym zawodzie autor, siłił się na coraz dokładniejsze tej nowej nauki określenie.

Schlözer, następca *Achenwalla* w katedrze uniwersyteckiej, za przedmiot statystyki podaje: „wyjaśnienie i wyliczenie wszystkich sił, potęgę danego państwa składających;” a chcąc uwydatnić czém właściwie statystyka różni się od historii, napisał te pamiętne, często powtarzane słowa: „że historia jest statystyką w ruchu, a statystyka jest historią w spoczynku.”

Sinclair, późniejszy od *Schlözera*, obszerniejsze zakresił jej pole, utrzymując: „że celem statystyki jest: odmierzyć dozę szczęścia każdego oddzielnego narodu i wskazać środki do jej powiększenia.”

Napoleon I nazwał statystykę „Budżetem życia narodu.” Najprostsza atoli i powszechnie przyjęta definicya znajduje się w dziele pana *Moreau de Jonnés* p. t. *Zasady statystyki* 1847 r. w Paryżu wydaném, gdzie powiedziano: „Statystyka jest nauką faktów społecznych, wyrażonych liczbami.”

Definicya ta daje zarazem miarę ważności i pożytku statystyki. Czémże jest bowiem świat, czém są jego dzieje, jeżeli nie pasmem nieprzerwanym ciągle wywiązujących się faktów społecznych, które zapisuje historia, porządkuje prawo, rozważa filozofia, a statystyka oblicza i wypadki ich liczebne do wiedzy rządów podaje.

Za jej tylko pochodnią, rządy poznać dokładnie mogą: położenie finansowe, handlowe, przemysłowe i moralne kraju, i każdej jego miejscowości; a z tych wypadków przeszłości, które statystyka na jaw wydaje, tworzą się nieoszacowane materiały do poznania, ocenienia, obliczenia i ubezpieczenia przyszłości.

Statystyka tém jest dla rządu, czém np. fizyologia dla lekarza. Lekarz po pulsie, mąż stanu po danych statystyki,

pulsacją kraju będących, chorobę kraju poznaje i stosowne do niej przepisuje lekarstwa.

Tu już widzimy i czujemy, jak dalece ważną i wielką w stosunkach rządowych odgrywa rolę *dokładność statystyki*.

Jak lekarz mniej biegły lub mniej uważny, niezglębiwszy choroby, nietrafném lekarstwem stan jej tylko pogorszy; tak mylna statystyka do niemniej zawodnych i szkodliwych następstw doprowadzić może. W témto leży przyczyna licznych statystyki przeciwników, i téj zaciętej walki, jaką długo toczyli ekonomiści ze zwolennikami statystyki, a która odwiodła nawet niektóre rządy od kierowania się danymi, ze statystyki wyprawdzonemi. Lecz czyliż dlatego, że się trafiają źli lekarze, od porady dobrych wstrzymywać się należy? Chwilowemu temu rozbratowi statystyki z rządem, oraz teorii z praktyką, położył koniec kongres statystyczny europejski, *po raz pierwszy* w Bruxelli we wrześniu 1853 r., a *powtórnie* w Paryżu, w czasie wystawy powszechnej w miesiącu wrześniu 1855 r. zebrany.

Myśl tego kongresu należy się pp. Porter z Londynu i Quetelet z Bruxelli. Na kongresie tym zebrani delegowani wszystkich większych państw europejskich, porozumieli się między sobą co do zasad, formy, układu i przedmiotów statystyki rządowej: słowem przyjęli jednomyślnością plan, którego odtąd wszyscy poświęcający się statystyce w pracach swoich po różnych krajach, trzymać się powinni, dla nadania im cechy dokładności, zasadności i jednostajności, na której dotąd dziełom statystycznym zbywało. Odtąd więc, spodziewać się należy, statystyka pewnym i jednostajnym wszędzie krokiem do wskazanego jej celu zmierzać nie przestanie, co zapowiada błogie i coraz obfitsze z niej dla szczęścia i powodzenia ludów następstwa i korzyści.

Na poparcie téj prawdy, jak dalece pożyteczną jest i konieczną dla ludzkości dokładna statystyka, dość przytoczyć niektóre tylko fakta. Przed 15 laty śmiertelność po domach podrzutków i po szpitalach we Francyi do tego doszła stopnia, że wynosiła po 25%. Gdy statystyka ten okropny, zatrważający symptomat na jaw wykryła, dzięki przedsięwziętym natychmiast przez rząd skutecznym środkom zaradczym, śmiertelność ta więcej jak o połowę się zmniejszyła. W latach 1822, 3 i 4, pisze Quetelet, w więzieniu Vilvorde w Belgii tak nadzwyczajna objawiła się śmiertelność, że na czterech więźni, trzech umierało. Nigdy żadna zaraza, żadna najkrwawsza wojna podobnej liczby ofiar nie zabierała. Rząd oświecony statystyką, dotarł do zarodka złego, ukrócił nadużycia, z których ono powstało, i w rok potem wszystko do normalnego wróciło położenia.

Czyż więc nauka, podobne wypełniająca posłannictwo, podobne wyświadczająca dla rządu i dla ludzkości przysługi, może być zaniedbaną i dla rządów stać się obojętną?

Statystyka jest, że tak się wyrażę, okiem i uchem rządu, po całej przestrzeni kraju; jego najwierniejszym, najpewniejszym i bezinteresownym doradcą, kontrollerem rezultatów jego zarządu we wszystkich gałęziach administracji: i z tego względu jest tak dalece dla rządów i rządzących potrzebną, że dziś śmiało utrzymywać można. iż bez statystyki, rządzić dobrze jest niepodobniestwem.

Dzięki więc i chwała rządóm, które z tego na statystykę zapatrując się stanowiska, o jej dokładność w coraz obszerniejszym zakresie przykładają starania, i prace w tym zawodzie wykonane oceniać umieją; dzięki mężóm, którzy niezrażeni trudnościami i przeciwnościami, w pomoc rządóm przychodzą, poświęcając czas swój, zdolności a nawet i majątek, statystycznym badanióm, jedynie dla dobra i pożytku ludzkości. Wpływ statystyki na pomyślność narodów jawnym jest i odbija się w ich stosunkowém co do stopnia tejże pomyślności położeniu, i temu stopniowi odpowiada.

Tak np. Anglia, która najwyżej posunęła statystykę, najwyższy też osiągnęła stopień pomyślności i dobrego bytu, którego nikt jej nie zaprzecza. Za przykładem Anglii, poszły inne dopiero narody; atoli Francją, Belgią i Sardynią wyprzedziły pod tym względem Prusy, które najwięcej po Anglii uprawiały statystykę i dlatego dobiły się tego stopnia powodzenia i możliwości, który ich stawia na czele wszystkich prawie niemieckich narodów.

Statystyka atoli w tych ostatnich latach znalazła w Austrii i w Rossyi nader licznych zwolenników, nawet w najwyższych sferach rządowych. Dzieło w języku francuzkim Tajnego Rady Ludwika Tęgoborskiego, członka rady państwa, autora wysoko cenionych dzieł treści ekonomicznej, pod tytułem: *Etudes sur les forces productives de la Russie*, 4 tomy, z których ostatni dopiero co wyszedł z pod prasy w Paryżu, oraz dzieło senatora Funduklej, z którego nam sprawę zdać teraz przychodzi, są tego przekonywającemi dowodami.

Dzieło to dzieli się na cztery tomy *in quarto*, częściami przez wydawcę nazwane.

Część pierwsza podaje we wstępie krótki rys dziejów gubernii kijowskiej, a następnie mieści w sobie trzy rozdziały.

Rozdział 1^{sz}y obejmuje najprzód opisanie granic, położenia, i obszerności gubernii, a następnie, jej miejscowości z podziałem na leśną, górzystą i stepową; dalej znajdujemy wyszczególnione niziny i błota, jeziora i stawy, rzeki i rzeczki, ogólny system wód bieżących gubernii, klimat, geognostyczne postrzeżenia o składzie powierzchni; a w końcu, płody przyrodzenia wszystkich królestw przyrody, jakoto: płody kopalne, rośliny, zwierzęta 4-nożne, ptaki, ryby, owady, gady, płazy i t. p.

Rozdział 2^o poświęcony jest ludności, którą autor we wszystkich okazuje pożądaných szczegółach, według wieku,

płci, stanu, religii i zatrudnienia: zgodnie z wymaganiem tegoczesnej statystyki.

Rozdział 3^{ci} nakoniec wtajemnicza nas w położenie i stan miast, miasteczek, wsi i osad, oraz komunikacyj między niemi.

Część ta pierwsza bliżej zbadana, okazuje się nader obfitą w zajmujące i starannie z najlepszych źródeł czerpane fakta, a krytycznie opracowana, zadziwia prawie mnogością tablic i obrazów, dających najlepszą miarę usilności i zamiłowania, z jakimi wykonanie tego dzieła prowadzonym być musiało.

Aby dać tego wyobrazenie, dość przytoczyć, że oprócz zwykłych w dziełach statystycznych wiadomości, dodano tu dla udeterminowania np. położenia geograficznego gubernii, tablice wschodu i zachodu słońca 14 celniejszych miast gubernii, dołączono obserwacje astronomiczne biegu księżyca i planet: Wenera, Marsa, Jowisza i Saturna, z oznaczeniem czasu wstąpienia ich w południk miasta Kijowa każdego z osobna miesiąca; nakoniec podano rezultata pomiarów trygonometrycznych i topograficznych gubernii, kosztem rządu w latach od 1841 do 1852 skutecznionych.

Oto niektóre ciekawsze z tej Części I^{ej} wypiski: Obszerność gubernii kijowskiej wynosi 44,833—15 wiorst □ czyli 4,670,119 dziesiątyn (dziesiątyna dwie morgi polskie).

Z tych znajduje się:

Pod budowlami w miastach wiorst □	85—10		00,20
— rolą uprawną po wsiach —	26,220—78½		58,50
— łąkami —	4,433—55	}	12,60
— pastwiskami i drogami . —	1,220—		
— lasami —	11,140—25		
— błot. wodami i nieużytkami —	1,733—46		3,90
	jak wyżej wiorst □	44,833—15	100,0%

A zatem ⅓ powierzchni są pod rolą, ¼ a pod lasami, ⅛ a pod łąkami i pastwiskami, reszta błota i nieużytki.

Największa długość gubernii wynosi wiorst 396, a szerokość 230; najmniejsza szerokość wiorst 72.

Najwyższy punkt gubernii leży w powiecie berdyczewskim i wynosi 164 sążni nad poziom morza; najniższy punkt 31½ sążni.

Najwięcej równin w powiecie humańskim, a największe błota w radomyślskim powiecie.

Wody bieżące, przerynające gubernią, należą do systemu dwóch głównych rzek gubernii: *Dniepra* i *Bohu*. Linia podziałowa idzie w kierunku południowo-zachodnim w berdyczewskim powiecie.

Do *Dniepru* wpada 22 rzek, do tych 140 rzeczek, a do nich nakoniec 193 rzeczulek czyli strumieni.

Do *Boha* wpadają 3 tylko rzeki, a do nich 163 rzeczek i strumieni. Rzeki te płyną bystro, z powodu znacznego spadku,

i dlatego w czasie wezbrania wód z wiosną, wielkie zrzadzają przez wylewy szkody.

Dniepr ma 1500 wiorst długości: z tych 396 przez gubernią kijowską przepływa; szybkość pędu wody $1\frac{1}{2}$ stopy na sekundę, spadek zaś 1 sążeń na wiorst 28 wynosi. Zwykła głębokość w korycie *Dniepru* 5 do 9 arszynów, szerokość od 170 do 250 sążni.

Część 2^{ga} dzieła traktuje o *rolnictwie*. *Część 3^{cia}* o *przemysle*. *Część 4^{ta}* i ostatnia o handlu i instytucjach gubernii. *Rozbiór* tych części i z nich wyciągi, będą przedmiotem późniejszego artykułu. Tu tylko dodajemy, że układ tego dzieła, które raczej o zbytnią obfitość materyałów i dat statystycznych, jak o brak jakiego pominiętego szczegółu obwiniećby można, posłuży za wzór do ułożenia podobnej statystyki z każdej oddzielnie gubernii; co gdyby nastąpiło, po połączeniu i zebraniu w jedną całość, według zasad systematu na kongressie statystycznym paryzkim 1855 r. powszechnie przyjętego, utworzyłoby dopiero zupełną statystykę Rossyi, nad którą żaden kraj dokładniejszą i obszerniejszą poszczycić się nie byłby w stanie.

Na zakończenie, udzielamy czytelnikom naszym ze wstępu do niniejszego dzieła, skrócony *zarys historyi gubernii kijowskiej*, której dzieje mieszają się nieraz i łączą z dziejami dawnej Polski; i dlatego, mniemamy, że ustęp ten żywe obudzi zajęcie:

„Od niepamiętnych czasów przestrzeń zajmowana gubernią kijowską była zaludnioną: w północnej części mieszkali jeszcze przed narodzeniem Chrystusa *Budynowie*, których siedziby rozciągały się na Wołyniu i w dzisiejszych czernihowskiej i połtawskiej guberniach. Według Herodota, z *Budynami* razem przebywać tu mieli *Gelonowie*, pochodzący od nadmorskich *Ellinów*, którzy tu założyli miasto *Gelonos*. Oto jest najpierwsze miasto na kijowskiej ziemi, o którym historia wspomina. Miasto to miał spalić *Daryusz*, w czasie napadu swojego na *Scytów* i sprzymierzonych z nimi *Budynów* i *Gelonów*. Wielkie jest prawdopodobieństwo, że miasto *Gelonos* znajdowało się nad *Dnieprem* i być może w miejscu dzisiejszego *Kijowa*, jak mniema nowy wykładacz Herodota, *Nadeżdyn*. Według tego przypuszczenia, zdaje się, że ów niewielki naród, którego Herodot dziwnem nazwiskiem *Ludojedów* mianuje, zamieszkiwał południową stronę kijowskiej ziemi.

Oto jest wszystko, co nam podają dzieje o najdawniejszych i zapewne najpierwszych mieszkańcach teraźniejszej Ukrainy.

Z wielu okoliczności wnosić można, że powyżsi *Budyni*, jak niemniej graniczący z nimi na zachód na *Podolu* *Newry* czyli *Nury*, byli wspólnego pochodzenia z naszymi przodkami, którzy zjawili się poraz pierwszy nad *Dnieprem*, w pierwszych

zaraz po narodzeniu Chrystusa wiekach, pod nazwiskiem *Sławian*, a raczj *Słowenów*, (*Suoveni*) u Ptolomeusza.

Nestor opowiada w swj kronice, że pewna odnoga tych *Słowenów* rozciągających się od Dunaju, która osiadła w kijowskiej ziemi, nazwała się *Polanami*, i odróżniała się od swych innych sąsiednich współbraci Słowenów większą ludzkością i łagodnością obyczajów. Od niego to mamy podanie o Palańskim księżęciu *Kiju* i braciach jego *Szczeku* i *Horewie*, oraz o siostrze ich *Łybedyi* i o założeniu przez nich miasta *Kijowa*.

Po wygaśnięciu tego księżęcego rodu, Polanie parci przez *Drewlan* i innych sąsiadów, poddali się *Chazarom*, jak się zdaje w końcu VIII wieku, i ten stan rzeczy trwał do przybycia *Rusów* w granice kijowskie w r. 862 pod wodzą *Askolda* i *Dira*. Odtąd zaczyna się nowe życie dla *Kijowa* i dla kijowskiej ziemi, która pierwsza przed wszystkimi innymi częściami Rosyi, *Ruską ziemią*, czyli *Rusią* zwać się zaczęła, i stała się zawiązkiem czyli kamieniem węgielnym obszernego rossyjskiego państwa. Pomijając wiadome powszechnie i znane wszystkim szczegóły o zmiennych kolejach Wielkiego Księstwa Kijowskiego, przemilczć nie możemy, że w obrębie kijowskiej gubernii powstało kilka księstw udzielnych, jakoto: księstwo Wyszgorodzkie, a później księstwo Poruskie, tojest po brzegach rzeki *Rosi* czyli *Rusi* położone, z miastem stołecznym *Iurjewo*; księstwo *Trypolskie* z miastami *Trypołem*, *Kaniewem*, *Bogusławem* i *Torczeskiem*; księstwo *Białogrodzkie*, w którego stolicy istniała eparchia czyli biskupstwo za czasów jeszcze *Włodzimierza świętego*. W końcu zaś XI^{go} wieku zaprowadzono tu osobne biskupstwo jurjewskie.

Oprócz wyżej wymienionych miast kijowskiej ziemi, zasługują na wspomnienie dwa jeszcze miasta arcystarożytne nad *Dnieprem*: *Wityczew*, o którym pisał *Konstanty Porfirogenit*, jako o głównym stanowisku ruskiej żeglugi, i *Rodnia*, o którym świadczy pozostałe przysłowie, przez *Nestora* przekazane: „biada jak w *Rodnie*.” Następnie Tatarzy splądrowali kijowską ziemię i opustoszyli ją na lat 100; pomimo tego trwało jeszcze księstwo kijowskie i powstało nawet w niem księstwo *poruskie* około 1300 roku.

W pierwszej połowie XIV wieku, ziemia kijowska wchodząca w system księstw południowo-ruskich, wybiła się z tatarskiego jarzma i przeszła w skład zachodniej Rusi czyli Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Stanowiła ona oddzielne księstwo w tym nowym systemie do końca XV wieku. i wzrosła w potęgę pod panowaniem księżęcego rodu *Włodzimierza Olelkowicza*.

Olelkowicze czyli znani pod tym nazwaniem książęta, pocztywali się za dziedzicznych władców ziemi kijowskiej; po śmierci atoli *Symeona Olelkowicza* pamiętnego w dziejach wskrzeszeniem kijowskiej Ławry, król *Kazimierz IV Jagielloń-*

czyk zamienił w roku 1471 księstwo kijowskie w województwo polskie, a w zamian dał suksessorom Symeona księstwo *Stuckie*. Ziemia kijowska, jako województwo, zależała od korony polskiej i połączonego z nią Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Województwo kijowskie dzieliło się wówczas na 3 powiaty: kijowski, owrucki i żytomierski. Do województwa kijowskiego przyłączono następnie wschodnią Ukrainę czyli *Małorossya*.

W drugiej połowie XVII^{go} wieku za staraniem Bogdana Chmielnickiego, większa połowa kijowskiej Ukrainy, to jest Ukraina wschodnia, odpadła od Polski i przyłączoną została w r. 1654 do Moskwy.

Za czasów tak zwanąj hetmańszczyzny, kijowska Ukraina dzieliła się na *pułki*. Było ich 10 w miastach następujących, pułkowemi zwanymi: w Czechrynie, gdzie była główna kwatera i stał pułk hetmański; w Korsuniu, Kaniowie, Czerkassach, Białocerkwi, Pawołoczy, Lisiance, Torgowicy i Humanii, oraz w Kijowie.

Po śmierci Chmielnickiego, hetman Wychowski w r. 1658, znowu odstąpił Rosssyą, i w skutek umówienia się z Polską, zaczął zakładać niepodległe księstwo ruskie, mające się składać z województwa kijowskiego, braclawskiego i czernihowskiego. Tymczasem Polska wydawszy wojnę Moskwie, zagarnęła napowrót pod swoje panowanie województwo kijowskie. Traktatem Andruszowskim 1667 r. zawartym, pozostał przy Rosssyi sam tylko Kijów z obrębem jednomyliwym wokoło, a traktatem w Moskwie 1686 r. zawartym, przydano do tego: Wasilków, Trypol i Stajki. Tym sposobem większa część ziemi kijowskiej znowu stała się województwem polskiem. W roku 1772 zawierało ono 1500 mil \square czyli 256500 włók chełmińskich. Z pomiędzy 11 województw składających naówczas Małopolskę, województwo kijowskie było największe. Województwo to należało do Polski aż do końca zeszłego stulecia, naostatku przeszło pod panowanie Rosssyi i zamienione zostało w terazniejszą gubernią kijowską.

Częścią ziemi kijowskiej, która w r. 1654 odpadła do Rosssyi wraz z miastem Kijowem i podlegała hetmanowi, jako głównemu naczelnikowi całej Małorossyi, zarządzał ustanowiony od hetmana w Kijowie pułkownik. Oprócz tego Car nazywał w Kijowie wojewodów. Pierwszym był książę Teodor C. Kurakin w r. 1654, a ostatnim książę Chowański, który sprawował te obowiązki od 1697 do 1700 roku.

Od 1700 r. ustanowiono w Kijowie gubernatora, a wkrótce potem urządzono gubernią.

Urządzenie gubernii na 3 epoki podzielić można. *Najpierwój* zaprowadził tu gubernią Najjaśniejszy Cesarz Piotr Wielki, ukazem 18 grudnia 1708 r., mocą którego Rosssya cała na 8 tylko gubernii była podzieloną. Gubernia kijowska stanowiła trzecią

z porządku; obejmowała naówczas całą Małorossyą, znaczną część środkowej Rosyi z miastami Kurskiem, Orlem, i innymi: razem 36 miast większych i wiele pomniejszych. W roku 1719 podzielono miasta téj gubernii, których było 41, na 4 prowincye.

Pomimo takiego urządzenia, Małorossyą nie przestawała i za hetmanów i po zniesieniu hetmańszczyzny (1764), dzielić się po dawnemu *na pulki*: w porządku cywilnym pulki dzieliły się *na ziemie i powiaty*; a w porządku wojskowym, *na sotnie*.

Drugą epokę stanowi zaprowadzenie trzech małorossyjskich gubernij, czyli trzy namiestnikostwa, ukazem Najjaśniejszej Katarzyny II^{szej} 16 września 1781 r.

To urządzenie trwało do r. 1796, w którym wróciło do Rosyi dawne województwo kijowskie, i to wywołało potrzebę nowego tego kraju urządzenia. Jakoż ukazem z 29 października 1796 r. włączono to województwo do gubernii kijowskiej w r. 1792 już utworzonej, w miejsce dawniejszych namiestnikostw. Cesarz Paweł utworzył z tego dwie gubernie: czernihowską za Dnieprem i kijowską z téj strony Dniepru, z prowincyj od Polski nabytych, ze stolicą w Kijowie. Tym sposobem 29 sierpnia 1797 r. powstała dzisiejsza dotąd istniejąca gubernia kijowska, mająca naówczas 12 powiatów, utworzonych z miast oderwanych od gubernij: wołyńskiej, braclawskiej i wońsienkiej, i licząca 532,793 dusz męzkich opodatkowanych.

Obecnie gubernia kijowska dzieli się na następujące powiaty: kijowski, radomyślski, wasiłkowski, skwirski, berdyczewski, lipowiecki, taraszczański, humański, zwenigoredzki, czechryński, czerkaski i kaniewski: razem powiatów dwanaście.

Warszawa,
dnia 6 maja 1856 r.

F. M.

Przegląd muzyczny.

(Dokończenie).

W pierwszym kwartale bieżącego roku mieliśmy kilku zagranicznych artystów; z tych p. Prume, młody skrzypek szkoły bruxelskiej i p. Albino oboista, dawszy po jednym koncercie, opuścili nasze miasto i niewielkie po sobie zostawili wspomnienie. Za to Hauman, europejskiej sławy wirtuoz, zabawiwszy między nami ze dwa miesiące, dał kilka koncertów, które ze względu na stanowisko, jakie Hauman w świecie artystycznym zajmuje, zasługują na większe ocenienie.

Znakomity ten skrzypek urodzony w Gandawie 1813 r. w dzieciństwie zaraz poczuł w sobie nadzwyczajną skłonność do

muzyki. Rodzice jego posiadając znaczny majątek, pragnęli, by się na adwokata kierował. Już nawet młody Hauman ukończył cały kurs prawa w uniwersytecie, gdy na wielkie zgorszenie rodziców, rzuca kratkę sądową, nie czując do niej żadnego zamiłowania, i oddaje się z całym zapalem młodzieńczej wyobraźni muzyce, pomimo tysięcy przeszkód przez familią niechętną temu przedsięwzięciu stawianych. Po przebyciu szczęśliwem najmłodniejszych początkowych studyów na skrzypcach, z wytrwalością człowieka przeczuwającego świetny swój zawód, w miarę rozwijającego się talentu i niechęć rodziców słabła; w końcu wysłali go za granicę dla dalszego kształcenia. Doszedłszy już do pewnej doskonałości, przybył Hauman do Paryża; tam, gdy go Fetis, wydający podówczas gazetę muzyczną, posłyszał, jak grał koncert Rodego, te słowa powiedział: „*ten młody człowiek jeżeli zechce, stanie na czele wszystkich skrzypków (1)*”. Odtąd dla Haumana rozpoczął się szereg powodzeń nieprzerwanych do dnia dzisiejszego. W roku 1843 zwiedzając znaczniejsze miasta Europy, przybył do Warszawy, a po kilku danych przez siebie koncertach, dobre zostawił wspomnienie. Więc nic dziwnego, że publiczność z przyjemnością dowiedziała się o powtórnem przybyciu artysty do naszego miasta i licznie zeszła się na pierwszy jego koncert, dany w Wielkim Teatrze 25 stycznia b. r. Lecz podziwiając wielki mechanizm, oceniwszy piękność wykonania pod względem czucia i elegancji, jednem słowem oddawszy sprawiedliwość wielkiemu jego talentowi, dostrzegła zarazem, iż pan Hauman od lat dwunastu przeszło, na krok nie postąpił w swęj sztuce. Fantazyje: *Ma Celine*, z *Lucyi Lammermooru*, z *Napoju Miłosnego* i *Karnawał Wenecki*, jak dawniej tak i teraz były podstawą wszystkich jego koncertów. Jeden tylko utwór przez siebie skomponowany, pod tytułem *Souvenir de Trouville*, różniący się formą od poprzednich, pierwszy raz przed naszą publicznością wykonał. Jest to rodzaj koncertu, zawierający kilka pięknych myśli starannie i dobrze obrobionych. W pierwszych dwóch częściach motywa splecione wątkiem trudnych bardzo passaży, nie są zbyt dostępne dla ucha pierwszego raz je słyszającego; lecz rondo lekkie, wesołe i eleganckie, łatwo w pamięci zostaje. Hauman okazał w niem całe bogactwo swego mechanizmu, szczególnie w stakkatach, tercyowych i gryffowych passażach. Dziwna rzecz, że wielcy nawet artyści przyszedłszy do pewnej doskonałości, nauczywszy się kilku sztuk własnej lub obcej kompozycji, puszczają się z niemi na wędrownki popisowe, nie troszcząc się o to, co się wkoło nich dzieje; zład wiele lat upłynie, a oni zasklepiwszy się w sobie jak robaczki w bursztynie, stoją na jednem miejscu, gdy tymczasem sztuka uczyni znaczne naprzód postępy. Do rzędu takich Haumana policzyć należy. W muzyce instrumentalno-popisowej, to, co było nowe i zajmują-

(1) Dziennik Warszawski nr. 26. 1856 r.

ce przed dwudziestą lub piętnastą laty, dzisiaj nie każdego bawi i interesuje. Artysta rozgłośnego imienia, odpowiedzialnym być powinien w obliczu sztuki za użytek swego talentu: bo któż, jeżeli nie on, zaszczebiać może zdrowe pojęcia o piękności, kształcić smak, kierować dążnością ogółu w dziedzinie muzyki?

Ulegając namowom kilku wielbicieli klassycznej u nas muzyki, zdecydował się Hauman na drugim koncercie w Wielkim Teatrze, wykonać na skrzypcach koncert Mendelssohna. Wielki ten utwór stylu poważnego, z piękną i bogatą nad podziw instrumentacją, tutaj dopiero Hauman poznał i po ośmiu dniach egzekucytowania, 20 lutego b. r. odegrał. Pomimo starannego wykonania, niewielkie zrobił na słuchaczach wrażenie, gdyż to dzieło wymaga większego tonu i ognia, a tempo pierwszego i ostatniego *allegro* powinno być żywsze. Artysta niebędąc z téj próby zadowolonym, w dwukrotném później jeszcze wystąpieniu, to jest na koncertach w Resursie, powrócił znów do swoich fantazyi *Ma Celine*, *Lucyi Lammermooru* i *Karnawału Weneckiego*, któremi powitał i pożegnał Warszawę.

Stanisław Thalgrün, mający lat około trzynastu, dał 14 marca b. r. koncert na wiolonczeli w Nowej resursie. Jest on uczniem p. Raweckiego członka orkiestry Wielkiego Teatru. Obrawszy sobie zawód artystyczny, przy zdolnościach jakie posiada, może z czasem dojść do pięknego w nim znaczenia. O egzekucyi tego młodego wiolonczelisty niewiele mamy do powiedzenia; ton stosunkowo do wieku dosyć duży, intonacja czysta. Wykonał on waryacje Franchomma, Dotzauera i mazurka kompozycyi M. K. Oczywiście, że o samodzielności w egzekucyi mowy jeszcze być nie może, bo zanadto pozostaje pod bezpośrednim wpływem nauczyciela, i cała ztąd zasługa należy się temu ostatniemu.

Dnia 30 kwietnia b. r. panna Ortolani przez dwa lata prawie występując na scenie Teatru Wielkiego jako *prima donna* w operach włoskich, ostatni raz w koncercie urządzonej na jój dochód w sali ređutowej, śpiewała przed naszą publicznością. Miła ta artystka po sobie zostawiła wspomnienie. Głos jój sopranowy przyjemny, giętki, wyrobiony, miał wielu zwolenników, od których zawsze dobrze na scenie przyjmowaną była. Pani Lotti della Santa, bawiąca od kilku dni znakomita śpiewaczka, przyjęła także udział w tym koncercie. Panowie zaś, Butti i Ciaffei koledzy sceniczni panny Ortolani, godnie jój dopomagali. Z artystów miejscowych, p. Pistor doskonale wykonanemi na arfie waryacyami i p. Baranowski piękném odegraniem *sola* w tercecie z *Jerozolimy* na skrzypcach, wiele przyłożyli się do ozdobienia owego koncertu.

W roku bieżącym jak i w latach poprzednich. brzmiały muzyki po świątyniach Pańskich w Wielki Piątek i Sobotę. Z tych, głównie odznaczyły się w kościołach: Pijarskim, Karmelitów na

Krakowskiem-Przedmieściu, Reformatów i Sakramentek. U Pijarów amatorowie i artyści wykonali pod przewodnictwem p. Prochaski *Siedm słów* Mercadantego, z towarzyszeniem 16 altówek, 5 wiolonczelli i czterech kontrabassów. Dyrektor opery tutejszej p. Quattrini sprowadził to dzieło w roku 1818 i w kościele OO. Augustyanów pierwszy raz wykonał. Są w niem piękne i efektowne ustępy, lecz w ogólności styl jego więcej światowy jak kościelny.

Pan Brzowski urządził muzykę w kościele Karmelitów na Krakowskiem-Przedmieściu. Pomiędzy numerami *Stabat Mater* Rossyniego, wykonał na głosy z towarzyszeniem tylko fortepianu, dwa ustępy ze swego Requiem, tojest: *Lacrimosa* i *Agnus Dei*. O ile z nich wnosić możemy, całe dzieło musi być niepospolicie napisane, gdyż piękność pomysłów i opracowanie tych dwóch numerów, świadczą o wielkich kompozytorskich zdolnościach p. Brzowskiego.

U OO. Reformatów, uczennice niższej szkoły śpiewu teatrów, wykonały pod kierunkiem swego nauczyciela p. Meller, *Stabat Mater* Poliniego; a u Sakramentek, Nestor śpiewaków naszych i emeryt p. Żyliński, wykonał różne kompozycje kościelne na głosy, pomiędzy nimi najwięcej Elsnera.

W ostatnich czasach p. Sennewald wydał w pięknej edycji kilka pośmiertnych utworów Lubowskiego, jakoto: *Six Etudes caracteristiques*, *La Cascade, nocturne* i *La Gondole, morceau de salon*. Chociaż wielkiej oryginalności w nich nie ma, są jednakże zgrabne myśli, starannie i ze znajomością rzeczy napisane. Nakładem tegoż wydawcy wyszło *Esquisse d'une Impression pathétique. Impromptu - Etude* Brzowskiego op. 10. Żalować tylko wypada, że pan B. tak rzadko obdarza nas swemi utworami. Znamy niektóre większe jego kompozycje, a pomiędzy nimi symfonią w układzie na fortepian, skrzypce i wiolonczellę. Przed dwudziestą laty napisał on dla tutejszego teatru operetkę, do której treść układał L. A. Dmuszewski, pod tytułem: *Hrabia Weseliński*, która dawana była z powodzeniem: dlaczego zaś p. Brzowski umilkł i tak rzadko znaki życia daje?—na ten raz nie umiemy sobie odpowiedzieć. A wielka szkoda, bo i w tém oto świeżo wyszłym dziele, daje się spostrzegać to, co głównie cechuje kompozycje pana B. tojest, oryginalność i staranne a umiejętne opracowanie techniczne.

Dnia 5 kwietnia 1856 r.

M. K.

Kronika Jarosława kanonika kapituły płockiej, z XII wieku.

Biblioteka Warszawska przed kilką laty ogłosiła rozprawę znanego historyka i poety A. Bielowskiego p. n. „*Pierwsze pomniki języka polskiego*,” w której podał szczegółową wiadomość o kronice Jarosława kanonika kapituły płockiej, zawierającej najdawniejsze podania Prus i Mazowsza. Książka ta wedle świadków wiarogodnych „*pisana była w języku ruskim, a greckimi głoskami*.”

„Słowiańska tedy była to książka (objasnia Bielowski) chociaż w stolicy Mazowsza układana, a przez kanonika łacińskiego obrządku czytana i posiadana. Czytał ją z łatwością i wypisywał z niej wiadomości mnich cysterski *Chrystyan*: bo umiał dobrze po polsku, jako rodowity Pomorzanie, a język ówczesny polski, jakoś się od języka, w którym ta książka była pisana, nie różnił. Gdy zaś wiemy, że jedne głoski słowiańskie nie są do żadnego z europejskich abecadeł podobne, i noszą nazwę *glagolicy*; drugie zaś zbliżone są wielce do alfabetu greckiego, bo nawet z niego, z drobnymi tylko zmianami, urobione: więc jest widoczna, że kronika Jarosława *kirylicą* była pisana.”

P. J. Papłoński w artykule swoim: „Wiadomości literackie z Warszawy” drukowanym w *Moskwitianinie* 1854 r. na zasadzie powyższej rozprawy Bielowskiego wspomniał o tej Jarosława kronice. Redaktor pomienionego pisma *Pogodin*, przy tém wspomnieniu dodał następujący przypisek: „W tym czasie, kiedy się ten artykuł drukował, książkę W. A. Oboleński zakommunikował nam następną ciekawą wiadomość. W księdze metryko-poselskiej W. Ks. Litewskiego wydanej w r. 1843 przezemnie i Ignacego Daniłowicza w tomie I str. 370, wskazano, że ten szacowny pomnik znajduje się w metryce koronnej. Długo, ale napróżno szukałem go w Warszawie, Moskwie i Petersburgu; akademik Kunik był szczęśliwszym odemnie w tym razie: udało mu się odkryć ślad w mowie będącego pomnika, i w wydawanym *Bulletynie* (*Bulletin de la classe des sciences historiques, philologiques et politiques* T. VIII, Nr. 13 i 14) udzielił wiadomość, że *papiéry* po kanoniku płockim Jarosławie pozostałe, są w archiwum *królewickim*.” Mówiąc o tych *papierach* p. Kunik domyśla się, że między niemi musi być i Kronika.

Taką drogą przeszedłszy wiadomość o kronice Jarosława, pochwycona przez nasze gazety, szeroki dała rozgłos temu odkryciu i rozciekawiała wszystkich miłujących ojczyzną literaturę. Wkrótce zgłoszono się do Dr. Voigta dyrektora tajnego archiwum w Królewcu, z prośbą o udzielenie pewnej o tym rękopiśmie wiadomości. Otoż odpowiedź jego dosłowna:

„Królewiec, 11 kwietnia 1856 roku.

„Na list W Pana z dnia 4 b. m. mam zaszczyt oświadczyć, że myli się ten, ktoby wierzył w istnienie kroniki Jarosława kanonika plockiego. Kronika ta niewątpliwie nigdy nie istniała, podobnie jak kronika biskupa Chrystyana: jest to wymysł kłamliwy zakonnika Szymona Grunau. Nie pojmuję, jak można było podobnej wieści uwierzyć. Już w przeszłym roku znosiłem się w tym przedmiocie z cesarsko-rossyjskim radcą stanu i członkiem Akademii P. Kunik w Petersburgu, i temu nigdy na myśl nie przyszło gdziekolwiek donosić, że ta kronika w tutejszem znajduje się archiwum. Gdybym ją był odszukał, sam byłbym się nią zajął naukowo. Podobnież kroniki biskupa Chrystyana (której nigdy nie było) daremnie dwa razy do Włoch się udawszy szukałem, i nietylko nie odszukałem jej, ale nawet najmniejszego śladu nie odkryłem, na którym opierając się, byłbym mógł dowieść, że dawniej istniała.

Przyjmij W. Pan i t. d.

Józef Voigt.”

Jako odpowiedź na list powyższy, przytoczymy tu wyjątek z listu A. Bielowskiego, który pierwszy w piśmie naszym poruszył tę kwestyą; oto jego słowa.

Lwów, 15 maja 1856.

Przed parą dniami umieścili Rozmaitości lwowskie ciekawy list p. Józefa Voigt'a z Królewca, 11 kwietnia b. r. pisany. „Myli się ten (powiada p. Voigt), ktoby wierzył w istnienie kroniki Jarosława kanonika plockiego. Kronika ta niewątpliwie nigdy nie istniała, podobnie jak kronika biskupa Chrystyana: jest to wymysł kłamliwy zakonnika Szymona Grunau. Nie pojmuję, jak można było podobnej wieści uwierzyć.” To ostatnie zwłaszcza twierdzenie może dać psychologowi przedmiot do głębokich refleksyi, nad konstrukcyą rozumu człowieczego. Pan Jan Voigt słynny autor historyi Prus w Królewcu r. 1827 wydanej, a jak mój kolega, który osobiście z nim rozmawiał, upewnia, dyrektor tajnego archiwum królewieckiego, jest właśnie tą podwaliną, na której wieść o znajdowaniu się kroniki Chrystyana, z dawniejszej Jarosława plockiego kanonika kroniki układanej, wzniosła się do takiej widoczności, że u każdego rozsądnego czytelnika wiarę znalazła. Pan Voigt nietylko mówi w tekście samym swojej historyi Prus, tomie 1 str. 30 i dalszych o kronice Chrystyana jako fakcie niewątpliwym, ale dołącza od str. 617—631 osobny traktat o téjże kronice: w nim ukazuje dowodnie, a jak to technicznym wyrazem sąsiedzi nasi mówić zwykli: *mit Deutscher Gründlichkeit* treść Chrystyana kroniki; ba! nawet spory z nią ustęp, przez siebie w archiwum tajnym królewieckim wynaleziony przytacza, pod tytułem: *Borussorum origo ex Domino Christiano*. Zaczyna się on tak: *Tempore Justiniani imperatoris i t. d.*

Gdy więc oto p. Voigt dyrektor tajnego archiwum królewskiego, którego list ogłosiliście, powiada, że tak Jarosława jak i Chrystyana kronika *niewatpliwie* nigdy nie istniała: nie dziwny się temu, bo do owego technicznego wyrażenia, które nasi sąsiedzi tak często o sobie powtarzają, nigdyśmy zabobonnej wiary nie przywiązywali. Jeżeli dyrektor *Józef* Voigt jest z dyrektorem *Janem* Voigt jedną osobą, tedy zadał kłamstwo sam sobie: jeśli nie, tedy zadał je swemu koledze, i pierwszemu pruskiemu historykowi. Ale gdy w liście swoim powiada: nie pojmuję, jak można było podobnej wieści uwierzyć: tedy uważamy to za rodzaj cynizmu, na jaki nie łatwo kto zdobyć się potrafi. Podobnymże cynizmem traci twierdzenie, że: „panu Kunikowi nigdy na myśl nie przyszło gdziekolwiek donosi, iż kronika Jarosława w archiwum królewickim znajduje się”. Dajmy więc pokój Voigtostwu i argumentom pruskich uczonych. a co do naszego Mazowsza i kroniki, która o niem traktowała, tedy zwracam uwagę twoją na okolczość następującą. Uczony nasz Daniłowicz, badacz sumienny dziejów, wydał w r. 1843 w Moskwie tak zwaną Księgę poselską (kniga posolskaja) wraz z księciem Oboleńskim. Zawiera ona spis dokumentów *metryki* WX. litewskiego, które w r. 1798 z Polski do Petersburga były przewiezione i tam złożone. Na str. 370 tomu I-go owego spisu jest o kronice Jarosława taka wiadomość przez Daniłowicza podana: „Miał ją Stanisław Łubieński biskup płocki i testamentem swoim przekazał, aby ją do archiwum królewskiego złożono. Nazwano ją po rossyjsku w spisie owym tak: „Zapiski istoriczeskoje 1219 goda:” a Daniłowicz dodaje uwagę: „Na tento rękopism powołują się, jak się zdaje, historycy pruscy Grunau Dominikan i Łukasz Dawid.” Rękopism ten oznaczony był liczbą 67, składał się z 281 kart, i zaciągnionym był do metryki W X. litewskiego inter *Libros Illustrationum et Revisionum*. Być może, iż te obszerne z r. 1219 zapiśki dziejowe z Płocka, już się nigdy nie znajdują; lecz w takim razie nie nasza w tém wina, bośmy je porządnie w *metryce* przechowywali. ale wina tych, co je potracili, a dziś bezczelnie zaprzeczają, że kiedykolwiek w Polsce się znajdowały. Z powodu ogłoski o odszukaniu kroniki Jarosława, pisze mi właśnie Lelewel: „Od pięćdziesięciu lat blisko wiem (Onacewicz mi to powiadał ongi), że w królewickim archiwum znaczny jest skład ignorancyi pisma czy języka, którego nikt czytać nie umie.”

Owóż dosłowny ustęp z listu A. Bielowskiego pisanego do K. Wł. Wójcickiego. Może poszukiwania dalsze wskażą nam wyraźniejsze ślady tego pomnika, którego p. Voigt dyrektor tajnego archiwum w Królewcu zaprzecza.

Wł.

ROZMAITOŚCI.

Notatki historyczne o starostach, a mianowicie mławskich.

Wjeżdżając do Mławy drogą warszawską, na wzgórku ocienionym starymi lipami, widzieć można drewniany domek, należący do wieczystego dzierżawcy, tak zwanego starostwa. Rozrzucone jeszcze gdzieś tam gruzy, dwie starych piwnic, i ciemne w aktach miejskich wspomnienie: oto całe ślady, całe pomniki upłynionej przeszłości tego miejsca, najważniejszego za dawnych czasów w Mławie. Chwasty i trawa zarosły dziedziniec dawnego zamku, mieszkanie samowładnych niegdyś w mieście starostów; w grubej mgle butwieją świadectwa ich życia; obojętność sam wyraz starosta, jak hieroglif powtarza: dziś więc, o ile można moja pozwala, podam o tym miejscu kilka rysów, nie złotem, ale według słów Górnickiego, (1) jak mojem ołowianem piórem wypisane być mogły.

Wyraz starosta dawny w Słowiańszczyźnie, znajdujemy już w pieśni św. Wojciecha, w której czartowi nadano tytuł starosty piekielnego, tak odpowiedni w późniejszym czasie dla tych małych satrapów polskich. Początkowo wszakże szlachta nazwiskiem tym oznaczona. jakże piękne miała obowiązki i jak pięknie z nich się wywiązywała? Podług Kromera (2), piérwszy król Lachów Bolesław Chrobry pobudował na laskiej ziemi zamki, aby w nich naród w czasie pokoju miał sędziów i opiekunów, a w czasie napałów i rabunków sąsiedzkich miejsce schronienia. Rządca takiego zamku nazywał się starosta: obowiązany był utrzymać budowlę w całości, i czuwać nad porządkiem w przyległej okolicy.

Taki stróż zamku królewskiego, z władzą nad ludem policyjną i sądowną, zwany był starostą grodowym, dlatego, że odby-

(1) Dworzanin polski ks. I str. 3.

(2) Polska Kromera, przekł. Syrokomli, kar. 94. — Krzyżanowski Dawna Polska, dopełnienie, str. 61.

wał sądy zwykle w grodzie, czyli na zamku. W następnym czasie wszystkie dobra królewskie dosyć liczne w kraju, oddane zostały pod dozór starostów, i szlachcie, któremu dostawał się ten urząd, naznaczany zwykle z okolicznych prywatnych dziedziców, był rządcą monarszej własności, i dozorcą nad poborem dochodów królewskich, pochodzących czyto z dóbr samych, czy też z nakładanych podatków (1).

Po podziale lechickiej ziemi między rozkrzewioną rodziną Bolesława Krzywoustego w roku 1139, przy wzrastającym znaczeniu panów i biskupów, przy stanowieniu praw w Chęcinach i Wiślicy, dalej przy przywilejach dawanych przez Ludwika węgierskiego w Koszycach, oznaczono jaśniej władzę i obowiązki starościńskie, i wtenczas już starostowie mieli w kraju wielkie znaczenie. Na sejmie w Budzie roku 1381, starosta krakowski Sędziwój z Szubina naznaczony był przez Ludwika jednym z trzech namiestników jego, od których wyroku nie trzeba było appellacji do króla (2).

Szczególniej najobszerniejszą władzę miewali starostowie z Poznania i Krakowa, nazywani generalami Wielkiej i Małej polski: wszakże jeszcze za ostatniego Jagiellończyka starosta uważany był tylko jako rządcą w majątku królewskim, kiedy Zygmunt August w dobrach swoich na Litwie ekonomów nazwał starostami. Dochody z majątków królewskich szły całe do skrzyni panującego, starosta zaś brał tylko *salarium*; kiedy jednak pieniądze były dosyć rzadkie, a dzielni, ale zbyt hojni królowie polscy z rodu Giedymina, nie mieli czém inném nagradzać zasług znakomitych ludzi: zaczęli więc rozdawać im dobra swoje, albo też puszczać takowe na tak zwany wyderkał, czyli dzierżawę, jak to zrobił z Mławą sławny z rozrzutności Alexander Jagiellończyk, oddając ją roku 1502 Jakóbowi Glince na wytrzymanie summy 1,000 czerwonych złotych węgierskich (3). Wtedyto zaczęto rozróżniać starostów grodowych z władzą na okolice, od starostów niegrodowych, zwanych inaczej tenutaryuszami dóbr królewskich z władzą daleko mniejszą, bo tylko nad mieszkańcami dóbr im powierzonych. Do tych ostatnich należało i starostwo mławskie, dlatego początkowi starostowie mławscy niezawsze tutaj mieszkali, i nie zostawili po sobie murowanego zamczyśka: mieli tu tylko zastępców, czyli podstarościch, a sami pobierali dochody. Mieszkanie podstarostów mławskich, chociaż nazywane zamkiem, składało się tylko z obszernego budynku drewnianego, który spalony za ostatnich posiadaczy, nie zostawił ruin, jakich tyle widać jeszcze w Polsce. Jednakże, ponieważ w końcu przynajmniej, bo za ostatniego już króla, na mocy sejmu koronacyjnego z dnia 4

(1) Wapowski, Postanowienia sejmu piotrkowskiego r. 1456. Tom III, str. 316.

(2) Bielski ks. III, str. 130.

(3) Akta miejskie z roku 1742 karta 251.

grudnia 1764 roku, ustanowiono dla znacznej odległości od Płocka osobny gród (1) w Mławie, i tym sposobem starosta mławski został starostą grodowym, to jest panem życia i śmierci mieszkańców nie tylko miasta, ale i całej okolicy, zwanęj od położenia za rzeką Wkrą ziemią Zawkrzyńską; przeto dla lepszego wyobrażenia o władzy przynajmniej ostatniego starosty, zobaczymy, jakie były obowiązki starostów grodowych.

Starosta grodowy, mówi Kromer (2) jest stróżem i obrońcą nie tylko zamku królewskiego, ale razem bezpieczeństwa i spokojności publicznej w obrębach swojego starostwa, które powinien zachować od gwałtów i oczyścić ze złodziejów i zbójców. Dlatego ma on bardzo szeroko sięgającą władzę, nie tylko nad mieszczanami i wieśniakami, ale nawet nad szlachtą. Każdy starosta ma swego namiestnika, którego zowią podstarościm; nadto do rzeczy sądowych sam mianuje innego zastępcę, czyli sędziego grodzkiego, a obu ich naznacza i składa według własnej woli. Obowiązkiem jest sędziów grodzkich udzielać opiekę wdowom z dóbr posagowych wyzutym, starać się o zwrot rzeczy gwałtem wydartych, karać zbrodnie na gorącym uczynku schwytane, sędzić każdego, kto posiadając rzecz cudzą, na wezwanie właściciela oddać jej nie chce, ścigać gwałtowników używających podczas sądów i sejmików niedozwolonęj broni; karcie tych, którzy dłużej nad rok z kłatwy kościelnej oczyścić się nie chcą, powściągać niesłusznych poborców myt i ceł rządowych, opierać się duchowieństwu, kiedy zaprzecza świeckim praw patronatu, lub nieprawie szlachtę do sądów kościelnych pozywa. W tych wszystkich razach, na czyje bądź wezwanie starosta użyć powinien swęj władzy. Ma on jeszcze czuwać nad podejrzanemi o kradzież, sędzić winowajców i brać ich na mękę; do szlachty wszakże prawa te wtedy się tylko ściągają, gdy szlachcic za jedną zbrodnią trzy razy był sądzony, lub złapany na gorącym uczynku kradzieży. Starosta sędzi co sześć lub siedm niedziel osobiście, albo przez sędziego grodzkiego; ze spraw zaś cywilnych przed starostą zapożywa się: szlachta nieosiadła czyli nie mająca w granicach starostwa dziedzicznej wioski; dalej o przywłaszczenie publicznego grosza, o krzywdę osobie duchownej wyrządzoną, o przetrzymanie cudzych poddanych, o przeszkody stawione żegludze na rzekach, i o przeszkodzenie wykonania jakiegokolwiek wyroku sądów duchownych czy świeckich. Starosta niedbały w wykonaniu wyroków sądowniczych ma być usunięty od posady, a jeżeli jest zastawnikiem, na karę, za każdy raz 100 grzywien z jego summy ma być potrącone. Do tego dodaje Duńczewski: starosta powinien (3) więzić na mężobójców i innych swawolnych ludzi utrzymywać, miast doglądać, propinacyi i handlu cudzoziemskim lu-

(1) Volumina legum VII, fol. 65—300.

(2) Kromer, przekład Syrokomli karta 94. Rudawski libro 2 folio 59.

(3) Traktat o starostwach str. 26—32—34.

dziom zabraniać, u żydów służyć nie pozwalać, luźnych, hultajów i szkodników uśmierzać, mosty i drogi budować. Cyganów do kraju nie puszcząć, zboża, oręża, wołów, koni i innych towarów wywozić z Korony nie pozwalać. A ktoby przed starostą noża lub miecza dobył, podpada karze, jakby przed królem. Do tego, dodaje Januszowski (1) powinien starosta wspólnie z wojewodą zboża, sukien i innych sprzedawanych rzeczy, równie jak za robotę rzemieślnikom ceny układać, i sprawiedliwość jednostajnie każdemu wedle prawa czynić. Do sądu starościńskiego, na mocy dawnych (2) postanowień, odnowionych za Kazimierza Jagiellończyka, a zatwierdzonych przez Zygmunta I w r. 1532, należały tylko cztery przypadki (3): o krzywdy białogłowom zadane, o rozbój kupców na drogach, o pożogę i zapal, i o gwałtowny na cudzy dom najazd. W późniejszych czasach sądził starosta o złodziejstwo, czary, trucizny i odgróźki, ludzi nierządnie żyjących po wsiach i miastach; za okazaniem karał obrzynaniem nosa i uszy, albo z miasta wyganiał. Najlepiej zaś okazuje starościńską władzę statut toruński (4), który nieposłusznego burmistrza i rajców miejskich bez apellacyi na gardle ukarać starostom pozwalał. Otóż jak wielka władza była starostów grodowych. Mławski miał ją na całą ziemię Zawkrzyńską, która za Stanisława Augusta dzieliła się na trzy powiaty: mławski, szreński i niedzboriski (5), a w r. 1776 zawierała wsi i wiosek 349, a ludności prócz dzieci do siedmiu lat 25,969, między którymi 392 dyssydentów, a 962 żydów (6). Przytém starosta mławski, jako pograniczny, miał jeszcze i władzę celną, pobiérał bowiem chociaż niewielkie cło, zwane graniczne, albo ładowe, dopóki osobny przykomórek zaprowadzonym nie został.

Dochody starościńskie, podług lustracyi z roku 1661 były następujące: folwark zwany starostwo, przytém wsie Mławka, Modła, Nowa-wieś i młyny Zawady i Ruda. Osadnicy z tych wiosek dawali corocznie do zamku, każdy z osobna: z Modły po złp. 1, z Mławki po gr. 18, z Nowej-wsi po gr. 8. Do tego każdy po 15 jaj, i po dwa kapłony; nadto robili po trzy dni na tydzień pańszczyzny dworskim sprzężajem, a włościanie Mławki jeszcze jeden dzień pieszko.

Z miasta pobiérał starosta czynszu z włoki po gr. 24, od szweców najwięcej uprzywilejowanych od wszystkich razem tylko złp. 4, od rzeźników po kamieniu łoju i łopatki od wołu, od zduna każdego trzy razy do roku po dwa garnki duże poléwane, od piwowarów dwunastą miarę siodu. Od przekupniów po

(1) Statuta i konstytucye koronne, u Łazarza w Krakowie. 1624. Część 7, tytuł 15, karta 597

(2) Wapowski, tłumacz. Malinowskiego tom III str. 247.

(3) Volumina legum tom I fol. 77 i 250.

(4) Volumina legum tom I fol. 396 z r. 1520.

(5) Jeografia Wyrwicza str. 265.

(6) Rozporządzenia biskupa Poniatowskiego, tom IV str. 426.

8 groszy, od wagi trzeci grosz, od sukieników po 8 groszy, od żydów po funcie pieprzu i po groszy 15, przytém targowe. Wszyscy inni rzemieślnicy w liczbie 284 opłacali się także Jaśnie Wielmożnemu Dobrodziejowi miasta, dając co św. Marcin po groszy 9 (1). Z takich dochodów, na mocy konstytucyi z lat 1562 i 1569, starostowie obowiązani byli (2) dawać kwartę, czyli czwartą część dochodów na utrzymanie stałego wojska, nazwanego zład kwarwianem. Batory wzywał kilka razy posiadaczów królewszczyzn o wypłacenie na potrzeby wojenne podwójnej kwarty, czyli połowy dochodów; a światli wówczas i dbający o dobro kraju starostowie, składali ją chętnie nie malowanemu ani glinianemu królowi (3). Ale wkrótce potem jakże się rzeczy zmieniły! Ten niedoleżny Zygmunt III, tak dobrze opisany słowami Jana Zamojskiego, wyrzeczonemi do posłów przywożących go ze Szwecyi, ten król jak w każdym względzie, tak i co do starostw wstrząsnął podwaliną budowli krajowej.

Roku 1598 pozwolił na rozdział dóbr królewskich na tak zwane ekonomie czyli dobra stołowe, i na starostwa czyli dobra, które odtąd skazane zostały, jak mówi postanowienie, na *panis bene merentium*, czyli na rozdawnictwo na czas pewny zasłużonej szlachcie, ich dzieciom, a nawet i żonom, najczęściej za urojone zasługi mężów, z obowiązkiem tylko opłaty kwarty. Odtąd Polska zaczęła być starościńską (4), to jest rozrywaną przez pożerających jej wnętrzości trutniów, którzy w starostwach hucząc jak w ulu, żywili się krwawą pracą prostego ludu i mieszczan. Z dozorców, starostowie zostali rzeczywistemi właścicielami dóbr królewskich od czasu, jak Zygmunt III nieszczęsną dłoń ujął ster nawy, osadzonej niesfornemi majtkami. I odtąd chłonęli prawie wszystkie dochody kraju i królewskie, trybem trutniów pożerających ten w ulu miód, który wyrabia pracowita pszczoła. Ciężarną gwałtami pięścią dotkliwsze zadawali ciosy, jak rozbój i pożar szwedzki; ich mieszkania były ogrójcem pakowni na grosz, wyciskany z mieszczan i chłopów. Biorąc od rzeźników ćwiartki, pozwalali nadużyć. Wprawdzie te nieszczęsne i hańbiące postęпки później dopiero okazały się jawniej, kiedy szlachta ociemniona i sfanatyzowana przez synów Lojoli, brnęła w przepaść za Sasów; wszakże już za Zygmunta III zaczęły się frymarki, mające na celu tylko osobisty interes. Kiedy wojsko niepłatne wraz z biędniejszą szlachtą siewało bez nagrody za trudy, wtedy przebiegli dworzanie i pokojowe panięta łapali królewszczyzny, nieraz po kilkanaście tysięcy przynoszące dochodu. Tak na przykład, wśród zaburzeń żołnierskich, w czasie wojen płatanych tak nieumiejętnie przez uparte go Zygmunta III, kiedy związki

(1) Lustracya z r. 1616 w aktach miejskich, kar. 198.

(2) Volumina legum tom II fol. 616 i 781.

(3) Panowanie Batorego przez Albertraudego, tom I str. 156.

(4) Krzyżanowski, Dawna Polska. Dopełnienia str. 61.

wojskowe niszczyły własne zagrody, wtedy Mikołaj Daniłowicz podskarbi koronny przy swoim urzędzie posiadał starostw dostatnich siedm, a syn jego aż ośm (1), chociaż podług Kromera (2) nie wolno było posiadać dwóch starostw jednemu krajowcowi, a żadnego cudzoziemcowi.

Dochody z dóbr tak niesprawiedliwie rozdawanych, równały się podatkom najbogatszych krajów w Europie: albowiem jak świadczy Rudawski (3), średnio ocenione, wynosiły ówczesznie pięćdziesiąt milionów złotych rocznie dochodu. W Koronie i Litwie było około pięćset starostw, między któremi wiele przynosiło dochodu rocznego po 70,000 złotych; drugie zaś pięćset, najmniej po parę tysięcy rocznie wydawały. Ale, mówi dalej tenże Rudawski, te wszystkie dostatki, te żyły bogactwa krajowego, widzimy z wielkim żalem rozrywane, idące na dziedzictwo dla dzieciaków, dziewczyn i największych niedołęgów. Panowie ciągną ztąd wielkie korzyści przez rozmaite najszeptniejsze, zaledwie światu znane licytacje, oddają je w dzierżawę niegodnemu potomstwu, przyzwyczajając dzieci pańskie do lenistwa. Albo co gorsza, baby i wdowy pyszniąc się dochodem z łupu publicznego majątku, wśród próżności sprzedają się nowym faworytom, a tymczasem mężowie zasłużeni w ojczyźnie, w długiej służbie lata straciwszy, zniszczywszy dziedzictwa ojcowskie, na starość albo wracają do lichych rodzinnych kątów, albo nie mając ich, tym szczęśliwym paniętom służyć są zmuszeni. Słyszałem skarbnika królewskiego mówiącego: że skarb królewski doszedł do tego, że ledwo miał trzykroć sto tysięcy złotych dochodu, kiedy on sam z darowizn królewskich miał do roku 400,000 złotych.

Z takiego położenia rzeczy wynikały największe zamieszania. Szlachta uznając się pokrzywdzoną w nagrodach od króla, albo go opuszczała, jak Sasa i Leszczyńskiego; albo też z bogactw, wzbijała się w potęgę, i licznym dworem emulowała z królem, i słuchoć rozkazów nie chciała. gdy szło o stratę funduszków: np. starosta łomżyński roku 1658 nie dał korzystać miastu z drzewa i przewozu, darowanego mieszczanom przez Maryą Ludwikę. Dopiero po przyniesieniu przez Konarskiego zakopconej latarki (4), zwrócono uwagę i na starostwa.

Sejm roku 1775 przedsięwziął zapobiedz tej demoralizującej klęsce krajowej (5). Zaczęto związać starostwa i starostów, a nawet kassować sądy grodzkie starościńskie.

Ale zapóźno wzięto się do dzieła, i dopiero za rządu pruskiego puszczano dobra w dzierżawę, wszakże tylko wakujące: te

(1) Obraz wieku Zygmunta III przez Siarczyńskiego, tom I str. 94.

(2) Kromer, przekład Syrokomli str. 96.

(3) Historiarum Poloniae libro 2 cap. 2 fol. 59.

(4) Wiszniewski, Wstęp do Historji literatury.

(5) Prawo polityczne. Skrzetuski. Tom I str. 220.

bowiem, które miały dziedziców prawnych w linii męskiej, do naszych czasów w posiadaniu ich pozostały. Jeszcze przed kilką laty znaleźmy jednego starostę, który pomyślnie dbał o dobra czyniące mu czystego dochodu 5,000 rubli, i to po potrąceniu kwarty płaconej do skarbu, póki żył syn, mający być ich dziedzicem. Umarł syn, a że przywilej posiadania dóbr był tylko dla linii męskiej, przeto Jasny Pan zaglądał czasem tylko do dóbr po pieniądzu, a jak postępował z oficyalistami i wieśniakami, niech opowiedzą akta sąsiednich sądów, które może później kiedy kto odgrzebie!

Przebiegłszy te rysy w ogólności, zobaczymy teraz, do jakich ludzi należało starostwo mławskie, którzy z niego pobierali tylko dochody nie mieszkając w mieście; a w końcu przypatrzymy się temu, który panując prawie nad Mławą za ostatnich dwóch królów, umarł jako landrat w służbie pruskiej.

1. Pierwszym najdawniejszym starostą w Mławie był wspomniany już Jakób Glinka, starosta wizneński, bogacz z rodziny, która Annie Radziwiłłównie ostatniej księżnie mazowieckiej sprzedała cały powiat wizneński za dwanaście tysięcy ówczesnych czerwonych złotych (1). Umarł on po roku 1504.

2. Drugim posiadaczem tutejszego starostwa był Wojciech Kryski dworzanin Zygmunta Augusta, podkomorzy plocki, zmarły, jak świadczy nagrobek w kościele Drobińskim, 24 listopada 1556. Sławny ten Mazur z Kryska rodzony brat matki św. Stanisława Kostki, jest osobą rozmawiającą w Dworzaninie Górnickiego, który (2) tak o nim mówi:

„Pan Kryski był człowiek tak osobny, jakich natura rzadko a rzadko na świat puszcza; a iż rzadko przystało było, iżby go nam była tak prędko nie brała, ale dopuściła podziwować się w nim boskiej sprawie. Albowiem mimo urodę, kształt i twarz przyjemną, były w nim obyczaje polskie chwalebne, były cnoty przedniejsze wszystkie, był ostry dowcip, było ćwiczenie, była wiadomość rzeczy swych i postronnych, była biegłość, sprawa, bywałość, była nauka wielka. Używała go rzeczpospolita do legacyi, w których u papieżów, u cesarzów, u królów, majestatu i dostojenstwa korony téj strzedz umiał. Używał go sąsiad, używał przyjaciel, używał i krewny, gdzie teraz i krewni, i przyjaciel i sąsiad, i w obec wszystka korona śmierci jego nie wspomni bez żalu”.

Potwierdza te pochwały Jan Kochanowski, którego następujące wiersze zachował Paprocki (3).

Płaczą cię starzy, płaczą cię i młodzi,
Dwór wszystek w czerni przez cię Kryski chodzi;
Albowiem dworstwo i ludzkość przy tobie,
W jednymże zaraz pochowane grobie.

(1) Kronika Bielskiego ks. 5 str. 139.

(2) Zbiór pisarzy polskich ks. 4 str. 542.

(3) Herby rycerstwa str. 495.

Jeździł nasz starosta w poselstwie do Filipa II króla hiszpańskiego, dopominając się o księstwo Baru, dziedzictwo królowej Bony; do żony tegoż Filipa Maryi królowej angielskiej; do papieża Pawła III, z kąd powróciwszy umarł bardzo młodo w 33 roku życia (1).

3. Z lustracyi z r. 1564 pokazuje się, że Mława należała do Gabryela Grabowieckiego, wojskiego łomżyńskiego. Górnicki w Dworzaninie str. 357, a Niesiecki w tomie II fol. 300 mówią, że był on ochmistrem królowej, i jeździł w legacyi od Zygmunta Augusta do króla duńskiego roku 1561. Paprocki (2), Grabowiecką córkę Mikołaja Niszczyckiego wojewody bełzskiego, także starościną mławską nazywa.

4. Około roku 1567 pobierał z Mławy dochody jeden z tych mężów, którzy jak brylanty w koronie Jagiellońskiej, jaśnieli wówczas w kraju: był nim Albert Łaski, pan na Kiezmarku i Rytwianach, wojewoda płocki, a potem sieradzki, zwycięzca hospodara wołoskiego Alexandra, pogromca Tatarów pod Oczakowem 1568, poseł do Francyi po Henryka Valois. Dzielny ten Polak, mówi Niesiecki (3), z młodszych lat swoich upłatał się w dyssydenckich nowinkach, ale potem publicznie się ich wyrzekł, a przez wielkość animuszu i hojność niezmierną na posługi rzeczypospolitej, dla przyjaciół, dla ludzi rycerskich i uczonych, milion czerwonych złotych wydał. Tatarom r. 1568 plon odbiwszy tak dobrze przetrząsnął, że barana po groszu, a wołu po złotemu sprzedawano. Nie szczędzili mu też pochwał znaczniejsi wówczas pisarze. Kawaler złotój ostrogi Gwagnin, nazywa go świetną gwiazdą ojczyzny, i dzielną wszystkich cnót tarczą. Jovius, Slejdanus, kardynał Hozysz i Kochanowski unieśmiertelnili imię Łaskiego, a Mikołaj Rej przypisując mu wtóre księgi Żywota pocziwego człowieka, w te słowa do niego pisze:

„Wielmożność Twoją Pan Bóg nie lada dary, a upominki obdarzyć raczył, bo i daleko bywasz i daleko patrzysz, i to wszystko widzisz i rozumiesz, co pocziwy a chrześcijański człowiek wiedzieć a rozumieć ma. Aby ukazał się z Ciebie on mąż, który jako drzewo cedrowe kwitnie w domu Pańskim, a żadnemu wichrowi nie da się nietylko wywrócić, ale i na stronę zakolysać”. Są to pochwały rodaków: zobaczmyż jeszcze, co mówi o naszym staroście Włoch Antoni Gratiani, biskup amerykański, przybyły do Polski w czasie elekcyi Walezysza, na którą Albert z orszakiem czterysta wyborowych jeźdźców stanął.

„Między katolikami, pisze biskup (4). Albert Łaski miał niepospolite wzięcie. Niedawno w podjętej własnym kosztem na Wołoszczyznę wyprawie, imię biegłego wodza zjednać sobie po-

(1) Górnicki, Dzieje w koronie str. 128.

(2) Paprocki, Herbarz str. 569.

(3) Korona polska tom III fol. 39.

(4) Niesiecki, księga 6 str. 216.

trafił. Datny aż do rozrzutności, wymowny i uprzejmy, serce całego rycerstwa, wszystkiej prawie młodzieży pociągał za sobą, tak dalece, iż gdyby wybór nowego króla miał paść na Piastą, Łaski przed innemi mógł się berła spodziewać. Stefanowi niechętny, dopiero go przeprosił po odebraniu Połocka roku 1579." Otóż dwóch posiadaczy starostwa mławskiego w najpiękniejszych dla kraju i dla miasta czasach. Głośni oni nietylko w rodzinnj ziemi, ale i w Europie.

Po nich następuje kilku mniej znanych, o których dzieje robią tylko wspomnienia; a byli to ludzie, co trzymali tamtejsze starostwo za Zygmunta III.

5. Otóż piątym z porządku posiadaczem Mławy był Grzegorz Zieliński wojewoda płocki (1), który podpisał dyplomaty wydany przez Batorego dla akademii wileńskiej, a następnie podpisał także elekcyą (2) Zygmunta III.

6. Na początku XVII wieku był starostą mławskim Wojciech Sękowski z Bolemina, stolnik ciechanowski, wyznaczony na lustratora dóbr królewskich roku 1601 w Mazowszu, a r. 1607 w Wielkiej Polsce (3).

7. Od roku 1628 trzymał tutejsze starostwo Zygmunt Opacki podkomorzy warszawski, rządcą zamku krakowskiego, a potem wojewoda dorpacki, mąż w ręce i radzie silny, herbu Pruss, fundator kościoła w Raszynie (4). Syn Zygmunta był posłem do Wiednia i Berlina, a nawet przywiózł z Francyi ciało Jana Kazimierza. Zdaje się, że po ojcu on najprędzej trzymał starostwo mławskie, brakuje bowiem śladów kto posiadał Mławę za Władysława IV, za którego panowania dnia 28 lutego 1646 r. miasto widziało przejazd i nocleg księżniczki, zaślubionej dwóm z kolei rodzonym braciom, która dała się poznać Polakom jako pierwsza Francuzka na tronie polskim. Liczny dwór towarzyszył Maryi Ludwice, wiozącej z sobą młodą jeszcze ówczesznie margrabiankę d'Arquien, ale w liczbie znakomitych dworzan nie widać starosty mławskiego (5).

Nadchodzą nieszczęśliwe czasy Jana Kazimierza: Mława jak inne miasta polskie idzie w ruiny, ale dostaje się znowu w ręce ludzi głośnych ów żeśnie w dziejach polskich.

8. Za czasów wojen Karola X pobierał dochody z Mławy mąż ze znakomitej rodziny ruskiej, Kazimierz Piaseczyński. Znanne jest imię tej rodziny w bitwie z kozakami pod Beresteczkiem r. 1651, lecz potem, na którym w całym blasku jaśnieje sława naszego starosty, jest chlubna wyprawa jego do Danii, na której, jak mówił Czarniecki (6) pokazali Polacy, że mężne serce, co

(1) Albertrandy tom II str. 14 Panowanie Batorego.

(2) Niesiecki tom IV str. 740.

(3) Niesiecki tom IV fol. 72.

(4) Niesiecki tom III fol. 461.

(5) Pamiętniki o dawniej Polsce tom IV str. 198.

(6) Życie Stefana Czarnieckiego, księga 2 kar. 162.

w Polsce nie potrzebowało mostów do przeprawy, nie uległo się wód morskich. Piaseczyński będąc pułkownikiem tysiąca husarzy, odznaczał się w całej tej wyprawie, a po odwołaniu Czarnieckiego, zostawszy naczelnym wodzem Polaków w Holzacyi, wtenczas właśnie gdy Szwedzi Mławę zniszczyli, starosta zakończył świetny swój zawód w bitwie pod Nydburgiem na wyspie Fionia, dnia 25 listopada 1659 r. Od Odensee, mowi Kochowski (1) po krwawej drodze dostano się do Nydburga, gdzie Piaseczyński na czele pierwszego sztyku napadłszy na Szwedów, gdy w ogniu bitwy szeroki rów przeskakiwał, trzema kulami trafiony, w końcu zwycięstwa skonał: z przykładu dla swoich chwalebnej śmierci, zdolności wojskowych, siły ciała i umysłu, godzien nieśmiertelnej chwały.

9. Następcą na starostwo mławskie po Piaseczyńskim był równie znakomity wojak Franciszek Bieliński, który podpisał elekcyą Jana Kazimierza. Oto sążnisty jego tytuł w przywileju wydanym w roku 1680 dla miasta Szreńska" (2). Ja Jan Franciszek Bieliński miecznik koronny, malborski, mławski, osiecki, rzeczuciki starosta, pułkownik wojsk Rzeczypospolitej J. K. Mości, cel koronnych i ruskich generalny administrator, na Strzegocinie w ziemi Zakroczymskiej, na Szreńsku w województwie płockim, na wielkim i małym Tursku w województwie pomorskim, na Sokołowie w ziemi Nurskiej, na Otfocku czyli Zbrożkach w ziemi Czerskiej, na Okuniewie w ziemi Warszawskiej z przyległościami dziedziczny pan." Umarł wojewodą malborskim. Mławskie starostwo, mówi Niesiecki (3), dano mu w krwawych zasługach, kiedy oberszteterem będąc w gwardyi rajtarskiej, króla Jana Kazimierza, z nią w najcięższych pod te czasy rewolucyach wojennych, i wiernie i mężnie przy dostojenstwie majestatu polskiego stawał, tak, że mu to cały obóz niepoehlebnie przyznawał, że wielkiego kawalera chwałę w osobie swojej wypełnił. Przeważnie na sejmie roku 1662 jemu do zgonu życia, successorom zaś jego na lat 15, to starostwo pozwolone. Jakoż byłto człowiek w kommissyach różnych niespracowany. Roku 1683 jeździł względem ubezpieczenia Elbląga i pretensyi kurfirsta. Potem do Inflant, dla ustanowienia kościołów katolickich. W sądach nieprzełamanej sprawiedliwości, co pokazał będąc marszałkiem trybunału koronnego, i kommisarzem do działu Hiberny. Zarliwości o ojczystą wolność, posługując na sejmy roku 1667—1670—1676, nieskorumpowanej. Mężtwa nieustraszonego, c. ego pamiętne Grodno i Brześć, gdzie nieprzyjaciół zwycięzko poraził.

10. W dyaryuszu spraw zaszłych w czasie bezkrólewia po śmierci Jana III, zamieszczonym przy dziejach Sobieskiego, wy-

(1) Annalium Poloniae climacter 2 libro 5 fol. 410.

(2) Zbiór przywilejów miastom województwa płockiego przez Gawareckiego, karta 248.

(3) Niesiecki tom I fol. 95.

danych przez Rogalskiego, na stronnicach 442 i 444 wymieniony Jan Stanisław Niewieściński starosta mławski, który dnia 3 listopada we Lwowie roku 1696 podpisał dwa manifesty, jako kommissarz wyznaczony do traktowania z wojskiem skonfederowanym po śmierci Sobieskiego, pod marszałkiem Baranowskim. Wspomina o tém i Niesiecki w tomie III str. 368, dodając, że był on posłem z Pomorskiego na konwokacyą roku 1696. Jakiem prawem Niewieściński pobierał z Mławy dochody, nie można dokładnie oznaczyć, chyba że był zięciem Franciszka Bielińskiego, który żył jeszcze roku 1683, a na zasadzie postanowienia sejmu z roku 1662, Mława do sukcesorów tegoż Bielińskiego należeć miała. Tém bardziej miesza rzecz to, że kiedy Niewieściński podpisuje się starostą mławskim na konwokacyi po śmierci Sobieskiego, wkrótce potem na sejmie elekcyi Augusta II marszałkuje starosta mławski Kazimierz Bieliński, syn wymienionego wyżej Franciszka. Otóż trudno oznaczyć, czy Niewieściński rzeczywiście był starostą mławskim, tém bardziej, że w aktach miejskich imię jego nie znajduje się wymienione w spisie starostów, chociaż zresztą bardzo niedokładnym, w roku 1742 sporządzonym.

Ale czy był Niewieściński, czy Bieliński syn po ojcu, jakież ślady pozostały w Mławie po starostach z czasów Sobieskiego? Jeszcze Franciszek Bieliński podpisując elekcyą króla Michała, w czasie której prześladowani dyssydenci szukali obrony aż u sąsiadów; on nie chcąc się zgodzić na większą tolerancją, dodał wyraźnie *salvis juribus ecclesiae Romanae* (1). Otóż ówczesni starostowie chcąc widać uczynkami dowieść gorliwości religijnej, podpisywali sławne wyroki na czarownice. Jest w aktach miejskich z owego czasu kilkanaście dowodów nieszczęsnego zaślepienia. Litość bierze czytając zeznania, zawarte w protokółach tych spraw, podobne naprzykład następującym. Wiodą na zamek zabobonni mieszczanie kilka starych bab, i młodych dziewcząt, oskarżając je o zaburzanie spokojności miasta. Cóż te bezsilne kobiety tak wiele zawiniły? Oto Maryanna Kukulina (2), przyleciała z Mławy do Szydłowa na gęsiem jaju i cielecój wątróbce, i tam pani cześnikowej na zdrowiu uczyniła, zalepiwszy w czeluściach pieca chlebowego włosy kobiece, na to, aby wygasła linia dziedziców na Szydłowie. Dalej Zofia Rzeszotarska córka kowala z Mławy, gdy przewracała jęczmień na polu, rzuciła ziarnami na owce, bydło i konia, na którym jegomość pan cześnik jechał, a uczyniła to dlatego, aby owce i bydło padało, a jegomości konie się nie wiodły. Ciemne kobiety, męczone na torturach przyznają się do wszystkich tych bredni, nawet że jedna z nich z samym (Boże odpuść) szatanem ślub brała, że szatan ten po niemiecku ubrany, zawsze pod kominem w popielniku siadywał; a sławetny sąd z burmistrza i rajców złożony, po-

(1) Dwa miecze przez Józefa Załuskiego str. 152.

(2) Akta miejskie z r. 1689.

nieważ na rzetelność tych zeznań przysięgę wykonali instygatorowie, wydaje ręką trzymaną wyrok, aby pomienione Zofia i Maryanna, jako przekonane czarownice, na stosie spalone zostały. Idzie wyrok do potwierdzenia pana starosty, a ten najmędrzy w całym mieście człowiek, już *manu propria* podpisuje straszliwy wyraz *exequatur*, po przyłożeniu którego, zaślepiony naród wykonywa tak sprawiedliwe wyroki. Dodziśdnia na polach przy drodze do przyległej wioski Studzieńca, poznać jeszcze można ślady tego zgłiszcza, na którym tyle niewinnych ofiar straszną a najniesłuszniejszą poniosło mękę. Jest w aktach miejskich kilkanaście takich smutnych pamiątek i dowodów.

11. Od roku 1696 pobierał z Mławy dochody Kazimierz Bieliński, podkomorzy koronny, marszałek sejmu na elekcji Augusta II, a w końcu marszałek wielki koronny. Był on żonaty z Morsztynówną córką sławnego podskarbiego, który wyjechawszy z Polski, zakończył życie we Francyi. Bieliński odziedziczywszy po nim znaczne dobra we Francyi, był wielkim stronnikiem Francyi, i na elekcji utrzymywał na swoim koszcie 12,000 szlachty z województwa ruskiego (1). Umarł około roku 1713. Drugą jego żoną była córka sławnego Jana Przebendowskiego, którego cała familia znana, jako stronnicy Augusta II. Otóż z tej rodziny z Bielińskimi spokrewnionej, widzimy w Mławie na początku XVIII wieku starostą Jakóba Przebendowskiego, który był kasztelanem elbląskim, i pułkownikiem regimentu koronnego, mającego w Mławie lokacją zimową (2). To rodzony brat Jana Przebendowskiego znanego z kłótni na wyprawie pod Kamieńcem, którego inny starosta zapędził z obuchem i szturchańcami aż do namiotu Augusta II. Ten faworyt Sasa został wkrótce wojewodą malborskim, a w końcu starostą czyli generałem Wielkopolskim, i mężem córki sławnego Fleminga. Człowiek ten z młodości protestant, następnie katolik, najwięcej dał się poznać w bezkrólewiu po śmierci Sobieskiego. Nazywano go Judaszem i zdrajcą (3); ledwo że minęła go kula, kiedy z kolei utrzymując czterech pretendentów do korony, każdego zdradzał, jako nienasycony chciwiec. Mławski starosta razem z bratem trzymał się ciągle strony Sasów, dlatego też w roku 1710 major Krajewski z partyi Leszczyńskiego stał w Mławie 17 niedziel (4), a wybrawszy zboże ze stodół, gór i komór, zabrawszy inwentarze i prowiant dla wojsk Piotra Wielkiego przygotowany, spalił trzy starościńskie folwarki, i obdarł miasto na kilkanaście tysięcy. Wtedy Przebendowscy przebywali w Niemczech, a jeden z nich wydrukował w Roterdamie broszurę usprawiedliwiającą powrót

(1) Panowanie Augusta II przez księdza Parthenay. str. 37 i 38.

(2) Volumina legum tom VI fol. 344.

(3) Dzieje Jan III Sobieskiego przez Rogalskiego, str. 335 i 354.

(4) Akta radzieckie z r. 1710.

Sasa do Polski po bitwie półtawskiej; ale wyrzekł się rodowitego języka—po francuzku napisał (1).

Jakób Przebendowski umarł około roku 1725; dochody z Mławy pobierała, a nawet może na starostwie mieszkała wdowa po nim Marya Teressa z Tarłów hrabianka na Tęczynie, której podpis znajduje się w aktach miejskich roku 1730, str. 235, na ordynacyi rządu miejskiego. Pani ta wyszła wkrótce za Józefa Potulickiego (2) wojewodę czernihowskiego. Drugi mąż ten starościny hrabiny, także hrabia, trzymając się jak Przebendowscy Sasów, był jednym z tych dobrych Polaków, co w liczbie 80ciu zniszczyli powtórna elekcją Leszczyńskiego wtenczas, kiedy cała reszta, parękroć sto tysięcy tych, co ówczesnie zwali się narodem, powołała na tron króla filozofa (3). Hrabia Józef Potulicki umarł podług Niesieckiego roku 1734, a Mława dostała się Barbarze Potulickiej, wdowie i to bezpotomnej po Samuelu Czarlińskim pośle z Pomorza z powiatu tczewskiego.

Ta przedostatnia starościna, wdowa Czarlińska, toczyła z mieszczanami sławny proces, przez który mieszkańcy Mławy, niemożąc znieść jarzma starościńskiego, chcieli usunąć nadużycia. Ale wiek XVIII nie był dla Polski czasem, w którym dawnych grzechów wyrzec się mogła. Mława spalona przez Szwedów w roku 1659, w którym zginęło w płomieniach 385 domów (4), zniszczona później przez morową zarazę, odetchnąwszy od wojen, zaczęła naprzód proces o prawo kollatorskie z misyonarzami. Sprawa szła przed biskupa, przed legata stolicy apostolskiej, a nawet do samego Ojca Śgo r. 1729 (5). Udało się przecie mieszczanom, bo zgięli niezakorzonione jeszcze w Mławie duchowieństwo. Zwycięzca magistrat nie przestaje na tém: sławetny burmistrz z ławnikami osądziwszy, że pomysłny skutek zabiegów winien słuszności swój sprawy, porywa się na rządzącą głowę miasta, na pana starostę, chce wyrwać dwuwieczny dąb, co aż nazbyt silne korzenie głęboko w miasto zapuścił. Pora przyjazna, bo głowę w Mławie kobieta, starościna Czarlińska: z nią więc miasto zaczyna proces. *Famatus ac spectabilis* proconsul mławski Maciej Trojanowski (6) przypomina sobie, co słyszał od starych ludzi, że kiedyś tam, przed wojną ze Szwedami należały do miasta pola, na których zbudowana Nowa-wieś i Wólka; że kliny miejskie pod Unieszkami przywłaszczyli sobie sąsiedni szlachta Krajewscy. Ale kiedy się to działo? mieszczanie nie wiedzą, bo nieprzyjaciel poniszczyl papiery, starzy ludzie pomarli, a młodszy wo-

(1) O dziejopisach polskich str. 154.

(2) Niesiecki tom III fol. 757.

(3) Historia powszechna przez Zygmunta Linowskiego tom IV str. 358.

(4) Lustracya w aktach miejskich z r. 1661.

(5) Akta misyonarskie z r. 1729.

(6) Akta miejskie z r. 1766.

leli hić się stolkami przy kartach w domu (1) i w obecności sławetnego burmistrza, pisać skargi, i brać na rynku kije od pana starosty, jak szperać po szpargałach, których nie dojadły myszy, i nabijać sobie głowę tém, co działo się na ziemi, która ich wychowała i żywiła. Otóż król August wydał wtedy do Mławian dwa listy r. 1743 i 1747, w których przykazywał (2) „aby gwałtownych postępków nie wzniecali, winne powinności starościę pełnili, i od dalszych inkonwencyjów i przyzwyczajonych kłótni wstrzymywali się”.

Tym sposobem panowie zyskali zatwierdzenie przywłaszczzeń, a mieszczenie nie mając dowodów, płacili setniami grzywny, i po dwudziestu dwóch naraz szli na pokutę do wieży. Wieżę nazywają dziś w Mławie mały domek wymurowany za rządu pruskiego, i służący za więzienie detencyjne; ale za czasów starościńskich jakże to pamiętny wyraz dla miasta? Podług statutów koronnych zebranych przez Januszowskiego, a przypisanych Zygmuntovi III, widzimy, że wieża miejska powinna się dzielić na więzienia górne i dolne: ostatnie miało mieć dno swoje 12 łokci w głąb' ziemi (3). Wielużto w tych podziemnych pieczarach jęczało ludzi, którym, jak mówi akt z roku 1785, dnia 15 stycznia, łaska pana starosty na mocy prawa pisanego ząb za ząb. nie mogła w tém życiu dłuższego pozwolić życia, i po wysiedzeniu w wieży, na rynku przed ratuszem mieczem katowskim ukaranych mieć chciała. Ciekawy, choćby tylko dla stylu, ale za długo do przytoczenia ten akt, zawiera sprawę o przypadkowe zabicie żyda na drodze. Straszny wyraz *exequator* znajduje się w aktach, podpisany *manu propria* najdłuższego posiadacza Mławy, Jaśnie Wielmożnego Pana i Dobrodzieja starosty Adama Felixa dwóch imion Piotrowicza. Ten starosta grodowy mając władzę życia i śmierci nad trzydziestą tysiącami ludzi, mieszkającymi za Stanisława Augusta w ziemi Zawkrzyńskiej, panował samowładnie nad okolicą aż do ostatniego podziału kraju. Mieszkańcy miasta, którzy przegrali pociąg z Czarlińską, korzystając z postanowień sejmu z r. 1775, na którym postanowiono kassować sądy starościńskie, zaczynają proces z Piotrowiczem. Starosta osadza swym ludem drogi, i oblega niejako miasto, jęczące pod żelazną jego dłonią. Ale mieszczenie wymykają się (4) strażnikom starościńskim, i idą do Warszawy z prośbą o wybawienie z niewoli tego nowego Faraona. Zjeżdża komissya. Wyszukali przecie rajcy i ławnicy przynajmniej spisy przywilejów i nadań, stworzyli w nich nową chronologią, i otóż wyrok przychylny dla miasta (5). Pan starosta z przyczyny, że jego zamek drewniany stoi na gruncie

(1) Akta wójtowskie z d. 23 grudnia 1744 r.

(2) Akta radzieckie z r. 1748. Karta 251.

(3) Januszowski część 7 tytuł 15 fol. 595. Volumina legum tom II fol. 217 i tom VI fol. 485.

(4) Podanie żyjących.

(5) Akta miejskie z r. 1776.

miejskim, obiecał płacić na ratusz czynsz; Krajewscy mają oddać ziemię, zwaną Kliny, za to Nowa-wieś własnością starostwa przyznana, o Wólce zaś ani wzmianki nie było. Jeszcze ważny artykuł wyroku: kommissarze na mocy dawnych praw mazowieckich i synodów dyccezyalnych, zakazujących mieszkania żydom (1) w Mazowszu, kazali wyrugować ich z Mławy. Ale czyż te błotniste pijawki tak łatwo wywalić z miejsc, na których osiedli? Rozkaz ten wydano jeszcze i za pierwszej kommissyi, oni jednak i teraz dadzą szafranu i pieprzu panu staroście, ukłonią się sławetnemu prokonsulowi; dopiero we trzy lata muszą wynosić się z Mławy, kiedy pożar z ulicy żydowskiej, dziś Warszawską zwaną (2), wszczęty w dniu 19 sierpnia r. 1776 zniszczył 83 domów, i z pięciu ulic tylko stopy gruzów zostawił. Zniszczona Mława pożarem, wycieńczona procesami, w r. 1777 w całym mieście ledwie 718 dusz liczyła, a długu 733 czerwoných złotych. Otóż wygrali mieszkańcy na procesie ze starostą, prawie jak Zabłocki na mydle; z innej wszakże strony doczekali się zmiany, ograniczenia władzy starościńskiej. Na sejmie z roku 1775 postanowiono tak zwane kommissyje porządkowo-cywilno-wojskowe, i ta zasiadłszy w Mławie, ograniczyła władzę Jaśnie Wielmożnego Dobrodzieja miasta. Ale chwile polepszenia, to światło błyskawicy, to komety, które pokażą się na krótko, i znikną prawie bez śladu.

Dnia 27 maja 1793 roku zjeżdża do Mławy sejmik wojewódzki: przygotowanie na ostatni sejm w Grodnie. Całe województwo płockie pełne wojska pruskiego, nie ma go tylko w Mławie: miasto więc zaczyna się pisać wolnym rzeczypospolitą i Jego Królewskiej Mości (3), a w kilka miesięcy potem, dostaje się pod władzę pruską. *Capitaneus Mławensis* Piotrowicz traci swoją potęgę, ale jakby chcąc do śmierci rozkazywać Mławianom, przyjmuje urząd landrata, i w poleceniach swoich na początku życzy mieszkańcom zdrowia (4), w końcu tylko mały dodatek, że za niewypełnienie rozkazów czeka ich już nie wieża, lecz sztof, już nie na grzywny, ni złote, ni tyńfy, ale na silbergroschen i rejchsthaler liczony. Tym sposobem spadł miecz wsadzający nad głowę mieszkańców, ale otworzyła się nowa przepaść na ich kieszenie i woreczki. Wtedy poznali mieszczanie, a raczej doświadczyli na sobie skutków bajki biskupa warmińskiego o wyśle i strzelcu: zapomnieli o kiju, ale za każde przewinienie wołano na nich: *bezahl*. Wtedyto zapewne nauczyli się Mławianie wszystkie swoje postęпки stosować do tego, ażeby się im opłacili. Dziś jeszcze nietylko mieszczanie i chłopci, ale nawet niby oświeceni szałchta robi wszędzie i zawsze to tylko, co się

(1) Decreta synodi Plocensis r. 1733.

(2) Akta miejskie z r. 1776.

(3) Akta miejskie z r. 1794.

(4) Akta miejskie z r. 1799.

im opłaci: i dlatego ofiary, wyrzeczenie się osobistego zysku, poświęcenie dla dobra ogółu, to białe kruki w dawniej ziemi Zawkrzyńskiej; to tylko błędne ogniki, które dotąd nie wydały gwiazd jaśniejszych.

Starosta - landrath niedługo przeżył upadek swój dawniej władzy: umarł roku 1801. Imię jego czernieje dotąd na ratuszu miejskim; żyje jeszcze syn Walentego, co jeździł z ostatnim starostą po Niemczech, jako kamerdyner, a w Mławie jako prawa ręka pana, niejednego przez swoją radę skarał, lub uwolnił od szubienicy.

Drewniany o piętrze zamek spalił się jeszcze za Poniatowskiego, podobno w roku 1775. Mała kaplica w przyległej wiosce Wojnowce zakryła zwłoki ostatniego pana nad Mławą. Pół wieku nie ma już tam starostów, czas zaciera ślady ich bytu, zostawiwszy tylko nazwisko dawniej ich siedzibie, i kulawy łaciński napis na murach ratusza, w którym, nie wiemy kiedy *mieszkańcom i przychodniom, bogaczom i ubogim, jednakowa sprawiedliwość wymierzana była.*

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1855.

77. Kawaler w rezerwie. Komedya w trzech aktach. 8ka. Poznań. 1855. Nakładem J. K. Żupańskiego (druk N. Kamińskiego i Spółki). Napisów karta 1 i str. 114. Kop. 60.

Do nr. 67 Kroniki z r. 1855.

78. Listy z Krakowa. Napisał Józef Kremer. Tom trzeci. Dzieje artystycznej fantazji. Część druga. 8ka. Wilno. 1855. (na okładce rok 1856) Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Napisów kart 2 i str. 560.

79. Zachwycenie i Błogosławiona przez T. Lenartowicza (oddruk ze Szkołki dla młodzieży). 8ka. Poznań. 1855. Nakład J. K. Żupańskiego (druk M. Zoerna). Str. 54 i karta 1. Kop. 40.

1856.

35. Chata wuja Tom. Przez panią Stowe. Opowiadana dzieciom przez panią Arabelle Palmer. Przekład polski. (*Obok tytuł francuzki*) *La case de l'oncle Tom. De Madame Stowe racontée aux enfants par Madame Arabelle Palmer. Traduit de l'anglais.* 16ka. Warszawa. 1856. Nakładem A. Nowoleckiego (druk Gazety Codziennej). Kart napis. 2. i str. 253. (Text polski i fran. z 4 rycinami). Rsr. 1 kop. 35.

36. Maskarada w obłokach czyli podróż nadpowietrzna nad morze Północne. Przez Dra T. Tripplina. 16ka. 2 tomy. Wilno. 1856. Nakładem księgarni Rubena Rafałowicza (w drukarni Gazety Codziennej w Warsz.). Tom I, str. 354, Tom II, str. 376, i w każdym kart napis. 2. Rsr. 3.

37. O osuszaniu gruntów (drainage). Tłumaczenie z najnowszych dzieł francuzkich. Z 38 drzeworytami w texcie umieszczonemi. 16ka. Warszawa. 1856. Nakład i druk S. Orgelbranda. Str. 106 i rejestru karta I. Kop. 50.

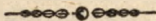
38. Stychiologia czyli nauka o początkach wszech rzeczy, zastosowana do potrzeb życia ludzkiego czynnego, tojest: na spełnianiu czynów ludzkich i ludzkością nacechowanych zasadzającego się. Przez Wojciecha Jastrzębowskię. Wydanie drugie poprawne i pomnożone. 8ka. Warszawa. 1856. W drukarni J. Jaworskiego. Napisów kart 2. Listy pren. kart 2, rejestru kart 4, przedmowy str. XXIV i 416. Omyłek karta I. Rsr. 2.

39. Wdowiec. Powieść we 2ch tomach przez Józefa Korzeniowskiego. 12ka. 2 tomy. Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Tom I str. 291. Tom II, str. 294, i rejestru karta I. Rsr. 2 kop. 50.

40. Wielki Czwartek. Obraz wioskowy, przez Władysława Syrokomlę. 16ka. Wilno. 1856. Nakład Maurycego Orgelbranda, (druk A. Marcinowskiego). Str. 96. Rsr. 1.

41. Zarysy towarzyskiego życia z dziewiętnastego stulecia przez L. P. 12ka. Poznań. 1856. Nakładem J. K. Zupańskiego (druk M. Zoerna). Napis. i przypis. str. VII i 130. Kop. 80.

42. Życie na żart. Szkic przez Alexandra Niewiarowskiego. 16ka. 3 tomy. Warszawa. 1856. W drukarni Gazety Codziennęj (główny skład w księgarni S. H. Merzbacha). Tom I str. 199. Tom II, str. 154. Tom III, str. 151, i w każdym napisów kart 2. Rsr. 2 k. 50.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

W. A. Maciejowski rozpoczął już druk dzieła swęgo: „Historja prawodawstw słowiańskich w VI tomach”. Jestto drugie wydanie zupełnie przerobione na nowo, i powiększone w najszerszych rozmiarach, tak, iż ta edycja za zupełnie nowe dzieło uważaną być może. Cena wynosi złp. 59. Dla ułatwienia nabycia, ogłosił autor prenumeratę: przy zapisie złp. 10, a przy odbiorze każdego tomu po rsr. 1.

— M. Fajans wydał „Album Warszawy,” wedle rysunków W. Gersona z natury, na kamieniu rysował J. Cegliński. Album to przedstawia wodotryski Warszawy: 1szy przy kolumnie Zygmunta; 2 przed ratuszem; 3 w Saskim ogrodzie; 4 zdroj na Starem-Mieście; 5 wodozbiór w Saskim ogrodzie. Odbicia wykonane w zakładzie M. Fajansa, przekonają każdego, że już możemy się obyć bez litografij paryżkich. Cena bardzo dostępna bo 2 rsr. z okładką fantastyczną.

— Gazeta Warszawska po ukończeniu „Pamiętników Ochockiego” rozpocznie druk powieści J. Korzeniowskiego: „Krewini”. — Gazeta Codzienna rozpoczęła druk powieści Z. Kaczkowskiego: „Starosta Hołobucki” a zapowiedziała w swoim odcinku powieść „Bakalarz” Włodz. Wolskiego; dalej ma drukować „Dziwak” Dra Tripplina; powieść z angielskiego tłumaczoną przez p. Pruszkowę p. n. „Latarnik z Bostonu” i powieść Bożenny „Doświadczenie”. Obecnie drukuje: „Obraz piśmiennictwa naszego w pierwszych 25 latach XIX wieku” przez Fr. S. Dmochowskiego. Będzie to ważny przyczynek do dziejów literatury naszej; Dmochowski bowiem miał w tych czasach przeważny w nich udział. Jako pisarz i jako redaktor pism wielu, połączony był jużto związkami przyjaźni,

już stosunkami literackimi ze wszystkimi niemal ówczesnymi literatami: mamy więc niewątpliwą nadzieję, że potrafi swój obraz w całej pełni przedstawić, i dosadnie scharakteryzować wszystkie postaci, które muszą ten obraz wypełnić.—Kronika krajowa i zagraniczna bogata w zajmujące i ważne korespondencje, rozpoczęła druk ciekawych pamiętników Rulikowskiego, uporządkowanych przez J. Bartoszewicza, i z bogactwami przypisami, zapowiadając druk J. Kraszewskiego: „Choroby wieku“.

— P. Józef Łoski obywatel, którego artykuł p. n. Galerya portretowa Sapiehów w Kodmu już umieszciliśmy, zamierza wszystkie te portrety ogłosić w oddzielnym wydaniu, z potrzebnym potem objaśnieniem. Przedmiot ten głównie zajął p. Łoskiego ze stanowiska artystycznego, pod względem różnorodności ubiorów. Z tego względu uważając, wydanie zamierzone niemałą odda przysługę dla starożytności narodowych. Tenże sam p. Łoski przygotowuje do druku katalog portretów tak panujących królów polskich, jako też i wszystkich Polaków, jakie w kraju zachowały się dotąd, porządkiem alfabetycznym. Będzie to ciekawy i ważny podręcznik dla artystów naszych, którzyby potrzebowali do kompozycji swoich użyć czyto postaci historycznych, czy sprawdzić właściwych czasów ubiory.

— Dzieło, o którym już donosiliśmy: „Obraz literatury średniowiekowych ludów, a mianowicie Słowian i Niemców“: przekład z dzieła F. G. Eichoffa, S. z Ż. Pruszkowej, z dodatkami i poprawą co do literatury Słowian W. A. Maciejewskiego, już w druku ukończone (w 2 tomach) i wkrótce wyjdzie na widok publiczny. Z powodu, że w wydaniu tem W. A. Maciejewski jedne rozdziały całkowicie dodał, inne przerobił w zupełności, w przedmowie przeto sam mówi: „Bez dodatków porobionych przezemnie do dzieła, byłoby ono dla nas, Słowian, nietylko mało, ale nawet wcale bezużyteczne, jako pełne rażących błędów. Autor bowiem nawet wyobrażenia nie miał i nie ma o literaturze słowiańskiej, i na stosunek jej do literatury ludów Europy zachodniej z myślnego zapatrywał się stanowiska. Prostując więc go w tem, co mylnie powiedział, tudzież dopełniając czego nie powiedział, przekreśliłem jedne rozdziały dzieła w części lub zupełnie, a w ich miejsce co innego postawiłem; inne uzupełniłem, inne nakoniec przerobiłem. Za takie z cudzą własnością obejście się, zagospodarowanie nie w swoim domu do wolne, sądzę że mi nikt nie nałaje: samego autora, a dzieła tego właściciela, nie wyjąwszy. Wszak czyniąc tak, nie siebie, lecz dobro jego miałem na uwadze, albo raczej wspólne dobro dwóch literatur słowiańskiej i niemieckiej, główną w dziele odgrywających rolę miałem na względzie, wykazując, jak jedną rozwijającą się odrębnie od drugiej zbliżył przez pieśń serbską nieznacznie do siebie, daleki starożytnych Swewów potomek, wiekopomny Gothe“.

— Panna Józefa Smigielska ogłosiła prospekt na pismo zbiorowe dla młodego wieku p. n. „Zorza“. Wychodzić ma zeszytami; trzy zeszyty stanowić będą tom jeden. Prenumerata półroczna w Warszawie wynosi rsr. 1 kop. 20, na prowincyi rsr. 1 kop. 50. Pierwszy zeszyt ma wyjść 1 lipca r. b.

— Dr. Teodor Tripplin wykończy obecnie: „Historiją Szwecyi, w porównaniu z dziejami Polski“. O ile wnosić możemy z części dzieła któreśmy widzieli, będzie to praca w obszernych rozmiarach.

— Myśl, którąśmy rzucili (w zeszycie majowym r. b. Bibl. Warsz.) o wzniesieniu pomnika ks. Gabryelowi Piotrowi Baudoin, założycielowi szpitala podrzutek Dzieciątka Jezus, może się wkrótce urzeczywistnić. Redakcja Kuryera Warszawskiego już zbiera ofiary, na ten cel piękny składane. Mamy otuchę, że potrzebny fundusz na skromny pomnik wkrótce się uzupełni.

— W r. b. d. 5 maja odbyło się w Kopenhadze posiedzenie coroczne towarzystwa król. starożytników północy, pod prezydencją N. króla duńskiego Fryderyka VII. Na niem ogłoszeni zostali, jako nowe wy-

brani, na członków założycieli towarzystwa: Alexander Przedziecki i Edward Rastawiecki współredaktorowie Biblioteki Warsz.

— Zeszyt I zapowiedzianego dzieła Oskara Kolberga: „Pieśni ludu polskiego z melodyjami i rycinami” już wyszedł z druku, i obejmuje dumy i pieśni; po ich zbiorze znakomitym pójdą klechdy czyli powieści ludowe przeplatane pieśniami, a następnie mazurki i wyrwasy czyli obertasy czysto mazowieckie. Wydanie staranne i ozdobne.

Wilno. (Z listu do K. Wł. Wójcickiego Władysława Syrokomli). Borejkowszczyzna 24 maja 1856. „Wasze Powązki cudna rzecz! Obrobienie i sumienne i artystyczne, a materyał do politycznej i wewnętrznej historii krajowej nieporównany. Grajek uliczny, dzielny wiarus, mąż stanu, młode dziewczę, autor, aktor, kompozytor: każdy w miarę tego jak mu przyspiano ziemią oczy, znalazł tu miejsce. Bóg i potomność powinni wam nagrodzić to religijne uszanowanie, z jakim podjęliście wieka trumien, i z każdej wyjęli charakterystyczną relikwią. Co mi się serdecznie podoba, to ta względność na każdy rodzaj zasługi, to ten stosowny do charakteru każdej osoby obraz bez przesadzonych pochwał, i bez nagany; obraz, co przedstawia człowieka nie jakim mógł być, lecz jakim był rzeczywiście. Z przedziwnym taktem zastosowaliście się do przysłowia: „*de mortuis aut bene aut nihil*” nie mijając się z prawdą i pamiętając, że pisać historyę, nie zaś książkę pagniryczną dla schlebiana próżności, lub uczuciom pozostałych krewnych. Kiedy wydacie cały Opis warszawskich cmentarzy i przebieżycie starsze czasy, sądzę, że ta publikacja zamieni się w peryodyczną, jak cmentarna metryka w miarę przybywających do ziemi materyałów. Na waszém miejscu, tak dobrze rzecz rozpoczawszy prowadziłbym ją przez całe życie, a testamentem przekazałbym komu jej dalsze prowadzenie i tak *in saecula*. Bogdajby tylko ten ktoś z taką zręcznością i miłością rzecz prowadził, jak wy to czynicie. W takim razie, każdy z mieszkańców Warszawy kładłby się do trumny z myślą otuchy *non omnis moriar*, a nawet ludzie obcy mieliby chętkę tutaj przyjeżdżać i unierać, tak jak ja czuję tę pokusę, pomimo drugiej, równie silnej żądy, złożenia kości między swemi.

Głowę do trumny złożę w weselu,
Jeżeli pójdą za moją trumną
Ci, co kochałem... To nazbyt tłumno,
Bo ja kochałem wielu, oh wielul
Ja śmiałych chęci nie puszczam dalej,
Niech tylko przyjdą, co mnie kochali!

Co mnie kochali wiernie a szczerze
Niewielka liczba: dwoje czy troje.
Niechajby przyszli i wrogi moje,
I tych się może ze trójka zbierze.

Tak na pokładzin moich obrzędzie,
Summa summarum sześć osób będzie.
A siódmy pójdzie kapłan życzliwy,
A ósmy dzwonnik, czegoż potrzeba?
Dziewiąty—wietrzyk z rodzinnej niwy,
Dziesiąty—dészczyk z naszego nieba.

W takim orszaku, niechaj mię żwawo
Wilgotnej ziemi pościel otuli;
Niech mię pokropią kropelką łzawą,
I zaśpiewają *tacińskie luli!*
Ukołysany, rad z mojej doli,
Boleści życia wyspię powoli.

Oh! te boleści wiecznie napędzą grobowych myśli, które nie są ani chrześciańskim heroizmem rezygnacyi, ani nawet czémś rozpaczli-

wem, ale poprostu wynikiem lenistwa, które zbolełemu przedstawia w uroczem świetle trumnę jako wypoczynek:

„A sumienie swoje gada,
Jedną temę wciąż obraca:
Ha! mospanie trudna rada,
Wypoczynek! a gdzież praca?

Wielka sztuka!.. dłoń leniwa
Że na piersiach już się złoży!
A tyż byleś *najmit* Boży,
A gdzież sterty z twego żniwa?

Tyś ogrodnik niwy Pana,
Czemuż grządka twa jałowa?
Rydlęm czynu, ziarnem słowa,
Czy skopana? czy zasiana?

Placz, czy nie płacz, ale szczerzěj
Nuż pracować nad twą grzędą!
Nieproszony zmrok nadbieży,
O robotę pytać będą.

Zawstydzony spuścisz oczy,
Jak własnego życia złodziej;
A gdy ciemność cię otoczy,
Ty się usnąć ani spodziej!

Ludziom czynu śnić z rozkoszą
O swěj pracy, o zasłudze!..
Brzydkie mary sen twój spłoszą,
Ja ze drzymki cię rozbudzę,

I jak zmiąja co się wwierci,
I aż w sercu żądłem kole:
Jak za życia, tak po śmierci
Będę jątrzyć twoje bole!”

Śliczna perspektywa, a wy jeszcze w Bibliotece z przekąsem napadacie na mój pośpiech (1).

Kiedy nam życie pędem ucieka,
Gdy niespełnione co rozpoczęte:
Mówi Warszawska Biblioteka
Festina lente!

Myśl bije w czoło, iza tryska w oczy,
A w pulsach szumią krwi fale wzdęte:
Ty jednak hamuj zapęd ochoczy,
Festina lente!

Inaczěj ludzie mówić gotowi,
Ze ciebie księgarz wziął na przynęte;
Chcesz się spodobać recenzentowi?
Festina lente.

(1) Jestto odpowiedź naszego poety na korespondencyą umieszczoną w przeszłym zeszycie Biblioteki, gdzie rzucono uwagę: czy zamawianie utworów dopiero pomyślanych a niewykonanych, przez chciwych przedsiębiorców księgarskich, nie wpłynie szkodliwie na nie przez naglący pośpiech. Ulubiony nasz wieszcz, w liście drugim p. n.: *Hebdomadalia*, w Gazecie Warszawskiej nr. 149 ogłoszonym, więcej się rozpisał o tym zarzucie i z serdecznym żalem wynurzył. My dziękujemy naszemu korespondentowi z Wilna, że rzuconą tylko i dorywczą uwagą dał powód do tak pięknej odpowiedzi p. Syrokomli, jaką czytaliśmy w pomienionem piśmie.

Kiedy nakarmić nędzę potrzeba,
I powinności dopełnić święte:
Radź zgłodniałemu co prosi chleba,
Festina lente.

— Wydawca nowego Słownika języka polskiego i wielu utworów Syrokomli, Maurycy Orgelbrand drukuje: „Życie świętej Jadwigi” napisane przez ks. Lipnickiego.—Syrokomla zbiera materiały do noworocznika swego Barcie, który zamierza ogłosić: będzie to słiczny podarunek dla literatury naszej, bo oprócz znanych imion, i nowe tu poznamy talenta. M. Orgelbrand najdalej w ciągu przyszłego kwartału rozpocznie druk Słownika polskiego. Wkrótce spodziewamy się, że będziemy mieli opis historyczno-krytyczny pięknych zbiorów starożytności, które już są zgromadzone w naszym starym grodzie Wilnie, i uporządkowane w dawnym gmachu uniwersytetu wileńskiego.”

Berlin. „Wyszła tu, u braci Schlesinger, rozprawa Józefa Kazimierza Plebańskiego p. n. „*De successoris designandi consilio vivo Joanne Casimiro polonorum rege*” (w 4ce str. 246 i kart 10). Sumienna to praca, a wydatne postaci jak Maryi Ludwiki, Lubomirskiego i. w. i. starannie opracowane, w innych jak dotąd przedstawia zarysach. W końcu dodana jest, jako przypisek, obszerna i zajmująca rozprawa: *de nunciorum poloniae terrestium „Libero Veto”*.

Odkryto teraz pisarza nieznanego, Słowianina Etyka z III wieku po Chrystusie, który w swęj kosmografii (przełożonej z greckiego na język łaciński przez świętego Hieronima) opisuje kraje owocniejszej Europy, a z uniesieniem patriotycznym daje obraz słowiańskich krajów. Młody badacz nasz Kazimierz Szulc z Wrocławia, ma się zająć wydaniem tego ważnego pomnika, co rzuci wielkie światło na tak odległe a zamroczone wieki.

Krakow. „Ks. Zygmunt Golian przełożył dzieło ks. Ventury „Niewiasty Ewangeliczne,” i zeszytami wydaje.—Wyszedł z pod prasy drukarskiej: Wykład terapii fizyologicznej (z Rychtera) z dopełnieniami tłumacza prof. Skobla. Wkrótce ujrzycie nowe dzieło Dra Majera p. n. „Fizyologia zmysłów”.

Wrocław. Jużesmy dawniej donieśli o zamiarze pana J. M. Fritz'a, ogłaszania w przekładzie niemieckim piękniejszych powieści polskich. Zamiar ten spełniony został: podajem list otrzymany od szanownego tłumacza: „Oddawna już pragnąłem, przekłaść dzieł znakomitych pisarzy polskich zaznajomić publiczność niemiecką z utworami belletrystyki sąsiedniego narodu, założeniem biblioteki, w ciągłym następstwie powieści celniejszych autorów współczesnych, zawierających w sobie mającej. Nakładca tutejszy J. Urban Kern podał mi do tego rękę, a ja rozpocząłem szereg, Ostapem, p. Kraszewskiego. Jak każde przedsięwzięcie nowe trafia na rozmaite trudności i przeszkody, tak i moje zapewne od nich nie będzie wolne. To jednak bynajmniej nie potrafi wstrzymać mnie od dalszego prowadzenia tego, co z wielkim rozpoczęciem zamiłowaniem: ustałoby wtedy dopiero, gdyby nakładca w wydawaniu rzeczywiście widział stratę. Prasa to przedewszystkiem i najskuteczniej wspierać może a pochlebiam sobie, że nie mylę się w przypuszczeniu, że Polska szczególnie nie odmówi mi wstawienia się swego. Tłumacz połączył w przekładzie dwie powieści oddzielnie w polskim języku wydane: Ostapa Bondarczuka i Jarynę, jako jedną całość stanowiącą, i wydał pod ogólnym napisem: „Polnische Roman-Bibliothek. Ostap und Jaryna von J. I. Kraszewski, nach dem polnischen deutsch herausgegeben von J. N. Fritz. (Erster Theil. Ostap. Zweiter Theil Jaryna). Breslau. Verlag von J. Urban Kern, 1856” w 12ce.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Miejsce dostawczy wzniesione jest 307,8 stopni parzystich na
14-144-152,7 stopni w roku 1841-152

BAROMETR w miarce sroprawdy 550		TERMOMETR elektrometryczny				Opisowa godzina	Dzień
0	10	20	30	40	50		
744.5	745.0	745.5	746.0	746.5	747.0		1
745.0	745.5	746.0	746.5	747.0	747.5		2
745.5	746.0	746.5	747.0	747.5	748.0		3
746.0	746.5	747.0	747.5	748.0	748.5		4
746.5	747.0	747.5	748.0	748.5	749.0		5
747.0	747.5	748.0	748.5	749.0	749.5		6
747.5	748.0	748.5	749.0	749.5	750.0		7
748.0	748.5	749.0	749.5	750.0	750.5		8
748.5	749.0	749.5	750.0	750.5	751.0		9
749.0	749.5	750.0	750.5	751.0	751.5		10
749.5	750.0	750.5	751.0	751.5	752.0		11
750.0	750.5	751.0	751.5	752.0	752.5		12
750.5	751.0	751.5	752.0	752.5	753.0		13
751.0	751.5	752.0	752.5	753.0	753.5		14
751.5	752.0	752.5	753.0	753.5	754.0		15
752.0	752.5	753.0	753.5	754.0	754.5		16
752.5	753.0	753.5	754.0	754.5	755.0		17
753.0	753.5	754.0	754.5	755.0	755.5		18
753.5	754.0	754.5	755.0	755.5	756.0		19
754.0	754.5	755.0	755.5	756.0	756.5		20
754.5	755.0	755.5	756.0	756.5	757.0		21
755.0	755.5	756.0	756.5	757.0	757.5		22
755.5	756.0	756.5	757.0	757.5	758.0		23
756.0	756.5	757.0	757.5	758.0	758.5		24
756.5	757.0	757.5	758.0	758.5	759.0		25
757.0	757.5	758.0	758.5	759.0	759.5		26
757.5	758.0	758.5	759.0	759.5	760.0		27
758.0	758.5	759.0	759.5	760.0	760.5		28
758.5	759.0	759.5	760.0	760.5	761.0		29
759.0	759.5	760.0	760.5	761.0	761.5		30
759.5	760.0	760.5	761.0	761.5	762.0		31

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Maj, 1856.

	m.	°	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.143	27	6.875
Najwyżej barometr dochodził d. 10 o g. 6 r.	756.26	27	11.248
Najniżej — — — d. 17 o g. 6 r.	732.85	27	0.870
Średnia zmiana dzienna barometru	3.216		1.425
Największa zmiana dzienna barometru d. 17—18 o g. 10 r.	11.67		5.173
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	3.010		1.221
Średnia temperatura maja wynosi:	749.153	27	8.096
i ta jest niższa o	+ 12 ^o .60 C.		+ 10 ^o .08 R.
od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	0.94 „		0.75 „
Największe ciepło było d. 29 o g. 4 w.	+ 13.54 „		+ 10.83 „
Najmniejsze — — — d. 6 o g. 6 r.	+ 24.6 „		+ 19.68 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	+ 1.8 „		+ 1.44 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 16—17 o g. 4 w.	2.986 „		2.389 „
Termometrograf wskazał:	11.7 „		9.36 „

Maximum: +21^o.9 R. d. 30 po połud.

Minimum: + 1^o.2 „ d. 6 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 73.1, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 8.26 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 0.04 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 72.7 mil. czyli 32.23 lin. par.; ilość ta wody jest o 6.16 lin. par. większa od tej, jaka średnio w maju spada.

Dni pogodnych było 2, napół pogodnych 10, pochmurnych 19.

— deszczu 18 (d. 2, 3, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 14, 15, 17, 18, 20, 21, 23, 25, 26, 31).

— gradu 1 (d. 2).

— grzmotów 2 (d. 2, 23).

Wichrów 2 (1 Z., PdZ.).

Wiatrów mocnych 12 (5 Z., 4 PnZ., 1 Pd., 1 PnW., 1 W.).

Wiatr panujący: Zachodni.

Maj r. b. był niepogodny, chłodny, wietrzny, w deszcz obfity. Pierwsze dwa dni były ciepłe, następne sześć chłodne, ostatnie 23 dość ciepłe, w ogóle o 0.75 stop. R. chłodniejszy niż zwykle. Dzień 6 był osobliwie chłodny, z rana termometr pokazywał tylko 1.2 stop. R. a średnia temperatura całodzienna wynosi 2.38 stop. R. Trzy dni: 11, 12, 13 (św. Mamerta, Pankracego, Serwacego) które zwykle bywają chłodne, w tym roku przeciwnie, były od pierwszych dziesięciu dni, cieplejsze. Dni najcieplejsze były d. 23, 24, 28, 29, 30; najchłodniejsze d. 3, 4, 5, 6, 7, 8. Barometr utrzymywał się nisko, średnia jego wysokość jest 27 cali 6.88 lin. par. mniejsza od normalnej, co w ciągu 30 lat poprzednich dwa razy tylko miało miejsce to jest w r. 1837 i 1845. Stan nieba był niepogodny i zmienny. W stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5.6 : 13.8 : 11.6; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 2 : 10 : 19 co pokazuje iż maj r. b. był mniej pogodny niż zwykle. Dni 25 i 26 odznaczały się obfitą i prawie ciągłym deszczem, ilość wody spadłej w dwóch tych dniach wynosi 16.9 lin. par. to jest przeszło połowę ilości wody całomiesięcznej. Stan wody na Wiśle pod Warszawą, największy dochodził stop. 8 cali 6, d. 30; najmniejszy stop. 3, cali 7 d. 15 i 16.

D^r JAN SIESTRZYŃSKI,

b. nauczyciel warszawskiego Instytutu głuchoniemych, założyciel
pierwszej litografii w Polsce.

PRZEZ

Ludwika Jenike.

Patrzajże, aby światło, które jest w tobie,
nie było ciemnością.

(*Ev. św. Łuk. XI, 35*).

Poświęcenie się, praca użyteczna, miłość bliźniego, sąto wyrazy, które dziś każdy prawie nosi na ustach, lecz mało i bardzo mało jest takich, którzy umieją czynem wprowadzać je w życie. Nie ubliżymy przez to szlachetnym dążeniom wielu osób dobroczynnych, jeżeli zwrócimy tu uwagę, że łatwiej stokrotnie zdobyć się na jaki datek pieniężny, choćby téż z lekkim zwykłych swoich potrzeb ograniczeniem, aniżeli w pracy mozolnej i często niewdzięcznej wszystkie siły ciała i ducha ponieść w ofierze ludzkości. Trudno to, trudno zaprawdę, a trudniej jeszcze wyrwać w podobnym poświęceniu! Dających pieniąż wszędzie jest wielu, a u nas może więcej jak gdziekolwiek; ale dających miłość i pracę, pojmujących i wykonywających wzniosłe słowa ewangelii: „*Przyjdź i naśladowaj mię wzięwszy krzyż*”, takich na krocie zaledwo znajdzie się jeden.

Ludzie, jak ks. Baudoin założyciel szpitala Dzieciątka Jezus, jak Dr. Janikowski b. prezes warszawskiego towarzystwa dobroczynności, jak ks. Falkowski b. rektor warsz. instytutu głuchoniemych, (że nie wymienim tu innych), którzy taką po

sobie zostawili pamięć, iż po śmierci naprzykład ostatniego, głuchoniemi, tracący w nim ojca i dobroczyncę, w prostocie swych dziecinnych i nawpół tylko rozwiniętych pojęć, chcieli modlić się nie *za niego*, ale *do niego*, bo już go za życia uznali świętym; tacy mówimy ludzie godnemi zaprawdę są apostołami ewangelii, godnemi rozsiewcami chrystyanizmu, co pełną dłoń rzucili jego ziarna na niwę poświęcenia, i w sercach wdzięcznych, uszczęśliwionych przez siebie bliźnich ujrzeli kielkujące ich zarody! Do szczupłej liczby tych wybranych, pojmujących cel życia w cichej i użytecznej pracy, zaliczyć wypada i ś. p. Dr. Sierzyńskiego: człowieka pomimo wielkich swoich zasług mało bardzo znanego, bo mało się komu udzielał, bo nie umiał wynosić się przed światem z tego, co prostą uznawał powinnością, nie umiał, podług słów ewangelii, *światła swego stawiać na świeczniku*. Pisały wprawdzie o nim dawniejsze pisma krajowe, jak: *Izys polska*, dziennik poświęcony wynalazkom, kunsztom i rękodzielom, wydawany w Warszawie przez Gracyana Korwina (r. 1820), *Pszczola Polska*, wychodząca we Lwowie pod redakcją Walentego Chłędowskiego (r. 1820), *Gazeta Literacka* (r. 1821) i t. p.; wspomniał w nowszym czasie ks. T. Firsiukowski w wiadomości historycznej o warszawskim instytucie głuchoniemych (Pam. rel. moral. r. 1841) i w życiu ks. Jakóba Falkowskiego (Warsz. 1850), a Wieniarski w jednym z swych obrazków pod tytułem „*Wiązka gałęzi*” (w *Księdze świata* serya IV, i w dziełku „*Nasze strony i nasi ludzie*”) mimochodem na grób jego rzucił gałązkę. Ale z tych głosów współczesne oddawna przebrzmiały, późniejsze zaś, jako proste tylko wzmianki, przeszły niepostrzeżone. Dopiero szanowny J. Piwarski wskrzesił godnie jego pamięć, dając nam w ostatnim okładzie swego Kramu malowniczego wizerunek Sierzyńskiego z króciutką biografią, którą rozwinąć tu nieco obszerniej i uwydatnić ile możności tę postać skromną i szlachetną, opromienioną aureolą poświęcenia, będzie mojem zadaniem. Skąpe wprawdzie ku temu posiadam materiały, bo oprócz niektórych wskazań i objaśnień ustnych, oprócz kilku dokumentów urzędowych podających same tylko daty, i rękopisu dzieła, o którym niżej będzie mowa, nic prawie nie znalazłem; ale i to, co zebrałem wystarczy na wzniesienie skromnego pomnika człowiekowi, który więcej może od wielu głośno sławionych, na niego zasłużył.

Jan Siestrzyński urodził się 24 czerwca 1788 r. w Szczebrzeszynie, z Kazimierza i Konstancyi z Zawadzkich. Ojciec jego był dwadzieścia kilka lat pisarzem propinacyjnym w dobrach ordynacyi Zamojskiej. Wziąwszy później w dzierżawę propinacją około Zamościa, osiadł w Szczebrzeszynie; ale stracił na nią zupełnie, i wkrótce odumartł żonę z trojgiem nieletnich dzieci, z których Jan był najmłodszym. Matka jego, żadnych nie mając funduszków, zamieszkała najprzód przy siostrze swojej z jednej matki, ale z innego ojca, Tekli z Wieruskich Dziewulskiej (do dziś dnia żyjącej 80-letniej staruszki) we wsi Bzowcu między Szczebrzeszynem i Turobinem, a później u wuja swego Gruszeckiego w Galicyi. Młodego Jana kosztem majątniej ciotki, prezesowej Skwarczyńskiej we Lwowie, oddano do b. liceum Zamojskiego, gdzie ukończywszy chlubnie kurs przepisany, przyjęty został w r. 1809 do galicyjskiego ekonomicznego instytutu, którego kuratorem był wtedy Józef Maksymilian hr. Ossoliński. Po wcieleniu atoli w tymże roku b. obwodu zamojskiego w granice b. księstwa warszawskiego, Siestrzyński, jako cudzoziemiec, oddalony z instytutu, udał się do Wiednia, dla słuchania wyższych nauk w tamecznej wszechnicy.

W Wiedniu przez trzy lata z własnej utrzymując się pracy, bo słabo tylko wspierany od Skwarczyńskich i stryja Jana, sędziego w Stanisławowie, uczęszczał na odczyty medycyny, a złożony w r. 1813 tak zwane *examina rigorosa*, i uzyskawszy dyplom magistra chirurgii i akuszeryi, został asystentem przy powszechnym szpitalu wiedeńskim. Znakomite to było stanowisko, jak dla młodego, poczynającego lekarza; zapewniało mu ono byt wprawdzie skromny, lecz niezależny i świetne na przyszłość widoki. Obok właściwych powołaniu swojemu zatrudnień, Siestrzyński zajmował się już wówczas pracą nad dziełem swoim „Teorya i mechanizm mowy”, i myślał nawet ogłosić je drukiem, jak dowodzi korespondencya jego z prezesem Skwarczyńskim prowadzona. Ale była to praca w wolnych jedynie chwilach przedsiębrana, z ogólnym tylko celem ułatwienia nauki czytania i pisania dla dzieci, bez zwrotu jeszcze szczególnego do nauczania głuchoniemych. Dopiero przybycie w r. 1815 do Wiednia ks. Falkowskiego, (który kosztem rządu nowowskrzeszonego Królestwa polskiego wysłany został za granicę dla zwidzenia instytutów głuchoniemych, będąc sam przeznaczonym na kierownika podobnego zakładu w Szczucz-

nie) (1), wpłynęło stanowczo na dalszy los Siostrzyńskiego, przerywając nagle jego zawód lekarski, i inny zupełnie całemu jego życiu nadając kierunek. Wrażliwemu, gorąco kraj i ludzkość miłującemu młodzianowi dosyć było wspomnieć o sposo-

(1) Nie od rzeczy będzie przytoczyć tu w krótkości głównejsze koleje, jakie przechodził warszawski instytut głuchoniemych od zawiązku swojego, aż do stanu dzisiejszego rozwinięcia. Wiadomość o tem czerpałem z akt miejscowych instytutu i Kom. Rząd. Spraw Wewn., tudzież z historyi warszw. instytutu głuchoniemych, ogłoszonej w Pam. rel. moral. z r. 1841 przez ks. T. Firsiukowskiego i żywota ks. Jakóba Falkowskiego, tegoż autora.

Jeszcze w r. 1809 b. warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk wyznaczyło publiczną nagrodę temu, kto by zaprowadził, urządził i utrwalił w kraju naukowy przybytek dla głuchoniemey młodzieży. Jednakże sześć lat upłynęło, a nikt nie miał odwagi sięgnąć po wieniec zastęgi, podawany ręką tylu znakomitych mężów. Dopiero w r. 1815 oczy miłujących dobro ludzkości zwróciły się na księdza Jakóba Falkowskiego, plebana i rektora szkoły w Szczuczynie w b. województwie augustowskiem, który od kilku już lat z własnego natchnienia i podług własnego pomysłu zajmował się skutecznie nauczaniem głuchoniemego Piotra Gąsowskiego. Wezwany przez ówczesnego prezesa b. Izby edukacyjnej, hr. Stanisława Potockiego, do Warszawy, ks. Falkowski, otrzymawszy rsr. 270 na kosztą podróży i zakupienie potrzebnych książek, puścił się do Wiednia. Ale droga własnymi odbyta końmi, a bardziej jeszcze długi pobyt w Krakowie z powodu formalności paszportowych, nadwreżyły znacznie ten szczupły zasiłek rządowy. Przybywszy do Wiednia z trzema uczniami głuchoniemymi, których zabrał z sobą dla doświadczenia na nich tego wszystkiego, czego sam się nauczył w tamecznym instytucie, ks. Falkowski znalazł się bez żadnego prawie sposobu utrzymania. Nie zrażony jednak przeciwnością, cnotliwy kapłan postanowił, wzorem Baudoin'a, chodzić od domu do domu, dla wyproszenia potrzebnego funduszu u zamożniejszych Polaków. Szczęśliwym trafem pierwszy zaraz krok jego w tej mierze stanowczy odniósł skutek: bawiący wtedy w Wiedniu książę Henryk Lubomirski szczerobliwą dłonią tak hojnie go zasilił, że mógł umieścić wychowawców swoich jako pensyjonarów w instytucie wiedeńskim, a sam bez dalszego kłopotu materialnego, poświęcać się zgłębianiu zaprowadzonej tam na wzór ks. de l'Épee metody nauczania głuchoniemych.

Po sześćcio-miesięcznym pobycie w stolicy Austrii spędzonym śród pracy nieustannej, ks. Falkowski w r. 1816 powrócił do Warszawy i otrzymał zasiłek roczny rsr. 150 wynoszący, z obowiązkiem utrzymania własnym kosztem w Szczuczynie dwóch głuchoniemych. Zarodek ten dzisiejszego instytutu, w miesiącu wrześniu 1817 r., z rozkazu b. Kom. Rząd. Wyzn. Rel. i Ośw. Puhl. przeniesiony został do Warszawy, i umieszczony naprzód w oficynie pałacu Kazimirowskiego, gdzie ks. Falkowski, mianowany rektorem nowego zakładu, mieścić się musiał z uczniami w dwóch małych izdebkach. Etat instytutu wynosił wtedy rsr. 1,800, z których przeznaczono: na pensyą rektora rsr. 600, na pensyą nauczyciela rsr. 450, na pensyą pomocnika nauczyciela rsr. 240, na pensyą dozorczyńni rsr. 240, na stypendya dla dwóch uczniów rsr. 150, reszta rsr. 120 na opał i nadzwyczajne wydatki.

Łatwo pojąć, że fundusz tak mały, przy szybkim napływie dzieci płci obojga, nie mógł być wystarczającym na potrzeby instytutu, pomimo że szanowny rektor w pierwszych latach pensyą swoją całkowicie ustępował, a dozorczyńni pani Pers, zamiast 240, pobierała początkowo tylko 45 rsr. Lokal dotychczasowy okazał się wkrótce niedostatecznym;

bności służenia jednemu i drugiej, by już na zawsze ciałem i duszą go pozyskać. „O! jak miło mi było, mówi on sam w przedmowie do zostawionego w rękopiśmie dzieła, połączyć się z tym mężem (Falkowskim, dla wspólnego interesu ludzko-

musiano więc nająć obszerniejszy w gmachu Wizytkowskim przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, co znowu znacznie powiększyło koszta utrzymania zakładu. Ale pomoc rządowa, ofiary osób dobroczynnych, szczególnież zamożniejszych rodziców mających dzieci w instytucie, i starania rektora nie przestawały go zasilać. W. p. J. C. W. Wielki książę Konstanty przeznaczył rsr. 180 jako stypendyum dla głuchoniemiej uczeniocy; Ludwik Osincki, ówczasowy dyrektor b. Teatru narodowego, ofiarował corocznie dochód z jednego widowiska, w porze najwięcej obiecującej wpływu; starozakonny Berko Szmul Sonnenberg, właściciel posiadłości zwaney Szmulowizną, na stały fundusz instytutu przeznaczył summę rsr. 3,375, która po zrealizowaniu do rsr. 4,650 wzrosła; książdz Stanisław Staszic rsr. 6,750, po zrealizowaniu tylko rsr. 1,486 kop. 57; Szezynger obywatel miasta Warszawy, książę Edward Lubomirski, radca stanu Augustyn Gliński, Judyta Jakubowiczowa, Edward Rakiety i inni złożyli również datki mniej więcej znaczne.

Dzięki tak ochotnie zewsząd zjawiającej się pomocy, etat instytutu w r. 1820 wynosił już rsr. 2,220, i utrzymywano w nim około 30 wychowańców. Nauczycieli i nauczycielek było osób 7, a nadto chirurg rocznie opłacany. Migdalski, mechanik warszawski, za małym wynagrodzeniem uczył stolarstwa, tokarstwa i mechaniki. Mile, a po nim Malcz, pełnili bezpłatnie obowiązki lekarzów. Mimo to wszakże potrzeby instytutu o wiele jeszcze dochód przewyższały. Szczególniej czuć się dawał brak kąta własnego; bo lubo lokal w domu PP. Wizytek dosyć był obszerny, narażał jednak na koszta najmu i liczne niedogodności. W tym samym np. domu istniejący szynk gorzałczany prawdziwym był kamieniem obrazu dla głuchoniemych wychowańców, gorsząc ich nieustannie widokiem pijaństwa i rozpusty, a ztąd nakłaniając do złego. „Głuchoniemi, mówi o tém bardzo zasadnie autor zacytowaney broszury o ks. Falkowskim, dla których dar wzroku jest jedynym przewodnikiem do nabywania wiadomości wszelkiego rodzaju, a których uszy na uwagi rozsądku są zamknięte, skwapliwiej nierównie niż inni zwyczajni ludzie naśladować usiłują to wszystko, cokolwiek dobrego lub złego przed sobą zobaczą. Ze zaś ludzka natura zawsze, a tém bardziej w dzieciństwie, więcej jest skłonną ku złemu niż ku dobremu: łatwy więc domysł jak bardzo lekkać się należało o dalsze w przyszłości następstwa dla głuchoniemych wychowańców instytutu, którym sąsiedztwo szynku, samych tylko brudnych dostarczało przykładów.”

Niezumordowany w staraniach i niewyczerpany w pomysłach ks. Falkowski używał najrozmaitszych, niekiedy bardzo dowcipnych sposobów, przysporzenia sobie dochodu. Autor przytoczonej już kilkakrotnie broszury następujące w tym względzie opowiada zdarzenie: „J. C. W. Wielki książę Konstanty, oceniając zasługi i trudy ks. Falkowskiego, ciągle go zaszczyczał wysoką swą łaską, a przypuściwszy do bliższej poufałości, pozwalał mu bardzo często bywać w Belwederze. Dnia jednego żartobliwy książę w przystępie wesołości, dla zabawy, skromnemu kapłanowi *Ojcie nasz* po łacinie kazał odmawiać. Posłuszny ks. Falkowski, domyśliwszy się, że książę pod pozorem pacierza myśl dobroczynną ukrywając, do proszenia o jaki zasiłek dla instytutu zachęcić go pragnie, odmówił połowę pacierza jak należało; w drugiej przeciw połowie po wyrazach *panem nostrum quotidianum*, dołożył niebawem: *et domum nobis necessarium da nobis hodie*; a Wielki książę, zdziwiony niezwykłym dodatkiem ks. Falkowskiego, zapytał, czemu modli-

ści! Już wcale na nic świetniejszego pomnąć nawet nie mogłem. Odtąd wszystkie moje usiłowania temu celowi poświęciłem”.... i t. d. I rzeczywiście nie marzył od téj chwili Siestrzyński o niczém, jak tylko o powrocie do Królestwa Polskiego i zupełném oddaniu się usłudze pozbawionej słuchu młodzieży. Właśnie téż ks. Falkowski wszedł w bliższe stosunki z mieszkającym w Wiedniu Henrykiem księciem Lubomirskim, a znajomy już z Siestrzyńskim, przedstawił go księciu.

twę ewangeliczną nowemi wyrazami pomnaża. „Panie, odpowie zagniony, Boga i ludzi o to proszę codziennie, co moim dzieciom najbardziej potrzebnem być sędzę; a ponieważ w liczbie niedostatków naszych brak domu własnego najpierwsze miejsce zajmuje, o niego się uprzykrzam każdemu, o ile mogę najczęściej.” Owocem tak zmówionego pacierza była oliara 300 rsr., którą dobroczynny książe do rąk ks. Falkowskiego natychmiast odliczył, wpływając tym sposobem wielce na wynajęcie dogodniejszego lokalu dla instytutu.

Ale to wszystko nie wystarczało na zakupienie nawet placu, a tém bardziej na budowę domu. Dopiero gdy w r. 1822 podczas bytności swojej w Warszawie, b. p. Najjaśniejszy Cesarz i Król Alexander I zwidił instytut głuchoniemych, rozkazał natychmiast przeznaczyć fundusz dla 18 stypendystów rządowych, a nieco później summe rsr. 18,600 na wystawienie gmachu. Korzystając ze szczodroblowości monarszej, ks. Falkowski za rsr. 13,200 nabył plac przy ulicy Wiejskiej pod nr. 1737. i w d. 26 kwietnia 1826 r. ze zwykłą uroczystością religijną położono kamień węgielny przyszłej budowy. Po ukończeniu części gmachów, instytut przesiedlił się w r. 1827 do nowego lokalu, który podziśdzień zajmuje, gdzie dobroczynny ten zakład na obszerniejszą zaraz rozwinięto skalę, urządzając w nim dogodnie już pomieszczone warsztaty tokarstwa, stolarstwa, ślusarstwa, krawiectwa, introligatorstwa i szewstwa, które obecnie tylu zdolnych i pracowitych wydają rzemieślników. W r. 1830 etat instytutu doszedł do wysokości rsr. 6,600. Później, pod zarządem już dzisiejszego rektora W. J. ks. Szczygielskiego, w d. 1 października 1842 r. otworzono przy nim szkołę dla ociemniałych, której zaprowadzenie dwa razy w czasie dawniejszym (w latach 1822 i 1827) przez ks. Falkowskiego przedsiębrane, dwa razy dla braku funduszy zostało zaniechaném.

Terazniejszy etat instytutu głuchoniemych i ociemniałych wynosi rsr. 23,537, na które $\frac{2}{3}$ przeszło części, ho rsr. 16,256, wpływa ze stypendyów rządowych i z funduszy miejskich, a reszta z majątku instytutu, mianowicie z czynszu od gruntów będących jego własnością, z procentów od kapitałów, z warsztatów, z ogrodu i t. p. źródeł. Wychowawców i pensyonarzew pozbawionych słuchu jest obecnie w 4 klasach oddziału męskiego 62; w tyluż klassach oddziału żeńskiego 48; ociemniałych w trzech oddziałach 14; nauczycieli i nauczycielek, dozorców i dozorczyń, oraz kierujących warsztatami jest razem osób 29, nie licząc w to służby i zarządu gospodarczego. Instytut w lokalu swoim, oprócz dogodnego bardzo rozmieszczenia pokojów, przeznaczonych na mieszkanie rektora i dozorczyń, na klasy, jadalnię, sypialnię, warsztaty, kuchnię, pralnię i t. d. posiada kaplicę, salę posiedzeń, bibliotekę liczącą do 1000 tomów, kancelaryą, archiwum, dwie infirmarye męską i żeńską, sklep do sprzedaży wyrobów wyszłych z warsztatów instytutowych i ogród, z którego czysty dochód corocznie kilkaset rubli wynosi. Z legatów po r. 1830 na korzyść zakładu poczynionych, główniejsze są: zapis Dra Bęcwicza (rsr. 2,700), hrabiny Sierakowskiej (rsr. 1,500) i Felixa Korwin (rsr. 6,000).

Zaczynano wtedy powszechną w Europie zwracać uwagę na litografię czyli sztukę drukowania na kamieniu, która w roku jeszcze 1799 wynaleziona przez Sennefeldera w Monachium, w początkach niewiele znajoma i tylko do drukowania nut muzycznych, napisów i biletów wizytowych używana, teraz dopiero zaliczoną została do rzędu sztuk pięknych. Książę Falkowski, powziąwszy już dawno myśl przyswojenia tej sztuki krajowi, w celu i dobra ogólnego, i otworzenia sobie nowego źródła dochodu dla instytutu, którego zostać miał przełożonym, zwrócił w tym celu uwagę na młodego Siestrzyńskiego i prosił księcia Lubomirskiego o przeznaczenie mu potrzebnych funduszków. Szczegóły tego epizodu w życiu naszego Siestrzyńskiego podaje dziennik „Izys polska” z r. 1820 (str: 218 i nast.); pozwalamy więc sobie przytoczyć dosłownie niewielki ustęp z tego pisma:

„JPan Siestrzyński, połączywszy się w r. 1816 z szanownym dzisiejszym rektorem warszawskiego instytutu głuchoniemych, bawiącym wówczas w Wiedniu, wezwany został od księcia Henryka Lubomierskiego, który zachęcając go do wytrwałości w nowo przedsięwziętym zawodzie, oświadczył mu, że ponieważ dotąd w Polsce litografii nie ma, pożyteczną więc byłoby rzeczą, gdyby się p. Siestrzyński tej sztuki nauczył, a zostawszy w czasie nauczycielem głuchoniemych, sposobił ich do tak użytecznej pracy. Nie przestając zaś na samém zachęcaniu, posłał książę p. Siestrzyńskiego z sekretarzem swoim do niejakiego p. Steinera, trudniącego się podówczas w Wiedniu wyłącznie litografią, czyliby nie podjął się nauczyć go tej sztuki. Lecz gdy p. Steiner, oprócz wiernego dochowania sekretu, za naukę 500 czerwonych złotych zażądał: udał się p. Siestrzyński do znanego profesora chemii p. Jaquin, który mu poradził, aby się w tej mierze udał do siedliska i miejsca wynalazku tej sztuki, do Munich.

„Gdy p. Siestrzyński o trudnościach, jakie w nauczaniu się litografii zachodziły, zawiadomił księcia Lubomierskiego, nie wahał się ten bynajmniej, wysyłając księdza Falkowskiego do Monich i p. Siestrzyńskiego opatrzyć w środki potrzebne do nauczania się tej sztuki w tak chwalebny zamiarze. Udał się p. Siestrzyński do Munich, a nie mając tam żadnych stosunków, musiał szukać za pieniądze nauki, która już w Munich nie była sekretem. JP. Weishaupt, jeden z najlepszych drukarzy lito-

graficznych, za 200 złotych niemieckich podjął się nauczyć rozmaitych sposobów litografowania p. Siestrzyńskiego, któremu baron Schilling, uczący się pod ten czas dla Petersburga litografii, ułatwił zachodzące przeszkody.

„Powróciwszy p. Siestrzyński do Wiednia, zalecony Kom. Rząd. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ., na początku roku 1817 powołany został do założenia instytutu litograficznego w Warszawie, z awansem 2000 złp. na drogę i sprawienie potrzebnych do litografii sprzętów. Chociaż ta kwota hojnością księcia Lubomierskiego pomnożoną została, wszelako p. Siestrzyński gorliwie przedmiotem swoim zajęty, aby tém lepiej zlecenia swojego dopełnić, dla oszczędzenia wydatków, puścił się piechotą do Munich; a wydawszy tam na prasę, kamienie i wzory pieniądze, w czystém przekonaniu dopełnienia wiernie obowiązków, powracał również piechotą na Czechy do Polski. W Karlsbadzie jeszcze raz wsparty przez swego protektora księcia Lubomierskiego, puścił się celem zwidzenia obcych instytutów głuchoniemych w drogę na Saksonią i Prusy; a powróciwszy, został mianowany nauczycielem przy instytucie głuchoniemych w Warszawie.”

Tyle Izys polska. My dodać powinniśmy, dla objaśnienia tego, co nastąpi, że Siestrzyński jeszcze w Wiedniu, gdzie cały system nauczania głuchoniemych budowano na alfabecie ręcznym, zaczął przemyśliwać nad zastąpieniem go użyteczniejszą metodą. Wysłany potem do Bawaryi dla usposobienia się w sztuce litograficznej, której w ciągu pięciu miesięcy z niezmierną pilnością i pracą wyuczył się w całym jej zakresie, poznał instytuty głuchoniemych w Linzu i Freisingu, i znalazł tam tę samą metodę niewyrozumowaną. Powróciwszy do Wiednia, otrzymał w r. 1817 od b. Kom. Rząd. Wyznań Relig. i Ośw. Publ. wezwanie na nauczyciela nowozałożonego w Królestwie Polskiem instytutu głuchoniemych, a zmuszony raz jeszcze udać się do Bawaryi dla nabycia sprzętów litograficznych, postanowił odbyć drogę do Warszawy pieszo przez Czechy, Saksonią i Prusy, dla zwidzenia instytutów w Pradze, Lipsku, Berlinie i Wrocławiu. W Lipsku nareszcie znalazł czego szukał; dyrektor bowiem tamecznego zakładu podzielał jego zdanie o niedorzeczności dotychczasowej metody nauczania młodzieży pozbawionej słuchu, i utwierdził go w zamiarze utworzenia sobie innej zupełnie drogi. Porzucił więc Siestrzyński stanowczo sposób dawny, zasadzając się na mechaniczném poznawaniu

i spamiętywaniu kształtów i znaków liter, który niemego robił bardziej jeszcze niemym, skazując go na zawsze na rozmawianie się jedynie przez migi i znaki, a całą usilność swoją zwrócił odtąd na przywrócenie tym nieszczęśliwym najszlachetniejszej cechy człowieczeństwa—mowy.

Niemota, jak wiadomo, pochodzi z błędnej organizacyi albo narzędzi mowy, albo narzędzi słuchu. Pierwszy z tych przypadków niezmiernie jest rzadki, tak, że pod względem praktycznym uważać go można prawie za nieistniejący. W drugim przypadku, ponieważ mowa nie jest wrodzonym darem natury, ale wynalezionym przez nas sposobem wzajemnego udzielania sobie myśli, którego nie inaczej jak za pomocą instynktowego naśladowania posłyszanych głosów nauczyć się można: widoczna przeto, że ludzie od urodzenia albo od niemowlęctwa pozbawieni słuchu, tém samém pozbawieni są możności nabycia mowy drogą zwyczajną, którą przyroda sama słyszącym wskazała. Jednakże w takich niemowach instynkt mówienia nie ustaje, bo zwykle samopas zostawieni, wyrabiają oni sobie jakieś głosy dzikie wprawdzie i niezrozumiałe dla innych, bo nie nagięte do form konwencyonalnych, ale zawsze świadczące o wewnętrznej ich potrzebie objawienia myśli za pomocą dźwięków; a że natura nie odmówiła im téj możności, opatrzwszy ich zdrowemi organami płuc, krtani, ust i języka: nie potrzebujemy przeto dowodzić, iż ci nieszczęśliwi, przy należytem staraniu, mogą być powróceni społeczności, od której na pozór tylko zdają się zupełnie odciętymi.

Już w r. 1570 Valles lekarz nadworny Filipa II zwrócił uwagę, że w nieskończenie przewyższającej liczbie przypadków, niemota jest tylko skutkiem błędnego ukształtowania organów słuchu. Trzymając się téj zasady, współczesny mu zakonnik hiszpański Pedro de Ponce zaczął pierwszy nauczać głuchoniemych. W ślady jego wstąpili w Hiszpanii Ramirez de Carrion, w Anglii Dr. John Wallis, professor matematyki w Oxfordzie, i Wilhelm Holder, w Holandyi Dr. Amman, w Niemczech Kerger i Schulze. W r. 1620 Jan Pablo Bonet Arragończyk wydał w Madrycie rozprawę o przywróceniu mowy głuchoniemym. Bonet uczył tych nieszczęśliwych wymawiać słowa, znaczenie ich tłumaczył gestami i obrazami, mowę zaś piśmienną zasadzał dopiero na mowie głosowej. Założenie atoli pierwszego instytutu głuchoniemych, podług stałego już systemu, zawdzięcza

ludzkość staraniom księdza Karola Michała de l'Epée, który r. 1760 własnym kosztem urządził we Francyi zakład tego rodzaju. Niestety jednak szanowny ksiądz de l'Epée nie poszedł drogą wskazaną przez Boneta, lecz za podstawę systemu swojego przyjął alfabet ręczny i gesta, za pomocą których wykladał swoim uczniom naukę pisania, wprawiając ich do tego, ażeby wszelkie wyobrażenia przywiązywali do znaków pisanych, i z kształtu ich pojmowali znaczenie rzeczy. Powstały ztąd dwie szkoły: jedna, którą nazwać można *niemiecką*, bo w Niemczech najwięcej znalazła poparcia, za najważniejszy przedmiot nauki głuchoniemych wskazywała głośnie mówienie, nie odrzucając wszakże i pisania; druga, *francuzka*, zasadzała niemal wszystko na dowolnie wynajdywanych znakach ręcznych, na których, jako najwłaściwszój niby mowie głuchoniemych, wykład swój zwykle ograniczała. Do piérwszej należą: Pedro de Ponce, Bonet, Pereira, Wallis, Holder, Amman, a w nowszych czasach szczególnie Heinicke i Eschke; do drugiej: de l'Epée, następca jego Sicard i Guyot, za niemi zaś większa część nauczycieli głuchoniemych we Francyi, Hiszpanii, Portugalii, Włoszech, Austrii, Rosyi, Holandyi, Belgii, Anglii i Stanach Zjednoczonych.

Siestrzyński nasz, jako lekarz i dobry fizyolog, a nade wszystko jako człowiek trzymający się wszędzie i zawsze drogi natury, nie mógł zawahać się w wyborze: został najgorliwszym rozkrzewicielem szkoły głośnego mówienia, doskonaląc jój metodę własnemi badaniami i praktycznie ją stosując po swojemu. Ksiądz Falkowski przeciwnie, obalamucony przykładem Wiedeńczyków, poszedł za księdzem de l'Epée, i ta to okoliczność w późniejszym czasie stała się powodem licznych zatargów między dwoma temi mężami, zarówno ożywionemi najczystszy duchem chrześcijańskiego poświęcenia, ale kroczących odmienną zupełnie drogą ku wytkniętemu celowi.

Idąc piechotą do Warszawy, Siestrzyński zboczył do Bzowca, gdzie, jak nadmieniliśmy wyżej bawiła jego matka, i zabawił tam dwa tygodnie. Rodzina z otwartemi rękoma go przyjęła, a sędziwa już matka, po rozstaniu się z synem, który z dawniejszych oszczędności swoich w Wiedniu zostawił jój 20 dukatów w złocie, roiła sobie najświetniejsze nadzieje, wyglądając rychło Jaś ją sprowadzi do Warszawy i otoczy dostatkami. Tymczasem śmierć zaskoczyła ją w lat kilka, oszczę-

dzając staruszce przykrego zawodu: bo marzenia jej o przyszłym powodzeniu syna, niestety! spełnić się nie miały.

Przybywszy nakoniec do Warszawy pod koniec roku 1817, Siestrzyński objął tymczasowo bezpłatnie obowiązki nauczyciela przy instytucie głuchoniemych, i zajął się zaraz urządzeniem zakładu litograficznego; lecz chociaż zapas kamieni i innych sprzętów przybył z Monachium, nie można jednak było rozpocząć odbijania, bo najważniejszy przyrząd, prasa, nadeszła dopiero w roku następnym. W opowiedzeniu dalszych kolei i postępu u nas sztuki litograficznej w ogólności, a w szczególności zakładu przy warszawskim instytucie głuchoniemych, zostającego pod kierunkiem Siestrzyńskiego, wyręczam się raz jeszcze artykułem Izys polskiej, którego jeden ustęp powyżej już przytoczyłem.

„Hrabia Alexander Chodkiewicz, znany przyjaciel nauk, pisze rzeczony dziennik, dowiedziawszy się w r. 1818, że pan Siestrzyński, niedawno przybyły z Bawaryi, posiada sztukę litografii, starał się dokładną od tegoż powziąć informacją; a gorliwy o wzrost sztuk pożytecznych, kazał dla próby dwie ręczne sporządzić praski. Odbywały się próby pomyślnie, i inni przyjaciele sztuk pięknych przykładali ze swojej strony starania. Hrabia Zabiello kazał sporządzić prasę na papier i do rysowania się przyczyniał; p. Lelewel najstosowniej rysunki na kamieniu wykonywał. Po szczęśliwie odbytych probach rozeszła się wieść po Warszawie o użyteczności litografii, szczególniej iż przez nią każde pismo, bez różnicy od oryginału, w krótkim czasie wielokrotnie kopiowane być może. Okoliczności, brak miejsca, tudzież że zamówiona w Munich prasa jeszcze nie nadeszła, nie dozwoliły p. Siestrzyńskiemu urządzić u siebie litografii. Nie chciał jednakże hr. Chodkiewicz, aby czas bez dalszych w tej mierze doświadczeń upływał, i nim swoje kamienie sprowadził, na będących już w Warszawie czynił doświadczenia. P. Siestrzyński tymczasem, mając zaawansowane od Kom. Rząd. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. złp. 4,000, kazał należytą sporządzić prasę. Nadeszła i zamówiona z Munich (1), lecz dla niedostatku miejsca obie w bezczynności przez zimę roku 1818 zostawać musiały. Nie był więc p. Siestrzyński

(1) Pierwsze te prasy w kraju, zachowuje dotąd na pamiątkę zaśluzony w dziejach litografii polskiej Seweryn Oleszczyński.

tak szczęśliwym, aby mógł w tym roku rozwinąć działania litografii swojej, jako owoc tylolicznych swych starań i usiłowań, dla których niejedną poniósł ofiarę.

„W tym samym roku Kom. Rząd. Wojny, chcąc urządzić litografią dla biura topograficznego, sprowadziła z Munich p. Mettenleitnera, który zabawiwszy przez jesień i zimę w Warszawie, powrócił na wiosnę do Bawaryi. Usposobił on zdatne w zawodzie topograficznym osoby do litografii, i sprowadził z Wrocławia drukarza. P. Siestrzyński zaś usposobiwszy sobie także drukarza (1), zaczął w r. 1819 dla szczupłości miejsca na jednej tylko prasie wytłaczać rysunki kredą, a później igłą robione”.

W miesiącu grudniu 1817 r. otrzymał Siestrzyński od b. Kom. Rząd. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. nominacją na etatowego nauczyciela warszawskiego instytutu głuchoniemych, z pensją roczną rsr. 450, i z obowiązkiem dawania po godzin 24 w tygodniu tych nauk, jakie mu przez rektora będą wyznaczone, tudzież uprawiania uczniów w sztuce litograficznej. Ciężkie to było zadanie po 4 godzin dziennie mozolić się z dziećmi głuchoniemymi, w owym zwłaszcza czasie, kiedy metodę ich prowadzenia potrzeba było tworzyć sobie dopiero, bo jeszcze doświadczenie nie uitorowało do niej drogi, a istniejące w obcych językach dzieła niewiele mogły nauczyć. Siestrzyński jednak, według świadectwa rektora Falkowskiego, „obrawszy sobie najmozolniejsze z głuchoniemymi zatrudnienie wydobywania głosu i uprawiania ich do użycia mowy zwyczajnej, z wzorową gorliwością i wytrwałością podzielał pracę swą między tworzeniem wyobrażeń w uczniach i wykonywaniem kunsztu litograficznego.”

Mając tym sposobem zapewnione skromne wprowadzie, ale stałe utrzymanie, Siestrzyński w d. 22 kwietnia 1818 r. zawarł związek małżeński z panną Antoniną Jarocką, dziś jeszcze żyjącą w Nowem-Mieście, z którą się poznał w Wiedniu, w domu J. W. z książąt Lubomirskich hrabiny Rzewuskiej. Ale i szczęście domowego pożycia nie zdołało ani na chwilę czynnego umysłu młodego nauczyciela oderwać od zatrudnień

(1) Drukarzem tym był Narewski, który wtedy, podług kontraktu zawartego między nim a rektorem Falkowskim, brał rsr. 7 kop. 50 na kwartał, a który dziś w Londynie jest jednym z pierwszych w swoim zawodzie.

publicznych. Zajęty nieustannie dobrem wychowanców swoich i ogółu, wpadł na myśl, czyby kamieni litograficznych, dotychczas z Bawaryi sprowadzanych, nie można zastąpić krajowymi. Udzieliwszy ten pomysł zwierzchniej swęj władzy, uzyskał w lipcu 1818 r. pozwolenie udania się na trzy tygodnie do kopalń krajowych, celem wyszukania kamieni zdalnych do litografii, a w skutek raportu jego, b. Kom. Rząd. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. wydała w miesiącu wrześniu t. r. rozporządzenie do dyrektora głównej dyrekcji i szkoły akademicko-górnicznej w Kielcach, aby za sposobnością nadesłał w sztukach znaczniejszych kamienie z gór olkuskich, z Rudy Falkowskiej, z Korytnicy i kopalń marmurowych należących wtedy do p. Galli. Skutek tych usiłowań nie musiał jednak być pomyślnym, skoro do dziś dnia nie cieszymy się posiadaniem własnego kamienia litograficznego.

Wróciwszy z tęj wycieczki, którą odbył pieszo dla oszczędności, z utrudzenia ciężko zachorował na nogi; gromadził jednak dziatki głuchonieme koło łóża swęj boleści, i nie przestawał je nauczać, o ile mu to dotkliwie pozwalały cierpienia. Zaledwo powrócił do zdrowia, rzucił się znów z zapalem do zatrudnień nauczycielskich, a szczególnie do litografii. Nadeszła tęż tymczasem zamówiona prasa z Monachium; zaczęła więc litografia przy instytucie głuchoniemych z rokiem 1819 być czynną, a Siestrzyński, nie uchylając się od najprostszycch nawet posług, sam w nięj niezamordowanie pracował. „Nieraz, opowiadał mi szanowny nasz J. Piwarski, który go znał osobiście, zastawałem go w koszuli, z zakasanemi rękawami, z usmolonemi farbą rękoma, jak w pocie czoła uwijał się koło prasy litograficznej, a czynił to z prawdziwem zamiłowaniem, pomimo całodziennęj utrudzającęj pracy z głuchoniememi.”

Govliwe jego usiłowania nie pozostały tęż bez skutku: z litografii instytucutowęj zaczęły wychodzić roboty kredą, piórem i atramentem chemicznym, tudzież igłą, bardzo porządnie i pilnie wyciskane. Nie możemy tu wyliczyć wszyskkich odbić, które ta najdawniejsza w kraju litografia wydała, bo nigdzie, nawet w archiwum warszawskiego instytucie głuchoniemych, nie znaleźliśmy zebranych w komplecie tych prób pierwiastkowych: poprzestać więc musimy na wymienieniu ważniejszych. Frankowski, uczeń b. uniwersytetu Alexandryjskiego w Warszawie, przełożył wtedy na język polski georgiki Wirgiliusza,

i ogłosił je drukiem. Tytuł do tego dzieła robił igielką na kamieniu J. Piwarski, a odbito go w litografii zostającej pod kierunkiem Siestrzyńskiego. Wyszły dalej z tegoż zakładu: wcale dobra głowa Chrystusa *ecce homo* podług Guido Reni; wizerunki pomniejsze Jana Zamojskiego i Euzebiusza Słowackiego, a przed samą już dymissją Siestrzyńskiego, wizerunek Jana Sobieskiego, w połowie naturalnej wielkości, z podobizną podpisu królewskiego, wszystko to roboty na kamieniu J. Piwarskiego. Patrząc na te prace wykonane przed laty 35, wydziwić się nie można, że sztuka w kolébcie jeszcze będąca, mogła wydać rzeczy tak ładne, nawet podług dzisiejszych wymagań; ale zarazem przyznać trzeba z zalem, że litografia od owéj epoki aż do czasu niedawnego bardzo mało u nas postąpiła.

Nie tak pomyślnie szły prace Siestrzyńskiego w instytucie głuchoniemych, bo chociaż jego system nauczania najzupełniejsze miał powodzenie, nie mógł się jednak zgodzić z systemem ks. Falkowskiego, gorliwego zwolennika metody ks. de l'Épée. Falkowski chciał alfabetu ręcznego, Siestrzyński głośnego mówienia; i tak krzyżowały się ustawicznie widoki i zamiary dwóch najważniejszych osób w instytucie. Rozczarowany w najmilszych swych nadziejach, a potrosze i osłabiony na zdrowiu, Siestrzyński nie miał dostatecznej siły, aby wytrwać w ofierze, do której spełnienia w razie tak gorąco się rzucił, a nie umiał czy nie chciał na przebój torować sobie drogi. Nie bez goryczy przeto zamyslił ustąpić przełożonemu, i w d. 13 kwietnia 1820 r. podał się do dymissyi, przytaczając za powód, że w używaniu swego sposobu uczenia był tamowanym i doznawał innych przykrości. B. Kom. Rząd. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. w skutek tego podania wyznaczyła deputacyą z członków swoich: Lipińskiego, Lindego i Szweykowskiego, dla rozpoznania nieporozumień w téj mierze. Zeszli na miejsce delegowani, i przyjacielskiem ich staraniem udało się pojednać strony sporne; Siestrzyńskiemu zaś, którego praca przechodziła rzeczywiście zwykłe siły ludzkie i w żadnym nie była stosunku z pobieranem wynagrodzeniem, wyjednali powiększenie pensyi o rsr. 150 rocznie.

Ale niedługo trwała ta zgoda, przez wdanie się obcych zawarta. Książd Falkowski obstawał przy swoim, a Siestrzyński, potulny zwykle, cichy i skromny, w jednym tylko punkcie swoich przekonań naukowych nieugiętej był dumy. Powtór-

ne starcie się z rektorem, spowodowało w miesiącu marcu następnego 1821 r. powtórne podanie się Siestrzyńskiego do dymisji, którą też od zwierzchniej swój władzy tym razem uzyskał. Miejsce jego w instytucie zajął ksiądz Choynowski emeryt, b. professor szkoły szczucińskiego.

Wyznać tu należy na świadectwo prawdzie, że jakkolwiek Siestrzyński powodował się w tym kroku zbyt dużą może drażliwością, słuszność atoli co do przedmiotu niezgody w zasadzie i w czynie po jego była stronie. Czcigodny ksiądz Falkowski, w przekonaniu, że sztuczna jego metoda użyteczniejszą jest dla ludzkości, aniżeli źle zrozumiana i tłumaczona metoda naturalna, rzeczywiście przeszkadzał Siestrzyńskiemu w nauce głośnego wynawiania, którą uważał za szkodliwą, a przynajmniej niepotrzebną. Bolał nad tém głęboko przekonany o wyższości sposobu swojego nasz Siestrzyński, i walczył za słabo widać, a więc bezskutecznie: aż przyszło do zupełnego zerwania. Ale szanowny założyciel warszawskiego instytutu głuchoniemych w późniejszym czasie sam zwątpił o zasadach tak upornie dawniej przez siebie bronionych, i nieraz gorzko sobie wyrzucał swój sposób postępowania z nauczycielem, którego dalsze współdziałanie nieoczoną dla instytutu byłoby korzyścią. Późniejsi też towarzysze pracy ks. Falkowskiego zapewniają, że ilekroć potem zgadało się o Siestrzyńskim, szanowny rektor urywał nagle rozmowę, i machnąwszy ręką mawiał: „Dajmy temu pokój; pamięć tego człowieka wieczną dla mnie jest zgryzotą!”

Uwolnwszy się od obowiązku nauczycielskiego, Siestrzyński, mając żonę i dwoje już dzieci, postarać się naturalnie musiał o inny sposób utrzymania, a najwłaściwszy ku temu środek podawała mu nabyta dawniej znajomość sztuki lekarskiej. Zrobił więc odezwę do naczelnego lekarza b. wojska polskiego Dr. Stummera, prosząc o przyjęcie do służby zdrowia wojskowej, a złożwszy w b. Radzie Ogólnej Lekarskiej przepisany egzamen, otrzymał pod dniem 31 maja 1822 r. od b. Kom. Rząd. Spraw. Wewn. i Policji upoważnienie do praktyki lekarskiej w stopniu licencyata medycyny i chirurgii; poczem 17 czerwca t. r. wszedł jako lekarz batalionowy do pułku 7 piechoty liniowej b. wojska polskiego, z przyrównaniem do stopnia kapitana.

Krótki był zawód wojskowo-lekarski naszego Siestrzyńskiego, bo trwał niespełna dwa lata; ale w tym szczupłym okresie czasu umiał on pozyskać miłość i szacunek kolegów i pod-

władnych, i stać się użytecznym nie tylko jako lekarz, lecz po dawnemu jako pedagog. Kiedy pułk 7 piechoty liniowej konsystował w Końskich, Siestrzyński, wspólnie z dwoma oficerami tegoż pułku, urządził w nim szkołę wzajemnego nauczania podług metody Lankustra, w której kształciło się przeszło 80 żołnierzy. Wielu z nich, mniej więcej naukowo uzdolnionych, wyszło później na podoficerów, a jeden, Samsonowicz, nie umiejący poprzednio ani czytać ani pisać, na bardzo zdolnego weterynarza wojskowego.

W roku 1824, podczas panującej w Końskich między wojskiem nerwową gorączki, Siestrzyński z rzadką pieczołowitością zajmował się pielęgnowaniem żołnierzy w tamecznym szpitalu: lecz wkrótce sam dotknięty tą epidemią, po jedenastu dniach choroby zakończył życie d. 4 maja tegoż roku, mając lat niespełna 36.

Zastanawiając się nad krótkim, ale pełnym poświęcenia i pracy żywotem Siestrzyńskiego, widzimy w nim wszędzie dążność przeważnie pedagogiczną. Zdaje się rzeczywiście, że stworzony był raczej na nauczyciela jak na lekarza. W tym drugim zawodzie, wrodzone zdolności umysłowe i nauka mogły go zrobić i zrobiły znakomitym; jednakże wewnętrzny jakiś popęd nieustannie parł go ku udzielaniu innym, a szczególnie dzieciom, owocu swojej pracy i badań. Młodzieńcem jeszcze w Wiedniu zajmował się nauczaniem dzieci, i wtedy już pracował nad dziełem ułatwiającem naukę czytania i pisania, które później w drugiej części zastosował do nauki głuchoniemych. Jako lekarz obeznany z tajnikami natury, naturę też we wszystkim obrat sobie za przewodniczkę. Biegły anatom, fizyolog i lingwista, a przytém umiejący głęboko zastanawiać się nad obranym przedmiotem, doszedł w teorii mowy i jej organów do ważnych bardzo wniosków i wypadków, które rozwinął obszernie w pozostawionym rękopisie.

Rękopis ten, pod tytułem: „*Teorya i mechanizm mowy, z zastosowaniem do nauki czytania dla wszystkich, a do nauki wymawiania dla głuchoniemych dzieci, z dodanemi oraz uwagami nad sposobem uczenia tychże,*” obejmujący do 600 stronic *in quarto*, znajduje się obecnie w posiadaniu W. J. ks. Szczygielskiego, rektora warszawskiego instytutu głuchoniemych, który łaskawie udzielił mi go racy do przejrzenia. Ogólny plan dzieła i rzucone w niem pomysły tak są ciekawe i ważne,

że podanie ich powszechności w króciutkim zarysie i przytoczenie kilku z niego ustępów rzucających światło na sposób widzenia rzeczy autora, uważam za pożyteczne.

Cała praca Dra Siestrzyńskiego na dwie główne rozpada się części. Część pierwsza obejmuje *teorię mowy i czytania*, część druga *mechanizm mowy ludzkiej*, z uwagami nad sposobem uczenia głuchoniemych.

W teorii mowy i czytania autor zwraca uwagę na niestosowność metody, podług której dotychczas uczono dzieci czytać. Zaczynają zwykle od tego, że uczą je poznawać i wymawiać pojedyncze litery, a potem spajając te znaki pojedyncze w wyrazy, za pomocą tak zwanego *syllabizowania*. W głośnym jednak wymawianiu liter, nauczyciele wcale na to nie baczą, aby spółgłoska każda wymówioną była podług właściwego swego brzmienia. Spółgłoski np. *b, m, k*, każą dziecku wymawiać *be, em, ka*, przez co w późniejszym syllabizowaniu z wyrazu weźmy np. *m-a-l-a-r-z*, zrobi się *em-a-el-a-er-zet*: dziwaczna mieszanina samogłosek i spółgłosek, z której przez wprawę tylko i nawyknienie dojść można prawdziwego brzmienia wyrazu. „Jakimże więc sposobem, zapytuje autor w przedmowie do swego dzieła, dzieci przez mylnie w zasadzie swojej syllabizowanie dochodzą jednak z czasem do biegłego czytania? Dzieje się to przez nałóg: dziecię nawyknać musi, że litery tak się składają. Prawda, że spółgłoski w nadanych sobie nazwach zwyczajowych mieszczą także właściwe swe brzmienia; ale wątpię, aby dziecię z przekonaniem rozróżnić to mogło: nawyka ono tylko domyślać się tego, i to nie zawsze. Syllabizowanie przeto nie przyczynia się do rzeczy, a nawet przeszkadza postępowi, gdyż dziecię składając litery, wszystkie te obce niepotrzebne brzmienia odłączać musi, do czego znowu przez nałóg wprawić się potrzebuje.”

Radzi więc Siestrzyński kazać dziecku wymawiać wszystkie litery podług naturalnego ich brzmienia, nie dołączając do spółgłosek żadnych niepotrzebnych samogłosek, i tak ucząc je wymieniać szybko po sobie i na głos pojedyncze litery jakiego wyrazu, bez syllabizowania przystępować wprost do czytania.

„Największą odrazą téj metody jest, mówi on dalej, że naturę naśladować nie każdemu się podoba, a spółgłoski same wymawiać nie jest zwyczajem w mowie naszej, chociaż w języku nam pobratymczym, czeskim, często się to zdarza, Dlatego

téz, że się spółgłosek brzmienia nie podobały, ustrojono je samogłoskami, a przez to zakryto oczom naszym ich naturę. Lecz niechaj się godzi zdjąć zastonę, która dotąd ukrywała nam prawdę. Wzywam was zatém, najmilsi współpracownicy, abysście ile możności własném doświadczeniem przekonać się o tém chcieli. Wiem ja, że tu nietylko usilnej pracy, ale nadto jeszcze osobistej ofiary żądam. Zniesiecie w początkach nieprzyjemności dla prawdy, ale w końcu swoje starania ujrzycie uwieńczonemi. Pomnijcie to sobie.”

Wszystko to nie jest marzeniem, teorią, bo autor, jak przytacza w przedmowie, od r. 1807 trudniąc się nauczycielstwem, praktycznie swoje zasady zastosowywał tak w nauce czytania u dzieci, jak i w uczeniu cudzoziemców języka polskiego, i to z takim powodzeniem, że w Wiedniu do kilku domów wezwano go na nauczyciela. Zachęcony tém Siestrzyński, zaczął pisać swoje dzieło, a postrzegłszy użyteczność jego dla głuchoniemych wtedy właśnie, gdy skutkiem poznamienia się z przybyłym do Wiednia ks. Falkowskim zastanawiać się począł nad stanem tych nieszczęśliwych, zastosował je do ich nauki. Godną uwagi jest okoliczność, że Siestrzyński jeszcze w r. 1807, bodaj czy nie pierwszy rzucił w Niemczech ten pomysł, który w kilkanaście lat później w powszechnie prawie wszedł tam wykonanie. I dziś jeszcze Niemcy w prywatném i publiczném nauczaniu używają metody przez ziomka naszego wskazanej, zastępując syllabizowanie czyli *zgóskowanie* (Buchstabiren), *góskowaniem* (Lautiren).

W dalszém rozwinięciu swojego systemu nauki czytania autor nie przyjmuje zwyczajnego podziału liter podług organów głosowych na *wargowe*, *zębowe*, *gardłowe*, *językowe*, *nosowe*, i t. p., który uważa za dowolny, gdyż każda litera nie jednego tylko organu, ale kilku ich do wymówienia potrzebuje, a nawet trudno jest odgadnąć, któremuby z nich dać pierwszeństwo. Dzieli je więc według ilości i siły wypuszczanego przy wymawianiu ich z krtani i ust powietrza na: *głośne*, *nieme* i *ciche*, a te ostatnie na *długie* i *krótkie* (1). Wymienia potem połączenia tych liter w każdym rzędzie z osobna i z innemi rzędami, mając zawsze na uwadze naturę mowy ludzkiej w ogólno-

(1) Rzęd 1: a, e, e, i, y, j, o, q, u; rząd 2: l, ł, m, n, ñ, r, w, z, ź, ż, dz, dź, dz, rz; rząd 3: h, ch, s, sz, ś, c, cz, ć, x; rząd 4: p, b, ł, d, k, g.

ści, a w szczególności mowę polską, i wykazuje zgodność różnych dźwięków z charakterem i znaczeniem wyrazów, w których skład one wchodzą. Podaje potem ogólny plan alfabetu, rozłożony według przytoczonego podziału na 4 rzędy, w których dziecię wymówioną literę podług tego, jak się głosić albo ciszej wymawia, powinno się uczyć wskazywać, oraz tablice połączeń początkowych i końcowych. Nakoniec stosuje wystawioną przez siebie teorią nauki czytania do gier dziecińczych, gdzie przez użycie różnych kolorów i przedmiotów, np. w warcabach, żołnierzach, kartach i t. d. stara się uprzytomniać dzieciom przyjęty przez siebie podział i połączenia liter. Cztery te rzędy uzmysłowiąją dołączone w końcu dzieła cztery krajobrazy litograficzne odbite w zakładzie będącym pod kierunkiem autora, w których właściwe litery położone są obok takich organicznych lub nieorganicznych przedmiotów, z którymi ich brzmienia zdają się być spokrewnionemi. Ostatni ten sposób obrazowy zapewne obliczony już był więcej na naukę dzieci pozbawionych słuchu, i rzeczywiście dla nich wielkie przynieść może korzyści. W dodatku o *alfabecie* zastanawia się autor nad najważniejszym, bo opartym na naturalnym ich brzmieniu, porządkiem liter, i rzuca pomysły do zastosowania tego porządku w grammatykach i dykcyonarzach, zawsze ze względem na wymienione cztery rzędy. „Zarzucano mi, mówi on, że za- nadto powstaje przeciw dawnemu alfabetowi, który czas i zwy- czaj upowszechnił; ale gdy dowiodłem, iż ten, łudząc nas tylko, a w samej rzeczy od dzieciństwa już uciemężając i ogranicza- jąc, nie zasłużył na nasze względy; nie spodziewam się téż, aby się kto na mnie gniewał za wskazanie innego liter porządku, zwłaszcza, że w tém upatruję największą korzyść dla naszego języka: bo zarzuciwszy dawną formę alfabetu, prędzej dostrze- żemy użyteczność innego porządku w składach mowy i języka naszego, a dążąc do coraz większego ładu, zbliżymy się prędzej do doskonałości w téj mierze. Kto wie, czy nakoniec, prze- chodząc te rozmaite koleje, nie wyjdziemy na drogę, która nas do samych wnętrz budowy mowy ludzkiej doprowadzi, a wtedy obeznawszy się dokładnie z jej strukturą, nie zewnętrzną postacią, ale jej wewnętrzną naturą zajmować się będziemy. Już wtedy za nicbyśmy mieli porządek zwyczajowy liter w alfabecie, sylaby i wszystko co zmysłowości podlega; a baczylibyśmy tylko w po- rządowaniu wyrazów do dykcyonarza na wewnętrzne ich zna-

czenie. Takim sposobem powstałby system racjonalny mowy ludzkiej i języka naszego, gdzie wszystko byłoby naturalne i na swoim miejscu. Warta ta rzecz zastanowienia: wszystko doszło już do jakiegoś systemu: na mowę tylko mniej względu mamy. Czyliżto jej składy (wyrazy) są lichsze od tych trawek i tego mchu, którym Linneusz, nie wzgardziwszy żadnym, każdemu swe miejsce naznaczył?"

Zapewne, że to wszystko, cośmy tu przytoczyli słabe tylko daje wyobrażenie o wartości systemu Siostrzyńskiego, bośmy obszerniej, dla braku miejsca, rozwinąć go nie mogli; ale zawsze i zarys ten pobieżny dostatecznym będzie do poznania, ile w pomysłach jego jest oryginalności i prawdy.

W części drugiej autor zajmuje się głównie sposobem nauczania głuchoniemych, stosując ku temu celowi wyłożoną w pierwszej części metodę. Każę najprzód nauczać dziecię pozbawione słuchu rozróżnienia liter potrzebujących głosu (głośnych), od potrzebujących tylko tchu (cichych), bo nie mających siedliska w krtani; i tak stopniowo, przy najściślejszej uwadze na działanie i poruszenia organów, oraz przy pomocy wynalezionych przez siebie ręczno-ustnych znaków, (nie mających wszakże nic wspólnego ze znakami migowemi, lecz będących zmysłową tylko dla ucznia pomocą w poznawaniu wymówionych przez nauczyciela liter), doprowadzić je do głośnego wymawiania wszystkich liter alfabetu, których potem najstosowniejsze wskazuje połączenia. Dowodząc, że głuchoniemi nie są bynajmniej pozbawieni możności mówienia zwyczajnym ludzi słyszących językiem, i że mówić powinni, między innymi tak się z szlachetnym wyraża zapalem: „Głuchota w samej rzeczy człowieka ogranicza i nad zmysłowość nie tak łatwo unieść mu się pozwala; jednakże jest on człowiekiem jak i drudzy, zbywa mu tylko na środkach aby osiągnął i dostał tego, co człowiekowi dozwolono. Strata jednego albo i więcej zmysłów nie pozbawia jeszcze człowieka jego ludzkiej natury; za drogi to dar najwyższej Opatrzności, ażeby tak łatwo mógł być utraconym! Brak zmysłów nie pozbawi pewnie człowieka szlachetności jego duszy nieśmiertelnej; będzie mu tylko bardziej zamkniętą i ścieśnioną w swém doczesnym więzieniu, nie przypatrzy się i nie pozna ze wszystkich stron tego świata, ani też nam ze wszystkich stron przystęp do niej będzie wolny. O! nie ze zmysłów składa się to nasze człowieczeństwo! Zmy-

sły są, prawda, szlachetnemi częściami naszego ciała; lecz mieszka jeszcze w nas coś, co się różni od ciała i przez zmysły przegłąda. Niech mi odejmą wszystkie zmysły, a życie i czucie zostawią, a będę tém jeszcze na świecie, czém byłem dawniej!" I dalej:

„Powszechnie są skargi, że trudno głuchoniemego nauczyć mówić, a tak, bez przekonania, sądząc tylko ze skutków, których przyczyny nie znamy, łatwo popaść w przesąd, że głuchoniememu mowa nie jest potrzebną, bo ta przychodzi mu z wielką trudnością, a przeciwnie najłatwiej na piśmie wytłumaczyć się może. Ale że nie jest trudną, i owszem przy dobrych chęciach i sposobach bardzo łatwą, da Bóg, przekonam praktycznie; a że jest potrzebną i użyteczną, będę się starał tu dowieść.

„Najprzód nasz głuchoniemy pisarz zostanie zawsze niemową; pióro do rąk mu podane ścieśni jeszcze bardziej jego usta; nie będzie nawet i w pierwszych życia potrzebach umiał sobie poradzić. Jakim sposobem w odległości ostrzeże kogo, że się znajduje w niebezpieczeństwie? jakim sposobem zawoła przechodzącego? jak zatrudnionego uwagę zwróci na siebie? Prawda, że niemi w takim razie z instynktu głosy wydawać zwykli, ale w takim pisarzu edukacja przewrotna i pióro instynkt ten już dawno umorzyły. Zresztą, czy kaźden umie czytać? czy kaźden umie pisać? czy kaźden chętnie odpisze? czy kaźden ma czas i sposobność do tego? czy to tak łatwo pisać jak zapytywać i odpowiadać? Zaczém kto napisze a on przeczyta, może już i po szkodzie będzie, a gdy mu potrzebnego materiału przypadkiem niestanie, co pocznie wtedy? Nadto jeżeli nasz pisarz głuchoniemy jest w takiem położeniu, że na kawałek chleba zarabiać musi, jeżeli nie ma tyle czasu, aby mógł wiele czytać i pisać, zapomni on bardzo łatwo téj swojej na spamiętaniu szczególnych form zasadzającej się nauki, i wkrótce powróci prawie do stanu pierwotnego.

„Głuchoniemy przeciwnie, którego usta rozwiązane, przestaje być niemym; jest tylko głuchym, a tém samém bardziej do innych ludzi zbliżonym. Taki już wszędzie daleko łatwiej sobie poradzi, i nawet nie powinien się nazywać *głuchoniemym* tylko *głuchomową*. Ale i na tém jeszcze nazwisku nie chciałbym poprzestać; gdyż kaźdy głuchoniemy, prowadzony podług wyżej opisanego sposobu, będzie i do tego usposobionym, aby z poruszeń ust mówiącego rozumiał, a wtedy staje się on zu-

pełnie równym każdemu mówiącemu, a po części i słyszącemu, i już nie *głuchomową*, ale *widzomową* nazywaćby się powinien.

„O! gdyby nauczyciele głuchoniemych szli tylko zawsze za głosem natury, prawda stałaby się dla nich tak jak i natura jedną; zgodziłyby się wtedy ich zdania, a ich nauce dawnoby już czystej teorii przyświecało światło!”

Po przeczytaniu tych ustępów, napisanych z tak głębokim przeświadczeniem, w których pojęcia autora, owiane serdeczną atmosferą prawdy, przedstawiają się tak proste i naturalnie, dziwić się już niepodobna, że Siostrzyński pogodzić się nie mógł z systemem nauczania za pomocą mig i alfabetu ręcznego, przeważnie wtedy w warszawskim instytucie głuchoniemych panującym. Rozwodząc się w swoim dziele nad niewłaściwością tej metody, tak mówi między innymi:

„Obrońcy alfabetu ręcznego utrzymują, że wspiera pamięć i służy do przypominania kolei liter; w uczeniu się napamięć wyrazów zastępuje syllabizowanie; służy do dyktowania wyrazów, które dzieci spamiętać mają, do sprostowania pomyłek i t. d. Odpowiadam na to, że według mojego przekonania, dziecię najprzód myśli i przypomina sobie kolej liter, a potem dopiero, niepotrzebnie igrając palcami, ją oznacza. Czyliż albowiem pamięć jest w palcach dzieci? czyliż ten mechanizm tak daleko postąpić zdoła, ażeby myśl wyprzedził? A gdyby nawet i to stać się mogło, co za pożytek z przemienienia człowieka w maszynę? Owszem zdaje mi się, że ponieważ ten alfabet jest sztuczny, dziecię poczynające nietylko o kolei liter, ale także i o tém, jakby ją oznaczyć myśleć musi, przez co rzecz mu się nie ułatwia, lecz jeszcze bardziej utrudnia.

„Mechaniczne czytanie i pisanie, nabyte za pomocą ręcznego alfabetu, jest próżnym tylko uciemieniem pamięci i ograniczeniem rozsądku, nędzną ale konieczną ucieczką szkoły ks. de l'Épée (1). Dyktują zwykle uczniom zaczynającym pisanie najprzód części ludzkiego ciała. Gdy dziecię napisze kilka takich wyrazów, nauczyciel tłumaczy mu, co każdy z nich znaczy, wskazując na właściwe przedmioty. Jakże się tu rozsą-

(1) Wyrażenie to mogłoby się wydać zbyt ostrém: ostrzegamy więc, że Siostrzyński w kilku miejscach swojego dzieła oddaje zupełną sprawiedliwość cnocie i wysokim zasługom założyciela pierwszego w Europie Instytutu głuchoniemych.

dek dziecięcia pomieszać musi, gdy sobie pomyśli, że tyle znaków, z przedmiotem żadnego podobieństwa nie mających, ma jednak być jego obrazem. Dziwi się ono temu zrazu, przestaje wszakże na posłuszeństwie, ale przestaje i myśleć; ogranicza się i przemienia nakoniec w maszynę, która tylko pamięta. Nie dosyć na tém: nauczyciel podyktowawszy uczniowi kilka wyrazów za pomocą alfabetu ręcznego, maże potem wszystko, a ukazawszy przedmioty, każe mu je z pamięci wypisywać. Jakieżto nadzwyczajne uciemienie pamięci! Jestto zupełnie to samo, jak gdyby kto napisawszy jakieś hebrajskie słowo, nie znającemu tego języka kazał je potem z pamięci powtórzyć. I możesz się taki gruby mechanizm nazywać pisaniem lub czytaniem?

„Alfabet ręczny jest nadto wielkim przeciwnikiem systemu głośnego mówienia, i walcząc z nim ustawicznie, burzy i rozłącza to wszystko, co mowa złączać powinna. Bo czyż nie woli dziecię igrać sobie palcami, aniżeli nieugięty język łamać? czyż nie woli na wyrażenie każdej zosobna litery rzucić ręką, aniżeli je razem za pomocą języka składać? Lecz co za użytek z téj ręcznej zabawki, gdy kolej liter interesować nas nie powinna? Moje zaś ręczno-ustne znaki nietylko że się zgadzają z mówieniem, ale przymuszają nawet dziecię do wymawiania, gdyż same przez się bez mowy nic nie znaczą” (1).

Zbija dalej zasadę zwolenników szkoły ks. de l'Epée, że podobnie jak człowiek słyszący, chcąc się obcego nauczyć języka, używa ku temu swojej mowy rodzinnej; tak i w nauce głuchoniemych przybrać należy do pomocy mowy ich naturalnej, tojest gestów.

„Dla przekonania, że migi nie są naturalnym językiem głuchoniemego, zapytałbym tylko, czy głuchoniemy jest człowiekiem? Bo gdy każdego człowieka językiem naturalnym jest mowa, więc nie ulega wątpliwości że i głuchoniemych. Wielka jest także różnica między głuchoniemym uczącym się mowy, a słyszącym, uczącym się języka obcego. Tego ostatniego język rodowity stanowi równie jak i obcy część mowy ludzkiej, którą on dawniej już posiadał, za pomocą której nabył dokła-

(1) Niepodobna nam tu objaśnić bliżej natury i użycia tych znaków, wynalezionych przez Siostrzyńskiego do nauki głuchoniemych, bo trzeba by na to wypisać kilkadziesiąt stronic wykładu samego autora. Ocenienie zresztą ich wartości należyć tylko może do specjalnych w tym zawodzie sędziów. Przytoczymy jednak poniżej krótki o nich ustęp.

dnego wyobrażenia o rzeczach i myśleć się nauczył; niczego tu więcj nie potrzeba, jak tylko części i słowa obcego języka z językiem rodowitym jedne na drugie zamieniać. Inaczj rzecz się ma z głuchoniemym, który żadnego o mowie nie ma wyobrażenia, bo migi jego wcale innj są natury jak mowa, i wytłumaczyć jój nie potrafią. Lubo więc nie zaprzeczam, że migi naturalne, właściwie zastosowane, mogą i muszą być w początkowj nauce środkiem ku rozwinięciu wyobrażeń w głuchoniemych i wytłumaczeniu im mowy naszj, utrzymuję przecież, że nauczyciele za środek tylko a nie za cel uważać je powinni”.

Wykazawszy niewłaściwość alfabetu ręcznego i migów, Siostrzyński stara się udowodnić potrzebę wynalezionych przez siebie ręczno-ustnych znaków, których opis, znaczenie i użycie w wykładzie teoryi mowy obszernie już poprzednio wytłumaczył. Kilka myśli autora w tym przedmiocie powtórzyło jeszcze w r. 1819 jedno z ówczesnych pism krajowych (O. b. tom I, miesiąc wrzesień); my przytoczymy w całości własne jego słowa:

„Chcąc przystąpić z dziećmi do nauki wymawiania, zastanawiałem się nad tém, czyby się nie dały wysledzić litery, któreby każdy poczynający z pewnością po organach poznał i rozróżnił; lecz wyznać muszę, że nic tu wskórać nie mogłem, gdyż nie znalazłem ani jednj, z którjby się nie mieszały inne. I tak dlatego samego już, aby wiedziéć, o którj literze mowa, potrzebne są znaki coby ją nam wskazywały, coby, że tak powiem, dotknąć się jój i uczuć dozwalały, i dostatecznie nas o tém, że się nie mylimy upewniały, a takiemi właśnie są moje ręczno-ustne znaki. Ale prócz wymienionych własności mają one jeszcze i tę cnotę, że nie będąc wypadkiem szczerj dowolności, zwracają wczesnie uwagę dziecięcia na usta, na organy i na ich najznakomitsze działania, a stosując się i tu do natury, kierują jego okiem i przymuszają je czuwać ustawicznie; bo cóżby np. ta płaska ręka, ten palec wskazujący znaczyły, gdyby dziecię jednocześnie w organy się nie wpatrywało? Tym przeto znakom winienem, że naukę wymawiania w samym początku zaraz łączę z nauką poznawania mowy z ust; przy nich to ja bez owj nienaturalnej dowolności otwierania szeroko ust, tak aby niemy wszystkie obroty w nich widział, obywać się moze, i wczesnie już dzieci sposobj do tego, aby naturalnie mówiących ludzi rozumiały i same naturalnie mówiły.

Unikam nawet przytém tego, czego inaczej uniknąć trudno, ażeby nauczyciel sam przez to nie nałożył się do jakich dowolnych min, gestów i poruszeń ust, sobie samemu tylko właściwych. Zrozumieją go prawda wtedy daleko łatwiej dzieci, ale nikogo tóż więcéj. Prócz tego, te tak nienaturalne i zbyt widoczne poruszenia mogą się bardzo łatwo zamienić w nieprzystojne wykrzywania. Dla uniknienia przeto śmieszności, i mając ten cel na uwadze, aby młodzi głuchoniemi nie tylko nauczyciela swego, ale i obce osoby rozumieć mogli, najlepiej będzie używać projektowanych przezemnie ręczno - ustnych znaków”.

Siestrzyński duszą i ciałem zwolennik szkoły głośnego wymawiania, otwartym był zawsze nieprzyjacielem wszelkiego eklektyzmu, wszelkiéj połowiczności, do jakiej lgnęło wtedy wielu jego współkolegów, wahając się między dwiema wprost sobie przeciwnymi metodami. Odezwę jego w tym względzie do nauczycieli, pełną siły, rzewności i tój serdecznój, przekonującój wymowy, którą nadać tylko może prawdziwe przekonanie, obok prostoty pojęć i głębokiego uczucia, podajemy tu w skróceniu:

„Do was teraz, wyznawcy szkoły piérwszój i wiekami starszój, a bracia moi, gdyż i ja tego samego jestem wyznania, niechaj odezwać mi się godzi. A najprzód czy staraliście się o to, aby w waszój szkole jedność, czystość, zgoda i harmonia między celem a środkami panowała? Czy pomyśleliście o tém, żeby, ile siły ludzkie pozwolą, zbliżyć się do doskonałości? Czy poznaliście się na swojój wyższości i czy prawdziwie oceniać ją umiecie? Czyżeście nie wiedzieli o tém, że innym wy pniem jesteście, a żywioły szkoły drugiej nie są żywiołami waszemi? Dlaczego nieprawnie przyswajacie je sobie, dlaczego pragniecie rzeczy obcych, nieużytecznych wam wcale? Czyż ks. de l'Epée nie zostawił wam i tu przykładu? Wszak w jego szkole widzimy oczywiste zastosowanie sztuki do natury; a wy przeciwnie, czólgając się bez potrzeby za sztuką, naturę do jój kajdan zniewalacie, co grzechem jest nawet, bo zniszczy tu sztuka wszelkie usiłowania natury. Nie umiłowaliście dostatecznie wiekami wprzód objawionój wam świętój prawdy, nie dbacie o istnienie własnej swojój, jedynie naturalnej i prawdziwej szkoły. Lecz w siłach jest to waszych dźwignąć się jeszcze; pamiętajcie, że natura, Bóg i ludzkość do tego was wzywają! O! wszyscyśmy

powinni być braćmi i budownikami tój samój szkoły, o którój podwalinach w zgodzie myśleć powinniśmy. Wypada nam więc stanowczo oświadczyć się albo za szkołą Bonnetta, albo za szkołą ks. de l'Épée: za pierwszą mówi natura, która była i jest wszędzie; do drugiej pociąga nas sztuka, wymysł ludzki, a więc znikomy. Kto usłuchał pierwszjej, niechajże jēj będzie wiernym i pomija drugą, gdyż droga pośrednia bardzo tu jest niebezpieczną. Kto zaś obrał sobie sam i upodobał drugą, niechaj nie zbliża się do nas, jeżeli chce być wolnym od ciężkich zarzutów. Mężowie, którzyście wzrosli w szkole drugiej, a których przywiązanie do świętjej natury ku naszej szkole zbliżyło, was to ta przestroga się tyczy i tyczyć będzie, dopóki większej jeszcze z siebie nie zrobicie ofiary! Ofiara to prawda niemala wyrzec się urodzenia swego, ale natura i miłość braterska jēj wymaga, gdyż pod jēj tylko skrzydłami, jako dzieci jednego ojca, wszyscy w zgodzie pracować możemy."

Zaprawdę, czytając tę szlachetną, prosto z serca pałającego miłością natury i ludzkości płynącą przemowę, każdy uczuje się porwanym i mimo woli przekonanym, nie poznawszy nawet bliżej przedmiotu i nie wiedząc po czyjjej stronie jest słusność.

Praktyczne bardzo i zbawienne są rady Siostrzyńskiego, udzielane rodzicom głuchoniemych dzieci:

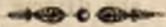
„Nikt pewnie, mówi on, nie może przyczynić się tyle do dobra głuchoniemego, ile właśni jego rodzice, mający go na oczach od kolebki; i nikt też tyle nie winien, co oni, jeśli dziecię zaniedbane, nawpół dzikie i z nalogami niepokonanemi do szkoły przychodzi. Zazwyczaj rodzice takich nieszczęśliwych, litując się tylko nad stanem swych dzieci, zanadto je pieszą, albo mniemając się ukaranemi przez nie od Boga, samym je sobie zostawiają i kształcenie ich zaniedbują. A jednak wychowanie domowe koniecznem jest dla nich przygotowaniem do późniejszej nauki, jaką w szkołach i instytucjach pod opieką rządu pobierają. Dla was więc rodzice głuchoniemych wypisuję tu kilka rad i wskazówek, których zachowanie pomoże wam w wypełnianiu jednego z najświętszych obowiązków człowieka:—pracowania nad szczęściem własnych dzieci.

„Gdy tylko dostrzeżecie, że dziecię wasze słuchu jest pozbawione i nabędziecie przekonania, że głuchota nie da się uleczyć, za *gluche* je tylko, ale nie za *nieme* uważajcie; stanie się ono dopiero takiem, jeżeli mu pomocy swojej odmówicie. Pra-

wda, że daremneby może były wasze usiłowania działać przez ucho na organy mowy dziecięcia, ale bądźcie pewni, że przez czucie i oko, prawie tak dobrze jak przez ucho działać możecie. Nie wiécie zresztą w jakim stopniu wasze dziecię jest głuchém: może ono wiele jeszcze słyszeć, chociaż słuch jego zwyczajnej mowy nie rozróznia. Nie zaszkodzi więc nigdy przemawiać do niego czasem bardzo głośno i nastęrczać mu częściej sposobność, aby coś słyszało. Gdy będzie starszém, bierzcie je z sobą tam, gdzie muzyka, gdzie śpiewy, gdzie dzwony, kottý, strzelby i gdzie trzoda głośno się odzywają: gdyż ucho, będąc w ścisłym związku z organami mowy, budzi w nich instynkt i chęć do mówienia. Jednak gdyby się wam zdało, że martwe jest ucho dziecięcia, nie zwątpijcie jeszcze, bo gdyby i w samej rzeczy tak było, nie pozostanie ono niemém przy pomocy i cierpliwości waszój. Upredzi dziecię, wcześnziej czy późnziej, głosem życzenie wasze; utwierdźcież je w tém, aby to samo i na żądanie wasze czynić mogło, a tymczasem usposabiajcie się na jego nauczycieli. Pięciu głosów tylko, *a, o, u, e, i*, dzieci swoje nauczyć macie; reszty, jak wszystkie dzieci, tak i te, same się od was nauczą. Wymawiajcie tylko te litery powoli i wyraźnie, trzymając jego rękę na swojej szyi, tam, gdzie jabłko Adamowe, a ramię na piersiach, tak, aby dziecię widziało i czuło drgania tych organów, a zdziwicie się sami z jaką łatwością ono was pojmie. Gdyby dziecię którój litery wydać głosem nie potrafiło, lepiej zostawić ją późniejszemu czasowi, gdyż przedewszystkiém strzedz się należy zniechęcenia, i cała nauka odbywać się powinna w sposób jak najmnień nużący. Prócz tego, gdy dziecię będzie starsze, potrzeba je często brać między ludzi, przez co pozbędzie się ono podejrzliwości i nieufności ku mówiącym, których, samo sobie zostawione, za różne całkiem od siebie zwykło uważać istoty. Przygotowane dopiéro w domu, według sił i możności, dziecię powinno być oddane na dalszą naukę do instytuców, w których daj Boże, aby inne panowały zasady.”

Kończę na tém przegląd pracy Dra. Siestrzyńskiego, który aczkolwiek pobieżny, dać jednak może jakie-takie wyobrażenie o wartości jego systemu, żalując, że ustęp ostatni „Rady dla rodziców głuchoniemych dzieci” dla braku miejsca zaledwo w jednéj czwartéj części wypisać tu mogłem. Życzyćby należało, aby który z pp. księgarzy albo prywatnych nakładców zajął się wydaniem tego dzieła szacownego, a przynajmnień dru-

gięj jego części o uczeniu głuchoniemych. Rękopis gotowy jest do druku, i wymagałby chyba już tylko lekkiego pod względem stylu opracowania. Prawda, że przedmiot jest specjalny, i nakład taki nie obiecywałby może świetnych korzyści materialnych; ale ludzkość i nauka niezawodnie wieleby na tém zyskały. Zresztą i pokup znalazłby się także, bo przecież o rzeczy tak ogólnie interesującej jak nauka głuchoniemych, każdy chętnie coś przeczyta, zwłaszcza że w naszym języku nie ma dotąd ani jednego dzieła w tym przedmiocie. Proszbę tę o nieukrywanie dłużej w rękopisie pracy, której ogłoszenie drukiem tyle przynieśćby mogło pożytku, zwracam szczególnie do szanownego rektora warszawskiego instytutu głuchoniemych, jako terażniejszego jej właściciela. Możeby wydanie dzieła Dra Siestrzyńskiego skutecznie się dało z funduszów instytutowych: nie byłoby to pewnie zniżeniem się z celem takowych, a pamięci zasłużonego niegdyś w instytucie nauczyciela najtrwalszy i najpiękniejszy wzniosłoby pomnik.



PAMIĘTNIKI

PRZEZ

Sabinę z G. G.

(Ciąg dalszy).

Ubiór nawet tutejszego wieśniaka nosi na sobie pewną cechę smutku i zaniedbania; czapka acz tradycyjnie krakowska, czerwona i czworograniasta; zamiast koloru ponsowego, wpada w ciemny amarant, jest mniejsza, wierzch mniej wydatnie wykrojony i wyższy, sukmana z szarawego płótna, pas rzemienny bez kółek, bóty z małemi obcasami, koszula bez owych jaskrawych barw odznaczających krakowski ubiór. Tak zwany zagrodnik odrabia do dworu trzy dni na tydzień, w zamian czego ma chałupę, tojest izbę z komorą, wążką sionkę, chlewik, stodółkę, ćwierć morgi ogrodu i trzy morgi pola. Do pługa na kołach zaprzęga się sześć wołów, które niemało mają pracy pruć skorupę twardęj, czarnej, ślizkięj, miejscami kamienistęj ziemi. Nigdzie ucisk i nędza ludu tak dotkliwie i boleśnie nie daje się czuć jak w téj okolicy. Tak przynajmniej było w roku 1823. Gdyśmy poraz ostatni gościli w Marzęcinie, na Wielkanoc tegoż roku ksiądz proboszcz z Bogucic przyjechał święcić dar boży; gospodynie znosiły do sali jadalnej starego dworca swe ubogie do świątecznej uczy przybory, składające się z kawałka wołowiny, lub baraniny wędzonej, mendla jajek, serka, bochenka z pszennej mąki naraz spytłowanej, chrzanu, trochy soli i octu, rzadko kiedy schabu, głowizny, lub kielbasy. I to tylko zamożniejsi, bo byli tacy, co po jedném jaju do święcenia przynosili. Niezawsze można wierzyć nędzy chłopka,

miewa i on różne swoje dyplomatyczne wybiegi i rad się w oczach, zwłaszcza dziedzica w maskę nędzy przybiera; ale w Wielką Sobotę jeżeli jego ubóstwo przedstawia się w całej nagości, to też w całej swój szczerocie jest ono takiem, jakiem jest istotnie. Wielkanocne święcone i pogrzeb, czyli jak oni nazywają pochówek, są to uroczystości, w których jeżeli chłop polski suto i okazale nie wystąpi, to tylko dlatego, że wystąpić nie jest w stanie. Otóż w okolicy Buska i Marzęcina i tego obchodu, tyle dla niego uroczystego obchodu pogrzebowego nędza mu odmawia. Widziałam na moje własne oczy, z powodu braku drzewa i nadzwyczajnej drożyzny budulcu, ludzi wiejskich chowanych bez trumny. Byli w tej liczbie i tacy, którzy mogli opłacić nabożeństwo w kościele: przynoszono ich na marach, czarném suknie okrytych, stawiano w kościele w pośrodku sześciu, a czasami i więcej jarzących świec, i tam zostawiano przez ciąg wigilii i mszy żałobnej, po której zanoszono do grobu, obnażano z sukna i tak chowano. Nieraz zdarzyło mi się być na takiej mszy: dla miejscowych jestto widok bardzo polspolity.

Inna jeszcze pamiętna mi w Marzęcinie postać, był dawny domowy doktor Zarczyński, stary kawaler, oczywiście dziwak i tetryk, ale rzadkiej prawości i poczciwości. Należał on do tej zaginionej już rasy lekarzy ziemian, co to wisząc na swym własnym zagonie o życiu i zdrowiu pacjentów stanowili, co więcej doświadczeniem, niż nauką świecący, sercem, a nie chęcią z bogacenia się do ludzkości przywiązani byli. Gdy przyjechał do chorego badał, ślezczał przy nim, obecnych egzaminował o początku i okolicznościach poprzedzających chorobę, dopóki doskonale jej nie odgadł. Jeżeli była do uleczenia, nie odstępował łoża pacjenta: dniem i nocą czuwał i własną ręką wszystkie podawał lekarstwa. Jeżeli nie widział środka ratunku, okropnie się skrzywił, tabaki parę razy zażył, pochodził dużemi krokami po pokoju, poczem obróciwszy się do najwięcej interesującej się chorym osoby, dajmy na to żony, matki, siostry: *poślej pani po księdza, to lepszy doktor jak ja, rzecz, a mnie każ zaprzęgać, bo nie mam czasu tu siedzieć; ot chmurno na niebie, a jam jeszcze nie zasiał.* I ten człowiek, który miesiąc cały gotów był się poświęcić choremu, mogącemu być uratowanym, wyjeżdżał bez litości wśród prośb, błagań, łez i rozpaczy, które nieubłaganym wyrokiem wywołał. Byłto

rzeczywiście wyrok, bo nie było wypadku, aby się kiedykolwiek omylił. Mimo tego daru przenikliwości, Żarczyński nie był wcale zarozumiały, nie gniewał się, gdy w razie uporczywej choroby zażądano *konsylium* i posyłano do sąsiedniego Staszowa, po mającego wówczas wielką wziętość doktora Wocylkę. Kiedy mówię sąsiedniego, to się myślę, albowiem Staszów był od Marzęcina o mil 4 odległy, ale przed laty trzydziestu doktorowie po wsiach byli prawie rzadkością, i nieraz objechało się mil kilkanaście nie znalazłszy żadnego w okolicy. Przecież ludzie nie więcej, a może nawet nie tyle chorowali. Tyfusy, skrofuły, gryppy, cały ten zastęp tyle zabójczych dziś chorób nie był z nazwiska nawet znany; sama choroba więcej naturze powierzona nie tyle morderczą była dla życia, a nawet dla kieszeni. Poczciwy Żarczyński robił trzy i cztery mile za 20 złotych honorarium. Wocylko słynny na okolicę pojechał za złotych 100 o mil 6. Wprawdzie trzeba mu było poprzednio kłaść pieniądze na stół, bez tego ani się ruszał, i choćby w najnaglejszym razie wszystkie czynione sobie propozycje stanowczo odrzucał.

Po ogłoszeniu wcielenia tej części kraju naszego, którą nazywano Galicyą zachodnią z miastem Krakowem do księstwa warszawskiego, zaczęto zajmować się organizacją sądowno-administracyjną tej prowincyi. Mój ojciec czuł, że nie powinien zostawać w bezczynności, gdy się pole otwiera służenia użytecznie krajowi. Przyjął ofiarowany sobie przez króla urząd sędziego, a następnie prezesa trybunału departamentu krakowskiego, który później zmienił swą francuzką nazwę na szczeropolski tytuł województwo. Okres ten księstwa warszawskiego wyżej opisailiśmy. Bitwa pod Waterloo położyła ostateczny kres panowaniu Napoleona, nie tylko w tej części Polski, ale i w Europie. Kraków odłączony został od byłego księstwa warszawskiego wraz z ówczasowym departamentem poznańskim i częścią bydgoskiego, któreto prowincye, jak wiadomo, Prusom powtórnie odstąpione były, stara zaś Jagiełłów stolica, jako wolne miasto z kilkomiłowym okręgiem otrzymała samoistną egzystencją, z oddzielną konstytucją, rządem, pod wpływem i protektoratem trzech dworów. Wiekopomnej pamięci Cesarz Alexander przywrócił księstwu warszawskiemu właściwą mu nazwę, mianując je królestwem polskim: czego wszakże nie zrobił samolubny i pełen dumy cesarz Francuzów, dla którego

bezpотrzebnie się tyle drogiej polskiej krwi przelało. Niebawem stanął nowo uorganizowany rząd wolnego miasta Krakowa i jego okręgu. Składał się on z władzy prawodawczej, reprezentowanej przez sejm z wolnego wyboru deputowanych przez obywateli złożony, i z władzy wykonawczej, którą stanowił senat. Sejm zbierał się co roku w miesiącu grudniu, co lat trzy obierał prezesa z prawem potwierdzenia go na następne lata i pewną liczbę senatorów, których dwie trzecie części obieranych było przez Akademię i duchowieństwo; on stanowił o podatkach, zmianach praw, modyfikacjach w systemacie rządowym i t. p. Senat rządzący dzielił się na kilka wydziałów: Sprawiedliwości, Policji, Skarbu, Spraw Wewnętrznych, Oświecenia, każdy pod prezydencją jednego z senatorów. Jego prezesem był od początku istnienia małej Rzeczypospolitej co trzy lata do roku 1830 potwierdzany pan Stanisław Wodzicki były prefekt departamentu krakowskiego, o którym już mówiłam w tych pamiętnikach jako o znakomitym uczonym i naturalisście. Sądownictwo było niepodległe, rządziło się jak za czasów Napoleona kodexem francuzkim bez żadnych modyfikacyj. Konstytucya nowo utworzonej Rzeczypospolitej była nader liberalna, podatków prawie żadnych, wolność druku i osób zaręczona; milicya utrzymywana do strzeżenia porządku publicznego składała się około z trzechset ludzi, wyłącznie krajowców i wysłużonych za księztwa warszawskiego żołnierzy, umundurowanych częścią na sposób polski, a częścią francuzki: kolor sukna granatowy z niebieskimi wyłogami. Prości milicyanci nosili bermyce, albo téż kaski czworograniaste; oficerowie kapelusze stosowane i szlify nakształt francuzkich, tojest niższe stopnie na prawém ramieniu bez buillonów, żartobliwie nazywane kotlety, na lewém zaś z buillonami. Muzyka później już, bo koło roku 1822 utworzona, ubrana była na sposób austryacki, w mundury ponsowe. Moneta trzech opiekuńczych mocarstw krążyła bez trudności; w ostatnich czasach moneta zdawkowa z herbem miasta (trzy baszty z orłem polskim u spodu w niebieskiem polu) bita była w Wiedniu, gdyż kraj nie miał własnej mennicy. Dwory opiekuńcze utrzymywały przy rządzie wolnego miasta swoich rezydentów, którzy do roku 1836 mało bardzo mieszały się do wewnętrznych spraw kraju. W roku 1817 byli ze strony Austrii hrabia Schwertz-Pork: od Prus baron Rajbnitz, od Rossyi wojewoda Miączyński. Mieli oni jednocześnie charakter kommissa-

rzy do organizacyi rządu wolnego miasta. Przysłani byli z Warszawy do Krakowa oficerowie kwatermistrzostwa, w liczbie których był znany pułkownik Bojanowicz; zajmowali się oni rozgraniczeniem obwodu krakowskiego od sąsiednich mu państw. Bojanowicz był miły i uprzejmy w towarzystwie, powierchowność miał ujmującą, przytém waleczny żołnierz i doskonaty oficer w swojej broni; mówiąc o nim, przypominam sobie następującą anegdotę. Nie pamiętam już jak się to zrobiło, że poszliśmy z mojami rodzicami oglądać menażeryą zwierząt przejeżdżną przez Kraków: i on, i jeszcze inny pan, o którym niżej powiem towarzyszyli nam. Przybyliśmy, sala była napelniona widzami, szczególnie téż klatka lwicy z lwiatkami ogólną zwracała uwagę. Przyszła Bojanowiczowi psotna myśl sprzeciwiania się lwicy; najprzód laską wywijał przed kratą, następnie rzucił jej rękawiczkę, którą na najdrobniejsze cząstki pogryzła; a w gniewie swoim rzuciła się na kratę i tak nią mocno szarpnęła, że nietylko klatka, ale cała sala jęknęła. Przestraszony właściciel przybiegł, prosząc tonem błagającym, aby téj gry zaprzestał, gdyż za skutki odpowiedzialnym być nie chce. Lwica, która jak widać upodobala ją sobie, powtórnie rzuciła się na kratę, ale umitygowana groźném wejrzeniem właściciela, położyła się jak długa na swoje postanie. Publiczność w pewności, że zwierz w tym drugim paroxyzmie gniewu kratę na prawdę przełamie i rzuci się na nią, poczęła zwracać się ku drzwiom. Popłoch był ogólny i tak szybki, że widze o mało nie podusili się przy drzwiach. Szczęściem nie było żadnego wypadku i skończyło się na poginionych w natłoku szalach, chustkach, rękawiczkach, zegarkach i łańcuszkach, które mimo wielu szukających na wszystkie strony, nigdy się nie wynalazły. Właściciel menażeryi, Francuz rodem i oczywiście bardzo wygadany, długą miał do pułkownika mowę, której sens moralny był, aby mu zwrócił koszta podróży do Krakowa i jeszcze wyliczył pewną summę tytułem wynagrodzenia za stracone korzyści, gdyż już pewno nikt w mieście jego menażeryi nie odwiedzi. Nie wiem jak się ta sprawa skończyła i czy delikwent był zmuszony do zapłacenia; to pewna, że się nikt nie zraził tonem despotycznym i obraźliwością afrykańskiej potentatki, bo dni następujących sala menażeryi była napelnioną. Drugi pan towarzyszący nam, o którym wspomniałam, był jedną z tych problematycznych postaci, o których opiniach, pochodzeniu, ży-

ciu i postępkach nikt dokładnej nie miał wiadomości. Oczywiście Francuz, bo takie figury najobficiej się nad brzegami Sekwany i Garony rodzą, nazywał się hrabia de Lagarde, mieszaniec sztuki, poeta, artysta, liryk, zrujnowany pan, niby legitymista, ale obok wierności niezłamanej dawnym swoim księżętom, entuzjasta i piewca sławy francuzkiego i polskiego oręża. Nosił pełną kieszeń wierszy na cześć księcia Józefa Poniatowskiego, ułożył album muzyczne, pamięci wodza naszego i wielu innych francuzkich generałów i marszałków poświęcone, ułożone na śpiew przez najcelniejszych ówczesnych mistrzów jak Boëldiég'o, Lafon'a i innych, któreto album, jak się każdy dorozumie, sowiec trzeba było oplacać. Były to kompilacje poetyczne dawnych francuzkich romansów, mimo mierności swojej ochoczo u nas witane, gdyż bardzo naszą miłość własną narodową lechtały; do czego nas zwykle Francuzi nie przyzwyczajali, mając w zwyczaju wszystko nasze ganić. Jego urzędowym tytułem i towarzyskiem stanowiskiem był jakiś stopień w służbie szwedzkiej i order miecza, który nosił w całej swojej okazałości wiszący na drobnym, misternej roboty weneckim łańcuszku, u dwóch dziurek u guzika wiszącym. Nosił zwykle frak czarny, na wierzchu ogromny surdut, którego prawie nigdy nie zdejmował; twarz niewielka i pospolita opatrzona dużemi wąsami i faworytami, ledwie się wysuwała z za ogromnego białego halsztuka, w którym tak wyglądała, jak statuetki mandarynów arabskich, w których głowa gdzieś niknie wśród wielości draperyj i ozdób. Prowadził on za sobą jakiegoś pana M. pół Francuza, pół Włocha, pół Niemca i czegoś tam jeszcze, którego narodowości żadnym sposobem nie można było odgadnąć, gdyż wszystkie mowy nielitościwie kaleczył. Mówili niektórzy, że uczony: w samej rzeczy dawał on lekcye literatury nie wiem już jakiego języka, i być może, że się niezle z podjętego obowiązku wywiązywał. Tymczasem miał powierzchowność tak pocieszoną, że niepodobienstwem było patrzeć na niego, żeby nie parsknąć serdecznym śmiechem. Dlaczego?—niepodobna powiedzieć: bo pan M... był jak wszyscy, niezbyt szczupły, ani otyły; więcej mały niż wysoki, mocny brunet, ale cała fizyonomia była tego rodzaju, który Francuzi doskonale charakteryzują nazwą *Plaisant*. Obok tego miał wadę, czy zaletę nadzwyczajnej galanteryi dla płci pięknej, i nałóg niepowściągniętego obżarstwa, rzadko obok tamtej istniejący. Od uwielbianej piękności

(a nie był bardzo w wyborze przedmiotu wybredny) szedł do talerza, któremu się nie przeniawierzał, dopóki ostatniej z niego nie wyskrobał okruszynki. Z początku przyjmowano pana M... przez wzgląd na jego przyjaciela pana de Lagarde, potem dlatego, że cudzoziemiec; następnie dla jego śmieszności, naostanku dla jego obżarstwa i galanteryi, z których sobie niewyczerpany zapas wesołości robiono. Nie obeszło się żadnego wieczoru, kolacyi (a wówczas jeszcze kolacye jadano) bez pana M. Miano w tém pewne wyrachowanie. U stołu sadzano go obok wybranęj przez niego tego dnia piękności, bo pan M. był motylkiem i łatwo było miłość w niego wmówić. Sadzano go zatem obok tój, która rolę wybranęj piękności przyjąć na siebie raczyła. Wieczorza dajmy na to była doskonała: kremy, blamanże, bażanty (a pan M. uwielbiał bażanty) uwijały się przed nim, a co większa zalegały jego talerz; ale niestety! nie było mu dane szczęście pożywania tego, co już okiem pożerał. Jak powiedziałam, galanterya była jedną z słabości pana M; nielitościwa piękność naładowawszy poprzednio jego talerz, nie dała mu chwili czasu do napawania się temi skarbami podniebienia. Często zdarzało się, że sobie przybięrała w pomoc inną piękność, a tak brały nieszczęśliwego obżałowanego we dwa ognie, robiły jak to mówią *assaut d'esprit*, tysiączne mu gadały grzeczności, czułe oświadczenia, wzajem go sobie wydzięrały, różne mu wiersze i madrygaly na cześć swoją improwizować kazały: a biédak kręcił się, robił co mu kazano, i smutném okiem patrzył, jak służący w miarę nowo przynoszonych potrawy nielitościwie napelnione talerze z przed niego sprzątali. Biédny pan M. blednął, czerwienił się, ale *il fallait prendre son parti*, nie było na to lekarstwa. W końcu wieczery rozbrojone, a może więcęj zmęczone trudną rolą nasze figlarne panie, dopuściły przeciw biédaka do pieczystego. Tu znów nowa otwierała się scena. Jak się można domyśleć, obżałowany, gdy się tój ostatniej potrawy dorwał, jadł za dwudziestu. Gospodyni spostrzegłszy jego wilczy apetyt kazała półmisek przed nim postawić, który bez ceremonii, a nie bez tysiącznych ukłonów i grzecznych uśmiechów na prawo i na lewo, w zupełności wymiół, zostawiwszy, jako pamiątkę pępek i udo kapłona. Mówiono mi, że na jednéj słynnéj pensyi panien, gdzie pan M. dawał lekcyę, zdarzało mu się nie raz dla uciechy swoich uczennic zostać na kolacyi. Przy stole zjadłszy swoją porcyą, zjadał

kolejno podawane sobie porcy panien, które tłumnie, hałaśliwie i z niewypowiedzianym rumotem stołków znosiły mu resztki potraw, które pan M. cynicznie połykał. Któżby powiedział, że ten człowiek śmieszny, obrzydliwy łakomstwem nie był rzeczywiście bez zasługi i miał chwile wielkości i szczytności; takto biędna nasza natura nigdy nie jest bliższą upadku jak kiedy się wysoko wznosi. Widziałam w roku 1825 album pani.... na jednej jego kartce, pan M. proszony o wpisanie się w poczet licznych jój przyjaciół te słowa nakreślił: *Dieu et l'honneur*. Czyż można więcej wypowiedzieć, napisać, życzyć przyjacielowi, i treściwiej wyrazić się w dwóch słowach?...

W owym czasie napływu cudzoziemców do Krakowa, bywał jako codzienny gość w naszych rodzinnych domach Włoch malarz, kawaler Lampi. Nigdy się dowiedzieć nie mogłam, czy to ten sam, co później osiadł w Warszawie, i kilka lat temu umarł w tém mieście. W owym czasie kawaler Lampi mógł mieć lat 30, był chudy, średniego wzrostu, ubierał się zwykle czarno i jak na Włocha nieźle mówił po francuzku, choć w jego wymowie włoskie *ou* jeszcze gdzieniegdzie nie miło dla ucha czuć się dawało. Jako malarz był bardzo w modzie: nie było prawie domu, chcącego lub mającego prawo do elegancyi i konfortu, gdzieby nie zostawił kilku lub przynajmniej jednego portretu. Niewiele się mogłam jeszcze znać na sztuce, nie mogłam więc dostatecznie ocenić prac Lampiego; ale słyszałam znawców, którzy bynajmniej w nich nie smakowali. Znajdowali styl jego *manierowany* i zbyt zakrawający, i to z przesadą, na modną wówczas jaskrawą szkołę Dawida. To pewna, że kawaler Lampi nie chwycił podobieństwa, co jest przecież jednym z pierwszych w portretach warunków, i ci, którzy woleli mieć portrety podobne, używali mniej modnego i wziętego Peszke, mającego dar, obok niekoniecznie starannego wykończenia części artystycznej swoich prac, robienia bardzo podobnych portretów. Portrety Lampiego były prawdziwie hieroglify, których trzeba było odgadywać znaczenie. Jedna okoliczność bardzo mi Lampiego pamiętnym czyniła. Jak każdy Włoch był zabobonny, wierzył w przepowiednie, przeczucia, sny i kabały: może ta okoliczność więcej niż jego pędzel zyskiwała mu w gronie pań naszych wziętość i dobre przyjęcie. Otóż gdy wykończone jego roboty *tableau* rodzinne mojej ciotki przyniesione było z pracowni malarza dla zawieszenia na głó-

wnej ścianie salonu karmazynowego jej domu na Floryańskiej ulicy, jeden z ludzi, którym ta czynność powierzona była, potknął się na głównych schodach, upadł, obraz zaczepił o duży gwóźdź, będący gdzieś na boku i przebił twarz jednej z figur głównych obrazu, przedstawiającą moją babkę. Proszę sobie wystawić rozpacz mojej ciotki, dla której obraz ten miał być najdroższą pamiątką. Posłano po Włocha, wszedł artysta do pokoju, spojrzął na obraz i zbladł... „Co się to znaczy”, pyta przestraszona właścicielka obrazu. „*Nic pani, rzecze Włoch, będzie to praca kilku dni i na tem się skończy.*” Pani wojewodzina Badeniowa obecna tej scenie zapytała go się po włosku, dlaczego przedziurawienie obrazu tak przykre na nim zrobiło wrażenie. „Dlaczego, odrzecz, rzecz bardzo prosta, bo osoba, którą reprezentuje figura uszkodzona, umrze za trzy tygodnie.” „Kto to panu powiedział?” „Doświadczenie, nader smutne doświadczenie: przedziurawienie twarzy jest niezawodną przepowiednią śmierci.” Tu Włoch zadzwonił: wszedł lokaj, któremu kazał sobie podać karty; kładł je, na wszystkie strony wykręcał, tu same króle, tam damy i walety, tu znów mieszane kolory. „Patrz pani, rzecze Włoch do pani wojewodziny, która się z niego śmiała, widzi pani tę dziewiątkę winną? Ona znaczy księdza zakonnika, który przyjdzie panią starościny na śmierć dysponować; ta dziewiątka czerwienna znaczy paciorki; tuz winny to kaptur; a te drobne winne kolory znaczą orszak pogrzebowy!...” „Skończ na Boga kawalerze, rzekła wojewodzina, widzę, że ci się dziś zupełnie w głowie przewróciło.” Cały ten dyalog miał miejsce w czasie, kiedy moja ciotka w innym pokoju jakieś dyspozycje ludziom wydawała; moja babka po włosku nie rozumiejąca i zajęta rozmową z kim innym, słyszeć go nie mogła. W trzy tygodnie po tej scenie, Prosper Burzyński przyjaciel namiestnika Zajączka z kampanii egipskiej i biskup sandomierski, a wówczas jeszcze ubogi Reformator i spowiednik starościny, wezwany do niej w nagłej i niebezpiecznej słabości ostatnie jej udzielał sakramenta!.... Zwracam tu uwagę, że opowiadam prosty fakt bez żadnych komentarzy i bez przywiązywania wiary do tego, co jest tylko dziełem trafu. Łatwo jest bardzo przewidzieć prędki koniec osoby 74-letniej i słabowitej.

Rok 1814 był czasem nowych dla Polaków nadziei i illuzji. Jeszcze po bitwie pod Lipskiem, która położyła koniec

panowaniu Napoleona w Giermanii, cesarz Alexander, świadek czynów waleczności i wierności dla Napoleona Polaków, pragnął ich do siebie przywiązać. W tym celu kazał sobie przedstawić polskich generałów, a zapewniwszy im swoje opiekę, polecił im zebrać niedobitki swoich żołnierzy i wracać z niemi do ojczyzny. Podobnie uczynił z ziomkami naszemi, których po abdykacyi Napoleona z Fontennebleau we Francyi w liczbie 5,000 głów znalazł, jak również i z wziętymi do niewoli, a w głębi Rosyi znajdującemi się. Witiał naród z uniesieniem te drogie szczątki walecznych, którzy jeszcze w legionach włoskich, w bitwie pod Somosiera, w szturmie Smoleńska, w nieszczęśliwym odwrocie Berezyny, wreszcie na obu półkulach, potokami krwi honor swojego narodu utrzymali, i powszechny mu wyjednali szacunek. Wrócił także z niewoli rosyjskiej generał Zajączek, którego jako najstarszego z generałów witali w Warszawie wszyscy polscy oficerowie, a którego w rok później cesarz Alexander na wysokie stanowisko w kraju przeznaczył.

W owym czasie ważyły się w Wiedniu losy wszystkich ludów, bądź wprost, bądź pośrednio władzy Napoleona podległych. Jaki miał być los Księstwa Warszawskiego i króla, który nad niemi panował, było zupełną zagadką. Rząd tymczasowy księstwa rządzący krajem, 5 kwietnia 1813 roku pod sterem senatora rosyjskiego Łanskoj, dozwolił radom obywatelskim podać adres do cesarza Alexandra z prośbą, aby przywrócił królestwo i koronę polską na swoje włożył głowę. Cesarz nie odpowiedział stanowczo na ten adres, ale listem własnoręcznym do generała Tadeusza Kościuszki dał do zrozumienia, ile pragnie bytu i szczęścia narodu, który kochał i wysoko dla jego cnót i nieszczęść szacował; w końcu wzywał generała do powrotu do kraju. Kościuszko w pełnej uszanowania odpowiedzi oświadczył monarsze swą wdzięczność, nadzieję powrotu do kraju i bytu jego, i stałe postanowienie nie wracania, dopóki kongres wiedeński ostatecznego wyroku w kwestyi polskiej nie wyda. W czasie bytności cesarza w Paryżu znajdujący się tam generał Wielhorski minister wojny Księstwa Warszawskiego, zebrawszy swoich kolegów, przedstawił im potrzebę wyjednania audyencyi u cesarza Alexandra: jakoż zyskawszy ją błagał o nadanie bytu i imienia Polsce. Monarcha przenikniony do żywego ich położeniem, powtórzył w obec nich

zapewnienie, jakie dał Kościuszce i nie przestawał okazywać im, równie jak wszystkim w Paryżu będącym Polakom, dowodów współczucia i łaski. Monarchowie sprzymierzeni rozjeżdżając się z Paryża umówili się zjechać na kongres do Wiednia na dzień 1 października 1814 r. Stosownie do tego układu cesarz Alexander jadąc z Petersburga, w Białym, mieście pogranicznym Księstwa Warszawskiego witany był w dniu 19 września przez deputacją od senatu polskiego, duchowieństwa i obywateli wysłaną, na której czele wojewoda Kicki składając mu dzięki za opiekę i dobrodziejstwa, które Polakom wyświadczył w tych ostatnich czasach, powtórzył prośbę przez generała Kościuszkę i ministrów w Paryżu zanesioną, a później powtórzyła ją w Puławach deputacja od miasta Warszawy przysłana. Cesarz każdej z téj deputacyi odpowiedział w słowach pełnych nadziei i uprzejmości, a generałowi Wincentemu Krasińskiemu witającemu go w imieniu wojska, powiedział te pamiętne słowa: „*Wdzięczny jestem wojsku polskiemu, iż swoje męstwo uwieńczyło dobrém w pokoju postępowaniem. Wszystkie kraje, przez które to wojsko przechodziło, tę zaletę mu oddają. Szczęję się tém wojskiem, chcę go mieć mocnym i wielkim, tak, jak Polskę szczęśliwą.*” W Krakowskiem, jak wszędzie cesarz przyjmowanym był z zapalem trudnym do opisania. Obywatele bez żadnych poprzednich namów, z własnego serca popędu, porobili na wszystkich stacyach pocztowych przygotowania na jego przyjęcie. W wielu miejscach monarcha zatrzymywał się, przyjmował herbatę, śniadanie lub obiad. Bawił godzin kilka w miasteczku Pacanowie u mojej ciotki Parysowej, gdzie przy śniadaniu bardzo uprzejmie z zaproszonymi z sąsiedztwa paniami rozmawiał, i wszystkie zostawił oczarowane swą wytworną grzecznością, dobrocią i popularnością. Mówił z prostotą, bez przesady i tryumfu, nawet z pewnym współczuciem o upadku Napoleona, o przywiązaniu Polaków do tego wielkiego człowieka, o przyszłych kraju losach, które świetne być obiecywał. „*Ani myślicie panie, mówił, co ja dla ojczyzny waszój zrobić chcę i mogę. Jadę do Wiednia, aby stanąć w obronie tego uciśnionego narodu, który wysoko cenię i kocham.*“

Łatwo sobie wystawić wrażenie, jakie te słowa nadzieją i przyszłością tchnące, wyrzeczone przez monarchę odziedziczającego opuszczony po Napoleonie tron świata, uczynił na

obecnych. Alexander cesarz Rosyi, wnuk Katarzyny, pierwszy wymówił zaginione już w przeszłości otchłani słowo Polska; pierwszy zdawał się chcieć *technąć życie* w bezwładne ciało wielkiego narodu!... Nie dziw przeto, że we wszystkich zakątkach kraju naszego, przez które przejeżdżał, z zapalem był przyjmowany. Wszystkie panie obecne w czasie owego przejazdu u ciotki mojej, dały sobie wzajem słowo zajechania cesarzowi drogi w Wieliczce; jakoż w przepysznych tualetach przyjeły go w salinach, gdzie przy oświetleniu pieczar *algiorno* dano reprezentacją wesela krakowskiego. Monarcha z zajęciem przypatrywał się rześkiemu tańcowi i malowniczym kostiumom kilkunastu par Krakowiaków, uwielbiał zwinność, świeżość i wdzięk dziewic, żywość, urodziwość i pełne energii ruchy Krakowiaków. Teżże samęj nocy pożegnawszy arcy-księcia Ferdynanda wysłanego ze Lwowa na jego powitanie, i całe towarzystwo oczarowane jego dobrocią i uprzejmością, cesarz puścił się w dalszą do Wiednia podróż.

IV.

Cesarz Alexander zjechał się w dniu 28 września 1814 r. z królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem III pod Wiedniem, a następnie obaj monarchowie uroczysty wjazd do stolicy państwa austriackiego odprawili. Cesarz Franciszek wspaniale przyjął swoich sprzymierzonych, cały prawie miesiąc październik zszedł na paradach wojskowych, balach, karuzelach i t. p. uroczystościach. Ta pochopność do zabaw w chwili tak stanowczej i w obec tak ważnych wypadków i sprzecznych interesów dała powód słynnemu z dowcipu księciu de Ligne do owego znanego orzeczenia: *le congrés danse, mais il ne marche pas*: jakoż wesoly bohater z pod.... niemogąc doczekać się końca kongresu, przeniósł się do lepszego świata, powiedziawszy do otaczających go przyjaciół na godzin kilka przed śmiercią: *miełście różne parady cywilne i wojskowe, jednęj wam tylko niestało, to jest feldmarszałkowskiego pogrzebu, ale i ten mieć będziecie*. I tak się stało: monarchowie, ich dwory, wszystkie znakomitości wojskowe, cywilne, dyplomatyczne i duchowne, zbiegły się aby czią i pamięcią otoczyć trumnę człowieka, który potrafił urodzić się, żyć i umierać na najwyzszych szczeblach to-

warzystwa, błyszczyć blaskiem wojskowej i naukowej sławy, pochlebiać wielce, a śmiać się ze wszystkich, nie zostawiwszy posobie ani zawistnych, ani niechętnych wspomnień.

Ale wróćmy do bieżących politycznych wypadków, będących treścią niniejszego rozdziału. Trzeciego listopada zaczęto dopiero sprawdzać plenipotencye książąt, na kongressie nie obecnych, od których różne wnoszono żądania. Stary król Sycylii żądał zwrotu Neapolu, co było dla kongressu przedmiotem niemałych trudności, gdyż miano powody względności dla Miurata, który odstąpił szwagra swojego Napoleona, a wojska swoje pod rozporządzenie sprzymierzonych oddał. Niemało sobie także nałamano głowy nad organizacją Niemiec, lecz los Polski i Saxonii największém kongressowi groził zawikłaniem. Król pruski domagał się Saxonii, jakoż w skutku woli cesarza Alexandra, rząd tego kraju przez księcia Repnina dotąd sprawowany, oddany mu został. Król saski, ta szczytna i jedyna może w dziejach ofiara wierności, przyjaźni i przymierza, jako jeniec wojenny trzymany w Berlinie pod strażą, prosił kongressu o przewiezienie go ztamtąd do Prezburga, czemu zadosyć uczyniono. Kiedy tak w Wiedniu monarchowie i ich ministrowie wyrokuja o losach różnych Europy krajów, Napoleon po podpisanej w Fontennebleau abdykacyi na wyspę Elbę wywieziony, zachował w tém ustroniu tę samą prawie etykietę i zwyczaje, co w Tuilleries. Z rana były tak zwane *grands et petits levers*, następnie dawał audyencye cudzoziemcom pragnącym mu się przedstawić, ku południowi mustrował swoich wiernych czterystu gwardzistów lub zwiedzał na brzegach stojące angielskie okręty. Wieczorami dawał bale, tygodniowe przyjęcia, widywał panią... która na to wygnanie za nim pospieszyła. Z barbarzyjskimi i afrykańskimi korsarzami, którzy tak długo niepokoili brzegi Śródziemnego morza, zawarł umowę, w skutku której flaga jego była szanowaną. Wśród tego pozornego zajęcia, żywił w piersi swojej nadzieję nie harmonizującą wcale z ówczesowym stanem rzeczy; miał téż do tego słuszne lub mniej słuszne powody. Pisał do Wiednia, aby mu wolno było widzieć żonę i wpływać na wychowanie syna, na co żadnej nie dano mu odpowiedzi. We Francyi Ludwik XVIII mimo owego pięknego frazesu brata swego hrabiego d'Artois: *Messieurs, rien n'est changé et il n'y a qu'un Français de plus* codziennie się więcej przekonywał, że

nieprzyjazny mu duch narodu, sam jak najmocniej zmiany pragnął. W wojsku, a mianowicie w owój wiernój i ukochanej dawnego wodza starój gwardyi niechęć ku Burbonom codzien jawniej się okazywała. Kilkadziesiąt tysięcy oficerów i urzędników, którzy za czasów cesarstwa mieli być jakikolwiek, sławę, buławę a może i berło w nadziejach, starój dynastyi sprzyjać nie mogli. Do tych gotowych anarchii i nieukontentowania żywiółów przyłączyły się wymagania emigracyi, której dobra za dawnój rewolucyi skonfiskowane były, obawa tychże dóbr nabywców, wreszcie pamięć wielkości i potęgi Francyi za czasów cesarstwa, o której Francuzom zawsze próżnym i sławy narodowój zazdrosnym, trudno było zapomnieć. Lud, żywiący ku Burbonom zastarzałą ojców swych niechęć, wymyślał różne nienawidzenia ich powody. Szukał ich nietylko w publicznych sprawach, ale w życiu prywatném, w ubiorze, a nawet w olbrzymim członków téj rodziny apetycie. Wyśmiewał chorobliwą i niezwykłą Ludwika XVIII tuszę, jego ubranie w czasie uroczystego do Paryża wjazdu, zakrawające na jakąś tunikę, niby mundur gwardyi narodowój, co temu monarsze zyskało przydomek *le roi jaquette*; przekręcano i nicowano etykietę i przestarzałe zwyczaje tego dworu, wygrzebującego z popiołów starój monarchii nowe dla siebie zwyczaje i formy. Owi bohaterowie z pod Jemappes w perukach, z pudrem i harcapami, owi markizowie i wikontowie nie mający nic za sobą oprócz kilkudziesięciu pokoleń szlachectwa, dziwnie się wydali nienawyklj do nich generacyi. Jakaś złowieszcza mania odtwarzania zaginionych i umarłych zwyczajów, zawładnęła stronnikami starój dynastyi, a téj manii zgubnej w swoich następstwach, doświadczony i wytrawiony w nieszczęściach rozum brata Ludwika XVI zapobiedz nie był w stanie. Dlatego to tyle zabójcza we Francyi broń śmieszności więcj jeszcze wpłynęła na gotującą się Bonapartystowską reakcją, niż wszystkie jój stronników starania.

Kiedy się tak umysły we Francyi gotują do przyjęcia Napoleona i okrzyknienia go powtórnie cesarzem, w Hiszpanii, powołany na tron Ferdynand VII, z charakteru mściwy, podejrzliwy i srogi, prześladował i więził kortezów, którzy za niepodległość narodu i przywrócenie mu korony przodków, potoki krwi swojój i ziomeków przelewali. Przywrócona przez niego inkwizycya więziła i śmiercią karała najszlachetniejszy wy-

bór narodu. Król neapolitański Miurat, pozornie tylko pozostawiony na tronie, niepokojony ze strony papieża, żądającego zwrotu zabranych mu poprzednio prowincyj, i od króla Sycylii kuszącego się o panowanie w Neapolu, szarpany również od Austrii, która pod pozorem szukania dezertersów, z jej armii do jego kraju zbiegłych, zbrojnie granice przechodziła: podniósł armią swoją do 80,000 wojska, z niemałym dla poddanych swoich uciępieniem. Austrya biorąc tę groźną postawę za wypowiedzenie wojny, jeszcze w czasie wiedeńskich układów rozpoczęła kroki zaczepne, a mając we Włoszech 50,000 wojska, wstępnym bojem Królestwo Neapolitańskie opanowała. Miurat widząc że jego armia kilkoletnią walką znużona bić się nie chce, dnia 20 maja 1814 r., wszedł na okręt i popłynął do Cannes, a jednocześnie stary król sycylijski, teść cesarza austriackiego, do opuszczonej korony przez Miurata, oraz dawniej swojej stolicy powrócił. Otóż jeszcze jedna zdrada, która nic innego oprócz hańby i udrczeń sumienia niewdzięcznikowi nie przyniosła. Poznał, ale po nieczasie błąd swój Miurat; uczuł, że jego stanowisko i bezpieczeństwo jego korony jedynie obok Napoleona istnieć mogło. Chciał się znów do b. cesarza przyłączyć, ale tę spóźnioną wierność starym orłom, pod których skrzydłami wzrósł, życiem, jak wiemy, przyplacił.

Napoleon od roku blisko zamieszkujący wyspę Elbę, ostrzeżony od licznych swoich we Francji a nawet w samym Wiedniu stronników, z którymi tajemną prowadził korespondencją, że kongres układa plan wydalenia go z Europy i osadzenia go na jednej z wysp zwrotnikowego archipelagu, powziął myśl ucieczki i powrotu do Francji. W tym celu złożywszy radę z wiernymi sobie oficerami, i ułożywszy zręcznie i głęboko pomyślany plan ucieczki, opuścił nagle miejsce swojego wygnania, i przepłynąwszy cudem prawie wpośród strzegących brzegów okrętów angielskich, wraz z garstką wiernych sobie grenadyerów stariej gwardyi wylądował szczęśliwie w dniu 1 marca w Cannes, gdzie przez nadbrzeżną ludność z zapalem przyjęty został. Rząd Ludwika XVIII telegrafem o tym wypadku uwiadomiony, wydał odezwę wzywającą Francuzów do wierności dla dawcy swobód i karty konstytucyjnej, poczem wysłał wojsko na pokonanie Napoleona, którego dowództwo powierzył głównie marszałkowi Nej. Wybór ten dziwnymby się zdawał mniej świadomemu ducha i usposobień głównych

stronników stariej dynasty. Tak pośród książąt krwi, jak w gronie ludzi, którzy rok przedtęm porwali się z taką junakerją na bronzową i niemą statwę cesarza, nie znalazł się ani jeden, któryby śmiał czoło stawić bohaterowi wieku. W przykrém swém położeniu, zagrożony powtórna utratą korony, stary król musiał się uciec do jednego z dawnych uczniów i żołnierzy cesarza. Nej podjął się missyi walczenia przeciw swojemu mistrzowi w sztuce władania bronią. Powołany do Tuilleries ponowił królowi najenergiczniejsze zapewnienia wierności w tym samym gabinecie, gdzie na kilkanaście miesięcy wprzódy hołdował żelaznej woli ówczasowego Europy i Francyi władcy. Jeżeli mamy wierzyć kronice, wyrzekł te słowa niesłychane w dziejach niewdzięczności ludzkiej: *je Vous l'ammené dans une cage de fer*. Kiedy się to dzieje w Paryżu, Napoleon tymczasem spokojnie postępował ku miastu Grénoble wpośród tłumu wieśniaków, którzy zewsząd gromadzili się na jego spotkanie. Podszedłszy pod miasto, bramę miejską zastał z rozkazu prefekta zamkniętą; mieszkańcy dowiedziawszy się o jego przybyciu, bramę odbili i na barkach ją cesarzowi przynieśli. Garnizon połączył się z wiernym batalionem, który towarzyszył swojemu wodzowi na wyspę Elbę i z nim wracał. Dalszy pochód Napoleona po ziemi francuzkiej był raczej tryumfalnym marszem niż wojennym pochodem. Tymczasem korpus wysłany przeciw niemu szedł przyspieszonym krokiem; na drodze między Grenoblą i Lionem spotkały się oba wojska. Napoleon zakazał swoim przelewać krew francuzką, a wystąpiwszy przed front i rozpiąwszy surdut pod którym ukazała się goła pierś jego: *Jeżeli, rzecze, znajdzie się między wami żołnierz, chcący zamordować swojego cesarza, niechaj się zbliży: ma mnie bezbronnego*. Na te słowa, jednozgodny okrzyk *niech żyje cesarz* rozległ się w powietrzu: żołnierze ze łzami witali swojego wodza i u nóg jego broń składali. Oficerowie, dowódcy nawet, nie śmieli się oprzec tylu połączonym głosom, i bądź że widzieli niepodobieństwo wstrzymania żołnierzy, bądź że ulegli wpływowi osobistych wrażeń, poddali się bez namysłu. Napoleon niesiony prawie na ręku ludu wiejskiego i żołnierzy, szybkim ku stolicy zbliżał się krokiem. 19 marca Ludwik XVIII pożegnawszy gwardyą narodową i polecivszy jej porządek, wraz z rodziną puścił się drogą do Belgii. Popłoch między rojalistami a szczególnie temi, którzy się przyczynili

w senacie do ogłoszenia Bonapartego jako odpadłego od tronu, był niesłychany. Każdy jak mógł krył się, uciekał, lub osobą swoją emigracją do Gand zmierzał. W czasie niespełna 36u godzin przedzielających ucieczkę Burbonów i powrót Bonapartego, było prawdziwe bezkrólewie; dowcip francuzki nie zaniedbał i téj okoliczności dla rozśmieszenia tych, co się ze wszystkiego radzi śmieją. Poprzylepiano różne wiersze, karykatury, paszkwile mniej lub więcej dowcipne po rogach ulic, gmachach publicznych, a nawet kościołach, a wszystkie na niekorzyść Burbonów. Jedna z nich wyobrażała Ludwika XVIII uciekającego do Gand; w pośpiechu uciezki spada mu korona, którą niefortunny monarcha nie ma czasu podnieść. Przypatrujący się ucieczce król rzymski, podjął ją z ziemi, mówiąc: *tiens, il en levait la couronne à mon papa*. Obok tych żywych płodów francuzkiej wesołości, wytryskującej nawet w chwilach najbardziej uroczystych i stanowczych, widziano przejeżdżających się po mieście w fijakrach ludzi w fantastycznych ubiorach, reprezentujących niby orła cesarskiego i lilią Burbońską, siedzących razem w powozie i wołających z całego gardła, wychylając głowę oknem karety, *vive le roi, vive l'Empereur*, chcąc wyobrazić przeto niepewność położenia chwiejącego się między dawną dynastyą a cesarstwem. Napoleon przybył wieczorem 20 marca do Paryża; wysiadając z pojazdu przed pałacem Tuilleries, znalazł u wschodów królową Hortensyą na czele wszystkich malkontentów, tojest dawnych wysłużonych dymisjonowanych żołnierzy, którzy go na rękach na górę zanieśli.

Cesarz nie tracąc chwili czasu natychmiast uorganizował rząd swój, otoczył się ludźmi posiadającemi zaufanie narodu: Carnota zrobił ministrem spraw wewnętrznych, Fouchego ministrem policyi. Téj nocy jeszcze kazał wydrukować w Monitorze kilka popularnych dekretów, które w drodze przygotować kazał, jak np: dekret zwołujący obie izby w *champ de Mai*, i nadający narodowi swobody. Kiedy się to dzieje, i Napoleon znów przybiera ton i mowę panującego, wiadomość o jego powrocie do Francji lotem błyskawicy do Wiednia przybiegła. Przerażeni tym niespodziewanym wypadkiem monarchowie, zapomnieli o swych wzajemnych niesnaskach, i już o niczem inném nie myśleli tylko o wspólnej obronie i grożącym im niebezpieczeństwie: jeden tylko z pomiędzy nich cesarz Alexander pokazywał się jak zwykle z wypogodzonym czołem. Monarchowie i ich

ministrowie bez żadnych już oporów podpisali w dniu 21 kwietnia traktat stanowiący o podziale księstwa warszawskiego, którego najgłówniejsza część, Rossyi w posiadanie oddaną została. Odpadłe zaś departamenta: poznański, bydgoski i część kaliskiego 1,100,000 głów ludności liczące, z tytułem księstwa poznańskiego do Prus wcielono. Austria odebrała dawniej drugą połowę Wieliczki, oraz okrąg podgórski; Kraków zaś z przestrznią 40 mil kwadratowych wynoszącą, wolnym miastem ogłoszony został. W jednym z artykułów traktatu włożono na trzy rządy uczestniczące w podziale, obowiązek zaprowadzenia w częściach księstwa przez siebie posiadanych, odrębnej administracyi i reprezentacyi narodowej; nadto cesarz Alexander zastrzegł sobie wolność nadania nowo wskrzeszonemu królestwu wewnętrznych urzędzeń, jakie za potrzebne uzna. Monarcha ten listem z Wiednia do prezesa senatu polskiego, wojewody Ostrowskiego, pod dniem 18 kwietnia 1815 r. datowanym, uwiadomił naród o powyższych szczegółach, sam zaś ze swojemi sprzymierzeńcami gotował się do nowej z Napoleonem walki. W tym czasie wydali monarchowie deklaracją, przez którą Napoleona Bonapartego za wyjątego z pod opieki praw uznali, i wojskom swoim ku Renowi pospieszać kazali. Dnia 15 czerwca wojsko pruskie pod wodzą marszałka Bliuchera połączyło się z korpusem angielskim w Niderlandach, a feldmarszałek austriacki książę Szwarzenberg, miał główną kwaterę w Manhejmie. Kiedy się to dzieje w starłej Giermanii, Napoleon niemniej gotuje się do walki okropnej, stanowczej i rozpacznej. Ten człowiek, który w szczęśliwszych czasach nie znał innego prawa tylko swoje samowolne dekreta, ułożył jeszcze na wyspie Elbie projekt do jakiejś konstytucyi, mającej niby zastąpić liberalną kartę Ludwika XVIII. Wszakże jeżeli los zmusił go do pewnej zmiany w systemie rządzenia, niemniej i duch Francuzów od roku wielce się odmienił. Oględny i liberalny rząd Ludwika XVIII otworzył narodowi oczy i przekonał go, czém być może, czém być powinien; żywioł liberalny odżył wśród nowo tworzącego się cesarstwa, i szczęku gotującego się do obrony granic oręża. Salony liberalne, na których czele stała słynna córka Neckera, Lafajette, Odillon-Barrot, korzystając z swobody, którą im nastęrczał wyjątkowy rok 1814, rozsiewały między publiczność zdania zupełnie przeciwne systemowi cesarstwa.

Marzono o ustawie, któraby na wzór konstytucyi angielskiej zabezpieczyła każdemu stanowi zosobna właściwe mu swobody; zaczęto z większą rozważą zapatrywać się na wojenną sławę lat ubiegłych, przekonano się, że zwycięstwo i europejski rozgłos o waleczności Francuzów, nie są w stanie zabezpieczyć ich swobód i rzeczywistych potrzeb. Pod ostrzem zwyciężkiej stali sprzymierzonych, w obec powtórnego najścia obcych, urok wielkości cesarstwa słabnąć począł. Pisarze tacy jak Chateaubriand, pani de Staël, odezwali się w pismach pełnych ognia, prawdy i przyszłości. Beranger, ten wieszcz ludu, zanucił pieśnią lekką, satyryczną, szczerą-francuzką, szalenie wesołą, w której tyle prawie było przymówek i żartów ile słów i zdań. Słowem, upadły rząd Napoleona dość pogardliwie *régime du sabre* nazwany, z wolna z mody wychodzić począł w sferach wyższych i średnich towarzystwa, jedynie zachowując jeszcze wziętość swoją po wsiach i w wojsku. W téjto okoliczności uwielbiać potrzeba takt Ludwika XVIII i rojalistów dobrze swój interes pojmujących. Nie mogąc z stanowiska swojego potakiwać zapałowi Francuzów dla Napoleona i jego wojennej sławy, uderzył w inną stronę ich narodowych uczuć: postanowił odżywić w nich stary ojców zapał do wolności, i tym sposobem utworzyła się owa słynna Ludwika XVIII ustawa, najrozumniejsza, najliberalniejsza i najwięcej do potrzeb ducha narodu zastosowana ze wszystkich ustaw, któremi się kiedykolwiek naród ten rządził. Wśród takichto okoliczności zjawił się powtórnienie Napoleon we Francyi: znał on położenie jeszcze będąc na wyspie swojej. Umysł ten bystry, przenikliwy i przedsiębiorczy pojął odrazu, że duch się zmienił, że chcąc mieć za sobą Francją, innym językiem jak ściśle wojennym potrzeba do niej przemówić. Dał zatem i on także pewien rodzaj konstytucyi, którą nazwał *Aktem dodatkowym do ustaw państwa*, niby dalszym ciągiem systemu cesarstwa, ale swobodniejszym i liberalniejszym. Był to tylko półśrodek, na którym się doskonale poznali ówczasowi ludzie ruchu, tojest liberaliści; bo kiedy w dniu 7 czerwca Napoleon na tak zwane *Champ de mai* zwołał izby i oświadczył im: „że się spełniło najgorętsze serca jego życzenie, gdy w dniu tym rozpoczyna się we Francyi monarchia konstytucyjna”, nie ufali słowu jego, i od dnia tego zaczęła się w izbach silna przeciw niemu objawiać opozycja. Sam tytuł téj ustawy *Akt dodatkowy* zdawał się już zwiastować

przedłużenie owego systemu uciemnienia i samowolności, tak słusznie przez nich znienawidzonego. Ta niechęć w izbie deputowanych szczególnie, śmieliej objawiająca się po porażce pod Waterloo, musiała wywołać abdykacją Napoleona, i tuż za nią idące powtórne najście sprzymierzonych na ziemię francuską. Ale nie uprzedzajmy wypadków. Cesarz mocno już niekontent, ale nieukontentowanie swoje starannie ukrywający, odjechał do armii koncentrującej się na granicy Belgii. Pierwsze spotkanie się z nieprzyjacielem miało miejsce dnia 16 czerwca na płaszczynach w okolicy Ligny, gdzie Francuzi odnieśli dość znaczne korzyści; były to wszakże ostatnie drgania konającej ich wodza fortuny. Bitwa pod Waterloo przecięła ostatnią nić tego zagadkowego położenia. Ośmdziesiąt tysięcy Anglików, tyleż Prusaków dzień cały walczyło: dwa konie ubito pod księciem Wellingtonem, Blücher od swojego wierzchowca powalony, płaszczem okryty, przeskakowany był przez Francuzów, którzy go nie poznali. Przez godzin kilkanaście Napoleon miał górę. Na nieszczęście, zbyt wczesne natarcie jazdy francuskiej na angielską piechotę, niczem się niedające usprawiedliwić cofnięcie się nowej gwardyi generała Duhesme, i wkrótce zaszła pomroka, rzuciły jakiś niepojęty postrach w szeregi francuskie. Złowieszczy krzyk *sauve qui peut* zdradziecko puszczoney, rozległ się pomiędzy walczących; wojsko francuskie zaczęło uciekać bez ładu, nawet szwadrony gwardyi będące przy Napoleonie, poszły w rozsypkę. Sam cesarz wsiał zrazu do powozu, ale spostrzegłszy popłoch skoczył na pierwszego lepszego konia, którego, mu podano i bez szpady i kapelusza ucieczką się ratował. Trzysta armat, mnóstwo wozów i jaszczków, siedm powozów ze szpadą, kapeluszem i płaszczem cesarskim dostało się w ręce sprzymierzonych. Około pięćdziesiąt tysięcy Francuzów legło lub dostało się w niewolę. Anglicy przypisywali zwycięstwo wytrwałości swojej piechoty, Prusacy świetnej szarzy swojego generała Bilów w bok armii francuskiej. W nocy francuski generał Morand zebrał część wojska, którą jak mógł do porządku przyprowadził i nią zasłonił odwrot Francuzów. Napoleon zaś dnia 21 czerwca o 11 z rana wrócił do Paryża, i wsiał w pałacu Elisée - Bourbon. Jak można się domyślać, opozycja liberalna w izbie deputowanych nabrawszy w czasie jego nieobecności i w skutku przegranej, wielkiej siły, stanowczo zażądała jego abdykacyi. Cesarz po niejakiem wahaniu się po-

wtórnie zrzekł się tronu, tym razem na korzyść swojego syna, którego Napoleonem II mianował. W następstwie tego aktu izby posłały do niego deputacją z podziękowaniem za tak wielkie poświęcenie się dla pokoju Francji uczynione, ale żadnej nie uczyniły wzmianki o prawym cesarstwie następcy. W dniu 23 czerwca sessya obu izb była nader burzliwa. Kiedy mimo abdykacyi cesarza na korzyść syna podnosiły się głosy temu postanowieniu przeciwnie, odezwał się dobrze znany przyjaciółom swobód głos Lucyana Bonapartego, prezydującego w izbach. Lucyan, ów prawdziwy bohater wolności, który dla niej poświęcił koronę, który w czasach szczęśliwszych dla swojego brata, jeden może w Europie śmiało stawić opór olbrzymowi, w chwili upadku i troski nie chciał go opuścić: „*cesarz umarł, piorunującym zawołał głosem, niech żyje cesarz.*“ Do niego przyłączył się wymowny głos znanego liberalisty z koteryi pani de Stael, pana Manuel; oba wykonali przysięgę młodemu cesarzowi, a po kilku mniej znaczących uwagach członków opozycyi, cała izba za ich przykładem, Napoleona II cesarzem ogłosiła. To postanowienie izby nie podobało się generałowi Lafayette, będącemu główną sprężyną agitacyi, która wywołała abdykacyą b. cesarza.

Człowiek ten mimo istotnej bezinteresowności i szlachetności celów, był nieszczęśliwie przez jakiś złowrogi i nieprzyjazny los Francji, przeznaczony do kłócenia i mieszanja jej spokojności. Uporczywy wszystkich rządów nieprzyjaciel, był naczelnikiem każdej opozycyi nie z potrzeby, nie z zasad, ale z ducha, z nałogu, z temperamentu. Otóż zmusiwszy prawie Napoleona do abdykacyi, miał mowę w duchu rewolucyjnym i republikańskim, w której proponował środki obrony przeciw wojskom sprzymierzonym, postępującym w głąb kraju. W tej mowie było wszystkiego potrochu: i energii, i patriotyzmu i poświęcenia: wszystkiego, wyjąwszy praktycznego planu ratowania ojczyzny. Środki podane przez Lafayette przyjęte zostały przez izbę, bo innych nie było. W końcu sessyi marszałek Nej w urzędowym raporcie doniósł izbom, że Grouchy i Soult ledwie zdołali zgromadzić z niedobitków 50,000 wojska, że zatem potrzeba układać się z nieprzyjacielem. Generałowie Morand i Rapp zastaniając odwód, ofiarowali sprzymierzonym zawieszenie broni, oznajmując im jednocześnie, że ich woli za-

dosyć się stało, gdyż Napoleon zrzekł się na zawsze korony; ale monarchowie odrzucili wszelkie propozycje i dalej ku stolicy Francji postępowali. Cambaceres, Fouché i Carnot objąwszy rządy pod nazwą Kommissyi rządzącej, wysłali pełnomocników do układania się z księciem Welingtonem, który w dniu 30 czerwca na czele wojsk sprzymierzonych stanął u bram Paryża, gdzie ledwie 50,000 ludzi do obrony zebrać zdołano. Nowo utworzona gwardya narodowa, zajęta przestrzeganiem publicznego porządku, a nadewszystko wstrzymaniem pospólstwa od rabunku, do którego nader okazywało się skore, zwłaszcza na przedmieściach, żadnej pomocy udzielić nie mogła. Położenie było rozpaczne, a stolica w niebezpieczeństwie. W takich razach nigdy nie brak na ludziach, którzy na zgłiszczach pomyślności własnego kraju, siebie pragną jedynie podnieść. W Kommissyi rządzącej znalazł się taki człowiek, a nim był Fouché. Znaną jest jego historia, nie potrzebuję jej powtarzać. Z powołania zdrajca, zaprzedawszy kolejno wszystkie rządy do których należał, umyślił zmazać winę nieszczęśliwego *wotum* 21 stycznia 1793 roku, traktując potajemnie z Burbonami, przyrzekającemi w zamian jego usług miejsce w gabinecie. Miał on oddawna zakorzenioną przeciw Napoleonowi nienawiść, i postanowił sobie jakimbądź sposobem pozbyć go się z Francji. Nikczemny ale dość zręczny dyplomata, starannie cele swoje ukrywając, wprost i szybko do nich dążył, w czasie nawet, kiedy klęska pod Waterloo była jeszcze w zadaniach przyszłości. Po powrocie swoim z Elby, Napoleon mianował go jak wiadomo ministrem policyi, i ten krok cesarza, którego sobie nikt wytłumaczyć nie mógł, zgołę jego przygotował. Od pierwszego wstępu do gabinetu nowy minister zawiązał bardzo rozległe stosunki nietylko z Ludwikiem XVIII, ale ze sprzymierzonymi i z księciem Tayllerand ambasadorem Francji na kongressie wiedeńskim. Mówią, że stosunki te były cesarzowi wiadome, ale bądź, że nieszczęściem przygnębiony, bądź że się bał ostatecznie zerwać z człowiekiem tak niebezpiecznym a tyle przebiegłym, polknął obrazę i na inną porę upomnienie się o krzywdę odłożył. Tymczasem przegrana pod Waterloo podwoiła jeszcze śmiałość zdrajcy, który wbrew woli narodu i wojska, a nawet bez przyzwolenia samychże sprzymierzonych monarchów, plan przywołania Burbonów z księciem Welingtonem ułożył. Napróżno izby wydały do narodu odezwę z oświad-

czaniem, że nigdy powrotu do kraju staréj dynastyi nie dopuszczą; napróżno marszałek Davoust, generałowie Vendamme, Pajol, Erlot, Drouet i 14 innych uroczystry akt w tym duchu podpisali: nic nie przemogło zabiegów księcia Otrante. Napoleon, który od czasu abdykacyi bawił w ulubionéj sobie letniéj rezydencyi Malmaison, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie stolicy, pisał do Kommissyi rządzącéj, że ma niezawodny plan odcięcia wojska angielskiego, byle mu tylko dowództwo chwilowo powierzonym zostało, ręcząc słowem honoru cesarza i żołnierza, że go natychmiast złoży gdy stolicę obroni. Kommissya podszeptami i intrygami Fouchego kierowana, żądaniu temu wręcz odmówiła; a obecny na téj radzie Davoust oburzył się na tego, przed którego potęgą niezbyt dawno się płaszczyl, i aresztem mu zagroził, jeżeli się natychmiast z okolic Paryża nie oddali. Opuszczony od wszystkich prawie Napoleon, w towarzystwie jedynie kilku wiernych przyjaciół wsiadł do powozu w d. 29 czerwca i do Rochefort odjechał. W kilka dni później, to jest na dniu 3 lipca stanęła umowa, na mocy której Davoust z wojskiem ustąpił z Paryża i przeszedł za Loarę. W czasie tych układów izby, jakby w czasie najspokojniejszym obradowały, układały zasady do nowéj konstytucyi, w której znajdował się artykuł stanowiący, że ani monarcha, ani jego następca nie może w otwartém polu wojskiem dowodzić. Weszli sprzymierzeni do Paryża i w pierwszym zaraz dniu sto milionów franków kontrybucyi na miasto nałożyli. Cesarze rossyjski, austryacki i król pruski zjechawszy się d. 10 lipca w Paryżu, ciężar ten do 80,000,000 zmniejszyli. Ludwik XVIII dwoma dniami ich uprzędził, mając obok siebie wiernego zawsze wschodzącemu słońcu księcia Tayllerand. Tymczasem kiedy się to dzieje w Paryżu, Napoleon w towarzystwie komisarzy dworów sprzymierzonych, nie bez niebezpieczeństwa życiu jego grożącemu ze strony rojalistów, którzy lud przeciw niemu po drodze burzyli, stanął w Rochefort. Chwiał się on długo w wyborze czy się udać do Ameryki na fregacie Stanów Zjednoczonych, przygotowanej na jego przyjęcie, czy téż do Anglii popłynąć. Obrął to ostatnie i wsiadł dnia 14 lipca na okręt Belerophon, szukając, jak się wyraził w liście do księcia regenta Wielkiej Brytanii, gościnności u ogniska swojego najgroźniejszego, najstalszego i najszlachetniejszego wroga. Nie poznała się Anglia a bardziej jéj ministrowie na téj szlachetnéj ufności w swój

honor narodowy, odpowiadając nań pociskiem zdrady, hańby i śmierci. Okoliczności towarzyszące niewoli Napoleona na sterczącej wśród wód oceanu skale, doznawane tam przez niego troski, upokorzenia i wszelkiego rodzaju gorycze, a następnie choroba chroniczna i śmierć spowodowana brakiem stosownego dla stanu chorego klimatu, wiadome są światu. Ostatnie lata życia jednego z największych ludzi, których nam przekazują dzieje dawne i terażniejsze, były długim, nieprzerwanym konaniem!... Dziwnażto była tego człowieka karyera, przedstawiająca umysłowi myślącemu niewyczerpane do uwag i wniosków pole! Syn ubogiego szlachcica Korsyki, uczeń szkoły wojskowej i prosty oficer artylerji, wzrósł stopniowo do najwyższego ludzkiej potęgi szczytu, zawładnął ludnością dochodzącą do ośmdziesiąt trzech milionów głów, tworząc nowe królestwa i księstwa, niweczając inne, narzucał w końcu swe prawa i ustawy ludom od Francji najodleglejszym. Energią, odwagą i szczęściem tak świat odurzyć potrafił, że często bardzo ślepego losu wypadki, brano za dzieła nadludzkiego geniuszu. Zaprawdę, trudno mu zaprzeczyć nieporównanej sztuki wojennej znajomości, głębokiego znawstwa serca ludzkiego, wielkich i śmiałych pomysłów, daru używania ludzi według zdolności i charakterów, stosownie do okoliczności i potrzeby: Francja wiele mu winna, a dzieł jego wieki nie zatrą. Jój wielkość i sława zdawały się być jedynym jego życia celem, jedynym niezmiernej dumy i olbrzymich widoków bodźcem. Rządził tym krajem despotycznie, za słowo karał i więził, krwią francuską szafował, podatkami lud swój obarczał, kontrybucjami obcych zwyciężonych gniótł; ale wyniósł Francją nad wszystkie ludy, a sławy chciwą narodową jój próżność podniecał i głaskał, postawiwszy ją na najwyższym punkcie hierarchicznej potęgi narodów europejskich. Kochał i protegował sztuki lubo się niewiele na nich znał, zachęcał postęp w naukach ścisłych, mianowicie w chemii, upadającą religią katolicką podniósł i jój ołtarze z gruzów wy dobył. W kodexie cywilnym zostawił pomnik, który jak kodex Justyniański tysiące lat przeżyje i niezatarte ślady w prawodawstwie narodów naszego pół-sferza zostawi. Przez system lądowy zata mował wprawdzie na czas handel między-narodowy, ale wspierał handel wewnętrzny i przemysł wszystkich krajów stałego lądu; ukrócił monopoliczne uroszczenia Anglii, która będąc już panią mórz, i handel lądowy w swym ręku wyłącznie trzymała.

Nadawał wzrost fabrykom, wiele je troskliwością swoją, jak np. fabryki cukru z buraków, przedzenie bawełny zachęcał i wzbo-gacał. Lecz umizgi fortuny, która wbrew swojemu zwyczajowi dość długi czasu przeciąg wierną mu pozostała, pochlebstwa i hołdy które go otaezaly, zepsuły w nim serce i skrzywiły rozum; wszystko mu się możliwém zdawało: czyny gwałtu i uci-sku uważał być słuszne i sprawiedliwe, skoro tylko jego planom posłużyć mogły. Polityka jego była zaborczą, to żadnej nie ule-gać wątpliwości; gdyby jego pomysły były doszły do skutku, reszta państw europejskich a może i zamorskich, byłyby się stały francuzkami prowincjami: kochał on Francją, ale za nic nie miał ludzkości i ogólnych praw miłości braterskiej, których nie pojmował. Czyny gwałtu jakich się dopuszczał względem obcych, jak wojna hiszpańska, więzienie papieża, zgwałcenie granic księstwa badeńskiego, zabór Oldenburga, były nietylko niemo-ralne ale niepolityczne; a jego względem Polski niewdzięczność niczém się usprawiedliwić nie da. Jak w systemie swego rzą-du we Francyi chciał, aby wszystko się ściągało do monarchii i nieraz mówił czynem, jeżeli nie słowy, jak Ludwik XIV: *la France, c'est moi*; tak znów w stosunkach z innemi narodami chciał, aby Europa była Francją, a Paryż stolicą świata. Nie pojmował téj prawdy, że potrzebą ludów jak jednostek jest samoistność i samodzielność, że one także pragną owego *ja* tak drogiego każdej indywidualności; że mogą być ludy szczegól-nie uposażone w rozum, dowcip, przemysł, geniusz, ale zupeł-nie wydziedziczonych z praw powszechnych być nie może: bo wszystkie narody są synami jednego Ojca w niebie. Słowem, hasłem Napoleona było: *Jam jest Francją, a Francya światem*, i na tym właśnie punkcie znalazł się ów olbrzymi klin o który rozbiła się jego dotąd niezwalczona potęga. Ludy europejskie o swoją samoistność trwożliwe, podniosły się jakby jeden przeciw olbrzymowi Zachodu i zgniotyły go jedynie siłą swojego narodowego uczucia i siły. Tak być musiało, bo owę duchową równowagę (w której uczucie narodowe ma źródło) można chwilowo zgwałcić, ale nigdy zupełnie pokonać. Jestto taką prawdą, że Francya sama poczęła sobie własną wielkość przykrzyć, znieawidziła swą wojenną sławę, a zaczęła dotkliwie czuć ucisk swój własny i obcych. Ton dyktatorski cesarza, jego osobista duma, samowładność, oburzała samych jego stronników; dostojności i bogactwa, któremi ich tak

hojnie obdarzał, zrodziły w nich pewien rodzaj przesytu i ociężałości; pragnęli przedewszystkiēm pokoju, aby mogli świeżo nabytych dostatków używać w kraju i na łonie rodzin. Tu jest właśnie tajemnica upadku piérwszego cesarstwa. Upadło ono walcząc przeciw połączonym siłom obcych narodowości, i własnych poddanych znużeniu i przesytowi. Cokolwiekbądź, Napoleon był jednym z tych ludzi opatrznych, od czasu do czasu jawiących się na tle dziejów, którzy *byli, bo być musieli*. W nichto głównie objawia się *myśl Boża* opiekująca się każdym człowiekiem szczegółowo, i kierująca bytem i wszelkim niemal ruchem narodów. Przejście Napoleona było nietylko potrzebne, ale konieczne w czasie, w którym się zjawił, tak we Francyi jak we wszystkich krajach Europy. Dzieje jego stanowią epokę w dziejach ludzkości, mianowicie pod względem religii, ducha praw i wyobrażeń. Tu zostawia one niezatar-te niczēm ślady.

(Dalszy ciąg nastąpi).

082

DWA USTĘPY
Z BOSKIEJ KOMEDYI.

PRZEKŁAD

Felixa Wicherskiego.

I.

Z pieśni trzeciej.

Przezemnie droga gdzie lży nieskończone,
Przezemnie droga do wiecznej niedoli,
Przezemnie droga między zatracone.

W najwyższej była sprawiedliwość woli,
Gdy mnie poczęły trzy siły złączone:
Miłość i mądrość i Boska potęga.

Byt mój poprzedził wszystko, co istnieje,
Krom przedwieczności; czas mnie nie dosięga.
Kto raz tu wchodzi, ten żegna nadzieję.

Te słowa czarno wyryte na bramie
Ujrawszy, rzekłem: boleść we mnie leje
O! mistrzu, straszne tych wyrazów znamie.

Na to, jak człowiek, który w pomoc bieży:
„Tu, rzecze, słabość hart ducha przełamie,
Tu wszelką bojaźń odrzucić należy.

Jakom ostrzegał, wchodzimy w tej chwili
Do miejsca, w którym skazani na mękę,
Ci, co rozumu dobro utracili.”

Zatém przyjaźnie ujął mnie za rękę
Z twarzą, co wlewa do serca otuchę,
I tak ku drodze zesłiśmy tajemnej.

Tam bez gwiazd, światła, wśród przestrzeni ciemnej
Słyszałem skargi i jęczenia głuche,
Co przenikały do głębi mej duszy.

Tam głosy męki, bolesnych katuszy,
Błuzniercze słowa w języku nieczystym
Sprawiły tyle naokoło wrzasku,

Że się zdawało w tém powietrzu mglistém,
Jakoby wichur wzięwszy góry piasku
Miótl je bez końca po pustynnej drodze.

Więc oblakany zapytałem w trwodze:
Mistrzu, opowiedz, kto są owe cienie,
Co się wydają tak cierpieć tu srodze?

A on mnie: „nędzne jest ich przeznaczenie:
Nie zasłużyli w życiu ci mizerni
Ani na chwałę, ani potępienie.

Należą one do wzgardzonej czerni
Owych aniołów, co sobą zajęci
Nie buntowniczy byli, ani wierni.

Do nieba nigdy nie mogą być wzięci,
By go nie szpecić; piekło ich odpycha,
Aby ztąd dumy nie mieli przekłęci.”

Jakaż jest, mistrzu, zapytałem zcicha,
Męka, co ściga ich wśród tej zawiei?
A on mi na to: „powieść o nich licha:

Skazani nie znać końca, ni nadziei,
Taką nikczemną mają bytność całą,
Że najnędzniejszej zazdroszczą kolei.

W świecie pamięci o nich nie zostało;
Kara i litość niemi pogardziły.
Patrz, choć uwagi zasługują mało.”

Zatém widziałem, jako się kręciły
Z dziwną szybkością rozwiane sztandary,
Jakoby wichur gwał je z całej siły.

Za niemi biegły długiém pasmem mary
W takiej ilości, żem nie dawał wiary,
Aby śmierć tyle przeniosła w te ciemnie.

A skorom zdołał rozpoznawać twarze,
Ujrzałem kogoś, co niegdyś w tyarze
Wyrzekł się wielkich przeznaczeń nikczemnie.

Wtedy zagadka została mi widna:
Pojąłem, czemu tłuszcza w tym obszarze
Niebu przeciwna i piekłu ohydna.

II.

Z pieśni piątej.

FRANCZESKA RIMINI.

Gdy mistrz niewiasty wskazał i rycerzy,
Co dla miłości żywot swój oddali:
Byłem jak człowiek, gdy grom weń uderzy.

Poeto, rzekłem, oto widzę w dali
Na skrzydłach wiatru niesione dwa cienie;
Radbym ażeby męki swe wyznali.

A on mi na to: „zaspokoisz chcenie,
Bowiem przybędą w imię uczuć zwane,
Co je skazały tu na zatracenie.”

Więc skoro bliżej ku nam były gnane,
Podniosłem głos mój: jeśli nikt nie broni,
Pomówcie z nami, o dusze stroskane!

Jak dwa gołębie, gdy je miłość skłoni,
Powietrze skrzydłem rozwieszonem krają,
Aż padną lot swój zwinąwszy; tak oni

Z miejsca, gdzie była otoczona zgrają
Dido królowa, ledwo nas zoczyli,
Pomkną się ku nam i wnet przy nas stają.

„Istoto tkliwa, która nas w tej chwili
Odwiedzasz w ciemnych otchłaniach chaosu,
Nas, cośmy ziemię krwią naszą zbroczyli;

Jeśliby niebo usłuchało głosu,
Prosilibyśmy o pokój twej duszy,
Za twoję litość dla smutnego losu.

Wszystko, co zechcesz i co serce kruszy,
Opowiem idąc w przeszłości bezdroża,
Dopóki wicher słów mych nie zagłuszy.

Kraj, co mnie rodzi jest nad brzegiem morza
Pod najpiękniejszym niebem, gdzie Pad wbiega
Zabrawszy orszak strumieni do łoża.

Miłość w cném sercu rychło się zażega:
Ten, co się niegdyś rozmiłował we mnie
Pełnej uroku, już mnie nie odbiega.

Miłość, co winna płacić się wzajemnie,
W sercu mém ognie zapaliła skrycie,
Aż ją w tutejsze przenieśliśmy ciemnie.

Przez miłość razem szliśmy na zabicie.
Kaina gdzie jest bratobójców grono
Czeka na tego, co nam odjął życie.“

Kiedym wysłuchał tę duszę zranioną,
Spuściłem głowę i miałem schyloną,
Aż z zamyslenia zbudził mnie Wirgili.

Przez jakież, rzekłem, męki przechodzili,
Przez jakie żądze, słodkie tajemnice
Ci biedni ludzie, nim śmiercią skończyli!

Potem ku cieniom obracając lice:
Franczesko, rzekłem, ubolewam cały,
Aż łzami moje wezbrały zrenice.

Lecz chciej mi twoje opowiedzieć szaly,
Którymi miłość krewką młodość pieści,
Czemu i jako w sercu twém zatlały?

A ona na to: „straszniejszej boleści
I w zatracenia miejscu nie obaczę,
Jak zbiegłe szczęście wspominać w powieści.

Lecz gdy z litością patrzysz na rozpaczę,
Odsłonię przeszłość, co mi serce rani,
Jak ten, co razem i mówi i płacze.

Raz dla rozrywki kiedyśmi oddani
Byli czytaniu przygód Lancelota,
Młodzi, samotni, w sobie zaufani,

Płomienne dzieje cudzego żywota
Sprawiały w oczach i na licach zmianę;
Aż zwyciężyła nas jedna pieszczota:

Gdyśmy czytali, jako zakochane
Dwa serca jeden pocałunek złączył;
Ten, z którym wszędzie na zawsze zostanąę

Drząc w moje usta tajną słodycz wsączył.
Autor gorętszych związków nie układał,
I nikt z nas książki w tym dniu nie dokończył.“

Kiedy cień jeden o tém opowiadał,
Drugi w łzy takie wylewał trosk brzemie,
Żem rozrzewniony całą moc postradał,

I padłem jako umarły na ziemię.

St. Petersburg,
d. 5 grudnia 1855 r.



IKONOGRAFIA.

(CZĘŚĆ ARCHEOLOGII OGÓLNEJ)

O NIMBACH, AUREOLACH, GLORYACH I SYMBOLACH
ŚWIĘTYCH, UŻYWANYCH NA OBRAZACH.

Z ARCHEOLOGII OGÓLNEJ

Józefa Łepkowskiego

Członka Tow. Nauk. Krak. Wydz. Archeol.

(Ciąg dalszy).

Panien 11,000 (patrz Urszula).

Pankracy, umarł śmiercią męczeńską w 13 roku życia. Malują go z mieczem (M), a niekiedy z lancą i mieczem. Patron Bergu, wielu kościołów w Magdeburgu. 12 maja.

Pantaleon lekarz, zmarły śmiercią męczennika około r. 300 w Nikomedyi; przywiązany do drzewa, do którego ręce ponad głową świętego gwoździem przybito. Niekiedy wyobrażają go napół okrytego, albo też nagiego, niekiedy w stroju rycerskim. 28 lipca.

Paweł (patrz pod apostołami).

Pelagiusz, umarł w 13 roku jako męczennik w Akarnanii; okazują to kleszcze. 27 sierpnia. Tegoż dnia obchodzi się święto dwóch papieży tegoż imienia.

Petronella dziewica rzymska, wedle podania córka św. Piotra. 31 maja.

Piotr (patrz pod apostołami).

Polikarp, biskup smyrneński, zginął na stosie 166 r. 26 stycznia.

Postańców czterech: Walentyń, Ruprecht, Kwiryn i Antoniusz.

Prandota biskup krakowski † 1266 r., malowany bywa w stroju biskupim klęczący przed ołtarzem; na antepedium herb rodzinny Odrowąż; nad mensą w obłokach widzenie, które miał, przedstawia św. Stanisława z św. Jackiem. (Wyborny żywot tego błogosławionego biskupa, napisał ks. kan. kap. krak. M. Gładyszewicz, Kraków 1845).

Remigiusz biskup w Reims; gołąbek z ampułką unosi się ponad nim. † około roku 533. *Translacye*: 1 października, 13 stycznia, 15 stycznia.

Roch, jako pielgrzym; z odślonioną lewą nogą, na lewém udzie ma guza od zarazy; pies obok niego. Strzeże od moru. † 1327 r. kanonizowany 1414 r. 16 sierpnia.

Roman, rzymski wojownik, ścięty za Decyusza za to, iż się dał ochrzcić św. Wawrzyńcowi. 9 sierpnia.

Rupert biskup Salzburga, trzyma w ręku kubek soli. Patron zakładu salzburskiego i wielu kościołów w Austrii: † 718 r. 27 marca. *Transl.* 24 września.

Salomea (błogosł.) córka Leszka Białego króla polskiego i Grzymisławy księżny ruskiej, żona Kolomana króla halickiego. Po śmierci męża wstępuje do zakonu św. Franciszka; trzy klasztory zakonu św. Klary za życia zbudowała, to jest: w Zawichoście, Skale i św. Jędrzeja w Krakowie, w których bywała przełożoną. N. M. Panna z Chrystusem i z licznymi aniołami jej się pokazuje i mówi: „Wesel się i raduj córko moja Salomeo, albowiem dziś wiecznego wesela dostąpisz”. Później niedługo, bo tego samego dnia Bogu ducha oddała, 1268 r. 17 listopada, i w tym też dniu obchodzi się jej święto. Ciało jej pochowane w Krakowie u Franciszkanów.

Scholastyka siostra św. Benedykta; zowią ją: *Domina tonitruum* i malują w czarnym Benedyktynek habicie. Dusza jej w postaci gołębia unosi się do nieba. 10 lutego.

Sebald, królewicz duński, który w VIII wieku żył jako pustelnik w lesie w okolicy Norymbergi, opowiadając Frankom wiarę chrześcijańską. Chciał być w tym miejscu pochowany, gdzie jego ciało dowolnie (dwa albo cztery) woły pozostawiaj

stały więc tam, gdzie stoi teraz w Norymberdze kościół św. Sebald. Kanonizacja tego świętego, który jest patronem Norymbergi, odbyła się 1424 roku. Jego święto przypada w dzień 18 sierpnia. Przedstawiają go zwykle jako pustelnika, rzadko jako rycerza, a przy nim woły.

Sebastyan (1) przywiązany nago do drzewa albo pala, i przeszyty wielu strzałami, z których jednak żadna nie trafiła go w serce; ponosi później śmierć męczeńską, gdyż pochwycony powtórnie z rozkazu Dyoklecjana, i wprowadzony do cyrku, zabity, a raczej zatłuczony został pałkami, 288 r. (patrz Fabian). Jest on patronem strzelców, i chroni od zarazy morowej; także patron Rzymu, a zwłaszcza ulubiony od niewiast włoskich, mianowicie rzymskich.

Serwacy, biskup Mastrychtu (Tongern), żyjący w IV wieku. Orzeł powiewa nad nim skrzydłami, kiedy śpi wystawiony na upał słoneczny. Trzyma w ręku klucz, opiekuje się dobrem powodzeniem zamysłów. 13 maja. *Transl.* 7 czerwca.

Sewerus. Tego imienia wielu świętych się znajduje, pomiędzy innymi trzech biskupów: piérwszy raweński († 390 r. 1 lutego), którego godłem są szewskie albo tkackie sprzęty; drugi z Avranches (w VI wieku, 22 października), przy którym koń stoi; trzeci nakoniec był biskupem wiedeńskim (8 sierpnia).

Seweryn, żył jako pustelnik w Austrii, gdzie opowiadał wiarę chrześcijańską. Malują go jako opata albo biskupa każącego do ludu. † około 482; święto jego obchodzi się d. 8 stycznia. *Transl.* 10 października. Patron tkaczy, Austrii i Bawaryi.

Siedmiu braci śpiących: Maxymian (z łaską sękatą), *Malchus* i *Martynian* (z siekierami), *Dyonizyusz* (z gwoździem), *Jan* (z pałką), *Serapion* (z pochodnią) i *Konstantyn* (z pałką), na rozkaz Decyusza, w jaskini pod Efezem, żywcem zamurowani zostali. Tu spali przez lat 196, i obudzili się dopiero za panowania cesarza Teodozyusza II, kiedy jeden z oby-

(1) Postacie św. Sebastjana, są wszystkie jednotypowe. Jestło zawsze piękny młodzian, z głową Apollina, w całej sile młodości i wdzięku, trochę pochylony, przywiązany do słupa lub drzewa i przebity strzałami. Wznosi oczy ku niebu z wyrazem wiary głębokiej i rezygnacyi. Czasami u nóg jego leży zbroja; czasem jeszcze nie jest przeszyty strzałami, tylko przywiązany dopiero, a strzały leżą przygotowane. W starych obrazach scena dzieje się niekiedy w dziedzińcu pałacu cesarskiego; w nowszych, zawsze odbywa się w polu, a w oddaleniu widać czasem łuczników. (Zł. leg. art.)

wateli Efezu, chcąc tam postawić stajnię, przypadkiem otworzył jaskinię. Zasnęli w dniu 27 czerwca czy lipca, a obudzili się 11 sierp.

Stanisław Kostka, Jezuita, syn Jana Kostki kasztelana zakroczymskiego; N. Panna z Chrystusem ukazuje mu się, do której miał szczególniejsze nabożeństwo, upominając go zarazem, ażeby do zakonu wstąpił. W chorobie przyjmuje św. Sakrament z rąk anielskich. † 1558 r. Od Benedykta XIII kanonizowany. 13 listopada.

Stanisław biskup krakowski (M); karczi króla Bolesława Śmiałego o gwałty i nieprzystojne życie, za co ściąga na siebie prześladowanie króla, który mu najprzód zaprzecza prawa do wsi przez kupno nabytj; zatém biskup na świadectwo wskrzesza Piotra Piotrowinę, już od trzech lat w grobie będącego. Później król rozkazuje żołnierzom zabić Stanisława w chwili, gdy ten mszą Św. na Skałce odprawiał, a gdy ci tego uczynić nie mogli, sam król przybywa do kościoła, i do ołtarza przystąpiwszy, miecz swój w głowie św. utopił. Zabity r. 1079, 8 maja. Policzony między ŚŚ. od Innocentego IV 1253 r. Święto jego 8 maja. Wiele jest u nas obrazów przedstawiających tego św. jużto z Piotrowiną u stóp jako z symbolem, jużto z mieczem na głowie w chwili cięcia zostawionym; już téż sceny z jego męczeństwa wyrażających. Prócz starożytnych drzeworytów i malowań na szkle tego św., oraz wyobrażeń jego w księgach kościelnych rękopiśmiennych, celniejsze obrazy są: w katedrze krak., na Skałce, w Ossiach, w Piotrowinie (Lubelskie), we wsi Korzennj (Sandeckie); wreszcie śliczny gotycki ołtarz wystawiający w staro-niemieckim XV wieku malowaniu historją św. Stanisława jest w Starym Bielsku (Szl. austr). Najczęściej malowano św. Stanisława ze św. Wojciechem.

Stefan I król węgierski † 1038 r. 2 września. *Transl.* 1083 r. 20 sierpnia; *inventio dexteræ* 30 maja.

Sylwester papież; obok niego wół, którego żyd jakiś przez czary zabił, a którego on znowu do życia przywrócił. † 335 r. 31 grudnia.

Symplicy i Faustyn, w stroju rycerskim, z tarczami, na których trzy gałązki lilii, stanowią godło Symplicyusza. Zginęli jako męczennicy za Dyoklecjana, i byli patronami zakonu św. Symplicyusza w Fuldzie. 29 lipca.

Syxtus II papież, z workiem na jałmużnę. Poniósł w Rzymie, na cztery dni przed św. Wawrzyńcem śmierć od miecza, 28 marca.

Szczepan, dyakon kościoła w Jerozolimie, jako pierwszy męczennik z palmą męczeńską, niosący kamienie albo kule przed sobą. 26 grudnia; *inventio* 3 sierpnia. *Transl.* 7 maja.

Szymon (patrz pod apostołami).

Tebaidski legion (patrz pod Maurycym).

Tekla otoczona dzikimi zwierzętami (M); wedle greckiego kościoła, pierwsza męczenniczka; legenda atoli na Zachodzie utrzymuje, że oszczędzona przez zwierzęta, umarła dziewicą w podeszłym wieku. 23 września.

Teobald niesie sprzęty i narzędzia szewskie, bo przez pokorę, trudnił się tém rzemiosłem. (1 lipca) 29 stycznia.

Teodor. Świętych tego imienia jest około 20tu. Biskupi. 20 marca, 1 kwietnia, 1 lipca, 9 października; kapłani: 20 i 23 marca; męczennicy: 9 listop. 23 paździer. 17 listopada i t. d.

Tomasz (patrz pod apostołami).

Tomasz z Akwinu Dominikan, doktor kościoła; trzyma kielich, a Duch Św. w postaci gołębia unosi się nad jego uchem. † 1274 r. Kanonizowany 1323 r. 7 marca.

Tomasz Kantuarijski, arcybiskup Kanterbury; w głowie jego tkwi miecz (M). † 1170 r. 29 grudnia. Kanonizowany 1173. *Transl.* 1223 r. 7 lipca.

Tymoteusz, uczeń św. Pawła apostoła, biskup efezki; z maczugą i kamieniami (M). 24 stycznia.

Ulrych, biskup augsburski, trzyma rybę w jednej ręce (bo w czasie postu, mięso w ryby zamienił), w drugiej zaś palmę męczeńską, a anioł podaje mu krzyż. † 973 r. 4 lipca. Kanonizacja jego w roku 993, przez Jana XV przedsięwzięta, za pierwszą według prawa powszechnie uważaną bywa.

Urban I, papież, z mieczem (M). † 230 r. 25 maja. Często biorą go za jedno z *Urbanem* biskupem z Langres, żyjącym około V wieku, patronem winnic. 5 września.

Urszula, córka króla brytańskiego ze strzałą (M), prowadzona przez swego niebiańskiego oblubieńca Eteryusza. Na czele 11,000 panien popłynęła do Niemiec i Włoch, gdzie przez papieża Cyryaka ochrzczona, z towarzyszkami do Niemiec wróciła; atoli pod Kolonią statek dostaje się w moc Gotów, i wszystkie śmiercią męczeńską poległy. 21 października.

Wacław, książę czeski, jako rycerz, z oznakami królewskimi i mieczem; także z chorągwią, na której czarny jednogłowy orzeł (M). Patron Wrocławia i Ołomuńca, oraz katedry krakowskiej. † 929 r. 28 września. *Transl.* 932 r. 4 marca.

Walenty, biskup passawski w końcu VII wieku. 7 stycznia *Translacja* 4 sierpnia.

Walenty, kapłan w Rzymie, z mieczem (M). Patron od zarazy i wielkiej choroby. 14 lutego.

Wawrzyniec, dyakon rzymskiego kościoła, pieczony na różście, ulubiony w X wieku; chroni od pożarów. U naszego ludu patron pszczolnictwa. W dzień uroczystości jego święcą miód praśny świeżo z ulów wybrany. † 258 r. 10 sierpnia.

Werner, syn wieśniaka, od żydów w Oberwezel 1285 r. zamęczony.

Weronika, trzyma chustę, na której jest odbity wizerunek (*vera icon*) oblicza Chrystusowego. Często znajduje się na obrazach sama chusta, trzymana przez aniołków. Święto jej przypada na 4 lutego.

Wiara, Nadzieja i Miłość, córki św. Zofii, lat 12, 10 i 9 liczące, każda z mieczem (M). 1 lipca (1 sierpnia?). (Św. Zofii wraz z trzema córkami 15 maja).

Wiktor. Trudno jest rozróżnić świętych tego imienia, których można około 25 naliczyć.

Wilgeforta. W Wiedniu, w kościele św. Szczepana znajduje się obraz przedstawiający pannę ukrzyżowaną, przed którą kłęczy lutnista.

Wincenty, dyakon hiszpański w IV wieku; obok niego kruk, który strzegł ciała jego. 22 stycznia.

Wincenty z Ferrary (Ferreryusz), Dominikan, trzyma w rękę słońce z napisem IHS. † 1419 r., kanonizowany 1455 r. 5 kwietnia.

Wit (Veit), jako dziecię, z kogutem albo wilkiem, później usmażony w oleju. 15 czerwca. *Transl.* 801 r. 26 kwietnia. 836 r. 13 czerwca. Patron od choroby zwaną tańcem św. Wita.

Witalis, jako rycerz, którego za Nerona żywcem w dół zakopano, trzyma buławę. 28 kwietnia.

Władysław król węgierski, gdzie cześć jego jest powszechna. † 1095 r. 30 lipca, kanonizowany 1198 r. *Elevatio* 27 czerwca. *Deposito* 28 lipca.

Wojciech, biskup pragski; idzie do Węgier na opowiadanie ewangelii z Gaudencyuszem, Adalbertem, Emerydem i t. d. Z Węgier udaje się do Polski, gdzie mile przyjęty od księcia Bolesława Chrobrego. Od niego bierze początek pieśń: „Bogarodzica”, obrany arcybiskupem gnieźnieńskim, arcybiskupstwo bratu swemu Gaudencyuszowi zostawia, a sam udaje się do Prus. Tam prześladowany od kapłanów pogańskich, gdy mszą świętą odprawiał, siedmiu włóczniami przebity: ciało jego rozsiekane, na drzewie zawieszono, którego orzeł zawsze pilnował; głowę odciętą, na pal wbito. Rok męczeństwa 997. 23 kwietnia. Ciało jego król Bolesław od Prusaków wykupił. Pochowany w Gnieźnie; grób jego odwiedzał Otto cesarz niemiecki. Malują go z włócznią i maczugą, lub też nad wodą wsiadającego do łodzi i wtedy mordowanego. Z powodu legendy, często srokę umieszczają na jego obrazach. Najczęściej bywa przedstawiany razem z św. Stanisławem. Wedle obrazu Nucerna Antoniego, malowanego r. 1649 do kościoła XX. Franciszkanów w Krakowie, widzimy św. Wojciecha zabijanego włóczniami i wiosłami w chwili, gdy pod dębem mszą świętą odprawiał: u brzegu łódz, w głębi namiot, a w nim scena podług legendy o groszu wdowim. Patron biskupstw: Lebus i Samland. *Transl.* 25 sierpnia. W Węgrzech święto jego przypada na 6 listopada.

Wolfgang biskup Regensburga, z kościołem w oddaleniu, także z krótkim toporem. † 994 r. *Elevatio corporis* 1052 r. 31 października.

Wszystkich ŚŚ. (1 listopada). W ołtarzach poświęconych WW. ŚŚ. znajduje się zwykle obraz przedstawiający Św. Trójcę otoczoną aniołami i licznym orszakiem świętych różnego rodzaju, zwykle w następnym porządku: apostołowie, męczennicy, wyznawcy, prorocy, patryarchowie, zakonnicy, pustelnicy, panny i wdowy.

Symbole świętych używane na obrazach.

Anioł: Mateusz.

Baranek: Agnieszka, Jan Chrzciciel, Joachim; *Baryłka:* Otmar; *Blizny Chrystusa:* Franciszek; *Butawa:* (buzdygan) Witalis.

Chleb: Elżbieta, Gotfryd, Mikołaj; *Chusta z obliczem Chrystusa*: Weronika; *Ciernie*; *Benedykt*, Maxym; *Cierniowy wieniec*: Ludwik.

Diabeł: Antoni, Genowefa; *Drzewo*, do którego są przywiązani: Afra, Pantaleon, Sebastyan; *Dzbanek*: Elżbieta; *Dzieci dwoje na rękach*, Anna; *Dzieciątko Jezus na ręku*: Krzysztof.

Fajerka z węglami: Agata; *Flaszeczka z oliwą*: Walpurga; *Flaszki z lekami* Kozma i Damian; *Folusz*: Jakób młodszy.

Gęś: Marcin. *Głowa w ręku* (jako myśl, że męczennicy Bogu swą głowę na ofiarę niosą): Albanus, Dyonizusz, Exuperancyusz, Felix, Regula; *Gołąb*: Fabian, Grzegorz, Joachim, Medard, Remigiusz, Tomasz z Akwinu.

Halabarda: Mateusz; *Hostya*: Burkhard, Jacek.

Infuły trzy: Bernard, Maternus.

Jeleń albo sarna: Egidyusz (Idzi), Eustachy, Genowefa, Goar, Hubert, Ida.

Kamień młyński: Kwiryn; *Kamienie*: Hieronim, Liboryusz, Szczepan, Tymoteusz; *Kamienie (kule)*: Mikołaj, Stefan; *Kielich*: Barbara, Benedykt, Jan Ewangelista, Konrad, Norbert, Tomasz z Akwinu; *Klucze*: Piotr; *Kłosa*: Walpurga; *Kogut*: Wit; *Koło*: Donatus, Eufemia, Katarzyna. *Koń*: Sewerus. *Na koniu*: Jerzy, Marcin. Nawrócenie św. Pawła maluje się zawsze w spadnięciu jego z konia; *Korona*: ogólne godło królewskiej godności albo rodu, ale też często jako symbol wywalczonej wiekuiściej korony; *Korona u nóg*: Radegunda; *Korony trzy*: Elżbieta, Ludwik; *Kościół*: model kościoła jest powszechnym godłem tych świętych, którzy byli założycielami kościołów i klasztorów, jak: Amalberga, Henryk II, Jadwiga, Karol W., Kunegunda, Leopold, Maternus, Salomea, Wirgili, Wolfgang; *Koszyk*: Elżbieta, Joachim; *Kowadło*: Adryan; *Kruk*: Ida, Oswald, Wincenty; *Krzyż* w rozmaitych kształtach: Andrzej, Brygita, Bruno, Dyzma, Helena, Ludgarda, Filip; *Krzyż Egipski*: (T): Antoni; *Książka*: ogólne godło ojców kościoła, biskupów i t. d. przebita mieczem, oznacza: Bonifacego; otwarta: Ludgera; z parą oczów na wierzchu: Otylią; *Kubek z solą*: Rupert; *Kubek z wodą*: Floryan; *Kula ognista*: św. Cesaław; *Kwiaty w koszyku*: Dorota, Elżbieta.

Lampa: Gudula; *Lanca*: Emeran, Tomasz, Wojciech; *Lemiesz*: Kunegunda; *Lew*: Hieronim, Marek; *Lilia*: Gertruda; *Liliowa łodyga*: Antoni, Franciszek, Józef, Symplicy.

Łańcuchy: Ignacy, Leonard.

Maczuga: Apolinary, Juda Tadeusz, Tymoteusz, Wojciech; *Miecz*: powszechne godło tych, którzy przezeń zginęli, jak: Adryan, Albanus, Barbara, Donatus, Dorota, Ewald, Fabian, Felix, Kilian, Łucya, Łucyusz, Marya (jako Matka Boska Bolesna), Pankracy, Paweł, Stanisław, Syxtus, Tomasz Kantuaryjski, Urban, Waclaw, Walenty, i t. p. *Młotek*: Reinold; *Monogram IHS*: Ignacy, Wincenty z Ferrary (Fererryusz); *Monstrancya*: Klara; *Muszla*: Jakób starszy.

Naczynie z wodą: Floryan; *Niedźwiedź*: Eufemia, Galus, Korbinian; *Nóż*: Bartłomiej.

Obcegi: Agata, Apolonia, Lewinus, Pelagiusz; *Oczy*: Łucya; *Okręt* (statek): Kastor, Mikołaj, Urszula; *Ołtarz ofiarny*: Alexander; *Organy*: Cecylia; *Orzeł*: Jan Ewangelista, Serwacy; *Osiel*: Marcelli; *Oszczep*: Gangolf, Lambert.

Palma: ogólny symbol męczeństwa; Adryan, Barbara, Felicyta, Katarzyna, Małgorzata, Maurycy, Szczepan; *Paw*: Liboryusz; *Pies*: Bernard, Dominik, Roch; *Piła*: Szymon; *Puszka z wonnościami*: Marya Magdalena.

Rana na szyi: Łucya; na biodrze: Roch; *Rogi jelenie*: Eustachy; *Ryba*: Piotr, Ulrych.

Serce: Augustyn, Brygita; *Siekiera*: Maciej, Wolfgang; *Ślad stóp*: Medard; *Smok* (poczwara): Cyryak, Hilaryon, Jerzy, Kassysz, Małgorzata, Marta; *Sprzęty do ołtarza należące*: Jacek; *Stos*: Polikarp; *Strzała*: Hubert, Otto, Sebastyan, Urszula; *Swider*: Leodgar; *Swieca*: Błażej, Genowefa; *Swinia*: Antoni; *Szczury i myszy*: Gertruda; *Szewskie narzędzia*: Kryspin, Kryspinian, Sewerus, Teobald; *Sztylet*: Kilian.

Tarcza na piersiach z wyrazami: *Spes, Fides, Caritas*: Willibald; *Trzewiki*: Jadwiga.

Ul: Ambroży, Bernard, Jan Chryzostom.


Welon: Ludmiła; *Węgielnica* (linia ciesielska): Tomasz; *Węgle*: Brykcyusz; *Wieża*: Barbara; *Wilki*: Radegunda; *Winda* (kołowrot): Erazm; *Winnegrono*: Maxym, Urban; *Wół*: Łukasz; *Woły* (dwa lub cztery): Sebald.

Zgrzebło: Błażej; *Źródło*: Gangolf; *Rószt*: Wawrzyniec.

Godło Dominikanów: Pies z pochodnią gorejącą w pysku, oświecającą kulę ziemską.

Godło Franciszkanów: Krzyż, pod nim dwie ręce: jedna naga, a druga w rękawie św. Franciszka, obie przebite na dłoni.

Godło Karmelitów: Jedno pole barwy karmelitańskiego habitu, a dwa jakby firanki odsunięte, białej barwy; na każdym z tych pól gwiazda.

Godło Jezuitów:  IHS.

Godło Pijarów: MP ΘΥ, to znaczy po grecku: *meter teu*, czyli Matka Boża.

Godło Benedyktynów: dwa klucze nakrzyż, przez środek miecz.

DUMA Z DUM UKRAIŃSKICH.

PIEŚNI LIRNIKA O UKRAIŃSKIM KOZACTWIE.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Nie pamiętam wiele już lat temu, jak poczułem się opanowany myślą, połączenia w jeden jaki uplot dum, pieśni, skazek i przypowieści ludu ukraińskiego, jeśli nie wszystkich jakie są znane, zebrane, i mogące się zebrać, to przynajmniej takich, które więcej charakteryzują miejscowość, zwyczaje i duch ludowy. Przy samym atoli zarodzie tej myśli wynikło pytanie: jeżeli myśl ta jest możliwą, w jakim więc narzeczu winna być dokonana? Za narzeczem ludowym przemawiał sam materiał, ale ten znowu tak jest często surowy i nieokrzesany, że w żaden sposób bez obrobienia i oglądy, użytym być nie może; takie zaś obrobienie, jak równie cement, którymby należało materiał ten połączyć w całość, wymagały biegłości władania językiem ludu, nie powiem trudnym, ale niepodobnym do naśladowania w utworze poważniejszym i obmyślanym. Język bowiem ukraińskiego ludu w tém wszystkiem, w czem jest piśmiennie poznany, jest czysto improwizacyjnym, dowolnym w formach, a raczej odbiegającym wszelkich form rytmicznych, i stosującym się tylko do nieokreślonych dźwięków, różnie podatnych w śpiewie i w mowie, tak, że często na jedną i tę samą nutę odśpiewuje się wiersz dziesięcio, czternasto i aż ośmnasto-zgłoskowy.

Chociaż więc rodem jestem Ukrainiec, a sercem i duszą kozak z dziada pradziada; chociaż zaprzątniony rzeczoną myślą, usiłowałem najmocniej nabyć wprawy i biegłości w narzeczu ludowem ukraińskiem: jednak nigdy nie mogłem ich osiągnąć i otrząść się z wpływów tych, jakie się na mnie odpiętnowały od dzieciństwa, w ciągu szkolnych nauk i kółek towarzyskich, wśród których żyłem. Sprobowałwszy się więc po raz setny nadarmo, uznałem ostatecznie myśl moję za niemożliwą dla mnie w wykonaniu jej językiem ludu ukraińskiego; nie przeto jednak samęj myśli zaniechałem, usiłując ją wykonać w języku polskim. Lecz mówiąc w języku polskim, nie rozumiem bynajmniej ściśle tych wszystkich form jego, jakie w nim grammatycznie są przyjęte i ustalone, zachowując je tylko tam, gdzie się dały pogodzić z tokiem i sposobami wysłowień się ludu ukraińskiego: a ztąd owoc tych usiłowań jest całkowicie podobny do mowy rodowitego kozaka, mówiącego po polsku, po swojemu czującego, myślącego i sztukującego rodzimem narzeczem, gdzie mu zabraknie sposobów wypowiedzenia swęj myśli w języku, którym mówi. Ze *Skołozuba*, a nie innego z hetmanów kozackich wziętem za bohatera tęg *dumy*, miałem do tego dwa powody: 1) iż imię jego u ludu ukraińskiego jest najpopularniejsze z popularnych, tak, że obok niego stać tylko chyba mogą imiona Morozenki, Wernyhory i Bajdy, jak z późniejszych Mazepy i Paleja; i 2) iż hetmaństwo Skołozuba kończy okres kozackiego bytu, najbardziej bujny i poetyczny. Sprawy późniejsze kozackie więcej może okrzyczane, więcej historyczne, acz niepróżne poetycznego elementu, więcej wszakże posłużyć mogą dla nauki; gdy kozactwo kończące okres swego bytu na Skołozubie, jest jakby jednym poetycznym rapsodem, który może nie nauczy, ale za serce pochwyci, myśl uniesie do przeszłości dziwnej, dzikiej, a z tęg wszystkim uroczej.

Erazm Izopolski.

PIEŚŃ Iśza WSTĘPNA.

Nie frasuj się gospodarzu!
 Nie za datkiem idę ja;
 Jeśliś rad mi, toć obdarzę
 Pieśnią moją, którą zna,

O! zna każdy choć nie w sławie,
 Choć nie w śpiewie, nie w rozgłosie,
 Ale każdy w myśli, w głowie,
 W piersi, w sercu, treść jej nosi:
 Śpiewając ci, śpiewam sobie.

Nie chcę twoich datków, daru,
 Tylko wspomnień na mym grobie:

„Tu spoczywa lirnik stary,
 Co nim umarł, póki chodził,
 Nim mogiłą spętana, tą,
 Wszędzie pieśni swe rozwodził
 I słuchany był ze łąką.

Zamki, dwory, chaty bratnie,
 Tak ubogie, jak dostatnie,
 Otwierały mu swe drzwi,
 I w nich pamięć o nim tkwi.

Nam śpiewając, śpiewał sobie,
 Nie brał żadnych datków, daru,
 Tylko wspomnień chciał na grobie,
 Że w nim spoczął lirnik stary.”

Tak śpiewał starzec, jak gołąb' siwy
 I ślepy, korbę kręcąc swej liry;
 Tak z jej przegrywką łączył śpiew żywy,
 Jakby głos liry był jego szczery.
 Na przyźbie siedział pod oknem chaty,
 Przy nim przewodnik, wyrostek spory;
 Tłum ich otaczał różny płcią, laty,
 Żądny za pieśnią, płakać z nią skory.

Słońce już zaszło, mrok nocy padał,
 Po łągach słowik cudnie zawodził;
 Ze wsi ktoś coraz nowy przychodził,
 Stawał przed starcem, sędziwszy siadał,

I cicho, tęskno, na dumę czekał,
 Którą posłyszeć rad się spodziewał;
 Jakoż i starzec niedługo zwlekał,
 Brzdąknął na lirze i tak zaśpiewał:

„W pałacach pańskich, i tak pismacy
 Z pisma czytają, co, jak na świecie
 Jest, albo było; a my wieśniacy,
 Co nam w ciemnościach życie się plecie,
 Jak jest?—to z gadek ledwo co wiemy;
 Jak było?—w pieśniach, w dumach słyszymy.

Więc nie dziwota, że w jasnych dworach
 Czekają gońców od kończyn świata;
 I nie dziwota, że po wieczorach,
 Każda a każda wieśniacza chata
 Otworem stoi, w gościnę prosi
 Tego, co gadkę lub pieśń przynosi.

Ja stary ślepiec, co od pół wieku
 I wzdłuż i wpoprzek po Ukrainie
 Brodzę i śpiewam, w każdym człowieku
 Na zamkach, dworach, i na chyzynie
 Mam życzliwych, co mię znają,
 Co radzi sercem dum mych słuchają.

Owoż i teraz, co pamięć umie,
 Co z tęsknych wspomnień serce rozbudzi,
 Co w duszy leży: to w pieśni, w dumie,
 Wyśpiewam dla was, słuchajcie ludzie!

Ale na co ludzi wzywać?
 Czemuż ludziom tylko śpiewać?

Skoro raz pieśń w świat wybiegnie,
 Na step pójdzie, w trawie łęgnie,
 A potem sobie wieczorem, to zrana,
 Bóg wie od kogo i jak śpiewana,
 W porywającym za serce głosie
 Chodzi samotna z wiatrami po rosie;
 I żyje, żyje, aż w całej krainie
 Gdzie zrosła, lud Bożą mowę porzuci:
 Wtenczas ucihnie, i już nie wróci
 Z nieba, gdzie dziadom śpiewać popłynie”...

Znów umilkł lirnik, wszyscy słuchali:
 Przegrywkę zmienił i śpiewał dalej:

„Siedemset rzeczek i cztery,
 Na nasz Dniepr się składa;
 A Dniepr z brzegów wyleje,
 Po porohach poszaleje,
 W głębinach pokręci wiry;
 I szumiąc i burząc płynie,
 Tam na morze sine,
 Gdzie maleje, nikt nie, przepada.

Ot, jak z tym Dnieprem, tak z kozaczą sławą!
 Siedmset horodków i cztery
 Na bożęj Ukrainie stoi;
 A każdy przed wyprawą
 Bożym się ludem zaroi;
 I śle mężę bohaterzy,
 Pod rozkazy sławnego na siczy hetmana.
 A pana hetmana sława wielka, znana
 Między swojemi, lecz między cudzemi?
 Jak zaczną ją cudzy ważyć po swojemu,
 Przymierzać, równać; to temu, to temu,
 A wszystko jakimś swemu:
 To sława hetmańska jak Dniepr w mórz głąbinie
 Zmaleje, zmarnieje, przepadnie i zginie.

Siedmset horodków i cztery
 Na Bożęj Ukrainie stoi;
 A każdy się ludem roi
 I śle mężę bohaterzy
 Pod rozkazy sławnego na siczy hetmana.
 A hetman na siczy, to jak Bóg na niebie:
 Jak co zrobią tak i będzie.
 Za domem on straszny, w domu poważany,
 Każdy zań kozak rad odda siebie
 I pójdzie za nim w ogień, w wodę, wszędzie.

Jasno i pełno księżyc przyświeca,
 Przy nim dwie gwiazdy: jedna w księżyc wchodzi:
 Znać umrze jakiś wielki pan na ziemi;
 Druga się tylko co ogniem roznieca,
 I jaśniej coraz płynie nad innemi:
 Znać jakiś wielki człowiek się narodzi.
 Księżyc na niebie jasno, pełno świeci,
 A nad nim miotła czy różga, bicz Boży,
 Gdzieś od północy na południe leci
 I ludzi trwoży.

Jedni mówią wojna będzie;
 Ci, co wierzą, ostrzą bronie,
 Suszą chleby, pasą konie.
 Drudzy mówią: dzuma będzie;
 Tych, co wierzą, pędzi trwoga
 Do miejsc świętych modlić Boga.
 Trzeci mówią: to głód będzie;
 Ci, co wierzą, chleb chowają,
 I zawczasu głód poznają.

O! u stracha wielkie oczy:
 Każdy coś wróży i roi,
 A każdy się boi,

Bo różga, bierz Boży po niebie się toczy.

Siedmset herodków i cztery
 Na Bożej Ukrainie stoi;
 A każdy Bożym ludem się roi,
 A w każdym gromadno, smutno, stoją bohaterzy,
 I słuchają pieśni, co gdzieś tam u drzewa
 Ślepy, stary lirnik śpiewa.

„Jak gdyby w polu przepióreczka szara
 Jęczy i płacze Świrgoska stara;

A młoda siostra *sen-trawę* rwała,
 I o tę *sen trawę* swą matkę pytała.

— Czy od tej *sen-trawy* kozak sił nabiera?
 Czy od tej *sen-trawy* na wojnie umiera?

— Aj moja córko, gołąbeczko siwa!
 To smutna *sen-trawa*, choć ładnie wyrosła;
 Bo zła wróżba dla tego, kto *sen-trawę* zrywa,
 To pewnie i tobie złe wieści przyniosła.
 W mieście w Czerkasach w trąby trąbili,
 Gdy panu hetmanowi Lachy czołem bili
 Przysłani od króla, by pana hetmana
 Wołać na wojnę przeciw bisurmana.

W Kiliu bisurmani zawyli ponuro,
 Gdy pana Świrgoskiego ujrzeli za górą.

A gdy do Kili Świrgowski przybywał,
 Orłem latał wśród swoich i jak bodiak młody,
 Co się gibko od wiatru pochyła na błoni, —
 To tak i pan Świrgoski, przez stepy, przez brody
 Chyla się i pędzi na swym wronym koniu.

I zapytał Świrgoski drużyny w tej chwili:
 Ach! gdzież się ja podzieję, moi bracia mili,

Gdy pana Iwana
 Świrgoskiego hetmana,
 Bisurmani złapali;
 Głowę mu zrabali,
 Głowę mu zrabali,
 Na buńczuk wsadzili,
 W trąby zatrąbili,
 W bębny zabębni.

A dołem, jakby chmura ściągnęła,
 Taka moc kruków się wzięła,
 Aż w Ukrainie tumany wzbiła;
 A Ukraina się smuciła,
 Ze swego hetmana straciła.

Spoczywa pan Swirgoski w grobowej ciemnicy
 Około miasta Kilii,
 Na tureckiej granicy;
 Gdzie się kozacy hetmana zbyli,
 Tam go i złożyli,
 Mogiłę nasypali,
 Łzami oplakali.

Oj! ty Swirgoska z córką, przestańcie się smucić,
 Bo młodego Iwana trudno z grobu wrócić!
 I ty Ukraino w płacz się nie rozpieraj,
 Ale co prędzej nowego wybieraj
 Hetmana sobie, bo Tatar, bicz Boży,
 Ogniem i mieczem Ukrainę trwoży.
 Wybieraj a prędko takiego hetmana,
 Któryby dał ci sławę a pomścił Iwana."

Gdy lirnik prześpiewał, to jak w ulu pszczoły
 Lud Boży zaszumił, a gwar niewesoły
 Zmienił się w słowo: „Nie ma się co spierać,
 Hetmana wybierać i w pole się zbierać."

I wybrali od słowa. Różnego wybrali,
 Co go potem hetmanem Bohdankiem przezwali;
 Który gdy kołpak hetmański przywdziewał,
 Stary mu lirnik taką dumę śpiewał:

„Na ważną porę, na groźne czasy
 Wzięłeś hetmaństwo Bohdanku!
 Prosto ztąd trzeba iść z Turkiem w zapasy,
 A bić go dobrze i bić bez ustanku,
 Aż precz przepłószysz wroga bisurmana,
 I pomścisz śmierci Swirgoskiego Jana.
 To nietylkoż to jednego,
 Tego Swirgoskiego;
 Gdy niepomszczonej tyle krwi kozaczej,
 Że jej Ukraina wszystka nie przepłacze.
 Ot naprzykład: niech ci hetmanie
 Za serce chwyci i do zemsty stanie
 Duma o Bajdzie, co z kniaźkiego rodu,
 Na haku w Stambule dokonał zawodu.
 Oto pieśni o nim:

„W sławnym miasteczku w Czerkasach,
 Kozak Bajda miód, wino pije;

Miód, wino pije, na tureckie ziemie groźnie pogląda,
 Na tureckiego sultana bardzo się przechwała.

Oj! pije Bajda i na swoich woła:
 A nu, no, prędko plemię hajduczel!

Miód, wino wypijajcie, butelki opróżniajcie,
Siodłać konie i narządzać zbroje.

Pójdziemy na Turkach pomścić złą godzinę,
Bośmy już dawno siez naszą rodzoną, nie widzieli w oczy.

Poszedł Bajda z kozakami,
Turcy z darami do niego przychodzą.

Sułtan ich przysyła, Bajdę do siebie namawia:

— Bajdo sławny! bądź mi wiernym!
Weź moje cesarzownę i bądź panem całej Ukrainy.

— Twoja sułtanie wiara przeklęta,
Twoja sułtanie córka nie hoża!
A ja i bez twojej sułtanówny
Będę panem całej Ukrainy.

— Oj, ty Bajdo! w co ty dbasz,
Czy ty wojska tyle masz,
Abyś mię sułtana zwojował,
A w Ukrainie władał kozakami?

U mnie wojska jak w morzu piasku,
Albo ile ziarn maku w makówce.

— Dla mnie Bajdy to fraszka, że ty wojska masz wiele,
Piasek w morzu woda zmyje, mak po polu wiatr rozwieje,
A ja na swoich ufam kozaków,
Że z nimi w twoim carskim będę palacu.

Sułtan na swoich baszów zawołał:

Weźcieno Bajdę w dobre ręce,
Weźcieno Bajdę zwiążcie,
Na hak żebrem powieście.

Wisi Bajda nie dzień, nie dwa,
Nie dwie nocy, nie godziny;
Chrystusa chwali, i do swego ciury,
Ciury młodego słowami przemawia:
„Ciuro mój młody! bądź mi chwilę wierny,
Bóg ci to nagrodi, a ja ci daruję wronego konia.
Uciekaj nim na rodzinę,
Zawieź odemnie pokłon w Ukrainę;
Tylko mi podaj łuk i pęk strzał,
Niech jeszcze choć raz w życiu wystrzelę,
Puszczając strzałę w biały świat.

Ot, widzę trzy gołąbki,
Może je ubiję dla sułtańskiej córki;
Niechże ję ubiję ja na wieczerzę!

Jak strzelił, sułtanowi w serce,
 Sułtanowej z tyłu głowy,
 A sułtanownie niżej pleców trafił.

Oto tobie sułtanie za karę!
 Było tobie wiedzieć, jak Bajdę karać:
 Nie na hak czepiać a głowę ściąć;
 Wronym koniem jeździć, i mojego Ciurę,
 Ciurę młodego umieć sobie zjednać.

A tobież Bajdo! na co było kozakować?
 Czemu nie było mieszkać w zamkach książęcych?
 Byłaby twoja stara matka księżna,
 I młoda żona księżniczka,
 I jaśnie wielmożni panowie senatorowie
 Jak swemu panu bratu pogrzeb sprawili.

A tak, kozakowi jaki pogrzeb?
 Umarł nie w domu:
 Zakraczą wrony.
 Umarł na haku a nie na rodzinie,
 Będą tylko o nim pieśni w Ukrainie."

Słuchał Bohdanko całej tej dumy.
 A gdy przesłuchał, na zbrojne tłumy
 Którym hetmanił, spojrzzał ponuro;
 A pod powieką, jak grom pod chmurą
 Błysnął mu ogień żalu i gniewu
 Ku wrogom Turkom. Potem do ludu
 Grzmiąco zawołał: „nie oszczędzę trudu
 Na pomstę bratnią i swego wstydu;
 A jaką mię Turczyn okrył ohydą,
 Słuchajcie mojej spowiedzi. Spiewa:

„Bohdanie! Bohdanie!
 Czemu aksamit czarny przywdziałeś?
 Czemu twe oczy
 Tęsknota mroczy,
 Smutkowi serce poddałeś?

W moje mieszkanie,
 Krymscy poganie
 Przybyli do mnie w gościnę;
 Noc nocowali,
 Matkę zrabali
 I lubą wzięli dziewczynę.

Hej! chłopcze, konia!
 Prędką pogonia
 Tatara może i doścignie;

Zbawi dziewczynę,
I pomści winę,
Gdy mu krew w żyłach zastygnie,

W stepów obszarze,
Ach! przy Tatarze,
Dogałem piękną dziewicę;
Szorstkimi ręki
Pieścił jej wdzięki,
I śnieżne całował lice!

Dziewczyno płocha!
Odsuń się trocha,
Niech zabiję Tatarzyna;
Ona mu w łonie
Utula skronie,
I taką prośbą zaczyna:

Czy twa Bohdanie,
Czy twoja panie
Tatara trafi rusznica,
To mnie zabije,
Ja nie przeżyję,
Zniszczy mię po nim tęsknica.

Czy go zabijesz,
Czy nie zabijesz,
A trud twój będzie daremny;
Narazisz życie,
Zbawisz pożycie
I mnie zgotujesz grób ciemny.

Zhajmuj gniew srogi,
W domowe progi
Niech cię konik zanieśe twój;
Bo co ukrywać,
Co oszukiwać
Gdy ja nie twoja, i tyś nie mój.

Lecz wszystkie chwile,
Póki w mogile
Snem wieczystym nie zadrzemię;
Póty Bohdanie,
Serca mi stanie
Pomnieć o tobie i w Krymie!“

Umilkł Bohdanko i w końcu stoła
Siadł przysłaniając swą dłoń do czoła;
Z czarnych mu oczu tak coś tryskało,
Jakby mgły krople, bo nie ła pewno.

O! pewno nie lza, gdyż nieprzystalo,
By kozak plakal, choc w duszy rzewno.

Gdy tak Bohdanko siedzi w zadumie,
Starszyzna w kupach tak i owak radza,
Kozactwo gwarzy, a w najgęstszym tłumie
Młodz rzeżka chichi i śmiechy prowadza;
A między niemi pacholik młody,
Co miecz i spise zaledwo dzwignie,
W bandurkę dzwoni i korowody
Takie zawodzi, że go nie ścignie
Zaden z drużyny, nawet ów znany
Na całej siczy z piosnek i gadek
Makohonik Charko zwany,
Niebywalic wszystkich świadek.

Owoż ku śmiechom i swawoli młodzi,
Pacholik rękę Charka porywa,
I z niej mu przyszłość jego wywodzi;
Imieniem jego dziewczkę nazywa
Z którą zswatany: wróży jej zdradę,
Że chociaż wróci z świetnej wyprawy,
Niewiernę poda znachorka radę,
Którą on Charko syt bogactw, sławy,
Na wilkołaka zmienion zdradliwie,
Siedm lat przechodzi w lasach i stepie,
Aż swą zdrajczynę skarze straszliwie,
Życie jej weźmie i krew wyżlepie.

Śmiano się z wróży; Charko zdąsany,
Że się zeń śmieją, wziął kołacz biały,
I szedł na skargę aż do hetmana,
By rozpowiedział krzywdę swą całą.
Hetman wysłuchał, zwię pacholika.
Nazwy go pyta; ten odpowiada:
Jam Wernyhora, dziecko Orlika,
A wszystko prawda co Charko gada,
Bo tak mi Pan Bóg dał, nie wiem na co,
Na co i za co; a tak mi dano,
Czegom nie nabył nauką, pracą,
Abym zgadywał przyszłość nieznaną.

Hetman zdumiony, zmierzyl go wzrokiem
I rzekł spokojnie: „wróżże mi malcze!
A tylko bystro rzuc w przyszłość okiem,
Mów, czy w tym boju Tatara zwalczę?
Czy w Ukrainę kiedy powróci
Pokój i sława, z niemi dostatek,
Czy Bóg mi kiedy smutek mój skróci,
Czy się doczekam żony i dziątek?

Wernyhor bierze rękę hetmana,
 Pilnie w nią patrzy, myślami goni,
 Póki z nich każda na słowa zлана,
 W taką z bandurki pieśń nie wydzwoni:

„Oj! na niebie, na wysokiem,
 Kto popatrzy w słońce okiem?
 Jedne tylko orły w chmury zalatują,
 W słońce się wpatrują.

Co bywało, ludzie znają,
 Przyszłości wiedzy nie mają;
 Bo, by wiedzieć przyszłość, trzeba
 Orłem myśli wznieść do nieba.

Nad ługami wrona kracze,
 Rzy koniczek w czystym polu;
 Ukraina wszystka płacze
 Niepomyślną swojej doli.

Wrona kracze i przekracze,
 Przerzy konik w czystym polu;
 Ukraina też przepłacze,
 Niepomyślną swojej doli.

Piorun w czarnych chmurach tonie,
 Ciemną ziemię noc zalega;
 Całe niebo ogniem płonie,
 Na stepy wichur wybiega.

Aż na ciemne, na niebiosia
 Pożądana gwiazda wschodzi;
 Z nią weselka rusko kosa
 I zła doba precz odchodzi.

O! poczekaj Ukraino!
 Niech wrogowie żartują z nas;
 Aż wybije ich godzina,
 Przyjdzie kiedyś i nasz czas.

Co zaś do ciebie Wielmożny panie,
 Ni to, ni owo tobie wypadło:
 Rad będziesz, gdy ci życia niestanie,
 Że się skończyło, co cię tak jadło.
 Prawda, że imię twoje po świecie,
 I wzdłuż i w poprzek sławisz szeroko;
 W spadku go jednak nie weźmie dziecko,
 Radością twoją nie błysnie oko.
 Tylko gdy w bojach, w wrogów pogromie,
 Brodząc w potokach krwi bisurmana,

W dzikiej potęgi jego rozłamię
 Wyprawisz tryumf. Oko hetmana
 Błyśnie ponurym ogniem wesela,
 By znów zciemniało w posępnej dumie:
 Ze w krwi potokach, wśród zwycięstw wielu
 Serce trosk swoich stłumić nie umie.
 Tak choć zwycięzca, lecz nie pomszczony
 Zejdiesz w świat inny, aż już po tobie:
 Ten, który wczoraj ledwo zrodzony,
 Mściciel twój, zrośnie na twoim grobie.
 Dzisiaj dziecina, kiedyś koszowy,
 Z dzielną drużyną, mieczem, pożarem
 Splondruje kraik bisurmanowy,
 Zwycięzko walcząc z Turkiem, z Tatarem;
 Aż w noc szczęśliwą, z zamków sultana
 Z łupami weźmie śliczną dziewczynę,
 Córkę zdradzieckiej dziewki Bohdana,
 W krymskiej niewoli spółdzoną dziecinę.

Z tą ożeniony, matczyną winę
 Mieczem i ogniem, we krwi i w dymie
 Pomści za ciebie i Ukrainę:—
 Skażozub jemu na imię!”

Jasno i pełno księżyc przyświeca,
 Przy nim dwie gwiazdy: jedna w księżyc wchodzi:
 Znać umrze jakiś wielki pan na ziemi;
 Druga się tylko co ogniem roznieca,
 I jaśniej coraz płynie nad innemi:
 Znać jakiś wielki człowiek się narodzi.
 Księżyc na niebie jasno, pełno świeci,
 A nad nim miotła czy różga, bicz boży,
 Gdzieś od północy na południe leci,
 I ludzi trwoży.

A u stracha wielkie oczy,
 Każdy coś wróży i roi,
 A każdy się boi,
 Bo różga, bicz boży po niebie się toczy!

PIEŚŃ IIga.

„Oj! chodzi sen koło okien,
 Oj! chodzi sen koło okien,
 A drzémota koło płota:

Zapytuje sen drzémoty,
 Zapytuje sen drzémoty:
 Gdzie my będziem nocowali?

Zanocujem miły bracie,
Zanocujem miły bracie
Przy dzieciątku w ciepłej chacie.

Tam my będziemy nocowali,
Tam my będziemy nocowali,
Małe dziecię kolysali.

Kolyszając je zaśpiewamy,
Kolyszając je zaśpiewamy,
Aby spało, nie płakało.

Aby spało, nie płakało,
Aby spało, nie płakało,
Młodej matki nie trudziło.

Nie trudziło, nie smuciło,
Nie smuciło, nie budziło,
Aby zdrowe rosło, żyło."

Młoda niewiasta, dźwięcznym, czystym głosem,
Kolyszając dziecię w pleciance lyczanej,
Spiewała w okno zyrkając ukosem,
Z jakąś tęsknotą w twarzy zadumanej.
Wieczór był blisko: naokoło chaty
Ług zcicha szumiał, w ługu buhaj huczał,
Szczeknął czasami pies nazwan kudłaty;
Dniepr niedaleki chmurno jakoś mruczał,
Domowe ptastwo gdakało w sieni,
Szeleści liście sliw, gruszek, jabłoni,
Strojnych owocem dla blizkiej jesieni;
Powietrze tchnęło cudną kwiatów wonią.

Zda się, że wszystko z powodu wieczoru
Niby strudzone, niby ciche, korne,
Jak zakonnicy w zaciszu klasztoru,
Mruzeniem prawią modlitwy wieczorne.

Na progu izby, zajęty robotą
Łyżek i wrzecion, jak gołąb siwy,
Siedział dziad stary, i także z tęsknotą,
Na matkę z dzieckiem obracał wzrok tkliwy.

Niewiasta setny raz spojrziała w okno,
I łzy otarła; starzec wnet zagdérał:
„Czy znów Todosko oczy tobie mokną?”
I gdérząc sobie łzy z oczu ocierał.

Niewiasta z czuciem spojrziała na dziada:
„Ach dziadul dziadu,—mówiła ze łzami—
Jazbym nie chciała, już sama nie rada
Tak ciągle płakać; lecz powiedzcie sami:

Już dwa tygodnie, jak powracali
 Gdzieś tam z pod Turka, czy z pod Tatarzyna,
 Którym się, mówią, dobrze w znaki dali;
 A mego Moroza jak nie ma, tak nie ma.
 Czemuż nie wraca do żony, do syna?
 Ach! ach! ach! nudnoż, ach! ciężkoż mój duszy!
 Aj! dolaż moja, ach ciężkaż godzina!
 Ja śmierci jego spodziewać się muszę”.
 — Todosko! miejże choć trochę rozumu,
 Czegoż zawodzisz? ta liczką marniejesz?
 Moroz powróci: on naczelnik tłumu,
 Choćby znał nawet, że nie śpisz, że nie jész
 Z gorzkiej tęsknoty, żalowałby ciebie,
 Aleby taki do chaty nie wrócił,
 Dopóki każdej nie zrobi potrzebie
 Zadość, jak winien; bo jakżeby rzucił
 Dla czarnych oczek, dla białej twarzy,
 Rześkich mołojców sprawiąc watahy,
 Aby w ślad za nim Turcy, Tatarzy,
 Na was napadli, czortoskie wrahy?”

Tak dziad rozprawiał, ale patrzył w ziemię:

Snąc sam niewiele wierzył swojej mowie.

Widno, że pierś mu ciśnie troski brzemię.

Kobieta rzekła po dziadowém słowie:

„Ach! dziadu! dziadu! gdyby wam nie lata,
 Możeb' wy sobie przypomnieć zechcieli,
 Że młodość, bujność, daremna słów strata!
 A wyż czy swoje wszystko zapomnieli,
 Jak wam pomarła babka, wasza żona,
 To wy jak głośno śmierć jej oplakali?
 A mnież to młodej, z dzieckiem, opuszczona,
 Płaczę, bo nie wiem co się robi dalej,
 Gdy Moroz zginął”.

Stary, szlochając zawołał:— Todosko!

Ach przestań, przestań tych słów smutku marnych,

Przestań się dręczyć w sercu dziwną troską,

Pożaluj liczka, i twych oczów czarnych,

Liczka i oczów; ach! pożal się Boże,

Ty taka hoża, ty taka młoda!

Nieszczęściu smutek, ni płacz nie pomoże,

A twój urody, twego wieku szkoda:

Bo choćby nawet Moroza zmogła,

W stepach czy w Krymie wojenna ochota,

Czyżby tęsknica po nim co przemogła?

A przyjdzie słońce i przed nasze wrota!

Szczęśliwsze może da ci drugi życie.

„Todoska z płaczem serdecznym zawola:
 Ach! ja nieszczęsna! sierotą me dziecie!
 Dziadu! ach dziadu! czy myślisz, że zdola
 Twoich słów jedwab splątać myśli moje,
 Ukoić boleść, czas dać aż się z biedą,
 Z nieszczęściem mojem, z sieroctwem oswoję,
 Że myśl nadziei w mą duszę zawiedą?
 Nie ludź się darmo, i nie dręcz mię dalej,
 Co wiesz, to powiedz: żyje? czy nie żyje?
 Szczęścia czy smutku, raz mi w czarę nalej,
 Niech ją przynajmniej raz do dna wypiję;
 Bo tak się wahać błędniemi oczyma,
 To szczęścia szukać, to za bolem gonić:
 Todoska wasza dłużej nie wytrzyma.
 Ach! dziadu, chciej mi dolę raz odsłonić!”

To mówiąc do nóg rzuca się dziadowi
 I płacze, jęczy, zaklina i prosi,
 A nie chce wierzyć, kiedy dziad jej powie:
 Że tak napróżno z płaczu się zanosi.
 Bóg wie jak długo tychby jęków było,
 Gdyby do chaty nie wszedł dziadek drugi,
 I nie zwiastował, że z trzody wróciło
 Kilka krów dojnych, i zanim na ługi
 Wypędzi na noc, trzeba wprzód podoić;
 Więc na Todoskę poburczał, pogdérał,
 By szła przy pracy boleści swe goić.
 Na smutną jednak z podelba spozierał,
 A w tém spojrzeniu dobrze było widno,
 Że się cierpieniom Todoski litował;
 Że i sam w duszy nad jej dolą biedną
 Płakał i smucił, sercem jej żałował.
 Gdy więc Todoska idzie do roboty,
 Ten drugi rzecze pierwszemu dziadowi:
 — A cóż wam ojczy! nie zbraknie ochoty,
 Tu przy kołysce śpiewać prawnukowi?
 Tylko tatuniu pilnujcie go bacznie
 Bo chłopiec ogień, dobrzeż nań patrzajcie,
 I gdy się zbudzi, gdy się ruszać zacznie,
 To zaraz na nas, a głośno wołajcie,
 Boby z kołyski mógł wypaść niecnota.
 I idąc do drzwi spojrzął do kołyski,
 Todosce w rękę pali się robota,
 W robocie jakoś maleją uciski.

Słońce zaszło, i do chaty
 Zeszła się czeladź z roboty;
 Malca bawił pies kudłaty,
 Robiąc z nim koziołki, psoty,

Todoska na stół zakryty
 Jak słońce skatyrką białą,
 Stawi wieczerzę, by syty
 Szedł każdy czuwać noc całą:

Ten nad pasieką, ów w ługu,
 Nad dobytkiem czuwać baczenie,
 I przedrzęmac noc niedługą,
 Aby tylko świtać zaczenie,

Jąć się pracy z siłą nową.
 Wkrótce chata opuściała,
 Tylko matka z wspartą głową
 Nad kołyską syna stała.

Chłopiec nie spał: drobne oczy,
 Jakby dzieląc matki troski,
 Za ruchami jej wciąż toczy,
 I przemawia do Todoski:

—Nie płacz matko! nie płacz droga!
 Gołąbeczko moja siwa!
 Lepiej pacierz mów do Boga,
 Potem dla mnie co zaśpiewaj.

To ja śpiewem kołysany,
 Może zasnę aż powróci
 Z wojny tata nasz kochany,
 I już więcej nas nie rzuci.

Gołąbeczko! przepióreczko!
 Nie płacz matko, nie płacz droga!
 Lepiej pomódl się mateczko!
 Albo mnie ucz modlić Boga.

I małemi rączkami,
 Obejmuje matki szyję,
 I krasnemi usteczkami,
 Z ust matczynych słodycz pije.

Todoska słowy syna więcej rozrzewniona,
 Tuląc się przy nim, bardziej jeszcze w płacz zachodzi;
 Aż i sobie w płacz mały: ona go w ramiona
 Bierze, do piersi ciśnie, a słowy zawodzi:

—Synu mój, synu mały, ty moja pieścizno!
 Ach! jakże mi nie płakać, jak mi nie wyrzekać:
 Mąż zostawił mnie wdową, a ciebie sierotą,
 I darmo go wyglądać, darmo dłużej czekać!
 Oj zginął on najpewniej na tureckiej wojnie,
 Bo mi serce to mówi, to dusza zgaduje.

Któż nas osłoni, aby przeżyć wiek spokojnie,
 Kto nas weźmie w opiekę, kto nas pożałuje?
 Kto nasze gospodarstwo dalej poprowadzi,
 Kto nieszczęście rozdzieli, gdy zły los dokuczy?
 Kto z dobrego rad będzie, w niedoli poradzi,
 Kto ciebie synu, konia dosiadać nauczy?
 Może dziad, albo pradziad. Ach niedolo nasza!
 Obaj starcy: lada dzień śmierć ich zabrać może!
 Ach! sieroctwa naszego widok mię przestrasza:
 W Bogu tylko nadzieja, wspomóżże nas Boże!

I tu Todoska łzami zapłakane oko
 Podnosi w górę, syna Panu Bogu zleca,
 A Bóg słucha prośb matki: i chociaż wysoko
 Mieszka, w sercu sieroty nadzieję roznieca.
 Po chwili potem synek znów w kołysce leży,
 Uśmiechem miłym każe dobra się spodziewać:
 —Spiewaj co matko, prosi, może sen przybieży,
 I zaśniemy.—A matka:—cóż ci synu śpiewać?
 —Co chcesz matko, to śpiewaj: śpiewaj o koniku,
 Coto woził kozaka gdzieś w Krym na Tatary,
 Albo śpiewaj przepiórkę, albo o Orliku,
 Co syna ma mądrego, a sam jak dziad stary.

—Dobrze synu, zaśpiewam, tyłkoż śpij, bo z chatki
 I z kołyski sen zleci, jeżeli posłyszysz
 Że nie śpisz.—Malec ucichł i taki śpiew matki
 Czysty, dźwięczny zabrzączał wpośród nocnej ciszy:

„Tatarzątkiem wstrząsła trwoga,
 Stary Tatar co bój znał,
 Skoczył na koń w step na wroga,
 Ze swoimi chyżo gnał.

Tatarzynka urodziwa,
 U okienka niskiej chaty
 Puszcza oko w snione światy,

Dumę śpiewa:

Gdyby mi orle skrzydła, lotbym mój zwróciła
 W lubą ziemię kozacką, gdzie pierwsze dni żyła;
 Tam krzyżem po dawnemu piersi przeżegnała,
 I kozaków hetmanowi prawdę powiedziała:

Oj! ty hetmanie orle w Kozaczyźnie,
 Czyż ty wrócony już twojej ojczyźnie?
 Jeśliś wrócony, cóż gnuśniejesz marnie,
 Kiedyż się twe dziewczę do ciebie przygarnie?
 Dziewczyzna sierota w tatarskiej niewoli,
 A ty nie spieszysz ulżyć jej niedoli.
 Dziewczyzna sierota łzami się zalewa,
 A niewierny pohaniec i z łez się naśmiewa.

Oj, panie Ostafi! gdzieżeś się zatracił,
 Czyś niewoli tatarskiej dotąd nie oplacił?
 Czy wykupion z Lachami nad Wołgą gdzie brodzisz?
 Że dotąd swych kozaków tu w Krym nie przywodziś?

Ni ja krymską niewolę okupem zapłacił,
 Ni ja w laskich szeregach za Wołgą się stracił:

Chyżym koniem ubiegłem z tatarskiej niewoli,
 W biegu go wiatr nie ściął, ani lot sokoli.

Drogę mi żarłoczne wilki zabiegały,
 Konia w biegu wstrzymywały;
 Koń pomny na niesione do ojczyzny brzemie,
 Wilków twardym kopytem podeptał na ziemię.

W oczy mi drapieżne orły zaglądały,
 Mnie zatrzymywały,
 Lecz miecz mój w krwawych walkach niestępiony,
 Łamał im skrzydła i spony.

Ciemne tumany za mną się wzbily,
 Goniących mię Tatarów w łonie swém kryły;
 Lecz koń mój wichrem w bezdrożny szlak gnany,
 Za sobą ciemne zostawił tumany;
 Kule mię tylko tatarskie dobiegły,
 Ale bezwładne u nóg mych legły;
 Bo krzyż od diabła, od kul kilka słów.
 Tak w lubą kozaczyzną powróciłem zdrów;

By znów mię zbrojnym gościem powitał pohaniec,
 Bym raz jeszcze z Tatarem szedł na stepy w taniec.

Czy czarne orły skrzydłami wiatr siekają?
 Na jasne słońce noc ponurą wleką?
 Czyto z zamorza ciemne chmury cieką?

Nito z zamorza ciemne chmury cieką,
 Ni czarne orły skrzydłami wiatr siekają,
 Na jasne słońce noc ponurą wleką:

To luna gorejąca na niebo wybiega,
 Dym kłębamii step zabiega;
 To dzielni kozacy Tatarów rozbili,
 Gród Oczaków zapalili.

Miasto płonie, a morze goreje od łony.
 Hetman wraca z kozactwem w domowe strony,
 A za nim bisurmanie pole pokrywają,
 I zwycięzcy hetmanowi dary posyłają.
 Dary posyłano, o mir upraszano,
 O! wtedyto kozaków wszędzie szanowano."

Chłopiec nie zasnął, aż ostatnie tony
 Ze śpiewu matki w ciszy oddźwięczały;
 Po chwili i sen obojgu spragniony
 Przysiadł na oczach, co dużo plakały.
 Chłopiec spał dobrze, lecz w matki marzeniach
 Sen nie wypłoszył całodniowej troski,
 Myśli rozbite snuły się w widzeniach:
 Z nich jedno legło w pamięci Todoski,
 A było takie:

Matka Boska Poczajowska
 Nad śpiącemi stała,
 I dziecinę za rączynę,
 Co u łona miała,
 Czule brała, nią żegnała,
 Todoskę z jej synkiem,
 Potém jego, już rosłego,
 Wieńczyła barwinkiem.
 Syna z matką wraz z ich chatką,
 W opiekę zabrała;
 I oboje, już jak swoje
 Dzieciatku oddała.
 Syn z uśmiechem, dar z pośpiechem
 Przyjmował i wyszli.
 Od Todoski, wszystkie troski
 Gdzieś uciekły z myśli.
 Potém widzeniu, inne nastąpiło,
 A takie było:

Za stepów morzem, w dalekim kraju,
 Gdzie świeżo przeszedł anioł zniszczenia,
 Mordów, pożogi; gdzie w krwi ruczaju
 Kąpią się społem śmierć, ból, cierpienia;
 Gdzie jeszcze zgłiszczą buchają dymem,
 Niebo się świeci łuną pożarów;
 W kraju niewoli, co go zwą Krymem,
 Ujrzała męża w rękę Tatarów,
 Jako swą na nim z dzikością piekła,
 Że zwyciężeni, zemstę wywarli;
 Jaka złość niemi miotala wściekła,
 Kiedy go żywcem ze skóry darli;
 I jako Moroz kozacką duszą
 Pokonał boleść, męki, cierpienia,
 Gdy pod straszliwą dręczeń katuszą
 Nie jęknął nawet, tylko westchnienia,
 Pierwsze dla żony, drugie dla dziecięcia,
 Ostatnie Bogu przesłał do nieba,
 By je Syn Boży, w swoje objęcia
 Zabrał w opiekę, i dał co trzeba,

Aby szczęśliwi żyli na ziemi,
 A syn wyrastał w siłę i lata,
 By kiedyś pomścił zwycięzcy swemi
 Ojca, i sławę zyskał u świata.

Widzenie przeszło. Todoska zbudzona
 Pieniem koguta, rzuca się do pieca,
 Wprzód uściskawszy syna. Nie strudzona,
 Przyrządza strawę, ogień roznieca,
 Obiad gotuje, by na zaraniu
 Czeladź nakarmić, wyprawić w pola;
 Bo zrozumiała, że jej staraniu
 Byt gospodarstwa zdała boża wola:
 Jakoż w porze wszystko się stało.
 Potem dziadowi zleciwszy syna
 Biegła do cerkwi, by przed bożą chwałą
 Żal swój ukoić, modlitwy przyczyną;
 Aby zbawiła duszę jej drogą,
 Przez dni czterdzieści msze święte zamawia.
 Potem obwieszcza swą boleść srogą,
 I dziadom obiad pogrzebny wyprawia.

Idzie dzień po dniu,
 Tydzień po tygodniu,
 Aż się miesiąc złoży;
 Idzie na końcu
 Miesiąc po miesiącu,
 Aż się rok tak złoży;
 Dalej chyżym krokiem
 Idzie rok za rokiem.
 Aż już lik na lata
 Idą dnie za dniami,
 Lata za latami.
 Aż zamierzchnie strata
 Co serce dręczyła,
 Co duszę męczyła,
 I w sercu i w duszy:
 Lecz z jednej pamięci
 Czas jej nie wynećci,
 Pyłem nie zapruszy,
 Kiedy dzień po dniu,
 Tydzień po tygodniu,
 I po każdym roku,
 Kto kochał wspomina.
 A w chłopca dziecina
 Wyrasta, co w oku,
 I w ruchu i w mowie,
 I najmniejszym słowie,

Milego pamięci
Co chwila przywodzi,
Choć więc czas uchodzi
I czas ją uświęci.

Między górami w widłach z Dnieprem Rosi
Był futur, zwany futorem Todosi,
Dawniej Morozów: czysta, schludna chata,
Stodoła pełna, obora bogata,
Bednie niepróżne, i gosposia hoża,
Biała jak mleko, rumiana jak róża.
Usta korale, oczki jak tarnina;
Wdowa i tylko jednego ma syna.

Szkoda, że w domu nie ma gospodarza,
Bo pradziad zmarł, dziad choć jeszcze żyje,
Od śmierci syna tak straszliwie pije,
Że często w karczmie pod ławą nocuje.

Młoda Todoska chociaż się mociuje,
By siako tako wieść swe gospodarstwo;
Jednak to istne dla niej kłopotarstwo.
To brak czeladzi, ta co jest nie słucha,
Że czasem w domu nie ma ani ducha,
Tylko Todoska płacze i wyrzeka,
A lat i wzrostu swego syna czeka.

Ztemwszystkiem darmo chłopcy z okolicy,
Z których niejeden rześki, widno-licy,
Słá do niej swaty: ona wręcz odmawia,
I bez częstunku swatów precz wyprawia.
Nieraz i paroch o jej próg zawadził,
Wdowy żalował, i za mąż iść radził;
Ona go prosi, by ją błogosławił,
A msze za duszę Moroza odprawił.

Tak choć dla wdowy istne kłopotarstwo,
A zwłaszcza młodej wieść swe gospodarstwo;
Choć brak czeladzi, ta co jest nie słucha,
Że czasem w domu nie ma ani ducha,
Że czasem zajmą jej dobytek w szkodzie,
Że miewa szkody w pasiece, w ogrodzie,
A cóż dopiéro w polu i w oborze,
W spiżarni, w gumnie, że pożał się Boże;
Chociaż się czasem spłacze, nawyrzeka,
I tylko wzrostu syna swego czeka:

A jednak Pan Bóg tak jakoś nadarza,
Że nic nie braknie i mienie się zmnąza;
I twarz nie więdnie, ale jak jagoda
Biała, rumiana, że aż żal, aż szkoda,

Aby jej komu nie dać na całunek.
 Widok jej istny dla chłopców frasunek,
 Że nie jednemu ślina z ust pocieknie,
 Jak na nią spojrzy, a z ust jej tak pięknie,
 Słowo czy piosnka w wdzięczny głos wypływa,
 Że serce porywa, i dusze porywa.

A cóż dopiero widzieć ją w niedzielę,
 Jak znabożniona, gdzie w kącie w kościele
 Szepce modlitwy, a splakanem okiem
 Patrząc w obrazy, wpija się w nie wzrokiem:
 Rzekłbyś i przysiągł, że to czysta święta.

A jak o sobie i synu pamięta!
 Zawsze tak świeża, tak biała koszula,
 Co ją od stanu do szyi otula.
 Wzorzystym ściegiem na pułkach szyta;
 Po wierzchu rżęśno mereżona świta,
 Głowa w namiotce tak jasnej jak słońce,
 Kaptur złocisty, a z namiotki końce
 Od pasa zgięte napowrót ku głowie;
 A pas krużkowy, czerwone obuwie,
 Szyja i piersi w korale, w dukacze
 Precz zawieszzone: przy niej wiecznie skacze
 Maleńki synek, jak gwiazdeczka ładny,
 Szczebiotka, sprytny, wesoły, układny,
 W białej koszulce z kołnierzem we wzorkach,
 W czarnej świteczce, w bucikach na korkach.

Że patrząc na nich jak idą, z zdumienia
 Nie zdołasz w piersi potłumić westchnienia,
 Aby ci Pan Bóg chciał dać na tym świecie
 Tak ładną żonę i tak śliczne dziecię.

Ale to darmo: Todoska od domu
 Do cerkwi tylko chodzi, i nikomu
 Nie da się widzieć za swoim futorem;
 Czasami młodzież skupiwszy się zbojem
 Gdzieś na wesele, lub na wieczornice,
 Choć tam stateczne dziewczki, mołodyce
 Zejdą się także; darmo wyglądają
 Czy też Todoski nie zwabia: choć znają,
 Że ona nigdy jak wdowa, jak żywa,
 Na tańcach, hukach, muzykach nie bywa.
 Raz tylko pomną, było to we środę,
 W pierwszych dniach wiosny, w przesłiczną pogodę,
 Po Dnieprze czajka kozacza płynęła,
 Z sotnią kozactwa przy brzegu stanęła.

Sotnia kozaków na brzegi wybiega,
 Gwar, hałas, śmiechy w jarach się rozlega;

A na zwalonėj kłodzie odwiecznego klonu,
 Siadł piewca, lirę przystroił do tonu.
 Z futorów blizkich liczne zbiegły tłumy,
 Słuchać ciekawie lirnikowėj dumy;
 I lirnik stary z białym jak śnieg włosem,
 Tak śpiewał gromkim choć złamanym głosem:

„Oj Moroze, Morozenku, ty sławny kozacze!
 Za tobą Morozenku Ukraina płacze!
 A nie tak ta Ukraina, jak to harde wojsko,
 I stara matka twoja idąca do miasta;
 A nie takto stara matka, jak młoda dziewczyna,
 Żal się Boże Morozenka kozackiego syna!

Oj! było u nas było aż trzech atamanów:
 Jeden Lach, drugi Rusin, trzeci wyrosł z nami.
 Co był Lach, ten w Ukrainie bardzo władał,
 Posyłał kozaków w Moskwę, ładnie się ubierał;
 Co był Rusin, ten kozakom wiele przydał doli:
 Woził skarby z Turcyi przez Czarne morze;
 Co był zrosł z kozakami, ten miał czarne oczy,
 Wronym koniem, wichrem w stepie igrał w dzień
 i w nocy,
 A wszyscy trzej atamani pili miód, gorzałkę,
 I kochali całém sercem przesłiczną dziewczynę.

Oj w mieście w horodku trzej kozacy się biją,
 Oj za tę dziewczynę nie mogą się zgodzić;
 Oj Moroze, Morozenku, pomroziłeś proso,
 Wtedy dziewczyna pobiegła do wróżki prosto.
 Oj wróżko stara matko: zrób mi moją wolę,
 Przyczaruj ty kozaka ze mną na wieki;
 A wróżka stara matka to uczyniła,
 Wzięła koniowi grzywę, dziewczę okurzyła.

Jeden kozak siedzi u stołu, drobne listy pisze,
 Drugi stoi koło stołu dukatami brzęka,
 Trzeci stoi koło progu łzami się zalewa.
 Ten, co drobne pisał listy, ten się zasmucił;
 Ten, co brzękał dukatami, ten się zaturbował;
 Ten, co łzami się zalewał, ten się rozweselił.

A w trzy trąby zatrąbili, w bębny uderzyli,
 W trzy strony kozackie wojsko rozesłali:
 Lach ataman poszedł w jedną z Moskwą wojować.
 W drugą Rusin ataman w Turcyą rabować,
 A ten co zrosł z kozakami igrać w step na koniu,
 Z pohańcami Tatarami pohulać w Krymie.

Oj z za góry, z za wertepu harde wojsko występuje,
 Poprzed wojskiem Morozenko wronym koniem igra,
 I skłonił swoje głowę koniowi na grzywę:

„Biednaż moja główko! Krym to cudza strona”
 Młoda dziewczyna ręce załamała,
 „Czegoś mi ciężko, nudno, z tego rozstania się,
 Nie będzie już komu przygarnąć dziewczyny:
 Podobno ty Morozenku nie wrócisz do domu.”

„Nie płacz, nie płacz dziewczyno! ja wrócę do domu,
 A jak będę umierać, to zwiążesz mi głowę:”

Stara matka Morozycha wybiegła z chaty:
 „Nie mogeż ja smutna matka ani jeść, ni zasnąć.”
 Dość, dość, Morozycho smuć się za synem,
 Chodź z nami kozakami pić miód, to gorzałkę.

Oj czemuż mi nie pije się ani miód ni wino,
 Oj gdzie to mój Morozenko z Tatary wojuje?

W niedzielę raniutenko, bo do wschodu słońca,
 Zapłakała Morozycha siedząc u okienka;
 Morozenko młody kozak jak mak na rozkwicie,
 Morozenko młody kozak dostał się w niewolę.

Tam za rzeką, tam za bystrą pokopane szańce:
 Wzięli, wzięli Morozenka, a rano w niedzielę.
 Oj przedawaj stara matko i woły i krowy,
 A wykupuj swego syna od ciężkiej niewoli;
 Oj przedawaj stara matko byki i cielice,
 A wykupuj swego syna z wilgotnej ciemnice;
 Przedaj młoda dziewczyneczko twoje czarne oczy,
 A wykupuj Morozenka od ciężkiej niewoli;

Popprzedawaj dziewczyneczko koszule, spodnice,
 Wykup swego Morozenka z wilgotnej ciemnice.

Stara matka Morozycha co miała sprzedala,
 I za syna Morozenka Tatarom dawała;
 Młoda dziewczyna sama szła w niewolę.
 Tatarzy nie chcieli złota ni dziewczyny,
 Ale tylko chcieli głowy kozackiego syna;
 Nie pomogła ni dziewczyna, ni złote dukaty.
 Posadzili Morozenka na cisowym stolku,
 Posadzili Morozenka na żółtym piasku,
 Zdjęli, zdjęli z Morozenka czerwoną koszulę,
 A oni go ani bili, ani bili, ni w ćwierci rąbali,
 Tylko z niego żywcem serce wyjęli,
 Zawinęli w kitajkę, srebrem wyszywaną,
 I posłali w Ukrainę, matce na niedolę.

Zawinęli w kitajkę wyszywaną złotem,
I posłali dziewczynie za jej ochotę;
Zawinęli w kitajkę jedwabiem wyszytą.
A młody Morozenko jeszcze słowy przemówił:

„Wiąż przekłętą Tatarzynię na tył ręce mocno!
Będzie na was kozacy wielki smutek;
Poszedłbym ja w czyste pole na Sawor mogiłę,
Niechbym jeszcze raz popatrzył na swą Ukrainę;
Poszedłbym ja w czyste pole, Tatarzyn nie puszcza:
Żal się Boże, że umiera kozak w cudzej ziemi.”

W tłumie słuchaczów i Todoska stała,
Pieśni słuchała i cicho płakała;
Rzuciła potem piewcu dwa dukacze,
Ucieka w futor i serdecznie płacze.

Tymczasem дума choć raz wyśpiewana.
Przyrasta w futor: każda chaty ściana,
Každy sprzęt chaty, każdy listek drzewa,
Jak myśl Todoski, zdaje się, że śpiewa:
Jak Moroz w Krymie tak młodo umiera,
I serce żony wciąż boleść rozdziera.

Ale idą dni za dniami, lata za latami,
Panięć szczęścia i niedoli zamierzcha pod nami.
Czas, co leczy rany serca, z oczu lzy ociera,
Tak lzy szczęścia jak i smutku w swój potok zabiera.

Aż dopiero gdy komu,
Pan Bóg da w domu
Skarb pociech w złej doli;
Smutki ujść muszą,
Łzy się osuszają
I dawna boleść nie boli.

Taki skarb pociech w boleści i trosce,
W synie Moroza dał Pan Bóg, Todosce:
Rósł on i w ciału, i w siłę, i w lata,
I w bojaźń Bożą i w miłość u świata.
Diak go nauczył w pismo się wczytywać,
Że nawet umiał czasem w chórze śpiewać;
A głos miał dźwięczny, donośny, słowiczy,
W oku rycerski, w obejściu dziewiczy;
Karny, posłuszny, że na matki wolę
Góryby znosił, w góry spiętrzył pole.
Siłę miał taką, że sztabę żelaza,
Niby latorośl złamymał do raza;
Jeździec jak mało i strzelec; mocniejszego
Między kozactwem nie było drugiego.

Jedna w nim tylko niezym niepożyta,
 Ta była słabość, że był wołokita.
 Jak czarne oko krasne liezko zoczy.
 Wzrok mu zapala, krew na twarz wyskoczy,
 Chłopiec jak ogień, mieni się i płoni,
 Krwią wre, goreje, a myślami goni.

A kiedy w grono bożych dziewcząt wpadnie,
 Tak mu jest jakoś i dobrze i składnie,
 Tak ząbki skali w uśmiech nieklamany,
 Ze skałozubem od dziewcząt przemany.
 Aż w domu, na siczy, w całej Ukrainie,
 Zwią go tём mianem, i chyba świat zginie,
 A o nim pamięć w kozactwie przeminie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wyjątek z niewydanego jeszcze dzieła Adolfa Kudasiewicza
pod tytułem:

PRÓBKI FILOZOFII MOWY,

ZAWIERAJĄCY CZĘŚĆ WSTĘPU I RZECZ O PIŚMIE.

(Dokończenie).

*Pismo symboliczne, różne tylko sposobem zapatrywania się
od figurycznego, jest tylko przejściem od obrazowego.*

Symbolizować, z greckiego *δυσβάλλειναι* i *δυσβάλλειν* znaczy porównywać, domniemywać się, domyślać, składać jedno z dwóch, łączyć rzeczy rozłączone: słowem, tworzyć różne kombinacje, które się przez widome znaki objawiają. Ztąd symbol wyraża formę zewnętrzną, znak pewien połączony z jakimś doń przywiazanem pojęciem.

Symbol nie jest już znakiem dowolnie obranym, jak figura; ale jest znakiem przypominającym głęboką mistykę, wielką myśl pod nim tkwiącą. Umysłowi wysoce religijnemu, i głęboko zagadkami wszystkości przejętemu ludów, cała natura przedstawiała się zagadkowo. Wszędzie starano się tkwiącej kosmicznej myśli w przedmiocie dochodzić; każdy też przedmiot przedstawiał tajemnicze w sobie znaczenie. Z przedmiotu albo obrazu jego przenoszono się do myśli, a z tój dopiéro przechodzono do mowy. Ograniczenie liczby znaków pismiennych brało swą zasadę w stanowisku umysłowém ludzi, trzymających ster oświecenia ludu w swych rękach. Porządek społeczny wymagał różnicy stanów: byli więc tacy, co go podpierali siłą

oręza, byli pracujący na chleb powszedni; ale byli i ludzie myślący, ludzie ducha, duchowni, kapłani, którzy tłumaczyli innym zjawiska zewnętrzne, naturalny porządek rzeczy i wolę bogów. Ludzie ducha musieli mieć znaczenie nad drugich wyższe, jak pojęcie ducha wyższe jest nad pojęcie materji. Oni trzymali kierunek umysłów w swym ręku, oni, jako poeci i filozofowie w najogólniejszém tego wyrazu znaczeniu, tworzyli mowę albo ją raczj kształcili: oni téż musieli tworzyć, albo tylko kształcić pismo. Potęga ich była tajemniczą, bo i potęga ducha działa niewidomie; i nie dziwnego, że cudowną wydać się musiała ludziom, na wegetowanie w ówczesnym porządku rzeczy przeznaczonym. Oni, jako przedstawiciele oświaty, jako kierownicy społeczeństwa i ukształcenia umysłowego, musieli do tego sami pewnych form i znaków dorabiać. Znaki do pisma dorabiane nie były obrazami rzeczy, ale obrazami myśli, idei, nie wszystkim wiadomego znaczenia. W świecie zewnętrznym trudno było znaleźć ograniczenie na pojęcie ducha: należało przeto zmysłowe przedstawienia uduchownić, aby je wyrwać z materji, czyli obrać je z bryłowości materjalnej i podnieść je, że tak powiem do znaczenia materji duchowej, do kategorii formy. Czyż pismo, którego znaków miano używać na chwałę bogów, na ozdobę świątyń, na wystawianie czynów wielkich ludzi, niegodne było takiego zajęcia? Ale że należało przejść przez obrazy zmysłowe, toć tym należało dać symboliczne znaczenie.

Jest w symbolach to, co Herder nazywa *νόημα*, mówiąc o hieroglifach; to jest wypadki ducha na drodze myślenia otrzymane, pojęcia umiejętnie, myśli z obszaru ówczesnych nauk zdjęte.

Symbole przeznaczone do służenia za znaki ogólnych pojęć, miały ich w sobie zawierać wiele; musiały więc prócz przymiotu krótkości wyrażać charakter mistyczny niezrozumiały dla wszystkich, zagadkowy, bo służyły za osłonę ważnych a głębokich prawd: nie prawd może etycznych, ale tajemnic natury, wiecznych jej praw.

Symbolizowanie leży w naturze człowieka. W tworzeniu się zwyczajów i obyczajów widać symbolizowanie: czyż np. samo podawanie ręki na znak przyjaźni, zdejmowanie kapelusza lub czapki na znak uszanowania nie są symboliczne. Najważniejsze pamiątki ludzkości, najznakomitsze czyny człowieka

symbolizowano; a najdawniejsze święta zdaje się były tylko epokami roku, przypominającemi wielkie dobrodziejstwa rolnictwa i kultury symbolicznie przedstawianemi, jak to trwa jeszcze po dziś dzień, gdy najważniejsze momenta wiary, wiedzy i historii uświęcamy pewnemi obrządkami. Gdy więc nie tylko sfinxy, wyrocnie, cała starożytność i fakta przeszłości, ale całe życie człowieka i ludów, każda czynność ducha, są symboliczne, a więc mowa i pismo są symboliką ducha.

Symbole, czyli znaki piśmienne nie były trwałemi obrazami rzeczy, ale dowolnemi i przypadkowemi; ztąd u różnych ludów różne mogły być symbole. W odgadnieniu ich trzeba się trzymać naturalnego stosunku przedmiotów i objaśniać je sobie odnoszeniem tychże symbolów do właściwych przedmiotów; a więc zważać należy na historyczne okoliczności czasu i miejsca i osób, a to cechowo lub pojedynczo dostarczających tychże znaków, od własnego ich wyboru zależących: co dopiero w związku robi kontekst, z którego znaczenie symbolu jaśniej występuje.

O piśmie symboliczném mogą nam tylko świadczyć narody wielkiej starożytności sięgające i noszące na sobie piętno wysokiej cywilizacji. One tylko bowiem są odbiciem i przypomnieniem dawnych wyobrażeń; one są ścistemi przechowywaczami stosunków dawnego świata, i dlatego może od Opatrzności w oderwaniu od innych ludów chowane, aby służyły dla nauki dzisiejszego świata i wykazywały niejako obraz stopniowego rozwijania się ludzkości, nim ta do pewnego zogólnienia faktów i stanu swego bytu nie dojdzie. Byli niemi: Egipcjanie i Chińczycy. O ostatnich potrąciliśmy już pod pismem figuryczném, wykazując powstanie pisma chińskiego z węzłków podobnych do peruwiańskich *kwipos*, tudzież zamianę ich w *kuas*. Znawcy upatrują w nich symbole metafizycznych zasad lub głębokich na świat poglądów Fohiego. Jest w nich 64 kombinacyj, 6 linii pod sobą idących, całych i nie całych, mających wyobrażać 64 elementów wszystkości. Zresztą związek tych *kuas* z właściwemi figurami bardzo jest ciemny, a my jeszcze do tych hieroglifów chińskich powrócimy. Obecnie osobno nam przyjdzie pomówić o hieroglifach egipskich dla lepszego zrozumienia rozwoju pisma.

O hieroglifach egipskich.

Ogólnie wszystkim wiadomo, że Egipcyanie znali hieroglify, jak dotąd o tém napisy na różnych pomnikach, jakoto: zwojach papirusowych, ścianach kościołów, trumnach i obeliskach dowodnie świadczą. Hieroglify egipskie zwały się pismem świętém, używaném przez kapłanów do tłumaczenia rzeczy świętych, to jest dotyczących tajemnic wiary.

Żeby jednakże jeden był tylko rodzaj pisma w Egipcie, to trudno przypuścić; w takim bowiem razie toż samo pismo, tajemnicze, niezrozumiałe dla reszty ludu, używane do obrzędów świętych i tajemnic wiary wewnątrz kościołów, stałoby również na kamieniach, placach publicznych, które przypominały ludowi historyczne zdarzenia, i na trumnach, gdzie sąd publiczny swoje wyroki do wiadomości powszechnéj podawał o życiu i moralnéj wartości każdego: miałyby więc naraz charakter ciemny i zrozumiały, co mówi przeciw zdrowéj loice. Raczej przypuścić należy rozdział hieroglifów na osobne rodzaje pisma, a w tém pozorném zmieszaniu pisma uczonych kapłanów egipskich, widzieć skutki zbawiennych wpływów zmysłu zachowawczego stróżów cywilizacji egipskiéj, którzy chcieli nam dochować śladów historycznych rozwijającego się pisma.

I w rzeczy saméj przypuszczenie nasze nie jest płonne. Jeszcze Herodot, Dyonizyusz z Halikarnassu i św. Klemens Aleksandryński rozróżniali u Egipcyan trzy rodzaje pisma: 1sze hieroglify właściwe, 2gie pismo hieratyczne i 3cie enchoryczne albo epistolograficzne. W piérwszém piśmie spotykamy postacie ludzi, ptaków, zwierząt czworonożnych, roślin i narzędzi różnego gatunku. Drugiego pisma używają na mumiach i zwojach papirusowych; ma ono powierzchowność bardziej zbliżoną do głosek i zachowuje niektóre postacie ludzi i ptaków. Trzecie pismo wyłącznie znajdują na zwojach papirusowych i najpodobniejsze jest do pisma głoskowego. Jeszcze za panowania Rzymian w Egipcie używano hieroglifów, jak tego dowodzą napisy imion cesarzów rzymskich wyczytane na wielkim gmachu z zodyakiem w Denderach. Niektórzy uczeni, dwa ostatnie gatunki pisma za jeden tylko mają i poczytują go za kursywę z hieroglifów złożoną lub za alfabet języka koptyjskiego.

Poszukiwania nowszych badaczy utwierdziły dowodami zdania starożytnych co do różnicy hieroglifów, ale więcéj do

tego jeszcze przyłożył się przypadek. W r. 1799 p. Bous-sard inżynier francuzki odkrył w odkopaliskach blizko Rozetty szeroki kamień, obecnie znajdujący się w Londynie, na którym znaleziono pochwałę dla króla Ptolomeusza Epifanesa, potrójnym pismem: hieroglificznym, zwyczajnym albo miejscowym (enchorycznym) i greckim tenże sam text zawierającym. To dostarczyło pewniejszego klucza do odgadywania hieroglifów; ale w tłumaczeniu tychże podzieliły się zdania uczonych.

Gouet, historyczne malarstwo daje za podstawę wszelkiego pisma, i z pisma obrazowego całą wyprowadza hieroglifikę.

Horapollo w swojej Hieroglifice dowodzi, że hieroglify są pismem obrazowym alegorycznym, gdzie np. ibis oznacza serce, jastrząb duszę, mrówka umiejętność, żaba człowieka nieroztropnego i t. d.

Joung upodobnia naprzód hieroglify do pisma chińskiego, które według niego nie przedstawia brzmień ani artykulacji głosowych, ale poprostu idee. Następnie wpada na tę myśl, na którą był już wpadł De Guignes przed nim, że znaki hieroglifów w obwódkach eliptycznych zamknięte, odpowiadają imionom własnym inskrypcji greckiej; że zatem rozbiegając te grupy znakowe na szczegóły, w nich już nie idee, ale brzmienia koniecznie upatrywać potrzeba? Wreszcie dowodził, że w hieroglifach nietylko głoski, ale i zgłoski spostrzegać można.

Obelisk na wyspie Philae w Egipcie wynaleziony dostarczył dalszego wątku w badaniach hieroglifów.

Sylwestr de Sacy już w piśmie enchorycznym wynalazł ślady pisma głoskowego, a język Koptów dzisiejszy (dawny langue démotique) według pp. de Guignes i Quatremère jest językiem dawnych mieszkańców Egiptu. Champolion Figeac starszy uznał w części słuszość uwag Jounga, ale nie chciał przypuścić, aby system hieroglificzny mógł być tak różnorodną mieszaniną charakterów. Przyjął zatem zasadę akrofoniczną, według której hieroglif jest pojedynczego głosu znakiem, to jest tego, od którego się imię przedmiotu fizycznego tymże znakiem przedstawionego w języku egipskim zaczyna: że więc w odgadywaniu hieroglifów należy przedewszystkiem zważać, co pojedyncze znaki w porządku naturalnym rzeczy stanowiły. (Obacz o piśmie głoskowym).

Według Sciffartha, hieroglify nie są głoskami, ale znakami głosek albo obrazami, symbolami. Według niego więc hie-

roglify są pismem symboliczném. Nie rozstrzygamy zdań tych uczonych mężów, jako nieświadomi szczegółów, ale za zdaniem Seiffartha najwięcej przemawiać się zdaje. Niektóre albowiem hieroglify, na co się wszyscy zgodzić muszą, przypominają nam postaciami swemi obrazy zmysłowe przedmiotów zewnętrznych w zupełności, jakoto zwierzęta, rośliny, narzędzia sztuki, figury geometryczne. Widzimy dalej utwory fantastyczne, potworności z połączeń postaci ludzkich ze zwierzęcemi wynikłe: co ma znaczyć złożenie pojęć. Jeszcze inne między niemi znajdujemy takie, które żadnego znaczenia bezpośrednio nie nasuwają. Wszystkie zwane są pismem świętém, przypominają nam pochodzenie od kapłanów, którzy malowidła zewnętrzne podnieśli już do wysokości sztuki pisma na oddanie pojęć umysłowych. Kapłan w rządzie teokratycznym prawie Egipcyan, jako tłumacz woli bogów, a w początkach lub później może sam Bóg dobroczynny: to były prawie jednoznaczne wyrazy, bo dobrodziejstwo pisma było tak wielkie, iż wynalezienie jego samym tylko bogom przypisywać mogli; ztąd, jakeśmy powiedzieli, Thot, Thaut Theut, miał być wynalazcą pisma. (Czy greckie Θεος a łacińskie Deus nie miało wspólnego pierwiastku, czy też na wzór Theuta utworzone lub zeń wzięte było?). Powtarzanie się pewnych zjawisk naturalnych stałe i niewzruszone, wschód i zachód słońca regularny, pojawianie się i znikanie księżyca, tudzież do biegu tychże przywiązane pory dnia, miesięcy i roku dawały ludziom ducha (duchownym) wiele do myślenia, i naprowadzały ich do wniosków, że nad tym porządkiem czuwają jakieś bóstwa, które równie jak i inne siły natury byt swój odrębny mają i są motorami porządku świata. Mogło być więc bardzo, że astronomia, umiejętność najwięcej ludzi ucząca myśleć, lub religia w naturalnych pojawach dopatrująca się działania bogów, zdjęły z ziemi obrazy, przenieśli je na niebo, i wyniosłszy je tak wysoko, zrobiły je znakami myśli a później głosów ludzkich. Zresztą, czy hieroglify oznaczają system planetarny; czy przedstawiają teologią, czy filozofią naturalną, będąc znakami różnych sił syderecznych i tellurycznych; czy wyrażać mają ludzi zasłużonych, czy są wyrazem idei metafizycznych i obrazami epok postępu ludzkości na drodze cywilizacji, są zawsze początkowo symbolami. Ibis np. u Egipcyan był symbolem serca lub duszy; białe i czarne pióra jego służyły

do oznaczenia tego pojęcia, że są dla umysłu albo dla ducha, skrzydła myśli lotnej mającego, jedne rzeczy jasne i wiadome, a drugie ciemne, czarne czyli na zawsze zakryte. Tak więc początkowo hieroglify były właściwie obrazami, któremi Egipcyanie religijne czynności, mity święte, historyczne wypadki przedstawiali, zdobiąc świeckie i święte budowle: więc te musiały być zrozumiałe wszystkim, przypomniawszy sobie to, cośmy o piśmie obrazowém powiedzieli. Następnie, gdy się wzięli do skracania znaków, jak nad tém w piśmie figuryczném rozwiedliśmy się bliżej, te obrazy coraz ciemniejszymi się stawały i przeszły prawie w końcu w figury bez znaczenia, które tylko kapłani tradycyjnie między sobą przechowywali. Na drugim więc stopniu swego wykształcenia, pismo obrazowe dawniejsze, w symboliczne bardziej zmieniać się musiało. Nateraz dosyć o hieroglifach, powrócimy jeszcze do tego późnziej w rozwoju rzeczy naszój.

Zamknięcie rzeczy o piśmie figuryczném.

W piśmie figuryczném, jakęśmy powiedzieli, znaki czy hieroglify nie odnoszą się do głosu, ale do myśli; to téż to pismo ma charakter ogólny i nosi podobieństwo do cyfer liczbowych. A jak my dzisiaj téż same znaki liczebne inaczej w każdym języku oddajemy i po swojemu czytamy; tak téż pismo figuryczne rzeczywiście jest ideograficzném, i każdy naród używający takiego pisma może rozumieć inne ludy podobnymże sposobem piszące, choć toż samo pismo innemi słowy w języku swoim tłumaczy. Im bliższy utwór swego początku, tym naturalniejszy, tym więcéj wspólności między duchowym rozwojem ludów dowodzi, tym więc ogólniejszy, choć w powstaniu swoim zmysłowy. Co dowodzi wielkiego związku ducha ludzkiego z naturą, a im ten jest ściślejszy, tym charakter objawów ducha ludzkiego ogólniejszy wskazuje na jakiś ogół ducha w naturze żyjącego; i przeciwnie, im daléj od niego odchodzi, tym więcéj się zeszczególnia, spojedyńcza, i dopiéro późnziej na nowo po ludzku, że tak powiem, duchowy swój ogół rozwija.

Z tego wypływa, że nietylko Egipcyanie sami posiadali hieroglify, albo pismo symboliczne, lub jeśli wolimy figuryczne:

owszem inne ludy znały również podobne pismo, choć to może tak głębokiej mistyki w sobie nie przedstawia.

Kassyodor wspomina o Chaldejczykach, że mieli słupy ogromnej wysokości wystawione dla słońca i księżyca, na których święte obrzędy wystawiali znakami w miejsce głoskowego pisma.

Fenicyanie według Sanchoniatona mieli pisać literami amoińskimi, jak kapłani egipscy.

Babilończykowie i Hebrajczykowie o sobie twierdzą, że pismo samarytańskie było ogólne.

Według Teodoryta Hierofanty, Grecy posiadali w swych świątyniach osobny obraz pisania, świętym zwanego *ιερα γραμματα των θεων γραμματα*. Herodot nazywa je *τυπους θεων*, zawsze to pismo było od głoskowego różne.

Nietylko narody w pobliżu morza Czarnego i Śródziemnego mieszkające znały pismo hieroglificzne, albo jeśli wolimy figuryczne, ale Skandynawowie sami, Germanie i Słowianie mieli je znać także, nim się z greckim i rzymskim alfabetem zapoznali. Pismem ich były runy. Rysowano runy i śpiewano przy nich pieśni: to nam przypomina czarodziejskie śpiewy Amerykan. Z runów można było wiersz czarodziejski rozpoznać, więc musiały coś wyrażać, co istotną część wierszy stanowiło. Wiersz germański, według Lilienkrona, jedno ma imię z runami Stafr (Stab, laska). Znak więc nic nie ważył sam przez się, dopiero przy śpiewaniu znaczenia nabywał: musiał więc jakieś mieć swoje mistyczne znaczenie. Jedni utrzymują, że liczbę alliteracji: to jest odpowiednich końcówek dwóch lub trzech wierszów przedstawiał. Ale to nie prawdopodobna, bo inaczej nie byłoby żadnego innego utworu prócz wiersza, a przecie znane jest powszechne podanie, że runami pisano. Kto wie, czy one raczej nie pochodzą z Persyi i czy nie mają podobieństwa z pismem klinowatém, o którym później w bliższe wejdziemy szczegóły. Dość zatém, czy one runy były od początku naszymi, czy później przyjętymi od innych ludów; to pewna, że nie były pismem najpierwszém, ale już figuryczném. Źródłostów naszego wyrazu pisać, przywodzi nam jakąś dawną tradycją, w skarbcu tylko języka naszego zachowaną, że pismo u naszych praojców malowidłem było. Ze słowa *pisać*, mamy bowiem pochodne słowo *pisanki*, to jest malowane jajka wielkanocne. Jeśli zaś to słowo, jak Miklosich utrzymuje, ma swój pierwiastek w sanskry-

kiem słowie *pis*, co znaczy malować; z tegoby wypadało, że jak wyraz, tak i rzecz z tamtąd pójść musiała, i że Indyanie w początkach pismo obrazowe mieć musieli, gdy mają w swym języku słowo, które to samo, co greckie słowo *γραφειν* znaczy.

Tak więc pisma obrazowe, czysto rzeczowe lub allegoryczne, jak figuryczne także rzeczowe lub mieszane i symboliczne z powodu, że nie głosy znaczą, ale myśli, idee, będące obrazem pojęć, zowią się razem pismem ideograficznem.

Dziwna rzecz, że analizie duchowej nie przedstawia się tu nic w zupełnej czystości, ale w zmieszaniu, Itak widzieliśmy, że pismo ikonograficzne czyli obrazowe zawiera w sobie przymieszki przenośniowe czyli allegoryczne; w figurycznych są niekiedy symbole, w symbolicznem tylko figury: w obu obrazy rzeczowe. Jakiż ztąd wniosek? Oto, że w rozwoju duchowym każdy stopień musi nosić w sobie dwa punkta linii swego rozwinięcia: punkt wyjścia i punkt dojścia, to na czem się opiera i na czem się kończy. Gdy nadejdzie nowy moment dla ducha, ta igielka, że tak powiem duchowa zaczyna swe oscyllacye, wprawia się w ruch wirowy około swój osi i dopóty się obraca, aż biegunem jednym czy drugim, tojest dodatnym i ujemnym nie połączy się z płynem, że tak powiem, magnetycznym nowego momentu, a wtenczas zlawszy się z nim ustaje w swym ruchu i spokojnie nowe punkta północy i południa wskazuje, jeśli ją jakie zewnętrzne przyczyny do zboczeń nie znaglą.

O piśmie słownem.

Wiadomo, że ludy starożytne stały oddzielnie od siebie, pałając jakąś wzajemną nienawiścią i egoizmem, wytępiającym wszystko obce, tak, iż się zdaje, jakoby nic nie było wspólnego między niemi, co by je łączyło w jedną rodzinę ludzką. Tymczasem pismo ideograficzne miało jeszcze ogólny charakter, cechę powszechną, i że tak powiem ludzką; i rzecz godna uwagi, ono spajało jeszcze duchowym węzłem ludy i narody oddzielone od siebie zwyczajami, obyczajami, dążnością i ukształceniem. W miarę, kiedy przybywało więcej wewnętrznej między ludami spójności, tojest im te bardziej się do siebie zbliżały politycznie, tym więcej się indywidualizować zaczęły zewnętrznie,

to jest odszczególniać tak, iżby się odrębnością swoją nie zacie-
rały w ogóle ludzkości, i swoje oddzielne na sobie nosić zaczęły
piętna. Ta indywidualność narodów czyli narodowość odbijała
się najwięcej w języku każdemu z nich właściwym. Gdy pismo ide-
ograficzne nie odpowiadało tej wewnętrznej potrzebie ludów, to
przybył znowu w pismo nowy moment, nowe parcie pogodze-
nia pisma z mową i odbicia się ostatniej w pierwszym. Duch
ludzki zwrócony ku kształceniu pisma dostrzegł łatwo, że ani
skrócenie obrazów, ani użycie prostych znaków, czy figur, czy
symbolów nie czyniło zadość nowej potrzebie zbliżenia pisma
do mowy głosowej. Poczł więc ten brak, uznał niedogodność
dotychczasowego stosunku pisma do mowy, które zostawiało
obszerne pole dowolności i domysłom, a nic nie przedstawiając
jasno, utrudniało tylko zrozumienie myśli. Kierując swoje
uwagę na nowy punkt rozwoju pisma, obrał nową drogę, i opié-
rając się na porównaniu pisma z mową, wytknął sobie odtąd
nowy cel działania.

W dalszej pracy musiał zacząć od tego, na czém skoń-
czył, bo nie należało się mu tracić tego, co zdobył w biegu
wieków; nie mógł więc szukać gdzieindziej środków na wyra-
żenie mowy głosowej, tylko w dotąd sobie znanych obrazach,
figurach, symbolach. Obraz, figura, symbol, były tu rzeczą
główną i trwałą, głos rzeczą podrzędną i zmienną: ztąd głosom
już znany, niedopiero tworzony dlań na nowo znak dawano.

W wyobrażeniu leżał już rozdział pierwiastkowego po-
glądu (w którym wszystko było jeszcze zwiłkane, wszystko
spiecione w jedną całość) na członki od całości odrębne, które
od niej odłączone żadnego rzeczywistego bytu nie mają. Wy-
raz jest oznaczeniem głosowém wyobrażenia, jest już obrazem
jego. Ten wyraz, jako obraz wyobrażenia, oddany znakiem,
nie ma z innemi żadnego naturalnego stosunku; jest czemsiś
oderwaném, a nowa całość z tychże złożona, czyli całość kon-
kretne go poglądu mownego jest tylko następstwem pojedyn-
czych momentów. Tu dla zrozumienia rzeczy lepszego, przy-
wołajmy na pomoc hieroglifów, bo w nich stopnie rozwijania
się pisma z obrazowego aż do głoskowego leżą obok siebie
warstwowo, i są tém dla historyi pisma, czém warstwy ziemi
dla geologii czyli historyi kształtowania się ziemi.

Przykład przejścia z pisma obrazowego w słowne, zacho-
wali nam Plutarch i św. Klemens Alexandryński. W napisie

przedstawia się 5 obrazów: *dziecko, starzec, jastrząb, ryba i hipopotam*. Te 5 obrazów wyobraża 5 słów i stanowi zdanie, bo pomiędzy obrazami samymi żadnego nie ma naturalnego stosunku. Należy je czytać: *Urodzony śmiertelniku, Bóg nienawidzi bezwstydlności*. Ryba symbol nienawiści, choć istota, służy do oznaczenia czynności; jest predykatem słownym, co nam wiele języków przypomina, które imion od słów nie odróżniają.

Tu widzimy już w piśmie wyraźny stosunek wyobrażenia do obrazu w mowie głosem wydanego, to jest do wyrazu. Jak wyraz wydaje jakąś zmysłową cechę wyobrażenia o rzeczy, i z pomiędzy wielu predykatów wybiera samowolnie jeden najcharakterystyczniejszy, jak tu np. u dziecka oddziać, działać, coś zdziałanego, splodzonego, urodzonego, podobne do łacińskiego *gnatus, genitus*, od *gignere*, z kąd etymolodzy niemieccy wprowadzają słowo *Kind* niemieckie (*Bambas, Das Sprachgeheimniss enthüllt*): tak i obraz dziecka, do wyobrażenia dziecka nie ma się inaczej, jak wyraz dziecko. Tytuły królów w Egipcie podobnież pisano obrazami: *Słońce* (koło z punktem w środku), *mur ząbkowany i chrząszcz*, czytaj: „Król utwierdził świat”.

Wprawdzie symbolika egipska po większej części w pojedynczych leży obrazach, często jednakże słowa dzisiejsze dwoma lub trzema obrazami oddawano. Tak pisano np. słowo *darować, ofiarować* przez ramię, naczynie winne trzymające; *karąć*, przez stojącego człowieka, który położonego albo kłęczącego bije; *prowadzić*, przez ramię z batem; *krajać, zabijać*, przez nóż i mięso; *ssać*, przez kobietę dziecko przy piersi trzymającą. Co większa; nietylko słowa, ale i inne wyrazy pojedyncze złożonemi oddawano wyrazami np. *pragnący*, opisywano przez ciele i wodę; *miód*, przez pszczołę i naczynie. Ale tu wielka zachodziła trudność w rozdzielaniu obrazów na wyobrażenia, gdy nie było podanego sposobu jak łączyć je lub rozdzielać.

U Chińczyków początkowo było także pismo obrazowe, ale później obok znaczenia, i na głos uwagę zwracać zaczęto. Figury u Chińczyków (bo czystych obrazów zaledwo trzydziesta jest część całości znaków) są kluczami pewnych ogólnych pojęć i słów. Takich kluczów albo korzeni według Brossego 80,000, 50,000 według Schleichera (ale nie wszystkie są

w użyciu powszedniém), mają Chińczykowie: z czego się pokazuje, iż te nie mogą być wszystkie pierwotne i jeden od drugiego niezależne, owszem większa ich część złożona jest z prostszych pojęć i służy do oznaczenia nietylko wyobrażeń i słów, ale i zdań samych nawet. Te znaki prócz ideograficznych są także i słowne, i nie ma między nimi ostro oddanej różnicy, ale przy usiłowaniu oznaczenia słownego, pozostała się skłonność wyrażania wyobrażenia pisać się mającego przez podanie charakterystycznych jego momentów. Inaczej mówiąc, rozbięli oni wyobrażenia na części składowe i przedstawiali je niejako w definicji: przez co pismo chińskie odkrywa ogromne źródło dla psychologii ludów, wykazując stanowisko umysłowe ludu zapatrującego się na mowę, i rzuca nawet mocne światło na etymologią mowną.

Ale przez zastąpienie wyobrażenia obrazem słownym, bardzo się zaćmiło pismo. Nawykłym do upatrywania w znaku wyobrażenia, dziwnie się wydało widzieć tylko przed sobą obraz, który trzeba było spuścić z uwagi, aby na coś głosowego uwagę zwrócić, a do tego potrzeba było już wysokiej abstrakcyi myśli. Należało wskazać, czy obraz ideograficznie brano, czy fonetycznie, czyli głosowo. Takie obrazy fonetyczne kładzione obok ideograficznych nazwał Champolion w hieroglifach egipskich *determinativa*. Tych nie wymawiano, ale przez nie odróżniano rodzaje od gatunku. *Determinatywa* te, choć nie w wielkiej liczbie, wskazujące klasy pojęć albo wyobrażeń, w chińskim piśmie zwyczajnie po lewej stronie stoją, ale tu zawsze głosowy znak i determinatyw w jedną figurę się zlewał, gdy w egipskich hieroglifach oba obrazy idealne tworzą całość.

Dla powzięcia wyobrażenia o tém przytoczmy choć jeden przykład, z którego widać, że podobieństwo brzmień wyrazów różnoznaczných mogło podsunąć duchowi ludzkiemu, zwróconemu do kształcenia pisma, możność zamieniania obrazów myśli, na obrazy słowne. Wyraz np. *tscheu* znaczy: *okręt, miednicę, dyszel, śliwkę, strzałę, oponę jedwabną i roślinę*. Ten wyraz tylko w znaczeniu *okrętu* jednym oddają obrazem, który równie jest znakiem ideograficznym jak i głosowym. W innych znaczeniach ten sam obraz stoi tylko jak wyraz głosowy, znak fonetyczny; ale traci znaczenie okrętu, skoro inne przybywają doń figury, które temuż samemu obrazowi, jako wyrazowi inne nadają znaczenie. Jeśli np. do obrazu *okrętu*

-obraz ten pismo słowne z tego powodu

przybędzie figura oznaczająca *wodę*, to *tscheu* znaczy *miednicę*; jeżeli *wóz*, to nabiera znaczenia *dyszla*; jeśli *strzała*, to bierze się za *strzałę*. Tym sposobem wieloznaczności wyrazu w piśmie unikają, i toż samo brzmienie z małą poprawką figury, inny wyraz oznaczać może.

Co do tego, cośmy wyżej powiedzieli, że pismo chińskie pojedyncze wyobrażenia opisowo czyli w definicyi podawało, to szczególniej odnosi się do wyrazów oderwanych albo umysłowych, które zmysłowo czyli przez konkretne jakieś malowano obrazy: i tak np. *łza* (ruskie *слеза*, że złazi, schodzi) pisali przez *oko* i *wodę*. *Bojaźń* oddawano przez *serce* i *biały*. *Gniew* przez *serce* i *niewolnik* i t. d. To nam przypomina mnóstwo wyrazów opisowo czyli w definicyi utworzonych. Widzimy z tego, że jak wszędzie, tak i w piśmie wszelki postęp kroczy powoli, że nowość ogląda się za starém, bo to jój biegun odwrotny, albo serce z którego w nią krew wchodzi. Długo te dwa, że tak powiem, bieguny stoją naprzeciw siebie, jak nieprzyjaciele. Piérwsze nie chce ustąpić z placu, bo go dawniej zajmowało; drugie nie potrafi objąć w zupełne posiadanie terytoryum przez siebie zajętego: sadowią się więc obok siebie. Tak i pismo słowne pomieściło się obok pisma obrazowego i ideograficznego. Ale gdy nowość przyczepi się korzeniem do pewnego miejsca, a ma w sobie dużo żywotności, a zatém i możności do organicznego wzrostu: to powoli wzrostem swoim zaemi dawność dotąd tylko znaną, i uwaga odjęta od ostatniej ku piérwszej się zwróci. Tak i w piśmie obrazowym, gdy spuścimy z oka przedmiot wyobrażany, a zwrócimy uwagę na głos przy nim wydawany czyli słowa, to pismo ideograficzne stanie się słowném, a później nareszcie zapomina się znaczenia wyobrażeń, a myśli się tylko o znaczeniu słowném.

W piśmie więc egipskiem i chińkiem widać ślady pisma słownego. Piérwsze jednakże poszło jeszcze dalej, ostatnie na tym stopniu już stanęło i skostniało w tej postaci. Pismo chińskie jest więc tylko jedno najlepszym reprezentantem pisma słownego. To samo mówią o pismach Czyrokezów i Negrów, że na pismo słowne naprzód natrafili.

O piśmie zgłoskowém.

Uczeni utrzymują o Czyrokezach i Negrach, że natrafwszy na pismo słowne, z tego przeszli w sylabowe czyli zgło-

skowe i na niém stanęli. Pismo zgłoskowe jest, gdy jeden znak dwie spółgłoski z samogłoską lub samogłoskę ze spółgłoską wyraża. W takim piśmie tyle musi być obrazów, figur albo znaków, ile język w sobie osobnych zgłosek mieści.

Takiem pismem zgłoskowym jest pismo japońskie, i nie dziwnego, bo się stosuje do natury języka. Język japoński ma się składać tylko z 47 zgłosek, gdzie spółgłoski stoją zawsze przed samogłoskami: to téż w mowie tak fonetycznie czyli głosowo ubogiej, pismo zgłoskowe utrzymać się mogło, a Japończycy od czasu gdy poznali pismo chińskie, przejąwszy od nich figury i znaki na oznaczenie swoich zgłosek, nie potrzebując szukać doskonalszej dla pisma formy, bo nie czuli do tego pędu w duchu swego języka, przestali na nich i do pisma głoskowego dojść nie mogli. Przeciwnie chińskie pismo u Chińczyków nie mogło się stać zgłoskowym z powodu, że wyrazy prawie wszystkie są jednozgłoskowe, a jedna zgłoska ma niekiedy do 50 znaczeń; przetoby się tylko wielkie zamieszanie wprowadziło w pismo. Toż samo było i w Egipcie, z przyczyny więcej wyrobionego systematu fonetycznego mowy, gdzie choć pierwiastek bywał jednozgłoskowy, to wyrazy z niego najrozmaitszego składu powstawać mogły. Jednakże dotąd 70 obrazów zgłoskowych odkryto na pomnikach egipskich. Nie każdą zgłoskę podobną zupełnie tak samo pisano, ale jak w piśmie słowném, tak i tu mogły być owe Determinatywy, określniki, które były obrazem głosowym znaczenia.

Mongołowie także używają pisma zgłoskowego.

Pismem zgłoskowym ma być pismo perskie, znane w Persepolis, które zowią klinowatém (*cuneiformis scriptura*), a które Lelewel gwoździopismem nazywa.

Są to kliny albo trójkątne gwoździe, bardzo wąskie, prostopadłe albo nachylone ku téj lub owéj stronie, ostrzem do góry lub na dół; krótsze albo dłuższe, pojedyncze, po dwa, trzy i t. d. Czyby Rzymianie wbijający corocznie gwoździe w świątyni Janusa, symbol ten z Azji przynieśli z sobą?

O piśmie głoskowym.

Synteza leży w naturze, i początkowe utwory ducha ludzkiego więcej téj wielkiej syntezy noszą na sobie śladów. Ana-

liza spoczywa w duchu myślącym i wyprzedza syntezę, choć się z niej rodzi; ale późniejsza duchowa synteza jest już czémsiś doskonalszém, bo łączy w jedność pojęcia, to, co duch ludzki zanalizował, to jest rozdzielił w wyobrażenia pojedyncze: tak ciągły postęp wszystkiego leży w tém, iż duch ludzki z zewnętrznej ograniczoności do coraz większej swobody działania dochodzi, dokąd mu dojść dano. Uczymy się tego na językach grubych, nieukształconych narodów i na ich pismie, że ciągle dzielić trzeba, i dzielić w nich bez końca, i jeszcze się nie dowierza, czy to, co się zdaje pojedynczém, nie jest czasami złożone. Łączenie tego, co rozdzielić należało, jest zawsze przymiotem niewprawnego myślenia, a zatém pisma i mowy. Od dziecka i człowieka nieukształconego albo dzikiego, zamiast wyrazów, wyrażen się tylko spodziewać można, zamiast pisma, obrazów tylko samych wymagać możemy. W miarę postępującej analizy i loicznego rozkładu, i rozłączenia myśli jako całości, występują tylko części jej pojedyncze, wyrazy, słowa. Słowa chińskie prawie nie są zdolne do żadnej odmiany w głosie, więc i w pismie. Znaki piśmienne tutaj tak nam mało nasuwają jasnych podzielonych wyobrażeń, że o czytaniu pisma słownego na sposób innych języków nie można prawie pomyśleć. Wymawianie w żadnym prawie z postacią znaków nie stoi związku i dlatego o zmianach głosowych, przez jakie pismo, np. chińskie, przeszło od tysiąca lat lub więcej prawie nic wiedzieć nie można. Gdy w językach dzisiejszych łatwiej czytać, niż przeczytane rozumieć: to w chińskim pismie przeciwnie: łatwiej rozumieć, ale się znaczenia głosowego nie ma przed sobą. Można tu tłumaczyć bez wymawiania słów. Prędzej znaczenie obrazów w pamięci zatrzymać można, niż wymowę ich.

W pismie zgłoskowém jeszcze analiza nie postępuje do rozdziału żywiołów głosowych na pojedyncze tony samogłosek, i spółgłosek: to wcale nie robi na umysł wrażenia czysto wykończonego podziału mowy na części, co także w pewien sposób właściwość języków wykazuje.

Jak przez porównanie obrazu wyobrażenia do obrazu słowa urodziło się pismo słowne; jak z rozdziału brzmień wyrazowych na zgłoski powstało pismo zgłoskowe: tak z analizy dalszej tychże brzmień złożonych jeszcze na pojedyncze, mogło powstać pismo głoskowe. Zwrócił człowiek uwagę na to, że

są wyrazy mniejszej i większej długości, że były między niemi czysto samogłoskowe, były inne o samogłosce wątpliwiej, niemiej albo tępój, której prawie nie słyhać, były nareszcie wyrazy o jedną głoskę może od innych dłuższe. Takie spostrzeżenia naprowadziły ducha ludzkiego na potrzebę oznaczania pojedynczych brzmień czyli głosów, i oto powstały głoski czyli pismo głoskowe. Przypuśćmy np. że miano znak głosowy czyli słowny na *men*, a drugi na *en*: toć z tych dwóch obrazów słownych łatwo dostrzedz, że pierwsze od drugiego o *m* jest większe: tu więc ten znak musiał być osobny głoskowy, który może z początku był tylko determinatywem. Teraz zrozumiemy dopiero przejście z pisma słownego do głoskowego, a nawet z hieroglifów. Champolion w tłumaczeniu przejścia z hieroglifów do pisma głoskowego przyjął zasadę akrofoniczną, to jest, że znak albo obraz słowo jakiegoś przedstawiający, przeszedł na oznaczenie tej właśnie głoski, od której się słowo hieroglifem wypisane, zaczynało. Bo gdy w hieroglifach każdy znak miał wyraz właściwy w mowie głosowej, to obecnie ten sam znak mógł być użyty dla oznaczenia początkowej wyrazu głoski. Tak np. tłumacząc ten rodzaj rebusów na wyrazach polskich, litera A mogła być wystawioną przez arkę, aloes, aster i t. d., bo się te wyrazy zaczynają od A; B przez baszę, bobra, barana i t. d. a zatem np. *oko* układając hieroglifami polskimi według systemu egipskiego, moglibyśmy napisać obrazami; *orła, kozła i ośla*.

Wiele wyrazów zaczyna się na te same głoski, więc téż. wiele znaków może być użytych na jedno brzmienie. Znaki różne i hieroglify, które oddają te same brzmienia zowią się homofoniczne albo równobrzmienne, i te mogą się kłaść za siebie. Według Champolliona jest 6 lub 4 znaków homofonicznych do A, więcej niż tuzin do S i t. d.

Na piśmie hieroglificzném najlepiej się przekonać możemy, jak kolejno przechodziło różne stopnie swego rozwinięcia, i od obrazowo rzeczowego zaczawszy, przeszło w głoskowe w ostatku.

Tak więc to, co tylko mówiło dla oka w początkach, bo niem tylko było i mogło być pojmovane, stało się narzędziem przedstawienia już nie cichych, ale głośnych myśli człowieka, to jest zbliżyło się także dla ucha. Przeczuwał może duch człowieka to prawo fizyczne, choć może nie miał jeszcze o niem

świadomości, że głosy, tony muszą mieć swoje odpowiednie figury czyli kształty, to jest, że je niejako widzieć można, choć my dopiero dzisiaj z doświadczalnej fizyki znamy figury dźwięków, będących skutkiem wibracji ciał. Te figury dźwięków nie są wprawdzie podobne do naszych głosek, ale nie nie szkodzi. To też pismo stanąwszy już na tém stopniu, to jest przestawszy być jeszcze symboliką rzeczy i myśli, a zacząwszy być symboliką mowy głosowej, to jest stawszy się głoskowém, nie mogło iść dalej. Teraz już bowiem nabrało prawdziwój żywotności, prawdziwego znaczenia duchowego, stawszy się niejako dagerotypem żywój jego mowy, jako przedstawicielki myśli w głosie.

Historja alfabetów.

Ludy używające pisma słownego, zbiór swoich znaków zwaćby powinny słownikiem. Mongołowie i inne ludy piszące pismem zgłoskowém mają tylko syllabar czyli zgłosnik: zbiór piśmiennych znaków głoskowych czyli głośnik zowie się od dwóch początkowych liter greckich α i β alfabetem albo abecadłem. Liczby pierwotnych głosek podawanéj według jednych na 7, według innych na 10, 16 lub 22, jeszcze dotąd nie rozwiktano. Co większa, mógł być inny porządek głosek niż dzisiaj, co się tłumaczy przybywaniem duchowi ludzkiemu nowych momentów zapatrywania się lub zmianę stanowiska wyobrażeń. Wszakże co do porządku początkowych liter samych pierwiastkowego abecadła zachodzi wątpliwość i spór między uczonymi się toczy. I tak jedni utrzymują, że Θ przypominająca boga egipskiego Thota, było najpiérwszą głoską alfabetu. Na dowód tego przytaczają Euzebiusza, który przywodzi w swoim dziele, że Egipcyanie chcąc świat odmalować, robią koło, a w pośrodku węża, co stanowi znak podobny do litery Θ , a Thot po koptycku ma znaczyć świat. Tu więc wszystkoć niejako zewnętrzna, pogląd panteistyczny dostarczyłby umysłowi pojęcia bóstwa, niby uzewnętrznienie, objawienie jego zmysłowe.

Inni przyjmują głoskę I za piérwszą, odwołując się do wyrazu Iw mającego przedstawiać początek i koniec rzeczy, późniejsze Alfa i Omega.

Według innych Thot egipski (Merkury) miał być malowany w postaci ludzkiej z głową Ibisu na numizmatach Hermopolitańskich, a to z powodu, że egipski (Hermes) Thot w bitwie przeciw olbrzymom miał zatrzymać postać Ibisu. Za najpierwszy hieroglif poczytują ten, który ma odpowiadać literze A. Ma to być głowa Ibisu z włożonym między nogi dziobem, według drugich wyraża on wołową głowę, jak ma być w piśmie samarytańskim i zowie się po hebrajsku aleph, po grecku alfa: początkowo znaczył głowę wołową. Z tego znaku wyrazowego pozostał tylko znak na głoskę A.

Do historii litery A, Plutarch dochował nam powieść fenicką. Kadmus według niego był wysłany dla odszukania Europy swej siostry, której gdy nigdzie nie spotkał, udał się do wyroczni z zapytaniem, co ma robić. Wyrocznia kazała mu iść za krową, którą na drodze znajdzie i zbudować na tém miejscu ogród, gdzie ona się zatrzyma. Stało się, jak przepowiedziała wyrocznia, a Kadmus zbudował miasto, od jego imienia Kadmeą nazwane, a na pamiątkę krowy położył na początku alfabetu alfa.

Drugi hieroglif początkowy beit, beta greckie znaczy mieszkanie; trzeci gamma greckie, hebrajskie gamel, znaczyło haczyk.

Czwarty delta greckie, hebrajskie dalet, wejście do domu lub drzwi, oznaczył oko; lambda greckie, lamed hebrajskie bicz wyrażał; wyraz mem (znaczył bałwany wody), pierwszy głos jego stał się głoską m. Tak znaki hieroglificzne nabrały trwałości, i pewien stały porządek tworzyć zaczęły w alfabecie. Porządkowi hieroglifów egipskich odpowiada dokładnie porządek abecadła hebrajskiego, którego początek, a w ten sposób i początek alfabetów późniejszych przypisują Mojżeszowi. Ten, jako wychowaniec kapłanów egipskich znał doskonale sztukę pisania u Egipcyan. Wyprowadzając lud izraelski z niewoli egipskiej, a mając przeznaczenie i rozkaz napisania praw dla niego, zatrzymał litery mu już znane z hieroglifów egipskich. Że zaś u Egipcyan wielkie było mnóstwo znaków, a tych użycie byłoby niedogodne dla ludu jego; Mojżesz wybrał z pomiędzy nich tylko 22 i trzy nowe przydał, a zamiast zwiślanych znaków przyjął prostsze. W ten sposób przyswojoném pismem z obcego języka mógł wszystkie brzmienia języka swego oddać. Te osobne znaki nie egipskimi, ale hebrajskimi wy-

razami nazwał i z pomiędzy hieroglifów przyjął tylko te, które po hebrajsku nazwane od tej głoski albo brzmienia się zaczynały, które obraz słowny w sobie zawiera. Czy alfabet hebrajski został panującym na Wschodzie, a Fenicyanie i Grecy równie jak i Samarytanie i inne ludy od Hebrajczyków go przejęli bezpośrednio lub pośrednio, wprawdzie nic w tém nie wyrokuje dzieje ani podania, ale samo podobieństwo znaków i nazwiska głośno za tém mówią. Alfabet grecki mógł przejść do Rzymian w zaokrągleniu znaków, a może u ostatnich był spuścizną po Oskach i Etruskach, bo w odkopaliskach Herkulanum znaleziono litery oskie podobne do dużych łacińskich, ale odwrotnie do nich wyrażanych, i liczby rzymskie odmiennego także są kształtu; a może Rzymianie u wspólnego źródła czerpali wiedzę mowy i pisma przed rozdziałem się swoim z Grekami, ale każdy z nich znaki pismienne po swojemu urobił. Dość, że te dwa narody przez długie czasy przewodniczyły cywilizacji świata, i dziś jeszcze dwa te alfabety są dotąd typowymi w Europie, a same może dawniej powstały z dwóch innych głównych w odległej starożytności znanych typów piśmiennych. Czemu mieli Grecy dwójaki alfabet: wielki i mały, czemuż taki mieli podobnie Rzymianie, a przecież mały nie powstał z wielkiego? Byłżeby to powód w głęboko leżącym w nas uczuciu grammatycznym do rozróżniania loicznego liter w pisowni? Czyż to raczej nie będzie symbol człowieka w dwoistości pierwiastków jednego, lub symbol życia i ruchu przypominającego nam dwoistość biegunów dodatniego i ujemnego, potrzebnych na pogodzenie nowego z dawnym, lub tylko odblask dualizmu religijnego na Wschodzie? Trudno coś w tym względzie orzec pewnego. Dziś utarło się używanie podwójnego alfabetu nie tylko w piśmie ale i druku, choć oba są nieco od siebie odmienne; dziś już widzimy w tém powód czysto grammatyczny i nie zwracamy uwagi na to, że pierwotnie jakaś inna była do tego przyczyna, nie czysto abstrakcyjna. Dziś tylko tyle wiemy, że większa część ludów Europy używa tak zwanego alfabetu łacińskiego, druga greckiego.

Ulfilas, Got, biskup Mezyi, z połączenia obu tych alfabetów utworzył tak zwane abecadło gockie, niegdyś szeroko rozgałęzione, dziś u Niemców tylko znane, choć i ci począłci tenże dla łacińskiego zarzucają.

WIX po Chrystusie wieku Metod i Cyryll apostołowie słowiańscy, na alfabecie greckim odwzorowali inne pismo zwane *kirylicą* czyli *pismem słowiańskiem*, do tłumaczenia pisma Ś. na język słowiański użytém, którego i dziś Rossyanie z małemi przemianami używają. W tém piśmie każda jeszcze litera ma wyrazowe nazwanie, jak: az, buki, wiedi, hłahoł, dobro i t. d.: co nam przypomina obrazowe powstanie pisma i dowodzi starożytnego pochodzenia znaków głoskowych.

W Dalmacyi był znany alfabet *głagolicki*, którego wynalazek duchowni łacińskiego obrządku z XIII wieku, chcący ocalić swoją liturgią słowiańską, św. Hieronimowi przypisywali, który umarł jeszcze w 420 r. po Chrystusie; Dobrowsky więc słusznie może to pismo za pobożny fortel (*pia fraus*) uznaje, i początek jego nie do V, ale do XIII a nawet XIV wieku odnosi. Dawne rękopisy tém piśmie pisane niepewnej są dawności, bo bez daty, a z porównania ich obu pokazuje się, że gdy układ ten sam, tyleż prawie mają znaków i w obu nie mają, to niezawodnie jeden z drugiego, a mianowicie *głagolicki* czyli *hieronimiczny* alfabet z cyrylicy powstał.

Wyższość pisma głoskowego przed innemi rodzajami.

Wilhelm Humboldt w żadnej części Ameryki nie znalazł pisma głoskowego i nigdzie nie spostrzegł najmniejszych śladów o zaginionych alfabetach; przyczyna tego leży w organizmie mowy ludów amerykańskich, który jest taki, że ani języki do wynalezienia alfabetu nie prowadziły, ani gdyby się taki znalazł, też nie byłyby bardzo do przyjęcia jego skwapliwe. To, że niektóre z nich przyjęły wniesiony europejski alfabet dowodzi tylko, że nieszczęśliwe narody tak ciemiężone i najszlachetniejszych pokoleń swoich pozbawiane, nie mogły same o wolném samodzielanu swoim pomyśleć. Zresztą niektóre narody obok najmocniejszego wyrobienia mowy bez pisma pozostały, bo do pisma inna przybywa niż w mowie potrzeba, inny cel, jakieś odmienne parcie. Dopóki lud nie dostrzeże u siebie tej potrzeby, źródło wynalazku pisma jest dlań nieprzystępne na zawsze.

Każda forma pisma ma pewne dogodności, ale pismo głoskowe przeważa każde inne pismo.

Pismo ideograficzne, które posiada tylko znaki na pojęcia, idee, popiera tylko idealną mowę, ale szkodzi indywidualności mowy, bo do tych znaków ton wcale nie jest przywiązany, a one w zmysłowości obrazu nie oznaczają dokładnie myśli ludzkiej.

Rzeczywiście jednakże nie może być pismo czysto ideograficzne, bo gdy język był przed pismem, to szuka dla każdego słowa znaków, i te przyjmuje tylko w znaczeniu słów, jakie im podłożył, choć one są poddane pod system pojęć od głosu i słów niezależnych. Pismo ideograficzne jest więc koniecznie słowne.

Znaki piśmienne w obu razach o tyle tylko są dla nas zrozumiałe, o ile posiadamy klucz do nich; znaczenia ich będą równe, a czytanie napisanego staje się dla nieznanego języka ludów tego pisma używających, tłumaczeniem, w którym indywidualność pierwszego języka, to jest tego, z którego się tłumaczy, ginie. W pismach takich przechodzi tylko sama treść, forma się zmienia; ale niezaprzeczoną zaletą takiego pisma jest, że jest zrozumiałe dla narodów różnych języków, i że się nie starzeje, bo nie ma żadnego związku z wymową, która się ciągle przemienia. Gdy w takich pismach do złożenia myśli dochodzi się bezpośrednio, to działanie ich, czyli wpływ na umysł człowieka jest wręcz przeciwny instynktowemu zmysłowi mowy, i burzy indywidualność mowy, starając się z pod jej wpływu uwolnić; a odrębność mowy nietylko w samym głosie leży, ale i we wrażeniu, które każde oznaczone powiązanie artykułowanych tonów sobą sprawia. Usiłowanie wyzwolenia się z pod wpływu danego języka, gdy myślenie bez mowy jest prawie niepodobne, musi szkodliwie i niszcząco na ducha narodowego języka działać.

Samo pismo głoskowe od tych błędów jest wolne. Tu pismo ciągle towarzyszy mowie, wywołuje tylko ton i utrzymuje się w naturalnej podrzędności mowie. Przez ściśle z nią łączenie się, tracąc zalety pisma obrazowego, wzmacnia działanie mowy, podwyższa jej zmysłowe wrażenie. Alfabetyczne czytanie i pisanie prowadzi zawsze do uznania żywiołów głosowych, które równie oko jak i ucho czuje i przyzwyczajają tak do łatwego rozdziału, jako i łączenia ich z sobą. Słowem przez pismo głoskowe wymowa się czyści i ustala. Gdy albowiem każdy głos ma swój znak osobny, to się ucho i organa mowne przy-

zwyczajają do oddawania go ciągle tymże samym sposobem, a odejmując niepewny ton, przez który w nieukształconej wymowie głos jeden z drugim się zléwa: czystością wymawiania i delikatném kształceniem ucha niesłychanie wpływają na wewnętrzną stronę języka. Przez alfabet nowe myśli, nowe zastanawianie się w naturę mowy weszło, a uzmysłowienie artykułacyi stoi w związku z zasadą języka. Głoski dają nam tylko wierny obraz wymowy, jaka w czasie wynalazku lub wprowadzenia znaną była, ale nic więcej. Wymowa się zmienia we wszystkich prawie językach, a pismo pozostaje to samo lub mało zmienione; zresztą są w mowie odcienia, których żadne pismo wyrazić nie może, dlatego zmiana głosu w wymowie idzie swoim torem, i dopiero, gdy pewnego doszła punktu, i pismo poszło za nią.

Kiedy tak pismo głoskowe w koniecznym związku zostaje z mową, jednakże gdy pismo pochodzi z przedhistorycznych czasów, gdy nie ma pewnych żadnych dat o jego powstaniu i wzroście; gdyśmy je wzięli równo z podaniem, i już zastaliśmy gotowém: to należy koniecznie do istotnych i najpiérwszych utworów ludzkiego ducha.

Nie powstało pismo dopóty, dopóki człowiek nie poczuł w sobie jego potrzeby, a to musiało nastąpić z przejściem ludu za granice niezbędnych materyalnych potrzeb, z nabyciem pewnych pojęć religijnych, znajomością praw, z układem pewnym towarzyskim i dopełnieniem pewnych czynów, których pamięć chciano uchronić od zagłady, a przekazać potomności. Ileż ludów jednakże znikło z powierzchni ziemi bez tych przygotowawczych warunków do pisma, ale te warunki były potrzebne, bo musiało być warto pisać, kiedy pisać zaczęto. Pismo więc idzie równolegle z powstawaniem kultury i cywilizacyi: jedno bez drugiego się nie obejdzie, ale dopiero wzajemna ich wspólność i wzajemność tłumaczy wszystko. Jak mowa jest wystąpieniem człowieka ze stanu zwierzęcości do ludzkiego bytu: tak pismo jest obrazem przejścia ludzi ze stanu dzikości do cywilizacyi, i tworzenie się pisma według pewnych praw ludzkiego ducha następowało, i było zawsze koniecznym a charakterystycznym stopniem w rozwoju ducha ludzkiego. Lecz długo niekiedy człowiek coś w duchu swoim nosi, do uzewnętrzniania czego częstokroć dostateczna ręka przypadku. Wewnętrzność i zewnętrzność odpowie-

dnie są sobie pojęcia, z których żadne bez drugiego istnieć nie może. Ale jakkolwiek pismo głosowe dokładnie oddawać może brzmienia mowy głosowej: nigdy jój jednakże w zupełności odtworzyć nie zdoła. Nie wyrazi np. ani żywotności, ani rozmaitości, ani piętna głosu i indywidualności osoby mówiącej. Pismo jest zaledwie wiernym, ale martwym odciskiem artykułowanych głosów: w mowie dopiero, owym produkcie życia indywidualum, i piętno indywidualne głosu, i samą intonacją głosową, i owo piętno namiętne słyhać, które jest oznaką pewnego wzruszenia umysłu lub cechą niczém niezmaconej spokojności duszy. Ona więc tylko sama jest najdoskonalszym środkiem odbicia się myśli i ducha człowieczego.

O liczbach, jako dopełnienie rzeczy o piśmie w ogóle, a w szczególności o piśmie symboliczném.

Liczby nigdzie nie egzystują zewnątrz, nie mają żadnego odrębnego bytu w przyrodzie, ale są stałym stosunkiem umysłowego porządku, czyli inaczej mówiąc, są pojęciami oderwanemi zbioru istot tego samego gatunku. Kiedy liczenie znajduje się u wielu narodów pisma nieznających, to potrzeba znaków liczebnych czyli cyfer była jedną z najpiérwszych utworów ducha ludzkiego.

Peruwianie używali swoich *kwipos* nietylko za znaki piśmienne, ale także i do wykazywania stanu podatków: więc ich *kwipos* były także cyframi. Drugi sposób liczenia u nich znany był na ziarnach kukurydzy, które odkładali to na jedną, to na drugą stronę, wierny odbywając rachunek, coś nakształt Rossyan rachujących na tak zwanych szcrotach.

Fenicjanie, jako naród kupiecki, uprawiający arytmetykę z potrzeby musieli znać także cyfry, ale nie wiemy jakich używali; zapewne znaków piśmiennych, jak to jeszcze u wielu innych spostrzeżem narodów.

U Malabarów, Baniarów, Braminów cyfry nie we wszystkich znakach są z naszymi zgodne. Któż wie, czy pierwotne hieroglify indyjskie, służące nam zamiast cyfer, nie są ostatkami pisma symbolicznego, wyprzedzającego pismo głoskowe, (patrz: zamknięcie rzeczy o piśmie figurycznym).

U Egipcyan, gdzie wszystkie hieroglify wplecione były w nauki kapłańskie: teologią, filozofią naturalną i astronomią, a litery niektóre odpowiadały niektórym znakom planet, symbolom bogów: największą wziętość znaki piśmienne zyskały przez to, że ich do oznaczenia liczb używano. 7 brzmień samogłoskowych odpowiadały siedmiu tonom muzycznym. Początek i koniec wszystkiego oznaczano, jakieśmy widzieli wyżej, pierwszą i ostatnią głoską. Siedm te brzmień według Euzebiusza były niby himnami zanoszonymi do bogów, wydzwiczczanemi im na chwałę w miejscu instrumentów muzycznych, ciągłym porządkiem tonów. Była to muzyka duchów, bo i u Chińczyków spółgłoski są tylko ciałami ziemskimi, którym dopiero samogłoski życia dodają. Głęboki mistycyzm symboliki egipskiej szczególnie w liczbach widać, które musieli znać Egipcyanie; tak głęboką znajomość astronomii posiadając Pitagoras, mędrzec grecki, uczeń kapłanów egipskich, wyćwiczony od nich w misteriach natury, zajmował się szczególnie początkiem liczb, ich przymiotami i stosunkami, i odkrył to prawo, że muzykalne tonów stosunki przez stosunki liczbowe oznaczać można. Co większa, zastanawiając się nad tą tajemniczą harmonią, jaka w liczbach panuje, doszedł do tego twierdzenia, że początki liczb są początkami rzeczy, a gdy to, co dla wiedzy jest pewnym, jest istotą samą, a to właśnie, co jako niezawodnie pewne w rzeczach się rozpoznać daje, jest liczbą: to i dusza jest liczbą poruszającą się sama przez się, i cnoty są tylko stosunkami liczebnymi, i świat jest według muzykalnych, to jest matematycznie oznaczyć się dających przerw stworzony. (7 dni stworzenia!). I dlatego ruchy ciał niebieskich dają harmonią sfer, w której my, albo się przesłuchujemy, albo jój nie dostrzegamy, z powodu, że siła tonów tych przechodzi władzę naszego spostrzegania. Słowem on i jego zwolennicy, uważając w liczbie harmonią piękną, muzykę sfer, prawa rzeczy, utworzyli arytmetykę mistyczną, którą Neoplatonikom w spuściznie zostawili.

Grecy głoski piśmienne brali za cyfry, prócz trzech dodatkowych czysto liczbowych znaków, bo ich wszystkich było 27, (3 dziewiątek, albo 9 trójek). Jak miało być u Egipcyan, tak i oni kładli równoważne cyfry obok siebie i te się dodawały, mniejsze pisano nad większemi dodając jeszcze ogonki lub inne

cyfry. Tak np. *E* znaczy tysiąc, *M* znaczyło 10000; *M* ^{*β*} znaczyło 20,000.

Gdy na wzór alfabetu greckiego utworzony był alfabet cerkiewny, czyli starosłowiański, to téż i znaki pisma w starosłowiańskim były znakami wyrażającymi liczby.

Starosłowianie oznaczali liczby po swojemu, naśladowując w téj mierze Greków, nawet w dołączaniu pod głoskami ogonków gdy tysiące wyrażać chcieli (1).

W alfabecie głągoliczkim z odmianą niektórych głosek i w porządku ich zaszły pewne różnice.

Z tego jasno się przekonywamy, że litery były u wielu narodów znakami liczebnymi czyli cyframi.

Wyraz *cyfra*, z hebrajskiego albo arabskiego *safar* pochodzi. Arabowie wzięli je może od Indyan, bo Persowie cyfry nazywają indyjskimi, a słowo cyfra po indyjsku *syfer* się zowie. Arabowie, od którychśmy przyjęli sposób liczenia dziesiętny, tém są w rzeczy liczb dla nas, czém Fenicyanie byli w rzeczy pisma. Ich więc nie można brać za wynalazców cyfer, ale za ich rozsiewców po Europie. Bo Arabowie przejęli je zapewne od Indyan, tylko że Indyc obszerne, trudno zgadnąć miejsca szczegółowo, z kąd te znaki pochodzą, choć z pewnością twierdzić można, że od indyjskich kapłanów braminów pierwsiastkowo wyszły. Były one więc zapewne w początkach literami; wszakże to nas szczególnie w tym domysle utwierdzać powinno, że algebraiści i dotąd arytmetykę na głoskach, jako znakach dziś ogólnych, a więc w początkach szczególnych odbywają. Znaki te z postępem czasu zmieniły się tak, iż i my obecnie, choć wzięliśmy znaki liczebne od Arabów, nie piszemy jak Arabowie: zawsze jednak rzecz godna uwagi, sposób liczenia idzie od prawej ku lewej, jak pismo ludów pokolenia semickiego, to jest w lewo coraz bardziej się cyfry powiększają, choć z przyzwyczajenia dzisiejszego piszemy od lewej ku prawej cyfry ważniejsze, z powodu, że je piérwój wymawiamy.

I znowu prócz liczebných znaków arabskich mamy jeszcze tak zwane rzymskie, jak dwa alfabet y znamy: mały i wielki. Usposobienie ludu jakiegokolwiek duchowe wpływało zawsze na

(1) Z powodu braku czcionek pisma starosłowiańskiego i głągoliczkiego, nie możemy przedstawić szczegółowo znaczenia liczebnego tychże liter, dla czego ograniczamy się tylko na ogólnych co do tego uwagach.

dobór pisma i znaków liczebnych. Rzymianie przedewszystkiém lud praktyczny, lud czynu, nie bawili się w mistykę, jak Egipcyanie, i system ich liczenia musiał być także o wiele łatwiejszy i prostszy. Zapatrzyli się oni pewnie na tablicę arytmetyczną, jaką natura każdemu człowiekowi dała, i w tój wszystkim dokładnie znanėj symbolice palców i ich układzie szukali znaków na liczby. W początkach zapewne nie było potrzeby składania liczb ogromnych, to i liczenie palcowe mogło być dostateczne; a gdy tylko początek zrobiony, na resztę w dalszym ciągu postępu sztuki sposób się niezawodnie znajdzie. Wszakże i w mowie migowėj układ palców służy za znaki myśli, czemużby nie miał służyć do oznaczenia liczb; tym bardziėj, że każda ręka jest całością, a każdy palec osobną tój całości częścią. I oto liczenie za pomocą palców w ten sposób pomyślc się dało. Palec jeden wyprostowany mógł oznaczać jedność, podstawę liczb; dwa, trzy lub cztery palce razem znaczyły: dwójkę, trójkę, lub czwórkę. Pięć palców, jako należące do jednej ręki stanowiły już osobną całość, to tóż i znak liczby pięć musiał być inny: tym był V, który albo całą ręką z odsuniętym palcem wielkim a innemi ściśniętymi, albo dwa ostatnie palce: wskaziciela i wielki, wyobrażały. Dwie ręce jako całości niższe razem wzięte wyrażały całość wyższą, z których każda względem ostatniėj była połową: położone więc na sobie w przeciwnym do siebie kierunku, lub jako ich reprezentanty dwa palce na krzyż ustawione, dostarczały znaku na ilość dwa razy większą od 5ciu (V), i oddawać się mogły znakiem X. Tu widzimy, że system liczenia u Rzymian jest piąteczny (1); należało więc przynajmniej główne powynajdywać znaki temu odpowiednie. Pięć rozmnożone przez dziesięć $V \times X$ czyni pięćdziesiąt; trzeba było znaku na liczbę pięćdziesiąt. Ten znak jako jedność liczebna wyższa musiał mieć coś w sobie z V i X, wyrażał się tak L; a do oddania go mogło się przyczynić zapatrzenie się na wyprostowany poziomo palec wielki przy podniesionym wskazicielu. Całość dwa razy większą od pięćdziesięciu wyobrażał E=C, figura zgiętego wskaziciela z wielkim palcem lub podwojenie L z późniejszém zaokrągleniem. Na pięćset, jako jedność pięć razy większą był znak D, niby

(1) Quia tot sunt digiti per quos numerare solemus (Ovidius. Fact. 3).

skrzywienie wskaziciela z wyprostowanym palcem u prawej ręki. Tysiąc było znowu złożeniem dwóch takich figur DD, później w znak M przemieniony. Liczby równoważne kładzono obok siebie, np. jedności i dziesiątki i sta; to powiększało liczbę: po większej, mniejsza dodawała się do niej, przed nią stojąca odejmowała się.

Z tego przekonać się nam łatwo, że duch ludzki w porządku natury wyraźnie i bez postaciowania, lub tajemniczo z przybiéranami dowolnie znakami w naturze poprzednio znajdowanemi, według usposobienia ludu na skryte w umyśle swoim pojęcia dobiérał sobie znaków, ilekroć czuł tego potrzebę.

Nie chcąc powiększać bezpotrzebnie rozmiaru tego małego wykładu o pismie ciągłemi cytacyami, a jednakże mając potrzebę wsparcia samego wywodu rzeczy wskazaniem powagi, do której nam się nieraz w ciągu rzeczy odnosić należało, tym więcej, że nieraz całkowite wyjątki z dzieł niektórych robić nam wypadło, przytaczamy choć te, z których w ustępach wymagających objaśnień specjalnych, najwięcej korzystaliśmy:

Johann Arnold Kanne: Erste Urkunden der Geschichte.

De Brosses: Traité de la formation mécanique des langues. Paris 1765.

Letronne: Inscriptions d'Égypte.

Court de Gebelin: Monde primitif.

Friedrich Creutzer: Symbolik und Mythologie der alten Völker.

Mémoires de l'académie des inscriptions.

Добровский Грамматика языка славянского.

Lipsius: Palaeographie als Mittel zur Sprachforschung.

Wilhelm von Humboldt über die Buchstabenschrift und ihren Zusammenhang mit dem Sprachbau.

Steinthal: Die Entwicklung der Schrift.



KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wystawa powszechna rolnicza w Paryżu (część druga). — Wznowienie Amphitryona w Théâtre-Français. — Profils et Grimaces przez Augusta Vacquerie. — List Napoleona IIIgo do Ponsarda. — Wiadomości literackie.

Szczęśliwy pomysł umieszczenia wystawy rolniczej w pałacu wystawy przemysłowej, przyczynił się niezmiernie do jej powodzenia, które do najświetniejszych się liczy. Obory, owczarnie i kurniki napelnione przepyszными zwierzętami, otoczone klombami najrzadszych kwiatów i ocienione liśćmi drzew egzotycznych, poprzerzynane ścieżkami wysypanemi złotym piaskiem, po którym atlasowe trzewiczki bez obawy stąpać mogły, osłonięte draperjami z aksamitu, ożywione szmerem wodotrysków i muzyką *rantz* szwajcarskich: stały się nie tylko zwykłym polem popisu i targowiskiem dla gospodarzy i kupców, ale ulubioną schadzka najwykwintniejszych mieszkańców Paryża, rzeczywistą sielanką, dającą stolicy idealne pojęcie wiejskich rozkoszy, a maskującą starannie nieestetyczną stronę gospodarstwa. Plastyczny ten poemat kosztował Francją półtora miliona franków; ale też przyznać należy, że pod względem artystycznym przeszedł nie tylko wszystkie tego rodzaju wystawy francuzkie, ale i angielskie, które tylko swą mięsistością się zalecają.

Tych mianowicie, co widzieli wewnątrz pałacu podczas wystawy powszechnej, terazniejsza jego fizyonomia uderzała kontrastem, co krok nowe gotując niespodzianki. Zanim przystąpimy do ocenienia samej wystawy, przypatrzmy się ogólnemu widokowi, jaki przedstawiała.

Wszędzie zupełna zmiana dekoracyj. Deskową podłogę w wielkiej nawie zastąpiła falista powierzchnia ogrodu, utworzona z zielonych wzgórków murawy, na którą rzucono siatkę jasnych ścieżek, klombów z kwiatami, i posadzono kilkanaście wielkich drzew, jakoto: północnych świerków, palm tropikalnych, cyprysów, magnolii i laurów, sięgających koroną pierwszego piętra. Pomędzy temi ostatnimi zalecały się pięknnością dwa wielkie drzewa historyczne (*laurus nobilis*), które Napoleon подарował Massenie po bitwie pod Essling.

Naprzeciw tych dwóch olbrzymich wawrzynów stał górując nad rozległym parterem rododendronów, biały posąg cesarzowej. Józefiny, przeznaczony dla rodzinnej jęj wyspy Martyniki, a wykonany dłutem pana Vital Dubray, któremu Paryż zawdzięcza statnę Joanny Hachette, jeden z najpiękniejszych posągów nowożytnych. Artysta i tą razą nie zawiódł oczekiwania: nowa statua jest zarazem wiernym portretem i odpowiada wszelkim wymaganiom sztuki.

Cesarzowa w dworskiej sukni i koronie na głowie, stoi oparta o kolumnę; płaszcz monarszy zasiany pszczołami, spada poza nią, drapując się w gęste fałdy: w jednę ręce trzyma medalion cesarza, drugą przyciska do piersi bukiet kwiatów. To wonne berło flory w ręku monarchini, która, jak ona królowała miękkością i wdziękiem, nadaje nader miłą cechę posągowi, oraz wyobraża jedno z najwyższych upodobań pięknej Kreolki: miłość kwiatów. Wiadomo, że botanika była jęj ulubioném zajęciem: Józefina stawiała kwiatom pałace i zaludniła je najrzadszemi roślinami swęj ojczyzny, które przedtęm nie chciały rosnąć we Francyi. Trudno było nieubliżając surowości historycznego posągu, oddać oblicze cesarzowej, ów przedni typ kreolskiej piękności, której urok nie stanowi regularność rysów, ale mieniąca i czarująca ich expressya. Pan Dubray bardzo szczęśliwie uchwycił podobieństwo i nie zatarł go powagą, nadającą całości niezbędną majestatyczność. Równie zręcznie wywiązał się artysta z ubioru, który niemniejsze przedstawiał trudności. Wązkiej sukni dworskiej nadał wolne zagięcia starożytnęj tuniki, a krótkiego stanika z dziwną gracyą użył ku uwydatnieniu pięknego kształtu piersi. Niepodobna było z większą sztuką poprawić bezecnęj mody ówczesnej. Całość jest bardzo ładna, a największą jęj zaletą jest to, że artysta reprodukuje postać monarchini, która panowała wdziękiem i dobrocią,

przedewszystkiẽm o wyrażenie tych dwóch przymiotów się starał.

Prócz cesarzowej Józefiny, było jeszcze w wielkiej nawie kilkanaście brązowych posągów, między któremi odznaczało się pięknoscią dzieło Pollet'a *Nocna gwiazda*, uosobiona przez nagą kobietę z gwiazdą nad czołem, uciekającą w niebo, a ziemi dotykającą już tylko końcem draperyi.

Wielką fontannę Lienard'a, która zdobiła środek nawy podczas wystawy powszechniej, i tą razą ustawiono w témże miejscu i ozdobiono wieńcami z hortensyi, bluszczu i nenufarów (grzebieni). Po obu jej stronach stały dwa mniejsze wodotryski, a w ich bassenach znajdowała się wystawa raków i ryb, pomiędzy któremi podziwialiśmy ogromne karpie białe i różowe, wylęgte sztucznie w instytucie francuzkim. Trzy wodotryski przedzielały dwie klatki napelnione różnobarwnym ptastwem.

Pomiędzy wystawionemi kwiatami odznaczała się rzadkością *lilia olbrzymia* biała. Należy ona do gatunku *lilium candidum*: kształt i skład kwiatu zupełnie prawie takiz sam, tylko liść znacznie jest szerszy i ciemniejszy; wysokość dochodzi dwunastu łokci, grubość pnia ma u dołu cztery cale średnicy. Lilia ta postawiona sama jedna pośród trawnika i zakończona kłosem białych kielichów, wspaniale się wydawała.

Rodzina rododendronów nadzwyczaj liczna, przedstawiała wszystkie odcienia koloru lilia, począwszy od ciemno-fołkowego, aż do blado bżowego, który nareszcie roztopiał się w czysto białym. Ten gatunek biały nader rzadki, ma w środku snopek złotych lub blado-lilia niteczek, które podnosząc białość jego nadają mu lekkość i przezroczyłość gazy. Zbiór róż wszelkich kolorów i odcieni, o jakich tylko zamarzyć można, zawierał prawdziwe skarby i był niewyczerpaną kopalnią badań dla botanika, a profanów zachwycał zapachem i pięknoscią kolorów. Z pelargonii, kalmii, calceolerów, gardenii, azaleów i piwonii drzewnych także ustawionych rodzinami, złożono góry kwiatów, od których oczu oderwać nie było można.

Pod drzewami na murawie leżały zbiory najrzadszych owoców, wyhodowanych w ogrodach cesarskich i Rodziyldowskich, jakoto: winogron, brzoskwiń, ananasów, czerwonych pomarańcz, melonów, truskawek i t. d.; około których prowadzące ścieżki, doskonale im się przypatrzyć dozwalały.

Najpiękniejszy widok na ten ogród był z galerii pierwszego piętra, z kąd całą nawę naraz objąć było można. Ztamąd ta łąka kwiecista ustrojona w fontanny, posągi, drzewa i kobiety przybrane w jedwabie i koronki, które krążyły po niej jak stada pstrych motyli, czarowny przedstawiała obraz.

Galerja dolna okrążająca wielką nawę, czyli ogród powyżej opisany, podzieloną była na 72 stajen odgradzonych od siebie niskim płotkiem, i mieszczących 1,125 sztuk wybranego z pomiędzy najcelniejszych rass bydła. Sto dwadzieścia Durhamów czystej krwi przysłanych z Anglii, najpierw uderzały oko w tym licznym zbiorze. Jestto najroślejsza z istniejących rass bydła. Anglicy otrzymali ją nie przez sprowadzanie obcych gatunków z za morza, ale przez krzyżowanie zwierząt własnego chowu. Metodę tę zowią oni *in and in* czyli tworzenie samo przez się. Rassa Durham nie powstała inaczej: fałszem jest żeby pochodzenie swoje winna była holenderskiej. Ze wszystkich przedstawia ona największe brzemie mięsa. Forma typowa, za którą się ubiegają hodownicy tej rassy, jest równoległoscian; budowa zwierza za tém doskonalszą uchodzi, im więcej się zbliża formą do prostokątnego kawała mięsa. Grzbiet Durhama przedstawia szeroką poziomą powierzchnią, tył ścięty prostopadle, i szerokie piersi, tworzą dwa przeciwległe boki równoległoscianu; nadzwyczaj krótkie nogi, mała głowa i niski wyrost ogona, nie psują wcale tego kształtu. Celem gospodarzy angielskich jest pomniejszenie kości i tłuszczu na korzyść mięs. Rassa ta potrzebuje wiele soczystego pokarmu, dlatego nie w każdej okolicy hodowaną być może.

Na kilka sztuk z wystawionych Durhamów, odpowiednich zupełnie pierwowzorowi, hodownicy bajeczne nałożyli ceny. Jeden z nich pogniewał się nie żartem na kupca, który za taką wyborową sztukę śmiał mu ofiarować tylko 13,000 franków. Jakoż, na przeszłorocznej paryzkiej wystawie najpiękniejszego Durhama sprzedano za 30,000 fr. Na tegorocznym konkursie Durhamy otrzymały najwyższe nagrody. Cesarz do prywatnych dóbr swoich kupił 25 krów i 6 stadników tej rassy.

Obok Durhamów ustawiono 15 sztuk bydła rassy Alderney, hodowanej na wyspach kanału La Manche. Najczystszy typ tego gatunku przechował się w Jersey, dlatego, iż rząd tej wyspy dbał o zachowanie go, zabrania surowo sprowadzania obcego bydła. Rassa Alderney nie odznacza się mięsistością, ale ga-

tunkiem mleka i dlatego krowy z Jersey wielki znajdują pokup.

Szkocya nadesłała 120 sztuk rassy Ayr, pochodzącej z zachodniej części kraju, której bogactwem jest nabiał. Gatunek ten z trudnością tuczyć się daje, ale słynie z dojności. Część tylko szkockiego bydła pomieszczono w pałacu, reszta stała pod namiotem na podwórze.

Bardzo oryginalna i zwracająca powszechną uwagę była rassa bezrożna pochodząca z Galloway, Yorkshire i Suffolk. Bydło to czarnej jednostajnej maści, zamiast rogów ma na głowie rodzaj czupryny, która nadaje mu zupełnie odrębną fizyonomię: jest ono bardzo łagodne, wesole, lekkie i czerstwe, przebywa zazwyczaj w górach.

Obok ustawiono 56 sztuk bydła holenderskiego. Są to zwierzęta ogromne, silnie zbudowane, na wysokich nogach, czarnej lub wiśniowej maści. Krowy odznaczały się z pomiędzy wszystkich ogromem wymion, mogących pomieścić do trzech garncy mleka: należą one do najrośniejszego gatunku nad-oceanickiej rassy.

Różnaitych gatunków szwajcarskiego bydła dostawiono sztuk 200. Rassa fryburska i berneńska krzyżowana z rassą podolską i węgierską jest matką wszystkich odcieni rassy niemieckiej. Wszystkie te gatunki są maści wiśniowej lub płowej; wysokie, z podgardlem wiszącym aż do kolan. Krowy rodzą ogromne cielęta. Rassa Ober-basli jest najmniejsza pomiędzy bydłem szwajcarskim; pasie się ona na najwyższych pastwiskach alpejskich; dla niej wynaleziono rodzaj muzyki zwany *Rantzami*, których przeciągłe tony oryentują gubiące się w górach krowy. Prócz tego noszą one na szyjach obroże z dużym dzwonem mającym ówierć łokcia średnicy. Przy każdej krowie szwajcarskiej wisiała w pałacu wystawy taka obroża, którą pastuch potrzasał od czasu do czasu. Zapewniają oni, że krowa pozbawiona ulubionego dzwonka wkrótce zdycha z żałości. Równie przywiązują się te zwierzęta do muzyki *rantz* swoich. Dlatego pasterze, ażeby im umilić pobyt w Paryżu, który nie zdawał się przystawać do smaku góralkom, wygrywali na swych igawkach rozmaite pobudki, starając się tym sposobem skracać sentymentalnym krowom czas niemilego popisu, w którym tylko kokietki mogły gustować.

W wystawie niemieckiej, pomiędzy czeskim a morawskim gatunkiem, ustawiono siwe bydło rassy podolskiej, tutaj węgierskiem zwane, które było istnym fenomenem pałacu wystawy. Ogromne zdała widne rogi tych zwierząt, zwabiały nieustannie tłumy ludzi, wydające okrzyki podziwienia. Trzeba przyznać, że nasze dzikie podolskie siwosze, wyglądały w pałacu wystawy jak hordy barbarzyńców na rzymskiem forum; głowy ich uzbrojone w potężną obronę świadczyły o niebezpieczeństwach stepowego życia, a wysmukła kibić dziwnie odbijała od wypasionych pieszczochów angielskich i holenderskich. Ten kształt jeleni, mały wyrazisty lebek, wielkie czarne oczy, a nad niemi sześć-łokciowe ostre rogi, nadawały węgierskiemu bydłu charakter dziwnej potęgi i młodości, pośród zwierząt przemienionych sztuką w bryły mięsa, zaledwie już mogące się ruszać pod ciężarem materji. Kontrast ten uderzał i dziwił wszystkich, chociaż nie każdy umiał zdać sobie sprawę ze swego zdziwienia. Rassa podolska pozyskała mianowicie admiracyą artystów. Sławna malarka zwierząt Rosa Bonheur, kupiła sobie taką jedną krowę, a wymalowała wszystkie. Nie koniec na tém: *idealne* bydło węgierskie dało pomysł artystom ułożenia fotograficznego albumu z całej wystawy bydła, któryby służył za wzór malarzom. Szczęśliwa i nader pożyteczna myśl, natychmiast weszła w wykonanie. Pan Baudement, professor konserwatorium sztuk i rzemiosł, sławny z zootechnicznych wiadomości, przyjął dyrekcją tego naukowo-artystycznego dzieła. Nadar, pierwszy paryzki fotograf, codziennie fotografował exemplarze wskazane przez pana Baudement. Rosa Bonheur i pejzażysta Troyon, kopiują fotografie na większe rozmiary i układają z rysunków olbrzymie album, mające zawierać wszystkie europejskie rassy bydła.

W wystawie austriackiej za rassę węgierską i galicyjską, pierwszą nagrodę otrzymał biały stadnik i biała krowa chowu barona Wenkheim, Węgra. Drugą nagrodę, to jest medal srebrny i 400 franków, otrzymała szwajcarsko-galicyjska krowa; a czwartą, medal brązowy i 300 franków stadnik, oboje chowu Teofila Ostaszewskiego ze Wzdowa, obywatela galicyjskiego z obwodu sanockiego. Prócz sześciu sztuk przywiezionych przez pana Ostaszewskiego, innego bydła z prowincyj polskich nie dostawiono na wystawę paryzką, jak to mylnie donosiły niektóre dzienniki warszawskie.

Wystawa czeska i morawska była bardzo arystokratyczna: sami tylko wielcy panowie nadesłali swoje bydło. Czarny stadnik księcia Schwarzenberga otrzymał pierwszą nagrodę. Reszta bydła, które wnet rozkupiono, jak wszystko prawie wystawione w głównym pałacu, należało do samych książąt, jakoto: Schaumburg-Lippe, Lichtenstein, Lobkowitz i t. d. Ani jedna szlachecka krówka nie wcisnęła się tutaj. W ogóle niemieckiego bydła było 185 sztuk.

Francya wystawiła 380 sztuk bydła rogatego, złożonego z sześciu głównych rass: normandzka 53 sztuk; flamandzka 34; charolańska 34; limuzeńska 14; Salers i Aubrac 13; bretońska 48. Mniej wydatne rassy jak np. gaskońska, garońska i t. d. składały 40 sztuk. Zbiór był bardzo ładny, i świadczył zaszczytnie o chowie bydła we Francyi. Rosłe czerwone owerniaki, normandy w dzikie pręgi, podobne maścią do tygrysa lub pantery, charolezy jak śnieg białe z delikatną jak aksamit siercią, znalazły wielu amatorów, i wnet kupione zostały przez zagranicznych kupców.

Prócz tego Francya wystawiła 50 durhamów czystej krwi, i 60 ich potomków zrodzonych z krów francuzkich. Rassa angielska bierze tu widoczną przewagę nad rassą krajową; najznakomitsi hodownicy bydła we Francyi jęj się wyłącznie poświęcili, i nie wychowują innęj rassy prócz durhamów.

Owiec i baranów było przeszło 700 sztuk. Anglicy zapatrują się z tegoż stanowiska na ulepszenie rassy owczej, co rassy bydła: chodzi im o pozyskanie jak największej ilości mięsa. We Francyi i Austrii przeciwnie: mięso nie wchodzi prawie wcale w rachunek owczarzy, wełna jest ich celem. To też Anglia ma bardzo mało merynosów; Francya zaś, a mianowicie Austria, liczy ich na miliony. Anglicy w chowie owiec ubiegają się także za równoległościanem, który dla nich jest idealną formą zwierzęcia przeznaczonego na rzeź. Rassy Dishley, New-Leicester, New-Kent, z długą grubą wełną świadczą, iż hodownicy zamorscy już prawie cel swój osiągnęli: wszystkie owce angielskie są mniej więcj dokładnym równoległościanem.

Wielka Brytania wystawiła owiec 233, Francya 238. Francuzka wystawa składała się po większej części z merynosów bardzo cienkiej wełny, pomiędzy którymi najcelniejsze

były merynosy *mauchamps* z owczarni cesarskiej w Georollei, o długich, miękkich i jedwabnych runach, bardzo podobne do koz kaszemirskich. Tak więc angielska wystawa owiec dopełniała francuską: pierwsza dostała nagrody za mięso, druga za wełnę. Mięso baranów angielskich jest tak przednie, że za jednego barana z grubą wełną ofiarowano panu Jones Webb z Crambridge, 6,000 franków.

W konkursie świńskim, który się składał z 154 sztuk, świnie angielskie okazały się najlepsze ze wszystkich, i wszystkie pierwsze nagrody pozabierały. Kto nie widział na własne oczy tych zwierząt, nie potrafi sobie wyobrazić do jakiego stopnia monstrualności tusza może doprowadzić stworzenie Boże. Nie jestto już zwierzę, ale góra słoniny, włącząca się po ziemi na czterech kopytkach, a zamiast głowy mająca tylko otwór do połknięcia żeru. Jedna taka maciora z rodu Yorkshire, zaledwie 27 miesięcy mająca, ważyła 1,000 funtów. W téj gałęzi gospodarstwa zdaje się, że Anglicy urzeczywistnili całkowicie swój ideał, tak dalece, że nikt już nawet o rywalizacyą z nimi się nie kusi.

Owczarnie, obory i chlewy urządzone wykwintnie pod namiotami z materyi żółtej w białe pasy, zajmowały wschodnią stronę pałacowego podwórza. Obok nich były spiżarnie z pożywieniem dla tak licznych gości. Południową stronę założyono maszynami; północno-zachodnią zajmowało ptastwo.

Wrzawa ptasiej republiki rozlegała się aż na polach Elizejskich. Każdy kogut starał się odznaczyć donośniejszym organem, a spinając się na pazury piał zapamiętałe, chcąc przekrzywić kolegów. Kokosze pragnąc także mieć głos w zgromadzeniu, napuszywszy pierzaste krenoliny, kręciły się po klatce. i nieustanném gdakaniem uwiadamiały o swéj obecności krasnoperne bażanty, które na nie spoglądały z pietra, gardząc zbyt łatwym podbojem. Gęsi i kaczki, znowu po swojemu gawędziły ze sobą. Monotonny śpiew perlic krajał uszy jak skrzywienie ślusarskiego pilnika; jędry czerwone od złości, belkotały jakieś niezrozumiałe przekleństwa spoglądając na ogromnego pawia, który nie poprzestając na pysznym ogonie, chciał jeszcze piękności głosu dowodzić, i fałszywą nutę wtrącał nieustannie w ten podwórzowy koncert, wykonany przez trzystu skrzydlatych muzykantów.

Ceny drobiu były bajeczne. Panu Baker z Londynu ofiarowano za koguta i dwie kury rassy koszyński 500 fr., a za trzy sztuki z rassy Brachma-Poutra 1,000 franków.

Z klatek, czyli kurników drucianych, gdzie siedziało państwo, wybudowano kilka ulic i gatunek okrągłego rynku, na środku którego wznosiła się fontanna w kształcie olbrzymiego bukietu kwiatów, wyrobionych z blachy i kolorowanych w najkrańsze barwy. Z kielicha każdego kwiatu lała się woda. Ten wodotrysk liczył się do najpiękniejszych rzeczy na wystawie rolniczej. Szkoda, że go postawiono w miejscu, gdzie wrzask nie pozwolił ani chwili się zatrzymać temu, co nie miał szczęścia być głuchym.

Znawcy nie mogli się wydziwić wielkości angielskich kogutów. Niektóre z nich rassy koszyński dorównywały wzrostem dziesięcio-letniemu dziecku. Jaja kur tego gatunku o wiele są większe od naszych gęsi. Cesarzowa francuzka kupiła takich kur 25, cesarz 6 kogutów.

Na galerji pierwszego piętra, gdzie podczas wystawy przemysłowej były koronki i jedwabie lyońskie, rozłożono ziemne płody Europy, pomiędzy którymi najobszerniejsze zajmowały miejsce produkta kolonij francuzkich, dostawione przez ministerjum marynarki, oraz produkta Algierji, których wystawą zajmowało się ministerstwo wojny. Obiedwie te wystawy obejmujące przeszło 400 działów, nadzwyczaj były ciekawe. Różne gatunki jedwabiu, wełny i bawełny uprawianej w Algierji, niezliczone próby drzewa w przepyszne słoje, przeznaczonego na wyroby stolarskie, owoce dziwne i jarzyny nieznanne w Europie, próby cukru i kawy, ryż, wosk, ogromne daktylowe drzewa, wysmukłe trzciny cukrowe, owcze skóry z wełną długą na pół łokcia, i skóry dzikich zwierząt: stanowiły główne bogactwo tej ciekawej zwrotnikowej kolekcji. Po niej następowała nader liczna wystawa win francuzkich w butelkach.

Na przeciwległej galerji rozłożono przedmioty mające bezpośrednią lub pośrednią styczność z rolnictwem i ogrodnictwem. Były tu wszelkie gatunki zboża uprawianego we wszystkich krajach, rośliny służące za pożywienie dla ludzi i bydła, zioła jadalne, farbiarskie i olejne, rozmaite rodzaje paszy, które wystawiła szkoła rolnicza z Grignion. Dalej był wielki plan drewniany rzeźalni, któraby zastąpiła wszystkie rzeźalnie paryzkie; a będąc wybudowana za miastem, łączyłaby się z koleją

opasującą Paryż, tak zwaną *de ceinture*. Drugi plan przedstawiał projekt oranżeryi. Dalej rozstawiono sikawki, kraty do zamykania ogrodów, wyroby gliniane do ich ozdoby, krzesła, stoły i ławki do ich umeblowania; wyroby garncarskie, wyroby z drzewa sztucznie zrobione, wodotryski rozmaitych rozmiarów, narzędzia ogrodnicze i t. d.

Pomiędzy tą wystawą uderzyły nas szczególnie kwiaty robione w doniczkach, naśladowane tak doskonale, że nawet wprawne oko botanika nie mogło ich od prawdziwych odróżnić. Taka dokładność w naśladowaniu natury przechodzi wszelkie wyobrażenie. Publiczność widząc te sztuczne róże, pelargonie i rododendrony, nie zatrzymywała się przy nich, tylko pytała siebie, czemu te kwiaty tu stoją? Czemu nie na dole pomiędzy innymi? O wymowniejszą pochwałę trudno.

Nowy sposób oświetlenia ogrodów liczył się między fenomena wystawy. Przeznaczono na tę próbę osobny półciemny pokój, gdzie na rozstawionych drzewach i krzewach porozwieszano lampiony szklane naśladowujące wiernie owoce drzewa, które illuminować miały. W środku takiego owocu wstawiona lampka olejna, oświecała naturalnych kolorów winogrona, ananasy, cytryny, pomarańcze, jabłka, gruszki, brzoskwinie i t. p. Owoce te kolyszające się pośród swych rodzimych liści, dziwnie piękny przedstawiały widok, mianowicie téż winogrona rozwieszane na kratkach, wspaniałe tworzyły parawany, z których ustawiona sala balowa pośród ogrodu, i oświetlona z góry księżycem, nie miałaby zapewne równiej na świecie.

Wracając do rzeczy praktycznych wspomnieć muszę o nowego rodzaju ulach, które szczególnie zwracały uwagę pośród znacznego ich zbioru. Trudno byłoby policzyć ile w przeciągu lat kilku wynaleziono rozmaitych ulów w celu zaradzenia niedogodnościom, jakie bartnicy napotykają w starożytnych pszczolnych pomieszkaniach. Na zeszłorocznej wystawie powszechnéj było kilkadziesiąt nowych modeli. Sądzone, że już te wynalazki przynajmniej na kilkanaście lat wystarczą—gdzie tam! Ledwie sześć miesięcy upłynęło, pojawił się znów nowy i lepszy od poprzednich. Pewien nadrodański bartnik, wieśniak z okolic Lugdunu, przywiózł model ula odznaczający się nadzwyczajną prostotą i praktycznością. Ul ten wyciosany z orzechowego drzewa, dzieli się na trzy piętra czyli trzy osobne części, które ustawione jedna na drugiej, tworzą trzypiętrowy do-

mek. Pszczoły zamieszkują dwa dolne piętra, miód zaś składają na poddaszu. Chcąc podbierać miód, zdejmujesz pełne poddasze, a zastępujesz go próżnym. Ot cała procedura. Pszczoły mają zawsze na dolnych piętrach dostateczną ilość miodu na wyżywienie.

Pan Roux, wynalazca powyższego ula, wymyślił także dla swoich ukochanych wychowanców bezpieczne źródło do picia, gdyż zauważał, że wiele pszczół topi się gasząc pragnienie w sadzawkach lub rzekach. Nowy ten rodzaj fontanny jest arcydziełem prostoty. Szklany gąsiorek z szerokim otworem nalewa się wodą i zatyka lekko słomą, poczem przewraca go się do góry dnem i w tej pozycji stawia na dużym talerzu płaskim, na którym leżą długie słomki tworzące rodzaj grobli, po której bezpiecznie spacerują pszczoły. Woda z przewróconego gąsiorka sącząc się powoli, niebawem zalewa talerz, przepelnia go i spływa na ziemię, a natomiast czysta i chłodna przyplywa ciągle z góry i napelnia bassen, który tym sposobem przez pół dnia podsyćcany być może jednym gąsiorkiem wody. Prosty ten rodzaj fontanny, który w każdej pasiece naśladować można, był należycie oceniony przez sędziów, i pozyskał wynalazcy najpięrszą nagrodę. Ul jego trzechpiętrowy także zupełnie trafił do przekonania bartników, i zapewne wkrótce wszystkie inne ule we Francji zastąpi.

W galerii wschodniej, gdzie podczas wystawy powszechnej były wyroby tureckie, egipskie i greckie, rozłożono fanty na korzyść wojska krymskiego. Dziesięć tysięcy losów wygrawających, reprezentowało wartość 400,000 biletów po franku, które w przeciągu pół miesiąca rozkupiono. Wszystkie te losy były oddane pod opiekę księciu Napoleonowi przez exponentów zeszłorocznej wystawy powszechnej, jako zapomoga dla wdów i sierot poległych w ostatniej wojnie żołnierzy. Fanty zajmowały trzy sale. Znaleźć tu można było wszelkiego rodzaju przedmioty. Wschodnie tkaniny osłaniały ściany, na nich wisiały sztuki materij jedwabnych, szale, futra, pachnące skóry hiszpańskie: pomiędzy niemi, ułożone w gwiazdy, błyszcząły przeróżne bronie, długie flinty algierskie, krzywe szable tureckie i starożytne miecze; dalej napotykałeś instrumenta muzyczne dzikich pokoleń, olbrzymie żółwie skorupy i puklerze egipskie. Pod nimi poustawiano fortepiana, marmurowe kominki, meble i t. p. Rozmaitość była wielka: tu srebrny koleczan błyszczał

obok sewrskiego wazona, tu lalka w balowym stroju leżała pomiędzy stosem głów cukru, dalej spotykałeś barykady z konfitur, likworów i konserwów, pachnideł, mydła i tysiąca toaletowych fraszek, które kupują się bardzo drogo, a nie służą do niczego. Było także wiele greckich i tureckich ubiorów bogato haftowanych złotem i galonami, niektóre z nich ceniono wysoko. Obok tych wschodnich kostiumów, paryscy krawcy rozwiesili swoje dary, jakoto: modne fraki, paletoty, spodnie, surduty, kamizelki, i wszystkie tak zwane *haute nouveauté*.

Loterya krymska była szczęśliwem dopełnieniem wystawy rolniczej. Któż jeżeli nie rolnictwo wypełnia szczyby i opatruje bliźny zadane krajowi przez wojnę?

Wyszedszy z sal loteryjnych, zwiedzający gubił się w lesie rolniczych narzędzi, pomiędzy którymi ręczne siewczkarnie wystawione przez Anglią, Belgią i Niemcy, najszerzej się rozposcierały; nie było atoli w téj wystawie żadnego nowego przyrządu. Obok znajdował się ciekawy zbiór probek lnu irlandzkiego. Królewskie towarzystwa z Dublinu i Belfastu nadesłały len w rozmaitych fazach: szereg rozpoczynał len wprost wyrwany z zagona, taki jak rośnie; następnie napół oczyszczony z paździerzy, wyczesany, sprzedziony, nakoniec utkany w płótna cienkie i jak śnieg białe.

Przebiegłszy pałac, przypatrzmy się podwórzu, które nader ożywiony przedstawiało widok w chwilach, kiedy para poruszała wszystkie maszyny. Zwykle próby odbywały się od dwunastej do trzeciej z południa. Upał był wielki, chociaż ostre pociski słońca nie przebijały obszernych namiotów, które całe niemal ocieniały podwórze. Podczas kiedy woły spoczywały na świeżem posłaniu dysząc od gorąca i rozmyślając zapewne o swych pastwiskach pod lasem, gdzie chłodny wiatr powiewa, niewidzialna ręka pchnęła w ruch cały warsztat rolniczy, wymyślony ku ulżeniu w pracy człowiekowi i zwierzęciu. Maszyny parowe z głuchym pomrukiem machając stalowemi rękami obracały mnogie koła, piły, kosy, młoty i stępy, z przerażającą szybkością. Parowe młockarnie polykały naraz całe fury snopów, i żując je napełniały powietrze okruciami słomy i kurzawą. Siewczkarnie tnąc zawzięcie kosami, sypały w przeciągu minuty całe góry siewki. Obok podobnym sposobem krajano warzywo dla bydła cieniiej, niż u nas ogórkową sałatę; dalej, za pomocą pary gotowano w przeciągu kwadransa ogro-

mne kotły jarzyny, mogące nakarmić kilkadziesiąt bydła. Dalej maszyna wyrabiająca gliniane rury do drenażu, wyrzucała je kopami już gotowe do użytku, czerpiąc z przyległego kotła surową glinę, którą sama rozrabiała, oczyszczała i modelowała w cegły lub okrągłe ryny.

Dalej inna maszyna robiła spirytus z czego kto chciał: z kartofli, buraków, zboża, marchwi, grochu, i t. d. Inne urządzone do pompowania wody, dźwigały ją wysoko i puszczały z góry na dół w kształcie katarakty. Inne tłoczyły małe wodotryski dające się bez trudności zastosować do ozdoby ogrodu lub sali. Inne gracowały ulice za pomocą korby, którą dziecko może bez wysilenia obracać. Inne gracowały i grabiły jednym zamachem szerokie drogi; inne kopały zagony; inne kosiły trawę z nadzwyczajną szybkością; inne wyrwały potężne puie z korzeniem odrazu, jak krzaczek sałaty; inne siały i sadziły warzywa i kwiaty. Słowem, było to ruch, gwar, hałas nieopisany, ogłuszająca wrzawa, która męczyła uszy, ale zachwycała umysł, bo wszystkie te różnorodne wynalazki świadczyły o postępie i potędze ludzkiej inteligencji. Te maszyny sąto przyszłe karmicielki świata, wynalezione ku wyżywieniu coraz liczniejszej ludzkiej rodziny i wyzwoleniu człowieka od upadającej go pracy, ażeby mógł rozwinąć w sobie szlachetne zdolności, jakimi go Bóg uposażył.

Wielkich maszyn rolniczych zupełnie nowych nie było, i nic dziwnego. Zaledwie pół roku upłynęło od zamknięcia wielkiej wystawy, na którą fabrykanci zgromadzili wszystkie maszyny wynalezione lub ulepszone od czasu wystawy londyńskiej; niepodobna ażeby na konkursie rolniczym z nowymi poszczycić się mogli:—maszyny się nie improwizują. Ulepszonych atoli wynalazków było kilka. Pomiędzy temi najwięcej zajęła znawców przytomnych probom, które się odbywały niedaleko parku Neuilly, maszyna do drenażu, angielskiego inżyniera Fowler'a. Przyrząd wprowadzony w ruch maszyną parową o sile dwunastu koni, jak kret rył podziemne kanały i nawłóczył w nie gliniane rurki, przeznaczone do osuszania gruntu. Tym sposobem, bez poprzedniego kopania rowów, jak to dotąd robiono, maszyna rozprowadza pod ziemią rury tak głęboko i tak gęsto jak się podoba. Podczas doświadczenia, obrachowano, że ta maszyna może zaciągnąć dwanaście łokci rur na minutę. Skoro odkopano ryny po przejściu maszyny, wszystkie

znajdowały się w zupełnie dobrym stanie. Zadanie więc drenowania bez kopania rowów już jest rozwiązane. Chodzi tylko o to: czy pod względem ekonomicznym okaże znaczne korzyści. Wielu o tém powątpiewa. Sam przyrząd kosztuje 15,000 franków, do funkcjonowania nim potrzeba piętnastu ludzi i trzech koni. Mając do osuszania wielkie obszary, koszt się zapewne opłaci; ale na małe rozległości korzystniej zapewne po staremu kopać rowy. Trudno wszelako dziś jeszcze wyrokować o tym wynalazku, który z czasem może być do wszelkich rozmiarów gruntu zastosowany.

Wystawionych żniwiarek było czternaście, prócz tego 6 maszyn, urządzonych zarazem do żęcia i koszenia. Młockarnia parowa francuzka pana Pinet otrzymała pierwszą nagrodę; dwie drugie młockarnie konne tegoż fabrykanta, zalecały się wielką praktycznością i zakupione zostały przez drobniejszych właścicieli gruntu. Młockarnie te nie targają wcale słomy.

Były także trzy pługi parowe: dwa wystawił lord Willoughby, trzeci pan Fowler wynalazca maszyny parowej do drenażu. Pługi lorda Willoughby wymagają dwóch maszyn parowych, które stawiają się na dwóch przeciwległych krańcach pola i podają sobie pług, który orze naraz dwie skiby. Pług Fowlera potrzebuje tylko jednej maszyny parowej, która stawia się w środku mającego się orać pola: podczas pracy maszyna nie rusza się wcale z miejsca. Proba tego pługu udała się doskonale: zorano nim kawał pola zarosłego gęstą lucerną, skiby były proste, a zagon daleko foremniejszy od zwyczajnego; szybkość roboty wielka. Pług Fowlera otrzymał powszechne uznanie rolników. Jestto wynalazek ogromnej wagi, którego udoskonalenie będzie zapewne najpierwszém zadaniem przyszłości.

Całą zachodnią galeryą pałacu przemieniono na wspaniałą salę, w której rozdawane były nagrody. Trzy boki sali okrywały aksamitne draperye ze złotem; czwarty, otwarty cały, łączył salę z wystawą, od której przedzierał sędziów tylko rząd kolumn. W głębi urządzono estradę dla przysięgłych, naprzeciwko ławki dla exponentów; resztę sali zajmowała publiczność.

Ceremonia odbyła się zwyczajnym trybem. Po przemówieniu prezydującego ministra, wywoływano i wręczano nagrody tym z wystawców, których płody w pierwszej znajdowały się kategorii. Największe medale złote otrzymali angielscy hodownicy bydła; Lawson ogrodnik z Edyburga za zbiór roślin i nasion;

pan Samuel Scott właściciel sławnych winnic Château-Laffitte za swoje wina Bordeaux; doktor Baumes za wino Tokai Princesse; koloniści algierscy za uprawę bawełny, i pan Delignac za konserwy owoców i jarzyn. Prócz tego rozdano 70 złotych medali mniejszych, oraz kilkaset srebrnych i brązowych. Każdy z pasterzy pobierał od rządu 5 fr. dziennie; niektórzy z nich dostali medale srebrne za hodowanie bydła. W tej kategorii był Marcin, pastuch pana Ostaszewskiego. Otrzymawszy z rąk ministra medal, uklonił mu się po swojemu do kolan, co bardzo oburzyło obecnych, którzy nie mogli pojąć tak uniozonej formy podziękowania. Po zamknięciu wystawy sędziowie mieli solenne posłuchanie u cesarza, a następnie zaproszeni zostali przez miasto Paryż na wielki bal w ratuszu, dawany z okazji chrztu syna cesarskiego.

Dwunasto-dniowy dochód wystawy rolniczej przyniósł 230,000 franków. Dodawszy doń wystawców i osoby wchodzące zadarmo, liczba odwiedzających wystawę wyniosła przeszło 300,000 osób. Cyfra ta świadczy najwymowniej o powodzeniu rolniczego konkursu, który ogromem przeszedł wszystkie poprzednie. Katalog dający najlepsze pojęcie o rozciągłości wystawy, składa się z 447 stronic formatu wielkiego w 8ce, i zawiera cztery działy osobne:

- 1) Zwierzęta i ptaki 5 klas, 32 kategoryj, numerów 2684.
- 2) Narzędzia różnych krajów, numerów 2108.
- 3) Płody rolnicze zwierzęce i t. d. numerów 4635.
- 4) Plany, rysunki, sztychy i t. d. numerów 34.

Osobny katalog towarzystwa ogrodniczego na 64 stronicach opisuje 3112 gatunków rozmaitych kwiatów i krzewów, oraz 267 różnych przedmiotów, będących z pierwszemi w związku.

Tym z czytelników naszych, którzyby chcieli zasięgnąć obszerniejszych o tej wystawie wiadomości, zalecamy dwa dzieła bardzo ważne w swoim rodzaju. Pierwsze, pod napisem: *Le Matériel Agricole ou description et examen des instruments des machines des appareils et des outils*, przez Augusta Jourdier, z 206 rycinami, jest nową znacznie powiększoną edycją książki, zawierającej opis płodów rolniczych wielkiej wystawy 1855 roku. Drugie niemniej ważne, choć więcej ogólne, napisał Audiganne pod tytułem: *l'Industrie Contem-*

poraine, des caractères et de ses progrès chez les différents peuples. Ta ostatnia książka zasługuje szczególnie na uwagę cudzoziemca, chcącego się obeznać z obecnym stanem przemysłu na Zachodzie.

W braku sztuk nowych *Théâtre-Français* przedstawia teraz Molierowego *Amphitryona*, komedya, która ma sobie nie mniej niewięcej jak dwa tysiące lat, ponieważ Molier wziął ją prawie żywcem z Plauta, co nie przeszkadza, że w roku 1668, na wersalskim teatrze stosowała się wybornie do okoliczności. Każdy bowiem poznawał odrazu w Jowiszu, Ludwika XIV, pogrążonego wtedy w olimpijskiem cudzołóstwie; w dwóch zaś wierszach, któremi gromowładny bożek pociesza Amfitryona, nie mógł nie dostrzedz ironicznej nauczki dla dworskich mężów:

*„Un partage avec Jupiter
N'a rien du tout qui déshonore“.*

Chcąc nie chcąc trzeba było temu wierzyć. Zaledwie jeden z tysiąca pokrzywdzonych małżonków śmiał wówczas protestować przeciw wszech-potędze króla, tronującego ponad poziomem zwyczajnego życia w obłoku mitologii monarchicznej. Pan Montespan uchodzi téż dotąd we Francyi za męczennika godności małżeńskiej.

Fama niesie, iż skoro dowiedział się o roli, jaką żona jego odgrywa na dworze, natychmiast przywdział po niej żalobę jak po umarłej: siebie, powóz, liberyą i dom cały odział czarną krepą. Symboliczny ten pogrzeb nieustannie afiszowany po mieście, ściągnął wkrótce uwagę króla. Król zmarszczył brwi, i kazał wtrącić Montespan'a do Bastylii, gdzie przepędził w lochu lat parę, poczem został wygnany do pałacu swego Guyenne, w którym miał pozostać dopóki nie wyleczy się ze swój małżeńskiej urazy. Lekarstwo, choć dosyć radykalne, nie skutkowało przecież. We dwadzieścia lat później, pani Montespan odepchnięta od tronu, napisała list do męża, w którym najczulszemi wyrazy prosi go o przebaczenie, i przyrzeka poprawę, byleby chciał ją do domu swego przyjąć. Małżonek niepoprawiony ani Bastylią, ani wygnaniem, kazał jój powiedzieć, że ani jój widzieć ani słyszeć o niej nie chce.

Przykład pana Montespan, który umarł w niełasce, nietylko nie znalazł naśladowców, ale stał się przestrogą dla reszty

mężów, znajdujących się w jego położeniu. Dobrze rozważywszy wszystkie szanse za i przeciw opozycyi, oględni mężowie postanowili, iż najlepiej będzie zgodzić się na wszystko, byleby król w swych Jowiszowych transfiguracyach przemieniał się jak najczęściej w deszcz złoty. Tak też bywało, a małżonkowie dzierżyli na starość kolosalne majątki.

W takim stanie rzeczy pojąć łatwo, jakiego wzięcia używał na wersalskiej scenie *Amphitryon* pełen żartów, docinków i alluzyj, z których każda stosowała się do jakiejś obecnej na dworze osoby, lub świeżego skandalu. Dzisiaj, kiedy znikła najważniejsza, to jest okolicznościowa strona téj sztuki, kiedy przebrzmiały już śmiechy wersalskich orgii, na których, jak zwykle pod koniec starożytnego świata, szaleli bogi i ludzie: *Amphitryon* jest już tylko ciekawym owych czasów obrazkiem, zdumiewającym cynizmem, który teraz jedynie na francuzkiej scenie popłaca.

Wprawdzie Moliere starał się o nadanie moralnego sensu téj komedyi, która w oryginale, jak wszystkie utwory starego Plauta, jest tylko bezwstydną krotoczwilą, ale sens ten moralny gubi się i roztapia zupełnie w massie już nie dwuznacznych, ale jednoznacznych conceptów, o których znaczeniu nie można mieć żadnej wątpliwości.

Amphitryon jest niezawodnie najrozwoźlejszą z komedyi Moliera. Treść téj sztuki wziął Plaut ze skandalicznej kroniki bogów Olimpu. Jowisz zakochawszy się w Alcmenie żonie tebańskiego generała Amphitryona, zjawia się u niej pod postacią jój męża; Merkurego zaś przemienia w służącego pana domu Sozjusza, którego żona jest służącą Alcmeny. Tym sposobem każda z tych pań ma po dwóch mężów. Łatwo odgadnąć sceny i dyalogi, jakie podobne położenie nastrecza. W końcu rzecz się wyświeca. Jowisz ukazuje się w obłokach i oznajmia Amphitryonowi, że był jego rywalem, oraz tłumaczy mu, że to nie krzywdzi śmiertelnika. *Amphitryon* Plauta, dumny z tego wyjaśnienia, woła z uniesieniem: „Na Polluxa! mogę się gniewać, zem się podzielił z Jowiszem!“ Moliere zmienia text łaciński w tém miejscu; mąż nie odpowiada ani słowa na boską perorę: z wydłużoną twarzą stoi w milczeniu na stronie. Cały sens moralny włożył Moliere w usta służącego Sozjusza, który swój sarkastyczno-dowcipny monolog zakończy następnym dwuwierszem:

„*Sur telles affaires, toujours
Le meilleur est de ne rien dire*“.

Trudno sobie wyobrazić uciechy, jaką sprawia Paryżanom wznowienie *Amphitryona*. Od dwóch tygodni codziennie pełny teatr wita wybuchami wesołości każdy dwuznacznik, których Molière, znając gust rodzinnego miasta, nigdzie nie szczędził, a których w *Amphitryonie* zgromadził na trzy zbytki.

Pod dziwnym tytułem: *Profils et grimaces* wyszła w Paryżu wcale niepospolita książka, o której kilka słów powiedzieć warto. Autorem jej jest pan Vacquerie, młody pisarz szkoły romantycznej, mający już dość głośne imię we francuskiej literaturze. Pan Vacquerie zraza czasami czytelnika gwałtownym sądem, częściej przecież jedna go sobie trafnością spostrzeżeń. Na każdej karcie poznasz tu młodzieńca, który w każde wyrażone uczucie duszę swą wkłada, a maluje całym wiośnennym zapasem kolorów.

Szkoda, że obok tych zalet, ma on jedną wielką wadę, wspólną prawie wszystkim młodym pisarzom: namiętą stronniczość, która zwykle psuje najzdolniejsze dzieło, bo zaślepia autora, czytającemu zaś odbiera wiarę w jego opinie. Ztąd pochodzi zapewne, że tego rodzaju utwory choć zajmują i porwą chwilowo, wpływu jednak trwałego nie wywrą.

Ostatnia książka pana Vacquerie jest zbiorem oderwanych myśli; jakkolwiek autor nie wprowadził żadnego systematycznego układu, pracę jego wszelako podzielić można na dwie części: spostrzeżenia filozoficzne i moralne, wybornie napisane, i spostrzeżenia literackie, które zalecają się dowcipem, ale grzeszą często niesłusznym sądem, który jest jakby echem zaciętych walk romantyzmu z klasycyzmem, dziś nie mających już żadnego znaczenia.

Dwa najlepsze rozdziały książki są pod napisem: *przeszłość i przyszłość*; pan Vacquerie porównywa w nich dzieła wynalazców, uczonych, zdobywców, prawodawców, z dziełami poetów. Przytaczam z nich mały ustęp, chcąc dać czytelnikom sposób pisania pana Vacquerie, i zarazem z własnych słów autora wykazać nieloikę, w którą koniecznie wtrąca ludzi stronniczość.

„Niektórzy krytycy, mówi on, znudzeni pochwalnym hymnem, brzmiącym nieustannie na cześć zmarłych poetów, stają w obronie żywych, i wołają: zostawcież już w spokoju nieboszczyków, którzy mieli swoje zasługi w swoim czasie. Wszystko postępuje na tym świecie. Nie widzicież, jak postępują i rosną nauki, przemysł, medycyna, marynarka, słowem wszystko. Pod każdym względem dzień dzisiejszy prześciga wczorajszy, a jutrzejszy prześcignie dzisiejszy, Poeci nasi tak się mają do poetów przeszłości, jak drukarnia do rękopismu, wagon do wozu, parowe koło do wiosła. Mniej więc słowy młodzi krytycy piszą apoteozy młodych autorów. Dziwne nam się wydają podobne przechwałki, i sądzimy, że przyjaciele dnia dzisiejszego są w błędzie. Na twarzy Eschylesa nie ma zmarszczek. Geniusze się nie starzeją, a jedynie wielcy poeci nie są wieszczkami w pieluchach. Nic nie umiera, nawet na ziemi, ale są dwa rodzaje nieśmiertelności.

„Wynalazcy, przemysłowcy, uczeni, zdobywcy, prawodawcy i filozofowie, unieśmiertelniają się postępem, którym przyczynili się do dobrego bytu ogólnego, lub cywilizacją, którą dali światu. Ich utworem jest społeczeństwo: twór zmienny, niedoskonały, ciągle ulepszający się, nigdy zupełnie dobry. Zdobywca odziera zdobywcę, naturalista poprawia naturalistę, wynalazca chłonie wynalazcę; co dziś nowe, jutro stare: nauka staje się z czasem ograniczeniem. Czytając Plineusza, Couvier wrusza ramionami; wiejski konował poprawia dziś Eskulapa; nić elektryczna śmieje się z telegrafu, fotografia gardzi Dagierem, balon patrzy z góry na kolej żelazną. Wszyscy ludzie postępu znikają w postępie. Zostaje po nich tylko ich imię—ludzkość.

„Sama tylko sztuka trwa pod dwiema postaciami: najprzód jako cywilizator w skutkach jakie rodzi, w usługach jakie oddaje: żyje w ludzkości jak ojciec w synu, nadto, ma życie własne. Poeta po sobie zostawia dwa twory: jeden mieniący, ciągle poprawiany i niepoprawny—*obyczaje*; drugi stały, niewzruszony, doskonały—*arcydzieło*.

„Tutaj dzień jutrzejszy nie przerasta dnia dzisiejszego. Co się zrobiło, to wieczne. Dante nie poprawia Homera, ani Michał Anioł Fidiasa. Młode pokolenia z uszanowaniem szperają po gruzach Rzymu i Aten, a wydobywszy ogromne okru-

chy przeszłości, modelują się na nich, starając się usilnie naśladować kształty potrzaskanych posągów.

„Wszystko tedy postępuje prócz sztuki. Wielcy poeci są równi pośród nierównych cywilizacji. Sztuka jest splendorem historii.”

Przerzuciwszy parę kart dalej, czytelnik jeszcze pod wrażeniem powyższego ustępu, napotyka zaprzeczenie pięknych, dopiero co objawionych teoryj, i zapytuje zdziwiony: czemu autor, co przed chwilą tak wymownie dowodził nieśmiertelności sztuki, tak gwałtownie nastaje na Racina, i wyraża się o nim w słowach, którychby nawet nie usprawiedliwiły namiętności pierwszych romantyków. „Dzieła Racina są trumną, mówi on. Ci, co ją otworzyli, znaleźli w niej tylko skielec. Racina pojmują intelligencye mierne; kogo przeraża ogrom Szekspira, temu schlebia Racine. Ludzie ograniczonych pojęć szczególnież w nim gustują, gdyż go obejmują odrazu. Zresztą, rzecz się ma tak z duchem jak z materją: but nowy uciska nogę, nowe pojęcia uciskają umysł. Dramat jest nowy, a Racine to but stary.

Jeżeli „poeci są równi pośród nierównych cywilizacji” zkądże taka pogarda, mianowicie w ustach Francuza, dla pisarza, którego można nie uwielbiać, ale który bądź co bądź, jest chlubą Francji. Jeżeli Dante nie poprawia Homera, czemuż pan Vacquerie poniża Racina? Jeżeli niesprawiedliwością jest, chwałą zmarłych pobijać żyjących, to równie niesłusznie czyni, kto blaskiem żyjących pisarzy chce zaćmić zasługi zmarłych. Lord Byron mimo swój excentryczności, był jednak mniej stronniczy. Miłość, jaką miał dla Szekspira, nie przeszkadzała, że uwielbiał Popego, a nawet przekładał go nad Milтона. W Boskiej komedji Dante ze czcią wspomina kilku poprzedników swoich, o których nie słyszelibyśmy nigdy, żeby ich był w dziele swoim nie uwiecznił. Wielki Dante z nieśmiałością spoziera na Brunetta Latini, którego wszystkie dzieła nie warte jednej pieśni Danta; Staca o wiele wyżej stawia od siebie, dla Wirgiliusza zaś ma cześć nieomal bałwochwalczą. Nic zaprawdę wznioślejszego, jak takie uszanowanie młodych geniuszów dla tych, co ich poprzedzili. Brak tego uczucia tém więcej razi w panu Vacquerie, iż w innych razach zwykł zapatrywać się na rzeczy z niepospolitego stanowiska.

Stronnicze napaści to mają do siebie, że zamiast poniżyć, wywyższają ludzi, których sponiewierać chciają. Tą razą podo-

bnież się stało. Gdyby pan Vacquerie apostoł nowój szkoły, mniej gwałtownie przeciw Racinowi wystąpił, nikomuby zapewne nie przyszło na myśl bronić go. Gdyby był powiedział prosto, że dyalogom Racina brak życia, że tragedye jego nie mają potęgi i kolorytu jaki cechuje dobre sztuki romantyków, każdyby się pewnie z nim zgodził. Gdyby był powiedział, że Racine nie posiadał do najwyższego stopnia, jak to twierdzili jego współcześni wielbiciele, sztuki zawiązywania dramatycznego węzła i zaostrzania ciekawości widzów, że wzniosłość jego wyrażen nieraz przechodzi w napuszystość, że często dla rymu poświęcał właściwe wyrażenie, że mu zbywa na energii potrzebnej do malowania oschłych namiętności politycznych: nie byłby pewnie wywołał gwałtownej opozycji. Ale pan Vacquerie zaprzeczył Racinowi niezaprzeczonych jego zalet, jakoto: elegancyi, harmonii i poezyi uczuciowój, która stanowi główny powab utworów autora Fedry. Przed trzydziestą laty podobne niesprawiedliwości uchodziły w Paryżu. Wówczas zwolennicy tój lub owój szkoły naśladowali owych okrutnych sułtanów, którzy żeby panować bezpiecznie, zaczynali od wyrznięcia swych braci. Ale byłato tylko chwila szału: dziś weale inne nastaly czasy.

Nieogłędna wycieczka przeciw Racinowi, nie jeden piorun sprowadziła na głowę autora. Krytycy wszystkich obozów chórem powstali przeciw niemu, gdyż Francuzi obok lekkomyślności mają tę wielką cnotę, że kochają i idealizują wszystko, co swoje; i tylko w rzadkich chwilach przeprowadzenia dojrzałej reformy, występują przeciw ludziom zasłużonym w literaturze krajowój. Inaczéj bronią ich zacięcie, chociaźby przeciw opinii reszty świata. Mężów, którzy zajaśniali w ojczyźnie aureolą natchnienia czy nauki, cczą jako święte sztandary narodowój chwały. Jeżeli nie sercem, to rozsądkiem pojmują oni prawdę owych słów pamiętnych, które do nas wyrzekł kiedyś wielki nasz poeta: „*Biada ludom, co swoje mordują proroki!*”

Dzienniki paryzkie ogłosiły następujący list Napoleona III do Ponsarda, autora komedyi *Bursa*, z którój obszernie sprawozdanie podaliśmy w przeszłej korespondencji:

„Saint-Cloud, 15 czerwca 1856.

„Po piérwszém przedstawieniu *Bursy* uznałeś pan za stosowne usunąć się od powińszowań publiczności, i moich. Dzi-

siaj przysłanie nam téj sztuki daje mi sposobność złożenia ich panu, co czynię bardzo chętnie, gdyż byłem prawdziwie szczęśliwy, słuchając cię gromiącego całą potęgą twego talentu, i pobijającego najczystsze natchnieniem fatalną namiętność dzisiejszą. Będę więc czytał sztukę pańską z niemniejszą przyjemnością, z jaką ją widziałem na scenie. Postępuj pan dalej, nowe powodzenie zachęca cię do tego, tą moralną drogą tak mało uczęszczaną, a przecież tak godną innych, jak pan powołanych do zostawienia po sobie pięknej sławy. Wierz pan szczerości uczuć moich.

Napoleon.“

Akademia francuzka przyznała nagrodę panu Taine za dzieło pod napisem: *Essai sur Tite-Live*. Nigdy zapewne nagroda słuszniej nie należała się autorowi jak tą razą. Mało ludzi tak zdolnych jak Taine należy do konkursów akademickich: tą razą przywabiła młodego erudyta trudność zadania, która odstraszyła innych. Jakoż zadanie wymagało nader obszernéj wiedzy. Ażeby przedmiot opracować należycie, potrzeba było znać czasy, w których żył Liwiusz, prawodawstwo, obyczaje, literaturę i politykę rzymską; prócz tego porównać Liwiusza z wszystkimi dziejopisami greckimi i rzymskimi w starożytności, jak niemniej zgromadzić sądy, jakie o nim wydali nowocześni historycy, poczynawszy od Machiawella aż do najnowszych pisarzy.

Pan Taine odpowiedział nieomal wszystkim tym warunkom. Pan Villemain w raporcie swoim chwali nadzwyczaj to dzieło, zarzuca tylko autorowi, że niedość wielbi wielkiego historyka. Błąd ten wydaje nam się jedną więcej zaletą książki, którą polecamy czytelnikowi miłującemu nauki klassyczne, oraz głęboką erudycją, połączoną z gruntowną krytyką i pięknnością stylu.

SZLACHTA PRUSKA.

PODŁUG RĘKOPISMU Z 1671 ROKU.

PRZEZ

Ad. Am. Kosińskiego.

Zajmującemu się od lat kilku układem herbarza, a raczej historyi naszej szlachty, niejednokrotnie dawał się uczuć brak objaśnień genealogicznych i historycznych, co się tyczy rodzin pruskich; gdy szczęsnym trafem, dzięki uprzejmości jednego z sąsiadów, w połowie upłynionego roku (1855) otrzymałem rękopis in folio, pod tytułem: *Klejnoty domowe familiey starożytnych pruskich, z rejestrem sporządzone Anno Dni 1671.*

Ten manuskrypt, prócz rejestru, zajmuje 521 stronice, i jest dość starannie, jakby z przeznaczeniem do druku, przepisany; zawiera zaś opis przeszło 500 rodzin pruskich szlacheckich, i do dwustu herbów z ich rysunkami, wprawdzie nie artystycznie, lecz z ścisłą heraldyczną dokładnością wykonanemi.

Przecież, pomimo silnych poszukiwań, nie mogłem dojść, czyim byłby utworem, gdyż autor nietylko że na tytule nie podpisał się, ale w ciągu dzieła żadnej o sobie nie czyni wzmianki; to tylko pewna, że żył między 1630 a 1670, gdyż przytacza wiele osób z tego czasu jako osobieście sobie znajomych. Może więc jestto zatracony herbarz Dębołęckiego, lub ów rękopis, który często

wspomina, i którym głównie posiłkował się Niesiecki przy opisie rodzin w Prusach osiadłych, lub z tej prowincyi pochodzących.

Za tym ostatnim domysłem wiele szczegółów mówi, a głównie, że porównawszy z sobą obydwie herbarze, widzimy, że opis herbów i wiele faktów genealogicznych i historycznych są wzięte z mojego manuskryptu: co więcej, całe z niego ustępy można dosłownie znaleźć w pracy Niesieckiego. Wprawdzie pominął on wiele osób biografij, nadpisów nagrobkowych i genealogicznych wywodów zawartych w manuskrypcie, i co większa, opuścił blisko 200 rodzin w nim zamieszczonych; lecz i to wytłumaczyć można: wszakże fakta mógł brać te tylko, jakie za stosowne dla siebie uważał, a pominienie familij, o którym wspomniałem, należy przypisać skrupułom sumienia ultra-katolickiego pisarza, niechącego przyczynić się do ilustracyi herezyą splamionych rodzin, tém więcej, że niedorzeczną w tym względzie skrupulatność, nawet co się tyczy polskich i litewskich familij, krytyka słusznie zarzuca szanownej zkadinał pracy uczonego Jezuity.

Czyim bądź przecież utworem jest ten manuskrypt, posiada niezaprzeczoną heraldyczną, historyczną i literacką wartość; naprzód: że jeśli nie jest zupełnym, to bez zaprzeczenia najdokładniejszym a nawet jedynym herbarzem szlachty pruskiej; powtóre: że cytując majątki, prawa i genealogie kilkudziesięciu nietylko magnackich lecz i mierno-fortunnych rodzin, ważnem może być źródłem w heraldycznych i prawnych poszukiwaniach; potrzebie: iż prostuje wiele dat historycznych mylnie podanych, przytacza wielką liczbę nadpisów nagrobkowych, i cytuje ułamki z dzieł, kazań, mów sejmowych i prac poetycznych ztraconych, lub nieznanych bibliografom naszym.

Główną przecież jest jego zasługą, iż ważne rzuca światło na stan wewnętrzny Prus, ich statystykę, prawa, zwyczaje, historią i stosunki z resztą rzeczypospolitęj: tak np.

a) Udowadnia, iż całe Prusy, i to nietylko nadwiślańskie, lecz nad-bałtyckie i pograniczne z Mazowszem,

już przed wiekami, bo przed najściem krzyżaków posiadały osady i szlachtę polską, a to cytując wiele rodzin z nazwami i herbami polskimi, dziedziczących majątki, także polskie nazwiska noszące, a rozproszone po całych Prusach, począwszy od Kaszub i Marchii aż po Niemen.

b) Dowodzi, że pomimo wszelkich usiłowań krzyżaków, liczba niemieckiej szlachty w obu Prusach osiadłej wcale niewielką była, i nie wyrównywała nawet w czwartej części polskiej; że z tych niemieckich rodzin, po wyrugowaniu zakonu z nad Wisły, wiele spolszczyło się, a kilkadziesiąt wygasło lub ustąpiło do Prus Wschodnich albo do Niemiec.

c) Że obywatelstwo Prus Zachodnich, szczerze przywiązało się do rzeczypospolitej; czego dowodem chętnie jego służenie sprawie ogólnej kraju, tak w rycerskim jak i cywilnym zawodzie, a głównie wcielanie się w ogólną narodowość przez przybieranie nazwisk polskich: fakt, który jasno widzieć się daje począwszy od XV wieku, to jest od wyrugowania z Prus Zachodnich krzyżaków, aż do początku XVII-go stulecia.

d) Że szlachta osiadła w Prusach książęcych jest po większej części jak zachodnio-pruska słowiańskiego szczepu; że niemieckie nazwy nie dowodzą, bo albo były przyjęte z musu lub politycznych względów za panowania krzyżaków, lub później, dla tych samych powodów, za elektorów nieprzychylnych Polsce.

e) Dowodzi jedności plemienia szlachty pomerańskiej a głównie kaszubskiej z pruską, co popiera tożsamością nazwisk i herbów, stosunkami majątkowymi, i częstym łączeniem się pokrewieństwami.

f) Cytuje kilkanaście rodzin mieszczańskich, gdańskich, toruńskich, i elbląskich, nobilitowanych przez naszych królów, a o których ani metryka koronna, ani Volumina Legum nie czynią wzmianki.

g) Przekonywa, że indygenat pruski nietyle był trudnym, a raczej nie tak niezbędnym dla przybyszów szlachty koronnej i litewskiej, jak o tém wspominają niektórzy nasi pisarze: gdyż przytacza mnóstwo rodzin i pojedynczych osób, które bez pozyskania tego indygenatu,

osiadłszy w województwach pruskich, używały bezzarzutnie przywilejów służących prowincyi.

h) Udowadnia wreszcie, przytoczeniem kilkunastu przykładów z różnych a nawet znakomitych rodzin pruskich, że szlachta téj prowincyi, wbrew polskim zwyczajom a nawet ustawom, nie miała sobie za uszczerbek zajmowania się handlem, a niekiedy i rzemiosłami, i chętnie osiadała po miastach, przyjmując ich obywatelstwo i godności.

Sądzę zatem, że niepospolitą wyświadczę przysługę naszej literaturze i historyi, dając krótki wypis z tego manuskryptu, tojest przytoczywszy rodziny w nim zawarte, streszczając historią każdéj, i przytoczywszy ważniejsze szczegóły lub osoby. Pracę zaś moję, dla zachowania porządku i ułatwienia poszukiwań, na pięć części podzielę:

1) W pierwszej zamieszczę familie, które porzuciwszy niemieckie, przyjęły polskie nazwiska.

2) W drugiej wyliczę rodziny, które bez przerwy, tojest za Piastów i krzyżaków, aż do 1670 r. (tojest do czasu, którego sięga najpóźniej manuskrypt) używały herbów i nazwisk polskich.

3) W trzeciej zamieszczę familie niemieckie lub polskie za krzyżaków zniemczone, a które wiernemi zostały swym cudzoziemskim nazwiskom.

4) W czwartej zamieszczę familie używające nazwisk polskich, lecz herbów cudzoziemskich lub własnych.

5) Rodziny polskie, litewskie i obce, do 1671 indygenatem pruskim zaszczycone.

W rękopismie nie istnieje ten podział; wylicza on familie dając senatorskim i dygnitarskim pierwszeństwo, szlacheckie zaś herbami: indygeny tylko w osobném rozdziale zamieścił.

Upredzić też winienem czytelnika, iż praca moja będzie li tylko streszczeniem manuskryptu; dlatego ani własnych uwag, ani porównywań z innymi heraldykami nie będę czynił: chyba, gdy tego ważna jaka zajdzie potrzeba.

1.

Familie, które w różnych czasach spolszczyły swoje nazwiska.

1. von *Basen*, v. von *Baysen* przyjęli nazwisko *Bazeński* v. *Bazyński*.

Herb: na tarczy w polu białém, otoczona zielonym laurowym wieńcem, czerwona wiewiórka, z podniesionym w górę ogonem, rozgryza orzech w przednich łapkach trzymany; na hełmie Murzyn, ma głowę obwiązaną białą bindą, a w ręku trzyma chorągiew, na której przy drzewcu znajduje się wiewiórka, tak samo ułożona jak na tarczy. Pierwotnie Basenowie mieli używać w herbie na tarczy i hełmie samęj tylko wiewiórki, lecz gdy jeden z nich odznaczył się męstwem w wojnie z Maurami hiszpańskimi, król tameczny dodał mu do ojczystego klejnotu wawrzyn i Murzyna (Maura).

Basenowie mają być rodziną Nadreńską; w Prusach osiedlili się między 1350 a 1380, i zdaje się z lekkiego napomknienia rękopisu, iż początkowo nie do rycerskiego, lecz kupieckiego należeli stanu. Jakoż koło 1400 r. mieli domy handlowe w Gdańsku i Eblągu, koło 1420 dzierżawili cła i różne dobra zakonu: w tym też czasie obszerny z cudzemi krajami prowadzili handel, utrzymując na morzu Bałtyckiem znaczną liczbę własnych okrętów.

Doszli też około 1440 r. do ogromnego majątku i wielkiego w obywatelstwie pruskiem znaczenia, a urażeni na krzyżaków, o odjęcie im intratnych dóbr i dzierżaw w Warmii, i przeszkody w handlowych przedsięwzięciach stawiane, przystąpili do związku jaszczurczego, i swemi zabiegami dokazali tyle, że Kazimierz IV, pomimo oporu wielu panów rady, przyjął hołd szlachty pruskiej i wojnę krzyżakom wypowiedział. On też wynagradzając Bazonom wierność i pomoc w tej wojnie, nadał im pierwsze godności prowincyi: *Jana* mianując wojewodą gdańskim i swym generalnym namiestnikiem w Prusach, *Gabryela* wojewodą toruńskim, a *Scibora* elbląskim. W tym też czasie Basenowie spolszczyli swoje nazwisko na *Bazeński* v. *Bazyński*, i tej nazwy używali aż do wygaśnięcia rodu na początku XVII wieku.

Rękopis obszernie pisze o *Bazyńskich*, lecz po większej części daje tylko wyjątki z Neugebaura, Posselius'a i innych historyków; nadmienia też, iż przy końcu swego istnienia, rodzina ta znacznie majątkowo podupadła.

Tegoż herbu co *Bazyńscy*, lecz bez Murzyna na hełmie, używała familia

2. *Bartsch*, pisząca się a *Demuth*, jednego szczepu z Basenami będąca. Rękopis niewiele o niej pisze, a tylko, iż wydała kilku rycerskich ludzi, zajmowała się też handlem, i liczyła się do obywateli gdańskich. Polacy *Bartschów* przez zepsucie

języka nazywali *Barczami* lub *Barszczami*; jedna linia téj rodziny około 1600 r. osiedliła się w Prusach Wschodnich, nabywszy pod Królewcem majątek.

3. *von Mortangen*, w spolszczeniu *Mortęski*: znakomita, bogata i senatorska rodzina, wzięła nazwisko od wsi *Mortaga*, po niemiecku *Mortangen*, w województwie malborskiem. Wprawdzie rękopis idąc za innemi genealogistami daje jęj pochodzenie szlacheckie i niemieckie, lecz zarazem domyślać się każe, iż być może, że wzięła swój początek od bogatej kupieckiej familii *Ludwig'ów*, z dawnych czasów zamieszkałej w Gdańsku.

Herb: na tarczy dwie nogi orle z udami, nakrzyż położone, w hełmie także same nogi i tak samo ułożone, lecz szponami do góry.

Rękopis szeroko rozpisuje się o téj wielki wpływ na sprawy Prus wywierającej rodzinie: przytacza biografie kilku jęj członków i nadpisy znajdujące się na ich nagrobkach i chorągwiach żałobnych; daje téż krótki opis życia *Magdaleny* Mortęskiej ksieni Benedyktynek w Chełmży, pobożnej, gorliwej o wiarę i Bożą służbę niewiasty, od ludu, dla swych cnót, uważanej za świętą, (um. 1631).

W wojnie za Kazimierza IV Mortęscy czynny wzięli udział, dopomagając szablą i pieniędzmi Polakom. Te ich zasługi również jak i uszczerbek w fortunie, przez krzyżaków zniszczonej ogniem i mieczem, wynagradzając polski monarcha, nadał im bogate pokrzywnicckie starostwo, które aż do rewizyi starostw za Zygmunta Augusta, dziedzicznem prawem trzymali.

Ulubionem, a nawet jedynem imieniem używanem przez Morteńskich, było *Ludwik*: może dlatego, iż kiedyś familijnem było w ich rodzie. Ostatni z familii *Ludwik* wojewoda chełmiński umarł 1615, pochowany w Lubawie u fary, z następującym nadpisem na czarnej żałobnej chorągwi:

D. O. M.

Labarum e summo templi tholo index et testis occidentis, vetustissimae familiae a Mortag oriunda pendeo, hanc ego vivis victurisque vano publicorum munerum genere, jam inde ab anno Christi nati 1128 illustrem floruisse, denuntio, hujus ultima stirps mascula Ludovicus Mortęski palatinus primum Pomeraniae deinde Culmensis, Capitaneus Pokrzywnitzensis et Grauditensis, extremum clausit ogmen. Is postquam primam adolescentiam Viennae austriacorum, partim litterarum partim politicae rei in Cesariana aula studiis tradidisset, Patria deinceps qua pace, qua bello maxime dantiscano sub Stephano Rege, strenue fideliterque servivit, post modum in senatorum ordinem collectus, semper fidei Catholico acrior cultor, quam defensor existit. Tandem cum cepisset anno 1554 vivere, desiit 1615 Nocte subsequente kalend. Septemb. Sacramentis omnibus communitus, hic ultimum supremii

Judicis adventum expectare, illum superstites amici voluerunt. Hoc exanime labarum animatis ut cunq. pictoris penicillo litteris locutum, te quisquis es, orat, ut extincto favorem divinum tua prece, consilies, vale.

Na nagrobku zawieszono były cztery herby: Orle nogi Mortęskich, Dąbrowa Kostków, Virgo violata, Dambrowskich i Eylemburg.

4. von *Bucendorff*, starożytna w województwie pomorskiem familia, od dóbr *Kęsowa*, przyjęła w XVI wieku nazwisko *Kęsowski*.

Bucendorffowie za panowania Krzyżaków obszerniejszemi majątkami i znakomitemi godnościami od nich obdarzeni byli: tak np. dwóch było kompturami, a kilku sędziami i innemi wysokimi urzędnikami; przecież w wojnie za Kazimierza IV czynny wzięli udział i niemało przyłożyli się do wyrugowania z Prus Zachodnich zakonu. Używali polskiego herbu *Poraj*, lecz z odmianą w hełmie, bo na nim kładli nie różę, lecz pawie ogon. Według rękopisu było to polska rodzina, gałąź szeroko na Pomorzu rozrodzonych *Poraitów*, którzy za Krzyżaków, z względów politycznych od dziedzicznego majątku *Bucendorff v. Bautendorff* wzięli niemieckie nazwisko.

Jako *Kęsowscy*, *Bautendorffowie* odznaczyli się gorliwością w służeniu rzeczypospolitej; rękopis cytuje z nich kilku, jak *Alexandra* opata peplińskiego i *Jana*, który pułkownikując w wojsku królewskim, niemało przyłożył się do zwycięstwa pod *Kiesią* (Wenden) za Zygmunta Augusta. Ten *Jan* osiedlił się na Białej Rusi w województwie mińskim i był protoplastą rodziny *Kęsowskich*, koło 1670 znacznie w tej części kraju rozrodzoną.

5. von *Rösselin* po łacinie *Lusianus v. ab Lusianis*, w spolszczeniu *Luzyński*. Herb: na tarczy w polu czerwonym dwie szczęki szczupaka, zwrócone ku sobie; na hełmie dwa czarne sępie pióra, na nich szczęki jak na tarczy. Familia *Rösselin* do najdawniejszych pruskich należy i w krzyżackich kronikach i aktach urzędowych, częste o niej są wzmianki. Przepolszczenie ztąd poszło, że jej rodzinny majątek *Rösselin* po polsku nazywał się *Lużyn v. Łużyn*, lecz w którejby stronie Prus leżał, nie wspomina rękopis: za to cytuje kilku *Luzyńskich* w różnych czasach żyjących i daje krótką biografią *Jana* wojewody chełmińskiego i jego brata *Fabiana* biskupa warmińskiego, który w nagrodę swych zasług, został mianowany kardynałem od papierza, lecz umarł na dni parę przed nadejściem kapelusza z Rzymu.

Familia *Luzyńskich* wygasła już w pierwszej połowie XVII wieku.

6. von *Felden*, od dziedzicznej wsi *Zakrzewa* wzięli koło 1500 r. nazwisko *Zakrzewskich*.

Herb: na tarczy w czerwonym polu dwa pieńki ukosem jeden nad drugim położone; na środkowym pieńku trzy sęki u spo-

du, dwa ugóry; na górnym pieńku dwa listki z wierzchniej strony, na dolnym trzy listki od spodniej części. Na helmie trzy pieńki jak na tarczy, lecz środkowy stoi prosto, dwa boczne są nieco pochylone.

Von Feldenowia są rodziną niemiecką nadreńską, w swój ojczyźnie znaczne posiadali majątki i tytułem burgrafów zaszczytzeni byli; osiadłszy w Prusach, od krzyżaków w nagrodę licznych rycerskich zasług w wojnach z Polakami i Litwą oddanych, opatrzeni zostali licznymi dobrami w różnych stronach prowincyj położonemi. Jedna nawet gałąź téj rodziny osiadła w Inflantach, gdzie od swój nazwy, wybudowała zamek *Felden*, później *Felinem* przewany.

Jednakże mimo wszystkich dobrodziejstw zakonu, *von Felden*'owie już koło 1420 r. okazują się zawziętymi jego nieprzyjaciółkami, należąc gorliwie do wszelkich działań słynnego jaszczurczego towarzystwa, a w wojnie wyswobodzenia Prus, czynny biorą udział; o co rozgniewani krzyżacy „ogniem i mieczem, z kretesem, jak powiada rękopis, zniszczyli ich majątki”.

Te straty wynagradzając *von Felden* om Kazimierz IV, nadał im bogate Golubskie starostwo, a naczelnika rodu *Karola*, mianował wojewodą chełmińskim; ten też *Karol* pierwszy z swego domu przybrał polskie nazwisko *Zakrzewski*.

Z jego potomków najwięcej obywatelskimi cnotami i przywiązaniem do trony odznaczył się *Jan* chorąży pomorski, za Jana Kazimierza żyjący; jego żona była z domu Podlodowska, herbu Janina; zmarłej wystawił mąż okazały marmurowy nagrobek z licznymi napisami, między którymi następne wiersze godne są wspomnienia:

„Me cruciat Coniunx, miserum me absunit amantem,
 Saevus amot nullis ignibus inferior,
 Namque ego seu rebus fueram distinctus agendis
 Se dederam vacuo langvida membra thoro.
 Tu mihi semper ades, tua esens semper imago est
 Que misero moveat, flebile cordolium,
 Impia cur teneros o Mors distinguis amantes
 Quos bene conveniens, conciliavit amor,
 Sic rerum uatura iubet, sic temporis ordo
 Que mode sunt, pereunt, quequae futura, cadent.”

7. *von v. a Konopat* w spolszczeniu *Konopacki*.

Herb nazwiskiem *Odwaga*, po łacinie *Castratus primalius* ma być na tarczy mur o trzech basztach, lecz bez bramy; na helmie dwa białe orle skrzydła, wychodzące z muru, ułożonego jak na tarczy.

Stosownie do podań innych genealogistów i familijnych tradycyi, rękopis wywodzi rodzinę *Konopackich* z *Luzacyi*, lecz czyniąc ją pokrewną z *Grzymalitami*, a głównie z *Suchywilkami* daje do zrozumienia, iż była szczepu polskiego: dodaje też, iż jeszcze przed najściem krzyżaków gniezdziła się w Prusach. Przecież tradycya cudzoziemskości *Konopackich* nie zdaje się być

bezzasadną, gdy zważymy, iż nietylko nasi genealogiści, ale i kronikarze, ogółowi rodziny Grzymalitów naznaczają obce pochodzenie.

W rękopisie obszerną genealogią domu *Konopackich* począwszy od *Laurentego a Konopat* sędziego ziemskiego święckiego, w 1420 r. żyjącego, znajdujemy również jak i biografie kilkunastu członków tej rodziny, która między 1550 a 1600 do najmajętniejszych i najznakomitszych w Prusach słusznie się liczyła; tak np. cytuje *Jana* biskupa chełmińskiego, a poprzednio podskarbiego ziem pruskich, *Jerzego* wojewodę pomorskiego w 1520 r., *Jana* kanonika chełmińskiego (umarł 1601), *Jerzego* kasztel. chełmińskiego, założyciela zamku w swęj majątności *Rynkowce*, *Macieja* wojewodę chełmińskiego, który po śmierci żony z domu *Dulskiej*, wstąpiwszy do stanu duchownego, został biskupem chełmińskim, *Jana Karola*, który także ze stanu rycerskiego (był starostą dybowskim) przeszedł do duchownego, i z opata wąchockiego, a następnie tynieckiego został biskupem warmińskim (um. 1644); o jednym zaś z *Konopackich*, *Fabianie* dziekanie poznańskim, a kanoniku warmińskim, gnieźnieńskim, chełmińskim, mówi że „był pobożnym kapłanem, niezłym oratorem, a i nauki miał niemało: i gdyby tylko lichych wierszy nie pisał, mógłby za prawdziwie świętego uchodzić.”

Konopaccy zdawna używali tytułu hrabiów państwa rzymskiego i posiadali obszerne w różnych stronach Prus majątki, jak *Rynkowce* (po niem. *Rimburg*), *Żukow*, *Trzcianę*, *Minkowce*, *Kuczwały*, *Mirachów*, *Stroszew*, *Mikołajki*, *Lignów*, *Rudę*, *Gręblin*, *Nenkowy* pod Gdańskiem, *Polkowice*, *Marzew*, *Swirgocin*, i t. d. Jedna nawet ich linia osiadła w Litwie, nabywszy tam znaczne dobra i trzymając od *Radziwiłłów* zastawą rozległy majątek *Genitiliszki*. Nadto *Kazimierz IV.* wynagradzając ich wierność i dzielność w wojnie z krzyżakami okazane, również jak i uszczerbek majątku poniesiony w owych czasach, nadał im starostwo święckie, które trzymali aż do 1568 r.

Rękopis wielkie pochwały oddaje temu domowi, i przytacza mnóstwo nadpisów nagrobkowych i na chorągwiach żałobnych umieszczonych, również jak i wyjątków prozą i wierszem z dzieł i broszur, dotyczących tej znakomitej rodziny; na wspomnienie pomiędzy innemi zasługuje następny łaciński wierszyk pod tytułem:

Enconomia domus Konopacianae „Konopaciis”.

„Natura dedit prudentiam,
Animi magnitudinem,
Robur corporis,
Patientiam laboris,
Constantiam in adversis,
Placabilitatem in offensis,
Taciturnitatem in occultis,
Authoritatem in arduis.”

Herbem Konopackich pieczętowały się w Prusach dwa następne domy:

8. *Kossowski* piszący się a *Konopat*, jako jednej dzielnicy z tą rodziną będący: przyjęli nazwisko od wsi *Kossowa* w województwie chełmińskim, którą z dawnych czasów posiadali.

9. *von der Milwe* dawna w województwie pomorskiem familia, spolszczyła tę nazwę koło 1600 r. na *Milewski*; wyszło z niej kilku zacnych ludzi.

10. *von Zehm*, v. *von Zehmen*, w spolszczeniu *Cema* lub *Czema*.

Najbogatsza i najznakomitsza w Prusach w XVI wieku rodzina, wywodziła swoje pochodzenie z Misnii, używając herbu po polsku zwanego *Zemścic*, a po łacinie *Vindicta libertatis*, który ma być: na tarczy w polu modrém szachownica na trzy części podzielona, w każdej szachy białe i niebieskie naprzemian, na hełmie sześć piór strusich.

Z familii *Cemów* wyszło kilku znakomitych pod każdym względem ludzi: pierwszeństwo między niemi trzymają *Achacy* wojewoda pomorski zmarły 1565 r. zacięty nieprzyjaciel unii Prus z Koroną, człowiek naukowy, biegły w językach, a nawet poeta. Przyjąwszy luteranizm gorliwie przy nim obstawał, broniąc go przeciw katolickim księżom, a głównie kardynałowi Hozyuszowi, któremu zbyteczną gorliwość w zasadach katolicyzmu, a głównie nienawiść ku różnowiercom słusznie zarzucał. Ostatnim z familii był *Fabian* wojewoda chełmiński zmarły 1605 r., pochowany w Kwidzynie z następującym napisem na nagrobku: *Magnificus Dominus Fabianus a Czema, palatinus Marienburg. Capitan. Stumens. obiit 1605—22 Aug.*

Na chorągwi żałobnej dano ten napis:

Fabianus Czema. Palat. Marienburg. Capit. Stumens. ex antiquissima et illustrissima Cemorum familia in Prussia natus, adavis et proavis palatinati dignitate ornatus, qui primam aetatem suam in aulis romanorum imperatorum Ferdinandi et Maximiliani II magna cum laude, egit, reliquum tempus Regibus Regno Poloniae et Patriae suae charissimae dicavit consecravitq. Post decessum vero patris sui ob virtutem morumq. suavitatem a Rege Stephano senatoris dignitate insignitus, Cui per 28 annos, graviter fideliter et prudenter, praefuit. Senator integerrimus. Patriae amatissimus probusq. charissimus omnibus, adversus nemini. Vixit anno 66, obiit die 22 Aug. Anno Domini 1605; Marito exoptatissimo atq. desideratissimo et liberum nomine multis cum lachrymis posuit, Catharina a Reglin, Pisińska, conjunx imoesta.

Ogromny majątek jaki posiadali Czemowie, głównie dostał im się przez związki małżeńskie; tak np. Basyńska żona *Fabiana* (r. 1520) przyniosła mu w posagu wieś *Lichtenfeld* na Żuławach, czyniącą rocznego dochodu w owe czasy 6000 fl. czyli prawie tyle dukatów, obliczając na dzisiejszą monetę; przez związek z Lu-

zyńskimi dostali po nich także znaczny majątek, toż samo po Radziwiłłach i Pisińskich.

Ulubionemi, a nawet jedynemi imionami w tej rodzinie były *Achacy* i *Fabian*. Księdzem żaden z nich nie był, toż samo w rycerskim zawodzie nie odznaczyli się wcale.

Jedna gałąź tego domu, jak się domyśla rękopism, przywiązana do krzyżaków, po ich wypędzeniu z Prus nadwiślańskich, osiedliła się w Wschodnich i zachowała ojczyzną nazwę *von Zehm* lub *von Zehmen*; nie daje o niej przecież żadnych szczegółów (1). Również familia:

11. *Łęski* pisząc się z *Łęki*, wsi na Żuławach, a używająca przydomku *von Zehm*, miała być jednoplemienną z *Cemami*, dlatego też po ich wygaśnięciu, długi toczyła proces o sukcesyją z Guldemsternami, którzy jako przez kobiety pochodzący od Czemów, zagarnęli cały ich majątek; *Łęscy* zrazu używali herbu Zemście, lecz koło 1500 r. zamienili go na *Janinę*, gdy jeden z nich ożenił się z bogatą panną tego domu, a ostatnią swojej familii.

12. *von Hagenau*, w spolszczeniu *Zaliński*.

Herb: Poraj polski, lecz z odmianą, bo na helmie ma być nie róża, lecz skrzydło czarne orle.

Familia *Hagenau* jest niezaprzeczenie pochodzenia polskiego i należy do szeroko rozgałęzionej na Pomorzu nadbałtyckim rodziny *Poraitów*; nazwisko wzięła od wsi Hagenau vel *Hagenaw* w Prusach książęcych, blisko Osterrode leżących, lecz je spolszczyła już w końcu XV wieku, od wsi *Zalinia* pod Tucholą.

W wojnie wyswobodzenia Prus, *Zalińscy Hagenauowie*, wielkie usługi oddali Polakom: odznaczył się z nich szczególnież *Jan I*, później podkomorzy pomorski, dzielny rycerz i dowódzca pruskiej szlachty w bitwach pod Eiblagiem, Chojnicami, Gdańskiem, Starogradem i t. d. *Kazimierz IV* wynagrodził jego zasługi nadaniem kilku majątnych dzierżaw w powiecie tucholskim, i niezawodnie byłby ozdobił go senatorską godnością, gdyby *Zaliński* wprędce po skończeniu wojny nie umarł.

Ten *Jan* zostawił trzech synów: *Wawrzyńca* opata koronowskiego wielce uczonego człowieka. *Jana* sędziego tucholskiego, który majątek *Zbistawek* zwany, oddał na klasztor, i *Macieja* kasztelana gdańskiego, jednego z najzacniejszych senatorów polskich swojego czasu. Mążto był bardzo uczone, orator niepospolity, a nawet niezły poeta: z jego synów (zacytowanych w rękopismie) zasługuje na wzmiankę *Jan* starosta przedborski w województwie sieradzkiem: człowiek nadzwyczajnego dowcipu, wymowy, a nadewszystko urody. Te jego przymioty sprawiły, że stał się ulubieńcem *Anny* siostry *Zygmunta III*, i za jej protekcją kilka intratnych dzierżaw w Polsce i w Litwie otrzymał;

(1) Z tej zapewne familii był w 1791 *Karol* prałatem warmińskim, a *Jan* 1746 sadowym tczewskim.

złośliwi posądzali go o bliższe z księżniczką stosunki, a nawet o tajny z nią małżeński związek.

Ostatnim z tej rodziny był *Adam* syn *Samuela* kasztelana elbląskiego, zmarły młodo w podróży po Włoszech; jego majątek przeszedł do Działyńskich i Kostków przez kobiety spokrewnionych z Zalińskimi.

13. *von Rembau*, starożytna pruska familia od dóbr *Sadlina* nazwała się na początku XVI wieku *Sadliński* v. *Szadliński*.

Herb *Poraj*, lecz z odmianą, bo na helmie mają być dwa czarne orle skrzydła, a na tych pasy czerwone, na których różne białe pięciolistne jak na tarczy.

Rękopism wymienia kilku członków tej rodziny, dodając, że głównie pod Kwidzynem posiadali majątki, jak *Sadlin*, *Orlau*, *Zazezierze* i t. d.

14. *von Renkl* v. *Rengelin*, w spolszczeniu *Pisinski*: bogata kaszubska rodzina z najznakomitszemi w Prusach spowinowacowana, używała herbu *Poraj*, lecz na helmie kładła rękę zbrojną, rozwartą. Nazwisko wzięła od dziedzicznego majątku *Pissina* w powiecie lauenburgskim: wyszło z niej kilku zacnych urzędników i obywateli.

15. *von Schleizen*: w spolszczeniu *Konarski*.

Familia pierwotnie w Misnii osiadła, z kąd przeniosła się w XII lub XIII wieku do Polski, a z tej w 1311 r. do Prus, gdzie przyjęła nazwisko *von Schleitzen*, zapewne od majątku tej nazwy; około 1500 roku jednak, od dóbr *Konarzyna* przybrała nazwisko *Konarski*: używała też tytułu baronów państwa rzymskiego już za krzyżaków.

Herb: *Koleczyk* lub *Koło złamane*, po łac. nie *fracta rota*, ma być na tarczy złotej, dzwon od koła z częścią osady w górę zwróconej na helmie ręka zbrojna trzymająca miecz starożytny.

Rękopism daje obszerną genealogią tego domu, do najznakomitszych i najbogatszych liczącego się w Prusach; nadto umieszcza biografie kilkunastu jego członków, i wielką liczbę napisów nagrobkowych.

Z członków tej familii, o których obszerniej pisze, znakomitsi byli:

Stanisław wojewoda malborski, starosta mitawski i rządcą malborski (ekonom), znakomity swego czasu wojownik, rozpoczął zawód rycerski w wojsku cesarza Ferdynanda II i odznaczwszy się chlubnie w wojnie z Turkami, otrzymał stopień generała. Powołany od Zygmunta III na dowódcę gwardyi, szczęśliwie czas długi wojował z Szwedami, lecz wzięty w niewolę od Karola księcia Sudermanii, groźbą rozstrzelania zmuszony był od tegoż do przyjęcia służby szwedzkiej. Dzielnym mężem przecież nie uląkł się pogroźki, i choć go wyprowadzono na plac śmierci, wiernym swemu monarsze chciał zostać. Podobna stałość charakteru, niesposób aby nie wpłynęła na umysł uzurpatora: nietylko

że nie pozwolił na dopełnienie strasznego wyroku, lecz owszem hojnie obdarowanego Konarskiego uwolnił z niewoli.

Felix Samuel brat poprzedniego, naprzód kasztelan gdański, dalej wojewoda pomorski, a wreszcie malborski, człowiek wielce zasłużony krajowi i monarsze, był kilkakrotnie deputatem na trybunał i posłem na sejmy. Swą wierność dla Zygmunta III okazał w rokoszu Zebrzydowskiego, gdy znaczne hufce zebrawszy stanął przeciw buntownikom, i wstrzymał ich postępy; podobnie gdy Szwedzi naszli Prusy, zachęcił obywateli tej prowincyi do pospolitego ruszenia, a jako wojewoda będąc jego dowódcą, w kilku bitwach pomyślnie walczył z nieprzyjaciółmi. Umarł 1641, pochowany w Topolnie z okazałym nagrobkiem.

Mieczysław kawaler maltański, dworzanie Władysława III zginął z tym królem w nieszczęśliwej bitwie pod Warną 1444 r.

Konarscy po Cigenbergach i Wulkowskich odziedziczyli rozległe dobra *Topolno*, gdzie wybudowali wspaniały pałac, a w tym umieścili galerią familijnych portretów, zaczynając od wizerunku *Michała* sędziego człuchowskiego koło 1400 żyjącego, a uważa go za protoplastę rodziny.

16. *von Estlich v. von Oestlich*, w spolszczeniu *Olewski*.

Herb polski Grzymała, lecz bez rycerza w bramie. Familia polska. jeszcze przed krzyżakami osiedlona w Prusach, a głównie w województwie chełmińskim. Około 1350 przyjęła od dziedzicznej wsi *Oleska*, po niemiecku *Oestlich* nazwisko *von Estlich*; lecz je porzuciła wprędce po wyrugowaniu zakonu dla polskiego *Olewski*, że zaś była pobratymczą z rodziną *Grzymalitów Olesnickich*, dodawała sobie przydomek z *Olesnicy na Ostrowitem*.

Co się tyczy *Ostrowitego*, na którym pisali się *Olewscy*, był to majątek w powiecie nowskim, nabyty od nich około 1400 r.; prócz tego posiadali obszerne dobra Pieniążków, w których *Jan Olewski* kasztelan chełmiński 1569 r. piękny wybudował kościół. Syn tego kasztelana, także *Jan*, po Boboli podkomorzy nadworny Zygmunta III był jakiś czas tego króla, a głównie słynnej *Urszuli Maierin* ulubieńcem.

17. *Graf von Assawenlöwen*, w spolszczeniu *Plemiencki v. Plemientski*.

Familia już za krzyżaków znakomita w Prusach, dokąd przesiedliła się z Niemiec około 1400 r. za władztwa rzeczpospolitej; od głównej swojej majątności przybrała nazwisko *Plemiencki*, i wydała kilku urzędników ziemskich i senatorów.

W wojnie o niepodległość Prus, *Plemientcy* trzymając stronę Polaków, znaczne majątkowe ponieśli straty, które wynagradzając król *Alexander Jagiellończyk*, nadał im intratne starostwo kowalewskie; prócz tego posiadali znaczne dobra w Prusach Zachodnich i książęcych: jak *Plemient*, *Umgowo*, *Dębiniec*, *Wronie*, *Ostaszewo*, *Ryńsk*, *Orzechów*, *Czystochleb*, *Strygi*, *Turznice* i t. d.

Herb: na białej (srebrnej) tarczy, przedzielonej pasem rycerskim na dwie części, w górnej dwie pełne róże, a w dolnej jedna na helmie, na kiści zielonej o czterech listkach róża pełna czerwona; po jej bokach dwie chorągwie, a na każdej z nich krzyż czarny krzyżacki.

Ze Assawenlöwen'owie byli hrabiami państwa rzymskiego, tego tytułu używali niekiedy i Plemiency.

18. Gałęzią tej rodziny byli *Weidenerowie* osiedli w województwie chełmińskim, lecz już około 1600 r. wygaśli.

19. *von der Emsel*, w spolszczeniu *Koss*.

Herb: tarcza biała, na niej trzy pasy czerwone ukosem z prawej ku lewej idące, na helmie trzy pióra strusie. Według familijnego podania, Kossowie mieli pierwsiastkowo używać za herb samej tarczy (Janiny), lecz gdy jeden z nich ranny w bitwie z Saracenami, zakrwawionymi palcami, na swój pawęsie trzy czerwone pasy nakreślił, te, jego rodzina za godło przyjęła.

Wprawdzie, idąc torem innych genealogistów, to jest pochlebiając możnej familii, rękopis wywodzi Kossów od neapolitańskiej rodziny *Cossi*, spokrewnionej z *Ursinami* (Orsini) i innymi znakomitemi włoskimi domami; jednak dodaje, że „być może, iż pochodzą od niemieckiej, starszszlacheckiej familii *von der Emsel* osiadłej w Prusach za czasów krzyżackich, i kilku w zakonie liczących dygnitarzy, jak *Jana* komptura Ragnety, *Hansa* rycerza bożogrobskiego i t. d. Ma się rozumieć, że ten wywód jest pewniejszy od pierwszego, opartego li tylko na podobieństwie nazwisk.

Kossowie jako *von der Emsel'owie* mieli osiedlić się w Prusach około 1250 roku, a w wojnie wyswobodzenia prowincyi, należeli do małej liczby rodzin szlacheckich, wiernych zakonowi; jednakże po jego wyrugowaniu, pozostali w Prusach królewskich i już za Zygmunta 1^o widzimy ich gorliwie rzeczypospolitej służących.

Rękopis obszernie pisze o tej familii, i daje dokładną jej genealogią, począwszy od *Macieja* podkomorzego pomorskiego w 1520 roku żyjącego.

Przeglądając tę genealogią, widzimy, że rzadko która rodzina więcej w XVI i w XVII wieku była rozgałęziona, a jaka różnica socyalnego położenia! Widzimy w niej np. jednocześnie bogatych senatorów i zagonowych chudopachołków, biskupów i skromnych wiejskich plebanów, pułkowników i dziesiątników, dygnitarzy i prywatnych officyalistów, a wszystko blizkich sobie krewnych.

Groby familijne Kossów znajdowały się w klasztorze oliwskim; rękopis cytuje z nich kilka nadpisów.

20. Była też inna jeszcze familia *Kossów* w Prusach z przydomkiem *Szemirowski*: ta używała w herbie dwóch chartów spiętych w górę, i łbami zwróconych ku sobie, w helmie dwóch trąb

myśliwskich, czyli herbu z małą odmianą używanego przez *Leskich*.

21. *Cigenberg* vel *Ziegenberg*.

Herb: na tarczy, w czarném polu, białe chomonto, na hełmie, zamiast korony czapka czeska, na niej chomonto jak na tarczy, z dodatkiem czterech krótkich piór pawich, na każdym zewnętrznym boku chomonta osadzonych.

Na dowód starożytności w Prusach familii *Cigenbergów*, rękopis przytacza dwa urzędowe akta: jeden z 1289, podpisany przez *Henryka von Cigenberg*, drugi z 1338 upoważniający hrabiego *von Altenburg* do zamiany dóbr *Suchostrzygi* na majątek *Zajączkowo*, własnością *Augustyna von Cigenberg* będący.

Czy *Ziegenbergowie* przyszli z krzyżakami do Prus, czy też są miejscową tej prowincyi szlachtą, trudno wiedzieć; to jednak pewna, że kilka gałęzi tej rodziny (*Wulkowscy*, *Zalewscy* i *Orłowscy*) już około 1400 r. używało nazwisk polskich, a w wojnie oswobodzenia, 1452—1464 gorliwie popierało sprawę Polaków i niemało przyłożyło się do wyrugowania zakonu: w towarzystwie też jaszczurczem kilku z *Cigenbergów* czynny wzięło udział.

Rzadko która rodzina również rozrodziła się jak ta, a żadna inna z pruskich, więcej odrębnych nie przybrała nazwisk: tak mamy *Cigenbergów-Wulkowskich*, od dóbr *Wulkowy* nazwanych; *Topolskich* od dóbr *Topolna*; *Ciecholewskich* od *Ciecholewa*; *Orłelskich* i *Orłowskich* od majątku *Orla v. Orlau*; *Suchostrzydzkich* od *Suchostrzygi*; *Knybawskich* od *Knybawy*; *Zaleskich* od *Zalesia*, i *Sadlińskich* od *Sadlina*: wszystkie jednak te rodziny używały herbu *Chomonto* przydomku *Cigenberg* i pisały się z *Topolna*, wspólnego gniazda familii.

22. Z *Wulkowskich-Cigenbergów* najznakomitszego szczepu rodziny, pochodziło dwóch senatorów: *Mikołaj* wojewoda pomorski i *Jan* kasztelan elbląski, nadto jeden znakomity dygnitarz, *Michał* podkomorzy chełmiński, na którym ta gałąź *Cigenbergów* wygasła, a jej majątki przeszły w ręce obcych familii, a głównie *Konarskich von Schleisen*, przez kobiety z *Wulkowskiemi* spokrewnionych.

23. *Knybawskich* kilku cytuje rękopism, a głównie zajmuje się *Janem*, chorążym chełmińskim, dworzaninem i sekretarzem *Zygmunta I*.

Wieś *Knybawa* gniazdo tej familii leży nad Wisłą, pół mili od *Tczewa*: był w niej zamek wybudowany od *Cigenbergów* za czasów krzyżackich, lecz od *Szwedów* 1621 r. zniszczony.

24. *Zalewskich* a *Cigenberg* piszących się od dóbr *Zalesia* pod *Chełmżą*, chwali rękopism jako ludzi w różnych czasach dobrze zasłużonych krajowi; z pomiędzy kilku wyliczonych przez niego, godnym jest wzmianki *Tomasz* pisarz ziemski chełmiński, mąż niepospolitój nauki i autor dzieła pod tytułem: „*Nauka zdrowa młodej szlachcie dana*”. Przytoczonych w rękopisie kilka ustępów z tej książki, daje korzystne wyobrażenie o talencie pisarza.

25. *Orłowscy - Cigembergowie* pisali się z *Storlusa*, vel *Orla*, włości w ziemi chełmińskiej położonej; rękopism powiada o nich, że byli ludzie dobrzy i gospodarni, lecz o honory niedbający.

26. *Suchostrzydscy*, z nich był *Michał* chorąży pomorski około 1600 r.

Jedna gałąź tego domu zachowała bez przepolszczenia rodzinne nazwisko, pisząc się *Cigembergami von Launau*, także od wsi Suchostrzyg po niemiecku zwanęj *Launau*.

27. *Topolscy*, jeden dom z Wulkowskiemi, wygaśli już w środku XVI wieku.

28. *Sadlińscy v. Szadlińscy* pisali się z *Sadlina* lub *von Holzsteins*, tojest od polskiej lub niemieckiej nazwy majątku, który posiadali.

29. *Cygenberscy*, jedna linia rodu Cygenbergów, tak przepolszczyła swoje nazwisko: z niej było dwóch kanoników warmińskich: *Peregrinus* († 1443) i *Maciej* († 1493), obydwaj pochowani w katedralnym frauenburgskim kościele.

30. *Ciecholewski-Cigenberg* pisali się z *Warcimierza*, dla odróżnienia od dwóch innych familij *Ciecholewskich*, o których wspomnę na właściwem miejscu.

Rękopism wiele genealogicznych szczegółów o rodzinie Cygenbergów-Ciecholewskich zamieszcza, wyliczając kilkunastu członków tej familii w różnych czasach żyjących; dodaje przytém, że rzadki był dom w Prusach, a może i w całej Koronie, w którymby więcej bywało urodnych mężczyzn i niewiast; przypisuje zaś to tradycyjnemu zwyczajowi *Ciecholewskich* żenienia się kobietami młodemi i pięknemi, bez względu na stan i majątek.

Były jeszcze w Prusach dwie różne rodziny *Ciecholewskich*, pochodzących także od niemieckich familij.

31. *Ciecholewski von Zieholtz* pochodzili od stariej saskiej familii osiadłej w Prusach, za książąt szczepu *Swientopelka*; mieli przydomek *Dorsz* i zamieszkiwali pod Chojnicami i Starogradem. Używali herbu własnego, który ma być, na tarczy łeb z szycją orlą, a na helmie trzy pióra strusie; kolorów nie cytuje rękopism.

32. *Ciecholewski von Cechlau*, krótką o nich wzmiankę robi rękopism; pochodzili od niemieckiej familii *von Cechlau*, osiadłej za krzyżaków w Prusach.

33. *à Quereu* vel *à Duba* baronowska czeska familia osiedliła się w Prusach koło 1350, a około 1500 r. przybrała od dóbr *Zelisławic* nazwisko *Zelisławski*.

Herb: pieńek dębowy, z każdej jego strony po dwie żółędzie na gałązkach bezlistnych, na helmie dwie trąby myśliwskie; kolorów nie wspomina rękopism.

Rodzina *Zelisławskich* należała do majątniejszych w Prusach, lecz już za Jana Kazimierzą na *Janie* staroście międzyleskim wygała. Należał do niej *Stanisław* z opata peplińskiego biskup chełmiński tak otyły, że wagą wyrównywał ciężarowi dobrego wołu; był przecież dość czynnym kapłanem i odznaczył się gorliwością

o wiare. Umarł 1571, pochowany w kościele farnym lubawskim, z marmurowym nagrobkiem, którego nadpis przytacza rękopism.

34. *von Legendorff*, w spolszczeniu *Mgowski*.

Herb: baran biały w polu czerwonym, na helmie trzy pióra strusie, czyli polski Junosza z małą odmianą. Jakoż rękopism odnosi Legendorffów do czasów przed-krzyżackich w Prusach, utrzymując, że pierwotnie zwali się *Junoszcycami*, a nazwisko von Legendorff przyjęli od włości tej nazwy. W 1450 należeli do towarzystwa jaszczurczego, a po wyrugowaniu zakonu, od wsi Mgo-wa przybrali nazwę *Mgowskich*.

Z tej familii było dwóch senatorów: Fabian naprzód kasztelan elbląski, a 1477 wojewoda pomorski, i *Paweł* z kanonika biskup warmiński zmarły 1464 z powietrza, lub jak utrzymywano, otruty przez krzyżaków, których równie jak wojewoda Fabian, zacięty był nieprzyjacielem.

35. Z familii Legendorffów pochodzili także *Klińscy*, mający swoje posiadłości w województwie pomorskiem. Rękopism wychwala ich z gościnności, uprzejmości, dzielności i stałości w przyjaźni.

36. *von Rautenberg*, familia starożytna w Prusach i czysto polska; za krzyżaków przyjęła od wsi Rautenberg tę nazwę, lecz już koło 1460 wróciła do rodzinnej *Junoszcyców*.

Herb: na tarczy baran pół biały, pół czerwony, w helmie pół barana w połowie białego, w drugiej czerwonego, wychodzącego z korony, a zwróconego w lewą stronę. Rękopism powiada, że to jest herb rodziwy pruski, to jest w tej prowincyi powstały i wyłącznie używany.

Do familii Rautenbergów-Junoszcyców, należał *Ewerhard*, człowiek rycerski, zmarły 1559, pochowany z pięknym marmurowym nagrobkiem w farnym lubawskim kościele.

Tegoż herbu używały dwa jeszcze domy w Prusach:

37. *Dalejowscy* z przydomkiem *Koth* i

38. *Garczyńscy* piszący się z Garczyna, o których mówi rękopism, że byli: „fortes in Marte viri animisque parati magnae auctoritatis ac multis praeclaris ac honorificis munis decorati, et eximis virtutibus insignes.” Około 1660 posiadali znaczne koło Starogradu majątki, jak Krtów, Garczyn, Hłownicę, Orel i t. d.

39. *von Pirche*, w spolszczeniu *Pierzcha*.

Herb: szara flondra w polu czerwonym, na helmie pawie ogon, po każdej jego stronie klucz złoty. Herb to był rodziwy pomorski i familia słowiańska, za krzyżaków ziemczona; zamieszkiwała głównie koło Tczewa, gdzie posiadała obszerny majątek *Bochlin*: pochodził z niej *Jan*, w 1480 wojewoda pomorski.

40. Jedna linia Pierzchów, od majątności Konradki w powiecie nowskim, przybrała nazwę *Konradzkich*, o których powiada manuskrypt, że byli „ludzie godni rycerscy, i co rzecz rzadka między szlachtą, miłosierni i sprawiedliwi dla swych poddanych”.

41. *Pierzchowie* zamieszkiwali téż w księstwie pomorsko-szczecińskim pod nazwą *Pirche*: był z nich *Jan* około 1520 kanclerzem i sekretarzem księcia tego kraju, *Bogusława*.

Niektórzy z *Pirchów* mieli przydomek *von Poversche*, z tych była *Judyta Pirche von Powersche* za wojewodą Czerną koło 1480.

42. *von Zehfeld* vel *Seefeld*, w spolszczeniu *Rokusz*, *Rokosz*, a niekiedy *Rokoszowski*.

Stara w Prusach familia, za krzyżaków dygnitarska i znacznego między obywatelstwem używająca znaczenia; za rzeszpospolitęj (według rękopismu) mało zajmując się sprawami publicznymi, wolała skrzętnie gospodarzyć, i skupiać majątek frymarką i lichwą.

Jako ludzie bogaci, *Rokuszowie* łączyli się małżeństwami z najznakomitszymi rodzinami prowincyi, jak z *Kostkami*, *Plemientskimi*, *Konopackimi* i t. p.

Herb: tak na tarczy jak na hełmie pół konia i pół ryby złączonych z sobą. Kolorów nie cytuje rękopism.

43. *von Nemptsching*, vel *von Nimptsching*, w spolszczeniu *Niemczyk*.

Familia szlázka, koło 1500 r. osiadła w Prusach, używała herbu własnego, który ma być: na tarczy przedzielonej wpoprzek, w górnym polu pół jednorożca, w dolnym pół złotęj ryby, złączonych z sobą, tak, że ryba stanowi ogon jednorożca; w hełmie pół jednorożca, zwróconego w lewą stronę; lambry herbowe mają być białe i czarne.

44. *von Tronce*, w spolszczeniu *Trącki*.

Herb *Ostrzew*, który według rękopismu jest miejscowym pruskim: jego opis znaleźć można w każdym heraldyku. Rodzina *Trąckich* do majątniejszych w Prusach licząca się, przybrała nazwisko od wsi *Tronce* w powiecie nowskim; prócz tego posiadała około 1600 r. dobra *Kopytków*, *Udzierz*, *Kamionkę* i inne rozległe; wygasła (w głównej przynajmniej linii) na *Józefie* w 1652 r. zmarłym.

45. *Szorc von Kostic*, w spolszczeniu *Kostycz*, a niekiedy *Kostycki*.

Herb: *Mora*, który ma być: na tarczy w polu czerwonym głowa murzyna białą bindą obwiązana, w hełmie trzy pióra strusie.

Już za krzyżaków *Szorcowie* znakomite dostojności posiadali w Prusach: za ich protoplastę może być uważanym *Ewerhard*, który w 1350 przyprowadziwszy z Saxonii na pomoc zakonowi 30 jezdnych i 50 pieszych, własnym kosztem uzbrojonych, dzielnie stawał przeciw Litwinom i został komendantem zamku instersburskiego. Jeden z jego potomków był podkomorzym malborskim i ulubieńcem *Zygmunta III*, lecz młodo umarł.

46. *von Hütten*, w spolszczeniu *Czapski*.

Herb *Leliwa*, polski.

Von Hüttenowie vel *Czapscy* są familią czysto-polską, jednę z *Tarnowskimi*, *Pileckimi* i *Mielsztyńskimi* dzielnicy i herbu;

pisali się z *Smoląga*, inaczej *Smolina*, włości i zamku, pół mili od m. Pilicy w województwie krakowskiem. położonych. Za czasów jeszcze Piastowskich osiedlili się w Prusach, a za panowania krzyżaków przybrali niemiecką nazwę *von Hütten*, od wsi tego nazwiska pod Starogradem leżącój.

Po przyłączeniu Prus Zachodnich do Polski, *von Hüttenowie* przyjęli nazwisko *Czapskich*, a wieś *Hütten*, w wojnie oswobodzenia do szczytu zniszczoną, odbudowawszy, na pamiątkę rodzinnego gniazda, nazwali *Smolągiem*.

To podanie rękopisu, poóbrwane z innemi genealogistami, jest z nimi w całkowitej sprzeczności, gdyż tak *Niesiecki* jak *Okolski* i inni, dają *Czapskim*, jako *von Hüttenom*, pochodzenie niemieckie; że przecież za rękopisem jest słuszność, łatwo przeświadczyć się można, rozważywszy szczegóły dotyczące tej rodziny: tak bowiem jój herb jak i przydomek są czysto-polskie. Przywiązanie też do sprawy polskiej w wojnie z krzyżakami za *Kazimierza IV* mówi za ich słowiańskiem pochodzeniem; co więcej, widać z przytoczeń rękopisu, że herb *Leliwa* dawniejszy jest w Polsce, niż głoszą inni heraldycy i kronikarze, owszem, zdaje się, że jest tuzińskim, a nie przybyszowym, za czém mówi jego szerokie rozrodzenie się a nawet nazwa.

Rękopis daje obszerną genealogią rodziny *Czapskich*, a zarazem biografie kilku jój członków.

Do tej familii należała rodzina:

47. *von Heuck*; od dóbr *Wapcza* w ziemi chełmińskiej przyjęła nazwę *Wapczyńskich*, a jak *Czapscy*, pisała się z *Smoląga*, i używała herbu *Leliwa*. Rękopis wylicza kilku jój członków i daje biografią *Hansa Heucke Wapczyńskiego* z *Smoląga*, (chorążego chełmińskiego około 1520 żyjącego).

48. *von Damerau*, także pierwotnie polska, herbu *Leliwa*, rodzina. Wymarodowawszy się za krzyżaków, za rzeczypospolitąj rozdzieliła się na dwie gałęzie, przybrawszy nazwisko od dóbr *Wojanowa* i *Dąbrowy*. *Wojanowskich* i *Dąbrowskich* vel *Dambrowskich* z *Wojanowskich*. *Krzysztof* był kasztelanem gdańskim za *Zygmunta Augusta*; z *Dambrowskich* v. *Dąbrowskich* rękopis wspomina *Felixa Damerau de Wojanowo Dambrowskiego*, kawalera maltańskiego, walecznego rycerza; um. 1621, pochowany w Gdańsku u *Dominikanów*.

49. *von Dorpow*, vel *Dorpau* w spolszczeniu *Dorpowski*.

Herb: tarcza przedzielona wpoprzek, w dolnej części *Leliwa* polska, w górnej krzyż czarny krzyżacki, na hełmie 7 piór strusich. Według rękopisu, *Dorpowscy* byli familją *Pomorsko-Kaszubską*, a pisali się z *Skłodzewa*, wsi dziedzicznej w województwie chełmińskim.

50. *von Lewald*, w spolszczeniu *Powalski*.

Starożytna i zacna między obywatelstwem pruskiem rodzina, wielu jój członków było posłami na sejmy, deputatami na trybunały i urzędnikami ziemskimi. Rękopis szczególnież wychwala

Sczęsnego sędziego tucholskiego, żyjącego za Jana Kazimierza, jako męża pod każdym względem zasługującego na powszechny szacunek.

51. Jedna gałąź Lewaltów, od dóbr Jeziory w z. chełmińskiej, nazwała się *Jezierskimi*, lecz rękopis krótką tylko czyni o nich wzmiankę.

52. *Manteufel*, w spolszczeniu *Mandywel*.

Według rękopisu, jest to familia słowiańsko-łużycka, zniemczona za podbiciem ojczystego kraju przez Sasów: osiedliła się za krzyżaków w Prusach, za rzeczpospolitej przyjęła, a raczej dano jej nazwę *Mandywel*, przez korrumpcyą języka. Używała polskiego herbu Rogala, z tą tylko odmianą, że w hełmie kładła pół Gryfa w lewo obróconego

Kilku Mandywłów w różnych czasach służyło wojskowo w armii rzeczpospolitej, jak np. *Jan*, który zginął pod Cecorą, i *Jerzy* oberszter dragonii za Jana Kazimierza.

53. *von Wiekeroode*, familia niemiecko-nadreńska, w XIII wieku przeniosła się do Pomeranii, a z tego kraju do Prus, gdzie nabywszy w puckim powiecie dobra *Krokow*, od nich wzięła nazwisko *Krokowskich*. Herb: trąba czarna myśliwska, wsparta na dwóch ptasich nogach, nad nią dwie lilie białe rozwarłe, wszystko w polu czerwonym; na hełmie dwie zbrojne ręce, podniesione na górę i palcami łączące się z sobą.

Rękopis wiele pisze o Krokowskich i wyprowadza ich genealogią od *Franciszka von Wiekeroode*, założyciela obronnego zamczku w Krokowie. Jego synowi *Gneomirowi*, książe pomorski Mestwin, nadał w nagrodę zasług rycerskich dobra *Gaszyn* i *Gelecin v. Gelesin*, co zaświadcza przywilój w 1292 r. wydany, a mający się znajdować w Metryce koronnej.

54. *von Teschwitz*. w spolszczeniu *Ciszwic*. Stara słowiańsko-pomerańska familia, już w 1300 r. wspominana od miejscowych kronikarzy: z niej był *Marcin* kanclerz księcia Bogusława Szczecińskiego około 1320.

Herb: tarcza rozdzielona w podłuż na dwie części, w prawém białém polu pół orła czarnego bez korony, w lewém czarném pół orła białego także bez korony; te orły tak są ułożone, iż tworzą jednego dwugłowego. Na hełmie 6 piór strusich, 3 czarne, 3 białe. Z téj familii wielu służyło rycersko, jak *Marcin* porucznik dragonii 1614, *Jan* towarzysz pancerny w pułku Wejherra, był później posłem od stanów pruskich na sejm warszawski 1634 roku.

55. *von Lentossen*, niemiecka rodzina za krzyżaków osiedliła się w Prusach, a około 1550 od dóbr Kłonice, przyjęła nazwisko *Kłonickich*.

56. Inna gałąź téj rodziny osiadła w województwie pomorskiem, przekształciła swą nazwę na *Lentowski v. Lentowski*: wyszło z niej kilku zacnych ludzi, obywateli i żołnierzy.

Herb: podkowa o celami na dół, w niej strzała żelcem na dół zwrócona, przez nią przechodzi miecz poziomo położony; w hełmie cztery podwójne pawie pióra.

57. *von Siegel v. von Ziegel*, herbu Rogala. Jedna linia Rogalitów polskich osiadłszy za Piastów w Prusach, za panowania krzyżaków wzięła nazwę *von Siegel* vel *von Ziegel*, którą za rzeczpospolitej przemieniła na *Kielpiński*, przyjętą od wsi dziedzicznej Kielpina w województwie inalborskiem leżącej.

Herbu Rogala, a niekiedy i przydomku *von Ziegel*, używały te jeszcze rodziny w Prusach:

58. *Loga v. Lokka*, majątna i wielkiej wziętości używająca familia: z niej pochodzili *Mikołaj* i *Jan* podkomorzowie pomorscy: pierwszy w 1509 r., drugi w 1547. Oprócz tego jeden był opatem oliwskim za Zygmunta Augusta, a *Jan* za Jana Kazimierza starostą borzechowskim (1).

59. *Lunowski v. Lunowski*, bardzo dawna, bo w urzędowych aktach już w 1240 r. wspomniana rodzina, czynny wzięła udział w towarzystwie jaszczurczém. Za rzeczpospolitej majątkowo podupadłszy, przeniosła się w inne strony kraju.

60. *Turznicki v. Turzchnicki*, ziemianie chełmińscy, już koło 1300 r. w urzędowych aktach wspomnani.

61. *Chojnowscy* z Chojnic w ziemi chełmińskiej, należeli z inną szlachtą pruską do powstania 1452 przeciw krzyżakom; za rzeczpospolitej piastowali różne pomniejsze obywatelskie dostojności.

62. *von Nostic, v. von Nostitz* familia słowiańsko-pomorska, przeniosła się do Prus w końcu XIII stulecia, a zniemczywszy się, znaczne majątki otrzymała lub nabyła od zakonu; kilku też z Nosticów posiadało znakomite godności obywatelskie i militarne, będąc starostami, sędziami, a nawet komandorami.

Herb: w polu białém, czerwone serce, po jego bokach od wierzchu, dwa złote rożki wywinięte do góry.

(1) Na sejmie 1775 r. Antoni Loka z tej familii pochodzący, otrzymał potwierdzenie szlachectwa, a przy koronacji Augusta IIgo jeden z *Barszczów* podpułkownik artylerji koron. dostał indygenat. Czytałem także dyplom Augusta IIgo nadający *Józefowi Kalkshtein* szlachcicowi dyplomu szlachectwo koronne i litewskie; takiż sam dyplom otrzymał *Kazimierz Lemański* dworzanin i sekretarz Augusta IIgo, a syn czy też wnuk jego, kapitan wojsk koronnych, jakkolwiek starożytny szlachcic pruski, dostał indygenat na sejmie grodzieńskim 1795; nadto, w aktach po dawnym trybunale piotrkowskim pozostałych, znalazłem kilka wywodów genealogicznych złożonych w dowódzie szlachectwa przez ziemian pruskich: nie mogę zrozumieć jaki był tego powód, czy to potwierdzenia własnego, czy też starania o szlachectwo koronne niezaprzeczonej szlachty pruskiej, zwłaszcza, gdy w żadnej konstytucji sejmowej ani zbiorze praw, nie widzimy, aby potrzebowała indygenatu osiadając w ziemiach koronnych i litewskich. Jednak fakt był, i ten zostawiam do rozstrząśnienia naszym historycznym badaczom.

Jakkolwiek w wojnie 1452 i 1456 Nosticowie okazali się nieprzychylnymi sprawie polskiej, jednak po przyłączeniu do R. P. Prus Zachodnich, nie tylko że ich nie opuścili, lecz stali się gorliwymi i dobrymi obywatelami nowej ojczyzny; co więcej, *Jan Nostic*, syn *Wawrzyńca*, około 1520 żyjący, mając 4ch synów i dzieląc ich majątkami, od tych, dał im polskie nazwiska, a nawet jak gdyby stanowczo chciał zerwać z germańską przeszłością swojego rodu, odmienił herb, umieściwszy na tarczy lamparta w koronie złotej na głowie, a w hełmie położywszy gwiazdę, a nad nią trzy podwójne lilie; dawny zaś herb Nosticów umieścił na szyi lamparta. Powstały tedy od owego *Jana* cztery linie domu Nosticów: *Choczowscy* od dóbr Choczowa, *Lewartowscy* od Lewartowa, *Bakowscy* od Bakowa, i *Jackowscy* od Jackau vel Jackowa nazwani.

63. *Choczowscy de Nostitz*, zamieszkiwali w województwie pomorskiem, lecz już około 1600 r. przenieśli się do Mazowsza, i w inne strony kraju.

64. *Lewartowscy*, Nostice osiedliwszy się w pierwszej połowie XVI wieku na Rusi Czerwonej i w Małej-polsce, znaczne w tych prowincjach posiadali majątki.

65. *Jackowscy* przesiedlili się także do Korony; w Prusach jedna tylko ich gałąź i to najuboższa została.

66. *Bakowscy* najmajetniejsza i najwięcej dziejowo odznaczająca się gałąź domu Nosticów, wysokie dostojności obywatelskie, nawet senatorskie krzesła posiadała w Prusach. Rękopism obszernie rozpisuje się o nich i daje genealogią, poczynając od *Mikołaja von Jackau* protoplasty rodziny, do *Jana Ignacego* wojewody malborskiego (1667—1680).

Jedna gałąź z rodu Bakowskich odziedziczywszy po *Cieszewskich* herbu *Korona* znaczne majątki, osiedliła się w nich, ztąd pochodzą *Bakowscy-Nostice* w Mazowszu i w ziemi wieluńskiej.

67. *von Elsenau Schnabel*, w spolszczeniu *Elżanowski*.

Herb: popiersie ludzkie, lecz twarz z nosem sępią, w hełmie dwie trąbki myśliwskie.

Dawna i zamożna familia w województwie chełmińskiem, był z niej *Lukasz* naprzód chorąży, potem kasztelan chełmiński, człowiek niepospolitej nauki i rozsądku, zacięty przeciwnik wyuzdanej swobody szlacheckiej i *liberum veto*, przeciw którym pisząc i mówiąc, wielu sobie naraził.

Job Elżanowski, dziedzic *Falemina*, włości w ziemi chełmińskiej, rotmistrz chorągwi *Jakóba Wejhera*, dzielnie za *Jana Kazimierza* stawał przeciw Szwedom, czém obrażeni zniszczyli ogniem i mieczem jego majątek, 1655 r.

68. *Mülhausen von Lichtenau*, w spolszczeniu *Lichtyan*.

Herb: koło młyńskie na tarczy i na hełmie.

Familia niemiecko-saska, za krzyżaków osiedliła się w Prusach około 1660; posiadała dobra *Orlau* i *Czczew*: wyszło z niej kilku urzędników ziemskich i dzielnych żołnierzy.

69. *von Zander*, w spolszczeniu *Trzeciński*.

Odwieczna za-Piastowska jeszcze w Prusach familia, używała herbu Leliwa, lecz pod tą kładła dwa charty w lewo biegnące. Za panowania Zygmunta Augusta od dóbr dziedzicznych Trzciany przyjęła nazwisko *Trzecińskich*.

Rękopism chwali tę rodzinę, że z niej „zawsze wychodzili ludzie zacne, cnotę i stateczność miłujące”, a z kilku, o których mówi, najznakomitszym był *Michał*, z sędziego chełmińskiego podkomorzy pomorski, kilkakrotnie poseł na sejm i deputat na trybunał. Gdy za Zygmunta III Szwedzi naszli Prusy, stanąwszy na czele pospolitego ruszenia swego powiatu, w kilku okazyach dzielnie rycersko stawał.

70. *von Schedlen*, od dziedzicznych dóbr Czarlina, około 1550 przybrali nazwisko *Czarlińskich*.

Herb: sówka szara siedząca na pieńku, od którego z lewej strony wychodzi gałąź o trzech listkach; pole tarczy modre, w helmie pięć piór strusich.

Czarlińscy pierwotnie zamieszkiwali w województwie pomorskiem i w Warmii, lecz około 1600 r. jedna ich gałąź przeniosła się do Litwy, gdzie nabyła znaczną majątność pod Kownem; z tych był *Samuel* rotmistrz husarski za Jana Kazimierza.

71. Jedna gałąź tej rodziny nabywszy dobra Knybawę, piśla się z Knybawy, a niekiedy i *Knybawskiem*; do tej familii należał *Jan Karol* mąż znakomity nauką i zasługami obywatelskimi za Jana Kazimierza, i jego krewny *Michał* dziedzic na Ludowie, niepospolity malarz.

72. *von Haugwitz*.

Znakomita niemiecko-szlązka familia, tytułem baronów rzymskiego państwa zaszczycona, osiadłszy około 1350 w Prusach, od dóbr dziedzicznych Pawłowa, przybrała nazwisko *Pawłowski*.

Herb: na tarczy w czerwonym polu łeb biały barani z dużemi zakrzywionemi rogami; w helmie trzy pióra strusie.

Jedna gałąź tego domu posiadała około 1650 dobra *Parlin* w święckim powiecie, i z nich piśla się, a nawet brała niekiedy nazwę *Parlińskich*.

73. Rękopism cytuje jeszcze trzy inne domy Pawłowskich:

74. *Pawłowski* z przydomkiem *Kosputh*, że wywodzili swoje pochodzenia od niemieckiej rodziny tego nazwiska, używali w herbie trzech gwiazd złotych w czerwonym polu, w helmie zamiast korony kładli czapkę, trzema kapłoniami piórami ozdobną.

Ci Pawłowscy głównie zamieszkiwali w Prusach książęcych, gdzie znakomite piastowali dostojęństwa: tak około 1660 r. jeden z nich był starostą fiszawskim i konsyliarzem elektora brandenburskiego.

75. *Pawłowski* herbu Leliwa, z przydomkiem z Bożego pola, familia starożytna, w Prusach jeszcze za Piastów osiadła; za Rzeczpospolitą posiadała majątności w województwie pomor-

skiem. Rękopism wylicza kilku jój członków, w różnych czasach żyjących.

76. *Pawłowski* z Pawłowa wsi pod Chojnicami piszący się, mieli przydomek *Haugwitz* jako pochodzący od téj familii, lecz odmiennego używali herbu, bo na tarczy w polu czerwonym kładli białego w górę wspiętego barana, w hełmie kładli takiegoż barana.

Niektórzy z tych Pawłowskich około 1600 r. przesiedlili się na Mazowsze, i z nich był *Jan* dziedzic dóbr Łomna pod Warszawą, dzielny za Stefana Batorego wojownik, umarł 1620 r.

77. *Walembach v. Walbach*.

Dom starożytny w Prusach, herbu Nieczuła, który ma być w modrém polu szpak czarny siedzący na pieńku dębowym, o pięciu korzeniach, z każdej strony pieńka wychodzi gałązka o kilku zielonych listkach; szpak jakby chciał przypadać, ma skrzydła w górę wzniesione, w hełmie ogon pawi.

Walembachowie około 1500 roku od dóbr Czerniewa i Bartlina, w województwie pomorskiem leżących, nazwali się *Czerniewskimi* i *Bartlińskimi*.

Z Bartlińskich, około 1550 r. pochodził *Jan*, a *Walbach* Bartliński dworzanin *Zygmunta Augusta*, jego syn *Grzegorz*, sędzia ziemski dyrszawski był dziedzicem rozległego majątku *Rozciszewa* i *Rokowca* w województwie pomorskiem.

78. *Czerniewskich* piszących się a *Walbach* z *Bartlina* chwali rękopism jako ludzi gospodarnych i zacnych.

79. a *Gleisen*, dom starożytny kaszubski, od dóbr *Dorengowa* w województwie pomorskiem, przybrał nazwę *Dorengowski*.

Herb: na tarczy, w czerwonym polu dwie trąby myśliwskie nakrzyż złożone, nad niemi krzyż mały złoty; w hełmie trąba myśliwska w lewo zwrócona.

Dorengowscy w XVI i XVII wieku należeli do bogatszych pruskich rodzin i posiadali znaczne majątki pod Chojnicami; rękopism dość obszernie zajmuje się niemi, i daje kilka nadpisów na ich nagrobkach, w kościele farnym chojnickim znajdujących się,

80. a *Trestken*, w spolszczeniu *Trestka v. Trostka*.

Familia saska, lecz zdaje się, że słowiańskiego pochodzenia, osiadła w Prusach około 1300 r: posiadała majątki głównie w świenckim powiecie.

Herb: na tarczy w polu białem, czerwona, złotem obwiedziona belka, z prawej ku lewej stronie ukosem idąca, na niej trzy złote krzyże; w hełmie pięć piór strusich.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA LITERACKA.

DZIEJOPISOWIE KRAJOWI. TOM IIgi.

Jakóba Sobieskiego pamiętnik wojny chocimskiej ksiąg troje; przełożył z łacińskiego, życiorysem autora i objaśnieniami uzupełnił Władysław Syrokomla. Petersburg. Nakładem Bolesława Maurycego Wolffa. 1854.

Dwa są szczególnie ustępy dziejów naszych, które żywo utkwily w myślach narodu i w swoim czasie zajmowały całe pokolenia i wieki: wojna chocimska i wyprawa wiedeńska. O każdej z nich moc dzieł i broszurek. Poezya obiedwie uświęciła. Wiedeń pokrył sławą swoją Chocim, ale Chocim jednak i pod koniec jeszcze XVIII wieku obudzał drzemiącą muzę, czego dowodem pomiędzy innymi i Krasicki. Zdawałoby się, że w obu tych wielkich wypadkach streściło się życie narodowe: i tak być musiało w istocie. Polska żyjąca jako państwo, podaniami przekazywała sobie pamiątkę obu tych wojen; dzisiaj historia z wyższego stanowiska spoglądając na harce chocimskie i wiedeńskie, nieco surowiej o tym zapale narodowym i niczem nieusprawiedliwionym odzywać się musi.

Przed kilką miesiącami pisał do nas, jako usprawiedliwienie zdania swojego o wojnie chocimskiej, autor Not Mazepińskich, Znaków pieczętnych na Rusi, Bojarskiej azbuki to co następuje: „Sławna w historii wojna chocimska (1621) nie jest ani ciekawym, ani pochlebnym ustępem. Klęską cecorską o ile Turcy wzrosli w dumę, o tyle Polacy upadli na duchu. Po zgonie Żółkiewskiego, dla dworskich zabiegów, wakowała wielka buława: Hetman polny Koniecpolski siedział w niewoli w Stambule; zawierucha szwedzka od strony Inflant wymagała równie obrony, a hetmani litewscy w rodowej niezgodzie, jeden na drugiego ją składali: Radziwiłł polny wyraźnie warując sobie, ażeby

od rozkazów Chodkiewicza nie zależał. Mnożyły się domowe niesnaski i rozterki, kiedy od Wschodu coraz to bliżej następowała burza. Lubomirski podczaszy koronny, na kolegę Chodkiewiczowi dodany, najpierwszy wyruszył ze swojemi chorągwiami: miały się wojska ściągać co rychlej pod Tatarzyska i niezwłocznie iść naprzeciw nieprzyjaciela, zastąpić mu od Dunaju, a później, bodaj w odwrocie, kraj, którym miał przechodzić, spustoszyć. Lubomirski, oprócz tatarskich zagonów, nikogo na Podolu nie znalazł. Projekta wojny wstępnej upadły: stanawszy pod Skałą nad Zbruczem oganiał się jak mógł od tatarskich nagabań. Wszakże, na wiadomość o jego przybyciu, zaczęły się kupić liczne rotę, wałęsające się po kraju, po większej części samychże ziemian podolskich. Było to w maju; Chodkiewicz ledwie przy końcu lipca przyciągnął. Od miesiąca opodał od polskiego obozu, który już był pomknął pod Orynin i Rzepińce, pod honorową strażą w Pietniczanach czekał posłannik hospodara Wołoskiego, któremu Lubomirski do przybycia hetmana odprawy nie dawał. Był to gatunek raczej szpiega niżli pośrednika. Grek z urodzenia i wyznania, przedawał się wedle potrzeby za Wołocha i katolika: słowem, Vevelli sławny z przewrotności swojej w dyplomacyce dywanu. Wszystkiego wojska natenczas ledwie 22,000 być mogło. Chodkiewicz szedł na tę wyprawę przygotowany na śmierć, spodziewając się podobnego losu, jaki Żolkiewskiego pod Cecorą spotkał; trapiiony był nadto chorobą, która go czyniła w postępowaniu gniewliwym, a w obcowaniu cierpkim. Gniewnie i cierpko przyjął Vevellego, nie pomogły greckie wykręty i wielki podziw za ujrzeniem hetmana. Vevelli obejście się Chodkiewiczem wziął za dumę i lekceważenie, a nie dopatrzywszy sił polskich, może nawet zawstydzony sam przed sobą niezręcznością swoją, odjechał z niczem, nadto wioząc z sobą z odpowiedziami na przywiezione listy, szpiega hetmańskiego.

Pojechał z Vevellim Bogufał Szemberg: był to ziemianin podolski, którego niewiele wzbogaciły oddane krajowi posługi, trzymał dzierżawę Przewrocie blisko Orymina, ale przed nawałnicą z rodziną umknął w głąb kraju i do wyprawy nie miał należeć. Wezwanie hetmana zastało go w Barze: niezwłocznie stawił się na nie. Biegły w języku, znajomy obyczajów od Vevellego lepiej się sprawił, chociaż nierychlej, gdyż z Chocima do obozu tureckiego, pod Sasowym Rogiem, oddalonego tylko o mil 16, Vevelli, dla przewłoki po Bukowinach w okrąg się włócząc, przeszło dni 20 stracił. Szemberg obejrzał siły tureckie, i z tych krociów 160,000 tylko naliczył do boju, a między temi nad 30,000 janczarów nie było więcej. Trafność w tém Szemberga sprawdzają rachunki: wcześniejszy Jerzego Woreckiego i późniejszy Jakóba Zielińskiego.

Wojsko polskie poszło pod Bałtę; zaczęły się tumulty, czeladź o rabunku, a towarzystwo o związku myślało: z pierwszymi łatwo poszło obwiesiwszy kilku; dla drugich potrzeba było

pieniędzy, których brakło. Zasiedli kommissarze do obliczenia zaległych ćwierci, i nie musieli żałować skarbu publicznego, jeżeli na samych kwitach poprzestali rotmistrze. Zaczęto się wreszcie przeprowiać na tamtą stronę Dniestru. Zdążyły jeszcze choć zrzadka opóźnione roty, ale już były pewne wieści o ciągnięciu Zaporozców. Z drugiej strony niespodzianie pułkownik Lisowski z jedenastu chorągwiami dobrze okrytymi bitnego i doświadczonego żołnierza przybył do obozu, prawie jednocześnie posłowie kozaccy, a w parę dni ich pułki i tabory. Zaczynało być prawdopodobną możność sprobowania sił w boju i oporu, jeżeli nie nadzieja zwycięstwa. Jednego tylko królewicza z czołem wojska polskiego nie było widać; krążyły słuchy, że gdzieś niedaleko być powinien: wyprawiono naprzeciw posłów. Królewicz ciągnął leniwo, oglądał się na harmatę, która ze Lwowa przyjść miała: od dni kilku leżał pod Probużnem, i kto wie, czy piękne oczy pani tego miejsca nie wpływały trochę na tę przewłokę. Była nią Zofia Zamiechowska, późniejsza wojewodzina wileńska, Tyszkiewiczowa, świeża wdowa po starym kasztelanie Golskim i młodym wojewodzie Lanckorońskim, nad lat kilka nie przeżywszy z obydwoma. Po przybyciu posłów, lepsze nadzieje, czy też obudzone uczucie honoru i powinności, sprawiły, że wkrótce przybył.

Obóz polski okopywał się i szanował za Dniestrem. Podjazdy kozackie niszczyły Raje Sorocką i Orgijowską: zagony tatarskie plondrowały Podole. Partyzant Bernawski, opryskiem, łotrzykiem, a nawet zbójcą nazywany, który w lat kilka jako gospodar na zalecenie pp. posłów ziemskich został polskim indygeną (1629), najwięcej Polakom dokuczał: opędzić się go nie można było. Ale w dzień przyjścia królewicza, Kantymir-Murza na prawdę wojnę rozpoczął: już też następowali zbliżka Osman z wojskiem i han z hordą, Szemberg powrócił, małe czyniąc pokoju nadzieje, zostawiwszy ledwo o mil cztery turecką potęgę: dniem i nocą okopy sypać kazano, Jakoż nazajutrz, zanim wojsko sprawiono do szyku, ogromne tumany kurzawy wysoko się wzbily, które skoro opadły, ziemia jakby śniegiem usłana, zabielała od tureckich namiotów: istne miasto na trzech górach, którego czarodziejskiemu zbudowaniu nie przeszkodziło bynajmniej, że kozacy na przednich strażach, wspierani jazdą i piechotą, tak polską jak niemiecką, ucierali się żwawo aż do samej nocy.

Zanim się wojsko królewicza dla przeszkód Bernawskiego przeprowiło przez rzekę, zaraz po swoim przybyciu Władysław zaniemógł, i resztę czasu przeleżał. Ten, którego współcześni za bohatera tej wyprawy mieli, jedni przez pochlebstwo, drudzy przez niewiadomość, można powiedzieć nie widział nawet nieprzyjaciela, *nec aciem turcae vidit*, jak powiada Piasecki. a złośliwy Potocki porównywa go w tém do tego króla, którego Węgrzy w kolébce wozili z sobą na wojnę,

Szły dalej większe i mniejsze utarczki z rozmaitem szczęściem. Stary hetman chciał wydać ogólną i stanowczą bitwę: oparli się temu kommissarze na mocy listu królewskiego, który na siebie czekać kazał. Już był zjechał do Lwowa, gdzie wiele ziem i powiatów ściągnęło: wysłano gońców jednego za drugim, prosząc o pospiech. Tracił się czas drogi, przyszły głód i zaraza, a za nimi niekarność i zbiegowstwo; nie tylko chlebów, ale i prochów brakować zaczęło. Po powrocie Palczewskiego i Jarzyny stracono nadzieję, ażeby król przybył; Chodkiewicz resztę siły stargawszy, upadł na duchu, i rozpoczął traktaty. Jeszcze raz pobiegł do Lwowa Kochowski porucznik kasztelana Niemiry, człowiek wymowny i śmiały, ale się jego powrotu hetman nie doczekał; po ciężkiem konaniu, a tém konaniem całą wyprawę chocimską nazwaćby można, dnia 24 września żyć przestał.

Może przy innych stosunkach Chodkiewicz byłby ziścił pamiętne słowa, które wyrzekł o zapalczywym sultanie „że sierdzita sobaka wółkom strawa” i dla tego psa niewiernego, sam wilkiem został. Słowa przeto niemniej były prorocze, i roku nie wyszło, a dumny Osman od własnego żołdactwa, w rozruchu, i tron i żywot postradał.

Hetman leżał na marach, królewicz chorzał ciągle, a tu w obec nieprzyjaciela, na krańcu ostatecznej zguby i kraju i samych siebie, litewskie pułki nie chciały pójść pod rozkazy Lubomirskiego. W tém jednym posłużyła przytomność Władysława: zresztą, niebezpieczeństwo było nadto groźące, blizkie i widoczne, aby z niem można było długo bezkarnie żartować.

Od dnia 29 września naprawdę układać się zaczęło: wyznaczeni kommissarze wylargowali i okupili pokój za 100,000 talarów lewkowych: zaprawdę bardzo tanio, kiedy się goni ostatkiem prochu, ołowiu i chleba. Dnia 9 października stanął ten sławny traktat, który miał unieśmiertelnić niewyciężonego Zygmunta III.

Oto jest charakterystyka wyprawy chocimskiej. Wielu zapisało dzieje podrobnie téj czterdziestodniowej wojny: ale powtórzenie tych szczegółów nie jest mojem zadaniem. Sam nie wiem, co bym miał dodać do tego krótkiego zarysu; chyba to, że zwłoki Chodkiewicza przeszło rok cały walały się po kruchtach bez pogrzebu, a Lubomirski nie dostąpił nigdy buławy. Król chciał pełniejszego zwycięstwa, i tego zawodu w swój chęci nie przebaczył mu do śmierci.

Gorzko to pisać o dziejach swego narodu, w zółci maczając pióro; a jednak na wielu kartach dla tego, który sobie i drugim kłamać nie umie, jestto smutną koniecznością. Zygmunt III mając przy sobie przeszło 100,000 szlachty pospolitego ruszenia, pozostał we Lwowie: w dnie powszednie zabawiał się łowami, w niedziele i święta, nabożeństwem.

Kiedyś czytałem w starych papierach, że jeszcze za życia Zygmunta, zaraz po śmierci, chcieli go beatyfikować OO. Jezuitci: gdyż do formalnej kanonizacyi stawało na przeszkodzie nie to, że

miał dwie żony, ale że te były sobie siostrami. Niebiegły w tym skrupule sądzić o nim nie będę”.

Czarno i brzydko wygląda, widzimy w tém opowiadaniu jedna „stronnica dziejów”, zdaje się dotąd tak jasna, tak czysta. A jednak nie w tém wszystkiém co tutaj uczony przyjaciel nasz powiedział, nie ma przesady wszystko prawda, do najdrobniejszych szczegółów prawda. W pojmowaniu takiém wojny chocimskiej, jako wypadku dziejowego, nieczémśmy się od surowego wojny téj cenzora nigdy nie różnili. Różnica między nami mogła być tylko do pamiętnika Sobieskiego, jednego z historyków wojny chocimskiej: w naszém widzeniu pamiętnik ów miał wiele wartości, w pojęciu zaś autora Not Mazepińskich niewiele.

Sobieski, kommissarz Rzplitej w obozie Chodkiewicza, nacoczny świadek cudów męstwa i poświęcenia się, opisał naprzd po polsku dzieje wojny chocimskiej, zaraz po zawartym pokoju z Turcyą, i w lat trzy późnziej rozwinął je wspaniałej po łacinie dla Europy, i dla historyi powszechniej w dziele: *Comentarii Chotinnensis belli*. Kiedy owe komentarze dumnie rozpościerały się po pułkach bibliotecznych, dyaryusz polski gdzieś zaginął, i dziwne przeszedł losy. Częstkę jedną tego dyaryusza drukował Naruszewicz w *Żywocie Chodkiewicza*; cały potem wydrukował Jerzy Bandtkie w *Rozmaitościach naukowych*, Kraków r. 1829. Ale stworzył nowego autora: rękopism ten ogłosił za pracę Samuela Sobiekurskiego. Przyjaciel Łudu drukował także cały ten rękopism polski w roku 1844, nie wiedząc nic o autorze. Nareszcie Żegota Pauli odkrył autora i trzeci raz w swoim zbiorze opisów wojny chocimskiej, dyaryusz ten pomieścił.

Otóż autor Not Mazepińskich sądził, że po wyjściu w całości dyaryusza Sobieskiego w *Pamiętnikach Żegoty Pauli*, łaciński pamiętnik o wojnie chocimskiej, jako źródło do historyi, stracił zupełnie swą wartość: „uważa bowiem, tak dalej rozwija rzecz tę autor, materiały *in crudo*, nieobrobione zbiory samych faktów, za daleko wygodniejsze do użycia, jak materiały kompilowane bez krytyki, jeżeli nie mniej, to pewno niewięcej uczące.“ Jestto zapewne zdanie względne, może nawet uprzedzone (*Dzien. Warsz.*) 1856 N. 32.

Ale myślmy, że tutaj łatwo się nam będzie obojgu pogodzić. Nigdyśmy innego sądu nie byli względem materiałów *in crudo*, jak i nasz szanowny korespondent. Wykazaliśmy to pojęcie nasze w tylu recenzjach, a najszczególniej w przeglądzie listów *Kommendoniego*, i w przeglądzie materiałów wydanych przez kommissyą archeologiczną w Kijowie.

Opis polski wojny chocimskiej Sobieskiego, składał się więc z notat pisanych naprzdce i był tylko materiałem dla przyszłego dzieła europejskiego. Dyaryusz z natury rzeczy był księgą pamięci dzień po dzień spisowaną, nie mającą wcale wyższego przeznaczenia, tém bardziej niegodną druku. Sobieski najprzdziej już wtenczas powziął myśl stworzenia dzieła większego,

pomnikowego, jakim właśnie były jego komentarze łacińskie o wojnie chocimskiej. Nie będziemy tutaj powtarzać tego, cośmy już w inném miejscu powiedzieli; dodamy to jedynie, że każdy taki dyaryusz, już t \acute{e} m sam \acute{e} m wy \acute{z} szy nad pragmatyczną opowieść, że daje nam co chwila uczuć bicia pulsu wtenczas, ki \acute{e} dy historyk już porządku chronologicznego, chwili nawet tego przy-
 pływu i odpływu wrażeń, niebezpieczeństw, nadziei i zwątpień, notować nie może, a wszystko gruppować, massować musi. W takich przecie \acute{z} dyaryuszach, wysoką wartoś \acute{c} wiedzieć mogą ludzie już wi \acute{e} ciej uczeni, specyjalnie badaniom oddani, dla których niedosyć wiedzieć o wypadkach ogólnych, o skutkach, ale k \acute{o} -
 rzy chc \acute{a} wdrzeć si \acute{e} w najdrobniejsze tajemnice historii. Z wi \acute{e} -
 ksz \acute{a} zapewne rozkosz \acute{a} weźmiem si \acute{e} do czytania massy surowych materyałów o pewnym wypadku, jak do monografii, któr \acute{a} nam daje o tym wypadku A. lub B. chocia \acute{z} by to był i historyk nawet z powołania. Wszak \acute{z} dla te \acute{z} samej, albo może bli $\acute{z$ kiej przy-
 czyny, pomimo że Cezarów i Tacytów mamy tłumaczonych na no-
 wsze j \acute{e} zyki, nowo \acute{z} ytni historycy uciekają si \acute{e} do nich samych, nie do tłumaczeń, chc \acute{a} c badać źródło, pojmować dawne stosun-
 ki. Sobieski pisał, jak powiedzieliśmy dyaryusz dla siebie, ale dla czytelników pisał już pamiętnik, to jest opowiadanie. W swo-
 im czasie pamiętnik ten streszczał w sobie całą wojnę: wszyst-
 ko co o ni \acute{e} j wiedzieć miał naród, było w tym pamiętniku; dzisiaj
 zaś, zgadzamy si \acute{e} chętnie na to, że po wydaniu dyaryusza pol-
 skiego, po wydaniu tylu innych materyałów wyjaśniających kole-
 je te \acute{j} wojny, pamiętnik, jako źródło do historii, stracił zupełnie
 sw \acute{a} wartoś \acute{c} . Materyałów niewydanych wiele jeszcze si \acute{e} kryje
 po r \acute{e} kach: sami czytaliśmy bogate bardzo szczeg $\acute{o$ ły r \acute{e} kopismu
 o te \acute{z} samej wojnie, zachowane w bibliotece p. Stanisława Kosseckiego.
 Wiele innych materyałów jest pewnie po innych skrytkach
 i bibliotekach. Zt \acute{a} d, gdyby kto dzisiaj wzi \acute{a} ł si \acute{e} , do ułożenia hi-
 stori wojny chocimskiej, musiałby si \acute{e} brać do zgromdzenia tylu
 rozmaitych innych wiadomości o ni \acute{e} j. Sobieski pisał to jedynie co
 wiedział, sły \acute{z} zał, acz wiele bardzo wiedział i sły \acute{z} zał jako Rzpli-
 t \acute{e} j kommissarz, notował rzeczy wi \acute{e} kszej wagi; a towarzysze,
 sp \acute{o} łuczestnicy tego boju, notowali szczeg $\acute{o$ ły. Bogactwo tych
 szczeg $\acute{o$ łów daleko poza sob \acute{a} zostawiło pamiętnik.

Ale za t \acute{e} m wszystki \acute{e} m, cośmy tu powiedzieli i o smutn \acute{e} m
 w dziejach znaczeniu samej wojny chocimskiej, i o podrzędności
 dzisiejszej jako materyału dziejowego pamiętnika ojca kr $\acute{o$ la Jana,
 nie zacier \acute{a} stanowczo acz wzgl \acute{e} dnie do czasu wartoś \acute{c} wojny
 i pamiętnika. Skutków tak bardzo dobroczynnych dla kraju nie
 miał b \acute{o} j chocimski: duma narodowa nie ma si \acute{e} czego pysznić
 z owych turniej \acute{o} w; zt \acute{e} mwszystki \acute{e} m w oczach sp \acute{o} łczesnych
 i nast \acute{e} pnych po wojnie pokoleń, b \acute{o} j ten był walk \acute{a} olbrzym \acute{o} w,
 był wypadkiem kolosalnej wagi. Samo og $\acute{o$ lne zaj \acute{e} cie dla niego
 uprzedza że tak było. Nie idzie o to, czy słusznie czy niesłusznie
 tak było, ale fakt jest, zaj \acute{e} cie trwa, i nawet druga owa popularna
 wyprawa wiedeńska, tak \acute{z} e w skutkach dobroczynnych dla kraju

mniej jak żadna, wrażenia tamtego zatrzcć nie potrafiła. Wspomniały poemat Wacława Potockiego, czyż to niedosyć, żeby rozumowaniom naszym dać wagę? Polacy szczerze myśleli, że wojna chocimska była jednym z najwięcej wonięjących kwiatków w Rzplitej, wiencem bohaterskim. Kiedyindziej zapewne w dziejach cywilizacji narodu, rozpiszem się obszerniej o znaczeniu wojny chocimskiej w czasie, bo wypadki trzeba brać zawsze w ramach czasu, nie poza jego ramami: inaczej koloryt wieku chwytalibyśmy ciągle fałszywy, ubiegalibyśmy się za cieniem, nie za rzeczą, mielibyśmy nasze dzisiejsze rozumowania i pojęcia faktów, dobre może dla historyzozofii, ale nie historyą, nie przeszłość narodu taką, jaką była. Ztémwszystkiem i tutaj natrącić musim, że i owa dziś zmalala w pojęciu wojna chocimska: była wielkim czasie swego wypadkiem, była poświęceniem się ze strony hetmana i rycerstwa. Że król i Władysław nikczemną w tём wszystkim rolę odegrali, to charakteru jój bohaterskiego nie a nic nie zmniejsza. W obozie chocimskim walczyli rycerze krzyża przeciw niewiernym: na wyłomie, na przedniej straży chrześcijaństwa, zastaniając Europę przed islamizmem, czuwał niezłomny Chodkiewicz. Ci bohaterowie, co tutaj krew swoją wylali, ciało swoje położyli, Zienowicz, kasztelan Potocki i t. d., byli to za wiarę, oświatę i wolność polegli męczennicy; tego świętego charakteru odjąć im nie można, oni tak samo rozumieli swoje niebezpieczne stanowisko: szli i ginęli na nióm bez żadnej ziemskiej rachuby, licząc tylko na zasługi względem bliźnich, względem duszy swojej. Konaszewicz całe życie rycerz krzyża, tutaj zdumiewał cudami męztwa i odwagi. Sam hetman czyż nie szedł na bój jako ofiara, starzec posiwiał? Ale on czuł potrzebę zasługi dla ojczyzny póki życie, czuł potrzebę poświęcenia się dla Chrystusa; wyjechał zaraz po weselu i śmiercią swoją, wielki wypadek swego czasu, przypieczętował: wielki wypadek, bo islamizm jeszcze nic nie utracił ze zwierzęcej swojej siły, a jeszcze wtedy chciał nawracać, i czuł, że może nawracać. W lat 50 dopiero ostatni raz z Mahometem IV wylał się zaczepnie i napastniczo na Polskę, a w 60 z Karą-Mustafą pod Wiedeń. Pod Chocimem, gdyby nie Chodkiewicz, rycerstwo polskie i rycerstwo krzyża, mógł inne robić na chrześcijaństwie zabory, wściekły fanatyzmem swoim, i żądzą łupieży. Czula to dobrze Polska. Straszliwa burza dwóch nam tylko zmiotła hetmanów (Żółkiewskiego i Chodkiewicza), dwie odebrała prowincye (Multany i Wołochy); ale Rzplita zawsze została w granicach swoich jak dawniej przedmurzem; czuwała nad cywilizacją, która się jój w niczém nie odwdzięczyła. Pokój zawarty pod Chocimem był rozejmowy, pokazały to wypadki: nie mogło być inaczej, zawsze jednak zasługi obywatelskie Lubomirskiego, który wojny tój dokończył, świetne i znakomite. Naród zrobił z siebie wszystko co chciał i mógł, król tylko może nie chciał i może nie umiał.

Tak samo jak wojny chocimskiej bronimy i Pamiętnika Sobieskiego. Nasz kommisarz czuł wojny tej całą ważność i znaczenie takie, jakie my tutaj pokrótce rozwinęli. Wierném zatem był echem czasu swego, i z tego względu uważany, nawet materialem być może. W dyaryuszu oderwane wypadki: tutaj myśl jest. Do tego Sobieski ma talent dziejopisarski, umie rozpowieścić w kilku słowach, umie sformułować uczucie epoki. Zdaje się nieraz, że natchnieniem przemawia, kreśli nieraz wspaniałe obrazy, zdejmując charaktery, życie. Nie jest bynajmniej celem jego charakteryzować ludzi, bo opowiada wojnę: ale rysy, które rzuca na płótno dziejowe o ludziach swoich, piękne są jednak i pociągające. Chodkiewicz i Osman a po nich Konaszewicz, jaskrawością obrazu głównie w niego uderzają, lubo mniejsze tutaj postaci pod piórem jego w interesowniejszej stawia się roli. Jakito wspaniały obraz nadchodzących Turków (stron. 22, 24) pod Chocim. Jaki tam obraz Zaporozia, krótki, ale nigdzie taki dosadny. W składzie tego wojennego bractwa widzimy oprócz głównej podwaliny, ruskiej i Polaków obrzuconych infamią (stron. 43), obcych urwisów, którzy porzuciwszy swe nazwiska, gminne przyjmują: uzupełniono bowiem i Rzplita i zakon. Pojmujemy, że znikły tutaj w opowiadaniu dyaryuszowe daty i liczby, bo zniknąć musiały tam, gdzie strój faktów tak świetny! Pamiętnik Sobieskiego to poemat: na tęto zasadzie powiedzieliśmy kiedyś w inném miejscu, co właśnie raziło naszego szanownego korespondenta, że z Pamiętnika Sobieskiego wspaniale świeci majestat historii!

O pracy pana Syrokomli nie będziemy pisać; kontenci jesteśmy, że nas z tego niemilego kłopotu uwolnił autor *Not Mazepińskich* (*Dzien. Warszaw. 1856 No 32*) streszczając swoje rozumowanie temi trzema wyrazami, że przekład niepoprawny, nie wierny, nieumiejętny. Też same wady co w tłumaczeniu Kromera, tutaj przytoczone. Widać ze wszystkiego, nawet z przypisów (te przypisy to formalna choroba, zaraza jakaś, każdy do nich ściąga rękę) nieznaną przedmiotu. Chcieliśmy z początku jako w recenzji Kromera, wyliczyć źródła i wiadomości, których w życiorysie Sobieskiego nie tknął zupełnie p. Syrokomla, ale za wielkato byłaby i bez celu może praca. Dowodziliśmy zawsze i dowodzimy, że wielkiej postaci historycznej bez studyów tknąć niepodobna: nie jestto zaś robić studia, przerzucić kilka książek co znajomszych o danych ludziach i wypadkach. Kto nie zajmował roli świetnej w historii, można o nim powiedzieć co się chce i ile można; ale o Sobieskim nie godzi się tak:—to zawiłka postać swego czasu. Sądu o nim tknąć się niepodobna bez należytego przygotowania się, toż oceniać roboty jego i postępowania. Inaczej byłobyto grać w ślepą babkę. Powiemy więc tyle p. Syrokomli, że dobrze obszernej możnaby napisać już życie Sobieskiego, że życie tego męża stanu przy jego przekładzie, ma wiele grzechów w pojmwaniu czasów jego, i jego samego: jedném słowem, że nie jest objaśnieniem, ale chyba zaciemnieniem Pamię-

tnika. W tém tylko jedném spostrzeżeniu, które robi poeta pod koniec swojego życiorysu, znajdujemy wiele prawdy, i dlatego piszem się na ogólny sąd ten: „Ojciec i syn działali w odmiennych sferach, ale Jakób na swém skromném senatorskiém krześle pożyteczniej usłużył nieraz krajowi, niż Jan na tronie. Ojciec był większym od syna!”

Julian Bartoszewicz.

Przegląd muzykalny.

I. Verdi.—Pani Lotti della Santa.—Violetta.—Panna Berini. II. Koncerta.—Panna P. Ostrowska.—Emil Łapczyński.—F. Dulcken —Studzński i jego chór cztero-głosowy. III. Przegląd nowości muzycznych.—Pani J. Niewiarowska.—Oskar Kolberg.—Henryk Koman.—Teodor Einert.—Szopowicz.

Żaden może z kompozytorów nie ma tak wielkiej liczby nieprzyjaciół, co Verdi. Ze wszech stron dają się słyszeć narzekania na zepsucie smaku, na brak melodyi, na hałaśliwość instrumentacyi. Jemu przypisują dający się spostrzegać kierunek gwałtownego szamotania instrumentów orkiestrowych w utworach młodych kompozytorów, jemu także brak dziś tak powszechny śpiewaków i szybką utratę ich głosów! Jedném słowem, Verdi jestto wielki kryminalista, który wśród ciężkich obwinień, od stolicy do stolicy na sprawę wodzony, ku powszechnemu oburzeniu i rozpaczy swych przeciwników, wszędzie ją wygrywa.

Urodzony w mieście Busseto w okolicach Medyolanu, pierwsze początki muzyki pobierał Verdi od jakiegoś księdza. Przy wrodzonych zdolnościach, nauka szybko się rozwinęła, i pierwsza opera *Nabuchodonozor* wystawiona w Medyolanie, zjednała mu odrazu rozgłos, do którego niełatwo jest przyjść w ojczyźnie Rossyniego i Donizettego. W kraju, gdzie wpływ piśmiennictwa zagranicznego, nowe teorye o sztuce dramatycznej, tudzież liczne przewroty polityczne wstrząsają silnie wrzącemi i gwałtownemi ideami podwaliny porządku socyalnego, mocniejszych też środków potrzeba, by na nie skutecznie i właściwie w sferze umysłowej oddziaływać mogły. Słodka, piękna i spokojna muzyka Cimarozy z przyjemnością może być dzisiaj słuchaną, lecz już nie wzbudzi zapалу; gdy Verdi udzielając stosowniejszy do czasu koloryt swym utworom, daje im barwę odpowiednią wymaganiom i potrzebom społeczeństwa, dla którego je przeznacza. Od lat kilku, we Włoszech same prawie tylko utwory Verdegó przedstawiają: począwszy od Neapolu, Rzymu, Wenecyi, Medyolanu, Turynu i t. d. nie ma teatru, na którymby Verdi wszechwładnie nie panował; popularność

jego tamże doszła do nadzwyczajnego stopnia. Żaden z kompozytorów nie doznał tylu tryumfów, serenad, co Verdi. Paryż nawet, lubo nieco później i z pewnym ociąganiem, uderzył czołem przed potężnym talentem twórcy *Trubadura* i *Nieszporów Sycylijskich*. Powodzenie, jakiego te opery bez przerwy doznają w Paryżu, są najchlubniejszym świadectwem uznania, niepotrzebującym dalszych komentarzy.

Najglówniejszą cechą kompozycyi Verdeggo jest uczuciość. Wybiera on zawsze teksta poważne, patetyczne, obfitujące w sytuacye najdramatyczniejsze, i chociaż w pewnych ustępach rozwijającej się akcji grzeszy nieraz trywialnością muzyki, za to w chwilach jej największego znaczenia, umie on się wznieść w swém natchnieniu kompozytorskiem do odpowiedniej wysokości. Są jeszcze inne powody płaskości, lekceważenia, lub przesady pomysłów; szukać ich należy w dwóch głównych przyczynach, ważny wpływ na indywidualność tego kompozytora, tudzież na kierunek jego prac wywierających. Naprzód Verdi, będąc najwięcej uzdolnionym kompozytorem we Włoszech, nie ma rywala odpowiedniego sobie, coby go zmuszał do większej bacności i staranniejszego opracowania swych utworów. Rossyni naprzykład, miał do zwalczenia całą przeszłość znakomitych z końca XVIIIgo wieku kompozytorów, których dzieła były rozkoszą podówczas dyletantów muzycznych, a obok siebie Majera i Pajera, zdolnych i na wszystkich scenach wziętych kompozytorów. Donizetti musiał się dobijać wziętości pomiędzy genialnym twórcą *Cyrulika*, *Otella*, i rzewnym a pełnym uczuć śpiewaku *Lunatyczki* i *Normy*. Było to współzawodnictwo niebezpieczne, i wielkiej czujności ze strony wstępującego w ich szranki szermierza wymagające.

Verdi, początkowo mając tylko Donizettego za rywala, zuchwałszym krokiem naprzód się posuwał, a dziś stoi sam jeden jako zwycięzca na pustém i ogoloconém z zapasników polu bitwy, trzymając w rękę palmę pierwszeństwa. Drugą przyczyną również szkodliwie na twórcę *Ernaniiego* oddziaływającą, był brak rozsądnej a umiejętnej krytyki. Gdy dzieła Verdeggo poczęły się na świat ukazywać, zaraz z jednej strony admiraotorowie pod niebiosa je wynosili; a z drugiej, przeciwnicy z oburzeniem i zapalczywością bezwzględnie tylko złą stronę w nich widzieli, zaprzeczając wszelkich zdolności młodemu kompozytorowi. Verdi, z natury drażliwy, rozjątrzony niesprawiedliwością niechętnych sobie, nie znalazłszy w stronnicych krytykach żadnej zdrowej, światłej lub zbawiennnej rady, zbalamucony od swych przyjaciół uwielbieniami, jakich mu nie szczędzili, chcąc niejako wynagrodzić tym sposobem okrzyki stronnictwa zawziętego przeciwko niemu, odsunął się ze wstrętem od ludzi, lekceważąc ich zdania. Stał się nieufnym, nietowarzyskim; widywano go tylko przewodniczącego ostatniemi probami nowych swych utworów, a chwilowe czasem ich niepo-

wodzenia, do reszty zniechęcały wrażliwy umysł tego kompozytora. Przybywszy nawet do Paryża, gdzie jego niektóre opery, a szczególnie *Trubadur* znaczny rozgłos mu zjednały, napisał tamże najlepsze swoje dzieło *Nieszpory Sycylijskie* dla wielkiej opery, wystrzegając się wszelkiej poufalszej styczności z ludźmi i obrawszy sobie za schronienie ustron, oddaloną od zgiełku i wrzawy miasta, które ostatecznie wyrokować miało o jego talencie. Jak wszystkim powszechnie wiadomo, Verdi wyszedł zwycięzko z tej niebezpiecznej próby, dowiódłszy dostatecznie, że jest zdolnym do tworzenia dzieł wyższej wartości; a jeżeli niedostępne są dla niego ścieżki po których geniusz Rossyniego stapał, to i tak nawet, jeżeli zechce, potęgą swego natchnienia wyższym być może nad tłum pospolitych kompozytorów. Sądzę, iż powyższe dowody wystarczają choć w części na usprawiedliwienie manieri i kierunku, jaki cechuje wszystkie dzieła Verdegó, napisane przed *Nieszporami Sycylijskimi*. Jeżeli Verdi komponować jeszcze będzie, przypuszczać potrzeba, że nastąpi znaczna zmiana w stylu jego utworów, gdy przyczyny jakie miejscowe nie staną temu na przeszkodzie. Byłoby to rzeczą bardzo pożądaną, gdyż prawdziwie, muzyka we Włoszech ogromnie chyli się do upadku dla braku wyższym talentem obdarzonych kompozytorów, i dla niedostatku tak jawnie i dotkliwie dającego się czuć dobrych śpiewaków. Orkiestra w dziełach Verdegó zbyt nieraz luczająca, nietylko męczy słuchaczy, lecz staje się zabójczą dla mniej wprawnego, a należycie wyrobionego śpiewaka. Ale kto umie pojąć styl jego, kto posiada wiele zucia i przejmie się dramatycznością sytuacji, a potrafi ją oddać dokładnie: ten nawet z małym głosem znajdzie powodzenie w operach tego kompozytora. Dzisiaj dwie lub trzy role, wystarczają dla śpiewaczki albo śpiewaka, i z niemi cały świat objechać mogą; nie powiem ażeby to było dobrze, lecz w tak odmiennych i tyle różniących się od siebie utworach jak Rossyniego, Meyerbera, Belliniego, Verdegó i t. d. niepodobna z należytą dokładnością w tylu rodzajach występować: więc potrzeba i różnej metody i koniecznego studyowania pewnych charakterów dramatycznych, co wszystko wymaga wiele zachodu, a dawno minęły już czasy, w których kształcący się na śpiewaków, po lat kilkanaście uczyli się li tylko samej nauki wokalizowania. Dzisiaj, prawie każdy obiera rodzaj właściwy swym zdolnościom, i jeżeli się poświęci dziełom Verdegó, to prawie zdolnym będzie wykonywać dobrze inne kompozycje, naprzykład Rossyniego, Belliniego i t. d.; maniera jego zanadto jest różną od tamtych, a nawyknienie do silnego frazowania peryodów muzycznych twórcy *Ernaniego* i *Trubadura*, jest niewłaściwą w *Cyruliku*, *Normie*, albo *Robercie Diable*. W operach Verdegó, śpiewak w krótkim bardzo czasie może zyskać wiele rozgłosu; silna, gorąca, namiętna i pełna efektu muzyka, znacznie się przyczynia do obudzenia w słuchaczach zapалу, któremu nawet

i nasza publiczność oprzecz się nie może, gdy przez dobrych artystów jest wypowiedziana. Czyż która opera może iść w porównanie z powodzeniem, jakiego u nas doznawał *Ernani*: bez zaprzeczenia, głównie Dobrskiemu się ono należy. W *Mackbecie*, *Rigoletto* i *Trubadurze*, jest wiele pięknych ustępów, zdolnych głęboko nas poruszyć, gdy przez utalentowanego śpiewaka są wykonane; lecz nie zarzekając się słuchania dzieł Verdeggo, chcielibyśmy i innych dawniejszych kompozytorów, np. Rossyniego, Belliniego, Donizettego słyszeć. Verdi wyłącznie owaładnął sceną. W Paryżu, pomimo wielu narzekania, także do włoskiej opery coraz więcej się wciska, i niezawodnie przyjdzie do tego, że pomimo wrzasku gdzieś się jeszcze podnoszącego na twórcę *Trubadura*, tak jak we Włoszech, tak jak u nas i jak wszędzie gdzie tylko włoska opera egzystuje, jedynie Verdeggo melodye rozlegać się będą. Resztki dawniejszej świetnej armii śpiewaków błyszczą w niektórych miejscach, dożywając z wysileniem ostatnich dźwięków spracowanego głosu, walcząc do ostatka z nowym pokoleniem, śmiało w ich obozowiska wkraczającym. Czy ci szybko kształceni śpiewacy długo starczyć będą mieli siły, to przyszłość nam pokaże; już wielu legło bez wawrzynów nim rozgłos ich imienia przedarł się w odleglejsze strony, od miejsca w którym zawód swój rozpoczęli. Zapewne, że z postępem czasu i metoda wyrobiona na wzorach pomysłów Verdeggo wydoskonalić się musi; a nawet w początkach kwietnia mieliśmy sposobność słyszeć panią Lotti della Santa, śpiewaczkę wyższego rzędu, będącą niejako typem udoskonalonej metody powstałej z utworów Verdeggo.

Pani Lotti della Santa należycie pojmuje styl tego kompozytora: posiada ona wiele bardzo czucia i jest wyborną aktorką, jak to szczególnie okazała w *Mackbecie* i *Trubadurze*. Głos jej piękny mezzosopranowy jeżeli się wydał komu nierówny, a w wyższych tonach mocniejszy, to przecie wpływa tylko z natury rzeczy: gdyż wyższe tony brane zawsze z większym nieco wysileniem, silniejszego muszą być dźwięku, a do tego Verdi zwykle ich używa w miejscach ważniejszych w sytuacji dramatycznej i przeznaczają im dominowanie nad całą maszą działającej orkiestry, chóru i śpiewaków. Oczywiście tony skali średniej zniknęłyby niedosłyszane w powodzi silnej harmonii, więc tylko wysokimi i to z pełnej piersi wziętymi tonami, panować mogą nad innymi. Dlatego głos pani Lotti wydaje się w górnej skali mocniejszym, lecz to jest tylko pozorne, bo równość głosu można poznać jedynie po brzmieniu czyli wibracji i dźwięku; dźwięk zaś wszystkich tonów jej głosu od dolnego *si*, aż do górnego *ut* jest tak równy, że tylko stopniowaniem siły czyli cieniowaniem różnić się może. W *Mackbecie*, wykonanie duetu w pierwszym akcie, tudzież arii w śnie na końcu opery, dostatecznie dowiodło, że ta śpiewaczka posiada wiele czucia, i pojmuje należycie trudne zadanie

roli, oddawszy ją z wielką sztuką dramatyczną. Rola sopranowa w *Rigoletto* wymaga głosu giętszego, więcej zdolnego modulować delikatne odcienia uczuć młodej niewinnej Gildy w akcie drugim; za to trzeci i czwarty akt, jako dramatyczniejszy, lepiej nierównie był wykonany. Szczególniej w scenie wyznania przed ojcem i kwartecie ostatniego aktu, śpiew pani Lotti posiadał tyle rzewności, tkliwości i z tak głębokiem przejęciem się został oddany, że publiczność ciągle ponawiającym się grzmo-tém oklasków wynagrodziła artystkę za nieznanę dotąd wra-żenie.

W *Trubadurze*, rola Leonory była dla pani Lotti prawdziwym trumfem; począwszy od finału drugiego aktu, aż do końca opery, artystka pod względem gry i śpiewu była na wysokości swego zadania. Niewiadomo co trzeba było podziwiać: czy deklamacyą i expressyą śpiewu, czy wzniosłą akcyą drama-tyczną; mianowicie scena konania, prawdziwie po mistrzowsku oddaną była przez tę znakomitą śpiewaczkę. Dopóki Verdi będzie posiadał podobnych tłumaczy swege twórczego talentu, pewnym być może świetnego powodzenia, bo umięją oni wyka-zać zalety, które są najchlubniejszym przymiotem tego kom-pozytora: to jest uczuciowość i zapal, posunięty aż do ostatecznych granic.

Wkrótce zaraz po wyjeździe pani Lotti della Santa, wy-stąpiła na scenie Wielkiego Teatru panna Berini, w nowój operze Verdego pod tytułem: *Violetta* (la Traviata). Napisał ją Verdi w r. 1853 i w teatrze Fenice pierwszy raz była wystawioną; lecz pomimo dobrego obsadzenia ról męzkich, najważniejsza sopranowa, niewłaściwie powierzona była i dlatego opera upadła. Dopiero w kilka lat później, gdy Spezzia wróciła z Warszawy, zdecydowano się dla niej Violettę na nowo przed-stawić i tym razem powodzenie było tak ogromne, że wkrótce na całym półwyspie, pośród największego zapalu w każdym teatrze ją dawano. Treść do niej układał ze znanego romansu Dumasa (syna) *La dame aux camélias* Maria Piave, a chociaż zmienił cokolwiek jej właściwe znaczenie, oddalając epokę dra-matu aż do 1700 r., to wystawa sceniczna wiele na tém zyskała. Bohaterkami tego romansu są kobiety, które opinia publiczna słusznie wzgardą okrywa, a które Dumas mocą swego pióra przedsięwziął bronić, a nawet uzacnić! Nie będziemy rozbierać treści tego utworu: pobudką do niego była spekulacya pisarska, nasza zaś literatura chwala Bogu wolną jest dotychczas od po-dobnych tendencyj; więc chociażby na krótko i pobieżnie nawet, niegodzi się dla takich płodów uchylać gościnnych po-dwoi piśmiennictwa naszego.

Muzyka w tej przedostatniej Verdego operze ma wiele zalet. Introdukcyja pełna życia, drgająca wesołością i pustotą; duet w akcie drugim pomiędzy Violettą i ojcem Alfreda obfity w piękne i rzewne melodye, tudzież finał tegoż aktu z silną

werwą prowadzony, są rękojnią powodzenia tej opery. Akt trzeci jest najlepszy: dla niego też kompozytor zachował najtkliwsze i najrzewniejsze pieśni swego natchnienia. Jeżeli weźmiemy na uwagę zwykłą manierę tego kompozytora, zadziwi troskliwość i staranność instrumentowania tej opery. Zapewne na ona i słabe miejsca, do których można policzyć arya w drugim akcie Alfreda zbyt zużytej i jednostajnej formy, lub niektóre mniej ważne w znaczenie dramatyczne ustępy, będące niejako ogniwem łączącym główne efekta; całość jednakże wynagradza i zadawalnia wiele w tym względzie wymagających, a co najważniejsza, głosy śpiewaków bez przesady, z wszelką troskliwością i bacnością na właściwą naturalność skali są użyte i prowadzone.

Panna Berini sprowadzona umyślnie dla naszego teatru, pierwszy raz wystąpiła w roli Violetty. Głos jej *mezzo-soprano* bardzo miły, nie posiada jeszcze dosyć jednolitości; rejestr wyższy od *fa* do *ut*, słabszym jest od średniego i od dolnego; lecz temu przez troskliwe studia można zapobiedz, a górne tony z czasem należycie wyrobione, odpowiedzą w sile i dźwięku dolnym:— jestto tylko sprawa czasu i pracy. Metoda śpiewu panny Berini wyborna, a w połączeniu z wielkiem czuciem i pełną smaku deklamacją, czyni tę młodą artystkę bardzo pożądanym dla sceny nabytkiem.

II.

Ze sfery dziejów koncertowych od kwietnia do pierwszych dni czerwca, mamy tylko do zanotowania popisy miejscowych artystów, bo oprócz p. Ciardi znakomitego fletrowersisty, który dał się raz jeden słyszeć dnia 22 maja b. r. między aktami *Violetty*, nie mieliśmy wcale obcych wirtuozów, a o pani Delattr-Rafalskiej śpiewaczce, wspominać nawet niewarto. Pierwszym z kolei był koncert panny Pauliny Ostrowskiej, dany w sali Towarzystwa Dobroczyńności, 13 kwietnia. Ta młoda artystka niejednokrotnie już przed publicznością występująca, jak dawniej tak i teraz sprawiła wiele przyjemności licznie zgromadzonym i nieobojętnym na swojskie talenta słuchaczom. Panna Ostrowska upodobała sobie kompozycje Chopina, i oneto były główną podstawą w programie owego poranku muzycznego. Potrzeba wielkiego mechanizmu i należytego zrozumienia ducha utworów tego genialnego kompozytora, by je dokładnie wykonać. Koncertantka bezwątpienia wiele mechanizmu posiada: okazała to przy odegraniu koncertu *F minor*. Trudne ustępy tego utworu oddała z łatwością i czystością niepoślednią: tylko może jedrność w akcentowaniu jest jeszcze zbyt wielką, braknie tam poczęści *legata* czyli miękkości, koniecznej w egze-

kucy dzieł Chopinowskich; lecz zapewne artystka zwrócić na to zechce uwagę, a przez pracę i głębsze wtajemniczenie się w charakter, tudzież zrozumienie ducha właściwego tylko utworom Chopina, nie wątpimy, że stanie się zdolną w całej piękności wykazać ich wdzięk i bogactwo. W polonezie *4 dur*, podziwiano biegłość lewej ręki robiącej znaną w oktawach figurę, a w Scherzu Kątskiego tryll, szczególnież dubeltowy, wykonany był z niezwykłą równością i siłą.

Zdaje się, że nikt nam za złe nie weźmie, jeżeli o amatorach biorących udział w koncertach artystów, z mniejszą pobłażliwością wyrażać się będziemy, jak o tych, co występują w koncertach na cele dobroczynne przeznaczonych. W pierwszym przypadku ulegają na równi z artystami sądowi opinii krytycznej, gdy zaś w drugim, krytyka jest zupełnie rozbrojoną.

Lecz chociaż takie jest nasze przekonanie, jednakże panowie Malinowski i T. Zachorowski nie mają się potrzeby obawiać najsurowszej nawet u nas krytyki w tym względzie. Owszem, wyznajemy, że pomoc, jaką udzielili swemi talentami pannie Ostrowskiej, za zasługę poczytaną im będzie, bo duet z *Mackbetha* dobrze był przez nich odśpiewanym; następnie p. Malinowski wykonawszy romans *l'Ebreo* dowiódł, że posiada wiele wprawy w śpiewaniu, a intonacją ma czystą: gustu dosyć, tylko czucia mało. Piękny głos barytonowy p. Zachorowskiego zawsze z przyjemnością słuchanym bywa; temu utalentowanemu amatorowi brakuje tylko większej wprawy, a ztąd i śmiałości, by *expressya* była swobodniejszą. Odśpiewanie pięknego i pełnego rzewności utworu pod tytułem: *Żal dziewczyny*, znakomitego kompozytora Moniuszki, zrobiło wiele wrażenia; szkoda, iż nasi amatorowie tak mało w podobnych zdarzeniach śpiewają nutą wypowiedziany kawałek, więcej przemówi do duszy i serca słuchaczy, jak tuziny *cavatin* i romansów włoskich, których publiczność nasza już pewnie nie ciekawa słyszeć. Pierwszy raz dający się słyszeć publicznie na skrzypcach p. Nagórny, odegrał kompozycją Artot'a *Souvenir de Bellini*. Nie można odmówić znacznej łatwości w egzekucyi temu amatorowi, lecz grając małym tonem, w sali tak obszernej jak Tow. Dobr. głos jego skrzypców niknął, ze szkodą prawdziwych amatorów tego pięknego instrumentu.

— Dnia 23 kwietnia p. Emil Łapczyński, przed dwoma laty znany nam już fortepianista, wystąpił w Wielkim Teatrze, odegrawszy pierwsze allegro z koncertu *E mol* Chopina, etud *Fis dur* Henselta i *Taniec Czarownic* Drejszoka. Cechą gry tego artysty jest mechanizm wysoko rozwinięty, i wielka sumienność w dokładném wykończeniu najtrudniejszych passaży; lecz jako wirtuozowi koncertowemu, brakuje samodzielności w stylu, swobody, co jest wynikiem dojrzałości artysty w sztuce, a przedewszystkiém czucia. To samo można powiedzieć

i o Dulckenie, który dnia 4 maja dał koncert w sali Towarzystwa Dobroczyńności z tą tylko różnicą, że Dulcken wybiera zawsze do popisu dzieła klassycznych niemieckich mistrzów; jednakże potrzeba mu oddać sprawiedliwość, że we frazowaniu tego rodzaju kompozycji, przebija się dokładne zrozumienie ich ducha, pochodzące z długich, gruntownie i na dobrych wzorach odbytych studyów. Piękny koncert *D minor* Mendelsohna, tudzież duet z *Precyzy* Mendelsohna i Moschelesa, wraz z panem Janotą, koncertant wypowiedział jasno, zrozumiale i o ile mógł uwydatnił ważniejsze zarysy tych niepospolitych utworów; lecz brak ognia i energiczniejszego tuszu, czyni egzekucyą Dulckena chłodną, a z tego względu podobnym jest wiele do Łapczyńskiego, który będąc także w Niemczech kształconym, zdaje się nas przekonywać, że szkoła tamtejsza nie rozwija należycie strony uczuciowej artysty, że krępuje formułami sztuki indywidualny polot ducha, a gra wszystkich mniej-więcej ztamtąd do nas przybywających, odartą jest z potęgi życia. U nas, bez wątpienia trudniej o dokładne wychowanie muzyczne, pomiędzy grającymi mało jest gruntownie wykształconych; lecz więcej jest niezależności i swobody w egzekucyi, więcej ognia i uczucia, a ztąd stosunkowo daleko więcej pięknie i ze smakiem grających. Mógłbym przytoczyć wiele imion nawet pomiędzy płcią piękną, znanych oddawna ze swego talentu, a które w kraju i pod kierunkiem tutejszych przewodników kształcone, świadczą wymownie na korzyść mego twierdzenia; ale nie o to mi teraz głównie idzie: chciałbym jeszcze słów kilka powiedzieć o czterech młodych ludziach, którzy odśpiewali na same głosy kilka ustępów z wielkiem zadowoleniem słuchaczy w wyżej wzmiankowanym koncercie Dulckena.

Pan Studziński członek orkiestry Wielkiego Teatru, przed niedawnym czasem zebrał pp. Mystkowskiego (tenora), Wejnerta (barytona) i Białoskórskiego (bassistę) artystów do składu tutejszej opery należących, i sam z nimi począł pracować nad wykonaniem muzyki czterogłosowej. Usiłowania jego pomyślny skutek uwieńczył. W czterech numerach wykonanych przez p. Studzińskiego i jego kolegów, to jest w *śpiewie wieczornym* (Kuhlauf), *tańcu szkieletów* Studzińskiego (brata, zmarłego przed kilką laty w Krakowie), tudzież *dobréj nocy* (Beutlera) i mazurku (Ciechanowskiego) tyle było precyzyi, czystości i cieniowania, że tylko pozostaje nam uczynić jedno życzenie, by liczba członków śpiewających zwiększyć się mogła, a przez to chór zyska na sile i potędze, której mu dotychczas zbywa. Dowody spółczucia i zadowolenia przez słuchaczy objawione, były nietylko nagrodą za podjęte trudy i prace, lecz także zaczęta do wytrwałości na tak chwalebnie rozpoczętej drodze.

III.

Od ostatniego naszego sprawozdania przybyło wiele nowości muzykalnych, głównie staraniem i nakładem p. Sennewalda wydanych. W istocie, p. Sennewald zyskał sobie niemałą w tym zasługę, bo niczego nie szczędzi, by publikacje swoje postawić na stopie najwytworniejszej; a dobrem, różnaitością i wartością wewnętrzną dzieł, jak może stara się przekonać ogół publiczności, że niekoniecznie wszystko co za granicą napisane, godne jest tylko pokupu. I w tym ma wielką słusność, bo wśród powodzi Vossów, Goriów, Ascherów, Bejerów i t. d. nadzwyczajnie mało jest dzieł rzeczywistej wartości.

Z utworów dopiero przez nas przejranych, pierwsze miejsce dajemy trzem *Oberkom*, pani Julii Niewiarowskiej: nie dlatego, że są przez kobietę ułożone, albowiem względ, jaki mamy na sztukę wcale nas do tego nie obowiązuje; lecz że w nich znajdujemy myśl rodzimą, jędrną pieśń życia, zacerpniętą w czystym źródle melodyi ludowej, a w obrobieniu czyli formie jeżeli nie kunsztowną i niezbyt uczoną, to przynajmniej wolną od kulawych i rażących pretensjami błędów harmonii. Według naszego przekonania, pierwszy z tych oberków jest najlepszy; ma on tylko dwa motywa na kilka części podzielone, ale są ładne i charakterystyczne. Drugi jest znacznie słabszy, szczególnie po pierwszych ośmiu taktach: melodia jest zbyt trywialną; za to trzeci znacznie lepszy, chociaż także pod względem śpiewności nie wyrównywa pierwszemu. Pani N. zdaje się mieć wiele zdolności do tego rodzaju kompozycji: ta pierwsza próba wypadła na jej korzyść, zobaczymy co dalej będzie. Jedną tylko na ten raz uwagę autorce zrobimy, to jest, że zbyt nieśmiało traktuje akkompaniament powierzony lewej ręce; akkorda często niepodopełniane, blade ze swemi rozrzedzonymi dźwiękami wyglądają, a na przykład część ostatnia na 7ej stronnicy zupełnie jest bezbarwną, chociaż bass ciągle mógłby służyć jako podstawa do wielu przechodnich akkordów, a nawet charakter melodyi zdaje się gwałtem o to dopominać.

Oskar Kolberg wydał u Sennewalda *Grande Marche* (dzieło 21). Jestto utwór większych rozmiarów, odznaczający się dobrym pomysłem i piękną harmonią; może cokolwiek za mało w nim melodyi, lecz nie wdając się w szczegółowy rozbiór, który bez użytku zabrałby nam wiele miejsca, śmiało go polecamy wszystkim grającym na fortepianie, jako dzieło rzeczywiście niemałej wartości.

Grand Nocturne p. Henryka Komana (dzieło 8), ma wiele zalet, lubo w samym początku przypomina nieco jeden z nocturnów Chopina. Nie poczytujemy tego za zbrodnią panu K., owszem, jesteśmy przekonani, że żaden z młodych kompozyto-

rów odrazu do samodzielnego stylu nie przyszedł: a im lepszy sobie wzór obiera, tém postępowanie jego w doskonaleniu się pewniejszy. Do wykonania utworu Komana ze strony grającego potrzeba niezwyklej wprawy mechanicznej. Sam autor, jako biegły fortepianista, dzieło, o którym mowa, odział w liczne biegniki lewej i prawej ręce powierzone, przez co utrudnił fakturę, i uczynił je, szczególnież ku końcowi, mniej przystępnem dla ogółu grających.

Teodor Einert, rzadziej pojawiający się na widowni poważniejszych publikacyj muzycznych, wydał także nakładem Sennewalda *Chant sans paroles* (dzieło 3). Jestto kompozycya dosyć zgrabna, formy już może zbyt zużytej, dlatego mniej od poprzednich oryginalna; jednakże nie można jej odmówić pewnych zalet.

Cechą kompozycyj Szopowicza jest zbytne naśladowanie, kalkowanie prawie Chopina. Otóż z *Piosnkami z zakrojem mazurka* wydanemi u Friedlejna, rzecz się ma jeszcze gorzej; bo w pierwszej zaraz uderza myśl wzięta ze znaney niemieckiej pieśni, niesłusznie za polską nutę braney: *Tam na błoniu błyszczy kwiecie*. Częste prowadzenie melodyi w basowym kluczu, do tego jeszcze ubogim piosnkom w melodyą, podorabiawszy introdukcya i zakończenie kształtu niby choralnego, pan Sz. nadal im pozór pretensjonalny chcąc je wznieść do jakiejś balladowo-poetycznej wysokości, zrozumiałej chyba dla samego autora. Brak rytmu w pierwszej introdukcji, harmonia niedosyć poprawna, użycie bassu mniej logiczne od poprzednich utworów Szopowicza, a do tego rażące kwinty i oktawy, naprzykład pomiędzy szóstym i siódmym taktem (str. 10), dwunastym i trzynastym (str. 11), tudzież piątym i szóstym (str. 15); stawiają to dzieło w rzędzie słabych i nieudatnych kompozycyj.

M. K.

Próbki rymowe. Pisał i wydał Romuald Zienkiewicz. Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego. 1856. W 16ce. Str. 220.

Rozkoszą jest postępować w zdumieniu za gieniuszem poety w jego wielkim utworze, który jego i narodu, z którego powstał, sławę od wieku do wieku przenosi; lecz miło także poznawać go w utworach tak drobnych, jak były drobnymi te podziały czasu, w których następowały różne zdarzenia wywołujące jego poetycką zdolność. Poezye drobne, które z samej skromności podobać się mogą, są zawsze probami dowcipu i czucia poety, zawsze wyrażają jego charakter: wesoly Krasińskiego, czuły Karpińskiego, smętny poetów romantycznych

a drobne utwory wielkich poetów zdolne są nawet obudzić w duszy podziwienie, którem przejęty czytelnik lub słuchacz, mimowolnie powtórzy przynajmniej owe stare i znane *Ex ungue*.

Bo któż nie zgodzi się na to, że dobra i chwila szczęścia; i ztądto podobno tak szanujemy w posiedzeniach naszych jedno słówko dowcipne. Liryk francuzki Lebrun bardzo trafnie powiedział:

Gieniusz jest bóstwem wieków,
A dowcip bóstwem chwil (1).

Lubimy może i dlatego drobny plód dowcipu, że on nie rości sobie prawa do nieśmiertelności, jakkolwiek znamy tego rodzaju utwory, co przepłynęły potok wieków; a takimi są np. poezye Anakreonta, Safony, Katulla i w części Horacyusza. Nie chcemy tu przytaczać literatury poetycznej Francuzów, której połowę przynajmniej stanowią ich *Poesies fugitives*, rodzaj z żalem uważany przez ich krytyków za najmniej zrozumiany i najmniej oceniony.

Nie powinno zatem i naszej literatury obrażać, że jej przybywa, czasem po kilka naraz, zbiorów poezyj drobnych i okolicznościowych: te dwa tomy *wierszy Molskiego*, ten *czwarty poczet rymów ulotnych Syrokomli*, te ostatnie tomy *poezyj Józefa B. Zaleskiego*, i wiele innych, z których tu wybraliśmy najmniej jeszcze poznane *Próbki rymowe Romualda Zienkiewicza*.

Poeta, którego już znaliśmy z czułych *Piosenek ludu Pińskiego*, który ulegając losowi tylu innych przed sobą, ociemniał zupełnie, oddaje nam z sercem rozrzewnionem książeczkę, w którą zebrał różne ulotne i okolicznościowe rymy swoje. Nie wiemy jak te drobne utwory gdzieindziej powitane zostaną; ale my przyjmując je mile, pragnęlibyśmy autora mieć serce, ażeby mu wdzięczność za ten niespodziany, a tak nam użyteczny dar okazać. Prawie wszystko co jest w tym zbiorze, możemy dać bezpiecznie dzieciom naszym do czytania, dla którychto tak dziś trudno znaleźć, coś właściwego, coby zawczasu i serce ich i mowę polską prostowało. P. Zienkiewicz bowiem, który sam tak rozsądnie te swoje rymy w krótkiej przedmowie ocenił, bynajmniej nie w myśli ubiegania się o laury, składa ten dar nie wiedząc (jak zwykle bywa z duszą skromną) ile on dla odbierającego wielkim się okaże. Do nas przeto należy powiedzieć, że p. Zienkiewicz w swoich *Próbkach* wystawił wzór (tęm szacowniejszy, że dziś tak rzadki) niewinności myśli, naturalności i prostoty, czystości i uczuć i języka; a więc i prawdziwej poezyi, téj, która swe źródło bierze w sercu, a nie w zamaconej głowie. W kim dusza jest prawa, żadne słówko ust jego nie ujdzie bez sprawienia tysiącom serc radości. To nam tłumaczy, dlaczego nawet proste i zwyczajne

(1) *Le génie est le dieu des âges,
L'esprit est le dieu des instans.*

obrazy, choćby tak stare jak Kochanowski i Drużbacka, tyle dziś nabierają świeżości w rymach p. Zienkiewicza:

„Żóraw po dworze krzycząc podlatuje,
Powrotu braci w niebie wypatruje.
Świergocą wróble, wrzeszczą wrony zrana,
Wnet się rozlegnie i klekot bociana;
Wnet stanie w gnieździe, gdzie wzrósł przy rodzinie,
I białych skrzydeł chorągiew rozwinie.“

Albo:

„Słowiczku mój!
Słodki śpiew twój
W gałązkach rozsiany,
Tak ciszył me rany,
Tak serce me krzepił,
Nadzieję w niem szczepił.
Wieczorna mgła chłodu
Wyjść każe z ogrodu
I ciebie porzucić,
Choć jeszcze masz nucić.
Wychodzę z gaiku,
Tyś za mną, słowiku,
Ku wyjściu przeleciał;
Przez liście drzew,
Twój miły śpiew
Rozsiał się, rozleciał;
Rósł, eichl i omdlewał:
Tyś jeszcze mi śpiewał.“

Ale w poezjach p. Zienkiewicza wszędzie panuje wiosna i radość. On umie cieszyć się nawet nieszczęściem swoim, z chrześcijańską znosząc je pokorą:

„I bez oczu, w pośród błoni
Czuć Cię, Boże, w kwiatów woni....
Z Tobą i noc jest przejrzysta!
Z Tobą życie, zmartwychwstanie,
Dajże Tobą ożyć, Panie.“...

Tak rzadka skromność, z jaką tu poeta przyjmuje nawet uśmiech nadziei, niska z swęj natury cnota, staje się wzniosłą i rodzi rzeczywiście to, co poezją nazywamy. W istocie nie znamy poety, w którymby pokój duszy, pokora i skromność tak poetycznymi były. Umie znaleźć ten pokój nawet wśród udręczeń, które dla wszystkich poetów przed nim tak okrutnymi były. Patrzymy na jego

Udręczenia miłości.

„Zawszeż nam jęczeć niebo przeznaczyło:
Na toż nam czasem promień szczęścia zsyła,
Na toż do raju wzniesie nas na chwilę,
Aby straszliwa, z całych piekieł siłą,
Boleść na łono nasze uderzyła!

.

O moja droga! twych ust uśmiech boski,
Czoło anioła i niewinność w tchnieniu

Rozlały urok na mej duszy troski;
 Straciłem zmysły w szczęścia upojeniu:
 Zdałem się bujać w gwiazdzistym obłoku,
 Gdy m myślą, sercem tonął w twojem oku.
 Przebóg! o jakże krótki sen był złoty!
 Jakże bolesne chwile przebudzenia!

O moja droga! lży miękczą opoki.
 Czyż serce twoje już się nie uzali,
 Że tak ugniata smutek mnie głęboki,
 Ze taki ogień łono moje pali,
 I w wiosny ranku, w najpiękniejszej porze,
 Ginie samotny kwiatek na ugorze.

Patrzmy jaką jest nawet rozpacz w jego sercu:

Gdy memu sercu nie ma już nadziei
 Z żywiołem swoim, połączyć się z tobą,
 Gdy mi odmówisz twej anielskiej ręki;
 Wpółśród zarośli smutnej, dzikiej knieię,
 Zbiegłszy od ludzi, okryty żałobą,
 Niszczony żalem, skończę moje męki:
 O! ty natenczas nie uroń i łezki!
 Bo mi, po smutkach, i bólach, i znoju,
 Promień już mile zaświeci niebieski,
 Za dłoń mnie ujmie już anioł pokoju.“

Jakże serdeczny! On gdy kocha, pragnie kochaną istotę zespolić z tém, co najwznioślejsze dla niego: z naturą i Bogiem; temu dwojgu jego ulubiona podobać się musi:

„Wynijdz, o luba! przyrodzenie całe
 Piersią rodosną i szczeroty głosem
 Opiewa wielkość, nieśmiertelną chwałę
 Tego, co rządzi wszystkich światów losem!

Wynijdz, o luba! usty niewinnemi
 Zlej serca hymny, z hymnem przyrodzenia.

Cichą łagodność i niewinność duszy
 Pan Bóg hojnemi uwienicza łaskami;
 Głos twego serca Pana Boga wzruszy,
 On się, ma droga, zlituje nad nami!“

Mówią, że egoizmem jest miłość, i to ją poniża. Jakże jest wzniosła, gdy miłujący powołuje jej przedmiot do zjednania wszystkim szczęścia!

Przyrodzenie ukochał P. Zienkiewicz. W niem ciągle cerpa: jakże słodko językiem pół miłośnika przemawia

Do dziewczynki.

„Miły nasz kwiatku,
 Modry bławatku!
 Rozkwitaj w błoni zbożowej,
 Oddychaj zdrową
 Wonią miodową
 Różanej zorzy majowej.

Jak tkliwa łezka,
Rosa niebieska
Niech cię urasza obficie,
Na walkę z słońcem
Dopiekającym
Niechaj zasila twe życie!

Gdy się zachmurzy,
Przed wirami burzy
Niechaj cię kłosa ukryją;
Niosące szkody
Gradowe lody
Niech w twoje łono nie biją!

Miły nasz kwiatku,
Modry bławatku!
Kwitnij na błoni zbożowej,
Nim godne dłonie
Wezmąć na skronie,
Do błogiej uczty godowej!

W tych allegoryach P. Zienkiewicz często najlepszym wyrównywa poetom. Zawsze nam pozostanie w pamięci jego

Brzozka płacząca.

„Ożyły drzewa, łąka już zielona,
Tu pieśni ptasząt, tam pieśni oracze;
Lecz brzozka jedna smutkiem pochylona,
Na łące jedna tylko brzozka płacze.

Kto sieje w smutku, ten zbiera w weselu.
I ciebie, brzozko, lepszy los już czeka,
Może po chwilach nawet już nie wielu!...
Ach! iza niewinna, i skały przecieka!

Nad inne drzewka wyjrzyz wonną głową,
W miłym, swobodnie kwitnącym ogrodzie;
Rzeszy roślinnej będziesz tam królową,
A cnota radzić będzie w twoim chłodzie.“

Prawdziwą P. Zienkiewicza zasługą dla języka jest, że wydoskonala, tak chlubnie rozpoczęte przez dawniejszych poetów naszych, których zapominamy dziś niestety! dzieło tworzenia krótkich rymów. Jakże jest giętką i nigdzie się nie złamie różdżka polska w jego najdrobniejszych uplotach:

„Wicher wyje,
W okna bije,
Śnieg rozmiata,
Nie znać świata,
Nie znać drogi na dziedzińcu,
A gdzież droga na gościńcu?“

Albo w tej alluzji o niedoli swojej:

„Słowiczek ujęty,
W klateczce zamknięty,
W ponurym cieniu
Siedzi w milczeniu...
Zatkniże jemu
Ociemnionemu,

W klatki szczeliny
 Wić czeremszyny;
 To choć przez chwilę
 Odetchnie mile
 Świeżemi listkami". . .

W niedoli swojej żywo czuje potrzebę przyjaźni:

„Przyjaźni miła, węzły twoje święte!
 Oneć nie pękną w probierczym płomieniu;
 Imiona w twoim dyamencie rznięte
 Pamięć podaje wieków pokoleniu!”

Z t \acute{e} m sercem człowiek, nie dziw że ma przyjaciół, którym okazuje wdziękność wspomnieniami w rymach swoich. Ten winny mieć początek rymy imionami natchnięte, lub im poświęcone. Widać, że w znakomitym domu i godnym tych wyraż \acute{e} wdziękności, doznaje poeta szczególnego szacunku i macierzyńskiej w swojej niedoli opieki. Miło dowiedzieć się, że wiele domów u nas są świątyniami cichej czci dla talentu dla cnoty, dla zasługi. Kiedyś ubiegano się o tego rodzaju zaszczyt. Domy możnych s \acute{a} to zawsze szkoły świata, w których więc umysły czynne odgadną swój obowiązek. Nawet tam poeta go znajdzie: ilekroć przybywała do jasności domu gwiazda taka, nie było to nigdy zbyt \acute{e} kiem. Błogosławieni potrzebujący jej światła, a którzy je znaleźli. Wtenczas usta dzieci belkocą słowami wieszczą i wnika tych słów serdeczność w napawalne dusze. W nim domownicy aż do sług najniższych zbawienną ufność kładą. On uczy prawdy, on jeden dogodzi tęsknemu życzeniu serce zbolałych: utrwali czulą elegią pamięć żalu obudzonego zgonem osoby ukochanej w rodzinie.

P. Zienkiewicz zostawia w swoich poezjach dostateczne świadectwo jak czuł ten obowiązek i jak go sprawował. Dzięki mu, że i nasze i naszych następców dzieci, powtórzą, co on kazał swoim z ich niewinnością i słodyczą przemówić do dziadunia, do ojca, do matki, nawet do wujaszka:

„Jak dziećmi twemi,
 Jak rodzonemi,
 Tak się zaprzątasz ty nami.
 Wuju nasz złoty!
 Twoje sieroty,
 Bez łez, pod tweimi skrzydłami!”

P. Zienkiewicz ma dar tworzenia doskonałości i dla ust dziecinnych:

„Ach! i my drzewka, i my czucie mamy!
 Oderwą gałąź lub udrą nam kory,
 Wtenczas bolejem jak i każdy chory,
 A z ran i cierpień wędniem, umieramy”.

Owoz nietylko myśli, ale i ich porządek i wysłowienia prawdziwie uczące: podobnie doskonałemi być powinny wszystkie, które od dzieciństwa w pamięć naszą wrazić się mają.

Ale pan Zienkiewicz umie i odmienić ton dla młodego, gdy na jego dalsze przeznaczenie uwagę zwróci. Obraz bohatera w dziecinnych latach (str. 12) tak kończy:

„Sięgając duszą wyżej, ponad ziemię,
On nie wyklamię podwojnego lica;
Pylek przewinień cięży mu jak brzemię,
Wnet błąd mu zmywa łzą rzewną żrenica.

I serce kształci i umysł młodzieńczy,
Z czasem dojrzewa w potężnego męża;
Kraj go pomnikiem i pieśniami wieńczy
Za dzieła duszy i dzieła oręża”.

Żadnej karty tych poezyj nie splamiło pochlebstwo, tak nierozdzielne od nieszczęść poetów, dla których hipokreny pod progami możliwych wytrysły. Jak widzieliśmy tę szlachetną duszę nawet na niedole jej obojętną, tak równa tej obojętności na wszelkie korzyści ziemskie. Owszem, u niego:

„Możnym rdza zgryzoty
Zmierzi puchar złoty;
Wspomną, że w ubóstwo
Wcieliło się bóstwo”.

A dalej, rozchmurzając posepność młodego, zapewnia go, że

„Gdy w wspólnej niedoli
Wszystkich coś zaboli,
Bogaci i biedni
Będą sercem jedni”.

Powiedziano, że poeta jest popularnym filozofem, nauczycielem mądrości. Chciałbym widzieć złotymi literami wypisaną przestrożę dla ociągających się z niesieniem wsparcia, w tych zwrotkach zawartą:

„I dobrzy ludzie zbiegną się do ciebie,
Dłoń ci podadzą, poświęcając siebie.
Lecz, jeśli kiedy głos nędzy nieśmiały
Odbił się od twej duszy jak od skały,
Pomoc, coć błysnie,
Zalem cię ściśnie.

Jęk prośb powtórzy w twojej duszy echo,
Zechcesz pośpieszyć z pomocą, pociechą;
Lecz już zapóźno, nie wsparty już w grobie,
Już straszny robak wpelznął w duszę tobie
I gryzie łono,
Jak gałąź zieloną”.

Pełno jest użytecznych nauk w tak niewielkiej księdze tego mędrca moralisty, a który je umie wysłowić tak przyjemnie, tak zrozumiale dla każdego wieku i stanu, czyto gdy uczy o szczęściu:

„Któż sobie szczęścia nie życzy na świecie!
Pragnie go starzec jak i małe dziecię.
Lecz gdzież go szukać i jakaż doń ścieżka?
W jakichże górach niedostępnych mieszka?
— Ach! w sercu naszym”

czy też, gdy ograniczając się do cnót domowych, maluje nam cierpliwą kobietę (str. 164):

„O kobieto cierpliwa! twa słodycz aniola,
Wpóśród burzy pożycia, zawichrzeń i gromu,
W jednej chwili pogodę napowrót przywoła
I różdżkę zieleniącą zaszczepli wśród domu” . .

czy nawet, gdy do służi głos obróci:

„Do jakiego Bóg stworzył, nie gardźmy tym stanem:
Nieraz lepiej być służą aniżeli panem.
Bądźże wierny, życzliwy dla twojego pana,
Poskocz chętnie w usługę; pierwszy wstawaj z rana,
Bądź ochoczy: bądź pilny, wnet zrób co ci każę;
Nie napuszaj się gniewem, choć cię i poswarzą.
A każdemu dogodzisz, choćby był ladaco,
Błogosławieństwo boże spocznie nad twą pracą,
I pod starość odetchniesz nad obfitym chlebem,
Wesoły, zasłużony przed ludźmi i niebem”.

Ale nam, nie poetom, w uniesieniach radości zahamować się należy. Sądziłibyśmy nawet, żeśmy zanadto przywłaszczyli sobie prawa, które tylko wydawca próbek p. Zienkiewicza miałby do nich, gdybyśmy nie mogli zapewnić, że w nich, gdzie się książka otworzy, wszystko ładne; i nie wiedzieć co ładniejszego, gdy się czyta *Życie* (str. 171), *Tęsknoś* (str. 48), *Zgoda* (str. 57), *Dziewczynka do Matki Boskiej* (str. 14), *Kurhanek* (str. 161), *Z powodu processyi Bożego Ciała* (str. 203) i. t. d. A że nie poetami jesteśmy, niech nam wolno będzie zimniej p. Zienkiewicza ocenić. Łagodność, niewinność i wdzięk po jego poezjach rozlane, to jego duszy przymioty. Lecz jego zasługa rzeczystwa jest w rzadkiem staraniu o poprawność tych drobnych rymów. Błogosławiona poprawność, owoc pracy, która najdrobniejszemu utworowi nadaje artystyczności powab! Ta sumiennosc w utworach p. Zienkiewicza jakże jest dobroczynna w wieku zaczynającym smutnie „bożec”, w którym pomącenie strumyków naszych, kwiatów podeptanie, potłuczenie imaginacyi naszej, śmiałe wygłaszanie drukiem raptularzy: oto dary naszych rozpotężniałych muz miejscowych, a które tylko świętość sumiennosci, jakiej p. Zienkiewicz dał przykład, zdolna jest zwrócić pod prawa rozsądku i szanowanie ich nakazać.

Antoni Waga.



ROZMAITOŚCI.

Poczet uczczonych pomnikami w katedrze na Wawelu.

Starowolski, Sołtyk, H. Pruszczyk, A. Grabowski, J. Mączyński, Wurzbach i inni, to z artystycznego względu, to dla prostego wyliczenia spisywali pomniki katedry krakowskiej; przecież jedni opuszczali tych, co im zaletnych sztuką nie wzniesiono sarkofagów, inni nie chcieli się trudzić odczytaniem gockich wikłanin, a jeszcze innym nie na rękę było po drabinach się spinać, aby sprawdzić, ażali poprzednicy dobrze napis odczytali. Ztąd nietylko nie uzupełniano *Monumentów* Starowolskiego, ani poprawiano mnóstwa błędów, któremi tę szacowną książkę zasiał drukarz czy korektor; ale nadto z omyłek w omyłki idąc, niemało fałszywych dat potomnym przekazano. Owe uchybienia tyżące się opisów grobowców królewskich, sprostowaliśmy w artykule niedawno w *Czasie* (r. 1856 nra 33, 34, 36), zamieszczonym; teraz dany poczet nazwisk ludzi na Wawelu pomniki i nagrobne mających napisy, dołączając daty urodzin i śmierci, jak je nagrobki wskazują. Jestto wyciąg z odpisu epigrafów na wawelskich pomnikach, któryśmy (nie oglądając się na książki) uskuteczнили na miejscu. Mechaniczna to praca, ale myślimy, że dla badaczy dziejów ojczytych nie będzie bez pożytku. Poczet ten podajemy porządkiem abecadła, dla łatwiejszego znalezienia się w gromadce imion i dat; wreszcie dołączamy wykaz nazwisk ludzi, których grobowce w Starowolskim jeszcze i Sołtyku wymieniono, a w katedrze ich dziś nie ma. Gdy Wurzbach w swojej książce (*die Kirchen der Stadt Krakau, Wien 1853*), przytacza epigrafy tych pomników, z wspomnianych wypisując je źródła; więc po szczegóły odsyłamy do jego dzieła nra. wskazując. Także przy istniejących w katedrze pomnikach, powołujemy się na stronnice, gdzie je Starowolski lub Sołtyk podali. Z tych cyfer na kamieniach

nagrobnych wrytych, łatwo, ktoby chciał, poprawi błędy w biografiach, z powodu przepisywania z książki w książkę poczynione.

Otóż i ów poczet mężów, których pamięć Wawel przechował, wypuszczając pomniki w wieku naszym wznesione.

Barski Jan Dr. praw, teolog królowej Anny Jagiellonki. archidyakon krak. 1601 r. (Starow. str. 42. Kat. ks. Łętowskiego tom II str. 11).

Bieńkowski Korwin Ignacy scholastyk krak. † 1793 r. licząc lat 71; (o nim tylko w Kat. ks. Łęt. II, 30).

Boratynski Piotr kaszt. bełz. starosta samborski † 1558 r., żył lat 49 (Starow. str. 30).

Borek Stanisław Dr. praw, dziekan krak. kantor gniezn. kanclerz i kanon. wrocł. † 1556 r. (Starow. str. 21; Sołtyk str. 125; Wurzbach nr. 207; Kat. ks. Łęt. II, 61).

Brudzyński z Brudzyna Stanisław, krakow. i sandom. kanonik. † 1690 r. żył 67 lat (Sołtyk str. 42, Wurzbach nr. 76, Kat. ks. Łęt. II, 99).

Brzeski z Brzezia Alexander kanonik krak. archid. zawichostski sekr. król. † 1654 r. żył lat 57, (Sołtyk str. 63, Wurzb. nr. 141, Kat. ks. Łęt. II, 100).

Choiński Jan biskup krak. † 1538 r. żył lat 51, (Sołtyk str. 62, Wurzb. nr. 140, Kat. ks. Łęt. II, 100 bisk.)

Chomentowski Stanisław wojew. braclaw. i mazow. hetman, spoczywa w Samborze; tu ma tylko napis nagrobny, położony 1786 r.

Chronowski Krzysztof z Chronowa krak. i sand. kanon. scholastyk kielecki, sekr. król. † 1680 r. w wieku 52 lat (Sołtyk str. 105, Wurzb. nr. 194, Kat. ks. Łęt. II, 114).

Ciekliński Andrzej kan. krak. † 1591 r. (Starow. str. 32, Wurzb. nr. 263, Kat. ks. Łęt. II, 118).

Dambrowski Stanisław Dr. praw, archid. gniezn., krak. i wladysl. kanonik † 1575 r., żył lat 73, (Starow. str. 35, Sołt str. 21, Wurzb. nr. 47, Kat. ks. Łęt. II, 165).

Dębiński Walenty kasz. krak. † 1584 r. żył lat 80 (Sołtyk str. 66, Wurzb. nr. 151).

Dembski Paweł suffragan, kanon., wikary i oficyał generalny krak. † 1613, żył lat 79, (Starow. str. 18, Sołtyk str. 75, Wurzb. nr. 163, Kat. ks. Łęt. II, 175).

Dobrocieski Mikołaj Dr. praw. krak. i sandom. kanon. † 1608 r., żył lat 49, (Starow. str. 41, Sołtyk str. 26, Wurzb. nr. 53, Kat. ks. Łęt. II, 194).

Foks Jan Dr. praw archid. krak. protonot. apostoł. sekr. król. † 1636 r. (Starow. str. 28, Sołt. str. 25, Wurzb. nr. 52, Kat. ks. Łęt. II, 235).

Fryderyk kardynał † 1503 r., żył lat 30, (Wurzb. nr. 212).
Frydrychowski Jan kan. krak. i sand. sekr. kr. † 1625 r. licząc lat 56 (Starow. str. 48, Sołt. str. 113, Wurzb. nr. 203, Kat. ks. Łęt II, 237).

Gamrat Piotr biskup krak. i gniezn. (Starow. str. 51, Sołtyk str. 78, Wurzb. nr. 169, Kat. ks. Łęt. II, 105 bisk.).

Garczycki Grzegorz kanon. skalm. † 1734 r., (Sołt. str. 64, Wurzb. nr. 143).

Garliński Paweł kan. krak. i władysł. sekr. król. † 1634 r. (Starow. str. 18, Sołtyk str. 76, Wurzb. nr. 164, Kat. ks. Łęt. II, 239).

Garwaski Stanisław dziekan plocki, kan. krak. sekr. król. † 1635 (Starow. str. 32, Wurzb. nr. 264, Kat. ks. Łęt. II. str. 240).

Gembicki Piotr biskup krak. † 1654 r. żył lat 70, (Sołtyk str. 43, Wurzb. nr. 77, Kat. ks. Łęt. II, 204 bisk.).

Górski Stanisław krak. i plocki kanon. † 1572 r. żył lat 74. (Kat. ks. Łęt. III, 15, przytoczony inny nagrobek, a nie ten, który tu ma w kapl. Trzech Królów).

Górski Jakób Dr. praw: archid. gniezn., kanon. i archiprezb. krak. professor akad. krak. † 1585 r. (Starow. str. 32, Sołt. str. 103, Wurzb. nr. 192, Kat. ks. Łęt. III, 1).

Grajowski Andrzej Dr. praw. arhid. krak. kan. poznań. sekr. król. † 1573 r., (Starow. str. 47, Wurzb. nr. 308, Kat. ks. Łęt. III, 37).

Greglicki Wojciech Dr. praw, lingwista wschodni, kolegiaty Zamościa kustosz. † 1670 r.

Grochowski Jerzy dziekan przemyski, sekr. król. † 1659 r., pochowany w Przemyślu (Starow. str. 51, Sołtyk str. 79, Wurzb. nr. 172, Kat. ks. Łęt. III, 41. Ostatni jak często tak i tu ma dwie daty śmierci: mylną z Starowolskiego, a drugą z akt kapituły zgodną z pomnikiem).

Grodzicki Józef Benedykt kan. krak. † 1783 r. życia 83 (o nim tylko w Kat. ks. Łęt. III, 44).

Grot Jan biskup krak. † 1342 r. ciało jego do kaplicy gdzie napis przeniesiono 1732 r. (Sołtyk str. 66, Wurzb. nr. 150, Kat. ks. Łęt. I).

Izbiński Marcin scholast. krak. archid. poznań. † 1594 r. wieku lat 80, (Starow. str. 43, Sołtyk str. 19, Wurzb. nr. 43, Kat. ks. Łęt III, 102).

Kielczewski Dominik biskup hermopolitański, Sufragan chełmski, kanon. krak. łowiecki, kielecki † 1776 r., (Sołtyk str. 106, Wurzb. nr. 195, Kat. ks. Łęt. III, 127).

Kmita Piotr marsz. w. koronny, wojew. krak. † 1505 r.

Kmita Piotr wojew. krak. marsz. państwa † 1553 r. licząc lat 76. (Starow. str. 27, Sołt. str. 9; Wurzbach nr. 205).

Komecki z Kownat Jan kanon. krak. władysł. plocki. † 1702 r. żył lat 67 (Sołtyk str. 99; Wurzbach nr. 186; Kat. ks. Łęt. III, 153).

Komecki z Kownat Sebastyan kan. krak. władysł. i sandom. sekr. król. † 1680 r. żył lat 68 (Sołtyk str. 99; Wurzb. nr. 187; Kat. ks. Łęt. III, 153).

Konarski Jan biskup krak. † 1525 (Kat. ks. Łęt. II, 58 bisk. Starow. str. 39).

Kościelecki Jędrzej kaszt. wojnicki, podskarbi w. kr. † 1515 r. (Starow. str. 39; Wurzb. nr. 133).

Kraśiński Stanisław archid. krak. schol. gniezn., kustosz plocki, sekr. król. † 1598 r. żył lat 64 (Starow. str. 26; Wurzb. nr. 244; Kat. ks. Łęt. III, 173).

Krzyżakowski Franciszek not. zamkowy krak. † 1631 r. żył lat 48 (Starow. str. 35; Sołt. str. 13; Wurzb. nr. 225).

Kuczborski Walenty krak. i warm. kanonik, sekr. król. † 1573 r. żył lat 47 (Starow. str. 35, Sołtyk str. 21, Wurzbach nr. 46, Kat. ks. Łęt. III, 215).

Lipski Jan Alexander biskup krak. kardynał † 1746 r. żył lat 56 (Sołtyk str. 101; Wurzb. nr. 190; Kat. ks. Łęt. II, 234 bis.).

Lipski Andrzej biskup krak. † 1631 r. żył lat 59 (Starow. str. 49; Sołtyk str. 100; Wurzb. nr. 189; Kat. ks. Łęt. II, 177).

Łącki Maciej Dr. praw. rektor akad. krak. archid. gniezn. scholast. władysław. dziekan łowicki, kan. krak. † 1557 r. żył lat 50 (Starow. str. 35; Sołtyk str. 47; Wurzb. nr. 81; Kat. ks. Łęt. III, 291).

Lukasz Dr. św. Teol. kan. krak. praeposit. oświęcimski † 1634 r. (Starow. str. 49; Sołtyk str. 104; Wurzb. nr. 193; Kat. ks. Łęt. III, 321).

Łopacki Jacek Dr. medycyny i teologii, archiprez. kościoła N. M. Panny w Krak. kanon. krak. dziekan sandom. † 1761 r. (Sołtyk str. 91; Wurzb. nr. 177; kat. ks. Łęt. III, 296).

Łubiński Kazimiierz biskup krak. † 1719 r. żył lat 67 (Sołtyk str. 44; Wurzb. Nr. 78; Kat. ks. Łęt. II, 227 bisk.).

Łuczkiwicz Jan kan. krak. † 1726 r. żył 56 lat (Sołtyk str. 23; Wurzbach nr. 51; Kat. ks. Łęt. III, 319).

Maciejowski Samuel kanclerz bisk. krak. † 1550, żył lat 52 (Star. str. 49; Sołt. str. 111; Wurzb. nr. 201; Kat. ks. Łęt. II, 117 bisk.).

Małachowski Jan biskup krak. † 1693 r. żył lat 69 (Sołt. str. 114; Kat. ks. Łęt. II, 216 bisk.).

Mniszech Jerzy Wandalin kaszt. krak. † 1780 (Sołt. str. 72, Wurzb. nr. 168).

Montan Jakób filoz. i med. Dr. kanon. krak. † 1580 r. (Starow. str. 43; Solt. str. 20; Wurzb. nr. 44; kat. ks. Łęt. III, 349).

Morski Jerzy kan. krak. i władysław † 1707 r. żył lat 54. (Sołtyk str. 45; Wurzb. nr. 79; kat.ks. Łęt. III, 350).

Neiman Jakób Dr. praw. kan. krakow. rektor akademii. † 1641 (Starow. str. 41; Sołtyk str. 27; Wurzb. nr. 54; Kat. ks. Łęt. III, 357).

Niewiarowski Kasper kan. krak. sekr. król. † 1629 r. życia 58 (Starow. str. 33; Wurzb. nr. 266; Kat. ks. Łęt. III, 369).

Oborski Mikołaj bisk. laodycejski, scholastyk krak. † 1689 r. w wieku 78 (Solt. str. 84; Wurzb. nr. 175; Kat. ks. Łęt. III, 381).

Oborski Tomasz biskup laodycejski, sufragan krak. † 1645 r. żył lat 74 (Starow. str. 20; Solt. str. 69; Wurzb. nr. 166; Kat. ks. Łęt. III, 383).

Olszowski Andrzej kan. krak. † 1747 r. żył lat 82 (Sołtyk str. 65; Wurzb. nr. 144; Kat. ks. Łęt. III, 418).

Padniewski Filip biskup krak. † 1572 r. (Starow. str. 44; Solt. str. 19; Wurzb. nr. 42; Kat. ks. Łęt. II, 129 bisk.).

Pegowski Andrzej archid. krak. sekr. król. † 1689 (Solt. str. 94; Wurzb. nr. 181; Kat. ks. Łęt. III, 440).

Pienkowski Andrzej kan. krak. i tarn. † 1693 w wieku 78 (Solt. str. 95; Wurzb. nr. 182; Kat. ks. Łęt. III, 452).

Podowski Łukasz praeposit. gniezn. kan. krak. sekr. król. † 1584 r. (Star. str. 31; Sołtyk str. 110; Wurzb. nr. 198; Kat. ks. Łęt. III, 468).

Poniatowski Maciej kan. krak. opat tyniecki. † 1660 r. żył lat 51 (Solt. str. 79; Wurzb. nr. 171; Kat. ks. Łęt. III, 471).

Prandota Jan biskup krak. † 1266 (Starow. str. 41; Solt. str. 37; Kat. ks. Łęt. I).

Pruski Łukasz kan. krak. † 1643 r. żył lat 72 (Solt. str. 64; Wurzb. nr. 142; Kat. ks. Łęt. III, 500).

Rogalli Józef kan. krak. kustosz kielecki. † 1765 (Solt. str. 80; Wurzb. nr. 173; Kat. ks. Łęt. IV, 6).

Rożnowski Tomasz kan. krak. † 1540 (Starow. str. 50; Solt. str. 97; Wurzb. nr. 184; Kat. ks. Łęt. IV, 9).

Rudzki Stanisław kan. krak. † 1631; żył lat 45 (Starow. str. 30; Wurzb. nr. 258; Kat. ks. Łęt. IV, 18).

Rusocki Hieronim krak. i plocki kanon. praeposit. oświęcimski † 1681 r. żył lat 52. (Sołtyk str. 27; Wurzb. nr. 57; Kat. ks. Łęt. IV, 21).

Sabinus Bartłomiej fizyk królewski, archid. lubelski. † 1556 r. (Starow. str. 29; Wurzb. nr. 255; Kat. ks. Łęt. IV, 24).

Sapelli Krzysztof teol. i med. Dr. kan. krak. i kielec. † 1648 r. żył lat 60 (Starow. str. 45; Solt. str. 17; Wurzb. nr. 40; Kat. ks. Łęt. IV, 30).

Sarnowski Szymon kantor krak. ur. r. 1576, † 1639 (Starow. str. 43; Sołt. str. 21; Wurzb. nr. 45; Kat. ks. Łęt. IV, 32).

Sarnowski Jakób kantor krak. i sand. † 1682 r. (Sołt. str. 29; Wurzb. nr. 58; Kat. ks. Łęt. IV, 31).

Seląg Jan kan. wrocł. † 1552 (Starow. str. 20; Sołt. str. 71; Wurzb. nr. 167).

Serebryski Wojciech tarn. i krak. kan. sekr. król. † 1649 (Starow. str. 53; Sołt. str. 74; Wurzb. nr. 161; Kat. ks. Łęt. IV, 35).

Sigoni Daniel Dr. teologii, professor. kan. krak. † 1638 r. żył lat 75 (Starow. str. 42; Sołt. str. 29; Wurzb. nr. 59; Kat. ks. Łęt. IV, 44).

Skarzewski Stanisław schol. krak. kanon. płocki † 1625 r. (Starow. str. 49; Sołt. str. 97; Wurzb. nr. 185; Kat. ks. Łęt. IV, 49).

Skidziński Piotr kan. krak. † 1616 r. żył lat 37 (Starow. str. 48; Sołtyk str. 112; Wurzb. nr. 202; kat. ks. Łęt. IV, 57).

Smielowski Adryan kanon. gniezn. i krak. † 1666 r. żył lat 54 (tylko Kat. ks. Łęt. IV, 62).

Sołtyk Kajetan Ignacy bisk. krak. † 1788 r. żył lat 73 (tylko Kat. Łęt. II, 242).

Sołtyk Hieronim kan. krak. † 1562 r. żył lat 33 (Sołt. str. 38; Wurzb. nr. 74; Kat. ks. Łęt. IV, 72).

Szczepkowski Bartłomiej kan. WW. ŚŚ. w Krak. † 1664 (Sołt. str. 102; Wurzb. nr. 191).

Szaniawski Konstanty Felicyan bisk. krak. † 1732 r. żył lat 64 (Sołt. str. 51; Wurzb. nr. 131; Kat. ks. Łęt. II, 230 bisk.).

Szembek ze Słupowa Ludwik sekr. koronny, krak. i warm. kan. † 1710 (Sołt. str. 89; Wurzb. nr. 176; Kat. ks. Łęt. IV, 113).

Szwykowski Samuel Kazimiérz kan. krak. † 1752 r. żył lat 84 (Sołt. str. 66; Wurzb. nr. 145; Kat. ks. Łęt. IV, 112).

Szypowski Adam z Białej, kan. krak. i kielec. † 1626 (Starow. str. 48; Wurzb. nr. 309; Kat. ks. Łęt. IV, 126).

Szyszkowski Marcin bisk. krak. † 1630 r. żył lat 76 (Starow. str. 30; Wurzb. nr. 257; Kat. ks. Łęt. II, 170, bisk.).

Tarło Jan wojew. sandom. dyplomata. † 1786 r. (Sołtyk i Wurzbach opuścili nagrobek jego).

Tarnawski Gabryel senator † 1632 (Starow. str. 18; Sołtyk str. 73; Wurzb. nr. 160).

Tomicki Piotr biskup krak. podkanclerz państwa. † 1535 r. żył lat 71 (Starow. str. 21; Wurzb. nr. 154; Kat. ks. Łęt. II, 74 bisk.).

Trzebicki Andrzej biskup krak. † 1679 r. (Sołtyk str. 81; Wurzb. nr. 174; Kat. ks. Łęt. II, 208 bisk.).

Tyliński Piotr bisk. krak. † 1616 (Starow. str. 45; Sołtyk str. 124; Wurzb. nr. 206; Kat. ks. Łęt. II, 162 bisk.).

Wargawski Rafał Budek z Wargowoy kanon. władysław. i krak.; na nagrobku nie ma daty śmierci, która w połowie XVI wieku przypadła. (Starow. str. 36; Sołt. str. 22; Wurzb. nr. 48 Kat. ks. Łęt. IV, 206).

Wodzicki Michał z Granowa biskup przemysł. kanclerz państwa. † 1765 r. żył lat 82 (tylko w Kat. ks. Łęt. IV, 234).

Zadzik Jakób biskup krak. kanclerz państwa † 1642 r. żył lat 60 (Star. str. 37; Sołt. str. 57; Wurzb. nr. 134; Kat. ks. Łęt. II, 194 bisk.).

Zając Stanisław z Pabianic, kapelan Anny Jagiell. † 1602 (Sołt. str. 46; Wurzb. nr. 80).

Zaluski Andrzej biskup krak. † 1758 r. żył lat 63 (Sołt. str. 68; Wurzb. nr. 152; Kat. ks. Łęt. II, 237).

Zbąski Jan sekret. król. dziekan krak. pozn. praeposit. † 1541; żył lat 48 (Starow. str. 33; Wurzb. nr. 271; Kat. ks. Łęt. IV, 303).

Zdrojowski Łukasz kan. krak. † 1648 (Wurzb. nr. 227; Kat. ks. Łęt. IV, 309).

Zebrzydowski Mikołaj wojew. krak. marsz.; napis. który mu poświęcił kanonik Zebrzydowski 1675 r. (Sołt. str. 93; Wurzb. nr. 180).

Zebrzydowski Andrzej bisk. krak. † 1560 r. żył lat 64 (Starow. str. 50; Sołtyk str. 92; Wurzb. nr. 179; Kat. ks. Łęt. II, 124 bisk.).

Zebrzydowska Katarzyna żona Jana starosty lanck. i korczyńskiego, miecznika; † 1643; (Starow. str. 52; Sołt. str. 77; Wurzb. nr. 165).

Złowodzki Wojciech kust. krak. kan. sandom. † 1694 r. żył lat 56 (Sołt. str. 30; Wurzb. nr. 60; Kat. ks. Łęt. IV, 317).

Żydowski Marcin gnieźn. i krak. kanon. † 1572 r. żył lat 50 (Starow. str. 31; Sołtyk str. 111; Wurzb. nr. 199; Kat. ks. Łęt. IV, 319).

Taki jest poczet mężów, których pomniki Wawel przechował dotąd; wyłączając tych, których pamięć w najświeższych (po r. 1794) uczczono tutaj czasach. Królów, ich żon i potomstwa liczy katedra krakowska nagrobków i napisów co do liczby 20, oprócz tych wykazanych tutaj 101, razem 121. W podanym poczcie ma pomniki: 2 kardynałów, 2 biskupów krakowskich, 67 dostojników kapitulnych, a tylko 11 ze szlachty świeckiej i 1 kobieta. Jak więc krakowski kościół N. M. Panny można nazwać ze względu na pomniki mieszczańskim, tak katedra jest właściwie królewsko-duchowną, to jest taką, jaką być winna pierwsza w stolicy świątynia. Pamięć szlachty świeckiej tu albo z płomieniami częstych pożarów zgasła, albo niezwykle byli uwie-

czniać ją w tym przybytku. W stolicy siedział król i wierna rada duchownych, a szlachta umierała przy pługu lub na polach bitew i u kresów granicznych, a chowała się na pobojuwisku, w domowej zagrodzie i w klasztorach.

Przejdźmy jeszcze dziś istniejące pomniki katedry podług biegu wieków: wskazując liczbę ile tu z którego stulecia nagrobków zostało, włączymy i królewskie grobowce. I tak z XIV wieku przechowało się pomników 2, z XV 3, z XVI 36, z XVII 54, z XVIII 22 (do r. 1794). Napisów objaśniających dedykacye i erekcyje kaplic tutaj nie liczymy.

Wreszcie przychodzi nam uzupełnić poczet niniejszy wykazem pomników, które Starowolski, Sołtyk a za nimi Wurzbach podają, a w katedrze dziś takowe nie istnieją. Takich pomników co do liczby jest 66; cytujemy przy nich nra Wurzbacha i Katalog ks. Łętowskiego, o których w nim wzmianka. Przywodzimy Wurzbacha, bo w nim są znów odwołania na Starowolskiego; a zarazem okazuje się, jak ten autor katedrę opisywał, wypisując te 66 pomników jako istniejące dotąd: co i inni robią.

Bątkowski Stanisław Dr. teologii, akademik, kan. krak. † 1617 (Wurzb. nr. 243; Kat. ks. Łęt. II, 20).

Barzy Stanisław wojew. i starosta krak. i śniatyń. † 1571 r. (Wurzb. nr. 254).

Bedliński Mikołaj scholastyk kan. krak. † 1590 (Wurzb. nr. 289; Kat. ks. Łęt. II, 16).

Belza Marcin prof. akad. kan. krak. † 1542 (Wurzb. nr. 232; Kat. ks. Łęt. II, 22).

Z Błonia Maciej lekarz królów Alexandra i Zygmunta, kan. krak. † 1517 r. (Wurzb. nr. 304, Kat. ks. Łęt. II, 39).

Borek Jan kasztelan wiślicki. † 1430 r. (Wurzb. nr. 285).

Brzeziński Sebastyan praepos. oświęcimski, kan. krak. † 1601 r. (Wurzb. nr. 294; Kat. ks. Łęt. II, 102).

Z Czystowa Jan syn Jana kaszt. krak. † 1475 (Wurzb. nr. 313).

Czepiel Mikołaj protonot. apost. kanon. krak. wrocł. sandom. † 1518; (Wurzb. nr. 318; Kat. ks. Łęt. II, 160).

Drozdowski Chrystyan archid. płock. kan. krak. (Wurzb. nr. 235; Kat. ks. Łęt. II, 205).

Dunin Andrzej starosta brzeznic. i bolesławski. † 1522 (Wurzb. nr. 250).

Z Elgoty Jan scholast. i oficyał krak. akademik. † 1452 r. (Wurzb. nr. 283; Kat. ks. Łęt. II, 218).

Gądkowski Bartłomiej archid. krak. † 1554 (Wurzb. nr. 311 Kat. ks. Łęt. II, 244).

Z Głowni Paweł dziekan krak. † 1493 (Wurzb. nr. 275; Kat. ks. Łęt. II, 257).

Gorczyński Piotr kan. krak. rektor akad. † 1616 (Wurzb. nr. 278; Kat. ks. Łęt; II, 261).

Gorra Andrzej archid. kurzelewski. † 1520 r. (Wurzb. nr. 312; Kat. ks. Łęt. II, 265).

Goślicki Paweł kanon. płock. i krak. † 1590 (Wurzb. nr. 259; Kat. ks. Łęt. III, 23).

Grodzicki Maciej Dr. medycyny, krak. gniezn. pozn. kanonik. † 1517 r., (Wurzb. nr. 277, Kat. ks. Łęt. III, 44).

Groth syn kaszt. krak. † 1412 (Wurzb. nr. 282).

Grotkowski Stanisław gniezn. krak. sand. kanon. † 1573 r. (Wurzb. nr. 268, Kat. ks. Łęt. III, 45).

Januszowicz Bartłomiej Dr. praw, kan. krak. † 1649 (Wurzb. nr. 295, Kat. ks. Łęt. III, 93, podany rok † 1644).

Jarosław archid. krak. † 1339 (Wurzb. nr. 286, Kat. ks. Łęt. III, 94).

Z Kamieńca Marcin wojew. podolski. † 1530 r. (Wurzb. nr. 267).

Karukowski Jan bisk. kijowski. † 1522 r. (Wurzb. nr. 315, Kat. ks. Łęt. III, 104).

Karnkowski Marcin dziekan gniezn., kan. krak. † 1631 r. (Wurzb. nr. 236, Kat. ks. Łęt. III, 107).

Kijowski Wojciech krak. wład. warm. kanonik. † 1506 (Wurzb. nr. 287, Kat. ks. Łęt. III, 127).

Kochanowski Jan kanon. gniezn. i krak., jak jego imiennik poeta. zmarł w Lublinie 1613 r., gdzie go kap. krak. na trybunał koronny posłała (Wurzb. nr. 262, Kat. ks. Łęt. III, 134).

Komorowski Adam kan. krak. administr. opactwa wąchockiego. † 1647r., (Wurzb. nr. 197, Kat. ks. Łęt. III, 156).

Korczbach Jan dziekan. gniezn. schol. płocki, kan. krak. † 1578, (Wurzb. nr. 280, Kat. ks. Łęt. III, 163).

Kraśński Jan kan. krak. sekr. król. † 1612 r. (Wurzb. nr. 245, Kat. ks. Łęt. III, 170).

Kretkowski Erazm archid. i oficyał krak. † 1639 r., (Wurzb. nr. 196, Kat. ks. Łęt. III, 175).

Krzykowski Scibor kan. krak. wład. łączyc. kruśw. sekr. król. † 1573 r., (Wurzb. nr. 229, Kat. ks. Łęt. III, 211).

Z Kurozwęk Stanisław kan. krak. podkanclerz koronny. † 1528 (Wurzb. nr. 299, Kat. ks. Łęt. III, 226).

Łępicki Jakob kan. krak. i gniezn. protonotar. Apost. Dr. praw. † 1608 r. (Wurzb. nr. 246, Kat. ks. Łęt. III, 292).

Z Mierzyna Jakob wicekustosz kat. krak. † 1571 (Wurzb. nr. 276).

Mniszek Mikołaj starosta sokalski. † 1551 (Wurzb. nr. 320).

Moskorzewski Klemens hrabia na Dobczycach i Kamieńcu, wiślicki kaszt., wicekanclerz król. † 1408 r. (Wurzb. nr. 261).

Mstowski Rafał kan. krak. † 1576 r. (Wurzb. nr. 248, Kat. ks. Łęt. III, 351).

Myszkowski Jerzy archid. kat. krak. † 1543 r. (Wurzb. nr. 273, Kat. ks. Łęt. III, 356).

Naropiński Jan schol. krak. † 1543 r. (Wurzb. nr. 269, Kat. ks. Łęt. 364).

Z Olkusza Walenty kan. krak. † 1508 (Wurzb. nr. 302, Kat. ks. Łęt. III, 405).

Ostrowski Jakób kan. krak i niepołomicki. † 1637 (Wurzb. nr. 231, Kat. ks. Łęt. III, 435).

Porembski Piotr kantor. krak. proboszcz oświęcim. przedtém króla węgierskiego sekret. † 1564.

Poznańczyk Piotr lekarz królewski kan. krak. † 1579 (Wurzb. nr. 316, Kat. ks. Łęt. III, 488).

Przerembski Piotr kan. krak. sekr. król. † 1585 r. (Wurzb. nr. 296, Kat. ks. Łęt. III, 510).

Ręczajski Hieronim archid. krak. sekr. król. † 1613 (Wurzb. nr. 265, Kat. ks. Łęt. IV, 5).

Rogoziński Stanisław podskar. sieradz., wicest. krak. † 1611 r. (Wurzb. nr. 281).

Ruthenus Prokop biskup krak. kanclerz, powinowaty Leszka Czarnego † (Wurzb. nr. 253, Kat. ks. Łęt. I).

Sakranus Jan kan. krak. † 1527 (Wurzb. nr. 307, Kat. ks. Łęt. IV, 25).

Skaszewski Adryan kan. krak. † 1603 r. (Wurzb. nr. 228, Kat. ks. Łęt. IV, 55).

Ze Słupia Jan kan. krak. profs. akad. † 1488 (Wurzb. nr. 314, Kat. ks. Łęt. IV, 61).

Sabek Melchior kan. krak. † 1542 (Wurzb. nr. 306, Kat. ks. Łęt. IV, 62).

Z Szadka Jakob kan. krak. † 1487 (Wurzb. nr. 292, Kat. ks. Łęt. IV, 100).

Z Szydłowca Paweł kustosz krak. sekr. król. † 1506 r. (Wurzb. nr. 274, Kat. ks. Łęt. IV, 123, rok † 1566).

Z Szydłowca Wojciech kustosz krak. sekr. król. † 1617 (Wurzb. nr. 242, Kat. ks. Łęt. IV, 124).

Szyrchowski Feliks kan. krak. † 1128 r. (?) (Wurzb. nr. 301)

Z Tarnowa Jan hetman, napis ku pamięci zwycięstw.

Z Walentin Jan Andrzej kan. krak. Dr. medyc. † 1517 (Wurzb. nr. 230, Kat. ks. Łęt. IV, 257).

Wapowski Piotr dziekan krak. † 1530 (Wurzb. nr. 272, Kat. ks. Łęt. IV, 203).

Wapowski Bernard Dr. praw, sekr. król., kan. krak. kronikarz. † 1535 r. (Wurzb. nr. 270, Starow. str. 33, Kat. ks. Łęt. IV, 196). Domniemywają się, że nagrobkiem tego historyka jest kamień bez napisu w kaplicy *Ciborium* będący, gdzie wyobrażono postać kanonika z księgą pod głową.

Ksiąski Stanisław notar. zamku krak. † 1650 (Wurzb. nr. 317).

Zamojski Mikołaj sekr. król. kan. krak. † 1532 r. (Wurzb. nr. 240, Kat. ks. Łęt. IV, 298).

Zawadzki Bartłomiej sekr. król. krak. i plock. kanon. † 1596 r. (Wurzb. nr. 260, Kat. ks. Łęt. IV, 302).

Ziemiecki Wojciech kan. krak. prawnik polski † 1603 (Wurzb. nr. 298, Kat. ks. Łęt. IV, 315).

Ziółkowski Zbigniew kan. krak. † 1553, (Wurzb. nr. 249, Kat. ks. Łęt. IV, 316).

Zygmunt Dr. praw. proboszcz stężycki, sandecki, kan. krak. rektor akad. † 1582 (Wurzb. nr. 241, Kat. ks. Łęt. IV 319, mieni go i Dr. medycyny).

Kończąc nasz poczet, sądzimy, że tą pracą jako i poprzednią o Wawelskich królewskich monumentach. czynimy posługę badaczom poza Krakowem mieszkającym: robiąc ład tém uporządkowaniem i spisaniem pomników katedry naszej.

Kraków, d. 31 maja 1856 r.

J. Łepkowski.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

1. *Oeuvres de François Arago, Secrétaire perpétuel de l'Académie des Sciences, publiées sous la direction de M. J. A. Barral (Paris chez Gide et Baudry, Editeurs. Leipzig chez T. O. Weigel, Editeur).*

Jeszcze za życia swego, prawie zupełnie ociemniały Franciszek Arago uprosił p. Barral, że ten okropną niemocą przy schyłku dni swoich dotkniętego uczonego, podjął się zastąpić w trudach nieodłącznych od wydawnictwa w rękopismach zawartych prac. P. Barral zaszczycony tak wielkim zaufaniem męża, którego słusznie Francya cała uważa za swój zaszczyt i chwałę, bezwzględnie zajął się przyjętym obowiązkiem. Śmierć Franciszka Arago nie przerwała rozpoczętego wydania dzieł jego, które w 13 wielkich w 8ce tomach zawierać będą prace uczonego męża, drukowane poprzednio, lub w rękopisach pozostałe. W ciągu lat 1854 i 1855 wydał p. Barral 7 tomów rzeczonych dzieł, a mianowicie:

I. Biografij tomów 3. Zawierają one życiorysy i zupełne sprawozdania z uczonych prac mężów, co jak Fresnel, Wolta, Young, James Watt, Carnot, Ampère, Condorcet, Bailly, Monge, Poisson, Gay-Lussac i Malus, umiejętność naprzód posunęli. Zasługi tego rodzaju z całą bezstronnością uczonego ocenia Arago, nie przestając nigdy na suchej sprawozdawcy roli. Wnika on w szlachetne pobudki życia przez siebie opisywanego, śledzi przykładow wielkich cnót i poświęceń; a gdy je dostrzeże, to się wznosi w opisie do porywającej wymowy, która z wzniosłych płynąc pobudek, zniewala prawie czytelnika do zapomnienia, że uczone ma przed sobą dzieło, a każe kochać poczciwego człowieka i zacnego obywatela, który tak gorąco umiłował prawdę. Życia Carnota, Baillego, Mongea, przedstawiam jako dowód powyższego twierdzenia. Niektóre z tych życiorysów kreślił Arago z obowiązku na sekretarzu Akademii ciężącego. 3 tomy biografii, zawierają nadto mowy pogrzebowe autora, a nade wszystko życiorysy sławnych w starożytności i w nowszych wiekach astronomów, które w całości swojej stanowią zwięzłą, popularnie napisaną historią astronomii.

II. Rozprawy, umiejętności dotyczące, 4 tomy obejmować mają: dwa dopiero druk opuściły. Tak pełne zajęcia i czynne życie autora, odbija się w tych rozprawach, z których jedne

ściłością rozumowania i praktyczną użytecznością, drugie głębokością historyczno-umiejętnych poszukiwań, trzecie nareszcie odznaczają się postępowym poglądem na umiejętność, którą nowe mi spostrzeżeniami wzbogacają. Z pomiędzy ogłoszonych w dwóch tomach rozpraw zaliczyć można do Iych rozpraw o piorunach (tom I), do 2ich o machinach parowych (tom II), do 3ich o elektromagnetyzmie i magnetyzmie ziemskim (tom I). Robić sprawozdanie z prac tych byłoby pisać nie tylko życie Arago, ale zarazem i historią niektórych działów fizyki, z której postępowo zrosło się prawie jego nazwisko. Wiadomościom bibliograficznym nie wolno zapuszczać się w głąb ponętnego pola tego, na które będę się starał wprowadzić czytelnika, po ukończeniu druku dzieł całkowitych. Dzisiaj dodam tylko, że mąż uczony nie gardził najdrobniejszymi kwestyami, zajmował się bardzo poziomymi przedmiotami, gdy mu to sumienie nakazywało; i tak na kartach 448 do 458 tomu Igo zchodzi do wirujących stołów, aby odwieść ludzi dobrej wiary od tej zawsze dziecinnej, ale niezawsze niewinnej zabawki.

III. Astronomia popularna. 3 tomy. W dwóch po dzień dzisiejszy wyszłych tomach znajdzie czytelnik wiadomości wstępne z geometryi i optyki, a przechodząc do samejże astronomii, to wszystko, co się dotyczy pozornego ruchu nieba, gwiazd stałych i podwójnych, biegu postępowego słonecznego układu w przestrzeni niebios, fizycznej i matematycznej astronomii słońca, komet i dwóch niższych planet. Ziemia i planety wyższe zajmą 3 tom. Arago z szczególnem widać zamiłowaniem pracował nad dziełem tem, które pozostanie wzniosłym w literaturze i umiejętności pomnikiem, wskazującym i obecne astronomii stanowisko, i rozliczne dla niej podjęte prace, i na jej polu nagromadzone zasługi autora. I tu nie mogę iść za nim; ograniczę się tylko na daniu wyobrażenia o metodzie wykładu. Arago przypuszcza, że biorący dzieło do ręki umie tylko czytać i nic więcej; wyklada więc wszystko z geometryi, mechaniki i fizyki co do pojęcia astronomii za konieczne uważa. Określiwszy punkt wyjścia, naznacza Arago i cel dzieła swemu: ma ono prawdy najwyższe, najdrobniejsze szczegóły zawierać, i astronomia popularna zawiera je rzeczywiście. Każdy przedmiot w zupełnym historycznym rozwoju, na wysokości obecnego stanowiska, w pełni szczegółów oświecających go rzucanem nań światłem, przedstawiony widzimy. Oddajemy sprawiedliwość autorowi: dopiął nader trudnego w przystępnych wykładach zadania; ludziom niewtajemniczonym w umiejętność, przedstawił ją zupełną, a nie w powyrywanych szczegółach, które za całość łachmany sprzedając, są kłamstwem względem nauki, a ubliżeniem dla uczącego się. Kłamstwem względem nauki, bo w wykrawkach widzą całość; ubliżeniem dla czytających, bo ich poczytują za niegodnych całości. Czy jednak dzieło p. Arago zdoła tak zrozumianą astronomią przystępną uczynić dla ludzi nie znających pierwszych począ-

tków nauk, powątpiewam, a nawet przeczyć jestem gotów. Do oderwanych umiejętności umysł przyzwyczajają się powoli; odrazu w nie wprowadzony w labirynt się widzi. I dlatego człowiek z geometryą nieobeznany, niewzwyczajony przynajmniej długą wprawą do form jej rozumowania, po przeczytaniu w astronomii popularnej wiadomości z niej wyjętych, nie jest w stanie rozumieć skomplikowanych ruchów ciał niebieskich. I z tej przyczyny punkt wyjścia, a raczej stopień w czytelniku przypuszczonych wiadomości jest za niski. Tę uwagę wolno mi było uczynić po oddaniu należnego hołdu całości pracy: zresztą jest ona prostym wnioskiem z wskazanego przez p. Arago celu dzieł popularnych; bo do uczenia się astronomii popularnej, należy przystąpić ze znajomością nie niektórych wyników, ale całej matematyki i fizyki popularnie wyłożonych, a zatem znać najwyższe ich prawdy i prawa.

Dla wiadomości osób, któreby pragnęły posiadać dzieła p. Arago, dodam, że każdy ich tom sprzedaje się pojedynczo i kosztuje 7½ franków.

II. *Traité d'Electricité et de Magnétisme, et des applications de ces sciences, par M. M. Becquerel, de l'académie des sciences et de l'institut, etc., et Edmond Becquerel professeur au Conservatoire des arts et metiers etc. (Paryż, 1856, u Firmin Didot, 3 tomy. cena 24 fr.).*

Dzieło to objaśnione kilkunastą tablicami, i kilkuset w tekście umieszczonemi drzeworytami, stanowi zupełny traktat o elektryczności i magnetyzmie, według metody w fizykach doświadczalnych przyjętej napisany. Autorowie tyle zajmujący się fizyką w ogóle, a w szczególności jej działem, przedmiot traktatu stanowiącym, w należytem rozwinięciu przedstawić nam go musieli. Tom 1y zawiera ogólne wiadomości o elektryczności statycznej i dynamicznej, i elektryczność atmosferyczną. Tom 2gi elektrochemią wraz z jej zastosowaniami w galwanoplastyce i metalurgii. Tom 3ci nareszcie magnetyzm elektro-magnetyzm, jak niemniej zastosowania w telegrafii i t. d.

Na szczególną uwagę zasługują księgi traktujące o elektryczności atmosferycznej i o roli elektrochemii w metallurgii drogich metalów, jako zawierające wypadek licznych prac autorów samych około tych przedmiotów.

Powiedziałem, że dzieło pp. Becquerel jest zupełnym traktatem; mały jednak wyjątek uczynić muszę co do roli elektryczności w zwierzęcej fizjologii, któryto przedmiot tylko jest w niem dotknięty. Zresztą w pracy tej wysokiej naukowej wartości, zaniedbują często autorowie jasności, potrzebnej do przękiego zrozumienia opisu machin. Samo wydanie grzeszy nie dbałością drzeworytów.

III. *De la Chaleur produite par les Etres vivants, par J. Gavaret, professeur de physique Medicale à la faculté de Médecine de Paris. (Paris, 1855, chez Victor Masson).*

Pan Gavaret pod tytułem *Physique Médicale*, postanowił ogłosić zbiór zastosowań rozmaitych działów fizyki w fizyologii i patologii. Ciepło zwierzęce do fizyologicznych zjawisk należy; tym przedmiotem otwiera p. Gavaret szereg zajmujących, i naukowo-ważnych publikacyj. Zaczyna autor od opisu narzędzi używanych, a wsparty własnymi i p. Reynault doświadczeniami, przychodzi do wniosku ogólnego, że produkcya ciepła zwierzęcego ma jedyne źródło w fizyko-chemicznym oddychania działaniu. Mnóstwo szczegółów zależnych od płci, wieku i stanu zdrowia, wreszcie od warunków zewnętrznych w jakich się ludzie znajdować mogą, wpływają na produkcyę ciepła: szczegółowo je autor przechodzi. Równie pilne daje baczenie na zmiany, jakie na tworzenie się ciepła wywiera szczebel, na którym rozmaite zwierzęta wzniesione są w zoologicznym szeregu. Przechodzi wreszcie do tworzenia się ciepła w roślinach, aby usprawiedliwić tytuł dzieła: „Produkcya ciepła w istotach żyjących”.

IV. *Traité élémentaire de Physique Expérimentale et Appliquée, et de Météorologie, par A Ganot. (Paryż, 1855, u Hachetta, 4ta edycja, tom I, kart 752, i 475 figur wśród tekstu umieszczonych).*

Jeżeli dzieło p. Gavaret jest ważnem dla ludzi chcących się obeznać z wypadkami ostatecznymi poszukiwań fizycznych, to fizyka p. Ganot znajdować się powinna w rękę tych wszystkich, którzy z zasadami fizyki gruntownie zapoznać się pragną. Napisana wedle programatu obowiązującego licea francuzkie, najzupełniej i jasnością wykładu, i ścisłością definicyj i dowodzeń odpowiada swemu szkolnemu przeznaczeniu. Z dawniejszych dzieł tego rodzaju tylko fizyka p. Pénaud, przed kilkunastą wydana laty, dziś przeto przestarzała, zalety te w równym łączyła stopniu.

V. *Exposition et histoire des principales decouvertes scientifiques modernes, par Louis Fuguiet, Docteur es sciences. (Paryż, 1856, u Wiktora Masson, 3 tomy z figurami w texcie).*

Znany autor historyi Alchemii, w 3^m wydaniu dzielka swego zapoznaje publiczność z galwano-plastyką, telegrafią, fotografią, sztuką robienia prochu, z balonami, z oświetlaniem za pomocą

gazu, z wynalezioną przez p. Le Verrier planetą, z chloroformizacją, machinami parowemi, z żegluga parową i kolejami żelaznemi: jedném słowem ze wszystkimi ważniejszymi nowszych czasów wynalazkami. Publiczności nieobeznanej z naukami stara się autor udzielić wiadomości koniecznych do zrozumienia każdego z wynalazków, których również nie wyczerpuje zupełnie, ale ogranicza się jedynie na opisanii tego, co w nich jest ciekawszego, lub mniej zawilego. Jasność opisów, styl rzeczywiście przystępny i mnóstwo ciekawych szczegółów historii wynalazków dotyczących, zaleca i odznacza dzieło p. Figuier.

VI. *Lettres adressées à Mr Villemain, secrétaire perpétuel de l'Académie française, sur la méthode en général, es sur la définition du mot fait, par M. E. Chévreul, membre de l'Académie des sciences.* (Paryż, 1856, u braci Garnier; tomik w 12ce, 276 stron).

Mała to, ale pełna filozoficznej treści książeczka, tak jak wszystko co wyszło z pod pióra męża, który się w umiejętności odznaczył pracami około ciał tłustych, a dziełem o tychże w literaturze umiejętności zaszczytnie dał się poznać. Doświadczenie i wyprowadzane zeń wnioski stanowią metodę, która wniesiona do nauki przyrodzenia, zamieniła jej działy w ścisłe, pozytywne umiejętności. Gdy więc metoda podstawą ich wzrostu, dlaczegoż w ich wykładzie na samą treść wszyscy zważają, a nikt nie daje baczenia, aby sposób wykładu był loicznym następstwem podstawy, na której je zbudowano. Słusznie razi tu niekonsekwencya p. Chévreul: zastanowiwszy się nad nią przechodzi do wykazania różnicy zachodzącej między faktem i sposobem wyprowadzenia z niego następstw w naukach przyrodzonych i ścisłych, a faktem literaturę, historią i sztuki piękne obchodzącym.

VII. *Traité de gisement et de l'exploitation des minéraux utiles, par Amédée Burat.* (Paris, 2 vol., chez Langlois et Leclercq).

Pod koniec roku 1855, 1y tom dzieła druk opuścił: zawiera on część geologiczną traktowanego przez autora przedmiotu, gdy tymczasem tom 2gi, który niebawem ma ukazać się, część czysto-metallurgiczną obejmie. 1y tom w 7^{ciu} swych rozdziałach mieści zupełną geologią do praktycznych zastosowań potrzebną. Autor zaczyna od powierzchniowego ziemi kształtu,

a takowy rozważywszy, podzieliwszy skały na osadowe i wybuchowe, przechodzi do klasyfikacji skał i geologicznych pokładów. Po nauce formacji przechodowej, obszernie się rozwodzi nad formacją węgla ziemnego, i względną jego w rozmaitych stronach kuli ziemskiej obfitością. Drugo, trzecio-rzędna i napływowa formacja zajmują kolejno p. Burat. Wreszcie rozdział ostatni tomu Igo poświęcony jest metalom i ich rudom; przechodzi autor wszystkie metale, wszystkie pasma gór, wszystkie kraje (szczególniej Europy), i ze statystyką w rękę mnóstwo praktykę obchodzących podaje szczegółów. Szczegóły te, dzieło p. Burat ważne w metallurgicznym przemyśle przysądają miejsce.

VIII. *Traité élémentaire des chemins de fer, par M. Auguste Perdonnet, (Paris, 2 volumes in 8vo, chez Langlois et Leclercq).*

Iszy tom dzieła tego przeznaczonego współcześnie i dla użytku inżynierów, i dla zaspokojenia ciekawości ludzi naukowych, z przedmiotem obeznać się pragnących, każe się spodziewać, że dzieło p. Perdonnet będzie najzupełniejszym traktatem, jaki w języku francuzkim o drogach żelaznych napisano. Ta ważność dzieła, zachęciła mnie do zwrócenia na nie uwagi, kilką wyrazami, z treścią tomu Igo zapoznającemi. Autor zaczyna dowodzeniem, że drogi żelazne mają pierwszeństwo nad wszelkimi innemi środkami komunikacyj. Maximum jednak użyteczności przyniosą, gdy ich narys odpowie ogólnym i miejscowym potrzebom. Zwykle narys łamany, czasem tylko narys prosty przełożyć należy. Pierwszy ma miejsce w drogach łączących niezmiernęj wagi miejsca, drugi zaś wtedy, kiedy nie tylko ostateczne kolei punkta, ale i miasta pośrednie są znakomitemi środkami ludności lub przemysłu. Ogólna część kończy się uwagami nad względniemi dogodnościami i niedogodnościami kolei, idących nizinami rzecznymi, lub prowadzonych po górzystości, też niziną dzielących.

W części praktycznej zastanawia się kolejno autor nad obszernością dworców i składów przy tychże potrzebnych, jako i nad szerokością kolei. W ostatnich rozdziałach kwestya narysów i obliczeń (anszlagów), rozebrana i objaśniona mnóstwem dat statystycznych. Roboty grabarskie, budownicze i samo położenie szyn kończą tom Iszy dzieła, któremu ludzie fachowi najlepszą oddają pochwałę, niecierpliwem pragnieniem jak najszybszego ukazania się tomu 2go.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Zmydlanie tłustości obojętnych przez mydła. Pod tym napisem czytamy następującą wiadomość, udzieloną przez p. Pelouze.

„Jeden z najdawniejszych i najbieglejszych fabrykantów świec we Francyi, p. de Milly, zawiadomił sędziów wystawy powszechnej o bardzo ważnej zmianie w sposobie zmydlania ciał tłustych, a w szczególności łoju, za pośrednictwem wapna. Przekonał się on albowiem, że stosunek wapna potrzebny do tego zmydlania, zmniejszony już przez niego oddawna z 15, do 8, lub 9 na sto, ze względu na wagę tłustości, może jeszcze się pomniejszyć o połowę, czyli wynosić tylko 4 na sto; ale przy koniecznym warunku, ażeby mocno ograniczyć mieszaninę zrobioną z wapna, wody i tłustości. Robota powyższa uskutecznia się odrazu z kilkunastą tysiącami killogramów łoju, w kotle metalowym, który utrzymuje się przez kilka godzin w ciepłe odpowiadającym ciśnieniu 5 do 6 atmosfer.

„Widoczna w tym sposobie jest oszczędność, wynikająca ze zmniejszenia o połowę ilości kwasu siarkowego, potrzebnego do rozłożenia mydła wapiennego. Zdawało mi się ważną rzeczą zwrócić uwagę na zmydlanie z tak małą ilością zasady słabiej, stanowiącej zaledwo dwudziestą czwartą część ciała tłustego ukwaszonego.

„Otrzymałem mydło wapienne przez podwójny rozkład, to jest dodając roztworu chlorku wapna (calcium), do rozpuszczonego w wodzie mydła zwyczajnego. Osad dobrze przepłukany wkładałem w mały kociołek Papina, i nalewałem wody tyle na wagę ile osadu, z dodaniem 40 części na sto oliwy. Naczynie utrzymywałem blisko przez trzy godziny w kąpieli olejnej w ciepie od 155° do 165° C. Woda nad osadem znajdującą się w kociołku wyparowała, i pozostawiła jakby ulep, posiadający wszystkie własności gliceryny. Osad zagotowany z wodą zaostrzoną kwasem solnym, wydał istotę tłustą w zupełności ukwaszoną, ponieważ całkowicie rozpuszczała się ona w wyskoku i alkaliach. Jednym słowem, oddziaływanie okazywało wszystkie cechy zwyczaj-

nego rozkładu ciał tłustych obojętnych, przez wolne alkalia. Oprócz mniejszej twardości nowego mydła wapiennego, możnaby sądzić, że to jest zmydlenie przez wapno gryzące.

„Inne doświadczenie wykonane było bezpośrednio z mydłem marsylskim, zmieszaniem z równą swą wagą wody, a czwartą częścią tejże wagi oliwy. I sama robota i stopień ciepła były takie, jak poprzednio, istota zaś ztąd powstała posiadała wszystkie własności mydła kwaśnego, rozpuszczała się w zimnym wyskoku, i w roztworze wodnym potażu i sody. Kwasy wydzielają z niej ciała tłuste, zupełnie tak na zimno rozpuszczalne w wyskoku, jak są roztwory alkaliczne.

„Z poprzedzających dwóch doświadczeń wynika, że mydła zdolne są podobnie jak alkalia, rozdzielać tłustości na glicerynę i kwasy tłuste. Teraz dopiero zrozumieć można, dlaczego dałem napis niniejszemu pismu na pierwszy rzut oka dziwaczny, o *zmydłaniu tłustości obojętnych przez mydła*. Wreszcie przekonałem się, że w ciepłe 165° C. woda nie działa na oleje. Dla rozdzielania części składowych olejów, mieszanina powinna przez długi czas być utrzymywana w ciepłe 220° C. W Anglii, w fabryce P. Price świec stearynowych, zmydlenie skutecznia się przez parę wodną, jeszcze wyżej nad wskazany poprzednio stopień ciepła ogrzaną. Ztąd powstają kwasy tłuste i wolna gliceryna prawie czysta, której używają w medycynie i przemyśle.

„W powyższych nowych oddziaływaniach, woda w ciepłe 150° do 160° C. może rozkładać mydło obojętne na mydło kwaśne i mydło bardzo zasadowe; a to ostatnie znowu działa tak na nową ilość tłustości, jakby wolne alkali.

„Doświadczenia p. Milly, które dały początek mej pracy, podobnież się tłumaczą. Przypuścić można, że zmydlenie łoju przez cztery tylko części na sto jego wagi wapna, przechodzi przez wiele zmian widocznych, w czasie których mydło zasadowe lub obojętne naprzód się tworzy, a w końcu stanowczo się zmienia w mydło względnie kwaśne.

„Powyższe wypadki wytłumaczyć można podług prac p. Chevreul o ciałach tłustych. Przewidywać się zaś już daje nowe rozdzielanie tego zbioru istot tak licznych i ważnych. Od chwili, w której okazano, że same pierwiastki wody wpływają na rozdział pierwiastków w tłustościach obojętnych, na ciała kwaśne i glicerynę, spodziewać się należało, że nauka i przemysł zwiększą i urozmaicą zjawiska zmydłania.

„Przed kilką miesiącami spostrzegłem jeszcze ciekawsze tego rodzaju oddziaływanie od opisanego; to jest zmydlenie się dobrowolne wszelkich tłustości, czyto w przystępie, czy bez przystępu powietrza, przez proste podzielenie mechaniczne ziarn, w których cząstki tłuste są zawarte”

* *Krzemionkowanie*. W dalszym ciągu swoich prac w powyższym przedmiocie, p. Fr. Kuhlmann podaje następne zawiadomienie o wpływie krzemionów alkalicznych przy tworzeniu sztu-

cznym wapna wodotrwałego czyli hydraulicznego, różnych zapraw mularskich czyli cementów, wapieni krzemianych i t. p.

Wapno wodotrwałe sztuczne. Rozmąciwszy w wodzie wapno tłuste i dodawszy do tego roztworu krzemianu potażu, lub sody; potaż i soda wydzielią się, a kwas krzemowy wejdzie w związek z wapnem w miejsce będącej w niem poprzednio wody. To połączenie nadaje wapnu własności ciała plastycznego, które zwłaszcza po wypaleniu, już nie zabiela wody, gdy będzie w niej moczone. Wszystkie cząsteczki wapienne spojone są z sobą zaprawą czyli cementem krzemianym. Jeżeli to wapno tym sposobem zmienione w krzemian zasadowy, w budowie jakiej wystawione jest na działanie powietrza: pochłania kwas węglowy, i powoli zmienia się w krzemowęglan wapna. Gdyby zamiast krzemianu potażu użyto glinianu potażu, lub sody; też same zjawiska okazałyby się.

Krzemionkowanie tynków, nadanych wapnem tłustym. Kropiąc mury roztworami krzemianu potażu lub sody, natychmiast oddziaływanie następuje, bo wtedy wodan wapna stanowiący część tynku czyto dawnego, czy świeżego, zmieni się w krzemian wapna; pewna zaś ilość potażu lub sody zostanie wydzielona. Krzemion, który w swém powstawaniu był ściśle połączony z węglanem wapna, wydaje teraz podobny związek, jaki tworzy się po wystawieniu na powietrze zapraw wodotrwałych sztucznych, drogą mokrą otrzymanych. Gdyby krzemian alkaliczny znajdował się w nadmiarze, następowałoby oddziaływanie z samym węglanem.

Krzemionkowanie wapieni dziurkowatych. Węgiel wapna naturalny, w zetknięciu z krzemianem potażu lub sody, zachowuje się w części jak wapno gryzące. Przez samo jedynie zetknięcie z krzemianem alkalicznym, wydziela potaż lub sodę, a kwas krzemowy wydaje z węglanem wapna taki sam krzemowęglan, o jakim poprzednio mówiliśmy przy stwardzaniu wapna hydraulicznego.

Krzemionkowanie gipsu. Działanie krzemianów rozpuszczalnych na gips niepodobne jest działaniu krzemianów na wapienie. Krzemiany alkaliczne z siarkanem wapna ulegają podwójnemu rozkładowi, i wtedy tworzy się krzemian wapna i siarkan potażu lub sody. Wiadomo zaś, że te ostatnie sole przez swoją krystalizacyą psują wapien dziurkowaty. Przy stwardnianiu gipsu, należy wyjącznie używać krzemianu potażu. Oprócz tego sole alkaliczne działają na gips szybko, i dlatego gips rozrabiany roztworem krzemowym, nadzwyczajnie się wzdyma; ztąd należy tu używać roztworów daleko słabszych niż te, które były brane do stwardzania wapieniów.

Krzemionkowanie malowideł zwanych freskami. Tutaj taki sam zachodzi przypadek, o jakim mówiono przy krzemionkowaniu zapraw z wapna tłustego. Wiadomo, że w tego rodzaju malowaniu, farby rozarte w wodzie nakładają się na zaprawę z wapna tłustego i piasku; utwierdzają się zaś tam przez węglan wapna,

który swemi odnogami krystalicznymi, otacza niejako barwy. Nakrapiając sikawką mury tak malowane, części zwierzcnie powłoki wapna tłustego nabierają składu i własności zaprawy wodotrwałej, a w szczególności tak jak ona twardnieją.

Malowidła krzemionkowe pędzlem. W tém malowaniu farby rozcierają się w roztworze krzemianu, a wtedy węglany i niedokwasy w nich się znajdujące, tworzą powoli związki z kwasem krzemowym; potaż zaś i soda zostają wydzielone.

Wytłaczania krzemionkowe. Skoro krzemiany będą krzemionką należycie nasycone; papier, na którym odcisk wytłoczono nie zostanie popsuty; ale nie wiadomo, czy w późniejszym czasie nie utworzy się jakie oddziaływanie. Co się tyczy wytłaczania na tkaninach, w tych, po wystawieniu ich na powietrze przez pewien przeciąg czasu, krzemionka zostaje utwierdzona, a przez przemywanie wypłócze się potaż lub soda. Te cząsteczki krzemianu, które zachowały swoją rozpuszczalność, utwierdzić można przez lekkie namydlanie, lub namoczenie w roztworze soli kuchennej; wtedy w obudwóch razach utworzą się z krzemianów alkalicznych związki mało w wodzie rozpuszczalne.

Wstrzykiwania krzemionkowe. Wstrzykując krzemian rozpuszczalny w kamienie dziurkowane, i w różne ciała tak żywotne jak nieżywotne; ciała te stwardnieją, co zapewne także pochodzi od powolnego działania kwasu węglowego z powietrza, i osadzania się krzemionki. Wypadki te tłumaczą nam powstawanie mineralów drogą mokrą.

* *Nowy sposób otrzymania glinu (aluminium).* Do otrzymania glinu, użył p. Saint-Claire Deville, mineralu kryolitu grenlandzkiego (fluorku podwójnego glinu i sodu); mineral ten w Berlinie bardzo tani, jest tam używany przez mydlarzy do roboty ługu, bo przez gotowanie z wodą i wapnem, wydaje wodan sody. Zdaje się, że w Anglii już otrzymano glin z kryolitu za pośrednictwem stosu; ale dopiero p. Rose wydobyl z niego powyższy metal przez zastosowanie sodu. Do tego ostatniego celu układa się w tyglu porcelanowym warstwami kryolit, sproszkowany i zmieszany z niewielką ilością soli kuchennej z sodem; poczem ten tygiel wstawia się w tygiel gliniany, i wszystko ogrzewa do mocnej czerwoności aż do zupełnego stopienia. W czasie topienia miesza się masa mieszadłem glinianem wypalonym; po oziębieniu zaś jej glin w postaci guzika na dnie naczynia znajdować się będzie. Gaz palący się, wychodzący z mieszaniny w czasie jej topienia, jest parą fosforową powstałą z kryolitu. Gdyby do powyższej roboty użyto tygla porcelanowego, glin byłby zanieczyszczony krzemem, z tygla zaś żelaznego żelazem.

Wspomniane doświadczenie dało początek innemu; oddawna usiłowałem, słowa są p. Deville, otrzywać glin przez dodanie sodu do chlorku podwójnego glinu i sodu; nigdy jednak nie otrzymałem guzika metalowego; ale jak tylko się doda do powyższej mieszaniny cokolwiek fluorku wapna, zaraz na spodzie tygla

zbiere się glin w kawałku metalowym. Tym sposobem pp. Debray i p. Morin zrobili kilkaset gram glinu.

W powyższych doświadczeniach otrzymany glin zawiera zawsze ślady krzemu.

* P. Greg zawiadomił towarzystwo filozoficzne w Liverpoulu, że w kamieniu meteorycznym, który spadł w Chili, znaleziono GŁÓW RODZIMY. Jestto pierwszy przypadek wiarogodny odkrycia powyższego metalu w ciałach meteorycznych.

* Dziennik *Bulletin de la Société d'encouragement*, z grudnia r. z. wskazawszy, jakich dotychczas używano środków, aby zrobić odzież nieprzemakającą, i nadmieniwszy, że najlepszym ze wszystkich środków był kauczuk; podaje w tym względzie nowy przepis p. Thieux, którego rozpoznaniem zajmuje się towarzystwo zachęcające przemysł francuzki. Sposób, którego wynalazca używa z pomyślnym skutkiem, jest tani i bardzo łatwy, bo polega jedynie na zamoczeniu kilkogodzinném tkaniny lub też całej już sukni, w płynie bardzo roztworzonym wodą, zrobionym z octanu glinki. Minister wojny francuzki kazał w tym przedmiocie robić doświadczenia, a zdanie p. Balard znakomitego chemika, oparte na powtarzanych powyższych doświadczeniach, przypadło przychylnie dla wynalazku.

* *O utrzymywaniu gliceryny, i niektórych jej zastosowaniach*, tak pisze p. Wilson: Dobry sposób otrzymywania gliceryny jest następujący: bierze się kawał tłustości i wkłada się ją w parę wodną bardzo mocno rozgrzaną czyli przegrzaną; wtedy tłustość się rozkłada na kwas tłusty i glicerynę.

Gliceryna używa się do leczenia oparzelizny, reumatyzmu i chorób uszu. Również zastosowano ją do przechowywania mięsa, i w fotografii; a zwierzęta w niej zanurzone nie psują się i nie tracą barwy naturalnej.

* *O składzie chleba*. P. Maelagan zastanawiał się, ile z danej ilości mąki otrzymać można chleba. Chleb niefermentowany zawiera podług niego: mąki suchej 60 części, wilgoci 10, wody dodanej przez piekarzy 20. Ztąd 100 funtów mąki, winny dać chleba 143 funty.

Z powodu powyższej okoliczności, Liebig mówi o nowym sposobie robienia chleba, upowszechniającym się w Niemczech. Do tego celu używają wody wapiennej przy zaczynianiu mąki, a chleb przeto ma być pożywniejszy, niż robiony sposobem zwyczajnym.

* P. Sainte-Claire Deville, jednocześnie prawie z p. Wöhler, donieśli Akademii umiejętności paryzkiej, o otrzymaniu krzemu (silicium) w większych ilościach za pośrednictwem glinu. Krzem powyższy otrzymany w kryształkach podobny jest do żelaza oligietu z wyspy Elby; rysuje mocno szkło, łatwo się roztopia, bo w cieple trzymającym środek między topliwością złota i surowcu.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Wystawa starożytności w pałacu hr. Augusta Potockiego, ściągając miłośników pamiętek narodowych. Jakkolwiek czas był bardzo krótki do nagromadzenia i ułożenia, zebrał się tu piękny zbiór zabytków dawnych, i gustownie ułożony został. Zawdzięczamy to gorliwości pp. Alexandra Przeddzieckiego, Zawadzkiego, Wisłockiego, Karola Bajera, który z całą gorliwością oddał się tej mozolnej pracy, i w ciągu dni kilku ułożyli wystawę. Największą ilość dostarczyły zbiory willanowskie, i zbrojownia Wincentego hr. Krasieńskiego; użyczyli także do tej wystawy ciekawe zabytki pp. Tomasz Zielński z Kielc, Alex. Przeddziecki, Zawadzki, Wisłocki, Jundziłł, K. Wł. Wójcicki, Łaski, Klemensowski i wielu innych. Szczegółowy katalog z objaśnieniami historycznymi, który ma być wkrótce ukończony, będzie najważniejszą pomocą dla zwiedzających, bo przy każdym przedmiocie znajdą oprócz dokładnego jego opisu jeszcze i objaśnienia, celem wykazania wartości historycznej zabytku w przeszłości dziejowej. Patrząc na tyle pomników, pospiesznie tylko zebranych, możemy pojąć, jaki bogaty stanąby ich zasób, ileby archeologia krajowa zyskała i jak wiele wyjaśniłaby się przeszłość domowego życia przodków naszych, a nawet i zamierzcie przedchrześcijańskie wieki, gdyby Warszawa, równie jak już ma Wilno, mogła mieć towarzystwo archeologiczne, gdzieby wszystkie tak wykopaliska, jak i zabytki historyczne pomieszczone zostały, a pisma wyłącznie temu poświęcone, dając dokładne ich przerysy, naukowo objaśniały. Nie wąpimy, znając gorliwość obywateli ziemian naszych, że posiadający tego rodzaju zabytki, z chęciąby je ofiarowali na użytek nauki, czyto na własność takiego towarzystwa, czy na czasowy użytek. Wiemy, jak wielka ilość takich zabytków rozproszona jest po prywatnych zbiorach, o których przypadkowo dowiadujemy się tylko. Zebrane razem, pokazałyby ogrom, któryby badania nasze archeologiczne postawił na wysokim stopniu. Nie brakłoby i gmachu na pomieszczenie tych zbiorów: w Wilnie mieści się w salach b. uniwersytetu wileńskiego. Nie tylko zyskalibyśmy na tem, ale naukowe korzyści spłynęłyby i dla badaczy rosyjskich i innych plemion słowiańskich.

— Na cmentarzu we wsi Dobratyczach w powiecie białskim na Starem Podlasiu, wkrótce stanie okazały i artystycznie wyrobiony pomnik dłuta rzeźbiarza Mantzel, w miejscu, gdzie spoczywają zwłoki s. p. ks. Pawła Szymańskiego profesora i dziekana wydziału teologicznego w b. uniwersytecie warszawskim, a następnie profesora Pisma świętego w Akademii rzymsko-katolickiej w Warszawie.

— Opisu cmentarza powązkowskiego zeszyty VII i VIII (a 1 i 2 tomu drugiego), wyszły z druku i zawierają życiorysy: ks. Fr. Szaniawskiego prof. b. uniwersytetu warsz.; Magdaleny Krebsowej; Filipa Romanowskiego malarza; A. H. Dziarkowskiego Dr.; Emilii Chopin; Antoniego Badera; Romualda księcia Giedroń; W. Witaczka Dr.; J. z Truskulawskich Leduchowskiej artystki dram.; J. L. Kozłowskiego pułk.; J. Lintzaja; Juliany z Błędowskich Skibickiej i Heleny z Drzewieckich Skibickiej; Jana Kilińskiego szewca i pułkownika; J. Chr. Sztumera Dr.; Ł. Bieganowskiego generała; N. A. Kumelskiego; braci Gzgoire bronzowników; H. S. Cieleskiego redaktora Sylwana; Alex. Grajbnera prezydenta m. War-

szawy; ks. Izydora Jamiołkowskiego; K. Frankowskiego; W. Hołowni p. pułk.; Fr. Szepietowskiego pośta; I. Celińskiego aptekarza; J. B. Rakowieckiego literat., A. Mianowskiego; A. J. Rudnickiego p. pułk.; H. Mikorskiego; A. Lelowskiego redaktora Izdydy; J. Krzyżanowskiego; P. E. Leśniewskiego prof., A. Sałackiego generała; Stanisława Potockiego generała; Ant. Potockiego generała; Fr. Potockiego prezesa heroldy; J. Betleja. W ustroni artystów dramatycznych: J. Hempińskiego, W. Piaseckiego, Fr. Pierożyńskiej, J. Zdanowicza, M. Pawłowicza, F. Baranieckiego, W. Aszpergera, F. Wejnerta, N. z Żółkowskich Kosteckiej, A. Zielińskiego, J. Niwińskiego, J. Polkowskiego, J. B. Majewskiego, B. Kudlicza, A. Nizińskiego (muzyka), J. Bielawskiego skrzypka, J. Dobrzyńskiego muzyka, J. Elsnera twórcy opery polskiej, M. Matuszewskiego; z XX. Pijarów: O. Kopczyńskiego i ks. Szymona Bielskiego. Wydawca: „z powodu, (jak sam wyraża), że odbicia na kamieniu w zeszytach VI nie wyrównały pierwszym rycinom, aby na zwłokę nie wystawić ukończenia całego dzieła w oznaczonym terminie, wydał te dwa zeszyty samego tekstu, ryciny zaś należne wedle prospektu w ogóle w liczbie 48, dołączone zostaną przy dalszych zeszytach, wykonane odpowiednio wymaganiom sztuki”.

— Gustaw Sennewald w dwóch zeszytach wydał: *Les encouragements de la jeunesse: douze études faciles et progressives sur des airs polonais, arrangées pour le piano par Joseph Nowakowski* odbijane w litografii w Lipsku. Są to ćwiczenia łatwe dla młodzieży z motywów pieśni ludowych, jak np. „Wynaj trzode na dąbrowę.” „Tańcowała Magdalena” „Stała się była w mieście pogłoska”, „Albo my to jacy tacy” i t. p.: myśl bardzo szczęśliwa, którą rozwijając, można nie tylko rozpowszechnić melodye ludowe, ale i zjednać miłośników do ich troskliwego zbierania. Dziwimy się wszakże, i nie pojmujemy powodu, dla czego wydawca dał tym zeszytom tytuły francuzkie. Za bliższem rozpatrzeniem uznajemy jego pobudki: oto Polacy prędzej rozkupią te utwory muzyczne, jakkolwiek wysnute z prostych ludowych melodyj, gdy ozdobione zostały francuzką kartą tytułową.

— P. Adam Chodyński przełożył wierszem J. Kollara „Córke sławy” w całości. Próbkę jakieśmy czytali, pokazują i umiejętnie władanie rodzimym językiem, i wierność w przekładzie. Przy naszej małej znajomości literatury pobratymczej czeskiej, przekład p. Chodyńskiego jest pożądany, ażeby w całości mógł być ogłoszony drukiem.

— Rozprawa Józefa Łoskiego p. n. „Genealogia portretowa Sapiechów w kościele parafialnym świętej Anny w Kodniu” z ryciną, którąśmy ogłosili w piśmie naszym, wyszła w drukarni Gazety Codziennej w oddzielnej odbitce.

— Księgarz A. Nowolecki wkrótce rozpocznie druk dzieła w 3ch tomach p. n. Nad-Bużne, obrazy i powiastki Leona Kunickiego. Znany to jest pisarz tak z szlachetnej dążności, jak i talentu, którego utwory pismo nasze mieściło. Nakładem tegoż księgarza wkrótce wyjdzie powieść p. Morzkowskiej p. n. „Gladyator”.

— W. A. Maciejowski ogłosił: „Pogląd na nowe wydanie Historji prawodawstw słowiańskich (Gazeta Codzienna nr. 162—163 z r. b.) w którym uważa wszystkie swoje prace jakie dotąd ogłosił, jako materyały do nowego wydania Historji prawodawstw słowiańskich, które obecnie się drukuje.

— Znany już z prac swoich młody pisarz, pragnął ogłosić drukiem swój utwór poetyczny. Jeden z księgarzy warszawskich (nie wymienił jego nazwiska) oświadczył gotowość wydrukowania go swoim nakładem, z warunkiem, aby na czele położył nazwisko Wincentego Pola! Myśl tak dowcipną powziął, widząc pokup Mohorta. Za taką defraudacją i swoje protekcją, przyrzekał autorowi dać 20 exemplarzy gratis. Za-

pisujemy tę ciekawą wiadomość, jako szczegół godny uwagi, a przydatny wielce dla historii handlu księgarskiego u nas.

— Jako osobliwość bibliograficzną wspomnieć musimy dziełko wydane w r. b. w Kijowie „Szuler, obrazek napisany przez Andrzeja Janowicza“. Nietykając treści, książeczka ta obejmująca str. 96, prawie na każdej karcie tyleż mieści drukarskich błędów. Drukowaną zaś jest w Kijowie w drukarni Teofila Glücksberga. Niedbałości takiej w korekcie jeszcze dotąd podobnego przykładu nie mieliśmy. Autor dołączył śpiew Tryolet z melodyą własnego utworu, i na czele zapisał, że to jest jego pierwsze dzieło muzyczne. Przywieść musimy ten utwór:

Kiedy czerep mój z mogiły,
Sęp do twej zanieś chatki:
Wspomnij o aniele miły,
Ze ten czerep z mej mogiły.

Zanieś go do mojej matki,
Lecz i matka w zimnym grobie! —
Niechże więc i me ostatki
Będą z tobą i przy tobie.

Niech ci nawet i po skonie
Będzie miłą moja postać;
W twém objęciu, na twém łonie
Pragnę zostać i po skonie.

Czyż się może z tobą rozstać,
Kto jedynie żył dla ciebie?
Ja chcę wiecznie z tobą zostać,
Razem w gróbie, razem w niebie!

— Hrabia na Wątorach, równie jak Chatka w lesie, utwory dramatyczne Wład. Syrokomi mają być przedstawione na scenie warszawskiej w teatrze Rozmaitości.—J. Wieniarski autor „Ulicznika Warszawskiego“ napisał nową sztukę p. n. „Nad Wisłą“ która wkrótce w tymże teatrze ma być przedstawioną.

— Mamy już dwa zeszyty Rozrywek dla młodocianego wieku, wydawanych pod redakcją Seweryny z Żochowskich Pruszkowej. Tak dobór artykułów, jak i ich artystyczne obrobienie, stawiają to pismo dorazem na wyższym stanowisku. Oprócz poezyi, Listy z Warszawy, Pamiętnik rodzinny, Literatura polska podzielona na czytania, Kilka chwil z życia artysty, siostra Klara: wszystkie te artykuły pióra redaktorki, odznaczają się tak treścią, jak i pięknym prawdziwie polskim językiem. Znany ludowy pisarz J. K. Gregorowicz dał tu zajmujący, a z właściwą prostotą skreślony obrazek wiejski p. n. Góry sieroce; K. Wł. W. wspomnienie o Helenie Krępiance; znany z pięknego pióra, jakkolwiek mało się udzielający J. P. skreślił przypomnienie świąt Wielkanocnych w okolicach Stoki. Z poezyi znajdujem tu utwory pióra oprócz samej redaktorki: Deotymy, J. Pruskiej, Gabryelli Ż. i Józefa Paszkowskiego znakomitego tłumacza Szekspira. Po tak świetnym początku, rokować możemy temu pismu pomyślną przyszłość, z prawdziwą korzyścią dla literatury ojczyźnej. Czas już był potemu, aby pismo sumienną i zdolną wiedzioną ręką, podało pokarm duchowy, czysty i zdrowy, dla młodzieży polskiej, w miejsce bezsensownych i dziecinnych książek obrazkowych, jakimi zarzucali nas księgarze od lat wielu, mając tylko zarobek na celu. Rozrywki, o których mówimy, zdają się spełniać nasze życzenia.

— Przy zeszycie pierwszym Pieśni ludu polskiego z melodyami Oskara Kolberga mamy dwie ryciny kolorowane, przedstawiające wieśniaczkę z Czerniakowa i gospodarza w świątecznej sukmanie z pod Ołtarzewa. Postaci te zdjęte z natury przez młodych naszych artystów (Kolberga i Markoniego) uderzają wielką prawdą oddania. Nie masz tu żadnej elegancji wymuskaniej, jaką mamy we wszystkich dotąd wydanych kostiumach ludu naszego, nie wyjmując i Gersona, ani urojenych fizyonomii: oblicza portretowane przedstawiają nam wiernie chłopków naszych, równie jak cały ubiór, z najsumienniejszą ścisłością wykonane. W textcie pieśni Oskara Kolberga znajdujem po kilkadziesiąt nawet wariantów z różnych okolic kraju jednej dумы, czy pieśni; widać z jaką troskliwością, z jak głębokim przekonaniem szanowny zbieracz oceniał całą wartość tego narodowego skarbcu. Gdyby we Fran-

cyi, Anglii lub Niemczech znalazł się drugi Kolberg, jużby świat cały wiedział o jego pracy: u nas najszlachetniejsze usiłowania, najpiękniejsze poświęcenia, nie mają uznania zasługi od własnych ziomków! Na te smutne przykłady obojętności codziennie patrzeć musimy.

— Nakładem Alex. Nowoleckiego księgarza wyszła książka p. n.: „Robinson dla dzieci: przygody najciekawsze Robinsona Kruzoe, z dodaniem, dla ułatwienia przekładu, spolszczonych zwrotów mowy i wyrażeń właściwych językowi francuzkiemu (gallicyzmów) znajdujących się w texcie, oraz słowniczka“. Wielkiego to użytku dziełko dla dzieci uczących się języka francuzkiego. Text cały francuzki, w przypisach objaśnienia, w końcu słowniczek.

Wilno. (Z listu) „Maurycy Orgelbrand rozwija czynnie i energicznie swój zakład księgarski. Władysława Syrokomli Stare wrota już skończył drukować, równie jak drugie wydanie gawędy ludowej. Janko Cmentarnik, dawniej pod nazwą Starego hulaka ogłoszonej. Zapowiedział nadto wydanie jeszcze w r. b. dzieł następnych: *Ventury de Raulika: Rozum filozoficzny i rozum katolicki*, w 3ch tomach, przekład Michała Bohusza Szyszki. *Alexandra Humboldta, podróże po Rossyi europejskiej i azyatyckiej* w 2ch tomach. Druk Słownika języka polskiego, wypracowanego przez Alex. Zdanowicza, Michała Bohusza Szyszkę, Januarego Filipowicza. i Waleryana Tomaszewicza, już rozpoczął“.

W *Moskwie* od 1 kwietnia r. b. zaczął wychodzić nowy dziennik p. n. *Ruskaja biesieda*, t. j. *pagadanki* ruskie. W prospekcie wydawcy cel tego pisma tak określa: „Uważamy za rzecz prawie zbyteczną (mówią) dodawać, że redagując dziennik w duchu narodowym, nie mamy zamiaru nadawać mu dążności sprzecznej z cywilizacją Zachodu. Każdy Rossyanin oświecony wie dobrze, ile we względzie rozwinięcia umysłowego winien jest Zachodowi; przekonany jest, że wielu rzeczy ma się tam jeszcze nauczyć. Korzystać więc o ile można najwięcej z bogactw umysłowych Zachodu, przetrawiać w sobie wszystko, co tam zdobyć mamy, pokazywać prawdziwy stosunek Zachodu do Rossyi, i nawzajem Rossyi do Zachodu, pomagać do prawdziwego pojęcia cywilizacji zachodniej: oto są przedmioty, których „*Pogadanki*“ nigdy z uwagi spuszczać nie będą“. W liście, który redaktor tego pisma p. Koszelew pisał do uczonego filologa naszego J. Papłońskiego, czytamy: „wstyd, że żyjąc pod jednym rządem, tak mało wiemy o literaturze polskiej; w ostatnich szczególnież czasach tak się ona rozwinęła, tylu pojawiło się znakomitych pisarzy, nam wcale prawie nieznanych. Bardzobyśmy życzyli zbliżyć się z literaturą polską, i uzupełnić wielki brak, jaki w tym przedmiocie w dziennikach naszych spotykamy“. Dziennik ten wychodzi kwartalnie i dzieli się na pięć oddziałów: literaturę piękną, nauki i sztuki, krytykę, przegląd polityczny, i rozmaitości. Do ważniejszych artykułów sprawozdawca p. J. Papłoński liczy: dwie obszernie rozprawy: „*Hilferdinga, świadectwo współczesne o Włodzimierzu i Bolesławie Chrobrym*“ i „*Narodowe odrodzenie Serbów, Łużycan w Saxonii*“ oraz „*Poselstwo Ruskie do Francyi w r. 1668 odbyte*“. Oddział krytyki bogaty, zajmuje blisko połowę tomów. W rozmaitościach ważny artykuł *Maxymowicza*: *Dni i miesiace włościanina ukraińskiego*, i życiorys senatora *Mikłaszewskiego*. Do literatury pięknej należą: poezye *Chomiakowa*, obecnie pierwszego poety ruskiego, *Stachowicza*, *Aksakowa* i zmarłego *Żukowskiego*, oraz zajmująco napisana komedia *Aksakowa* p. n. *Książę Łapowicki*, w której wyśmiewa manią cywilizowania ludu połudług pojęć Zachodu.

— Czcigodny Stanisław Jachowicz, pomimo zwątlonych sił pracą, nie ustaje w szlachetnym zawodzie swoim. Obecnie zaczął wydawać tomikami: *Rozrywki dla młodzieży rzemieślniczej*“. Trzy części tej książki zajmuje opowieść *J. K. Gregorowicza*: „*Mateuszek, rzecz napisana z prawdziwego zdarzenia*“. Zasłużony ten pisarz ludowy, coraz więcej prac swoich ogłasza. W *Czytelnii Niedzielnéj* czytaliśmy jego

Pogadanki starego rzemieślnika i rolnika, które zwróciły uwagę czytelników. Wspiera on gorliwie tak pomienione Rozrywki Jachowicza, jak i Rozrywki dla młodocianego wieku, pod redakcją Seweryny Pruszkowej. Obecnie pracuje nad nową seryą Zarysów i obrazków wiejskich.

† W czerwcu r. b. w Warszawie umarł Mikołaj Rejman, jeden z najlepszych naszych pisarzy leśników, autor dzieł ważnych: „O naturze torfu i jego użyciu gospodarczém 1841 r.“. „Gospodarstwo łowieckie z historią starożytną łowiectwa polskiego, 1845.“ Był współpracownikiem stałym Sylwana, wiele jego artykułów mieściły Roczniki gospodarstwa krajowego i Korrespondent handlowy.

† W maju r. b. umarł w Szlązku, w Golenowie pod Szczekocinami, poddziekian, proboszcz ks. Tomasz Szczech. Był on rodem z Lubszy, syn ubogiego zagrodnika, a w całej okolicy sławny kaznodzieja i lubownik ogrodnictwa. Zbiór kazań jego oczekuje nakładcy.

OD REDAKCYI.

Z powodu zdefektowania początkowych N^{row} Biblioteki Warszawskiej z r. b., zabrakło redakcyi poszytu na m. luty r. b. i z téjto przyczyny niektórzy z późniejszych prenumeratorów nie otrzymali go jeszcze dotąd. W każdym jednak razie redakcyja obowiązuje się w krótkim czasie dostarczyć brakującego zeszytu, i nikt na zdefektowanie całego dzieła narażonym nie będzie.

Z dniem 8 lipca r. b. redakcyja Biblioteki Warszawskiej przeniesioną została na ulicę Daniłowiczowską, pod Nr. 617, do domu zwanego Biblioteką Załuskich.

Sprostowanie.—W życiorysie Jana Siostrzyńskiego, na stron. 216, wiersz czwarty od dołu, zamiast w *Nowém-Mieście*, czytać należy: w *naszém mieście*; na stron. zaś 224, wiersz piąty od dołu, zamiast *będzie mu tylko*, czytać należy: *będzie ona tylko*.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej

Miejsce dostawek wzięsione jest 301.6 stopni paryskich nad
12.14-13.17 cęski w roku 1856 r.

Data	Barometra w milimetrach sroprawazny do 0					Termometra astronomicznego				
	0	1	2	3	4	0	10	20	30	40
1	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
2	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
3	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
4	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
5	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
6	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
7	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
8	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
9	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
10	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
11	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
12	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
13	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
14	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
15	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
16	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
17	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
18	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
19	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
20	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
21	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
22	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
23	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
24	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
25	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
26	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
27	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
28	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
29	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
30	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
Suma	758.00	758.00	758.00	758.00	758.00	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.

Czerwiec, 1856.

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.420	27	8.658
Najwyżej barometr dochodził d. 12 o g. 10 r.	756.86	27	11.514
Najniżej — — d. 19 o g. 10 r.	742.03	27	4.939
Średnia zmiana dzienna barometru	2.984		1.323
Największa zmiana dzienna barometru d. 19—20 o g. 10 r.	9.45		4.189
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	1.890		0.838
Średnia temperatura czerwca wynosi:	748.530	27	7.820
i ta jest wyższa o	+ 17 ^o .96 C.		+ 14 ^o .37 R.
od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	0.33 „		0.27 „
Największe ciepło było d. 18 o g. 4 w.	+ 17.63 „		+ 14.10 „
Najmniejsze — — d. 25 o g. 10 w.	+ 31.7 „		+ 25.36 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	+ 7.9 „		+ 6.32 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 28—29 o g. 4 w.	3.264 „		2.611 „
Termometrograf wskazał:	10.9 „		8.72 „

Maximum: +25^o.9 R. d. 15 po połud.

Minimum: + 4^o.8 „ d. 25 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 65.1, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 9.97 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.05 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 35.5 mil. czyli 15.74 lin. par.; ilość ta wody jest o 14.14 lin. par. mniejsza od tej, jaka średnio w Czerwcu spada.

Dni pogodnych było 8, napół pogodnych 9, pochmurnych 13.

— deszczu 13 (d. 1, 4, 5, 6, 11, 13, 14, 19, 21, 24, 25, 29, 30).

— grzmotów 5 (d. 1, 4, 11, 19, 21).

— błyskawic bez grzmotów 4 (d. 4, 14, 15, 18).

Wichrów było 3 (2 Pn., 1 Z.).

Wiatrów mocnych 2 (1 Pn., 1 Z.).

Wiatr panujący: Zachodni, częste były także Północne i Północno-zachodnie.

Czerwiec r. b. był suchy, dosyć pogodny, co do temperatury zmienny. Pierwsze dwanaście dni były ciepłe, następne sześć gorące, ostatnie chłodne, w ogóle miesiąc ten był o 0.3 stop. R. cieplejszy niż zwykle. Dwa dni 15 i 18 były niezwykle gorące; termometr w południe na słońcu w tych dniach pokazywał 32 stop. R. ciepła; przeciwnie w dniach 25 i 26 nad ranem ciepło zaledwo dochodziło do 5 stop. R. Najcieplejsze dni były: d. 13, 14, 15, 16, 17, 18, 28; najchłodniejsze d. 6, 7, 8, 24, 35. Zmiana temperatury miesięczna wynosi 21.1 stop. R. Stan powietrza był suchy; wilgotność średnia miesięczna jest o 5 setnych mniejsza niż zwykle. Wody z deszczu jest o połowę mniej niż w stanie średnim. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodny niż zwykle; albowiem w stanie normalnym, stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5.3:14.7:10.0. W r. b. stosunek tych dni jak 8:9:13. Stan wody na Wiśle pod Warszawą najwyższy dochodził stop. 7 cali 2 d. 1; najniższy stop. 9 cali 6 d. 25, 26, 27.

MACIEJ GOLANCZEWSKI.

PRZEZ

Zygm. K.

In horum vicem successerunt psalmici rythmi, profunda locutio Patriarcharum, aenigmatici sensus Prophetarum, parabolae Evangelicae, purissimus sermo sanctorum Patrum.

Starowolski. Laudatio Academiae.

Stoi dziś jeszcze nad Wisłą wspaniała katedra biskupów kujawskich, zabytek XIV wieku, staraniem i kosztem biskupa Macieja Golanczewskiego wzniesiona, która już sama dostatecznym pomnikiem sławy jego staćby się mogła, gdyby tyle innych tytułów, jako męża stanu, pasterza owczarni, jako wreszcie rycerza w kirysie, na stronnicach dziejów z epoki ostatniego Piasta, imienia tego nie wznawiało. Gdy mówimy, imienia, powiedzenie nasze literalnie brać potrzeba. Najdawniejsi i najnowsi pisarze wzmiankują z upodobaniem Macieja, biskupa władysławskiego lub włocławskiego, chociaż katedra ta chlubi się imieniem niejednego jeszcze Macieja, jak: Drzewickiego, Łubieńskiego, znamienitości swojego czasu niepospolitych. Może jeden Kromer z dawniejszych zwykł go dobitniej mianować: *Mathias de Golancza, cognomine Paluca*, to jest z przydomkiem jeszcze jako Paluczana albo rodaka z nad Noteci. Najnowszy Moraczewski zwie go powszechnie Maciejem, z dodatkiem, iż był biskupem władysławskim, jakoby od Władysława tym sposobem go zowiąc, chociaż już dawno Włocław albo Włocławek, od którego nazwę swą otrzymywali biskupi, nie bierze się za jedno z Władysławowem, ani położenie kate-

dry nie jest wątpliwem, jak się ten błąd wcisnął jeszcze do *Historji Naruszewicza*, a z niego do *Historji kościoła polskiego* przez Ostrowskiego: o czem niżej wzmiankę uczynimy. Mógłby sobie przypomnieć był Moraczewski już z Paprockiego, iż w jego *Herbach rycerstwa* z r. 1584, Maciej nasz nie jest inaczej, tylko biskupem wrocławskim zwany (1), jak to pod klejnotem *Topór* widzimy. U nas tu biskup wrocławski albo kujawski, za jedne będą brane nazwiska.

Chociaż wyłącznie Maciej Golanczewski jest zadaniem tego pisma, chcemy nie pominąć przytém dziejów katedry, w rozmaitych jój kolejach: czy to z powodu jój przeniesienia z Kruszwicy, czy z powodu innych okoliczności znaczących, od daty jój ustalenia, że nie powiem wskrzeszenia przez tego biskupa. Będziemy się przecież starali, ażeby bez umniejszenia światła, mąż i jego dzieło pomnikowe w pamięci naszej obok siebie społecznie iść mogły, a światło to mianowicie, ażeby się nie okazało sztucznem, lecz żywcem z kart dziejów wyjętém.

I o te karty dziejów niepomatu nam idzie. Wznawiać dziś pamięci wielkich ludzi nie wypada, bez roztrząśnienia źródeł, z których tyle bajek niesłychanych się powtarza. Wziąć np. na uwagę w materji naszej kościelnej owe wszystkie: *vitae archiepiscoporum*, *vitae praesulum*, *vitae antistitum*, *vitae praepositorum* i t. d. W naszych pamiętnikach religijnych, zdają się badacze już wszelkich warunków żądanych dopełniać, jeśli podania swe wesprą opinią jednę z tych powag i słowa ich przytoczą. Ileż jednak niezgodności z krytyką historyczną, ile podań nieuzasadnionych, przesad panegirycznych i błędów, zacierają prawdę w tych źródłach; jak trudno przy ich pomocy dojść do pewności jakiejś żądanej, czy to w związku z ogólnemi dziejami, czy biorąc odrębnie gałąź ich pojedynczą i chcąc ją obrobić w świetle rzeczywistości? Nie można np. w zadaniu naszym, gdy o fundatorze kościoła katedralnego w Włocławku mówimy, krok w krok bezogłędnie powierzyć się nauce Damalewicza, który przecież już od daty ogłoszenia swoich *Żywotów biskupów wrocławskich* (za panowania Władysława IV w Polsce) uchodzi w tej materji za źródło najwięcej znaczące a może jedyne. J. teologii doktor, jeden

(1) Tym właśnie wyrazem *Błażowski* wszędzie łacinę swego Kromera tłumaczy.

z członków hierarchii wrocławskiej w swym czasie, ze ścisłością wprawdzie ascetyczną, żywoty pobożnych pasterzy opisuje: nie szczędzi pochwał na panegiryk zakrawających, w żywotach takich biskupów jak: Rozrażewski, Karnkowski, Łubieński; żyyma się, dosadnemi farbami kreśli wykroczenia Jana Kropidło, Jana Gruszczyńskiego i tym podobnych. Żywoty jego są razem kroniką, albo raczej wyciągiem erudycyi z kronik, które z tłem przezeń osnowaném rymowały. Dodać potrzeba, iż jestto pisarz łacińsko-polski, któremu idzie dość wiele o frazes lub postać retoryczną. Ustanowił nawet sobie formułkę w kształcie epigrammatu (1), zawierając mającą w końcu żywota treść opowiedzianą pod każdym biskupem z kolei. Owszem herbownej swęj szlachty przedsiębiorąc dzieje, nie pomija herbu ani rodowitości chociażby Niemca lub Włocha na tój katedrze. Nic starowniejszego, jako pomoc dla heraldyka np. Niesieckiego, który na tój zasadzie z nieomylną pewnością opowie 200 lat istnienia katedry przed jęj przeniesieniem z nad Gopła, a najmniejszej oględności mieć nie zechce w porządku chronologicznym, zaczawszy od Lucidusa albo Jasnocha, spolszczonego z nad Tybru przychodnia, po ostatnią stronicę swego wyznanego wzoru, tojest po rok 1642, przez VII wieków bezprzerwnych prawie aż do Mikołaja Alberta Gniewosza; poczem już na podobnej tkance historycznej, aż do współczesnego sobie Krzysztofa Szembeka, w początkach wieku XVIII, reszty dopełni. Ale gdyby nie być dopuszczonym na nowo do skrytości archiwum miejscowego, nie sprawdzić pieczęci oryginałów i nie odcyfrować pergaminów, na których wryty wpływ czasu: mogli to źródło być dostatecznym dla późniejszych pracowników na polu historyi, i po wiadomościach z niego otrzymanych

(1) Na próbę przytoczymy tego rodzaju epigrammat, pod życiem naszego Macieja umieszczony:

Pontificis iustos Mathias implet honores,
 Et quos cuique suus dabat labor ille ferat.
 Augustum coeloque ferens fastigia templum,
 Et binas arces nobile struxit opus.
 Condidit obscuro huic cineres Sacristia busto,
 Mathia, quantus parvule Proesul eras?

„(Słusznie spotykają Macieja najwyższe zaszczyty kapłańskie, oraz te, jakie każdemu praca jego własna przynosi. Jegoto szlachetnym trudem stanął ów wspaniały kościół wierzchołkiem wybiegający ku niebu, i dwa na różnych miejscach zamki obronne. Macieju, któż się domyśli ze złożenia garstki twych prochów w niepozornem zakrytyi ustroniu, jakim ty byłeś pasterzem?)”

ustąpi noc wieku, na tylu przedmiotach z przeszłości zalegająca dla nas? Bynajmniej. Praca ta czekać jeszcze zawsze będzie sił nowych i wzięcia się sumiennego, z widzeniem rzeczy krytycznym, bądźto pióro duchowne, bądź świeckie weźmie się do niej. Nie jestto przedsięwzięcie małej wagi, ani małego nawzajem czasu do swego wykonania wymagające. Takiemu przedsięwzięciu niebo sprzyjania, a ludzie pomocy odmówić nie mogą.

Damalewicz nie pominął żadnego przedmiotu, mogącego mieć styczność z dziejami biskupstwa. Granice dyecezyi w zmianach różnych epok aż do najdrobniejszych odcieni są u niego oznaczone, podział na archidyakonaty z podobnemiż wyklada się szczegółami, nie pominięte są bractw i zakonów, wewnątrz dyecezyi osiadłych, dzieje kategoryczne, a mianowicie wszelkie pomnożenia co do ziem, miast, grodów, wsi i ich przyległości, nie jedną w żywotach jego obszerną stronicę zapełnią. Wszystko to jakby historia domu, ale na rozleglejszą skalę przedsięwzięta wygląda. Żałować tylko potrzeba, że Damalewicz tak mało zwraca uwagi na autentyczność przytaczanych przez siebie dowodów; owszem zdaje mu się podejrzenie żadne nie ciężać, już na mianych pod ręką znojach pleśnią okrytych, choćby najniepewniejszej wiary, jeśli przypadkiem odkrycie ich wspiera myśl wziętą od mistrza takiego jak Długosz. Dobry mu wtenczas przywilój Eugeniego III papieża, jaki ma pod ręką. Czyta go, przyjmuje bez porównania dat i okoliczności. Sam uwiedziony, błąd swój do podzielenia następcem swoim zostawia. Niżej tu jeszcze o tém choć nawiasową uczynimy wzmiankę.

W ogólności co Kromer o Długoszu na swoim miejscu powiedział, to się dosłownie da powtórzyć o jego kompilatorze i przepisywaczu Damalewiczu, że nie jest mu *inusitatum, temporum rationem pervertere et singulos non suis titulis appellare* (1).

Źródła, nie same tylko piśmienne, przychodzić tu nam na pomoc mogą. Nazwałbym z wielu względów źródłem pomocniczym, oprócz archiwów miejscowych i świadectw na historycznej szali sprawdzonych, wewnętrzną katedry z jój pomni-

(1) „Aleć nie nowina to Długoszowi, pomiarkowanie czasów powikłać, a niektóre osoby nie swoim imieniem nazywać“. Marcin Błażowski.

kami, których nie należy mimochodem pomijać. Katedra ta jest mauzoleum pamięci Golanczewskiego, ale i ogólne jej dzieje mówią w wewnętrznych i zewnętrznych czasu pozostałościach. Pierwotny zarys świątyni godny panowania Kazimierza W. uledz wprawdzie musiał wpływowi innowacyj późniejszych i skazom, jakim uległo tyle innych zakładów, przeobrażanych z postępem czasu; z idei czysto-gotyckiej, posępnej, godnej wieku, w którym Golanczewski do murów swych zaprawy przymieszać mógł niejedną krew niewinną przez zbójecki zakon przelaną, coś różnorodnego w stylu mieszanym, potomność w puściznie otrzymała. Dwa chóry gotycko sklepione, znać niejednocześnie całość świątyni formujące, dostały ozdób z kaplic, każdej odmiennego stylu: w myśl późniejszych przekształcicieli ozdobami je nazywamy. Dwie wieże, każda z odmiennego wieku, obciążają facyate, której część niższa myśl zupełnie inną założyciela swego wyraża. Z taką wielorakością odmian, trudno wynaleźć pomnik podobnej starożytności w kraju. Wiele tego rodzaju zabytków leży w ruinie: katedra wrocławska, jakoby architektonicznym świadectwem być miała, utrudnionego założenia jej fundamentu nad Wisłą, potem rozlicznych burz czasu, jakim i ona, i kraj ją otaczający ulegał po tyle razy.

Zewnątrz, ślady swych innowacyj rozmaici przekształciciele znaczyli złoconemi herbami rodowitości swojej, czepiającemi się wyższych i niższych dachów. Jestto już ultra-szlachecka metoda świadectw. Mimo dotknął murów świątyni, wielki nasz Kopernik swoim *kompasem*. Wzrok nasz zatrzymuje się z upodobaniem na tym regulatorze, jakkolwiek nieuszanowany jego widok, pod białą powłoką wapna zaczął już niknąć. Kompas ten przecież nie miał próżności ludzkiej być świadectwem.

Wewnątrz, ogół nie mógłby nie rymować z myślą Golanczewskiego. Dzieło już późniejszej zupełnie daty, ołtarz pod krzyżem Pańskim, na przedziale dwóch chórów przez biskupa Gembickiego wzniesiony, uderza najpierw wzrok przychodnia od drzwi głównych w perspektywie oddalonej; za nim dopiero w pomroce oddalenia przedstawia się ołtarz wielki (ara Pontificis), i stalle prałatów, i ławy kleru. Dziesięć filarów, na których wsparte jest podniebienie świątyni, rozmiar ich nawy wskazują; u każdego filaru prawie, ołtarz pojedynczy pod łukiem sklepienia się mieści. Na ścianach i filarach w różnych

odstępach pomniki grobowe. Jestto historia biskupstwa w napisach. Odrębna jęj część zawarta w płytach marmurowych, najnieatrwała w osnowie; niektóre już bowiem pod ustawiczným deptaniem się zatarły, inne, z późniejszego wieku, udział ten czeka z kolei. Wspomniy przez osobliwość wieko grobowe Wincentego Przerębskiego, którego rzeźby w białym marmurze od czasów Zygmunta I dotrwały. Pomnik ten znajduje się u stóp ołtarza pod krzyżem Pańskim. Obok niego w ścianach przeciwległych pomniki: jedno mauzoleum Piotra z Bnina. Ów *vir proceræ staturæ, morum gravitate celebris, doctrina magnus*, jak go nam Damalewicz opisuje, dochowany w rysach postaci swojej, pomysłem Kallimacha Etruska, doradcy królów, od schyłku wieku XV już w nięm wiekuje.

Możnaby pod pewnym względem wezwać do pomocy w opisie dziejów tego kościoła, żyjących stróżów pamiątek i archiwum. Tą drogą wyszły na świat dyplomata, których zbiór na chlubę wieku naszego ma powstać. Wiadomo, że już Tadeusz Czacki odkrywał w tęp zaciszu pomniki historyczne, jakich nie napotykał w archiwach krakowskich. Jakież jeszcze ich zapas musi leżęć w ukryciu!

Do naszego tu zadania wypada właśnie cofnąć się do nieporównanie dawniejszjęj epoki. Istniejąca starożytność z wieku XIV, ma dzieje swego niemowlęctwa nad Gopłem, i nad Wisłą jeszcze była poprzedzona jakby tymczasowemi zakładami, które albo materyał dorywczy, albo klęski i pożogi wojen, na zniszczenie skazywały. Bezpośredni przeto związek historyczny wymaga, ażeby mówiąc o istniejącym wielkim pomniku, chociaż w pobieżnych, głowniejszych zarysach nie przemilczęć o piérwiastkowych świątyniach, które uległy zagładzie: o katedrze w Kruszwicy, o jęj przeniesieniu do Włocławka, o jęj kilkakrotnęm obróceniu w perzynę. W wybitniejszjęmto bez wątpienia świetle przedstawi myśl i konieczność, jakie dały życie wskrzeszeniu jęj późniejszemu.

le nam autorów historii kościoła naszego nawinie się pod rękę, we wszystkich jedno echo, jedno powtórzenie bez troski wznawiane, tego co mógł *Długosz*, wielki pracownik na tęp niwie powiedzięć; rzadko kogo *Bogufał* zepchnął z tęp drogi, który odmienną myśl podda. Jeszcze i ta nowość nie będzie trafnie schwycona.... Według *Długosza* już początek naszjęj katedry równocześnie z epoką chrztu narodowego założymy, Bo-

gował o parę wieków téj epoki bliższy, zanotuje wieść o tém założeniu dopiero pod Mieczysławem II, może względ mając na utworowanie drogi przez bohaterskiego ojca jego aż do prowincyi gdańskiej, do tych biskupów należąc mającej, albo po buncie naszej ludności pogańskiej burzącej kościoły, wynalezienie miejsc warowniejszych do nowéj potrzeby. Co do Długoszo-
wych zapisek, zebrane one pewnie są w treści przez pierwszego lepszego, téj donośności widzenia pisarza, jak: Stanisława Łubieńskiego, który na czele żywota pierwszego z biskupów swoich płockich, *Angelota*, potrzebując coś powiedzieć o fundacyi pierwotnych biskupstw w Polsce, z zupełną wiarą polega na tém, co mógł dla tego kraju uczynić Idzy, biskup tuskulański, wysłany przez Jana XIII papieża do téj ziemi wandalskiej, aby w niéj położył zasady kościoła, miejsca stosowne do katedr biskupich wynalazł, zaraz im właściwe dyecezye nadał i hierarchią kościelną urządził: miał bowiem ten Idzy w orszaku gotowych pastérzy, na naczelników tej hierarchii przeznaczonych. Osa-
dzić więc był powinien ośmiu biskupów, cudzoziemców w téj swojéj nowéj ojczyźnie. Mieczysław I wszystkie im dzielnice kraju, jakim sam rozporządzał, do urzędzenia kościelnie otwierał: bo, jak powiada Łubieński (1), widział w tych nowych przychodniach jakby zesłańców z nieba, *ac si de caelo delapsi essent*.

Inni pisarze posunęli do dziewięciu tę pierwiastkową liczbę biskupstw i dla nich założonych nowych bazylik. W tym drugim podziale są dwa arcybiskupstwa i siedm biskupstw.

Ile w tém wszystkiém wątpliwości się kryje, nie jest już dzisiaj rzeczą obcą dla nikogo. Szkoła nasza nowotna, może zanadto znowu literą pozostałości pism się rządzi. Czy wskóramy bowiem co więcej z obwoływanemi za stanowcze oznaczeniami kronik owych Dytmarów albo Wipponów, dobytých z swego kurzu, jest także wątpliwość: cóż bowiem z dowodnéj pewności o arcybiskupstwie przez cesarza niemieckiego, nie przez papieża stanowioném w Gnieźnie, i istniejących już wtenczas biskupstwach: poznańskiem, krakowskiem, wrocławskiem i kołobrzelskiem, stalszego w dziejach da się założyć, jeśli owego Gniezna takie tylko ustalenie, że w r. 1084 może przemówić Grzegorz VII (jak to widzimy w liście przytoczonym u Łubieńskiego):

(1) Opera posthuma. Antverpiae. 1643. pag. 309.

Episcopi terræ Vestrae non habent certum Sedis Metropolitanæ locum; owszem są to Episcopi, huc atque illuc pro sua ordinatione vagantes? A wypada to już na czasy Bolesława Śmiałego? (1). Widocznie zatem ów Idzi czynił porządek kościelny, o tyle stały i pewny, ile to dało się czynić w narodzie, świeżo z pogaństwa do poznania św. Wiary przychodzącym: a jeśli co pewnego o jego czynnościach w rocznikach kościelnych szukać mamy, owi kronikarze niemieccy na takich oczywistych dowodach świadectw swych nie wspierali, ażeby do nich tylko, jako do gruntowniejszych źródeł i oświecenijszych świadków powołać się można.

Tak i co do naszego przedmiotu, gdy Dytmar merseburski lub temu podobne źródło równej starożytności, w Kru-

(1) Nasze niedowierzanie w powagę ostateczną niemieckich źródeł, następującem widzeniem rzeczy wesprzeć możemy. Kronika np. Dytmara, jako szanowna starożytność z tak oddalonego wieku (XI), powinna być tem więcej być cenioną, że niejedna perła w nagromadzeniu mimowolnem łatwowierności, właściwych temu pisarzowi, przy usilnem odróżnieniu prawdy od fałszu, wygrzebaćby się dała. Perły takie już nie na jednem tle nowotnem połyskują. Nigdy jednak bezstronny rozeznawca nie zgodzi się z nim na pewność w rzecach słowiańskich, gdy widocznie rzeczy te są nieraz jemu obcemi zupełnie, albo dotykane są jakby nawiasowo i od niechcenia, a wszędzie jak do łoża Prokusta są w nim naciągane wyobrażenia, sprzeczne z samodzielnością szczepu, który jest u wszędzie hołdowniczy, posiłkujący się okrucami łask jego Ottonów, albo w stylu godnym pisarza, niemal do trzody bydłowej porównywany. Na całym osnowaniu tej kroniki, kleconem z widzeń sennych, objawień złych duchów i tym podobnych przekonaniach, ze względu Polan naszych, zawiera widzenie prawdy, postać jedna nienawistna i w oczach jego obecna zawsze, Bolesław *fullax, disturbans, dolosus, qui verbis phaleratis crebro fallere solet, mille artium scientia plenus, versipellis, antiquus fornicator, hostis germanicus, publicus hostis*. I w materji naszych kościołów, tyle tylko światła z niego poczerpnąć jesteśmy w stanie, ile o nich przemilczeć nie może, z powodu reprezentacji dla swego Ottona czynionej, przy grobie św. Wojciecha w Gnieźnie. Kilka wierszy tej treści znajduje czytelnik w księdze IV jego Kroniki i nigdzie więcej. Oto są jego wyrazy: „*Ab episcopo Posnaniensi susceptus (Otto III) Ecclesiam introducit. — Nec mora fuit ibi Archiepiscopatum ut spero legitime, sine consensu tamen praefati praesulis, cuius diocesi omnis haec regio subiecta est, committens eundem praedicti martyris (Adalberti) fratri Kadimo, eidemque subiciens Reimbernum, sanctae Cholbergiensis Ecclesiae Episcopum, Popponem Cracanicensem Joannem Wiotislaensem, Ungero Posnaniense excepto (zob. wydanie Rejnera Rejnekycyusa Steinheima w Frankfurcie nad Menem r. 1580 p. 43).*” Jestto ślad, co się *auctoritate et jussu Ottonis III* działo naówczas w Polsce. Owszem tłumacz tej kroniki i objaśniacz *Ursinus* (w Dreźnie r. 1790) ośmiela się zład więcej wyciągać wniosków nietylko już ze względu stanowienia hierarchii duchownej, lecz ogólnej supremacji, w czem nie chce się nawet oglądać na to, co mógł przeciwnie mieć przytoczony przez niego *Schurzfleisch*, in *fundamentis historiae germaniae aevi* p. 231). *Ursinus* przytacza jeszcze na poparcie słowa kro-

szwicy bazyliki, jako fundacyi Mieczysława I położyć nie dozwoli, zapytaćbyśmy mogli, co przeszkadzało również nad Gopłem, jak w oddalonych punktach nad Odrą i Wartą lub w Kolobrzegu pomorskim, dać fundament katedrze? W siedzibie przynajmniej Piastów, która przez znaczny przeciąg czasu ród panujący w sobie gnieździła, w obwarowanej i dogodnej z położenia swego Kruszwicy, koncentrowała się główna siła Polan kujawskich, a kaplica św. Wita, której dopiero ślady za Bolesława Krzywoustego napotykać chcemy, nie mogłaż być bezpośredniem przejściem z gontyny pogańskiego bożyszczka, do kościoła tego patrona, przez wszystkich Słowian czczonego, i to jednocześnie w epoce przyjętych za pewne pierwotnych fundacyi? Przeciwnie owszem utrzymywać będziemy, że jeśli data panowania Bolesława Krzywoustego ma być dowodniejsza w ustaleniu katedry kruszwicko-kujawskiej, krytycy nasi

niki magdeburskiej in *Meibomii* Ser. Rer. Germ. „Iste Otto III Polonicam provinciam in quinque dividens episcopatus, in ipsa Gnesni urbe Gaudentium consecrari Archiepiscopum fecit eique tres alios episcopos in Cholberg, Crakowe et Wortizlave subiecit.“ Sam on na wstępie do swego tłumaczenia dosyć ocenił swój oryginał, mówiąc (p. XXII): „Dithmar schrieb sein Geschichtsbuch in lateinischer Sprache, redete aber und dachte deutsch.“ W tych wyrazach zawarł właśnie całą niedostateczność swego pisarza, jako powagi historycznej. Nie sięgała bowiem jego znajomość Polski za zakres Elby, Odry i Warty; w tej linii ostatniej dociera swą wiedzą po Międzyrzecz, Poznań i Gniezno: a gdy mu w zamknięciu swęj kroniki wypada opisać bój rozpoczynający się pomiędzy Bolesławem i Włodzimierzem, już nawet nie jest mu rzeka *Bug* znana, i tylko *ad quendam fluvium Bolizlawus veniens*. wyrazić się umie. Do rozbiegania tego przedmiotu właściwie inne miejsce wybrać sobie winniśmy. Tu dosyć wzmianki, iż pisarz, który nawet przy nawróceniu Mieczysława I z swoim narodem (*inclity ducis Poleniorum*, jak się o nim zwyczajnie, przez wzgląd na potulność cesarzom wyraża), wiedział tylko o jednym biskupie poznańskim, Jordanie, co się tak dalece pocił (*qui multum sudavit*) w zadanej sobie pracy z nowo nawróconą ludnością, nie mógł niekonsekwentnie i pod panowaniem Bolesława Chrobrego co innego nam prawić. On to nie wie i o wielu innych ważnych wypadkach, na kartach kroniki swojej, np. czy Otto III włożył koronę na głowę Bolesława, przyznając mu tym znakiem godność królewską, z czego bierze pochod Ursinus do twierdzenia: „Man hat Ursache, an der Wahrheit dieses Vorgebens zu zweifeln (p. LIV)“, choć niepostrzeżenie na innem miejscu wymkną się słowa samemuż Dytmarowi: *quod tributarium faciens dominum ad hoc unquam elevavit*. Tłumacz jest godny istotnie swego oryginału. Z taką np. energią tłumaczy wyrazy: *ille dolosus*, der Schlangenlistige, *tributarius*, der zinsbare Slave, albo wstydzi się za swych Sasów i Turyngów po zajęciu Budyszyna przez Bolesława, że *vertauschten ihre angeerbte Ehre gegen eine schimpfliche Unterwerfigkeit unter diesem Slaven*: w czem równaż jest energia.

Nie wiem do jakich pisarzy niemieckich odwołuje się *Albertrandi*, w swoim przekładzie *Szmida*, gdzie około r. 1032 chce założyć początek biskupstwa w Kruszwicy.

obierają dla swęj pewności epokę wątpliwą zupełnie: przepominają bowiem o losie Kruszwicy, jaki ją spotkał za przeszłego jeszcze panowania. Mówimy o jęj zburzeniu za Władysława Hermana, w wojnie z synem swym naturalnym, Zbigniewem. Kruszwica, jak wiadomo, chwyciła się partyi tego ostatniego, i uległa kłęsce niesłychanej; a zarumieniły się wody w Gople od krwi ziemian, aż do zagłady wzajemnej walczących, miasto legło w ruinie, a nikt nie wskaże epoki powstania jego z gruzów. Już za czasów Długosza Kruszwica *vix vici retinet nomen*, a Kromer opowiadając skutki gniewu i zemsty nad tym grodem za udział wzięty w wojnie dynastyi: „*ex eo tempore*” powiada „*in eam, quae etiam nunc cernitur solitudinem redacta est*” (lib. 5) (1). Pośród więc łomów i gruzów, w istniej pustyni, jak z krzaku Mojżesza ma wyniknąć to ognisko kilkowiecznej trwałości dla Kujaw? Zapewne nie emblematami rządzić się będzie krytyka historyczna, gdy mówi o zjawisku anioła, który z wierzchołka owęj kaplicy miał wskazywać drogę Bolesławowi do Nakła, i zechce się oprzeć na mniej ulotnej podstawie. Przynajmniej równiecnickami czynią owi puryści katedrę dla Mazowsza w Płocku, i katedrę dla Kujaw w Kruszwicy.

Ale już od żony Władysława Hermana Judyty, datuje nadanie kościołowi kujawskiemu Łagowa, *territorium Lagoviense* (2), w ziemi sandomierskiej, jak o tęp mówi Kromer, nie tworzący kwestyi spornych. Iż zamek ten, oraz dziedzictwo do niego należące, były w posiadaniu biskupów kujawskich do najpóźniejszej ordynacyi, nie masz o tęp wątpliwości; ale któż zbije początek nadania, nie mając przeciwnych dowodów w ręku? Datują podobnie z najdawniejszej epoki rozmaite nadania, w używalności biskupów kujawskich będące, których podobnie z zaprzeczoną bytnością katedry w takięj epoce, przecinałoby się istnienie. Dowodów i dowodów, a dowodów autentycznych, woła krytyka; w odpowiedzi wskazuje historia na gruzy miast, popioły z tlejących papierów. A gdy się pewna niemowlęcość narodu do tego w epokach owych oddalonych

(1) „A Kruszwica, że go (Zbigniewa) w sobie zachowała, na łupież żołnierzowi padła: i od tegożo czasu, jakie i podziśdzień widzimy, o takie zniszczenie przyszła.” *Marcin Błażowski*.

(2) „Powiat zasię łagowski kruswickiemu abo włodzlawskiemu biskupowi.” *Marcin Błażowski*.

przyczyni, jesteśmy na woli zupełnego zaprzeczenia albo prostego domysłu.

Chociaż na parę set lat przed sobą ma Bogufała Długosz, widać twierdzenie jego: *Cujaviensem Ecclesiam, filius Boleslai I Mesco fundavit*, na zupełną jeszcze wiarę u niego nie zasługiwało, jeśli przy naznaczeniu dawniejszego jój początku się utrzymał, i to przekonanie o jój fundacyi następcom swoim zostawił.

Daléj rozwiniętem swoim twierdzeniem Bogufała: *Ecclesia, quae olim Crusuiciensis nuncupabatur, nostris temporibus Vladislaviensis nuncupatur*, wywołał komentarz fałszywy Naruszewicza co do pochodzenia téj nazwy *Vladislaviensis*. Naruszewicz w objaśnieniu swoim miesza nazwisko Władysława, położonego między Kołem a Brudzewem nad Wartą, z nazwiskiem miasta Władysława nad Wisłą. Naruszewicz jest doskonałym krytykiem na błędy Długosza i tym podobnych latopisców, w tym jednak względzie nowy błąd tworzy. Nie mógł tu mówić Bogufała o tytule od żadnego innego *senex Vladislavia* wziętym, tylko wprost od dzisiejszego Włocławka, któremu także rozmaite odwieczne przywileje predykat *senex* nadają. Nigdy żadne piśmienne dowody, ani téż ustne podania, w strony nad Wartę katedry naszej kujawskiej nie przenoszą. *Senex Vladislavia in ripa Istulae* odznacza się u Kromera, a Bielski w swéj Kronice podobnie mówi: *Mieczysław I założył biskupstwo w Kruszficy, które za czasem przeniesiono do Włocławia nad Wisłą*. Nie jest tu przecież mowa o żadném powtórném przeniesieniu téj katedry, bo to raz tylko miało miejsce przez biskupa Onolda około r. 1160 (lub podług Długosza wyraźnie w r. 1156), o czém następnie powiemy; a gdy Bogufała czas tego zdarzenia określa wyrazami *nostris temporibus*, w wyrazach tych możemy rozumieć okres pomiędzy rokiem 1160 a 1253 (datą śmierci tego pisarza). I w tym względzie nikt wątpliwości mieć nie może.

Nie podnosilibyśmy w ogólności tego błędu jeograficznego, gdyby historia Naruszewicza nie stawała się nawzajem powagą dla późniejszych pisarzy. Jakoż za pewnik historyczny, wiadomość ta o Władysławowie z nad Warty, wciela się do Historji kościoła polskiego przez Ostrowskiego, gdzie wciela ją, i tym sposobem jeszcze przeistacza, że powtórne przenosiny z Władysława do Włocławka opowiada: atoli już nie może naznaczyć

ani daty tego zdarzenia, ani wymienić biskupa, któryby przetransmisował tych dopełnił (1). Podobną drogą tyle innych błędów do naszych kronikarskich podań się zamieszało. Ale mógł łatwo takiej przenikliwości i powagi badacz swego przepisywacza omamić, gdyż błąd swój jeograficzny wspierać chce domysłem, iż *granice Kujaw w owych czasach mogły być inne!* Jestto tém większe zwichnienie rzeczy. Nad tém rozszerzać się niepotrzeba. Granice Wielkiej polski w obłęd nas wprowadzać nie mogą, tak dobrze znane Naruszewiczowi na innych miejscach.

Faktem jest, iż około r. 1160 biskup kruszewicki *Onoldi* (Włoch z urodzenia, jak samo nazwisko jego wskazuje), niepokojony stanowiskiem katedry swojej, na coraz zaciętsze napady pogan pruskich narażonej, dla właściwszej zresztą reprezentacji swego dostojęstwa; uznał za radę skuteczną, rezydencyą swą i katedrę znad Gopła, przenieść do serca Kujaw, do miasta, które imieniem Władysława (*Vladislavia*, Władysławek albo Włodstawek, inną pisownią *Włocławek*) w niewiadomej epoce dziejów ochrzczone, już wtenczas więcj dogodności i bezpieczeństwa przedstawiało. Tu się odtąd stale rozwija był dalszy katedry Kujawskiej, i w żadnym innym, podobnej powagi historycznej badaczu, wątpliwości co do tego swego pomieszczenia nie wznieca.

Jakimkolwiek spornym widzeniem poddamy kwestyą co do daty założenia katedry wspomnianej, te pewniki bez sporu w ogóle przyjęte widzimy: iż pierwszém jej stanowiskiem była Kruszwica, iż utrzymać się w niej po latach, dla przyczyn grożących jej istnieniu nie mogła, iż jako władza duchowna dla Kujaw, wewnątrz tychże Kujaw pomieszczoną być musiała, a w żadnej z tych przemian nie było od niej oddzielone Pomorze, nad którym swą władzę pasterską rozciągała. Pomorze jako *partes infidelium*, Pomorze orężem chrześcian do zrzeczenia się bałwanów prowadzone, i Pomorze chrześciańskie, mówiąc w ogólności o części jego wschodniej (2) wszystko to udziałem jest tej katedry, w jakiejkolwiek epoce początek jej i był historyczny da się udowodnić. Gdyby wszakże jej usta-

(1) Zob. Dzieje i prawa kościoła polskiego. Warsz. 1793. T. I. k. 100, 210.

(2) Część zachodnia ograniczona rzeką Lebą, do dyecezyi kamińskiej należy.

nowienie sięgać miało dopiero czasów Bolesława Krzywoustego, jak to najnowsi pisarze chcą utrzymywać, mogłaby już w téj spóźnionej dobie nie powstawać wcale. Nadchodziła bowiem smutna epoka rozczłonkowania kraju pomiędzy synów tego monarchy; jeszcze z małą zwłoką dozwoloną naszym chronologom, mogłaby wprost stać się dziełem którego z tych spadkobierców, i bez względu na Kruszwicę, w posiadłościach wewnętrznych dzielnicy książąt kujawskich, odrazu być ustaloną. Więc po wszystkich obłędach wrócimy zawsze jeszcze nad Gopło, i to w epoce, kiedy stolica nadjeziorna, *divitis et militibus opulens, vetus regia*, według określenia Marcina Galla, z tylu przeważnych pobudek mogła na siebie zwracać uwagę twórców naszej pierwotnej hierarchii duchownej. Natenczas jeszcze oprócz zamku zbudowanego na półwyspie, oprócz długiego i otwartego jeziora, jego zatok, cieśnin, odnogi Noteci i nieprzebytych bagien, broniły jęj głębokie przekopy, wysokie wały i groble, a najwięcej pewnie powaga mocarzów, którzy w niej od czasu do czasu mieskali stolicę swoją. Musiał być straszny cios, jaki jęj wojna domowa zadała, jeśli tak w jednej chwili padła bez powstania.

Gdy słyszymy jednak o takiej wielkości pierwszego siedliska katedry naszej w historii, a przeciwnie takim milczeniem pokryte jest aż do doby jęj przeniesienia prawie, nazwisko miasta niewiadomego Władysława: nie zdawałoby się raczej to samo jęj przeniesienie pewnym rodzajem strącenia i wygnania, niżeli dobrowolnie obraném miejscem, z wielkości i znaczenia jakożkolwiek odpowiedniém? Włocławek nie przedstawiał Onoldemu ani położenia obronnego, ani umocnień przez sztukę. Jeżeli zaufać należy podaniom, iż nosił w jakiejś oddalonej epoce przydomek *zgnity*, dla bagnisk i trzęsawisk otaczających, nim przez osiedlenie dzielnicy książąt kujawskich jakkolwiek warownie zabudowanym został: może ta jego niedostępność, w czasie mianowicie, gdy jeszcze sąsiedztwo Mazowska nie było bez znaczenia dla książęcęj nadawcęj linii, była jedną z głównych pobudek, iż za stosowne miejsce schronienia był właśnie obrany. Z jednęj go strony Wisła zasłania, nad którą stęrczą wyniosłe spadzistości pobrzeżne, lasami dokoła okryte; kręta rzeka Zgłowiączka służy do umocnienia od strony Nieszawy i Raciążka, z dwóch stron innych piaski i bagna, albolitéż znowu lasy, które do pewnego czasu ludzkiém bezpieczeństwem były. Na cichość tego ustronia wskazywać mógł już niejeden przykład

znalezionego w niém przez kogo innego przytułku: w dobie przeniesienia katedry, méu zdaniem, najwięcej znaczącą ponętą dla jój pasterzy stawać się mogło przyjazne wezwanie książąt, którzy przychodzili do udzielnosci po Krzywoustym; wszakże Onolda bytność u Fryderyka cesarza, gdy nieszczęśliwy obrót wojny oddawał na jego łaskę i niełaskę naszego Bolesława w Krisgowie, nie oznacza nieprzychylnych stosunków z owemi książętami. Co do jój nowego stanowiska, świadczy kronika miejscowa, iż ta katedra Onolda po jój przeniesieniu nad Wisłę, była to zaledwie *edicula lignea*, z drzewa wzniesiony kościółek, coś naprędce zastępującego większą budowlę przed stanowczém urządzeniem. Pracował to jeszcze jeden z cudzoziemców sukcesyjnie idących w winnicy Pańskiej, ale przychodził jednak niestrącony z wysokiego krzesła w senacie narodowym: ten wybór cichego ustronia nie uwłaczał bynajmniej w jego dostojności senatorskiej. Nie cierpiały téż granice dyecezyi na téj zmianie miejsca dla stolicy biskupiej, ani nadania dawnych królów i książąt panujących tém mniej nie przestały być udziałem jój pasterzy. Wolborz, kościół Panny Maryi w Zawichoście, zamek Łagów, dziesiąty pieniądz z dochodów kościoła Panny Maryi w Sandomierzu, probostwo św. Michała w Krakowie, zamek gdański w Pomorzu: wszystko to w swoim prawie dotrwało. Wyraźnie o tém mówią przywileje, przez stolicę apostolską potwierdzone i używalność nieprzerwana. Co do przywilejów wprawdzie, do których powagi dawniejsi i terażniejsi pisarze, jako do dowodów nieomylnéj autentyczności odwoływać się zwykli, mielibyśmy kilka słów do powiedzenia. Przywilej mianowicie papieża Eugeniusza III, przepisany przez Damalewicza, a z niego przez innych cytowany, przestrogi co do swéj autentyczności wymaga. Datowany jakoby w Rzymie, zaadresowany: *venerabili fratri Vernerio Vladislaviensi Episcopo et successoribus canonice instituendis*, d. 9 kwietnia r. 1148, a przyjmujący *Vladislaviensem Ecclesiam sub Beati Petri et Sedis Apostolicae protectionem*, pod żadną z okoliczności tu wymienionych nie zgadza się z historią. Eugeniusz obrany na papieztwo d. 25 lutego 1146 r., nie mógł w powyższym kształcie przywileju, jak go nam w kopiach najdawniejszych, mylnych bez wątpienia okazują, liczyć czwartego roku papieztwa pod datą powyższą; nie mógł go datować z Rzymu, albowiem po gromach ciskanych na lud i kościół, z powo-

du wygnańca Władysława, któremu podawał rękę pokrewny cesarz niemiecki, listy jego łagodzące zajęcia kościoła polskiego, datowane są w tym czasie z koncylium w Trewirze i Reims we Francji (*Remi*, nie *Romae*); nie mógł nazywać katedry włocławską, ale kruszwicką, ani biskupa podobnie włocławskim, zamiast kruszwickim, bo do tego czasu nazwa ta im pospolicie służyła; nie mógł wreszcie adresować do biskupa Wenera w r. 1148, gdy to jego biskupstwo przypada około r. 1178, a w dacie pomienionej katalog *Suidgera* mieści (1). Wszystkie te niezgodności niedośćby tłumaczyć samą niezręcznością kopiisty, który krzyżące błędy popełniał. Szperania ważniejszych przyczyn, takie przeistoczenie znaczące wymaga: bo zresztą sama aprobacya nadań temu kościołowi poczynionych, nie wywołuje takiej wątpliwości. Damalewiczowi jest na rękę powaga Stanisława Łubińskiego, który w swoich *żywotach*, tego pomniku używa na zabicie pewnych twierdzeń Cezarego Baroniusza w Rocznikach kościelnych; potem już sam ten Damalewicz staje się przewodnikiem dla innych.

Tymczasem poprzestajemy na nawiasowej wzmiance co do tego przywileju. Na innem miejscu tę kwestyą ponowimy (2). Bez dotknięcia tej kwestyi chociaż nawiasowego, rzeczy naszej zostawić nie chcieliśmy. Może to rzucić światło na źródła nasze, jakie w materji naszego kościoła mamy do zacytowania w ogólności.

Kościół drewniany przez Onolda w Włocławku wzniesiony, musiał dotrzeć niedługo: mamy już bowiem wzmiankę o biskupie Michale Godziemba, który pierwszy z Polaków zasiadł na tej katedrze w r. 1215, iż r. 1258 pochowany już był w murowanym kościele. *Unde facile deduci potest*, mówi Damalewicz *ab Onoldo ligneum primum ad ripam Istulae conditum templum, postea a Michale cocto latere fuisse ex aedificatum*. Jestto rzeczywiście wniosek, znać z obecności pomnika grobowego niegdyś temu ostatniemu wystawionego czyniony: ale Damalewicz twierdzenia swego innemi dowodami nie wspiera, przynajmniej o żadnej innej budowli kościoła między temi dwiema pośredniczącą nic nie wie.

(1) Nie jest tu mowa o Katalogu woborskim, ale włocławskim, według Długosza i Damalewicza poprawionym.

(2) Jeszcze jest np. uważany za autentyczny ów przywilej z r. 1148, przynajmniej za taki cytowany w Wywodzie historycznym praw do Pomerellii przez Łojka (str. 45).

Przywilej Leszka, księcia kujawskiego, syna Bolesława Kędzierzawego, *privilegium antiquissimum* zatytułowany, w księdze przywilejów znajdującą się w archiwum katedralnym z kopii uformowanej, treścią nadał biskupom kujawskim czynionych, w niedalekim czasie od Onolda, albowiem w r. 1185, rzuca myśli także w pewnym względzie o stanie Włocławka, który już w tej dacie dzieli się na stare i nowe miasto. Przywileje książąt następnych odróżnią dokładnie miasto na prawie niemieckim (*civitas Theutonica*) postanowione, od części jego warownej *munilio*, dzisiaj *zazamcze* zwaną.

Oto jest początek przywileju Leszka:

„In nomine sanctae et individuae Trinitatis. Ego Lesco Dux, notum facio omnibus Christi fidelibus, me contulisse Deo et B. Mariae Virgini, *Canonicis in veteri Vladislavia, pro remedio animae meae specialiter castrum Zlonsze (1)*” i w dalszym ciągu: „De foro in *Novo-Włocław* annuatim de moneta decem marcas argenti. De cellario etiam in *Veteri Włocław* omni anno decem urnas mellis,” trzeba tu rozumieć dochód z Inowłocławia od Włocławka odróżniony, czy z dwóch części miasta Włocławka, który miał wkrótce stać się całkowicie *biskupi*? Dla zbawienia duszy swój, jak to była zwyczajna forma stylu w nadaniach owoczesnych, niedołączny, chociaż prawie w kwiecie wieku będący, Leszek, czując się może blizkim zgonu, zapisuje kanonikom tej katedry: zamek słoński z jego zawisłościami, kaplicę w Gniewkowie, kościół z miastem w Kowalu, takż w Kurowie, oprócz dochodów wyżej przytoczonych. Byłto czyn pewnie ostatni 27-letniego młodzieńca, dziedzicznego księcia Kujaw i Mazowsza, i dotrwał znać bez odwołania, jak tego po zmienności Leszka w innych razach obawiać się można było. Posądzićzeby potrzeba o spółdział raz jeszcze w działaniach sławnego jego opiekuna *Zyrę*, o którym nam tyle rzeczy gruntownych umie powiedzieć Łojko w swoim *Wywodzie historycznym*?

Gdybyśmy pogodzić mogli z wyłącznością naszego zadania przegląd dalszych, z kolei od innych książąt, po sobie idących przywilejów, już nie historia katedry, ale i historia miasta zarazem postępowałyby w jednym zarysie. Ważną np. w dziejach katedry włocławskiej zajmują kartę spory i walki Kazimie-

(1) *Castrum Slonense*, inaczej się w księdze przywilejów zamek ten wyraża.

rza, syna Konrada mazowieckiego z Wolimirem, biskupem. W przywileju krepskim z r. 1255, ze względu Włocławka, zostawia się wolność biskupowi osadzania w nim ludności na prawie niemieckim, albo zaludniania go rolnikami. A w ziemiach prócz tego i innych pożytkach, szczodrość godna opamiętałego księcia, po rozlicznych zbytkach i nadużyciach kłót-wami ukróconego. Śmierć tego księcia przypada na r. 1268, pod którą datą kładnąc ją, Naruszewicz dodaje, iż grób znalazł w *Władysławiu* (to jest w Włocławie lub Włocławku, jak pomieniony pisarz po razy kilka nazwisko to na różnych miejscach odmienia) (1). Okazywane w księdze przywilejów wyżej wzmiankowanej, potwierdzenie przez *Alexandra IV* papieża z r. 1258, odsłania nam obraz uposażeń tej katedry, zajmującej już w sobie klucz włocławski i raciązki razem, a w nim już *civitas Vladislaviensis cum omnibus pertinentiis*, oraz *castrum Raciąż cum omnibus pertinentiis* także, jako dziedzictwo pasterzy, o których reprezentacją stosowną w ustroniu nad Wisłą, wyżej wyrażaliśmy obawę.

Nie będziemy się zabawiali dłużej w tém piśmie nad materją uposażeń wielolicznych dla tego kościoła, chociażby nadania przez Mestwina II na Pomorzu nie były także do przemilczenia. Nadchodzą czasy niebezpieczeństw i dla biskupów kujawskich w tej stronie, z któremi nacisk dawniejszy od pogan pruskich w Kruszwicy, najmniejszego nie wytrzymałe porównania. Zjawiony w ostatnim dziesiątku lat wieku XII na górze Syon w Jeruzolimie zakon *braci szpitalnych Panny Maryi*, otrzymał ziemię w granicach Wisły, Ossy i Drwęcy r. 1228 nadaną sobie przez konrada mazowieckiego, pod warunkiem obrony od Prusaków. Jakito stróż i opiekun wiary się jawił, nie trzeba było czekać lat długich do przekonania: te karty dziejów sąsiedztwa z zakonem, niedługo być miały krwawemi literami zapisane.

Jeśliśmy rozumieli być rzeczą nieodzowną nie pominąć pierwiastkowych lat kościoła katedralnego, dla tém lepszego

(1) Śladów grobowych zejścia wielu znaczących indywiduów w dziejach Kujaw, pomimo wskazania historyków, próżnobyśmy nieraz szukali w gruzach i niezatartych do reszty napisach. W kaplicy np. katedralnej, pod tytułem: *Górkę*, widzimy płyt marmurowy, na grobie którego z książąt kujawskich zapewne położony. Któż to odgadnie? Widzimy początek napisu: *sub hoc lapide jacet*, reszta ławkami dla oka zakryta.

oceny zasług męża, który jego odnowieniem z gruntu się wślawił, uczyniliśmy może zadość głównej potrzebie pisarskiej, to jest jasności, bez której wielki nasz pomnik z wieku XIV, nie wydalby się może wcale ową koniecznością duchową wołającą na pasterza, co w jego wiekowych zarysach więcej coś nad proste zaspokojenie potrzeb reprezentacyi, tułającej się stolicy biskupiej upatrywał. Rozwinięcie gwałtów i okrucieństw przez zakon do obrony wiary wezwany, w dzielnicy kujawskiej już dawno przedtém brojonych, byłoby może również nieodzowną rzeczą. Stajemy bowiem w epoce, gdy żaloszny głos z tronu się rozlega, iż wilcy wpuszczeni do owczarni zostali, iż dwoista wojna i dwoisty nieprzyjaciel ściągnął się na karki—Krzyżacy! Ale dość wyjaśnienia z kart życia dwóch takich dzielności pasterzy, jak *Gerward* za Władysława Łokietka, i jego następcą z kolei *Maciej Golaneczski*, który miał przetrwać rozpoczętą walkę równocześnie z Kazimierzem W.

Z życia Gerwarda wyjmiemy siedm lat jego poselstwa do Jana XXII w Awinionie.

Nie mógł Łokietek trafniejszego wyboru uczynić dla sprawy korony, o którą się dobijał, dla sprawy Pomorza, w którego pasterzu najwłaściwszego orędownika znajdował, dla sprawy nakoniec wiary i oświaty, którą obłuda i oręż niepoświęcony gnębiły, jak przeznaczając męża, odróżniającego się prócz tego przychylnością dla niego osobistą, biskupa Gerwarda albo Gierwałda (jak go w swych *Herbach* Paprocki nazywa) (1) na posła do stolicy apostolskiej, do papieża, który sam w tym czasie słynął nauką niepospolitą. Jan XXIIgi pamiętny z ustalenia niezwyčajnej powagi Arystotelesa w szkole, z kanonizacyi św. Tomasza z Akwinu; jeśli był obrany za sędziego w sprawie przywłaszczenia ziemi pomorskiej przez zakon niemiecki, który stawał się powodem wojny, czyniła to Polska szanując zwyczaj i prawo, przez ogół świata ówczesnego uznane, i w przekonaniu, że wymiar sprawiedliwości stosowniejszy od nikogo innego nie nastąpi. Była to zkądinąd droga najwłaściwsza, ponieważ zakon ów, kreacya w imieniu obrony wiary i jej krzewienia poczęta, oddany został na wstępie pod wyłączną opiekę stolicy apostolskiej, mając prócz tego pretekst służenia sprawie cesarzów swego narodu. Ale wywód sprawy nie

(1) W Błażowskim *Gerard*.

mógł być lada organowi poselstwa i lada zdolności powierzony. Należało albowiem przewidywać, również nielada replikę ze strony przeciwnej. Tu z jednej strony miał przemawiać naród, który położył istotną zasługę dla kraju sobie wydzieranego, naród rozerwany, w ucisku, ale godny panowania; z drugiej nierozpoznany jeszcze w swych celach prawdziwych zakon zbrojny, za którym jeśli nie przemawiała słuszność i korzyści dla wiary krzewiącej się przyczynione, miał za sobą dom luksemburski, niechętny Polsce, i przywileje, w których nie komu innemu główną zasługę w owęj krainie przyznać miano; owszem, w chwili obecnej już był jeden, któremu z powołania przypadłać udział prowadzenia krucjaty przeciw Gedyminowi. Ztąd powinszować sobie można było jakby rzetelnego tryumfu każdej, że tak powiem, piędzi ziemi pod stopami tak silnego rzeźnika z drugiej strony zdobytej. Nie obwiniamy przez to sędziego, ani mu przyznajemy umysł wahający się w zdaniu, jeżeli za złe poczytamy Janowi XXII, nie wydanie wyroku w sprawie nic do wątpienia nie zostawiającej, do lat siedmiu. Ta siedmioletnia dysputa przyniosła wprawdzie od początku tytuł królewski książętom polskim wrócony; z jakąż radością listy od Gerwarda z Awinionu w tój osnowie nadeszły, przyjęte były przez króla-wojaka, który już większą część wieku dla tój mamiącej opaski, wieńczącej niegdyś skronie pierwszych naszych królów Piastów, styrał. Nie mieli nigdy królowie ci na przyszłość zapomnieć starań dla odzyskania swęj korony, przez biskupa kujawskiego łożonych. Ale szły daleko twardziej przewziężenia zapór w sprawie o kraje, które miały nieszczęście dostać się w ręce takiego zakonu. Już bowiem wtenczas przewidywać był powinien, iż błędy przez swych nadawców popelnione, z których tak zręcznie i łakomie korzystał, raz na jaśnią dobyte, zamkną przed nim na zawsze drogę do monarchii pod kapturem noszonej; iż odna naraz jeden zdobycze swoje i przywileje, których zaginiieniem w chwili wymaganego okazu się składa, chętnie lub niechętnie będzie musiał wynaleźć i okazać na pohanbienie chciwości swójej. Teraz więc zaledwie delegacją wykołatać było można u Ojca świętego, która miała rozpoznać na miejscu w kraju wskazaném, wzajemne słuszności lub niesłuszności. Skutku nawet tój najwyższej decyzji, szlachetny nasz i niespracowany Gerward nie dożył w ciągu poselstwa swego. Zgaśł w Awinionie. Był towarzysz jego

trudów, młody kapłan, Maciej, którego jeśli nie doświadczenie w rzeczach publicznych, tedy umysł dostatecznie wiadomością praw i dziejów zubożony i cnoty niemniej znane, przedstawiały na podjemcę roli trudnej, przez przewodnika swego na cierńszej drodze opuszczanej. Owszem dozwolił Jan papież więcej naszemu Golanczewskiemu: włożył na skroń jego infułę pasterską, którą tak godnie poprzednik jego piastował, zatrzymał u siebie posła przez czas niejaki; a gdy nadeszła pora wracania do ojczyzny, Golanczewski z błogosławieństwem Ojca świętego spieszył do objęcia katedry, przez swego pasterza osieroconej. Trwałego jednak pokoju, jako wierna rada, nie przynosił swemu królowi.

Możnaby godłem pisarza rzymskiego określić ten stan rzeczy, jaki na chwilę pomiędzy dwiema stronami spornymi nastąpił: *pax tamen interdum est, pacis fiducia nunquam*. Charakter ten zawieszon broni z zakonem, dotrwa jeszcze długo w naszej historii. Majaczenie i pozór zgody na wierzchu, a pod spodem téj owczéj powłoki najdrapieżniejsze zawsze wilcze zamiary.

Miałoż uchodzić płazem śmiałkowi, który na polu tak ślizkiem i niepewnym chciał był z prawością męża podnieść rękawicę, przez zahartowanego przeciwnika sobie rzuconą? Wkrótce nam to okażą niektóre szczegóły jego zawodu, jakie świadomym dziejów czytelnikom, z okoliczności wojny pomorskiej rozwinie. Tu w czas na myśl przyjść mogą słowa poety:

Widzisz, mawiał mi starzec, łaki nadbrzeżnej kobierce,
Już je piasek obleciał; widzisz te zioła pachnące,
Czołen: siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie,
Ach! daremnie, bo nowa żwiru nasuwa się hydra...
Synu, piaski z za morza burzą pędzone, to zakon.

I Golanczewskiego również pasterstwo kujawskie, jak w innym względzie króla jego Łokietka panowanie, jest długą walką, z popiołów swoich wyradzającą się. Od wstąpienia owszem na swój tron biskupi, widzi on zaraz przeciwnika na drugim brzegu rzeki granicznej, z mieczem i pochodnią w rękach, zagrażającego dziedzinie swojej. Datuje historia wstąpienie Golanczewskiego na biskupstwo w r. 1326, a natychmiast rok 1327 jest odznaczony przejściem Krzyżaków do Płocka, z kąd jednym zagonem przez Kujawy się zwróciwszy, nawiedzą ogniem i mieczem Włocławek, stolicę biskupią: taki wstęp do pojednania uczynić zechcą, w walce, która między dwiema stronami już się w Awinionie rozpoczęła.

Nie pominiemy tu jednak na wstępie szczegółu, jaki oznaczył żywot Golanczewskiego z datą urodzenia.

Lubią historycy już od kolebki widzieć w nim człowieka, z wyboru niebios do niepospolitych przeznaczeń urodzonego. Rzecz bowiem niepowtarzająca się prawie w dziejach rodu ludzkiego, cechuje chwilę przyjścia jego na świat. W jednym dniu Małgorzata, matka jego, żona Sławnika, kasztelana nakielskiego, powiła dwunastu synów, z których jedenastu ledwie wodą chrztu św. obmyci zostali, pomarli: jeden Maciej przeżył. Zdarzenie to jest poświadczone przez wszystkich historyków (1), którzy o tym biskupie mówiąc, szczegółów jego życia nie pomijają. Jakoż był Golanczewskiego za zrządzenie boskie dla katedry kujawskiej jest uważany, a za chlubę ziemicy nad Notecią, Pałuki, gdzie wieś Rozmiatów była miejscem jego urodzenia, i za chlubę katedry, którą wznosił z gruntu, a zasiadał na niej przez ciąg 42 lat, nim skolatany wiekiem i ociemniały na starość, nie był zniewolony zrezygnować ją synowcowi swemu, Zbilutowi, który z kolei nastąpił po nim.

Drugą ważną pamiątką w jego życiu jest poselstwo w towarzystwie biskupa Gerwarda do Awinionu. Odtąd jako mąż stanu i pasterz wojujący w obronie owczarni swojej, zajmuje naszą uwagę ciągle. Po jakimkolwiek pokoju dla siebie otrzymanym, wejdą do dziejów jego zasługi, z powodu odbudowania świątyni, która ze zmianami przez następców w budowie tej poczynionemi, do naszych czasów dotrwała.

Nie wyzywał zapewne na rękę napastnika pasterz nasz kujawski, gdy zakon korzystając z waśni domowej książąt mazowieckich, Wańka pod płaszczykiem obrony do Płocka wprowadzał. Ale dość powiedzieć, trzymał z Łokietkiem czynnie i jawnie: mógłże go opuścić wróg zawzięty po opanowaniu Dobrzyńia nad Drwęcą, po rozpedzeniu władz i stronników królewskich w pochodzie niewstrzymanym, zwłaszcza, gdy powiat ciechociński, rękojmnia dochodów biskupich, był tylko o granicę położony; łunami z palących się po wsiach kościołów posyłał owszem wieści o sobie i zapowiadał los dalszy stolicy biskupiěj.

(1) Ostrzedz należy, iż w swoim *Orbis Polonus* pod herbem *Osmorog*, Okolski ze złego odczytania w Bielskim i Kromerze, co tu o urodzeniu Golanczewskiego mówimy położył w życiu biskupa *Gerarda* (Gerwarda).

Golanczewski w rzeczy samój pod imieniem katedry stopy ruin na początku otrzymywał. Bo chociaż na przeciwległym kościołowi wzgórzu, już rezydencya biskupia przedstawiać mogła pewny rodzaj obrony przez swe zewnętrzne umocnienia nad Wisłą: mógłże taki rodzaj zamku czy twierdzy być dostatecznym w owym roku zwłaszcza świeżego objęcia biskupstwa przez Golanczewskiego, do wstrzymania nieprzyjaciela, któremu już natenczas była znana stałość jego i zdolność do oporu, przy pogwałceniu praw swoich? Świadectwo jest ogólne w dziejopisach naszych, iż w pierwszym tym zaraz pochodzie, Krzyżacy przełamali z całą niehamownością mury i obronę zbrojną przez mieszkańców. Ale, jak się wyraża bulla exkommuniki, szkody przez nieprzyjaciela zrządzone, mimo pożogi miasta, świątyni nadbrzeżnej i zamku, w następnym czasie naprawione być mogły. Wiadomo jest z kądinąd, co zapowiedział nieprzyjaciel w przewidywaniu tej naprawy. Przez dwa wyroki miał on ogłosić pod karą śmierci: naprzód, ażeby nikt w spustoszonej przez niego dzielnicy dobrzyńskiej i kujawskiej nie śmiał nowych kościołów stawiać, albo zrujnowanych naprawiać; powtóre, iż dochody z powiatu ciechocińskiego dla biskupów kujawskich ustają, a przechodzą pod jego niemi rozrządzenie dalsze. Przewidywał znać, iż jeszcze w tym ciosie pojedynczym dostatecznie nie zgębił swojej ofiary, i lada chwila nieustraszony zapaśnik wynurzyć się mógł znowu.

Tymczasem jak nawałnica jał wicherzyć na Pomorzu. Zatrudniło go Nakło warowną posadą swoją, którego mury sam wielki mistrz *Werner von Orselen* tłuc począł.

Sprzysiężona chwila oddalenia, nie była znać opuszczoną przez Golanczewskiego: wkrótce bowiem usłyszeć mamy o nowym napadzie na miasto, którego gruzów nie miałby potrzeby pustoszyć na nowo. Okropniejsze dzieło zgrozy dopełnia się wśród odbudowanych domostw z ruiny, bez oszczędzenia kościoła, o którym nam powtórnie historia, pod r. 1329 wspomina. Wtenczas kościół włocławski i wiele innych także, na dwóch pobrzeżach Wisły, które świeżo oporządzone były, w perzynę obrócono, broniących i zastawiających się świętokradzkiej ręce przy samych ołtarzach i na cmentarzach pomordowano. Miasto biskupie stało się jednem wielkiem zgliszczem. Zaledwie niektóre sprzęty i skarby kościelne, przy rozpoczęciu boju, ocalone i uwieszone być mogły, pod zasłonę zamku w Raciążu (dzisiej-

szym Raciążku). Biskupowi téż ze szczupłą garstką obronną, ta jedyna droga do ucieczki została.

Postęp ten wojny, nie przez wszystkich naszych dziejopisarzy jest stosownie opowiedziany. Zwykle nie ma przerw między latami, następnie niektóre fakta sprzecznie są obok siebie stawione, albo téż takim przedziałem czasu odgradzone od siebie, iż ani układy pokoju są następstwem wojny, ani domyślać się możemy, co rozlew krwi wstrzymywało nagle, przy takim rozsrożeniu wroga, po którémby żadna zgoda nastąpić nie mogła. Należy więc trzymać się raczej źródeł dawniejszych, w których te przerwy czasu odszczególnione znajdziemy. One namto podają obraz zniszczeń ogólnych w Kujawach i na ziemi dobrzyńskiej spełnionych, a baczne są na dwa napady stolicy biskupiej, z odcieniami stopnia srogości, która prawie cechę uwziętej zagłady w r. 1329 przybierała.

Po klęsce pamiętnej Włocławka, Raciążek otwierał bramy swojej warowni dla wszystkich cisnących się z okolicy, którzy przed pogonią krzyżacką ująć bezpiecznie zdołali. Zamek Raciążki napelnił się wkrótce ludem, a między tym pełno było rycerstwa z familiami i dostatkami wszelkimi. Miasto pomniejszego rzędu (*oppidum*, nie *civitas* jak Włocławek w pismach ówczesnych zwane), pod wałami zamku na wzgórzystej swęj posadzie rozłożone, musiało znać rozszerzyć swe zakątki wedle potrzeby i gościnności słowiańskiej, przed napływem takiego tłumu z okolic i rozproszenców włocławskich, jakkolwiek własna jego przyszłość wkrótce była do przewidzenia. Zachować trzeba w pamięci, iż to była wojna z nader blizkim sąsiadem: pole bowiem walki zagrożone jest również od komturów Nieszawy, Gniewkowa, Murzynowa, któreto miejsca już przedtém, na mocy przywilejów, w ich rękach się znajdowały. Jeśli nasz zamek obrany jest w tym razie za punkt obronny, przypuścić należy, iż Golanczewskiego do stawienia w nim czoła groźnemu przeciwnikowi, nie tyle ośmielał stan jego warowny i grube mury, ile spodziewana lada chwila odsiecz ze strony króla, w którego imieniu śmiał walczyć. Powiadają nam wprawdzie kroniki, iż zamek ów Raciążki miał być właśnie dziełem samego biskupa; gdy jednak przemilczają epoki jego doprowadzenia do pewnej całości i powierzchowności twierdzy, wnosić tylko możemy ze sposobu przyjęcia pod jego murami licznych zastępów, wprawionych do boju i oporu niecierpliwych, że nie-

pomierna być musiała zasługa Golanczewskiego, jako męża wojny pod fioletem biskupim.

Nieprzyjaciel wkrótce się zjawił, i do bram téj twierdzy zakolał. Spotkawszy opór i gotowość do przyjęcia walki, do stanowczego oblężenia przystąpił. Za obozem jego nadciągnęło mnóstwo machin wojennych. Większe bez wątpienia warownie, w obec takich przygotowań utrzymać się długo nie były powinny.

Zamek Raciążki, według dziejopisów, wytrwał w tém oblężeniu przez dni trzynaście: we dnie i w nocy odpięrał napaści; owszem robione były z niego wycieczki dość liczne, a raz po raz gęstemi trupy niemieckimi pole walki się okrywało. Oblężenie to jako nadzwyczajny przykład wytrwałości i mężstwa szczupłej garstki, przedstawia historia swego czasu.

Pomocy znikąd słyhać nie było. Po dniach trzynastu Werner ciężkim być począł dla owej garstki starającej się walczyć do upadłego, gdy opanował przebojem ważne położenie w twierdzy, albowiem studnię zamkową, na której znać utrzymanie załogi jedynie polegało. Więc nie dając wytchnienia po otrzymanej korzyści, a gradem pocisków rażąc z swych machin bezprzerwanie; gdy ani palące pragnienie do poddania nie zmuszało, zostawał mu już tylko krok jeden do uczynienia, to jest zadać cios ostatni, albo raz jeszcze odejść skrwawiony z polowiska,

Mury pod kołataniem ustawiczném w końcu się nie oparły. Zamek szturmem zdobyty, wystawił starców, dzieci i płeć swą bezbronną na śmierć bez litości:—rycerstwo oparło się na ostrzu miecza. Rzeź straszna na nowo. Nie było czasu pomyśleć o obronie skarbów, pod zasłoną warowni złożonych; kto jeszcze żyw wydostać się był w stanie, biegł z wieścią na dalsze punkta obronne o losie mściwym, jaki z rąk mistrza już drugi zamek biskupi spotykał.

Oprócz zdobyczy wszelkiej, dostało się mnóstwo jeńców znamienitych w ręce nieprzyjaciela. W téj liczbie mieszczą się przez historyków: Świętosław Golanczewski, brat biskupa Macieja; Wincenty, kasztelan starogrodzki; Mikołaj Zabłotny, Mikołaj Wolski, Paweł z Kruszyna, sędzia Gniewkowski, Dymitr podkomorzy brzeski i t. d.

Biskup mógł tylko w ostatniej niedoli pewny okup nieprzyjacielowi ofiarować. Okupem nie wzgardzono: owszem 400

grzywien polskich musiał w czasie właściwym za jeńców Raciążkich wyliczyć. Żeby jednak znał rozmiary okupu krzyżackiego, ktoby rozumiał, iż Werner w jednym ciosie nie będzie chciał dotknąć biskupa i króla. Przeciwnie, on z Golanczewskim jak z reprezentantem narodu postępuje, i wyciska na nim warunki, których prywatny podpisywać nie miał prawa. Oto jest w treści wypisany ten traktat u naszego już Ostrowskiego. „Biskup skwitował krzyżaków ze wszystkich krzywd kościołom i sobie poczynionych; przyrzekł, iż załoga Raciążka dzierżaw ich napadać nie będzie, a za dziesięciny po ów czas w snopie po całej Pomeranii wybierane, przestał na trzech skojcach z każdego łanu uprawnego. Z swój strony krzyżacy zaręczali biskupowi, całemu duchowieństwu i dobrom ich w granicach swych leżącym opiekę i protekcją, przyobiecali dóbr dalszych nie najeżdzać i nie pustoszyć; a przyznawszy mu własność tego majątku, który od zafundowania katedry swojej posiadał, warowali sobie, iż dopóty go z sekwestru nie wypuszczą, póki zawartej ugody z nim kapituła, metropolita i Rzym nie zatwierdzą” (1). Golanczewski ulegając przemocy traktat podpisuje, świadków nawet żądanych aktu tego, stawi w osobach Floryana plockiego, Ottona chełmińskiego i Rudolfa pomezjańskiego biskupów: atoli baczny na smutne następstwa w przyszłości, widzi w tém jedynie regres zbawienny dla siebie, iż traktat ów natenczas ma być ważny, jeśli go zatwierdzą i król i papież. Traktat ten od miejsca zawarcia jego, pod nazwiskiem *toruńskiego* znany jest w dziejach kościelnych. Są, którzy się domyślają niełaski królewskiej dla Golanczewskiego, z powodu tych ustępstw prawom zwierzchnika kraju uwłaczających: potrzeba nam tylko jednak przerwy jednego roku, ażeby imię naszego duchownego zapaśnika wyszło znowu na wierzch. W r. 1331 płonie kraina Łokietka na nowo, i to daleko szerszą jeszcze pożogą. Topór krzyżacki o bramy Łęczycy uderzy, sięga po Uniejów nad Wartą, jeden Kalisz zaledwie obronném położeniem swoim stawi opór. Król podeszły wiekiem nie zdoła osiągnąć wroga w otwartém polu, nieśmiejąc zresztą z nim się mierzyć siłą nierówną. Aż w odwodzie od Radziejowa los wojny rozstrzygnąć się musi, gdy spotkanie pod Płowcami nakoniec nieuniknioném się stanie.

(1) Dzieje i prawa kościoła. T. II, str. 330.

Któryż wiek nie powtórzy z chlubą zwycięstwa odniesionego nad zakonem w tém miejscu? Mówią, że podwójny zdrajca Wincenty z Szamotuł, swém odstąpieniem śród boju od nieprzyjaciela, z którym się spiknął na całość swojej ojczyzny, znacznie się przyczynić miał do ogólnego pogromu. Pytania tego w niniejszej chwili rozbiierać nie widzimy potrzeby. To pewna, iż męstwo króla, dowodzącego w tém spotkaniu pamiętném, było jawne, jasne. Na dowód znowu, ile się do téj chwili mógł ugiąć duch mężny naszego biskupa, wzmiankują pisma niewątpliwéj wiary, iż wierna rada swego pana, biskup ów i starszyna, miał mieć udział niepośledni w zamysłach i wykonaniu bitwy. Małażto pochwała? Nie minęły jeszcze wszakże czasy, kiedy przyzwoitą było rzeczą biskupom, zstąpiwszy ze swego tronu w kościele, przywdziać zbroję i stanąć na czele ludu, zwłaszcza, iż to się dzieje za Piasta wojowniczego, któremu są mili podobni towarzysze w boju. Zresztą dopełniałby biskup, z dodatkiem narażenia osobistego, jednego z obowiązań już w dawniejszej epoce przez książąt nadawców na biskupów téj katedry włożonych. Uwalniał np. Kazimierz, syn Konrada, dobra biskupie od wszelkiej służebności, *praeter terræ defensionem, si forte aliquis exercitus terminos Cujaviae invaserit*. Owóz do wykonania takich zobowiązań, więcej naglącej potrzeby wynaleźć nie można było. Tak jest: na pobojowisku płowieckim dopełnił biskup Maciej, zarazem obowiązku wojaka i pasterza. Onto własną ręką, jak czytamy w nowszym pisarzu (1), przeszło 4000 prostego ludu, oprócz rycerzy niemieckich poległych zliczył i pogrzebł w mogiłach. Są to właśnie owe mogiły nagim grzbietem piaskowym sterczące do dziś dnia jeszcze, pod ową wsią pamiętną w Kujawach. A możnaby wskazać i inne zabytki, od czasu tego pogromu datowane, jak np. zatopiony wóz krzyżacki ze skrzynią pieniężną, w głębi niespuszczonego jeziora pod Sadłużkiem. Trudno się domniemywać, ażeby Golanczewski w dalszej pogoni na ziemi chełmińskiej lub wielkopolskiej swemu królowi towarzyszył. Własna owczarnia i bezpieczeństwo domowe na dalsze przygody, wzywały go z powrotem do siebie. Jakoż i rozejm po chwili zawarty, posłużyć mu na rękę mógł rzeczywiście. Rozejm ten przyjętym

(1) Zob. Dzieje Rzeczypospolitej polskiej. T. 1 k. 158. Liczbę poległych podług téż ostatniego pisarza przyjmujemy, pomimo, że u innych pisarzy dawniejszych do 30 i 40,000 się podnosi.

być musiał przez Łokietka, gdy i Luksemburczyk ze swemi Czechami już stał pod Poznaniem.

Rozejm na czas krótki, ale umierając jeszcze sędziwy nasz bohater, to napomnienie testamentowe udzieli synowi, ażeby się nie zrzekł obrony praw swoich odwiecznych, nie dozwolił sobie wydrżać Pomorza!

Dotkniemy téj materyi już pod następném panowaniem. Nie spuszczając jednak z przed oczu głównego zadania, trzymać się będziemy w obrębie dziejów naszej katedry kujawskiej, na którą w tym czasie przyszły dni ucisku i wielkiej żałoby.

Zostawiliśmy przed chwilą miasto biskupie obnażone ze wszystkich świętości domowych, oblane krwią swego ludu, stosami gruzów przykryte. Wojna tysiące rąk odjęła od zatrudnień w domu, wypłoszyła mieszkańców, nawet bliżkiej nadziei pokoju nie zapewniła: bo mogliżbyśmy ulgą nazwać ów układ w Toruniu, gdy ten brał tyle, a nic bezwarunkowo nie wracał posiadaczowi dawnemu? Założenie katedry przez Golanczewskiego, na którą patrzymy, datują pisarze nasi kościelni pod r. 1340 dopiéro: cóż w przerwie pomiędzy zniszczeniem i tą epoką, przeciąg 11-letni prawie zapełnia? Nie ma na to pytanie odpowiedzi. Lecz, że nakoniec potrzeba i strach wielkooki odpędza z przed oczu, wnosimy, iż pasterz tego miejsca nie spoczął raz jeszcze. Wszakżeto rokowano tymczasem przez posłów papieżkich co do Pomorza: odbywały się zjazdy na rozlicznych miejscach; w końcu się dowiadujemy, że mała świątynia w stylu gotyckim, również dzieło Golanczewskiego, jakby odbicie w modelu przyszłej katedry, do dziś dnia istniejąca w Włocławku, pod wezwaniem św. Witalisa znana, poczęła zgromadzać assystencyą biskupią do tego miejsca, i że Golanczewski w nią tymczasowe nabożeństwo ustanowił. Na tém podaniu poprzestać musimy: owszem wiadomość ta objaśni błędne wieści o katedrze, która w mniemaniu niektórych historyków, jakoby już w r. 1339 istniała na nowo w tém mieście.

Wojna pomorska za króla Kazimierza była już tylko właściwie polem walczącej dyplomatyki. W odwrotnéj zupełnie stronie kraju, to znamienite imię na polu waleczném miało się wslawić; ani znać sił nie miał stosownych, ani oprzeć się był w stanie naciskowi przeważnych okoliczności, gdy się tak usilnie trzymał w oddaleniu od oczekiwanego po nim starcia z wrogiem, któremu jeszcze przed zgonem, ojciec jego Łokie-

tek, rad był los należy zgotował. Linia Odry tak wkrótce stracona być miała dla Polski, jak za przeszłych królów stracona była linia Elby i Sprei. Łatwo to było miarkować z pierwotnych jego kroków, na wstępie jego do panowania czynionych.

Kazimierz, owdowiały po pierwszej swęj żonie, Annie Aldonie, córce Gedymina, lubo młodość zdawałaby się dziwném czynić jego postanowienie, wyszukania w 29 roku życia domniemanego już na tron polski następcy, równie układami w Węgrzech r. 1339, jak w cztery lata później z Krzyżakami w Kaliszu, daje nam poznać jedną jakąś ideę przeważną, pod której wpływem i objawem, spodziewał się krajowi nagrodzić dostatecznie, za straty nad Odrą i brzegami Bałtyku. Tą ideą jego panującą, jak się okazuje z czynów jego następnych, jest opanowanie Rusi Czerwonej, kraju nadzwyczajnej żyzności, jego Karpatom koronnym przyległego, który wszystkie bogactwa wewnętrzne ze swém opanowaniem przynosił, oprócz ludności. Mógł zagarnąć pod swe berło kraj piękny, szeroki, chociaż bez starcia nie mogły przyjść te jego zamiary do skutku; owszem przy takim spółubiegaczu do bezludnej ale wewnętrznie bogatej pustyni, jak był Gedymin, który na początku tego wieku Małą Ruś albo część Rusi na wschód Dniepra opanował, można się było na przyszłość niejednej niemniej gorącej spodziewać rozprawy, jakie się dotąd rok po rok u granic Kujaw albo Pomorza wznawiały.

Wabiła Ruś Czerwona oręż Kazimierza ku sobie, ale przez czas niejaki zdaje się chcieć z honorem i walkę tamtą pomorską, przez swego ojca zacząć, ukończyć. Owszem bezimienny archidyakon gnieźnieński, już w *wywodzie praw korony węgierskiej* przez Łojka przytoczony, spółczesny Kazimierza W., wyraźnie twierdzi, iż w traktacie względem następstwa na tron polski, zawartym przez tegoż Kazimierza w Wisegradzie w Węgrzech, ten także między innemi warunek był włożony, iż król węgierski doda mu pomocy z wojsk swoich na odzyskanie Pomorza od kawalerów krzyżackich (1). „Przecież, robi uwagę Łojko, ten od króla węgierskiego obowiązek przyjęty, nie był na przeszkodzie Kazimierzowi do ustąpienia Pomeranii kawalerom krzyżackim, przez traktat w Kaliszu r. 1343 zawarty”.

Cóż, że stolica apostolska jeszcze w r. 1321 przez swych delegatów skazała zakon krzyżacki na zwrot Pomorza, pod za-

(1) Zob. Anonym. Archid. Gnesn. apud Sommersb. T. I. str. 101.

grożeniem klątwy; że delegaci Benedykta XII przybywszy w r. 1339 do Warszawy, wyrzekli powtórnie słuszność i konieczność tego zwrotu? Umiała rada zakonna od czasu do czasu obejść te postanowienia, a ziemi pomorskiej ciągle nie wypuścić z garści: aż zakon ten upatrzył najstosowniejszą do zamiarów swych porę, i widząc Kazimierza uwikłanego w wojnę o Ruś Czerwoną, z jej posiadaczami i zdobywcą Litwą: wtenczas przez posłów swych na drodze układów starał się spór dawny ostatecznie skończyć, i wskórał: nie zrażało go to nawet, że stany ugody nie potwierdzić mogły. Jakoż wiadomo, iż przedniejsza część senatu, jak: Jarosław arcybiskup gnieźnieński, Jan Grot biskup krakowski, Maciej biskup kujawski i Klemens biskup płocki, zapisali tylko obecność swoje, ale przyzwolenia i podpisu na umowie kaliskiej odmówili.

Co do naszego biskupa kujawskiego, postawiony już on na drugim zaraz miejscu po krakowskim w radzie senatu, uchwałą Łokietka, o której tu jeszcze w zamknięciu pisma naszego powiemy, głos jego do czasu, jak widzieliśmy, zdawał się wpływać na zdania Kazimierza. Wierna rada jego ojca, Golanczewski, nie wątpię, iż wdania się swego ślad już zostawił, przy warunku pomocy węgierskiej w traktacie wisegradzkim; wszakże Kazimierzowi w tej jego wycieczce do Węgier towarzyszył, i w układach miał czynny udział. Teraz konieczny rozbrat, w nagłym przechyleniu się króla do natarczywych podnieć ze strony posłów zakonu w Kaliszu, pomiędzy królem a jego radą musiał nastąpić. Trzynaście lat temu sam Golanczewski czuć się mógł winnym w obec kościoła i narodu, przez podpisanie umowy z Wernerem, do której, jako prywatny, nie miał się prawa obowiązywać; lecz ulegając twardej konieczności i niewoli, miał jeszcze wówczas przynajmniej ucieczkę w nadziejach swego ratunku do króla i papieża: teraz się utwierdzały dwoiście straty narodu w Pomorzu. Kościół pod zwierzchnią władzą papieża, również jak pod tąż władzą i opieką zakon niemiecki zostający, miały jeden trybunał najwyższy w swych zajęciach wskazany, który potwierdzał lub zmieniał układy: ale tutaj lud pomorski stawał się łupem. Po pierwszych doświadczeniach rządu i dążności zakonu, w ziemiach pobożnie mu nadanych, można było w niedługim przeciągu czasu, jawnie, jaśnie zgadywać następstwa dla tego ludu, na który obce jarzmo spadało. Dziwi się historia niemój postawie obe-

nych świeckich panów na zjeździe w Inowrocławiu, gdy jeszcze czas może był do poprawy diejącego się złego. Nie znalazł następstw tych Kazimierz? On, który już za sprawę Pomorza wiódł proporce pod wodzą ojca swojego, a z różnym szczęściem walczył przeciwko czarnemu krzyżowi?

Nie można się tém bynajmniej pocieszać, że traktat kaliski, chociaż nie zerwany, ale nigdy do skutku przywiedzionym nie był (1). Polityka Kazimierza, która go w stronie południowej kraju zatrzymywała, i tytuł dawno pożądaný dziedzicznego pana Rusi przynieść mu w zysku mogła, wielkim przelewem krwi za królów następnych zaledwie da się wynagrodzić. Teraz jej zgubne skutki gładzi powierzchownie wieść o pokoju nabytym. Niewielka przerwa czasu dzieli, owszem iść pasmem zdają się układy węgierskie, pokój r. 1340 z książętami litewskimi zawarty na Wołyniu, i traktat kaliski, o którym dopiero mówiliśmy. Jakby przed większym przedsięwzięciem szukał wytchnienia i siły nowe zyskać usiłował, tak na ten pokój od każdej strony, Kazimierz ów nasz, wbrew radom sobie dawanym, zezwalał. A wojna swym trybem, z pod zwodniczego popiołu wynikała i wyniknąć była powinna.

Rok 1340 pamiętny dla katedry kujawskiej położeniem dla niej fundamentu przez Golanczewskiego, odznaczony jest z mnogich zdarzeń w następstwa bogatych. W tymto roku schodzi z pola kończący żywot Bolesław, który dotąd pierwszy z Piastów, swemi koloniami z Mazowsza Ruś zaludniał; w tym roku ze strzelby palnej od Krzyżaków legł Gedymin pod Wieloną; i z obu przyczyn otwierał się taki obszerny zawód przed Kazimierzem!

Mógł i nasz pasterz niedość przygotowany w zasoby materialne, swe wielkie dzieło w tym roku rozpoczynać. Ograniczywszy ceremonie kościelne, w szczipłym swym pod wezwaniem św. Witalisa kościołku, o którym już wspomnieliśmy, rad on był w istocie jedno boskie technienie wyblagać do rozpoczęcia i uzupełnienia swojej budowy. Zawód był trudny. Świadczy kronika miejscowa, iż rozpoczął wprawdzie budowę w roku pomienionym, ale ćwierć wieku, lat 25 zupełnych upłynąć miało, nim do widoku całości pewnej dojść była zdolna: tyle przeszkód do zwyciężenia musiał napotkać, tak dotkliwie

(1) Zob. Ostrowski, Dzieje i prawa T. II, str. 372.

ciosy wojny pomorskiej, raz po raz jeszcze wewnątrz jego dziedziny biskupiej oddziaływały (1). Nie dożył nawet kresu upragnionego jej wykończenia. Stały mury: idea przez założyciela powzięta, w układzie i zarysach głównych się odbiła. Sklepieniem i dachem pokrył świątynię dopiero następca jego Zbilut. Ten wziął po nim biskupstwo, otrzymał mienie całe. Zresztą nie pod innem zobowiązaniem rezygnował mu pewnie stryj Maciej katedrę swoją, i zezwolenie kanoniczne na wybór sukcesyjny uzyskał, jak żeby dzieło, na którego wzrost pod okiem jego poglądał, uzupełnił. Zbilut zaprawdę dość czynił. On i własne imię miał wstawić, wznosząc kościół Panny Maryi na *górze biskupiej* w Gdańsku, polecenie stryja co do katedry wrocławskiej z całym poświęceniem wykonał. Wszakże pod tym ostatnim względem pamiętać mu wypadało, iż będzie ten kościół zawsze pomnikiem bogobojnych usiłowań Macieja. Zarzut niewdzięczności Zbiluta względem swego dobroczynnego testatora, wzmiankowany u *Kromera* i *Damalewicza*, tyczył się bez wątpienia jego sposobu traktowania stryja ociemniałego w domu, nie tej publicznej pracy i myśli do wykonania poleconej. *Postea paenituit Mathiam facti, quod Sbilutho propinquo suo episcopam concesserit, cum non pro meritis ab illo tractaretur*: są słowa *Kromera*. *In tractando patruo male audivit*: *Damalewicz* o nim powtarza. Objawia się, według biografów, większa jakaś światowość i rodzaj życia naganny w dalszych dziejach pasterstwa Zbiluta. Taby się nie zgodzilo bez wątpienia z powziętym o nim przekonaniem przez stryja, nim mu zrezygnował swą katedrę; czyliby rady starca albo strofowania miały być jedynym powodem Zbilutowi do zapomnienia w jednej chwili o obowiązkach swoich aż do obowiązku wdzięczności?

Przypuścić możemy surowość większą obyczajów Macieja, która nawet mogła stawać się cierpką dla młodego następcy, ukroć swęj władzy i powagi niecierpliwego. Ale łatwym

(1) Czytając *Dzieje rzeczypospolitej polskiej* przez *Moraczewskiego*, niechaj czytelnik zechce zwrócić uwagę, jak to jest niedostateczny w wielu razach przewodnik w materji dziejów katedry naszej. Obecny mu był w ogólności przedmiot prac i poświęceń *Golanczewskiego* dla odbudowania tego kościoła. Jakże o tem się wyraża pod r. 1339 jeszcze? „Kommissarze papiezcy rozkazali ogłosić przez pozew piśmienny w kościele katedralnym *władystawskim*, oczywiście już odbudowanym, termin (Krzyżakom) na d. 4 lutego 1339 roku. Zkądże ta była oczywistość?—z przypuszczenia?

jest do wytłumaczenia rygor w człowieku, dla jednej boskiej idei wylanym przez wiek cały; spadkobierca jęj nie zważa na zwłokę w jęj uzupełnieniu, gdy tamten pozbawiony już widoku światła dziennego, za całą pociechę mieć może z sąsiedniego domostwu swemu wzgórze, usłyszeć modły wreszcie wznoszące się pobożnie, i pienia ludu, który powinien był zebrać się pod dachem świątyni, po rozproszeniu swoim i pozbawieniu domu modlitwy. Oddalał Maciej budowę swoją od brzegu podrywającej Wisły, w przekonaniu, że ją usuwa od pierwszego natarcia wroga, z którym przez taki przeciąg wieku nie miał miru. Zbilut korzystał z bezpieczeństwa, ale skarby, które odziedziczył, mogły go wieść do innych jeszcze celów. Zanotowała nawet historia naganę dla niego w trwonieniu owych skarbów, chociaż przy zgonie wróciła mu słusność, że mimo czynów świeckiego stroju, zostały przecież ślady staranności dla katedry, na którą z probostwa miejscowego ustępował: albowiem otrzymywała po nim uzbierane w złocie, srebro, sprzętach kościelnych, książkach i pieniądzach zapasy niemalęj wartości. Pozwólmy dziejom w paręset lat nawet po nim o tych szczegółach jego cnót lub wykroczeń, przemawiać przez swych Kromerów: bo wieść stugębna nietylko od miejsca do miejsca, ale od wieku do wieku przelata.

W tém naszym piśmie, wspierając się na wiadomościach poczerpniętych z pomienionego źródła, podobnie nie mogliśmy opuścić wzmianki, która przez kogo innego wytkniętą być mogła. Nie będzie to jeszcze zamknięcie naszego obrazu ostateczne. Wszakże i przez ten przeciąg lat 25, w których się krzątał nasz pasterz około spełnienia idei swojej świątobliwej, od spraw publicznych, jako również wierna rada panującego monarchy, nie był daleki. Zadziwiacby mógł zkadınąd taki długoletni okres upłyniony przy wykonaniu jednego dzieła, które już z założenia swego nie szło do porównania z owemi wielkościami architektonicznymi u brzegów Renu lub Tybru, wieków wymagającemi; gdy i dochody biskupów kujawskich były potem, i chęci założyciela, i zresztą wiek Kazimierza okazał przykłady, co można było dokonać w budowach gmachów, rozmiarów niepospolitych. Co do dochodów biskupich, téj siły materyjalnej, tak przeważnej w latach pokoju pod następcami Macieja, w chwili rozpoczęcia wielkiej budowy, która tu nasze uwagę zajmuje, podziwiać tylko w istocie należy niezwykłą tę-

gość charakteru i moc ducha w ostatnim, gdy pomimo klęsk pasmem jedném idących po sobie, jeszcze na tak rozległe przedsięwzięcie odważyć się był zdolny. Do roku albowiem 1340, oprócz majetności prywatnej, nie można się było domyślać dostatków żadnych kościelnych w rozporządzeniu biskupa, gdy, jak świadczą dzieje „*po klęsce ostatniej Maciej biskup do największego ucisku i ubóstwa przyprowadzony, o żebranych prawie chlebie wraz z duchowieństwem się utrzymywał:*” a wielką przerwą zaszła od czasu tej klęski do przedsięwzięcia o którym mowa? Jeszcze w tym czasie oprócz Pomorza, Kujawy oraz ziemia dobrzyńska nie były zwrócone przez zakon Polsce. Rok 1343 ma być stanowczy. Przedtém myśl założyciela widzieć cel mogła: cel ten naksztalt jasnej gwiazdy w ciemności przyświecał. Wiedział biskup, iż myśl jego ożyje, przybierze ciało, lecz cóż o wykonaniu swoim mógł wcześniej mniemać? Niestety! rok ów 1343 dał pokój ziemicy, strumieniami krwi ziemian nasiąkłój: Kazimiérz, którego wielkość uznała historia w tylu innych wielkich dla kraju czynach i zdobywach, przy zawarciu pokoju z zakonem pod powyższą datą w Kaliszu, obudzał tylko niechęć i sarkanie przeciwko sobie. Jestże to dzieło wielkiego wodza albo polityka? W tych wyrazach jego traktatu: „zawieramy pokój na wieczne czasy z wielkim mistrzem i rycerzami,” maluje się jakby czyn rozpaczy. Odzyskiwał Kujawy i ziemię dobrzyńską, do których już Krzyżacy przez wykrętne tłumaczenie przywilejów jakichś cesarskich i uznań papieżkich, jako do zdobyczy *de facto* rościć poczeli pretensye: ziemi pomorskiej, chełmińskiej i michałowskiej *zrzekał się jawnie, wyraźnie, prosto i w zupełności*, za siebie i za następców swoich. Moźnaby wziąć do porównania *traktat toruński* z r. 1330, do którego podpisania, jak napomknęliśmy wyżej, nasz Golanczewski po takim rozlewie krwi w swojej dzielnicy biskupiej widział się zmuszony. W czynie Kazimierza daje się postrzegać także parcie jakiegoś musu, graniczące z upadkiem ducha. Ale Golanczewskiego uległość tłumaczy się brakiem potęgi, wypadkiem do odwołania: jest jeszcze pod szatą ustąpień zakryta nadzieja, że to co czyni, blizka chwila w przyszłości unieważnić może i nagrodzić. Wymogli na nim świadków Krzyżacy, wymogli przyrzeczenie, iż się postara o zatwierdzenie ugody swojej tak przez swą zwierz-

chność duchowną i świecką w kraju, jak przez dwór rzymski. To też wspomina bez ogródki historia, iż wkrótce okazać miał w spełnieniu przyrzeczeń swoich, jak je będąc niewolnikiem wypełnić rzeczywiście rozumiał. Nie jest tajną rzeczą, w jakich kolorach odmalował krzywdy swe Janowi XXII, przez listy do Awinionu przesłane. I musiał jego postępek nie być uznany przez tego sędziego za dzieło obłudy i przewrotności, gdy Ojciec ów święty wydał takiej treści bullę w następnym zaraz roku, iż zostawało tylko arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, tudzież biskupom krakowskiemu i poznańskiemu, przyznać, o ile słuszne są zażalenia ich towarzysza, na katedrze kujawskiej z chlubą zasiadającego, aby natychmiast skłonili Krzyżaków do zwrotu i wynagrodzeń, pod exkommuniką i zawieszeniem wszelkich im dotąd nadanych przywilejów. Jaki bieg dalszy procesu nastąpił, jużśmy o tém w treści wyżej wspomnieli. Więc najwyższa władza pasterska wyzwała naszego pasterza w oczach dziejów: do ugody przez Kazimierza zawartej, nie przystąpiła znamienita część senatu, a w niej i tenże sam nasz pasterz kujawski. Zkądże tyle nieufności w swój oręż, w siłę moralną narodu, objawionej w determinacji nagłej młodego króla? Mielibyśmy tém tylko jego wytłumaczyć, iż nie było, jak ktoś powiada, charakter wojowniczy?

Ale ten stan rzeczy jest jedną z przyczyn zubożenia, o którąśmy zapytywali. Niesłychanych morderstw, spustoszeń i okrucieństw sprawcą był dla téj naszej dzielnicy kujawskiej i pomorskiej Werner von Orselen, w ciągu swego sześcioletniego mistrzowskiego zawodu, nim go nóż Jana Biendorfa usunął z drogi w d. 18 listopada r. 1331 na stopniach kaplicy w Malborgu: traktat w Toruniu przez Golanczewskiego zawarty nie był także złem bez znaczenia w przyszłości: ale smutna rezygnacja króla Kazimierza w r. 1343, nie zostawiała już nadziei ani podniesienia miast, zamków i świątyń z gruzów, ani odrzucenia umów przez wyższą instancją.

Po takich uchwałach, choć nieprzyznanych, stanęłyż otworem przed Golanczewskim niwy dzielnicy swój, z rąk wroga wydarte, pod obietnicą dostatków i plonów? z nichto miał urzeczywistnić wcielenie idei swojej? Więcej zasmucający widok nasuwają historycy nasi, każąc się domyślać poróżnienia stanowczego pomiędzy królem a biskupem. Już o takich poróżnieniach napomykano nam po jego traktacie toruńskim

z królem Łokietkiem; lecz tam Golanczewski miałby pozór winy. Po traktacie kaliskim wina ciąży na nieodważnym królu. Ale jedno i drugie prostym domysłem jest pewnie. Znając dzieje Kazimierza III, przypomnieć tylko możemy jego sporne postawienie się z Bozantą, biskupem krakowskim, a naprzód los Marcina Baryczki, doktora Pisma Śgo, nie potrzebując więcej przekonywających wynajdować przykładów, do jakich miar publiczności i gwałtu, gniew tego króla Kazimierza albo poróżnienie posunąć się było zdolne. Co się tyczy gniewu Łokietka, o tém zdaje się dostatecznie przekonywają względem Golanczewskiego ostatnie chwile wielkiego bohatera: czy to bitwa pod Płowcami, która już po owym traktacie toruńskim, kamieniu obraży, nastąpiła; czy w układach z zakonem o rozejm, przedstawienie rękojmi w Golanczewskim do zatrzymania przez czas tego rozejmu Brześcia, jakoby w trzecim między Polską a zakonem jawiącym się pośredniku. Trzebaż puścić z przed oczu tę ważną i do najdalszych okresów historii narodowej pamiętną okoliczność, iż od daty Łokietka właśnie poczyną się odznaczenie (*character consecrationis*) biskupów kujawskich, którzy od czasu powrotu Golanczewskiego z Awinionu, *dla zasług wyłącznie Gerwarda i tegoż jego assystenta*, natenczas jeszcze dziekana katedry włocławskiej, mają sobie przyznane raz na zawsze drugie zaraz miejsce w radzie i senacie po biskupie krakowskim? Owszem od epoki Golanczewskiego przyszłość pasterzy kujawskich coraz świetniejszą się staje. Jeden im tylko krok uczynić potrzeba dalej w przejściu z swej katedry do godności najwyższej w kościele polskim, to jest godności prymasa państwa, arcybiskupa gnieźnieńskiego. Oprócz dowodów w statutach państwa, można zobaczyć *w żywocie Macieja Łubieńskiego* przez Floryana Bujdeckiego (1) streszczoną wiadomość, z kąd się wzięła owa prerogatywa biskupów kujawskich, przez ciąg wieków szanowana, podobnie *in Vitis Praesulum* przez Rzepnickiego (T. 1 p. 21). Pierwszym takim przechodniem do najwyższej dostojności jest *Mikołaj Kurowski* za Władysława Jagiełły.

Od daty pomienionej, promowować do katedry kujawskiej poczynają biskupstwa: przemyskie, chełmińskie, płockie albo łuckie.

(1) *Vita venerabilis servi Dei Mathiae Łubieński Canonici Regularis s. Sepulchri ac tandem Archiepiscopi Guesnensis. Calissii. 1752; cap. 16.*

Pod nieobecność rozmyślną lub mimowolną prymasa, biskupi kujawscy królów polskich namaszczają lub koronują, jak: Maciej Drzewicki Zygmunta Augusta, Stanisław Karnkowski Stefana Batorego, Tylicki i Dąbski w podobnychże zdarzeniach, dochodząc już do końca wieku XVII.

Uzupełnijmy wzmiankę naszą tém jeszcze, że w prawie tém był włocławski biskup wówczas także, jeżeli prymas państwa zszedł ze świata w czasie bezkrólewia, lub miał przeszkody w dopełnieniu prerogatyw swoich. Wreszcie odesłemy raz jeszcze czytelników naszych do *Damalewicza*, biografa kujawskich biskupów, który dla dokładności obrazu, nie pomija na żadnem miejscu tego ich odznaczenia: a był obecny przejściu z téj katedry wielkiego swego wzoru, Macieja Łubieńskiego, który jak był ważnem dla niego wsparciem w zawodzie profesora seminarjum na Szotlandzie w Gdańsku i kanonika włocławskiego, albo w kierunku jego pracy życiopisarskiej; tak nakształt gwiazdy pierwszego rzędu na niebie jego zawsze błyszczał.

Wyjaśniła się zatem po części przyczyna dłuższej zwłoki w budowaniu kościoła naszego katedralnego przez Golanczewskiego, nie rozszerzalibyśmy się może z uwagami nad nią, pamiętając jak daleko większym zwłokom ulegały w budowie tyle innych świątyń w kraju i u obcych; ale zwłoka ta nie oznaczała czasów pomyślnych dla biskupstwa. Tym sposobem mało na pozór chcieliśmy powiedzieć w poglądzie na zawód pasterski i obywatelski naszego biskupa: *wzniósł kościół, dwa zamki odbudował*. Małozby podobnych przykładów można przytoczyć, od stronnicy do stronnicy naszych dziejów przechodząc? Ale jaka różnica czasów i okoliczności, jaka wytrwałość pracy, jaka następnie odmienna w tym naszym przykładzie zasługa! *Wzniósł kościół i dwa zamki odbudował*, takie są tytuły rozdziałów do żywota Golanczewskiego. Nie dałoby się jednak dla tych kilku wyrazów w tytułach, nader obszernych rozdziałów napisać: bo, jak się wyraziliśmy już na wstępie téj pracy, budowa tego kościoła i tych zamków przez Golanczewskiego, była krwią ludzką ulepiona. Na fundamencie świątyni mogło być wyrte czarnymi głoskami świadectwo o krwawych i niezbożnych czynach zakonu, pod którego spodziewanym jeszcze ciągle rozbójniczym napadem, pierwsze kamienie ważne do podstawy wtlaczano. Gdy rozjaśnione będą kategorycznie tyle

miejsc nader pobieżnie traktowanych w naszych dziejach; gdy tego rodzaju wypracowań liczba wzrastająca się okaże, i monografia monografij lub każdy wyimek podobny odpowiadać będą do uformowania całości, nakształt pojedynczo odtoczonych kółek zegara: zbytecznemi okazać się mogą objaśnienia takie, i dość będzie krótkich wyrazów treści. Lecz od tych spodziewanych korzyści nauki jakże jesteśmy daleko! Obok takiego Golanczewskiego, jakże przestronnie rozprawiłoby można o panujących własnych i pogranicznych, pod któremi wzrastają lub cierpią kraje! Najwyższą instancją w krzywdach wzajemnych jest papier; ostatecznym obiecywanym sobie polepszeniem jest przyszłość na chwiejącej się ze wszęch stron podstawie założona. Umiérając albowiem Golanczewski nie miał już téj pociechy w domu własnym, ażeby uważał dokonczenie wielkiego i pamiętnego przedsięwzięcia swego, w ręce zadosyć czyniącego następcy powierzone; który, jak powiedzieliśmy, z dróg przez niego obranych i terminów wytkniętych zdawał się zbaczać. Stał i król panujący z nim razem na schyłku żywota, a gdy tyle wznosił gmachów po kraju, za ledwie katadrę włocławską szcudłym zasiłkiem obdarzał, zostawując ją prawie w ogólności siłom własnym założyciela: czy można było większych sprzyjań wyglądać od spadkobiercy tronu, mającego przyjść z za Tatrów, i panować nad dwoma krajami, jak kolos rodyjski powtórzony? Gdyby był Golanczewski już nie litował dochodów kościelnych przez swego synowca upornie rozpraszanym zaraz od początku, do pożałowania był przykład jego żelaznej wytrwałości źle pojęty i nienaśladowany. Ztądto w części ogólny zarys świątyni, nie miał pozostać wiecznym pod jego następcami. Każdy wiek prawie naddawał jakieś cząstki do tego ogółu, przekształcał jawnie, albo od wzoru swego oddalał. Stał w np. w połowie wieku XVII, po tém, co już z pomysłów swych dla téj katedry tacy pasterze, jak: Oporowski, Rozrażewski, Gembicki, Lipski urzeczywistnili; oto mamy ślad w żywocie Macieja Łubieńskiego, co ten ostatni pastérz w katedrze téj odmienił, sądząc, iż idea Golanczewskiego posępna, jak wszystkie wzory gotyckie, rozjaśnioną być powinna. Przed nim wznosił Rozrażewski ołtarz wielki, ozdobny rzeźbą i malowidłami, ale drewniany. Łubieński na miejscu jego wznosił inny, jak się wyraża jego życiopisarz (Bujdecki), szlachetniejszy, piękniejszy i droższy, z tablic, kolumn i posągów marmurowych, a połą-

czywszy swój nakład z funduszami, przez poprzednika swego Lipskiego przeznaczonemi, malowidło Wniebowzięcia na blasze miedzianej, z najwykwintniejszą sztuką przez artystę wykonane wprowadził. Do takich nowości większego rzutu światła, z okien dotąd wązkich i podłużnych bijącego, zażądał. Poczytni zatem większe otwory w oknach, i okna te nowe, nader obficie dające światło, fundował: rozumiał bowiem, iż przez tę nowość kapłanom, nucącym pienia pobożne, dogodzi. A zewnątrz chyłące się ściany wsparłszy należycie, dachy kościelne pokrył na nowo i dwie wieże kościelne, wschodnią i zachodnią, nadmurował i podniósł wyżej, żelaznemi połączeniami grubo je spoił, luki na nowo zasklepił, krzyże na wierzchołku świątyni z miedzi powleczonej złotem postawił, zegar bijący na wieżę wprowadził i t. d. Idą dalej przekształcenia w tych wieżach i dachach przez Madalińskiego, Czapskiego, jak świadczą złoczone *Laryssy, Lelwy*, które połysk słoneczny zewnątrz kościoła na swych podniosłościach przyjmują.

Jednak na chlubę tych odnowicieli albo przeobraźców przytoczyć można, iż cokolwiek chciał który z pomysłów własnych dla tej katedry uskuteczyć, czynił to poniekąd w myśl pierwotnego założyciela lub czynił rozumiał. Powstał ztąd styl mieszany budowli, i w organizacyi wewnętrznej jest mnóstwo różnorodności. Opowie to kiedyś lepiej dziejopisarz ogólnych dziejów tej katedry z powołania. My cześć potomną złożyć byliśmy obowiązani piérszemu jój twórcy, w przekonaniu, że rozważając tylostronne zasługi w kraju i kościele naszego pasterza, nowy jakoby przedmiot w literaturze naszej traktujemy. Ten jego kościół, piąte już stulecie swego istnienia liczący, nazywamy z upodobaniem mauzoleum Golanczewskiego, choć w takim mnóstwie tablic, popiersi, płytów marmurowych i napisów, próżnoby przechodzień szukał imienia albo pośmiertnego wizerunku tego biskupa Macieja. Wyznać winienem, iż zrazu obiegłszy gmach cały i zakątki świątyni, rozumiałem, iż napróżnobym szukał tego śladu pogrobowego; zwłaszcza, iż napotykałem już nawet przed wielkim ołtarzem kamień z herbem *Topór* na grobie Zbiluta położony, z napisem przytoczonym już w *Herbarzu rycerstwa* przez Paprockiego: *Reverendus Dominus Zbylutus Episcopus Vladislavienn: hic iacet sepultus, Anno 1395 obiit*. Milcząc oprowadzają nas przewodnicy w poszukiwaniu grobu założyciela kościoła. Przecież go sam

za życia miał sobie wymurować, jak donosi Damalewicz. Więc bierzemy za przewodnika tego dziejopisarza, wskazującego nam, że ów Maciej Golanczewski, który dla uczczenia bóstwa przez wiek swój prawie cały budował świątynią, w cieniu swym po śmierci nie rozpoznany, spoczywa w zakrystyi na wschód bazyliki włocławskiej pod umywalnikiem kapłańskim!... (*iacet in sacrario Vladislaviensis Basilicae ad Austrum, sub malluvio sacerdotum*). Ale i ten jego przyémiony grobowiec (*obscurum bustum* [według epigrammatu]) zniknął do szczętu w miejscu wskazaném: jest domysł, że garstka popiołów zacnego pasterza, musi oddzielném sklepieniem pod tą zakrystyą być dla nas zakryta.

Pisałem d. 12 września 1855 r.

DUMA Z DUM UKRAIŃSKICH.

PIEŚNI LIRNIKA O UKRAIŃSKIEM KOZACTWIE.

(Ciąg dalszy).

PIEŚŃ Scia.

„Nikt mi nie winien tylko ja, tylko ja, tylko ja,
Żem polubiła hultaja, hultaja, hultaja;
Hultaj ten na nic tylko pić, tylko pić, tylko pić,
A jak jest w domu żonę bić, żonę bić, żonę bić.
Lecz niechaj bije choćby w grób, choćby w grób, choćby
w grób,

Ja go nie lubię, co chcesz rób, co chcesz rób, co chcesz rób.
Jest u sąsiadki młody syn, młody syn, młody syn,
Tamże to hoży wroży syn, wroży syn, wroży syn:
Liczeko rumiane choć maluj, choć maluj, choć maluj,
Usta jak koral, choć całuj, choć całuj, choć całuj;
Jak ogień oczy choć się spal, choć się spal, choć się spal,
Ładny na chłopca, że aż żal, że aż żal, że aż żal.
Niechaj mąż bije choćby w grób, choćby w grób, choćby
w grób,

Kocham Ułasa co chcesz rób, co chcesz rób, co chcesz rób.”

Tak piorąc szmaty w Dnieprowej wodzie,
Śpiewa i głosem słowiczym wywodzi
Młoda, dorodna, czarniawa kobieta.
W pasie choć w garść weź, a głowa spowita
W kaptur mężatki. Śpiewa i ciekawie
Okiem spogląda, czy w ługach, czy w trawie,
Albo w zaroślach blizkiego futuru,
Albo też w gąszczach sąsiedniego boru
Nie ujrzy kogo; lub gdy się śpiew z ciszy,
Ślucha czy stąpań, szmeru nie usłyszy.

Lecz gdy kilkakroć swą piosnkę powtarza,
A znać, że coś się nie po myśli zdarza,

Więc rzuca pranie, z kładki na brzeg skoczy,
 I czarne, pałające, a splakane oczy,
 W rękaw jak słońce tak białej koszuli,
 Wzorzysto sztytęj, białą ręką tuli;
 I potem jeszcze raz spojrzęj dokoła,
 A gdy nie widzi, co pragnie, zawoła:

„Matko! ach matko! na coś mię zrodziła?
 Zrodziwszy czemuś wnet nie utopiła?
 Niechby mię nie dręczyła dola w złem zawzięta,
 Dola przekłęta!

Ojczel! o ojczel! czemuż od twój woli
 Nie było dać mi razem z życiem doli?
 By dziecko twoje nie gniotł los zacięty
 Ten los przekłęty!

Siostry! ach siostry! i wy bracia mali!
 Czemuście częśćkę szczęścia mojego zabrali?
 Mnie zostawując od was boleści nie wzięte,
 Boleści przekłęte!

I ty, o i ty! którego na moją
 Ciężką niedolę, kocham nie mogąc być twoją,
 Bodajbyś został mym bolem dotknięty
 I był... szczęśliwy!...

Ni przekląć, ni zapomnieć nie zdołam Ułasa.
 Ach dola moja biedna! biedna moja krasa!
 A mówią, że urodna i liczką i okiem,
 Rój młodców się włóczy za mym każdym krokiem,
 Że mogłabym jak w gniłkach przebierać do woli.
 Lecz na co mi to wszystko? Ach serce mię boli,
 Że Ulas jak od ognia odemnie ucieka,
 Że mię nigdzie nie szuka, nigdzie mię nie czeka.
 A czyto w karczmie tańczę, on w taniec nie bierze,
 Czy to na wieczernicach zgotuję wieczerze,
 Że gdybym mogła w strawę włożyłabym duszy;
 On jej nawet nie dotknie, łyżką nie poruszy.
 Na ulicy z innemi on wesoł, ochoczy,
 Ja napróżno ku niemu zwracam czarne oczy.
 Uśmiechem, okiem wabię, zachęcę słówkami:
 On na to nie uważa, on nie patrzy na mnie.

Lecz czekaj wraży synu! nie po twejnu będzie!
 Chowaj się i uciekaj, ja cię znajdę wszędzie:
 Za lasami, za morzem, w stepach, czy choć w Krymie,
 Moja siła cię zmoże, moja moc cię imię,
 Aż mój będziesz gołąbku, potulny jak szczenie.”

Tak mówiąc zbiera szmaty, układa na brzemie,
 I już ma wracać do wsi, gdy zdala na błoniu

Ukazał się chart rączy, i jeździec na koniu.
 Kobieta cała żywym płomieniem skraśniała,
 Rzuca brzemień o kładkę, i jakby nie miała
 Jeszcze wcale odchodzić, coś z szmacia porywa,
 Mnie nogą, bije praczem, i znaną pieśń śpiewa:
 A tak wdzięcznie, tak rzeżwo tonami wywodzi,
 Że ich rozgłos daleko w lugach się rozchodzi.

Gdy jeździec je posłyszał, zwolnił konia w biegu,
 I krocząc stępo, ścieżką po Dnieprowym brzegu,
 Zrównał się z kładką; chwilkę przystanął, posłuchał
 Niewieściej pieśni: na twarz rumieniec mu buchał.
 Znać poznał pieśń dla siebie, i już dalej kroczy;
 Ale niewiasta sarną z kładki na brzeg skoczy
 I do jeźdźca:—„A dokąd spieszysz czarno-brewy?
 Czy cię tu nie zwabily czasem moje śpiewy?

A może myśląc, że to która luha z siola
 Zateśkniła za tobą i w ustron cię woła,
 Przybiegłeś więc co żywo.“—„O! nie, nie Olana!
 Czegoś mi dziś tak smutno, tak nudno od rana,
 Iż niechcąc aby matka myślała zem chory,
 Wyjechałem z chartami tam poza futory;
 Zkąd tём błoniem wracając wasz śpiew posłyszałem,
 Zwolniłem biegu konia, śpiewu posłuchałem,
 Sądząc, że mię nie widzisz: przebacz i bądź zdrowa!“

A Olana:—„Ułasi! czy-ć nie boli głowa?
 Masz całą twarz jak w ogniu, a oczu od ziemi
 Podnieść w górę nie możesz?“—„Nie! tylko z waszemi
 Teraz spotkać się boję.“ To mówiąc, zrenice
 Topił w oczach Olany i w jej krasne lice.

Krew na krew się wzburzyła. Ułas w ogniu wszystek,
 Aż na grzywie legł konia, i drzy jakby listek;
 Bo mu jeszcze niewieście obce korowody,
 Jeszcze was ledwo znaczny; jeszcze tak jest młody,
 Iż pod nosem mu, stare jak mówi przysłowie,
 Matki mleko nie oschło. W Olany zaś głowie
 Tak myśli zakipiały, serce tak zabiło,
 W czarne oczy Ułasa tak jej patrzeć miło,
 Że się aż zapomniała. Wtém Dnieprowa fala
 Z szumem pędzi do brzegu i kładkę obala
 Wraz z poprana bielizną; koń jeźdźca się ploszy
 Unosząc go jak z ognia od chwili rozkoszy:
 Ułas zniknął w futarach. Olana jak stała,
 Tak upadła na ziemię, gorzko zapłakała;
 A łamiąc białe dłonie od żalu czy gniewu,
 Wydobyła głos z piersi do takiego śpiewu:

„Rzucę kądziel na policę,
 Sama pójdę na ulicę;

Niech bies bierze wszystką przędę,
 Ja z chłopcami nockę spędzę,
 Na chychotkach, pogadance,
 Na śpiewaniu, pohulance.

Wróć jak już będzie świtać,
 A kiedy mąż będzie pytać
 Gdziem chodziła, co robiła?
 Powiem: Owcem pogubiła.

I gdyś się w karczmie bawił,
 Ja, by owiec wilk nie zdławił,
 Całą nockę ich szukałam,
 Aż zaledwo odpytałam.

Zechce wierzyć niechaj wierzy,
 Nie uwierzy, niech uderzy,
 Niechaj bije choćby w grób,
 Nie lubię go: co chcesz, rób!

Lecz z Ułasem co zrobię? O przekłete dziecie!
 Bez niego tak mi nudno, tak mi źle na świecie,
 Jak gołąbce, gdy jastrząb gołębia zabije:
 Ona grucha nieboga, jak wilczyca wyje
 Gdy jęj wilka zpolują. Gołąbka, wilczyca,
 Może wabią innego: ja tego nie zrobię,
 Ja Ułasa mieć muszę, ja poradzę sobie.
 Wezmę kolacz, jaj dziesięć i kurę czubatę,
 Pójdę z futuru w futór, aż wynajdę chatę
 Gdzie mieszka stara Dimna; ona i bez tego
 Nieraz mi w drogę wchodzi, namawia do złego.
 Mniejsza o to że zgrzeszę, że nieczystą siłą
 Zwabię sobie Ułasa, kiedy z nim tak miło.

Ach! jak patrzył mi w oczy, a cały się mienił,
 Jakby obraz cudowny: to bladł, to czerwienił.
 Czegoż chciał? co mu tutaj stało na przeszkodzie?
 Bodaj mu zdechl ten konik, co tój głupiej wodzie
 Dał się przestraszyć, i zbiegł, jak gdyby od wilka;
 A jednak jeszcze chwilka, tylko jedna chwilka
 Abym się opatrzyła, potrzebną mi była.
 Lecz co przeszło nie wróci: miałam i straciła
 Jedyną zręczność może, długo pożądaną,
 Tak tęskliwą w czekaniu, a jednak czekaną,
 Choć bez żadnej nadziei. Teraz znowu może
 Długo mi czekać przyjdzie, ach Boże! mój Boże!
 Lecz cóż zrobić: przepadło, co z wozu upadło!
 Teraz czekać wilkowi choć przed nosem padło.“

Tak mówiąc sama z sobą, cała nadąsana,
 Wyżyma mokre szmaty czerniawa Olana,

A wyżęte zabrawszy na białe ramiona,
Spiewając, mrużąc, poszła powoli do domu.

Na futorze Todoski jeździec z konia zskoczył.
Zdjął uzdę, psy poglaskał, kołem wzrok potoczył,
I ujrawszy w ogrodzie poważną matronę,
Krokiem chyżym, młodzieńczym, podążył w tę stronę,
A dobiegłszy, do kolan uchyla się czołem,
Przemawia: „pomóż Boże!“ i z matroną społem
Opieła grzędę z chwastów. Matrona go pyta:
„Czy kłosuje pszenica? czy też kwitną żyta?
Czy jęczmiona nie żółkną? Owsy czy obrodzą?
Czy hreczka już dosiana? Prosa czy już wschodzą?
Czy len gęsto powschodził? Konopie jak rosną?
Groch czy wąsy wypuszcza? i czy łąki z wiosną
Tak kwieciste, zielone, nie są czasem zbite?
Trawa czy nie poległa? bo deszcze obfite
Mogły jej dać wybujać; jak tam na basztanie?
Czy wszystko powschodziło i w jakim jest stanie?
Czy kawony, melony, ogórki, harbuzy,
Dobrze są podsypane? A i kukuruzy
Czy dobrze są oplete? bo to wszystko przecie
Dziś tobie wiedzieć trzeba, moje lube dziecię.
Ja sama niepodużam; co dzień, co godzina,
Jam starsza: czas mi spocząć. Nie moja więc wina,
Jeśli co nie tak idzie: bo to gospodarstwo
Nie hulki, nie tryndulki, ale kłopotarstwo,
A ja już niedomagam. Trzeba więc Ułasię
Wziąć się tobie do pracy, bo to już po czasie
Dla ciebie, kiedy tylko perewerty, chychy,
Bujanie po futorach, wieczornice, śmiechy
Mogły ciebie zajmować: teraz czas do prace,
Bo bez pracy, mój chłopcze, nie będą kołacze.”

Ułas słuchał z uwagą całej gadki matki,
A gdy zamilkła trochę, on chwastów ostatki
Zabrał z grzęd i spiesznie poza płot wyrzucił,
Zajrzał w sady, w pasiekę, potem znów powrócił
Do matki, a całując rękę spracowaną,
Porządkiem zdawał sprawę co zrobił dziś rano.

Przyuczony z dzieciństwa mówić prawdę całą,
Powiedział, co się z kładką, z koniem i z nim stało.
Dodając:—„Matko moja! ach! matko rodzona!
Naucz mię co jest ze mną, i czego chce ona!
Z innemi dziewczętami, czy na wieczornicy,
Czy to na wsi tańcuję, czy tak na ulicy,
To mi jedno jak gdybym z samemi chłopcami
Gził się, skakał, przewracał, ani mię co zmami;
Niechże tylko z Olany spotkam się gdzie okiem,
Co mię pali jak ogniem i przeszywa wzrokiem:

To tak mi zaraz wszystka bezpieczeńność opadnie,
Iż czuję jak wyglądam niezgrabnie, nieładnie,
Słówka wyrzec nie umiem: więc się zabaw zrzekam
I choć mi żal za niemi, do domu uciekam.“

— „Dobrze robisz, mój synu!—na to mu Todoska—
Uciekaj, jeśli pragniesz aby Matka Boska,
Wszyscy Święci i Chrystus Pan nasz, a Syn Boży,
Mieli cię w swęj opiece. Ale to mię trwoży,
Ze Olana do ciebie czepia się bezwstydnie:
O niej jakoś źle mówią, a i mąż ohydnie
Bije ją słyszę, często. Prawda, że i on wart licha,
Ladaco, pijak straszny, więc żonę odpycha
Od siebie brudnem życiem: jednak zawsze żona
Raz mu wierność przysiągłszy, raz z nim połączona,
Może się brzydzić męża życiem niepocziwem,
Lecz być zawsze mu wierną, i okiem zwodliwem
Nie przywabiać do siebie płochych chłopców roje.

Synu mój! ja o ciebie chociaż się nie boje,
Abyś się dał jej zwabić, jednak cię ostrzegam
Miej się bacznie; bo myślą kiedy w świat wybiegam,
I widzę okiem wspomnień co się na nim dzieje:
Mimowolnie się trwożę i sercem truchleje,
By wyzuta z niewieściej sromoty kobieta
Nie jęła się, (a taka wszystkiego się chwyta)
Jakich czarów, znachorek i nieczystej siły,
By przez nie dla niej k' woli służył chłopiec miły.“

Na to Ulas:— „Mateczko! gołabeczko moja,
Twoja przestroga święta, i modlitwa twoja
Której Matka Najświętsza z Chrystusem wysłucha,
Osłonią mię przed siłą nieczystego ducha
I ponętą zwodniczy; nie trwoż się więc darmo,
Nie patrz w jutro z bojaźnią, ani troską marną
Nie spędzaj snu z swych oczu.“ A matka: „mój
synu!

Młodość bujność: zaś bujność nie idzie do czynu
Godnego oka świętych, bo aby zasłużyć
Opieki Pana Boga, trza to życie pluć
Nie w hulkach, nie w tryndulkach, ale w twardej
prace,

Bo bez pracy, mój synu, nie będą kołacze.
Uważajże: czy życie jakie dotąd wiedziesz,
Jest życiem pracowitem? W domu nie posiedzisz,
Ale gdy ledwo ranek w okienku zaświta,
Ty konika dosiadasz, i niby do żyta,
Do pola, robotników niby dojrzyć spieszysz,
A w rzeczy: bujasz w stepach, z wiatrami się cie-
szysz.

Wieczorem, gdy za ledwo słońeczko zalegnie,
 Mój Ulas niby robót dojrzeć w pole biegnie;
 A w rzeczy: gdzie wesele, gdzie skoki, ulice,
 Gdzie hulaszczą drużyna, lub gdzie wieczornice,
 Tam się znajdzie najpewniej. Jednakże mój synu!
 Słyszałeś pieśń o Hryciu, coto przez dziewczynę
 Zaległ w ciemnej mogile: pamiętasz ją przecie?
 Na niezabud' śpiewajmyż razem moje dziecko:

„Nie chodźno Hryciu
 Na te wieczornice;
 Bo na wieczornicach,
 Same czarownice,

Która dziewczyna hoża, czarnobrywa,
 To czarownica pewno sprawiedliwa.

Lecz Hryć nie słucha, na wieczory chodzi,
 Sam się bałamuci, dziewczęta uwodzi:
 Jedną przysięga, drugą wziąć przyrzeka,
 Potem od obietnic i przysięg ucieka.

Ale też zwodnik natrafił na swoją:
 Klął się jej, przysięgał, „ach będziesz ty moją“
 A gdy zawierzyło dziewczę obietnicy,
 Hryć i ją porzucił i znikł z okolicy.

Dziewczę rozżalona, a nie w ciemiej bita,
 Bierze dar i drogi do znachorki pyta:
 „Znachorko miła! dary ci przynoszę,
 Poradz mi w złej doli i pomóż mi proszę.

Pokochałam Hrycia co mię bałamucił,
 A jak zbałamucił, po swojemu rzucił;
 Terazze mi pomóż, niech Hrycia obaczę,
 I niż jego zdrady, lepiej śmierci płaczę.“

Znachorka w niedzielę ziela nakopała,
 W poniedziałek rano to ziele płukała,
 We wtorek do świtu w garnku gotowała,
 A we środę rano Hrycia czarowała;
 We czwartek w wieczor Hryć stał przed zwie-
 dzioną,

A w piątek Hrycia na cmentarz wieziono,
 W sobotę rankiem matka córkę biła
 „Na coś ty Hrycia życia pozbawiła?“

— Ach matko! matko! żal uwagi nie ma,
 Niechaj zwodnika ciężka porrze ziemia;
 Niechaj nie będzie ani mnie, ni innęj,
 Niech Hryć do ziemi przytuli się zimnej.

Zwiódł mię, niechajże klątw jego potęga.
 Pod czarną ziemią w piekle go dosięga;
 Zwiódł mię, niechajże innych już nie zwodzi,
 Niechaj smolę pije, w ogniach piekła brodzi.“

Ułas znał śpiew ten, ale nigdy jeszcze
 Ni taka trwoga, ni przecucia wieszce
 W myśl mu nie więzły, jako tój godziny,
 Gdy pieśń tę śpiewał rzewny, głos matczyny!
 Byłby zapłakał, lzy miał już gotowe,
 Wtém zaszczekały psy podwórzowe,
 Kogoś obcego zwiastując przed progiem.

Pobiegł. Przychodzień w odzieniu ubogiem,
 Ślepiec na ramię wsparty powodyra,
 Kosturem psy opędza, że torba i lira
 Po bokach się szamoczą. Zbliżył się do proga.
 Przesławił Chrystusa, święte Imię Boga
 I przyczystą Maryą i Świętych przyczynę.
 Potém wita gospodę, prosząc o gościnę.

Ułas uczon od matki, jak to mówią starzy:
 „Bóg do chaty przybywa kiedy gościa zdarzy“,
 Więc ochotnie lirnika do izby zaprasza,
 Sadzi go za stół, jadła, napitku przynasza,
 Prosi, częstuje czém chata bogata,
 Czcząc w swém gościu niedolę, i sędziwe lata.
 Powodyrowi także posiłku przysparza:
 U dobrego, gość i słudzy syci, gospodarza.

Starzec skrzepion posiłkiem, odmawia pacierze,
 Dziękuje gospodarzom; potem lirę bierze,
 Przerożne śpiewa pieśni wedle obyczaju:
 O przyczystej Dziewicy, świętym Mikołaju,
 Też o Jowie Zalisie, a idąc w pieśń z pieśni,
 Zagrzebał się wspomnieniem w ubiegłych lat
 pleśni,

Z pod której jakby z karty dziejów Ukrainy,
 Dzieje sławnych kozaków, i ich wodzów czyny
 Rozповідаł słuchaczom. Słuchacz go rozumiał,
 I słuchał, chociaż wiele sam tych pieśni umiał:
 Bo ucho syna stepów nie temu powolne,
 Kto nową pieśń przynosi, co w treści dowolne
 Krew burzy, myśli płacze, namiętności łechce:
 O! słuchać takiej pieśni syn stepów nie zeche!
 Ale gdy mu zaśpiewasz dumę dobrze znaną,
 Umianą jakby pacierz, codzień powtarzaną,
 Która mu opowiada coś o Ukrainie,
 O siczy, o kozactwie, lub o jakim czynie

Którego z atamanów: słuca sercem, duszą,
 Jego krew choćby skrzeplą jej tony poruszą,
 Jego oko łzom twarde, jednak łzą się skropi,
 Myśl tylko dziś widząca, jednak przeszłość stropi,
 Chęć do jutra nieskora wspomnieniami marzy,
 Zapal jego w pierś wdeptan wytryśnie na twarzy.

Lirnik śpiewał, a Ulas słuchał, słuchał, słuchał,
 To stygl krwią ściętą grozą, to ogniem wybuchał,
 To zęby mu zgrzytnęły od złości i gniewu,
 To płakał jakby dziecię. Gdy w odmianach śpiewu
 Lirnik chwilę podumał, a gdy Ulas chciały
 W lot pochwycił myśl starca: głos mężko rzewliwy,
 Zbiegając się z przegrywką z liry wydobytą,
 W taką pieśń biegł dowolnie słuchać chęć niesytą:

„W zielonym sadeczku kukulka kukala,
 Siwo-pióra kukuleczka prawdę powiadała:
 Wiosna przyszła: do pracy
 Spieszcie na sicz kozacy.

W zielonym sadeczku słowiczek zaśpiewał,
 Siwo-pióry słowiczek prawdę obwoływał:
 Wiosna przyszła: do pracy
 Spieszcie na sicz kozacy.

Wyleciały jaskuleczki z zimnych głębin wody,
 Rozpoczęły się do siczy kozackie pochody
 Bić Tatarstwo, mścić nad Krymem,
 Bisurmaństwo puszczać z dymem.

Od końskich tętniąc kopyt huczą stepów niwy,
 A nietylko od podkówek, lecz i od rzewliwych
 Głosów tych, co płaczą
 Nad sławą kozaczą...

Niejedna tam stara matka łkając żegna syna,
 Niejedna tam ze swym lubym żegna się dziewczyna,
 Niejedna tam czarnobrewa ręce załamała,
 Za swym bratem, za rodzonym gorzko zapłakała.

Ponad lasem, ponad ługiem, czarne kruki kraczą,
 Po Ukrainie sieroty nie w jednej wsi płaczą.
 W chmurach orły zabujały szeleszcząc skrzydłami,
 Poszli żwawo w Krym kozacy, dzwoniąc szabelkami.
 Poszli żwawo, a za niemi wzbiły się tumany:
 Oh! niejednen nie powróci z tamąd pożądany,
 Nie powróci; ale pomszczą jego krwi synowie,
 Czy bracia, czy też wnuki, czy wnuków wnukowie!
 Boto stare w Ukrainie ojców słowo dzwoni:

„Bodaj przepadł, kto do Krymu mścić się nie pogoni.“

Umilkł lirnik, Ułas się cały zaczerwienił,
Zbladł potem, i jak jaki święty obraz mienił;
Płomieniem krew go pali, wstyd bije do oka,
Za serce ciśnie boleść dotkliwa, głęboka,
Myśli kipią gorące, w uszach dzwonem dzwoni:

„Bodaj przepadł, kto do Krymu mścić się nie pogoni.“

PIEŚŃ 4ta.

W futorze Morozychy od samego rana,
Kumoszki chleby pieką, gotują obiady;
Sama téż Morozycha krząta sturbowana
Zwykłemi przyborami, do tłumnej biesiady.

Czyto obiad za duszę sławnego Moroza,
Który zginął tak marnie w rękach Tatarzyna,
A tak dzielnie przewodził hufcom Zaporozża,
Że go na wieki wieków świat nie zapomina?
Czy może tylko bankiet po woli Ułasa,
Jednym jednego syna z Moroza, Todoski,
Któremu młodej twarzy niknie czegoś krasa,
Czarne oczy zsmutniały od tajemnej troski?
Oj! nie za pokój duszy to obiad Moroza,
Który zginął tak marnie w rękach Tatarzyna,
A dzielnie tak przewodził hufcom Zaporozża,
Że go na wieki wieków świat nie zapomina:
Bo on zginął w jesieni, a od lat już mnogich,
Raz do roku w rocznicę śmierci męża swego,
Morozycha gotuje obiad dla ubogich,
A dziady jedzą szepcząc pacierz za zmarłego.

Dzisiaj biesiada weselsza, bo i miód sycono,
Gorzalki choć się kąpij, i piwa trzy beczki,
Karmiony wieprz zabity, cielice zarzniono,
Cztery indyki, prosiąt czworo, dwie owieczki;
A co kur, gęsi, kaczek, to i zliczyć trudno,
Co kołaczów z białego jakby słońce ciasta!
A chcą, znać bankietować nie smutno, nie nudno,
Bo dobornych muzyków przywieźli aż z miasta.
Dobrodziej z dobrodziejką także zaproszeni,
I gromada z całymi swojemi semjami;
Dla sędziwych świetlice, a dla młodszych sieni,
By starszym młódź rozmowy nie psuła tańcami.
Tylko się-no my sprawy, by nie powiedziano
O nas babach, że chociaż wszystkiego dostatek,
Choć wszystkiego przydbano, ale nie umiano
W smak zgotować, i naszych nie łajano matek.

Tak gwarzyły kumoszki przy ogniach i garnkach
 Ogromnych jakby studnie, a wrzących z klekotem.
 Oskomisty z nich zapach rozległ się po jarkach
 Przyległych futorowi, z których poza płotem
 Powyłaziwszy chłopcy z sąsiedniego siola,
 Slinkę tylko łykają, i patrząc lakomie
 Na kumoszki i garnki, hołota wesola,
 Figielkami dziecinnęj schlebiali oskomie.

W świetlicy Morozycha stół długi dębowy
 Nakrywa skatyrkami białymi jak śniegi;
 Rozstawia flaszki, czarki, chleb sitny, razowy,
 Sól, kołacze, i łyżki wysuwa na brzegi.
 Ku południu gotowo wszystko do biesiady
 I goście przybywają zasiadając ławy,
 I wszystkiemi ścieżkami ściąągają się dziady,
 Muzyki skrzypki stroją i gotowe stawy:
 Czekają tylko jeszcze patrząc w szlak od siola,
 Rychło ojciec dobrodziej ściągnie z dobrodziejką.
 Wszystkich twarze wesole, rozjaśnione czoła,
 Jednej tylko Todosce czegoś w oczach dziko:
 Śmieje się wprawdzie ona, i wesolą twarzą
 Przyjmuje swoich gości sercem, jak na dłoni;
 Jednak ludzie coś widzą, coś w skrytości gwarzą,
 Że myśl wdowy stroskana poza domem goni.
 Chociaż nic w tym dziwnego: przybor do biesiady,
 I pamiętać o wszystkiem, by było do syta,
 A na wstyd nie narazić, samęj ciężka rada.
 Ułasa zaś gdzieś nie ma od samego świta.
 Chłopcu coś się zrobiło od jakiegoś czasu:
 Dawniej tak był wesoly, hulaszczy, ochoczy,
 Teraz albo samotny ucieka do lasu,
 Albo w step pędzi koniem: jakaś myśl go tłoczy.
 Spać nie może, pomarniał w sobie, i na twarzy,
 Czarne oczy zapadły gdzieś w czoło głęboko,
 A jednak na chorobę żadną się nie skarży,
 Lecz widzi tę chorobę czule matki oko.

Pytany, nic nie mówi, tylko czasem wzdycha,
 A pogląda na matkę z żalem i tęsknotą;
 Ach! czy nie czarownica zadała mu licha?
 Boże, odwróć nieszczęście, czuwaj nad sierotą!

Wtém dobrodziej nadciągnął, Chrystusa przesła-
 wil,

Dobrodziejka w robronie na pokutiu siada,
 Dobrodziej świętą wodą jadło błogosławił,
 W ręce Tytora przepił—zaczęta biesiada.

Dostatek w ugoszczeniu tak starych jak młodych,
 I uprzejmość Todoski, serca ku niej skłania.

Gdy więc gwarzą ochotnie, wtém z poza ogrodów,
Gdzieś z pola wiatr do izby taki śpiew przygania:

„Czy kozak tak pijany,
Czy tak zturbowany,
Że na siwą konia grzywę
Swą położył głowę?

Ani kozak pijany,
Ani zturbowany;
Choć na siwą konia grzywę
Swą położył głowę.

Głowę swą położył,
Mysła się zatrwożył:
Co się stanie, jak zostanie
Mój synek sierotą?

Podjechał pod wrota,
Gdzie z matką sierota
Zapłakany, rozespany,
Usnął kołysany.

Podbiegł ku dworowi
Wołę dał koniowi;
Zielonego dał mu siana,
I biegł ku synowi.
Staął, gdzie kołyska;
Łza mu z oczu tryska,
Pieśnią go zabawia,
Słowami przemawia:
Oj synuż mój synu! synu mój jedyny!
Oh! żalże mi cię porzucac téj smutnej godziny!

Kiedy wola Boża
Woła z Zaporoża,
Gonić hordy bisurmańskie do Czarnego morza.

Gdybym ztamtąd wrócił,
Ciebiebym nauczył
Jeździć koniem, hulać w stepach i wojować w Kry-
mie.

Ale jeśli zginę,
Wyrastaj mój synu!
Bądź kozakiem i po świecie rozślawiaj swe imie.

Ojca téż przypomnij,
I przyjeżdżaj do mnie;
Na mogile staniem mojej zarośniętej trawą,

Tam cię będę uczyć,
 Jak wrogom dokuczyć,
 Ojca pomścić i na świecie przeżyć wiek ze
 sławą,

Bywaj zdrów mój synu!
 Bywaj zdrów rodzony!
 Jak na wojnie zginę,
 Mów mu o mnie żono!

Ucz go chwalić Boga,
 I Chrystusa Pana,
 I Bogarodzicę,
 Przewyższoną Dziewicę.“

Śpiew bliższy był co chwila; rzewne jego tony
 Wprawiły w zadumanie biesiadników grono;
 Jedna matka i kilka dziewcząt głos poznały
 Ułasa. Ta westchnęła, tamte zcierwieniały
 Jak wiśnie przed Kupajłem; i gdyby kto na dnie
 Serc ich myśli poszukał, odgadnąłby snadnie:
 Tęj czułą troskę matki o niepokój syna;
 Tamtych:—ale któż zgadnie co myśli dziewczyna,
 Gdy chłopiec jak jagoda czekany, żądany,
 Nieśmiałym okiem w tłumie ludzi obszukany,
 Raptem znajdzie się blisko? Ułas wbiegł w podwórze,
 Postrzegł się, dał się rozejść czoła swego chmurze;
 Konia puścił na wolę, sam wszedł do świetlicy,
 Sławi naprzód Chrystusa, potem swój rodzicy
 Ucałował kolana; potem dobrodzieja
 I dobrodziejki rękę; potem się uwija,
 Aby starszym z gromady pokłon pozdrowienia
 Oddał wedle zwyczaju. Dopiero do sieni
 Rzeźwo wyskoczy, wita rowieśniki młode,
 I dziewcząt, coby rade na swoją urodę
 Obrócić zwrok Ułasa, zejść się z jego okiem;
 Lecz Ułas wszystkie razem jednym objął wzrokiem,
 I widząc, że muzyki strojni już czekają,
 Krzyknął: „grajcie muzyki!“ i muzyki grają.
 Ułas pierwszą, co z kraju, w taniec pod pas bierze,
 Wyskoczył z nią hołubca, tropaka uderza;
 Za nim młodzież ochocza rażno idzie w skoki,
 Krzeszą głośno w podkówki, biorą się pod boki,
 Skaczą sztuczne prysiudy, aż popatrzeć miło!

Tymczasem zaś w świetlicy różnie się gwarzyło:
 To o tem, to o owem, a piwo, miód, wino
 Krążą w czarach wokół i jak wodą płyną.
 To też żywa ochota przeciąga się snadnie:
 Jeść, pić dają do woli, i czego kto pragnie;
 A gościnną Todoska wesoło, serdecznie,

Daje, prosi, przynagła. A! bota niegrzecznie,
Gdy wszystkiego jest dosyć, a nie ma przynuki.

Późno już w noc zaszło: młodzież swoje sztuki,
Jakto młodzież zwyczajnie robi niezmeńczona:
Jeden Ułas coś ustał: twarz mu zaogniona
Zda się goreć wewnętrznym jakimś niepokojem.
Napróžno go dziewczęta otaczają kołem,
Wabią okiem, uśmiechem, przyśpiewką lub słowem:
Aż strudzone, znudzone, staraniem jałowem,
Wybiegają do tańca, by znowu za chwile
Choć ze smutnym Ułasem baraszkować mile.

Aż starsi to spostrzegli, więc zwą do świetlicy
Todoskę wraz z Ułasem, i takiej tęsknicy
O przyczynę pytają, by dać na to radę.
Ułas skraśniał w karmazyn, potem na twarz bladej
Jakby strugą łzy z oczu płynęły gorące,
Drżącą ręką przyciskał serce bardziej drżące
I milczał. Starsi widząc, że coś na złe ma się,
Nastają, aby potem nie było po czasie.
Więc i matka z ludzkimi łączy się głosami,
I dobrodziej namową, prośbą, to groźbami
Nastają i nastają; aż znać przekonany,
Przed matką, przed rodzoną, pada na kolana,
Całuje ręce, nogi, i takimi słowy
Przed wszystkimi powiada troski swojej głowy:

„Ach! matko, matko moja! gołąbko rodzona!
Niewdzięcznego ty syna karmiła u łona;
Otulalaś mię dzieckiem, by na twoje dziecie
Nawet zły wiatr nie powiał. Ty o całym świecie
Zapomniałaś dla syna, a on wzrosłszy w lata,
Nie usiedzi już w domu, bo się rwie do świata,
Tęskniąc duszą i sercem za kozacką sprawą,
Za szabelką, za spisą, za bojem i sławą.
Zmarniałem, bo mi ciągle w myślach, w sercu dzwoni:
„Bodaj przepadł, kto do Krymu mścić się nie pogoni.”

To słowo lirnikowe tak zrosło się ze mną,
Żem je wyrwać, zapomnieć starał nadaremno;
A do tego mój ojciec, co tam zginął marnie,
Co noc do mnie przychodzi i do siebie garnie,
Pokazując swe ciało, jakby jedną ranę,
A mówi: „Jam pokutnik, nieba nie dostanę,
Dopóki ty mój synu nie pomścisz krwi mojej.”

Ot i wszystko: a teraz matko rady twojej,
I waszej dobrodzieju i całej gromady,
Ja Moroza syn proszę, dawajcie mi rady.“

Ułas mówił, a matka ręce załamała,
 Oparła się o ścianę i jak martwa stała;
 Dobrodziej z dobrodziejką pochmurzyli twarze,
 Laskami milczkiem w ziemi dłubią gospodarze.
 Od sieni z poza progu głowami widnieją
 Rowiennicy Ułasa, odetchnąć nie śmieją,
 Aby słowa nie stracić z Ułasowej mowy;
 Tylko twarze im gorą, myślą płoną głowy.

Na uboczu dziewczęta w jedną kupkę zbite,
 Słuchając wędną sercem, leją lzy obfite,
 I palcem jedna drugiej wskazując Ułasa,
 Uważają, jak jemu zbladła liczka krasa,
 Jak usta słodko mówią, jak czarnemi oczy,
 To ogień duszy tryska, to łezka wyskoczy;
 I uszu nastawiają, co na to gromada?
 Bledniejąc od bojaźni, aby starszych rada
 Ułasa na kozactwo w Krym nie wyprawiła.

Ułas zamilkł, Todoska smutno przemówiła:
 „Synu mój! dziecię moje! ty ptaszyno miła!
 Jeszcześ był mi pod sercem, a już moje oczy
 Nieraz gorzko płakały, że gdy się przytoczy
 Słońce przed moje wrota, i w wolę Moroza,
 Męża mego, syna da mi łaska Boża,
 Ja ciebie jak gołąbka w gniazdeczku wypieszczę,
 Wyhoduję, wycackam, a dopóki jeszcze
 Nie dorośniesz w człowieka, będę mieć pociechę;
 Potem zaś przeczuwałam: że rodzinną strzechę
 Musisz rzucić, byś w siczy sławy się dobijał.

Bóg tobą mię obdarzył, ledwo rok ci mijał,
 Moroz ojciec twój w Krymie pochwycon w niewole,
 Mnie wdowią, a sierocą tobie wskazał dole.

Synu mój! Ach synu mój! jaż cię sama jedna
 Wykarmiła jak orle: cóżem matka biedna
 Nie zrobiła dla ciebie, cobym mogła zrobić,
 By tylko twego szczęścia, twój się doli dobić?
 Mysląc zawsze, że ty mię za moje kłopoty
 Nie zechcesz przy starości zostawić sieroty;
 Dlatego w gospodarstwie tak o wszystko dbała,
 Tak pilnie pracowałam, takem się starała,
 Takem się rozbijała jak ryba pod lodem,
 By tylko chociaż z pracą, i takim zachodem
 Urządzić go, by twoich gdy się rąk doczeka,
 Wszytsko było do woli prócz ptasiego mleka.

Za cóż więc chcesz mię rzucić starą, pracowaną,
 Cóżem ci zawiniła, że na skłopotaną

Głowę twęj matki rzucasz sieroctwa kamieniem?
 Synu mój!" Wtém Todosce trysnęły strumieniem
 Łzy z oczu, a za lkaniem gdy niktęły słowa,
 Płaczem wkoło zawodzi drużyna godowa.
 Dobrodziej z dobrodziejką łzy w chustki zbierają,
 Starcom głową schylonym na ziemię kapają;
 Niewiasty starsze głośnym płaczem się zachodzą,
 Dziewczęta płaczą chłypiąc: co tkliwsze zawodzą
 Takim głosem i jękiem, jak gdyby rodzony
 Brat lub ojciec, w dalekie gdzie wychodził strony.
 Młodzież tylko rowiesna z Ułasem nie płacze,
 Choć twarze posmutniały, i chociaż kołacze
 W każdym serce, gdy wspomni: że i jemu blisko
 Ta chwila, w której trzeba porzucić siedlisko
 Rodzime, by kozakiem idąc w Zaporozę,
 Pożegnać ojca, matkę i dziewczęta hoże.

Jednej tylko w gromadzie niewiast nieproszonych,
 Więc za oknem stojących, w oczach zaiskrzonych,
 Czy gniewem, czy też żalem, świeciły złowieszcze
 Promienie jakiejś myśli: co to z serca jeszcze
 Nie wybiegły w świat czynem, słowem, albo pieśnią,
 Coto snią się w podumkach i może się prześnią
 Bez śladu, bez wspomnienia: ale gdy się zmieniają
 W czyn, w słowo, czy w pieśń tylko, by wyjść ponad
 I staną się głośniami, szeroko, daleko.

Niewiastą taką była Pawła Seńka żona,
 Olana po imieniu, od ludzi wzgardzona
 Za to: że czarne oczy i swoją urodę,
 Białą twarz jak krew z mlekiem, swoje lata młode,
 Raz oddawszy Pawłowi, zwodzi go, i chętnie
 Na młodych chłopców patrzy, lubiąc namiejętnie
 Chichy, śmiechy, swawole, chłopców zalecanki,
 Ulice, wieczornice, pod karczmą hulanki:
 Słowem wszędzie gdzie tylko rój chłopców zebrany,
 Tam Olana rej wiedzie, tam szukaj Olany.
 A choć mąż Pawło Seńko nad niewiarą żony
 Nieraz gorzko zapłacze, albo zrozpaczony,
 Że niewierną zbyt kocha, w karczmie się upije,
 Potem idzie do domu i żonę wybije;
 Ale co już pomoże takiej białogłowie?
 Książd swoje, diabeł swoje, jak mówi przysłowie.
 A jednak rzecz ciekawa, choć Olana płocha
 Lubi się gzić z chłopcami, żadnego nie kocha
 Tak, by ludzie to mogli zarzucić dowodnie,
 Że oddana rozpuszcie, że żyje niegodnie;

Nawet chłopcy, co chciwie za Olanką sledzą,
 Nieraz gniewni, że drwi z nich; o żadnym nie wiedzą
 Szczęśliwszym między sobą: mówią tylko czasem,
 Ze Olanka radaby nieraz gzić z Ułasem.
 Ale Ułas tak chętny do każdej hulanki
 Znać z woli swojej matki, unika Olanki.
 O! bo matka Ułasa to taka surowa,
 Że przy niej trzeba same dobre ważyć słowa,
 By ją płochem nie zrazić; więc takiej kobiecie,
 Jak Olana, zapewne nie da swoje dziecko
 Na pastwę jej zalotów: przez to to jedynie
 Todoska ją nie zwała do siebie w gościnę.

Lecz ona choć markotna, pobiegła z innymi,
 By stanąć pod oknami z niezaproszonymi,
 I widzieć jak się bawią, jak, z kim, kto tańczy.
 Tak przestała dzień cały: a gdy się wpatruje
 Gdzie Ułas się obraca, widziała, słyszała,
 Co mówił, co mu potem matka powiedziała;
 Patrząc w niego, by w tęczę, okiem zaiskrzonym,
 Sama nie wie jak począć z sercem rozżalonym,
 Co tysiące w niej myśli budzi i roznieca,
 A każda błyskawicą w jej oczach przyswieca:
 Raz boleścią rozpaczy, raz złością goreje,
 To znów jakieś dalekie przebłyska nadzieje.
 Tak bijąc się z myślami bardzo jest ciekawą,
 Jak osądzi gromada, jak skończą z tą sprawą
 Między matką i synem? Sercem modli Boga,
 By sąd starszych Ułasa przywiązał do proga
 Rodzimęj jego chaty. Tak jedną z Todoską,
 Chociaż ją nienawidzi, rozdziela się troską.

Wtém pan ojciec dobrodziej pierwszy się odzywa:
 „Słuchajcie mię panowie gromada! Szczęśliwa
 Taka matka, i chatka, i taka rodzina,
 Której Bóg tak dobrego jak Ułas da syna:
 Boga się boi, matkę, jak widzim szanuje,
 Stateczny i piśmienny; a że w sobie czuje
 Ochotę do rycerki, ha! to nic dziwnego!
 Młodość bujność, a bujność durność: więc dlatego
 Trzeba naprzód Todosce za duszę Moroza
 Odprawić nabożeństwo. Niechaj chwała Boża
 Będzie zawsze najpierwszą, aby i tej duszy
 Wieczny w niebie dał pokój, i może się wzruszy
 Modlitwą naszą, dając inne nowe myśli
 Młodej głowie Ułasa; a my jak tu przyszli
 Tak i pójdźmy do domów, bo już i spać pora.“
 „Oj! tak, tak dobrodziej! zabrzmiał głos Tytora:
 Młodość bujność, a bujność durność: święte słowo!“
 I Tytor dłubiąc w ziemi pałką, kiwał głową.

PIEŚŃ 5ta.

Radzie starszych i matki chęciom syn powolny,
 Nie rwał się Ułas więcej do bojów, do wojny;
 A twardej konieczności poddawszy swą wolę,
 Siał hreczkę, pasł tabuny i uprawiał rolę.
 Przy pracy myśl rzeźwieje, a choć czasem skrycie
 Westchnie gdzieś do kozactwa; jednak należycie
 Prowadzi gospodarstwo, i w domu weselszy:
 Tylko coś do hulank jak dawniej mniej śmielszy.

Tak upłynął rok cały, ale drugiej wiosny
 Rozległ się w Ukrainie głos straszny, żaloszny:
 Niegdyś Stefan Batory okiem miłościwem
 Wejrzał w sprawy kozacze i sercem życzliwem
 Ocenwszy zasługi ochoczój drużyny,
 Przyznał tytuł hetmana wodzom Ukrainy.
 W czém hramoty wysokie i święte na wieki
 Słał w Bożą Ukrainę, by ten kraj daleki
 Od stolicy królewskiej, rządzon od hetmanów,
 Odkłonił samowolstwa rozbujających panów
 Staręj Polski i Litwy; by jego przewagą
 Wnieść do Polski i Litwy królewską powagę,
 Wyższą woli magnatów i rycerskie spory.

Z hramotą miłościwą król Stefan Batory
 Istny ojciec kozactwa, słał i inne dary:
 Buńczuki, z królewskimi orłami sztandary,
 Pieczęć wojskową, złotą hetmańską buławę,
 Klejnotami sadzoną. I urządził sprawę
 Wojska Zaporozkiego; w pulki go dzielili
 Urządzenia królewskie, a pulki te były:
 Czeheryński, Korsuński, Umański, Czerkaski,
 Kijowski, Ładyżyński, także Bohusławski.
 Pulki te siedm szeroko z prawej Dniepru strony
 Dostały step w posiadłość okiem nieścigniony.
 Kraj od Dniepru do Bohu, i znów od Prypeci
 Po biegu Teterowa, aż po brzeg gdzie świeci
 Szyba morza Czarnego. A miały w sąsiadach:
 Poza Bohem Podole, coto całe w sadach,
 Gęstemi sioły śliczną osiadło ziemice,
 Dającą nie klejnoty, złoto—lecz pszenicę
 Nad wszystkie skarby droższą; dalej Pobereże,
 O którym powiedziano: „Ze go bacznie strzeże
 Bóg ciemnoty;” a dalej: łany stepów, morze.
 Z Podola w górę Wołyn, kraj obfity w zboże,
 Lecz nie w cnoty i statek: jakoż i przysłowie
 O Wołyniu tak głosi w staręj lackiej mowie:

„Gdy Bóg wszechmocną ręką Wołyn zarysował,
Anioł cnoty i statku, gdzieś się w kącie był schował.”
Za Wołyniem znów w górę owruckie Polesie
Osiadłe szlachtą; o niej jéjże gadka niesie:

„Jeden lyczak, drugi bót
Jestem szlachcic dalibóg”.

Za Dnieprem znowu pierwszy pułk Perejasławski,
Drugi pułk Mirhorodzki, a trzeci Poltawski.
Tych dzielnice z ujęsć Soży, ponad Oką, Donem,
Ku Krymowi zwracają, i stepów swych lonem
Dotknęły Perekopu, aż znów Czarnem morzem
Połączyły się z starym Dnieprem, z Zaporozem.
Każdy pułk miał chorągiew, do niej chorążego,
Swojego essaulę, pisarza, sędziego,
I zostawał pod wodzą swego pułkownika.
Tę przy boku hetmana, jako naczelnika,
Był sędzia, essaula i pisarz wojskowy,
Oboźny i chorąży; a każdy takowy
Był zwany generalnym. Za to Ukraina
Winną była strzedz Polskę od najść Tatarzyna,
A wierną być królowi, tak, jakby przez króla
W rozkazach danych była Pana Boga wola.

Takimito darami kozactwo wzmożone,
Rozniosło swoją sławę w różną świata stronę:
Znała je Ruś wolżańska, pskowska, nowogorodzka,
Drżała przed niem potęga krymska, carogrodzka:
Gdzie waleczne kozactwo pod swemi hetmany,
Wiekopomnym Bohdankiem, co Różnym nazwany,
Zborowskim zawołką, sławnym Morozenkiem,
Ta Fedorem Beźrodnym, z odważnym Harlenkiem
Zabiegali po zemstę i zdobycz. Tymczasem
Nowy król gdzieś chowany za morzem, za lasem,
Nie wchodząc co jak było, ale podbechtany
Przez chytne Jezuity, i przez lackie pany;
Więc dał uniwersał: by na Zaporozie
Przyborów wojowniczych nie wozic, broń Boże!
Chcąc w ten sposób bezbronne kozactwo przydusić,
Rozproszyć go, zniweczyć, do poddaństwa zmusić:
By rycerstwo zamienić na lud pospolity,
By bezpieczne brodzili po nim Jezuity.

O tych uniwersałach wieści błyskawicą
Przebiegłszy ponad całą kozactwa ziemcią,
Jedni się oprzec radzą, drudzy zapłakali:
Znać wszystkie przysze kłeski z tego przeczuwali.
Ta też wieść do futoru Todoski dobiegła
Przez starego lirnika, i kamieniem legła

Na sercu Ułasowem: lirnik znać umyślnie
 Chęć w niego do kozactwa w skazkach, w dumach ciśnie.
 Jakoż gdy wieczór przyjdzie, on lirę wystraja,
 Śpiewa o Matce Boskiej, śpiewa Mikołaja;
 A potem ot tak, jakoś zcicha, pomaleńku,
 Zaśpiewa co o Różnym, lub o Morozenku,
 Ta o innych hetmanach; a gdy Ułas słucha,
 On mu niby niechęć położy do ucha
 Jakąś skazkę, a częściej pieśń taką, że oczy
 Łzą mu płyną, a serce mało nie wyskoczy.
 Ot naprzykład: o dzielnym Fedorze Bezrodnym,
 Co jeszcze pod Bohdankiem walczył, i był godnym
 Nosić jego buławę, kiedy po Zboroskim
 Na hetmaństwo wybrany w wojsku zaporoskim.
 O nimto stary lirnik, gdy się Ułas zlewał
 Kipiátkiem krwi swój w sercu, taką dumę śpiewał:

„Nad zalewem dniewowym
 Młody kozak obiada; ani myśli, ani czuje,
 Że na niego młodego bięda następuje.

Wiatr powiał, a w lugu wierzby zaszumiały,
 Jak Moskale nalecieli,
 Fedora Bezrodnego, atamana kurenego
 Postrzelali, porąbali, ale sługi nie złapali.

Służka więc do kozaka przybywa,
 Rany jemu głębokie przemywa;
 Do niego się kozak odzywa:

„Młody ciuro! wierny sługo!
 Ponad Dniepru pójdz ty lugiem,
 Posłuchaj, czy to gęsi gędzą?
 Czy łabędzie jęczą?
 Czy Moskale tętnią? czy może kozacy idą?

Jeśli gęsi gędzą, albo łabędzie jęczą, to spędz;
 Jeśli Moskale tętnią, to mnie schowaj;
 Jeśli kozacy idą, powiedz o mnie im,
 Niechaj oni czołna do brzegu zwracają,
 Mnie Fedora Bezrodnego niech odwiedzają.“

Więc młody ciura brzegiem przebiega,
 Kozaków postrzega, czapką się kłania, słowy prze-
 mawia,
 I o przygodzie Fedora Bezrodnego objawia.

Gdy kozacy to usłyszeli,
 Do atamana Fedora Bezrodnego prędko przybieżeli;

Wtedy kozak młody sługę swego chwali, słowy przemawia:

„Młody ciuro, wierny sługo!
Jak będziesz zawsze wierny,
Szanować ciebie będą kozacy,
Poważać ciebie będą ludzie,
I Bóg miłosierny dobrem cię nadarzy.”

Tak przemawiał, ze wszystkiemi się żegnał,
Miłosiernemu Bogu duszę oddawał.

Wtedy kozacy szablami suchodół kopali,
Czapkami, połami, ziemię wybierali,
Fedora Bezrodneho chowali,
W piszczalki siedmio-piędnie grali,
W surmy żałośnie surmieli.
Otóż to dobrze kozacka głowa wiedziała,
Ze bez wojska kozackiego nie umierała.”

Ulas schnie od tęsknoty za kozacką sprawą,
Za zemstą swego ojca, za bojem, za sławą,
Za obroną kozactwa. Todoska to widzi,
Więdnie sercem matczyném, z myślami się biedzi.
Zna ona, że Ulasa w domu nie utrzyma,
Zna gdzie on goni myślą, gdzie wodzi oczyma,
Czego pragnie; a jednak boi się godziny,
W której z domu wybiegnie w stępy Ukrainy:
Bo czyż wróci jak pójdzie, sławny i spokojny,
Czy może tylko o nim wieść przyniosą z wojny?

Ulas znowu jak orlę z pod skrzydeł orlicy,
Gdy już w pióra porośnie, gdy w bystrzej źrenicy
Z poza chmur się odbije daleka gwiazdeczka,
Porywa się do lotu, ucieka z gniazdeczka,
By pobując z chmurami, do gwiazdki dolecić
By z pod nieba dla ziemi nową gwiazdką świecić:
Nie chcąc matki kochanej pożegnaniem smuć,
Zamyśla ujść tajemnie, skrycie dom porzucić.
Zamiar ten lirnikowi staremu powiada.

Ten chmurny słucha, długo milczy, aż przysiada
Na kłodzie do pasieki zaniesionej drzewa;
Zadzwęczał smutno w lirę i taką pieśń śpiewa:

„Na Czarném morzu, na białej śród morza skale,
Smutny sokół żałośnie kwili, wykwila,
Chmurny siedzi, pilnie patrzy na morze Czarne, na
fale:
Ze na morzu Czarném niedobra powstaje chwila,

Że na niebie wszystkie się gwiazdy zaciemniły,
 Że pół księżycy chmury zasłoniły.

A z dołu bujny wiatr powiewa;
 Na Czarném morzu straszna burza się zrywa,
 I statki kozackie na trzy części rozrywa:
 Jedną część zanosi do agarskiego kraju,
 Drugą część w gardło zapędza Dunaju,
 A trzecią falami ryczącemi skrapia,
 W Czarném morzu zatapia.

Przy tej trzeciej części był Zboroski,
 Hetman zaporozki:
 Ten po okręcie chodzi,
 Rozkazuje i dowodzi:

„Ktoś z nas, panowie, ma grzech wielki na sobie,
 Kiedy taka napadła burza nas w tej dobie;
 Spowiadajcież się panowie Bogu miłosiernemu,
 Morzu Czarnemu, i mnie atamanowi koszowemu.
 Grzeszny niech ginie w morza Czarnego głębinie,
 Niech przez jednego, wojsko kozackie nie ginie”.

To kozacy gdy usłyszeli,
 Do grzechów się nie czuli, więc wszyscy milczeli:
 Jeden tylko odezwał się kozak rejestrowy,
 Popowicz Piratyński Oleksiej, pisarz wojskowy:

„Dobrze wy bracia zrobicie,
 Gdy mnie jednego do morza rzucicie;
 Oczy czarną kitajką zawiążcie
 I w morze Czarne zepchnijcie, pogrążcie.
 Niech jeden ginę w morskiej głębinie,
 Niech za mnie całe wojsko kozackie nie ginie.“

To Kozacy gdy usłyszeli,
 Do Popowicza Aleksia mówić poczęli:
 „Tyż święte pismo do rąk bierzesz, czytujesz,
 Nas prostych ludzi od złych spraw ujmujesz,
 Dobra nauczasz: jakże być może,
 Byśmy cię jak grzeszniejszego od nas rzucali
 w morze?”

„Chociaż święte pismo w ręce biore, czytuje,
 Was prostych ludzi od złych spraw ujmuje,
 Dobra nauczam; ale bywało,
 Że i mnie samemu źle się poczynało.

Gdy z miasta Piratyna wyjeżdżałem,
 Od pana ojca i pani matki błogosławieństwa nie
 brałem,
 Na starszego brata gniew wielki w sercu chowałem;

Sąsiadów pozbawiałem darmo chleba, soli,
Po ulicach rozjeżdżałem koniem, ze swawoli
Stare wdowy, małe dzieci, trącając w piersi strze-
mieniem;

Cerkwi, domu bożego, nie czciłem uczczeniem,
Nie zdejmowałem czapki; krzyża na sobie nie kła-
dłem:

Otóż panowie! za grzech ten na wieki przepadłem,
Boto panowie, po morzu niezła buntuje się fala:
To mię ojcowskie i matczyne przekleństwo obala.

Oh! gdyby mię dziś w tej burzy śmierć nie nachodziła,
Gdyby jeszcze mię matczyzna modlitwa zbawiła,
Umiałbym pana ojca i panią matkę szanować,
Umiałbym starszemu bratu jak ojcu cześć chować,
I młodszą siostrę jak matkę rodziną miłować;
Umiałbym wdów i sierot złą osładzać dołę,
Przed cerkwią, domem bożym, święty krzyż na czole
Odslonionem, schylonem aż do samej ziemi,
Kłaść i słać Chrystusa przed ludźmi wszystkimi.“

Jak zaczął Oleksiej z grzechów się spowiadać,
Zaczął na Czarnem morzu zły wichur opadać;
Czołna kozackie do góry jakby ręką podnosiło,
Do Tentrowego Ostrowia dziwną przybijali siłą:
To wszyscy się kozacy dziwowali dziwem,
Ze chociaż już tonęli na morzu burzliwem,
A jednak wyszli cało z tej tak strasznej chwili,
I żadnego kozaka z wojska nie stracili.

Otóż tedy Popowicz Oleksiej z okrętu wychodzi,
Pismo święte wziął do rąk, czyta i dowodzi
Prostym ludziom, a wszystkich na dobre podmawia,
I takimi do kozaków słowami przemawia:

„Otóż uważajcie panowie, dlaczego
Wypada cześć matkę i ojca swojego:
Bo który człowiek tak robi,
Na całe życie szczęście dla siebie sposobi.
Śmiertelny miecz tego ominie,
Modlitwą ojca, matki z dna morskiego spłynie.
Ona od grzechów śmiertelnych wybawi,
Na wojnie i na morzu pomocą się stawi.“

Todoska z poza płotu słuchała tej dumy,
I sercem wszystko zgadła. O! wszystkie rozumy
Nieprędzej treść zbadają spowitą słowami,
Jak matki, myśl swych dzieci odgadną sercami.
Wysłuchawszy pobiegła do swojej komory,
Bierze kaptur, namiotkę, i inne przybory

Niewieściego ubrania, jakto: białą świtę,
 Na koszulę bielejszą w polyki wyszytę;
 Czerczatym pasem w stanie ujmuję spodnicę
 Cycową, farb ciemnawych; fartuch, zausznice,
 Kilka sznurków koralu po szyi zasnęła,
 Jak w karmazyn maczane buciki ozuła,
 I przed malém lusterkiem chustką starłszy czoło,
 Wybiegła z chaty ścieżką prowadzącą w siolo.
 We wsi prosto do cerkwi, a tam poklonami,
 Żegnaniem się, modlitwą, westchnieniami, łzami,
 Namodliwszy się w wolę, poszła drżącym krokiem
 Do domu dobrodzieja, z kąd już dobrym zmrokiem
 Powróciła na futor. Czeladź zadziwiona,
 Że wróciwszy nie pyta: czy krowy dojone,
 Czy wszystko jak potrzeba w domu i na dworze,
 W toku, w sadzie, w ogrodzie, w pasiece, w oborze,
 Jak to zawsze bywało, wierzy i nie wierzy
 Sama sobie; więc milczkiem skończywszy wieczerzy,
 Rozchodzi się jak zwykła do swych miejsc nocować,
 By i spocząć po pracy, i od szkód pilnować.

A gdy już sama tylko z synem i lirnikiem
 Morozycha została, rzekła: „Liczę likiem
 Lata twoje, mój synu, i widzę to teraz,
 O czém w twojem dzieciństwie przemarzyłam nieraz:
 Że już przyszła dla ciebie ta wielka godzina,
 Gdy ja wdowa Moroza, ciebie jego syna,
 Jak młode orlę z gniazda w świat wyprawić muszę,
 Po sławę, doświadczenie—może po katuszę,
 Po kalectwo, śmierć nawet w dzikim ręku wroga.
 Lecz cóż robić, niechaj się dzieje wola Boga!
 Bo, jak mówi przysłowie: bykiem bujnym, młodym,
 I niwy nie zaorzysz, i będziesz miał szkodę,
 Gdy ci pląg jarzmo złamie; a pisklę orłowe,
 Choć go z gniazda zabierzesz pod strzechę domową
 Nie wyrośnie w gołębia. Ja to zmiarkowałam
 Zaraz taki, gdy ciebie w domu zatrzymałam
 Przeszłej wiosny: że tobie w młode twoje lata
 Nie siedzieć w domu, ale trzeba poznać świata;
 Trzeba, abys mój synu, ty hetmańskie dziecię,
 Jak ojciec imię swoje rozślawił po świecie.
 Inaczéj być nie może, boby lackie pany
 Powiedzieli ci kiedyś: żeś chłop, żeś poddany!

Synu mój, dziecię moje! ruszaj w imię Boże,
 Czy do pułków hetmańskich, czy na Zaporozie,
 Gdzie wola, ta ochota. Niechaj ci tam w sławie,
 W szczęściu, w zdrowiu wiek płynie: — ja ci bło-
 gosławie."

PIEŚŃ 6ta.

Ponad drogą, co środkiem całą wieś przecina,
 Ciągnie się kilka sążni częstokół dębowy,
 Przygięty, pogarbiony; po nim się rozpina
 Ostry powój, chmiel dziki; za temi wiśniowy
 Mały sadek, zielonym otaczając wiankiem
 Starą cerkiew, dom Boży. Nad trzy jej wieżycę
 Wybująły trzy krzyże, a poprzód jej gankiem
 Stoi bramka, na której wzniesiono dzwonnice.
 Wszystko to pochylone latami ku ziemi,
 Gęstemi podporami ujęte pod boki,
 Wygląda jak kaleka, co siły własnymi
 Niemogąc stać na nogach, wspiera drżące kroki
 Mylicami i laską. Za to, położenie
 Miejsca, na którym cerkiew, dom Boży wzniesiony,
 Piękniejsze jest nad wyraz: dalekie przestrzenie
 Widnieją ztąd na wszystkie okolice strony.

W środku wsi na rozdrożu, tuż przed cerkwią samą,
 Diabeł i swój przybytek, karczmę wybudował,
 Gdzie jakby smoczą paszczą wciąż otwartą bramą,
 Na przechodnia z żarłoczną chciwością czatował.
 We święto, w dzień niedzielny, w cerkwi i podwórzu
 Kupami starcy, męże, niewiasty i młodzież
 Czekają, aż dobrodziej zacznie służbę Bożą.
 Na wszystkich czysta, cała od-niedzielną odzież:
 A gdy dzwon jęknął, wszyscy krzyżem się żegnają:
 Starsi zwolna, poważnie, młodzież po swojemu,
 Do cerkwi biegnąc, jedni drugich wypędzają.
 W cerkwi biją pokłony, i jeśli któremu
 Wystarcza na ofiarę, zakupuje świecy,
 Niesie przed ikonostas, stawia przed obrazem
 Chrystusa Zbawiciela, lub Bogarodzicy,
 I którego ze świętych, albo wszystkich razem.
 Potém znowu stanąwszy przed carskimi wroty,
 Uderza czołem ziemię gęstemi pokłony,
 Oddając w nich cześć Bogu, i tym, których cnoty
 Wyniosły na królestwa Niebieskiego trony.

Przy końcu służby Bożej, dobrodziej, te chleby,
 Z których brał do najświętszej części ofiary,
 Połamawszy w kawałki w stosunku potrzeby,
 Rozdaje wszystkim wiernym tak nazwane dary.
 Todosce tylko zawsze, czasem Tytorowi,
 Całe dawał proskurki; znać ważył ich wiele:
 Tę, by uczcić po mężu dostojnym stan wdowi,
 Temu, aby zawdzięczyć posługi w kościele.

To zrana. A przez ten czas koło karczmy wrzaski
 Pijackie milkną; tylko żydziat, arędarki,
 Arędarza, krzykliwy gergot i drzwi trzaski,
 Zmieszane z kur gdakaniem, co gdzieś tam na garnki
 Zleciawszy z pieca straszne robią spustoszenia.
 Na ruinach żydostwo wznosi lament, krzyki,
 A ten gwarny harmider podnosi z podsienia
 Święgot wróbli, beczenie kóz i krowie ryki.
 Wszędzie zaś: w izbie, w sieniach plugawie i brudno:
 Jak zwyczajnie u żydów. Z południa dopiero
 W karczmie zawrzy jak w kotle: gwarliwie i ludno,
 I wesolo, gdy młodzi do tańców się biorą,
 Gdy muzyka ze skrzypką, z cymbalkami, z basem,
 Na stole się rozsiedą, pod nogi zagrają,
 Parobcy dziewcząt ujmą w stanie popod pasem,
 Tańcząc do upadłego; a tańcząc śpiewają
 Hulaszce kolomyjki, skoczno gozaka,
 Co to go, at tak, jakoś same tańczą nogi,
 A puszcza się w prysindy, a utną tropaka,
 Że aż okna zabrzączą, aż żydowskie bogi
 W pasiastych torbach, cicho nie mogą wytrzymać.
 Więc rzucają się z pulek do stóp arędarki,
 Która siedząc przy szafie musi wciąż się imać
 Garnca, kwarty, kwaterki, szklanki, flaszy, czarki,
 By kto, czego zażąda, miał na zawołanie.
 Za swój bowiem grosz miły, któżby chciał się nudzić
 Żydowskiem marudzeniem, i długiem czekaniem?
 To też nikt się nie leni arędarkę budzić
 Do czujności, a rychlej w żądaniach posługi,
 Hałasem, co go jeszcze niedobór słów dwoi.
 Ten chyba cichszy nieco, komu regestr długi
 Kredką w palki kreslony borgu w oczach stoi.

Pomiędzy krzyczącymi głośno i hałaśnie:

„Żydówko, dawaj wódki! a prędko psia wiaro!
 Znaj naszych! czy rozumiesz? Bo jasnie przygaśnie,
 Mospanie tu zostanie! Nie oszukuj miarą!
 Dolój! bo cię!... Niech tobie podechną bachury,
 Te niewiary, niechrzeźce, pyzate, kudlate,
 Bodaj ich diabli wzięli; a jeżeli które
 Zostanie na nasienie diabła!tko pejsate,
 Niech ludziom prędko służy, sprawiedliwie mierzy,
 Albo niechaj przepada!”—Byłto Paweł Seńko,
 Który chociaż wciąż pije, lecz na borg nie bierze,
 Gdyż ma zawsze grosiwo, bo z rzemiosłem w rękę
 Dzień jeden popracuje, parę butów zrobi,
 To podeszwy podrzuci, to przyszwy przyszyje,
 I już grosza na cały tydzień zasposobi.

Więc w karczmie potém siedzi, krzyczy, hula, pije,
 Częstując całém sercem kogo tylko złowi;
 Znając się zaś być wyższym nad pospólstwa stekiem,
 Zwykł ośmielać do siebie, każdemu więc mówi:

„Nie patrz, zem szewc, bądź ze mną, jak z prostym
 człowiekiem.“

I był w nim jeszcze jeden szczegół dość ciekawy,
 Że głowę miał jak kamień: nieraz dobrze pijany
 Łbem wybija drzwi z zawias, łamie stoły, ławy,
 Lub gdy w ścianę uderzy, to trzęsą się ściany.
 Nie dziw więc, że rej w karczmie nad wszystkiemi
 wodzi,

Gdy jeden dla częstunku, a drugi z bojaźni
 Wszem groźnego lba jego, łatwo się z nim godzi,
 I ni słowem, ni sprzeczką, ni oporem drażni.

Jak Seńko wśród pijących, tak w tańczących kole
 Żona jego Olana rej wiedzie: bo żadna
 Nie ma takiej ochoty na pogodnem czole,
 Ni drobniutko tak tańczy, ani tak jest ładna,
 Jak hulaszczka Olanka. W stanie też u pasa
 Jak garsteczka konopi: zda się, że przelamie.
 W twarzy jakby krew z mlekiem, taka kwitnie krasa
 Że choć obraz z niej maluj; a ręka, a ramie,
 A oczy, jakby węgle czarne i błyszczące;
 A hrwi niby aksamit w sznureczki pocięty,
 A usta jakby koral, a takie gorące,
 Że spaliłby się od nich nawet sam bezpięty.
 Kur jemu! ta pek jemu! niechaj w piekle siedzi!
 Chłopcy też za nią rojem, gdzie tylko ucieknie,
 Gdzie się nibyto schowa, każdy tak ją śledzi,
 Że innym, co to widzą, tylko ślinka cieknie.

Tak było, lecz już nie jest: bo chociaż Olana
 Po dawnemu jest ładna, pohoża, choć wody
 Z niej się napić, od chłopców jak dawniej szukana;
 Jednak coś się jej stało, czegoś już pogody
 W jej uśmiechu, w jej oczach nie widać jak dawniej,
 Nawet liezkiem zmarniała. A choć między ludzi
 Wyjdzie czasem, i z ludźmi nie jest jej zabawniej:
 Nudzi sobą, i tylko... że aż litość budzi.
 Co jej jest — nikt nie zgadnął: bo Olanka skryta,
 Tajemnicę swą umie zachować głęboko;
 Gdy zaś chce ją kto badać, kiedy ją kto pyta,
 Ona mu opowiada dowodnie, szeroko:
 Że dla niej z mężem Pawłem nie życie na świecie,
 Że się on nad nią znęca, że ją darmo bije,
 I temuto tak smutna. Jednak ludzie przecie

Wiedzą dawno, że mąż jej jak pil tak i pije,
 Ze Olana niewiele dawniej o to dbała.
 Postrzeżono to jednak, że codzien wieczorem,
 Jakby w pilnej potrzebie gdzieś za wieś biegala.
 Pod Todoski ją także widziano futorem,
 Jak charta, z którym Ulas najczęściej polował,
 Karmiąc chlebem, głaskała. Coby to znaczyło?
 Nikt nie wie i wywiedzieć nikt nie poprobował,
 Bo znano, że w futorze nikogo nie było,
 Za kimby mogła biegać. Ulas od miesiąca
 Gdzieś w stepy, w Zaporozże poszedł kozakować;
 Zresztą wszystkich Todoska z swęj służby wytręca,
 Kto się ważył na plochość i nie chce statkować.

Olana oprócz tego ambitna kobieta,
 Nie aby z kim przestaje; ona się nie równa
 Z takimi, coto tylko służą za najmita:
 Bo jak bądź jest szewcową, z domu bednarzówna.
 Ze śpiewów, jakie kiedyś, niby słowik głośny
 Gdzie stąpiła śpiewała, gdzie kogo się zdarzy
 Wabiąc niby sikorka: jeden śpiew żalсны
 Dziś ma ciągle na ustach, ciągle go powtarza:

„Przybądź, przybądź mój kochany!
 Dłużej czekać brak mi siły;
 Wypłakałamże ja moje czarne oczy,
 Wyglądając ciebie miły.

Jak daleko, w której stronie?
 Gdzie ty luby się obracasz?
 Ach! przyślej o sobie choćby z wiatrem wieści,
 Czemu dotąd nie powracasz?

Możesz luby gdzie utonął?
 Albo może w wojnie zginął?
 Przyśnij się gdyś zginął, a jeśliś utonął,
 Czemuś do mnie nie przyplynał?

Jabym ciebie polożyła
 W dół głęboko wykopany;
 I może u ludzi tobym wyprosiła,
 By nas razem pochowano.“

Jednej niedzieli od samego rana,
 W cerkwi się modli płacząca Olana;
 Szczególna hańba spotkała ją wczora:
 Poszła jak zwykle, smutna do futora
 Matki Ulasa, a wsparta na płocie
 Duma o dziwnej kozaczej ochocie

Latać po świecie, wtenczas, kiedy w domu
 Czy złe, czy dobre, podzielić jest komu;
 A zadumana, gdy księżyc przyświeca,
 Ani postrzegła jak postać kobieca
 Zbliżyła się ku niej, w oczy pilnie wgląda,
 Zapyta potem groźnie: czego żąda?
 Czego się włości tu popod futorem,
 O takiej dobie, tak późnym wieczorem?
 A nieczekając słowa zapytanęj,
 Psy nawołuje i szczuje Olanę.

Ta strachem zdjęta w parowy ucieka,
 Psy ją kaleczą, krew ranami ścieka,
 Rwą na niej odzież, że zaledwo szmaty
 Z świty, z spodnicy, przyniosła do chaty,
 Pytając siebie z boleści i troski:
 Za co poszczuta psami od Todoski?

W karczmie zaś tejże niedzieli od rana,
 Otacza Seńka jak on zgraja pijana;
 Sam Seńko chmurny, w stół kułakiem bije,
 Aż okna dźwięczą; a co w karczmie żyje,
 Trzęsie się przed nim. On klnie i zlorzecze,
 Że w piekle słyhać; wtém ktoś z kąta rzecze:
 „Słuchajno Seńku! nie hukaj tak bardzo,
 Bo są, co nawet i twym lbem nie wzgardzą.
 Jeżeliś pijany idź spać, lub siedź cicho,
 Gdyż tak dostaniesz, że cię porwie lichy”.

— „Kto to! a kto to! szuka ze mną sprawy?”—
 Zakrzyczał Seńko, wyskakując z ławy,
 I biegł do kąta zkąd go doszły słowa;
 Lecz kąt był próżny, tylko kozła głowa
 Łypiąc oczami, na Seńka patrzała.
 W Seńku od złości wszystka krew zawrzała,
 Więc prawie wściekły, w tył cofa się krokiem,
 Na kozłą głowę groźnym spojrzal okiem,
 Potém z rozpędem, z całej swojej mocy
 Łbem ją uderza. Łeb rozpękl i oczy
 Na wierzch wybiegły; ludzie się zbiegają,
 I kozłój głowy daremnie szukają.
 Nie ma jej—znikła, tylko Seńka ciało
 Czarne, spalone, na ziemi leżało.

Przez ługi, dąbrowy,
 Przez lasy, parowy,
 Przez głębokie jary,
 W zarośla, w czahary,
 Wśród żalu i strachu
 Do chatki bez dachu,
 Strudzona, splakana
 Przybiegła Olana.

Tam stara jak wieki,
Na czary, czy leki,
Rozbierała ziola.

Olana ją wola:

„Ach! Dimno, ciotuniu!

Rodzona matuniu!

Radziłaś mi nieraz,

Poradźże i teraz.

Daj ulgę w mój trosce,

Zemstę na Todosce:

Niech za moje bole

W serce ją ukolę.

Ot w węźle podarek,

I świeczki dogarek.

Coś mi rozkazała,

Bym z cerkwi zabrała:

Niech leci nad lasem,

Ulas aby czasem

Gdzie się nie zaczepił,

A nie jadł i nie pil.

Aż póki przedemną

Nie stanie w noc ciemną.

Nie prześni ją ze mną;

Aż nie zasmakuje,

Co jemu zgotuję,

Aż wypije wody,

U mojej gospody.

Niech wtenczas Todoska,

Złości się i troska,

Że jej miły synek,

Jak młody barwinek,

Uwity w wianeczku,

W moim ogródeczku

Na wieki zostanie,

Dla mnie, a nie dla niej.“

Na to stara rzecze:

„Darmo, nie uciecze,

Oto pokój Doniu!

Ulas na mym koniu

Jakim posłę za nim,

Za trzy dnie tu stanie.

Tylko sza, a cicho,

Boto nie śpi licho,

Gdyż i ja mam wrogów,

Lecz przytrę im rogów.

O! przytrę, niech wiedzą,

O kogo się biedzą,

Że z Dimną nie żarty.
 A choć wróg uparty
 Ciągłe mi dokucza;
 Lecz ja go nauczę.
 Mniejsza jak co będzie,
 Ja go znajdę wszędzie,
 Chyba że do czarta,
 Już Dimna niewarta.

O! i Morozycha,
 Niechaj dozna licha;
 Ona mną pomiata,
 Sądząc, że jej chata
 Kadzona, święcona,
 Więc niedostapiona.
 O! poczekaj suko!
 Będzie to nauką

Dla ciebie, gdy synek
 Morozów jedynak,
 Kochane twe dziecko
 Nie po sławę w świecie,
 Lecz po gry, hulanki,
 Pójdzie do Olanki.“

* * *

„Ot czyń ty tak, jak ja czynię,
 Kochaj żonę aby czyją:
 Czy księżniczkę, czy szlachciankę,
 Czy mieszczańkę, czy włościankę,
 Byle młoda, miła, hoża,
 Rozkwitała jakby róża;
 W oczach jasno jak w kryształu,
 I usteczka jak korale.

Nieprzystало dla kozaka,
 Kochać tylko aby jaka:
 Jak niemłoda, jak nieładna,
 Niezałotna i niezdradna,
 Diabła warta. Pókiś młody
 Na co ci te korowody,
 By do jednej się przyczepić,
 Dla niej nie spać, nie jeść, nie pić.

Lepsza niżli miłość długa
 Dzisiaj jedna, jutro druga:
 Dziś Jaryna, jutro Marta,
 A każda z nich czarta warta.

Nie wdawaj się z dziewczętami,
 Bo cię skąpią swemi łzami;
 A nie dadzą ci spokoju,
 Ani w siczy, ani w boju.

A tak lepiej żony cudze:
 Nie będziesz ty, będą drudzy:
 I jak batogiem w staw wody,
 Chluśniesz, nie ma znaku szkody.

Hop! hop! chłopcze i ja z wami,
 Z kozakami, z burlakami!
 Nie nie dbajmy, świat przed nami,
 A szukać nas będą same."

Tak wtórując w bandurkę wśród głośnych tropaków,
 Śpiewał kozak dorodny dla innych kozaków,
 Którzy jego hulaszczym otoczywszy kołem,
 Z nim razem i tańczyli i śpiewali społem.

Między niemi był jeden, któremu twarz biała,
 Od słońca stepowego jeszcze nie zezerniała:
 Zwano go Skalozubem. Takie zaś przezwiska
 Przyniósł z sobą do sicy ze swego siedliska,
 Bo ci, co go tam znali, a w sicz uprzedzili,
 Dla śmiechu, dla drażnienia młodego mówili:
 Że Ulas tak do dziewcząt w domu ząbki skalil,
 Iż one go dla tego Skalozubem zwały.

Skalozub choć tak młody, choć zaledwo liczy
 Kilka tylko tygodni jako jest na sicy,
 A już nań obrócone wszej starszyny oczy.
 Bo téżto istotny diablik: tak zręczny, ochoczy,
 Że czy szablą wywija, czy konia dosiędzie,
 Czy po porohach Dniepru wiosłem czólno pędzi,
 Czy dzidą w pierścień godzi, czy strzela do celu,
 Równa się z najstarszemi; więc z pomiędzy wielu,
 Co z nim razem w sicz weszli, pierwszy był gotowym
 Bez długich korowodów zostać rejestrowym,
 Do Wernyhory przytém zaliczon seciny.

A w secinie tej dotąd nie było dzieciny,
 Ale sam kwiat kozactwa, doborny, wytrawny:
 Każdy jakiś kurennny, lub koszowy dawny.
 Sam Wernyhor o niego u starszyny prosił,
 I coś radził z starszynną, czegoś się unosił,
 Z przysięgami brał ziemię, palce nakrzyż składał
 Całując go; a póty dowodził i gadał,
 Dopóki Skalozuba w sotnie mu nie dano.
 To téż ten za opiekę tak niespodziewaną,
 Duszą i sercem przystał do swego sotnika:
 Sam Wernyhor sotennym został z pułkownika:
 A było chłop dorodny, wysmukły, barczysty,
 Twarz mocno ogorzałą zdobił zawieszisty
 Wąs złotawy, siwizną nieco popruszony,
 Oczy ogniem płonące kiedy był wzruszony.
 Mimo zaś, że pół wieku już tuż tuż dożywał,
 Wiecznie był wesół, śmiał się, hulał, tańczył, śpiewał,

I śpiewał tak do serca, tak przeróżne pieśni,
 Że słuchając ich człowiek rajem życie prześni.

To też chociaż zwykle go zwano Wernyhorem,
 Był jeszcze zwan słowikiem siczowym, znachorem,
 Wroźbitą, czarownikiem, lirnikiem, jak chcecie;
 A czy tak, albo owak, jakkolwiek nazwiecie,
 Nazwa ta doń przystanie jak gdyby przyklepił.
 Przytęm zaś piwa, miodu, wina, wódki nie pił,
 Lubił tylko melodye, i gdy jaką zoczy
 Młodą, ładną, to mało z skóry nie wyskoczy.
 Lecz czemu się nie żeni? jeśli go kto bada,
 On śmieje się i taką pieśnią odpowiada:

„Na cóż mi się żenić jeszcze, na co mi kukulkę
 Brać do domu na swą szyję, gdy mam przyjaciółkę?
 Hop hop, hopa pa!

Czyto już mój wiek tak stary, że mi na gwałt trzeba
 Zony, pierzyn, ciepłej chaty, lemieszki, nie chleba?
 Hop hop, hopa pa!

Ożenić się to nie z starą, ani też z pohaną,
 A tu ludzie jakoś mówią: chleb za chleb oddany.
 Hop hop, hopa pa!“

Raz Wernyhor z drużyną choć już północ mija,
 Weszło baraszkuje, tropaki wybija;
 Gdy wtém młody Skalozub, jakby go podwiało,
 Drży, blednie, i sam nie wie, coby się z nim stało.
 Woła więc na sotnika: „Oj ojczye sotniku!
 Poradz mi teraz proszę, bo mi szkoda wieku;
 Coś mi nudno na sercu, coś tak z ziemi zrywa,
 Jakbym ptakiem miał lecieć: doloż nieszczęśliwa!
 Oh! przypadłże ja teraz.“ Sotnik doń przyskoczył,
 Z zapasa dostał noża, kołem nim otoczył
 Młodego Skalozuba, i nóż wetknął w ziemię.
 Skalozub „pić, pić“ woła. „O diabelskie plemie!
 Krzyknął z gniewem Wernyhor, ta nie będzie tak!“
 Chleb, sól bierze, nad niemi robi krzyża znak,
 Nalał wody do flaszki, coś nad nią poszeptał,
 I wszystko to w pazuchę Skalozuba wdeptał,
 Mówiąc: „Pamiętaj synu! jeśli ci w tej drodze
 Głód z pragnieniem napadną, i dokuczają srodze,
 Weź krztę chleba, w sól umocz, zjedz i popij wodą;
 Gdy zaś staniesz na miejscu, na twoją twarz młodą
 Zarzucisz, ot tę chustkę jedwabiem utkaną,
 I świętymi słowami w okrąg popisaną.
 A nie zdejmuj jój z twarzy aż kogut zapieje,
 Wtenczas będziesz już wolny. Gdy się więc rozdnieje
 Zrób co chcesz z czarownicą: zabij, zkól, posiekaj,
I nie patrząc za siebie oo siły uciekaj:

Bo skoro się obejrzyś możesz ponieść szkodę;
 Lećże już ponad lasy, ponad góry, wodę,
 Niechaj cię Jezus Chrystus, z przeczystą Dziewicą
 I wszystkimi świętymi, osłania prawicą
 Sił Niebieskich." To mówiąc nóż w ziemię utknięty,
 Którego trzonek z rogu wyrobion w krzyż święty,
 Co rok trzykroć święcony, pomalu wyjmuje,
 Aż i młody Skalozub do góry wlatuje,
 Jakby orle miał skrzydła, i do swoich mówi:
 „Żegnam was mili bracia, bywajcie mi zdrowi!
 Ach! nudzi mię! ach pali! pić! pić,“ i w obłoku
 Wołając pić, pić, płynął daleko, wysoko.
 Gdy zaś i głos już zniknął, smutny Wernyhora
 Siedział milczkiem do rana, przez dzień do wieczora,
 Potem noc całą, potem jeszcze dobę drugą,
 Aż gdy trzecia noc przyszła, po północy długo
 Jeszcze był blady, drżący jakby strach nim miotał;
 Wtém nagle powstał, mocnym śmiechem zachichotał,
 I zawołał donośnym głosem do drużyny:
 „Tak u nas po kozacku: kozak z rodu, z miny!
 Aż lubię, tak się sprawił. Niech i w piekle znają:
 Że jeśli z Zaporozcem diabli sprawę mają,
 Kozak się nawet diabła choć straszny, nie boi,
 Nie cofnie się, nie schowa, lecz pola dostoi:
 Zczernijże i przepadaj widmo z diabłem razem!“

Tak przemówił Wernyhora i za tym wyrazem
 Świętym krzyżem się żegna, bandurkę porywa
 I z przygrywką hulaszczą, taką piosnkę śpiewa:

„Handziu, Handziu trzysta w mamę!
 Ja przez ciebie wpadłem w jamę;
 Oj, przez ciebie czarno-oką,
 Wpadłem w jamę tak głęboką.

Na co tobie Handziu było
 Rzechotać się z całą siłą?
 Ażeś się tak rzechotała,
 Biedys sama napytała.

Teraz sobie co chcesz śpiewaj,
 Czy się gniewaj, czy nie gniewaj,
 Ja kołyskę tylko zrobię,
 I z dukaczem przyślę tobie.

Kołysieczkę będziesz chytać,
 Drobne listy moje czytać;
 Ja cię niemi nie zasmucę,
 A jak zechcesz za rok wrócę.“

(Dokończenie nastąpi).

IKONOGRAFIA.

(CZĘŚĆ ARCHEOLOGII OGÓLNEJ)

O NIMBACH, AUREOLACH, GLORYACH I SYMBOLACH
ŚWIĘTYCH, UŻYWANYCH NA OBRAZACH.

Z ARCHEOLOGII OGÓLNEJ

Józefa Łepkowskiego

Członka Tow. Nauk. Krak. Wydz. Archeol.

(Dokończenie).

**Ubiory duchowieństwa, godła świeckie, symbole biblijne
Starego i Nowego Testamentu, obrazy biblijne. Uwagi
(według H. Ottego).**

Znajomość ubiorów świeckich właściwych rozmaitym epokom, jest nader ważną w archeologii; nie da się wszakże bez wyłączonego badania pomników i obrazów osiągnąć. Odsyłam do dzieła Gołębiowskiego traktującego o tym przedmiocie, jak również, jako wyborny pomocniczy środek do badania średniowiecznych strojów, można wskazać pisma: Hefnera, Engelhardta i Kuglera.

STROJE DUCHOWNE (1). W ubiorze kapłana należy zrobić różnicę pomiędzy jego prywatną suknią a kościelnym poświęcanym mszalnym przyborem: piérwszy składa się z długiéj, czarnej, z przodu aż do dołu zapiétéj sutanny (*vestis camisiatis*)

(1) Patrz dzieła: Duranda, Engelhardta, Gräsera, Lepsiusa i W. Gaya.

i okrągłego a później czworokątnego biretu; drugi zaś z następujących sześciu części: 1) *Amictus* (także *Humerale* albo *superhumerales*) podłużne czworoboczne białe prześcieradło, które około kołnierza sutanny założone i wstążkami na piersiach związane bywa; 2) *Alba* albo *dalmatica*, długa, biała, lniana koszula, która się wdziewa na sutannę; 3) *Cingulum*, wążka, biała opaska służąca do tego, ażeby albę wyżej bioder przywiązać; 4) *Stola* (*Orarium*) drugi wążki pas przez barki przełożony i z przodu na albie aż do kolan wiszący. Podczas mszy kapłan stułę z przodu nakrzyż zakłada (×); 5) *Planeta* (*Casula*, *Paenula*), właściwy przybór mszalny, początkowo obszerny płaszcz bez rękawów, mający tylko otwór na głowę, przez który go nakształt worka zawdziewać można było; zakrywał przeto ręce i wolny ruch im tamował: także kapłan podczas nabożeństwa musiał cały ciężar bogato haftowanej i drogiemi kamieniami zdobionej *planety* rękami podejmować. Z tego powodu umieszczano z obu stron sznury ściągające płaszcz jakoby firankę ku ramieniom, tak, że z przodu i z tyłu fałdziste łuki formował. Później wykrojono boczne otwory na ręce, które z czasem coraz większe się stawały, nakoniec aż od XVgo wieku *planeta* stała się długim kawałem materji w środku otwór na głowę mającym, którego jedna połowa z przodu, a druga krzyżem ozdobna na plecy spadała; 6) *manipulum*, początkowo ręcznik (*sudarium*, *mappula*) od X już wieku prostą stanowił ozdobę, składającą się z małego do stuły podobnego i na lewej ręce związanego pasu. Dawny *Manipulus* jest długi, nowszy krótki i mający końce zeszyte. Urzędowy ubiór *dyakonów* stanowiła *dalmatica*, krótka do kolan dochodząca kolorowa suknia, z długimi wążkami rękawami, po wierzchu alby noszona. W późniejszej średnich wieków epoce, *dalmatica* miała krótkie a szerokie rękawy, na bokach rozcięta i z tyłu dwoma złotemi kutasami ozdobiona. *Dyakon* ma *manipularz*; należy mu się już i *stuła*, atoli kładzie ją tylko na lewem ramieniu, końce zaś na prawem biodrze się krzyżują (*Stola transversa*). *Poddyakon* na albie nosi tunikę podobną do dalmatyki, a na lewym ręku *manipularz*.

Strój urzędowy biskupi składa się ze wszystkich poprzednio opisanych części: *amictus*, *alba*, *cingulum*; *stola*, *tunica*, *dalmatica*, *planeta* i *manipulus*, które przy ubieraniu się w oznaczonej wyżej podawane bywają kolei. Oprócz nich

jeszcze z następujących wyłącznie biskupowi służących: *Nakrycie głowy*; od VII wieku nosili biskupi szeroką, sztywną bindę, dopóki w IX i X wieku nie zaprowadzono *mitry* (*infuły*). Ta początkowo podobna była do żydowskiej arcykapłańskiej, prawie półksiężycowej czapki, od której dwie wstęgi (*infulae*) wolno spadały. Już w XI wieku przybrała czapka biskupia podobną do dzisiejszej formę, tylko z tą różnicą: że ją z początku niższą i okrągłą noszono, niżeli w późniejszych średniowiecznych czasach, gdzie coraz wyższa i bardziej kończata bywała. Jeszcze na pomnikach XII i XIII wieku ukazują się często biskupi z gołą głową, albo płaską, okrągłą czapeczką; bo wtedy ozdoba mitry przyznawana była przez papieża biskupom, tylko jako szczególniejsza honorowa odznaka, jak to później, gdy to pokrycie głowy stało się wspólnem dla biskupów, opatów i proboszczów niekiedy spotykało. W skarbcu kat. krak. dochował się ciekawy i liczny szereg infuł, od owęj począwszy którą nosił św. Stanisław. *Rękawiczki* z zewnętrznej strony ozdabia krzyż haftowany albo rozeta; na średnim palcu prawej ręki na rękawicze nosi biskup złoty, drogiemi kamieniami ozdobiony pierścień. *Pastorał*, z początku, to jest aż do XV wieku był podobny do zwykłej pasterskiej laski, później w kształcie sierpa zaokrąglony, a u dołu kolcem zakończony. Ubiór na nogi składa się z pończoch (*caligae*) i sznurowanych z wierzchu sandałów. Jako szczególniejszą papieżkiej laski oznakę, nosili biskupi podczas wielkich kościelnych uroczystości na piersiach tak zwane *rationale*, które napierśnikowi dawnych żydowskich arcykapłanów odpowiadając, początkowo tylko papieżowi służyło. Zdaje się, że później zastąpiono je krzyżem noszonym przez wszystkich biskupów na wstędze lub łańcuchu. Na pomnikach późniejszych średniowiecznych czasów, ukazują się zwykle biskupi odziani w *kape* (*pluwiale*), czyli płaszcz składający się z wielkiego bogato haftowanego kawała materji na barkach zawieszonego, i na piersiach spiętego na haftkę. Kapa nosi się na dalmatyce, a w takim razie zdejmuje się *planeta*. Ubiór arcybiskupa jest zupełnie ten sam, co i biskupa; tylko że arcybiskupi noszą *pallium*, co jedynie niektórym biskupom przez papieża dozwalanem bywa. *Pallium* jestto biały, wełniany, na trzy palce szeroki, krzyżykami przystrojony pas, który po wierzchu ornatu na barki się kładzie; od tego paska wisi podobna wstęga na piersiach, druga na plecach,

a oprócz tego dwie krótsze na barkach. Od XIV wieku noszą arcybiskupi oprócz pastorała 7 do 8 stóp wysoki krzyż. Papiież nosi strój biskupi, tylko że zamiast pastorała używa krzyża o podwójnych albo potrójnych ramionach. Urban V († 1370), wedle innych już Klemens V († 1314) wprowadzić miał pierwszy potrójną koronę czyli tyarę, mającą kształt wysokiej, trzema złotymi obręczami okrażonej czapki. Kardynałowie odznaczają się purpurowém ubraniem i okrągłemi, płaskiemi o szerokich skrzydłach kapelusami: niekiedy ukazują się w fioletowym albo różowym kolorze. Służebnicze duchowieństwo (a nawet i kapłani i t. d.) noszą białą, obszerną, wełnianą aż do kolan, albo i niżej spadającą *komżę* (superpelliceum), która zwierzchnią suknią zastępuje. Biskupi, należący do którego z duchownych zakonów, noszą pod mszalnym ubiorem, suknią właściwego zakonu, a na niej komżę. Przystroj ołtarza i ubiór mszalny kapłanów i dyakonów od XII wieku w różnych czasach kościelnego roku i różnych uroczystościach zmienną bywa barwy. *Biały* w święta Chrystusowe, wyznawców i pannie, które nie były męczenniczkami; przy poświęcaniu biskupów i t. p., prócz tego tylko od wili Bożego Narodzenia aż do oktawy Trzech Króli. *Czerwony* w Zielone Świątki, w dzień apostołów i męczenników; prócz tego tylko w oktawę do wili Zielonych ŚŚ. *Zielony* od oktawy Trzech Króli do niedzieli starozapustnej (*Septuagesima*), i podczas niedziel od Trójcy Ś. do adwentu. *Fioletowy* w adwencie i poście od niedzieli starozapustnej. *Czarny* w Wielki Piątek i przy wszystkich żałobnych nabożeństwach za dorosłych, bo na pogrzebach dzieci biały kolor się kładzie.

UBIORY KLASZTORNEGO DUCHOWIEŃSTWA. Mnichy noszą *habit* (*colobium*), węższą domową suknią, którą paskiem przewiązują; barki pokrywa *mozetta* czyli kołnierz zachodzący na piersi, przy którym z tyłu przyszyty jest kaptur służący za pokrycie głowy. Z przodu i w tyle mozetty wisi prawie aż do stóp szeroki pas zwany *szakplerzem*. Nie wszystkie zakony używają atoli tego szakplerza. Zakonnice zamiast *mozetty* noszą *rqbek*, to jest biały, zwyczajny rańtuch około szyi i piersi; a zamiast kaptura *welon*, to jest zwykle czarną zasłonę, która im głowę zakrywa. Kolor i krój habitów u różnych zakonów jest różny. *Antonici* ubrani czarno z niebieskim krzyżem (T), *Augustyanie* (*Eremici*) czarna suknia, skórzany pasek. Od

tych odróżnić należy tak zwanych *Canonici regulares* zakonu augustyańskiego, którzy białą komżę, płaszcz z futrem i biret nosili. *Augustyanki* ubierają się zupełnie czarno z białym welonem. *Benedyktyni* czarno. *Brygitki* zupełnie szaro, na piersiach pierścień, a w nim krzyż. *Cystersi* biały habit, czarny szkaplerz. *Celestyni* habit biały, szkaplerz i kaptur czarne. *Dominikanie* biały habit, czarny płaszcz, szkaplerz u księży biały, u braciszków czarny. *Franciszkanie*: wszystkie liczne odmiany tego zakonu, t. j. *Minoryci*, czarny, *Bernardyni* zaś *Rekolekci* czyli *Reformaci*, *Kapucyni* i t. d. noszą szaro-brunatny habit, biały węzłowy sznurek za opaskę, bez szkaplerza. Kształt kaptura jest rozmaity. Niektórzy z nich noszą sandały, inni chodzą boso. *Franciszczanki*, klaryski czarne (jakoto: *Kapucynki*, *Bernardynki* i t. p.) brunatno się ubierają, z białym rąbkiem i czarnym welonem. *Jezuaci św. Hieronima* noszą białe habity, skórzany pasek, białą tkaną czapkę i płaszcz dębowego koloru. *Kameduli* habit i szkaplerz biały, zakonnice podobnie tylko z czarnym welonem. *Karmelici* suknia wiśniowa, płaszcz biały. *Kartuzi* biało ze skórzanym albo konopnym paskiem, a przednia i tylna część szerokiego szkaplerza w okolicy kolan dwoma jak ręka szerokimi paskami związane. Zakonnice ubierają się biało z czarnym welonem. *Premonstratenci* biały habit, mozetta, szkaplerz i płaszcz białego koloru. *Serwici* czarno. *Trynitarze* habit z spiczastym kapturem i szkaplerz biały; na ostatnim równie jak na brunatnym płaszczu pół niebieski a pół czerwony krzyż (†) bywa noszonym. *Rycerze zakonni* noszą wojenne przybory, na które *Templaryusze* kładli biały płaszcz z krzyżem krwawego koloru. *Johannicy* czarny płaszcz z białym krzyżem. *Rycerze niemieccy* biały płaszcz z czarnym krzyżem. Jakkolwiek wedle rozporządzeń papieżkich, zakonnym zgromadzeniom kolor czerwony wzbронionym został, trafiały się wszakże wyjątki np. u *Braci św. Jana de civitate* (z haftowanym kielichem na szkaplerzu), i zakonu *doliny Józefata*. O ubiór często pomiędzy zakonami gwałtowne toczyły się spory. *Opaci i ksienie* noszą w rękę albo prostą laskę opacką z gałką u wierzchu, albo pastorał, tём wszakże od biskupów różny, że przy zakrzywieniu, białym ręcznikiem dokoła był obwiązany. Dzieło *O zakonach ks. Benjamina*, wydane w 3 tomach w Warszawie 1849 r., tak

co do ubiorów zakonów duchownych, jako i świeckich rycerskich, dokładnie pouczyć może.

Wszyscy duchowni noszą *tonsurę* (*corona clericalis*) t. j. mniejsze lub większe koło wystrzyżone na głowie. Na soborze rzymskim 1074 r., duchownym, którzy aż dotąd wedle upodobania brodę nosili lub ją golili, golenie jej z obowiązku nakazaniem zostało, od czego dopiero papież Juliusz II († 1513) odstąpić dozwolił: wszakże już w XV wieku niektórzy biskupi znowu do bród powrócili byli.

Duchownych przedstawiają często w postawie błogosławiących, to jest: podnoszących w górę prawą rękę, zwróconą ku widzowi, u której trzy palce jakoby do przysięgi wzniesione. Wedle greckiego obrządku przy błogosławieństwie, koniec wielkiego palca z czwartym się krzyżuje. Przy złożeniu rąk, dłonie przystają do siebie, i tylko wielkie palce się krzyżują: inne zaś palce zostają niezgięte.

Księża często kielich na znak swojej godności, a duchowni wszelkiego stopnia bardzo często książkę w ręku otwartą albo zamkniętą (u biskupów niekiedy z formułą błogosławieństwa, *Pax vobiscum*) trzymają. W XV i XVI wieku daje się widzieć u duchownych i świeckich osób, w ręku albo przy pasku książka do modlitwy, której skórzana powłoka z wyższej części tak jest przedłużona, że ją w górze sfałdować, i tym sposobem książkę jakoby woreczek wygodnie ze sobą nieść można. *Pielgrzymi* noszą muszlę jordańską na kapeluszu i sukni, i laskę pielgrzymią dwiema gałkami zaopatrzoną. Ta jest niekiedy u góry w kształcie widełek zakrzywiona, celem zawieszenia na niej tłumoczek. Mnichów żebraczych malują z torbą dziadowską, a w późniejszych czasach wieków średnich także z puszką w ręku: przy lasce mają dzwoneczek. Należy tu także wspomnieć o różańcu (*Rosarium*) wprowadzonym w XII wieku ze Wschodu przez Piotra z Amiens, a poświęconym ku czci N. Maryi Panny. Jest on trojakim: *wielki*, obejmujący 150 nianizanych na sznurek paciorków wedle liczby psalmów; *zwyczajny* albo *średni*, mający 7 większych, 63 małych paciorków, oznaczających 63 lat żywota N. M. Panny; przy odmawianiu różańca na każdy mały paciorek wypada jedno *Zdrowaś Marya*, a na większy jedno *Ojcze nasz*; co dziesięć *Zdrowaś Marya* powtarza się Modlitwa Pańska. *Mały* różaniec ma tylko 33 paciorków, to jest tyle, ile lat żył Jezus, i jest wynalazkiem Ka-

medułów za czasów Leona Xgo († 1521). Do każdego odmówionego już różańca, należy na końcu lub początku jedno *Wierzę*.

GODEŁA ŚWIECKIE. Jako odznaczenia szczególnych stanów należy uważać: *koronę, berło i jabłko złote*, za oznaki godności *cesarskiej i królewskiej*. Kształt tych godeł w rozmaitych czasach był różny; np. korona Ottonów ukazuje się jako kończato zakrzywiona *czapka*, która z tyłu kark zakrywała i złotą liliami ozdobną obręczą otoczona była. W XI wieku koronę cesarską stanowi *czapka okrągława ze złotą krzyżową wstęgą*, na której środku niekiedy złota kula z krzyżem spoczywa; opaska zdobna kamieniami, ale bez nadzwyczajnych ozdób. *Jabłko złote* ma na wierzchu kulę i krzyżyk, ale jest jeszcze bez krzyżowej przepaski i t. d. Wielce nauuczającym i ciekawymby było zrysowanie i przedstawienie na jednej tablicy różnych kształtów koron u nas. Zrobić to będzie można, jak p. hr. Przedziecki ogłosi we *Wzorach* swoje ciekawe w tym względzie odkrycia.

Książęta widzieć się dają zazwyczaj w rycerskiej zbroi, w ubraniu dworskiem albo i domowém. *Sędziów* (np. Piłata) i *krzyżowców* wystawiają często z nogami nakrzyż założonemi. Oznaką *żyda* jest okrągły, spiczasty kapelusz, w późniejszych zaś średnich wiekach także żółte kółko przyszyte do płaszcza. *Siepaczów* i *oprawców* poznać można po wielkiem koguciem piórze, jakie noszą przy *czapce* i t. d.

SYMBOLE NA OBRAZACH. Obrazy religijne dzielą się na *mistyczne, symboliczne, allegoryczne, biblijne i obrazy świętych*.

Wielkie korzyści dla nauki o sztuce chrześcijańskiej przyniesie czytanie na bardzo szeroki rozmiar zakreślonego dzieła uczonego archeologa Didron'a, p. t. *Iconographie Chretienne*, którego tom I pod napisem: „*Histoire de Dieu*” (Paris 1843) wyłącznie o obrazowém przedstawieniu trzech osób Boskich traktuje.

Pod nazwą *mistycznych* przedstawień rozumieją się matematyczne figury, których znaczenie o ile jest jasnym, odnosi się do tajemnic dogmatycznych, a może być, że bierze początek w gnostycznych systematach Wschodu.

Równoboczny *trójkąt* jest znajomą i do nowszej także sztuki wprowadzoną oznaką Trójcy Św. *Koło* oznacza wie-

czność. *Pentalfa* (tak zwany krzyż alpejski, *salus Pythagoræ*) czyli pięciokąt z powikłanych trójkątów ułożony, uchodził za zamek i zasuwę przeciw wciskaniu się i uciekaniu złych duchów. *Figura zakończona parabolicznie* (1), złożona z dwóch odpowiadających sobie łuków i przypominająca swoim kształtem rybę, służy często za oprawę obrazów Chrystusa, duchownych pieczęci i t. d. *Połączenia węzłów sznurowych*, które na budowach Rromańskiego stylu tu i owdzie się napotyka, np. na bramie kościelnej w Merseburgu, na dwóch słupach Jachim i Booz (1, Królów 7, 21) w katedrze Würzburgskiej (2) i t. d. oznaczają bez wątpienia 12 łokciową linię, która wedle Jeremiasza (52, 21) owe słupy w kościele Salomonowym otaczała.

Symbole są po największej części wzięte z biblii, niektóre zaś odnoszą się do pomysłów starożytniej sztuki.

Symbole (3): Anioł, Orzeł, Wół i Lew (dwa ostatnie także ze skrzydłami); czterej ewangeliści, Jan, Mateusz, Łukasz i Marek (Ezech. I, 10; Apokal. 4, 67). Na ambonach, chrzcielnicach, grobowcach, zamknięciach żył sklepienia, dzwonach i t. d. bardzo często od najdawniejszych czasów się znajdują także jako godła odpowiednim ewangelistom towarzyszące (4).

(1) Owale ten w górze i na dole kończaty, a rzadko zaokrąglony, zowie się także *mistyczne jaje wietkanocne*, *mistyczny migdał* (*mandorla*), a u angielskich archeologów niestosownie „*vesica piscis*.” Didron (a. a. O. str. 110) całkowicie zaprzecza mistycznemu znaczeniu tej figury, którą on za glorię otaczającą całe ciało Chrystusa albo szatę światłości uważa; ale przytém zupełnie zapomina o użyciu jej także na duchownych pieczęciach.

(2) *Ch. L. Stieglitz Beiträge zur Gesch. der Ausbildung der Baukunst II.* Tabl. 15 str. 112 i nast.

(3) *F. Munter, Sinnbilder und Kunstvorstellungen der Alten Christen. I 27 ff. Chryst. Kunstsymbolik und Iconographie 1839. Neue Mittheil. des thuring. sächs. Vereins. V. 1. 166 ff.*

(4) Uporządkowanie tych czterech symbolów dokładnie określił Ezechiel. (I, 10). Tam, gdzie one zajmują narożniki czworokątu (np. na okładce, grobowcu i t. p.) po prawej przedstawiając anioła i lwa, po lewej orła i wołu; a wyjątki od tego pravidła są rzadkie (*Durand, Rationale I. c. 3*). Anioł i orzeł jako mieszkańcy górnych okolic zawsze w górze, lew i wół jako istoty ziemi zawsze na dole się mieszczą. Że to uzmysłowienie nietylko ewangelistów, ale i Chrystusa oznacza, okazuje się z następującego czterowiersza książki z ewangeliami, znajdującej się w Paryżu z r. 1379. (*Didron, Iconogr. chret. Histoire de Dieu 278*).

Quatuor haec dum signant animala Xpm:
Est homo nascendo, vitulusque sacer moriendo,
Et leo surgendo, coelos aquilaque petendo;
Nec minus hos scribas, animalia et ipsa figurant.

Arka przymierza: żywot N. Panny.

Barwy zmieniane przy obchodzeniu pamiątek kościelnych w ubiorach mszalnych, oznaczają: *biały* niewinność i radość, *czerwony* miłość i ofiarę, *zielony* nadzieję, *niebieski* pokorę i skruchę, *czarny* śmierć i żalobę. Także i kolor rosy niebieskiej (Apokal. 6), wedle Psal. 85, 11, i Łuk. I, 68—79, w niektórych wyobrażeniach N. P. odpowiednie ma znaczenie: *czerwony* justitia, *biały* misericordia, *plowy* (pstrokaty) veritas, *czarny* pax. Na obrazie Rogera z Brügge (z r. 1450) w muzeum antwerpskiem znajdującym się, a przedstawiającym siedm sakramentów, nad wyobrażeniem każdego sakramentu unosi się anioł, a wszyscy siedmiu aniołowie w inne kolory przybrani, wedle kolejno idących sakramentów; i tak: przy chrzcie *biało* (oczyszczenie), przy bierzmowaniu *żółto z czerwonym* (światło i uciecha), przy pokucie *ponsowo* (oczyszczenie się ze złego), przy sakramencie ołtarza *zielono* (nadzieja), przy kapłaństwie *jasno fioletowo* (godność duchowna), przy małżeństwie *niebiesko* (wiara i stałość), przy ostatniem pomazaniu *ciemno fioletowo* (żałoba).

Baranek często z krzyżem albo chorągwią: Chrystus cierpiący (Jan I. 29, Apok. 2. 10 i t. d).

Baranek o siedmiu rogach i siedmiu oczach: Chrystus udarowany siedmiu darami Boskimi (Apok. 5, 6, 12).

Brama zamknięta: czystość Maryi (Ezech. 44).

Baran: przebłaganie (3, Mojż. 16, 15).

Centaur: złe chuci serca.

Drogie kamienie: różne cnoty, także patryarchów i apostołów: *Jaspis* Piotr, *Szafir* Andrzej, *Smaragd* Jan i t. d.

Dom budujący się: Kościół Chrystusowy (1 Tymot. 3, 15, I Piotr. 2, 5 i t. d).

Imię *Ewa* po odwróceniu *Ave*: (Łuk. I, 28) Maryą (1).

Fenix: Zmartwychwstanie.

Głowa odcięta, którą wielu świętych jako oznakę noszą, wskazuje: że oni życie Bogu na ofiarę ponieśli.

Gołąb: roztropność i niewinność połączone. (Math. 10, 16).

Gołąb: Duch Św. (Mat. 3, 16).

Siedm Gołębi: siedm darów Ducha Św. (Jez. 11, 2 Apok. 5, 12).

Gołąb z gałązką oliwną: pojednanie (I Mojż. 8, 10, 11).

Jabłoń: grzech pierworodny (I Mojż. 2, 17).

Jednorożec: Chrystusa (Łuk. 1, 69).

Jednorożec na łonie Maryi: Wcielenie albo poczęcie Jezusa.

Jeleń w wodzie: (wedle Psal. 42, 1) dusza spragniona zbawienia.

Kotwica: nadzieje (Hebr. 6, 19).

Krzak ognisty: dziewictwo N. P. Niepokalane poczęcie Jez. Chrystusa (II Mojż. 3, 2).

Kogut: zaparcie Piotra, powołanie do pokuty (Mat. 26, 74, 75); czuwanie, prawowierność; pianie kogutów odstrasza złe duchy.

Kielich: stan kapłański (ze względu na ofiarę ołtarza); symbol zakonu Templaryuszów, bo ich patronem był Jan Ewangelista, którego z godłem kielicha malują.

Kula albo jabłko królewskie: świat.

Krzyż: śmierć Jezusową (1).

Korona albo wieniec: nagroda zwycięzka błogosławionych po przebytej walce (2 Tymot. 4, 8, I Petri 5, 4, Jak. 1, 12, Apok. 2, 10).

Klucze: moc związywania i rozwiązywania. (Godło apostoła Piotra, w odniesieniu się do Mat. 16, 19).

Lira: święta muzyka; wesele w Kanie.

Lew: w bardzo rozmaitem pojęciu, wedle rozmaitych miejsc z Pisma Św. np. wedle Ezech. I, 10: *Piastun i stróż świętości*, wedle Mojż. I, 49, 9, i Apok. 5, 5; *Chrystus*; wedle Marka 1, 2: *Samotność*; wedle Piotra I, 5, 8: *Djabel*. Lew u nóg Chrystusowych, *lew*, *smok*, *bazyliczek* albo *inna poczwara* (jak *syreny*, albo też pogańscy królowie, *rozpustne kobiety* i t. d.), przy nogach zmarłych i świętych, wedle psal. 91, 13: *zwyciężony książę tego świata, poskromiona cielesność*. Na późniejszych nagrobkach, lew jest godłem *bohater-skiej odwagi*. Lew, który nieżywo urodzone lwięta rykiem swoim wskrzesza, oznacza *Zmartwychwstanie Chrystusa*.

Lwica z młodem: Marya (Ezech. 19, 2).

Liczby. Symbolika liczebna chrześcian, później w żydowskiej kabalistyce do nieskończoności rozciągnięta, ma znaczenie

(1) O krzyżach rozmaitego rodzaju zob. *Didron* a. a. O. 382—413.

szczególne w Objawieniu św. Jana (1). *Dwa*: z prawej i lewej strony, oznacza parę. *Trzy*: t. j. z prawej, lewej i w środku, Δ Trójcę Świętą. *Cztery*: t. j. z prawej, lewej, z tyłu i z przodu (albo z góry od dołu i po bokach) \square wszechświat: (niebo, otchłań, ziemię i morze); 4 strony świata, 4 wiatry, 4 rzeki raju, 4 cnoty kardynalne, 4 wielkich proroków, 4 zwierzęta niosące tron Jehowy, 4 ewangelisci i t. d. *Siedm*: rozkładają na 4 i 3: tajemnica, świętość, wszechistość, 7 aniołów (Objaw. 8, 6), 7 planet (1, 16), 7 dni tygodnia, 7 lichtarzy (1, 12), 7 ramion lichtarza Mojżeszowego (2, Mojż. 25, 31 i 23), 7 pieczęci, 7 trąb Jerycho, 7 głów zwierzęcych (13, 1), 7 Sakramentów, 7 darów Ducha Ś. (5, 6, 12; Jez. 11, 2), 7 prośb w Modlitwie Pańskiej, 7 ostatnich słów Jezusa na krzyżu, 7 uczynków miłosiernych (taknących nakarmić, pragnących napoić, nagich przyodziać, chorych nawiedzać, więźniów wykupić, podróżnych w dom przyjąć, umarłych pogrzebać), 7 uczynków miłosiernych co do duszy (Eph. 6, 13, 17), 7 głównych cnót (4 kardynalne: Prudentia, Justitia, Fortitudo, Temperantia; 3 teologiczne: Fides, Spes, Charitas), 7 grzechów śmiertelnych (Inanis gloria, Invidia, Ira, Accidia, Avaritia, Gula, Luxuria), 7 boleści i 7 radości Maryi, 7 słów Maryi (Łuk. 1, 34, 38, 40, 46, 2, 48, Jan 2, 3, 5), 7 wyzwolonych nauk (grammatyka, retoryka, dialektyka, muzyka, arytmetyka, geometrya i astronomia), 7 kanonickich godzin, 7 psalmów pokutnych (ps. 6, 32, 38, 51, 102, 130, 143) i t. d. *Ośm*: 8 kar w piekle, 8 błogosławieństw. *Dziewięć*: chórów anielskich, 9 kamieni któremi przykryto upadłego archanioła. *Dziesięć*: 10 palców, 10 plag egipskich, 10 przykazań. *Dwanaście*: 12 miesięcy, 12 synów Jakóba, 12 pokoleń Izraela, 12 małych proroków, 12 apostołów i t. d. 144,000 stojących na górze Syon około baranka (14, 1).

Łabędź: obraz śmierci, bo ptak ten swoją zbliżającą się śmierć żałośnie opiewa.

Naczynie z manną: cudowna płodność N. P. M. (2 Mojż. 16, 33, Hebr. 9, 4), także Wieczera Pańska.

Narzędzia męczeńskie: cierpienia Chrystusowe.

(1) F. J. Züllig, Objaw. św. Jana I, 115 i nast. porówn. J. H. Kurtz in den *Theologischen Studien und Kritiken* 1844. 2, str. 315 i nast. W średnich wiekach odznaczali się wydoskonaleniem symboliki Beda, Rabanus Maurus i Wilhelm Durand.

Orzeł dwugłowy Elizeusza, oznacza w myśl Księgi król. (I, 2, 9) podwójnego ducha Pańskiego.

Orfeusz z lutnią pomiędzy leśnymi zwierzętami: Chrystus, którego nauka i barbarzyńców nawraca.

Owce: uczniowie Chrystusowi i wierna trzoda (Łuk. 10, 3, Jan 10, i t. d.

Okręt (Arka Noego, łódz Piotra): Kościół Chrystusowy.

Pies: u kobiet godłem małżeńskiej wiary.

Postać człowieka zazwyczaj mała, lalkowata, nago albo ubrana: dusza ludzka.

Palma: zwycięstwo wiernych i męczenników nad śmiercią (Apok. 7, 9).

Pelikan żywiący młode własną krwią swoją: ofiarę śmierci Chrystusa, brzemienność Maryi.

Paw u dawnych chrześcian: nieśmiertelność; u św. Hieronima Ojca kościoła, obraz żydów, później diabeł.

Piersiść z którego anioł wygląda: otwarte niebiosy.

Potwór z otwartą paszczą: otchłań piekielna.

Ryby: (delfiny): chrześcianie (Math. 4 19, Mar. 1, 17, Łuk. 5, 2, 7); także i sam Chrystus z odniesieniem się na cudowną rybę Tobiasza (Tob. 6).

Rybak łowiący ryby: Chrystus.

Rzeki cztery rajskie: (Phison, Gehon, Tyger i Eufrat. I Mojż. 2, 10, 14); często jako bóstwa wodne przedstawione: czterej ewangeliści.

Ręka błogosławiąca Boga i Chrystusa, wystawioną bywa z wyciągniętymi palcami, niekiedy leżąca na krzyżowej nimbie.

Róża pięciolistna na konfesyonałach: milczenie (1).

Rószeczka Aarona kwitnąca: Marya płodna bez męża (4 Mojż. 17, 8).

Runo Gedeonowe: niebieskie zapłodnienie N. P. (Sędz. 6, 37).

Słoń: czystość (2).

Skala Chrystusa: (I Kor. 10, 4) ze skały téj płyną rzeki raju, a na nią ptastwo niebieskie buduje gniazda swoje.

Słońce, księżyc i gwiazdy: czystość i piękność N. P. M. (stella maris).

(1) Ch. L. Stieglitz von altdeutscher Bauk. 184 str.

(2) Sarasin w dziele Beitr. zur Gesch. Bofels. I. 16.

Trup, którego węże i robactwo okrażają: straszliwa śmierć grzesznika.

Tęcza: łaska (I Mojż. 9, 13).

Wąż albo smok: diabeł (I Mojż. 3 Apok. 12 i t. d.).
Wzniesiony *wąż* miedziany: Chrystus ukrzyżowany (4 Mojż. 21, 8 Jan 3, 14).

Wieża: nienaruszalność N. M. P.

Winna macica, *winne grono*: Chrystus, krew Chrystusowa, Wieczerza Pańska, (Jan 6, 56, 15, 1).

Źródło za kratą: Marya, studnia zbawienia.

Zwój pisma: Stary testament, bo Nowy księga oznacza. Dlatego prorocy z zwojem, apostołowie z księgą bywają wystawieni. Chrystus trzyma niekiedy oboje (1).

Uwaga: Zwierzęce wyobrażenia (2) napotykanne często na pogańskich grobowcach jako symbole śmierci i oznaki Bachusa, będącego zarazem bogiem życia i śmierci (np. koń morski, pantera, lew, koziorożec i t. d.), pomieszane z chrześcijańskimi uzmysłowieniami, znajdujemy już na najdawniejszych chrześcijańskich grobowcach; a ztąd, pomimo niewłaściwości (3) przeszły do średniowiecznej sztuki, pod tym jedynie pozorem, że owym pogańskim obrazom chrześcijańskie podstawiono znaczenie. Do tego i to się przyłączyło, że się do biblii zwrócono i bogatą jej materią do tém większego rozpowszechnienia zakresu wyobrażeń użyto. Nie powinno nikogo dziwić, że bardzo trudną i niepewną jest rzeczą, natrafić zawsze na prawdziwe znaczenie pojedynczych obrazów, jeżeli się tylko pomyśli na ogromną obfitość i wieloznaczność kształtów. I tak np. Zbawicielowi samemu nadają 92 godeł; raz występuje w postaci lwa, drugi raz barana, cielęcia i t. p. (4).

Ważną jest także bardzo różnica, jaką Pismo Ś. między *czystymi* a *nieczystymi* zwierzętami uważa; tamte były symbolami światła, te uzmysłowieniem ciemności. Drapieżne zwierzęta są wyobrazicielami potęgi nieprzyjajnej chrześcianom;

(1) *Durand, Rationale* I. c. 3. Porównaj *Didron* a. a. O. 280.

(2) Porównaj *Eh. F. Bellerman, Die ältesten christl. Begräbnisstätten*. Str. 76 i tabl. 3, 4. *Kugler's Museum* 1834, nr. 13. *Neue Mittheil. des thüring-sächs. Vereins* VI. 1, 48 i nast. VII *Jahresbericht des altmärk. Vereins für vaterländ. Gesch.* 88 i następne.

(3) *S. Bernard* († 1153) oburzał się na to, jako na wielką niewłaściwość. (Opp. I. 544). Porów. *Boisseree Denkmäler*, 2 Aufl. Str. 12.

(4) *Boissonade Anecd.* Gr. IV. 460 i nast.

bezbronnie zaś uciśnionych chrześcian: i tę myśl mają wszystkie te wyobrażenia, gdzie zwierzęta walczące z sobą nawzajem, albo ścigające się malowano. Dalszym krokiem w tym względzie były komentarze, gdzie średniowieczni poeci Ezopowe bajki miejscami z biblii objaśnili: wyobrażenia zatem takowe przeszły także i do chrześcijańskiej symboliki w sztuce, zkład nowe pole dla cierpkich nieraz figlów. Taka humorystyczność np. widna w płaskorzeźbie na parapetach kamiennych kościoła Ś. Anny w Annaberg, ukończonego 1525 r., gdzie dziesięć epok życia płci obojęd od 10 do 100 lat, u mężczyzny przez czworonożne zwierzę, u kobiety przez ptaka wyobrażono (1).

Mężczyznę 10-letniego wyobraża: ciele.		Kobietę przepiórka.	
— 20	— —	koziół.	— gołąb'.
— 30	— —	byk.	— sroka.
— 40	— —	lew.	— paw'.
— 50	— —	lis.	— kura.
— 60	— —	wilk.	— gęś.
— 70	— —	pies.	— sęp.
— 80	— —	kot.	— sowa.
— 90	— —	osioł.	— niedopierz.
— 100	— —	śmierć.	— śmierć.

Zbyteczną zdaje się tu uwaga, że byłoby to zadaleko się posuwać, gdyby ktoś w każdej zwierzęcej postaci, które tak często w arabeskach napotyamy, koniecznie głębsze upatrywać chciał znaczenie; z drugiej atoli strony nie można zaprzeczyć, że niektóre wyobrażenia zwierzęce umyślny cel mieć mogą: np. obraz z XIII wieku szeroko rozpowszechniony i głośny, wystawiający żyda ssącego świnie, przez który żydów w pogardę podać, i przeciwko nim rozjątrzenie i zgrozę obudzić się starano.

Allegoryczne przedstawienia rozpadają się na dwie główne klasy: najprzód na biblijne, o których później mowa będzie, powtóre na te, które przeszły z klasycznego pogaństwa, albo dowolnie wymyślane zostały. Allegorye ostatniego działu są wprawdzie rzadsze, ale napotykają się w najdawniejszych czasach średniowiecznej sztuki i składają się zwykle z pojedynczych figur, które właściwemi godłami opatrzone, mianowicie główne cnoty wyobrażają.

(1) G. F. Waagen, *Kunstwerke und Künstler in Deutschl.* I. 30.

Na tytułowej karcie rękopismu biblijnego z IX wieku w kościele św. Kalixta w Rzymie, są między innymi cztery postacie kobiece, których znaczenie objaśnia napis: *Roztropność* z otwartą księgą, *Sprawiedliwość* z wagą, *Umiarkowanie* w skromnej postawie, *Męstwo* z dzidą i tarczą. Na grobowcu papieża Klemensa II († 1047) w włoskim smaku wzniesionym (czy równoczesnym?) w katedrze bamberskiej, znajdują się alegoryczne płaskorzeźby, które jako: *sprawiedliwość*, *stałość*, *szczodroliwość*, *skromność*, *waleczność* i *wstrzemięźliwość* są objaśniane. Na odrzwiach jednej kaplicy kościoła katedralnego w Worms z XIV albo XV wieku: *prawdziwa wiara*, z puszką w rękę; *żydostwo* z zawiązanymi oczyma, upadłą koroną, złamaną włócznią, z kozłem i nożem; *pogaństwo* z złamanym berłem; *błędna wiara* z tarczą w prawicy, żabami, węzami i jaszczurkami na plecach. Na kościele Ś. Sebelda w Norymberdze, statua młodej kobiety, którą z tyłu robaki toczą, znaczy *świat*. Do czasu znowu budzących się antyków, odnosi się szereg wolno wymyślonych allegoryj, a odgadnięcie znaczenia tego rodzaju przedstawień, dostarcza tylko domysłów dla dowcipu (1).

Uwaga 1. Alegorycznie przedstawiają *śmierć* w kształcie szkieletu ludzkiego, któremu jako godła i oznaki dodaje się kosa i klepsydra. Zapewne wtedy, gdy w początku XIV wieku zaraza się srożyła, powstały po raz pierwszy ścienne malowania, ulubione aż po wiek XVII: *tańce śmiertelne* (2) są to szeregi podobnych sobie scen, w których *śmierć* rozmaite stany ludzkiego społeczeństwa, od papieża i cesarza, aż do żebraka do przymuszonego tańca ciągnie. Każda pojedyncza scena jest zazwyczaj jakimś zdaniem albo rozmową pomiędzy *śmiercią* a jej ofiarą objaśniona.

I pogańskie sybille znalazły przyjęcie w chrześcijańskiej sztuce, bo wierzyły w jednego Boga i przyjście Messyasza przepowiadały. Lactantius (de falsa rel. 1, 6) przytacza ich dziesięć: Persica, Libica, Delphica, Cimmerica, Erythraea, Samia, Cuma-

(1) W XVII wieku, mianowicie w nużącej zbytkiem i przesadą sztuce Jeżuitów, także i allegorya aż do przesady się posuwa. Porównaj np. *Piccinello mundus symbolicus*; *Menestrier, philosophia imaginum*; *Masenius, speculum imaginum*; v. d. Kellen, *Apelles symbolicus* i t. p.

(2) *Notizen über Kunst und Künstler in Basel*. Basel 1841. Str. 14 i następnie.

na, Hellespontica, Phrygia i Tiburtina; niekiedy znajdujemy ich dwanaście, niekiedy zaś mniej, np. na stallach kościoła w Ulm siedm tylko. Tu i owdzie napotyka się figury z wymyślonymi nazwami, np. na malowaniach szklanych w zachodnim chórze katedry w Naumburgu stoi kilku świętych na przygnięcionych do ziemi koronowanych postaciach ludzkich (królach pogańskich: jako symbol pokonanego bałwochwalstwa), którym nada-no imiona *Astrages, Hirtacus, Mesdens* i t. d.

Obrazy biblijne dzielą się na typiczne, allegoryczne i historyczne.

a) *Obrazy typiczne*. (1). Przedstawienia z dawnego zakonu, gdy nowy jako dopełnienie wprowadzony został (Koloss. 2. 17, Ebr. 10, 1) należy w ogóle za typy do Nowego Testamentu odnoszące się uważać; szczególnież téż wtedy, jeżeli jeden z objaśnionych wyżej symbolów średni punkt obrazu zajmuje, tak, że sceny z Starego Testamentu przez artystę nie dla nich samych, ale dla odpowiedniego w Nowym Testamencie zdarzenia zostały umieszczone. Często się trafia także, jak np. w *Biblii pauperum*, że typ Starego Testamentu z nowo-testamentowym antypem się spotyka; np. Mojżesz przed ognistą księgą, Gedeon przed runem: *Zwiastowanie N. P. M.*; Stworzenie Ewy, Aaron klęczy przed ołtarzem otoczonym świecami, na którym zielona wykwiła gałązka: *Narodzenie Chrystusa*. Wdowi dzban z oliwą, Elżbieta obdziela 100 ludzi 20 bochenkami chleba: *Cudowne nakarmienie 5,000 (4,000) ludzi*. Melchizedech król i kapłan (Mojż. I. 14, 18) przynosi Abrahamowi chleb i wino, baranka wielkanocnego, mannę: *Wieczera Pańska* (św. komunja). Przyjęcie trzech aniołów u Abrahama, Ratunek ludu żydowskiego od kary za bałwochwalstwo (Mojż. 2. 32). *Umycie nóg*, Eliasz przed Achabem, Daniel przed Nabuchodonozorem: *Chrystus przed Pilatem*. Jozue i Kaleb niosą winne grono: *Dźwiganie krzyża*. Ofiarowanie Izaaka, i podwyższony wąż miedziany: *Ukrzyżowanie*. Jonasz wychodzi z wieloryba: *Zmartwychwstanie*. Samson niesie bramy miejskie: *Chrystus łamie bramy piekła*. Jakób i drabina do nieba, wniebowzięcie Eliasza: *Wniebowstąpienie Chrystusa Pana*. Ahitophel (2. Sam. 17, 23), Absalon (Tamże 18, 9): *Samobójstwo Judasza*, i wiele innych.

(1) *Fr. Jacobs i F. U. Ukert Beiträge zur älteren Literatur* I. 1, 80 i następ.

Uwaga. Jak niektóre z symbolów, tak i wiele typów ma różne znaczenie, np. Dawid który kochał nieprzyjaciół, dobrze im czynił, jest typem Chrystusa. Ten sam jako cudzołożnik i morderca jest typem szatana. Brano także typy i z świeckiej historyi, np. złoty trójnóg (Plutarch. vita Solonis, c. 4) jest obrazem N. M. Panny; król Kodrus typem ofiarującego się dla zbawienia nas Chrystusa.

b) *Allegoryczne obrazy* są to przedstawienia takich scen, które w Biblii nie jako dzieje, ale jako widzenia, przypowieści, proroctwa się mieszczą; np. sen Jakóba o niebieskiej drabinie, sny Józefa, dobry pasterz pomiędzy owcami, także niosący jedną z nich na barkach swoich (Jan 10, Łuk. 15, 4, 5) bardzo ulubione przedstawienia w starochrześcijańskiej sztuce. Winnica Pańska (Jez. 5. 2; Jeremiasz 12, 10; Mat. 22, 23); Mądre i głupie dziewice (Mat. 25). Mądre dziewice trzymają swe lampy, które niekiedy jak miseczki wyglądają do góry, głupie zaś na dół obrócone. Dogmat ostatnich rzeczy: Antychryst, 15 znaków dnia ostatecznego, przysionek piekła, czyściec, zmartwychwstanie zmarłych, sąd ostateczny, łono Abrahama, piekło i t. p., Święta Trójca w różnych postaciach.

OBRAZY HISTORYCZNE. Po tém, cośmy o Staro-Testamentowych typach powiedzieli, tylko przedstawienia z Nowego, za obrazy w ścisłym znaczeniu historyczne uważane być mogą: sceny z życia, a szczególnie z męki Chrystusowej; ale i tych często nie należy brać w czysto historycznym znaczeniu, lecz jako przedstawienie usposobienia duszy N. Maryi Panny, jej cierpienia i radości (Zobacz w wykazie *Śtych: Marya*).

Uwaga 1. Średniowieczni artyści trzymali się w ogóle przy przedstawieniach biblijnych obrazów, pewnego przekazanego sobie w rzeczach kościelnych typu, tak, iż pojedyncze kształty i całe kompozycje, wiele zgody przedstawiają. Ograniczymy się na podaniu niektórych charakterystycznych zarysów, najliczniej spotykanych biblijnych przedstawień i osób. *Bóg Ojciec*: staro-chrześcijańska sztuka wedle słów Pisma Św. (2 Mojż. 33, 20; Jan 1, 18, 6, 46; 1 Tymot. 6, 16; I Jan 4, 12) miała sprawiedliwą bojaźń do przedstawienia obrazowo wszędzie obecnej istoty, której oblicza żaden jeszcze z ludzi nie widział, ani widzieć nie może; i poprzestawała na uzmysłowieniu obecności Wszechmocnego przez rękę błogostawiającą, albo ramię, ukazujące się z obłoków. Gdzie przedmiot obrazu, jak

np. w historyi stworzenia, koniecznie wymagał przedstawienia Boga w zmysłowej postaci; wtedy zamiast Ojca, niemającego żadnego kształtu, a zatem nie dającego się przedstawić, malowano Syna jako słowo, które się stało ciałem, jako obraz niewidzialnego Boga, przez którego wszystkie rzeczy stworzonymi zostały. Od XII wieku atoli, artyści postać Syna i Ojca także dawać poczęli, tak, że w niektórych razach ciężko jest, a nawet niepodobna oznaczyć, kto się ma pod tą wyobrażoną rozumieć osobą, czy Ojciec, czy Syn, który z Ojcem jedno jest. (Jan 10, 30). Dopiero od końca XIV wieku wykształcił się dla Boga Ojca typ zupełnie wyłączny: ukazuje się w postaci starca 60—80 lat mającego (*Antiquus dierum*), z długą, białą, nierozdzieloną brodą; zgrzybiały, odziany w oznaki majestatu, w stroju papieża, cesarza, króla i t. p. trzymając jabłko na znak władzy nad światem; *Christus* w wieku młodzieńczym z rozdzieloną brodą, rozpuszczonymi włosami i przez środek głowy rozdzielonymi, w idealnym ubiorze, w średnich wiekach zaś często jako król albo kardynał obok Boga Ojca w stroju papieżkim (1). *Boże Narodzenie*: żłób w którym dziecię leży, *Maryja i Józef*; pasterze; wół i osioł (Izaj. I, 3). *Hołd mędrców*: Dwaj starsi królowie klęczą przed dziecięciem siedzącym na łonie matki; trzeci młodszy czarnego koloru twarzy stoi na boku. Tamci dwaj biali, w późniejszych czasach bogato przybrani i składają często swoje dary, od liczego orszaku otoczeni: nad głowę Maryi osmiopromienna gwiazda. *Ucieczka do Egiptu*: Józef prowadzi osła na którym jedzie Bogarodzica z dziecięciem; fałszywe bożki obalają się. *Chrzest w Jordanie*: Zbawiciel stoi

(1) Wyobrażenie jakie sobie w średnich wiekach o osobie Jezusa robiono, mieści się w tak zwanej Prosopografii Lentulusa, Apokryfie w następujący sposób skreślonym: *Homo quidem staturae procerae, spectabilis, vultum habens venerabilem, quem intuentes possunt et diligere et formidare. Capillos vero circinos et crispis aliquantum caeruleiores et fulgentiores ab humeris volitantes, discrimen habens in medio capitis juxta morem Nazarenorum: frontem planam et serenissimam, cum facie sine ruga ac macula aliqua, quam rubor moderatus venustat. Nasi et oris nulla prorsus est reprehensio, barbam habens copiosam et rubram, capillorum colore, non longam sed bifurcatam, oculis variis et claris existentibus. In increpatione terribilis, in admonitione placidus et amabilis, hilaris servata gravitate. qui nunquam visus est ridere flere autem saepe cet.* (Gabler Opp. II. 636 sqq.). Na najdawniejszych chrześcijańskich pomnikach sztuki ukazuje się Zbawiciel jako młodzieniec 15—20-letni bez brody; od XI wieku obrazy Chrystusa bez brody są bardzo rzadkie, a postać cierpiącego Zbawiciela często starą i szkaradną się natrafia. (Porówn. Izaj. 53, 2—5).

w wodzie, gołąb' unosi się ponad głową Jego; św. Jan Chrzciciel odziany skórą zwierzęcą.

Chrystus jako nauczyciel i cudotwórca, w towarzystwie Apostołów; oni wszyscy jak mistrz ich, z gołą głową w sile wieku. Piotr z łysém czołem prawie już starzec; Jan niemal dziewiczy i sam jeden gołobrody (1).

Wjazd palmowy: Chrystus jedzie na ośle, za którym niekiedy źrebiątko postępuje (Mat. 21, 5), ścielą mu pod nogi suknie i rzucają kwiaty.

Wieczera Pańska: Zbawiciel siedzi z 12 uczniami przy stole. Jan jakby dziecko spoczywa na piersiach Jego. Judasz Iskaryota trzyma worek.

Góra Oliwna: Zbawiciel klęczy modląc się w ogrodzie, Anioł z kielichem cierpienia unosi się ponad nim; trzech uczniowie śpią.

Biczowanie: Chrystus obnażony przywiązany jest do słupa.

Ukoronowanie cierniem: Korona cierniowa kijami wtłoczona.

Ecce homo: Jezus odziany jedynie w płaszcz purpurowy, pokrwawiony, z cierniową na głowie koroną i trzcina zamiast berła w rękę (Jan 19, 5).

Stacye: wypadki które się w drodze od sądowego domu Pilata aż do góry Kalwaryi zdarzyły. W późniejszych wiekach średnich, przynieśli z sobą wracający pielgrzymi obyczaj, że w europejskich miastach zakładano Kalwaryjskie góry, do których droga na pojedyncze równo krokami odmierzone stacye się dzieliła. W Norymberdze droga do cmentarza św. Jana, podzielona jest na 7 stacyi.

Ukrzyżowanie: Najdawniejsze znane nam krucyfiksy odnoszą się do czasów Karola W. W katakumbach znajduje się na niektórych obrazach Chrystus przedstawiony na krzyżu, atoli w ubiorze i z podniesionemi w górę ramionami. Aż do XI wieku Zbawiciela zawsze ubranego przedstawiano, w XI i XII stuleciu w krótkiej sukni bez rękawów, już wszakże niekiedy z obnażoną piersią; w XIII wieku suknia już zupełnie krótka i wystarcza tylko od bioder do kolan; od XIV wieku pozostała

(1) Grecy przedstawiają Jana starszym i brodatym.

jedynie niekiedy szeroka powiewająca chustka około bioder. Wedle dawniejszego średniowiecznego typu, obiedwie nogi Zbawiciela są obok siebie dwoma gwoździami przybite i spoczywają na kielichu; później nogi są założone jedna na drugą i tylko jednym gwoździem przynocowane. W odleglejszej starożytności, Chrystus jest przedstawiony żywy i pięknej postaci, później konający albo zmarły, i odrażający. Aniołowie chwytają krew płynącą z pięciu ran Jego, niekiedy zaś krew płynącą z boku chwytają stojący po prawej stronie pod krzyżem Jan, czasem Józef z Arimatei, Nikodem albo Adam wstający z grobu pod krzyżem będącego. Na patenie kielicha Dąbrówki (w Trzemesznie) stoją pod krzyżem dwie postacie: prawa, z koroną u stóp, chorągwią odwróconą, i oczami zawiązanymi: to niby Polska pogańska. Lewa, w koronie już na głowie; z chorągwią proporcem ku górze zwróconą, podstawiła kielich pod płynącą krew z serca Chrystusowego: to wróżebna postać Polki ochrzczonej.

Sam *krzyż* bywa zielony z czerwonymi gałązkami (miał być albowiem według legendy z drzewa, które Set z latorośli drzewa życia na grobie Adama zasadził), od XIV zaś wieku przyjął krwawą barwę i kształt prostej belki bez gałęzi. Często krzyż kończy się w rogach naksztalt liści koniczyny i ozdobiony godłami czterech Ewangelistów: nigdy w górze w późniejszych czasach nie brak napisu Pilata, „I. N. R. I.” Marya i Jan stoją obok krzyża; Marya Magdalena klęczy pod nim częstokroć pień jego obejmując, a Marya Jakóbową i Marya Salome są w pobliżu. Żoldak (niekiedy żyd) przebija włócznią prawy bok Zbawiciela; pogański setnik Longinus w rycerskiej zbroi konno albo pieszo, podnosi prawicę uznając Syna Bożego (Łuk. 23, 47 i t. d). Łotry przywiązani są do krzyżów mających kształt litery T; grono żołnierzy dzieli pomiędzy siebie szaty Zbawiciela. Na niebie widać księżyc i słońce (czasem uosobione przez aniołów), oplakują świętą krwi ofiarę.

Obrazy nieszporne, t. j. przedstawienia wypadków, które zaszły wieczorem po śmierci Jezusa.

Zdjęcie z krzyża: oplakiwanie i pogrzebanie Chrystusa; kobiety, Jan, Józef z Arimatei i Nikodem są obecni przytém.

Grób św. podłużna czworoboczna wymurowana skrzynia, uzbrojeni stróże w liczbie 2—7, zazwyczaj 3ch śpiący.

Zmartwychwstanie: Z otwartego grobu występuje Zbawiciel z krzyżową chorągwią, jeden albo dwóch aniołów siedzi na grobie, stróże zasypiają.

Wniebowstąpienie: Często widać tylko nogi zakrytego już obłokami Odkupiciela „na górze pozostawił ślad stopy swojej” (Piotr I, 2, 21).

Obrazami Zbawiciela zowią się wizerunki Chrystusa w blasku chwały. Obraz jest często w paraboliczno kończącej oprawie, rzadkiej w trójkątnej. Pan stoi albo siedzi, częściej na tęczy jak na tronie (Apok. 4, 3); prawicę ma wzniesioną do błogosławieństwa, w lewej trzyma księgę żywota (tamże 20, 12) albo zwój pisma. Od głowy Jego na prawo idzie gałązka liliowa *virga oris suae* (Izaj. 1, 4), po lewej miecz (Apokal. 19, 15); nogi Jego spoczywają na kuli świata (Izaj. 66, 1). W sposób tak opisany widzimy niekiedy przedstawionego samego tylko Zbawcę, np. w środku łuków w kościelnych podwojach, niekiedy w większych kompozycjach sąd ostateczny przedstawiających, niekiedy nakoniec w tak zwanych drzewach genealogicznych, które się szczególnie na malowanych oknach napotyka, w kształcie licznych gałązkami powiązanych obrazków. Najniżej mieści się obraz ojca rodu Dawidowego Jessego (Izaj. 11, 1): leży wyciągnięty na łożu, a z piersi jego wyrasta pień drzewa; następujące latorośle i figurki idą zwykłą kolejną: Zwiastowanie N. M. P., Boże Narodzenie, Ukrzyżowanie, Zmartwychwstanie, i Zbawiciel w majestacie jako sędzia świata; niekiedy jest jeszcze Bóg Ojciec u najwyższego szczytu drzewa genealogicznego. Obrazy przedstawiające *Sąd ostateczny* i *Zmartwychwstanie zmarłych* zasadzają się głównie na treści ewangelii (Mat. 25, 31 i nast.); aniołowie po prawicy wyprowadzają błogosławionych z grobów; po lewicy fantastyczne postacie diabłów (często zielonego koloru) wloką potępionych na wieczyste męki, które przez niektórych malarzy z najdziwaczniejszą fantazją w szczegółach swoich skreślane bywają: np. w kościółku wsi Kleczy (w Wadowskiem) były po ścianach malowane grzechy ludzkie, a w odpowiednich kwadratach, co za nie diabli w piekle robią.

Osoby Starego Testamentu: Adam i Ewa, nago, opasani liśćmi figowemi, które na najdawniejszych obrazach niekiedy biodra wkoło otaczają; stoją obok drzewa (jak np. jabłoni) wiadomości, około którego wije się wąż często ludzką mający

głowę. Po wypędzeniu z raju, pierwsi ludzie ukazują się zaraz w średniowiecznych szatach. Adam trudni się rolnictwem, Ewa przędzie albo karmi dziecię.

Patryarchów przedstawiają w tradycyjalnym stroju, z długimi brodami, w długich sukniach, z nakrytą głową. Mojżesz ma rogi. Rogi w biblii są godłem potęgi (*facies cornuta* 2 Mojż. 34, 29) i trzyma tablice prawa; często stawiają jego jako pierwszego z proroków, obok ostatniego w ich rzędzie Jana Chrzciciela. *Aaron*: w sukniach kapłańskich. *Jozue* *Gedeon*: po rycersku. *Dawid*: w stroju królewskim z arfą. *Czterej arcyści*: Assaf, Heman, Etan (1 Chron. 15, 10) i Iditun (tamże 16, 42). Powszechną oznaką proroków jest zwój pisma. *Abdyasz*: (Obadya) z dzbanem wody i chlebem (1 Król. 18, 4); *Amos* jako pasterz z owcami (Amos 1. I, porównaj 7, 14). *Daniel* klęczy nago z wzniesionymi rękami w lwiej jaskini, albo ma barana o czterech rogach przy sobie (Dan. 6, 16, 8, 8); *Eliasz* z mieczem (1 Król. 19, 1) i obudzonem obok siebie dziecięciem (tamże 17, 17 i t. d.), jedzie na ognistym wozie do nieba (2 Król. 2, 11). *Elizeusz* niesie dwugłowego orła (jako podwójnego ducha bożego; tamże 2, 9) na barkach. *Ezechiel* trzyma bramę z wieżami na ręku (zob. Ezech. 40). *Jeremiasz* z różgą w ręku (Jer. 1, 11). *Izajasz* z piłą. *Joel* ze lwem, który go miał poszarpać. *Jonasz* z wielorybem, który go połknął (Jonasz 1, 15, 2, 1). *Malachiasz* z aniołem (Mal. 3, 1). Obok Zacharyasza malują kościół w budowie (Esra. 5, 1, 6, 14). Jeżeli pojedynczy prorocy w związku z nowotestamentowymi obrazami się zdarzają, dzieje się to z odniesieniem tychże do takowych proroctw, które odpowiednie zdarzenia w Nowym Testamencie miały, np. *Micha* z powodu proroctwa 5, 2, i *Zacharyasz* odnośnie do 13, 1 często w bliższym związku z N. P. Maryą, a na jednym witrażu z XIII wieku, przedstawiającym drzewo rodowe Chrystusa w chórze kościoła św. Kumberta w Kolonii (zob. Boisferée tabl. 72) przedstawionymi są: *Izajasz* (11, 1) i *Habakuk* (3, 3) przy Zwiastowaniu N. P. M. *Ezechiel* (17, 24) i *Amos* (9, 13) przy Narodzeniu Chrystusa. *Joel* (3, 21) i *Haggai* (2, 8) przy ukrzyżowaniu. *Micha* (1, 3) i *Nahum* (1, 5) przy Zmartwychwstaniu Zbawiciela. *Aniołowie* w tradycyjalnym stroju, ze skrzydłami, i często niosą muzyczne narzędzia; następujący zaś mają szczególne godła: *Czterej archaniołowie* (1 Tess. 4, 16) *Michał*

(Juda 9) w zbroi rycerskiej walczy ze smokiem i waży dusze. *Gabryel* (Łuk. 1, 19) zwiastun narodzenia Samsona (Sędz. 13, 3), *Jana* i Chrystusa, z gałązką lilii; w XV i XVI wieku malowano go jako myśliwego z trąbką i psami, polującego na jednoroźca, który się przed nim na łono Maryi schronił. *Rafaël* jako wędrownik towarzyszy Tobiaszowi, ukazuje się pasterzom przy Narodzeniu Chrystusa. *Uryd* z zwojem pisma albo księgą siedzi na grobie Jezusa. Aniołowie: *Chamael* z kielichem i laską, pociesza zlanego krwawym potem Jezusa na górze Oliwnéj; *Haniel* niesie wodną trzcinę i cierniową koronę; *Jofiel* wypędza pierwszych rodziców ognistym mieczem z raj. *Żadkiel* z barankiem obok siebie, przeszkadza Abrahamowi do ofiarowania Izaaka. *Żafkiel* z różczką w ręku idzie przed Izraelitami na puszczy.

Cała niebieska hierarchia (1) dzieli się na 9 chórów (Seraphini, Cherubini, Throni, 2 Dominationes, Virtutes, Potentiae, 3 Principatus, Archangeli, Angeli), a w greckim kościele wszystkie te stopniowe godności mają swoje odróżniające ich oznaki. Osoby boskie, aniołów, apostołów i proroków w ogóle z bosemi nogami się malują.

Uwaga 2. Przedstawienia składu apostołskiego i Mojżeszowych: Dziesięcioro Bożego przykazania, z których pierwsze już z wcześniejszych, ostatnie szczególnie z późniejszych wieków średnich w kościołach tu i owdzie napotykamy, mają cel *dydaktyczny*, obeznania ludu z textem tych głównych katechetycznych części. Obrazy które skład apostołski za przedmiot swój mają, odnoszą się do podań opowiadanych najprzód w IV i V wieku przez apostołów (2); ostatnie są zebrane, a każdy z apostołów mówi jedną część wyznania apostołskiego wedle dołączonych wstęp z napisami. I tak Piotr: Credo in Deum, patrem omnipotentem, creatorem coeli et terrae; *Andrzéj*: Et in Jesum Christum, filium ejus unicum, Dominum nostrum; *Jakób Zebedeusz*: Qui conceptus est de Spiritu sancto, natus ex Maria virgine; *Jan*: Passus sub Pontio Pilato, crucifixus, mortuus et sepultus; *Tomasz*: Descendit ad inferna, tertia die resurrexit a mortuis; *Jakób Alfeusz*: Ascendit ad coelos, sedet ad

(1) (Pseudo) Dyonizyus, Areopagita de hierarchia coel. c. 3. (Opp. T. I.).

(2) Zob. *Sermo* 115 w benedyktyńskim wydaniu ś. Augustyna V, 280. *Fabricii Cod. apocr.* N. T. III. 339.

dexteram Dei patris omnipotentis; *Filip*: Inde venturus est judicare vivos et mortuos; *Bartłomiej*: Credo in Spiritum Sanctum; *Mateusz*: Sanctam ecclesiam catholicam, sanctorum communionem; *Szymon*: Remissionem peccatorum; *Judasz Tadeusz*: Carnis resurrectionem; *Maciej*: Et vitam aeternam.

Dziesięcioro Bożego przykazania wystawiają albo na tablicy prawa trzymanej przez Mojżesza, albo w szeregu wolno wymyślonych obrazów, w których przykłady zachowania i przestąpienia takowych są wyobrażone; posłusznym niekiedy anioł, winnym diabeł towarzyszy. Text dekalogu w tych obrazach ukazuje się dowolnie przedstawiony; siódme przykazanie stoi zwykle przed szóstém (1), a w obydwóch ostatnich przykazaniach, kolój wedle 5 Mojż. 5, 21, jest zwyczajna.

Wyobrażenia świętych stanowią większą część obrazów napotykanych w średniowiecznych kościołach.

W każdym kościele szczególnież wizerunki patronów, którym dyecezyą, kościół i t. p. poświęcono, często się powtarzają; główny patron kościoła ukazuje się bardzo często nad zachodnimi głównymi drzwiami, na odwrotniej stronie wielu skrzydeł ołtarza, na szczytach wieżowych pod chorągiewkami (np. u św. Jana w Kolonii i na wschodnich wieżach katedry w Merseburgu i t. d.). Na pomnikach wotywnych, mianowicie tych świętych się przedstawia, którzy byli patronami opiekuneczemi założyciela albo donatora.

(1) To przestawienie tych dwóch przykazań znajduje się już w bardzo dawniej Anglo-saskiej wersji Dekalogu, w dziele *J. Geo. Eccard Monumenta catechetica* 201. O obrazowych przedstawieniach dziesięciorga Bożego przykazania zob. *Neue Mittheilungen des thüringisch-sächsischen Vereins*, V. 1, 93 i nast.; VI. 3, 127 i nast.

MELPOMENA.

Córko Eurypidesa, ty Grecy dziewczico!
O Muzo! gdzież twa biała nieskalana szata?
Kapłanko czystych świątyń! gdzież lira bogata?
Gdzież twe płaszcze co złotem i purpurą świecą,
Która z cudnego czoła spływała na ramiona?
Gdzież twe płaczki i płacze, i boleść dotkliwa,
Która duszę zasępia i serce rozrywa?...
O kapłanko! gdzież twoja przezzysta opona?...
Tyś ją dziś zamieniła na łachman znoszony!
Zachrypiły dziś gminnością twe miodowe tony,
Tyś ze świątyń zstąpiła na błoto ulicy,
Aby słuchać wymyślań brudnej nierządnicy!

Dzisiaj już piękność w sztuce przepadła na wieki,
Gdy bezwstydn straszne z lupem roztwiera powieki
I wśród ludu sprosnemi wykrzykuje usta.
A nasze widowiska są szkołą rozpusty;
Zdaje się na wysięgi idą autorowie:
Który więcej wszeteczeństw w swoich dziełach powie,
Więcej szkarad rozwinie, nagromadzi cieni,
I więcej twarzy brudnym sromem zarumieni!...

O człeku! z czystym sercem idź na widowiska,
Kędy migotna lampa brudnym światłem błyska,
A zobaczysz tam: jako wśród parnego tłoku,
Każdy cały jest w uchu, każdy cały w oku,
Że aż pulsa stanęły, usta się rozwarły
I człowiek nie oddycha—jak gdyby umarły,
Ale słucha z zajęciem strasznej kału mowy,
I patrzy jak się trują, jak ścinają głowy!

Oto dzisiejszej sztuki wyziewy trujące,
Które Paryż co wieczór pełną piersią wdycha,
Jakby to była nieba atmosfera cicha!...
Oto są muchomory na poezyi łące,
Oto o żółkłym liściu wyłysiałe drzewa,
Na których owoc wprzód gnije niż dojrzewa:
Owoc niezdrowy, zgubny, istna kara boża,
Jak spróchniałe owoce znad Martwego morza!...
Ale w owej przeklętej dzisiejszej Gomorze,
Nie ci są najstraszniejsi, którzy śpią na dworze,

Co wycieńczeni pracą, o włosistej piersi,
 Z głodu są w każdej chwili do zamieszki pierwsi,
 Którzy wyją jak smycza dawno niekarmiona:
 U tych dech nietrujący, choć straszne ramiona,
 Ci obalą marmury, pokruszą kamienie,
 Choć wnet wzbiorą, opadną wkrótce jak strumienie:
 Lecz ci, których wpływ zgubny zostaje na długo,
 Autorowie, co walczą piórem, nie maczuga!....
 Co skalpelem po ludzkiem wyszukują ciele,
 Co żółci w każdej żyłce i brudu jak wiele?
 Aby je wycisnąwszy sprzedać drogo potem,
 Dla których dochód czysty jedynym kłopotem;
 Co wśród szyderstw raniących każde serce czule,
 Wywodzą przed tłum ludu trybularz i stułę;
 Którzy wstyd obnażają nieznając zacności.
 Dalej ciury autorskiej owej społeczności...
 Które po grobach idą rabować niegodnie
 Śpiące tam przeszłych wieków niesłychane zbrodnie!...
 Albo świeżego trupa złączonemi siły,
 Na deski teatralne wywłóczą z mogiły!....
 Czyż nie wiedzą te podle wierszo-kletów zgraje,
 Jak sztuka może łatwo kazić obyczaje
 I ile serc odzianych białemi szatami,
 Ich obrzydły atrament czarnym gęszczem plami!
 O! jakże strasznie zepsuć to, co dobrém było....
 Być złym obywatelem jakże jest nie miło....
 O! zły z jakąż boleścią musi przyszłość widzieć,
 Gdy wie, że się go własne dzieci będą wstydzic!
 Ale zysk ich zaślepia, żądza złota pali,
 Oni się złotu z duszą i ciałem sprzedali,
 Temu staremu bóstwu dzisiejszego świata,
 Które wiarą i cnotą uczciwą pomiata;
 Ono w swe obie garście ujęło ich uszy,
 I wyssało im zacność z pokalanéj duszy:
 Że z nich się każdy dzisiaj dla zysku odważy
 Deptać po kościach ojców i płuć po ich twarzy.

O! hańbo wieczna dla tych szkodliwych partaczy!
 A lubo kat ich swoim piętmem nie naznaczy,
 To ich przeklinać będą odległe prawnuki,
 Za ten kał naniesiony na oblicze sztuki;
 Sztuki przeczystej, która naksztalt lilii kwiatu,
 Dana na nią z niebem zboląlemu światu!....
 A którą przetworzyli w kalekę.... potworę....
 Co pełza na czworakach, bo ma nogi chore,
 I po placach, by więcej wyżebrać grosiwa
 Wyciąga krwawy knykut i wrzody rozkrywa.

Antoni Czajkowski.

Co wyznaczeni przez o wlozisz piaz
 N gloda sa w kazdy chwila do koscisz piaz
 Ktoz wyz jak swyca dwa niekoscisz
 U tych lach niestajny, choj, stazne rancion
 Et obala mowit, pokoz, koscisz
 Choj waz wbiroz, omdaz wkoz jak stuzion
 Lach et, ktoz wyz wazny koscisz az dingo
 Autorow, co wazny koscisz
 Co koscisz, co wazny koscisz
 Co koscisz, co wazny koscisz
 Aby je wazny koscisz
 Et koscisz, co wazny koscisz
 Co wazny koscisz, co wazny koscisz
 Wywodz przed tym, co wazny koscisz
 Ktoz wyz, co wazny koscisz
 Bala, co wazny koscisz
 Ktoz, co wazny koscisz
 Spicz, co wazny koscisz
 Albo koscisz, co wazny koscisz
 Na daki koscisz, co wazny koscisz

PAMIĘTNIKI

PRZEZ

Sabinę z G. G.

(Ciąg dalszy).

Czytelnik wybaczy, jeżeli się dłużej zastanawiałam nad Francją i nad człowiekiem nadzwyczajnym, który nią władał; niepośrednie on także miejsce trzyma w dziejach naszego kraju w pierwszym okresie bieżącego stulecia.

Monarchowie sprzymierzeni zostawiwszy we Francji na lat pięć 150,000 wojska, celem zapewnienia jej wewnętrznej spokojności, rozjechali się do swoich krajów, gdzie ich własne i nagłe powoływały zajęcia. Cesarz Alexander jeszcze w Paryżu przyjmował w dniu 30 września deputacyą polską, wyslaną od narodu z oświadczeniem wierności i uszanowania; sam zaś wracając z tej wojny, w dniu 12 listopada odbył świetny, jako król polski wjazd do Warszawy, gdzie mieszkańcy z własnego natchnienia domy swoje oświecili, a lud wdzięczny za wskrzeszenie polskiego imienia, głośnie okrzykami radość swą objawiał. W czasie pobytu swojego w tym mieście, Cesarz czas swój dzielił jużto oddając się urzędzeniu królestwa i jego wewnętrznej organizacyi, już też uczęszczając na parady wojskowe i towarzystwa prywatne, którym wiele się udzielał. Oprócz kilku ofiarowanych sobie balów, które bytnością swoją zaszczycił, bywał prywatnie u wielu dawniej znajomych sobie osób, np. u księżny Radziwiłłowej z Nieborowa (z domu Przędzieckiej), pani Stanisławowej Potockiej, pani Ordynatowej Zamojskiej, pani Bronćowej żony marszałka dworu, który jeszcze

za króla saskiego godność tę piastował, i u pani wojewodziny Gutakowskiej. W tych odwiedzinach nie zachowywał żadnej etykiety, przyjeżdżał zawsze niespodzianie i tak szybko przebiegał wschody, że gospodyni domu nie miała czasu wyjść na jego spotkanie do drzwi pierwszego salonu, i najczęściej przyjęcie to miało miejsce w buduarze, tojest w pokoju, w którym zazwyczaj przebywała. Zdarzyło się raz jakoś w początkach swojego w Warszawie pobytu, że ludzie księżny Radziwiłłowej widząc wchodzącego do przedpokoju wojskowego w płaszczu, bez żadnej assistencyi, nie myśląc żeby to miał być Cesarz, puścić go do salonu nie chcieli: co później monarcha z wielkim śmiechem księżnie opowiadał. Bywając prawie codziennie u księżny pragnął, aby sobie z nim żadnego nie robiono kłopotu; chciał, aby był uważany za prywatnego w literalnym tego wyrazu znaczeniu. Wbrew etykietcie nie pozwalał, aby się usuwano gdy wchodził do salonu; w czasie gdy bawił u księżny, gdy nadjeżdżały inne wizyty, Cesarz pomagał księżnie do czynienia honorów, podawał krzesła paniom, zdejmował szale, bawił je różnorodną, pełną uprzejmości, dowcipu i łatwości konwersacją. Tęj jego popularności niektórzy nadużywali. Kiedy nieco później pani... prezentowała mu jednego z przyszłych swoich zięciów, pół-pana, pół-literata, pół-mędrka, a w summie człowieka, jak to mówią po polsku niedowarzonego; Cesarz pełen szacunku dla tego domu, zapytał się pana.... jakimu się głównie przedmiotowi poświęca i czém jest? „Sire, odpowiedział słowami satyryka francuzkiego, *je ne suis rien, pas même académicien* (1). Cesarz, który się nie bawił w przysłowia francuzkie, tyłem się obrócił, nie zwracając już wcale tego wieczora mowy do mniej zręcznego naśladowcy, niedoszłego akademika. Ten ton pełen umiarkowania, który stanowił cechę charakterystyczną w obejściu cesarza Alexandra, nie odstępował go także w stosunku z innymi monarchami. Mówią, że kiedy Cesarz był w Paryżu w czasie drugiej restauracyi, Ludwik XVIII, który mimo swoich *jakobińskich pretensyj* (jak się wyrażali ultra-rojaliści), bawił się czasami wspomnieniami nieubłaganęj etykiety dworu wersalskiego, mając go dnia jednego u siebie na

(1) Mówią, że Piron w szale nieukontentowania przeciw Akademii francuzkiej, która wzbraniała się go mianować swym członkiem, sam napisał te słowa przeznaczone do umieszczenia na jego nagrobku: *Ci git, Piron qui ne fut rien, pas même académicien.* (Prz. aut.).

obiedzie, gdy szambelan (*gentilhomme de la chambre*) przyszedł z oznajmieniem, że dano do stołu: przeszedł pierwszy do sali jadalnej, nie zważając na obecność swojego wysokiego gościa: Cesarz spostrzegłszy to udawanie wyższości w monarsze, który z łaski sprzymierzonych tron przodków odzyskał, uśmiechnął się na to, mówiąc do ucha sąsiadowi swojemu: *Nous autres barbares du Nord, nous sommes plus honnêtes* (1). Ta dobroć nigdy Cesarza nie opuszczała. W czasie jednego z swoich przejazdów przez Lublin, dowiedziawszy się, że w nim przemieszkuje generałowa Wajssenhof, zapragnął dać jej wiadomość o jej mężu, którego dniem wprzód widział. Przywołałszy do siebie prezesa kommissyi wojewódzkiej: „*zechcesz pan, powiedziać, iść do pani Wajssenhof i oświadczyć jej, że dla mojego ubrania podróżnego, nie mogę jej widzieć osobiście; ale donoszę, że mąż jej zdrowy, że go wczoraj widział na paradyzie i żeśmy oba na deszczu nielitościwie zmokli.*”

Cesarz lubił bardzo Warszawę, którą nazywał swoim *małym Paryżem* i rad w niej przebywał. Po kilku-tygodniowych festynach, wyjechał w dniu 3 grudnia do Petersburga, a dnia 24 tegoż miesiąca, jako w dniu jego urodzin, ogłoszono konstytucyą i instalowano namiestnika w osobie generała Józefa Zajączka. W Krakowie kommissya organizująca, o której wyżej wspominałam, w imieniu trzech opiekuńczych dworów zaprowadziła w dniu 20 listopada nową dla tej krainy przeznaczoną konstytucyą. Król pruski posłał do Poznania na swojego namiestnika księcia Antoniego Radziwiłła, męża księżny Ludwiki pruskiej, stryjecznej swojej siostry. Dekretem noszącym dawniejszą datę z 22 maja, urządził ogólne dla wszystkich krajów berłu jego podległych stany prowincjonalne. Z trzech monarchów panujących nad prowincjami dawniej Polski, w rozdawnictwie praw i przywilejów, cesarz austriacki najmniej się szczodrym okazał. Postanowił coroczne sejmy we Lwowie odbywające się, złożone

(1) Żaden z dworów europejskich nie posuwał podobno tak daleko fanatycznego przywiązania do etykiety i form, nietylko poddanym, ale i innym monarchom uwłaczających, jak dawny dwór wersalski. Ta duma zakrawająca na uniwersalne państwo, dziwnie się wydawała szczególnież cesarzowi Józefowi II, który ją wyrzucał siostrze swojej biednej Maryi Antoninie. Według tej etykiety nie było prawie przykładu, aby król francuzki u kogokolwiek znajdował się w gościnie, wyjąwszy czasami na wsi na wielkich polowaniach, i to *prawie* wyłącznie u ksiąząt krwi królewskiej (*Princes du sang*), lub mniej więcej dalekich dynastyi krewnych.

z deputowanych wybranych przez szlachtę, którzy mieli przywilej wysłuchania tak zwanych postulatów dworu, żadnego zresztą charakteru reprezentacyi niemające. Te sejmy, których najgłośniejszą częścią były parady i obiady dawane przez kommissarzy cesarskich, w trzech dniach się kończyły.

Cesarz Alexander powierzył, jak to wyżej powiedziałam, dowództwo wojska polskiego Wielkiemu księciu Konstantemu, który zaprowadził w niem karność i porządek, utworzył szkoły podchorążych, kadetów, szkołę artyleryi i inżynieryi, czyli tak zwaną aplikacyjną, odpowiadającą akademii wojskowej, z której wychodzili wyborni tej broni oficerowie. W lazaretach i całej wojennej administracyi wprowadził nieznaną dotąd w Polsce system porządku i czystości, tyle dla zdrowia pomocnych. Nowo-mianowany namiestnik, generał piechoty Zajączek, mógł mieć około lat 60. Przyznawano mu więcej w sztuce wojennej biegłości, niż szczęścia w boju, gdyż najczęściej bitwy przegrywał. Utraciwszy nogę w czasie kampanii r. 1812, chodził na kuli; znamię to waleczności i poświęcenia czyniło wybór jego miłym krajowi, a szczególnież średniej klasie obywateli, którzy radzi oglądali jednego ze swoich u steru rządu. Należy tu oddać, co komu należy. Okres przejścia namiestnika Zajączka odznaczył się dobrą administracją i porządkiem, jakie nigdy dawniej w Polsce nie zagościły. Pragnął, aby pod jego zarządem będące królestwo handlem i przemysłem, żadnemu innemu krajowi nie ustępowało. Mawiał on często, że najgorętszym życzeniem jego jest, aby dzieje o nim, jak niegdyś o Kazimierzu Wielkim powiedziały, że zastał Polskę *drewnianą*, a zostawił ją *murowaną*: jakoż zaraz następnego roku 1816 wyrobił u Cesarza asygnacją na złp. 300,000 na tak zwany *fundusz żelazny* dla Warszawy, a na 90,000 dla Kalisza, z którego dotąd udzielane są pożyczki dla murujących w tych dwóch miastach nowe domy. W skutku tak znacznej pomocy, Warszawa nagle przybrała wzrost i pozór jednego z najpiękniejszych miast Europy. Do tego wzrostu niemało się przyczynił pobyt pięciu pułków gwardyi rossyjskiej, których korpus oficerów złożony z synów najbogatszych rodzin częścią rossyjskich, częścią z zabranego kraju, wielkie summy w handlu zostawiał. Kupiono na mieszkanie dla namiestnika pałac Radziwiłłowski, a sprzęty do niego z Paryża sprowadzone, z wyboru znanej z gustu i elegancyi namiestnikowej Zajączkowej, blisko

milion skarb kosztowały. Minister spraw wewnętrznych Tadeusz Mostowski, piękny swój pałac sprzedał rządowi na Komisją Spraw Wewnętrznych, i sam jako minister prezydujący w tym wydziale w nim zamieszkał. Rozprzestrzeniono niektóre ulice Warszawy, mianowicie Nowy-Swiat i Krakowskie-Przedmieście; bramę krakowską, ratusz grzybowski i wiele innych niepotrzebnych gratów zniesiono, a na ich miejsce piękne i obszerne zostawiono place. Jednocześnie z objęciem rządów powziął Zajączek myśl zaprowadzenia w kraju bitych gościńców (chaussée), i w tym celu wysłał do Prus zdatnych inżynierów, dla przypatrzenia się tamtejszemu systemowi dróg murowanych i zdjęcia z nich wzorów: dla pokrycia kosztów ustanowiono nowy podatek w naturze i pieniądzach, nazwany szarwarkiem. Rozesłani na wszystkie strony inżynierowie wojskowi, wytknęli w prostej linii drogi łączące wsie i miasta, oraz wyznaczyli miejsca na porządne a nawet okazałe austerye. Sprowadzono z zagranicy biegłych w sztuce, i uformowano z nich piękny korpus drogowy. Poczyszczano niektóre miejsca z zawad spław tamujących, wykopano słynny augustowski kanał łączący Niemen z Narwią, Bugiem i Wisłą. Cesarz Alexander założył w Warszawie uniwersytet, który wspaniale uposażył; w krótkim czasie jego gabinety, muzea, a nadewszystko biblioteka księgami po suprymowanych klasztorach wzbogacona, przyszły do wzrostu, jakiego wiele dawnych nie miało uniwersytetów. Niemalą także temu naukowemu zakładowi pomoc przyniosło Towarzystwo warszawskie przyjaciół nauk: jego zbiory broni, medalów, biblioteka prywatnemi darami ciągle powiększana, zawierały w sobie rzadkie sztuki i starożytności osobliwości. Samo Towarzystwo własną pracą i przez ogłoszone konkursy, wiele się przyczyniło do rozwoju mowy i literatury polskiej, a szczególnie krajowych dziejów.

Przemysł i handel poczęły kwitnąć. Przez podniesienie w Rosyi cła od sukna zagranicznego, a znizenie go od polskich wyrobów, fabrykanci niemający na niego odbytu w Szląsku, Saxonii i Czechach, posłyszawszy o przywilejach, jakie są zapewnione dla przybywających do Polski cudzoziemców, w wielkiej liczbie się tu z rodzinami, czeladzią, warsztatami i majątkami sprowadzili, i na miejscach pustych pozakładali miasta, dziś po kilkaset domów i kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy ludności liczące. Za tém poszło podniesienie się cen wełny. Jeszcze

za Księstwa Warszawskiego, król saski założył w niektórych dobrach narodowych owczarnie, dając na pierwszy zakład sztuki z najpiękniejszych saskich elektów, które po rozmnożeniu do prywatnych sprzedawano owczarni. To samo co do koni i bydła uczyniono w Janowie i innych królestwa okolicach. Obłożono także bardzo wysokiem cłem płótno do kraju wchodzące, jak równie i wyroby bawełniane, a od bawełny surowej zniżono go do nie nieznaczącej prawie ilości; przez co zachęcono przemysłowców do zakładania w kraju fabryk i przędzalni na wielką skalę. Zaprowadzono towarzystwo ogniowe, któremu zastosowaniem do miast i dóbr rządowych, przygotowano dalsze jego rozwinięcie. Dziś ta instytucya należy u nas do najświetniejszych i najużyteczniejszych w kraju. Utworzono w Kielcach dyrekcją górnictw z uposażeniem złp. 300,000 rocznego dochodu. Sprowadzono z Fryburga w Saxonii ludzi fachowych, którzy na wzór zagranicznych tego rodzaju zakładów pozaprowadzali maszyny, budowle, a nawet rzeczy ku ozdobie i wygodzie służące, jak np. ogrody, resurse, czytelnie, restauracye i t. p. Założoną była przez nich szkoła górnicza, gdzie młodzież polska w liczbie blisko sto uczniów, teoretycznie i praktycznie kształciła się w sztuce górnictw.

Dla złagodzenia ciężarów rolnika, cesarz dekretem w Petersburgu wydanym, dziesięcinę wytyczną pozwolił zamieniać na ziarno lub pieniężną opłatę. Do tej zamiany przyjęto tak dalece właścicielom gruntowym sprzyjający stosunek, że w dobrach gdzie np. dziesięcina przynosiła proboszczowi tysiąc złotych dochodu, po uczynionej zamianie ledwie mu przynosiła kilkadziesiąt złotych lub dziesięć korcy żyta. Dziesięcina snopowa, stanowiąca kiedyś jedyny gruntowy podatek, po zaprowadzeniu religii chrześcijańskiej przez królów duchowieństwu odstąpiony, mogła być praktyczną, gdy posiadacz ziemski żadnym innym nie ulegał ciężarom. W czasach ostatnich, gdy ziemia różnym uległa opłatom, dziesięcina wytyczna zabierała nie jedną dziesiątą część, ale większą połowę czystego dochodu rolnika. Atoli po nastąpionej zamianie, i duchownym zmniejszono podatki w miarę poniesionej straty.

Wielki książę Konstanty utworzył korpus żandarmów, do strzeżenia porządku i publicznego bezpieczeństwa przeznaczony; nadano mu mundury, żołd i urządzenie na sposób francuzki, i złożono po największej części z wysłużonych oficerów i żołnierzy dawnego wojska polskiego.

Znany z nauki i światła minister oświecenia Stanisław Potocki, wiele działał na te wszystkie reformy, a mianowicie na podniesienie w kraju oświaty. Szkoły niedzielne, instytut wychowania panien, rozwój i reformę instytutów naukowych, jego błogiemu zawdzięczamy wpływowi. W owym czasie zjawił się człowiek świętobliwy, który powziął myśl osłodzenia losu owym ofiarom, dla których natura niejako macochą się stała: chcę tu mówić o instytucie głuchoniemych. Ksiądz Falkowski, ów świętobliwy kapłan, na wzór założyciela szpitala dzieciątka Jezus, księdza Boduin, chodził po domach, restauracjach i t. p. miejscach publicznych, i nie bez trudów, potrafił grosz do grosza dorzucając uciulać fundusz na pierwiastkowe tego zakładu uposażenie.

Zaczęto także robić przygotowania do założenia szkoły politechnicznej. W roku 1821 otworzono wystawę przemysłu, będącą najlepszym wzrostu krajowych fabryk obrazem.

Dla zapewnienia czystości wewnątrz Warszawy i większych miast, wyrzucono z ich obrębu gorzelnie i browary; żydom arend, to jest tak zwanego po wsiach monopolium wódki, przez który oni chłopów niemiłosiernie zdzierali, dziedzicom daninę płacąc, surowo wzbroniono. Zachęcano tych Izraela synów do rolnictwa, nadając im do niego różne przywileje; tym sposobem zyskano nadzieję, że ta klasa ludności, która dotąd całą prawie gotowiznę krajową w rękę swoim dzierżyła, tym samym stanie się użytecznym a mniej niebezpiecznym w kraju pierwiastkiem.

W styczniu 1817 r., przybyła do Krakowa ciotka moja Parysowa z mężem, oraz ich wnuczka hrabina Morand, żona para Francyi z całą rodziną. Muszę coś o nich czytelnikowi powiedzieć, zwłaszcza o dwóch ostatnich z tych osób, o których piszą społeczne pamiętniki, w fałszywem ich wystawiając świetle. Panna Franciszka siostra mojego ojca, parą laty od niego starsza, dochodziła lat pięćdziesięciu gdy weszła w związki małżeńskie z hrabią Parysem, wdowcem, którego pierwsza żona Soltykówna z domu, była spowinowaconą z rodziną naszą. Nigdy zrozumieć nie mogłam, co to małżeństwo spowodowało, gdyż państwo młodzi łącząc się z sobą, mieli razem około lat 120 skończonych. Panna generałówna (tak moje ciotkę

w ówczasowém towarzystwie w tytułach zamiłowaném, nazywano), panna generałówna była niska, ułomna; miała twarz przyjemną, rysy szlachetne, łagodność i uprzejmość w obejściu, wiele znajomości ludzi i świata, talent rzadki opowiadania i pisania listów. Ubierała się wykwintnie, bogato nawet: nosiła według ówczesnej mody suknie długie z ogonem, pierścienie na wszystkich palcach, wiele klejnotów i biżuterji; do rannego stroju nosiła zegarek paryzki Bregetowski wysadzany małemi brylantami, który nigdy nie szedł, zażywała tabakę z małej, okrągłej, złotej emaliowanej tabakierki, na wierzchu której był wymalowany Kupido strzelający do Wenery. Całą młodość i część znaczną wieku dojrzałego przepędziła w Wiedniu, bywała u dworu, wiele widziała, wiele pamiętała, i jak powieziałam, doskonale opowiadała. Jak znaczna liczba osób jej stanu i wieku, zamiłowanie świata i ludzi do późnej dochowała starości: dla niej potrzeba było hałasu, gwaru, gry i tańców, aby była w swoim żywiole. Wszakże i przy kominkowych zebraniach była nieporównaną. Słuchając ją mimowolnie przychodziła na pamięć historia owój słynnej, tajemnej żony wielkiego i dawnego monarchy, która w podeszłym już będąc wieku, potrafiła jego serce podbić jedynie zręczném i dowcipném opowiadaniem (1). Otóż i o panie generałównie mówiono, że mimo niewydatnej powierzchowności wznieciła niejedną namiętność, bo jak we Francji XVII stulecia, tak i w naszej Polsce nie brakło na ludziach, którzy dowcipną pogadankę nad wszystkie inne cenili przyjemności. Nieraz bywało zegar uderzył godzinę trzecią po północy, świece gasły, drzewka dopalały się na kominku, ludzie w przedpokoju ukończywszy swojego ulubione-

(1) Do jakiego stopnia talent ten był wysoko ceniony we Francji w XVII wieku, mamy dowód w następującej anegdocie, którą wszystkie biografie pani de Maintenon (o niej tu mowa) powtarzają. Gdy nosiła jeszcze skromne pani Scaron nazwisko, przyjmowała u siebie co wieczór za życia pierwszego męża, poety gminnego ale wielce dla wesołości swjej wziętego, grono jego przyjaciół równie szalonych jak on sam. Gdy jednak zasoby finansowe małżonków Scaron niezawsze odpowiadały ich dowcipowi i uprzejmości przyjęcia, zdarzało się, że wieczera stanowiąca w owym czasie jeden z koniecznych życia towarzyskiego warunków, niezawsze w całkowitym dopisywała komplecie. Gdy się to trafiało, stary lokaj sposobem dawnych sług wielce o sławę domu troskliwy, stawał za stołkiem swjej pani i szepnął jej do ucha: „*madame, encore une histoire s'il Vous plait, car le roti nous manque aujourd'hui.*” Na to doniesienie wiernego sługi pani Scaron przydawała anegdot i dowcipu, a jej goście zapomniawszy o głodzie, weseli i zadowoleni do domu wracali. (P. a.).

go *kiksa*, siedząc na ławkach zasypiali przy dogorywającym kagańcu, a rodzina nasza i przyjaciele rozłożeni w półkołu koło krzesła panny generalówny, z niepojętym słuchali ją zajęciem. Jój opowiadania odnosiły się do czasów pani hetmanowej Ogińskiej, domu Puławskiego, pani kasztelanowej Połanieckiej, panny Joanny Świdzińskiej, z którą w nader przyjaznych zostawała stosunkach, i pani kasztelanowej Dembowskiej, krewnej swojej, przy której czas jakiś bawiła. Wspominała panią Soltykową ex-podstolinę z domu Sapieżankę, arcybiskupa Skarzewskiego. J. U. N. i antypatyczną nieprzyjaźń tego ostatniego dla arcybiskupa. Koligacye książąt i dworów niemieckich znała jak gdyby się była rodziła redaktorką Almanachu de Gotha. Opowiadała różne szczegóły o ich prywatnym życiu, a mianowicie o dworze wiedeńskim, o nieubłaganej jego etykiecie, tworzącej zupełną sprzeczność jego z oszczędnością, prostotą i stosunkami członków domu austriackiego. Rozповідаła wiele zajmujących szczegółów o owej białej postaci czyli duchu familijnym tego domu, który od czasu śmierci Maryi-Teressy ukazywał się przed zgonem lub przy zgonie każdego z jego członków, jako złowieszcza przepowiednia bliższej śmierci. Tu czasami wtrącała anegdoty o towarzystwie wiedeńskim, jego formach i zwyczajach, o słynnych graczach dobrego tonu, ich figlach i przebiegach, o rozbójnikach, których jeszcze mnóstwo po drogach i lasach znajdowało się. Nieraz słuchając jój, oparłszy głowę na kolanach mojej matki, zapominałam o zabawkach i ulubioném mi zawsze czytaniu, siedziałam godzin kilka nieporuszona na miejscu. Naprózno mnie wołano do dziecinnój wieczery, a następnie do snu: ze łzami wypraszałam się od jedzenia i łóżka, a mój dobry ojciec, który mnie trochę psuł, zdołał czasem uprosić matkę, że mi dłużej pozostać pozwoliła. Wszakże przyjemność tę okupywać musiałam niemałą dozą przestrog, strofowań, moralów, których panna generalówna młodszym od siebie nie szczędziła. Miała ona różne swoje zwyczaje, gusta i nawyki, które trzeba było uprzedzać i szanować, aby uniknąć półgodzinnój dyssertacyi o delikatności, dyskrecyi, uszanowaniu i uległości względem starszych. Gdy ciągnęła *pasjans*, co zwykle miało miejsce w czasie poobiednim lub w wieczór, gdy *partyi* nie było, nim się zabrała do mieszania kart, zaczęła od starannego poukładania na stoliku obok siebie tabakierki, chustki od nosa, bombonierki szylkretowój w zło-

to oprawnej, którą zawsze przy sobie z miętowemi cukierkami nosiła, oraz kolejową talią kart. Biada temu, ktoby jakimś przypadkiem nieprzewidzianym popsuł jęj symetryę tego układu. Przy stole miejsce panny generałównęj oznaczone było krzesłem wyższém od drugich i włóczkową poduszką, w zielony safian oprawną, serwetą wstążką koloru brązowego obwiązaną, długą srebrną łyżeczką, wydrążeniem w ręczce do wybierania szpiku przeznaczoną, mnóstwem karafek, flaszek i kubków na różne pektoralne napoje, a przedewszystkiém lokajem Wincentym, nieodstępny od stołka pani i na jęj skinienie do usług gotowym. Czas swój dzieliła między ludzi, spędzała nad klockową tiulową robotą, na wiście, pasiansie i pisaniu. To ostatnie najwięcej jęj zabięrało czasu, szczególnie na wsi.

Pisała zrana, pisała po południu, pisała czasem i w nocy. Co pisała?—nikt nie wie: jest to tajemnica, którą z sobą do grobu poniosła. Domyślano się tylko, że to mogły być pamiętniki jęj życia, może akta długiego i nader dolegliwego procesu, który jęj ostatnie lata zatruwał, listy których mnóstwo, długie, bitym charakterem kręślone na wszystkie rozpisywała strony. Pisała jak pani de Sevigné: mam u siebie kilkanaście jęj listów do moich rodziców pisanych, które podziśdzien z przyjemnością i zajęciem czytać można. Nikt jęj nie prześcignął w sztuce opisywania charakterów, ubiorów, zabaw, scen i anegdot życia. Jęj pamiętniki byłyby niemałą pomocą do obeznania się z przypadkami, postaciami i obyczajami jęj czasów; zdaje się wszakże, że pisma swoje przed śmiercią, która nastąpiła w Kromolowie (1) 1826 r. własną zniszczyła ręką.

Wiele także czasu poświęcała klockowęj tiulowęj robocie, do któręj miała mały mahoniowy, bardzo zgrabny, perłową macicą wysadzany warsztacik. Muszę tu nawiasem powiedzieć, że przed laty trzydziestą tiul nie był wcale jak dziś powszednią, a nawet pospolitą, gminną częścią ubioru kobięt. Moja matka w chwili śmierci (1823 r.) miała w swojej garderobie jedynie dwa częпки strojne i dwa zawoje tiulowe, które wielce ochraniała. Zwyczajnie w handlu znany był tiul do obszycia mniejszęj lub większęj szerokości: taki tiul robiła moja ciotka na swoim klockowym warsztaciku, co było równą osobliwością, jak gdyby ktoś dziś robił u siebie koronki z gatunków

(1) U brata jęj Piotra Gostkowskiego. (*Przyp. aut.*).

prawdziwie bruxelskich. W r. 1823 łokieć tiulu szerokiego płacił się 3 duk., a roku 1817 łokieć tybetu, który poprostu nazywano merynosem, sprzedawano po złp. 24. Wprawdzie nie znano tak jak dziś gatunków pośrednich; obok cen bardzo wysokich, towary w ogóle zalecały się mocą, trwałością i doskonałym wykończeniem. Ten przymiot stosował się także i do innych przedmiotów do wygody, ozdoby, lub domowego użytku służących. W r. 1805 moja matka dostała z wyprawą serwis herbaciany z porcelany saskiej, którego sztuka jedna kosztowała 12 duk. Exystuje on dodziśdnia w całej swojej okazałości bez najmniejszej szkazy, pięknego bardzo malowidła i pozłoty, mimo częstego dość użytku, i jest w ręku successorów mojego brata, którzy go zapewne jeszcze swoim przekazą następcom. Wątpię, aby którykolwiek z dzisiejszych arcy-tanich wprawdzie wyrobów, mógł przetrwać trzy generacye: szczególnie w ręku naszych polskich służących, którzy nigdy wielką zręcznością i ostrożnością nie celowali! I mówią, że wiek *postępuje*. Nie postępuje on, ale leci; na wszystkich jego dziełach znać ślady pośpiechu: to niezaprzeczona prawda!

Ale wróćmy do panny generalówny, od której trochę zбочylałam, za co najmocniej czytelnika przepraszam. Doszła ona, jak to wyżej powiedziałam do lat pięćdziesięciu, żadnego nie uczyniwszy wyboru. Schodziło jęj jakoś w podrózach i zabawach, które niebardzo do poważnego stanu małżeńskiego usposabiają. Gdy ją jednak bardzo niegrzecznie piąty nawiedził krzyżyk, byłaby może i mniej trudna w wyborze, ale pretendentów się przerzadziło, a w końcu weale ich zabrakło. Przyszła dla panny generalówny wiek swatów i układów małżeńskich, wiek, w którym rzadko się ktoś sam żeni, ale ludzie go żenią dla przyzwoitości i familijnych widoków.

W miasteczku Pacanowie, o mil 10 od Krakowa, mieszkał właściciel jego, hrabia Parys lat 70 liczący. Należał on do gatunku tych wdowców, których i dziś pełno wszędzie, którzy się żenią nie z serca, nie z potrzeby, ale z nawyknięcia: ot tak, aby mieć żonę. Hrabia miał niezmyśloną ochotę wejścia w powtórne małżeńskie związki i wynurzył się z nią przed sąsiadką swoją, panią Ignacową Wielogłowską ze Zborowa. „Jakiéjżeto żony życzyłbyś sobie mój hrabio, rzeczce pani Wielogłowska?—„Jużciż nie młodéj”, bo ja stary; tak sobie w średnim wieku: już co do wyboru spuszcza mi zupełnie na znęny mi dobry gust asyńcki”.

Pani W... pomyślawszy trochę: „znam ja, rzecz, osobę, któraby właśnie dla ciebie była, ale nie wiem czy zechce...” „Któż to taki przecie?” „Panna generalówna G...” „Bardzo dobrze, ale jój nie znam, a jestem już zastary, abym do miasta na zaloty jeździł.” „Po co masz jeździć, ona tu w tych dniach zjedzie na imieniny mojego męża.” Hrabia ucieszony ucałował ręce swojej sąsiadki, wstał, wsiadł do powozu i wrócił do siebie. Pani Wielogłowska była starszą siostrą mojej matki. Mając plan małżeństwa ukartowany, napisała do moich rodziców i do bawiącej przy nich panny generalówny list z zaproszeniem na imieniny męża, nie przyznając się wcale do celu tych zaprosin. Między hrabią zaś a nią stanęła umowa, że w sam dzień imienin kandydat do małżeństwa przyjedzie do Zborowa na obiad, że jeżeli mu się panna spodoba, zostanie na wieczór; w przeciwnym razie zaraz po czarnej kawie odjedzie. Gdy przyszedł dzień oznaczony, rodzice moi zjechali. Panna generalówna ubrała się jak zwykle wykwintnie i bogato w brokardową, złotemi kwiatami przesywaną suknię z ogonem, ale stan krótki i kolor sukni jasny, nie mógł być korzystny dla osoby ułomnej i już nie młodej. Przed samym obiadem, zajeżdża z trzaskiem przed balkon pałacu w Zborowie poszóstna karetą hrabiego, poprzedzona koniuszym i z dwoma hajdukami z tyłu. Hrabia wysoki, dobrze zbudowany i prosto się trzymający mimo siedmiu krzyżyków, dziwnie przy pannie generalównie wyglądał: gdy do niej zagadywał, musiał się prawie do ziemi schylić. Z początku patrzył się na nią z pod oka, i wbrew swojemu zwyczajowi, był prawie milczący. Jego postać rezolutna, polska wyłącznie mowa, kontusz z wylotami i żółte buty, raziły trochę oczy panny generalówny, nawykłe już do francuzkiego stroju i mowy. Biedna gospodyni była jak na śpilkach. Widziała jasno, że pierwsze wrażenie obojga nie było na wzajemną ich korzyść. Dano znać do stołu. W czasie obiadu rozmowa z początku jakoś nie szła, jak to zwykle bywa, dopiero po szczupaku faszerowanym i niezbędnych na wiejskiej uczcie francuzkich pasztecikach, gdy kolejne kieliszki zostały wezwane do odegrania swój roli, rozmowa zaczęła się pomału ożywiać, uwagi, dowcipne słowa, grzeczności damom zaczęły się sypać z ust mężczyzn, zdrowie gospodarstwa, dam, obywatelskie *kochajmy się* i mnóstwo nieprzeliczonych jeszcze innych snuły się bez przestanku. Jeden tylko nasz kandydat do małżeństwa pił wprawdzie jak inni, ale nie przestawał być po-

nurym i milejącym. Gospodyni domu niespokojna obrotem ja-ki rzeczy brały, starała się ile możności ukrócić obiad, a korzy-stając z pierwszój sposobności dała znak do wstania: wszyscy przeszli do bawialnych pokojów. Proszę sobie wystawić jój położenie, gdy spostrzegła, że hrabia odprowadziwszy moję matkę na miejsce, nieznacznie posunął się ku swojój białej z sobo-lem czapeczce, leżącój na boku i w końcu włożył ją pod pachę, a założywszy wielki palec lewój ręki za pas, i wysunąwszy pra-wą nogę naprzód, w tój pozycyi stał, jak gdyby czekał chwili pożegnania się z gospodynią domu. Był to fatalny znak dla projektów pani Wielogłowskiej, ale że to była kobieta przede-wszystkiém rozumna i przytomna, wysunęła się cichaczem z sa-lonu, poleciała swojemu staremu kamerdynerowi Michniewskie-mu, aby namówił wszystkich obcych i swojskich stangretów do wystrzeliwania biczami wiwatów pod oknem solenizantowi, któ-ry znając się na rzeczy hojnie zawsze ich w takim razie wynagradzał; a to w nadziei, że stangret hrabiego przynęcony datkiem, zaniedba w swoim czasie zaprządź i być gotowym do odjazdu. Jak chciała, tak się stało; stangreci poczęli strzelać z biczów aż do zagłuszenia towarzystwa, sama zaś wróciła do salonu, a idąc wprost ku sąsiadowi, którego znalazła w tój samej gotowój do odjazdu pozycyi, podała mu rękę i usiadła przy pannie genera-łównie, mówiąc: „*Hrabio baw nas.*” „Moja mościa dobrodziejko z całego serca na usługi asyńcki i pięknych dam, ale ja wie-śniak stary, niewiele potrafię; ot, panie z wielkiego świata przedź coś wiedzą.” „To słuchaj, hrabio.” Tu pani Wielogłowska nieznacznie rozmowę skierowała do panny generałówny, którą jakoś wprowadziła na sztos mówienia: niepotrzeba było więcój. Różne anegdoty, historye, opowiadania snuły się jedna po dru-giej; oratorka rozgawędziła się i tak starego zajęła, że już nie myślał o odjeździe i do późna w nocy słuchał. Nazajutrz o godzinie 3 z południa z całą systematycznością ówczesnych wiejskich zalotów, zajechał hrabia w tójże samej karecie, z ko-niuszem i hajdukami, a wszedłszy do pokoju i pogadawszy tro-chę z paniami, obrócił się do panny, i tak rzecz swoję wypo-wiedział: „Moja mościa dobrodziejko, niedawna nasza znajomość, ale dostateczna, abym asyńckę szczerym polubił affektem. Jeżeli nie wzgardzisz moją dozgonną przyjaźnią, to się decyduj prędko, bo ja stary, konkurować długo nie mam już czasu. Oto brat asyńckiej, oto szanowna bratowa, którzy spodziewam się nie da-

dzą mi odkosza bo mnie znają: idzie tylko o decyzją asyński.” Na tak natarczywe oświadczenie panna generalówna oniemiała. Jój świadkowie, tojest moi rodzice i pani Wielogłowska za nią odpowiedzieli. Małżeństwo się ułożyło, przygotowania niebyły długie: we trzy tygodnie po poznaniu ślub i sute w Pacanowie przenosiny. Przy wjeździe na dziedziniec wielkiego staroświeckiego dworca, sołtysi z dóbr pacanowskich przyjmowali panią młodą chlebem i solą, a hrabia podał żonie przy wejściu ogromny pęk kluczy. Na tym skończyła się ceremonia przyjęcia. W jadalnym pokoju pierwszym od wejścia, ściany na biało malowane, przykryte były portretami większych i mniejszych rozmiarów, przodków hrabiego i jego pierwszej żony, wykonane w stylu surowym przed-Stanisławowskich czasów, w polskich ubiorach, wyjąwszy kilku w habicie zakonnym, stroju maltańskim lub biskupim. Jeden z nich według wszelkiego prawdopodobieństwa malowany za czasów Zygmunta Igo, nosił cechę zaniedbania w sztuce, oznaczającego u nas ten okres dziejów; przedstawiał on mężczyznę ubranego w habit zakonu św. Franciszka, a na wierzchu miał szyszak i zbroję, o ile rozeznac można było po zniszczałych czasem kolorach. Na stole w bawialnym pokoju leżał dyplom hrabiego Państwa Rzymskiego. Nie syt zagranicznego tytułu, Parys dążył kiedyś do dygnitarstwa koronnego, jakoż przeznaczył był 9000 duk. na wyjednanie u króla krajczostwa; ale w trakcie negocyacji przyszedł rozbiór kraju i godność ta nieszczęśliwie ominęła naszego postulanta, który ilekroć spojrział na dyplom leżący na stole ciężko wzdychał, mówiąc do swych zaufanych: „nie tegoć ja pragnął, ale i za to Bogu dziękować, jako za łaskę darmo daną.”

Wypada tu powiedzieć, że w owym czasie szlachta się poniekąd wstydziła zagranicznych tytułów, a przynajmniej nie używała ich, gdy mogła je krajowemi zastąpić. Znaczna liczba rodzin już posiadała te tytuły, zwłaszcza w Galicyi, gdzie się ich z przyczyn, o których wyżej mówiłam, wiele namnożyło; ale ktokolwiek mógł się nazywać panem wojewodą, kasztelanem, podkomorzym, starostą i t. p. tytułami, zagranicznych już nie używał, chyba na francuzkich wizytowych kartkach. Polskie dawne tytuły tak były z zwyczajami i formami towarzystwa zespolone, że długo nie wiedziałam o familijném nazwisku pani wojewodziny krakowskiej, pani starościny Olbromskiej, pana

starosty Cichowskiego, pani chorążyny krakowskiej, których w czasie zimy bardzo często widywałam. Tytuły zagraniczne, jak powiadam, pojawiały się na biletach lub zaproszeniach i to u osób młodszych; gdyż stara generacya naszych poczciwych siwoszów płci obojęd, najczęściej imię i nazwisko swoje wypisywała po polsku i to własną ręką: rzadko było kiedy sztychowane. W tym czasie inny się począł był wkradać do nas zwyczaj, z którego się cudzoziemcy naśmiewali, choć źródło tego nadużycia od nich poszło; a nim była owa mania tytułowania wszystkich bezwzględnie zamożniejszych obywateli tytułem hrabiego, czy mieli prawo do tego tytułu lub nie, mianowicie na adresach. Każda polska obywatelka, jeżeli posiadała kilka wiosek i nazwisko jakokolwiek znane, odbierała listy z intyulacją *à madame la Comtesse* i wzajem swoje takż adresowała, a nadużycie to zwyczajem uprawnione nikogo ani dziwiło, ani gorszyło. Francuzi osiedli w owym czasie w Krakowie, a było ich kilku świątłych, dobrze wychowanych i należących do szlacheckich rodzin pierwszej emigracyi; Francuzi mówię i w ogóle wszyscy cudzoziemcy, mając niezbyt może przesadzone wyobrażenie o polskiej próżności, która niestety była i jest jeszcze naszą narodową wadą, w przekonaniu, że każdy szlachcic polski ma pretensyą do hrabiostwa, bez skrupułu nasze panie i panów tą godnością obdarzali. I tak Polska przepelniała się hrabiami i hrabinami, których tytułem legitymacyjnym był list od sąsiadki, od respektowego francuzkiego *Monsieur l'Abbé*, lub od guwernantki paryżanki. Szczęściem zwyczaj ten sam z siebie śmieszny, bo na żadnej zasadzie nie oparty, już prawie znikł zupełnie. Dziś w ogóle próżność od tytułów zwrócona jest w inną stronę, w stronę elegancyi, konfortu, wygod i pieniędzy, które je dają, a do których każdy, byle tylko miał głowę na karku ma pewną uzasadnioną pretensyą. Jak dziś świat ceni ludzi po pieniądzech, tak nasi dziadowie cenili ich po tytułach. Dawny szlachcic polski dla tytułu byłby duszę swoją zaprzedał, a ta pochopność nie była małą dla kraju klęską. Największym było jeszcze za mojej pamięci wstydem nie módz, choćby skromny wojskiego tytuł obok imienia i nazwiska familijnego umieścić. Hrabia Parys mieszkał o granicę z niejakim Komorowskim, który się jakimś tytułem, już nie pamiętam jakim zaszczycił, i jak zazwyczaj, oba sąsiedzi mieli z sobą graniczny proces z jego koniecznymi akcesoryami, to jest najzdanami, bój-

kami na granicy, kommissyami na grunt dla rozpoznania faktów i pogodzenia zwaśnionych. Owoż Parys nie mógł strawić Komorowskiemu jego krajowego tytułu, i ta okoliczność była powodem, że znaczny przeznaczył kapitał na dygnitarstwo koronne, przez które tuszył sobie, że zaimponuje sąsiadowi. Wszakże Opatrzność, która nie zwykła się radzić ludzi, gdy jój się spodoba pomieszać szyki ich próżności i dumy, inaczéj jak im wypadało pokierowała ich procesem i zobopólnemi pretensyami. Komorowski umarł, a Parys niebawem za nim dolepszego przeszedł świata, po kilkomiesięcznej chorobie w Krakowie w domu Wizytek na przedmieściu, gdzie tymczasowe dla niego najęto mieszkanie. Moja ciotka owdowiawszy po trzech latach małżeństwa, powtórnie zamieszkała w domu moich rodziców na Różanej ulicy, którzy zajmując obszerne piętro, urządzili dla niéj ładny apartament, przedzielony tylko od głównego dużą jadalną salą. Moja ciotka, jako będąca w żałobie, nie wyjeżdżała, a nawet nie pokazywała się w salonie w dniach na przyjęcie przeznaczonych; ale zato w godzinach rannych całe do niéj zjeżdżało się towarzystwo. Jedną z osób codziennie uczęszczających była pani Piotrowa Potocka, kasztelanowa lubelska, córka jój męża z piérwszej żony; miała ona przy sobie siostrzenicę, którą wychowała i dla jój edukacyi lat kilka w Wiedniu przepędziła. Wprawdzie nie było talentu, któregoby panna Salomea w wysokim nie posiadała stopniu. Grała na fortepianie i na arfie, cudnie śpiewała i malowała, tańcowała z nieporównaną gracyą szala i gawota, bo trzeba wiedzieć, że w owych czasach tańce solo były bardzo w modzie. Wszystko to było miłe i zachwycające, zwłaszcza, że panna Salomea, lubo nie odznaczała się znamienitą urodą, w udziale dostała figurę wysmukłą, cienką, pełną uroku i gracyi; a w tańcu solo wydawała się drobną, waporyczną, eteryczną, niezemską istotą. Dodajmy do tego nóżkę utoczoną, zamkniętą w malenkim, prawie dzieciennym trzewiczku, fantastyczne ubranie z piór i gazy, świetnie drapujące się na całej figurze, a mieć będziemy urzeczywistnienie uroczych postaci bohaterek zesłowiecznych romansów. Nie ma wszakże prawdziwój doskonałości na tym świecie. Te istotne i świetne zalety przyćmione były przez jedną niedokładność w wychowaniu panny Salomei: nauczono ją wszystkiego, wjąwszy sztuki zatrzymania się w porę w czasie popisu, aby uniknąć przesytu w słuchaczach: co zaiste jest najtrudniejszym.

Pani kasztelanowa w chwilach swoich odwiedzin Krakowa, rzadko bardzo u siebie przyjmowała. Gdy to nastąpiło, trzeba było wytrzymać całą próbę talentów panny, która kolejno szturmowała do uszu, oczu i admiracyi gościa. Ledwie wszedł do przedpokoju, już mu pokazywano bardzo sztucznie wyrabianą w róże i inne kwiaty słomiankę do przykrywania stołu, roboty panny Salomei. W sali jadalnej, przez którą przechodził, musiał okiem rzucić na różne wieńce, allegorye, bukiety i biusta, ściany jego zdobiące, jako pierwsze próbki poczynającego się artystycznego talentu panny Salomei. W salonie pokazywano roboty olejne i pastelowe, wyobrażające portrety osób znanych, przycém nie zanedbywano wymieniać z pośpiechem nazwisk, uprzedzając tym sposobem jakąś niefortunną omyłkę. Nie dając prawie odpoczynku gościowi, prowadzono go do drugiego pokoju, gdzie stał fortepian świeżo nastrojony, i tuż przy nim arfa paryzka precudnej roboty. Tu się rozpoczął popis muzyczny, trwający około dwóch godzin, w którym najślynniejsi kompozytorowie: Cimarosa, Cherubini, Mozart, Hajden i poczynający już Rossyni pod biegłemi panny Salomei palcami i za pośrednictwem jój przeslicznego soprana, bogactwa swój cudnej harmonii roztaczali. W końcu długiego wieczora dano do stołu. Tu admiracya spektatorów przecież spocząć mogła. W czasie wieczerzy, pani kasztelanowa nasycala się jedynie rozprowadaniem szczegółów o trudnościach, jakie zwalczyć musiała, nim zdołała siostrzenicę umieścić na tym szczeblu artyzmu, na jakim ją obecnie towarzystwo widziało. Nie dojedzono jeszcze ostatniej salaterki galarety, kiedy nagle dały się słyszeć akorda jakby połączonych skrzypiec z basetlą i klarynetem. Nogi wszystkim zadrżały, mianowicie młodzieży, która pewna, że sobie tańcem długie nudów godziny wynagrodzi, jednym susem przebiegła przestrzeń dzielącą jadalny pokój od salonu. Stoliki, stołki, krzesła, berzerki, nawet bardzo wówczas używane tak zwane serwantki z rozmaitemi porcelanowemi i srebrnemi naczyniami, do kawy i herbaty służącemi poszły na bok; ochocho zabierano się do skocznego mazura, kiedy nagle staje w środku salonu panna Salomea w *pozie* efektowej, z jedną nogą w powietrzu, z rękami wzniesionemi do góry, zabierająca się do *solo-tańca*. Orkiestra naprędcie zaimprovizowana, zagrała przeciągłą i melancholiczną nutę szala. Tu admiracya widzów do najwyższego stopnia rozdrażniona, mimowolném objawiła

się ziewaniem. Wśród głębokiej ciszy przeszedł szal, manfotino, gawot, cały szereg modnych solo-tańców, zakończony wśród oznak uwielbienia i szmeru pochwał ucieszonych z końca widowiska gości, których połowa korzystając z zajęcia gospodyni tryumfem panny, cichaczem wcześniej się wyniosła. Tak pani kasztelanowa popisując się talentami wychowanki, jeżdżąc z nią do wszystkich Europy stolic, znacznie swój majątek nadwzrężyła. Miała z tego powodu przykrą starość, do której przylączyło się nader dolegliwe kalectwo, upadnięciem i złamaniem nogi spowodowane. Po jej śmierci spadek po wylikwidowaniu pozostałych długów, zniżył się do czystego zera, a panna Salomea nie uczyniwszy żadnego wyboru, długo bawiła w Warszawie przy pani Brońcówój żonie krewnego swojego, a marszałka dworu. Przyjechawszy z moim ojcem r. 1826 na mieszkanie do Warszawy, zastałam ją smutną, nieukontentowaną, przesyconą światem, jego oklaskami i pojętami, i nie mogącą się od nich doczekać owego tyle jej w młodości obiecywanego szczęścia. Gdy dojdziemy do tej epoki, może się znów choć na krótko spotkamy z panną Salomeą na którym z tych doskonałych, codziennie na kilkanaście osób dawanych obiadach u państwa Brońców, gdzie można się było ubawić, uśmieć, dobrych rzeczy najeść; gdzie dowcip i wesołość samego gospodarza kazały gościowi o wszystkiém inném zapominać, wyjąwszy o przyjemnościach obecnej chwili w gościnnych jego progach.

Druga siostrzenica pani kasztelanowój lubelskiej była żoną hrabiego Morand, generała dywizyi i para Francyi. Tu pora sprostować niedokładność ustępu pamiętników pani Nakwaskiej, która z pewnym rodzajem lekceważenia dotknęła się osoby ze wszech miar uwielbienia godnej, zwłaszcza gdy ją obwinia o zaniedbanie wychowania, co jest istnym fałszem, jak to sam później z jej historii czytelnik osądzi. Żałujemy mocno, że w tej chwili nie mam tych pamiętników pod ręką: nie pamiętam wyrażen, ale pamiętam to przykre wrażenie, jakie na mnie zrobiły.

Hrabianka Emilia Parys, zamieszkiwała z matką w Warszawie, kiedy w r. 1808 korpus francuzki marszałka Davoust konsystował w Księstwie Warszawskim. Te panie nie były wprawdzie bogate, ale żyły na stopie uczciwej, a węzłami przy-

jaźni lub pokrewieństwa złączone z wielu tutejszemi rodzinami, uczestniczyły w uroczystościach dawanych wojsku francuzkiemu. Na jednym z tych świetnych zgromadzeń poznał pannę Emilią generał Morand, jeden z najwaleczniejszych i najzdolniejszych Napoleona oficerów. Należący do stariej szlachty departamentu du Doubs, dawniej Franche-comté, Morand nie był jak wielu z jego towarzyszków owym ciężkim, gburowatym zawadiaką, tak zwanym *sabreur*, dla którego cesarz był religią, ojczyzną, nauką i zbawieniem; który nic nie widział tylko nieprzyjaciela, nic nie czuł tylko zapach prochu, nie znał innego prawa tylko ostrze swój szabli: i ów krwawy i fantastyczny punkt-honoru stanowiły jedyne życie duchowe dla Napoleońskiego rąbaczka. Nie umiał być ślepem obcego ducha narzędziem, ale nosił zaszczytne znamię odwagi, kryse od cięcia pałasza pod dolną wargą. W życiu prywatnem Morand był w całym tego znaczeniu wyrazu człowiekiem jak to mówią *de bonne compagnie*, coto uprzejmy i towarzyski w sam raz, częściej milczał niż rozmawiał, rzadko chwalił a rzadziej jeszcze ganił, rzadko mówił o drugich, a o sobie nigdy; obok tych zalet był wysoko naukowy szczególnie w sztuce wojennej, o której pisał i drukował dzieła bardzo przez znawców cenione, był wielkiej pocziwości, tak jak Francuzi umieją być pocziwemi. Morand był bardzo od cesarza poważany, byłby miał niezawodnie buławę, gdyby nie intrygi Davousta, który mając w nim pełnego odwagi i talentu zastępcę, nie rad go się był pozbywać, i wszelkie środki awansu dla niego tamował. Czytelnika ciekawego życia wojennego Moranda, odsyłamy do licznych opisów kampanii Napoleona, a mianowicie lat 1812, 1813 i 1815, w których imię jego świetnie się odznaczyło. W roku 1808 był generałem dywizyi; poznawszy na jednym z balów pannę Emilią Parys, jej piękność i skromna a urocza powierzchowność tak go zajęły, że od tej chwili poprzysiął sobie, że będzie jego żoną. Jakoż tego samego wieczora prosił księcia Józefa, aby go matce panny zaprezentował; nazajutrz oddał wizytę, która była przyjętą, a we dwadzieścia dni nastąpił ślub w kościele św. Krzyża, w obec księcia Józefa, Davousta, i całego składu rządu i ministrów Księztwa Warszawskiego. Tegoż dnia generał zawiózł żonę do kwatery swojej w pałacu Karasia, którego wschody i salony oświecone a *giorno*, i zwyczajem francuzkim przyozdobione w żywe kwiaty, drzewa i krzewy, uroczy przedstawiały widok. Książę Józef, jako pierwszy družba

(garçon de nocte) przyjmował panią-młodą u drzwi pałacu Karasia, a pani Tyszkiewiczowa zastępująca rodziców pana młodego, staropolskim zwyczajem ofiarowała jej chleb z solą i cukrem. Książę Józef miał na sobie ową historyczną ulańsko-generalską kurtkę, której się do syta można napatrzeć na wszystkich jego portretach; wstęgę oderu Orła białego i krzyż komandorski znaku wojskowego polskiego *Virtuti-militari*, gdyż krzyżem pierwszego stopnia został dopiero przyozdobiony w roku następnym, po chwalebnej kampanii z arcy-księciem Ferdynandem, którego korpus 40 tysięcy wyparł z granic Księstwa i zajął Galicyą zachodnią. Panna-młoda ubrana była w tunikę białą brokardową z przodu roztwieraną i prawdziwą koronką brabancką obszytą; na głowie miała gałązkę mirtu, bez kwefu, który jeszcze nie był tak upowszechniony jak teraz. Książę podawszy jej rękę zaprowadził do prześlicznego różowym atlasem obitego buduaru, w którym znalazła na marmurowym stole prześlicznej roboty tak zwany *corbeille*, białym obity aksamitem z jej cyfrą na wierzchu złotem haftowaną, w którym były oprócz małej skrzyneczki z klejnotami (*écrin*) cztery szale tureckie, kilkanaście tuzinów par rękawiczek, sztuczne kwiaty, różnego kształtu i wielkości flakony z pachnidłami, i 30,000 franków w napoleondorach, które cesarz zawsze hojny dla swych generałów panie-młodej na śpilki przeznaczył. Kiedy się to działo, mnie jeszcze na tym świecie nie było, wszakże słyszałam te i inne szczegóły tyle razy przez Morandową i jej matkę, panią Kajetanową Parysową, opowiadane, że tak mi tkwią w pamięci, jakbym się była na nie patrzyła. Oglądałam nieraz suknię ślubną, którą generałowa, jak relikwie, w garderobie swojej przechowywała. Następna zima po ślubie przeszła dla niej w blasku i upojeniu z nowego położenia. Osoby, które zapamiętały te czasy, a znalazłam ich wiele, nie mogą się wypowiedzieć jaki urok otaczał wojsko francuzkie, a mianowicie tę, która wdziękami swojemi podbiła serce jednego z jego przywódców; bo dawniej, tak jak dziś, świat hołdował nie tyle rzeczywistej zasłudze, jak ślepemu trafowi, zwykle szczęściem zwanemu! Ta sama panna Parys, o której świat mało mówił, a jeszcze się mniej nią zajmował, oświecona nagle promieniami wschodzącego szczęścia, cudną się stała w oczach tych nawet, co się nad nią złośliwie litowali. Nagle zjawił się jej cały zastęp krewnych i przyjaciół z dalekich stron, którzy przypominając się jej łaskawej pamięci i protekcyi, ten o awans

w wojsku dla syna, tamten o infułę, inny znowu o krzesło w nowo utworzonym senacie, upominali się, naiwny okazując podziw lub zgorszenie, gdy ich nazwisk i fizynomii przypomnieć sobie nie była w stanie. Ale nietylko żądano jej usług; ofiarowano jej z niemi ze wszystkich stron łoże w teatrze, bilety na koncerta, role na teatru amatorskie; obrazy z żywych osób i szarady spadały jak grad na nią: raptem świat się stał uczynnym, pamiętnym, przyjacielskim, i wcale swych pochwał i uczuć nie zazdrosnym. A tak nasza bohaterka, która dawniej na bale i uroczystości jeździła w skromnej najętą remizie, miała na zawołanie kilkanaście karet, których nie potrzebowała; mnóstwo krewnych, których nie znała; niezmierną liczbę przyjaciół, którzy gdzieś z pod ziemi wylazili, obsypując ją niezasłużonemi dowodami przywiązania i poświęcenia bez granic. Generałowa nie wiele się zastanawiając nad dziwną w jej losie i usposobieniu świata zmianą, przyjmowała te demonstracye z wrodzoną sobie dobrocią i zupełnym zapomnieniem przeszłości. Są ludzie, których formalną potrzebą serca jest kochać i przebaczać; jak są inni żyjący jedynie nienawiścią, szyderstwem i zazdrością. W kilka miesięcy po ślubie pani Emilia wyjechała z mężem do Francji. Kochała go z całą gorącością niewinnego i pierwszego uczucia, z głębokim wszakże smutkiem kraj swój opuszczała, z blizką i dalszą rodziną, z każdym niemal znanym jej ziomkiem serdecznie się żegnała, każdy kącik skromnego matki mieszkania, a mianowicie swojego panińskiego pokoiku łzami skropiła, w ogródku uszczknęła rodzinny kwiatek, zabrała szczyptę ziemi: drogie te pamiątki w małej zainkniecie skrzyneczce nie odstępowały jej nigdy w najświetniejszych, jak najboleśniejszych burzliwego jej życia kolejach. Czowała młoda kobieta, że jako żona i niezadługo zapewne matka, już więcej do obcego niż do swojego należy kraju; żegnała nazawsze ziemię, która ją zrodziła i wykarmiła, wspomnienia lat dziecinnych i młodocianych, grobowce swych przodków, na których w rzewnej modlitwie pamięć swoją dla nich wylewała!... O! bolesna to chwila pierwszy z kraju wyjazd, kiedy się nie przewiduje czasu powrotu; jestto prawie śmierć ze wszystkiemi jej następstwami, zapomnienia i ciszy!... Bóg przecież udzielił generałównie wielką pociechę: matka jej towarzyszyła do Paryża, i miała nawet przy niej zamieszkać.

General odwiózłszy te panie do Morand-Vol, swoich dóbr familijnych w departamencie de Doubs, gdzie je sądził być najbezpieczniejsze, sam odjechał do armii, która odbywała świetną r. 1809 kampanią austryacką. Był to pierwszy nader bolesny rozdział Emili Morand z mężem!.. W końcu tegoż roku po szczęśliwie podpisanym pokoju w Wiedniu, wrócił, i niebawem zawiózł żonę do Paryża, gdzie ją pragnął zaprezentować cesarzowej Józefinie i dać jej poznać ten dwór cesarski, o którym się tyle nasłuchiwała bajecznych prawie szczegółów. Nim jednak krawcy zdążyli przygotować stosowny ubiór dworski, nim jubilerowie zdołali przerobić brylanty według zmiennój mody dworu Napoleońskiego, kilka jeszcze upłynęło miesięcy. Tymczasem dwór wrócił z Fontainebleau, gdzie był zwykł jesień przepędzać. Generalowa napisała do pani de Larochevoucauld, damy pałacowej cesarzowej, list z wyrażeniem prośby, aby jej wolno było złożyć hołd jej cesarskiej mości, oraz o oznaczenie dnia i godziny audyencji. We dwadzieścia cztery godzin odebrała odpowiedź z grzecznym wezwaniem stawienia się nazajutrz o godzinie 11ej z rana w Tuilleries przed śniadaniem cesarzowej. Kto miał jakąkolwiek styczność z dworem lub nawet czytał pamiętniki współczesne, wie, co to były śniadania cesarzowej, na które jedynie kobiety wzywano. Listę zaproszonych cesarz sam przeglądał, zmieniał lub zatwierdzał, czy uczestniczył sam zebraniu, lub nie. Generalowa Morand będąc przypuszczoną do prezentacyi przed śniadaniem, dnia tego cesarza w Tuilleries nie widziała. Ceremonia ta odbyła się według drażliwej i wymagalnej ówczasowej dworskiej etykiety. Ubiór dworski za cesarstwa podobny był do tego, który był przyjęty w Warszawie w latach 1829 i 1830, przy prezentacyi dam polskich Najjaśniejszej Cesarzowej Aleksandrze Fedorownie, z niektórymi odmianami wymaganemi przez modę, każdemu z tych okresów właściwą. Była to suknia zwyczajna okrągła i tak nazwana *trena*, czyli ogon osobny z tej samej lub innej materji uszyty, do paska u sukni przywiązywany. Wyższość treny nad suknią z ogonem była ta, że ogona nie można było przypinać bez uszkodzenia świeżości sukni. Gdy czasem potrzeba zachodziła, trzeba było ogon podtrzymywać na lewej ręce, kiedy *trena* łatwo się odpinała, a raz jej się pozbywszy można było w téjże samej sukni z pokójów zankowych udać się na jakiś prywatny raut lub bal, jeże-

li przedstawienie miało miejsce wieczorem. Co więcj, *trena* wijąc się szeroko od końca talii i rozkładając poważnie na posadzce, cudny tworzyła efekt, szczególnie téż przy pięknej, wysokiéj i wysmukléj figurze. Komuż ze starszych Warszawian nie jest pamiętną piękna i wspaniała postać pani Ordynatowéj Zamojskiéj w dworskim kostiumie? Ale nie uprzedzajmy wypadków, bo i tak nas już łają o nieporządne spisywanie tych pamiętników, a na krytykę względ mieć należy, szczególnie, gdy się objawia w sposób grzeczny i zachęcający.

Za Napoleona I suknią obcisłą i stanik wążki, ci dwaj srodzy wysmukléj figury nieprzyjaciele, były jeszcze zabytkiem owego na Francją napadu greko-rzymskiéj mody. Od r. 1819 korsarze znacznie przydłużać się zaczęły, a w lat 10 późniéj już do znacznej przyszły długości. W czasie piérwszego przedstawienia swojego w Tuilleries w jesieni r. 1809, jako w rannych godzinach, generałowa Morand miała suknią niebieską kaszmirową z ubraniem na głowie z brylantów. Tę suknią widziałam późniéj w Krakowie zachowaną w całej świeżości, ale wyszłą zupełnie z mody i niezdatną do użycia. He to najpiękniejszych szalów tym sposobem zmarnowano!

Cesarzowa Józefina przyjęła naszą rodaczkę w salonie błękitnym, należącym do wewnętrznych apartamentów. Pani de Larochevoucauld wprowadziła ją i niebawem wyszła. Cesarzowa siedziała na berżerce w mierném oddaleniu od kominka, którego płomień zablizki raził jéj nerwową naturę. Po zwyčajnym potrójnym ukłonie, kazała jéj usiąść na taborecie naprzeciw siebie, i z wielką dobrocią zapytała ją, czy pobyt we Francyi miły jéj jest, czy się niebardzo podróżą utrudziła, czy wiele krewnych w Polsce zostawiła i t. p. Potém mówiła o piękności Polek, a ton jéj pełen łagodności, w tym zwrocie rozmowy począł trochę zakrawać na *aigre-doux*. Wiadome były cesarzowéj dawne stosunki jéj męża z panią... co przy wrażliwém usposobieniu nie mogło jéj na stronę Polek pociągać. Wypytywała się o mody i zwyczaje polskie, o niektóre znane jéj osoby z towarzystwa w Warszawie, jak np. o panią Zajączkową, księżnę Radziwiłłową z Arkadyi, panią Zamojską, którą nazywała *votre belle Comtesse* Zamiński. Mówiła wiele o dworze saskim, o królu, nazywając go *votre bon roi*, o księżniczce Auguście. Ubiór Józefiny pełen świeżości, gustu i wytwornego zaniedbania, zakrawał na ubiór Polki dobrego i sta-

rannego wychowania; nie było tam mieszaniny jaskrawych kolorów i form, które Francuzkom wszystkich niemal warstw społeczeństwa sprawiedliwie wyrzucają. Układ cesarzowej łączący w sobie elegancją i prostotę, zdradzał damę prezentowaną na dworze Maryi Antoniny, którą arystokratyczne przedmieście St. Germain nie wzdygało się za swoją przyjąć. Ale co najwięcej naszą rodaczkę ku niej zniewalało, to jej szczerą uprzejmość i dobroć, przyćmiona jakimś tajonym smutkiem; wówczas bowiem przeczuwała już biedna oliara zmianę, mającą tak stanowczy wyrzucić wpływ na jej i niewdzięcznego jej małżonka losy. Wieść o rozwodzie złowieszczem echem obiegała już po salonach i na pokojach zamkowych; podawano ją sobie od ucha do ucha, ale dość głośno, aby doszła do cesarzowej, która nią niewypowiedzianie się dręczyła. Emilia Morand nasłuchawszy się tyle o jej wdziękach i nadzwyczajnej na jej wiek świeżości, wyjść nie mogła prawie z podziwu, widząc ją prawie starą, żółtą, z gorączkowym i nienaturalnym rumieńcem, mającą już parę złe ukrytych na skroniach zmarszczków.

Rozmowa dość ożywiona trwała mniej więcej dwadzieścia minut; byłaby się może dłużej przeciągnęła, gdyby szambelan służbowy nie był wszedł z oznajmieniem, że śniadanie podano. Cesarzowa powstała i pożegnawszy naszą rodaczkę lekkim, ale przyjaznym ukłonem, wyszła poprzedzona przez szambelana, a Emilia Morand uszczęśliwiona przyjęciem, a może bardziej myślą, że przeszła już dla niej chwila, której się tak niestuszenie obawiała, przeprowadzona przez panią Larochefoucauld, czekającą na nią w salonie służbowym, przebiegła ogromne sienie i szerokie marmurowe wschody pałacu, i sama nie wiedząc jak, rzuciła się do karety, w której mąż na nią czekał. Musiała wytrzymać cały ogrom jego zapytań, czynionych z zwykłą francuzką żywością i bez czekania odpowiedzi; nie tak prędko zdołała mu porządnie opowiedzieć wszystkie szczegóły audyencji, najdrobniejsze wyrazy cesarzowej, nie wyłączając jej ruchów, uśmiechu, które generał z całą pedanterią dworactwa mierzył, ważył, na wszystkie strony obracając i różne z nich czyniąc nadzieje i wnioski. Jakkolwiek Morand, jak już powiedzieliśmy, nie należał do owjej wielkiej rodziny Napoleonowskiej, do której się liczyli Savary, Rapp i inni, coto na skinienie pół-boga zaprzędaliby ojca, matkę i samych siebie bez żadnego skrupułu, pragnął on wszakże, podobny w tym do wszystkich kręcących się

koło wielkiego ołtarza, zabezpieczyć sobie jak można najlepsze stanowisko, a przedewszystkiem obawiał się śmieszności, owęj obosiecznej a zawsze śmiertelnej we Francyi broni. Napoleon, który w widokach i planach swoich sięgał poza krańce ucywilizowanego świata, chciał i w małym swych zaufanych kółku, mieszać się w najdrobniejsze stosunki ich domowego życia; czasami ich karciał słowem, uśmiechem, które w pewnych okolicznościach stały się wyrokiem okrutnym a nieodwołalnym. Morand najmocniej pragnął, aby cesarz wybór jego serca pochwalił, zwłaszcza, że żona jego jako cudzoziemka była u dworu przedmiotem wielkiej ciekawości i niezawsze przyjaznych wniosków. Koledzy jego w sposób dość rubaszny objawiali swój podziw z tak prędkiego ożenienia, i niezmyśloną ochotę uwielbiania czarodziejki, która tak silnie zająć go mogła. Kobiety zawsze nowej gwiazdzie niechętne, tém skorsze do krytyki, im mniej przedmiot ich tajonej zazdrości na nią zasługiwał, zawczasu się już gotowały do owęj skrytej, nieznacznęj, ale nielitościwej walki, do której szczególniej je usposobiała ustalona reputacya powabności Polek. Szukał zatem biedny mąż sposobu najkorzystniejszego ukazania żony światu obcemu dla nięj, ale wśród któregoż żyć i życia swojego dokonać było w jęj przeznaczeniu. Trzeba było zacząć od przedstawienia w Tuilleries, które otwierało jęj podwoje wszystkich przyjmujących salonów. Na trzeci dzień pooddawali wizyty, i jak się to zwykle dzieje, nigdzie ich nie przyjęto, wyjąwszy w kilku domach w Faubourg St. Germain, gdzie pani Tyszkiewiczowa, zawsze dla nięj łaskawa, podjęła się zawieźć młodą swą rodaczkę. Przedmieście to reprezentujące ideę polityczną, nielitościwe w swoich przekonaniach i wyobrażeniach, jest może jedynym punktem towarzyskim we Francyi, gdzie tradycya wielkich cnót domowych, wierność starym i koniecznym podstawom społecznego porządku, wreszcie dobry gust, towarzyskość, gościnność, uprzejmość, wesołość, te starodawne cnoty Francuzów, jakotako utrzymały się w obyczajach i prostocie swojej.

Jakby na nowe tęg niewątpliwęj prawdy stwierdzenie, że nieszczęście naprawia i ulepsza człowieka, klasa ta społeczeństwa, która swawolą i nadużyciami sprowadziła piérwszą we Francyi burzę, przejęła od klasy mieszczańskieję wszystkie cnoty, które za monarchii tamtą zalecały. Pani Morand z wdzięcznością wspominała imiona księżny de Fitz-James, hrabiny de

Noailles, księżny de Lugnes, i innych srebrnowłosych matron, które ją z prawdziwem macierzyńskiem uczuciem przyjmowały, w jej tęsknocie do kraju pocieszały i dobrocią swoją niejako rodzinę jej zastępowały. Z rozrzewnieniem opowiadała szczegóły o ich życiu domowem, pobożności, dobroczynności i tej poważnej prostocie, cechującej ich codzienne obejście. Dumą, wyniosłością, zimno-poważno-ironiczną grzecznością, impertynencko-unizoną uległością tak zwanemu przez nich nowemu rzeczy porządkowi i jego reprezentantom, chowały się jedynie na wielkie okazy. Wolno czytelnikowi nazwać opinie polityczne tej frakcyi francuzkiego społeczeństwa, znaney pod jednym znaczącym wyrażeniem *faubourg St. Germain*, uporem, przesądem, trupem. Codo tej kwestyi w żadnąby się tu z nim polemikę nie wdawała: jest wszakże w wierności każdej zasadzie, choćby ta była czczą tylko utopią, pewien urok, od którego wpływu rzadko kto z nas wolnym być umie. *Faubourg St. Germain* stał się prawie potęgą w oczach tego, który tron świata dzierżył. Jego bożyszczem była nie ziemską, ale męczeńską koronę, a jego bronią owa ciągła niezmienna, nawpół otwarta opozycya, objawiająca się poważnym milczeniem lub rotowym ogniem sarkazmów, uśmiechów, pół-słówek, daleko boleśniejszych jak otwarta wojna, bo niedających się objąć w żadną procedurę lub stanowczy karogodny fakt. Dlatego to tyle praktyczny a wszystko do najmniejszych szczegółów położenia swojego obejmujący geniusz wielkiego człowieka, czuł, że dla utrzymania świetności laurami otoczonego, ale zawsze improwizowanego tronu, potrzeba powołać nazad do stóp jego żywioł, który go przez kilkanaście wieków podtrzymywał — starą szlachtę. Miłość jego własna, a miał jej wiele, szeptała mu do ucha, że jeżeli łatwo jest tworzyć nowe tytuły, nowe nawet państwa, nie tak snadno jest utworzyć zasadę; krótko mówiąc, miał koło swojego tronu szlachtę, która w powierzchowności, obejściu, nawykniach i wyobrażeniach niezupełnie zdołała zwalczyć swoje *wczoraj*, aby ono harmonizowało z wymagalnościami jutra. Porównywał on w duchu postawę pełną nieudanęj wytworności owych starych wypudrowanych peruk w obec swojej krótkowłosej złoconej, ale rubasznęj świty. Ta sprzeczność nietyle rażąca w mężczyznach, bo u nich laury zwycięstwa wszystko pokryć zdolne, w damach jego dworu przeraźliwie świeciła.

Ztądto ów system zjednoczenia (fusion), który wraz z systemem kontynentalnym był nieustannym przedmiotem rozległych cesarza planów, co więcej, jeżeli nie krwawej, to niemniej niebezpiecznej walki, a czasami bardzo zręcznej dyplomacji. Wszakże ten system zjednoczenia nigdy w zupełności nie dojrzał, i zawsze słabem i wątpliwem tylko wegetował życiem. Mimo związków familijnych łączących oba obozy (nową i starą szlachtę), strony zadaleko od siebie były, aby serdeczną sobie podały dłoń. Wiadomo zresztą, czém były małżeństwa cesarską dyplomacją kojarzone: poszły one w przysłowie, i tak być musiało. Faubourg St. Germain daleko więcej sympatyzował z Polkami już to będącemi na dworze Napoleona, już czasowo w Paryżu przebywającemi. Inna jeszcze tego zbliżenia mogła być przyczyna. Polki małpując nawet Francuzów, zatrzymywały zawsze w obejściu i powierzchowności coś swojskiego, odznaczającego się, jakiś kwiat dobrego tonu, o którym zwyczajne Francuzki wyobrażenia nie mają: co z naturalnego rzeczy porządku, musiało bardzo być w arystokratycznym przedmieściu cenione, bo formy towarzyskie są wszędzie jedne i też same. Nasza rodaczka jakkolwiek z stosunków i położenia swojego męża do przeciwnego należąca obozu, silną opieką i sympatją pani Tyszkiewiczowej, z całą serdecznością do starych peruk przylgnęła, i znalazła się tylko między swojemi koleżankami, gdy bez narażenia męża na niełaskę, inaczej uczynić nie mogła. Piérwszém w ten nowy dla niej świat wstąpieniem była uroczystość polowania, dana cesarzowi w Grosbois przez marszałka Berthier, na której cały dwór miał się zgromadzić. Nasza rodaczka nigdy się jeszcze na żadnej dworskiej feście nie znajdowała: bliższe widzenie owego pół-boga, o którym się tyle od dzieciństwa nasłuchiwała, było celem jój niecierpliwego oczekiwania i gorących życzeń. Generał, który bardzo pragnął, aby jego żona ściągnęła szczególną uwagę cesarza i ogólnie się podobała, z tego piérwszego jój wystąpienia zrobił główny cel chwilowego swojego zajęcia. Żadna kokietka najwytworniejsza, najkapryśniejsza nie poświęca więcej czasu przyborom swojej toalety, jak Morand przy wystąpieniu swojej żony na polowanie w Grosbois. Zwołano krawców, szwaczki, modniarki, kupców, fryzyerów, którzy przez dwa tygodnie nie przestawali zalegać pokoju gotowalnianego generałowy; główny wszakże kierunek toalety przyjęła na siebie znana z wy-

twornego gustu pani Tyszkiewiczowa. Po długich korowodach, krętaninach, zawodach, dzieło dokonane zostało i nasza rodaczka, piękna, wysmukła i hoża blondynka, ubrana do koloru twarzy i płci swojej w błękitną ze srebrem suknią, wsiadła do karety drząc prawie od strachu, napół zgięta, aby nie popsuć ubrania głowy, i zabierając całe tylne w powozie miejsce. Morand ubrany w swój kapiący od złota mundur, nieśmiało i oględnie, aby sukni żony nie zmiąć, usiadł na przodzie, gdzie w najniewygodniejszy sposób drogę z Paryża do Grosbois przebył. Coto jest męzowska próżność?..... Nie będę tu opisywać tego polowania, odsyłając czytelnika do licznych opisujących go pamiętników, które jako przez naocznych świadków podane, lepiej go zadowolici potrafią; nie będę tu także wspominała o owej słynnej mistyfikacyi w alluzyi do projektowanego już rozvodu cesarskiego, w sztuce dnia tego granój, nader niewinnie umieszczonej (1), o tajoném nieukontentowaniu cesarza, boleści cesarzowej i niesłychanym kłopotcie marszałka - gospodarza, który mszcząc się za ten cios jego dworactwu zadany, byłby chciał zgnieść w rękę niewinnego aktora, tak niebezpieczną wypowiadającego prawdę, i samego siebie, karząc się za własną nieprzezorność w wyborze sztuki. Nie będę się zatem wkradała w prawa pamiętników czasy te malujących, ale pójdę raczej w ślad naszej rodaczki, która tego wieczora palmę zwycięstwa nad wszystkimi rywalizującemi z nią pięknościami odniosła.

Generalowa odgadnąwszy odrazu wrażenie, jakie uczyniła, ośmielona szmerem zadowolenia, które koło siebie za każdym uczynionym krokiem wywoływała, mimo konieczno-kłopotliwego położenia gospodarza, bawiła się wybornie, jak się to bawia kobiety, które, według zdania pani Sophie Gay wiedzą, że się podobają. Powodzenie to tém więcej było stanowcze, że niewiele mogła się bać współzawodnictwa, gdyż, jak mówi pani d'Abrantes o kobietach należących do tak zwanój przez nią *rodziny militarnej* Napoleona, ledwie się dwie z nich znalazło, któreby zwać się u nas mogły mierną pięknoscią. Naj-

(1) W tej sztuce, której ani tytułu, ani autora nie pamiętam, jeden z aktorów grający pryncypalną rolę, oświadcza, że musi się rozwieść z dotychczasową małżonką, i inną pojąć dla zapewnienia sobie sukcesorów. (*Przyp. aut.*)

znaczniejsza z nich liczba należała do rasy kobiet południa, o dwóch czarnych, małych świecących oczach i kręcących się, lśniących włosach czarnych: niskie, chuderlawe, literalnie gnące się pod ciężarem brylantów i drogich kamieni, których każda miała znakomitą ilość. Wieczorem, gdy całe towarzystwo przeszło do sali koncertowej, przed pierwszym poruszeniem smyczka, nagle główne podwoje roztwierają się: wchodzi cesarz ubrany w tradycyjalny mundur strzelców konnych gwardyi, zielony z białymi wyłogami, bez żadnych ozdób oprócz żołnierskiej ozdoby legii honorowej, którą zwykł był nosić, w towarzystwie gospodarza marszałka Berthier i generała Duroc. Mężczyźni stojący w środku sali, ścisnęli się aby zrobić miejsce cesarzowi, damy wszystkie powstały z krzesel. Napoleon bystrym wzrokiem okrążył salę, a spojrzawszy w stronę gdzie była nasza rodaczka, zamienił pocichu kilka słów z generałem Duroc, poczem szybkim krokiem stanął niespodzianie przy pani Morand, skłonił się zlekka, zapytał jak dawno kraj swój opuściła, dlaczego jój nie widział w czasie swój bytności w Warszawie r. 1807, i dodał grzecznie, że pragnie aby się w Paryżu dobrze bawiła, i że nigdzie piękniejszych nie widział kobiet jak w Polsce. Nasza rodaczka nie była z tych natur bardzo nerwowych; wszakże cesarz tak jakoś niespodziewanie na nią natarł, że chwilowo straciła przytomność i wszystkie przewidziane odpowiedzi, które jój mąż i pani Tyszkiewiczowa nasuwali byli w razie rozmowy z cesarzem, wyszły jój z pamięci. „Moje pomieszenie, mawiała często generałowa na owych kominkowych zebraniach na Rożanej ulicy, o których wspominałam, moje pomieszenie nie było skutkiem magnetycznego wpływu wzroku Napoleona, o którym mi tyle mówiono, ale miało inną zupełnie przyczynę. Nieszczęście chciało, że generał (jak zawsze męża nazywała) stał wpośród grupy adjutantów cesarskich, wprost mnie, a z tyłu cesarza. Nasze wejście spotkały się: wzrok generała był tak błagalny, a później tak gniewny, że mi odjął resztę odwagi, która mi tak potrzebną była.” Przecież tak zwana przez męża *dindonnerie* pani Emilii nie zrobiła na cesarzu złego wrażenia. Nie czekając zwyczajem swoim odpowiedzi na pytania, okrążał dalej koło dam, kiedy spostrzegłszy Moranda stojącego opodal, przystanął chwilę i rzucił mu te słowa w swojej jędrnej i treściwej mo-

wie: *Morand, Votre Polonoise (1) est jolie, je Vous en fais mon compliment.* Te czarodziejskie słowa dostateczne były dla złagodzenia złego humoru generała; zbliżywszy się do żony ścisnął jej rękę, jakby za nie dziękując. Przecież się ta uroczystość skończyła, jak się wszystko na świecie kończy. Cesarz był prawie ciągle zachmurzony, jakby przeczuwał, ile plan jego rozvodu w téj chwili właśnie układany, gotował mu wyrzutów sumienia, klęsk i nieszczęść. Widok dobrej Józefiny, usiłującej pod smutnym uśmiechem lży swoje zataić, nie uspasabiał ani cesarza, ani gości marszałka Berthier do wesołości. Rozjechano się dość wczesnie, a pani Morand wsiadłszy do karety, Bogu dziękowała, że przecież dzień ten, który ją tyle zachodów, kłopotu i trwogi nabawił, szczęśliwie przeszedł. Mimo wielkiego powodzenia w świecie, sercem i przekonaniem oddana mężowi i obowiązkom, niebardzo do niego lgnęła. Wyjeżdżała z domu wtenczas tylko, kiedy ze względu na położenie męża inaczej czasem swoim rozrzędzić nie mogła. Później zaś, gdy została matką i wbrew przyjętemu we Francyi obyczajowi, sama dziecię swoje karmiła, tém mniej w towarzystwa uczęszczała. Napoleon wysoko ceniący cnotę kobiet, kilka razy mówił o niej z szacunkiem, nawet w obec młodych dam pałacowych. Ile razy widział Moranda poza służbą, nie zaniedbywał pytać się o jej zdrowie i to w słowach bardzo dla niej pochlebnych. Wysoce także poważał samego generała. Gdy się im pierwszy syn narodził, pozwolił się nazwać jego ojcem chrzestnym

(1) Ta szorstkość Napoleona w obejściu z kobietami nawet w dobrych swoich chwilach kiedy chciał być grzecznym, przypomina anegdotę opowiadaną mi w młodości mojej przez niedawno zmarłą miłą bardzo pamięci dla wszystkich, co ją znali, generałową Izydorową Krasieńską, dla której pobyt Napoleona i Francuzów w Warszawie w r. 1807 był bardzo pamiętnym. Otóż jednego wieczora na koncercie danym na pokojach w zamku, znajdowała się dziś jeszcze żyjąca, a wówczas piękna pani... Jej szlachetne rysy, płeć biała jak alabaster i prześlicznego karmintu policzki, zajęły były cesarza. W chwili dobrze upatrzonj zbliżywszy się do jej stołka usiadł obok, a wpatrując się w bukiet wpięty w jej włosy, z którego spadająca gałązka pięła się na jej łabędziej szyi: *Madame, powiedział cesarz, les roses de Votre coiffure ne sont guere blanches.—Sire!*—wyjasknęła przerażona zagadniona... *Sans doute si on les compare à la blancheur de Votre cou.* Nie wiem czy jaki dorobkowiec nie byłby się zdobył na koncept zreczniejszy i w lepszym guście. Trzebaż coś przebaczyć gieniuszowi: nawet brak salonowego dowcipu, i powtórzyć za panią Walewską, której cesarz odprowadziwszy pewnego razu na swoje miejsce po przetańcowanym kontredansie, powiedział: *Madame, je danse bien mal.—Trop bien pour un heros,* rzekła w swoim entuzjazmie pani Walewska.

i ochrzcić go swoim imieniem. Hrabia Lavalette krewny Józefiny, dopełnił tego obrzędu w imieniu cesarza, zwiedzającego w tym czasie z cesarzową Maryą Ludwiką Holandją i nadreńskie prowincye.

Wpółśród tój mieszaniny honorów, światowych powodzeń, domowego szczęścia i rozkoszy macierzyństwa, upłynęło lat trzy: nadszedł złowieszczy i ponurój pamięci rok 1812. Armia francuzka spieszyła za Ren w pełnój nadziei nowych laurów zwycięztwa. Morand wymaszerował na czele swojój dywizyi, tworzącój awangardę korpusu Dawousta. Generałowa była już matką dwojga dzieci i z trzecim przy nadziei. Jakież pióro zdoła określić boleść rozstania się z mężem, którego tym więćej kochała, że mu poświęciła wszystko, co miała najdroższego: rodzinę, kraj, ojca. Przeczuywała biédna kobieta okropności tój nowój kampanii, ale odjazdowi męża przeszkodzić nie mogła. Odprowadziła go do granicy, a sama niemogąc znieść myśli powrotu do Paryża i ukazania się światu w chwili, gdy jój mąż narażony jest na wszystkie niebezpieczeństwa wojny, pojechała do Morand-Val, gdzie w wiejskiém zaciszu, przy matce, otoczona dziećmi, lzy swoje, nadzieje, boleść i gorące do Boga modły ukryła. W teyto dawnój rodzinnej męża swojego siedzibie powiła mu drugiego syna, któremu na imię było Alfons. Pani Morand nie miała nawet tój pociechy, aby się cieszyć odpowiedzią ojca na list jój matki, donoszący mu o tym wypadku: Morand przez trzy miesiące nie dawał znaku życia. W końcu trzeciego miesiąca odebrano w Morand-Val numer Monitora, ogłaszający ów nieszczęsny 29 buletyn wielkiój armii. Generałowa leżała w gorączce nerwowój, spowodowanój niespokojnością i bezsennemi nocami, które ją trawiły. Matka długo tała przed nią ważny ten dokument; w końcu, gdy już córka miała się znacznie lepiej, zmuszoną była opowiedzieć jój co zaszło. Generałowa na pozór dość spokojnie wiadomość tę przyjęła; było to rano, w czasie chłodnego dnia jesiennego. W milczeniu i zamyśleniu długo przechadzała się po ogrodzie. W końcu usiadłszy koło matki na ławeczce pod starożytnym kasztanem, blada, ale na pozór spokojna, taką z nią zawiązała rozmowę: „Zdrowa jestem, nieprawdaż matko?”... Ton z jakim te słowa wymówiła, trwogą panią Parysową przejął: „Alboż co, moje dziecię?” „Czyż myślisz matko, że jedyna

córka twoja zapomniała nauk jakieś jój dawała? Czyż ja tylko po to ojczyznę moję opuściłam, abym z moim mężem świetne jego losy dzieliła, a nie znajdowała się przy nim, gdy jest narażony na trudy, niebezpieczeństwa, śmierć nawet.” „Wiem, co chcesz przez to powiedzieć i pochwalam twój zamiar; ale nie dziś. Nie wiesz gdzie go szukać, komunikacye są przecięte; zdaje się, że ci, co się naszymi sprzymierzeńcami zwali, dziś przeciw nam zwracają się. Jak mówią, cała rzesza niemiecka jest w fermentacyi, co chwila trzeba się spodziewać zmiany na naszą niekorzyść: jakż więc masz sposób dostania się do męża? A choćbyś go cudem jakimś wynalazła, to dlatego, abyś go własnem twojém niebezpieczeństwem podwójnie zrobiła nieszczęśliwym.“

— Wierzaj mi matko, jak mnie zobaczy, zapomni o mojem nawet niebezpieczeństwie... Ja czuję, że obecny stan mój jest nad moje siły; niech wiem co się z nim dzieje, albo niech dzielę jego trudy niebezpieczeństwa: śmierć nawet samę.

Tu generałowa rzuciła się matce do nóg: „Bogu i tobie dzieci moje w opiekę oddaję: jutro wyjeżdżam.”

— Dokąd?

— Do niego.

— A czyż wiesz, gdzie on się w téj chwili znajduje?

— Gdzieś być musi.

— Czyż zastanowiłaś się nad niebezpieczeństwem podróży dla kobiety saméj wśród przechodów wojska, przejeżdżając przez kraj nieprzyjacielski, przepelniony maroderami tylu narodów?

— Dla mnie wszystko jest znośniejsze jak niepewność.

Matka widząc, że nic postanowienia córki zmienić nie zdoła, zezwoliła, ale pod warunkiem, że jój da czas przedsięwziąć środki konieczne jeżeli nie dla zupełnego jój podróży bezpieczeństwa, to przynajmniej zapewnienia wszelkich do tego możliwych sposobów. W tym celu napisała do księcia arcy-kanclerza, którego osobiście znała, z prośbą, aby jój córce, chcącój jechać do męża do Rossyi, mógł być udzielony konwój dla odprowadzenia ją na miejsce. Cambacéres mocno wówczas zajęty interesami państwa, gdyż ster rządu w czasie rejencyi młodéj cesarzowej pod jego wyłącznym zostawał wpływem, tak wielkim przejął się szacunkiem dla téj odważnéj kobiety, pragnącój z mężem dzielić niebezpieczeństwa i okropności odvodu, że na-

tychmiast przesłał następujący odpis, którego kopia nie wiem jakim sposobem, znalazła się w papierach mojego ojca, i którą tu dosłownie wypisuję:

Cabinet de l'Archichancelier.

Paris, 10 Decembre 1812.

A madame la Comtesse

Parys.

Madame,

C'est avec une douleur profonde que j'apprends la détermination de madame la Comtesse Morand d'aller rejoindre son mari. Par les circonstances actuelles c'est plus qu'une imprudence, et j'aime à croire qu'en mère tendre et éclairée Vous avez usé de l'influence, que Vos droits Vous assurent sur l'esprit de Votre fille pour l'en dissuader. Si toutefois madame la Comtesse persévère dans son projet, je transmets avec la présente l'ordre au préfet de Bésançon de tenir à sa disposition l'escorte nécessaire, afin que son voyage éprouve le moins d'entraves et de dangers possibles.

Recevez madame l'assurance de la considération avec laquelle,

j'ai l'honneur d'être

Votre très-obeissant serviteur

duc de Parme.

Prefekt w Besanson, który miał sekretne instrukcye, zwlekał z dnia na dzień zamierzoną pani Morand podróż, tak, że od daty listu księcia arcy-kanclerza do wyjazdu generałowej, trzy tygodnie upłynęło. „Były to dla mnie, opowiadała, trzy tygodnie nieopisanych męczarni. Nie miałam dnia i nocy spokojnej. We dnie każdy szelest, stąpanie po wschodach, turkot kół na dziedzińcu, mówienie pocichu, niepojętą przejmowały mnie trwogą. W nocy okropne sny przebudzały mnie: widziałam w nich generała bladego, zakrwawionego, wyciągającego ręce po ratunek, lub leżącego martwego na polu trupami zaslaném. Biędna moja matka nie wiedziała jak układać swoją twarz, chód, mowę, aby mnie nie przestraszyć. Jeżeli ją widziałam smutną, niezawodnie był to dowód jakiś złej nowiny; jeżeli zaś była we-

sołą, to pod płaszczem dobrego humoru nieszczęście taić usiłowała. Na twarzach osób mnie otaczających same tylko okropności i strachy wyczytywałam.” W czasie tak krytycznym dla niej, generałowa karmiła dziecko. Mały Alfons, nocami bezsennemi, krzykiem i nieraz konwulsyami przyplacał ten okropny stan matki. Okazała się niezwłocznie potrzeba odsadzenia go, zwłaszcza że byłoby szaleństwem puszczać się z kilkomiesięcznym dzieckiem w daleką, i to jeszcze zimową porą podróż. Wreszcie po długich niepewnościach, głównie z uwagi, aby pani Morand, w skutku nerwowego swojego usposobienia nie dostała obłędu, musiano dzień wyjazdu naznaczyć na ostatni grudnia. Zajeżdżała przed zamek w Morand-Val ta sama karetka podróżna, która posłużyła pani Morand do przejazdu z Polski do Paryża. Biędna nasza rodaczka rzuciła się do nóg matce, prosząc o błogosławieństwo, uściskała dzieci i odważnie wsiadła do karety; obok niej służąca garderobiana, którą jeszcze z Polski wywiozła, a na kozle przy pocztynie podoficer żadarmów konwojujących, których było dwóch jadących tuż przy powozie. Któż opisać zdoła boleść generałowej po rozstaniu się z matką i dziećmi. Jechała z całym przeświadczeniem niebezpieczeństw, jakie miała przed sobą, i przekonaniem, że już więcej nie wróci. Jednak miłość dla męża i uczucie obowiązku wszystkie inne przemogły uczucia; im dalej oddalała się od domu, tém więcej nabięrała odwagi. Jechała dniem i nocą wśród leśnych okolic, napełnionych powracającymi z Rossyi dezterterami wszystkich narodów, zgłodniałymi, nagiemi prawie i wyciągającymi rękę po kęs chleba, lub poprostu rabującymi i rozbijającymi na drodze. W przejeździe swoim przez Niemcy, była nieraz wystawiona na największe niebezpieczeństwa, a nawet na bójki eskorty z mieszkańcami wiosek, którzy na drodze ich zatrzymywali pod pozorem wizowania paszportów. W kraju tym opinia publiczna zawsze niechętna Napoleonowi, rozochociona wieścią o jego porażce, głośną swoją sympatją za wrogiem Francuzów objawiać zaczęła. Nie dziw więc, że przejeżdżająca generałowa francuzka z konwojem, niechętnie przyjmowaną była. Na drodze z Moguncyi do Kolonii, mała podróżująca kolonijka winna była jedynie swoje ocalenie chyżości pocztowych koni. W przejeździe przez wieś o mil 4 od Kolonii zatrzymano ją, i niby gdy się przyglądano paszportom, z poza domów wypuszczono cztery wystrzały pistoletowe, które szczęśliwie nikogo nie raniły. Pocztynion

przestraszony zaciął konie i karetą szybko potoczyła się po twardej drodze, w obec zdziwionych wieśniaków, którzy jej już zatrzymywać nie śmieli. Czterech z nich najzapalczywszych, puściło się przecież w pogoń, ale chyżości koni podoleć nie mogli. Generałowa zwyczajnie słaba i nerwowa kobieta, w tej podróży stała się prawdziwą bohaterką. W największych niebezpieczeństwach nie traciła odwagi, przeciwnie sama obroną kierowała. W Dreźnie, gdy lud się kupił koło hotelu, gdzie stanęła na nocleg, z porady tamtejszego komendanta kazała żandarmom swoim przebrać się po cywilnemu, co jej podróż bardzo ułatwiało, gdyż przejechała prawie resztę Niemiec bez żadnego wypadku. W Frankfurcie nad Odrą była poznana przez jednego Sasa, który kiedyś służył w dywizji jej męża. Nad ranem zrobiono jej kocią muzykę, co ją zmusiło do wcześniejszego opuszczenia miasta. Na granicy Księstwa Warszawskiego od granicy pruskiej, przyaresztowano ją pod pozorem fałszywych paszportów. O mało nie przyszło do krwawej bójki między eskortującymi ją żandarmami, a strażą pograniczną pruską. Dopiero gdy generałowa przemówiła po polsku do jednego z urzędników, który był Polakiem, puszczono ją bez trudności, i drogę przez Kalisz do Warszawy spokojnie odbyła. Tkliwe było przywitanie pani Morand z rodzinną swą ziemią. Tu każdy krajobraz, każda wieś, każde niemal drzewko, jako dawnego witała znajomego. Piaszczyste okolice, najbrzydsze może w kraju, któremi przejeżdżała, rajem jej się prawie być zdawały: przyglądała im się jakby były cudem natury. Ale któż z zwracających z zagranicy po kilku latach nieobecności w kraju nie doznał tego uczucia na widok rodzinnych stron?... U generałowej wrażenie to wzmagało się w miarę, jak się do Warszawy zbliżała. W chwili gdy wyjeżdżając z za krzaków ukazały jej się zdala gmachy Marywilskie, wieże Sto-krzyżkie i tyle innych pamiętnych jej gmachów stolicy, cała upłyniona przeszłość, jej dzieciństwo, młodość, poznanie się z mężem i ślub, kolejno jej się w żywych przedstawiały obrazach. Wszystko co widziała ożyło w jej oczach: drzewa alei, kamienie domów, wieże kościołów witały ją w rodzinnym grodzie, wypadki zaszłe w czasie jej niebytności opowiadały, ukochały jako wracającą wspólną matkę córę. Przejechawszy rogatki, pierwszy powóz jaki generałowa spotkała, była próżna dorożka jadąca ku miastu. Nagle bez namysłu zatrzymuje pocztyliona, rozkazuje zdziwio-

nemu żandarmowi zatrzymać dorożkarza, sama otwiera drzwiczki od karety, i jednym susem znajduje się w dorożce w obec zdumionych téj sceny świadków.

— A gdzie jaśnie pani jechać każe?—zawołał dorożkarz niemogący wyjść z podziwienia, że się ktoś znalazł i to jeszcze piękna pani podróżą strudzona, która przekładała jego na wszystkie boki nachylającą się kolosę, nad obszerną, wygodną, i doskonale noszącą angielską karetę!...

Generałowa kazawszy jechać za sobą ludziom swoim i eskorcie, uradowana widzeniem Warszawiaka, wdała się z nim w gawędkę.

— Co tu u was słyhać?—z bijącym zapytała go się sercem.

Wylękły prawie dorożkarz na widok groźnej i wąsatéj nieznamoméj pani eskorty, odpowiedział dość śmiało, jak na człowieka który się boi.

— Wszystko dobrze, jaśnie księżno, wczoraj gorzało na Ordynackim.

— Jakto? mieliście pogorzel?...

— A juźci, gadali w narożnym szynku, że trzydzieści domów zgorzało.

— Ach! dlaboga, i nie było wypadku?

— Ej, gdzietam, belka spadająca aż dwoje dzieci naraz zabiła.

— Szkoda, szkoda; i cóż więcéj słyhać?

— Wszystko dobrze jaśnie księżno: gadali tam także, że nasi mają rejterować.

— Co mówisz?—wyjąknęła zbladła i drżąca generałowa.

— Ah, tak, bo Rossyanie są juź w Jabłonny.

Na tę niespodziewaną wiadomość, biędna nasza podróżna oparła się prawie nieżywa o tył dorożki. Myśl, że jako żona nieprzyjacielskiego generała może dostać się do niewoli, przeszyła ją jakby dziesięcioma sztyletami; prawie bezprzytomna kazała jechać dorożkarzowi co koń wyskoczy do hotelu angielskiego. Któż nie wie, co to jest dorożkarz warszawski. Jak dziś w roku 1855, tak i w roku 1813 był zawsze ten sam: fizyonomia jego nic się w tym czterdziestoletnim okresie nie zmieniła, wyjąwszy, że dziś nazywa się dorożkarzem, wówczas cudzoziemską nazwę fiakra nosił. Wówczas jak dziś miał on swoje statystyczne wyrachowania i spostrzeżenia co do mniej lub więcéj zamożnéj swojego jaśnie pana prezencyi, i swoje względy stosownie do ich rezultatu miarkował. Każdy dorożkarz, że na rozkaz

nieznajomój pani, rzucając jej mu w sukienną jego czapkę napoleondora, koni zaciął i kolasa szybko się po nierównym warszawskim bruku potoczyła. Jakkolwiek ulice były puste, bo mieszkańcy na wiadomość, że obce wojska zbliżają się do murów miasta, siedzieli w domach zamknięci; przecież kilku zabłąkanych zbieraczy nowin stawało, wpatrując się w dorożkę jadącą *ventre a terre*, i unoszącą piękną z wyrazem przestachu na twarzy młodą osobę, a za nią suwającą karete i dwóch ludzi na koniach. Ledwie podróżna wysiadła w bramie hotelu, mnóstwo osób obległo już powozy, tak, że wychodzący naprzeciw gości szwajcar ledwie się mógł do nich dostać. Przybyli zażądali pokoi: wskazano im ten sam apartament, w którym Napoleon na kilka tygodni wprzód wysiadł i ambasadora swojego, niefortunnego w odgadywaniu ludzi i wypadków, księdza Pradt, przyjmował. W pokoju sypialnym stało jeszcze łóżko cesarza nierozebrań, stolik na którym pisał, okrawki papieru, pióro, kałamarz, które troskliwa o zachowanie pamiątek historycznych właścicielka hotelu ręka, na wiele tam lat pozostawiła. Podróżna korzystając z zajęcia ludzi hotelowych znoszeniem rzeczy, z ostrożnością wypytywała się szwajcara, co się w mieście dzieje; dowiedziała się, że władze Księstwa ustąpiły z Warszawy do Krakowa, i że nazajutrz bardzo rano rossyjski generał Tormansow ma zająć miasto. Mocno tą wiadomością skłopotana, oddała szwajcarowi swój paszport, zatrzymawszy przy sobie paszporta swojej eskorty; służącej spać pójść kazała, sama zaś zostawszy w pokoju, część nocy bezsenną przetrawiła, przemyślając nad sposobem wydobycia się z niebezpiecznego położenia, w które ją jej własna nieprzezorność wtrąciła. Widziała się sama jedna w mieście zdobytém, narażona na wszystkie wypadki wojny, w zupełnej niewiadomości o losie męża, dla którego tyle trudów i przykrości podjęła. Wyrzucała sobie swój rozdział z dziećmi, które na podwójne naraziła sieroctwo; a ta myśl była jej najdotkliwszą!... Lecz chwila rozpaczki niedługo u niej trwała.

Rzuciwszy okiem na medalik Matki Boskiej Częstochowskiej, który zawsze przy sobie nosiła, ukłękła, i zmówiwszy ulubioną sobie szczeropolską modlitwę: *Pod Twoją Obronę*, czuła się pokrzepioną, i mogąc już zdrowiej ocenić swoje położenie, odrazu sobie plan postępowania ułożyła. Zadzwoiła na służącą i kazała przywołać wachmistrza eskorty, François nazwi-

skiem. Służył on kiedyś w pułku karabinierów starej gwardyi: ogorzała twarz, czerwona wstążeczka, wąs zawieszisty, pełne energii wejrzenie, trzy wydatne rysy na czole, świadczyły wymownie, że należał do rodziny owych słynnych *Groniardów*, co to straszni i niepokonani na polu zwycięstw, karni dla swych oficerów, w życiu domowém byli potulni jak dzieci. François był prawdziwym typem *groniarde*: dla niego cesarz był bogiem, a gwiazda legii honorowej, którą śpiąc nawet nosił na sereu, niebem, dla którego sto razy życie narażał. Ranny w jednej z pierwszych bitew w czasie kampanii rosyjskiej, odesłany był do Francyi, a wyleczonemu, w nagrodę zasług, powierzono ważny stopień wachmistrza żandarmów w departamencie du Doubs. Niezwłocznie po tej nominacji, jako świadomemu miejsc, powierzono mu eskortę generałowej. W czasie podróży był on jej aniołem opiekuńczym. Uprzedzał wszystkie jej życzenia, wybierał najlepsze noclegi, starał się o najwykwintniejsze obiady, pocztylionom ostrożność zalecał. Jak była zła droga, sam z swojemi podkomendnemi żandarmami szedł piechotą przy drzwiczkach od karety, aby ją wstrzymać od wywrotu w razie wypadku. W nocy sypiał na twardém podrózném pościaniu przy drzwiach jej pokoju, strzegąc od złodziei i maruderów, napętniających w owym czasie publiczne gościńce. Owego wieczora na odgłos dzwonka wszedł wachmistrz do pokoju generałowej i z uszanowaniem stanął przy drzwiach.

— François—rzeczę pani Morand do żołnierza— już czas, abyś wraz z twoimi towarzyszami wrócił do Francyi; jutro rano dam ci listy do mojej matki i do prefekta w Besançon, gdzie mu z serca dziękuję za tak dobrego, wiernego i troskliwego przewodnika, jakim go w tobie znalazłam. Nie zapomnę nigdy twoich usług i przychylności, i proszę Boga, aby mi dał jeszcze sposobność okazania ci mojej wdzięczności. — To mówiąc, generałowa wsunęła wachmistrzowi do ręki mały rulonik napoleondorów. François uczyniwszy trzy kroki naprzód położył rulonik na stole, a wykręciwszy się lewo w tył wrócił z całą wojskową powagą na miejsce.

— *Cent mille ton.... pardon*— było to bowiem przysłowie wachmistrza; tu zamilkł, ale duże łzy potoczyły się po jego zoraném zmarszczkami twarzy.

— Cóż ci to jest François — rzeczę wzruszona tą łzą żołnierza generałowa.

— Co mi jest? to mi jest, że mnie pani masz za bardzo nikczemnego człowieka, kiedy myślisz, że byłbym w stanie zgwałcić rozkaz.

— Jak ty to rozumiesz?

— Wszak, jeżeli się nie mylę, stoi jasno w rozkazie powiedziane, że mam panią oddać w ręce samego generała.

— Mój poczciwy François, wiesz bardzo dobrze, że to być nie może: najprzód nie wiemy gdzie się generał znajduje, jutro Rosyianie wchodzą do Warszawy: moglibyście się ty i twoi ludzie dostać do niewoli, a ja nie chcę cesarza pozbawiać usług waszych w tak krytycznych okolicznościach.

— Ale cóż się z panią stanie?

— Nie bój się o mnie, ja tu jestem w moim kraju, wśród rodziny, która niebawem otoczy mnie, gdy się o moim dowię przybyciu; cokolwiek bądź, mnie jako kobiecie żadne ze strony nieprzyjaciela nie grozi niebezpieczeństwo: bądź zatem co do mnie zupełnie spokojnym, a myśl o twojem i twoich ludzi niebezpieczeństwie. Dobry François, spocznij po trudach, a jutro jak najraniej przyjdź po listy.

Wachmistrz nawykły do posłuszeństwa odszedł w milczeniu, a nasza podróżna ujrawszy się sama w pokoju, nie tamowała już łez swoich i smutku. Nie ma zapewne ani jednego z czytelników lub czytelniczek moich, którzyby choć raz w życiu nie doznali przykrego uczucia, jakie rodzi pierwszy wieczór przepędzony w smutnych i pustych zajezdnego domu pokojach. Te obce mury żadnej pamiątki sercu nie przynoszące, te wytarte stoły, wypłowiałe meble, których ukochana nigdy nie tknęła się ręka; te chłodne ściany przykryte nie znaczącym sztychem lub zawilgoconem zwierciadłem, do tego cichość nocy przerywana jedynie monotonnym chodem ściennego zegara, lub przeciągłym wołaniem stróży nocnych: wszystko to mrozem przejmuje a nawet pewnym rodzajem trwogi, z której nie umiemy zdać sobie sprawy. Nie ma tak wesołej myśli, którąby pierwsza noc w hotelu przepędzona nie ostudziła i nie zatrąła.

Wystawmy sobie stan biédnej naszej podróżnej, której samo jej położenie do swobody nie usposabiało. Chcąc rozerwać okropne przecucia, które ją dręczyły, usiadła do biurka i wzięła się do napisania listu do matki. Długo się namyślała co i jak napisać, w końcu nakręśliła jeden z tych listów, mieszczących w sobie daleko więcej słów niż myśli, taki, jak to

zwykle piszemy do ukochanych nam osób w chwilach smutku i proby, jedynie aby je zaspokoić, ale nie wyjawiać udręczeń naszych. List do prefekta łatwiej jej poszedł: zamykał on w sobie jedynie etykietalne wyrazy grzeczności, które w każdej chwili łatwo wyrazić, gdyż ich się mało czuje. Po napisaniu listów, biedaczka próbowała zasnąć, ale sen jest podobny do ludzi: unika nieszczęśliwych. Nazajutrz wcześniej niż zwykle zadzwoniła, ubrała się i posłała nająć remizę. Rządca hotelu, któremu dała to zlecenie wrócił z oznajmieniem, że nie mógł dostać remizy, gdyż konie zbytkowych powozów wzięte zostały w rekwizycją. Generałowa chcąc się choć na chwilę wydobyć z ciemnych i wilgotnych murów hotelu, zapuściwszy welon wyszła na miasto, oparta na ramieniu służącój, i kroki swoje skierowała ku katedrze Św. Jana, farą wówczas jeszcze będącój. Miała szczególne nabożeństwo do miejscowego Pana Jezusa cudownego, częstego jej dziewiczych modłów świadka. Na drodze spotkała długi szereg armat, powózek, jaszczyków z amunicją, ciągnący od strony Pragi i należący do wojsk okupacyjnych. Biedna podróżna śpiesznym idąc krokiem zastała w kościele nabożeństwo z wystawieniem, gdyż to był właśnie czwartek. Po mszy świętój i processyi śpiewano supplikacye. Uklękła przed pięknym Pana Jezusa wizerunkiem i gorąco się modlić zaczęła; w tej chwili kościół ludem pobożnym przepełniony, odezwał się starożytnym hymnem *Święty Boże*. Któreż serce silniej nie uderzyło uchwyciwszy piérwszą nutę tej harmonii tak wzniosłej i pięknej w prostocie swojój? Jestto błagalny jęk wydzierający się z serc żalem przepełnionych, i towarzyszący nam w czasie głodu, pomoru, wojny, w owych publicznych klęskach, w których lud skupiony jak jeden człowiek w świątyni Pańskiej, błaga Pana Zastępów o odwrócenie swój prawicy nad jego głową wiszącój. Wielki jest urok w naszych pieśniach kościelnych, ale żeby je czuć i zrozumieć, potrzeba, że się tak wyrażę, przy nich urodzić się, wykołysać. Wrażenie, które Emilia Morand doznała słuchając tego śpiewu było nie do opisanania, i ten je tylko pojmie, kto przez lat kilka był jak ona pozbawionym rzewnych tej swojskiej harmonii tonów. Modliła się, płakała, dumiała, wpatrując się ciągle w prześliczną twarz Chrystusa, którego wyraz zdaje się chcieć całą ludzkość przycisnąć do miłującój piersi. W tej lubej zadumie mijały godziny, nabożeństwo się skończyło, lud się rozszedł, generałowa sama jedna

w kościele została, gdy brzęk kluczy w ręku zakrystyana zabięrającego się do zamykania kraty kaplicy, ostrzegł ją, że czas wyjść z kościoła. Wróciwszy do domu porozsyłała ludzi po wszystkich dzielnicach miasta, celem odszukania krewnych i znajomych dawniej tu zamieszkałych: żadnych jednakże o nich nie można było zasięgnąć wiadomości. Towarzystwo rozpiezło się na wszystkie strony, domy pustkami stały, wiele osób towarzyszyło władzom do Krakowa, lub na wieś się porozjeżdżało. Przykre było położenie biednej kobiety na rodzinnej ziemi, a przecież obcej między swojemi. Niepewność wszakże o losie męża bardziej ją dręczyła jak własne niebezpieczeństwo. Po kilkodniowej przerwie, nie bez długiego namysłu postanowiła napisać do generała Tormansow list, w którym skreślając mu wierny obraz swego położenia od chwili wyjazdu z Francyi, prosiła o udzielenie jej potrzebnych paszportów i pozwolenie udania się do męża gdziekolwiek się znajduje. W końcu prosiła generała o chwilę rozmowy. W godzinę po zapieczętowaniu i wysłaniu listu, dorożka czyli tak zwana kiszka ruska, o jednym koniu z zwoszczykiem na przodzie i dwoma z tyłu kozakami, zajechała przed hotel angielski. Wyskoczył z niej oficer ubrany w mundur pułkownika głównego sztabu wojsk rosyjskich, i zapytawszy się szwajcara o panią generałową Morand, wysłał go na górę z oznajmieniem, że ma widzieć się z panią generałową z rozkazu generała Tormansow. Jak się można domyślać, był natychmiast przyjęty.

Pułkownik rzuciwszy badawczém okiem na panią Morand i otaczające ją przedmioty, grzecznie się uklonił i oświadczył ze strony swojego dowódcy żal, że dla braku czasu nie może zadosyć uczynić jej wezwaniu, że pragnie zrobić dla niej wszystko co możliwém być osądzi, że paszporta udzielone jej będą jak tylko otrzyma instrukcyje na raport, który monarsze swemu przesłać najspieszniej nie omieszka. Co zaś do losu korpusu Dawousta w téj chwili nie jest w stanie dać jej zaspakajającej odpowiedzi, ale że niezwłocznie zapytania gdzie potrzeba prześle. W końcu pułkownik zapytał się generałowej, czy czego nie potrzebuje, i oświadczył, że ma zlecenie dać jej wszelką pomoc w czasie jej pobytu w krajach przez armią rosyjską zajmowanych. Pani jesteś sama w hotelu, dodał, prawie bez usługi, a nawet obrony w razie potrzeby; bywają wypadki kradzieży, różnie się dzieje w podróży, jest zatem życzeniem ge-

nerała, abyś pani hrabina pozwoliła, żeby kozak był zawsze w przedpokoju gotowy na jój rozkazy. Pani Morand zmartwiona tą zwłoką, i widząc, że generał nie da się namówić na udzielenie jój paszportów bez poprzedniego zezwolenia Cesarza Alexandra, ulegając konieczności, skłoniła się na znak podziękowania. Po chwili pułkownik wstał, pożegnał generałową, zbiegł szybko ze schodów, kiwnął w sieni na kozaka, i dał mu rozkaz pozostania w przedpokoju, w razie gdyby pani hrabina czegoś zażądała. Mijały dni, tygodnie nawet, a nasza rodaczka nie otrzymywała ani paszportu do wyjazdu, ani wiadomości o swoim mężu. Przykrą jój była ta niepewność, gdyż i o matce i dzieciach swoich nie miała żadnej wiadomości, z powodu że komunikacya nietylko z Francją, ale z Niemcami, Galicyą i Krakowem szczerze zamkniętą była.

Biędna generałowa nie mogła ani wracać do Francyi, ani jechać dalej: był to stan rozpaczliwy. Jój natura dotąd silna uledz musiała tłoczącej duszę tęsknocie. Jednego wieczora dostała lekkiego dreszczu i wcześniej się położyła; tejże nocy silna ją opanowała gorączka, a po trzech dniach leżała prawie bez duszy. Oddalona od krewnych i przyjaciół ciągle w mieście nieobecnych, miała tylko przy sobie doktora wojskowego, przysłanego jój przez generała, który w dzień i w nocy jój łoża nie odstępował. Choroba objawiła się w straszliwy sposób. Czasami zdawało jój się, że widzi męża umierającego i zlorzczącego jój, że do niego nie przyjeżdża; to znów dzieci swoje w dołach grzebała; zrywała się, chciała biédz na ich ratunek. To znów zdawało jój się, że jój mąż z swoimi adjutantami przyjeżdża na wieczerzę, a ona woła na ludzi, aby stół czémprędzej nakrywali. Chwilami śpiewała fałszywym głosem wszystkie włoskie arye, których się kiedykolwiek uczyła; a ten śpiew był tak straszny, że kobiéta, która ją doglądała, nie mogła go słuchać, i kilka razy od jój łożka uciekła. W chwilach przytomności przejęta była żądzą widzenia swoich, choćby raz jeden, a przez to samo wyleczenia się z okropnej choroby. Lekarstwa najnieznośniejsze nietylko z ochotą przyjmowała, ale nalegała na felczera, aby dozy podwajał, w mniemaniu, że przyspieszy przez to przesilenie choroby. Jak wszystko się kończy na tym bożym świecie, złe jak dobre, tak przecież i słabość generałowej skończyć się musiała, i chora po sześciu tygodniach widocznie do sił i zdrowia wracać zaczęła. Gdy mogła siedzący

utrzymać się na krześle, generał Tormansow przysłał adjutanta z oznajmieniem, że ma jój pomyślną udzielić wiadomość, którą sam jój zawieźć pragnie. Pani Morand odpowiedziała, że jest zawsze gotowa go przyjąć: jakoż w kilka godzin po wizycie adjutanta, przyjechał generał na koniu otoczony liczną świtą, którą zostawiwszy w bramie i na dziedzińcu, sam pospieszył na górę. Chora przyjęła go leżący na szesłagu, błada i drżąca ze wzruszenia na myśl, że jój generał wiezie tak długo oczekiwaną i upragnioną wiadomość o mężu i dzieciach. Generał powitawszy ją z całą wytworną grzecznością człowieka dobrze wychowanego, oświadczył, że z przyjemnością donosi, że w czasie jój choroby odebrał wiadomość, iż Cesarz nie ma nic przeciw odjazdowi pani hrabiny z Warszawy. Gdy to mówił, wyjął z za munduru papier, który grzecznie podał. Byłto paszport dla niej i dla jój ludzi. Co się zaś tyczy męża pani, ciągnął dalej generał Tormansow, z wiadomości jakie mogłem zasięgnąć, dowiaduje się z pewnością, że nie zginął. Domawiając tych słów generał wstał, skłonił się i wyszedł, a biedna żona od tyłu miesiący do cierpienia nawykła nie mogła zwalczyć wrażenia szczęścia, którego tak dawno nie doznała. Straciła przytomność: ledwie obecny tój scenie lekarz przez użycie stosownych lekarstw, zdołał opąnować okropny nerwowy napad. Dobrą pokrzepiona wiadomością chora z cudowną prawie szybkością do zdrowia wracała, a w dni dziesięć tak się czuła dobrze, że mogła w daleką puścić się podróż. W czasie jój choroby świat był znów widownią wielkich zmian i wypadków. Kampania roku 1813 rozpoczęła się świetną Napoleona wygraną pod Lützen: byłto ostatni uśmiech fortuny dla dawnego swojego ulubieńca. W skutku tój bitwy w której 300,000 wojska walczyło naprzeciw sobie, korpus Dawousta zajął Hamburg, którego generał Morand mianowany został gubernatorem. Tak pożądana wiadomość dla stronników Napoleona dodała zdrowia i odwagi naszej podróżnej. Objawiła ona chęć udania się na Berlin do Hamburga. Z rozkazu generała Tormansow odprowadzoną została do granicy pruskiej przez oddział kozaków z oficerem na czele. Po pięciu dniach podróży, szczęśliwie przybyła do Berlina, gdzie zastała kilka na poczęcie zaległych listów od męża, matki i dzieci.

Generał Morand w długim opisie opowiedział jój cały bieg kampanii i straszego odvodu z Moskwy, których szczegóły są powszechnie znane, zatem nie będę ich tu powtarzać.

W końcu donosi jój, że przed samém wejściem do Hamburga odebrał list od jój matki z uwiadomieniem o jój wyjeździe; wynurzał jój żal swój, że narażała się na niebezpieczeństwa przeprawy w czasie tak krytycznym, wszakże w tém lekkim połajaniu przebijało pewne zadowolenie: bo któryż z panów mężów, choćby najczulój kochający, nie ucieszy się w duchu z szalonego czynu żony, gdy ma na celu miłość i poświęcenie się dla niego? Matka generałowej (bo miłość macierzyńska jest jedynie wolna od samolubstwa), matka szczerze się niepokoiła losem córki, i boleść swoją rzewnymi słowami na papier wylewała. Za staraniem i pomocą goszczących w Berlinie ziomek, generałowa po trzech dniach odpoczynku w stolicy Prus w dalszą do Hamburga puściła się podróż.

Władze pruskie względniejsze dla poddanych francuzkich po ostatniej pod Lützen bitwie, niechcąc na siebie brać odpowiedzialności w razie niepomyślnego wypadku w podróży, dały generałowej paszport na imię jój służącej Heleny Malinowskiej, niby podróżującej żony kupca z Warszawy. Dzięki temu pomysłowi nasza podróżna przejechała szczęśliwie północne Prusy, i dostała się do granicy księstwa Lauenburgskiego, przez Francuzów zajętego. O milę od Hamburga, jój służąca wyjrawszy przypadkiem okienkiem od karety, niespodzianie zawołała „*Monsieur le Comte*”; niebawem powóz się zatrzymał, drzwiczki raptem odemknięto i nasza rodaczka znalazła się w objęciach męża.

Któż zdoła opisać radość obojga po ośmnastu miesiącach niewidzenia, a sześciu zupełnej o sobie niewiadomości. Chwila ta wynagrodziła naszej rodaczce blisko trzy miesięczne męczarnie wszelkiego rodzaju. Mąż jój pełen wdzięczności i uwielbienia, z rozczuleniem wpatrywał się w bladą i cierpiącą, ale niemniej piękną twarz żony. Przeklinał wojnę i jój następstwa, pragnął pokoju, ale pokoju z honorem Francyi zgodnego: bo był przedewszystkiem Francuzem. Oddawszy konia karabinierowi, który za nim jechał, wsiadł do karety żony, i jak można się domyślać, miła, która ich od miasta przedzielała zbyt się im krótką wydała. Tyle sobie mieli do powiedzenia!... Dla wytłumaczenia czytelnikowi niespodzianki, którą generał żonie zrobił, muszę tu dodać, że był uprzedzony o jój przybyciu sztafetą z Berlina przez jednego z Polaków tamże bawiących wysłaną. Generałowa przyjechawszy do Hamburga, znalazła w przegna-

czonych dla siebie pokojach w kwaterze męża, swój gabinet do pracy tak urządzony, jak w Morand-Val: był tam fortepian z najświeższymi nutami, sztaluga z przygotowanym płótnem do malowania, dzieła jęj ulubionych autorów, włóczki i pele do kanwowej roboty, bo pani Morand należała do liczby kobiet, które w żadnym wypadku próżnować nie lubią i nie umieją. Za przybyciem do Hamburga zajęła się zwiedzaniem lazaretów, które były przepelnione, gdyż zwożono do nich chorych i rannych z korpusu Dawousta, najliczniejszego w armii. Co dzień ich więcej przybywało: nieraz i łózek, szarpi i bielizny zabrakło. Generałowa kazała wypróżnić kilka sal w pałacu senatu, gdzie była kwatera jęj męża i tam ich wygodnie i w zdrowém umieściła powietrzu. W czasie jęj pobytu w Hamburgu spalono publicznie wszystkie znalezione po składach towary angielskie i kolonialne. Z bolem serca patrzała na te stosy najpiękniejszych szalów, koronek, materyj jedwabnych, wyrobów złotych, srebrnych wezwodów i t. p., tak drogo w owych czasach przez ład stały Anglii płaconych, jak z dymem ulatywały w oczach oddziału wojska w szyku bojowym assistującego, i mass ludu okrążającego plac exekucyi. Kary ogromne zapowiedziane były przeciw wszelkiej defraudacyi. Dwóch żołnierzy francuzkich, których skusiły sztuka materyi i zawój indyjski, na miejscu rozstrzelani zostali. Takto poraniony i prawie konający już orzeł, czuć jeszcze dawał straszne swoje szpony!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Plombières. — Pre-Catelan. — L'ancien régime et la Révolution, przez Alexego Tocqueville członka Akademii. — Rocznicza śmierci pani Girardin. — Telegraf stołeczny. — Pod-morski dagierotyp. — Kolej żelazna na między-morzu Panama. — Rozległość Paryża. — Liczba dzienników paryzkich.

Nietylko dwór i świat piękny, ale uczeni, literaci i artyści szukając zdrowia lub natchnienia, wyjechali z Paryża, unosząc z sobą niedokończone prace, a druk skończonych odkładając do powrotu. W stolicy zostali tylko dziennikarze, kupcy, hoteliści i wyrobnicy, czyli cztery rodzaje ludzi należących do nieruchomości Paryża. W księgarniach, teatrach, dziennikach, pustki. Pora żniw dla rolnika, jest przednówkiem dla sprawozdawcy. Nie zdziwią się przeto czytelnicy, jeżeli sierpniowa literacko-artystyczna kronika porwana prądem, który uniósł literatów i artystów, nie od dzieł nowych, nie od teatrów, nie od wystawy żadnej, ale od wód mineralnych rozpocznie miesięczne sprawozdanie.

Moda tegoroczna, do której tu nietylko kobiety, ale dyplomaci i uczeni się stosują, zagnała wierzchołkową społeczność paryzką do Plombières. Czemu tam a nie gdzieindziej—odgadnąć łatwo. Po wszystkie czasy byli i będą dworacy, którzy, jak mówi Tacyt, cierpią na tę samą chorobę, co ich pan; po wszystkie czasy byli i będą ludzie gotowi odpowiedzieć monarsze, jak niegdyś ów dworzanin uskarżającemu się na brak zębów królowi francuzkiemu: *Sire, qui est ce qui a des dents?...* Dwór się tam kąpie, to dosyć, żeby najodludniejszy zaką-

tek Vogiearów stał się piękniejszy i skuteczniejszy od wszystkich miejsc sławnych dotąd z piękności położenia i skuteczności swych źródeł.

Nie sąto atoli dość ważne powody do opisu Plombières, i nie zajmowałibyśmy nim pewnie czytelników naszych, gdyby nas nie wiązała z tém źródłem pamiątka historyczna. Plombières było niegdyś ulubioną siedzibą Stanisława Leszczyńskiego; wszystkie gmachy, pomniki, i sam zakład kąpielny, pod jego pieczę były zbudowane; na każdym kroku napotykasz tam jakiś ślad świadczący o zamiłowaniu miejsc tych przez króla polskiego. Ze wszystkich miast swego księstwa najchętniej przebywał w Plombières. Tam dwie wnuczki jego, córki Maryi Leszczyńskiej, odwiedzały go często, i imion swoich użyczyły źródłom; tam lubiła przebywać sama Marya, znękana zgorzeniem panującym na dworze męża; tam opuszczona od wszystkich, ukrywała łzy swoje i tęsknotę za ojczyzną, której jój nie zastąpiły pozazdrozczony splendor Wersalu.

Wszystkie te wspomnienia i pomniki, jakie zostały w Plombières po królu Stanisławie, połączone z fenomenami w które je uposażyła natura, skłaniają nas do opisu tego miejsca, w mniemaniu, że choć z innych powodów, niemniej zajmie czytelników naszych, jak tutejszy świat modny.

Poeci i historycy opisujący Plombières, różnie etymologią jego nazwy wywodzą. Jedni twierdzą, iż Plombières pochodzi od łacińskiego *Plumarius*; drudzy, że od *Plumbarius*; poeci utrzymują, że od *piór*; historycy że od *ołowiu* wzięło nazwanie. Która z tych etymologii prawdziwa, niewiadomo: to tylko pewna, iż ciężkość ich nierówna na wadze synonimów.

Jeszcze w XVI wieku poeta niemiecki Camerarius napisał kilkopieśniowy poemat łaciński, pod napisem: *De thermis Plumbariis*. Później Berthemin, doktor króla Stanisława, pisał do Plombières medyczno-poetyczne ody, w których sławi cudowną skuteczność tego źródła; po nim Voltaire zaszczycił Plombières długą, arcy-złośliwą satyrą, wyśmiewającą łatwo wierność tych, co wierzą w skuteczność wody mineralnej. Nakoniec pochwałę tego źródła napisali wierszem dwaj akademicy: pp. Campenon i Mollevaut.

Plombières zupełnie zrujnowane przez trzęsienie ziemi w 1682 roku, zostało na nowo odbudowane z gruntu przez księcia Lotaryngii, króla Stanisława. Przekonawszy się o sku-

tecności tamtejszych źródeł gorących, które podczas trzęsienia ziemi przemieniły się w wulkany, i dość długo jeszcze potem, zanim powróciły do dawnego stanu, ogniem zamiast wodą tryskały: pobudował najprzód wspaniałe wodociągi wedle symetrycznego planu, prowadzące wodę mineralną do łaźni, położonych w niższych częściach miasta. Wodociągi te wzniesione w kamienne arkady, zdala widne, nadały miejscu temu cechę monumentalną innych miast Lotaryngii, słynącej ze starożytnych zabytków.

Nie przestając na tém znakomitým dziele, dokonaném dla dobra ludzkości, król Stanisław wybudował na chwałę bożą kościół, który do piękniejszych we Francyi się liczy; a obok kościoła założył szpital, przeznaczając wieczysty fundusz na utrzymanie w nim dwunastu łózek. Szpital ten dodziśdnia utrzymywany jest w porządku, zgodnie z przepisami fundatora.

Położenie miasta jest bardzo malownicze. Ukryte w wąwozie Vogiezów, na pochyłości znacznej góry, wydaje się jakby obrazek miasta zawieszony nad bystrém łożyskiem Saony. Wąwóz jest tak ciasny, iż jedną tylko mieści ulicę, która ciągnąc się w górę, trzy razy łączona schodami, tworzy trzy piętra, czyli trzy osobne kondygnacye, zwane niskim, średnim i wysokim miastem. Woda mineralna tryskająca z góry, przecina miasto kilka razy, a uspodu jego tworzy obszerną sadzawkę. Źródła są nader obfite. Ciepłik wody dochodzi 64 stopni; ilość jej jest więcej niż dostateczna, gdyż dostarcza dwa tysiące kąpeli dziennie; liczba zaś kąpiących podczas najliczniejszego zjazdu nie przenosi 1800.

Urządzenie łaźni inne tu niż gdzieindziej. Gabinetów osobnych jest bardzo mało; zazwyczaj zajmują je rzeczywiście chorzy, ogół zaś gości kąpie się we wspólnych bassenach, mogących pomieścić do ośmdziesięciu osób płci obojg. Wspólność kąpeli nie jest atoli tak zupełna jak u wód Louech w Szwajcaryi, gdzie mężczyźni i kobiety zanurzeni w jednym bassenie, grają w karty, czytają dzienniki i piją czekoladę na sosnowym stole, pływającym po wodzie naksztalt tratwy: w Plombières bassen przedziela na dwoje mur kamienny dochodzący do pasa.

Nie mając specjalnych potemu wiadomości, nie możemy sądzić o naturze i skuteczności wód plombierskich. Wiemy tylko, że są gorące, i nie mają ani odoru, ani smaku. Każdy lekarz na inne choroby przepisuje te źródła, wszyscy jednako-

woż zalecają je, mianowicie na reumatyzmy. Kąpieli jest tu pięć rodzajai: najmocniejsza i najdawniejsza zowie się *rzymska*; druga założona w 1763 dla córek Maryi Leszczyńskiej, od nich została nazwaną kąpielą *damską*; trzecia *cesarska*, zowie się tak od Napoleona I, który jęj używał; czwarta *umiarkowana*, piąta *kapucyńska*. Ostatni ten bassen najstarszy po rzymskim, jest bardzo szczególny. Z wysuniętej naprzód naksztalt lejka skały, zawieszonęj w znacznej wysokości nad bassenem, ciepła woda wiecznie spada grubym kroplistym strumieniem, lejącym się przez naturalny durszlak granitowy. Pod tą tuszą jest ławka kamienna, na której lekarze każą siadać kobietom bezpłodnym. Kuracya ta jest bardzo bolesna, bo woda spadając z wysoka na głowę i ramiona, czyni wrażenie biczowania. Czy skutek kuracyi wynagradza cierpienia jakie sprawia, powiedzieć nie umiem.

Para dymiąca ze źródeł jest tak gorąca, iż urządzono z nięj łaźnię parową, jak również ogrzano izby, gdzie się suszy bielizna do ocierania kąpiących. Ciepłej wody w Plombières jest aż do zbytku, ale brak zimnej dokuczliwie czuć się daje. Dla roztwarzania zbyt gorących kąpeli, musiano umyślnie zbudować płaskie rezerwoary, gdzie za pomocą pomp sprowadzona woda źródłana, stygnie na powietrzu, poczem do wanien ścieka rurami.

Zwyczajnej wody dostarcza miastu jeden tylko potok, płynący poniżej źródeł gorących. W roku 1773 zdarzyło się, że potok wezbrany topnącemi śniegami, wystąpił z koryta i pomieszał się z wodą gorącą. Mieszkańcy Plombières mieli więc podostatkiem wody letniej do umywania się, ale wodę do picia i gotowania sprowadzać musieli z odległych okolic. Z tego powodu, pragnąc na przyszłość uniknąć podobnych wypadków, wykopano głębsze łożysko rzeczce, a źródła obwarowano murem; odtąd biędny potok nie może się już ogrzać u źródła.

Jest rzeczą godną uwagi, iż kraje obfitujące w winnice, obfitują także w wody mineralne, jak gdyby natura obok złęgo chciała umieścić na nie lekarstwo. We Francyi i nad brzegami Renu znajdują się najslawniejsze winnice i najsłynniejsze źródła. Wody pyrenejskie graniczą z winnicami Languedoc'u i Roussillon'em; winnice burgundzkie sąsiadują na północ z Plombières, a na wschód z Vichy; źródła Ems i Wiesbaden, leżą niedaleko Johannisbergu. Tokaj nawet ma swoje mineral-

ną studnią, o dwie mile od siebie. Miałożby to dowodzić, że trzeba dolewać wody do wina?

Najpiękniejszą częścią Plombières jest *promenade des Dames*, rodzaj parku założonego przez wnuczki króla Stanisława, i od nich nazwanego. Przy końcu tej promenady, obfitującej w piękne drzewa, wodę i prześliczne widoki na pasma gór piętrzące się po obu stronach, są malownicze szczątki papierni sławnej tém, że dostarczała papieru wydawcom dzieł Voltaira, a później przez długie lata zaopatrywała drukarnią *Monitora powszechnego* w Paryżu.

Na przeciwnym końcu miasta leży promenada modna, od górzystego położenia swego zwana *d'En-Haut*. Są to bulwary włoskie Plombièresu, jedyne miejsce, gdzie krenoliny mogą się puszyć swobodnie: wewnątrz bowiem miasta ulice są tak wąskie, że przy dzisiejszej modzie, matka z córką w parze z trudnością się przecisnąć potrafią.

Ostatecznie, życie w Plombières nie jest ani wygodne, ani wesołe, chociaż tego lata z rozkazu cesarza, pobudowano namioty do tańca i koncertowe sale. Koterya dworska unika starannie legitymistów, legitymiści unikają dworu, i tylko z poza krzaków obserwują co się tam dzieje. Arystokracja unika mieszczan, mieszczenie arystokracji; artyści unikają jednych i drugich; uczeni chowają się po kątach; dyplomaci ważą wyrazy i namyślają się do kogo zagadać: słowem, że towarzystwo rozbite na małe kółka, nie miesza się ani bawi, a nawet nudziłoby się śmiertelnie, jak się to zwykle zdarza szukającym zabawy, gdyby nie prześliczna okolica, która dostarcza rozlicznych wrażeń, nawet najmniej poetycznym umysłem. Każdy téż z turystów czy pacjentów, wykąpawszy się i wypiwszy wodę, pieszo lub konno wędruje po tej francuzkiej Szwajcaryi, gdzie niegdyś Claude-Lorrain czerpał najczystsze natchnienia, a król Stanisław dobrmi uczynkami unieśmiertelnił swe imię.

Zanim powrócimy do miasta i utoniemy w wilgotnym zmierzchu paryzkich czytelni, rzućmy jeszcze okiem na nowo wyrosłą w lasku bulońskim oazę, zwaną Pré-Catelan, która tego lata jest celem wędrowki mieszkańców stolicy, oraz niewyczerpanym przedmiotem do opisów dla tutejszych felietonistów.

Ogród ten wywołany z bagniska czarownym talizmanem trzech kroć stu tysięcy, możnaby nazwać improwizacją wiegietalną. Przedsiębiorca Ber, w niedostępny zakątek bulońskiego

lasu rzucił złoto, mówiąc: „stań się!” i wnet na jego skinienie rodzajna ziemia zasypała bagnisko, zbiegło się 80,000 krzewów, drzewa i kwiaty uszykowały się w nadobne klomby lub szpalery, pozieleniały trawniki, zajaśniały żwirowe ścieżki, domki, namioty, sale balowe i szwajcarskie szalety wyrosły z ziemi jak szparagi przez jedną noc letnią: słowem, w niespełna trzy miesiące, w mniej czasu niżby Watteau do wymalowania jęj potrzebował, ukończono owę śliczną wonną i cienistą ustroń, łączącą w sobie przyjemności ogrodu z rozrywkami eleganckiego jarmarku.

Pré-Catelan mianowicie uroczo wygląda wieczorem, przy blasku gazowych illuminacyj. Zwrotnikowe rośliny, których tu bardzo wiele, drząc po klombach obok kwiatów krajowych, wydają się jak Kreolki wmieszane w balowe grono Francuzek. Wyniosłe palmy z szelestem powiewają bukietami szerokich liści, magnolie obsypane kwiatem, drażniąc wonią swych białych konch rozkwitłych, wabią przechodnia kolorem i zapachem; obszerne trawniki zaokrąglone przyjemnie, oprawiają jak w aksamitne ramy kosze kwiatów, przypominające rzymskie mozaiki; kapryśny strumień, przez który przeskakują gotyckie mostki, pomalowany barwą tysiąca lamp kolorowych, bieży, przecinając krętém korytem ścieżki i klomby.

Nieczuli na sielankowe piękności, znajdują tu tysiące sztucznych rozrywek: dobraną muzykę, w kioskach teatru, gdzie występują włoskie marynetki, aktorowie z tektury, żywsi i zręczniejsi od wielu żywych; fotografa zamieszkałego w chińskim pawilonie, co jak strzelec na skowronki czatuje na portrety i chwyta w lot twe rysy. Tu elektryczne proby zwabiają ciekawych, tam czarownica Benita tworzy cuda i wróży przyszłość; owdzie odzywa się pistolet strzelający do celu. Tu chuśtawki wyrzucają w górę wesołe pary, tam tańczują, tu jedzą lody, tu piją sorbetty, mléko, piwo, kawę, limonady, wszystko co kto zażąda: bo nie ma rzeczy, którejby nie było na czarownej Pré-Catelan.

Ale zkądże ta nazwa? zapyta kto może. Czemu Pré-Catelan, nie Pré-de Boulogne, kiedy w bulońskim leży lesie? Broń Boże: proste nazwanie zgubiłoby antreprzyżę. Francuzi nienawidzą nazywać rzeczy po nazwisku. W nazwaniu leży dla nich cały niemal urok, tak dobrze potrawy, jak stroju, konia, kobiety lub willi. W nazwie bulońskiej łąki, leży największy jęj po-

wab, bo z nią związana czarna zbrodnia, straszne wspomnienie nocnego napadu..... jęki niewinnej ofiary..... ogorzałe twarze rozbójników..... i t. d.: słowem, cała średniowieczna legenda, którą opowiem pokrótce.

Pre-Catelan wzięła nazwisko od starożytnego krzyża, który sam jeden stał w zaroślach, tam, gdzie teraz ogród założono. Cóż ten krzyż znaczył w zaroślach? Chwilę cierpliwości: zaraz opowiem historią krzyża.

Działo się to za czasów Filipa Pięknego. Był wtedy na dworze Beatryxy Sabaudzkiej, hrabiny prowanckiej, trubadur Arnaud Catelan, śpiewak i poeta. Rozgłos sławy jego doszedł aż do uszu królewskich; a że król bardzo lubił muzykę, napisał do artysty, żeby na dwór jego przybył. Zaprosiny monarchy pochlebily kocującemu poecie, którego cała ambicya zaszła się na tém, aby nie umrzeć z głodu. Catelan więc niebawem wybrał się na dwór króla francuzkiego, śpiewając po drodze ballady i komponując wiersze, dla skrócenia długiej podróży.

Nakoniec zmęczony srodze, stanął u kresu wędrówki, w Paryżu; ale tu powiedziano mu, że król wyjechał do swego pałacu w Passy. Catelan udał się niezwłocznie do wskazanego miejsca, ale że bardzo był znużony, najął przewodnika i kazał mu nieść swój tłumoczek.

W lasku bulońskim, przez który wiodła droga do zamku, napotkał oddział królewskiej gwardyi honorowej. Oddział ten był wysłany umyślnie, żeby go bronić przed napaścią rozbójników, których, jak się zdaje, było w owych czasach tyle w lasku, co dziś spacerujących. Zaczynało się zmierzchać. Komendant eskorty idący na jej czele z Catelanem, rzekł do niego:

— Cóż tam acpan masz w swym tłumoku tak ciężkiego? Widzę, że go służący ledwo udźwignąć może.

— Rozumię się że ciężki—odparł Catelan—są w nim dary J. K. Mości.

Komendant usłyszawszy te słowa, zatrzymał się i szepnął coś na ucho sierżantowi.. Ściemniło się już zupełnie; wiatr tylko szumiał w gałęziach lasu, a ludzie szli w milczeniu. Wtém nagle ośmiu żołnierzy rzuciło się na pacholka niosącego tłumoczek i zabiło go tak nagle, że padł na miejscu. Jednocześnie komendant przebił szpadą Catelana, poczem przystąpiono do podziału zdobyczy. Ale jakież było zdziwienie żołnierzy, kiedy

otworzywszy tłumoczek biédnego trubadura znaleźli w nim tylko książki, kilka butelek likieru i parę flakoników z pachnidłami. Zawiedzeni zbójcy powrócili do pałacu i powiedzieli królowi, że nie spotkali podróznego.

Król niespokojny o swego gościa, wysłał służbę z pochodniami, żeby go szukała po lesie. Ta, w miejscu, gdzie teraz wesoly kadryl płąsa, znalazła dwa trupy we krwi zbroczone.....

W tydzień później król kazał tam postawić krzyż kamienny i nazwał go krzyżem Catelana.

Dziwnym trafem odkryto wkrótce zbrodniarzy. Razu pewnego komendant wydobyl przy królu uperfumowaną chustkę do nosa: król poznał natychmiast pachnidło, które sam jeden tylko posiadał, a którego flaszeczkę posłał śpiewakowi. Miarkując co się święci, kazał natychmiast aresztować żołnierzy, których zastano przy butelce likworu także podarowanego trubaduwowi. Mając tedy tak niezawodne dowody zbrodni spełnionej pod jego bokiem, przez własną straż, król kazał całą bandę powiązać i przy krzyżu Catelana spalić na wolnym ogniu.

Oto z kąd się wziął krzyż, i z kąd poszła nazwa Catelańskiéj łąki.

W pobliżu tego pięknego ustronia wkrótce rozpoczęte zostaną roboty około urządzenia menażeryi na wielką skalę, do której mieszkańców ma dostarczyć Algierya. Mają to być ogromne klatki żelazne, ogradzające nieznacznie rozległy kawał lasu, po którym przechadzać się będą wygodnie lwy, wilki, tygrysy, pantery, hieny, i t. p. osoby, których spotkanie w gestwinie sprawi niejednemu silne wzruszenie, mianowicie, jeżeli pierwéj spostrzeże rubinowe oczy lwa, niż czarną kratę.

Tak więc niezadługo las bułoński przejdzie pięknoscią parki angielskie, które dotychczas nie miały rywali na świecie. Obszerne łąki, wielkie drzewa, rzadkie kwiaty, góry, skały, ryby, dzikie i swojskie zwierzęta: słowem wszystkie bogactwa natury będą tu zgromadzone. Obok licznych upiększeń, jakie dziś praca, sztuka i ciągłe nakłady dokonały i dokonywają w tém miejscu, nader dziwnie się wydaje stary opis lasu bułońskiego, a raczéj lasu Rourray, jak się zwał wtedy, skreślony przez Racina; opis ten przypadkiem wpadł nam w ręce. Odmalowawszy w żywych kolorach mnogie niebezpieczeństwa i nieprzyjemności, na jakie naraża się człowiek zapuszczający

się bez eskorty w tę gestwinę, będącą schronieniem *wilków i rabusiów*, autor Fedry opowiada dość zabawną anegdotę.

„Pewnego dnia, mówi, zgromadziło nas się tam (w bulońskim lesie) dziesięciu, w karczemce stojącej na uboczu. Kola-cya przeciągnęła się do późna w noc. Piliśmy dużo, głowy zagrzały się mocno. Był między innymi Moliere, Chappelle, Boileau, Lafontaine, Mignard i Lulli. Jeden tylko Moliere był trzeźwy.

— Moi panowie—rzekł Chappelle—radhym bardzo wiedział, ile jest rodzajów szczęścia na tej ziemi?

— Ja znam tylko dwa—odparł Boileau.

— Jakie?

— Pierwsze, nie rodzić się.

— A drugie?

— Drugie, umrzeć.

Dziewięć głosów przywodziło zdaniu filozofa, i uradzono jednozgodnie, żeby się iść utopić. Moliere tylko nie podzielał tej ochoty i w milczeniu przysłuchiwał się ekstrawagancyom rozgrzanych trunkiem mizantropów. Ale niezadługo przekonał się, że owe uparte po trzeźwemu głowy, stokroć są upartsze po pijanemu, i niechybnie postanowienie swoje uskutecznią, jeżeli ich jaki trafny wybieg od niechybnej śmierci nie uchroni. Rzekł więc do nich:

— Wielcy mężowie! Zaprawdę szczytny jest czyn, który spełnić zamierzacie, i dlatego właśnie szkoda, żeby przepadł w ciemnościach. Jeszcze jest noc, czyż nielepiej tak heroiczny zamiar spełnić w dzień, przy świadkach, których taki przykład zbuduje? Wierzcie mi, zaczekajcie lepiej wschodu słońca, które was oświeci jak należy.

— Prawda! Masz słuszność!—zawolali chórem filozofowie, i czekając słońca posnęli niebawem.

Rozumię się, że rano zmienili zdanie, i już nie chcieli umrzeć, nawet przy świadkach.

Na pustkowiu literackim jedna tylko ważniejsza pojawiła się książka, a tą jest *L'ancien Régime et la Révolution*, napisana przez Alexego Tocquevilla członka Akademii. Od samego początku dzieła czytelnik czuje, że autor nie na to tylko pi-

sał, żeby napisać książkę, ale żeby dopełnić obowiązku: gdyż obowiązkiem jest każdego Francuza, który część życia poświęcił badaniu dziejów ojczystych, a mianowicie przyczyn rewolucyi 1789 roku, takowe w prawdziwém wykazać świetle i rozjaśnić labirynt kłamstw lub pomyłek, w którym dziejopisowie rozmaitych stronictw usiłowali pobłąkać opinią spółczesnych i sąd przyszłych pokoleń. Książki podobne téj, jaką napisał pan Tocqueville, mają wielką wagę; nawet wtedy, kiedy nie są pomnikami historii są zawsze nauczającym zbiorem faktów, potrzebnych do wykształcenia ludzi politycznych. Zdarzają się epoki, w których rozpamiętywanie przeszłości jest pracą dla przyszłości.

Pan Tocqueville obawiając się zapewne znużyć uwagę czytelnika zbyt obszerném traktowaniem przedmiotu, ograniczył się na przytoczeniu samych prawie faktów, które dostarczyć mogły materiału do kilku-tomowego dzieła, gdyby je był należycie rozwinął. Książka więc jego jest właściwie streszczeniem wypadków, bardzo trafném i pożądaném, ale wymagającém od czytelnika dokładnej znajomości przedmiotu, bez której z dzieła pana Tocqueville bardzo mało się nauczy.

Autor obrał najtrudniejszy sposób pisania. Ażeby pisać jasno, zwięźle, oraz kompletnie, potrzeba posiadać prócz dokładności stylu, metodę bardzo pewną i wielką ścisłość myślenia, gdyż każdy błąd im krócej wypowiedziany, tém mocniej uderza. Jako pisarz i myśliciel, pan Tocqueville posiada potrzebne zdolności: wyrażenia jego energiczne, pogląd obszerny. Zarzuciłby mu tylko można, że niedość jasno tłumaczy myśl swoje, że jakby umyślnie zdania swoje częstokroć omawia tam właśnie, gdzieby je jedném słowem oddać można; co jeszcze utrudnia czytanie książki już i tak z natury swojej trudnej do czytania, bo wymagającej wielkiej uwagi. Ale błąd ten obwijania w bawełnę, widocznie nie jest przypadkowy: wypłynął, jak się zdaje, z oględności członka Akademii, nie chcącego zbytecznie razić potężnych, a sprzeczných opinii.

Dwa przedmioty zajmowały pana Tocqueville w tém dziele: najpiérw chciał dać poznać stan społeczeństwa francuzkiego przed 1789 rokiem; następnie, wskazać przyczynę rewolucyi. Od czasu ogłoszenia historii Necker'a w 1797m, każdy z historyków piszących o rewolucyi poszukiwał jój przyczyn, i każdy wskazywał je gdzieindziej. Jedni widzieli je w reformie

Lutra, inni w wojnach Ludwika XIV, w systemie Law'a. Inni przypisywali wybuch 1789 roku wojnie amerykańskiej, sławnej sprawie o skradziony naszyjnik, nieładowi finansów, deficytowi skarbu; inni nakoniec twierdzili, że rewolucją wywołało złoto księcia Orleańskiego.

Pan Tocqueville jaśniej widzący w dziejach, nauczony pilnym zgłębianiem faktów, wie, że niekoniecznie najbliższe i pojedyncze wypadki rodzą wielkie przeobrażenia krajowe. Powodów rewolucji szuka on dalej, i wykazuje, że były starsze niż dworskie skandale Ludwików, niż wojna amerykańska i zwołanie stanów; iż przygotowywały je przez trzy wieki zasady i postęпки szlachty. „Rewolucya, mówi autor, nie była bynajmniej wypadkiem nagłym: zaskoczyła wprawdzie świat niespodziewanie, jednakowoż była tylko dopełnieniem długiej pracy, gwałtownym końcem dzieła, które dokonywało się pod oczyma dziesięciu pokoleń.”

Rozwinięcie powyższego założenia p. Tocqueville przedstawia jak następuje: Skoro szlachta, czyli właściciele ziemi, doszli do takiej potęgi, że nie tylko prawa poddanych, ale władzę monarszą poczeli ograniczać: królowie połączyli się z narodem do wspólnej walki przeciw panom. Dla zrównoważenia ich potęgi ustanowili gminy, których wyzwolenie popierali. Wkrótce jednak, utrwalony tron począł się niepokoić nagłym ich wzrostem: chcąc przeto wstrzymać takowy, a nie podnieść przez to potęgi panów, monarchowie odjęli szlachcie przywileje niebezpieczne dla monarchii, a zostawili im władzę nad ludem. Stając się klasą podległą, powiada pan Tocqueville, szlachta stała się klasą uprzywilejowaną. Z dwóch praw, jakie miała dawniej: ciemienia i protekcyi, zachowała tylko pierwsze. Przywabieni do tronu panowie, stali się dworakami, sami zaś już dworu nie mieli. Królowie francuzcy przełamawszy w ten sposób możność wszelkiego oporu, rządili samowolnie, nie ograniczając ani swoich namiętności, ani wydatków.

Już w początkach XVI wieku Francya oburzona zepsuciem dworu, z tłumioną niechęcią patrzyła na swych władców. Panowanie Henryka II, Franciszka II, Karola IX i Henryka III, powiększyło jeszcze tę niechęć. Potrzeby dworu ciągle przewyższające dochody, coraz to nowe wywoływały podatki i wyniszczały państwo.

Panowanie Ludwika XIV i XV przewyższyło pod każdym względem nadużycia poprzednich monarchów. Nigdy Francya nie była do tego stopnia obarczona podatkami, ani uciśniona darmochemi, które zwiększały już i tak ogromne ciężary rolnictwa i handlu.

Na domiar nieszczęścia przyszły wojny. Dziesięć kampanii, które poprzedziły pokój Rizwitcki, dwanaście innych, którym położył koniec pokój Utrechtski, kosztowały Francją cztery miliardy franków srebrem. Oprócz manii podbojów, Ludwik XIV miał jeszcze inną, manią budowania, która tak wielkie pożerała summy, że razu pewnego przełęknięty król rzucił w ogień rachunki kosztów wersalskiego pałacu. Niezadługo gromady żebraków obległy świeżo ukończony przepyszny gmach monarszy, a liczba ich z każdym dniem wzrastała. Nędza była wtedy tak wielka, że kobiety zaprzęgano do pługa, lud żył zieliskiem, a słudzy królewscy w galonach złotych, zebrali jużmużny u przechodniów.

Od początku XVII wieku, na każdej karcie historii francuzkiej jest zapisany fakt jakiś zwiastujący burzę: straszne zepsucie i zbytek u góry, straszna nędza u dołu, nieład we finansach, niezgoda, nieomal schizma w kościele, anarchia w administracyi. Zewnątrz pobijano Francją na morzu i lądzie, na Elbie i Renie; wewnątrz doszła już do najwyższego stopnia spodlenia. Pod panowaniem pani Dubarry, Francya poczęła żałować pani Pompadour, aczkolwiek znieawidzonej i przekłętą jako powód siedmioletniej wojny.

Więcej jednak niż dworu, nienawidzono szlachtę. Ażebym wytłumaczyć powód tej nienawiści, potrzeba było odmalować szczegółowo, najprzód: stanowisko uczciwe i pożyteczne, które stan średni zdobył sobie pracą, światłem i czystością obyczajów; następnie przywileje, wymagania, przesady tak zwaną klasę wyższą, i pogardę z jaką go traktowała. Dwa te obrazy znakomicie odmalował pan Tocqueville.

Usilna praca i ciągle kształcenie się, już na kilkanaście lat przed 1789 rokiem postawiły stan średni wyżej od panów. Dzierzył on w swym ręku wszystkie bogactwa krajowe: rolnictwo, przemysł, kapitały były wyłącznie w jego posiadaniu. Ze stanu średniego wychodzili nie tylko gospodarze, kupcy i przedsiębiorcy, ale adwokaci, doktorowie, artyści, filozofowie i literaci. Do niego udawać się musieli ojcowie, chcący kształcić

swoje dzieci, chorzy chcący się leczyć, pokrzywdzeni chcący bronić honoru lub majątku.

Dorównawszy szlachcie bogactwem, stan średni zaćmił ją rozumem; a postęp ten umysłowy zrodził opinią publiczną, siłę jeszcze nieokreśloną wtedy, która nieznacznie wzrastając, postawiła w końcu w swój zależności wszystkie inne władze, i stała się jedną z najpotężniejszych przyczyn rewolucyi 1789 roku.

Podczas kiedy stan średni zapładniał Francją swą pracą i oświecał ją swym rozumem, wielcy panowie tracili na dworze reszty fortuny i poważania. Dla zapelnienia próżni skarbowej, król ustanowił dyplomy szlachectwa, które nabyć było można za naznaczoną prawem cenę. Początkowo, bogaci mieszczenie dali się złowić w te sidła zastawione ich próżności; trwało to atoli niedługo. W 1577 roku tysiąc dyplomów szlacheckich wystawionych na sprzedaż, nie znalazło ani jednego nabywcy. Nie mogąc ich sprzedać, nałożono je jako podatek, i kazano spłacać częściowo zamożnym mieszczanom. Jednocześnie, za pomierną cenę sprzedawano urzędy, które uszlachecały nabywcę. Ztąd w końcu namnożyło się tyle szlachty, że Chérin, autor francuzkiego herbarza ogłoszonego w 1788 roku, dowiódł, iż na trzydzieści familii posiadających szlacheckie dyploma, zaledwie jedna pochodzi ze stariej rasy szlacheckiej.

Panowie w nieustannj walce ze stanem średnim, nie poprzestając na ciągłym upokarzaniu go, poczeli rujnować jego majątki. Zmuszeni rozrzutnością do zaciągania długów, magnaci uważali sobie za punkt honoru nie płacić ich. Szemranie kredytorów wzrastało codziennie, aż w końcu Colbert ulegając nieustannym skargom kupiectwa, skłonił króla do wydania edyktu, nakazującego ogłoszenie wszystkich hipotek. Panowie uważając odkrycie stanu swych majątków za zniszczenie szlacheckiego uroku, oburzyli się gwałtownie na to rozporządzenie monarsze; po trzynastu miesiącach uporczywej walki, wymogli na królu cofnięcie edyktu, i tajemnica hipoteczna nie została naruszoną.

Wyczerpawszy ogromne swoje środki, szlachta, mówi pan Tocqueville, wyludzała od monarchy pensye i gratyfikacye, które na sam tylko rok 1783 wynosiły 145 milionów.

Stan średni widząc owoc swj pracy przeznaczony na zbyt-kowne utrzymanie ludzi nie przyczyniających się niczém do powszechnego dobra, zzymał się coraz bardziej. Wszystkie pi-

sma ówczesne zwiastowały zbliżanie się dnia sądnego. Jakkolwiek trudne było położenie Francyi, stan ten mógł trwać jeszcze długo, gdyby skarb królewski posiadał skrzętniejszych zarządców. Ale otchłań wydatków rosła ciągle, a pomniejszały się dochody. W końcu przyszło do tego, że w czasie pokoju musiano oznajmić gniewnemu narodowi potrzebę nowój pożyczki i powiększenie podatku. Oto kropla, która przepełniła pełną już miarę.

Po dwakroć zebrane zgromadzenie stanów wyższych nie przyniosło innego skutku prócz większego rozjątrzenia kraju. Massa pism i broszur pełnych ironii, wymówek i oskarżeń, załala Francją; światłe pisma księdza Sieyès radziły odwołać się do stanów. Żądanie to powtórzone przez kraj cały, skłoniło wreszcie rząd do zwołania stanów, ale już zapóźno, ażeby przestano na téj wymuszonej koncessyi. Dwór, jak oblężona forteca, poddał się dla braku żywności, a rewolucya jak potok lawy załala kraj cały.

Taka jest myśl ogólna książki pana Tocqueville. Podajemy ją nie wchodząc w szczegóły, któreby nas zadaleko zawiodły.

— W rocznicę śmierci pani Girardin, wyszedł nowy zbiór wszystkich jej dzieł z przedmową i przypisami skreślonymi piórem najznakomitszych krytyków i poetów francuzkich. Niepodobna było piękniejszego wieńca nieśmiertelników złożyć na grobie téj znakomitej kobiety, która wolna od samolubstwa za życia, nie pojmowała go wcale po śmierci, i zakazała wyraźnie stawiać sobie pomników; sumę zaś, którąby paradny kosztował pogrzeb, zapisała ubogim.

Rzadki ten przykład budującej pokory w tak możnej pani, dorzucił światła do czci, jaką talent i piękność zjednały jej za życia w ojczyźnie. Imię Delfiny będące dotąd symbolem rozumu i wdzięku, stało się czémś więcej:—symbolem miłości i zaparcia się siebie.

Pomiędzy wspomnieniami, które w rocznicę żałobną poważny zastęp pisarzy francuzkich zamiast kwiatów złożył w ofierze pani Girardin, znajdujemy kilka stronic zapisanych przez panią Sand. Wspomnienia te głębsze, a mianowicie serdeczniejsze od innych, rzucają miłe światło na serce i cnoty do-

mowe Delfiny Gay, której liczni przyjaciele dotąd tylko geniusz sławili. Przytaczamy tu z nich kilka ustępów.

.....„Ostatni raz widziałam Delfinę na pięć tygodni przed śmiercią, (nie w wigilią śmierci, jak sądzi Lamartine). Byłam u niej już blisko godzinę, kiedy on przybył. Nigdy nie wydawała mi się piękniejszą i żywszą jak tego dnia. Jakże daleko była odemnie myśl, że ją ściskam po raz ostatni! Nazajutrz wyjechałam. Ona odważna aż do ostatniej chwili, umarła z piórem w rękę, w całym blasku moralnej i fizycznej piękności.

„Kiedym patrzyła na nią po raz ostatni, wydawało mi się, że piękność jej ciała i duszy nigdy dosyć wielbioną nie była. Dziwnym skutkiem choroby, która ją pożerała wewnątrz, postać jej, twarz i ręce, straciły wszelkie ślady lat. Kibić jej wysmukła, twarz blada, wieku nie oznaczały wcale. Nie była to różowo-mléczna cera młodości, ale raczej przezroczyta białość i przenikliwe wejrzenie nieśmiertelności, które ją czyniły tak piękną. Czuliśmy to wszyscy, i ona czuła zapewne czarowny wpływ, jaki na nas wywiera, gdyż chciała serce i umysł swój postawić na równi z idealnością swjej formy. Nigdy nie była głębsza w rozmowie i wyższych nie dolatywała sfer jak wtedy, zawsze z tą naiwnością dziecięcą, która tak uderzającą tworzyła sprzeczność z jej dowcipem i wiedzą. „Nie wierzę, mówiła nam tego wieczora, w żadną tajemnicę, w żaden cud podany lub tłumaczony przez ludzi. Wszystko jest tajemnicą i cudem w tym jednym fakcie urodzin i śmierci. Czuje się w zupełnej zgodzie z Bogiem; nie wierzę ani w piekło, ani w szatanów. Jeżeli niezawsze mam wiarę, mam zawsze uczucie odpowiednie—ufność.” Potem zaczęła mówić o swym bliskim skonie z uśmiechem niemal radosnym, który mimowolnie oddziaływał na nas i opromieniał smutne przeczucia.

.....„Nie wspomnę tu o literackich zasługach pani Girardin: lepiej odemnie spisano je na poprzednich kartach; powiem raczej słów kilka o przymiotach jej duszy, które tała zawsze, a które zbieg smutnych okoliczności mnie dotyczących, dał mi sposobność poznać i ocenić. Będę mówić o tkliwości i dobroci jej serca, które w życiu światowém skrępowane przymusem, z podwójną siłą wybuchało w ukryciu.

„Za największą jej zaletę uważano słusznie to, że mimo męskiego rozumu pozostała zawsze kobietą. Była ona jeszcze zupełniejszą, gdyż miała w najwyższym stopniu rozwinięte po-

czucie macierzyńskie, chociaż Stwórca pozbawił ją radości i smutków macierzyństwa. Znała je ona przecież i czuła w drugich. Zdarzało się, iż strumienie łez wylewała nad cierpieniem naszym. Wspierała, pocieszała, podzielała rozpacz innych matek, czuła ją, szukała jej chcąc w niej wziąć udział, kochała cośmy kochały; i tak nie myśląc o tém, dawała poznać jaką matką byłaby sama. Nie jest więc to tylko fantazyja ów śliczny dramacik: „*La joie fait peur.*” Myśl jego, autorka wysnuła z serca, nie z głowy. Czuła miłość macierzyńską, więc miała *prawo* o niej mówić. Gdyby ten przedmiot była tylko umysłem rozwinęła, każda matka mogłaby jej powiedzieć, jak Tell Gesslerowi: „*znac, że nie masz dzieci.*” Tymczasem inaczej się stało, dotknęła trafnie i głęboko, rozrzewniła mężczyzn, a co chlubiętsza tą razą, do rzewnego płaczu pobudziła kobiety.

.....„W początkach naszego poznania, bałam się bardzo pani Girardin. Przypominam sobie, iż wyznałam tę moję obawę pani Allan (znakomita artystka, która występowała w sztukach pani Girardin). „Jatęz się jęj bałam dawniej, odrzekła pani Allan: wydawało mi się, iż natura obdarzyła ją nadto wielką dozą dowcipu; ale później przekonałam się, że ma przynajmniej tyleż serca.” Powtórzyłam Delfinie tę odpowiedź jęj ulubionęj aktorki. Bardzo się ucieszyła i rzekła: „Jestto najprzyjemniejsza pochwała, jaką slyszalam w zyciu.

.....„Świat wielki, w którym żyła, często krepował jęj natchnienia, a potrzeba zycia w tym świecie, wlozyła nani niejako obowiazek tęg *światności*, którą otaczała się zawsze. Była to zapewne szczęśliwa fatalność, gdyż ta kobięta wielkich inspiracy i szlachetnych uniesień, rozgrzewała i uzacniała ludzi ozywczém ciepłem swęj duszy. Posiadała ona wszystkie zalety, z których się sklada prawdziwy dowcip: malowniczą wyobraźnią, żywe poczucie wszech rzeczy, swobodny i wesoly umysl. Obok tych zalet, zycie ustronne, skupione, byłoby niedorzecznością, nieposluszeństwem względem natury. Pani Girardin miała podwojną missyą, poniewaz miała podwojną władzę. Powinna była uposażyć w piękne dzieła literaturę, oraz oswiecać i prostować swą wymowę i przykladem, błędy i przesady towarzystwa, w którém żyła. Jezeli w wielkięj liczbie osób, które raczyła oswiecać lub przekonywać, wszystkie nie uczuly gdzie zmierza, i nie skorzystaly z jęj towarzystwa; to pewna, że ci wszyscy, co godni byli do niej się zbliżyć, nowych sil przy

niej nabierali. Najwyższe intelligencye naszego czasu uznały ją za równą sobie; artyści po rozmowie z nią czuli się zawsze pewniejsi siebie. Była więc ogniskiem, którego promienie nie mogły do niej samój tylko należeć.

. . . . „Skoro raz ubolewała przedemną, że nie ma dzieci, przyszła mi do głowy myśl jasna, którą jęj wypowiedziałam wtedy. To, czém się trapisz, rzekłam, jako nieślaską bożą, jest tylko logiczném następstwem twojéj wyższości nad innemi kobietami. Gdybyś była matką, zaledwie czwartą część życia mogłabyś poświęcić swéj missyi. Musiałabyś porzucić albo świat, albo literaturę. Zajęta rodziną, byłabyś tylko połową siebie, tojest albo kobietą światową, albo autorką; ale nie mogłabyś już być jedném i drugim: czasby na to nie wystarczył.

— Z jakąż radością byłabym poświęciła świat—zawołała—wszakże szukałam w nim tylko rozrywki, któraby mi dozwoliła zapomnieć o mojej samotności.

....„Staralam się przekonać ją, iż Opatrzność zajmując się nami, nie ma na widoku naszego własnego zadowolenia, ale raczej pożytek, jaki z nas może wyciągnąć w swych widokach ogólnych; i że winniśmy jęj być wdzięczni, jeżeli nas postawi tak, iż możemy jęj w tych widokach pomagać. Powiedziałam tęg znakomitej kobiecie, co powtarzam tutaj, że powinna była być tém, czém była, tojest: piękną, bogatą, wolną od nadto męczących starań, promienną, otoczoną i admirowaną.

....„Jednakowoż żadne przełożenia nie mogły jęj uspokoić. Nadto była kompletna, ażeby nie miała pragnąć kompletnego życia. Ale czyż życie kompletne jest podobne na tym świecie? Chociaż była bezdzietna, to jeszcze jęj często brakowało czasu. Nieraz utyskiwała, iż zawięlką część życia zabierają jęj stosunki zewnętrzne, nieraz pozazdrościła mi spokojnego kąta, z którego mogę sądzić spokojnie sprawy własne i cudze. Cóżkolwiekby, żyła odważnie, walczyła szlachetnie i zwyciężyła słusznie. Nie ma żadnej przesady w hołdach oddawanych jęj w tęg książce. Niechże więc ten bukiet złożony przez przyjacielskie dłonie w rocznicę jęj skonu, będzie dla niej święteczną wonią i podziękowaniem za to piękne życie, które nam poświęciła z uszczerbkiem sił własnych”.

Pan Leseurre, urzędnik w paryżkiej administracji telegrafów, wymyślił nowy sposób korespondencji telegraficznej, zasadzający się na odbijaniu promieni słonecznych. Powtarzanie tych błysków, dłuższe lub krótsze ich trwanie, tworzą alfabet, z którego wynalazca ułożył błyskawiczną pisownią. Telegraf słoneczny już zakupiony przez rząd, będzie wyborynym środkiem szybkiej komunikacji w krajach, gdzie zaprowadzenie telegrafów elektrycznych przedstawiało nieprzełamane trudności, mianowicie zaś odda Francji ważne usługi przy afrykańskiej armii.

Doświadczenie tego nowego telegrafu odbyte niedawno w Paryżu w obecności ministra wojny, marszałka Vaillant, udało się wybornie.

Wynalazek pana Leseurre jest bardzo prosty. Promień słoneczny odbity w zwierciadle, jak wiadomo sięga bardzo daleko: cała więc trudność wynalazku zależała na urządzeniu przyrządu tak, żeby mógł odbijać z łatwością blask słońca i funkcyonować przez cały ciąg dnia; oraz, żeby mógł odsyłać błyskawicę w stronę, gdzie potrzeba, niezależnie od położenia słońca. Nakoniec, potrzeba było z kolejno wywoływanych i gaszonych błyskawic ułożyć znaki, do których przywiązane pewne znaczenie.

Pierwsze zadanie rozwiązał pan Leseurre za pomocą dwóch zwierciadeł, z których jedno jest stałe, a drugie ruchome, obracające się za słońcem. Wystawione na słońce zwierciadło ruchome jest osadzone na osi równoległej do osi ziemskiej, i obraca się około swój osi ruchem zupełnie zgodnym z ruchem ziemi około siebie. Tym sposobem przyrząd ten czyni skutek ten sam, co narzędzie fizyczne zwane *heliostatem*, to jest, że trzyma, w nieruchomości i tym samym kierunku promień światła, jakakolwiek jest pochyłość słońca na horyzoncie. Zwierciadło stałe odbija błyskawicę podaną przez zwierciadło ruchome, i przesyła ją tablicy ustawionej na przeciwniej stacyi.

Lekkie naciśnięcie zwierciadła stałego, sprawia, iż błyskawica może być krótka lub przeciągła. Tym długim lub krótkim błyskiem nadano toż samo znaczenie, jakie mają kréski i punkta w abecadle telegrafu elektrycznego Morsa, którego język powszechnie przyjęty składa się wyłącznie z kresek i punktów. Zgodzono się, że błyskawice krótkie w telegrafii słonecznej wyobrażać będą punkta; długie, kreski: z tych krések

i punktów złożone alfabet i pismo wystarczające zupełnie wszystkim potrzebom korespondencji.

Prócz tego są podobnie jak w telegrafie elektrycznym sygnały poprzedzające rozmowę, które tutaj mają na celu nietylko zwrócenie uwagi przeciwległej stacyi, ale odszukanie jej najprzód, gdyż jako ruchoma, nie wiezieć w której stronie się znajduje. Sygnały te zasadzają się na spotęgowanych błyskach, rozbiegających się za pomocą zwierciadeł na wszystkie strony horyzontu dopóty, dopóki odszukana stacya podobnym znakiem nie uwiadomi o swój gotowości do rozmowy.

Z próby odbytej w Paryżu pokazało się, że telegraf Leseurra funkcjonować może nawet wtedy, kiedy promienie słoneczne zakryte chmurami, widne są tylko na niebie jako pas srebrny. Podczas próby słońce pobiegało, a mimo to, że dzień nie był pogodny, za pomocą błyskawicznych znaków rozmawiano ze stacją odległą o półtory mili polskiej.

Telegraf słoneczny nie wymagając ani pośrednich stacyj, ani stałego miejsca, może być ustawiony wszędzie. Cały przyrząd waży 16 funtów: podstawą jego jest trójnóg drewniany. Minister wojny posłał już wynalazek pana Leseurre do Algieryi; ale zapewne nietylko wojna afrykańska będzie z niego korzystać. Inżynierowie sądzą, iż telegraf słoneczny najważniejsze usługi odda przy pracach pomiarowych. Astronomowie spodziewają się, że niemniej użytecznym będzie przy obserwacjach astronomicznych, dokonywanych jednocześnie na kilku punktach, a mianowicie też dopomoże do oznaczenia długości jeograficznej.

— Jednocześnie Anglik Thompson wynalazł sposób dagirotypowania dna morskiego. Piérwsza proba tego ważnego wynalazku odbyła się w zatoce Weymouth. Angielski dziennik *of the Society of Arts* następujące podaje o niej szczegóły:

Pan Thompson włożył kamerę-obskurę w szklane pudło, którego dno otwiera się za pociągnięciem sznura, i spuścił takowe z łodzi na sześć metrów głęboko w morze. Soczewki przyrządzone poprzednio tak, ażeby mogły odbijać przedmioty o dziesięć metrów odległe, odkrył skoro doszły do stosownej głębokości, i pozostawił tamże nieruchomo przez dziesięć minut; poczem zamknąwszy drewniane dno pudła, wydobył takowe i zwykłym sposobem chemicznym wyprowadził na powierzchnię blaszanej płyty rysunek, przedstawiający ze zwykłą do-

kładnością dagierotypu, skały, muszle, zielska, gatunek gruntu: słowem całą podwodną fizyonomią morza.

Za pomocą wynalazku Thompsona, mapy podwodne szczegółowe, tak niezbędne do zaciągania podmorskich telegrafów, dokładnie sporządzone zostaną.

Zanim między-morze Panama zostanie przecięte splawnym kanałem, co kiedyś niewątpliwie nastąpi, Amerykanie kolejną żelazną połączyli dwa oceany. Kolej tę przeprowadzili ze zwykłą sobie odwagą, nie zrażając się żadną przeszkodą, ani niebezpieczeństwem. Inżynierowie nie zadając sobie wiele pracy z sondowaniem gruntu, i wyszukiwaniem pewnej drogi, uproszcili rzecz o ile możności: z busołą w rękę udali się najkrótszą drogą od jednego do drugiego oceanu, i zasypując bagna, odwracając rzeki, przeskakując przepaści, przecinając góry, dokonali pospiesznie połączenia dwóch części amerykańskiego kontynentu. Teraz tysiące podróźnych odbywa we cztery godziny tę drogę, która jeszcze niedawno wymagała kilku dni nader kosztownej i męczącej podróży.

Ale jakaż jest ta kolej! Włosy się jeżą czytając amerykańskie opisy niebezpieczeństw, z jakimi połączona podróż po tej świeżo otwartej kolei. Nic dziwnego, że podróżujący nieświadomi po większej części niebezpieczeństw tej przeprawy, puszczają się w tę często niepowrotną drogę; ale że są inżynierowie, konduktorowie i urzędnicy, którzy za mierną płacę narażają codzien swoje życie jeżdżąc po szynach zawieszonych w powietrzu nad przepaściami, lub zaledwie podpartych rusztowaniem spoczywającym na trzęsawisku, temu, zaprawdę, dziwić się można.

„Widziałem nieraz w ciągu tej podróży, mówi amerykański sprawozdawca, cały pociąg sunący po dwóch szynach żelaza wyciągniętych w próżni, nad przepaścią tak ogromną, że nie dno jej, ale chmury widzieliśmy pod sobą. Często zdarzało się, że te szyny bez podpory ani poręczy, biegły na dół ze znacznej pochyłości; wtedy jeden drobny kamyczek natrafiony na drodze mógł być wysadzić z kolei i strącić w przepaść wszystkie wagony, których równowaga już i tak była mocno nadwężona. Przypadek wydawał się tak nieuchronny, iż uprzedzając rozbitcie wagonów, stanąłem na jednym z nich, chcąc bez przeszkody

sam rzucić się w przepaść: zdawało mi się iż taka śmierć będzie lżejsza. Szczęściem, konduktorowie są bardzo ostrożni, jadą wolno, zaledwie dwanaście mil na godzinę, (w Ameryce to się zwie wolno), co chwila zakładają hamulce, lub upuszczają parę. Mimo to wszystko, przed dwoma tygodniami jeden taki most diabelski zawalił się pod ciężarem lokomotywy: widzieliśmy ją, i cały pociąg leżący na dnie przepaści. W parę dni naprawiono drogę, i znowu jeżdżą jak dawniej."

Amerykański korespondent nie obwinia jednak kompanii téj kolei. Powiada, że dbała o bezpieczeństwo podróźnych, utrzymuje całą armią negrów i Indyan, którzy naprawiają ciągle drogę, co zapewne z czasem ją utrwali. Zdaniem jego, przebycie międzymorza Panama, choć tak niebezpieczne teraz kolejją, było stokroć niebezpieczniejsze, kiedy je dokonywano na mulach, pod przywództwem negrów, którzy okradali i często zabijali podróźnych, a nocy przepędzone pod gołym niebem pośród mgły wydobywającej się z bagna, nabawiały ich zgniléj febry.

Daléj mówi korespondent, że jakkolwiek wielkie są niebezpieczeństwa téj podróży, rzadkie piękności krajobrazu co chwila o nich zapominac każą. Z zachwyceniem opisuje widoki, które napotykał przebywając lasy dziewicze. Po obu stronach kolei, nieprzebyta gęstwina najpiękniejszych roślin, miliony palm, kaktusów i bananów, tworzą dwie ściany, zdumiewające bujnością wegietacyi. Pośród nich olbrzymie drzewa okryte przepysznyim kwiatem, lub najdziwniejszym owocem, chyląc się ku sobie łączą gałęzie, lub wiążą wierzchołki girlandami powoju, podobnemi do okrętowych sznurów, rozwieszonych na milionie fantastycznych masztów. Miejscami gałęzie *czutéj* akacyi spadające aż na drogę, za dotknięciem wagonu, nagle związają liście i odskakują w tył, jak zawstydzone dziewice. Daléj, tak zwane *światło* klematydy, pokryte gronami kwiatów odbijających wszystkie kolory słonecznego pryzmatu, pną się po trzcinie, i pokrywają całe drzewa o rozłożystych koronach, co je czyni podobne do grot czarownych, zawieszonych w powietrzu.

Widok ten nieopisany, trwa przez cztery godziny, podczas których trwoga i zachwyty wstrząsają człowiekiem na przemiany. „Są to wzruszenia godne zazdrości, powiada w końcu

Amerikanin, wrażenia potężne, których człowiek odważny rad szuka, wtedy nawet, kiedy wie, że je może życiem przypłaci”.

Wedle *przeglądu municypalnego* z miesiąca lipca 1856 roku, Paryż zajmuje powierzchnią 34 miliony metrów kwadratowych, a obwód jego ma 24,890 m. Długość ulic, dróg i przechadzek wynosi 384,665 metrów. Powierzchnia brukowana zawiera 3,000,000; makadam 810,000, nasypy piaskowe 1,300,000 metrów. Same trotuary rozciągają się na 1,000,000 metrów. Jest 13,063 latarni gazowych; 33 fontan monumentalnych; 69 pomniejszych; 1,779 pomp ulicznych, a 105 trotuarowych. Galerye podziemnych spływów, przez które może przejść wózek jednokonny, mają 163,000 metrów długości. Mostów na Sekwanie w samym Paryżu jest 22.

— W ciągu upłynionego półrocza liczba egzemplarzy odbitych każdego-dziennie dzienników paryzkich była następująca:

La Presse	37,520.	Débats	10,000.
Siècle.	34,340.	Univers	5,550.
Constitutionnel	24,340.	Assemblée National.	5,000.
Monitor	19,330.	Gazette de France. .	2,600.
Patrie	15,000.	Charivari	2,000.

Razem: 155,680 egzemplarzy dziennie, pominąwszy tysiące pism i dzienniczków drobnych.

KRONIKA LITERACKA.

Odpowiedź księdzu Fr. K. Malinowskiemu na uwagi nad wydawanemi Słownikami języka polskiego.

Jaką przyjąć część słowa za zasadę w słownictwie naszym i jakiego trzymać się układu, aby uniknąć zmieszki różnych odcieni jednego słowa.

A.

Wychodzący Słownik Lindego w powtórny wydaniu we Lwowie i mający wyjść nakładem M. Orgelbranda w Wilnie również polski, poruszył rozmaite pióra, które nie jedno uczyniły spostrzeżenie, nie jedną nasunęły uwagę, jakby to zrobić należało, lub należy, aby dzieło więcej się mogło zbliżyć do doskonałości i lepiej odpowiedzieć dzisiejszym potrzebom, tudzież postępowi obecnemu w tej gałęzi wiedzy. Książd Franciszek Ksawery Malinowski (Biblioteka Warszawska. Kwiecień 1856), wypowiedział myśl ważną i prawdziwą, że tryb bezokoliczny, jak jest w Lindym, nie powinien być częścią główną w słowniku, na co zupełnie się zgadzam; że miejsce pierwsze należy się osobie pierwszej liczby pojedynczej, czasu teraźniejszego w trybie oznajmującym, na co przystać nie mogę: skąd oczywisty wniosek wynika, iż musi być coś trzeciego. Tą rzeczą jest czas przeszły osoby trzeciej liczby pojedynczej, rodzaju męskiego w trybie oznajmującym, już w mojej Mowni, jako najgłówniejsza część słowa, czyli zasada, wskazana. W ciągu tej pracy będę się starał okazać i przekonać czytelników, że z trzech gałęzi słowa, które wymieniliśmy, najważniejszy jest na główną zasadę w słownictwie czas przeszły.

Jedna pomocnicza jeszcze uwaga przed zaczęciem rozumowania. Dla biorącego rzeczy pozornie jest wszystko jedno, która z pomienionych części ma być zasadą; lecz scyjentyfi-

cznie, to inna rzecz! I dlatego dajemy przykład dotykalny. Jest prawdą, że *kobieta jest człowiekiem, a orzeł ptakiem*; lecz na odwrot nie zawsze może być prawdą, że *człowiek jest kobietą, a ptak orłem*, albowiem człowiek może być mężczyzną, a ptak krukami, sępem, kolibrem i t. p. przez całą ornitologję, byle nie orłem. Toż samo ma się z temi częściami słowa: zawsze z trzeciej osoby czasu przeszłego wywinę całe słowo, lecz nie poznam go dokładnie, ani z trybu bezokolicznego, ani z pierwszej osoby czasu teraźniejszego. Każdego ony, wzięte za zasadę, wywiada w pole, jak samego P. M. o czym widocznie się przekonywamy ze słowa *kaszał*, z którego wyprowadził czas przeszły *kaszał*, zamiast *kasłał*. A cóż dopiero z cudzoziemcami dzieć się będzie i dzieje? Ci wiecznie błędzić będą, jeżeli takiej teoryji nie porzucą.

Wskazujemy teraz, w jakiej kolejności te części po sobie się rozwijały i czy ich starszeństwo nie przyczyni się do rozwikłania trudności. Tryb bezokoliczny bez wątpienia w tworzeniu się słowa jest najpierwszą częścią. Wszystkie jego cechy i znamiona o tej prawdzie przekonywają: nie oznacza czasu; nie pokazuje liczby, osoby, rodzaju: wypowiada tylko czynność nagą, którą ma wyrażać i nazywać, nic więcej, np. *plakać, robić, jeść, gnieść, pluć* i t. p; stąd też słusznie nazwany bezokolicznym, że żadnej okoliczności nie objawia. Jak wszystkie okoliczności powyższe w trybie tym niewykryte; tak podobnie się dzieje z zewnętrznymi i składowymi jego częściami: tu wszystko zbite, ściśnięte, nierozwinięte; tu się nie zawsze dopatrzysz spółgłosek i samogłosek temu słowu właściwych, np., *gnieść, bosć, paść, wieść, pluć, cierpieć, słyszeć, móżdż. rzecz, blednieć, głupieć* i t. p. Tryb ten tym jest w słowie, czym dziecię niemowlę, czym rośliny kielkujące, których dwa pierwsze listki są u wszystkich zawsze podobne; nie zdołasz o nim powiedzieć: będzie z niego kiedyś człowiek, ozdoba ludzkości, lub zbrodniarz niecny! Tryb przeto bezokoliczny dla powyższych powodów nie może się stać zasadą słowa.

Gdy człowiek usiłował odróżnić swoje: *czynić, gnieść, brać, drzeć* od cudzego, rzekł w czasie obecnym o sobie: *czynię, gniotę, biorę, drę*, dla różnicy od *czyni, gniecie, bierze, drze* i t. p. Teraźniejszość ciągle przed człowiekiem stojąca, a przeto do jego zmysłów mówiąca, nie zmuszała go do myślenia i jednostajności rozumnej; stąd ta wielka, swawolna i dowolna rozmajitość wyobraźni chłopięcej, niesfornej w czasie teraźniejszym się przebija i nie daje żadnej rękoi, aby za zasadę mógł służyć. Czas teraźniejszy w porównaniu z człowiekiem, jest to młodzieniaszek goniący za motylkami, usiłujący ściągnąć księżyc do siebie, wpadający z jednej uludy w drugą, pokazujący wiele ruchu i życia, ale nie mający żadnej stałości; i dla tego słusznie go od zasady usuwamy, ponieważ żadnej pewności nam nie

daje. Życie jego obecne zrodzić może w przyszłości wielkie enoty, lub zbrodnie.

Czynność, z obecności w przeszłość zapadająca, uwalnia się w całym znaczeniu od wszelkiej zmysłowości człowieka; już on tej jistoty duchowej żadnym nie doścignie zmysłem, a przecież chce ją koniecznie dzierżyć w swojej mocy. Cóż więc czyni? Oto znowu swym duchem chwytą i przenika czynność w bożostan ubiegłą, a zatym zmartwiałą, skryształizowaną, w przymiot zamienioną, zatrzymuje jej obraz w swojej pamięci; najdobitniejszymi, jej najwłaściwyszemi znamionami wyciska, że się tak wyrażę, dagierotypuje jej obraz w znakach dla zmysłu: bądź oku, bądź uchu przystępnych, i tym jedynie sposobem staje się jej panem w postaci dotykanej. Ponieważ nad czasem przeszłym najwięcej duch ludzki pracował, ponieważ przy tym działaniu, jak się niebawem w szczegółach o tym przekonamy, wszystkie cząstki słowo składające najwyraźniej się wycisnęły; nie przeto dziwnego nie będzie, że go koroną słowa nazwiemy, że go za zasadę w słownictwie weźmiemy. Jak tryb bezokoliczny jest pierwociem słowa, tak czas przeszły ostateczną jego koroną; on też, chociaż najsilniej rozwinięty, ma największe podobieństwo z trybem bezokolicznym, i to rzecz bardzo naturalna: koniec we wszystkich rzeczach równa się początkowi. Jak tryb bezokoliczny nazwaliśmy przez porównanie niemożliwym; czas teraźniejszy — młodzieniaszkim: tak czasowi przeszłemu słusznie miano męża przystoju, bo go człowiek mąż duchem swoim upostaciował.

Oszczędzając pracy rozsądnemu i myślącemu krytykowi, sam go uprzedzam i jedną trudność do usunięcia przedstawiam. Czyliż można czas przeszły brać za zasadę, kiedy on nie jest już właściwie słowem, ale tylko jimiesłowem? To wielka prawda! Ależ niech mi wolno będzie się zapytać, z czego dobroć jabłoni poznamy? Zapewne ani z korzenia, ani z pnia, ani z gałęzi, ani z liścia, ani z kwiatu, ale z jej owocu, to jest z jabłka. Jak jabłko, nie będąc już drzewem, przekonywa mię o dobroci jabłoni; tak czas przeszły, stawszy się jimiesłowem, wyraża mi najjaśniej całe słowo. Jeżeli wszystkie odcienie i odmiany słowa wystawisz sobie w postaci dębu; to czas jego przeszły będzie żołądzą. Jak w żołądzu spoczywa dąb przyszły, tak w czasie przeszłym znajduje się całe słowo i zdolasz je z niego z łatwością rozwinąć. Taka widoczność przeświadczenia z rozumowania wynika, a przeto za nim najsilniej przemawiająca, powinna mu dać pierwszeństwo w słownictwie, tudzież w mowni i uznać w nim główną zasadę słowa, czego mu dotąd w tym względzie historyczność odnawiała, a która najoczywiściej tu pokazuje, że tylko *est credere, quod non vides*.

Należy tu jeszcze podrzędnie nadmienić, kiedy nastąpiło tworzenie się czasu przyszłego. Że czas przyszły po urobieniu się trzech pierwszych w kolejki wskazanej dopiero powstał, jest

rzecz i naturalna i widoczna. Człowiek żyjący w obecności spostrzegł, że czynność, ciągle unosząc się na skrzydłach czasu, przenosiła się w bramę wieczności niepowrotnej. To, co było obecne, dotykalne, rzeczywiste, nikło przed jego zmysłami; ale jednak ściagał je duchem, zatrzymywał jego obraz w pamięci, i takim sposobem utrwalił sobie o nim pojęcie. Jeżeli rzeczywistość nie mógł zglębic i poznać, jaką jest czynność w przeszłości, to niezawodnie wiedział, jaką ta czynność była, gdy objawiała swój byt w terażniejszości. Poznawszy obecność i przeszłość, dostrzegł, że obecność będąc rodzicą przeszłości, musi podobnie mieć swój początek. Gdy zwrócił swoją uwagę, przekonał się, iż rodzicą obecności jest znowu przyszłość, która w chwili przekraczania swęj granicy staje się obecnością. Zdziwiony takim przejawem chciał bliżej przyszłość poznać, lecz skierowane wszystkie zmysły natężone nie zdołały jej bram przekroczyć, chociaż te ciągle otworem stoją. Cóż człowiek działa? Oto duchem swoim przekracza wierzeje przyszłości, spostrzega przedświat, jakby przestrzeń bezdenną, spokojną, ale bez ruchu i życia, a w niej nic więcej, nad byt wszech rzeczy, które śpią snem wiecznym, jakby czarodziejstwem zakłętę i czekające głosu swojego zmartwychwstania, które na wstępie z przedświata w świat się odbywa. Jakkolwiek już człowiek nabrał pojęcia o przyszłości, przecież z poznania tego ten wniosek wyprowadził, że nigdy przejrzeć jej nie zdoła. Przekonywali go codziennie o tym wyniku jego bracia, których, czekających przyszłości w wypadki brzemiennej, pierwiej terażniejszość w pozaświat przeniosła, niż oczekiwane z przyszłości zamiary się zjściły i życiem pełnym zabrzmiały, lecz zupełnie w innym sposobie, jak sobie oni obiecywali. Przekonał się sam nareszcie, że, jeżeli coś w przyszłości będące tak się objawiło, jak sobie zamierzyl; musiał koniecznie to zdarzenie nazwać odgadnięciem, trafem, losem, zbiegiem okoliczności, a nigdy przepowiedzeniem niezmiennym. Słowem, człowiek podług swojej ograniczonej możności panuje nad przeszłością i obecnością, a o przyszłości z zalem często musi wyrzec: nie do mnie należy, bo ona na zawsze w mocy Boga zostanie i on jeden tylko podług swych niezbadanych wyroków kierować nią na wieki wieków będzie.

W przedświecie rzeczy tylko bytują; tu, w terażniejszości jistniejąc, działają i objawiają swe życie. Dla tej to właśnie przyczyny słowo nasze, bytność oznaczające, ma trzy wyrazy odrębne na oznaczenie trojistej bytności w trzech ostojach wieczności, to jest: przeszłości, terażniejszości i przyszłości, czyli w krajinie pozaświata, świata i przedświata. Wyrazami temi są: *było, jest i będzie*. Jich duchowość, czyli wewnętrzność jest też sama, ale postać zewnętrzna, jak widzimy, zupełnie inna. Potrójny stan bytu wywołał tę konieczność, i ta jest bardzo naturalna. Ponieważ w przyszłości bytowały rzeczy bez objawu

czynu, dla tego wszystkie nasze inne słowa nie mają czasu przyszłego pojedynczego; składa się on albo z czasu teraźniejszego i z przedimka (praepositio) np. *zrobię*; albo z trybu bezokolicznego słowa odmienianego i z czasu przyszłego słowa *będzie*, np. *robić będzie*; albo ostatecznie z czasu przyszłego słowa *być* i z trzeciej osoby czasu przeszłego tego słowa, które odmieniać mamy, np. *będzie robił*. Dwa ostatnie wyrażenia: *robić będzie* i *będzie robił* pokazują najwyraźniej, najprzód, że czynność bytująca w przyszłości nie może się w niej dziać, dopóki ta nie zamieni się w teraźniejszość, i dla tego postaci jej bytu *będzie* nie zmieniono, dodano tylko czynność *robić*, *robił*; powtóre, że czas przyszły rzeczywiście najpóźniej powstał i urobił się z innych, skoro ony w skład jego wchodzą. Taką to mądrością język nasz się odznacza, której pobratymcom odmówić także na żaden sposób nie można. Filozoficzność ta tylko nadzwyczaj odległą starożytnością wytłomaczyć się daje. Praojciec języków słowiańskich u kolebki rodu ludzkiego już się wyrabiał, i dla tego dzieci jego tyle mają w sobie mądrości, naturalności dających się dziś wyjaśnić i dowieść. Innych szczepów języki zachowały toż samo w słowie *być* np. *est, fuit, erit; er ist, er war, er wird seyn* i t. p.; ale co się tyczy słów innych, to rzecz zupełnie się ma inaczej w różnych językach. Łaciński i grecki np. język, nie mając czasów przyszłych wszystkich złożonych, nakazują za siebie wyrzec: początek swój wywodzimy z tych czasów, w których rodę, mądrość zgubioną i żywotność pierwotną sztuka z nauką powierzchowną zastąpiła.

Trzy części słowa z sobą porównywane.

Po wyłożeniu przedmiotu w ogólności, po wyjaśnieniu rody każdego czasu, po wskazaniu chwili, jak się jedne czasy względem drugich tworzyły; przystępujemy do szczegółów, aby za zasadę w słownictwie tę gałąź słowa uznać, której się to pierwszeństwo prawem należy. Brać tu zawsze będziemy tryb bezokoliczny, czas teraźniejszy w osobie pierwszej i czas przeszły w osobie trzeciej rodzaju męskiego. Nadto zwrócimy uwagę na spółgłoski jądro składające, tudzież przypatrywać się jim będziemy pod względem samogłosek znajdujących się w środku, lub na końcu jądra wyrazu.

Uważane te części ze względu spółgłosek.

Najprzód. P. Malinowski wziął do swego dowodzenia np:

<i>módz</i>	<i>mogę</i>	<i>mógł</i>
<i>tluc</i>	<i>tlukę</i>	<i>tlukł</i>
<i>strzydz</i>	<i>strzygę</i>	<i>strzygł</i>
<i>rzec</i>	<i>rzekę</i>	<i>rzekł</i>

<i>gnięść</i>	<i>gniotę</i>	<i>gniótl</i>
<i>więść</i>	<i>wiodę</i>	<i>wiódl</i>
<i>paść</i>	<i>pasę</i>	<i>pastl</i>
<i>paść</i>	<i>padnę</i>	<i>padl</i>

słowa bezcechowe. (NB Słowami bezcechowemi te nazywam, w których końcówka *ł* czasu przeszłego znajduje się bezpośrednio po spółgłosce jądra np. *rzekł, siekł, piekł, wiółł wiódl mógł, strzegł* i t. p.; te zaś, w których między *ł*, a spółgłoską jądrową czyli przybierającą pośredniczy jakakolwiek samogłoska, nazywają się słowami cechowemi dla różnicy od pierwszych, a te samogłoski—cechami słowa, np. *słyszał, rąbał, ważył, mył, czynił, palił, kuł, czuł, i t. p.*) Tu zupełnie się udało autorowi okazać wyższość czasu teraźniejszego nad trybem bezokolicznym, w którym spółgłoski przybierające albo się zwały z końcówką *jego*, np. *łluc, strzedz* (zamiast *tlukć, strzegć*, albo przed końcówką *ć* przeszły na *ś*, np. *plęść, prząść, paść*. Z jakiej więc głoski pierwotnej to *ś* powstało, nie mogę odgadnąć, jeżeli języka nie czuję i nie znam, jak to się dzieje z cudzoziemcami. W czasie zaś teraźniejszym wszystkie spółgłoski są widoczne; ależ to samo mamy w czasie przeszłym. Gdyby wszystkie słowa nasze były bezcechowe, możnaby zezwolić chętnie na tę przemianę; ale na nieszczęście wyznać muszę, iż ony ani dwudziestej części słów wszystkich nie składają.

Powtóre. Słowa np.:

<i>dłubać</i>	<i>dłubię</i>	<i>dłubał</i>
<i>lubić</i>	<i>lubie</i>	<i>lubił</i>
<i>czerpać</i>	<i>czierpię</i>	<i>czerpiał</i>
<i>cierpieć</i>	<i>cierpię</i>	<i>cierpiał</i>
<i>kropić</i>	<i>kropię</i>	<i>kropił</i>
<i>suszyć</i>	<i>suszę</i>	<i>suszył</i>
<i>dusić</i>	<i>duszę</i>	<i>dusił</i>
<i>ważyć</i>	<i>ważę</i>	<i>ważył</i>
<i>grozić</i>	<i>grozę</i>	<i>groził</i>
<i>golić</i>	<i>golę</i>	<i>golił</i>
<i>wikłać</i>	<i>wiklę</i>	<i>wiklał</i>
<i>kaślać</i>	<i>kaszlę (kaślę)</i>	<i>kaślał</i>
<i>tuszyć</i>	<i>tuszę</i>	<i>tuszył</i>
<i>deptać</i>	<i>depczę</i>	<i>deptał</i>

mają w czasie teraźniejszym wszystkie spółgłoski przybierające przed końcówką osobową miętkie, z których jedno są już w jądrze miętkie np. *golę golił*; drugie przez spowinowacenie odnoszą się do miętkich np. *grozę groził*; trzecie, będąc miętkiem, wynikają z twardych w jądrze, np. *wiklę wiklał*. I czyliż z powodu takiej jednostajności czasu teraźniejszego mamy się dziwić cudzoziemcowi, że nie może rozwinąć słowa, kiedy tu sam autor rady sobie dać nie może? Powiedział on: chociaż sło-

wo *wikłę* ma *wikłał*, przecież *kaszlę* nie zmienia *l* i ma *kaszłał*. Tu się widocznie pomylił; chciał on się z matni wywikłać, ale mu kaszel przeszkodził, do czego doprowadziło go naśladownictwo Dobrowskiego, a stąd umieszczanie słów w jedną formę dla nich niewłaściwą reszty dokonało. Gdyby, będąc już na prawdziwej drodze, wziął do swego słowa *wikłę* w pomoc: *tytlę tytlał, syplę syplał, pepłę pepłał, memłę memłał*; przyszedłby do rezultatu, że słowo *kaszlę* koniecznie ma *kasłać, kasłał*. Następnie P. M. w swoim dowodzeniu wyrzekł, że: *depczę, kołaczę, klekoczę, lehczę, szamoczę, świergoczę* i t. p. zamiast: *depcę, kołacę* i t. d. wyglądają z ruska; przecież ośmielam się powiedzieć, że to jest prawdziwie po polsku. Wiedzieć powinniśmy, iż mamy trzy główne narzecza: mazowieckie, wielkopolskie i małopolskie. Dyjalekt mało-polski przemógł i stał się językiem uczonym piśmiennym, bo akademija Krakowska do tego zaszczytu go wyniosła. Jak się to stało, nie potrzebuję tego dowodzić, a znawcy literatury łatwo to sobie rozwiążą. Otóż w języku piśmiennym mówi się powszechnie: *depczę, drepczę, dygoczę*, a w innych narzeczach, i to niezawsze i nie wszędzie: *depcę, drepcę, dygocę* i t. p. Zmysłowy ten młodzieniaszek, płochy i nierozumny do tego stopnia pomieszał nam składowe części słowa, iż z tego zamętu słowa nie rozwiniiesz. I maż ten figlarz być zasadą słowa? Uchowaj Boże! W tym ustępie tryb bezokoliczny zupełnie wyrównywa czasowi przeszłemu, obydwaj zarówno mogą się wziąć za zasadę, obydwaj doskonale wykryją wszystkie odmiany słowa, a nawet narowry i bezkształtne skręcenia czasu teraźniejszego wytłomaczają. Od nich dojdziemy do czasu teraźniejszego; ale na odwrot od niego do nich jest niepodobieństwem.

Po trzecie. Gdy się przypatrujemy słowom:

<i>gajć</i>	<i>gaję</i>	<i>gajil</i>
<i>siac</i>	<i>sieję</i>	<i>sial</i>
<i>gojć</i>	<i>goję</i>	<i>gojil</i>
<i>mdlć</i>	<i>mdleję</i>	<i>mdlał</i>
<i>dojć</i>	<i>doję</i>	<i>dojil</i>
<i>pić</i>	<i>piję</i>	<i>pil</i>
<i>myć</i>	<i>myję</i>	<i>mył</i>
<i>truć</i>	<i>truję</i>	<i>trul</i>
<i>pisywać</i>	<i>pisuję</i>	<i>pisywał</i>
<i>rysować</i>	<i>rysuję</i>	<i>rysował</i>

na oko widzimy, jak czas teraźniejszy tu jednostajny; widać, że skarcony swywolnik na chwilę się ułożył i stał się skromniuchnym niewiniątkiem. Urobił się kształtnie współgłoską *j*, ale nie pokazuje, w których ta jest współgłoską jądrową, a w których znowu dodaną. I dla tego, gdy weźmiesz np. *gaję, gajć, gajil* i zaczniesz podług niego inne słowa urabiać, otrzymasz podług analogiji:

<i>sieje</i>	<i>siejć</i>	<i>siejł</i>
<i>mdleje</i>	<i>mdlejąc</i>	<i>mdlejl</i>
<i>myje</i>	<i>myjąc</i>	<i>myjl</i>
<i>pisuje</i>	<i>pisując</i>	<i>pisujł</i>
<i>rysuje</i>	<i>rysując</i>	<i>rysujł i t. p.</i>

Weźmiesz znowu sobie za wzór np *pije*, *pić*, *pił* i podług niego zechcesz inne zrobić, otrzymasz:

<i>gaje</i>	<i>gać</i>	<i>gał</i>
<i>kraje</i>	<i>krać</i>	<i>krał</i>
<i>doje</i>	<i>doć</i>	<i>doł</i>
<i>koje</i>	<i>koć</i>	<i>kół</i>
<i>goje</i>	<i>goć</i>	<i>goł i t. p.</i>

To są najokropniejsze dziwolągi, a jednak sam autor, który je wywołał, nie zaprzeczy awożności rozumowania, które je z jego fałszywego założenia wyprowadziło. Tak niekorzystne wypadki dla czasu teraźniejszego nie zdołają nikogo nakłonić, aby go za główny czas w słowie poczytywał. Ostatecznie widzimy, że tylko czas przeszły w danych przykładach jest stały, ponieważ i tryb bezokoliczny już się chwiać zaczyna, o czym nas przekonywa słowo *mdlęc* i wiele mu podobnych, np. *niszczęc*, *butwięc*, *siwięc*, *lysięc*, *rzęsięc*, *stąpięc*, w których nie wiemy, z czego samogłoska *e* powstała, jak się o tym niżej przekonamy.

Po czwarte. Wzięte słowa:

<i>ginać</i>	<i>ginę</i>	<i>ginał</i>
<i>sunąć</i>	<i>sunę</i>	<i>sunął</i>
<i>ciągnąć</i>	<i>ciągnę</i>	<i>ciągnął</i>
<i>tonąć</i>	<i>tonę</i>	<i>tonął</i>
<i>niknąć</i>	<i>niknę</i>	<i>niknął</i>
<i>kląć</i>	<i>klnę</i>	<i>klnął</i>
<i>giąć</i>	<i>gnę</i>	<i>ginał</i>
<i>ciąć</i>	<i>tnę</i>	<i>ciął</i>
<i>piąć</i>	<i>pnę</i>	<i>piął</i>
<i>pomiąć</i>	<i>pomnę</i>	<i>pomiął</i>
<i>pomniąć</i>	<i>pomnię</i>	<i>pomniął</i>

pokazują się bardzo jednostajne w czasie teraźniejszym; lecz spółgłoska *n*, wyraźnie w nim stojąca, ma podwójne pochodzenie. W jednych słowach to *n* jest jądrową w całym rozgałęzieniu słowa zawsze widoczne; w drugich to *n* wydobywa się na jaw z spółgłoski nosowej. Gdy weźmiemy za wzór, przypuścimy: *ginę* *ginać* *ginał* i formować inne z niego będziemy, powstaną:

<i>klnę</i>	<i>klnać</i>	<i>klnął</i>
<i>gnę</i>	<i>gnać</i>	<i>gnał</i>
<i>pnę</i>	<i>pnąć</i>	<i>pnął</i>
<i>tnę</i>	<i>tnąć</i>	<i>tnął</i>

<i>pomnę</i>	<i>pomnąć</i>	<i>pomnął</i>
<i>pomnię</i>	<i>pomniąc</i>	<i>pomniął</i>

Lub gdy wzorem będzie słowo: *piąc pnę piął*, wypadnie:

<i>ginę</i>	<i>giąc</i>	<i>giął</i>
<i>sunę</i>	<i>suąc</i>	<i>suął</i>
<i>ciągnę</i>	<i>ciągąc</i>	<i>ciągał</i>
<i>tonę</i>	<i>toąc</i>	<i>toął</i>
<i>pomnię</i>	<i>pomiąc</i>	<i>pomiął</i>

Najlogiczniejsze rozumowanie, a jednak niestety! jakieś niepojęte i niesłychane potwory wyrazów na widownią wywiodło. Skąd tak niefortunny wypadek? Oto z niefortunnej zasady wynika. P. Malinowski gwałtem forytuje czas terażniejszy na czoło słowu, a on nieboraczek o bożym nie wie świecie. Jest on owym ptakiem wyżej wspomnianym, ale który nie umie sam o sobie wypowiedzieć, jakim jest w szczególności. Tryb zaś bezokoliczny i czas przeszły zawsze sobie odpowiadają; przecież ostatni jest wyższy, jak przekonywa słowo *pomnięć*.

Obowiązkiem jest i dla nauki i na pociechę czasu terażniejszego powiedzieć, że i części słowa o pierwszeństwo z nim walczące, mają swoje ułomności. Samogłoska nosowa, w trybie bezokolicznym i czasie przeszłym wyraźnie będąca, nie zawsze współgłoskę *n*, ale niekiedy *m* w sobie ukrywa, np.

<i>żąc</i>	<i>żmę</i>	<i>żał</i>
<i>dąc</i>	<i>dme</i>	<i>dał</i>
<i>wziąc</i>	<i>wzme</i>	<i>wziął</i>

lecz Bogu dzięki znam tylko trzy, i zdaje mi się, że nikt więcej podobnych w całym języku nie znajdzie; ma się rozumieć pierwotnych, bo np. *wyżąc, wyżmę wyżał* i t. p. za odrębne słowa po czytywać nie będzie. Dla tak małego więc szczegółu nikt ogółu nie poświęci, i słowa te mogą stanowić wyjątek.

Niech mi w tym miejscu wolno będzie przytoczyć ustęp autora: „Wyłączne oddawanie się jednej umiejętności w jakimkolwiek narodzie z zaniechaniem i ponizaniem innych, nie może wydawać zbawiennych owoców i naraża nas zawsze na niebezpieczeństwo jednostronności i szkodliwych uprzedzeń. Że tak jest, a nie inaczej, sprawdza się to na nas samych, bo jeżeli najgodniejsi, najuczciwsi, najświatlejsi mężowie narodu naszego w dziełach swoich w innym względzie przynoszących zaszczyt literaturze naszej, występują częstokroć z etymologicznymi bredniami, a nikt się przeciw takowym powstać nie ośmieli; jakiejże przyczynie to przypisać należy, jeżeli nie zaniechaniu i lekceważeniu u nas umiejętności językowej?” Nie mam prawa domysłów czynić, kogo autor miał na celu, skoro go sam milczeniem pokrył; każe mi wierzyć, że te czyjeś badania są bredniami: jednak niczym mnie nie zmusi, abym jego sąd gołosłówny potwierdził, kiedy go dowodami jasnymi i przekonywają-

cemi sam nie popiera. Inaczej się zupełnie dzieje z jego czasem terażniejszym, wziętym za zasadę do układu słownika polskiego; wypowiedział w tej mierze zdanie swoje wyraźnie, skarcił wydawców Lindego, że go pod tym względem nie poprawili i czyni oświadczenie objawienia swoich tajemnic wydawcom słownika Wileńskiego w tych słowach: „gotów jestem udzielić każdemu, komu na tym zależy, na żądanie objaśnienia mojego (swojego być powinno) systemu i rozwiązać wszelkie przeciw niemu czynione zarzuty tak grammatyków naszych, jak i grammatyków naszych pobratymców”. Takie zdanie objawione nakazuje mi naga wszędzie mówić prawdę i wniwecz obracać fałszywą zasadę dla dobra ogółu, poniżonego w oczach i myśli autora. Chociaż nad tą zasadą najściślej rozumowałem, chociaż z niej najlogiczniejsze wyprowadzałem wnioski; przecież te pokazały się dotąd uczonemi bredniami i dubami smalonemi, które w samym zarodzie swoim śmiech wzbudzają i śpiewają głośne *requiem* zasadzie, z której się światu objawiły.

Też same części słowa uważane ze względu samogłosek. Najprzód: słowa, w których samogłoski są jądrowe, np.

<i>mléc</i>	<i>miele</i>	<i>mióll</i>
<i>pléc</i>	<i>piele</i>	<i>pióll</i>
<i>leżć</i>	<i>lezę</i>	<i>lazł</i>
<i>sieść (siaść)</i>	<i>siądę</i>	<i>siadł</i>

Tu w trybie bezokolicznym i czasie terażniejszym znajduje się *e*, które nie wiem, z czego powstało; dopiero czas przeszły mnie o tym ostrzega. Z samogłoski *a* lub *o* zawsze samogłoskę *e* wyprowadzę; lecz na odwrot z *e* nie zdołam dojść do samogłoski pierwotnej. Czas przeto przeszły ciągle pokazuje, że jemu pierwszeństwo w słowniku układzie się należy. Słów *pléc mléc* sami Polacy piśmienni odmieniać dotąd nie umieją, jak dowodzą często wyrażenia: *pele, pele; plewią, wyplew; mele mele; peltem pelt; mellem melt; plitem plit; mlilem mlit; pelty melty; melcie, pelcie, plenie mlenie*; zamiast: *miele piele, pielą wypiel, miollem mióll; piollem pióll, mielony, pielony; mienie pienie*. Wynika ten objaw z przeznaczenia słów samych, których klasa oświecona rzadko używa, a gdy ją potrzeba naciśnie, nie umie sobie poradzić i błędy powyższe popelnia, które koniecznie usuwać powinniśmy.

Do rzędu tych słów policzyć należy nieforemne następujące, w których głoski się przekładają:

<i>drzéc</i>	<i>drę</i>	<i>darł</i>
<i>mrzéc</i>	<i>mre</i>	<i>marł</i>
<i>przéc</i>	<i>pre</i>	<i>parł</i>
<i>trzéc</i>	<i>tre</i>	<i>tarł</i>
<i>wrzéc</i>	<i>wre</i>	<i>warł</i>
<i>zréc</i>	<i>zre</i>	<i>zarł</i>
<i>brac</i>	<i>biorę</i>	<i>bral</i>

<i>prać</i>	<i>piołę</i>	<i>prał</i>
<i>klóć</i>	<i>kolę</i>	<i>klól</i>
<i>próć</i>	<i>porę</i>	<i>pról.</i>

Jakkolwiek w nich i czas przeszły nie odznacza się jednoznacznością, przecież z niego więcej dowiedzieć się mogą, niż z jego towarzyszków; dla tego właśnie przyczyny Litwini mówią niekiedy: *darć, parć, tarć*. Nadto słowa: *klóć, próć* już się wyrażają w modłę dla siebie właściwą, to jest: *kluć, kluję, klul; pruć, pruję, prul* i odmieniają się jak foremne, np. *trul* i t. p.

Powtóre: Słowa, przypuścimy:

<i>dusić</i>	<i>duszę</i>	<i>dusił</i>
<i>młócić</i>	<i>młóce</i>	<i>młócił</i>
<i>nudzić</i>	<i>nudzę</i>	<i>nudził</i>
<i>kropić</i>	<i>kropię</i>	<i>kropił</i>
<i>kulić</i>	<i>kulę</i>	<i>kulił</i>
<i>kurczyć</i>	<i>kurczę</i>	<i>kurczył</i>
<i>suszyć</i>	<i>suszę</i>	<i>suszył</i>
<i>ważyć</i>	<i>ważę</i>	<i>ważył</i>
<i>cierpieć</i>	<i>cierpię</i>	<i>cierpiał</i>
<i>woląć</i>	<i>wolę</i>	<i>wolał</i>
<i>dyszć</i>	<i>dyszę</i>	<i>dyszał</i>
<i>widzieć</i>	<i>widzę</i>	<i>widział</i>
<i>krzyczyć</i>	<i>krzyczę</i>	<i>krzyczał</i>
<i>słyszć</i>	<i>słyszę</i>	<i>słyszał</i>

okazują w czasie przeszłym samogłoski cechowe *i, y, a*, widoczne; w trybie bezokolicznym są cechowe *i, y* wyraźne; lecz z czego *a* powstało, niewiadomo; osoba pierwsza czasu teraźniejszego, to munita martwa, bezduszna: nic więc nie mówi. Gdyby autor wziął do swego systemu osobę trzecią; toby przynajmniej nam pokazał w jednych cechę słowa, np. *młóci, nudzi, kropi, kurczy, suszy, waży*; w drugich wyjawilyby się końcówki zajmujące jej miejsce, np. *cierpi, woli, krzyczy, słyszy*, w których samogłoski *i, y* zastępują miejsce cechowej *a*, lub na *e* przeszłej, co jeszcze dziś widzimy w słowach niemodelnych, np. *rozumiesz, rozumie, umiesz, umie, jjesz, jje* od zasad *rozumiał, umiał, jadł*. Lecz tego nie uczynił; wprowadził on przez siebie utworzoną spółkę *ji* (jak ją nazywa), za pomocą której krztusił się okazać, że ta, spajając się z tematem, zmiękcza spółgłoskę; tak bowiem mówi: „następne dwie ostatnie (to jest *c, dz*) przechodzą w *ć, dź*: przyczyną tego jest jot spółki. Spółka ta, czysta chimera, nie wynikająca z natury, ale tylko z nieoględnego widzimisię autora, zagmatwała rzeczy proste i dla tego nie może w przyszłości u nikogo żadnego znaleźć wsparcia, jak to się już zjściło, co sam autor nam oświadcza w słowach: „Znakomici mistrzowie moi w dziedzinie słowiańskiej, dziś jeszcze Bogu dzięki żyjący: Mikłosicz, Schleicher i ks. Pawski uważają, mojim zdaniem, błędnie moje spółkę *ji* (i) za ostatnią gloskę tematu”. Ze swojej strony do-

dam, że ta spójka jest czystym najgrawaniem się z nieszczęśliwej głoski *j*. Wtłacza ją autor tam, gdzie roda języka nie pozwala, a nie używa, gdzie być koniecznie powinna. Co za okropna sprzeczność! P. M. ani się domyśla, jaką krzywdę mimowiestnie naszemu wyrządza językowi! Lat temu 224, (Biblija Gdańska 1632), jak współgłoska *j* w całej obszerności dostąpiła praw swoich! O! gdybyśmy się trzymali prawdy i drogi przez swoich przodków wskazanej, mielibyśmy już dziś w massie piszących tak rozpowszechnioną wiedzę mądrości językowej, jakiejby nam rzeczywiście zazdrozczono! Oni nie znosili, ale wznosili język! Współgłoska *j* słaba ciałem, niegdyś świetniejąca, później zapomniana i przez niewiedomość zdeptana; jednak, ponieważ silna duchem, za pośrednictwem głównie Felńskiego, występuje na widownią w pierwszej ćwierci naszego stulecia ze swego poniżenia, zwiększa liczbę swoich obrońców i w dziele: *Rozprawy i wnioski o pisowni polskiej*, uzyskuje w wielkiej części uswięcenie praw swoich. Ponieważ ogół najżywotniejszej nie przyznał jej należności; mści się przeto i dopóty mścić się będzie, dopóki co do joty, jak mówi przysłowie, nie posiędzie swojej dziedziny w języku. P. M. żywym jest dowodem tego zjawiska; nie używa współgłoski *j*, gdzie ona niezbędna, wkłada spójkę *ji*, gdzie nigdy być nie powinna: stąd jidzie mu wszystko z największym oporem; a nie mogąc dojrzeć tego przyczyny, wkłada winę na brak naszej znajomości języków innych słowiańskich, i powtarza piosnkę, że nam pobratymcy gorzką za to czynią przymówkę. Co do mnie, gotów jestem przpuścić, iż panowie przymawiacze nad Kopczyńskiego więcej nie znają, co potwierdzać się zdają niektórych prace uczono-porównawcze; a jednak życzyliby sobie, abysmy jim do jich mówni szczególnej zasady położyli. To żądanie dla nas niewczesne, jim łatwiej je uskutecznić, bo są na parterze; my nie potrzebujemy się zatrzymywać i cofać, albowiem, nie chwaląc się, jesteśmy z swoją pracą już na piętrze. Cegielski, który pierwszy piosnkę przymawiania ogłosił, szukać zaczął skarbów u Dobrowskiego, ale widać zawiódł się; porzucił bowiem pracę i poświęca teraz swoje myślenie bardzo ciężkiej materiji, bo wagą jej—to same prawie cetnary.

Wypadki.

Zebrawszy w treść to wszystko, co się obszerniej wyłożyło, widzimy:

Najprzód. P. Malinowski nadużył historyczności i skierował do swojego widoku. Wyrzekł on, że od Knapskiego do Bandtkiego zawsze za zasadę w słownikach brano osobę pierwszą czasu terażniejszego. I to jest prawda; ale to jest fałszem, ażeby to czyniono przez wzgląd dla języka polskiego. Jim szło, gdy się najprościej wytłomaczymy, o to tylko, aby okazać, że:

Bóg Deus, mój meus; niebo coelum, zasłona velum; ojciec le père; brat le frère; pędzel der Pinsel; wyspa die Insel i t. p. Pisząc więc słowniki dla obznajmienia Polaków z innemi językami, patrzyli na języki obce, a nie na język polski; historyczność przeto, jako nakrecona, upada i żadnego nie stanowi dowodu.

Powtórę. Najniesłuszniejsze czyni zarzuty Lindemu, że przyjął tryb bezokoliczny za zasadę. Pierwszy Linde pisał słownik polski dla języka polskiego; wniknął on głęboko w duch języka już w tenczas, kiedy poznał, że pierwsza osoba czasu teraźniejszego tylko na same manowce go zaprowadzi, o czym stawione te zasady obok siebie najoczywiście nas przekonały. Ci więc, jak Wolski i inni filolodzy zagraniczni, (boć u nas podług autora nikogo nie było), którzy pochwalili nowość, mają słuszną zupełną; nieogłębny zaś autor nasz w całej obszerności się myli. Ze zaś Linde nie wziął za zasadę czasu przeszłego, który bez porównania więcej nas objaśnia, niż tryb bezokoliczny, to nie wina Lindego. Sądząc po przenikliwości tego męża i po umiejętnej znajomości wnikania w język polski, prawie z pewnością przypuścić mogę, że czas przeszły zasługiwał u niego na przodkowanie całemu słowu; ale wtenczas wydobyć go z samego środka formy i postawić na świeczniku, byłoby to może więcej, niż krokiem Jowiszowym, a zatym—niepodobieństwem. Dziś, jestem pewny, chętnieby mu naczelnictwo przyznał.

Po trzecie. Z dészcy pod rynnę wpadliby dziś wydawcy słownika Lindego, gdyby czas teraźniejszy za zasadę przyjęli; że znowu i czas przeszły pominęli, to widoczna: nie chcieli odstępować od pierwszej edycji.

Po czwarte. Znajomość języków pobratymców rzecz bardzo pożyteczna, ale najgłówniejsza jest znajomość swojego. Język swój można czuć i znać; obcy—tylko znać. Gdy uzbrojeni czuciem i znajomością gruntowną swojego języka zrobimy wycieczkę do pobratymców, zbierzemy obfite plony, mogące niekiedy nam być pomocą i potwierdzeniem nie jednej prawdy; gdy od nich najprzód naukę zacniemy, zgromadzimy mnóstwo zapasów do niepotrzebnych i kłótliwych zapasów. Żywy dowód tego daje nam P. M., który w sześć form słów, przez Dobrowskiego napisanych dla starosłowiańskiego języka, usiłuje wtłoczyć słowa polskie. Ze swojej strony oświadczam z matematyczną pewnością, że te rękawiczki są małe i dla tego popękają. Jak każdy człowiek niezależnie od drugich wyrasta na męża, tak podobnie język każdy rozwija się samodzielnie i stanowi konar odrębny: z jego więc postaci, nie z cudzej brać należy miarę na ubiór jego i pięknie mu w nim będzie.

Popiąte. Dwie ostateczności uderzające w pracy autora: wzniosła uprzejmość dla pobratymców, bezwzględna jej ujemność dla swoich. Pierwszej pojaw umiem sobie rozwiązać wrodzoną nam gościnnością; źródła drugiej upatrywać muszę w niepoznaniu i niezgłębieniu swojskości; stąd takie lekceważenie

a nawet potieranie przez niewiadomość, która w swojej najiwności zawsze sobie śmiało na wszystkie strony bez uwagi macha. Na takie przypuszczenie sam autor naprowadza, który, nakarmiwszy się mądrością mistrzów swoich, nie przekonawszy się, czy stosowna będzie, z góry, jak z trójnoga, narzuca ją naszemu językowi. Dwie dotąd jego rozprawy, mnie znane, są tylko ocenami pracy cudzej, ale dzieła samorodnego jeszcze nie miał czasu nam pokazać, któreby świadczyło o jego dzielności i przekonano świat, potrzebujący dziś na wszystko hypoteki, że autor ma prawo wyroki dawać. Wbrew zdaniu autora śmiem otwarcie swoje powiedzieć, że, gdyby naszą wiedzę dotąd w tej gałęzi, o której mowa, zmierzono tym samym korcem, co i innych pobratymców; nie tylko byłoby, tłumacząc się po gospodarsku, co zestrychować, ale jeszcze i dobry kołnierz na wszelki wypadek zostawić.

Po szóste. Przebiegając szczegółowo i okazując na przykładach, nabraliśmy tego przekonania, że czas przeszły osoby trzeciej liczby pojedynczej rodzaju męskiego jest najmniej zmienny, że z niego najlepiej każde słowo rozpoznać i rozwinąć się daje, że go za jądro słowa poczytywać należy w słowniku i mowni. Jam jego wartość i wyższość nie cudzym rozumem, ale własnym dorobkiem na jaw wystawił.

B.

Rozwój słowa polskiego w różne jego odcienie.

W układzie słownika polskiego, mianowicie abecadłowego, ważna jest okoliczność, aby go nie obciążać przykładami z innego rozwoju słowa ściąganiem, bo te zwiększają dzieło, a nie wyczerpują rody słowa i przyczyniają się do zamętu, który, zwłaszcza cudzoziemcy, najlepiej czują. Tłumacząc się bliżej. Słowo polskie zdolne jest rozwinąć się do 132, to jest: słowo pierwotne da się tak przeobrazić, iż czynność jego będzie też sama, ale jej odcieni 132, co liczebnie wskażemy; z jednym więc słowem 132 razy możemy się spotkać w słowniku. Tak rozległa zdolność rozwijania się słów to sprawa, iż do dziś przy mnóstwie słów nie potrzebujemy wszystkich odcieni, które, jakby snem zjęte, leżą w powszechnym skarbcu języka; gdy pojęcie przychodzi, natychmiast występuje ten odcień i tworzy się niejako nowe słowo. Lecz też sama rozległa zdolność, to wielkie bogactwo staje się przyczyną mieszek wielorakich; albowiem bierzemy słowa jednego rzędu i łączymy z drugim, gdy nas potrzeba zmusza wskazać np. od słowa konanego (niedokonanego) słowo dokonane. Następnie, wskazując przy słowie konanym dokonane z tego samego nawet rzędu, jeszcze nie wyczerpujemy nauki, albowiem w jednym rzędzie może być 15

słów dokonanych. Nadto musimy sobie szczerą prawdę powiedzieć, że czuciem tylko kierowani, mówimy: to słowo jest konane lub dokonane; czucie to wprawdzie nigdy nas nie zawodzi, ale też nie przekonywa. Gdy Polakowi powiesz: słowo dokonane jest to, które wyraża czynność dokonaną, zamydlisz mu oczy, bo on to czuje, ale z cudzoziemcem—to inna rzecz! On od ciebie chce nauki, ponieważ nią tylko może wstępować w wierzeje twojego języka; określenie więc dla niego powyższe *idem per idem*, jest to groch na ścianę rzucać. Zapobiegając tym niedogodnościom, rozwinę w szczególności liczebnie słowo *trząść*, o czym już w Mowni swojej nadmienilem w ogólności; pokażę szereg słów z jednego rozwoju się urabiających, wykryję najwidoczniej ilość słów konanych i dokonanych; a tym samym zniszczę zamęt, jaki dotychczas w słowach panował. Poczynię wręście uwagi, jakichbym się trzymał, gdybym słownik pisał. Być może, że moje spostrzeżenia trafią do przekonania ziomków moich, a gdy tak się stanie, będę szczęśliwy.

Podział i określenie słowa polskiego.

Każde słowo polskie jest najprzód *pięrowotne i pochodne*. Ze słowa pięrowotnego, które wyraża czynność nagą, niczym nieokreśloną, np. *jeść, lecieć, mówić, trząść*, powstają słowa *pochodne*.

Słowa pochodne rozdzielają się na trzy odnogi; na słowo: *różnokierunkowe*, lub *różnociągliwe*, dalej *częstotliwe*, następnie *jednotliwe*.

Słowo różnokierunkowe, lub różnociągliwe wyraża czynność ciągle się odbywającą w różnym kierunku lub miejsca, lub czasu, np. *mawiać, latać, jadać, trząsać* i t. p. Kopczyński, a za nim bez wyjątku wszyscy, nie zwrócili na ten odcień uwagi; po czytali je więc za jedno ze słowami częstotliwymi. Przecież między: *jadać i jadywać; latać i latywać; trząsać i trzęsywać* różnica tak jest wielka i widoczna, iż każdy ją spostrzedz musi; a tym samym, że nazwa słów różnokierunkowych, lub różnociągliwych w mowni i słowniku jest niezbedna.

Słowo częstotliwe wykazuje czynność powtarzaną z przerwami w czasie, np. *brzękiwać, jadywać, latywać, pisywać, trzęsywać* i t. p.

Słowo nareście jednotliwe przedstawia czynność raz wykonaną i skończoną, np. *brzęknać, jęknąć, trząsnąć* i t. p.

Piętnaście jest przedjmków (*praepositio*) wchodzących w skład słowa, jako to: *od, do, u, z, za, prze;* (*przez*), *nad, pod, w, na, po, o, przy, roz, wy;* rzadko kiedy *przed*. Stąd powstają słowa *pojedyncze* i *złożone*. Złożone są *jedno—dwój—i trójprzedjmkowe*, jak w wykazie zobaczymy. Niekiedy to składanie rozciąga się aż do pięciu przedjmków, lecz to zjawisko jest feni-ksem np. *po—na—roz—po—s—cierać* od pierwotnego słowa

trząć. W jednych słowach przedjмки te malują tylko sposób, w jaki się ma czynność dokonywać np. *obrabiać, wyrabiać, przecinać, rozcinać*; w drugich sposób połączony z czynem dokonanym, np. *obrobić, wyrobić, przeciąć rozciąć*; w trzecich, składających się z przedjmków *w, z*, oprócz powyższych względów przedstawiają jeszcze czynność dążącą w górę, chociaż samo słowo pojedyncze tego znaczenia w sobie nie zawiera np. *nosić, wznosić, powznosić; bierać, wzbierać, powzbierać; bijać, wzbijać, powzbijać; trząsać, wstrząsać, powstrząsać*. Z takiego składu słów z przedjmkami powstają słowa *konane* i *dokonane*.

Przystępujemy teraz do wykazu słowa *trząść* rozgałęzionego we wszystkie możebne odcienie, jakie do dzisiejszego dnia język pozwala nam uczynić. Oprócz tego rozwoju, dającego się matematycznie oznaczyć, pojawia się jeszcze drugi, który dla tego pomijamy, iż go poczytujemy za nowe usiłowanie, czy też i na innej drodze nie dadzą się słowa polskie za pośrednictwem innej kombinacji przedjmków rozwijać, czego dowodzą słowa: *wybierać, uwziąć się, uwzinać, przyporuczyć*. Są to zaczątki; ale, czy ony się rozwiną, czy zwiędną, zawyrokować o tym mi nie pozwolono.

Wykaz liczebny wszystkich odcieni słowa *trząść*.

Słowa pojedyncze

Pierwotne	Różnokierunkowe	Częstotliwe	Jednotliwe
Konane	Konane	Konane	Dokonane
<i>trząść</i>	<i>trząsać</i>	<i>trząsywać</i>	<i>trząsnąć</i>

Słowa jednopredjmkowe

Dokonane	Konane	Konane	Dokonane
<i>odtrząść</i>	<i>odtrząsać</i>	<i>odtrząsywać</i>	<i>odtrząsnąć</i>
<i>dotrząść</i>	<i>dotrząsać</i>	<i>dotrząsywać</i>	<i>dotrząsnąć</i>
<i>utrząść</i>	<i>utrząsać</i>	<i>utrząsywać</i>	<i>utrząsnąć</i>
<i>strząść</i>	<i>strząsać</i>	<i>strząsywać</i>	<i>strząsnąć</i>
<i>zatrząść</i>	<i>zatrząsać</i>	<i>zatrząsywać</i>	<i>zatrząsnąć</i>
<i>przetrząść</i>	<i>przetrząsać</i>	<i>przetrząsywać</i>	<i>przetrząsnąć</i>
<i>nadrząść</i>	<i>nadrząsać</i>	<i>nadrząsywać</i>	<i>nadrząsnąć</i>
<i>podtrząść</i>	<i>podtrząsać</i>	<i>podtrząsywać</i>	<i>podtrząsnąć</i>
<i>wtrząść</i>	<i>wtrząsać</i>	<i>wtrząsywać</i>	<i>wtrząsnąć</i>
<i>natrząść</i>	<i>natrząsać</i>	<i>natrząsywać</i>	<i>natrząsnąć</i>
<i>potrząść</i>	<i>potrząsać</i>	<i>potrząsywać</i>	<i>potrząsnąć</i>
<i>otrząść</i>	<i>otrząsać</i>	<i>otrząsywać</i>	<i>otrząsnąć</i>
<i>przytrząść</i>	<i>przytrząsać</i>	<i>przytrząsywać</i>	<i>przytrząsnąć</i>
<i>roztrząść</i>	<i>roztrząsać</i>	<i>roztrząsywać</i>	<i>roztrząsnąć</i>
<i>wytrząść</i>	<i>wytrząsać</i>	<i>wytrząsywać</i>	<i>wytrząsnąć</i>

Słowa dwójprzedjmkowe, w których na początku jest przedjimek *na*

Dalszy rozwój niepodobny; albowiem, co się dokonało, już się dokonywać nie może.

Dokonane	Dokonane
<i>naodtrząsać</i>	<i>naodtrzęsywać</i>
<i>nadotrząsać</i>	<i>nadotrzęsywać</i>
<i>nautrząsać</i>	<i>nautrzęsywać</i>
<i>nastrząsać</i>	<i>nastrzęsywać</i>
<i>nazatrząsać</i>	<i>nazatrzęsywać</i>
<i>naprzetrząsać</i>	<i>naprzetrzęsywać</i>
<i>nanadrząsać</i>	<i>nanadrzęsywać</i>
<i>napodtrząsać</i>	<i>napodtrzęsywać</i>
<i>nawtrząsać</i>	<i>nawtrzęsywać</i>
<i>nanatrząsać</i>	<i>nanatrzęsywać</i>
<i>napotrząsać</i>	<i>napotrzęsywać</i>
<i>naotrząsać</i>	<i>naotrzęsywać</i>
<i>naprzytrząsać</i>	<i>naprzytrzęsywać</i>
<i>naroztrząsać</i>	<i>naroztrzęsywać</i>
<i>nawytrząsać</i>	<i>nawytrzęsywać</i>

Dalszy rozwój tu niepodobny, albowiem, co się dokonało bez sposobu, lub ze sposobem, już się dalej dokonywać nie może.

Słowa dwójprzedjmkowe, w których na początku znajduje się przedjimek *po*

Rozwój skończony.	Dokonane	Dokonane	Rozwój skończony.
	<i>poodtrząsać</i>	<i>poodtrzęsywać</i>	
	<i>podotrząsać</i>	<i>podotrzęsywać</i>	
	<i>poutrząsać</i>	<i>poutrzęsywać</i>	
	<i>postrząsać</i>	<i>postrzęsywać</i>	
	<i>pozatrząsać</i>	<i>pozatrzęsywać</i>	
	<i>poprzetrząsać</i>	<i>poprzetrzęsywać</i>	
	<i>ponadrząsać</i>	<i>ponadrzęsywać</i>	
	<i>popodtrząsać</i>	<i>popodtrzęsywać</i>	
	<i>powtrząsać</i>	<i>powtrzęsywać</i>	
	<i>ponatrząsać</i>	<i>ponatrzęsywać</i>	
	<i>popotrząsać</i>	<i>popotrzęsywać</i>	
	<i>pootrząsać</i>	<i>pootrzęsywać</i>	
	<i>poprzytrząsać</i>	<i>poprzytrzęsywać</i>	
	<i>poroztrząsać</i>	<i>poroztrzęsywać</i>	
	<i>powytrząsać</i>	<i>powytrzęsywać</i>	

Słowa dwójprzedjmkowe, w których skład wchodzi przedjimek *w*, *z* i które malują czynność do góry skierowaną.

Dokonane	Konane	Konane	Dokonane
<i>wstrząść</i>	<i>wstrząsać</i>	<i>wstrzęsywać</i>	<i>wstrząsnąć</i>

Słowa trójprzedjmkowe z *na*, *w*, *z* złożone, malujące czynność do góry skierowaną

—	Dokonane	Dokonane	—
	<i>nawstrząsać</i>	<i>nawstrzęsywać</i>	

Słowa trójprzedjmkowe z *po*, *w*, *z* złożone z dążnością czynności w górę skierowanej.

—	<i>powstrząsać</i>	<i>powstrzęsywać</i>	—
---	--------------------	----------------------	---

Z tego wykazu dowiadujemy się, iż słowo polskie może się rozwinąć do 132 słów, z których 35 jest konanych, dokonanych 97; może przeto jedną czynność dokonywać w 35 odcieni, czyli sposobów, a dokonać w 97. Nagłówki, czyli napisy wskazują nam ich nazwę, pochodzenie, złożenie, konaność i dokonaność. Wiedziony czuciem, wspierany własnym myśleniem, wykryłem tu naukę, która nawet cudzoziemca nie zawiedzie, a nas w przekonaniu ustali. Zwracając uwagę na znamiona stanowiące różnicę między jednymi a drugimi słowami, z pełnym przeświadczeniem wyrzec możemy: to słowo jest konane, lub dokonane dla tej, a tej przyczyny, np. słowo *roztrząść* jest dokonane, ponieważ jest pierwotne jednopredjimkowe; słowo *roztrząsać* jest konane, bo jest różnokierunkowe jedno przedjimkowe; słowo znowu *trząsnąć* jest dokonane, albowiem jest jednolite, które, oznaczając czynność jednorazową, musi ją nawet wprost bez wskazanego przedjimkiem sposobu uskutecznić.

Rzecz uderzająca na pierwszy rzut oka, że znaczna jest przewyżka słów dokonanych, lecz ten objaw łatwo da się rozwiązać i wytłomaczyć. Każda jistota w tym zamiarze czynność wykonywa, aby ją do skutku przywiodła; skoro więc po dodaniu jednego z 15 przedjimków dopięła na tej drodze swojego celu; już tym samym działaniem, jako dokonane, skończyło się i dalszego rozwoju nie przypuszcza, jak to widzimy na słowach pierwotnych jedno-predjimkowych. Gdy znowu dodawane pojedyncze przedjimki nie spełniają czynu dokonanego, tylko wskazują sposób jego rozwijania się; rzecz bardzo naturalna, iż jistota działająca musi dalej postępować, musi szukać środków do uskutecznienia swojej myśli i przywodzi ją dodaniem dwóch a niekiedy nawet trzech przedjimków, jak mamy tego widoczność na słowach różnokierunkowych i częstotliwych dwój-predjimkowych, tudzież na słowach trójpredjimkowych, malujących czynność do góry jidącą np. *podotrząsać*, *podotrząsywać*, *powstrząsać*, *powstrząsywać*, *powznosić*, *powzbierać*, *powspierać*.

Po takim przedstawieniu rzeczy przystępuję do samego układu słowa w słowniku, gdzie na pierwszym miejscu piszę czas przeszły, jako zasadę; w skröceniach oznaczam jego pierwotność, pochodność, konaność, dokonaność i t.; dalej wymieniam wyraźnie pomocnicze części, to jest: tryb bezokoliczny, trzecią osobę liczby pojedynczej czasu terażniejszego, lub, gdy jest słowo dokonane, czasu przyszłego i jimiśłów przymiotny (bierny); następnie, jeżeli słowo jest pochodne, wskazuję pierwotne; potym następuje określenie słowa; nakoniec przykłady dają z tego samego szeregu i z tym samym odcieniem, jaki się znajduje w zasadzie, aby nie czynić mieszki między odcieniami. Inne okoliczności, równie potrzebne, jako wszystkim znane tu pomijam i przykładem układu słowa w słowniku pracę swoją zamykam.

Przykład układu słowa w słowniku.

Trząśł pier. kon. trząś, trzęsie, trzęsiony. (Tu określenie słowa). Teraz przykłady: *Trząś gruszki mój Jasiu, ale trząś powoli. Pioruny biją i trzęsie się ziemia. Jedni się trzęśli ze strachu, a dmudzy ze złości.* (Tu mogę sobie pozwolić i więcej przykładow: ale tego mam w nich unikać, aby nie było słów np. *dotrząśł, przetrząśł, wytrząsał, przetrząsnął*, ponieważ popełniłbym zmięszkę szeregów i odcieni, nie objaśniłbym niemi słowa danego *trząśł* i obciążylbym dzieło zbytecznie).

Dotrząśł pier. dok. dotrząść, dotrząsie, dotrząsiony, kon. trząśł (a nie: *dotrząsał*, boby była zmięszka szeregu). Dalej określenie, a następnie przykłady wprost od *dotrząśł*: np. *Dotrząśli siana i teraz co innego robią. Dotrząś gruszek do jabłek, bo tych nie wystarczy.* i t. p. (Nie mogą tu być przykłady np. od *utrząśł roztrząśł*, albowiem, chociaż te słowa jeden składają szereg, zaszlaby zmięszka odcieni, boć każdy doskonale widzi różnicę między: *dotrząśł* i *roztrząśł*).

Naroztrząsał poch. różnok. dok. naroztrząsać, naroztrząsa, naroztrząsany, kon. trząsał, pier. trząśł. (Określenie czynności) np. *Naroztrząsam siana po podłodze. Naroztrząsano wiele przedmiotów, a nic nie działo.* (Podobnie nie można brać słów z powodu zmięszki odcieni: *naodtrząsał, nawytrząsał* i t. p.

Roztrząsał poch. częst. dok. roztrząsać, roztrząśnie, roztrząśnięty; dok. częst. trząsać pier. trząśł. (Określenie czynności). np. *Roztrząsawszy wszystkie okoliczności, łatwo się przekonamy, iż każde słowo polskie zdolne jest, jeżeli nie dziś, to w przyszłości do wydania z siebie 132 odcieni.*

Pisałem w Warszawie,
w dzień Zesłania D. Śgo.

Feliks Żochowski.

Kronika Jarosława i archiwa Królewieckie.

W poszycie Biblioteki Warszawskiej na miesiąc lipiec, strona 177 i następne, czytam wzmiankę o Kronice Jarosława kanonika płockiego z XII wieku, pisaną podobno kirylicą i po rusku, a znajdować się mającą w archiwum tajnym w Królewcu. Nie wchodząc w spory o to: czy tam jakiś Jarosław kanonik płocki w XII. wieku pisał kronikę pruską i mazowiecką po łacinie, zaprzeczam śmiało, aby kanonik obrządku łacińskiego, Mazur, pisał kronikę kirylicą i po rusku. Jeżeli tedy jest jaka kronika Jarosława kanonika płockiego, pisana w XII wieku po rusku i kirylicą, należy ją policzyć do kategorii kronik Nakor-

sów Warmiszów, Prokoszów i tym podobnej drużyny. Co do archiwum tajnego w Królewcu, którego materyały do dziejów i rzeczy polskich znam dokładnie, zaręczyć mogę, że w niem kroniki Jarosława nie ma. Archiwum to utrzymywane w największym porządku, pochodzi po zakonie krzyżackim, po książętach pruskich od Alberta I począwszy, i po supprymowanych klasztorach w Warmii i Prusach zachodnich. Jest w niem nieco także szpargałów niektórych miast pruskich. Z rzeczy polskich zawiera w sobie: 1. Przywileje i korespondencye książąt litewskich, książąt i dygnitarzy mazowieckich, z rozmaitemi dygnitarzami zakonu (najwięcej z kointurami elbląskimi); z tych korespondencyi w XV wieku niektóre pisane są po polsku, inne po łacinie. 2. Spory zakonu z Polską i Litwą. 3. Historią biskupstwa warmińskiego, rękopism z XVII wieku, może już objęty historią biskupów warmińskich Tretera. 4. *Annales monasterii oliviensis*, aż do roku 1617, małej wartości. 5. Historią klasztoru oliwskiego, po łacinie pisaną, przez Piotra Wenera, doprowadzoną do roku 1270. 6. Katalog opatów oliwskich. 7. Przywileje klasztoru oliwskiego. 8. Korespondencye królów polskich z Albertem I i jego następcami. 9. Podobneż korespondencye znakomitych rodem, znaczeniem lub też nauką Polaków z Albertem I i jego następcami; tu są między innymi listy Radziwiłłów, Gorków, Ostrorogów i innych; listy Seklucyana, Trepki, Kwiatkowskiego, Łaskiego synowca arcybiskupa, Stankara i innych. Nareszcie 10. Rozmaite *Quodlibet*, jakoto: opisy sejmów, uchwały sejmowe, ustawy królów polskich i t. p., a między temi i własnoręczny rękopism Szebergera *Catalogus medicamentorum antipestilentiorum*; tudzież Bogułał i *Chronica principum Poloniae*, rękopism niewielkiej wartości, z XVgo wieku. Z archiwum tego, prócz uczonego Voigta, który go użył do napisania swojej historii Prus, historii Malbarga, Towarzystwa jaszczurczego i Kodexu dyplomatycznego Litwy, korzystało już bardzo wielu, a między tymi Kotzebue, Napierski, Baczko, Faber i inni. Żadnemu z nich nie wpadła w rękę Kronika Jarosława. Nie widział jej też i Onacewicz, którego uwagi żaden rękopism pisany kirylicą w archiwum tajnem królewieckim nie byłby uszedł.

Prócz archiwum tajnego w Królewcu, znajdują się tu jeszcze po bibliotekach materyały rękopiśmienne do rzeczy polskich. Tak np. w bibliotece uniwersyteckiej jest owa *Banderia Prutenorum Długosza*, ogłoszona już drukiem przez Muczkowskiego i Vossberga; a w bibliotece Wallenrodzkiej są następujące bardzo ważne dokumenta do dziejów Polski: 1. *Iustitia belli Regis Casimiri adversus ordinem teutonicum per Albertum Bogatkam*; rękopism sporiej objętości z roku 1463, pod nr. 26 umieszczony. 2. *Journal de la diete tenue a Grodno 1744*, wprawdzie już drukiem w czasie swoim ogłoszony, ale mający rozmaite warianty. 3. *Connotatio electionis Michaelis* Wiśniowiecki 1669.

4. W wolaminach pod numerami 22, 23, 24, 16, 33, 34, 53, znajduje się kilkadziesiąt dokumentów do dziejów Polski, jak np.: List Klemensa VIII do Zygmunta III; Opis sejmu 1601 roku; Akta elekcji Władysława IV i inwestytury pruskiej; Akta dotyczące się stosunków Polski z Prusami książęcemi, aż do roku 1618; Własnoręczne listy Władysława IV; Testament króla Michała Wiśniowieckiego; traktat Zygmunta Igo z Albertem z r. 1525; Traktat Zygmunta Augusta z Fryderykiem margrabią brandenburskim z r. 1569; Listy Stanisława Hozyusza, Sapiechów i innych; nareszcie listy Radziejowskiego, owego nikiemnika, który mszcząc się za krzywdę wyrządzoną mu przez Jana Kazimierza, podburzał wszystkie sąsiedzkie dwory przeciw Polsce, a najechawszy z wojskiem szwedzkim Wielkopolskę, szarpał wnętrzności własnej ojczyzny. I takiego człowieka nowa szkoła historyczna warszawska, nie mając w rękę jego *Corpus delicti*, którym są liczne korespondencye Radziejowskiego z nieprzyjaciółmi kraju, zachowane w archiwach tajnych dworów zagranicznych, usiłuje przywrócić do czci historycznej!.... Jeżeli Radziejowski był cnotliwym obywatelem, natenczas nie ma zbrodni przeciw krajowi, i Michał Gliński, Ościk. Zborowscy, Zebrzydowscy i tym podobna drużyna ma równe prawo jak Radziejowski do tolerancji historycznej.

X. M.

ROZMAITOŚCI.

O Społecznościach gromadzkich i gminnych w dobrach rządowych w Cesarstwie.

I. Podział dóbr na społeczności i w nich urzędy wiejskie.

1. Dobra rządowe w Rossyi zostają pod zarządem oddzielnego ministerstwa, które w każdej gubernii ma swoją izbę dóbr (Палата), i są podzielone na okręgi, w których w każdym jest naczelnik należący do izby dóbr.

Okręgi dzielą się na gminy (Волость), a te na gromady (Сельское общество).

Gromadę stanowi jedna wielka lub kilka mniejszych wsi na przestrzeni 15 werst, z ludnością 1,500 dusz. Kilka gromad z ludnością około 1,000 dusz, w odległości 40 werst od wsi wybranej na pomieszczenie zarządu, tworzą gminę.

2. Wszystkie interesa dotyczące ogółu gromad i gmin, roztrząsają, i o nich stanowią sami włościanie na zebraniach czyli zborach (сходъ) gromadzkich i gminnych. Władza zaś wykonawcza i sądowicza poruczona jest zarządom i sądom gromadzkim i gminnym, w których są następujące urzędy:

3. W każdej gromadzie są: starszyna (Старшина), sołtysi (Старосты), poborca podatków (Сборщикъ податей), dozorca śpichlerza (Смотритель магазина), przysięgli (Добросовѣстные), pisarz (Писарь), dziesiątnicy (Десятские), i gajowi (Полесовицники); lecz ci ostatni tylko tam, gdzie są lasy, a nie ma ich oddzielnego zarządu.

W każdej gminie są: wójt (Голова), ławnik (Засядатель), i pisarz z pomocnikiem.

Wójt, ławnik, starszyna, sołtysi, poborcy podatków, i dozorca śpichlerza, wybierani są przez włościan na zborach na lat trzy, a przez zarządzającego izbą dóbr zatwierdzani, który im także uwolnienie od obowiązków udziela. Pobierają pensye, i wol-

ni są od obowiązków gromadzkich. A nadto wójt i ławnik wolni są z całemi rodzinami od kar cielesnych.

Jednakże wójt może dłużej nad lat 3 pozostawać w służbie; a w gromadach i gminach, w których z powodu zepsucia obyczajów, potrzeba ściślejszego nadzoru, minister dóbr mocen jest wprost od siebie starszynę lub wójta przeznaczyć z wysłużonych podoficerów i starszych sierżantów.

Przysięgli wybierani także na zborach na lat 3, i przez zarządzającego izbą dóbr zatwierdzani, mogą na własne ich żądanie być uwalniani po upływie roku. Płacy żadnej nie pobierają, są tylko wolni od powinności gromadzkich.

Gajowi również na zborach wybierani na lat 3 z pomiędzy zdatnych do wojska, są wolni od powinności gromadę ciężących, ale płacy żadnej nie pobierają.

Dziesiętnicy wybierają się corocznie po jednemu na każdy miesiąc.

Na pisarza gromadzkiego przeznacza zarządzający izbą dóbr, a na pisarza gminnego i jego pomocnika wybiera naczelnik okręgu, zatwierdza zaś zarządzający ministerstwem albo jednego z włościan, albo z wychowanców zakładów rządowych, mającego obowiązek służenia lat 10. Pisarz i pomocnik pobierają płacę, i są wolni od odbywania powinności gromadzkich, a nadto pisarz gminy z całą rodziną, a jego pomocnik osobiście wolni są od kar cielesnych.

II. Zbory.

4. Zborami nazywają się zebrania włościan; mogą być one naradcze czyli pospolite, wyborcze i rekruckie, stosownie do celu zebrania, i tak:

Na zborach naradczych rozbiegają się wszystkie interesa gromad i gmin, i wydają się na nich uchwały ostatecznie, lub do przedstawienia pod wyższe zatwierdzenie.

Na zborach wyborczych wybierają się radni do zborów ogólnych wyborczych naradnych, i urzędnicy gromadcy i gminni.

Zbory rekruckie zajmują się wyłącznie poborem i odstawą rekrutów.

5. Każdy z tych zborów, zwołany z jednej lub kilku wsi w ich wyłącznym interesie, jest cząstkowym, a z całej gromady ogólnym. Jeżeli ma miejsce w zwykłej kolei, jest zwyczajnym; a nadzwyczajnym, jeżeli zostaje zwołanym w czasie na zbory nieprzeznaczonym. Zresztą zbory czyto cząstkowe, czy ogólne, odbywane w gromadach zowią się gromadzkimi, a odbywane w gminach, gminnymi.

6. Zbory gromadzkie zwołuje i na nich przewodniczy starszyna; zbory gminne zwołuje i na nich przewodniczy wójt. Do przewodniczących należy pilnować, aby zbory odbywały się w porządku przepisany, i zajmowały się właściwemi przedmiotami; czynności zaś kancelaryjne spełnia pisarz.

Mają udział i przez sołtysów i dziesiętników powinni być wezwani:

a). Na zbory wyborcze częstkowe, wszyscy gospodarze pełnoletni.

b). Na zbory rekruckie, wszyscy gospodarze, spisowi, ich rodziny i opiekunowie.

c). Na zbory ogólne wyborcze i naradcze gromadzkie, radni gromadcy, wybrani do tego na zborach częstkowych wyborczych.

d). Na zbory gminne, radni gminni, wybrani do tego na zborach ogólnych gromadzkie wyborczych.

7. Każdy wezwany ma obowiązek przybyć na zbor, a w razie niemożności stawienia się, czyto dla słabości, czy z innych powodów, uwiadomić o tém władzę miejscową, pod karą pieniężną.

Nikt niewezwany nie może się znajdować na zborze, również nie mogą w nim mieć udziału ci, których mający się rozstrzygać interes osobiście dotyczy; wyjąwszy zborów rekruckich, na których owszem koniecznie interesowani być powinni.

8. W czasie zboru wszyscy uczestnicy mają zachować porządek, cichość i żadnych rozpraw o obcych przedmiotach nie prowadzić. Wykraczający przeciwko porządkowi lub przyzwoitości ponoszą karę pieniężną i zostają przez prezydującego wyłączeni ze zboru; a gdyby kto wszczynał kłótnie, bitwy lub był pijanym, ma być karany aresztem.

9. Jeżeli zbor zejdzie się samowolnie, bez wezwania starszyny lub wójta, w takim razie mający w nim udział ulegają karze pieniężnej, zostają pozbawieni godności radnych, lub oddają się pod sąd.

a) *Zbory naradcze.*

10. Corocznie zwykle w styczniu, maju i wrześniu lub na początku października, w dni niedzielne lub świąteczne, przed lub po ukończeniu nabożeństwa, odbywają się zbory ogólne gromadzkie naradcze.

Gdyby zaszła potrzeba zmienić termin zboru, lub zwołać nadzwyczajny, zarząd gminny obowiązany czuwać, aby zbory odbywały się w porządku, i w właściwym czasie przedstawi to naczelnikowi okręgu.

11. Starszyna zwołując zbor za pośrednictwem sołtysów i dziesiętników, zawiadomi na jeden dzień pierwój wszystkich radnych o czasie zebrania, którzy gdy się zjedną w $\frac{2}{3}$ częściach, zbor może się rozpocząć. Starszyna zajmie pierwsze miejsce, obok niego zasiada sołtys i pisarz, a naprzeciwko wszyscy uczestnicy zboru.

12. Następnie starszyna kolejno przedstawia wszystkie interesa gromady, zbor zaś nad niemi się naradza, i zaraz je decy-

duże prostą większością zdań; a gdyby równo były podzielone, prezydujący rzecz rozstrzyga.

Potem każdy z uczestniczących może za pośrednictwem starszyny, przedstawić wnioski we względzie swęj wsi, które zbór roztrząsnąć i zaraz zdecydować powinien.

13. Porządek w jakim zbór się odbywał, i jego uchwały, pisarz zapisuje w księgę na to przeznaczoną; a po ich przeczytaniu przez starszynę głośno i wyraźnie, i po podpisaniu przez wszystkich uczestniczących i prezydującego własnoręcznie lub przez osoby do tego upoważnione, zbór uważa się za ukończony, i zostaje rozwiązany.

Uchwały zboru starszyna w najpierwszy dzień świąteczny ogłasza w kościele, i albo zaraz wprowadza w wykonanie, albo przedstawia ławnikowi gminy, który jeżeli je uzasadnionemi, zatwierdza przez przyłożenie pieczęci; lub gdyby potrzebowały wyższego zatwierdzenia, przesyła naczelnikowi okręgu: jeżeli zaś znajdzie, że są przeciwne przepisom, zwraca je pod powtórne rozpoznanie zboru.

14. Gdyby zbór zajął się przedmiotem do niego nienależącym, lub gdyby na posiedzeniu nie zachowano przepisów, w takim razie uchwały jego uważają się za niebyłe, a uczestnicy tracą godność radnych i ulegają karze pieniężnej, lub oddani zostają pod sąd.

b) Zbory wyborcze i wybory.

15. Co lat 3 odbywają się zbory wyborcze, zwykle częstkowe, na tydzień przed św. Michałem, ogólne po ukończeniu pierwszych po poście Filipówce, i gminne przed Oczyszczeniem Matki Boskiej. Rozpoczęcie ich powinno poprzedzić nabożeństwo celem uproszenia Boga, aby wybory padły na gospodarzy odznaczających się sumiennnością i prawością charakteru.

16. Zarząd gminy otrzymawszy od władzy wyższej rozkaz rozpoczęcia wyborów, oznaczy czas zborów wyborczych. Starszyna na tydzień przed terminem zebrania, ogłosi to w kościołach parafialnych, i zwoła naprzód zbory częstkowe, kolejno po jednej lub kilka wsi.

Na zborach tych starszyna przywołuje porządkiem po 10 gospodarzy, którzy z pomiędzy siebie wybierają po 2ch na radnych gromadzkich, bacząc aby wybierani byli ci tylko, którzy mają skończonych lat 25, i odznaczają się dobrém prowadzeniem, pracowitością, i zamiłowaniem gospodarstwa. Nikt zaś wybranym być nie może z karanych cielesnie w ciągu ostatnich lat 10, lub aresztem w ciągu ostatniego roku.

Listę wybranych, starszyna ze swą o każdym opinią składa zarządowi gminy, który rozpoznaje, czy wybory odbyły się w cza-

sie i porządku właściwym, i zgodnie z przepisami; niemniej czy wybrani posiadają przymioty od nich wymagane, i albo je zatwierdza, albo uznaje za nieważne i poleca nowe wybory.

17. Po ukończeniu zborów cząstkowych, starszyna zwołuje zbor ogólny gromadzki wyborczy, na którym każdych 4ch radnych gromadzkich wybiera z pomiędzy siebie 1go radnego gminnego; a ztąd na każde 20 dymów, wypada jeden radny gminny. Wszyscy zaś radni wybierają urzędników gromadzkich i kandydatów na urzędy gminne.

Listy wybranych starszyna, podobnie jak powyżej nadmieniono, przesyła zarządowi gminy, który także je rozpoznaje, i w razie znalezionych uchybień nakazuje nowe wybory: a jeżeli są zgodne z przepisami, listę radnych zachowuje w swych aktach dla wiadomości, listę urzędników gromadzkich ze swą i starszyny o nich opinią i wnioskami składa naczelnikowi okręgu, zaś listę kandydatów na urzędy gminne zatrzymuje, celem wniesienia jej na zbor wyborczy gminny.

18. Nareszcie wójt zwołuje zbor wyborczy gminny, który z pomiędzy kandydatów przez zbory gromadzkie podanych, wybiera urzędników gminnych, których listę zarząd gminy ze swą opinią, wspartą na zasadzie akt i księgi karniej, tak jak poprzednie przedstawia naczelnikowi okręgu.

19. Wybory stanowi prosta większość głosów; wójt, starszyna i wszyscy urzędnicy żadnego w nich nie mają udziału; a w razie równości głosów, los rozstrzyga. Wójt na zborach gminnych, a starszyna na zborach gromadzkich przestrzegają tylko, aby te odbywały się w należytem porządku, zgodnie z przepisami, i wydają gałki do losowania.

20. Skoro wybrani na zborach urzędnicy zatwierdzenie uzyskają, obowiązani są w pierwszy dzień świąteczny wykonać w kościele parafialnym przysięgę, którą odbiera od urzędników gromadzkich wójt lub ławnik do tego upoważniony, a od urzędników gminnych naczelnik okręgu lub jego pomocnik. Po nadejściu zaś trzylecia, na które są wybrani, zostają instalowani przez tych, którzy o nich odbierali przysięgę.

c) Zbory rekruckie.

21. Zaraz po ogłoszeniu ukazu o nastąpić mającym poborze, zwołują się zbory rekruckie gromadzkie, a potem gminne, dla sprawdzenia list spisowych; a skoro pobór nakazany będzie, zgromadzi się zbor gminny rekrucki, celem dopełnienia losowania mających wejść do wojska, naradzenia się nad zebraniem funduszków na ich odstawę i wybrania odstawców, jak to bliżej objaśnia tytuł o poborze rekrutów.

III. Zarządy.

a) *Gromadzki.*

22. Starszyna, soltysi, poborcypodatków, i dozorca śpichrza, stanowią zarząd gromadzki, czyli władzę wykonawczą gromadzką ciągle czynną.

Starszyna, starszy soltys czyli nadsoltys jest naczelnikiem gromady: przewodniczy w zarządzie, czuwa nad wszystkimi częściami służby, pilnuje aby zostający pod jego zwierzchnictwem dokładnie spełniali swe obowiązki i nie przekraczali ich władzy, przyjmuje wszelkie zażalenia włościan i innych osób przeciwko podwładnym, i wymierza zadosyćuczynienie, albo się o nie postara; podwładnych jeżeli są winni upomina i nagania, w razie zaś wykrycia nadużyć lub nieprawych wymagań. przedsięwzięrze środki zaradcze i donosi o tém zarządowi gminy.

Soltys jest naczelnikiem wsi lub osady, i w tej spełnia polecenia władz, czuwa nad porządkiem, moralnością, dobrem prowadzeniem się włościan, bezpieczeństwem publicznem i osobistém, całością granic i t. d.

Poborca podatków wybiera z gromady podatki i składki w gotowiznie, i wnosi je gdzie należy.

Dozorca śpichrza trudni się poborem zsepów, ma nad nimi dozór, i wydaje takowe stosownie do otrzymanych poleceń.

Prócz tych należą do zarządu, lecz nie są jego członkami:

Pisarz do obowiązków kancelaryjnych.

Dziesiątnicy do spełniania poleceń zarządów i sądów, oraz ziemskiej policyi; w osadach małych, gdzie nie ma soltysa, zastępują jego miejsce.

Gajowi do dozoru lasów i pilnowania, aby z nich użytkowano podług przepisane go porządku.

23. Zarząd umieszcza się w środkowej wsi, i w tej mieszkać powinien starszyna i pisarz.

Dom dla zarządu z polecenia zarządzającego izbą dóbr albo umyślnie jest wybudowany, albo się wynajmuje; powinien mieć stosowne sprzęty, jakoto: stół suknem nakryty, szafę i 4 stołki.

b) *Gminny.*

24. Wójt z ławnikiem składają zarząd gminny czyli władzę wykonawczą ciągle czynną.

25. Wójt jako naczelnik gminy, przewodniczy w zarządzie; czuwa aby wszystko szło właściwą drogą, aby rozporządzenia były zasadne, aby gmina znajdowała się w porządku i stanie ile być może najlepszym, i w tym celu przynajmniej dwa razy do roku

winien zrobić jej przegląd, zarządzić zaraz czego znajdzie potrzebę, a o wszystkim zdawać sprawozdanie zarządowi.

Do ławnika należy nadzór nad wewnętrznym biegiem służby, aby interesa były załatwiane spiesznie i zasadnie; aby zarządy gromadzkie ściśle wykonywały dane im polecenia. On także przyjmuje, zachowuje i wypłaca summy pieniężne.

Prócz tych, do zarządu gminnego należą, lecz nie są jego członkami: pisarz i pomocnik, którzy zajmują się wyłącznie czynnościami kancelaryi.

26. Zarząd gminy czuwa, aby starszyny i wszyscy urzędnicy gromadcy z sumiennością spełniali swe obowiązki, aby domy zarządów utrzymywane były w porządku i czystości, aby każdy z urzędujących pobierał należną mu płacę; odznaczających się gorliwością przedstawia do nagród naczelnikowi okręgu, przyjmuje wszelkie zażalenia włościan i innych osób, i te, które nie przechodzą jego władzy sam załatwia, a inne składa naczelnikowi okręgu. W razie dostrzeżonego niedbalstwa w służbie, nadżycia, przekroczenia lub złego prowadzenia się kogokolwiek z podwładnych, upomina i nagania, albo dla wyprowadzenia śledztwa i ukarania, donosi naczelnikowi okręgu.

27. Na pomieszczenie zarządu wybiera się wieś najludniejsza, ile być może w środku gminy, w której wójt, ławnik i pisarz są obowiązani mieszkać.

Dom dla zarządu z polecenia zarządzającego ministerstwem, albo umyślnie wybudowany, albo wynajęty, powinien mieć stosowne sprzęty, to jest: dwie szafy, trzy stoły i siedm stołków, także skrzynię na pieniądze czyli kasę, puszkę na losy, wagi i miary ostępowane.

IV. Czynności i obowiązki zarządów i ich członków w szczególności.

a) *We względzie religii i moralności.*

28. Obowiązkiem jest sołtysa upominać każdego, ktoby zaniedbywał nakazanych przez kościół spowiedzi i komunii, lub jakichkolwiek obrzędów i powinności; przestrzegać, aby każdy ściśle święcił niedziele i dni uroczyste, aby w kościele w czasie nabożeństwa zachowywano się moralnie z należnym poszanowaniem, aby również w czasie nabożeństwa szynki i miejsca, w których sprzedaż trunków się odbywa, były zamknięte, i nikt muzyki i tańców nie rozpoczynał; aby w osadzie nie rozsiewano zabobonnych powieści, wróżb, tłumaczenia snów, prorocत्व; nie wykonywano czarów, zażęgnywań i wszelkiego kuglarstwa, a szczególnie, aby z tego nie tworzonego sposobu zarobkowania. O każdym pod powyższymi względami uchybieniu, sołtys doniesie starszynie, a ten winnego pociągnie pod sąd gromadzki; a jeżeli czyn przechodzi

jego władzę, zawiadomi o nim sotskiego, dla zdania rapportu władzy wyższej i dalszego postąpienia.

29. Sołtysi winni są: wpajać we włościan czystą moralność, aby z sąsiadami zachowywali się zgodnie i z przyjaźnią, a dla podróźnych usłuźnie, i w razie potrzeby przynosili im wszelką pomoc; aby obejście się ich w każdym było łagodne, aby młodzi szanowali starców i starszych. aby czeladź, wyrobownicy i najemnicy byli posłuszni gospodarzom, aby wzajemnie okazywali sobie życzliwość i przyjaźń, a w nieszczęściu nieśli pomoc i wsparcie. O wykonanie czego, przez wszystkich mieszkańców, sołtysi starając się najusilniej, mają w tym względzie przemawiać do ich rozsądku: bronic zaś wszelkich zgromadzeń mających na celu rozpustę, czuwać aby zabawy i gry wspólne nie przechodziły granic przystojności; przytrzymywać kobiety i każdego wniecającego rozwiązłość, lub odurzonego trunkiem znalezionego za domem, i oddawać ich pod sąd, lub jeżeli nie należą do stanu włościan rządowych, donosić o nich sotskiemu; nie dopuszczać żebractwa i pilnować, aby niemający środków utrzymania życia, byli pomieszczeni przy familiach; aby dotknięci kalectwem nie włączyli się za żebraniną i nie razili wzroku swemi ranami i sami się nie poniżali; żebraków obcych przytrzymywać i odstawać sotskiemu, a o miejscowych donosić starszynie, który oskarżonego o żebraninę, lub zadanie sobie dobrowolnego kalectwa dla wzbudzenia głębszej litości, równie rodziców i opiekunów, którzyby małoletnich zmuszali do żebractwa oddaje pod sąd; a gdyby występki przechodziły atrybucyę sądu gromadzkiego, donosi o tém zarządowi gminy dla oddania winnego pod sąd kryminalny.

30. Dzieci dla rodziców, a wszyscy mieszkańcy dla władz ustanowionych winni są zachować uszanowanie i posłuszeństwo, a nadto dzieci powinny swych rodziców w ich starości lub chorobie otaczać troskliwością opieką i staraniem; w razie w tym względzie uchybienia, sołtys starać się będzie wykraczających naprawić radą i uwagami, a jeżeli te nie pomogą, oddać pod sąd gromadzki; dzieci zaś dopuszczające się względem rodziców hardości lub obelg, odsyła do sądu sumienia.

31. Spełnienia tego wszystkiego zarządy i przewodniczący w nich mają obowiązek najmocniej przestrzegać, i starać się o zmniejszenie wszelkich szkodliwych nałogów i zbroczeń. i o ugruntowanie moralności i zamiłowania pracy. Dlatego każdego wykraczającego starszyna upomni, a jeżeli rady nie pomogą, albo jeżeli kto przez niedbałość, pijaństwo, lub nierząd, zniszczył gospodarstwo tak, iż nie jest w stanie uiszczać należnych opłat, odsyła go po ukaranie do sądu gromadzkiego.

32. Gdyby i kara sądowa nie pomogła, winny za decyzją zarządu gminy, oddaje się pod nadzór sołtysa, który nad nim rozciąga opiekę i zmusza do pracy będącej zasadą bytu włościan; niepoprawnego niczém włościanina, sąd może wskazać na odda-

nie do wojska, lub na posilenie; w takim jednak razie wyrok przedstawia się do zatwierdzenia najprzód zborowi, potem zarządowi gminy, a następnie naczelnikowi okręgu.

b) *We względzie zdrowia.*

33. Zarząd gminy z pomocą starszyny i sołtysów pilnuje, aby w całej gminie zachowywano przepisy i środki zaradcze przeciwko chorobom ludzi i zarazie bydła; aby w gromadach wykształcali się felczerzy, aby wszystkim dzieciom szczepioną była ospa ochronna przez osoby do tego upoważnione.

34. Niewolno w żadnej chorobie udawać się po radę do osób nie upoważnionych do leczenia, chociażby się mieniły być lekarzami: czego sołtys dopilnuje i wzbroni im sprzedawania, a włościanom zażywania lekarstw przygotowanych przez te osoby. O niestosujących się do tych przepisów, sołtys zawiadamia sotskiego i starszynę, a ten zarząd gminy.

35. W przypadku okazania się gorączki lub innej niebezpiecznej, albo epidemicznej choroby, gospodarz, w którego domu miałyby to miejsce, powinien natychmiast zawiadomić sołtysa, który w takim razie lub gdyby objawiła się niezwykła śmiertelność, doniesie o tém starszynie, z wyjaśnieniem, jakie są widoczne symptomata choroby; a ten złoży zarządowi gminy rapport z opisaniem tych symptomatów i wykazem liczby umarłych, i zawiadomi o wszystkim sotskiego.

Zarząd gminy, tak o grasującej chorobie, jak i o nadzwyczajnej śmiertelności, natychmiast doniesie naczelnikowi okręgu i assessorowi, (Становому Приставу) celem uzyskania jak najrychlej środków zaradczych; sam zaś dopilnuje, aby starszyna i sołtysi przedsiębrali wszystko, coby zapobiegało szerzeniu się choroby, i wykonywali rozporządzenia w tym względzie wydane, czyto przez władzę policyjną lekarską, czy téż przez naczelnika okręgu i zarząd gminy.

36. Po ustaniu choroby, sołtysi starszynom, ci zarządowi gminy, a ten naczelnikowi okręgu złożą wykazy, wiele osób zachorowało, wiele umarło i wiele powróciło do zdrowia.

37. Podobnież w razie zarazy na bydło, gospodarz, u którego się pojawi, zawiadomi o tém sołtysa, a ten starszynę z wyjaśnieniem, kiedy i od czego się poczęła, i jakie jej są oznaki i skutki. Starszyna natychmiast odniesie się do sotskiego, i z nim przedsięwzięmie wszelkie środki wskazane w wiejskiej policyjnej ustawie, które sołtysi najskrupulatniej winni są wykonać, i o wszystkim złożyć rapport zarządowi gminy, celem uzyskania dalszych rozporządzeń; a po ustaniu zarazy, przedstawi statystyczne sprawozdanie o ilości bydła uległej chorobie, padłej i uleczonj.

38. Gdyby upadek bydła postawił którego z włościan w niemożności prowadzenia gospodarstwa, zarząd gminy, za pośrednictwem naczelnika okręgu, winien jest postarać się o wyjednanie dla niego zapomogi.

c) *We względzie opieki małoletnich.*

39. Skoro małoletnie dzieci utracą rodziców, sołtys doniesie o tém starszynie, który oceni w jaki sposób rozciągnąć nad niemi opiekę; mianowicie: jeżeli mają dom, gospodarstwo, lub kapitał, przez wyznaczenie im opiekuna; a jeżeli nie mają żadnego majątku, czy wypada je oddać w opiekę pełnoletnim krewnym, albo osobom dobroczynnym, albo społeczności gromadzkiej; czy posłać je na wychowanie i naukę do którego z zakładów rządowych. Opinią swą w tym względzie starszyna przedstawia na zborze gromadzkim, a ten wybierze opiekunów i sieroty, które mają być oddane do szkół i rzemiosł. Następnie, starszyna uchwałę zboru składa zarządowi gminy, który wybór opiekuna zatwierdza, wyznacza sieroty w stosownej liczbie chłopców, mających się oddać do szkół, celem kształcenia ich na pisarzy, mierniczych, felczerów i konowałów, i postara się, aby inne oddawane były do rzemiosł.

40. Skoro opieka będzie ustanowioną, starszyna z przybraniem 3 świadkami robi spis całego majątku małoletnich, kopią wręczy opiekunowi, któremu udzieli także exemplarz instrukcyi jak opieka ma być wykonywana, a oryginał złoży zarządowi gminy, który go zachowa u siebie, równie jak wszystkie rewersa i kapitały: starając się, aby wszelkie należności małoletnich odzyskane były od dłużników, i tych w swój gminie sam egzekwuje, a o egzekucyą innych odnosi się do naczelnika okręgu, którego także zawiadamia o sprawach procesowych. jeżeliby jakie miały miejsce.

41. Sołtys ma obowiązek pilnować, aby opiekunowie z dokładnością wypełniali opiekę, bez żadnego wynagrodzenia, i o wychowaniu sierot troskliwie mieli staranie; a w razie dostrzeżonego uchybienia lub niedbalstwa, zawiadamia o tém starszynę, a ten zarząd gminy, który natychmiast przedsięwzięmie zaradcze środki.

42. Corocznie zbor gromadzki sprawdza czynności opiekunów, i robi z niemi obrachunek dochodów i wydatków. Jeżeliby ci trwonili mienie małoletnich, starszyna sporządzi opisanie i ocenienie majątku winnych, i przedstawi zarządowi gminy; który odda opiekuna i zwyczajną drogą ściąga od niego wszelkie straty małoletnich z jego winy wynikłe.

43. Gdyby opiekun żądał wydzierżawienia lub sprzedaży majątku małoletnich, starszyna robi w tym względzie przedstawienie do zarządu gminy, domieszczając swoje uwagi i wnioski; zarząd zaś gminy sprzedaż ruchomości i wydzierżawienie nieruchomości sam zarządzi, a o sprzedaż nieruchomości odniesie się do naczelnika okręgu.

44. Skoro małoletni dojdą do pełnoletności, lub gdy dziewczyna ma iść za mąż, starszyna wyjednywa decyzją zarządu gminy, wyjęcia ich z pod opieki; dopilnuje oraz, aby usamowolnieni, zostali wprowadzeni w posiadanie swego majątku, i aby opieka złożyła rachunek z jego administracyi, nad czém zarząd gminy czuwać ma obowiązek.

45. Wyszli z pod opieki, lecz nie mający jeszcze ukończonych lat 21, nie mogą zaciągać długów i przyjmować na siebie zobowiązań, oraz bez bardzo ważnych powodów i zezwolenia zarządu gminy, sprzedawać majątku: dopilnowanie czego do sołtysa należy.

d). *Co do porządku i bezpieczeństwa publicznego i osobistego.*

46. Sołtys ma bezpośredni dozór nad zachowaniem spokojności i porządku w osadzie, i tak:

Nie dozwala gier pieniężnych i loteryi, śledzi oskarżonych o oszustwo, podstęp, podżeganie do złego, fałszowanie pieniędzy brzęczących i papierowych, lichwę, nieprawe wyrabianie trunków, defraudacye, przechowywanie towarów i o ujętych donosi starszynie.

Przestrzega, aby targi i jarmarki odbywały się w należytem porządku, i tylko w dniach na nie oznaczonych; aby sprowadzane na sprzedaż artykuły żywności były dobre i zdrowe, i aby miary i wagi były sprawiedliwe. Przekraczających włości sam oddaje pod sąd gromadzki, lub o nich donosi starszynie, o obcych zaś zawiadamia sotskiego.

Wzbrania chować zwierząt dzikich, bez uzyskania na to pozwolenia zwierzchniej policyi, i wypuszczać na ulicę zwierząt swojskich złośliwych, kaleczących ludzi i bydło, a przeciwnie postępujących oddaje pod sąd.

Pilnuje, aby nikt z osób prywatnych nie ogłaszał praw, ukazów i rozporządzeń; i aby nikt nie zdejmował i nie niszczył ogłoszeń sądu: winnych zaś za wiedzą starszyny odstawia sotskiemu, dla oddania ich policyi ziemskiej.

Czuwa, aby każdy z dokładnością spełniał ściśle rozkazy i rozporządzenia rządu; aby nikt nie naruszał porządku i spokoju czynem lub przez rozgłaszanie fałszywych wieści: aby nie zgromadzano się w celu zakłóceń lub zamiarów przeciwnych prawu, i o wykraczających donosi starszynie.

Dogląda, aby w osadzie nie ukrywali się i nie byli przechowywani złodzieje, przestępcy i podejrzani; a dla ich ujęcia ma prawo użyć dziesiętników i włości.

W razie przewidzianego niebezpieczeństwa od napadu bandy rozbójniczej, może żądać od starszyny ustanowienia stróży, których oddaje mu się pod ścisły dozór

Gdyby w osadzie znaleziono trupa, winien o tém zaraz zawiadomić starszynę i sotskiego.

Otrzymawszy wiadomość o znalezionej zgubie, ogłosi ją w okolicy za pośrednictwem dziesiętników, i doniesie o niej sotskiemu; a za udowodnieniem przed sądem gromadzkim do kogo należy, zwróci ją właścicielowi.

47. Starszyna winien jest:

Urządzających gry pieniężne i loterye oddać pod sąd gromadzki, oskarżonych o lichwę, oszustwo, podstęp, podżeganie do złego i t. d. za pomniejsze wykroczenia odesłać do sądu gromadzkiego, a za większe po ukaranie przez ziemską policją odnieść się do assessora.

Sprowadzone na sprzedaż owoce niedojrzałe, mięso cuchnące, ryby i inne przedmioty żywności, chleb niedopieczony, zniszczyć, a winnych oddać pod sąd gromadzki; o tych zaś, którzyby do przedmiotów żywności dla zachowania od zepsucia, domieszałi zapraw zdrowiu szkodliwych, donieść naczelnikowi okręgu.

Otrzymane od zarządu gminnego, nadsyłane z izby dóbr, ukazy, manifesta i rozporządzenia, ogłaszać przed kościołem po nabożeństwie lub na zborach, i oddać je pisarzowi dla zachowania w aktach.

Zawiadomiony przez sołtysa o odkryciu ludzi rozgłaszających fałszywe wieści lub schadzkach dla działań przeciw porządkowi, starszyna użyje środków do rozpędzenia tłuszczy; a przytrzymanych rozgłosicieli lub przywódców, poleci sołtysowi odstawić do sotskiego; równie jak wszystkich postępujących wbrew złożonej homagialnej przysiędze, i jawnie czynem lub słowem uchylających się od wykonywania przepisów.

Na doniesienie sołtysa o potrzebie stróży, starszyna za zniesieniem się z sotskim, może ich ustanowić i oddać pod dozór sołtysa, lecz bez uciążenia włościan.

W razie znalezienia trupa, starszyna natychmiast zawiadomi o tém zarząd gminy, wspólnie z sołtysem ciało uprzątnie, i zajmie się śledztwem, z którego jeżeli wykryje winnego, zaraz go przytrzyma.

O każdój zaś zbrodni spełnionej w obrębie gromady, doniesie urzędowi gminnemu, a o przyaresztowanych uwiadomi i urząd gminy i sotskiego.

48. Zarząd gminy obowiązany jest troskliwie czuwać nad wykonaniem wszelkich przepisów tyczących się porządku i bezpieczeństwa publicznego i osobistego: nie dopuszczać rozsiewania fałszywych wieści, równie jak spełnienia zamiarów i dążeń, mających na celu zakłócenie spokoju i porządku: powstrzymać wszelkie usiłowania odbiegające od posłuszeństwa prawa; w każdym zaś podobnym temu wypadku, przedsiębrać stosowne środki i donosić o tém naczelnikowi okręgu, a o wszystkich arestowanych osobach przez sołtysów, za przekroczenia policyjne

nienależące do atrybucyi sądu gromadzkiego, i o przestępstwach kryminalnych, oraz wszelkich wypadkach zaszłych w gminie, zawiadamiać i naczelnika okręgu i assessora.

49. Zarząd gminy czuwa także, iżby starszyny w gromadach, a sołtysi we wsiach, pilnowali i przestrzegali troskliwie: iżby budowle włościan i wszystkie inne były zawsze w dobrym stanie, aby przed domami nie znajdowały się śmieci lub jakiegokolwiek nieczystości, aby studnie były przebierane i ocembrowane, a przełęble ogradzane; w źródłach i rzekach zasilających osadę wodą, niezatapiano żadnych przedmiotów mogących ją zepsuć; zaś przędziwo, aby moczono w oddzielnych na ten cel wykopanych dołach; aby place na targ żywności przeznaczony, utrzymywane były w należytej czystości i porządku. Uchybiających przeciwko temu, sołtys przedstawia starszynie, a ten oddaje pod sąd gromadzki.

50. Utrzymanie w dobrym stanie potrzebnych dróg, mostów i przewozów także jest obowiązkiem sołtysa, do budowy i naprawy których, starszyna może upoważnić go do użycia kolejno włościan: tworzenia zaś dróg i kummunikacyi zbytecznych sołtys sam zabroni.

e) Zarząd gospodarczy.

51. Zarząd gminy powinien mieć dokładne wiadomości o ziemskim uposażeniu każdej wsi i każdego osadnika, i pilnować, aby wszyscy podzieleni byli gruntami, i zarówno z nich użytkowali. Sołtysi czuwają, aby włościanie samowolnie gruntami im nadanemi, nie dzielili się, nie mieniali ich i nie wydzierżawiali. Na wydzierżawienie gruntów wtenczas tylko dozwoli, jeżeli ze względu zbytniej ich odległości lub z innego powodu, zarząd gminy na takowe się zgodzi.

52. Zarząd gminy przestrzega, aby gromady z osobami trzecimi, a nawet między sobą nie robiły żadnych zamian o posiadane grunta bez uzyskania na to zezwolenia izby dóbr, i nie wchodziły z obcemi w uciążliwe dla siebie układy; i dlatego wszystkie w tym względzie zawierane umowy rozpoznaje, i z opinią swoją przedstawia naczelnikowi okręgu.

53. W tym także celu zarząd gminy i starszyny mają obowiązek pilnować, aby każdy sołtys corocznie na wiosnę z przybranemi młodemi pojętnymi świadkami objechał i przejrzał wszystkie granice wsi, osad, pustkowi i gruntów czynszowych, i o znalezieniu ich donosił starszynie, który w tym względzie zda raport zarządowi gminy, a ten naczelnikowi okręgu.

Jeżeli przy takiej rewizyi okaże się, że gdziekolwiek granice są naruszone, w takim razie poczynione zabory przez włościan tejsze samej wsi, sołtys, przez włościan tejsze samej gromady, starszyna, przez włościan tejsze samej gminy, zarząd gminy, do dawnego stanu przywrócić i winnych pod sąd oddadzą; o zaborach

zaś przez postronnych, zarząd gminy doniesie assesorowi i naczelnikowi okręgu.

54. Przy nowym spisie ludności, albo w razie znakomitej zmiany w liczbie dusz, zbor gromadzki cząstkowy lub ogólny w miarę jak rzecz dotyczy pojedynczych wsi lub całej gromady, może żądać nowego podziału gruntów, ale zawsze z pozostawieniem pewnej przestrzeni wspólnej. Postanowienie takie zboru starszyna przedstawia zarządowi gminy, dla wyjednania decyzji czyto względem porównania gromad w posiadanych gruntach, czy o stałe nadanie przestrzeni wolnych do rozrządzenia; a gdy to wejdzie w wykonanie, wszelkie zmiany zamieści w inwentarycznym opisanu.

55. Zarządy pilną, a sołtysi czuwają i doglądają, aby każdy osadnik dobrze się rządził; aby swych gruntów nie zapuszczał w odłogi, ale takowe należycie sterkoryzował, uprawiał i całkowicie obsiewał, stosownie do gleby i klimatu; aby zboża pleł i z chwastów oczyszczał; aby w właściwej porze je zbierał; aby nie sprzedawał ziarna i paszy potrzebnych na wyżywienie; i nareszcie, aby każdy miał dostateczny inwentarz.

56. Zarządy i zbory czuwają nad dobrą urzędzeniem gospodarstwa, aby osadnicy osuszali błota, podnosili chów inwentarza, zakładali ogrody warzywne i owocowe, zaprowadzali ulepszenia w rolnictwie; a zarazem mają się starać o rozszerzenie i podniesienie rzemiosł i różnych gałęzi przemysłu i handlu. Dla powiększenia targów i jarmarków, lub utworzenia nowych, zarząd gminy czyni przedstawienia do naczelnika okręgu, a zbor gromadzki wyjednywa u władz wyższych opiekę i wsparcie, jeżeli dla dobra gromady okaże się ich potrzeba.

57. Jeżeliby kto z osadników własnym kosztem chciał osuszyć błota, lub nieużytki zamienić na przestrzeń użyteczną z możliwością z nich korzystania, winien jest na to uzyskać pozwolenie zboru, które starszyna przedstawia do zatwierdzenia zarządowi gminy.

58. Zbor gromadzki naradza się nad dochodami, stara się o powiększenie ich źródeł i odniesienie z takowych największych korzyści; w razie wykrycia nowego dochodu, lub potrzeby zniesienia istniejącego, albo zajęcia jakiego przedmiotu pod zarząd gospodarczy, wyda swoje postanowienie jak w tym względzie postąpić należy, i to starszyna ze swą opinią przedstawia zarządowi gminy, a ten naczelnikowi okręgu.

59. Wszystkie źródła dochodów i grunta wspólne pomiędzy osadników nie podzielone, zostają pod zarządem sołtysa, który ma obowiązek pilnować, aby nikt nieprawnie z nich nie użytkował; aby mieszkańcy czasowo przebywający, a użytkujący z gruntów gromadzkich, uiszczali należne opłaty i podatki; i aby ci, którzy na placach budują domy lub inne budowle, zawierali o nie z gromadami stosowne układy i te spełniali.

60. Jeżeli jaki przedmiot ma być wdzierżawiony, zarząd gminy ogłasza na 4 tygodnie wprzód termin licytacji, która winna się odbyć w obecności starszyny i dwóch gospodarzy, upoważnionych od gromady. Po zatwierdzeniu licytacji przez naczelnika okręgu, zarząd gminy zawiera z dzierżawcą kontrakt i pilnuje, aby należna opłata była wnoszoną. Soltys zaś otrzymawszy w tym względzie polecenie od starszyny, przedmiot dzierżawny oddaje dzierżawcy, czuwa aby warunki kontraktu były ściśle spełniane, i po ukończeniu kontraktu przedmiot ten napowrót odbiera.

61. Wszystkie dochody winny być obracane na kapitał, którym zarządza starszyna z dwoma gospodarzami, i pod nadzorem zarządu gminnego pilnuje, aby żaden dochód nie był ukryty, lecz wszystkie regularnie wpływały, i zaraz zamienione na kapitał nie zostawały bez procentu.

62. Gdy kapitał zostanie zebrany, zbor może upraszać o przeniesienie go do kassy zapomagalnej, celem udzielania pożyczek w widokach wiejskiego przemysłu, albo jeżeliby wynosił więcej jak rs. 1 na duszę, o użycie przewyżki na zaspokojenie ogólnych wydatków.

63. O zarządzie kapitałami i kassach na nie przeznaczonych, zarządy gmin mają oddzielne przepisy.

(Dokończenie nastąpi).

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Kraków, dnia 29 lipca 1856 r.

Znać, a raczej poznać ludzi, za wielką powszechnie uważają trudność. Że tu mowa o ludziach żyjących, których wszędzie pełno się roi, z których każdy, choćby się chciał larwą ukryć, zdradzić się może i musi niekiedy, z których wielu chce się dać nawet poznać: więc to rzecz nie tak znów trudna. Inaczej z umarłymi: tych szukać przychodzi niejednemu z potrzeby lub fantazy, a znaleźć ich nie można. Większa ich część nie ma pomnika na ziemi, albo pozostałe po nich pomniki zgruchotane, rozproszone, przekształcone zostały. Myśl owych ludzi tak się wznosiła niegdyś bujnie, iż pewnie im samym zdawało się nieraz, że nieśmiertelną zostanie! Zaiste tak być musi; ale gdzie nam ślepym dojrzeć w zmieszaném działaniu myśli przez pokolenia i wieki wstających, której wpływ dłużej lub krócej się zachował, wyróżnić go wtém właśnie co widzimy! A żaden z ludzi owych zmarłych nie zagra ci w oczy ruchomością życia twarzy, żaden myśli swęj oświadczyć nie przedstawi, jakby się bał, by to jedyne jego dziedzictwo

się nie zmarnowało, łakomém spalone wejrzeniem, chciwą przywłaszczoną dłonią. Żywi téż zajęci sobą i własną myślą, rzadko się o zmarłych troszczą, nie pomnąc, że i sami kiedyś zapomnieniu oddani będą: depcą obojętnie prochy ojców, z których ich własne wyszło życie, rozpraszaają skarby pozostałej po nich myśli, gdy je mogą w pieniądź obrócić, albo je oddają na pastwę robactwu, gdy śpiewić ich nie można. Jakże znaleźć, jak poznać umarłych? jak odgadnąć, odszukać myśl, która ich niegdyś ożywiła? A jam przecie po to do Krakowa zdążał! Jam po to tyle się już razy tłukł po różnych kątach, w których coś znaleźć się powinno było, a nie lub bardzo mało się znalazło. I w tym oto Krakowie, najbogatszym składzie naszych pamiątek narodowych pisząc do was o skutku mych poszukiwań, przychodzi mi wyrzec myśl wyżej tu wyrażoną, o małej dla zmarłych pamięci: myśl, która mnie dawno uderzyła, ale którą teraz dopiero wyznać się ośmielam, przekonany, że prawdę w sobie zawiera: myśl rozpaczliwą, bo mi drugą nasuwa, że nigdy podobno nie znajdę czego szukam. Tém mi to boleśnieszsze, że na wiele wysiłem mnie nie stać, że nikt istotnie się nie zajmował i nie prędko podobno zajmie poszukiwaniami w moim rodzaju, w dziale muzyki starożytnej polskiej, bo prawie nikt jeszcze u nas nie czuje, nie widzi ogromnego wpływu, jaki muzyka na naród wywarła, i gardzi tém, co mieli przodkowie, choćby dla tego, że nie wie co mieć mogli a poniekąd i musieli. Pragniemy znać wewnętrzne dzieje naszego narodu w czasach ubiegłych, rzucamy się na odszukanie pomników sztuki plastycznej i literatury; o muzyce, siostrze poprzednich nikt prawie nie myśli na seryo, jakby nie wiedział, że przodkowie nasi wiele się nią zajmowali. A ja rozumiem, że dopóki jeden choćby szczegół z duchowego przodków naszych życia zostanie dla nas tajemnicą, dopóki poznany, nie będzie ustawiony na właściwém miejscu w wielkim dziejów wewnętrznych obrazie, nie będziem mieć historii wewnętrznej narodu, nie będziemy wiedzieli ileśmy byli samostnością i życiem. Sama literatura, i to nietylko w pieśni ludowej złożona, małoż z muzyką splątana być musiała? Wszak poezya z nią chodziła w parze, lubo nie tak nierozłącznie jak niegdyś u Greków; wszak muzyki uczyli w akademii krakowskiej; wszak sprowadzano muzyków kosztownych z zagranicy, by rodaków uczyli, którzyby potem słowo poety dźwięcznym muzyki odzieli komentarzem. Wszakwielu z naszych znakomitości naukowych ceniąc ją wysoko i widząc konieczną jęj dla cywilizowanego człowieka potrzebę, pisało o nięj dzieła teoretyczne, a często i żywego dźwięku nitkę z siebie wysnuli; wszak chwała Boża i domowa zabawa, wszak hymn zwycięzki i boleść w strapieniach kraju, wszak uczucie pojedyncze i obraz dramatyczny jęj potrzebowały! Niestety! czujemy, że tak być musiało, wiemy że tak było, nie wiemy tylko jednéj małej rzezy: co to było i jak. Jakże nam osądzić pojęcia, myśli, charakter, zwrot uczuć naszych przodków? Więc mamy widzieć w nich automaty bezmyślne, albo co najwię-

cój istoty sprężyną polityki lub umysłowości poruszane? Wolnoż nam, chcąc ich poznać, rzec się znajomości tego, co ich tyle zajmowało?...

Możem był niesprawiedliwy poniekąd mówiąc na początku o niedbałości w przechowywaniu pamiątek ojczystych; lubo co w tym względzie zaszczytnego powiedzieć można, do ostatnich pokoleń się ściąga, i tylko do sztuk plastycznych i literatury się odnosi. Ale co do muzyki, to pewna, że do dnia dzisiejszego nikt o niej nie myślał jak się należy. Wszystko co ważniejsze zginęło, bodaj czy nie na zawsze, co gdzie zostało, w najstraszliwszym jest nieładzie i rzadko w całości; więc tak dobrze jakby nie istniało już wcale. Przyczyna tego zbyt widoczna, by jęj szukać długo. Budynek, posąg, obraz wreszcie w trwałym wyrabiane były materyały, przedstawiały na pierwszy rzut oka użytek lub piękność, które każdego do zrozumienia ich, a więc do poszanowania i zachowania wiodły. Literatura i muzyka inaczej: oddane w opiekę pergaminom i kruchym papierom, w samém tylko rozpowszechnieniu mogły znaleźć ochronę, a większą jeszcze w znajomości rzeczy u ludzi, którym nie dosyć było widzieć, ale i umieć patrzeć by się dowiedzieć co się w szpargałach zawiera. Z muzykaliami najgorzej. Powszechnie literackie lub naukowe przygotowanie nie uczyło jeszcze czytać jęj hieroglifów: czytający musiał mieć wysoki stopień wprawy specjalnej, by okiem zrozumiał piękność i głębokość całości; chcący słyszeć, nie w każdą chwilę mógł się wziąć do wykonania, tém mniej, że ono prawie zawsze przygotowań i pomocy innych wymagało. Nie dosyćże powodów, żeby niedbalstwu otworzyć wrota, przez które się za niem tuż tłoczy niszczenie?

Ale dosyć! Koniec końcem, nic nie ma, albo tak mało, tak mało jest nadziei odszukania tego co było, jeśli wiele osób pomagać mi nie zechce. (ach! o tój pomocy wieleby było do powiedzenia), że nie wiem, czy kiedy do czegoś ważniejszego w tym względzie dojdziemy. czy zrównamy postronnym, którzy przynajmniej ośmiu a nawet więcej wieków żywot muzykalny u siebie wydobyć zdołali na dzisiejsze słońce. Jam dotąd nic znaleźć nie mógł starszego nad półczwarta wieku, a i to w małej bardzo ilości, a nadto drobiazgów i niekoniecznie z rzeczy mających początek w Krakowie, najważniejszej z kolebek naszego życia historycznego. Com tu spotkał, a gdzieindziej mi się widzieć nie zdarzyło, choć o wszystkim prawie słyszałem, opowiem wam pokrótce; niewiele to zajmie miejsca, toć wdawać się we wnioski nie teraz pora.

Z dzieł teoretycznych znalazłem. 1) De accentuum ecclesiarum exquisita ratione i t. d. 8vo, w Krakowie u Macieja Szarfenbergera, bez roku; kart nieliczbowanych 54 i jedna erraty. Z przedmowy, a raczej dedykacji Gamratowi biskupowi krakowskiemu widać, że książka ta pisana była za Zygmunta Igo, a podpis: M. G. L. znaczy, Magister Gregorius Lignicensis lub Libanus. Dowód tego znajduje się w środku książki w nadpisie nowego

działu: Ejusdem Ma(gistri) Georgii Lignicensis ad lectorem de nonnullis abusibus circa cantum et officium divinum. 2) Epithoma utriusque musices practicae i t. d. Stephani Monetarii Cremniciani. Kraków w Unglera in 4to. Autor był Węgier rodem, ofiarował też swą pracę Thursonowi wojewodzie (gubernatori praecipuo). Rozumiem jednak, że książki tej i w Krakowie używano, czego ślad są w inném dziele teoretyczném dla Polaków, którego autor wyszedł mi z pamięci, a w Krakowie go nie spotkałem. 3) Rudimeny ta musicae choralis i t. d., ułożone na pożytek dyecezyi krakowskiej przez professorów Seminaryum akademicko-dyecezalnego r. 1761. Krak. w drukarni biskupiej. Dowiaduję się z tego dziełka, że Jan Broscius professor Akademii krakowskiej napisał Erothemata Musices, które musiały wyjść 1649, ale których mi się widzieć nie zdarzyło, ani cokolwiek o nich czytać. Janocki go też między dziełami Brosciusza nie wymienia. 4) Musica choralis in Alma universitatis Cracovien: Anno Dni 1748, w Krakowie, czcionkami Collegii Majoris Univer. Crac. kart nielicz. 16 in 4to. Broszurka ta jest już przedrukiem, jak uczy wyraz: *reexporrecta*. Jest tu jakaś w datach pomyłka, bo Imprimatur jest z r. 1749, a więc o rok po wydrukowaniu. Na tej broszurze najwyraźniej osnute są Rudimenta musicae choralis wyżej przytoczone. 5) Quaestiones musicae i t. d. per Johannem Spangenbergium Herdesianum collectae. Cracov: bez drukarni i roku in 8vo minori Kartek nieliczb: 26. 6) Tegoż drugie wydanie u. wdowy Floryana Unglera Crac. 1546. 7) Modus regulariter accentuandi i t. d. w Krakowie nakładem Hallera r. 1518, in 8vo, kart nieliczbowanych 8. 8) Martini Gallinii Prosoviensis.... epistola... Crac. u Vietora 1535. Kart nieliczbowanych 28, in 8vo. Jestto druga spotkana przezemnie broszurka mówiąca przeciw muzyce, za co autora karci Broscius własnoręcznym na tytule przypisem, kończącym się temi wyrazy: *Mentis autem musica, digna est ingenii philosophico*. 9) Opusculum musicae compilatum noviter per Dominum Sebastianum Presbyterum de Felstyn pro institutione adolescentium in cantu simplici seu Gregoriano; bez m. i r. 4to, kart nie liczbowanych 19. Na tytule drzeworyt przedstawiający 6ciu śpiewaków; taki sam rysunek ozdabia wspomniane wyżej dzieło Stefana Monetarii. Opusculum więc Felsztyna pochodzić może z drukarni Unglera i być inném wydaniem dziełka tegoż autora, które przytacza Janocki: Opusculum utriusque musicae tam choralis quam etiam figuralis, w roku 1519. Oto już wszystko, co do teoryi, prócz kilku drobniejszych rzeczy, np. szkoły na fortepian wydania Wacława hr. Sierakowskiego przez niewiadomego autora, i prócz dwóch jeszcze broszurek żadnej wagi w bibliografii, bo są odbitkami. Już wszystko, powtarzam, bo wiem, że istnieje daleko więcej (z których mam już niektóre), i niemało takich, których podobno nikt nie widział w nowszych czasach, choć wszyscy o nich piszą; np. dziełka Sebastjana z Fulsztyna z broszurką Marcina Kromera pod tytułem: *Musica figurativa*,

Przejdźmy teraz do kompozycyji samych, których daleko więcej niż teoryj bywało, a których stosunkowo przechowało się mniej daleko; nowy dowód, że dbać o książkę naturalniej ludziom się zdaje, niż o nuty, mianowicie téż pisane. A jednak ponieważ u nas bardzo mało stosunkowo drukiem ogłaszano muzyki, i to tylko rzeczy drobniejsze, więc téż podobno nie się nie znajdzie starszego wydaniem, a zarazem monumentalnego jak Psalmy Dawidowe Mikołaja Gomółki, w 1580 r. drukowane w Krakowie. Posiadają tu ich egzemplarz dobrze dochowany, ale w bibliotece warszawskiej rządowej piękniejszy. Z pieśni mniejszych niewiele znalazłem, bo tylko w wymienionej wyżej teoryi Grzegorza z Lignicy pieśń na 4 głosy o św. Stanisławie: *Ortus de Polonia Stanislaus* i t. d., podobną do tych, jakie K. W. Wojcicki dołączył litograficznym sposobem przerysowane do Pomników literatury polskiej, wydanych u Orgelbranda w Warszawie, i drugą pieśń o św. Stanisławie także „nowo wydaną z nutami Diomedesa Katona. Krak. u Bazylego Skalskiego r. 1607. Tekst polski, zwrotek 24 czterowerszowych będzie pewnie układu St. Grochowskiego. W przywiedzonej wyżej teoryi Grzegorza z Lignicy na końcu i tuż przed ową pieśnią 4ro głosową o św. Stanisławie, jest inna do tegoż św. modlitwa, ale bez nut właściwych i tylko ze wzmianką, że ją śpiewać należy na nutę, *Gaude mater Polonia*. Hymn ten i nuta do niego są mi znane, ale ta ostatnia wyraźnie nowszej jest daty. Zwyczajem bowiem bywało różne muzyki do tychże samych tekstów tworzyć. Nieznana hymnologom naszym pieśń owa zaczyna się od wyrazów: *Exurgat omnis populus Christi invocare martyrem...* Z muzyki pisanéj, najwięcej niekompletów albo bez śladu autora, którego po stylu poznać prawie niepodobna, bo nasi kompozytorowie dawni zbyt mało są nam znani jeszcze. Znalazłem jednak nieco muzyki rękopiśmiennéj, a w niéj kompozycyie Sebastjana z Fulsztyna, co za znakomity nabytek uważam; jedną mszę ks. Andrzeja Pankiewicza i kilka Graduałów, kilka mszy ks. Bartłomieja Pekela zrazu Karmelity, a potem świeckiego i prebendarza kaplicy Roranckiej, i kilku innych nowszych czasów, których prace tu i owdzie spotykałem, a przynajmniej ich ślady. Najwięcej znalazło się ks. Górczyckiego, którego mszę roratną wydał niegdyś Cichocki w Warszawie. Takich mszy, hymnów i t. p., tego autora jest tu więcej, i to jeszcze na 4ry głosy z towarzyszeniem organów i dwojga skrzypiec. Także wiele muzyki jego własną rękę przepisywanéj z autorów zagranicznych i to najlepszych, a których oryginały tu i owdzie spotkać można. W gruncie i to jest ważne, ale nietylko co prace rodaków. Z tych ostatnich poznałem prace Dankowskiego z końca XVIIIgo wieku, mszę jedną ks. Zieleniewicza z r. 1724, a z muzyki świeckiej prócz kantat słynnych takiego Jomelli, Feo, Durante, także kantatę czyli Oratorium przez Zygmunta r. 1758 do tekstu polskiego na cześć św. Wacława ułożoną na śpiew i orkiestrę. Z najno-

wszycy rzeczy nie mam co wymieniać, bo do kategorii opowiada-nych tu nie należą.

Co do wiadomości biograficznej o ludziach głośnych u nas w muzyce, prócz wiadomych wam: biografii Starowolskiego przez Sobieszczańskiego i wzmianki krótkiej Ambrożyego Grabowskiego o Wacławie Sierakowskim drukowanej w Roczniku naukowym Towarzystwa krakowskiego, nic prawie się nie dowiedziałem. Ciekawy znalazłem jednak dowód charakterystyki wspomnianego Sierakowskiego. Jestto własnoręczne jego na stęplu 6cio złotowym oświadczenie przed Bogiem, w którym opowiada, jak cudowną wolą wiedziony zajechał do Rzymu. „A chociaż zamyśły moje były wyższemi tam naukami rozum polerować, twój jednak Panie inny był zamiar, gdyż twoja głęboka rada w tym była, abym się Ciebie chwaleń i wysławiania w śśw. sługach twoich sposobu nauczył. O czem najmniej wówczas myślącemu, natrąciłeś wiadomość o śpiewaniach z muzyką w pobożnych materyach u XX. Filipinów (co oni wedle woli swego przodka Filipa Neryusza zowią oratoria). Dokąd wszedłszy przez ciekawość i pilnie się przysłuchawszy, zaraz tak piękny pobożności wynalazek u siebie pochwaliłem. Ty zaś Panie tak wielkim mnie naówczas napełniłeś smakiem, że słuchaniem tych niezwyuczajnych o rzeczach świętych wyrazów, nasycić się nie mogąc, przez lat kilka bawienia się mego w Rzymie na to miejsce ugęszczałem, często w serdeczne łzy, z niewypowiedzianą moją pociechą i słodkiem na duszy nabożeństwem rozplywając się i z takim naostatek skutkiem, iż odtąd serce moje całe się odraziło od wiela złego, a do bogobojności mocno się zachęciło. Wtenczas także najłaskawszy Panie podałeś mi do serca, żebym tak zbawienny zabawienia godnych słuchaczy sposób do mojej wprowadził ojczyzny, i natychmiast chwyciłem się tój świętój Twojej pobudki pracy i kosztu do jój wykonania z pomocą Twoją niezalując. Co żeby z powszechnym rodaków moich było pożytkiem, chcąc tych samych, których ja w Rzymie na sobie doznałem skutków uczestnikami uczynić, w ojczystym języku te dzieła wystawiłem“ i t. d. Na końcu: „tak z całego serca pragnie najniegodniejsze stworzenie Twoje ksiądz Wacław hr. Sierakowski koadjutor proboszcz kanonik katedralny Krakowski, proboszcz kollegiaty Sandomirski *mpp.*“

Ze wszelkich spraw tego człowieka, ze wszystkich pism jego, ile ich znam, a głównie z jego dzieła o muzyce, wieje ten sam duch pobożności z nieudaną, bo czynami w swym czasie okazywaną miłością dla ludzi.

O innych mężach polską muzykę obchodzących nic prawie się nie dowiedziałem, bo nikt nic nie wie, a tu dowiedzieć się nie sposób, nateraz przynajmniej. Raz, że to wszystko porozpraszane długiego śledzenia potrzebuje; drugi raz, że w porze letniej wszyscy tutejsi jakby gospodarze naukowemu się porozjeżdżali, a przy drzwiach archiwów stoją stróża nieużyty, którzy ci na każde

pytanie odpowiadają: nie wiem (co naturalne), nie ma (co błąd), nie można (co złą wolę znaczy), niepodobna (co uporą dowodzi). Ha! Bóg z wami! i was niestanie, i co strzeżecie, przypadnie!.. Pójdę na Kazimierz do żydów, może więcej wskóram.

Ho! ho! tu w Krakowie wielu jest antykwaryuszów, ale są między nimi i żydzi, choć nie żydowskiego wyznania i nie żydowskich sukien. Co dziwniejsze nawet, sprzedają. a raczej posprzedawano i nuty stare, które świętokradzka ręka, albo głupota z właściwego miejsca ruszyły. No proszę! i nuty już ludzie kupują! Co pergaminowe pójdzie na oprawę ksiązek, co papierowe na funciki.

Z pomników grobowych bezpośredniego dla historii muzyki interesu, prócz ks. Zająca kapelana Anny Jagiellonki i proboszcza katedralnego, a więc dyrektora kaplicy Roranc. jest tylko w katedrze kamień dla Grzegorza Gorczyckiego, o którym pewnie wszyscy wiedzą. Widziałem nadto wizerunek Wacława Szamotulskiego, prześliznięty sztychowany przez Ant. Oleszczyńskiego, ofiarowany Mireckiemu i Lipińskiemu Karolowi. Szkoda, że nie pisze żąd go przerysował.

J. Sikorski.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1856.

43. Anioł i czart (.) Powiastka przez Jana Chęcińskiego. 16ka. Warszawa. 1856. Nakładem A. Nowoleckiego (druk J. Jaworskiego). Napisów i przypis. kart 3 i str. 128. Kop. 75.

44. Kalotechnika czyli sztuka zachowania piękności, zawierająca: Hygienę zębów Dra Desirabode. Hygienę rąk i nóg pani Lachapelle, Dra medycyny. Hygienę piersi i kibici Adama Raciborskiego Dra medycyny, Hygienę włosów Dra Juliusza Massé. Zebrana i ułożona przez autora Wspomnień z Podróży po Danii, Norwegii, Anglii. etc. 16ka. Warszawa. 1856. Nakładem H. Natansona (druk J. Jaworskiego). Kart napis. 2, rejestru str. VI i 194. Kop. 90.

45. Król dziadów. Powieść w dwóch tomach Józefa Dzierzowskiego. 8ka. 2 tomy. Lwów. 1856. Nakład H. W. Kallenbacha (druk Winiarza). Tom I, napis. i przypis. kart 3 i str. 186. T. II, kart 2 i str. 220. Rsr. 2 k. 25.

46. Kwiaty i kolce (*in górze tyt.*) przez Felicianą. Z godłem:

Anch'io sono pittore.

16ka. Warszawa. 1856. Druk J. Ungra. Str. 231 i rejestru kart 2. Rsr. 1.

47. Obraz literatury średniowiekowych ludów a mianowicie Słowian i Niemców (.) Przekład z dzieła F. G. Eichhoffa Seweryny z Żochowskich Pruszkowej. Z dodatkami i poprawą co do literatury Słowian W. A. Maciejowskiego. 2 tomy razem oprawne. 8ka. Warszawa. 1856. Nakładem G. Sennewalda (druk J. Ungra) Tom I napisów, przedmowy i rejestru kart 4 i str. 183. T. II, str. 271. Rsr. 3.

48). O środkach stłumiających czucie (anestetycznych) i o ich wpływie na chirurgią przez H. K. Korzeniowskiego..... 8ka. Warszawa. 1856. W drukarni S. Orgelbranda. Str. 35.

49. Polowanie z wyżłem czyli zbiór uwag, prawideł i przepisów tego polowania dotyczących. 12ka. Warszawa. 1856. W drukarni przy ulicy Rymarskiej. Napisów i wstępu str. XII i 140. Rejestru karta 1. Kop. 75.

50. Powieści z Starego i Nowego Testamentu według Wulgaty, tłumaczenia Wuyka, z pytaniami, do każdej powieści stosownemi naukami i zdaniem biblijnemi. Z godłem:

*Pismo święte jest początkową szkołą dla dzieci.
S. Augustin Hipp. Serm. 38 ad frat. in Eremo.*

12ka. 2 tomy. Warszawa. 1856. Nakładem I. Klukowskiego i W. Rafalskiego (druk Gazety Codziennéj). Część pierwsza. Powieści z Starego Testamentu, napisów kart 3, przedmowy str. XIII i str. 196. Rejestru karta 1. Część druga. Powieści z Nowego Testamentu, napisów kart 2, str. 177 i rejestru karta I. Rsr. 1 k. 20.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Ornitolog nasz Kazimierz hr. Wodzicki przygotował do druku znakomitą i ważną dla literatury naszej pracę: *Historią sokolnictwa, mianowicie w Polsce, objaśnioną wykładem teoryi tej sztuki*. Dzieło to, któremu żadne cudzoziemskie w tym przedmiocie nie wyrówna, ozdobione będzie wizerunkami wszystkich ptaków w sokolnictwie używanych, rytymi na stali przez wstawionego podobnemi robotami artysty w Düsseldorfie, i podług natury koloryzowanemi ze wszelką ścisłością.

— Na niwie naszej poetycznej zjawia się teraz młody a wiele obiecujący W. Korotyński. Drukowaliśmy jeden mały utwór, rzewny a pełen natchnienia poetycznego; teraz otrzymaliśmy większych rozmiarów p. n.: *Bran-ki*, obrazek osnuty na pieśni mazurskiej ludowej, który wkrótce udzielimy naszym czytelnikom. Zbliżony do ulubionego wieszczka Litwy Syrokomli, wiele przypomina go stylem i jędrnością języka. Dawniej nadesłał do jednego z pism naszych codziennych wiele utworów swoich poetycznych: o tych czytaliśmy wiadomość podaną przez *Gazetę Warszawską* (zobacz nr. 205 i następne) i obszerne wyjątki z pomienionego rękopisu.

— W chwili, gdy druk tomu 1go „*Historii prawodastw słowiańskich*” w powtórznym wydaniu już znacznie posunięty został, odbieramy wiadomość, że przekład z tego dzieła wedle pierwszej edycyi na język serbski, wykonany przez profesora Krsticia przy liceum belgradzkim, nakładem Macycy-Serbskiej w Peszcie zaczął się także drukować. Żałujemy, że szanowny tłumacz nie zniósł się pierwój z autorem, bo w drugim wydaniu nietylko to dzieło całkiem przerobione zostało, ale w rozmiarze swoim rozszerzone do VI tomów. Tom ostatni obejmuje pomniki dawnego prawodastwa takie, które ogół cały Słowiańszczyzny zajmą. Przybędzie więc Serbom nowa praca, aby to drugie wydanie, tak dla nich konieczne, tłumaczyć.

— Godne to uwagi, jak nasi pisarze ochotnie biorą się teraz do przekładów arcydzieł literatury starożytnej i zagranicznej. Po Kefalińskim, Johnie of Dycalp i Korzeniowskim, wzięto się na nowo do tłumaczenia Szekspira. Józef Paszkowski, któregośmy piękny przekład Juliusza Cezara ogłosili w naszym piśmie, oddawna pracując nad tłumaczeniem wielkiego dramatyka Albionu, już ukończył przekłady: *Hamleta*, *Makbeta*, *Romeo i Julii*, *Koryolana*, *Kumoszek z Windsoru*, *Nocy letniej* i w. i. Równocześnie występuje drugi tłumacz Komierowski, który także IX dramatów Szekspira przełożył: i z tej pracy udzielimy naszym czytelnikom próby. Dante, którego całkowity przekład Komedyi boskiej zostawił J. Korsak, ma licznych tłumaczy: Ludwika Kamińskiego próby podaliśmy dawniej; znany jest dawniejszy ustęp przekładu Mickiewicza, Feliksa Wicherskiego znamy także małe ustępy: teraz ulubiony nasz śpiewak Teofil Lenartowicz, nawspół z Władysławem Kulezyckim zaczęli Boską kome-

dyą tłumaczyć, a dla wierności ścisłej, wierszem miarowym, ale nierymowym. Z prob nam nadesłanych powzięliśmy przekonanie, że Lenartowicz niewdzięczną pracą przedsięwziął, i nieodpowiednią swemu talentowi. Serdeczny śpiewak ludowy, który tak umiał jego prostotę, jak i wdzięk Jana Kochanowskiego przelać w swoje utwory, nie powinien marnować sił swoich na tłumaczeniu wprawdzie arcydzieła literatury włoskiej, ale już dla nas bardzo mało mającego zajęcia i znaczenia, tym bardziej, że już posiadamy całkowity przekład Boskiej komedyi przez Korsaka.—Stanisław Budzyński ukończył tłumaczenie fantastycznego dramatu Kalderona de la Barka p. n. Czarownik; znany tłumacz pism Platona, nadesłał nam przekład Rozmów Platona; Bronikowski ze Szlązka donosi, że Rzeczpospolitą Platona już przetłumaczył. Julian Bartoszewicz oddawna ma przygotowany przekład Tocydydesa. Mamy wiadomość o nowym przekładzie Fausta Getego, jak i nieznanym jeszcze w polskim tłumaczeniu dramatów Szyllera. Przekład Szernierza z Rawenny, słynnego dziś w Niemczech dramatu, już skończony: wyjątki dała nam Gazeta Codzienna. Kazimierz Kaszewski zamysła tragedye Sofoklesa (z których znamy Antygonę, Edypa) w przekładzie razem wydać. Znakomite dzieło Ozanama w części już przełożono. Część jego, o pomnikach literatury włoskiej w XIII wieku, a głównie o poezyi franciszkańskiej, która poprzedziła Dantego, już mamy w wybornym tłumaczeniu.—Hr. Baworowski, tłumacz Oberona, przekłada Child-Harolda. Najpiękniejsze utwory W. Hugo znany w tłumaczeniach wybornych. Równocześnie pojawia się wiele utworów oryginalnych, a na polu historycznym coraz nowe robią się też odkrycia. W rękopismach znalazły się księgi hetmańskie Jana Tarnowskiego, i bardzo ciekawy Opis rokosz Zebrydowskiego, który zupełnie nowe światło rzuca na ten ważny ustęp dziejów naszych.

— Oskar Kolberg wydał zeszyt 2gi zbioru swego „Pieśni ludu polskiego z melodyami.” Zeszyt ten zawiera dalszy ciąg dum i pieśni z nutami; ozdobiony jest dwiema rycinami kolorowanymi, przedstawiającemi: 1. Gospodarza i młodego chłopaka mazura z pod Oltarzewa, w świątecznych żupanach i kapeluszach; 2. Dziewkę wiejską, w sukmanie, i parobka w kożuchu z pod Raszyna.

— H. Natanson już wydał pierwszy oddział powieści J. I. Kraszewskiego, zaczynając od Kordeckiego, i Pod Włoskim niebem; następnie wyjdą: Ostrożnie z ogniem i Dziwadła. Powieści te wyczerpane już z obiegu handlu księgarskiego. Zbiór ten obejmie wszystkie utwory powieściowe Kraszewskiego. Zwracamy uwagę nakładcy, że należałoby następnie ogłosić i najpierwsze powieści tego autora, nie oglądane wcale teraz na nowo, z objaśnieniem kiedy pisane były. Wychodziły one pod pseudonimem Pasternaka, i zupełnie znikły z obiegu handlowego, a nawet antykwaryuszwskiego: w zbiorze zaś tym powinny znaleźć miejsce, wraz z małemi powiastkami. Byłby to bowiem najwymowniejszy dowód, jak potężny talent Kraszewskiego rozwijał się i dojrzewał. Utwory te młodocianego pióra ulubionego autora, mile przyjęte i powitane będą w edycji, obejmującej zbiór zupełny powieści Kraszewskiego. Na czele Kordeckiego jest piękny drzeworyt rysunku Pilatego, przedstawiający chwilę, gdy Kordecki na

wałach zachęca do obrony świętego grodu. „Pod włoskiem niebem.” druga powieść ukończona już w druku, ma także drzeworyt na czele.

— Potrzeba obniżenia niesłychanie wygórowanej ceny polskich książek coraz się staje naglejszą. Księgarze tak warszawscy, jak wileńscy, petersburscy (B. M. Wolff), lwowscy i poznańscy, nie ustępują ani na krok od wysokich cen: ale przyszła i na nich kreska. W Warszawie Michał Frühling księgarz i antykwaryusz, wydał w starannej edycji Maryą Malczeskiego, exemplarz po 25 groszy! Ochothników zaraz znalazł, bo w pierwszym dniu sprzedał 400 exemplarzy. Wziął się na praktyczny sposób rozprzedawania swego nakładu po ulicach i miejscach publicznych, a tém unika dawania innym księgarzom rabatu jak zwykle 50%. Przykład ten nie pozostanie bez wpływu: zrozumieją nasi księgarze, że obniżenie dzieł rzeczywistą wartość mających jest właśnie w ich interesie, a z wielkim pożytkiem dla literatury ojczyźnej.

— Wiadomem było badaczom literatury dawniej, że istniał opis Warszawy przez Jarzemskiego muzyka króla Władysława IV. Opis ten wierszem Niemcewicz przerobił, i podał w swoim zbiorze Pamiętników. Przeróbka ta zadowolnić nie mogła, bo żądano, i słusznie, oryginalnego tekstu; ale exemplarz znany był unikatem, i osobiłej rzadkości. Teraz F. M. Sobieszcański otrzymał od Tytusa hr. Działyńskiego tego białego kruka, będącego ważnym materyałem do dziejów Warszawy, nad któremi już lat kilkanaście pracuje. Tytuł jest następnym: „Gościniec albo krótkie opisanie Warszawy z okolicznościami jej, dla kompanij dworskiej, przez Adama Jarzemskiego J. K. M. budowniczego ujazdowskiego, wydana roku P. 1643.” (w 12ce str. 162, druk gocki). W tym exemplarzu brakuje kilku kartek: ale p. Michał Miklaszewski budowniczy gubernialny płocki, miał przed kilką laty drugi zupełniejszy. Całość więc uzupełniłaby się, a pomnik ten z wielu względów dla nas zasługuje na przedruk staranny. Obecnie dowiadujemy się, że jest trzeci exemplarz: czy zupełny, nie wiemy.

— Wyszły razem Smy i 9ty poszyt dzieła „Kościoły Warszawskie rzymsko-katolickie,” opisane pod względem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. Wizerunki kościołów i celniejszych w nich nagrobki ryl na drzewie Michał Starkmann. Poszyty te zawierają opisy i wizerunki kościołów: S-go Jędrzeja PP. Kanoniczek, XX. Trynitarzy i Bazylianów.

— Pisma, wychodzącego zeszytami przy gazecie krakowskiej Czas, p. n.: „Czas, dodatek miesięczny,” wyszło zeszytów 7. Odnacza się doborę artykułów i starannem wydaniem. Do głównych tu współpracowników należy Lucyan Siemieński, który w każdym zeszytzie mieści zajmujące przeglądy piśmiennictwa polskiego, W. Pol, jak równie i Maurycy Mann. W ostatnim zeszytzie na lipiec czytamy ciekawą wiadomość o szachach Maurycego hr. Dzieduszyckiego; o wykopaliskach leżajskich, rzecz w obszernych ramach przez Karola Rogawskiego; Abracadabra charakter J. I. Kraszewskiego; wspólność zasad i solidarność interesów M. Manna. Z poezyi: „park Boży” obrazek z Bałkanów Karola Brzozowskiego. Kończy ten zeszyt „Kronika” czyli korespondencye z Krakowa, Wiednia, Berlina, Paryża i Londynu. Redaktorem odpowiedzialnym tego pisma jest Antoni Kłobukowski. — W Krakowie, wydawnictwo dzieł katolickich Walerego

Wielogłowskiego, zamierzyło ogłosić w nowem wydaniu wszystkie pisma ś. p. metropolity Hołowińskiego.

— Księgarz S. Orgelbrand przygotowuje nowe wydanie *Maryi Malczeskiego* najzupełniejsze: albowiem nietylko że na czele pomieści dokładny życiorys poety (oparty na podanych wiadomościach przez K. Wł. Wójcickiego w *Cmentarzu Powązkowskim*, w *zyciorysie Malczeskiego* i obszernych przypisach do 1 tomu tegoż dzieła), ale i wszelkie drobniejsze pozostałe pisma, jakie dotąd odkryto. Do tego oprócz znanych już dokumentów, co do sprawy głośnej w zamordowaniu *Giertrudy Komorowskiej*, głównej bohaterki poematu pod imieniem *Maryi*, w wydaniu *lwowskim* *Augusta Bielowskiego*, dołączone będą nowe, nieznanne, a z głównego archiwum królestwa wydobyte, które w zupełności całą tę sprawę rozjaśnią. Mieliliśmy wiele wydań „*Maryi*,” a przy nich *zyciorysy* poety: wszystkie były co do biografii *Malczeskiego* wielce błędne i niedokładne. *Zyciorys* umieszczony w *Opisie Cmentarza Powązkowskiego*, oparty na autentycznych źródłach, dał nam dopiero pewniejsze szczegóły życia tego poety. Wydaniem tego poematu zajął się *Henryk Lewestam*.

— *Włodzimierz Wolski* zamierza wydać we dwóch tomach zbiór swoich utworów poetycznych. Będzie tu „*Ojciec Hilary*”, utwór, który autorowi zjednał chlubny rozgłos: „*Wielki pan*”; nowy prócz tego poemat, i drobniejsze poezye, z których część większa była dotąd nieznaną.

— W *Wielkiem Księstwie Poznańskim*, w wykopalisku *Mikorzynskim*, jak nam podaje p. *Józef Przyborowski* (*Gazeta Warszawska* nr. 182), znalazł się „*Prowe Wielkopolski*.” Dziwnem zdarzeniem, co wiek przeszły zaprzeczył, dzisiejszy zdaje się stanowczo udowadniać: zaprzeczano bowiem autentyczności posążkom *słowiańskim Pryłwickim*. *Joachim Lelewel* zaprzeczył także i *znalezionemu tam Prowe*, który runami miał napis „*Prowe belbog*”. Ale *Lelewel* miał zasadę: opierał się na *Helmoldzie* żyjącym jeszcze r. 1170, który wyraźnie podaje, że *Słowianie* czcili *Prowe*’go bez zmysłowego wyobrażenia, jak się o tém przekonał burząc i niszcząc swego czasu *pogańskie Słowian bożyszczu*. Świadcstwo to, na oko było poważne; ale przy głębszém rozpatrzeniu, nie miało zasady. *Ludy* w pierwotnej prostocie swojej nie mogły nie czcić właśnie, ani uwielbiać bez zmysłowego wyobrażenia. Być może, że *Helmold* nie widział posążka „*Prowego*” przywiązani do starej ojców wiary, ukryli go przed okiem *gorliwego kapłana chrześcijańskiego*. „*Prowe Wielkopolski*” dziwnie jest podobny do owego w wątpliwości zostającego *Pryłwickiego*. Gdy na *tamtym* jest napis „*Prowe belbog*”; na *wielkopolskim* po prawej stronie w otoku czytamy runami „*Prowe*,” po lewej „*K bel*,” u spodu napis „*sbir*.” Wyraz „*bel*” zdaje się początek „*bel-bog*, „*K*.” niewiadomo. Wyraz ten „*sbir*” u *Lelewela* jest wypisany jako „*swir*”. Oczekujemy bliższych objaśnień tak co do wykopaliska, jak i owego *bożka prawa* i *sprawiedliwości*. Rysunek z całą ścisłością wykonany, byłby wiele pożądanym; oryginał mógłby właściciel na czasową wystawę starożytności u nas udzielić, i *tém ważnem odkryciem* ubogacić oddział nasz *zabytków z wykopalisk słowiańskich*.

— *Adam Słowikowski* znany *oddawna zbieracz pieśni ludu wołyńskiego* i zarazem jako ich tłumacz, ogłosił w *Kronice krajowej* *obszerną roz-*

prawę p. n.: „Pieśni ludu wołyńskiego i charakter tychże w porównaniu z pieśniami innych ludów słowiańskich.” W niej z głęboką znajomością przedmiotu, wykazawszy całą wartość pieśni ludowych, zapoznaje nas w ogólnych rysach z szacownym zbiorem własnym: „Pieśni ludu wołyńskiego”. Pragnąć należy, ażeby ta praca Słowikowskiego jak najrychlej drukiem upowszechnioną została: będzie to jeden z najpiękniejszych przyczynków do skarbu literatury ludowej. Dowiadujemy się zarazem, że obywatel podolski Alexander Weryha Darowski, zebrał także zasób pieśni ludu podolskiego. W imieniu dobra literatury ojczyźnej prosimy p. Darowskiego, ażeby z wydaniem zbioru swego nie ociągał się długo: przeczuwamy, że nowe w nich zasoby i piękności znajdą tak poeci nasi, jak i dla badaczy zamierchłej przeszłości niejedna znajdzie się pomoc. Romuald Zienkiewicz ogłoszeniem pieśni ludu pińskiego zmienił dorazu niekorzystną opinią o tym plemienu naszym, bo wykazał stronę prawdziwie poetyczną Pińczuków, sławnych z błot, a zniesławionych ową przypowieścią: „Ja nie człowiek, ale Pińczuk.”

— Obywatele Wielkiego Księstwa Poznańskiego Ignacy Szczaniecki i Kamil Zakrzewski, ogłosili prospekt na nowe czasopismo gospodarskie p. n. Ziemiańin. Wiadomo, że pod tym napisem już poprzednio wychodziło podobne pismo, i upadło: nowi redaktorowie zachowali dawny tytuł pisma, które w ostatnich latach przyłożyło się tyle do postępu gospodarstwa W. K. Poznańskiego. „Pracujmy (mówią w tym prospekcie) dla rodzinnej ziemi. Pole jest naszym warsztatem, gospodarstwo naszym rzemiosłem.” Ziemiańin poświęcają nietylko samemu rolnictwu, ale wszystkim, co ma styczność z niem, jako: technologii, hodowaniu bydła, obchodzeniu się z mleczymem, leśnictwu, ogrodnictwu, pszczolnictwu, budownictwu, ekonomii politycznej, rybołówstwu, wiadomościom handlowym. Dołączone będą przyciem spisy dzieł nowych agronomicznych i ich rozbiory. Wychodzić będzie zeszytami kwartalnymi od 6 do 8 arkuszy. Roczna przedpłata na 4 zeszyty wynosi złp. 15.

Wilno (wyjątek z listu). „Jeżeli u was pojawia się większy ruch literacki, i u nas nasi nakładcy nie próżnują. Teofil Glücksberg najwięcej teraz drukuje: pragnąć należy, ażeby wydawca ten staranniejsze robił wydania, bo nietylko że daje druk zbity, zużyty, ale niedbałość wielka w odbijaniu i gładzeniu druków; trzeba dodać do tego nadzwyczaj wygórowane ceny, chociaż autorom najluchsze płaci honorarya. Słyszałem od T. Glücksberga, jak obraca swemi nakładami. „Ja mam wybranych do 200 kupujących, ci każdą rzecz moję wezmą, nie pytając o cenę. To mi musi pokryć koszt: a o resztę mniej dbam. Kto może mi płacić 7 rubli, zapłaci i 10.” Przypomnieć wam muszę, jak publicznie Michał Grabowski skarżył się na tego wydawcę, który za jedną z najpiękniejszych powieści jego: *Stepy i Koliszczyzna*, za drugie wydanie ofiarował mu 25 rubli honorarium, i to książkami! Otóż T. Glücksberg wydaje teraz prace Marcinkowskiego, znanego pod pseudonimem Antoniego Nowosielskiego: 1. *Lud Ukraiński*, we 2 tomach. 2. *Pisma krytyczno-filozoficzne tegoż*. Biblioteka wasza umieściła niedawno wyjątek z listu z Wilna, gdzie nieprzyjazny był sąd co do pierwszego dzieła, iż pisarz ten dał się zbyt uwieść mrzonkom etymologicznym: dzielimy to zdanie zupełnie, lubo z drugiej strony nie można mu

odmówić i talentu, i często hystrego i trafnego sądu w wielu utworach literatury naszej. Na tém polu Marcinkowski może niemale oddać usługi, tém więcej, gdy krytyka w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu ma tak mało zdolnych i sumiennych pisarzy. Tyszyński, Lewestam, oto dwa w królestwie polskiém imiona, których sąd ceni publiczność czytająca, lubo pierwszemu zarzuca niejasność w stylu, drugiemu zbyt niemieckie stanowisko: w obu przecież czuć jak z jednej strony sumiennosc i miłość prawdy, tak z drugiej całą przyzwoitość i godność przynależną krytyce. Nakładem tegoż T. Glücksberga wychodzą „Kłosa z rodzinnéj niwy, zebrane przez Adama Pługa 1. tom. Są to poezye, albo raczej wiersze, boć to pisarz maluczkiego talentu, ale szlachetnych dążności i bardzo prawego charakteru. Piszze wiersze, bo teraz znowu mamy dużo wierszy, które autorowie sami i wydawcy chcą przedefraudować na poezye: ale nie uda się sztuka. Pług korespondencyami do gazet warszawskich rozgłosił się, ale czy ten rozgłos na równi zasłudze i talentowi stoi, bardzo wątpię. Chociaż mam wielki szacunek dla niego, przecież prawdę mówić sobie możemy. Teraz, bardzo łatwo zyskiwać rozgłos szeroki: wyjątek z powiastki, aby w gazecie drukowany, parę korespondencyj: — już i sława, lubo i taka jéj trwałość. W ciągu roku jednego nie jedna już z tego rodzaju zgasła. Pługowi talentu odmawiać nie można, ale nie jego rzecz poezya. Szczególniej wybornie maluje postaci starych Polonusów. Słyszałem starców, co po przeczytaniu ustępów powieści Pługa w Athenaeum, w których starą szlachtę malował, zawołali zgodnie: „a to doskonale! jakbym na żywych patrzył.” Pochwała zaiste największa dla Pługa. T. Glücksberg zaczął drukować także: Niemcy i Szwajcaryja, Włodzimierza Budzyńskiego; Atomy (poezye) Juliusza hr. Strutyńskiego; Fizykę popularną T. Stankara; Grammatykę języka angielskiego zebraną z najnowszych dzieł, po której następują najpotrzebniejsze do użycia wyrazy i rozmówki, z wymawianiem polskiém, Jerzego Niewodniczańskiego; Ołtarzyk nowy, czyli zbiór nabożeństwa katolickiego. Nowa edycya powiększona powszechnie uwielbianéj książki, wielce pożytecznymi dodatkami. (Ta pochwała na tytule nie jest moja, ale wykoneypowaną przez p. T. Glücksberga na ponęte). Księgarnia J. Zawadzkiego, którego wydania książek polskich odznaczają się pięknoscją druku, papieru, i staranną korektą, wykończą w druku: Ignacego Chodźki Dwie konwersacye z przeszłości, tom 1. Pamiętniki z życia Ewy Felińskiej, autorki Wspomnień z podróży po Syberyi, 3 spore tomy; Nowe światy, podróż adnegdotyczna po oceanie Spokojnym Pawła Niboyer, przekład z fran. Jerzego Laskarysa. Prócz tego w ozdobnéj edycyi ogłasza znane z Gazety Warszawskiej: Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego, z pozostałych jego rękopismów przepisane i wydane p. J. I. Kraszewskiego, 4 tomy; Bajronista, powieść spólczesna Zygmunta Kaczkowskiego, (utwór strasznie chromy) we 3ch tomach. Uważaliście sami, że Kaczkowski coraz słabsze daje nam utwory, któremi nie usprawiedliwia wcale owéj rozgłosnéj sławy. Jeden z estetyków starych, tak pierwiastkowemi jego probkami zapalił się, że w uniesieniu chwilowém, już go stawiał na czele nowego okresu po 1830 roku. Tymczasem zdaje się nam, że coraz w dalsze ustępuje szeregi, bo-dajby na prostego towarzysza nie przeszedł, i to w szeregu dalekim od

sztandaru literackiego naszych czasów. Ruben Rafałowicz drukuje Władysława Syrokomli poemat w 1ym tomie p. n. Szpital Domowy; a nakładem Alberta Sirkin wychodzi nowe wydanie polonezów Ogińskiego, z piękną kartą tytułową, rysunku A. Zaleskiego.—Nasze towarzystwo archeologiczne ma wydawać rozprawy o starożytnościach litewskich, których zbiór znakomity posiada. Jeżeli ten zamiar, o którym tu mówią, przyjdzie do skutku, donieść wam nie omieszkam. A. E. Odyniec, który już skończył (jakem słyszał) swój dramat Barbarę Radziwiłłównę, nie myśli go teraz drukować: chętnych nakładców, możecie sądzić, nie zbraknie tém bardziej na taki utwór i takiego poety”.

— Przyroda i przemysł, tygodnik poświęcony przystępnemu wykładowi wszystkich gałęzi nauk przyrodzonych, praktycznemu ich zastosowaniu do potrzeb życia, tudzież najnowszym wynalazkom i odkryciom, pod redakcją Juliana Zaborowskiego, a nakładem i drukiem Ludwika Merzbacha w Poznaniu wydawany, odznacza się tak doborem artykułów, jak nader starannem i pięknem wydaniem. Druk, papier i odbicia drzeworytowe nie pozostawiają do życzenia, i nie ustępują pod tym względem dziełom we Francyi i w Anglii wydawanym. Tygodnika tego wyszło numerów 29, a z rozwojem pisma widzimy usilną staranność zbogacania go oryginalnymi pracami i obchodzącemi kraj nasz bliżej. Czytaliśmy już: Wędrowkę po olkuskim powiecie pod względem naukowym, gospodarskim, oraz przemysłowo-fabrycznym; Aforyzmy o estetyce przyrody dla mojej Heluni (w listach); słownictwo chemiczne polskie; Liptów (hrabstwo liptowskie) w Tatrach; Pogląd historyczny na rolnictwo u dawnych i teraźniejszych narodów Adama Mieczynskiego; przeglądy: Geologii Ludwika Zejsznera, i dzieł tyle zasłużonego Wojciecha Jastrzębowskiego. Pismo to zyskuje z dniem każdym coraz więcej prenumeratorów: nie wątpimy, że znajdzie powszechniejsze współczucie, jak na to zasługuje starannością redakcyi i wydawcy.

— Księgarnia S. Orgelbranda przygotowywa wiele nowości literackich: następne dzieła są już pod prasą: Cezara Cantu tom 10; Dr. Teodora Triplina: Hygiena polska czyli sztuka zachowania zdrowia, przedłużenia życia i t. d. dwa spore tomy, z 16 kolorowanemi rycinami. Ryciny te przedstawiają dokładnie szkodliwe zdrowiu rośliny krajowe i zjadliwe bedki. Tegoż Triplina Pamiętniki lekarza Polaka, 4 tomy. X. Aloizego Osinńskiego: Żywoty biskupów wileńskich, 2 tomy, z portretem autora (już wydrukowane); Seweryny z Żochowskich Prusakowej: Obrazki dramatyczne wierszem; Czyriańskiego prof. Chemia nieorganiczna z 120 drzeworytami w texcie; Leśniewskiej Bronisławy: Dobre chęci, czyli zbiór powiastek dla młodzieży z 11 rycinami kolorowanemi; ks. Putiatyckiego: Teologia moralna, po łacinie: dzieło jako szkolna księga po seminaryach używane, i Elementarz polsko-hebrajski.

—•••••

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Lipiec 1856.

Miasto dostarczył wianon...
w 1856 roku...

Data	BAROMETR w milimetrach słupkowych				TERMOMETR słupkowy			
	10	11	12	13	10	11	12	13
1	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
2	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
3	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
4	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
5	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
6	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
7	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
8	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
9	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
10	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
11	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
12	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
13	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
14	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
15	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
16	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
17	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
18	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
19	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
20	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
21	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
22	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
23	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
24	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
25	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
26	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
27	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
28	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
29	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5
30	757.5	757.5	757.5	757.5	17.5	17.5	17.5	17.5

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Lipiec, 1856.

	m.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.126	27	8.527
Najwyżej barometr dochodził d. 30 o g. 10 r.	758.38	28	0.186
Najniżej — — d. 20 o g. 10 w.	739.25	27	3.707
Średnia zmiana dzienna barometru	2.554		1.132
Największa zmiana dzienna barometru d. 19—20 o g. 10 r.	10.29		4.561
Średnia wysokość barometru jest większa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	1.277		0.565
Średnia temperatura lipca wynosi:	748.849	27	7.962
i ta jest niższa o	+ 17° 25 C.		+ 13° 80 R.
od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	1.50 „		1.20 „
Największe ciepło było d. 26 o g. 4 w.	+ 18.75 „		+ 15.00 „
Najmniejsze — — d. 3 o g. 6 r.	+ 29.7 „		+ 23.76 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	+ 8.0 „		+ 6.40 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 8—9 o g. 4 w.	2.580 „		2.064 „
Termometrograf wskazał:	13.9 „		11.12 „

Maximum: +23° 7 R. d. 8 i 26 po połud.

Minimum: + 4° 6 „ d. 3 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 69.5, biorąc 100 za zupełne nasylenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 10.22 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.02 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 46.0 mil. czyli 20.39 lin. par.; ilość ta wody jest o 20.86 lin. par. mniejsza od tej, jaka średnio w lipcu spada.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 10, pochmurnych 11.

— deszczu 10 (d. 1, 3, 9, 11, 14, 19, 20, 21, 22, 27).

— mgły 1 (d. 22).

Wichrów było 1 (1 Z.).

Wiatrów mocnych 9 (5 PnZ., 3 Z., 1 Pn.).

Wiatr panujący: Zachodni, częste były także Północno-zachodnie i Północne.

Lipiec r. b. b. był suchy, pogodny, w pierwszych pięciu dniach chłodny, w ostatnich ośmiu gorący, w ogóle o 1.2 stóp. R. chłodniejszy niż zwykle. Najcieplejsze dni były d. 8, 17, 24, 25, 26, 29, 31; najchłodniejsze d. 1, 2, 3, 4, 5, 22. Wiatry północne i północno-zachodnie znacznie oziębiały powietrze. Grzmoty, błyskawice i grady które są najczęstsze w lipcu, przeciwnie w r. b. ani razu grzmotów i gradu nie było. Deszcze padały rzadko i nieobficie, w skutku czego ilość wody z deszczu wynosi co do wysokości tylko 20.39 lin. par. to jest o połowę mniej niż w stanie średnim. Stan nieba był nieco pogodniejszy niż zwykle, gdyż w stanie normalnym stosunek dni pogodnych, do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5.6 : 13.3 : 12.1; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 9 : 10 : 12.

Dnia 25 między godz. 9 a 11 z rana, na pogodnym niebie, chmurka biała skutkiem wiatru przybrała postać krzyża foremego.

Wysokość wody na Wiśle pod Warszawą największa dochodziła stop. 6 cali 1 d. 1; najmniejsza stop. 2 cali 8 d. 13, 14, 15, 31.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

z r. 1856.

Filozofia.

	Stron.
Teofrast i niektórzy nowsi badacze charakterów. (Z księgi Szkieców i Fragmentów) dokończenie	61

Materyały historyczne.

Notatki historyczne o starostach, a mianowicie mławskich.....	180
Szlachta pruska. Podług rękopismu z 1671 roku, przez <i>Ad. Am. Kosińskiego</i>	349
Poczet uczczonych pomnikami w katedrze na Wawelu, przez <i>J. Łepkowskiego</i>	398

Biografie.

Krzysztof Urbanowicz starosta hubski. Obrazek historyczny, z listów własnoręcznych króla Stanisława Leszczyńskiego, skreślony przez <i>Alexandra Przędzieckiego</i>	1
Dr. Jan Siestrzyński, b. nauczyciel warszawskiego Instytutu głuchoniemych, założyciel pierwszej litografii w Polsce, przez <i>Lu-dwika Jenike</i>	205
Maciej Golanczewski, przez <i>Zygmunta K.</i>	429

Prawo.

	Stron.
O potrzebie i warunkach ustawy wieczysto-dzierżawnej, przez <i>Augusta Heylmana</i>	78

Nauki społeczne.

O społecznościach gromadzkich i gminnych w dobrach rządowych w Cesarstwie.....	616
--	-----

Literatura.

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Bursa, komedya Ponsarda w pięciu aktach, wierszem. — Studya o Balzaku na konkursie towarzystwa literatów. — Balzak w pantoflach, przez Leona Gozlan. — Religia naturalna, pana Simon. — Wystawa rolnicza paryzka. — Statystyka kolei żelaznych w Anglii, przez Stephensona. — Wiadomości literackie.....	143
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa powszechna rolnicza w Paryżu (część druga). — Wznowienie <i>Amphitryona</i> w <i>Theâtre-Français</i> . — <i>Profils et Grimaces</i> przez Augusta Vacquerie. — List Napoleona IIIgo do Ponsarda. — Wiadomości literackie.....	327
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Plombières. — Pre-Catelan. — <i>L'ancien régime et la Révolution</i> , przez Alexego Tocqueville członka Akademii. — Rocznicza śmierci pani Girardin. — Telegraf słoneczny. — Pod-morski dagierotyp. — Kolej żelazna na między-morzu Panama. — Rozległość Paryża. — Liczba dzienników paryzkich.....	573
Pamiętniki, przez <i>Sabinę z G. G.</i>	332, 528

Powieść.

Jermoła. Obrazki wiejskie przez <i>J. I. Kraszewskiego</i> (dokończenie).	17
---	----

Poezje.

Pieśń nad grobem córki, Wiktora Hugo, przekład <i>Ignacego Bardeniego</i>	56
Dwa ustępy z Boskiej Komedyi, przekład <i>Felixa Wicherskiego</i> ...	259
Duma z dum ukraińskich. Pieśni lirnika o ukraińskim kozactwie, przez <i>Erazma Izopolskiego</i>	273, 468
Melpomena, przez <i>Antoniego Czajkowskiego</i>	526

Sztuki piękne.

Ikonografia. (Część archeologii ogólnej) o nimbach, aureolach, glorych i symbolach świętych, używanych na obrazach. Z archeologii ogólnej <i>Józefa Łepkowskiego</i>	91, 502
--	---------

Rozbiory.

Stron.

Pamiętnik Jana Cedrowskiego własną jego ręką spisany; zabytek historyczny wieku XVII, wynaleziony przez księdza J. Małyszewicza. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	162
Słowo o statystyce, o jej znaczeniu, ważności i potrzebie, z powodu dzieła wydanego po rosyjsku pod tytułem: „Opisanie Gubernii Kijowskiej.“ Przez Jana Fundukleja. 4 t. Petersburg. Przez <i>F. M.</i>	165
Przegląd muzyczny, przez <i>M. K.</i>	173, 381
Kronika Jarosława kanonika kapituły płockiej z XII wieku, przez <i>Wł.</i>	177
Dziejopisowie krajowi. Tom IIgi. Jakóba Sobieskiego pamiętnik wojny chocimskiej, książę troje; przełożył z łacińskiego Władysław Syrokomla. Petersburg. 1854. Przez <i>Juliana Bartoszewicza.</i>	373
Próbki rymowe. Pisał i wydał Romuald Zienkiewicz. Wilno. 1856. Przez <i>Antoniego Wągę.</i>	390
Odpowiedź księdzu Fr. K. Malinowskiemu na uwagi nad wydawanymi Słownikami języka polskiego. Przez <i>Felixa Żochowskiego.</i>	595
Kronika Jarosława i archiwa królewieckie. Przez <i>X. M.</i>	613
Kronika zagraniczna.....	409

Lingwistyka.

Wyjątek z niewydanego jeszcze dzieła <i>Adolfa Kudasiewicza</i> pod tytułem: Próbki filozofii mowy, zawierający część wstępu i rzecz o piśmie.	121, 300
---	----------

Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: Chemia, przez <i>J. B.</i>	415
--	-----

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Józefa Sikorskiego</i>	630
Kronika bibliograficzna.....	195, 637
Doniesienia literackie.....	196, 420, 638
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem:	
za miesiąc maj r. b.....	201
— — czerwiec r. b.....	425
— — lipiec r. b.....	645
Od redakcyi.....	424

